

Złota księga fantasy

Antologia SF



calibre 0.9.27



scandal

Złota Księga Fantazy

Antologia opowiadań fantasy pod redakcją Roberta Silverberga

(The Fantasy Hall of Fame)

1

WSTĘP

Przełożył Arkadiusz Nakoniecznik

W roku 1992 Stowarzyszenie Amerykańskich Pisarzy Science Fiction – założone dwadzieścia siedem lat wcześniej organizacja skupiająca ponad tysiąc członków, wśród nich niemal wszystkich liczących się profesjonalnych autorów s.f. – oficjalnie zmieniła nazwę na Stowarzyszenie Amerykańskich Pisarzy Science Fiction i Fantasy. W ten sposób nie tylko potwierdzono fakt, że literatura fantasy jest ważną częścią współczesnej literatury popularnej, lecz także dano wyraz przeświadczeniu o bliskim pokrewieństwie fantasy i science fiction.

Dla uważnych, a nawet mniej uważnych czytelników od dawna było jasne, iż po-

2
krewieństwo to istnieje, a nawet że te oba gatunki są po prostu dwoma aspektami tego samego zjawiska. Zarówno fantasy, jak i science fiction można określić mianem „literatury wyobraźni”, będącej trzpiotowatą krewną „literatury realistycznej”, od razu jednak gubimy się w labiryncie definicyjnych nieporozumień: znaczna część fantasy jest przecież realistyczna aż do bólu, naturalnie oprócz podstawowego założenia, jakim jest właśnie zerwanie z rzeczywistością, natomiast wiele powieści oraz opowiadań ostentacyjnie tkwiących w realiach (żeby wymienić choćby

„Ulissesa” Joyce’a i „Zamek” Kafki) śmiało zapuszcza się na grunt surrealizmu.

Dla nas, ludzi z wewnątrz – mam na myśli czynnych zawodowo profesjonalistów – granica między tymi dwoma gatunkami zawsze była wyraźna, niekiedy zaś wręcz sztywna. Ogólnie rzecz biorąc, w 3

science fiction mamy androidy i roboty, statki kosmiczne, obce istoty, wehikuły czasu, wirusy z kosmosu, galaktyczne imperia i tak dalej. Wszystko to mogłoby zaistnieć w ramach dostępnej nam obecnie wiedzy naukowej, choć z pewnością wehikuły czasu i pojazdy poruszające się z prędkościami nad – świetlnymi tylko z najwyższym trudem mieszczą się w tych ramach. Dla odmiany, fantasy wykorzystuje jako budulec to, co wedle powszechnego przekonania nie istnieje i nigdy istnieć nie będzie: magowie i czarnoksiężnicy, elfy i gobliny, wilkołaki i wampiry, jednorożce i zaklęte księżniczki, uroki i zaklęcia.

Wystarczy jednak ustalić różnice, by natychmiast wpaść w tarapaty. Jak na przykład sklasyfikować historię o wirusie z kosmosu, którego ofiary przeistaczają się w wilkołaki? Albo

opowiadanie o programie komputerowym generującym anioły? Albo 4

nowelę prezentującą racjonalne bilogiczne wyjaśnienie zjawiska wilkołactwa, łącznie z kłami i sierścią? Czy przerażający mutant, przykuty przez rodziców do ściany na strychu, jest postacią z utworu fantasy czy science fiction? I tak dalej, aż do świtu.

Niektórzy twierdzą, że różnica polega na sposobie potraktowania tematu, że fantasy charakteryzuje się mglistością i niejedno-znacznością zupełnie nie do pomyślenia w wypadku konkretnej aż do bólu science fiction. W pewnym sensie to prawda, ale tylko w pewnym sensie, każdy z nas bowiem bez trudu mógłby wyliczyć mnóstwo konkretnych utworów fantasy i niejedno-znacznych opowieści science fiction. We-dług innych charakterystyczną cechą science fiction jest szczegółowa analiza konsekwencji wprowadzenia w życie jakiejś konkretnej koncepcji, fantasy natomiast nie przestrzega żadnych zasad – pewien 5

krytyk nazwał ją kiedyś „tenisem bez siatki”. Jednak po uważnej lekturze klasycznych utworów fantasy, w tym także tych, które znalazły się w tym zbiorze, musi stać się oczywiste, iż literatura określana przez nas mianem fantasy równie szczegółowo analizuje konsekwencje zawartych w niej koncepcji, jak science fiction. (Za przykład niech posłuży łańcuch wydarzeń, które spotykają pechowego bohatera opowiadania H. L. Golda „Kłopoty z wodą” po tym, jak obraził wodnika. Co prawda wszyscy doskonale wiemy, że wodniki nie istnieją, w tym utworze jednak wszystko jest równie logiczne i nieuniknione, jak w opowiadaniu o nieostrożnym uczonym, który odkrył sposób na wywołanie reakcji łańcuchowej w mieszaninie pasty do zębów z wodą destylowaną).

Jak więc widać, rozróżnienie science fiction i fantasy nie należy do łatwych zadań. Jeżeli nie zgodzimy się z opinią, że oba gatunki stanowią odgałęzienia tego samego literackiego nurtu, w którym najważ-

niejszą rolę odgrywa wyobraźnia, to chyba należałoby przychylić się do stwierdzenia, iż science fiction jest wysoce wyspecjalizowaną formą ekspresji wyobraźni, podgatunkiem fantasy.

Tak czy inaczej, wszyscy mniej więcej wiemy, co mamy na myśli, kiedy mówimy „science fiction”, a kiedy „fantasy”, i całkiem nieźle sobie radzimy w tych granicach, stawiając historie o robotach na półce z napisem „science fiction”, a opowieści o jednorożcach na półce z napisem „fantasy”. Z rozróżnieniem tym z pewnością nie było problemów w pierwszej połowie dwudziestego wieku, kiedy fantasy w znacznej mierze traktowano jako literaturę dziecięcą („Piotruś Pan”, „Alicja w Krainie Czarów”, baśnie, opowieści o antycznych 7

bóstwach), science fiction natomiast, uformowana przez Jules'a Verne'a i H. G. Wellsa, rozwijała się w Stanach Zjednoczonych w postaci czasopism takich jak

„Amazing Stories” i „Astounding Science Fiction”, których czytelnicy rekrutowali się głównie spośród chłopców oraz poważ-

nych młodych ludzi zafascynowanych nowinkami technicznymi i naukowymi dysputami. Jedynym amerykańskim czasopismem publikującym to, co obecnie uważamy za fantasy, był założony w roku 1923

„Weird Tales”, lecz na jego łamy trafiała nie tylko fantasy, ale również sporo utworów, których dziś na pewno byśmy do niej nie zaliczyli – na przykład opowiadania grozy, pozbawione elementów spekulatywnych.

Fantasy *per se* doczekała się własnego pisma dopiero w roku 1939, kiedy John W. Campbell Jr., czołowy wydawca science 8

fiction w tamtych czasach, powołał do życia „Unknown” (później przemianowane na „Unknown Worlds”), aby dać swoim autorom szansę na rozwinięcie skrzydeł

wyobraźni także poza granicami wyznaczonymi przez ukutą przez niego samą definicję science fiction. Wielu spośród autorów, dzięki którym „Astounding Science Fiction” stało się najlepszym czasopismem tego typu w historii – Robert A. Heinlein, L. Sprague de Camp, Theodore Sturgeon, Lester del Rey, Jack Williamson – często gościło także na łamach „Unknown”. Zasadnicze podejście nie uległo zmianie: należało zaprezentować śmiały pomysł, a następnie rozwinąć wszystkie jego konsekwencje aż do logicznego zakończenia.

Opowiadania o mściwych wodnikach albo o zaprzędawaniu duszy diabłu trafiały do „Unknown”, te o podróżach w czasie albo lotach ku odległym planetom były drukowane w „Astounding”.

Jednak „Unknown”, choć wysoko cenione przez autorów i czytelników, nigdy nie zdołało dotrzeć do szerokiego grona odbiorców, więc kiedy w związku z wojennymi oszczędnościami papieru Campbell musiał w roku 1943 dokonać wyboru jednego z dwóch czasopism, bez wahania uśmiercił właśnie „Unknown”. Pismo nigdy się nie odrodziło; podjęte po wojnie próby odtworzenia szczególnego klimatu tego periodyku w większości kończyły się niepowodzeniem. „Beyond” H. L. Golda doczekało się dziesięciu numerów, „Fantasy Fiction” Lestera del Reya zaledwie czterech. Tylko „The Magazine of Fantasy”, redagowany przez Anthony'ego Bouchera i J. Francisca McComasa, przetrwał aż do dziś – być może dlatego, że już od drugiego numeru w jego nazwie pojawiło się „... and Science Fiction”. W latach 50., kiedy 10

science fiction była masowo publikowana w paperbackach, fantasy ponownie została w tyle: tylko nieliczne powieści fantasy trafiały na rynek w miękkich okładkach, te zaś, którym się to udało – na przykład

„The Dying Earth” Jacka Vance'a oraz utwory H. P. Lovecrafta i Roberta E. Howarda – szybko znikły z rynku, stając się kolekcjonerskimi rarytasami.

Sytuacja uległa zmianie pod koniec lat 60., kiedy nagle pojawienie się paperbackowych wydań „Władcy Pierścieni” J. R.

R. Tolkiena (na ich wcześniejszą publikację nie chciał się zgodzić wydawca wersji w twardych okładkach) wywołało u milionów czytelników ogromny głód fantasy.

Książki Tolkiena odniosły tak wielki sukces komercyjny, że wydawcy natychmiast rozpoczęli gorączkowe poszukiwania autorów, potrafiących stworzyć trytomowe imitacje jego dzieł, w związku z czym 11

wkrótce potem świat zalała powódź obszernych hobbitopodobnych powieści, spośród których wiele osiągnęło zdumiewają-

co wysokie nakłady. Kilka lat później Ballantine Books, wydawca paperbackowych edycji Tolkiena, zapoczątkowało nadzwyczajną serię redagowaną przez Lina Cartera, udostępniając współczesnemu czytelnikowi eleganckie klasyczne arcydzieła takich fantastów, jak E. R. Eddison, James Branch Cabell, Lord Dunsany oraz Mervyn Peake.

W tym samym okresie powstało Stowarzyszenie Amerykańskich Autorów Science Fiction, aby „dostarczać pisarzom science fiction informacji związanych z ich profesją, promować ich twórczość oraz wspomagać w kontaktach z wydawcami, agen-

tami i autorami antologii. Przyjmując członków, nie brano pod uwagę różnic między science fiction i fantasy; dawni do-12

starczyciele historii o elfach i goblinach dla „Unknown” byli równie mile widziani, jak pisarze, których zainteresowania nie wykraczały poza obszar fizyki jądrowej.

Nie ulega jednak wątpliwości, iż w początkowym okresie Stowarzyszenie koncentrowało się

głównie na zagadnieniach związanych z science fiction, a nie fantasy.

W roku 1967 redagowałem antologię za-

tytułowaną „The Science Fiction Hall of Fame”, składającą się z opowiadań wybranych głosowaniem członków Stowarzyszenia. Obowiązywały tylko dwa ograniczenia: żaden tekst nie mógł liczyć więcej niż piętnaście tysięcy słów, wszystkie zaś musiały być opublikowane przed rokiem 1965, kiedy to niedawno utworzone Stowarzyszenie zaczęło przyznawać swoją co-roczną nagrodę, Nebulę. W plebiscycie zwyciężyło „Nadejście nocy” Isaaca Asimova, kolejne miejsca zaś zajęły „Mar-13

sjańska odyseja” Stanleya G. Weinbauma oraz „Kwiaty dla Algernona” Daniela Key-esa. Później ukazało się jeszcze kilka to-mów z serii Science Fiction Hall of Fame, zawierających utwory dłuższe od tych, które trafiły do pierwszego.

Teraz jednak Stowarzyszenie Amerykańskich Pisarzy Science Fiction przeisto-czyło się w Stowarzyszenie Amerykań-

skich Pisarzy Science Fiction i Fantasy, ponieważ zaś fantasy została *a priori* wy-kluczona z poprzednich zbiorów, zwróco-no się do mnie z prośbą o przygotowanie zbioru, który nareszcie oddałby sprawiedliwość siostrzanemu gatunkowi. Zastosowa-

łem podobną metodę jak poprzednio, wprowadzając następujące ograniczenia: opowiadania musiały ukazać się po raz pierwszy drukiem między rokiem 1939

(wtedy właśnie, w chwili pojawienia się

„Unknown”, można mówić o początku 14

współczesnej fantasy w Stanach Zjednoczonych) a 1990, żadne z nich zaś nie mo-gło liczyć sobie więcej niż siedemnaście tysięcy pięćset słów. (Być może w przyszłości ukaze się drugi tom, zawierający obszerniejsze utwory). Poprosiłem też głosujących o precyzyjne rozróżnienie fantasy i science fiction, w celu wykluczenia z puli opowiadań należących do tego drugiego gatunku.

Następnie członkowie Stowarzyszenia, z uwzględnieniem powyższych ograniczeń, zgłosili swoje ulubione opowiadania, po czym nastąpił półroczny okres, w którym mogli zapoznać się z utworami zapropono-wanymi przez kolegów i głosować na te, które spodobały im się najbardziej. (O

tym, jak niewyraźna bywa granica między science fiction i fantasy, niech świadczy fakt, że wśród nominowanych opowiadań znalazły się aż trzy, które zostały wcze-15

śniej opublikowane w książkach z serii Science Fiction Hall of Fame: „Zrodzony z mężczyzny i kobiety” Richarda Matheso-na, „Księżycowa ćma” Jacka Vance'a oraz

„To dobre życie” Jerome'ego Bixby'ego).

Nominacje uzyskało siedemdziesiąt jeden opowiadań czterdziestu dziewięciu autorów, jednak zgodnie z poczynionymi za-

łożeniami w książce mógł się znaleźć tylko jeden utwór każdego autora, bez względu na to, ile dany autor uzyskał nominacji. Po to, by uniknąć sytuacji, kiedy opowiadania tego samego pisarza konkurowałyby ze sobą, rozproszone między nie głosy miały zostać zaliczone temu, które cieszyło się największą popularnością. Ray Bradbury wprowadził do finałowej rozgrywki cztery teksty, Theodore Sturgeon i Fritz Leiber po trzy, piętnastu autorów reprezentowały po dwa opowiadania. Można było również głosować na nienominowane utwory, ale 16

takie głosy były nieliczne i w żaden sposób nie wpłynęły na ostateczne rezultaty W sumie najwięcej głosów zdobyły trzy opowiadania Fritza Leibera, w dalszej kolejno-

ści zaś usytuowali się: Shirley Jackson (dwa teksty), Theodore Sturgeon (trzy), Avram Davidson (dwa), Peter S. Beagle (dwa) oraz Ray Bradbury (cztery). Pięt-nastka najpopularniejszych autorów przedstawiała się następująco:

1. Fritz Leiber
2. Shirley Jackson
3. Theodore Sturgeon
4. Avram Davidson
5. Peter S. Beagle
6. Ray Bradbury
7. Ursula K. Le Guin
8. Roger Zelazny
9. James Tiptree Jr.
10. J. G. Ballard

17

11. Philip K. Dick
12. Harlan Ellison
13. Jorge Luis Borges
14. Robert Bloch
15. Terry Bisson

A oto piętnaście najpopularniejszych opowiadań:

1. „Loteria” Shirley Jackson
2. „Jeffy ma pięć lat” Harlana Ellisona
3. „Wariant jednorożca” Rogera Zelazny'ego
4. „Niedźwiedzie odkrywają ogień” Terry'ego Bissona
5. „Pociąg Do Piekła” Roberta Blocha
6. „Śmierć na balu” Petera S. Beagle'a
7. „Basileus” Roberta Silverberga
8. „Golem” Avrama Davidsona

9. „Lale z Buffalo, czy wyjdziecie dziś w nocy” Ursuli K. Le Guin

18

10. „Her Smoke Rose Up Forever”

Jamesa Tiptree Jr.

11. „Krosno ciemności” Jacka Vance'a
12. „Topielec” J. G. Ballarda
13. „Detektyw snów” Gene'a Wolfe'a
14. „Łowca jaguarów” Luciusa Shepar-da
15. „Genialny wilkołak” Anthony Bouchera

(„Or All the Sea with Oysters” Avrama Davidsona zajęłoby na tej liście czternastą pozycję, gdyby nie to, że inne opowiadanie tego autora uplasowało się na wyższej pozycji).

Oto ostateczny rezultat: czołowa pięć-nastka uzupełniona kolejnymi piętnastoma tekstami, antologia najlepszych współczesnych opowiadań fantasy, wybranych w roku 1996 przez profesjonalnych amerykańskich twórców tego gatunku. Pragnę

podziękować Martinowi Harry'emu Greenbergowi za opatrzenie tekstów krótkimi wstępami, ponieważ sam, ze względu na niesprzyjające okoliczności, nie mogłem tego uczynić.

Robert Silverberg,

październik 1996

20

H. L. Gold

KŁOPOTY Z WODĄ

(Trouble with water)

Przełożył Rafał Wilkoński

H. L. Gold, nadał nowy kształt całemu gatunkowi science fiction jako twórca czasopisma

„Galaxy Science Fiction” za-

łożonego w 1950 roku. Dzięki temu, że w piśmie owym ważną rolę odgrywała satyra społeczna, udało mu się przyciągnąć do niego pisarzy tej klasy co Ray Bradbury, Robert Heinlein, Isaac Asimov i inni. Niestety pionierskie osiągnięcia redak-torskie H. L. Golda przyćmiły jego karierę pisarza. Jest autorem tylko jednej powieści napisanej wspólnie z L. Sprague de Campem, zatytułowanej „None but Lucifer” (Nikt prócz Lucyfera) oraz kilku opowiadań zebranych w tomie „The Old Die Rich” (Starzy umierają bogato), lecz jak dotąd jego utwory pozostają w zapomnieniu. Jednakże o ogromnym wpływie H. L. Golda na rozwój gatunku zawsze będziemy pamiętać.

21

Tego dnia Greenberg nie potrafił właściwie docenić wszystkich uroków otoczenia.

Pierwszy w sezonie pojawił się z wędką nad wodą, co gwarantowało wspaniałą zdobycz. Siedział w suchej łodzi – sam wybrał taką bez jednej, choćby najmniejszej szparki – którą wypuścił się na środek jeziora. Wiatr ledwie marszczył powierzchnię wody, na tyle tylko, by delikatnie poruszać sztuczną muchą. Słońce przyjemnie grzało, a jednocześnie powietrze było chłodne i rześkie. Miękką poduszka zapewniała mu odpowiedni komfort, wziął

ze sobą wałówkę, a połączone sznurecz-kiem dwie butelki piwa, przewieszzone przez jarzmo steru, chłodziły się w zimnej wodzie.

Każdy na jego miejscu rozpląwałby się z radości, mogąc sobie wędkować w taki 22 piękny dzień. Greenberg również powinien być szczęśliwy, lecz obecnie zamiast się relaksować i w spokoju czekać, aż ryba zacznie brać, czuł się osaczony przez strapie-nia.

Ten niski, nieco tęgawy, niemal całkowicie łysy, budzący szacunek człowiek interesów wiódł prawdziwie cygańskie życie. Latem zamieszkiwał hotelowy apartament w Rockaway, zimy spędzał w luksusowym hotelu na Florydzie, zaś w obu miejscach prowadził bufety, które brał w sezonową ajencję. Tymczasem od wielu lat deszcz padał jak na zamówienie w każdy weekend, natomiast we wszystkie ważniejsze święta państwowe miały miejsce potworne burze i ulewy. Nie przepadał za swoim życiem, ale nie znał innego sposobu zarabiania pieniędzy.

Zamknął oczy i jęknął płacząco. Gdy-by chociaż los dał mu syna zamiast Rosie!

23

Wtedy na pewno wszystko wyglądałoby inaczej...

Syn mógłby przynajmniej zajmować się rusztem z hot dogami i hamburgerami, Esther serwowałaby piwo, a on przyrządzał-by napoje chłodzące. Zyski, co sam musiał przyznać, nie byłyby w znaczący sposób większe, ale za to można by coś odłożyć na stare lata, zamiast ciuć każdy grosz na posag dla niewymownie szpetnej, kloco-watej i żałośnie rwącej się do zamążpójścia córki.

– W porządku... i co z tego, że nie znajdzie sobie męża? – wykrzykiwał do swojej żony tysiące razy. – Jakoś ją utrzymam.

Inni potrafią złapać zięcia, mając do zaoferowania małą cukierenkę, z dwoma kranikami do wody sodowej. Nie rozumiem, dlaczego ja miałbym fundować jakiemuś chłopaczynie całe kasyno?

– Oby ci język zgnił w tym pustym łbie, 24

ty stare skąpiradło! – odwrzaskiwała mu przy takich okazjach. – Nie można skazywać dziewczyny na staropanieństwo. Nawet jeśli mielibyśmy zemrzeć w przytułku dla biedoty, moja biedna Rosie musi dostać męża. Każdy grosik, którego nie potrzebujemy na życie, pójdzie na jej posag!

Nie można powiedzieć, żeby Greenberg

nienawidził swojej córki. Nie winił jej za swoje nieszczęścia. Prawdą jednak było to, że właśnie

przez nią przyszedł dziś łowić ryby, wyposażony w połamaną wędkę, której połówki skleił za pomocą taśmy.

Rankiem, gdy jego żona otworzyła oczy i zobaczyła, jak pakuje swój wędkarski ekwipunek, natychmiast otrząsnęła się z resztek snu.

– Jasne, idź sobie na ryby, ty darmożja-dzie! – rozdarła się piskliwie. Nigdy nie opanowała sztuki porozumiewania się normalnym tonem, jakiego ludzie zazwyczaj 25 używają podczas codziennych rozmów. –

Zostaw mnie tutaj samą! Pewnie, ja mogę sama podłączyć rury do piwa i gaz do wody sodowej. Sama zamówię lody, frank-furterki, bułki, syrop, a jednocześnie będę pilnować fachowców od gazu i elektryczności. A ty idź, idź sobie na ryby!

– Wszystko jest już zamówione – mruknął pojednawczo. – A dzisiaj nie będą nam podłączać gazu ani elektryczności. Chciałem tylko zrobić mały wypad na rybki – to ostatnia szansa. Jutro otwieramy bufet.

Spójrzmy prawdzie w oczy, Esther: czy będę miał czas na wypad z wędką, kiedy już otworzymy interes?

– Nic mnie to nie obchodzi. Jestem two-ją żoną, a ty zamawiasz sobie, co ci przyjdzie do głowy, nawet nie pytając mnie o zdanie?

Bronił się. To był taktyczny błąd. Powinien był po prostu zabrać sprzęt i wyjść, 26 dopóki jeszcze nie wygrzebała się z łóżka.

A tak, kiedy doszli w kłótni do posagu Rosie, Esther stała już groźnie naprzeciw niego.

– Wcale nie chodzi mi o mnie! – wrzeszczała. – Cóż za potwór z ciebie!

Możesz tak po prostu iść sobie na ryby, podczas gdy twojej córce serce krwawi z bólu. I to w dodatku w taki dzień! Powinieneś zadbać jedynie o to, by kolacja była smaczna, a twoja córka dobrze ubrana. Jak widzę, bardzo cię obchodzi, że dziś wieczorem na kolacji będzie fajny chłopak, który być może zabierze gdzieś potem na-szą Rosie. Ty wyrodny ojczy, ty!

W tym miejscu brakowało jeszcze tylko jednego gwałtownego protestu i jednego piskliwego przekleństwa, by mógł znaleźć się na środku pokoju, ściskając w ręce połówkę złamanej wędki, podczas gdy druga połówka z bolesną regularnością spadała 27 na jego głowę.

Teraz zaś tkwił w swojej precudnie suchej łódce na wspaniale rybnym jeziorze w głębi Long Island, z desperacją rozmyślając o tym, że jakakolwiek ryba normalnych rozmiarów potrafi zniszczyć jego sklejoną naprędcę wędkę.

Czegóż gorszego mógł się jeszcze spodziewać? Spóźnił się na pociąg, potem musiał długo czekać na właściciela przystani, jego ulubiona suszona mucha gdzieś się zapodziała, a na domiar złego od samego rana ani jedna rybka nawet nie tknęła pyszczkiem przynęty. Ani jedna!

Tymczasem robiło się naprawdę późno.

Tracił już cierpliwość. Zerwał kapsel z butelki i duszkiem wypił jej zawartość, aby dodać sobie odwagi przed podjęciem decyzji o zmianie muchy na mniej wymagającą przynętę w postaci larwy ochotki. Przykro mu było się poddać, tak bardzo chciał

28

wreszcie złapać jakąś rybę.

Haczyk z robakiem poszedł pod wodę.

Zanim spławik się ustatkował, nastąpiło lekkie szarpnięcie. Odetchnął z ulgą i energicznie

podciął zdobycz. Poczuł, jak haczyk wbija się głęboko w rybi pysk. Czasami, myślał filozoficznie, po prostu nie chcą brać sztucznej przynęty. Zaczął powoli zwijać żyłkę.

– O, Boże – modlił się na głos – dam dolara na ofiarę, tylko niech ta wędka nie zegnije się w miejscu, gdzie ją skleiliśmy.

Tymczasem wędzisko wyginało się bardzo niebezpiecznie. Otaksował je nieszczę-

śliwym spojrzeniem i podniósł początkową stawkę do pięciu dolarów. Ale nawet za taką cenę wyciągnięcie ryby zakrawało na niemożliwość. Wobec tego zanurzył wędkę w wodzie, starając się trzymać ją w jednej linii z napiętą żyłką, żeby zmniejszyć działanie niszczącej siły. Cieszył się, że 29 nikt nie widzi, jak wykonuje te haniebne manewry, niegodne rasowego wędkarza.

Żyłka nawijała się teraz na kołowrotek bez najmniejszego oporu.

– Czyżbym – nie daj Boże! – złapał jakiegoś węgorza lub inne niekoszerne pa-skudztwo? – wymamrotał. – A niech cię szlag!... Dlaczego nie walczysz?

Naprawdę nie obchodziło go, co to będzie – mógł to być nawet węgorz albo cokolwiek innego.

W końcu wyciągnął długi, spiczasty, zielony kapelusz pozbawiony ronda.

Przez moment wpatrywał się z furią w

wydobyte z wody nakrycie. Usta ściągnęły mu się w wąską kreskę. Wreszcie, rozzłoszczony, mocnym szarpnięciem zerwał

kapelusz z haczyka, cisnął go na dno łodzi i zapamiętał po nim deptał.

– Cały dzień tkwię tu z wędką – skarżył się żałośnie – zapłaciłem dwa dolary za bi-30

let na pociąg, dolara za łódkę, ćwierć dolara za przynętę, poza tym muszę kupić nową wędkę... i na dodatek mam do uisz-czenia pięciodolarową ofiarę. I to wszystko po co? Po to, żeby złowić taki głupi, kretyński kapelusz, jak ty, ty...

Gdzieś od strony wody usłyszał jakiś niezwykle łagodny głos; ktoś zwrócił się do niego z uprzejmą prośbą.

– Czy mógłby mi pan oddać mój kapelusz, bardzo pana proszę.

Greenberg toczył wokół dzikim wzrokiem. Ujrzał małego człowieczka, który szybko płynął, kierując się w jego stronę.

Drobne ramiona złożone na piersi trzymał

z niezwykłą godnością, zaś potężne uszy odstające od twarzy o bardzo ostrych rysach stanowiły nader szybki i skuteczny napęd. Z wielką determinacją przemierzył

dzielącą ich odległość, a kiedy zatrzymał się przy prawej burcie, jego niesamowite, 31

energicznie poruszające się uszy utrzymywały go na powierzchni, podczas gdy człowieczek z poważną miną spoglądał na Greenberga.

– Depcze pan mój kapelusz – stwierdził bez cienia złości.

Greenberg pominął jego beznamiętną uwagę.

– Wiosłujesz uszami – zauważył, uśmiechając się z wyższością. – Strasznie śmiesznie to wygląda!

– A jak inaczej miałbym pływać? – spytał uprzejmie człowieczek.

– Machając rękami i nogami, rzecz ja-

sna, jak każdy normalny człowiek.

– Ale ja nie jestem człowiekiem. Jestem wodnym gnomem, dalekim krewnym bardziej znanego gнома podziemnego. Nie potrafię pływać, używając ramion, gdyż muszę mieć je skrzyżowane na piersiach, aby prezentować się godnie, jak na wodne-32

go gнома przystało. Nogi zaś służą mi do pisania i trzymania różnych przedmiotów.

Poza tym, moje uszy są wspaniale przystosowane do nadawania mi prędkości w wodzie. Dlatego też używam ich właśnie do tych celów. Ale teraz, proszę, niech pan mi odda kapelusz. Mam jeszcze do załatwienia kilka spraw niecierpiących zwłoki, przeto nie wolno mi marnować czasu.

Nieprzyjazne nastawienie Greenberga do niezwykle uprzejmego gнома było całkiem zrozumiałe. Wreszcie natknął się na kogoś, komu mógł okazać swą wyższość, a uciekając się do obelg i zniewag, mógł się rozładować i pomóc urosnąć swemu stłamszonemu ego. Wodny gnom, mierzący nie więcej niż dwie stopy wzrostu, wydawał się wystarczająco niegroźny.

– A cóż to za pilne sprawy możesz mieć do załatwienia, Wielkouchu? – spytał na-pastliwie.

33

Greenberg przypuszczał, że gnom poczuje się urażony. Tak się jednak nie stało, jako że duże uszy wydawały się gnomowi czymś najzupełniej normalnym i właściwym. To tak jakby przedstawiciel jakiejś wątłej i rachitycznej rasy nazwał człowieka Bicepsiakiem. Każdy z nas mógłby nawet odebrać to określenie jako komplement.

– Naprawdę bardzo mi spieszno – powiedział gnom, w którego głosie już było słychać nieznaczne zniecierpliwienie. –

Lecz skoro muszę odpowiedzieć na pań-

skie pytania, by odzyskać mój kapelusz, to niech pan się dowie, że właśnie zajmujemy się zarybianiem wschodnich wód. W ostatnim roku liczba ryb zmniejszyła się alarmująco. Urząd Rybołówstwa współpracuje z nami do pewnego stopnia, ale nie może-my na tym zbytnio polegać.

Dopóki populacja nie osiągnie swojego normalnego sta-34

nu, każda ryba ma przykazane, by nie ty-kać przynęty.

Greenberg pozwolił sobie na uśmiezek.

Irytująco sceptyczny uśmiezek.

– Moje zadanie – ciągnął gnom zrezygnowanym tonem – polega na kontrolowaniu opadów na całym wschodnim wybrzeżu. Nasza komisja badawcza, z siedzibą w meteorologicznym centrum kontynentu, zarządza zapotrzebowaniem na opady na całym obszarze. Kiedy komisja ustali, że dana ilość deszczu jest niezbędna w okre-

ślonym miejscu na wschodzie, do mnie należy wywołanie opadów o odpowiednim czasie trwania i właściwej intensywności.

A teraz, czy mogę już otrzymać z powrotem mój kapelusz?

Greenberg zaśmiał się chrapliwie.

– Już pierwsze kłamstwo – że zakazujecie rybom brać – było wystarczająco naciągane. Ty tak wywołujesz deszcz, jak ja je-35 stem prezydentem Stanów Zjednoczonych!

– Pochylił się w stronę gнома i zapytał

chytrze: – Może jakiś dowodzik?

– Skoro tak pan nalega – Gnom uniósł

swą cierpliwą, trójkątną twarz w stronę nieskazitelnie czystej i błękitnej części nieba, nieco w

bok od miejsca, gdzie stała łódź Greenberga. – Niech pan obserwuje tamto miejsce na niebie.

Greenberg spojrział w górę z drwiącym

uśmiechem na ustach. Nie stracił rezonu nawet wtedy, gdy pierwsza mała, ciemna chmurka przesłoniła bezchmurny dotąd skrawek nieboskłonu. To mógł być czysty zbieg okoliczności. Ale wkrótce ciężkie krople deszczu zaczęły spadać na obszar w kształcie koła o średnicy mniej więcej sze-

ściu metrów. Wtedy kpiący uśmiezek powoli zaczął się kurczyć i przechodzić w gniewny grymas.

Kiedy wreszcie Greenberg utwierdził się 36

w swoim przekonaniu, spojrział z nienawi-
ścią na gнома.

– A więc to ty jesteś tym gnojkiem, przez którego leje w każdy weekend!

– Zazwyczaj w letnie weekendy – przy-

znał gnom. – Dziewięćdziesiąt dwa procent całkowitego zużycia wody przypada na dni pracujące. A naszym zadaniem jest, rzecz jasna, ciągle uzupełnianie jej zasobów. Dlatego też koniec tygodnia to najbardziej dogodny termin.

– Ty parszywy złodzieju! – ryknął histerycznie Greenberg. – Ty złoczyńco! Cóż cię obchodzi, jakie szkody wyrządzasz mojemu bufetowi tymi twoimi ulewami!

Nie wystarczy ci, że interes ledwie dyszy i bez tych deszczów, to ty jeszcze musisz serwować nam prawdziwe potopy!

– Przepraszam – odparł gnom, niewzruszony dramatyczną retoryką Greenberga – ale my nie wywołujemy opadów dla ludzi.

37

Naszym zadaniem jest ochrona ryb. A teraz proszę, niech pan odda mi mój kapelusz. I tak zmitrężyłem tu mnóstwo czasu, zamiast przygotowywać wyjątkowo obfite deszcze na koniec tego tygodnia.

Greenberg zerwał się na równe nogi, nie zważając na to, że łódź niebezpiecznie się chybcze.

– Ulewy na koniec tego tygodnia... kiedy raz wreszcie mogłem spodziewać się jakich takich zysków! Nic cię nie obchodzi, że wkrótce doprowadzisz mnie do ruiny. A niech te twoje ryby uświerkną w potwor-nych męczarniach razem z tobą!

To mówiąc, z furią podarł zielony kapelusz i strzępami cisnął w twarz gнома.

– Jest mi bardzo przykro, z powodu tego, co pan przed chwilą zrobił – powiedział człowieczek spokojnym głosem, nadal nie okazując najmniejszych oznak po-irytowania ani nawet na chwilę nie przy-38

spieszając tempa rytmicznego wiosłowania uszami, dzięki któremu utrzymywał się na wodzie. – My, przedstawiciele Małego Ludu, nigdy nie tracimy panowania nad sobą. Jednakże co jakiś czas dostrzegamy konieczność zastosowania środków dyscyplinarnych wobec niektórych spośród waszych ludzi, aby właściwie chronić tak drogą nam godność. Obca jest mi wszelka zło-śliwość, ale ponieważ okazał pan nienawiść wobec wody oraz wszystkiego, co w niej żyje, od dziś woda i jej mieszkańcy będą trzymać się od pana jak najdalej.

Z ramionami wciąż splecionymi na piersiach w geście pełnym godności, małe wodny gnom oddalił się, energicznie machając uszami, by po chwili zanurkować, nie wydając żadnego plusku i zniknąć.

Greenberg z wściekłością patrzył na krę-

gi rozchodzące się po wodzie od miejsca, gdzie karzełek zszedł na głębiny. Nie zrozumiał ostatniego zaklęcia gнома, ani nawet nie silił się, by je interpretować. Zamiast tego kątem oka gniewnie spoglądał na niesamowite zjawisko, jakim był kolisty fragment jeziora, w który z całej siły waliły deszczowe krople spadające z bezchmurnego nieba. Najwyraźniej gnom musiał przypomnieć sobie o tej sztuczce zaraz po swoim odejściu, gdyż w chwilę później przestało padać. Wyglądało to tak, pomy-

ślał Greenberg, jakby ktoś nagle zakręcił kran.

– A więc żegnajcie weekendowe zyski – burknął. – Jeśli Esther się dowie, że miałem zatarg z gościem, który wywołuje deszcze...

Spróbował jeszcze raz zarzucić wędkę, licząc, że może wreszcie podetnie jakąś rybkę, ale rozwinięta żyłka wyprężyła się jak drut ponad powierzchnią jeziora, zaś haczyk, zatoczywszy łuk, zawisł nierucho-

mo w powietrzu.

– No, spadaj do wody, cholera jasna! – mruknął rozszłoszczony Greenberg i szarpał

wędziskiem na wszystkie strony, próbując wytrącić haczyk z jego kretyńskiej lewitacji. Ale ten wciąż odmawiał mu posłuszeństwa.

Mamrocząc coś o tym, że wpierw zawis-

śnie na pierwszym lepszym drzewie, niż się podda, Greenberg cisnął swą bezużyteczną wędkę w toń jeziora. Tym razem bez większego zdziwienia skonstatował, że wędzisko szybuje w powietrzu ponad lustrem wody. Poprzestał na rzuceniu dzikiego spojrzenia przekrwionych oczu, wywalił za burtę pozostałości gnomiego kapelusza i krzepko chwycił za wiosła.

Kiedy wykonał nimi pierwszy zamasy-

sty ruch, pragnąc skierować łódkę w stronę brzegu, nie zdołał, rzecz jasna, zanurzyć w wodzie ich drewnianych piór. Wiosła prze-

cięły powietrze, nie napotykając żadnego oporu, przez co Greenberg runął gwałtownie w tył na dno łodzi.

– Oho! – wychrypiał. – Zaczynają się kłopoty.

Przechylił się przez burtę, by spojrzeć w dół. Tak jak się spodziewał, kil łodzi znajdował się wysoko ponad lustrem wody.

Wiosłując w powietrzu, przesuwał się w stronę brzegu niesamowicie powoli. Przypominał średniowieczne wyobrażenie maszyny latającej z pradawnych rycin. Miał jedynie nadzieję, że nikt nie zobaczy go w tej poniżającej roli.

Kiedy wrócił do hotelu, spróbował przemknąć się przez kuchnię do łazienki. Wiedział, że Esther czeka tam na niego, aby zasypać go przekleństwami za to, że śmiał

wędkować w przeddzień otwarcia interesu, w szczególności zaś za wyjazd w dniu, kiedy pewien miły chłopak miał złożyć wi-

zytę jej ukochanej Rosie. Liczył, że jeśli zdoła szybko zmienić strój, lista oskarżeń żony znacznie się skróci...

– Ach, więc już jesteś, ty ladaco!

Greenberg zamarł.

– Spójrz tylko na siebie! – zakrzyknęła piskliwie. – Ty brudasio... cały śmierdzisz rybą!

– Nie złapałem ani jednej, kochanie –
zaprotestował nieśmiało.

– Śmierdzisz, tak czy siak. Dalej, włącz
do wanny i najlepiej się w niej utop! Najdalej za dwie minuty masz być ubrany!
Musisz zająć się tym chłopakiem, jak tylko przyjdzie. Pośpiesz się!

Zamknął drzwi łazienki szczęśliwy, że zdołał uciec przed jej natrętnym gderaniem. Odkręcił kurek przy wannie i rozebrał się od pasa w górę. Liczył, że gorąca kąpiel pozwoli mu otrząsnąć się z fatalnego nastroju.

43

Najpierw – ani jednej ryby, a teraz –

deszcz we wszystkie weekendy! Co powiedziała by Esther... gdyby się o tym dowiedziała, rzecz jasna. Ale on, oczywiście, nie miał zamiaru niczego żonie mówić.

– Życia by jej nie starczyło na wyzwanie mnie od ostatnich! – mruknął ponuro. –
Ha!

Włożył nową żyletkę do maszynki, od-

kręcił tubkę z kremem do golenia i przyjrzał się swojemu odbiciu. Najbardziej rzucającym się w oczy elementem nalanego, pucułowatego oblicza, które gapiło się na niego z lustra, był brzydki, czarny, kilkudniowy zarost. Greenberg wysunął do przodu spiczastą brodę, świadcząca o wytrwałości i uporze, po czym rzucił lustrzaną taflą buńczuczne spojrzenie. Naprawdę sprawiał wrażenie człowieka mocnego i nieustraszonego. Niestety, Esther nigdy nie widziała takiego wyrazu jego twarzy, bo-44

wiem w przeciwnym razie na pewno pokromiłaby swój język.

– Herman Greenberg nigdy się nie poddaje! – wyszeptał, poruszając gniewnie ściągniętymi wargami. – Deszcz w weekendy, ani jednej ryby – niech mu będzie, co mi tam! Klnę się, że sam przypełźnie tu do mnie, zanim ja udam się do niego.

Po chwili jednak zdał sobie sprawę, że jego pędzel do golenia wciąż jest suchy.

Spojrzał w dół i zobaczył, jak strumień wody z kranu rozdziela się na dwa małe strumyczki, aby ominąć podstawiony pod kurek pęczek włosów. Nieulekłą i hardą minę wnet zastąpiło rosnące zaniepokojenie. Usiłował nałapać wody, składając dłonie w małą czarkę, a gdy to się nie powiodło, postarał się ukradkiem zajść ją od tyłu, jakby była jakimś płochliwym zwierzę-

ciem, by następnie szybkim ruchem ramienia wyrzucić pędzel do przodu i zamoczyć 45 go z zaskoczenia, ale woda zawsze zdążyła mu umknąć. W końcu chwycił całą dłonią wylot kranu. Pokonany, wsłuchiwał się, jak woda z gulgotem wycofuje się w dół rury, prawdopodobnie aż do głównego kolektora.

– I co ja teraz zrobię? – jęknął. – Dopiero Esther da mi popalić, jeśli się porządnie nie ogolę! Ale jak? Bez wody na pewno mi się to nie uda.

Przybity, zakręcił kurek, rozebrał się całkowicie i wszedł do wanny. Położył się na dnie, żeby się zamoczyć. Minęła krótka chwila, podczas której strach sparaliżował jego ciało; zdał sobie sprawę, że leży w wannie, ale nie ma w niej wody. Ta bowiem, w odruchu niekłamanego obrzydzenia, po prostu wylała się na podłogę.

– Herman, przestań chlapać! – usłyszał wrzask żony. – Przed chwilą umyłam pod-

łogę w łazience. Jeśli znajdę tam choć ma-46

leńką kałużę, zamorduję cię gołymi rękami!

Greenberg przyjrzał się wodzie pokrywającej całą podłogę łazienki. Sięgała po kostki.

– Jasne, kochanie – wychrypiał żałośnie.

Uzbrojony w szmatę, bez wątpienia zbyt małą w stosunku do potrzeb, zaczął uga- niać się za uciekającą przed nim wodą, ma-jąc nadzieję, że uda mu się ją zebrać, zanim przesączy się do apartamentu znajdującego się niżej. Ale szmata pozostała sucha, on zaś domyślał się, że sufit pod spodem zaczyna już przeciekać. Tymczasem na podłodze wciąż było pełno wody.

Zrozpaczony przysiadł na skraju wanny i przez jakiś czas siedział w absolutnej ciszy. Po chwili jednak żona zaczęła dobijać się do drzwi, przynaglając go do zwolnie- nia łazienki. Wstał i z grobową miną za-czął się ubierać.

47

Kiedy chyłkiem wymknął się z łazienki, dokładnie zamykając za sobą drzwi, tak by nie zalać całego mieszkania, wciąż był niesamowicie brudny, a twarz miał poranioną w miejscach, które eksperymentalnie pró-

bował ogolić na sucho.

– Rosie! – zawołał ochrypłym szeptem.

– Pssst! Gdzie jest mama?

Córka siedziała właśnie na rozkładanej kanapie, nakładając lakier na paznokcie swych pulchnych paluchów.

– Wyglądasz okropnie – zauważyła cał-

kiem spokojnym tonem. – Czyżbyś nie miał zamiaru się ogolić?

Aż się skulił na dźwięk jej głosu, który jemu wydawał się rykiem syreny.

– Ciszej, Rosie, pssst! – i dla podkreślenia wagi swych słów położył palec na ustach. Słyszał, jak żona ciężko człapie po kuchni.

– Rosie – zagruchał przymilnie – dam ci 48

całego dolara, jeśli wytrzesz wodę, którą rozlałem w łazience.

– Nie mogę, tatku – odparła dziewczyna zdecydowanym głosem. – Jestem już ubrana.

– Dwa dolary, Rosie... niech będzie dwa i pół, ty mała szantażystko.

Jeszcze bardziej skulił się w sobie, sły-sząc okrzyk przerażenia, jaki córka wydała po wejściu do łazienki. Ale zanim wyszła stamtąd w kompletnie przemoczonych pantoflach, zdążył już czmychnąć po schodach na dół. Ruszył przed siebie bez celu, w stronę miasteczka.

No, dopiero teraz się zacznie, pomyślał, już niemal słysząc wrzaski Esther i szło- chanie Rosie... W dodatku będzie musiał

kupić córce nowe buty i dać jej dwa i pół

dolara. Ale będzie jeszcze gorzej, jeśli nie zdoła się pozbyć zarostu na twarzy...

Delikatnie gładząc otarte miejsca na po-49

liczkach, po których przeciągnął suchą żyletką, wpatrywał się tępo w witrynę apteki.

Nie zauważył na wystawie nic, co mogło-by mu pomóc, ale i tak wszedł do środka, po czym z nadzieją stanął przed ladą. Jakieś oko przyjrzało mu się przez szparę w wielkim lustrze zdobiącym ścianę i po chwili z zaplecza wyszedł aptekarz. Miły, inteligentny gość, ocenił Greenberg na pierwszy rzut oka.

– Czy ma pan coś takiego do golenia, żeby nie trzeba było używać wody? – spytał.

– Podrażnienie skóry, co? – zaintereso-wał się sprzedawca.

– Nie, ja tylko... Ja po prostu nie lubię używać wody przy goleniu.

Aptekarz wyglądał na rozczarowanego.

– Polecam specjalny krem do golenia, którego nie trzeba rozrabiać pędzlem – powiedział i po chwili jego twarz rozpromie-50

niła się. – Ale mam też maszynkę elektryczną – to coś znacznie lepszego.

– Ile? – zapytał Greenberg nieufnie.

– Tylko piętnaście dolarów, ale starcza na całe życie.

– Poproszę o krem – powiedział Greenberg chłodno.

Stosując taktykę godną wojskowego eksperta, powłóczył się jeszcze trochę po-między domami, czekając, aż się ściemni.

Dopiero wtedy udał się do hotelu i zczekał przed wejściem. Minęła już siódma i zaczynał doskwierać mu głód, ale wszyscy ludzie, którzy wchodzili do środka, byli stałymi letnikami. W końcu jakiś mężczyzna, którego nie znał, minął go i wbiegł po schodach na górę.

Greenberg zawahał się przez chwilę.

Nieznajomego trudno byłoby nazwać chłopcem, jak bez wątplenia określiła go Esther, ale on doszedł do wniosku, że to 51

jedynie pobożne życzenie jego żony, tak więc radośnie ruszył za nieznanym mężczyzną.

Odczekał jeszcze kilka minut, by dać człowiekowi czas na przedstawienie się, a swojej żonie i córce na zaprezentowanie ich towarzyskiego obycia. Kiedy już nabrał pewności, że jego pojawienie się nie wywoła dantejskich scen, dopóki gość bę-

dzie w domu, wszedł do środka.

Nie zważając na wrogie spojrzenia ro-

dziny, uprzejmie uścisnął dłoń Sammiego Katza, który okazał się lekarzem –

najprawdopodobniej, domyślił się sprytnie Greenberg, poszukującym pracy – i przeprosił wszystkich na moment.

Znalazłszy się w łazience, uważnie przeczytał instrukcję dotyczącą użycia kremu.

Lekki niepokój wzbudziła w nim informacja, że przed goleniem należy dokładnie umyć twarz wodą i mydłem, ale mimo iż 52

nie mógł skorzystać ani z jednego, ani z drugiego, rozprowadził krem po całej twarzy, delikatnie poklepując brodę i policzki, a następnie poczekał, aż jego zarost zmięknie. Niestety, pozostał tak samo twardy jak przedtem, o czym przekonał się, gdy tylko zaczął operować brzytwą. Na koniec wytarł twarz do sucha. Ręcznik był cały lepki i czarny od jego włosów zmieszanych z kremem i dobrze wiedział, że za to też przyjdzie mu drogo zapłacić. Zrezygnowany wzruszył ramionami. Tak czy siak, bę-

dzie musiał wydać piętnaście dolarów na maszynkę elektryczną. Cała ta głupia sprawa kosztowała go prawdziwą fortunę!

Jedynie obecności gościa w ich domu zawdzięczał – z czego doskonale zdawał sobie sprawę – że zczekano na niego z rozpoczęciem kolacji. Ani na chwilę nie zmieniając wyrazu twarzy, na której królował czarujący uśmiech, Esther zdołała jed-53

nak szepnąć mu w przelocie:

– Poczekaj tylko! Jeszcze pogadamy...

Odpowiedział jej równie ujmującym uśmiechem, z bólem marszcząc swą umęczoną, pozacinaną twarz. Uratować mogło go jedynie niezwykle uprzejme zachowanie wobec

młodego absztyfikanta Rosie.

Jeśli udałoby mu się wcisnąć Sammiemu kilka dolarów – kolejne wydatki, jęknął w duchu – żeby tylko zabrał gdzieś Rosie, Esther z pewnością wszystko by mu wybaczyła.

Zbyt był pochłonięty ukazywaniem Sammiemu rozpromienionego oblicza i ro-bieniem wszystkiego, co tylko możliwe, by ten poczuł się dobrze w jego towarzystwie, żeby zastanawiać się nad skutkami jedzenia kanapek z kawiozem. W innych oko-

licznościach ultraprofesjonalne, obficie na-woskowane wąsiki Sammiego – beczelnie małe, ostro zakończone cudeńka – jak rów-54

nież jego komercyjne podejście do biednej Rosie, na pewno wzbudziłyby w nim obrzydzenie. Ale w tej chwili Greenberg traktował go jako potencjalnego wybawcę.

– Czy otworzył pan już swój gabinet, doktorze Katz?

– Jeszcze nie. Wie pan, jak się sprawy mają. Proszę mi mówić Sammie.

To było znakomite otwarcie, ocenił Greenberg, zwłaszcza że tak bardzo spodobało się Esther. Za jednym zamachem Sammie został zmuszony, by wkładać się w łaski, jednocześnie przystępując do negocjacji.

Nie mówiąc nic więcej, Greenberg uniósł łyżkę, aby zaatakować zupę.

Schwytanie w potrzask tego skwapliwego doktora nie przedstawiało większych trudności.

Doktor! Nic dziwnego, że Esther i Rosie aż się nadymały z radości.

Zgodnie z zasadami savoir-vivre'u nabrał łyżką zupę, poruszając nią w stronę 55
środku stołu, od siebie. Cała łyżka zupy wylała się na obrus.

– Nie tak mocno, kretynie – syknęła Esther.

Zdecydował się czerpać zupę w kierun-

ku odwrotnym. Tym razem porcja zupy wyskoczyła z talerza jak żywe stworzenie prosto na niego, ale zanim oblała mu ubranie, skręciła w bok, by uniknąć kontaktu z nim, i spadła na podłogę.

Greenberg gło-

śno przełknął ślinę, gwałtownie odsuwając talerz. Wtedy zupa przelała się przez brzeg talerza, tworząc kałużę na środku stołu.

– I tak nie miałem ochoty na zupę – powiedział, próbując niezdarnie obrócić wszystko w żart. Na szczęście, myślał

przerażony, obecność Sammiego i jego wyraźny akcent człowieka po szkołach wpływają mitygująco na Esther. Dobry, poczciwy Sammie – fajny chłopak, mimo tego wąsa. Niekiedy mógłby być bardzo 56

przydatny.

Greenberg zamarł sparaliżowany strachem. Czuł ogromne pragnienie po zjedzeniu kanapek z kawiozem, który pod tym względem przebija nawet solonego śledzia.

Ale świadomość, że każde zbliżenie się do wody wywoła jej ucieczkę, a być może rozlanie się po stole, sprawiła, iż to pragnienie stało się niepohamowaną żądzą.

Spróbował sprytnie podejść do problemu.

Współbiesiadnicy rozmawiali coraz szybciej i coraz bardziej gorączkowo, najwyraźniej starając się pokryć narastające zakłopotanie. On zaś odczekał, aż jego od-waga nabierze tej samej intensywności co jego pragnienie, a następnie pochylił się nad stołem ze szklanką w dłoni.

– Sammie, czy mógłbyś... kapkę wody, hę?

Sammie nalał mu wody z dzbanka, pod-

czas gdy Esther bacznie przyglądała się ca-57

lej scenie, podejrzewając, że mąż ma w za-nadru kolejne sztuczki. Właściwie powinien wszystko przewidzieć, a mimo to był

zszokowany, kiedy woda chlusnęła ze szklanki, oblewając garnitur Sammiego.

– Państwo wybaczą – odezwał się dok-

tor, z trudem hamując złość – ale nie zwykłem jadać z ludźmi niespełna rozumu.

To mówiąc, wyszedł, mimo że Esther wybuchnęła płaczem, błagając go, by został. Rosie była zbyt wstrząśnięta, aby wykonać najmniejszy choćby ruch. Kiedy drzwi zamknęły się za gościem, Greenberg podniósł wzrok i skierował swe pełne udręki spojrzenie na żonę, która zbliżała się ku niemu krokiem kata gotowego do wykonania egzekucji.

Greenberg stał na drewnianej werandzie przed swoim bufetem i mętym wzrokiem wpatrywał się gniewnie w spokojne, gra-58

natowe wody nieprzyjaznego oceanu. Zastanawiał się, co by się stało, gdyby wszedł

do wody i po prostu zaczął iść przed siebie. Prawdopodobnie dotarłby suchą stopą do brzegów Europy.

Było jeszcze wcześniej – o wiele za wcześniej, żeby otwierać interes – on zaś już czuł się potwornie zmęczony. Ani on, ani Esther nie zmrużyli oka przez całą noc, a z dużą dozą pewności można by założyć, że ich sąsiedzi także. Ale przede wszystkim dręczyło go niewiarygodne wprost pragnienie.

W ramach eksperymentu spróbował so-

bie przyrządzić jakiś gazowany napój. Ponieważ nie da się przyrządzić napoju bez wody,

zawartość szklanki z chlupotem wy-lała się na podłogę. Na śniadanie zamierzał

napić się soku owocowego i kawy, ale jego starania spełzły na niczym.

Z językiem tak suchym, że jego po-59

wierzchnia wydawała mu się obciążnięta szorstkim futrem, opadł bezwładnie na ławkę przed

bufetem. Był piątek rano, dlatego też dzień zapowiadał się pogodnie i upalnie. Gdyby to była niedziela, z pewno-

ścią już by padało.

– W tym roku – jęknął żałośnie – będę całkowicie splukany. Jeśli nie jestem w stanie

przygotowywać napojów, dlaczego piwo miałyby pozostawać w szklance, do której je naleję?

Myślałem, że za dziesięć dolarów tygodniowo wynajmę chłopaka do smażenia hot dogów. Ja mógłbym wtedy

przygotowywać napoje, a Esther serwowa-

łaby piwo. Ale facetowi od napojów będę musiał płacić dwadzieścia albo i dwadzie-

ścia pięć tygodniowo. Nie zdołam nawet wyjść na swoje – stracę furę pieniędzy!

Sytuacja przedstawiała się naprawdę tra-gicznie. Dzierżawienie bufetów jest uza-leźnione od zbyt wielu czynników ze-60

wewnętrznych, by można tę działalność prowadzić inaczej niż z kapryśnie zmiennym szczęściem.

W gardle czuł ogień, a jego łagodne, brązowe oczy miały wściekłe błyski, podczas gdy podłączano mu gaz i elektrykę, skręcano rury do piwa, łączono pompę ze zbiornikiem dwutlenku węgla i uruchamiano lodówkę.

Powoli plaża zapełniała się amatorami morskiej kąpieli. Patrząc na nich, Greenberg skręcał się z zazdrości na swojej ław-ce. Szczęściarze! Mogli sobie pływać i pić ile dusza zapragnie, a żaden płyn nie uciekał przed nimi w panicznym strachu. Nie męczyło ich pragnienie...

I wtedy spostrzegł, jak nadchodzi pierwszy klient. Doświadczenie mówiło mu, że w takie ranki klienci kupują głównie napoje chłodzące. W szaleńczym pośpiechu podniósł żaluzje bufetu i pędem

ruszył do 61

hotelu.

– Esther! – zawołał. – Muszę ci coś powiedzieć! Nie mogę już wytrzymać...

Żona uniosła groźnie miotłę niczym kij baseballowy.

– Natychmiast wracaj do bufetu, ty głupi wariacie. Jeszcze ci mało?

Nie mógł już oberwać gorzej, niż to miało miejsce. Dlatego też wreszcie porzucił wszelki strach.

– Musisz mi pomóc, Esther.

– Dłaczegoś się nie ogolił, ty cuchnący menelu! Czy istnieje jakiś sposób, żeby...

– O tym właśnie chcę z tobą mówić.

Wczoraj pożarłem się mocno z pewnym wodnym gnOMEM...

– Z czym? – Esther spojrzała nań podejrzliwie.

– Z wodnym gnOMEM – wyrzucił z siebie szybko.

– Takim małym człowieczkiem o wielkich uszach, którymi wiosłuje, 62 kiedy pływa. Z tych, co to wywołują deszcze...

– Herman! – ryknęła połowica. –

Skończ wreszcie pleść te bzdury. Jesteś kompletnym świrem!

Greenberg palnął się pięścią w czoło.

– Nie jestem świrem. Posłuchaj, Esther.

Zejdź ze mną do kuchni.

Poszła za nim, nie zwlekając, ale jej postawa sprawiła, że poczuł się bardziej bezradny i samotny niż kiedykolwiek w swym życiu.

Opierając pięści o pulchne biodra, z szeroko rozstawionymi stopami, przyglądała mu się uważnie, jak próbuje napełnić szklankę wodą.

– Czy ty nic nie widzisz? – załkał żałośnie. – Ona nie chce wlatywać do szklanki.

Wylewa się. Ucieka ode mnie.

Wyglądała na zupełnie zdezorientowaną.

63

– Co ci się stało?

Całkowicie załamany, Greenberg opowiedział jej o swoim spotkaniu z wodnym gnOMEM, nie pomijając żadnego upokarzającego szczegółu.

– Tak więc teraz nie mogę dotykać wody – zakończył. – Nie mogę niczego pić. Nie mogę przygotowywać napojów. I na dodatek męczy mnie straszliwe pragnienie. Już ledwo żyję.

Reakcja Esther była natychmiastowa.

Objęła męża za szyję, przyciągnęła jego głowę do swego ramienia i chcąc pocieszyć, poklepała po plecach, jakby był ma-lutkim dzieckiem.

– Herman, moje biedactwo! – wyszeptała czule. – Czym sobie zasłużyliśmy na takie przekleństwo?

– Co mam robić, Esther? – jęknął bezradnie.

Kobieta odsunęła go od siebie na długość ramienia.

64

gość ramienia.

– Musisz iść do lekarza – powiedziała zdecydowanie. – Jak długo możesz wytrzymać, nic nie

pijąc? Bez wody umrzesz.

Może czasami traktuję cię zbyt surowo, ale wiesz przecież, że cię Kocham...

– Wiem, mamuśka – westchnął. – Ale

cóż mi pomoże lekarz?

– Czy ja jestem lekarzem, żebym to miała wiedzieć? Idź tak czy siak. Co na tym stracisz?

Zawahał się.

– Potrzebuję piętnastu dolarów na elektryczną maszynkę do golenia – powiedział cichym, słabiutkim głosem.

– No i co z tego? – odparła. – Jeśli musisz ją mieć, to nie ma na to rady. Idź, Kochanie. Ja zajmę się bufetem.

Już nie czuł się opuszczony. Dziarskim, niemal zawadiackim krokiem ruszył do gabinetu lekarskiego. Bez obaw o wszystkim 65

opowiedział. Lekarz słuchał go z wyuczonym wyrazem współczucia na twarzy, aż do chwili, kiedy Greenberg doszedł do opisu wodnego gнома.

Wtedy oczy medyka zabłysły i zwięziły się nieco.

– Mam coś akurat dla pana, panie Greenberg – przerwał mu opowieść. – Niech pan tu poczeka, dopóki nie wrócę.

Greenberg siedział posłusznie w ciszy.

Pozwolił sobie nawet na przyływ nadziei.

Ale zaledwie w chwilę później usłyszał

zbliżający się w jego stronę odgłos wyjącej syreny. Wkrótce potem został osaczony przez lekarza i dwóch pielęgniarzy, którzy rzucili się na niego, usiłując wtłoczyć go w jakiś wór.

Rzecz jasna, stawiał im czynny opór.

Przerażony, machał pięściami jak oszalały.

– Co wy ze mną robicie? – wrzeszczał. –

Nie wkładajcie tego na mnie!

66

– Tylko spokojnie – powtarzał doktor, próbując go ułagodzić. – Wszystko będzie w porządku.

W chwili, gdy rozgrywała się ta upokarzająca scena, w gabinecie pojawił się policjant, który zgodnie z prawem musiał towarzyszyć publicznym ambulansom.

– Co tu się dzieje? – zapytał.

– Nie stój tak, patałachu – wrzasnął na niego jeden z pielęgniarzy. – To szaleniec.

Pomóż nam wsadzić go w ten kaftan.

Ale policjant zbliżył się powolnym, nie-zdecydowanym krokiem.

– Niech pan się uspokoi, panie Green-

berg. Oni nic panu nie robią, dopóki tu jestem. Niech pan mi powie, o co tu chodzi?

– Mike! – wrzasnął Greenberg i uczepił się rękawa swojego protektora. – Oni myśla, że zwariowałem...

– Oczywiście, że zwariował – stwierdził

kategorycznie lekarz. – Przyszedł do mnie 67

z jakąś fantastyczną historią o wodnym gnomie, który rzekomo rzucił na niego kłatwę.

– Co to za klątwa, panie Greenberg? –

spytał ostrożnie Mike.

– Pokłóciłem się z wodnym gnomem; on wywołuje deszcze i opiekuje się rybami – wyrzucił z siebie Greenberg. – Zniszczy-

łem mu kapelusz. A teraz karzełek nie pozwala, bym miał jakikolwiek kontakt z wodą. Nie mogę niczego pić, ani nawet dotknąć wody...

Doktor pokiwał głową.

– No proszę. Absolutne wariactwo.

– Radzę się panu przymknąć. – Przez długą chwilę Mike wpatrywał się ciekawie w Greenberga.

A potem zadał pytanie: –

Czy którykolwiek z was, mądrze, pomy-

ślał o poddaniu go testom? Proszę, panie Greenberg. – Nalał wody do papierowego kubka i podał go pacjentowi.

68

Greenberg wyciągnął rękę. Woda wyco-

fała się do drugiej połowy kubka, jak najdalej od ręki nieszczęsnego ajenta bufetu.

Kiedy chwycił kubek w dłoń, cała zawartość wystrzeliła w powietrze.

– A więc jest wariatem czy nie? – zapytał Mike ironicznie. – Zapewne nic nie wiecie o takich stworzeniach jak gnomy czy elfy. Niech pan pójdzie ze mną, panie Greenberg.

Wyszli razem i ruszyli w stronę drewnianego ganku. Greenberg opowiedział

Mike'owi całą historię i wyjaśnił mu, w jaki sposób ciążyła na nim klątwa, oprócz tego, że skazuje go na potworne cierpienia i niewygody, spowoduje finansową ruinę.

– Lekarze panu nie pomogą – stwierdził

Mike po dłuższej chwili. – Cóż oni wiedzą o Małym Ludzie? Trudno mi pana winić za zwymyślanie gнома. Gdyby był pan Irlandczykiem, to pewnie okazałby mu pan 69

większy respekt. W każdym razie, męczy pana pragnienie? Nie może pan pić absolutnie niczego?

– Nic a nic – potwierdził Greenberg żalobnym tonem.

Weszli do bufetu. Jedno spojrzenie powiedziało Greenbergowi, że interes nie idzie najlepiej, ale nawet to nie zdołało po-grążyć go w większej rozpacz niż ta, którą przeżywał. Esther przypadła do niego, jak tylko go zobaczyła.

– No i co? – spytała niecierpliwie.

Greenberg bezradnie wzruszył ramionami.

– Nic. Lekarz pomyślał, że zwariowa-

łem.

Mike w zamyśleniu spoglądał na bar i po wyrazie jego twarzy można było sądzić, że usiłuje coś sobie przypomnieć.

– No jasne – odezwał się po dłuższej chwili milczenia. – Czy próbował pan pić 70

piwo, panie Greenberg? Kiedy byłem ma-

łym chłopcem, moja matka często opowiadała mi o elfach i gnomach, a także innych przedstawicielach Małego Ludu. Znała ich wszystkich bardzo dobrze. Oni w ogóle nie dotykają alkoholu. Niech pan spróbuje łyknąć szklaneczkę piwa...

Greenberg posłusznie poczłapał za bar i włożył szklankę pod kurek. Nagle jego zgnębiona twarz rozjaśniła się. Spienione piwo wypełniło szklankę... i pozostało w niej! Mike i Esther wymienili uśmiechy, kiedy Greenberg odchylił do tyłu głowę i łąpczywie opróżniał naczynie.

– Mike! – zaryczał radośnie. – Jestem ocalony. Musisz napić się ze mną!

– No, cóż... – zaprotestował słabo policjant.

Późnym popołudniem Esther musiała zamknąć lokal i zabrać swojego męża razem z Mikiem do hotelu.

71

Następnego dnia lało jak z cebra, jako że była to sobota. Greenberg nie mógł zwalczyć potężnego kaca, który coraz bardziej się pogłębiał przez fakt, że musiał nieustannie pić piwo, aby zaspokoić powracające pragnienie. Z rozpaczliwą tęsknotą myślał o zakazanych dla niego workach z lodem i rozpuszczanych w wodzie pastylkach Alka Seltzeru.

– Nie zniosę tego dłużej! – zawodził. –

Piwo na śniadanie – tfu!

– Lepsze to niż nic – skomentowała Esther fatalistycznym tonem.

– Nie wiem, czy to mi cokolwiek pomo-

że. Ale, kochanie, nie jesteś na mnie wściekła za tamten wieczór z Sammiem?

Żona uśmiechnęła się łagodnie.

– Skądże! Zaczynij tylko mówić o posa-

gu, a w mig pojawi się z powrotem.

– Tak sobie właśnie myślałem. Tylko co ja pocznę z ciężącą na mnie klątwą?

72

Mike złożył parasol i radośnie wkroczył

do lokalu, prowadząc ze sobą małą staruszkę, którą przedstawił jako swoją matkę. Greenberg z zazdrością patrzył na Mi-ke'a, widząc znakomite efekty działania worków z lodem i Alka Seltzeru; policjant był w równie świetnej formie, co poprzedniego dnia.

– Mike opowiedział mi tę historię o panu i gnomie – odezwała się starowinka.

– Znam dobrze Mały Lud i nie chcę pana winić za obrażenie gнома, bo przecież nigdy kogoś takiego pan nie spotkał. Ale przypuszczam, że chciałby się pan pozbyć ciężącej na nim klątwy. Czy żałuje pan tego, co pan zrobił?

Greenberg aż zadrzał.

– Piwo na śniadanie! Czyż trzeba więcej pytać?

– A więc niech pan idzie nad to samo je-

zioro i da gnomowi dowód, że jest panu przykro.

– Jaki to ma być dowód? – zapytał

skwapliwie Greenberg.

– Trzeba zanieść mu cukru. Wszystkie

stworzenia z Małego Ludu wprost za nim przepadają...

Twarcz Greenberga zajaśniała w uśmie-

chu.

– Słyszysz, Esther? Dam mu całą becz-

kę...

– One uwielbiają cukier, ale nie mogą go jeść – wtrąciła staruszka. – Rozpuszcza im się w wodzie. Musi pan wymyślić jakiś sposób, żeby pozostał nienaruszony. Wtedy tamten mały człowieczek przekona się, że naprawdę żałuje pan swego postępku.

W lokalu zapanowała pełna współczucia cisza, podczas gdy rozgorączkowany umysł Greenberga próbował rozwiązać problem na różne sposoby. Po chwili star-

74
sza kobieta odezwała się raz jeszcze głosem, w którym zdziwienie mieszało się z zachwytem.

– W chwili gdy zobaczyłam to miejsce, wiedziałam, że Mike powiedział mi prawdę. Nigdy w życiu nie widziałam czegoś podobnego... deszcz leje ciurkiem z nieba wszędzie dookoła, tylko to miejsce i jego najbliższe otoczenie pozostaje suche jak pieprz.

Greenberg słuchał jej jednym uchem, ale Mike pokiwał głową, zaś Esther sprawiała wrażenie szczególnie zainteresowanej tym niezwykłym zjawiskiem. Kiedy Greenberg, uznając się za pokonanego, zakończył

czyt poszukiwania właściwego rozwiązania i otrząsnął się z głębokiego zamyślenia, był już sam w bufecie, w pamięci mając jeszcze echo słów żony, która informowała go, że wróci dopiero za kilka godzin.

– I co ja teraz zrobię? – wymamrotał. –

75

Cukier, który nie będzie się rozpuszczał...

– Nalał sobie szklanke piwa i wypił zato-piony w rozmyślaniach. – To dopiero dzi-waki! Nie wystarczy im, żebym przyniósł

zwykły syrop – przecież też jest słodki.

Poszwał się trochę w tę i z powrotem po lokalu, rozglądając się za jakąś robotą dla siebie. Wiedział, że nie powinien polerować kurków przy barze, poza tym zano-siło się na to, iż tych kilka frankfurterek smażących się na ruszcie najprawdopodobniej skończy w śmietniku. Podłoga została już zamieciona. Wreszcie usiadł i pełen niepokoju łamał sobie głowę, jak rozwią-
zać nurtujący go problem.

– W poniedziałek, niezależnie od wszystkiego – zdecydował – udam się nad jezioro. Pójście tam jutro nie ma najmniejszego sensu. Zazębuję się tylko, bo na pewno będzie lało.

W końcu wróciła Esther, dziwnie rado-

76

сна. Była dla niego wyjątkowo łagodna, czuła i opiekuńcza. Nie wiedział, jak ma okazać swą wdzięczność. Ale już tego samego dnia wieczorem i przez całą niedzielę miał okazję poznać powody owego na-głęgo szczęścia.

Udało jej się rozpuścić pogłoski, że podczas gdy w całym miasteczku leje jak z cebra, wokół ich lokalu jest cudownie sucho.

Tak więc, pomimo potwornego bólu gło-

wy, który sprawiał, iż całe ciało pulsowało mu w rytm obłądnych palpacji, Greenberg musiał pracować za sześciu, próbując zaspokoić potrzeby wielkiego tłumu, który obiegnął lokal, aby podziwiać niespotykany cud natury oraz rokoszować się wspaniałą pogodą i przyjemnym ciepłkiem.

Nikt nigdy się nie dowie, ile zarobili w owe dni. Greenberg nie miał w zwyczaju rozmawiać o tak osobistych sprawach. Ale można mieć pewność, że nawet w 1929

77

roku nie zbił takiej fortuny w ciągu jednego weekendu.

Wczesnym rankiem w poniedziałek za-

chowował się bardzo cicho, aby nie obudzić żony. Jednak Esther uniosła głowę i opierając się na łokciu, patrzyła na niego pełna wątpliwości.

– Herman – spytała – czy naprawdę musisz tam iść?

Obrócił się w jej stronę, nic nie rozumiejąc.

– Co masz na myśli, pytając, czy muszę tam iść?

– No więc.... – zawahała się przez chwilę, ale zaraz ciągnęła dalej: – Nie mógłbyś poczekać do końca sezonu, kochanie?

Greenberg cofnął się o krok. Na jego twarzy malowało się przerażenie.

– Cóż to za pomysły rodzą się w głowie mojej żony? – zajęczał. – Mam pić piwo zamiast wody? Jak ja to wytrzymam? Czy 78

ty sądzisz, że ja tak bardzo lubię piwo?

Poza tym, nie mogę się nawet umyć. Już teraz ludzie wolą nie stawać zbyt blisko mnie, a pomyśl o tym, co będzie pod koniec sezonu? Wyglądam jak żebrak albo włóczęga, ponieważ moja broda jest zbyt gęsta dla maszynki elektrycznej, a na dodatek cały czas łązę pijany... Byłbym pierwszym Greenbergiem, który zdobyłby sobie miano moczymordy. Chcę, aby mnie szanowano...

– Wiem kochanie – westchnęła. – Ale

myślałam, że ze względu na Rosie... Nigdy w życiu nie zbiliśmy takich kokosów jak w ten weekend. Wiesz, że w każdą sobotę i niedzielę będzie lało wszędzie, tylko nie na nasz bufet. Na pewno dorobiliśmy się fortuny!

– Esther! – zawołał Herman, wstrząśnię-

ty do głębi. – Czy moje zdrowie nic dla ciebie nie znaczy?

79

– Ależ znaczy, znaczy, kochanie. Myśla-

łam sobie tylko, że może byś to jakoś prze-trzymał przez...

Gwałtownym ruchem schwycił kapelusz, marynarkę, krawat i wyszedł, trzaskając drzwiami. Jednakże kiedy znalazł się na zewnątrz, zatrzymał się niezdecydowany. Słyszał płacz żony i zdał sobie sprawę, że jeśli uda mu się uprosić gnoma, aby cofnął swoją klątwę, zmarnuje znakomitą okazję do zrobienia naprawdę dużych pieniędzy.

Skończył się ubierać, ale robił to teraz znacznie wolniej niż przedtem. W pewnym sensie Esther miała rację. Gdyby mógł

jeszcze jakiś czas wytrzymać bez wody...

– Nie! – zgrzytnął zębami z determinacją. – Już teraz przyjaciele mnie unikają.

To niedopuszczalne, aby taki szanowany obywatel jak ja wiecznie chodził na bańce i nie brał kąpieli. Nic to, zarobimy trochę 80

mniej. Pieniądze to nie wszystko...

I zdecydowanym krokiem ruszył ku jezioru.

Ale tego samego dnia wieczorem, kiedy Mike zaszedł do bufetu przed pójściem do domu, zastał tam Greenberga siedzącego na krześle z twarzą ukrytą w dłoniach, kiwającego się nerwowo w tył i w przód.

– Co panu jest, panie Greenberg? – zapytał uprzejmie.

Greenberg podniósł wzrok. Oczy miał zamglone.

– Ach to ty, Mike – powiedział obojętnym głosem. Ale kiedy zorientował się, kogo ma przed sobą, jego oczy nabrały jasności, spojrzenie stało się bardziej wyrazi-ste, bardziej inteligentne.

Wstał i poprowadził Mike'a do baru. W ciszy zaczęli sączyć piwo.

– Byłem dziś nad jeziorem – odezwał

się w końcu głucho. – Chodziłem dookoła, 81
drąc się wniebogłosy. A ten gnom ani razu nawet nie wystawił głowy nad wodę.

– Wiadomo – Mike smutno pokiwał głową – są strasznie zapracowane.

Greenberg uniósł dłonie w błagalnym geście.

– Więc co mam robić? Nie mogę napi-

sać do niego listu ani nadać depeszy. On nie ma drzwi, do których mógłbym zapukać, ani dzwonek, którym mógłbym zadzwonić. Jak mam go wywabić, żeby wyszedł ze mną pogadać?

Opuścił ramiona w wyrazie bezradności.

– Proszę, Mike. Poczęstuj się cygarem.

Naprawdę, dobry z ciebie przyjaciel, ale wydaje mi się, że tym razem nie znajdziemy żadnej rady.

Przez chwilę stali przy barze w krępującej ciszy. W końcu Mike wyrzucił z siebie:

– Strasznie dziś gorąco. Prawdziwy skwar.

82

– Aha. Esther mówi, że interesy idą znakomicie i oby tak dalej.

Mike rozwinął cygaro z celofanowego opakowania. Greenberg skierował rozmowę na interesujący go temat:

– Przypuśćmy, że uda mi się pogadać z gnomem. Co jednak zrobić z tym cukrem?

Znów zapadła cisza, tym razem jeszcze bardziej napięta i krępująca. Mike był wyraźnie zmieszany. Jego prosta i raczej szorstka natura nie podsuwała mu żadnych pomysłów, w jaki sposób należało pocieszać załamanych przyjaciół. W usilnym skupieniu miętosił w palcach cygaro i słuchał szelestu tytoniowego liścia.

– Taki dzień jak dziś jest niedobry dla cygar – wymamrotał, dla wznowienia urwanej konwersacji. – Upał wysusza je na wiór. To jednak jest przyjemnie wilgotne.

– Aha – potwierdził zdawkowo Greenberg, błędząc gdzieś myślami. – To dzięki 83 temu, że je pakują w celofan...

Spojrzeni po sobie, a na ich smętnych twarzach pojawiły się tryumfalne miny.

– A niech mnie! – wrzasnął Mike.

– Trzeba zawinąć cukier w celofan! – wykrztusił Greenberg.

– Jasne – wyszeptał Mike, jakby olśniony tym wspaniałym pomysłem. – Zapytam Joego, czy mógłby mnie jutro zastąpić i pójdę nad jezioro razem z panem. Wpadnę wcześniej rano.

Greenberg z całej siły uściśnął jego dłoń, zbyt przejęty, aby wydusić z siebie jakieś słowa. Kiedy Esther przyszła mu po-móc, zostawił ją samą w bufecie w towarzystwie niedoświadczonego chłopca obsługującego ruszt, sam zaś udał się do miasteczka na poszukiwanie kostek cukru pozawijanych w celofan.

Słońce ledwie zdążyło wstać, kiedy 84

Mike przyszedł do hotelu, ale Greenberg od dawna był już na nogach, niecierpliwie oczekując na werandzie jego nadejścia.

Mike'owi udzieliło się radosne podekscytowanie przyjaciela. Greenberg, zataczając się, ruszył ku stacji, przymykając oczy z bólu, o jaki przyprawiał go kilkudniowy kac.

Zatrzymali się w jakiejś kafejce na śniadanie. Mike zamówił sok pomarańczowy, jajka na bekonie i kawę pół na pół z mlekiem. Słyszając to, Greenberg zazdrośnie przełknął ślinę, z trudem przepychając ją przez wyschłą krtań.

– A panu co podać? – zapytał właściciel baru.

Greenberg zaczerwienił się po same uszy.

– Piwo – powiedział chrapliwym głosem.

– Żartuje pan sobie?

85

Greenberg pokręcił głową, nie mogąc wydobyć z siebie słowa.

– Coś do tego? Płatki, ciastko, tosta...?

– Tylko piwo – powiedział, a potem zmusił się do wypicia go. – Masz ci los – syknął do Mike'a – jeszcze jedno piwo na śniadanie, a padnę trupem.

– Wiem, jak to jest – powiedział Mike z ustami pełnymi jedzenia.

Jadąc pociągiem, próbowali snuć jakieś plany. Ale obaj mieli do czynienia z czymś zupełnie im nieznanym, dlatego też niczego konkretnego nie postanowili. W ponurych nastrojach ruszyli ku jezioru, w pełni świadomi, że zdani są jedynie na działania metodą prób i błędów.

– Może byśmy wynajęli łódź – zaproponował Mike.

– Ze mną w środku nie utrzyma się na wodzie. A ty nie będziesz mógł wiosłować.

86

– Więc co robimy?

Greenberg przygryzł wargę i wpatrzył się w przepiękną, błękitną taflę jeziora.

Tam właśnie mieszkał gnom, tak blisko.

– Idź lasem wzdłuż brzegu i nawołuj ile sił w płucach. Ja pójdę w drugą stronę.

Spotkamy się przy przystani. Jeśli gnom się pojawi, zawołaj mnie.

– W porządku – powiedział Mike niezbyt przekonany do tej propozycji.

Jezioro było całkiem spore, oni zaś okrążali je wolnym krokiem, częstokroć zatrzymując się, aby odpowiednio nabrać tchu dla wydania szczególnie głośnego okrzyku. Ale po dwu godzinach, kiedy znaleźli się naprzeciwko siebie rozdzieleni całą szerokością jeziora, Greenberg usłyszał zachrypły głos Mike'a.

– Hej, gnomie!

– Hej, gnomie! – ryknął Greenberg. –

Ukaż się!

87

Godzinę później ich ścieżki się przecię-

ły. Obaj byli zmęczeni, zniechęceni, a gardła mieli zdarte jak zelówki, zaś na powierzchni jeziora widać było jedynie łódki wędkarzy.

– Do diabła – rzekł Mike. – To nic nie daje. Wracajmy do przystani.

– I co zrobimy? – zacharczał Greenberg.

– Ja nie mogę się poddać!

Pocłapali z powrotem wokół jeziora, krzycząc co jakiś czas, ale już ze znacznie mniejszym zapałem. Kiedy doszli do przystani łódek, Greenberg czuł się zmęczony.

Właściciel przystani rzucił groźnię:

– Może byście tak wynieśli się stąd jak najszybciej, cholerni wariaci. Co to za pomysł, żeby tak wrzeszczeć i płoszyć ryby?

Chłopaki strasznie się wściekają...

– Nie będziemy już więcej robić hałasu

– powiedział Greenberg. – To nic nie daje.

Kiedy kupili sobie po piwie i Mike, pod 88

wpływem nagłego impulsu, wynajął łódź, właściciel uspokoił się zaskakująco szybko i ruszył przygotować im przynętę.

– Po co wynajęłeś tę łódź? – spytał Greenberg. – Przecież nie mogę popłynąć.

– Nie ma takiej potrzeby. Pan pójdzie piechotą.

– Jeszcze raz dookoła jeziora? – jęknął

Greenberg.

– Nie. Niech pan posłucha, panie Greenberg. Może gnom nie słyszy nas przez tę całą wodę.

Gnomy nie są zatwardziałe.

Gdyby nas usłyszał i domyślił się, że pan żałuje, na pewno zdjąłby z pana klątwę ra-z-dwa.

– Może i tak – Greenberg nie wyglądał

na przekonanego. – A więc co mam robić?

– Po mojemu, to w pewnym sensie pan

odpycha wodę, ale jednocześnie woda tak samo odpycha pana. Taką mam przynajmniej nadzieję.

Jeśli więc jest tak jak mó-

89

wię, to może pan spokojnie chodzić po jeziorze. – Mówiąc to, Mike podnosił z ziemi duże kamienie i ładował je na dno łodzi. – Niech mi pan pomoże.

Jakiegokolwiek działanie, choćby i bezsensowne, wydawało się lepsze niż bezczynność. Tak przynajmniej myślał Greenberg.

Pomógł Mike'owi wypełnić kamieniami łódź, aż w końcu jedynie górne części burt wystawały ponad wodę. Wtedy Mike wsiadł do łodzi i odepchnął ją od brzegu.

– No, dalej – krzyknął. – Niech pan spróbuje iść po wodzie.

Greenberg zawahał się.

– A jeśli się nie uda?

– Nic się panu nie stanie. Ponieważ nie może się pan zamoczyć, więc pan nie uto-nie.

Logika tego rozumowania dodała Greenbergowi pewności. Dziarsko ruszył

przed siebie. Odczuł nawet dziwną satys-90

fakcję, kiedy woda pośpiesznie cofała się przed jego nogami, tworząc wklęsłe niecki, zaś jakaś niewidzialna siła unosiła go ponad taflą jeziora. Aczkolwiek oparcie, jakie czuł pod stopami, nie wydawało się zbyt pewne, ostrożnie przesuwał się do przodu w nader szybkim tempie.

– I co teraz? – zapytał niemal uradowa-ny.

Mike płynął łodzią tuż obok niego.

Schował wiosła i podał Greenbergowi jeden z kamieni.

– Będziemy je rozrzucać po całym jeziorze. Narobimy w dole sporo hałasu. To powinno przywołać go na powierzchnię.

Ów nowy sposób dodał im nadziei, a wymieniane przez nich uwagi: „O, ten to na pewno wyrwie go ze snu” albo: „A tym trafię go prosto w łepetynę” sprawiły, że poszukiwania gnoma stały się całkiem zabawne. Nie wyrzucili jeszcze nawet poło-91

wy kamieni, kiedy Greenberg stanął jak wryty z potężnym głazem w dłoniach. Czuł, jak wnętrzności skręcają mu się w supeł wokół serca, a szczęka nisko opada.

Mike podążył wzrokiem za jego oszołomionym, a zarazem radosnym spojrzeniem.

Ze swej strony musiał przyznać, że widok gнома wiosłującego przez wodę za pomocą uszu, z ramionami splecionymi na piersi, co dodawało jego postaci niezwykłej godności, był niesłychanie zabawny.

– Czy musicie rzucać kamieniami i przeszkadzać nam w pracy? – spytał gnom.

Greenberg gwałtownie przełknął ślinę.

– Bardzo przepraszam, panie gnomie –

wybąkał nerwowo. – Nie potrafiłem wy-ciągnąć pana na powierzchnię samym wołaniem.

Gnom przyjrzał mu się uważnie.

– Ach, to pan jest tym śmiertelnikiem, wobec którego zostały zastosowane środki 92 dyscyplinarne. Po co pan tu wraca?

– Żeby pana przeprosić i powiedzieć, że to się więcej nie powtórzy.

– Czy ma pan dowód na szczerą swych intencji? – zapytał gnom cicho.

Greenberg nerwowo pogrzebał w kieszeni, wyciągając stamtąd garść kostek cukru owiniętych w celofan i drżącą ręką po-dał je gnomowi.

– Bardzo sprytnie – powiedział mały człowieczek; odwinął jedną kostkę i wepchnął ją szybko do ust. – Dawno nie ja-dłem tych smakołyków.

W chwilę później Greenberg z pluskiem wleciał do wody i zniknął w toni jeziora.

Nawet gdyby Mike nie zdążył schwycić go za marynarkę i wciągnąć do łodzi, i tak omal nie oszalałby z wielkiej radości, że znów mógłby się bez trudu utopić.

93

L. SPRAGUE DE

CAMP

TEGO NIE MA W

REGULAMINIE

Nothing in the rules

Przełożył Rafał Wilkoński

L. Sprague de Camp zajmuje się pisarstwem od lat trzydziestych, a dorobek jego wieloletniej twórczości obejmuje ponad trzydzieści powieści, dziesiątki opowiadań i sporo prac publicystycznych. Początkowo znany głównie ze swych space oper, po raz pierwszy zdobył uznanie krytyki za powieść „Lest Darkness Fall”, o człowieku, który pragnął zmienić bieg historii w czasach Cesarstwa Rzymskiego. Spod jego pióra wyszły bardzo różnorodne utwory, od pastiszów serii o Conanie, po podręczniki dla autorów science fiction. Stowarzyszenie Amerykańskich Pisarzy Science Fiction przyznało mu tytuł Wielkiego Mistrza Science Fiction.

94

95

Zawody pływackie pomiędzy dwoma mało znaczącymi klubami żeńskimi rzadko kiedy gromadziły dużą widownię. Rozgrywki, które miały odbyć się tamtego wieczoru, nie były pod tym względem wyjątkiem. Spoglądając w górę na balkon, Louis Connaught zauważył, że pojedynczy rząd foteli był zapełniony zaledwie do po-

łowy. Większość widzów stanowili patrzą-

cy w dół ze znudzonymi minami mężowie i narzeczeni zawodniczek. Prócz nich było jeszcze kilku

gości z hotelu Creston, któ-

rzy przybyli na basen, najwyraźniej nie mając nic lepszego do roboty. Jeden z boy-ów hotelowych zwracał się właśnie z proś-

bą do jakiejś kobiety, aby zgasiła papierosa. Na jej twarzy widać było poirytowanie.

Jak zwykle przybył pan Santalucia z gromadką dzieciaków, które chciały zobaczyć 96 biorącą udział w zawodach mamę. Cała ro-dzinka radośnie pomachała do Connaugh-ta.

Connaught – człowieczek o ciemnej karnacji, którego wygląd przywodził na myśl diabła z książkowych ilustracji – rzucił

okiem na drugi brzeg basenu. Dziewczyny wychodziły spod pryszniców, a obłędna akustyka pływalni sprawiała, że piskliwe odgłosy ich rozmów stawały się natrętnym brzęczeniem. Powietrze było przesycone wilgocią. Potężny facet w białych spodniach z cienkiego żaglowego płótna to był Laird, trener knickerbockerek i od-wieczny rywal Connaughta. Laird zauwa-

żył go i zagrzmiął tubalnie:

– Cześć Louie! – okrzyk odbijał się od ściany do ściany, co przypominało odgło-sy, jakie można uzyskać, przeciągając patykiem po sztachetach płotu. Pan Wambach ze Związku Sportów Amatorskich, 97

który przewodniczył składowi sędziow-skiemu, wszedł na pływalnię wciąż jeszcze ubrany w prochowiec i przywitał się z Lairdem, ale huczący pogłos całkowicie za-głuszył jego słowa, zanim dotarły do uszu Connaughta.

Wtedy w drzwiach prowadzących z szatni na pływalnię pojawił się nagle tłum ludzi, którzy przeciskając się przez wąską framugę, wciąż odwracali się w stronę pomieszczenia, z którego wychodzili. Były tam zawodniczki ubrane już w stroje ką-

pielowe, a także osoby w ubraniach. Minę-

ło kilka sekund, zanim trener Connaught dostrzegł to, czemu przyglądali się ludzie.

Zamrugnął oczami i przyjrzał się dokładniej, szeroko otwierając usta.

Ale nie wytrwał zbyt długo w tej pozie.

– Hej! – ryknął głosem tak potężnym, że przez chwilę pływalnia przypominała wnę-trze wielkiego bębna, w który ktoś z całej 98

siły grzmocił pałkami. – Protest! Protest!

To niedopuszczalne!

Poprzedniego wieczoru Herbert Laird otworzył frontowe drzwi swego domu i za-wołał:

– Się masz, Mark! Wejdz – chłodny marcowy wiatr robił na ulicy spory harmider, ale nie na tyle, by zagłuszyć słowa trenera. Laird – krępy, potężnie zbudowany łysol – był z natury przyzwyczajony do porozumiewania się za pomocą tubalnych okrzyków.

Mark Vining wszedł do środka i posta-

wił na ziemi swój nesesor. Był młodszy od Lairda – miał zaledwie trzydzieści lat – no-sił okulary o grubych, koncentrycznych szklach, a jego wąska twarz miała surowy wyraz, przez co zawsze wydawał się znacznie poważniejszy, niż był w rzeczywistości, a w rzeczywistości był dość po-99 ważny.

– Cieszę się, że wpadłeś, Mark – powiedział Laird. – Posłuchaj, czy mógłbyś być jutro na naszym meczu z crestonkami?

Vining ściągnął wargi, namyślając się.

– Sądzę, że tak. Loomis zdecydował się nie wnosić apelacji, więc przez kilka dni nie będę musiał pracować po nocach. Czy szykuje się coś specjalnego?

Na twarzy Lairda pojawił się chytry uśmiezek.

– Może. Posłuchaj, pamiętasz tę Santalucię, dzięki której Louie Connaught wygrywa wszystko co możliwe przez ostatnie kilka lat? Myślę, że wreszcie znalazłem na nią haka. Ale chciałbym mieć cię przy sobie, abyś w razie czego wyszukał odpowiednich prawnych podkładek na poparcie mojego planu.

– A cóż to za plan? – spytał zaintrygowany Vining.

100

– Teraz nie mogę ci powiedzieć. Jestem związany pewną obietnicą. Ale skoro Louie może wygrywać dzięki temu, że wystawia do zawodów takiego dziwoląga... kobietę z błonami międzypalczystymi...

– Posłuchaj, Herb, przecież wiesz, że te błony wcale jej tak bardzo nie pomagają...

– Tak, tak, słyszałem już to setki razy...

Mówią, że przy błonach opór wody jest tak duży, iż siła mięśni nie może mu sprostać.

To wszystko niby prawda, ale ja wiem swoje. Santalucia ma błony międzypalczaste i jest najlepszą pływaczką w Nowym Jorku. I to mi się nie podoba, bo podkopuje mój prestiż trenera. – Odwrócił się i krzyknął w stronę pomieszczeń, w których panował mrok. – Iantha!

– Tak?

– Zbliź się tutaj, proszę. Chciałbym, żebyś poznała mojego przyjaciela, pana Vininga. Chyba zapalę lampę.

101

Światło ukazało salon, jak zwykle zavalony stosami porzucanych pudełek ze strojami kąpielowymi i innym sprzętem pływackim, którego sprzedaży Herbert Laird zawdzięczał lwią część swoich dochodów. Ponadto ukazało im młodą kobietę podjeżdżającą na wózku inwalidzkim.

Wystarczyło jedno spojrzenie, aby Vining poczuł coś, co, jak wiedział, nie wró-

żyło dlań dobrze. Miał bowiem to wątpliwe szczęście, że zadurzał się po uszy w każdej napotkanej atrakcyjnej dziewczynie, a jednocześnie we wszelkich relacjach z kobietami jego utrapieniem była patologiczna wręcz nieśmiałość. Z Lairdem łą-

czyło go głównie to, że obaj byli kawalera-mi i na serio traktowali pływanie.

Dziewczyna natomiast była bardziej niż atrakcyjna. Ona jest, myślał oszołomiony Vining, jak strzał w dziesiątkę, jak ósmy cud świata, jak uderzenie mocnego rumu 102

do głowy. Delikatna, raczej płaska twarz i wydatne kości policzkowe nadawały jej azjatyckiego albo raczej indiańskiego wdzięku i niezupełnie pasowały do złocistych włosów, które – Vining mógłby przysiąc – miały lekki, zielonkawy odcień.

Jej nogi szczelnie okrywał gruby koc.

Z osłupienia wytrącił go dopiero głos Lairda, który przedstawił mu to urocze stworzenie jako „pannę Delfoiros”.

Panna Delfoiros nie wyglądała na szczególnie zachwyconą spotkaniem. Kiedy wyciągała do niego dłoń, odezwała się z wyraźnym obcym akcentem:

– Pan nie jest przypadkiem z prasy, panie Vining?

– Nie – odparł Vining – jestem tylko prawnikiem. Specjalizuję się w testamentach, prawie spadkowym. Ale pani raczej nie wygląda na kogoś, kto chciałby dyktować swą ostatnią wolę, nieprawdaż?

103

Dziewczynie wyraźnie ulżyło i nawet się zaśmiała.

– Nie. Mam nadzieję, że testament nie będzie mi jeszcze potrzeby przez długi, długi czas.

– No cóż – odparł Vining tym swoim

poważnym, sztywniackim tonem – nigdy nic nie wiadomo...

Laird mruknął zniecierpliwiony:

– Ciekawe, czemu moja ukochana sio-

strunia tak się guzdrze? Kolacja już dawno powinna być na stole. Martha! – wyszedł z salonu i po chwili Vining usłyszał głos panny Laird, tłumaczącej się gorączkowo:

– ...ależ Herb, musiałam przecież poczekać, aż to ostygnie...

Vining zastanawiał się usilnie, w jaki sposób rozpocząć rozmowę z panną Delfoiros. W końcu odezwał się:

– Zapali pani?

– Och, nie, dziękuję bardzo, ja nie palę.

104

– A nie będzie pani przeszkadzać, jeśli ja zapalę?

– Ani trochę.

– Z jakich to stron przywiało tu panią? –

Vining pomyślał, że jego pytanie zabrzmiało zarazem obcesowo i pretensjonalnie – Zupełnie nie miał drygu do prowadzenia swobodnej rozmowy w podobnych okolicznościach.

– Och, pochodzę z Kip... to znaczy z Cypru. Wie Pan taka wyspa.

– Ach tak? A więc jest pani poddaną Korony Brytyjskiej, nieprawdaż?

– Nie... niezupełnie. Dotyczy to większości Cypryjczyków, ale mnie akurat nie.

– Będzie pani jutro na tych zawodach pływackich?

– Sądzę, że tak.

– Nie wie pani czasem – ściszył głos –

co za numer przygotował Herb, żeby wy-kołować tę Santalucię?

105

– Tak... nie... ja nie... to znaczy, nie wolno mi o tym mówić.

Robi się coraz bardziej tajemniczo, po-myślał Vining. Tak naprawdę to chciał się dowiedzieć, dlaczego dziewczyna porusza się na wózku i czy była to jakaś tymczasowa niedyspozycja, czy trwałe inwalidztwo.

Ale przecież o takie rzeczy nie wypada pytać wprost. Usiłował wykoncypować jakieś oględne zapytanie, które naprowadziłoby na odpowiedni trop, kiedy do salonu wdarł się ryk Lairda.

– W porządku, kochani, zupa nalana! –

Vining już miał pchnąć wózek w kierunku, skąd dobiegł ich głos trenera, ale zanim zorientował, dziewczyna sprawnie okręciła się na kółkach i w połowie drogi do jadalni.

– Hej, Martha, jak tam dzieciaki w szkole? – zapytał uprzejmie, ale wcale nie interesowała go odpowiedź niezależnej siostry 106

Lairda. Nie mógł oderwać wzroku od pan-ny Delfoiros, która spokojnie wsypała czu-batą łyżeczkę soli do stojącej przed nią szklanki wody, po czym energicznie wy-mieszała.

– Co... co pani...? – wykrztusił.

– Muszę – powiedziała dziewczyna. –

Słodka woda sprawia, że czuję się jak... –

wy tak to śmiesznie nazywacie... o! – jak pijana.

– Posłuchaj Mark – zadudnił jego przyjaciel – Czy jesteś pewny, że punktualnie zjawisz się jutro na pływalni? Sądzę że zaistnieje konieczność rozstrzygnięcia pewnych kwestii związanych z

dopuszczeniem niektórych zawodniczek do startu i najprawdopodobniej będziesz mi bardzo potrzebny.

– Czy panna Delfoiros też tam będzie? –
uśmiechnął się Vining, czując się jak ostatni głupek.

107

– Jasne, jasne. Iantha będzie przecież.. –

Posłuchaj, znasz tę małą, osiemnastoletnią Clarę Havranek? Wczoraj zrobiła setkę w minutę i pięć setnych. To materiał na mi-strzynię. Jak dorośnie, pomoże nam roznieść crestonki... – i dalej głądził zapamię-

tale, coraz głośniej i coraz szybciej, prze-chwalając się, jak to urządzi Louiego Connaughta i jego dziewczęta. W tym samym czasie Mark Vining próbował skupić się na jedzeniu, które było znakomite, i na pannie Delfoiros, która była czarująca, lecz najwyraźniej unikała pogłębiania zawartej znajomości.

Potrawa, którą jadła panna Delfoiros, musiała być z jakichś względów szczegól-na. Mark Vining poznał to po sposobie, w jaki Martha Laird ją podała. Przyjrzał się dokładniej i zauważył, że danie pięknej Cypryjki wygląda tak, jakby po ugotowa-niu zostało gwałtownie schłodzone. W

108

końcu zadał stosowne pytanie.

– Tak – odpowiedziała mu dziewczyna –
na zimno bardziej mi smakuje.

– To znaczy, że nigdy nie jada pani ciepłych potraw?

Zrobiła zdziwioną minę.

– Ciepłych potraw? Nie, nie lubię cie-płego. Dla nas to...

– Posłuchaj, Mark! Słyszałem, że Zwią-

zek ma zamiar zorganizować w kwietniu po sezonie specjalne zawody tylko dla tegorocznych debutantek.

Deser stał przed Viningiem przez całą minutę, zanim go zauważył, tak był po-chłonięty podziwianiem uroczego akcentu panny Delfoiros.

Po obiedzie Laird powiedział:

– Posłuchaj, Mark, czy wiesz coś na temat przepisów zakazujących posiadania złota? Chodź, pokażę ci coś... – Zaprowadził go do salonu, gdzie na stole stała pus-109

ka po cukierkach. Jednak wewnątrz blasza-nego pojemnika nie było słodyczy, tylko złote i srebrne monety. Laird podał kilka z nich prawnikowi. Pierwsza, jakiej Mark się przyjrzał, okazała się srebrną koroną z inskrypcją: „Carolus II Dei Gra”, otaczającą głowę wesołego angielskiego monarchy z wieńcem we włosach lub – co bardziej prawdopodobne – na peruce. Druga moneta była osiemnastowiecznym hiszpańskim talarem. Trzecia zaś złotym ludwikiem.

– Nie wiedziałem, że kolekcjonujesz monety, Herb – powiedział Vining. – Przypuszczam, że to wszystko autentyki?

– Autentyki, a jakże. Ale ja ich nie zbie-ram. Można powiedzieć, że dostałem je w transakcji wymiennej. Mam szansę sprzedać dziesięć tysięcy czepków pływackich, jeśli zgodzę się przyjąć zapłatę w takim to-warze.

– Nie wiem, czy producentowi spodoba

110

się ten pomysł.

– O to właśnie mi chodzi. Co mogę zro-bić z czymś takim, jak już to dostanę? I czy nie wsadzą

mnie do więzienia za posiadanie takich cudeniak?

– Nie musisz się martwić. Wątpię, czy zakaz posiadania złota stosuje się do starych monet, ale na wszelki wypadek sprawdzę. Zadzwoń do Amerykańskiego Towarzystwa Numizmatycznego, numer znajdziesz w książce; oni najlepiej ci doradzą, jak to upłynnić. Co za interes! Płacić starymi hiszpańskimi ośmiorealówkami za dziesięć tysięcy czepków kąpielowych?

Nigdy o czymś podobnym nie słyszałem.

– Racja. Ale pytania kieruj do naszej mi-

łej panienki – Laird wskazał na Ianthę, która dawała mu nerwowe znaki, żeby nic nie mówił. –

Ten biznes to jej pomysł.

– To... to prawda. – Wyglądała tak, jakby za chwilę miała się rozplakać. – 'Erber-111 cie, nie powinienesz być wspominać o tym.

Widzi pan – zwróciła się do Vininga – my niezbyt lubimy mieć do czynienia z ludźmi. Z tego zawsze wynikają dla nas same kłopoty.

– Kogo – spytał Vining – ma pani na myśli, mówiąc „my”?

Dziewczyna gwałtownie zacisnęła usta i nie odezwała się ani słowem. Vining omal nie rozpląnął się jak wosk. Ale jednocze-

śnie dał o sobie znać instynkt prawnika: je-

śli nie weźmiesz się w garść, zadurzysz się w niej po uszy w ciągu najbliższych pięciu minut. A to może skończyć się katastrofą.

Powiedział więc zdecydowanym głosem:

– Herb, im więcej słyszę o tym interesie, tym bardziej zwariowany mi się on wydaje.

Czegokolwiek dotyczy ta sprawka, wygląda na to, że chcesz mnie w nią wplątać.

Ale nie pozwolę ci na to, dopóki się nie dowiem, o co właściwie chodzi.

112

– Możesz mu powiedzieć, Iantha – ode-

zwał się Laird. – I tak dowiedziałby się o wszystkim, widząc cię jutro na zawodach.

– A nie powie pan nic tej 'ałastrze z gazet, panie Vining? – spytała z obawą dziewczyna.

– Nie pisnę nikomu ani słówkiem.

– Obiecuje pan?

– Oczywiście. Od prawnika może pani

śmiało oczekiwać, że będzie umiał trzymać język za zębami.

– Język za zęba...? Zakładam, że oznacza to, iż nic pan nikomu nie powie. Niech więc pan patrzy.

– Sięgnęła ręką pod kolana i podciągnęła do góry dolny skraj okrywającego jej nogi koca.

Vining spojrział w dół. Tam, gdzie spodziewał się ujrzeć stopy, zobaczył potężną, rozdzieloną na dwoje płetwę, której obie części ułożone były prostopadłe do ogona, do złudzenia przypominającego ogon wie-113

loryba lub delfina.

Louis Connaught omal nie oszalał, kiedy zorientował się, w jaki sposób jego od-wieczny rywal pragnie wyprowadzić go w pole, i nie ma się czemu dziwić. Najpierw nie mógł uwierzyć własnym oczom. Póź-

niej zwątpił, czy na świecie istnieje jakakolwiek sprawiedliwość.

Tymczasem Mark Vining dumnie pchał

wózek, na którym siedziała Iantha, przeciskając się przez tłum sędziów i osób z obsługi zawodów, by dotrzeć na drugi koniec basenu, gdzie znajdowało się miejsce startu zawodniczek.

Iantha, ubrana w jasnozielony czepek, miała koc zarzucony na ramiona, gładki szary ogon prezentował się imponująco ze swoimi wielkimi poziomymi płetwami. Najwyraźniej artyści upierający się przy malowaniu syren z łuskowatymi ogonami o płetwach jak u ryb nie mieli zielonego pojęcia o anatomii tych stworzeń.

– W porządku, w porządku – ryczał Laird.

– Proszę się nie tłoczyć! Niech każdy wraca na swoje miejsce. Proszę zrobić przejście!

Widzowi, który wychylił się przez barierkę balkonu, aby zobaczyć, co się dzieje, wpadło do basenu wieczne pióro.

Jedna z dziewczyn Connaughta, panna Black, zanurkowała po nie. Ogden Wambach – elegancki i zadbany szpakowaty mężczyzna pełniący funkcję sędziego głównego zawodów, wskazał palcem na gładką skórę syreniego ogona.

– Laird – spytał – czy to ma być żart?

– W żadnym wypadku. Ta zawodniczka jest wpisana na styl grzbietowy i wszystkie dystanse stylem dowolnym. Jest także zarejestrowana przez Związek.

– Ale... ale... Czy to w ogóle żyje? Czy to jest prawdziwe?

Wtedy odezwała się Iantha.

– Dlaczego mnie nie zada pan tych pytań, panie..., panie..., nawet nie wiem, kim pan jest.

– Wielki Boże – jęknął Wambach – to mówi! Jestem sędzią głównym, panno...

– Delfoiros. Iantha Delfoiros.

– A niech mnie. A niech mnie diabli. To oznacza – chwileczkę – „Fioletowy delfini ogon”, nieprawdaż? *Delphis plus oura...*

– A więc zna pan grecki? Jak miło! – Dziewczyna radośnie krzyknęła, po czym z jej ust popłynął wartki strumień mowy o klasycznym brzmieniu.

Wambachowi zaparło dech.

– Obawiam się, że jak dla mnie to zbyt szybkie tempo. Poza tym to nowożytna greka, nieprawdaż?

– No pewnie, przecież żyję w czasach nowożytnych, czyż nie?

116

– O rety. Przypuszczam, że tak. Ale czy ten ogon jest prawdziwy? Chciałem powiedzieć, czy nie jest to tylko jakiś kostium?

– Oczywiście, że jest prawdziwy – Iantha odrzuciła koc na bok i zamachała płetwą.

– O rety – wybąkał Ogden Wambach. –

Gdzie moje okulary? Rozumie pani, chciałbym się jedynie upewnić, że nie wchodzi tu w grę żadne sztuczki.

Pani Santalucia, atletyczna i muskularna kobieta z widocznym wąsikiem i błonami pomiędzy palcami u rąk sięgającymi pierwszych knykci, odezwała się nagle:

– Wienc ja bendem sie z niom ściagać?

Louisa Connaughta aż roznosiło i niewiele brakowało, żeby zaczął sypać iskrami jak lont przy lasce dynamitu.

– Nie możesz tego zrobić! – ryknął w

końcu do Lairda. – To zawody kobiece!

Protestuję!

117

– No i co z tego, że to zawody kobiece?

– spytał niewinnie Laird.

– To, że ryba nie może brać udziału w zawodach dla kobiet! Prawda, panie Wambach?

Wtedy donośnym głosem przemówił

Mark Vining. Z kieszeni wyjął plik spię-

tych razem kartek i szybko je przejrzał.

– Panna Delfoiros – stwierdził – nie jest rybą. Jest ssakiem.

– A skąd to niby wiadomo? – wrzasnął

Connaught.

– Wystarczy spojrzeć.

– Mmmhmm – mruknął Ogden Wam-

bach. – Rozumiem, co ma pan na myśli.

– Ale – zawył Connaught – to nie czyni jej jeszcze człowiekiem!

– Tak, to budzi pewne wątpliwości, panie Vining – potwierdził Wambach.

– Nie ma najmniejszych wątpliwości.

Regulamin nie zawiera żadnych przepi-118

sów, które sprzeciwiałyby się startowaniu syren w zawodach, jak również nie ma wy-mogu, aby zawodniczki były ludźmi.

Connaught skakał dookoła jak konik polny w napadzie szału. Miał przy sobie egzemplarz regulaminu zawodów w pływa-

niu, skokach do wody i piłce wodnej wy-dany przez Związek Sportów Amatorskich.

– Podtrzymuję swój protest! Spójrzcie tylko! W całym regulaminie mowa tylko o dwóch rodzajach zawodów: dla mężczyzn i dla kobiet. Ona nie jest kobietą, a już na pewno nie jest mężczyzną. Jeśli Związek chciałby organizować zawody dla syren, to pewnie ujęto by to w przepisach.

– Nie jest kobietą? – spytał Vining tonem, jaki zwykle zwiastował wszystkim ławom przysięgłych, że oto zostanie wyto-czony argument, który będzie niczym cios rapiera w pierś przeciwnika. – Niech mi pan wybaczy, panie Connaught, ale ja inte-119

resowałem się bliżej tą kwestią. – Znów spojrzął na trzymany w dłoniach plik papierów. – W drugim wydaniu międzynarodowym słownika Webstera kobieta zdefi-niowana jest jako „osoba płci żeńskiej”.

Dalej słownik definiuje „osobę” jako „jednostkę obdarzoną zdolnością świadomej percepcji, racjonalnym myśleniem oraz poczuciem moralności”. – Odczytawszy swoje zapiski, zwrócił się do Wambacha: – Są-

dzę, iż zgodzi się pan ze mną, że panna Delfoiros wykazała się zdolnością świadomej percepcji oraz racjonalnością myślenia podczas rozmowy z panem, czyż nie?

– O rety... Naprawdę nie wiem, co mam powiedzieć, panie Vining... Przypuszczam, że jest tak, jak pan mówi, ale przecież...

– Można by ją odpytać z tabliczki mno-

żenia – poradził głośno Horowitz, odpowiedzialny za podliczanie punktów, ale nikt nie zwrócił na niego uwagi.

120

Całe ciało Connaughta wykazywało symptomy sugerujące zbliżający się atak apopleksji.

– Ale przecież tak nie można... O czym wy w ogóle gadacie?... Co mi tam jakaś Percy... perci....

– Ależ panie Connaught! – zaprotesto-

wał Wambach. – Kiedy pan tak krzyczy, nie mogę nic usłyszeć ze względu na ten straszliwy

połgłos.

Connaught opanował się z widocznym wysiłkiem. Nagle na jego twarzy pojawiła się chytra mina.

– A skąd mam wiedzieć, że ona ma poczucie moralności?

Vining obrócił się do Ianthy.

– Czy kiedykolwiek byłeś w więzieniu?

Iantha wybuchnęła śmiechem.

– Co za śmieszne pytanie, Mark! Oczywiście, że nie.

– To ona tak mówi – mruknął Connau-

121
ght. – Jak macie zamiar to udowodnić?

– Wcale nie musimy – odparł Vining wyniośle. – Obowiązek dostarczenia właściwych dowodów spoczywa na stronie skarżącej, natomiast wobec oskarżonego stosuje się domniemanie niewinności do czasu udowodnienia winy. Przypomnę tylko, że zasada ta została ustalona już za czasów króla Edwarda I.

– Nie chodziło mi o taką moralność! –

krzyknął Connaught. – Chodziło mi o przypadki obrazu moral... nie, nie obrazu, tylko... wiecie o co mi chodzi.

– No właśnie – warknął groźnie Laird – o co ci właściwie chodzi? Czyżbyś chciał rzucać te, jak im tam, Mark?

– Kalumnie?

– ... rzucać kalumnie na moje pływaczki? Lepiej uważaj, Louie. Jeśli dalej będziesz szkalować... nie, jak to było, Mark?

– ... szkalować dobre imię?

122

– Właśnie... szkalować dobre imię mojej zawodniczki, to utopię cię w łyżce wody.

– A potem – dodał Vining – wytoczmy panu sprawę o zniesławienie.

– Panowie! Panowie! – wtrącił się Wambach. – Proszę zaprzestać wycieczek personalnych. To pływalnia, a nie sala sądowa. Przejdźmy do rzeczy.

– Do nas należało – wyjaśnił Vining z godnością – by wykazać, że Iantha Delfoiros jest kobietą, co właśnie uczyniliśmy.

Zaś jak sam pan Connaught był łaskaw stwierdzić, są to zawody dla kobiet. Dlatego też panna Delfoiros może w nich startować. *Quod erat demonstrandum.*

– Hm – mruknął Wambach. – Nie jestem pewien... nigdy wcześniej nie musiałem podejmować decyzji w podobnej sprawie.

Louis Connaught miał łzy w oczach, a

przynajmniej sugerował to płaczący ton 123

jego głosu.

– Panie Wambach, nie może pan pozwolić Herbowi, aby wykręcił mi taki numer.

Wystawi mnie na pośmiewisko.

Laird parsknął pogardliwie.

– A co powiesz na twoje numery z panią Santalucia? Nie miałaś nade mną żadnej li-tości, kiedy ty i twoi ludzie nabijaliście się ze mnie po każdym jej zwycięstwie. I co mi wtedy przyszło ze składania protestów przeciwko dopuszczeniu pływaczki z błoną pomiędzy palcami?

– Ale – zawodził Connaught – jeśli dopuścimy do zawodów tę całą pannę Delfurrus, to czy będziemy w stanie powstrzymać kogoś, komu przyjdzie do głowy wpisanie na listę tresowanego lwa morskiego albo czegoś podobnego? Czy chcesz, żeby zawody pływackie zamieniły się w cyrk?

Laird wyszczerzył zęby w uśmiechu.

– Ależ nie krępuj się, Louie. Nikt nie bę-

124

dzie cię powstrzymał przed wpisaniem na listę startową czegokolwiek, co ci tylko przyjdzie do głowy. No więc jak, Ogden?

Czy panna Delfoios jest kobietą, czy nie?

– Więc... naprawdę... ojejku!

– Proszę, niech pan się zgodzi! – Iantha obdarzyła całkowicie zdezorientowanego sędziego powłóczywym spojrzeniem fioł-

kowych oczu. – Mam taką wielką ochotę popływać sobie w tym ślicznym basenie z wszystkimi tymi miłymi paniami.

Wambach westchnął zrezygnowany.

– W porządku, moja droga, popływasz sobie.

– Huraaa! – zakrzyknął tryumfalnie Laird, a okrzyk ten podjęli Vining, zawodniczki Klubu Pływackiego Knickerbockers, pozostali działacze, a na końcu widownia. Harmider, jaki powstał w zamkniętym pomieszczeniu, mógł przyprawić co wrażliwszych o dotkliwy ból uszu.

125

– Chwileczkę – warknął Connaught, kiedy echa wreszcie ucichły. – Spójrzcie tylko tutaj, na dziewiętnastą stronę regulaminu.

„Przepisowy strój. Kobiety: kostiumy muszą być ciemnego koloru, z doczepioną spódniczką. Nogawka stroju winna sięgać...” i tak dalej. No i proszę. Regulamin mówi wyraźnie – ona nie może pły-

wać tak, jak jest ubrana teraz, a przynajmniej nie na oficjalnych zawodach.

– To prawda – powiedział Wambach. –

Przyjrzyjmy się temu bliżej...

Horowitz podniósł wzrok znad tabeli upstrzonej wynikami z wcześniejszych mi-tyngów.

– Może któraś z dziewczyn ma jakiś biustonosz, który by na nią pasował. – To byłoby już coś.

– Biustonosz, też mi pomysł! – prychnął

Connaught. – Tu przecież mowa o przepisowym stroju jednocześnie, z nogawkami i spódniczką, przecież wszyscy wiemy o co chodzi.

– Ale przecież ona nie ma nóg! – wrzasnął Laird. – Jak mogłaby więc wejść...

– O to mi właśnie chodzi! Jeśli nie może założyć stroju z nogawkami, a regulamin mówi, że trzeba mieć nogawki, oznacza to tym samym, że nie jest w stanie założyć przepisowego stroju i w związku z tym nie może startować! Mam cię tym razem! Cha, cha. Ten się śmieje, kto się śmieje ostatni.

– Obawiam się, że nic z tego, Louie –

powiedział Vining, przeglądając swój egzemplarz regulaminu. Podniósł go w górę do światła i przeczytał: „Uwaga: Powyższe zasady mają charakter roboczy. Głównym celem tych postanowień jest wykluczenie strojów o charakterze nieskromnym lub takich, które zwracałyby nadmierną uwagę, bądź prowokowały do niestosownych uwag. Sędzia może zdecydować, że...” i 127

tak dalej, i tak dalej. Jeśli od przepisowego stroju odetniemy dół z nogawkami, a Iantha założy resztę przez głowę, uzyskamy wystarczająco skromny strój dla wszelkich praktycznych celów. Czyż nie tak, panie Wambach?

– O rety... nie wiem... pewnie tak.

Laird szeptał coś do jednej ze swych podopiecznych.

– Niech pani posłucha, panno Havranek!

Wie pani, gdzie jest moja walizka? Więc wyjmie pani z niej jeden z zapasowych kostiumów. Znajdzie tam też pani nożyczki w apteczce. Przytnie pani ten kostium tak, żeby Iantha mogła go na siebie założyć.

Z Connaughta uleciała już cała energia.

– Teraz już wiem – powiedział, nie kryjąc goryczy – dlaczego tak bardzo chcieliście zakończyć trzystumetrowką w stylu dowolnym zamiast sztafeta. Gdybym tylko wiedział, co knujecie... A pan, panie Vi-128

ning, niech się nie spodziewa, że kiedykolwiek zatrudnię pana jako obrońcę, gdybym przypadkiem popadł w tarapaty. Na miły Bóg, prędzej skończę w kiciu, niż udam się do pana.

Pani Santalucia nie odrywała posępnego wzroku od Ianthy Delfoiros. Po chwili odwróciła się w stronę Connaughta.

– To jakiś kant. Ja się ścigam z ludziami. Nie bendem się ścigać z syrekom.

– Błagam cię, Mario, tylko ty mnie teraz nie opuszczaj – jęknął Connaught.

– Dziś nie wchodzę do basena.

Connaught spojrzał błagalnie w stronę balkonu. Pan Santalucia i małe Santalucie, widząc, co się święci, ryknęły zgodnym chórem:

– Dalej, mamó! Pokaż im, mamó!

– No dobra, niech bendzie. Popłynę jeden albo dwa wyścigi. Jak zobaczę, że zero szans, to dam se spokój.

129

– To już lepiej, Mario. Nawet gdyby ona okazała się lepsza od ciebie, to i tak nie będzie się to liczyć. – Connaught ruszył w stronę drzwi, mówiąc coś o jakimś telefonie.

Pomimo opóźnień w rozpoczęciu zawo-

dów, żaden znudzony widz nie opuścił pływalni. Prawdę mówiąc, wszystkie dotąd puste miejsca zostały już zajęte, a nawet za rzędem krzeseł stało jeszcze sporo ludzi.

Po całym hotelu Creston rozeszła się plotka, że na basenie dzieją się niesamowite rzeczy.

Kiedy Louis Connaught wrócił, Laird i Vining właśnie wkładali Ianthcie przez głowę przerobiony naprędce kostium ką-

pielowy. Nie zdołał sięgnąć tak daleko, jak się spodziewali, jako że przewidziany został dla znacznie szczuplejszej pływaczki.

Nie chodzi o to, że Iantha była gruba. Ale 130

ludzkie partie jej ciała, jeśli już nie pulchne, były przynajmniej na tyle dobrze wyścielone miękkimi tkankami, aby nie było widać żadnych kości. Iantha przez długi czas wierciła się i wiła w ciasnym stroju, a nawet w żartach rzuciła jakąś uwagę po grecku w stronę Wambacha, którego mina wyrażała nadzieję, że słowa te nie znaczą tego, co podejrzewał.

– Posłuchaj, Iantha – odezwał się Laird

– pamiętaj, aby nie ruszać się przed strza-

łem z pistoletu. I pamiętaj, pływaj dokładnie nad linią wyrysowaną na dnie, nie pomiędzy liniami.

– A więc będą strzelać z broni? Strasznie się boję strzałów!

– Nie ma się czego bać, to tylko ślepe naboje. Nikogo nie zranią. A w czepku nie będzie to znów takie głośne.

– Herb – odezwał się Vining. – Czy ona nie straci zbyt wiele czasu przy starcie?

131

Przecież na pewno nie wykona takiego skoku jak inne zawodniczki?

– Oczywiście, że straci. Ale to nie bę-

dzie miało znaczenia. Ta dziewczyna robi milę w cztery minuty bez specjalnego wysiłku.

Ritchey, starter, zapowiedział wyścig na pięćdziesiąt metrów stylem wolnym.

– Wszyscy na miejsca! – zawołał.

Iantha ześliznęła się z fotela na kółkach i podpełzła do platformy startowej. Pozostałe dziewczyny stały już na słupkach, każda miała stopy złączone razem, tułów zgięty ku przodowi na wysokości bioder i ramiona wyrzucone do tyłu. Iantha przybrała własną, równie dziwaczną pozycję, podwijając ogon pod siebie, a cały ciężar ciała opierając na dłoniach i płetwie.

– Wnoszę protest! – ryknął Connaught.

– Regulamin mówi, że wszystkie wyścigi, z wyjątkiem stylu grzbietowego, należy 132 rozpocząć skokiem na głowę. A do jakie-goż to skoku przygotowuje się ta zawodniczka?

– O, Boże – jęknął Wambach. – Cóż znowu...

– To jest – wyjaśnił uprzejmie Vining –

skok syreni. Chyba nie spodziewa się pan, że Iantha stanie na wyprostowanym ogonie.

– No proszę! – wrzasnął Connaught. –

Najpierw wprowadzacie nieregulaminową zawodniczkę. Potem ubieracie ją w nieregulaminowy strój. A na końcu wasza zawodniczka ma wykonać nieregulaminowy

start. Czy istnieje jakaś rzecz, którą byliby-

ście skłonni zrobić tak jak wszyscy inni?

– Przecież – zareplikował Vining, przeglądając swoją książeczkę – regulamin nic o tym nie mówi... o proszę, jest: „Wszystkie wyścigi rozpoczynają się skokiem do wody”. Ale żadne przepisy nie precyzują, 133

jak powinien wyglądać taki skok. Zaś słownik pod hasłem „skok” podaje wiele różnych definicji. Jeśli zawodniczka po prostu spuści się do basenu nogami do przodu, zaciskając nos dłonią, to również zostanie uznane za skok do wody w świetle postanowień regulaminu. A przez długie lata uczestniczenia w zawodach pływackich widziałem setki skoków o wiele dziwniejszych niż ten, do którego przygotowuje się panna Delfoiros.

– Sądzę, że on ma rację – powiedział

Wambach.

– W porządku, niech będzie – burknął

Connaught. – Ale następnym razem na zawody z wami przyprowadzę ze sobą swojego prawnika.

Ritchey wystrzelił. Vining zauważył, że Iantha zatrzęsała się lekko, słysząc huk, i przez to nieco opóźniła start. Ciała pozostałych zawodniczek wyprysnęły do przodu-134

du, na chwilę zmieniając się w poziome kreski, by za moment z pluskiem przeciąć powierzchnię wody, natomiast Iantha wśli-znąła się do basenu niespiesznym ruchem nurkującej fok. Nie mogąc się odepchnąć stopami od ścianki basenu, została kilka metrów za pozostałymi zawodniczkami, zanim naprawdę na dobre ruszyła. Pani Santalucia jak zwykle wyszła na prowadzenie, a powolne uderzenia jej dłoni za-opatrzonych w międzypalczaste błony zostawiały za sobą malutkie, spienione wiry.

Iantha nie potrzebowała wypływać na powierzchnię wcześniej niż przy nawrocie, gdzie specjalnie przykazano jej wynurzać się, aby stojący na drugim końcu toru sędzia nie mógł po zakończeniu wyścigu zgłaszać wątpliwości co do tego, czy rzeczywiście dotknęła przeciwległej ścianki basenu. Niemal w ogóle nie pracowała ramionami; wykonała tylko kilka delikat-135

nych machnięć, mających nadać jej właściwy kierunek. Niesamowicie szybkie ruchy płetwą ogonową w płaszczyźnie pionowej nadawały jej prędkość torpedy, zaś fala, jaką przy tym robiła, ciągnęła się jakieś dwa, dwa i pół metra za nią. Kiedy płynęła przez niezmacone jeszcze wody przy drugim brzegu basenu, Vining, który obszedł

basen dookoła, by obserwować wyścig, zauważył, że Iantha potrafiła szczelnie zamknąć nozdrza pod wodą, niczym foka lub hipopotam.

Pani Santalucia ukończyła wyścig w doskonałym czasie 29,8 sekundy. Ale Iantha nie tylko zdobyła pierwsze miejsce, lecz zrobiła to w 8,0 sekund. Po zakończeniu wyścigu nie wsparła się rękami na słupku i nie wyciągnęła ciała z wody, tak jak to zwykle robią pływaczki. Po prostu wybiła się ponad wodę, wyginając ciało w łuk niczym pstrąg wyskakujący ponad lustro 136

strumienia, i runęła na beton z wilgotnym plaśnięciem, omal nie obalając przy tym sędziego mierzącego czas. Kiedy rywalki robiły ostatni nawrót, Iantha siedziała już spokojnie na platformie startowej, z ogonem podwiniętym pod siebie. Widząc, jak dziewczyny z wysiłkiem pokonują ostatnią długość basenu, posłała olśniewający uśmiech Viningowi, który wcześniej musiał szybko biec wzdłuż basenu, aby móc zobaczyć jej finisz.

– To była wspaniała zabawa, Mark – powiedziała. – Cieszę się, że razem z 'Erbertem wystawiliście mnie do tych zawodów.

Pani Santalucia wyszła z basenu i pode-szła do stołu Horowitza. Młody człowiek z niedowierzaniem wpatrywał się w wyniki, które sam przed chwilą wpisał.

– Tak – powiedział. – Tak właśnie jest napisane. Panna Iantha Delfoires – 8,0.

Pani Maria Santalucia – 29,8. Proszę, 137

niech pani nie kapie na moje tabele. Panie Wambach, czy to nie jest czasem rekord świata?

– O rety! – zawołał Wambach. – To przecież czas o połowę krótszy niż istniejący rekord na krótkim dystansie. A może nawet trzykrotnie krótszy. Musiałbym to sprawdzić. A niech mnie! Będę miał przeprowadę z komisją. Nie wiem, czy to za-twierdzą. Myślę, że będą kłopoty, mimo że nie ma żadnych szczegółowych przepisów zabraniających startu syrenom.

– Uważam, że spełniliśmy wszystkie niezbędne wymogi, aby rekord ten mógł zostać uznany, panie Wambach – odezwał

się Vining. – Panna Delfoires została zgłoszona z wyprzedzeniem, podobnie jak inne zawodniczki.

– Tak, tak, panie Vining, ale niech pan pamięta, że rekordy to poważna sprawa.

Żadna zwyczajna istota ludzka nigdy nie 138

zdołałaby nawet zbliżyć się do takiego rezultatu.

– Chyba żeby miała przytroczony moto-

rek – wtrącił Connaught. – Jeśli pozwala się zawodniczkom na używanie płetw ogo-nowych, to należy również dopuścić stosowanie śrub napędowych. Nie widzę powo-du, by ci faceci pozostawali jedynymi, któ-

rzy mogą wykręcać regulamin na wszystkie strony, a potem wymyślać prawnicze argumenty, w celu poparcia swoich sztuczek. Ja też załatwię sobie prawnika.

– W porządku, Ogden – odezwał się La-

ird. – Spróbujesz jakoś załatwić to z komisją, ale nam wcale nie zależy na żadnych rekordach.

Wystarczy, że zrobimy dziś Luiego na szaro.

Uśmiechnął się drwiąco w stronę Con-naughta, który splunął z furją.

– Wiecej nie płynę – oznajmiła pani Santalucia. – To jedno wariactwo. Mam 139 zero szans.

– Ależ Mario – błagał Connaught, bio-

rać ją na bok – jeszcze tylko jeden raz, proszę. Moja reputacja... – dalsze jego słowa utonęły w potężnym echu odbijającym się od ścian pływalni. Ale gdy zakończył swoją przemowę, wydawało się, że potężna kobieta uległa jego żarliwym suplikom.

Stumetrówka stylem dowolnym zaczęła się bardzo podobnie jak wyścig na pięć-

dziesiąt metrów. Tym razem huk wystrzału nie przeraził Ianthy, dzięki czemu miała świetny start.

Pruła jak strzała tuż pod powierzchnią wody, wzbudzając za sobą po-tężne fale niczym rybacki kuter.

Fale te porwały pływaczkę na sąsiednim torze, pannę Breitenfeld z klubu Creston. W rezultacie, po pierwszym nawrocie Iantha natknę-

ła się na zupełnie zdezorientowaną pannę Breitenfeld, płynącą prostopadle do jej –

Ianthy – toru i z impetem wpadła na nią, 140

uderzając ją głową w bok. Panna Breitenfeld opadła pod wodę, nawet nie krzyknąwszy, puszczając ustami bańki.

Connaught ryknął piskliwie: „Faul!

Faul!”, chociaż w ogólnym harmidrze zabrzmiało to raczej jak „Wow! Wow!”. Kilka pływaczek, niebiorących udziału w wy-

ścigu, rzuciło się do wody na ratunek, wskutek czego wyścig zakończył się ogólnym pandemonium. Kiedy pannę Breiten-

feld wytaszczo na brzeg, okazało się, że od silnego uderzenia po prostu zapało jej dech i nałykała się sporo wody.

Mark Vining, który wypatrywał Ianthy, wreszcie ją dostrzegł; stała, trzymając się brzegu basenu i potrzasała głową. Po chwili wypelzła, pytając płaczliwie:

– Czy stało się jej coś złego? Czy stało się jej coś złego? Och, tak mi przykro! Nie pomyślałam, że ktoś może się znaleźć na moim torze, więc nie patrzyłam przed sie-141

bie.

– Widzicie? – ryczał Connaught. – Wi-

dzisz, Wambach? Patrz, co się dzieje! Nie wystarczy im, że wygrywają wyścigi dzięki tej swojej rybobabie. O nie, oni muszą jeszcze łamać żebra moim zawodniczkom.

Herb – kontynuował napastliwym tonem –

dlaczego nie wystawisz tresowanego rekina młota? Kiedy taki wpadnie na moją dziewczynę, to wykluczy ją z konkurencji na zawsze.

– Och – jęknęła Iantha. – Ja naprawdę nie chciałam... to był wypadek!

– Akurat!

– Naprawdę. Panie sędzio, wcale nie bawi mnie wpadanie na innych. Od tego uderzenia bolą mnie głowa i szyja. Czy myśli pan, że celowo chcę sobie skrócić kark? – przerobiony kostium Ianthy podwinął się jej aż pod pachy, ale nikt nie zwrócił na to uwagi.

142

– Jasne, że to był wypadek! – ryknął Laird. – Wszyscy widzieli! A jeśli ktokolwiek został faulowany, na pewno była to panna Delfoiros.

– Bez wątpienia – wtrącił Vining. – Ona była na swoim torze, czego nie da się powiedzieć o poszkodowanej pływaczce.

– Och, na mą głowę! – westchnął zrezygnowany Wambach. – Wydaje mi się, że oni znów mają rację. Tak czy siak, wyścig należy powtórzyć. Czy panna Breitenfeld chce ponownie startować?

Panna Breitenfeld nie chciała, ale pozostałe zawodniczki znów stanęły na swoich miejscach. Tym razem wyścig przebiegł

bez żadnych nieprzewidzianych incydentów. Iantha ponownie wykonała wspaniały wyskok na finiszu w chwili, gdy pozostałe trzy rywalki były w połowie drugiej z czterech długości do przepłynięcia.

Tym razem, kiedy pani Santalucia wy-

143

nurzyła się z wody, kategorycznie oznajmiła Connaughtowi:

– Dalej nie bende pływać. Koniec tego dobrego.

– Och, Mario... – zaczął znowu Connaught, ale na nic się zdały jego wysiłki. W końcu zapytał: – Czy popłyniesz chociaż w wyścigach, do których ona nie została zgłoszona?

– A som take?

– Tak sędzę. Hej, Horowitz, panna Del-furrus nie płynie klasycznym, co nie?

Horowitz spojrzał w swoje papiery.

– Nie – odpowiedział.

– To już coś. Hej, Herb, jak to się stało, że nie zgłosiłeś swojej rybobaby do żabki?

Zamiast Lairda odpowiedzi udzielił Vining:

– Spójrz w ten swój regulamin, Louie:

„Stopy poruszają się jednocześnie, kolana powinny być ugięte i rozwarte...” i tak da-144

lej, i tak dalej. Przepisy dotyczące konkurencji rozgrywanych stylem grzbietowym i dowolnym nie mówią nic o tym, jak ruszać nogami, ale jeśli chodzi o żabkę, to zasady są dość szczegółowe. A więc nie ma nóg, nie ma żabki. Nie damy ci najmniejszych szans do zgłoszenia uzasadnionych protestów.

– Uzasadnionych protestów, też coś! –

Connaught obrócił się gwałtownie, spluwając.

Kiedy pomiędzy konkurencjami pływac-

kimi odbywał się konkurs skoków do wody, do przyglądającego się zawodniczkom Vininga dobiegły dźwięki jakiejś ete-rycznej melodii. Na początku miał wrażenie, że po prostu dźwięczy mu w głowie.

Potem nabrał pewności, że melodia dochodzi od strony widzów. W końcu zlokalizował jej

źródło: to była Iantha Delfoiros, 145

która siedziała na wózku inwalidzkim i cicho coś nuciła. Kiedy się lekko pochylił, usłyszał wyraźnie słowa:

Die schonste Jnfrau sitzet

Dort ober wunderbar;

Ihr goldenes Geschmeide blitzet;

Sie kaemmt ihr goldenes Haar

Vining podszedł cicho do syreny.

– Iantha – powiedział – obciągnij na sobie kostium i nie śpiewaj.

Posłuchała go, rzucając mu rozbawione spojrzenie i chichocząc.

– Ale to taka ładna piosenka! Nauczy-

łam się jej od pewnego niemieckiego rozbitka. To jest piosenka o syrenie, takiej jak ja.

– Wiem, ale ona będzie rozpraszać sę-

dziów. Muszą w skupieniu przyglądać się skokom, a tutaj i tak panuje już niezły ha-146
łas.

– Taki miły z ciebie facet, Mark, ale taki poważny! – Ponownie zachichotała.

Vining zauważył subtelną zmianę w za-

chowaniu syreny. I nagle przyszła mu do głowy straszliwa myśl.

– Herb! – wyszeptał. – Czy ona wczoraj wieczorem nie mówiła, że upija się słodką wodą?

Laird podniósł na niego wzrok.

– Tak. Ona... o rany, przecież woda w basenie jest słodka! Wcale o tym nie po-myślałem. Czy widać już coś po niej?

– Wydaje mi się, że tak.

– I co teraz zrobimy, Mark?

– Nie mam pojęcia. Jest zgłoszona jeszcze do dwóch wyścigów, prawda? Grzbietowy i trzysta metrów dowolnym?

– Tak.

– Więc może wycofajmy ją z grzbietu i dajmy jej chwilę czasu, żeby nieco otrzeź-
147

wiała przed ostatnim startem.

– Nie mogę. Nawet przy wszystkich jej dotychczasowych wygranych nie uda nam się pokonać Connaughta. Jego zawodniczki są dużo lepsze w skokach, a pani Santalucia w żabce wygra wszystko. Jeśli w wy-

ścigach, w których bierze udział Iantha, ona zdobędzie pierwsze miejsce, a dziewczyny Luiego drugie i trzecie, oznacza to pięć punktów dla nas, ale cztery dla niego, dlatego też nasza przewaga po każdym wyścigu wzrasta o jeden punkt. A jej re-kordowe czasy nie gwarantują nam żadnych dodatkowych premii.

– Skoro nie możemy jej wycofać, ryzykujemy dalej – stwierdził ponuro Vining.

Kiedy przyszła kolej na styl grzbietowy, Iantha wydawała się całkiem trzeźwa. Ponownie straciła ułamki sekundy na starcie przez to, że nie miała stóp, aby się wybić 148

w skoku lub odbić od ścianki basenu. Ale kiedy już ruszyła, dała konkurentkom jeszcze mniej szans niż w stylu dowolnym. Jej ludzka część ciała wystawała ponad wodę, prując powierzchnię niczym dziób motorówki. Wykonywała wiosłujące ruchy ramionami, ale jedynie ze względów czysto technicznych, cały bowiem pęd nadawała jej olbrzymia płetwa ogonowa. Tym razem nie zakończyła

wyskokiem na brzeg. Przez chwilę Vining czuł, jak staje mu serce, kiedy wydawało się, że szmaragdowozielony czepek za chwilę z impetem uderzy o ka-
fle ściany basenu. Ale Iantha miała dystans wymierzony co do milimetra i dzięki ogromnej płetwie zatrzymała się tuż przed, chociaż uderzenie wydawało się nie-uchronne.

Zabkę pani Santalucia wygrała w cu-
glach, mimo iż powolne ruchy jej ramion były znacznie mniej spektakularne niż 149

energiczne wymachy rywalek. Radosne pohukiwania dzieciaków zdołały się przebić przez ogólny harmider. Kiedy zwycięż-

czyni wyszła z basenu, spojrzała gniewnie na Ianthę i odezwała się do Connaughta:

– Louie, jeszcze raz wystawisz mnie z sy-
rękom, to nie bende ścigać się dla ciebie już nigdy. A tera ide se do domu – to rzekłszy, pomaszrowała w stronę pryszniców.

Ritchey już miał zapowiedzieć ostatnią konkurencję: trzysta metrów stylem dowolnym, kiedy Connaught schwycił go za rękaw.

– Jack – powiedział – poczekaj chwileczkę. Jedna z moich zawodniczek spóźni się kilka minut – po czym wyszedł.

Laird mruknął do Vininga:

– Ciekawe, dlaczego Louie jest taki ura-
dowany. Założę się, że uknuł już jakiś paskudny numer.

Wcześniej dzwonił do ko-150

goś, pamiętasz?

– Zaraz się przekonamy... a to co?

Gdzieś rozległo się chrypliwe szczeknię-

cie, które głośnym echem odbiło się od ścian pływalni.

Connaught pojawił się ponownie, tasz-

cząc ze sobą dwa wiadra. Za nim dreptał

pulchny człowieczek zakutany w trzy swetry, a jego śladem podążał dumnie lśniący kalifornijski lew morski. Na widok czystej, lekko falującej, jadeitowozielonej wody zwierzę głośno zaszcze-
kało, po czym wśli-
znęło się do basenu, poharcowało w nim trochę, by zaraz wyskoczyć na platformę startową, wciąż zawzięcie ujadając. Odgło-
sy, jakie z siebie wydawało, wzmocnione pogłosem ogromnej sali, drażniły uszy zebranych.

Ogden Wambach schwycił w garście swoje proste, przetykane siwizną włosy i mocno pociągnął.
151

– Connaught! – wrzasnął. – A to co takiego?

– Och, to jedna z moich pływaczek, panie Wambach.

– Posłuchajcie! – Laird wydał z siebie ryk przypominający głuchy grzmot przeta-
czający się po niebie. – Tym razem to my składamy protest. Panna Delfoiros, przy całym swym nieco odmiennym wyglądzie, jest bez wątpienia kobietą. Ale czy to coś można nazwać kobietą?

Connaught pokazał w uśmiechu cały garnitur zębów, niczym szatan przyjmują-
cy grzeszników.

– Czyżbyś sam nie mówił, żebym zgło-

sił nawet lwa morskiego, jeśli mam na to ochotę? A to właśnie jest morska lwica.

– Nie pamiętam, żebym mówił...

– Tak, Herbercie – przerwał mu Wam-

bach, wstrząśnięty. – Istotnie tak powiedziałaś. Wcześniej nigdy nie było żadnych 152

kłopotów z orzeczeniem, czy dana zawodniczka jest kobietą czy nie. Ale odkąd zgłosiłaś pannę Delfoiros, wydaje się, że nie ma już miejsca, w którym moglibyśmy ustalić granicę.

– Posłuchaj mnie, Ogden, zawsze można posunąć się za daleko....

– To samo mówiłem o tobie! – wrzasnął

Connaught.

Wambach wziął głęboki oddech.

– Tylko bez awantur, proszę. Herbert, z technicznego punktu widzenia twoje argumenty są przekonujące. Ale po tym, jak dopuściliśmy do startu pannę Delfoiros, wydaje się, że zezwolenie Louisowi na wystawienie jego lwicy morskiej będzie zgodne z zasadami uczciwej, sportowej rywalizacji. Zwłaszcza po tym, jak sam mu to zaproponowałeś.

– Och, my od zawsze opowiadamy się po stronie uczciwej, sportowej rywalizacji.

153

Ale obawiam się, że ta lwica nie została zgłoszona do zawodów przed ich rozpoczęciem, tak jak tego wymaga regulamin.

Nie chcielibyśmy przecież z tak błahego powodu narażać się na naganę komisji...

– Ależ oczywiście, że została zgłoszona

– przerwał mu Connaught. – O, proszę! –

Wskazał na jedną z rubryk w tabeli Horowitza. – Nazywa się Alice Black, tutaj jest wpisana.

– Ale – zaprotestował Vining – sądzi-

łem, że Alice Black to tamta zawodniczka

– wskazał palcem na smukłą dziewczynę o ciemnych włosach, siedzącą w kostiumie kąpielowym na parapecie okna.

– Bo to rzeczywiście jest Alice Black –

uśmiechnął się Connaught. – To czysty zbieg okoliczności, że obie noszą to samo imię i nazwisko.

– Chyba nie sądzisz, że ci w to uwierzymy?

154

– Nie obchodzi mnie, czy w to wierzy-

cie, czy nie. To fakt. Czy lwica nazywa się Alice Black? – zwrócił się z pytaniem do małego grubaska, który ochoczo przytaknął, energicznie kiwając głową.

– Niech więc już będzie – wyjęczał

Wambach. – Nie mamy teraz czasu, na zdobywanie świadectwa urodzenia tego zwierzaka.

– A co – zapytał Vining – z przepiśmym strojem? Może włożysz jakiś kostium na tę twoją lwicę?

– Nie potrzebuję. Ona już jest ubrana.

Jej strój rośnie na niej. Cha, cha, cha, tym razem to ja was zagiąłem.

– Sądzę – rzekł Wambach – że można

by uznać naturalne focze futro za odpowiednik kostiumu kąpielowego.

– Jasne, że tak. I w dodatku jaki to szyk!

Tak czy siak, chodzi przede wszystkim o to, aby strój był skromny, a chyba nikt mi 155 nie powie, że lwica morska w swym naturalnym stroju może się komukolwiek wydać nieskromna.

Vining wytoczył ostatni argument.

– Mówisz o tym zwierzęciu „lwica”, ale skąd wiadomo, że to samica? Nawet pan Wambach nie pozwoli ci na zgłoszenie samca lwa morskiego do zawodów kobiecych.

– A jak rozpoznać płęć u lwa morskiego? – spytał Wambach.

Connaught spojrział na małego grubaska.

– Może lepiej nie wchodźmy w te kwestie tutaj. Zróbmy tak: ja postawię dziesię-

ciodolarowy zastaw na dowód, że Alice jest płci żeńskiej, a sprawdzeniem tego zajmiemy się po zawodach.

– To mi wygląda na uczciwe rozwiązanie – orzekł Wambach.

Vining i Laird spojrzeli na siebie.

– Czy puścimy im to płazem, Mark? –

156

zapytał ten ostatni.

Vining przez kilka chwil kiwał się na obcasach. Potem odpowiedział:

– Myślę, że możemy. Czy mógłbyś wyjść ze mną na chwileczkę, Herb? Chyba zgodzicie się na wstrzymanie wyścigu jeszcze o parę minetek, prawda? Zaraz wracamy.

Connaught już chciał zaprotestować przeciwko kolejnym opóźnieniom, ale dał spokój. Po chwili Laird pojawił się ponownie, wielce rozradowany.

– 'Erbercie! – zawołała Iantha.

– Tak? – Pochylił głowę.

– Boję się...

– Boisz się, że Alice pogryzie cię w wodzie? Cóż, nie chciałbym...

– Nie, nie tego się obawiam. Co mi tam Alice! Jeśli mnie zaatakuje, potraktuję ją ogonem. Ale boję się, że ona popłynie szybciej ode mnie!

157

– Posłuchaj, Iantha, ty po prostu pływ najszybciej, jak potrafisz. Jakbyś miała dwa ogony, pamiętaj. I niczemu się nie dziw, niezależnie od tego, co się będzie działo.

– Co wy tam szepczecie? – spytał Connaught podejrzliwie.

– Nic, co by było przeznaczone dla twoich uszu, Louie. A cóż tam targasz w tym wiadrze? Ryby? Niezłe to sobie wykombi-nowałeś... Nie wolałbyś poddać się i za-kończyć mecz już teraz?

Connaught zbył jego słowa pogardliwym parsknięciem.

Jedynymi zawodniczkami startującymi na trzysta metrów stylem dowolnym były Iantha Delfoiros i Iwica morska, zgłoszona jako Alice. Pozostałe pływaczki z obu klubów stwierdziły, że za nic w świecie nie wejdą do basenu razem ze zwierzakiem.

158

Nawet za ogromnie ważne punkty, jakie dawała trzecia lokata.

Iantha przyjęła swoją zwykłą pozę startową. Na miejsce obok niej, okrągły człowieczek przyprowadził Alice, trzymając ją na smyczy zrobionej z kawałka liny. Na drugim końcu basenu zajęli miejsce Connaught, stawiając przed sobą jedno z wiader.

Ritchey wypalił z pistoletu. Człowieczek odwiązał smycz i zawołał:

– Bierz, Alice!

Connaught wyciągnął rybę z wiadra i pomachał nią w powietrzu. Jednak Alice przestraszona hukem wystrzału zaczęła tylko wściekle ujadać, nie ruszając się z miejsca. Dopiero kiedy Iantha kończyła pierwszą długość, Alice zauważyła rybę czekającą na nią po drugiej stronie basenu.

Wówczas ześliznęła się do wody i popędziła w stronę Connaughta jak błyskawica.

Ludzie, którzy widzieli lwy morskie wy-grzewające się leniwie wokół sadzawki w ogrodzie zoologicznym, nie mają najmniejszego pojęcia, jak szybko zwierzęta te potrafią się poruszać w wodzie, jeśli tylko zechcą. Mimo że syrena płynęła z niewiarygodną prędkością, lwica i tak okazała się szybsza. Dwa razy wyskoczyła ponad wodę, zanim dotarła na drugą stronę i wychlapała się na beton. Jedno kłapanięcie szczękami i ryba zniknęła w łapczywym pysku.

Alice dostrzegła wiadro i spróbowała zanurzyć w nim łeb. Connaught odgonił ją stopą. Na miejscu, z którego zwierzak wyruszył, grubasek wyciągnął rybę z drugiego wiadra i machał nią, nawołując:

– Tutaj, Alice, bierz!

Lwica morska nie połapała się jeszcze w czym rzecz, gdy Iantha kończyła drugą długość. W końcu jednak wystrzeliła z po-160

wrotem jak strzała.

Ten sam problem powtórzył się w punk-

cie startowym. Nie mogła zrozumieć, po co każą jej płynąć dwadzieścia pięć me-trów po kolejną rybę, skoro o kilkadziesiąt centymetrów od swego nosa ma ich całe mnóstwo. W rezultacie, w połowie dystan-su Iantha miała nad lwicą dwie długości przewagi. Ale wtedy Alice, która jak na lwicę morską była niebywale pojętna, zała-pała, o co chodzi. Doścignęła i wyprzedzi-

ła Ianthę, kiedy ta była w połowie ósmej długości, przy każdym nawrocie wychyla-jąc się z wody jedynie na tyle, ile było trzeba, by połknąć rybę, i niewiarygodnym pędem śmigła na przeciwległy brzeg. W

połowie dziesiątej długości osiągnęła dziesięciometrową przewagę nad syreną.

Wtedy przez drzwi prowadzące do szat-ni wbiegł Mark Vining.

W każdej ręce trzymał szklaną wazę wy-161

pełnioną złotymi rybkami. Za nim pędziły panna Havranek i panna Tufts z klubu Knickerbockers, obie podobnie obciążone.

Goście z hotelu Creston zaintrygowani przyglądali się, jak ciemnowłosa mężczyzna o poważnej twarzy oraz dwie dziewczyny w strojach kąpielowych wpadają do holu i zaraz znikają, unosząc ze sobą sześć wielkich waz służących za akwaria, wszyscy byli jednak zbyt dyskretni i dobrze wychowani, by zadawać jakiegokolwiek pytania na temat porwania złotych rybek.

Vining pobiegł wzdłuż basenu do miej-

sca znajdującego się blisko ściany, przy której pływaczki wykonywały nawroty.

Tam wyciągnął ręce do przodu i odwrócił

wazy dnem do góry. Kaskada rybek spły-neła do zielonkawej wody. Panna Havranek i panna Tufts zrobiły to samo co Mark w innych miejscach basenu.

Rezultat był natychmiastowy. W spo-162

rych wazach pływało od sześciu do ośmiu dużych złotych rybek. Tak więc przeszło czterdzieści jasno ubarwionych ryb, zszo-kowanych tak gwałtownym i brutalnym ich potraktowaniem, rozpląnęły się na wszystkie strony basenu, miotając się w tę i z powrotem lub przynajmniej starając się płynąć na tyle szybko, na ile pozwalały im ich niezgrabne, pękate kształty. Alice pokonująca dziewiątą długość basenu nagle wykonała gwałtowny skręt. Nikt nie dostrzegł, jak chwyta rybkę. Złota plamka po prostu nagle gdzieś znikła. Alice obróciła się, energicznie machając płetwami i wystrzeliła na ukos basenu. Kolejna rybka przepadła niepostrzeżenie. Lwica zupełnie zapomniała o swoim panu i o Louisie Con-naughtcie oraz ich wiadrach. Uganianie się za rybkami po basenie było dużo bardziej

zabawne. Tymczasem Iantha ukończyła wyścig, cudem unikając kolizji z rozharco-163 wany zwierzakiem na ostatniej długości.

Connaught cisnął trzymaną w dłoni rybę najdalej, jak zdołał. Alice schwyciła ją w locie i ponownie ruszyła na łowy. Connaught pobiegł w stronę platformy startowej, rycząc na cały głos:

– Oszustwo! Oszustwo! Protest! Protest!

Oszustwo! Oszustwo!

Dobiegł na drugą stronę basenu w chwili, gdy sędziowie porównywali na swoich stoperach czas Ianthy, a Laird i Vining kończyli zaimprovizowany taniec zwycię-

stwa. Bezradny Ogden Wambach, rozglą-

dając się dookoła z obłędem w oczach, przypominał Marcowego Zająca z „Alicji w Krainie Czarów”.

– Dosyć! – krzyknął sędzia główny. –

Dosyć, Louie! Jeśli będziesz tak wrzeszczał, to ja oszaleję! Już prawie oszalałem!

Wiem, co chcesz powiedzieć.

– No... więc... czemu czegoś nie 164

zrobisz? Dlaczego nie weźmiesz się za tych kanciarzy? Dlaczego nie wywalisz ich ze Związku?

Dlaczego nie...

– Wyluzuj się, Louie – przerwał mu Vining. – Nie zrobiliśmy niczego wbrew przepisom.

– Co??? Ty obmierzły, szczywany...

– Spokojnie, spokojnie – Vining znaczą-

co spoglądał na wyciągniętą do przodu pięść stojącego przed nim trenera. Niewielkiego wzrostu szkoleniowiec podążył za jego wzrokiem i trochę się zmiętył. –

W regulaminie nie ma nic o wpuszczaniu ryb do basenu. Inteligentne pływaczki, tak jak na przykład panna Delfoiros, mają na tyle oleju w głowie, aby nie zwracać na nie uwagi podczas wyścigu.

– Ale... co ty... jakim prawem..

Nie zważając już na nic, Vining odszedł, pozostawiając całą sprawę do rozstrzygnięcia obu trenerom i sędziemu głównemu.

165

Wzrokiem szukał Ianthy. Siedziała na skraju basenu, pluskając w wodzie rozwidloną płetwą. Obok niej na kafelkach podrygiwały smętnie cztery złote rybki. Kiedy szedł ku niej, właśnie unosiła jedną z nich do góry na wysokość ust. Dostrzegł

błysk perłowobiałych zębów, spazmatyczne trzepotanie rybiego ogona i po chwili przednia połowa ryby zniknęła. Za moment ten sam los spotkał drugą połówkę.

Wówczas Alice dostrzegła trzy pozosta-

łe ryby zdychające na brzegu. Lwica morska zdążyła już oczyścić cały basen i teraz pełzała po betonie, szczekając i szukając kolejnych zdobyczy. Minęła Vininga, galopując co sił w stronę syreny.

Iantha ujrzała ją, jak nadbiega. Wycią-

gnęła z wody ogon, okręciła się w miejscu, wygięła ogon w łuk i z hucznym plaśnię-

ciem spuściła potężną płetwę na głowę zwierzęcia. Vining, który śledził całą sytu-

ację z odległości około siedmiu metrów, mógłby przysiąc, że poczuł na ciele falę uderzeniową

powstałą po tym silnym ciosie.

Alice wydała z siebie bolesny kwik i odpełzała czym prędzej, trzęsąc głową. Ponownie przemknęła obok Vininga i z sobie tylko znanych powodów runęła pomiędzy spierających się zajadle mężczyzn, po czym ugryzła Ogdena Wambacha w nogę.

Sędzia główny zawył piskliwie i wskoczył na stół Horowitza.

– Hej! – zawołał sędzia punktowy. –

Rozrzucasz moje papiery!

– Wciąż twierdzę, że mamy do czynienia

z szalbierzami poszukującymi taniej popularności! – wrzeszczał Connaught, machając Wambachowi przed nosem swoim egzemplarzem regulaminu.

– Bzdura! – grzmiał Laird. – Po prostu wścieka się, że potrafimy wykrecić więcej 167 perfidnych numerów. To on wszystko za-czął z tą swoją babą-dziwadłem z błonami u rąk.

– Zaraz zwariuję! – wrzasnął Wambach.

– Słyszycie mnie? Zwariuję, zwariuję, zwariuję! Jeśli usłyszę, jak którykolwiek z was wypowiada choć jedno słowo, zawieszę obu w prawach członka Związku!

– Au, au, au! – zaszczekała Alice.

Iantha skończyła zajadać ryby. Spróbowała obciągnąć na sobie kostium, po chwili jednak zmieniła zdanie. – Zdjęła go przez głowę, zwinęła i rzuciła na drugi brzeg basenu. W połowie drogi kostium rozwinął

się w powietrzu i spadł na powierzchnię wody. Syrena odchrząknęła głośno, wzięła głęboki oddech i czystym sopranem zaczę-

ła wyśpiewywać pieśń, od której serce zaczynało mocniej bić:

Rheingold!

168

Reines Gold,

Wie lauter und hell

Leuchtest hold du uns!

Um dich, du klares...

– Iantha!

– O co chodzi, Markee? – zachichotała.

– Powiedziałem, że czas już, abyśmy wracali do domu!

– Och, ale ja wcale nie chcę wracać do domu. Przecież tak się świetnie bawię.

Nun wir klagen!

Gebt uns das Gold...

– Naprawdę, Iantho, musimy już iść. –

Położył dłoń na ramieniu syreny. Ciepło jej ciała sprawiło, że krew zaczęła w nim żywiej krążyć. Jednocześnie stało się cał-

kiem jasne, że resztki pilnie strzeżonej trzeźwości Ianthy odeszły w siną dal.

169

Ostatni wyścig w słodkiej wodzie był dla niej jak trzy potężne dziny bez lodu. Przez głowę Vininga przemknęły absurdalne, lecz niezwykle pasujące do sytuacji słowa, będące parafrazą znanej szanty:

Cóż mamy zrobić z pijaną syreną?

Cóż mamy zrobić z pijaną syreną?

Cóż mamy zrobić z pijaną syreną?

Wcześniej o poranku.

– Och, Markee, ty zawsze jesteś taki poważny, kiedy inni się bawią. Ale jeśli mnie ładnie poprosisz, to pójdę z tobą.

– Dobrze, bardzo cię proszę, chodź ze mną. Obejmij mnie za szyję, a ja cię zaniosę na fotel. Naprawdę tak właśnie chciał zrobić.

Jedną ręką objął ją w talii, a drugą podło-

żył pod ogon. Potem spróbował się wyprostować. Nie przewidział, że ogon Ianthy 170

okaże się aż tak ciężki. Ten długi i potężny organ zbudowany z kości, mięśni i chrzą-

stek sprawiał, że całkowita waga syreny sięgała zaskakującej liczby stu trzydziestu kilogramów.

Dlatego też próba podniesienia jej zakończyła się spektakularnym upadkiem obojga głowami w dół do basenu. Postronnym obserwatorom mogło się wydawać, że Mark podniósł Ianthę, a następnie specjalnie wskoczył z nią do wody.

Po chwili mężczyzna wynurzył się i energicznie otrząsnął z wody. Zaraz potem głowa syreny pojawiła się tuż obok niego.

– A więc – zagulgotała – chcesz się pobawić z Ianthą! Jesteś bardzo poważny, ale jednak lubisz dobrą zabawę! Świetnie, pokazę ci, na czym polega gra! Opuściła szybko dłoń ochlapując Vininga, któremu woda zalała nos i usta. Na oślep rzucił się w kierunku brzegu basenu. Był bardzo dobrym pływakiem, ale ubranie, jakie miał

171

na sobie, hamowało jego ruchy. Po chwili kolejna kaskada wody zwała się na jego nieszczęsną głowę. Kiedy wreszcie mógł

otworzyć oczy, ujrzał Ianthę, jak nurkuje głową w dół, unosząc ogon ponad wodę.

– Markeee! – po chwili usłyszał głos za swoimi plecami. Odwrócił się i ujrzał Ianthę, jak trzyma potężny kawał czarnej, elastycznej gumy. To była jakaś zabawka do użytku gości korzystających z basenu hotelu Creston, która leżała na dnie przez cały czas trwania zawodów.

– Łap! – krzyknęła wesoło i rzuciła tym w jego stronę. Czarny blok trafił Vininga dokładnie między oczy.

Kiedy się ocknął, leżał na mokrym betonie. Usiadł i głośno kichnął. Czuł się tak, jakby go wypełniono amoniakiem. Louis Connaught zabrał buteleczkę z solami trzeźwiącymi, zaś Laird podsunął mu setkę whisky. Obok trenera ujrzał Ianthę siedzą-

172

cą na podwiniętym ogonie. Płakała..

– Och, Markee, więc żyjesz? Wszystko w porządku? Tak mi przykro! Nie chciałam cię uderzyć.

– Wydaje się, że nic mi nie jest – powiedział chrypliwym głosem. – To tylko wypadek. Nie przejmuj się.

– Och, jak się cieszę! – Objęła go za szyję i uściśnęła tak energicznie, że kręgi alarmująco zatrzeszczały.

– Teraz chętnie wysuszyłbym ubranie.

Louie, czy mógłbyś... ojejku...

– Jasne – powiedział Connaught, poma-

gając mu wstać. – Rozłożymy twoje rzeczy na kaloryferze w męskiej umywalni, a na czas, kiedy będą schły, dostaniesz ode mnie jakieś portki i bluzę.

Kiedy Vining wyszedł z umywalni w pożyczonym ubraniu, musiał przeciskać się przez tłum ludzi tłoczących się przy 173

platformie startowej. Z ulgą skonstatował, że Alice gdzieś zniknęła. W tłumie dojrzał Ianthę usadowioną na wózku i przyjmującą hołdy ze wszystkich stron. Przed nią stał

odwrócony plecami do basenu jakiś bar-czysty człowiek w wieczorowym stroju i czarnym płaszczu.

– Niech mi pani pozwoli – mówił. – Nazywam się Joseph Clement. Gdybym został pani agentem, mogłaby pani spełnić wszelkie swoje marzenia o karierze teatralnej lub muzycznej. Słyszałem pani śpiew i dobrze wiem, że dzięki niewielkim ćwiczeniom mogłaby pani osiągnąć taki poziom, że nawet podwoje Metropolitan w mig stanęłyby przed panią otworem.

– Nie, panie Clement. To miła propozycja, ale jutro muszę ruszać do domu – zachichotała.

– Ależ droga panno Delfoiros... gdzie pani mieszka, jeśli wolno mi spytać?

174

– Na Cyprze.

– Na Cyprze? Hm, a gdzie to jest?

– Nie wie pan, gdzie leży Cypr? A więc nie jest pan miłym człowiekiem. Nie lubię pana. Niech pan sobie idzie.

– Ależ, droga panno Del...

– Niech pan sobie idzie, powiedziałam.

No dalej, spadaj!

– Ale...

Ogon Ianthy uniósł się i przeciął powietrze, trafiając wyelegantowanego mężczyznę dokładnie w spłot słoneczny.

Malutka panna Havranek spojrzała na koleżankę z klubu, pannę Tufts, przygotowując się do przeprowadzenia trzeciej już akcji ratunkowej tego wieczoru.

– Osobiście – powiedziała – mam już dość wyciągania tych ciołków, którzy co chwila topią się w basenie.

Następnego dnia, kiedy szarość poranka 175

próbowała zawładnąć niebem, Laird wyprowadził samochód – olbrzymią sfatygowaną taksówkę z siedzeniami pasażerskimi oddzielonymi szczelną ścianą od fotela kierowcy – na podjazd przed swoim domem w Bronksie. Aczkolwiek od kiedy pamiętał, zawsze miał swój samochód i nigdy nie był taksówkarzem, nie potrafił

oprzeć się pokusie, którą stanowiły śmieszne ceny, po jakich oferowano przechodzone taksówki. Zamontował odczepiany dach nad przednim siedzeniem, gdyż nadciągały wielkie deszczowe chmury.

Wyszedł z wozu i pomógł Viningowi załadować do środka Ianthę. Vining usiadł z tyłu razem z syreną. Po chwili usłyszał

jego głos przez tubę umożliwiającą pasażerowi kontakt z szoferem.

– Plaża Jonesa w Chauncey.

– Aye, aye, sir – padła odpowiedź. – Po-słuchaj Mark, czy o czymś nie zapomnieli-176 śmy?

– Sprawdziłem wszystko według listy –

urwał. – Szkoda, że nie pospałem dłużej.

Jesteś pewny, że nie zaśniesz za kółkiem?

– Zważywszy na te litry kawy, jakie mi chlupoczą w całym ciele, zapewne nie będę mógł usnąć przez tydzień.

– Niezłą wybraliśmy sobie porę na wyjazd.

– Wiem. Ale za kilka godzin to miejsce zaczną okupować reporterzy. Gdyby nie paskudna

pogoda, pierwsi zaczęliby się zjeżdżać już teraz. Ale kiedy przybędą i zobaczą, że koń ukradł drzwi stajni... no, to powiedzonko chyba nie najlepiej pasuje do sytuacji, ale rozumiesz, w czym rzecz.

Radzę ci zaciągnąć zasłonki do czasu, kiedy będziemy już na Long Island.

– W porządku, Herb.

Iantha odezwała się potulnym głosem:

177

– Czy strasznie zachowywałam się wczoraj, kiedy byłam pijana?

– Nie tak strasznie. Przynajmniej nie gorzej niż ja, gdybym cały wieczór pływał w basenie wypełnionym sherry.

– Tak mi przykro... zawsze staram się być miła, ale słodka woda w mig uderza mi do głowy. A ten biedny pan Clement, którego wepchnęłam do basenu...

– Och, on jest przyzwyczajony do ludzi o nieokiełznanym temperamentem. Taki już ma fach. Ale z kolei pomyślał, żeby w drodze powrotnej do domu wystawiać ogon za okno, żeby pacnąć nim w szczękę policjanta, nie wydawał mi się zbyt rozsądny.

Zachichotała.

– On miał taką dziwną minę!

– No pewnie! Ale dziwny glina często staje się bardzo przykrym gliną.

– Czy to przysporzy wam kłopotów?

– Nie sądzę. Jeśli jest rozsądnym face-178

tem, to raczej nie puści pary z gęby. Wyobrażasz sobie, jak dziwnie brzmiałby jego raport: „Zaatakowany przez syrenę na rogu Broadway i Dziewięćdziesiątej Ósmej Ulicy o jedenastej czterdzieści pięć w nocy”.

A gdzie nauczyłaś się nieocenzurowanej wersji „Ballady o żeglarzu Billu Pąklu”?

– Nauczył mnie jej pewien grecki poła-wiacz gąbek, którego spotkałam na Florydzie. To przyjaciel syren. Uczył mnie angielskiego. Kiedy rozmawialiśmy po grecku, wyśmiewał się z mojego cypryjskiego akcentu. To przecież bardzo miłutka piosenka, nieprawdaż?

– „Miłutka” to chyba niezbyt właściwe słowo.

– Aha, no i w końcu wygraliśmy te zawody? Nic na ten temat nie usłyszałam.

– Och, Louie i Herb wszystko przedys-

kutowali i doszli do wniosku, że im obu cała sprawa przysporzy tyle popularności, 179

że nie warto się spierać o wynik. Zostawiają rozstrzygnięcie członkom komisji Związku, którzy na pewno dostaną od tego bólu głowy. My będziemy upierać się przy tym, że nie oszukaliśmy Alice, gdyż Louie już wcześniej przyczynił się do jej dyskwalifikacji poprzez nawoływanie i machanie rybą. Widzisz, to się nazywa doping, a tego rodzaju dopingowanie zawodnika podczas zawodów jest nielegalne. Ale powiedz mi, Iantho, dlaczego musisz tak nagle nas opuścić?

Wzruszyła ramionami.

– Skończyłam już interesy z 'Erbertem, a obiecałam wrócić na Cypr, zanim urodzi się dziecko mojej siostry.

– A więc wy nie znosicie jaj? No tak, oczywiście, że nie. Czy sam wczoraj nie udowadniałem, że jesteście ssakami?

– Markee, a cóż to za pomysły! Tak czy siak, nie mam ochoty zostawać tu dłużej.

180

Lubię ciebie i 'Erberta, ale nie lubię przebywać na lądzie. Wyobraź sobie tylko, że sam jesteś

zmuszony do życia w wodzie, a będziesz wiedział, o co mi chodzi. A poza tym, jeśli zostanę, zaraz zjawią się dziennikarze i wkrótce cały Nowy Jork dowie się o moim istnieniu. My, syreny, nie chcemy, by lądoludzie wiedzieli o nas zbyt wiele.

– A to dlaczego?

– Kiedyś nasze ludy łączyła przyjaźń; jednak zawsze mieliśmy z nimi wiele kłopotów. Teraz na dodatek lądoludzie mają broń i chodzą wszędzie, strzelając do osób, które znajdują się w odległości mili, a potem zabierają je ze sobą. Zeszłego roku mój wujek został postrzelony w ogon przez jakiegoś pilota, który myślał, że to jakiś morświn lub coś w tym rodzaju. Nie podoba nam się, że 'ycle chcą nas zabijać i zabierać. Dlatego też, kiedy widzimy jakąś łódź albo samolot, nurkujemy głęboko i 181 prędko odpływamy.

– Pewnie dlatego – powiedział z namy-

słem Vining – w dawnych wiekach pełno było przekazów o syrenach, a potem nagle przestano was widywać i teraz ludzie nie wierzą w wasze istnienie.

– Tak. Nasi ludzie są bardzo sprytni, a widzimy na taką samą odległość jak człowiek lądowy. Tak więc rzadko zdarza się wam schwytać kogoś z naszych. Dlatego też cała ta transakcja z 'Erbertem na dziesięć tysięcy czepków dla syren musiała być całkowicie utajniona. Może później uda nam się zakupić dobre noże i włócznie w ten sam sposób. Będą lepsze niż broń z muszli, której używamy teraz.

– A te wszystkie monety pewnie bierzecie z wraków?

– Tak. Wiem o istnieniu jednego takiego wraka, tuż u wybrzeży... ale nie, nie mogę ci powiedzieć. Kiedy lądoludzie usłyszą o 182

nim, zaraz na dnie morza pojawiają się całe watahy nurków. Oczywiście, o te ukryte na dużych głębokościach wcale się nie martwimy, ponieważ nie potrafimy zejść tak głęboko. Musimy się wynurzać, żeby zaczerpnąć powietrza, jak wieloryby.

– W jaki sposób Herbertowi udało się zaciągnąć cię na te zawody?

– Och, obiecałam mu, kiedy mnie o to poprosił... wtedy nie wiedziałam, jaki... jak wy to mówicie... skandal wywoła moje pojawienie się na pływalni. Kiedy już się dowiedziałam, nie pozwolił mi wykręcić się z danego słowa. Myślę, że zdaje sobie sprawę, ile mnie to kosztowało i dlatego dał mi ten piękny 'arpun.

– Czy myślisz, że jeszcze kiedykolwiek tu wrócisz?

– Raczej nie. Wybraliśmy komitet, który miał się zająć zdobyciem czepków, a komitet wytypował mnie na swoją przedsta-183

wicielkę. Ale teraz, kiedy wszystko już zostało załatwione, nie ma potrzeby, abym musiała jeszcze kiedykolwiek wychodzić na ląd.

Zamilkł na chwilę. I nagle wybuchnął:

– Iantha, nie mogę wprost uwierzyć, że dziś wyruszasz w podróż przez Atlantyk, a ja nigdy więcej cię już nie zobaczę.

Poklepała go po ręce.

– Może i trudno ci w to uwierzyć, ale tak właśnie jest. Pamiętaj, przyjaźń pomiędzy syrenami a ludźmi zawsze kończy się nieszczęściem. Będę cię pamiętać jeszcze bardzo długo, ale to wszystko, co może nas łączyć.

Mężczyzna zmełł coś w ustach, patrząc tępo przed siebie.

– Mark – odezwała się znowu Iantha –

wiesz, że cię lubię i myślę, że ty także mnie lubisz. 'Erbert ma w domu taką maszynę z ruchomymi

obrazkami. Pokazał mi 184

kilka obrazków z życia ludzi na łódzie. Na nich widziałam, że w tym kraju ludzie, którzy się lubią, mają bardzo ładny zwyczaj. On się nazywa... pocałunek, chyba ja-koś tak. Chciałabym się tego nauczyć.

– Że niby co? To znaczy... ze mną? –

Dla mężczyzny obdarzonego temperamen-

tem Vininga, taka wiadomość musiała stanowić szok odczuwalny niemal jak fizyczny ból. Ale jej ramiona już obejmowały go za szyję. Wydawało mu się, że w jego wnętrzu wybucha dwadzieścia rac, sześć fajerwerków i jedna potężna rakietka.

– No to jesteśmy na miejscu – zawołał

Laird.

Nie słysząc żadnej odpowiedzi, powtó-

rzył tę informację nieco głośniejszym głosem. Przez tubę usłyszał ściszone i pełne entuzjazmu:

– O taaak.

Plaża Jonesa wydawała się wyblakła pod niskim pułapem ciemnych, mrocznych chmur. Wiatr siekł szyby samochodu kroplami deszczu.

Jechali piaszczystą drogą wzdłuż wybrzeża do chwili, gdy wysoka wieża na plaży zniknęła w deszczu. Dookoła nie było widać żywej duszy.

Obaj mężczyźni zanieśli Ianthę w dół

plaży, a potem przynieśli rzeczy, które miała ze sobą zabrać. Była to skrzynia wypełniona puszkami sardynek ze specjalnymi pasami umożliwiającymi przytroczenie jej do pleców, podobne, ale nieco mniejsze pudło z jej rzeczami osobistymi, no i har-pun, żeby mogła sobie upolować po drodze coś na lunch.

Syrena zdjęła ubranie lądowej kobiety i naciągnęła na głowę szmaragdowy czepek pływacki. Vining patrzył na nią, a jego płaszcz łopotał na wietrze, majtając mu się pod nogami. Czuł, że pokruszone serce wysypuje mu się przez szpary w butach na 186

piasek plaży.

Uścisnęli sobie dłonie i Iantha ucałowa-

ła ich obu. Następnie popęzła po piachu do wody i wkrótce zniknęła im z oczu. Viningowi zdawało się, że macha mu dłonią z grzbietu fali, ale przy tak słabej widoczności trudno było mieć jakąkolwiek pewność.

Szli w kierunku samochodu, mrużąc oczy przed deszczem, który spryskiwał im twarze.

– Posłuchaj, Mark – odezwał się Laird –

wyglądasz, jakbyś opił się octu.

Vining ograniczył się do nieartykułowanego mruknięcia. Usiadł z przodu razem z Lairdem i zabrał się do wycierania okularów chusteczką; ową czynność wykonywał z taką uwagą i zaangażowaniem, jakby była to niesłychanie skomplikowana i delikatna operacja, wymagająca największego skupienia.

187

– Nie mów mi, że się nie zadurzyłeś.

– I co z tego?

– Cóż, wydaje mi się, że w tej sprawie chyba nic się nie da zrobić.

– Herb! – uciął gniewnie Mark. – Czy musisz przypominać mi to, co oczywiste?

Laird nie obraził się, szczerze współczując koledze. Po pewnym czasie Vining sam się odezwał.

– To była – oświadczył – jedyna kobie-ta, z którą czułem się swobodnie. Mogłem z nią normalnie porozmawiać.

Potem dodał:

– Nigdy w życiu nie czułem się taki skołowany. I wątpię, żeby ktokolwiek na tym świecie kiedykolwiek czuł się podobnie jak ja w tej chwili. Może powinienem czuć ulgę, że to wszystko się skończyło. Ale ja-koś nie czuję.

Znów na chwilę zapadła cisza.

– Jak będziemy z powrotem w mieście –

188

odezwał się znowu – to podrzucisz mnie na Manhattan, dobra?

– Jasne, gdzie tylko będziesz chciał. Pod twoje mieszkanie?

– Wysadź mnie gdzieś w pobliżu Times

Square. Mam tam swój ulubiony bar.

Przynajmniej, pomyślał Laird, w sytuacji kryzysowej normalne męskie instynk-ty funkcjonowały prawidłowo.

Kiedy wysadził Vininga na Czterdziestej Szóstej Ulicy, młody prawnik odszedł, znikając w smugach zacinającego deszczu.

Laird z zaskoczeniem przysłuchiwał się melodii wystukiwanej przez deszczowe krople. Przypominała mu muzykę napisaną do jednego z wierszy Kiplinga. Tylko nie pamiętał w tej chwili, do którego.

189

C. L. MOORE

OWOC POZNANIA

(Fruit of knowledge)

Przełożył Rafał Wilkoński

C. L. Moore (1911-1987) nigdy nie zyskała uznania krytyki, na jakie w pełni zasługuje jako jedna z pierwszych dam literatury science fiction. Często była anonimową współautorką książek Henry'ego Kuttnera. Współpracowała z nim głównie przy tworzeniu powieści, których fabuła zacierała granicę pomiędzy fantastyką naukową a fantasy, takimi jak „Valley of the Flame” (Dolina ognia) czy „Well of the Worlds” (Stud-nia światów). Jej krótkie formy, napisane samodzielnie, za-sługują na uznanie ze względu na wyrazistość postaci oraz ich psychologicznych motywacji. Dwa najbardziej znane opowiadania to debiutanckie „Shambleau”, w którym po raz pierwszy pojawia się jej ulubiony bohater Northwest Smith, oraz „Vintage Season” (Winobranie), opisujące grupę turystów z przyszłości, którzy niewidzialni dla innych badają przeszłość, przy czym to ostatnie uważane jest za klasyczny 190

już utwór fantastyki spekulatywnej.

To był pierwszy szabat. Nad rozległymi polanami Edenu powiewał lekki wietrzyk. Jak okiem sięgnąć panował absolutny bezruch, jeśli nie liczyć małej główki wyposażonej w parę skrzydeł, która z furkotem przemknęła, ziewając, nad polaną i zniknęła wśród drzew, a ich konary rozchyliły się, by zrobić jej miejsce. W gęstym powietrzu uskrzydłona główka zostawiła za sobą wyraźny, drżący ślad niczym kilwater na wodzie o niezrównanej przejrzystości.

Gdzieś daleko i wysoko w górze słychać było niewyraźne echa podniosłych pień:

„Hosanna... hosanna...”. To serafini śpiewali wokół Tronu.

Wodne oczko na brzegu polany mieniło

się niczym wielki, ciemny klejnot. Gładka tafla wody dawała także wspaniałe odbicie.

Kobieta, która się pochylała nad stawem, 191

właśnie dokonała tego odkrycia. Przybliży-

ła głowę tak blisko wody, że omal nie zamoczyła sobie gęstych, ciemnych włosów.

Otoczał ją jakiś dziwny cień, przypominający szatę z niezwykle delikatnej tkaniny, która niezbyt dokładnie okrywała jej olśniewające wdzięki. I chociaż nie czuła nawet najlżejszego podmuchu wiatru, utkana z cienia szata łopotąła niespokojnie na jej ciele, a włosy falowały, jakby poruszone bryzą, która przecież przestała już wiać.

Kobieta zachowywała się bardzo cicho, kiedy przelatująca głowa cherubina zatrzymała się nad wodą, aby jej się przyjrzeć, zawisnąwszy nieruchomo w powietrzu niczym koliber, tuż nad swoim odbiciem w stawie.

– Prześliczna! – cherubin zawołał z aprobatą cienkim, piskliwym głosem. –

Jesteś tu nowa, prawda?

192

Kobieta podniosła wzrok, a na jej twarzy z wolna zaczął pojawiać się uśmiech.

Odgarnęła do tyłu welon ciemnych włosów.

– Tak – odparła cicho. Jej głos brzmiał

niepewnie. Dotąd nie miała jeszcze okazji, by go używać.

– Spodoba ci się w Ogrodzie – powie-

dział cherubin lekko protekcyjnym tonem, przez chwilę energicznie machając tęczowymi skrzydłami. – Czy mógłbym ci w czymś pomóc? Mam wolną chwilkę. Z ochotą cię oprowadzę.

– Dziękuję – uśmiechnęła się kobieta, tym razem trochę śmielej. – Dam sobie radę.

Cherubin wzruszył kolorowymi skrzydłami. – Jak sobie życzysz. A tak przy okazji, mam nadzieję, że ostrzeżono cię, abyś nie zbliżała się do Drzewa?

Kobieta rzuciła mu szybkie spojrzenie.

193

Jej ciemne oczy zwęziły się.

– Do Drzewa? Czyżby było niebezpieczne?

– Nie, nie. Po prostu nie należy go dotykać, to wszystko. Chodzi o to drzewo po-

środku Ogródu, Drzewo Poznania Dobra i Zła... nie da się go przeoczyć. Widziałem, jak

Człowiek przyglądał mu się wczoraj przez dłuższą chwilę. O, właśnie, czy widziałaś się już z Człowiekiem?

Kobieta pochyliła głowę w taki sposób, że włosy opadły jej na twarz, zasłaniając ją niczym gęstą woalką. Zza tej zasłony głos zabrzmiał tak, jakby uśmiechała się, wypowiadając słowa:

– Właśnie mnie oczekuje.

– Ach tak? – cherubin był wyraźnie pod wrażeniem. – Znajdziesz go w okolicach gaju pomarańczowego, na wschód od Drzewa. Odpoczywa tam. Dziś jest Dzień Odpoczynku, wiesz? – Podniósł brew i po-

rozumiewawczo wskazując w stronę nieba dodał: – On także odpoczywa. Słyszysz te śpiewy?

Stworzył Człowieka dopiero wczoraj, z tej właśnie ziemi, na której sto-isz. Wszyscy się temu przyglądaliśmy To było coś cudownego... Potem nadał człowiekowi imię Adam, zaś Adam nazwał wszystkie zwierzęta... A tak przy okazji: jak ty masz na imię?

Kobieta posłała uśmiech swemu zawo-

alowanemu odbiciu w wodzie. Odpowiedziała dopiero po chwili.

– Lilith.

Cherub spojrział na nią oczami, które z wolna robiły się coraz szersze i większe, aż w końcu przypominały dwa wielkie błękitne krążki wyrażające najwyższe zdziwienie. Przez jakiś czas nie mógł wydobyć z siebie słowa. Potem ściągnął swe różowiućki wargi i wyszeptał:

– Przecież... – zająknął się – ty... ty je-195
steś Królową Powietrza i Mroku!

Kątem oka posyłając mu rozbawione spojrzenie, kobieta przytaknęła skinieniem głowy. Cherubin przypatrywał się jej wielkimi oczyma jeszcze przez chwilę, czekając, aż znów będzie w stanie mówić. Lecz nagle zatrzepotał gwałtownie tęczowymi lotkami i jak strzała śmignął w stronę drzew bez słowa pożegnania, znów pozostawiając za sobą na wpół widoczny, rozedrgany ślad w przezroczystym powietrzu.

Patrzyła za nim z mrocznym uśmiechem na twarzy. Na pewno poleciał ostrzec Adama. Jej uśmiech stał się nieco szerszy.

Niech sobie leci.

Lilith po raz ostatni rzuciła okiem na lu-strzaną powierzchnię sadzawki, aby przyjrzeć się temu dziwnemu, nowemu kształto-wi jaki przybrała. Absolutna nowość – nawet Bóg nie wiedział nic o istnieniu czegoś 196

podobnego. I co dziwniejsze, wydawało jej się, że polubi tę swoją nową postać.

Wbrew wcześniejszym obawom, nie była

sztywna ani ciężka, a ponadto nie potrafiła się oprzeć niezwyklej rozkoszy, jakiej do-znawała, czując delikatny powiew bryzy pieszczący ciało, zapach wiosennej słodyczy wypełniający nozdrza i miękki dywan trawy ścielący się pod jej bosymi stopami.

Ogród promieniał pięknem, z którego w ogóle nie zdawała sobie sprawy, dopóki nie ujrzała go ludzkimi oczyma. Wszystko, co przez nie widziała, wyglądało zupełnie inaczej. W tym ciele jej zmysły uległy dziwnemu przeorientowaniu, tak jakby ona, która zawsze widziała wszystko z kry-staliczną wyrazistością, teraz przyglądała się światu przez różnobarwne tęcze. Ale ta zmiana była bardzo przyjemna. Żałowała, że nie ma więcej czasu, aby móc dłużej nacieszyć się pobyt w tym pięciozmysło-197

wym ciele, jakie zostało również dane Adamowi.

Niestety, musiała się spieszyć. Spojrzała w stronę jasnej, nieporuszonej plamy blasku rozciągającej się ponad drzewami, jak gdyby mogła wzrokiem przeniknąć przez niebieski strop i dostrzec Boga spoczywającego na Tronie wśród niewyobraźnego splendoru, podczas gdy serafini ustawieni ponad Nim w długie, lśniące rzędy śpiewali podniosłe pieśni chwały. W każdej chwili On mógł wstać i spojrzeć w dół na Eden.

Niemal instynktownie Lilith szczelniej okryła się cienistą szatą. Jeśli nie będzie przyglądał się zbyt uważnie, to może Jego oczy nie przenikną tego cienia. Ale jeśli wyostrzy wzrok... dreszczyk podniecenia, niczym rozgałęziająca się błyskawica, przeszył to dziwne nowe ciało, które przybrała. Lubiała ryzyko.

Kiedy po raz ostatni pochylała się nad 198

stawem, przypominał on wielkie, ciemne oko, które wpatrywało się w nią bacznie, jakby zdając sobie sprawę z jej obecności.

Przebywała wewnątrz żyjącego Ogródu.

Przezroczyste powietrze drgało rytmicznie pomiędzy drzewami, ziemia ugięła się sprężysto pod jej stopami, wysokie pną-

cza rozsuwały się na boki, aby mogła przejść. Lilith podążając śladem cherubina zostawionym w

powietrzu, nie kryła zaskoczenia na widok rozstępujących się drzew. Najwyraźniej istniała bardzo mocna więź łącząca ciało z ziemią i wszystkim, co z niej wyrastało – może dlatego piękno ogrodu robiło piorunujące wrażenie na jej nowej postaci, ponieważ tak dobrze naśladowała ona to ciało, które wczoraj było częścią Ogrodu. A jeśli ona odczuwała ów związek tak wyraźnie, to co musiał czuć Adam, który jeszcze wczoraj był ziemią?

Ogród sprawiał wrażenie olbrzymiej, na 199

wpół świadomej istoty otaczającej ją ze wszystkich stron, drgającej nieznacznie w rytm pulsującego powietrza. Czy to wła-

śnie z tego potężnego, rozedrganego ucieleśnienia żyzności i płodności Bóg wy-wiódł wszelkie żywe stworzenie, jakie za-pełniało Eden? Czy Adam był jedynie zo-gniskowaniem oraz intensyfikacją tego samego życia, które tętniło w całym Ogrodzie? Dzieło stworzenia stanowiło coś absolutnie nowego, musiała więc poprzestać na snuciu domysłów.

Kiedy nie spiesząc się, szła pośród drzew, przypominała sobie także o Drzewie Poznania. Drzewie zarazem kuszącym i zakazanym. Dlaczego? Czyżby Bóg poddawał Człowieka jakiejś próbie? Czy więc nie był Człowiek stworzeniem całkowicie kompletnym? Czy w Edenie mogło być cokolwiek niedoskonałego? Nagle zdała sobie sprawę, że tak właśnie musiało być.

200

Sama jej obecność w tym miejscu była tego wyraźnym dowodem, jako że spośród wszelkich istnień to przede wszystkim ona nie miała prawa zakradać się na tę magiczną kulę, która była największym dziełem Boga. A tymczasem znajdowała się w samym jej sercu, o czym nie wiedział nawet Bóg, chociaż...

Lilith posłała uśmiech przez korony drzew, ku chórom serafinów; ich pieśń to narastała, to cichła, po czym wznosiła się ponownie, niewyobrażalnie piękna, wysoko ponad lasem. Zwierzęta, które mijala, przyglądały jej się rozszerzonymi oczyma, jakby nieco zmieszane. Najwyraźniej na jej widok czuły jakiś nieokreślony dyskom-fort, aczkolwiek strach nie był jeszcze znany na terenie Ogrodu. Lilith przyglądała się ciekawie wszystkim napotykanym stworzeniom. Uznała, że są bardzo piękne.

Podobało jej się w Edenie.

201

Po chwili poczuła silny zapach bijący zza drzew, zbyt upojny, by się nim rozkoszować, i usłyszała cienki głosik popiskujący w podnieceniu:

– Lilith... Pani Powietrza i Mroku... Oj, to Mu się nie spodoba! Trzeba zawiadomić Michała...

Uśmiechnięta wyszła spomiędzy drzew

na teren zalany łagodnym blaskiem słońca Edenu. Jego promienie nie rozpraszały cienia, który ciemną woalką osłaniał jasne kontury nieznanego dotąd w Edenie kształ-

tu. Raz czy dwa razy nieuchwytna bryza uniosła jej włosy przypominające wielką czarną chmurę otaczającą jej głowę, chociaż w tym samym czasie ani jeden listek nie poruszył się na żadnym z drzew. Przystanęła, patrząc na otwartą przestrzeń, i wówczas poczuła pierwsze drgnienie nieufności wobec nowego ciała.

202

Na porośniętym trawą wzgórku, w peł-

nym słońcu, pod kwitnącymi drzewkami pomarańczowymi leżał Adam. Drzewa i kwiaty Edenu były precudne w oczach nowego ciała Lilith, a dochodzące zewsząd aromaty wprawiały ją w błogi stan; teraz miała przed sobą wcielenie doskonałości świeżo uformowane z ciepłej, czerwonej ziemi Edenu na obraz i podobieństwo Twórcy; Lilith była przerażona, ale odczuwała również niewypowiedzianą przyjem-ność. Nie ufała pięknu, za którego sprawą stanęła bez ruchu pod

drzewami, nie rozumiejąc, dlaczego właściwie się zatrzymała.

Mężczyzna leżał na trawie z szeroko rozrzuconymi, muskularnymi nogami i ramionami, z odchyłoną do tyłu głową, którą zdobiły blond loki, śmiał się do cheruba.

Jego sylwetka i każdy najdrobniejszy gest, jaki wykonywał, miały w sobie nieodparty urok męskiego piękna, tak doskonałego, że 203

mogło wyjść jedynie spod ręki istoty Wszechmocnej. Chociaż nie nosił żadnego ubrania, nie wydawał się bardziej nagi niż ona, gdyż spowity był tajemniczą poświatą subtelnego blasku, który otaczał go, połyskując niczym aureola.

Cherubin w podnieceni to podlatywał w górę, to opadał w dół, kwicząc gorączkowo:

– Ona nie powinna tutaj być! Dobrze o tym wiesz! Ona jest chodzącym złem, właśnie tak! Bogu to się nie spodoba! Ona... –

Lecz kiedy spojrział ponad głowę Adama, jego oczy napotkały oczy Lilith. Gwałtownie przełknął ślinę, piskliwym tonem wykrzyczał ostatnią przestrożę: – Radzę ci, uważaj! – i odfrunął, szeleszcząc pomiędzy liśćmi, oglądając się za siebie ponad skrzydłem.

Adam skierował spojrzenie w stronę, gdzie przed chwilą patrzył cherubin.

204

Uśmiech zniknął z jego twarzy i mężczyzna powoli wstał. Kształtne mięśnie smukłych nóg i długich rąk prężyły się przepięknie pod świetlistym odzieniem, kiedy się poruszał. Doskonałość była widoczna w każdym geście. Lilith miała przed sobą stworzenie bez skazy, najnowsze osiągnięcie bożego kunsztu. Zbliżał się niespiesznym krokiem. Na jego twarzy malowało się zdziwienie.

Przyglądała mu się coraz bardziej nieufnie. Wszelkie inne wspaniałości Ogrodu dostarczały jej przyjemności abstrakcyjnej, pozostawiając ją panią samej siebie. Ale teraz stanęła wobec czegoś, czego absolutnie nie rozumiała. Spoglądała zmieszana przez oczy ciała; w Adamie było coś jednocześnie nieznanego i pociągającego. Po-

łożyła dłoń na górnej części tułowia, która unosiła się i opadała w rytm jej oddechu.

Poczuła, jak coś wali mocno pod miękka, 205

zaokrągloną wypukłością z cielesnej materii.

Adam podszedł bliżej. Spotkali się na środku polany i przez długą chwilę milczeli. Mężczyzna odezwał się przepięknym głosem o głębokim i czystym brzmieniu:

– Jesteś... jesteś dokładnie taka, jak sobie wyobrażałem... Wiedziałem, że gdzieś musisz być, wystarczy tylko, żebym cię odnalazł. Gdzie się ukrywałaś?

Z wyraźnym wysiłkiem Lilith zapanowała nad dziwnym, nieznanym jej odczuciem: fale gorąca zalewały jej ciało. W

końcu to dwunogie stworzenie było jedynie ograniczoną świadomością zamkniętą w nowo uformowanym ciele, niczym wię-

cej, i w gruncie rzeczy nie miało znaczenia, jakiego kształtu było to ciało. Zadanie, które miała wykonać, należało do niebezpiecznych; nie mogła marnować czasu na podziwianie stojącego przed nią mężczy-206

zny tylko dlatego, że przypadkiem jego widok sprawiał przyjemność oczom jej nowo nabytego ciała. Spojrzała na Adama spod rzęs, gruchając przymilnie, a jej głos był słodki jak miód:

– Nie było mnie tu, dopóki o mnie nie pomyślałeś.

– Dopóki ja o tobie nie... – końcówki złocistych brwi Adama spotkały się pośrodku czoła.

– Bóg stworzył cię na Swój obraz i podobieństwo – wyjaśniła Lilith, trzepocząc rzęsami. –

Wciąż jest w tobie tyle z Boga...

czyżbyś nie wiedział, że także możesz stwarzać, jeśli tylko wystarczająco mocno czegoś pragniesz?

Pamiętała głęboką tęsknotę i pragnienie pobrzmiewające w tym pulsującym wezwaniu, które potężnymi falami rozchodzi-

ło się od Ogrodu, i wydawało się skierowane wyłącznie do niej. Pamiętała, z jaką 207 rozkoszą mu się poddała i jak bez najmniejszego sprzeciwu podporządkowała swą wolę woli niewidzialnego nawoływacza z Ogrodu. Pozwoliła, aby tajemniczy zew wydobył ją z płynnej próżni i modelował na niej ciało wedle swego gustu, aż do chwili, kiedy całe jej jestestwo zostało umieszczone w pojemniku z dziwnej, miękkiej, elastycznej i uległej substancji, która okazała się tak zdradliwie wrażliwa na wszystko, co spotykała w Edenie.

Adam potrząsnął złotymi kędziorami, nic nie rozumiejąc.

– Nie było cię tutaj. Nie mogłem cię znaleźć – powtórzył, jakby wcale jej nie słyszał. – Przez cały dzień przyglądałem się zwierzętom i wszystkie z nich tworzyły pary, z wyjątkiem Człowieka. Wiedziałem, że musisz być gdzieś tutaj. Wiedziałem, jak będziesz wyglądać. Pomyślałem sobie, że jak cię znajdę, nadam ci imię Ewa, Mat-208

ka Wszystkich Żyjących. Podoba ci się?

– To dobre imię – wymruczała Lilith, jeszcze bardziej zbliżając się do mężczyzny – ale nie dla mnie. Ja jestem Lilith –

ta, która wyszła z mroku, ponieważ mnie potrzebowałeś. – Obdarzyła go olśniewającym uśmiechem, a cieniste odzienie mocniej przylgnęło do ramion, kiedy uniosła je do góry.

Adam nie był pewny, co ma zrobić ze

swoimi ramionami, kiedy ona splotła dłonie na jego karku i uniosła się lekko na palcach, podnosząc głowę i zbliżając twarz do jego twarzy.

– Lilith? – powtórzył jak echo zdziwionym głosem. – Podoba mi się ten dźwięk.

Co on oznacza?

– Nieważne – zagruchała najśłodszym głosem. – Przybyłam, bo mnie pragnąłeś. –

A następnie wymruczała rozkosznie: – Pochyl głowę, Adamie. Chciałabym ci coś 209 pokazać...

To był pierwszy pocałunek w historii Edenu. Lilith otworzyła oczy i spojrzała na Adama przerażonym wzrokiem; tak głęboko poruszyła ją przyjemność, jakiej dostarczyło zetknięcie się warg, że ledwie mogła sobie przypomnieć, co sprawiło, iż zapragnęła tej pieśczoły. Adam spoglądał na nią oszołomiony. Wreszcie domyślił się, co ma robić z ramionami. Wybąkał nie mogąc opanować zmieszania:

– Dzięki Bogu, że przysłaś! Szkoda, że nie przysłał cię wcześniej. Moglibyśmy...

Lilith zdążyła już otrząsnąć się nieco z nieznanego jej stanu, i zamruczała łagodnie:

– Czyżbyś nic nie rozumiał, kochany?

Nie Bóg mnie tu przysłał. To ty, ty sam.

Przez to, że na mnie czekałeś, że tak mnie pragnąłeś, sprawiłeś, że wyrwałam się z...

210

nieważne zresztą skąd... i przybyłam do ciebie w tym ciele, które sam dla mnie wy-myśliłeś; wiedziałam, że możemy tu, w Edenie, dokonać razem wspaniałych rzeczy. Jesteś obrazem Boga i masz większą moc niż ci się wydaje, Adamie.

Wspaniały pomysł, jaki powzięła jeszcze w eterycznych otchłaniach, kiedy po raz pierwszy

usłyszała bezgłośnie wezwanie Adama, dodał jej głosowi siły i blasku.

– Dla nas dwojga nie ma tutaj żadnych granic. Możemy dokonać większych dzieł, niż to się kiedykolwiek śniło samemu Bogu...

– Jesteś taka śliczna – przerwał Adam, posyłając jej rozbrajający, pusty uśmiech.

– Tak się cieszę, że tu przybyłaś...

Lilith pozbyła się resztek zapału, wypuszczając je z siebie w postaci długiego westchnienia. Uznała, że nie ma sensu odbywać teraz poważnej rozmowy. Był jesz-211

cze zbyt nowy. Pełen boskiej mocy, to prawda, ale całkowicie mocy tej nieświadom... nieświadom nawet samego siebie jako autonomicznej jednostki. Nie próbował jeszcze Owocu Poznania, a jego niewinność była równie nieskazitelna jak jego uroda. W umyśle Adama nie było, ani nie mogło się znaleźć nic, czego Bóg by tam nie umieścił z chwilą, gdy ukształtował go z ciepłej gleby Edenu.

Ale może to i lepiej. Zbyt niewiele dzieliło Adama od pełnej boskości, aby mógł towarzyszyć jej we wszystkim, co planowała. Jeśli nigdy nie kosztował słodczy poznania, to nie będzie zadawał pytań.

Dlatego też lepiej, żeby w ogóle nie dotykał Drzewa.

Drzewo – myśl o nim przypomniawszy jej, że Eden wciąż był terenem, gdzie prowadzono eksperymenty, nie zaś skończonym dziełem. Pomyślała, że wie już, jaka to 212

usterka tkwi w Człowieku. Ta usterka musiała sprawić, że właśnie ona, Lilith, jako jedyna spośród stworzeń zamieszkujących eter, mogła znaleźć się tutaj, tuż przy samym ośrodku wszelkiej mocy, piękna i niewinności w całym Edenie. Właśnie Lilith, która sama była wcieloną złą i dobrze o tym wiedziała. Bóg uczynił Adama niekompletnym i prawdopodobnie nie zdawał sobie sprawy z istniejącej w nim wady. Zaś Adam, z własnego pragnienia stworzył kobietę, która także nie była stworzeniem kompletnym. Lilith nagle zdała sobie z tego sprawę i od razu zaczęła rozumieć swoje reakcje w zetknięciu z tą cudowną istotą, która wciąż trzymała ją w swych ramionach.

Gdzieś za tym wszystkim musiał kryć się jakiś głębszy zamysł, niezwykle istotny, ale jej umysł nie miał zamiaru go tropić. Raczej uporczywie oganiał się od 213

wszelkich natrętnych myśli, aby skupić się jedynie na mglistej tajemnicy Człowieka, na którego ramieniu opierała swą głowę.

Co za śmieszna rzecz to ciało! Kiedy miała je na sobie, ani niepokojące pytania o Boże zamysły, ani nawet świadomość, że naraża się na wielkie niebezpieczeństwo przybывая tutaj, nie zdołały przyćmić wielkiego wrażenia, jakie wywierała na niej bliskość Adama, objęcie jego mocnego ramienia. Wszystkie priorytety traciły swą ważność w zastraszającym tempie, a najbardziej przerażający w tym wszystkim był

fakt, że w ogóle się tym nie przejmowała.

Z powrotem oparła głowę o bark mężczyzny i wciągnęła nosem miodową woń kwiatów pomarańczy, nadaremnie próbując przypominać sobie, jak bardzo marnuje czas. W każdej chwili Bóg mógł spojrzeć w dół i dostrzec ją, a do tej pory powinna przecież tak wiele dokonać. Koniecznie 214

musi przezwyciężyć tę rozkoszną mgłę, która zasnuwała jej zmysły za każdym razem, kiedy ramię Adama oplatało jej ciało.

Miała jednak sprawić, by Ogród wzmocnił

swą samoświadomość i należało się do tego zabrać już teraz.

Westchnąwszy głośno, splótła swoje palce z palcami Adama i zamruczała naj-przymilniej, jak potrafiła.

– Chciałabym zobaczyć Ogród. Nie oprowadziłbyś mnie?

Gdy odpowiedział, jego głos był pełen żaru:

– Oczywiście! Liczyłem, że mnie o to poprosisz. To takie cudowne miejsce.

Cherubin przefrunął nad doliną, kiedy udawali się na wschód, i z łopotem skrzydeł zatrzymał się, aby na nich popatrzeć; jego twarz wykrzywił grymas gniewu.

– Poczekaj tylko, aż Bóg spojrzy na dół!

– wypiszczął. – Tylko poczekaj!

215

Adam zareagował wybuchem śmiechu, na co cherubin cmoknął z dezaprobatą i odleciał, kręcąc głową.

Lilith także się śmiała, wciąż wsparta na ramieniu Adama. Cieszyła się, że mężczyzna nie rozumiał ostrzeżeń cherubina, głuchy na jego dramatyczne pokrzykiwania w swej doskonałej niewinności. Dopóki bę-

dzie mogła, nie pozwoli mu spróbować Owocu. Nie było w nim najmniejszej wiedzy o złu, i nigdy nie powinno być. Zdawała sobie sprawę, że ona sama stanowi esencję absolutnego zła, będącego przeciwieństwem absolutnego dobra, stanowią-

cego dlań przeciwwagę, dzięki której dobro mogło w ogóle istnieć. Jej zadania w dziele stworzenia były równie ważne, jak zadania Boga, gdyż jak światło nie może istnieć bez ciemności, dostatek bez braku, tak i dobro nie może istnieć bez zła.

Jednak Lilith w ogóle nie czuła w sobie 216

zła w owej chwili. Nie widziała żadnego antagonizmu pomiędzy negacją i przewrotnością, które stanowiły sens jej istnienia, a niezłomną, pozytywną niewinnością kroczącego u jej boku Człowieka.

– Spójrz – powiedział Adam wskazując

okolice szerokim gestem długiego ramienia. Przed sobą mieli stok niskiego wzniesienia, całe ugwieżdżone kwiatami, jeśli nie liczyć niewielkiego wykopu z boku, gdzie widać było świeżą, rozrytą glebę Edenu.

Rozkopane miejsce powoli zarastało już nieśmiałą zielenią.

– To tu zostałem stworzony – powiedział Adam cicho. – Z ziemi tego stoku.

Czy to nie wydaje ci się... nie wydaje ci się cudowne, Lilith?

– Jeśli tobie się tak wydaje – zagruchała, rzeczywiście tak myśląc. – Dlaczego?

– Zwierzęta zdają się nic nie pojmować.

Miałem nadzieję, że ty mnie zrozumiesz.

217

To tak jakby... cały Ogród był częścią mnie. Jeśli będą jeszcze jacyś ludzie, to czy sądzisz, że pokochają tę ziemię tak jak ja, Lilith, dla niej samej? Czy myślisz, że będą czuć to samo co ja, na myśl o miejscu, gdzie się urodzili? Czy jakieś wzniesienie lub dolina będzie dla nich jak część ich ciała, tak że będą cierpieć w oddaleniu od tego miejsca, zaś w razie potrzeby walczyć, a nawet ginąć, by je utrzymać – dokładnie tak, jak ja sądzę, że bym zrobił?

Czy ty też czujesz coś podobnego?

Owionął ich pulsujący wiatr unoszący słodką muzykę serafinów, podczas gdy Lilith spoglądała na dolinę, która wydała na świat Adama. Chociaż bardzo się starała, nie potrafiła pojąć tego gorącego uczucia, które kazało mężczyźnie identyfikować się z ziemią Edenu, uczucia potężnego, od którego krew krążyła szybciej w jego żyłach.

– Eden to ty – wyszeptwała. – Rozumiem to. Nie wolno ci go opuścić.

– Opuścić? – zaśmiał się Adam. – A do-kaąd mielibyśmy pójść? Eden należy do nas na zawsze... a ty należysz do mnie.

Lilith pozwoliła sobie na chwilę rozluź-

nienia, opierając się rozkosznie o ramię mężczyzny, wiedząc, że kocha to nieodpowiedzialne, niebezpieczne ciało, mimo że mu nie ufa. A poza tym...

Coś było nie w porządku. Kiedy nagle

zdała sobie z tego sprawę, poczuła, jak fala chłodu zalewa jej ciało i z niepokojem rozejrzała się dookoła, ale minęło kilka minut, zanim jej ukierunkowane na cielesne doznania zmysły zlokalizowały podejrzaną nieprawidłowość. Wtedy odzyskała rozsą-

dek i spojrzała w górę przez korony drzew, marszcząc brwi.

– O co chodzi? – spytał Adam, patrząc na nią z uśmiechem. – Zobaczyłaś anioły?

Często tędy przelatują.

Lilith nie odpowiedziała. Z całych sił

wy tężała słuch. Do tej pory cały Eden rozbrzmiewał nikłym, kojącym echem pieśni serafinów zgromadzonych wokół Tronu.

Ale teraz dźwięki, które niósł rzeński wiaterek, w niczym nie przypominały hymnów uwielbienia. W niebie panowało jakieś zamieszanie. Słyszała dalekie krzyki, głosy przypominające dźwięk złotych dzwonów, dobiegające z niezmiernych wysokości, szcęk płonących mieczy oraz co jakiś czas trzask i odgłos osypywania się, tak jakby ściany nieba zapadały się do środka pod jakimś niewyobrażalnym naporem.

Trudno było w to uwierzyć, ale najwyraźniej w niebie toczyła się wojna.

Lilith poczuła błogą ulgę. Dobrze, niech sobie wojują. Uśmiechnęła się i jeszcze mocniej przyłgnęła do boku Adama. Zamieszanie, niezależnie co mogło oznaczać, 220

na jakiś czas odwróci uwagę Boga od tego, co dzieje się w Edenie, a to bardzo ją ucieszyło.

Potrzebna jej była ta zwłoka. Dzięki niej zyskiwała więcej czasu na przyzwyczajenie się do dziwacznych kaprysów tego obcego ciała oraz niezrozumiałych reakcji, jakie powodował w nim Adam, zanim skończy się wojna w niebiosach, a zacznie wojna w Edenie pomiędzy Lilith a Bogiem.

Kiedy tak rozmyślała, wstrząsnął ją dreszcz; obawiała się tego, co miało nadejść. Nie była pewna, czy Bóg mógłby zniszczyć ją, gdyby tylko chciał, jako że stanowiła twór ciemności, dokąd nie dochodziło jego światło, a jej istnienie było niezbędne dla istnienia ładu, jaki Najwyż-

szy budował w niebie i na ziemi. Bez takich bytów jak Lilith równowaga świata mogła zostać naruszona. Nie, Bóg na pewno by jej nie zniszczył – może nawet by 221

nie mógł – ale na pewno mógłby straszliwie ją ukarać.

Na przykład to ciało. Było takie miękkie, takie nietrwałe. Miała świadomość an-tynomii ducha i ciała, w którym duch ten zamieszkiwał. Być może Bóg mądrze zrobił wybierając dlań tak delikatny pojemnik zamiast jakiegoś niezniszczalnego naczynia, do którego mógłby przelać całą niewinność i całą moc, jaką obdarzył Adama.

Powierzenie tak wielkiej mocy całkowicie niezależnemu ciału było działaniem niezwykle ryzykownym. Lilith miała zamiar udowodnić to Bogu, o ile jej plan się powiedzie. Ale teraz wcale nie planowała rozgniewać Boga do tego stopnia, aby zniszczył On swoją cielesną podobiznę.

Trzeba było wymyślić jakiś sposób, chcąc temu zapobiec. Przede wszystkim musi wydobyć się z

tej ciepłej, zniewalają-

cej mgły, w której trwała odurzona, gdy ra-222

mię Adama obejmowało jej ciało, ale jeszcze nie musiała się śpieszyć. Przynajmniej dopóki w niebie wrze zacięta walka. Nigdy przedtem nie zaznała takiego nastroju jak teraz, kiedy bliżej nieokreślone emocje rozchodziły się po jej umyśle niczym kłę-

by dymu, i nic w całym stworzeniu nie miało dla niej najmniejszego znaczenia poza tym wspaniałym samcem, na którego barku opierała głowę.

Adam spojrzał na nią i uśmiechnął się, a wtedy wszystkie odgłosy wojny dobiegające z góry ucichły, jakby ich nigdy nie było.

W na wpół świadomym Ogrodzie wszyst-

ko, od najmniejszych ździebełek trawy aż po czubki drzew, poruszało się niespokojnie w rytm bitewnych hałasów dochodzą-

cych z niebios. Ale mężczyzna i kobieta niczego nie słyszeli.

Czas rozplynął się w nicość. Mijał zupełnie niezauważalnie i po chwili zielony 223

półmrok zgęstniał nad całym Edenem.

Adam i Lilith zatrzymali się na porośnię-

tym mchem brzegu strumienia, który z cichym szumem przelewał się po kamieniach. Siedząc z głową wspartą na ramieniu Adama i słuchając szemrania wody, Lilith przypomniała sobie, jak słabo życie było zakorzenione w ich ciałach.

– Adam – wymruczała – przed paroma

chwilami mówiłeś coś o umieraniu. Co ty wiesz o śmierci?

– O śmierci? – zdziwił się Adam, na którym słowo to nie zrobiło najmniejszego wrażenia. – Nic takiego nie pamiętam.

Chyba pierwszy raz słyszę.

– Mam nadzieję – powiedziała Lilith –

że nigdy nie usłyszysz. Bo to by oznaczało opuszczenie Edenu.

Obejmujące ją ramię gwałtownie zeszywniało.

– Nie mógłbym! Nigdy bym tego nie 224

zrobił!

– Nie jesteś nieśmiertelny, mój drogi.

Coś takiego może ci się przytrafić, chyba że...

– Chyba że co? Powiedz!

– Gdyby istniało Drzewo Życia – mówi-

ła wolno, starannie dobierając słowa. –

Drzewo, którego owoce dawałyby nie-

śmiertelność, tak jak owoce tego innego Drzewa dają wiedzę, wtedy, sądzę, że nawet Bóg nie byłby w stanie wypędzić cię poza Eden.

– Drzewo Życia – powtórzył cicho. –

Jak ono może wyglądać?

Lilith zamknęła oczy.

– Po prostu ciemne Drzewo – odpowie-

działa niemal szepcząc. – Ciemne konary, ciemne liście... a wśród nich, jak lampiony, zwisają blade, świetliste owoce. Widzisz je?

Adam milczał. Spojrzała na niego. Oczy 225

miał zamknięte, a w półmroku na jego twarzy można było dostrzec wyraz dojmującej tęsknoty.

Przez długą chwilę żadne z nich się nie odezwało. Nagle poczuła, jak jego napięte ciało, o które była oparta, rozluźnia się. Wypuścił z ust powietrze w długim westchnieniu.

– Sądzę, że Drzewo Życia istnieje – powiedział. – Myślę, że znajduje się pośrodku Ogródu, obok tego drugiego Drzewa.

Jestem tego pewny. Jego owoce są blade, tak jak myślałaś. Świecą jak księżyc w nocy. Jutro ich skosztujemy.

Wtedy Lilith rozluźniła się z głośnym westchnieniem. Jutro on stanie się nieśmiertelny, tak jak ona. Z niepokojem ponownie nastawiła uszu i usłyszała dalekie wojownicze okrzyki serafinów, rozbrzmiewające po całym nieboskłonie. Wojna na wysokościach, a na ziemi pokój...

Przez gęstniejący nad Edenem mrok nie 226 przebijał się żaden dźwięk oprócz melodii strumyka oraz dobiegającej z korony jakiegoś drzewa kołysanki, śpiewanej cieniutkim głosikiem, przypominającym dźwięk fletu, przez cherubina, który w ten sposób próbował ukołysać samego siebie do snu.

Nieco bliżej inne cieniutkie głosiki spierały się sennie, aż w końcu ucichły. Przyjemne zmęczenie ogarniało całe ciało Lilith. Przytuliła policzek do piersi Adama i znów poczuła, jak jej zmysły zasnuwa dobrze już znana mgła. Tym razem była ona tak gęsta, że doznała wrażenia, jakby cała zanurzała się w wodzie, wraz z głową.

I tak upłynął wieczór i poranek, i nastał dzień ósmy.

Lilith zbudziła się pierwsza. Ptaki ćwierkały radośnie, a kiedy leżała przytulona do Adama, jakiś cherubin przemknął po niebie na oślepiająco lśniących skrzydłach, 227

wyspiewując radosną pieśń niesamowicie wysokim dyszkantem. Nie zauważył ich. Rozkoszne delirium wiosennego poranka wypełniło cały budzący się do życia Ogród i Lilith usiadła uśmiechnięta. Adam ledwie się poruszył. Na jego widok poczuła ogromny przypływ czułości, która wzbudziła w niej poważny niepokój. Najwyraźniej zaczynała identyfikować się z Adamem, podobnie jak Adam identyfikował się z Ogrodem.. Ciało było wyjątkowo zdradliwym tworem.

I nagle oślepił ją blask zrozumienia.

Kiedy uświadomiła sobie, co to ciało wyprawia z bytem zwanym Lilith, poczuła, jak przetacza się przez nią gigantyczna fala przerażenia i nie zastanawiając się, a nawet nie zdając sobie w pełni sprawy z tego, co robi, wyskoczyła z wnętrza zdradzieckiego organizmu. Wzbiła się wysoko w górę, przecinając niebo rozświetlone krystalicz-228

nym blaskiem budzącego się dnia, nieuchwytna jak otaczające ją powietrze. Coraz wyżej i wyżej, dopóki Adam, który stał

się zbyt drogi jej przybranemu ciału, nie zniknął z pola widzenia, a zasłaniające go korony drzew nie rozmyły się w zieloną, pierzastą smugę, i jeszcze wyżej, aż do miejsca, skąd mogła zobaczyć mury otaczające Ogród i wypływające z Ogródu rzeki, przypominające cztery długie, srebrne ostrza połyskujące w świetle wstającego słońca.

Obok pogrążonego we śnie Adama nie zostało nic prócz zanikającego konturu ko-biecej sylwetki spowitej w cień, który czynił ją niemal niewidoczną na tle kobierca z mchu. Nawet bystrym okiem trudno ją było wypatrzeć pod drzewami.

Lilith z upodobaniem płynęła przez ja-sną, nieruchomą próżnię świtu. Z tego miejsca całkiem wyraźnie słyszała mocne 229

głosy serafinów, wyśpiewujące gromkie hosanny, rozbrzmiewające potężnie i uroczyście wśród ja – spisowych ścian. Po za-mieszaniu, jakie wstrząsało wczoraj nie-biosami, nie pozostał już żaden ślad. Ale ona wcale nie zaprzętała sobie tym głowy.

Była wolna – wolna od ciała i porażają-
cej słabości, którą pozostawiła za sobą razem z nim. Teraz wszystko widziała wy-rażniej, bez złudzeń i zniekształceń, jakie czyniły życie w ciele tak niepewnym i peł-
nym wątpliwości. Nic już nie mąciło jej myśli. Adam był teraz dla niej niczym wię-
cej jak okazałym naczyniem wypełnionym po brzegi bożą mocą. Podczas pobytu w Edenie jej perspektywa została zbytnio za-burzona, by mogła zrozumieć, jak niewielkie znaczenie miało jego zachwycające ciało w porównaniu z zaklętą w nim potę-
gą.

Pozwoliła, aby chłodny i rzeński eter ob-230
mył ją z iluzji, podczas gdy nurzała się w beczasowej próżni. Znalazła się w większym
niebezpieczeństwie, niż myślała.

Cały ranek musiała spędzić w kąpieli na świetlistych wysokościach, aby oczyścić swój umysł z
wrażenia, jakie wywarł na niej Adam. Odświeżona, uodporniona na zdradliwą słabość, mogła
spokojnie wracać, by na nowo podjąć się swej misji. Musiała się śpieszyć, jeśli chciała uniknąć wy-
krycia przez Boga. A może już miał ją na oku?

Adam wciąż spał mocno, wtulony w mech. Lilith obniżyła lot, wzdrygając się na samą myśl o
ponownym wejściu i tchnięciu życia w ciało, które niedawno porzuciła. Ale gdy była jeszcze w
powietrzu, spotkał ją szok porównywalny z ude-rzeniem błyskawicy. Bowiem w miejscu, gdzie
pozostawiła jedynie ledwie widoczny, efemeryczny kształt kobiety leżącej u 231

boku Adama, zastała całkowicie realne, blade, uśpione kobiece ciało z głową opartą na ramieniu
Człowieka. Złociste pasma włosów rozrzucone były na mchu, a głowa kobiety poruszała się lekko w
rytm oddechu unoszącego pierś mężczyzny.

Lilith zapanowała nad sobą i podleciała nieco bliżej, ale buzowała taką zazdrością i gniewem, o
jaki nigdy by siebie samej nie posądzała. Kobieta była spowita w identyczną poświatę, jaka otaczała
ciało Adama. Ale pod tą aureolą nosiła ten sam kształt, który Lilith miała wcześniej na sobie.

Bolesny zawód wstrząsnął jej zawieszona w powietrzu bezcielesnością. A więc Bóg widział
wszystko, czekając tylko na odpowiednią chwilę, by móc uderzyć. Był
tutaj, może nawet przed chwilą. Poznała to po ciszy, jaka panowała w tym miejscu.

Wszystko wokół zamilkło i znieruchomia-232

ło, jakby onieśmielone i oszołomione niedawną Obecnością. Bóg przechodząc tędy, dostrzegł
niezamieszkaną cielesną powło-kę, którą porzuciła, chcąc popływać w eterze, i z miejsca przejrzał
cały jej plan w jednym mgnieniu swego wszystkowidzą-
cego oka.

Wziął więc ciało, które miała na sobie, i wykorzystał je do własnych celów. – Jej cudne, uległe
ciało, płonące pod dotykiem Adamowej ręki, teraz należało do innej kobiety, i ona zajęła jej miejsce
przy boku Adama. Na samą myśl o tym Lilith aż się zatrzęsała. A więc już nigdy...

Adam obudził się. Lilith obniżyła lot, spoglądając zazdrośnie, jak ziewa, mruga, uśmiecha się i
odwraca swą kędzierzawą głowę, aby spojrzeć na leżącą przy nim kobietę. Przyjrząwszy się jej
dokładnie, męż-

czynna usiadł tak gwałtownie, że blade 233

stworzenie leżące u jego boku jęknęło słodkim, wysokim głosem i otworzyło oczy błękitniejsze
od oczu cherubina, aby spojrzeć na niego z wyrzutem. Mimo iż czuła do niej narastającą nienawiść,

Lilith trudno było zaprzeczyć, że jeśli chodzi o urodę, kobieta mogła równać się z Adamem. Urocza, prześliczna, emanująca błyszczącą pustką absolutnej niewinności.

Jej zgrabne ciało miało pełną wdzięku krągłość i miękkość dotąd w Edenie niespotykaną, ale bez wątpienia był to dawny kształt Lilith i niczyj inny.

Adam spojrział na kobietę nie kryjąc zdumienia.

– L... Lilith – wyjąkał. – Kim ty jesteś?

Gdzie Lilith? Ja...

– Kto to jest Lilith? – zapytała złotowłosa dziewczyna cichym, urażonym głosem; usiadła i obiema rękami, miękkim, płynnym ruchem, z gracją odrzuciła do tyłu 234 włosy.

– Nie wiem. Nie mogę sobie przypomnieć...

Kobieta poczekała, aż mężczyzna zamilknie, a następnie rozejrzała się po Ogrodzie oczyma błyszczącymi z zachwytu. Na koniec jej spojrzenie spoczęło na Adamie, a na jej wargach zakwitł uwodzicielski uśmiech.

Adam położył dłoń na swoim boku, czując po raz pierwszy ukłucie bólu, i ściągnął złociste brwi. Bez żadnej przyczyny przypomniał sobie rozkopany stok, skąd wzięto ziemię, z której został ukształtowany.

Otworzył usta, żeby coś powiedzieć.

I wtedy z szeroko rozlanego blasku poranka przemówił do niego cicho bezcielesny Głos.

– Wyjąłem żebro z twego boku, Człowieku – powiedział Głos, na którego dźwięk zatrzęsa się cała polana, strumyk 235

przestał szemrać, liście znieruchomiały na drzewach i zamilkły wszystkie ptaki. Wypełniając swym brzmieniem cały obszar oświetlony porannym brzaskiem, cały budzący się ze snu Ogród, Głos ciągnął dalej:

– I uczyniłem odpowiednią dla ciebie pomoc i żonę. Ona jest kością z twoich kości i ciałem z twego ciała. Dlatego zapomnij o wszystkich innych kobietach i połącz się z tą jedną. Zapomnij o wszystkich innych...

Głos cichł, nie nagle, lecz rozplywając się w zwielokrotnionym echu, od którego liście zatrzęsnęły się na gałęziach w rytm zanikających sylab. – Zapomnij o wszystkich innych... wszystkich innych... wszystkich innych...

Wydawało się, że wraz z oddalaniem się Głosu gasł także rozświetlający Ogród blask, na który nikt nie zwrócił uwagi, dopóki nie zanikł. Można było odnieść wrażenie, że powietrze ściemniało nieco, 236

zgęstniało i zmętniało, dlatego też odejście Boga zawsze objawiało się gwałtownym mruganiem wszystkich świadków Jego wcześniejszej obecności.

Kobieta przysunęła się bliżej do Adama, wyciągając do niego niepewne ręce, przerażona najpierw bezruchem otoczenia, potem potężnym Głosem, a na koniec ciszą, jaka zapadła w Ogrodzie po uroczystej przemowie. Adam niemal odruchowo objął

ją ramieniem, tłumiąc jej drzenie mocnym uściskiem. Pochylił głowę, kiedy Głos przeszedł we wstrząsające powietrzem echo.

– Tak, Panie – powiedział posłusznie.

Jeszcze przez chwilę wszędzie panowała głucha cisza. Następnie strumyk wypełnił

otoczenie nieśmiałym szmerem, jakiś ptak zaćwierkał coś na próbę, bryza znów zaczęła wiać.

Bóg odszedł.

Bezielesna, wstrząsana emocjami, dla 237

których nie mogła znaleźć właściwej nazwy, Lilith przyglądała się mężczyźnie i kobiecie siedzącym na omszałym brzegu, na którym spędziła wczorajszy wieczór z Adamem. Człowiek spojrzał na tulącą się do niego przerażoną dziewczynę.

– Przypuszczam, że to ty jesteś Ewa –

powiedział głosem tak miłym, że Lilith aż się skrzyła na jego dźwięk.

– Skoro tak mówisz – wymamrotała dziewczyna, spoglądając na niego spod trzepoczących rzęs.

Lilith przeniosła teraz całą nienawiść na mężczyznę. Adam spojrzał ponad blond fryzurą Ewy na drugą stronę zacisznej polanki.

– Lilith? – zapytał. – Lilith...

Gorące pragnienie udzielenia odpowiedzi na to wezwanie kazało Lilith włożyć całą moc swojego jestestwa w jeden gromki krzyk:

– Tak, Adamie... tak! Jestem tutaj!

238

Może nawet usłyszałaby jej odpowiedź, tyle było w niej wewnętrznego żaru, lecz w tej samej chwili Ewa spytała głosem żalącej się dziewczynki:

– Co to za Lilith, Adamie? Dlaczego wciąż ją przyzywasz? Czy ja ci nie wystarczę?

Adam spojrział na nią niepewnie. Kiedy wciąż się wahał, Ewa umyślnie wtuliła się w jego pierś, przywierając do niego całym ciałem, dokładnie w taki sam sposób, jak wcześniej robiła to Lilith. Nawet jeśli nie miałyby innych dowodów, ten wystarczył-

by Lilith, by domyślić się, że to właśnie jej przybranego ciała użył Bóg, aby wymode-lować tę bladą dziewczynę z Adamowego żebra, wzorując się na obrazie, jaki Adam przekazał Lilith w swym tęsknym nawoływaniu. Teraz Ewa miała ciało Lilith na sobie i przez sam fakt jego noszenia poznała, wcale się ich nie ucząc, wszystkie sztuczki, 239

jakich dopracowała się odwieczna mądrość Lilith podczas krótkiego pobytu w tymże ciełe. Utracona cielesność Lilith wraz z wszystkimi sposobami na jej sprytne wykorzystanie, a także Adam, którego Lilith zdobyła dla siebie – wszystko to należało teraz do Ewy.

Furia i rozpacz, ból nie do wytrzymania, od którego wszystko wokół ciemniało, przesłoniły Lilith widok pary pod drzewem. Nie mogła na nich patrzeć ani chwili dłużej. Z bezgłośnym, rozpaczliwym za-wodzeniem odwróciła się i runęła ku gó-

rze, w stronę niekończących się wysokości nad Edenem.

Ale tym razem eter nie uśmierzył jej bólu. Wcześniej także nie dał jej ukojenia.

Bowiem trapiąca ją dolegliwość miała swój początek w ciełe, które nosiła na sobie przez krótką chwilę – ale i tak zbyt dłu-240

go. Bóg uczynił Adama stworzeniem niekompletnym, przeto Adam, chcąc jakoś uzupełnić ten brak, zarzucił sieć, by złapać dla siebie jakieś nieuważne stworzenie.

Czuła, jak pali ją wstyd. Królowa Powietrza i Mroku, niczym jakieś bezmyślne ży-jątko, wpadła w tę pułapkę, on zaś wykorzystał ją w sposób, w jaki ona miała zamiar wykorzystać jego. Stała się jego czę-

ścią, uwięziona w ciełe, które czuło się niekompletne bez niego, a pragnienie jego bliskości zakorzeniło się w Lilith tak głę-

boko, że nie potrafiła przed nim uciec, pomimo że ciało już do niej nie należało. Korzenie wyniszczającej ją choroby znajdowały się w ciełe, ale opanowała ona całe jestestwo Lilith i żadna kąpiel w głębinach kosmosu teraz nie mogłaby jej oczyścić. W

ciełe lub poza nim, na ziemi lub w eterze, cały czas gnębiło ją niezaspokojone pragnienie, które będzie w niej płonąć wieki.

241

Tymczasem w jej umyśle straszliwe po-dejrzenie nabierało coraz wyraźniejszych kształtów. Adam w swej niewinności nie byłby zdolny uknuć podobnego spisku.

Czyżby Bóg wiedział od samego początku? Czyżby niekompletność Adama wcale nie była błędem? Czy to, co ją obecnie spotykało, było karą wyznaczoną przez Boga za próbę pomieszania muzyków?

Nagle wydało jej się, że tak właśnie jest.

Nie będzie żadnej oszałamiającej bitwy pomiędzy światłem i ciemnością, jak przypuszczała od chwili, kiedy Bóg dostrzegł

obecność w świecie absolutnego zła, któ-

rym była. W ogóle nie będzie żadnej walki. Jednym ciosem została pokonana, osą-

dzona i ukarana. Nie było tu żadnej spekta-kularnej porażki, a jedynie ta tęsknota nie do

wytrzymania, to duchowe pragnienie, bardziej niemożliwe do zaspokojenia niż jakiegokolwiek pragnienie ciała. Pragnienie 242

mężczyzny, którego nigdy więcej nie bę-

dzie już miała. Przecinała wietrzne otchłanie rozciągające się nad Edenem, snując się po nich przez tysiąc lat, które równie dobrze mogły być krótką chwilą, jako że w próżni nie istniał czas, bez przerwy myśląc tylko o tym, że utraciła Adama na zawsze.

Na zawsze? Zawirowała wściekle w po-

wietrzu, zatrzymując się nagle w swym dzikim, bezcelowym locie ku górze. Na zawsze? Adam wciąż rozglądał się po Ogrodzie, wołając ją po imieniu, nawet wtedy gdy w ramionach ścisnął tę bladą uzurpatorkę. Być może Bóg nie zdawał sobie sprawy z siły tego duchowego zjednoczenia, jakie stało się udziałem mężczyzny i pierwszej kobiety w Edenie. Być może Bóg nie sądził, że ona podejmie walkę.

Być może była jeszcze jakaś szansa...

Runęła w dół przez świetliste przestworza, spadając i spadając aż do chwili, kiedy 243

Eden zaczął pęcznieć pod nią jak bańka i usłyszała unoszące się nad Ogrodem słodkie, chóralne peany serafinów. Adam i Ewa wciąż siedzieli nad strumieniem, gdzie ich zostawiła. Ewa usadowiła się na dużym kamieniu, małą stopką pluskała w wodzie i rzucała przez ramię ukradkowe spojrzenia błękitnych oczu, Adam zaś śmiał się radośnie, kiedy spojrzenia te spotykały się z jego spojrzeniem. Lilith szczerze nienawidziła tej kobiety.

– Adamie! – zapiszczała Ewa, kiedy rozległ się świst zlatującej z wysokości Lilith. – Spójrz, ja spadam! Złap mnie! Szybko! – Jej głos był tym samym przymilnym gruchaniem, które Lilith włożyła w gardło utraconego ciała. Przypominając sobie, jak okrągłe, miękkie tony rozbrzmiewały w jej krtani, poczuła pożerającą ją od środka bezsilną wściekłość, od której cały Ogród zaczął falować niczym rozgrzane powie-

trze.

– Łap mnie! – zawołała raz jeszcze Ewa, najbardziej uwodzicielskim głosem w świecie. Adam skoczył, by schwycić ją, kiedy ześlizgiwała się w dół głazu. Ona zaś zarzuciła mu blade ramiona na szyję i wybuchnęła śmiechem tak zaraźliwym, że aż dwa przelatujące nieopodal cherubiny zatrzymały się w powietrzu, by zareagować podobnym wybuchem wesołości i z wielkiej uciechy nawzajem poklepywały się skrzydłami po ramionach.

„Adamie... Adamie... Adamie...” wyła bezgłośnie Lilith. Był to milczący krzyk, ale ponieważ włożyła weń całą swą udre-

kę, rozpacz i tęsknotę, której nie mogła znieść, gdy Adam spojrzał w górę ponad złotowłosą głowę Ewy, śmiech zamarł mu na ustach. „Adamie!” zawołała Lilith raz jeszcze. I tym razem usłyszał ją.

Ale nie odpowiedział jej od razu. Kon-245

takty z kobietami powoli uczyły go dys-krecji. Zamiast odpowiadać na wezwanie Lilith, gestem przywołał do siebie dwa za-noszące się śmiechem cherubiny. Rumiane z uciechy podleciały bliżej. Ewa spojrzała w górę rozszerzonymi ze zdziwienia oczyma na małe, pucułowate główki, które trzepocząc tęczowymi skrzydłami zleciały w dół i zatrzymały się tuż nad nią, oczekując na polecenie Adama.

– Cherubiny Dan i Bethuel – przedstawił

ich Adam. – Mieszkają w okolicach Drze-wa. Mają tam swoje gniazdko. Opowiedzcie jej chłopaki o Drzewie, dobrze? Ja zaś, kochana, pójdę poszukać dla ciebie owoców na śniadanie. Zaczekaj na mnie tutaj.

Została, rzucając za nim tęskne spojrzenie. Cherubiny natychmiast zaczęły z zapalem paplać jeden przez drugiego, co jakiś czas spierając się zawzięcie.

– Więc pośrodku Ogrodu rośnie Drze-

246

wo...

– Opowiedz jej o Owocach, Dan. Nie wolno ci...

– Tak, nie wolno ci ich dotykać...

– Nie, to nie tak, Dan. Michał mówi, że można je dotykać, nie wolno tylko ich jeść...

– Nie przerywaj mi! Więc posłuchaj uważnie, to Drzewo...

Adam ruszył w dół strumienia. W Ede-

nie jeszcze nikt dotąd nie skłamał. Naprawdę szukał owoców. Ale Lilith zauważyła, że oprócz tego szuka również prze-

świtów w koronach drzew z wyrazem pewnej tęsknoty na twarzy, dlatego też opuściła się w dół szeleszcząc liśćmi.

– Adamie... Adamie!

– Lilith! Gdzie jesteś?

Z niesamowitym wysiłkiem Lilith udało się zogniskować całe swoje jestestwo na 247

tyle intensywnie, że choć wciąż pozostała bezcielesna, pozbawiona głosu i nieuchwytna, moc jej pragnienia wystarczyła, aby Adam ujrział na tle liści niewyraźny, rozedrgany zarys kształtu, jaki sam dla niej stworzył. Z trudem udawało jej się utrzymać ten kontur rozmywający mu się przed oczyma.

– Lilith! – zawołał mężczyzna, wyciągając ręce i w dwóch długich susach znalazł

się przy niej. Padła mu w objęcia, lecz mu-skularne, spowite światłem ramiona przeszły przez jej nieistniejące ciało i zamknęły w uścisku powietrze. Żałośnie wyjęczała jego imię i zadrżała, tuląc się do niego ca-

łym swym bezcielesnym kształtem. Ale nie była w stanie poczuć go bardziej, niż on był w stanie ją dotknąć, więc po chwili stary, znajomy już ból, którego po raz pierwszy doświadczyła w głębiach eteru, powrócił do niej z całą mocą. Nawet kiedy 248

znajdowała się w ramionach Człowieka, nie wolno jej było namacalnie odczuć jego bliskości. Nigdy nie będzie dla niego niczym więcej niż duchem, zagęszczeniem powietrza, podczas gdy Ewa... podczas gdy Ewa, przebywająca w skradzionym jej ciele...

– Adamie! – zawołała ponownie. – Ja miałam cię pierwsza! Słyszysz mnie? Adamie, możesz mnie odzyskać, jeśli się bardzo postarasz! Skoro raz ci się udało, dlaczego nie miałoby ci się udać ponownie.

Spróbuj, proszę cię!

Spojrzał na jej ciemną twarz, widząc przez nią kwiaty porastające stok za jej plecami.

– Co się dzieje, Lilith? Ledwie cię wi-dzę!

– Kiedyś pragnąłeś mnie tak bardzo, że z nicości powołałeś mnie do ciała – załkała z desperacją w głosie. – Adamie, Adamie, 249

zaprańnij mnie znowu!

Spojrzał na nią.

– Pragnę cię – powiedział nieoczekiwanie drżącym głosem. A następnie powtórzył bardziej zdecydowanie. – Wracaj, Lilith! Co ci się stało? Wracaj!

Zamknęła oczy, czując, jak jej bezcielesne członki nabierają realności. Powoli zaczynała czuć trawę pod stopami, kształtną klatkę Adama pod swymi niecierpliwymi dłońmi. Obejmował ją ramionami i w tym uścisku jej mglisty zarys powoli zaczął się wypełniać. Znowu wynurzała się z

nicości, wzywana do przeistoczenia się w ciało bo-ską mocą, jaka przepelniała ten cielesny wizerunek Boga. Ale wtedy...

– Adamie... Adamie! – słodki głosik Ewy zabrzmiał radośnie wśród liści. –

Adamie, gdzie jesteś? Chcę pójść zobaczyć Drzewo. Gdzie jesteś, kochany?

– Pośpiesz się! – ponagliła go zdesperowana Lilith,

na wpół rzeczywistymi dłońmi uderzając w jego klatkę piersiową.

Uścisk Adama wokół jej pleców i ramion zelżał. Mężczyzna obejrzał się za siebie, a jego piękna, niewinna twarz spo-chmurniała. Coś sobie przypominał.

– „Zapomnij o wszystkich innych...” –

wymruczał do siebie nie swoim głosem.

Lilith zadrżała, przyciskając się mocniej do jego ciała, rozpoznając w tym głosie tim-bre innego, potężnego Głosu, który przemawiał w ciszy. – „Zapomnij o wszystkich innych... ”. To powiedział Bóg. Zapomnij o wszystkich innych kobietach i połącz się z tą jedną. Z Ewą...

Mężczyzna opuścił ramiona, którymi obejmował Lilith.

– Ja... ja... poczekasz tutaj na mnie? –

powiedział niepewnie, odstępując na krok od jej na wpół urzeczywistnionego kształtu, cudnego i osnutego cieniem, stojącego samotnie pod drzewami. – Zaraz wracam...

– Adamie! – uroczy głos Ewy rozlegał się coraz bliżej. – Adamie, zgubiłam się!

Adamie! Adamie, gdzie jesteś?

– Już idę – odparł. Jeszcze raz popatrzył

na Lilith. Było to długie, tęskne spojrzenie.

Potem odwrócił się i biegł między drzewami, które rozstępowały się przed nim, a jego na wpół boska poświata odbijała się od blaszek liści porastających gałęzie. Lilith odprowadzała wzrokiem tę kształtną, świetlistą sylwetkę najdalej jak tylko mogła.

Zakryła twarz na wpół rzeczywistymi dłońmi i poczuła, jak uginają się pod nią kolana. Upadła na trawę, a jej cieniste włosy falowały na wietrze wiejącym znikąd, nieporuszającym żadnego liścia. Teraz była półciałem. Z jej oczu płynęły łzy. Doznała ulgi odkrywszy, że potrafi płakać.

252

Następnym dźwiękiem, jaki usłyszała –

a wydawało się, że od tamtej chwili minęło sporo czasu – był cichy syk. Ukryta w cieniu swych włosów, przysłuchiwała mu się przez moment, wstrząsana gasnącym łkaniem. W końcu podniosła wzrok i przera-

żona zerwała się na nogi, bez większego wysiłku podnosząc z ziemi swe tylko na poły realne ciało.

Wąż przypatrywał jej się z boku skośnymi oczyma, a na jego gadziej twarzy widać było wyraźny uśmiech. W zielonym mroku pod drzewami wydawał się taki przystojny, że nawet ona, która widziała Adama, nie mogła oprzeć się zachwytowi, jaki w niej wzbudzał. W tamtych dniach wąż chodził po ziemi w postawie pionowej, zaś jego kształt niewiele odbiegał od ludzkiego, natomiast różnica między urodą węża a urodą człowieka była taka jak między nocą a dniem. Miał niezwykle giętkie i elastyczne-253

ne ciało pokryte przepyszными łuskami i wedle wszelkich kryteriów można było go uznać za zabójczo urodziwego samca. Otaczała go promienista, niebiańska aura, o nieco rozmytym, lecz

wyraźnym, skrzydła-tym kształcie. Przydawała ciału węża blasku, który nie pochodził od niego.

– Królowa Powietrza i Mroku! – ode-

zwał się chłodno. – Nie spodziewałem się ujrzeć cię tutaj. Cóż ty robisz w tym ciele?

Lilith zebrała się w sobie, wydała ostatnie płaczliwe czknięcie i wstała spowita chmurą niespokojnie falujących włosów.

Odpowiedziała równie opanowanym, zjadliwym tonem:

– To samo co, jak mniemam, ty robisz w swoim. Myślę też, że będziesz musiał o wiele bardziej się postarać, żeby kogoś zwieść. Co cię sprowadza do Edenu... Lucyferze?

Waż zaniepokojony obejrzał się dokład-254

nie i posłał dwie ogniste fale wzdłuż swego opalizującego ciała. Otaczający go anielski kształt stopniowo zanikł, zaś jego uroda stała się jeszcze bardziej porażająca, w miarę jak coraz intensywniej ogniskował

swe jestestwo w ciele, które miał na sobie.

Po chwili znów przeniósł spojrzenie na swą rozmówczynię.

– Teraz lepiej? Przybyłem tu w pewnym ściśle określonym celu. Mam... interes do Adama. – Jego chłodny głos nagle przybrał

ponury ton. – Być może słyszałaś wczoraj odgłosy pewnego zamieszania w niebie.

To moja sprawka.

– Zamieszanie? – powtórzyła Lilith.

Niemal zapomniała o odgłosach walki i bitewnych zawołaniach serafinów, pograżona w otchłaniach własnego żalu.

– Przez jakiś czas była to całkiem niezła rozróżba – Lucyfer uśmiechnął się szeroko.

– Krew płynęła rwącą rzeką po złotych 255

uliczkach. Mówię ci, przyjemnie było usłyszeć w niebie coś innego niż te odwieczne „hosanna”. Ale cóż – wzruszył ramionami – wygrali oni. Zbyt wielu z nich stanęło jak ciołki po stronie Jahwe. Ale mężnie stawiliśmy im czoło i zabraliśmy ze sobą część jaspisowych ścian, kiedy zwalili nas na dół – pokiwał głową z ukontentowaniem. – Bóg wygrał, ale teraz dobrze się namyśli, zanim znów zdecyduje się mnie obrazić.

– Obrazić cię? – znów powtórzyła Lilith. – A to w jaki sposób?

Lucyfer wyprostował się tak, że jego wysokie ciało robiło imponujące wrażenie.

Promienie biły od lśniących łusek.

– Bóg stworzył mnie z ognia! Dlaczego miałbym więc kłaniać się tej... tej kupie gliny, której na imię Adam? Może inni aniołowie będą go czcić, kiedy tylko Bóg wskaże im go palcem, ale nie ja!

256

– To właśnie dlatego jesteś tutaj?

– Czy to nie jest wystarczający powód?

Mam z tym Adamem na pieńku!

– Nie możesz mu nic zrobić – powiedziała Lilith z desperacją w głosie. – On został uczyniony na obraz i podobieństwo Boga, a pamiętaj, że Bogu nie zdołasz do-równać.

Lucyfer wyprężył swój połyskujący korpus i spojrzał na nią z błyskiem gniewu w oczach.

– To stworzenie zrobione jest z gliny.

Musi mieć jakiś słaby punkt. Pytanie tylko jaki? Ty pewnie wiesz, bo go znasz.

Lilith spojrzała na niego oniemiała, czując, jak ogarnia ją podekscytowanie tak potężne, że jej na

wpół uformowane ciało ledwie mogło to wytrzymać. A więc była szansa! Bóg sam włożył jej broń prosto w ręce.

– Tak, Człowiek ma pewną słabość –

257

powiedziała. – Zdradzę ci ją... jeśli mi coś obiecasz.

– Niech będzie, obiecuję ci, co chcesz –

powiedział Lucyfer niedbale. – Co to ma być?

Zawahała się, zastanawiając się nad tym, co ma powiedzieć.

– Ty nie masz żadnego zatargu z Adamem. On nigdy nie pragnął, abyś oddawał

mu cześć. To Bóg tak zdecydował. Twoim przeciwnikiem jest Bóg, nie Adam. Samego

Człowieka nie jesteś w stanie poruszyć, ale Bóg dał mu... żonę – omal nie zakrztusiła się przy tym słowie. – Myślę, że to w niej tkwi słabość i dzięki niej uda ci się zepsuć Boży plan. Ale Człowieka musisz oszczędzić... dla mnie.

Lucyfer gwizdnał bezgłośnie, unosząc brwi.

– Ach, tak...

– Ja pierwsza go ujrzałam – powiedziała 258

szybko Lilith, starając się uprzedzić wszelkie protesty Lucyfera. – Chcę go mieć.

Waż przyjrzał jej się bacznie oczami, które teraz przypominały wąziutkie szparki.

– Po co? A zresztą – nie... to nieważne.

Nie chcę się z tobą spierać. Może będę miał pewną sugestię później, kiedy mój plan zadziała. Ty i ja, razem moglibyśmy zapewnić piekłu potęgę.

Lilith wzdrygnęła się. Przed nią i Adamem też kiedyś rysowały się wspaniałe perspektywy. Ale może sprawa wciąż jeszcze była aktualna... o ile Bóg wszystkiego nie słyszał.

– A więc obiecujesz, że nic mu się nie stanie?

– Tak, nie skrzywdzę twojego drogocennego glinianego osiłka. Masz rację – to Bóg jest moim rywalem, a nie ta ożywiona kupa błota o imieniu Adam. Na czym więc 259

polega cały sekret?

– Eden – powiedziała Lilith wolno – to wciąż jeszcze eksperyment. Na pewno wiele ma różnych niedoskonałości. To oczywiste, w przeciwnym razie żadne z nas nie znalazłoby się tutaj. Bóg zasadził

Drzewo pośrodku Ogrodu i zabronił komukolwiek go dotykać. Po prostu test... teraz dobrze to rozumiem. Test na posłuszeń-

stwo. Bóg nie ufa Człowiekowi... uczynił

go zbyt silnym. Drzewo zapewnia poznanie Dobra i Zła, a Bóg boi się pozwolić, aby ta wiedza obecna była w Ogrodzie, ponieważ panuje nad Człowiekiem tylko dzięki temu, że ten nie zdaje sobie sprawy z posiadanej mocy. Jeśli którekolwiek z nich zje Owoc z Drzewa, Bóg będzie musiał zniszczyć to, które dopuści się takiego czynu. Tak więc skus kobietę, aby zjadła, a mnie zostaw Adama i Eden!

Waż spojrział na nią z ukosa. Zaśmiał

260

się.

– Jeśli którekolwiek z nich nie przejdzie takiej próby, wtedy Bóg przekona się, że żadnemu z nich nie można zaufać, nieprawdaż? Zorientuje się, że ich obecna forma daleka jest od doskonałości i zniszczy oboje, po czym opracuje dla świata cał-

kiem inny plan.

Lilith głęboko odetchnęła. Podniecenie narastało w niej jak fala przyływu, a wiatr wiejący znikąd targał włosy opadające jej na ramiona.

– Niech tylko spróbuje! – zawołała gniewnie. – Ocalę Adama. Bóg popełnił wielki błąd, obdarzając Ogród tak potężną mocą. Nie powinien był czynić go na wpół żywym, na wpół obdarzonym samoświadomością. Nie powinien był pozwolić Adamowi czuć tak wielką bliskość z ziemią, z której został stworzony. Adam i Ogród to jedno ciało, a moc Boga spoczy-261

wa w każdym z nich. Bóg nie mógłby zniszczyć jednego, nie niszcząc przy tym drugiego, a razem oni są bardzo mocni.

Gdyby razem przeciwstawili się Bogu, z moją pomocą...

Lucyfer przyjrzał się jej z wyrazem współczucia na urodziwej, gadziej twarzy.

– Bóg pokonał mnie – przypomniał swojej rozmówczyni. – Czy sądzisz, że tobie nie dałby rady?

Lilith rzuciła mu dumne spojrzenie.

– Jestem Królową Powietrza i Mroku.

Mam swoje sekrety i moce, nad jakimi nie może zapanować nawet Bóg. Jeśli połączę je z mocą Adama i Ogrodu... Bóg uczynił

Ogród żywym i pełnym mocy, zaś Adam

stanowi z nim jedno ciało. Każdy z nich osobno jest niekompletny, podobnie jak mężczyzna bez kobiety. Adam ma teraz Ewę... ale kiedy Ewy zabraknie, przypomni sobie o Lilith. Już ja się o to postaram!

262

I postaram się, żeby pojął całe grożące nam wszystkim niebezpieczeństwo. Przy mojej pomocy, być może zdoła mu zapobiec.

– Jeśli Bóg zniszczy Ewę – powiedział

Lucyfer – zniszczy również Adama. To ten sam model.

– Ale może nie zniszczy ich w tym sa-

mym czasie. W tym upatruję swojej szan-sy. Chętnie zabiłabym ją sama, gdybym tylko mogła, ale w Ogródzie nie da się ruszyć nawet najmniejszej trawki, jeśli ona nie wyrazi na to zgody. Nie, muszę poczekać, aż Ewa sama udowodni Bogu, że nie nadaje się do noszenia ciała, a kiedy On będzie wymierzał jej karę, wykorzystam ten moment, aby podburzyć Ogród. On już zaczyna być świadomy siebie. Sądzę, że mogłabym go obudzić – być może przez

Adama. Adam i Eden to niemal jedno, podobnie jak Adam i ja staniemy się jednym, 263

jeśli uda nam się pozbyć Ewy. Żadne z nas osobno nie ma wystarczającej mocy, aby stawić czoło Bogu, ale Eden, Adam i ja wspólnie mogliśmy się o to pokusić. –

Odrzuciła w tył głowę, a niesforne pasma ciemnych włosów otoczyły jej twarz gęstą plątaniną. – Eden to żywa istota. Myślę, że uda mi się zamknąć nas wszystkich w niedostępnej bańce przestrzeni, a w moich Mrocznych Otchłaniach jest wiele miejsc, w których zdołamy się ukryć nawet przed Bogiem.

Lucyfer ponownie spojrzał na nią, mrużąc oczy.

– To się może powieść – wolno pokiwał

głową. – Naprawdę jesteś szalona... ale plan może się powieść, przy mojej pomocy. Ta kobieta jest piękna, na swój sposób... – Zaśmiał się. – I jakaż by to była zemsta na Bogu!

– Kobieta – zastanawiała się głośno Li-264

lith – zamieszkuje moje ciało, a ja jestem absolutnym złem... Sądzę, że w ciele Ewy pozostało wystarczająco dużo zła, abyś wydał się jej kimś... interesującym. Powodzenia, Lucyferze!

W niewielkiej niecce wyściełanej aksamitnym mchem, w samym środku Ogródu stały dwa Drzewa. To na skraju polany było ciemne, jego liście zasłaniały jasną poświatę bijącą z miejsca, gdzie wisały Owoce Życia. Zaś pośrodku niecki Drzewo Poznania pyszniło się szkarłatnymi owocami, płonącymi blaskiem, który zdawał się wydobywać z ich wnętrza, ukrytymi pośród zielonych, lśniących liści. To było serce Ogródu. Właśnie od Drzewa Poznania Dobra i Zła rozchodziły się pulsujące fale, poruszające rytmicznie całym powietrzem Edenu.

Ewa postawiła swą małą, bosą stopkę na 265

opadającym w dół zboczu i nieśmiało obejrzała się przez ramię. Wąż wyciągnął w jej stronę czerwony, rozwidlony język.

Jego głos był spokojny i dźwięczny. I słodki jak miód.

– Ewo – szeptał cicho – Ewo...

Uśmiechnęła się i ruszyła dalej, on zaś podążył za nią, gnąc się urokliwie w rytm swego kroku o nieziemskim wdzięku, któ-

ry utracił zaraz po Upadku. Dzisiaj nikt nie wie, jak wówczas chodził wąż. Ze wszystkich istot ludzkich tylko Ewa widziała to na własne oczy, ale była to jedna z tych rzeczy, o których nigdy nie powiedziała Adamowi.

Zatrzymali się w cieniu Drzewa. Powietrze tętniło wokół nich powolnym rytmem.

Był na tyle silny, że poruszał jasnymi włosami Ewy. Wszystkie owoce Drzewa wychyliły się spoza liści, aby ją zobaczyć, a najniższe gałęzie pochylały się czule w 266 stronę kobiety stworzonej z ciała Adama.

Najbliższa gałąź ugięła się kusząco. Ewa sięgnęła po szkarłatne jabłko, które natychmiast zagłębiło się w jej dłoń. Owoc jakby sam oderwał się od podtrzymującej go gałązki. Ewa spojrzała na trzymane w palcach jabłko i poczuła, jak ręka zaczyna jej drżeć. Przestraszona wycofała się w stronę węża.

Ten zamknął w mocnym objęciu jej uro-

cze, spowite światłem, blade ciało i pochylił swą kształtną, spłaszczoną głowę ku jej twarzy, szepcząc coś do ucha głosem tak spokojnym i pełnym słodyczy, że strach momentalnie zniknął z oblicza kobiety. Uśmiechnęła się nieznacznie i drżenie ręki ustało.

Uniosła Owoce Poznania do ust. Cały Ogród pograżył się w ciszy, podczas gdy ona wahała się przez długą chwilę; trzyma-

ła jabłko w półotwartych ustach, zęby wbi-267

ła już w szkarłatną skórkę pokrywającą miąższ, który zawierał wszelką wiedzę.

Były to ostatnie chwile ciszy, kiedy niewinność wciąż jeszcze panowała w całym Edenie.

Wąż znów odezwał się ponagającym szeptem:

– Ewo...

Lilith drżała w ramionach Adama.

– Ty byłeś mój na samym początku –

szeptała gniewnie. – Byliśmy tylko ty i ja, i Ogród... nie pamiętasz? Byłam już twą żoną, zanim pojawiła się ona, więc nale-

żysz do mnie!

Adam widział swoje własne dłonie prze-
świtujące przez efemeryczne ciało Lilith.

Poruszył go gniew pobrzmiwiający w jej głosie, ale umysł miał zbyt zamglony plamą naiwnej niewinności, aby wszystko jasno rozumieć. Chociaż bardzo się starał.

268

Rytmiczne dotąd pulsowanie Edenu sta-

ło się dziwnie nieregularne. Lilith dobrze wiedziała, co to oznacza, i poczuła jak podniecenie chwyta ją za gardło. Niemal krzyczała z coraz większą determinacją:

– Adamie!... Adamie! Nie pozwól, by cokolwiek nas rozdzieliło: ciebie, Ogród i mnie! Możesz utrzymać nas wszystkich razem, jeśli się postarasz! Wiem, że to potrafisz! Ty...

Potężne, niszczące tąpnięcie wstrząsnęło całym otoczeniem niczym uderzenie pioruna. Ogród zadrżał, a każde drzewo w Edenie pochyliło się jakby pod naporem szalejącej wichury. Adam podniósł wzrok, struchlały z przerażenia. Ale podekscytowana Lilith wybuchnęła szalonym śmiechem i wrzasnęła:

– O, to już! Pośpiesz się Adamie, po-

śpiesz! Wyśliznęła się z obejmujących ją ramion i puściła się biegiem wśród drzew i 269

krzaków, których gałęzie usuwały jej się z drogi. Adam ruszył za nią, na wpół oniemiały wraz z całym oniemiałym Ogrodem.

W Edenie rozszalało się istne pandemonium na wieść o tym, co zaszło pod Drzewem.

Lilith co jakiś czas spoglądała w niebo i biegła co sił w nogach. Czy olbrzymia błyskawica zwali się z nieba na nieposłuszną kobietę, by pozbawić ją życia, zanim dotrą do Drzewa?

– Poczekaj, poczekaj! – dyszała, zano-sząc bezgłośnie modły do Boga. – Daj mi jeszcze chwilę...

Czy piorun dosięgnie także Adama te-

raz, kiedy wraz z nią prześlizguje się po-między rozstępującymi się na boki drzewami?

– Szybciej! – wydyszała raz jeszcze, tym razem zwracając się do mężczyzny.

Zmęczeni tak, że z trudem łapali od-270

dech, zatrzymali się na skraju niecki, w której rosło Drzewo. Spoglądając na dół, mogli dojrzeć Ewę, która wyszła już poza cień drzewa; trzymała w dłoni owoc z wy-raźnie odgryzionym kęsem ujawniającym biały miąższ pod szkarłatną skórką. Jasnowłosa kobieta rozglądała się po Ogrodzie, jakby widziała go po raz pierwszy w życiu.

„Gdzie jest Bóg? Dlaczego nie dosięgną!

jej tu na miejscu?”.

Lilith, omiółwszy całą scenę szybkim spojrzeniem, z początku nie dostrzegła węża, którego ujawnić mógł jedynie delikatny, opalizujący blask bijący spod Drzewa. Pomimo wielkiego podniecenia, uśmiechnęła się drwiąco. Lucyfer najwyraźniej nie kwapił się do otwartej konfron-tacji z Bogiem.

Ale teraz nie miała czasu, żeby zastanawiać się nad losem Lucyfera czy Ewy. Z

bliżej niewyjaśnionych powodów Bóg po-271

wstrzymał swą karzącą dłoń, ona zaś powinna wykorzystać tę zwłokę jak najlepiej.

Bowiem kiedy Bóg skończy już z Ewą, zabierze się do Adama, ale do tego czasu trzeba jeszcze wiele zrobić. Teraz musiała się skoncentrować na Adamie i na żyjącym Edenie. Całą wieczność oczekiwała na to, co miały przynieść najbliższe chwile.

Staną na skraju niecki i potężny, mroczny wiatr znikąd owionął ją straszliwym podmuchem, rozwichrzając długie włosy, aż zmieniły się w chmurę, która ją zasłoniła. Z chmury wydobył się jej głos grzmiący potwornym rytmem, dostosowa-nym do tempa, z jakim obecnie oddychał

Eden... i Adam.

– Ogrodzie! – zawołała. – Edenie, posłuchaj mnie! Jestem Lilith, żona Adama. –

Czuła, jak wokół niej wiję się przeogromna, mroczna świadomość. Cały Eden był w ruchu, kurcząc się, odrywając się od ziemi 272
pod jej stopami, monsturalny, a jednocześnie zachwycający świat, który sama, mocą swego wezwania powoływała do życia.
– Adamie! – zawołała. – Adamie, czy mnie słyszysz? Ty i Eden jesteście jednym ciałem, a Ewa zniszczyła was obu. Swym czynem przyniosła wiedzę do Ogrodu, gdzie sam Bóg nie śmiał jej wprowadzić.
Bóg zniszczy was wszystkich za sprawą Ewy... chyba że mnie posłuchacie...
Poczuła, jak uwaga Adama odrywa się od Ewy i przenosi się na nią. Mężczyzna był oszołomiony i pełen lęku. Poczuła, jak budząca się świadomość Ogrodu otacza go coraz ciasniej, aż przyszła chwila, kiedy zdawało się, że ziemia Edenu i ciało Człowieka zlały się w jedno, połączone tym samym pragnieniem, jakie przyciągało ich wzajemnie, gdy w każdym z nich pojawiła się wstrząsająca myśl o rozdzieleniu i za-273
gładzie.

Czy Bóg przewidział dla swego nad-przyrodzonego planu właśnie taki kres, który był jednocześnie początkiem planu Lilith? Nie miała czasu, by się nad tym zastanawiać, ale myśl ta nie dawała jej spokoju nawet wtedy, kiedy wabiła Ogród głosem równie słodkim i urzekającym, jak ten, którym przemawiała do Adama.

Tymczasem cały wielki Ogród straszliwie dygotał wokół niej, a świadomość przenikała każdy konar, pnącze i źdźbło wypulsowującym krew ze wzgórza, na którym stała. Cała ta świadomość była Adamem. Ogród wsłuchiwał się uważnie w jej słowa, słuchał ich też Adam i razem w trójkę stanowili teraz cały istniejący świat. Sukces był na wyciągnięcie ręki.

Czuła to wyraźnie. I wtedy...
– Adamie!... Adamie! – zawołała Ewa stojąca pod Drzewem.
274

Lilith przerwała swoją inwokację wygłaszaną stentorowym głosem, a kurczący się wokół niej Ogród zawahał się na chwilę.

– Adamie! – zawołała ponownie Ewa.
Przerażenie wyprało jej głos z wszelkiego powabu.
Za plecami Lilith dał się słyszeć oszołomiony głos Adama:
– Ewa?...
„Boże... Boże unicestwij ją natychmiast!” błagała bezgłośnie Lilith. A potem zawołała na cały głos.
– Ewa nie jest częścią Edenu! Nie słuchaj jej, Adamie! Ona zniszczy ciebie razem z Ogrodem.
– Adamie, Adamie! Gdzie jesteś?
– Już idę... – odezwał się Adam, wciąż bełkocząc nieprzytomnie.
Lilith zawirowała w chmurze włosów.
Gdzie jest Bóg! Dlaczego wstrzymał swą karzącą dłoń? Teraz był najlepszy czas, by 275
uderzyć, jeśli jej nadzieje miały się ziścić.

Dalej, dalej! Na pewno zaraz błyskawica wystrzeli z nieba, jeśli tylko uda jej się zatrzymać Adama jeszcze przez chwilę...

– Poczekaj Adamie! – ryknęła desperac-ko. – Adamie, wiesz przecież, że mnie kochasz! Jeśli mnie opuścisz...

Głos uwiązał jej w gardle, kiedy mężczyzna spojrział na nią tępym wzrokiem, jakby widział ją po raz pierwszy w życiu. Świetlista poświata otaczała go niczym płomień, a słowa Lilith były dlań jak narkotyk, podobnie jak dla Ogródu, dopóki ziemia, która kochała ją i słuchała jej, trwała w jednościi z uformowanym z niej ciałem mężczyzny. Jeszcze przed chwileczką w całym stworzeniu nie było dla Adama i Edenu nic prócz tej jednej kobiety, przemawiającej z głębin mroku. Ale teraz...

– Adamie! – darła się Ewa płaskim, przerażonym głosem.

276

– Nie słuchaj jej! – krzyczała oszalała Lilith. – Dla niej nie ma tu miejsca! Nie zdołasz już jej ocalić! Bóg ją zniszczy, a potem zniszczy ciebie, jeśli mnie opuścisz!

Zostań i pozwól jej zginąć! Znowu będziemy razem sami, w Ogrodzie... Adamie, nie słuchaj jej!

– Muszę... muszę jej słuchać – wybąkał

głosem krety. – Zejdź mi z drogi Lilith.

Nie rozumiesz? Ona jest ciałem z mego ciała... muszę do niej iść.

Lilith wpatrywała się w niego ogłupiała.

Ciało z jego ciała! Jak mogła o tym zapomnieć! Za bardzo skupiła się na więzi jednoczącej mężczyznę z Ogradem... zapomniała, że on tworzył jedno także z Ewą.

Widmo porażki przygniotło ją nagle niczym bryła ołowiu. Gdyby chociaż Bóg uderzył w tej chwili... Rzuciła się w przód w ostatniej desperackiej próbie powstrzymania go przed pójściem do Ewy, podczas 277

gdy Ogród wiercił się niepewnie wokół

nich, przerażony trwogą Lilith, rozdarty Adamową rozterką. Stała rozdygotana przed mężczyzną, zastępując mu zejście do dolinki, jak gdyby jej ulotne ciało mogło go powstrzymać, ale on przeszedł przez nią jak przez chmurę i ślepo ruszył w dół

stoku, gdzie pod Drzewem stała struchlała Ewa, trzymając w dłoni owoc, z twarzą wylęknioną, bowiem posiadała już wiedzę.

Ze swojego miejsca Lilith widziała to, czego Adam jeszcze nie dostrzegł. Zaśmiała się nagle dziko i zawołała:

– Spójrz na nią, Adamie! Spójrz!

Adam zamrugał i spojrział.

Ewa stała pod Drzewem całkiem naga.

Cudowna poświata, która dotąd spowijała ją niczym powłóczysta szata, zniknęła wraz z boską niewinnością i kobieta w niczym nie przypominała już tej nieskazitel-278

nie pięknej bogini, która tego ranka zbudziła się wtulona w ramię Adama. Stała tam drżąca, zagubiona, żałośnie chuderła-wa, istna karykatura perfekcyjnie urodziwej damy, która niecałą godzinę wcześniej schodziła tym samym zboczem w towarzystwie węża. Ale Ewa z niczego nie zdawa-

ła sobie sprawy. Spojrzała na Adama, na którego twarzy pojawiło się wahanie, i posłała mu niepewny uśmiech; było w nim coś przebiegłego i chytrego.

– Ach, tu jesteś – powiedziała. Teraz nawet jej głos wydawał się ochryply. – Przez chwilę wszystko wyglądało tak... dziwnie.

Zobacz – uniosła w górę owoc. – Bardzo dobry. Lepszy niż wszystko, co ty mi dałeś. Skosztuj.

Lilith przyglądała się jej ze wzgórze z przerażeniem, które na moment przyćmiło strach spowodowany tym, iż Bóg spóźniał

się z wymierzeniem kary. A zatem wiedza 279

jest aż tak szpetna? Dlaczego zniszczyła urodę Ewy, jak gdyby było to coś złego?

Doskonała wiedza powinna właśnie wzmocnić jej siłę i urodę na chwilę przed tym, jak dosięgnie ją karząca ręka Boga, jeśli... I nagle Lilith zrozumiała. Jaka tam doskonała wiedza! Przecież Ewa zaledwie spróbowała owocu, a jeden kęs mógł jej dać tylko zniekształconą, cząstkową wiedzę. Znikło piękno jej niewinności, ale w zamian nie zdobyła piękna doskonałej wiedzy. Czy właśnie dlatego Bóg zwlekał?

Dopóki jej wiedza była niepełna, być może Ewa nie stanowiła żadnego zagrożenia dla bożej władzy nad Edenem. Niemniej jednak okazała nieposłuszeństwo, udowodni-

ła, że nie jest godna bożego zaufania... dlaczego więc się wahał? Dlaczego nie spalił jej na popiół, tam gdzie stała, z kęsem jabł-

ka w ustach? Paniczny strach ścisnął ją za gardło. Czy może i teraz bawi się moim 280 kosztem? Czy może dawał jej zwłokę, o którą tak żarliwie błagała, aby móc przyglądać się, jak sromotnie przegrywa, mimo tej wymarzonej przewagi?

– Spróbuj tego jabłka – powtórzyła Ewa podając mężczyźnie owoc.

– Adamie! – wrzasnęła rozpaczliwie Lilith ze skraju wzgórza. – Adamie, spójrz na mnie! To mnie pierwszą pokochałeś... nie pamiętasz? Spójrz na mnie, Adamie!

I Adam odwrócił się, by na nią spojrzeć.

Wiatr, który ukrył ją za ciemną chmurą włosów, ucichł. Stała teraz, jaśniejac na szczycie pagórka, a biel jej ramion rozdzielała ciemność na dwie części, podobne dwóm odnogom w delcie rzeki.

Promienia-

ła urodą, jaką nigdy nie miała się już cieszyć żadna śmiertelniczka.

– Byłam pierwsza! – wołała Lilith. –

Kochałeś mnie przed nią... wracaj teraz do mnie, zanim Bóg porazi was oboje. Wra-281
caj, Adamie!

Spojrzał na nią załóżnie. Po długiej chwili odwrócił się w stronę rozdygotane-go stworzenia stojącego u jego boku, o oczach, w których poznanie zapaliło płomień przerażenia. Przyglądał się bardzo długo. Aż w końcu sięgnął po jabłko.

– Adamie – nie! – wrzasnęła piskliwie Lilith. – Widzisz, co wiedza zrobiła z Ewą!

Staniesz się brzydki i nagi, tak jak ona!

Nie próbuj tego, Adamie! Nie zdajesz sobie sprawy z tego, co robisz!

Spojrzał na nią ponad czerwonym owo-

cem. Otaczające go światło rozszczepiało się na miriady zachwycających błysków.

Stał niczym bożek pod wielkim Drzewem, promieniujący, doskonały.

– Wiem, co robię – powiedział głosem czystszy, niż kiedykolwiek u niego słyszała.

– Bóg cię zgładzi! – zaskowyczała Lilith 282

i popatrzyła w górę, chcąc się przekonać, czy błyskawica nie stacza się po niebie właśnie w tej chwili.

– Wiem – powtórzył Adam. I po chwili

dodał: – Ty nic nie rozumiesz, Lilith. Ewa jest ciałem z mego ciała, bliższym mi niż Eden... bliższym niż ty. Czy nie pamiętasz, co Bóg powiedział: „Zapomnij o wszystkich innych... ”.

– Ewo! – wrzasnęła Lilith, pozbawiona już wszelkiej nadziei. – Zatrzymaj go! Ty już nie unikniesz kary... ale czy chcesz go pociągnąć za sobą?

Ewa spojrzała na nią niebieskimi oczy-ma, pociemniałymi od zdobytej wiedzy.

Wybuchnęła piskliwym śmiechem, z któ-

rym uleciały resztki jej dawnego wdzięku.

– A może mam zostawić go tobie? –

spytała drwiąco. – Nigdy! On i ja jesteśmy jednym ciałem – odejdziemy razem. Spróbuj jabłka, Adamie!

283

Mężczyzna posłusznie obrócił owoc w dłoni, a po chwili jego zęby wgrzyły się przez szkarłatną skórkę w słodkawy, biały miąższ. Cały Ogród pogrążył się w struchlałej ciszy, najmniejsze ździebełko trawy nie poruszyło się jak Eden długi i szeroki, podczas gdy Adam żuł i połykał Owoc Poznania. A potem spojrział we wpatrzone w niego oczy Ewy, podczas gdy samoświadomość i wiedza o tym, że jest jednostką obdarzoną wolną wolą, stopniowo wypełniała jego rozbudzony umysł.

Po chwili otaczająca jego ciało światłość zbladła, zadrżała i znikła. On także był teraz nagi. Cudowne, harmonijne ciało przybrało dziwaczny, żaloszny wygląd zwykłego człowieka i natychmiast przestał być piękny, przestał być Adamem.

Lilith nie wyglądała już Boga. Czują, jak wielki ciężar wypełnia jej serce i przygniata ją. Przez długą chwilę nic nie obchodził jej Bóg, Eden, przyszłość. To wszystko nie miało już żadnego związku z Adamem, i nigdy już nie będzie miało...

– Posłuchaj – odezwała się Ewa do Adama ledwie słyszalnym głosem. – Jak cicho!

To dlatego, że nie słycać muzyki! Serafini nie śpiewają już wokół Tronu!

Apatycznie spojrzała w górę. To musia-

ło oznaczać, że Bóg nadchodzi... Ale kiedy spojrzała w niebo, do jej uszu wciąż dochodziła uroczysta chóralna pieśń o dostojnym brzmieniu i niezmaconej harmonii.

Adam przekrzywił głowę i także wyteżył słuch.

– Masz rację – zgodził się. – Przestali śpiewać.

Lilith nie słyszała, co mówi. Straszliwe uczucie miotano się i kłębiło w całym jej ciele. Znała je – to była nienawiść. Nienawiść do Adama i Ewy i do tego, co jej zro-

bili. Nienawiść do tych nagich stworzeń, z których jedno było jej ukochanym, przepięknym półbogiem, a drugie formą, jaką przywdziała na siebie, aby sprawić mu rozkosz. To prawda, mogli teraz zjeść całą resztę owoców poznania, aby znów osią-

gnąć doskonałość, ale będzie to doskona-

łość, w której dla niej zabraknie miejsca.

Oni tworzyli jedno ciało i nawet Bóg nie przybył jej z pomocą, by ich rozdzielić.

Przypatrując się im, nienawidziła serdecznie ich obojga. Samo istnienie Ewy było obrazą dla nieskazitelnej doskonałości, która wciąż okrywała Lilith, a Adam...

Adam drżący pod Drzewem z kaleką, nie-pełną wiedzą, rozpalającą jego chytre teraz oczka...

Czują, że zbiera jej się na płacz. Jeszcze przed chwilą ten mężczyzna był wcieloną perfekcją... nigdy tego nie zapomni. Niemal pokochała tamto wspomnienie, dopóki

wciąż jeszcze miało jakiś związek z nagim stworzeniem dygocącym u stóp Drzewa.

Wiedziała, że dopóki mężczyzna będzie żył, nie uwolni się od tego wspomnienia.

Słabość, jaką się zaraziła, nie przestanie jej dręczyć pożądaniem tamtego ciała, które kiedyś było Adamem. Perspektywa wiecznej tęsknoty za kimś, kto zniknął na zawsze, nagle wydała jej się nie do zniesienia.

Uniosła w górę głowę i spojrzała przez lunę płonąca nad Edenem ku miejscu, gdzie słodkie głosy wyśpiewywały pochwalne hymny, których Adam i Ewa nigdy nie mieli już usłyszeć.

– Jahwe! – załkała. – Jahwe! Przybądź

tu i zgładź nas wszystkich! Miałeś rację –

oni są zbyt słabi, aby tym, którzy ich znają, mogli dać cokolwiek innego prócz smutku i

nieszczęścia. Boże, przybądź tu i obdarz nas wiecznym pokojem!

287

Ewa jęknęła przerażona u boku Adama.

– Posłuchaj! – zawołała. – Adam, posłuchaj jej!

W odpowiedzi ludzki strach po raz pierwszy wykrzywił brzydką twarz, która kiedyś była uroczym, nieśmiertelnym obliczem Adama.

– Drzewo Życia! – zakrzyknął mężczy-

zna. – Nikt nie będzie mógł nam nic zrobić, jeśli zjemy jego owoce!

Obrócił się w miejscu, aby puścić się pę-

dem po stoku w stronę ciemnego Drzewa, i serce załkało w Lilith na widok tego, jak niezgrabnie i niezdarnie się porusza.

Wczorajsza lekkość i zwinność zniknęła bezpowrotnie wraz z jego urodą i teraz ciało było dlań jedynie ciężarem i zawadą.

Ale mężczyźnie nie było dane dobiec do Drzewa Życia. Nagle bowiem nad całym Ogrodem rozlał się porażający blask bożej chwały. W niebie zapadła głucha cisza i 288 wiatr przestał wiać w Edenie.

– Adamie – odezwał się Głos, hucząc w przejmującej ciszy nad Ogrodem. – Czy może zjadłeś z Drzewa, z którego ci zakazałem jeść?

Adam spojrział na stok, gdzie na tle nieba widać było sylwetkę zrozpaczonej Lilith. Następnie spojrział na Ewę, stojącą u jego boku, toporną karykaturę piękna o jakim śnił. Kiedy się odezwał, jego głos był

pełen goryczy.

– Kobieta, którą mi dałeś – zaczął z wyrzutem, ale zawahał się, napotykając spojrzenie Ewy.

Dawna, boska dobroć uleciała zeń na zawsze, ale nie upadł jeszcze tak nisko, żeby pokazywać Ewie, jakie są jego prawdziwe myśli. Nie mógł po prostu powiedzieć: „Kobieta którą mi dałeś, obojgu nam ściągnęła nieszczęście na głowę... ale przed nią miałem jeszcze inną kobietę, któ-

ra nie wyrządziła mi żadnej krzywdy". Nie 289

potrafił tak dotkliwie zranić ciała ze swego ciała. Ale teraz był już człowiekiem, więc żadną miarą nie mógł pozwolić, aby to wszystko uszło Ewie na sucho. Dlatego kontynuował ponuro – dała mi owoc z tego Drzewa i zjadłem.

Głos zapytał nieprzyjemnym tonem:

– Ewo?

Ewie przypomniał się inny głos, spokojny i pełen słodczy, mruczący jej do ucha

„Ewo, Ewo" w chłodnym, zielonym mroku Ogrodu; głos szepczący sekrety, którymi nigdy nie podzielił się z Adamem. Może gdyby teraz stanął po jej stronie... – ale nie zrobił tego, dlatego też z urazą wydusiła z siebie:

– Wąż mnie zwiódł – wyznała Bogu – i zjadłam.

Przez chwilę w Ogrodzie słychać było

tylko ciszę. Potem znowu odezwał się Głos:

290

– Lucyferze! – tym razem w tonie, w jakim przemówił Głos, pobrzmiwał wyraż-

ny smutek, którego na próżno byłoby szukać w słowach, jakie kierował do mężczyzny i kobiety. –
Lucyferze, mój wrogu, wyjdź spod Drzewa.

Wyraźnie było słycać w Głosie boskie współczucie, kiedy wydawał straszliwy wyrok:

– Na brzuchu będziesz się czołgał i proch będziesz jadł po wszystkie dni twego istnienia.

Z cienia, jaki rzucało Drzewo, wypelzło po trawie coś na kształt świecącego sznura.

Najwyraźniej była to godzina zagłady dla wszelkiej urody: wąż utracił cały swój płomienny splendor, jakim pysznił się, kiedy Lucyfer zamieszkiwał jego ciało, ale jego nikłe ślady pozostały jeszcze w nieziemskiej płynności ruchu, w opalizującym blasku łusek. Uniósł płaską, trójkątną głowę i 291

obrócił ją w stronę Ewy, wysuwając ku niej rozdwojony języczek, po czym ponownie zanurzył się w trawie. Kołysanie się źdźbeł znaczyło trasę jego odwrotu.

Przyglądając się jego odejściu, Ewa westchnęła przeciągle na wspomnienie tamtej czarodziejskiej godziny spędzonej w zielonym półmroku Ogrodu, o której Adam nigdy się nie dowie.

– Adamie, Ewo – ciągnął Głos cicho –
nie ma już dla was miejsca w Ogrodzie. –

W grobowym milczeniu, z jakim Ogród wsłuchiwał się w te słowa, był jakiś pełen rezygnacji żal. – Uczyniłem wasze ciało zbyt słabym, bowiem wasza boskość była zbyt potężna, abym mógł jej zaufać. Nie można was za to winić – to mój błąd. Ale Adamie... Ewo... cóż to za mocą was obdarzyłem, że wszystkie pierwiastki ognia i ciemności znajdują w was bliskie pokrewieństwo? Cóż to za słabość w was drze-292

mie, że choć jesteście jedynymi żyjącymi istotami ludzkimi, nie potraficie dochować sobie wierności?

Adam spojrział żałośnie na Lilith, stojącą bez ruchu na skraju wzgórza, odzianą w piękno bez skazy, jakie sam dla niej wy-marzył i jakiego nigdy w życiu już nie miał zobaczyć. Spojrzenie Ewy powędrowało w ślad za węzem, poprzez połąć zielonej trawy, która rozmywała się jej przed oczami z powodu pierwszych łez w historii Edenu. Żadne z nich nie odpowiedziało.

– Jeszcze nie zasłużyliście na to, by wy-ciągnąć rękę ku Drzewu Życia, zerwać jego owoc, zjeść go i żyć na wieki – podjął

Głos po chwili przerwy. – Mężczyzno...

kobieto... jeszcze nie zasłużyliście na posiadanie doskonałej wiedzy lub na życie bez moralnych więzów. Jeszcze nie zasługujecie na zaufanie. Gdyby nie Lilith, cała bajka zakończyłaby się tutaj, wewnątrz 293

murów Edenu, lecz teraz będziecie musieli walczyć z pokusą i zapracować na własne zbawienie w pocie waszego oblicza, na ziemiach znajdujących się poza Ogrodem.

Adamie, nie wierzę już w twoje pokrewieństwo z ziemią, z której cię ukształto-wałem. Przeklęta niech będzie ta ziemia z twego powodu. Nie będzie już jedności między nią a tobą. Ale obiecuję ci... na koniec wrócisz do ziemi, z której zostałeś wzięty. – Głos zamilkł i po chwili w dali ujrzeli blask ognistego miecza nad bramą Edenu.

– Teraz kolej na mnie – powiedziała Lilith bezbarwnym głosem. – Nie pragnę już dłużej istnieć na świecie, na którym nie ma Adama. Zgładź mnie, Jahwe.

Głos odparł beznamiętnie.

– Owoce twoich czynów są już dla ciebie wystarczającą karą.

– O, w zupełności wystarczającą! – za-294

wyla zrozpaczona Lilith. – Czas już, abyś położył jej kres, Jahwe!

– Jej kres nadejdzie wraz z kresem Człowieka – cicho powiedział Bóg. – Ani chwili wcześniej. Cała wasza czwórka zniszczyła plan, jaki miałem dla Edenu, dlatego musicie wymyślić go na nowo, nim minie czas waszej udręki. Wszyscy czworo stwórzcie nowy plan, wykorzystując cztery żywioły, które stanowią podstawę bytu każdego z was. Adam jest Ziemią, Lucyfer – Ogniem, Lilith – Powietrzem i Mrokiem, a Ewa, Matka Wszystkich Żyjących,

to płodne morze, skąd bierze początek wszelkie życie. Ziemi, Powietrze, Ogniu i Wodo – sądziliście, że wasze plany są lepsze od mojego. A więc radźcie sobie teraz sami!

– Co nam przypadnie w udziale, Panie?

– spytał Adam, cichym, pokornym głosem.

– Ziemia i woda – oznajmił Głos. – Kró-

lestwo ziemi dla ciebie i kobiety, a po was – dla waszych dzieci.

– Ja byłem żoną Adama przed Ewą! –

wrzasnęła zazdrośnie Lilith. – Co stanie się ze mną... i moimi dziećmi?

Głos milczał przez dłuższą chwilę. A potem odezwał się cicho.

– Wybieraj sama, Królowo Powietrza i Mroku.

– Niech więc potomkowie moi i Adama prześladują jej potomstwo aż po grób! –

nie zastanawiała się długo Lilith. – Moje dzieci zostały wydziedziczone – niech więc się mszczą! Niech ona i cała jej pro-genitura strzeże się mych synów i córek, do których należeć będzie noc, i niech wie, że zasłużyła na ich pomstę. Niech oni jej przypominają, że Adam najpierw należał do mnie!

– Niech tak się stanie – rzekł Głos. I znów nad Ogrodem zaległa cisza, podczas

gdy cień tego, co miało nadejść, w niepojęty sposób przenikał bożą myśl. Lilith zauważyła odpryski tego cienia na świetlistej łunie

zalewającej Eden blaskiem tak jasnym, że najmniejsze źdźbło trawy zdawało się być przepelnione bijącym w oczy majestatem. Ujrzała Człowieka obdarzającego swe miejsce urodzenia na ziemi miłością

tak głęboką, że było mu ono równie drogie, jak część jego własnego ciała i w ten właśnie sposób zachował pamięć czasów, kiedy ziemia była mu tak bliska jak jego nowo utworzone ciało.

Ujrzała Człowieka żyjącego z jedną kobietą, którą kochał jak ciało ze swego ciała, jednocześnie pamiętającego o tamtej nieosiągalnej i utraconej na zawsze – o Lilith, ucieleśnieniu doskonałości z Edenu. Spojrzała na dół

ze szczytu wzgórza i jej wzrok napotkał

spojrzenie Adama. Przesłali sobie oczyma krótkie, bezgłośnie pożegnanie.

297

Nikt nie patrzył na Ewę. Tymczasem ona mrugała powstrzymując łzy, które ci-snęły jej się do oczu na wspomnienie godziny spędzonej w półmroku, w towarzystwie stworzenia o płomiennej urodzie, która przed chwilą na rozkaz Boga została obrócona w proch. I wtedy... wtedy wokół niej w powietrzu rozległ się ledwie słyszalny szelest i łagodny, dźwięczny głos wyszeptał:

– Ewo.

Poczuła delikatny oddech na swoim policzku.

Rozejrzała się wokół siebie. Nic nie zauważyła. Jednakże...

– Ewo – odezwał się ponownie znajomy

głos. – Pozwól i mnie się zemścić... na Człowieku. Czy słyszysz mnie, Piękna Ewo? Swojemu pierwszemu dziecku nadaj imię Kayn... Ewo, czy zrobisz to, o co cię proszę? Nazwij je, Kayn – Włócznia Ze-298

msty, ponieważ on będzie tym, który da początek zbrodni pomiędzy synami Adama. Pamiętaj, Ewo...

A Ewa powtórzyła posłusznym szeptem:

– Kain... Kain...

299

JORGE LUIS BORGES

TLON UQBAR, ORBIS

TERTIUS

Tlön, uqbar, orbis tertius

Przełożył Andrzej Sobol-Jurczykowski Jorge Luis Borges (1899-1986) był argentyńskim pisarzem i wykładowcą, któremu światową sławę przyniosły prace krytyczne oraz badania nad literaturą. Według stworzonej przez niego teorii literatury fantastycznej, wszechświat wykreowany przez autora powinien być całkowicie niezależny od wszystkich znanych nam dzisiaj koncepcji oraz idei – po prostu ma nie mieć nic wspólnego z naszą rzeczywistością. W niniejszym opowiadaniu Borges demonstruje, jak można tego dokonać. Krótkie utwory jego autorstwa ukazały się m. in. w zbiorach zatytułowanych „Fikcje” i „Alef”.

300

I

Zawdzięczam odkrycie Uqbaru połączeniu

lustra i encyklopedii. Lustro niepokoiło głębię korytarza pewnej willi na ulicy Ga-ona w Ramos Mejia; encyklopedia, wbrew swemu oszukańczemu tytułowi *The Anglo-American Cyclopaedia* (New York, 1917) jest przedrukiem równie dosłownym, jak nudnym, *Encyclopaedia Britannica* z roku 1902. Zdarzyło się to jakieś pięć lat temu.

Bioy Casares, który jadł owego wieczoru ze mną kolację, mówił o swoim pomysle powieści, pisanej w pierwszej osobie, gdzie narrator, opuszczając lub deformując pewne fakty, popadłby w liczne sprzeczno-

ści: pozwoliłyby one niektórym czytelnikom – bardzo niewielu czytelnikom – odgadnąć okrutną czy banalną rzeczywistość.

Z odległej głębi korytarza śledziło nas lustro. Odkryliśmy (późną nocą takie odkrycie jest nieuniknione), że lustra mają w sobie coś monstrualnego. Bioy Casares przypomniał wówczas jednego z herezjarchów Uqbaru, który lustra i kopulację uważał za nienawistne, jako że pomnażają liczbę ludzi. Zapytany o pochodzenie tej zaskakującej opinii, odpowiedział, że *The Anglo-American Cyclopaedia* zamieszcza ją w artykule o Uqbarze. W willi (wynajmowanej przez nas wraz z umeblowaniem) był egzemplarz tego dzieła. Na ostatnich stronach tomu XLVI znaleźliśmy artykuł o Uppsali; na pierwszych tomu XLVH – artykuł *Ural-Altai Languages*, ale ani jednego słowa na temat Uqbaru. Bioy, zdziwiony, sprawdził tomy indeksu; próbował

na próżno wszystkich możliwych grafii: Ukbar, Uebar, Ooqbar, Oukbahr... Zanim odszedł,

powiedział, że chodziło o region Iraku czy Azji Mniejszej. Wyznaję, że przyjąłem to wyjaśnienie z pewnym zakłó-302

potaniem. Doszedłem do wniosku, że ten niewzmiankowany kraj, ten anonimowy herezjarcha, to fikcja zaimprovizowana przez skromność Bioya, aby uzasadnić pewne zdanie. Poszukiwania w jednym z atlasów Justusa Perthesa, w rezultacie jało-we, utwierdziły mnie w tej wątpliwości.

Następnego dnia Bioy zatelefonował do mnie z Buenos Aires. Powiedział, że ma właśnie przed oczyma artykuł o Uqbarze, w XLVI tomie encyklopedii. Imienia here-zjarchy nie podano, ale była wzmianka o jego doktrynie, i to w słowach prawie identycznych, o ile nie słabszych – być może – pod względem literackim, jak te, które zacytował. Bioy powtórzył z pamię-

ci: *Copulation and mirrors are abominable*. Tekst encyklopedii mówił: „Dla jednego z tych gnostyków wszechświat widzialny jest złudzeniem lub – ściślej – sofizma-tem; lustra i ojcostwo są nienawistne (*mir-303*

rors and fatherhood are abominable), gdyż zwielokrotniają go i powiększają”.

Powiedziałem mu, zgodnie z prawdą, że chętnie zobaczyłbym ten artykuł. Kilka dni później przyniósł mi go. Zdziwiło mnie to, gdyż skrupulatne indeksy kartograficzne *Erdkunde* Rittersa pomijają milczeniem istnienie Uqbaru.

Wolumin przyniesiony przez Bioya był

rzeczywiście XLVI tomem *Anglo-American Cyclopaedia*. Informacja alfabetyczna na pierwszej stronie i na grzbiecie była taka sama jak w naszym egzemplarzu (*Tor*

– *Ups*), ale wolumin liczył zamiast 917, 921 stron. Te cztery dodatkowe stronicie zawierały artykuł o Uqbarze: nieprzewidziany alfabetyczną informacją (jak czytelnik z pewnością zauważył) o zawartości.

Stwierdziliśmy później, że między dwoma tomami nie było, poza tą, żadnej różnicy; oba były przedrukami (wspomniałem już o 304

tym, jak sądzę) dziesiątej *Encyclopaedia Britannica*. Bioy kupił swój egzemplarz na jakiejś licytacji.

Przeczytaliśmy artykuł z pewną uwagą.

Jedynym zaskakującym fragmentem był

ustęp zacytowany przez Bioya; reszta wydawała się bardzo prawdopodobna, bardzo zgodna z ogólną tonacją dzieła i, rzecz jasna, nieco nudna. Czytając go powtórnie, pod ścisłym stylem odkryliśmy zasadniczą nieokreśloność. Z czternastu nazw działu geograficznego rozpoznaliśmy tylko trzy (Chorasan, Armenia, Erzerum), wstawione w tekst w sposób wieloznaczny; z nazwisk historycznych – jedno zaledwie, owego samozwańca Maga Smerdysa¹, wymienione-1 Smerdys (Smerdis, Esmerdis, Bardija) - drugi syn Cyrusa II Wielkiego, zamordowany przez swojego brata Gambizesa (Kambizesa). Ponieważ śmierć ta była utrzymywana w tajemnicy, pojawiło się wielu samozwańców, podających się za Smerdysa, między innymi mag Gaumata.

Wykorzystując swoje uderzające podobieństwo do Smerdysa, ogłosił się w 521 r. p.n.e. królem i trzy miesiące później wkroczył do Babilonu.

Po śmierci Gambizesa został uznany za prawowitego władcę. Jednakże jedna z jego żon spostrzegła, że nie jest on synem Cyrusa. Siedem wiel-305

go jednak tylko dla porównania. Artykuł

zdawał się określać ściśle granice Uqbaru, ale ich mglistymi punktami odniesienia były rzeki, kraterzy i góry tegoż kraju. Przeczytaliśmy na przykład, że granice południowe są wyznaczone przez równiny Tsa i Chaldun i deltę Axy, i że wyspy tej delty obfitują w dzikie konie. Tyle na początku strony dziewięćset osiemnastej. Z działu historycznego (stronica dziewięćset dwu-dziesta)

dowiedzieliśmy się, że w wyniku prześladowań religijnych w XIII wieku ortodoksi szukali schronienia na tych wysepach, gdzie wznoszą się dotychczas ich obeliski i gdzie kopiąc, nierzadko można znaleźć ich kamienne lustra. Dział *Język i literatura*, dość krótki, zawierał jedno tylko godne uwagi miejsce, w którym mó-

kich rodzin perskich uknuło spisek, w wyniku którego Gaumata został zamordowany, a na tronie osadzony został Dariusz, syn Histaspesa.

Gaumata, występujący również w literaturze jako mag Smerdys, panował przez siedem miesięcy (przyp. tłum.).

306

wiono, że literatura Uqbaru ma charakter fantastyczny i że jej epeje, podobnie jak legendy, nie odnoszą się nigdy do rzeczywistości, lecz do dwóch wyimaginowanych regionów Mlejnasy i Tlön... Bibliografia zawierała cztery tomy, których dotychczas nie udało się nam odnaleźć, choć trzeci – Silas Haslam, *History of the Land Called Uqbar*, 1874 – figuruje w katalogach księgarni Bernarda Quaricha. ²Pierwszy, *Lesbare und lesenswerthe Bemerkungen über das Land Ukkbar in Klein-Asien*, pochodził podobno z 1641 roku i jego autorem był Johannes Valentinus Andrea.

Rzecz jest godna uwagi: w kilka lat póź-

niej odnalazłem nieoczekiwanie to nazwisko na pewnej stronie u De Quinceya (*Writings*, tom XIII) i dowiedziałem się, że należało do teologa niemieckiego, który ²Haslam jest również autorem dzieła *General History of Labyrinths* (przyp. Aut.)

307

opisał, w początkach wieku XVII, wyimaginowaną gminę Różokrzyżowców; wspólną taką, jaką później ktoś inny, kierowany przykładem tego, co sobie wyobraził Andrea, rzeczywiście założył.

Tego samego popołudnia udaliśmy się do Biblioteki Narodowej; na próżno jednak niepokoiśmy atlasy, katalogi, roczniki towarzystw geograficznych, pamiętniki podróżników i historyków: żaden z nich nigdy nie był w Uqbarze. Nawet indeks główny encyklopedii Bioya nie podawał tej nazwy. Następnego dnia Carlos Mastronardi (któremu opowiedziałem o tym wypadku) dostrzegł w jakiejś księgarni czarno-złote grzbiety *Anglo-American Cyclopaedia*...

Wszedł i zajrzał do tomu XLVI. Oczywiście nie znalazł najmniejszego śladu Uqbaru.

II

308

W hotelu w Adroque, wśród bujnych wiciokrzewów i złudnych głębi luster, trwa jeszcze jakieś ograniczone i zacierające się wspomnienie Herberta Ashe'a, inżyniera Towarzystwa Kolei Południowych. Za życia nierealny, jak wielu Anglików, gdy umarł, nie pozostał nawet tym duchem, jakim był wówczas. Wysoki, zawsze jakby zawiedziony, z prostokątną rudą brodą.

Wydaje mi się, że był wdowcem, bezdzietnym. Co parę lat jeździł do Anglii: aby odwiedzić (tak sądzę z fotografii, którą nam pokazywał) jakiś zegar słoneczny i jakieś dęby. Mój ojciec zaprzyjaźnił się z nim (choć może wyrażenie to jest zbyt mocne) jedną z tych angielskich przyjaźni, które zaczynają się od wykluczenia szczerości i natychmiast unikają rozmów; zwykle wymieniały między sobą książki i czasopisma; spotykali się w milczeniu przy szachach...

309

Pamiętam go w hallu hotelu, z książką matematyczną w ręku, jak patrzył od czasu do czasu na niepowtarzalne barwy nieba.

Pewnego wieczoru rozmawialiśmy o dwu-

nastkowym systemie liczbowym (w którym dwanaście jest zapisywane cyfrą 10); Ashe powiedział mi, że pracuje właśnie nad tłumaczeniem nie wiem już jakich tablic dwunastkowych na sześć – dziesiątkowe (w których sześćdziesiąt jest zapisywane cyfrą 10). Dodał, że praca została mu zlecona przez pewnego Norwega w Rio Grande do Sul. Zналиśmy go od ośmiu lat i nigdy nam nie wspomniał, że tam był...

Mówiliśmy o życiu pasterzy, o [capangas3](#).

o brazylijskiej etymologii słowa *gaucho* (które niektórzy starzy ludzie na wschodzie wymawiają jeszcze *gaúcho*) i nie było już mowy – niech mi Bóg wybaczy – o 3 *Capanga* - wyraz ten, używany na północy Argentyny, jest pogardliwym określeniem zarządcy plantacji. Pochodzi od wyrazu *capanga*, używanego w Brazylii, gdzie oznacza płatnego opryszka (przyp. tłum.).

310

funkcjach dwunastkowych. We wrześniu 1937 roku (nie było nas wówczas w hotelu) Herbert Ashe umarł z powodu pęknięcia

tętniaka. Kilka dni wcześniej otrzymał

z Brazylii zapieczętowaną poleconą przesyłkę. Była to książka *in octavo*. Ashe zostawił ją w barze, gdzie – po miesiącach –

ją odnalazłem, zacząłem kartkować i poczułem dziwny zawrót głowy. Ale go nie opiszę, bo nie jest to historia moich wzruszeń, lecz historia Uqbaru, Tlön i Orbis Tertius. W owej nocy islamu, która zwie się Nocą Nocy⁴, otwierają się na oścież tajemne wrota nieba i woda w dzbanach staje się słodka; gdyby wrota te otwarły się wówczas, nie poczułbym tego, co poczu-4 Noc Nocy, Noc Potęgi lub Noc Przeznaczenia - tak została nazwana noc przy końcu ramadanu 610 r., kiedy to Muhammad miał pierwsze objawienie w górskiej jaskini koło Mekki. Według wierzeń muzułmań-

skich jest to Noc Boskich Wyroków, podczas której Bramy Raju pozostają otwarte, tak więc wysłuchiwane są wszystkie modlitwy. Powstało wiele wierzeń związanych z Nocą Potęgi; niektórzy wierni na przykład są przekonani, że woda morska staje się wówczas słodka (przyp. tłum.).

311

łem. Książka napisana była po angielsku i miała 1001 stron. Na jej żółtym skórzanym grzbiecie przeczytałem te dziwne słowa, które powtarzała karta tytułowa: *A First Encyclopaedia of Tlön. Vol. XI. Hlaer to Jangr*. Nie było daty ani miejsca wydania.

Pierwsza strona i bibułka jednej z kolorowych tablic nosiły owalną niebieską pieczęć z napisem: *Orbis Tertius*. Dwa lata wcześniej na stronicach pewnej encyklopedii-plagiatu odkryłem zwięzły opis fikcyjnego kraju; obecnie przypadek dostarczał

mi czegoś bardziej jeszcze cenniego i trudnego. Miałem teraz w ręku obszerny i metodyczny fragment całkowitej historii nie-znanej planety, z jej budowlami i wojnami, z przerażeniem jej mitologii i zgiełkiem ję-

zyków, z jej cesarzami i morzami, z jej minerałami, ptakami i rybami, z jej algebrą i ogniem, z jej kontrowersjami teologicznymi i metafizycznymi. I wszystko to na pi-312

śmie, spoiste, bez widocznej intencji doktrynalnej czy parodystycznej.

„Jedenasty tom”, o którym mówię, zawierał odsyłacze do tomów następnych i poprzednich.

Nestor Ibarra, w pewnym klasycznym już artykule zamieszczonym w *Nouvelle Revue Française*, przeczy istnieniu tych tomów; Ezequiel Martinez Es-trada i Drieu La Rochelle odparli, być może zwycięsko, tę wątpliwość. Faktem jest jednak, że najbardziej skwapliwe poszukiwania pozostały dotąd bez rezultatu.

Na próżno przerzuciliśmy biblioteki obu Ameryk i Europy. Alfonso Reyes, zmęczony tymi trywialnie policyjnymi poszukiwaniami, proponuje, abyśmy przedsięwzięli wspólnie dzieło

odtworzenia brakujących, licznych i masywnych, tomów: *ex ungue leonem*⁵. Kalkuluje pół żartem, pół serio, 5 *Ex ungue leonem* - użyte w tym znaczeniu, że po pazurze można poznać lwa, czyli że po niewielu pociągnięciach można poznać rękę wielkiego artysty. Znaczenie właściwe: „według pazura namalować lwa”.

313

że jedno pokolenie Tlönistów mogłoby okazać się wystarczające. To ryzykowne obliczenie odsyła nas do problemu podstawowego: kim byli twórcy Tlönu? Liczba mnoga jest tu nieunikniona; hipoteza jednego wynalazcy – jednego nieskończonego Leibniza, działającego skromnie w ciemnościach – została jednogłośnie odrzucona.

Sądzi się, że ten *brave new world*⁶ jest dziełem jakiegoś tajemniczego stowarzyszenia astronomów, inżynierów, biologów, metafizyków, poetów, chemików, moralistów, malarzy, geometrów... sterowanym przez jakiegoś ukrywającego się geniusza.

W rzeczywistości roi się od osobników, którzy posiadli te różne dyscypliny, nie zaś od takich, którzy zdolni są do tworzenia. A tym bardziej do podporządkowania two- Jest to cytat z niezachowanego utworu Alkajosa z Mityleny na Lesbos, lirycznego poety współczesnego Safonie (przyp. tłum.).

6 *Brave new world* - tak brzmi w oryginale tytuł powieści Aldousa Huxleya, która w Polsce ukazała się jako „Nowy szczęśliwy świat”

(przyp. tłum.).

314

zenia rygorystycznemu i systematycznemu planowi, jakim jest plan Tlön, plan tak rozległy, że wkład każdego autora musiał być nieskończenie mały. Początkowo sądzono, że Tlön jest po prostu chaosem, nieodpowiedzialnym puszczeniem wodzy wyobraźni; teraz jednak wiadomo, że jest to kosmos i że sformułowane zostały, nawet jeśli w sposób prowizoryczny, wewnętrzne prawa, które nim rządzą. Wystarczy przypomnieć, że w pozornych sprzecznościach jedenastego tomu dostrzeżono podstawowy dowód, iż inne tomy istnieją: do tego stopnia przestrzegany w nim porządek jest jasny i konsekwentny. Popularne czasopisma rozpowszechniły, z wybaczną przesadą, zoologie i topografie Tlön; sądzę, że jego przezroczyście tygrysy i krwiste wieże nie zasługują, być może, na nieprzerwaną uwagę wszystkich ludzi.

Ale poświęcę kilka minut jego koncepcji 315
wszechświata.

Hume raz na zawsze zauważył, że argumenty Berkeleya nie dopuszczają najmniejszej repliki i nie inspirują najmniejszego przekonania. Sąd ten jest zupełnie prawdziwy na Ziemi; zupełnie jednak fałszywy na Tlonie. Narody tej planety są – w sposób wrodzony – idealistyczne; ich język i jego pochodne – religia, literatura, metafizyka – z góry zakładają idealizm.

Dla nich świat nie jest zbiorem przedmiotów w przestrzeni; jest heterogenną serią niezależnych czynów; jest następczy, czasowy, nie zaś przestrzenny.

W domniemanym *Urschprache* Tlön, z którego pochodzą języki i dialekty „aktualne”, nie istnieją rzeczowniki; istnieją czasowniki bezosobowe, określane jednosyłowymi przyrostkami (lub przedrostkami) o znaczeniu przysłówkowym. Na przykład: nie ma słowa, które by odpowiadało nasze-316

mu słowu *księżyc*, ale istnieje czasownik, który u nas miałby postać *księżycznić* lub *księżycować*. „Wzeszedł księżyc nad rzeką” mówi się *hlör u fang axaxa – xas mlö*, co znaczy, w kolejności: „Ku górze (*upward*) za wieczniesączyć zaksiężycowało”. (Xul Solar tłumaczy krótko: „Hop, za

przebiegać zaksiężyczniło". *Upward, beyond the onstreaming, it mooned*).

To, co zostało powiedziane, odnosi się do języków półkuli południowej. W językach półkuli północnej (co do których *Urschprache* jedenasty tom daje niezwykle mało wskazówek) pierwotną komórką nie jest czasownik, ale jednozłgłoskowy przymiotnik. Rzeczownik tworzy się przez nagromadzenie przymiotników. Nie mówi się *księżyc*: mówi się *powietrzno-jasny ponad ciemno-okrągłym* lub *jasno-pomarańczowy-wysoko-niebieskiego*, lub jakkolwiek inny zestaw. W tym szczęśliwym przypadku-317

ku zbiór przymiotników odpowiada rzeczywiście przedmiotowi; ale chodzi tu właśnie o przypadek szczególny. Literatura tej półkuli (jak w trwającym świetle Me-inonga) obfituje w przedmioty idealne, powołane i niknące w jednej chwili, zależnie od potrzeb poetyckich. Czasami określa te przedmioty zwykła równoczesność. Niektóre składają się z dwóch terminów, jednego o charakterze wzrokowym i jednego o charakterze słuchowym: kolor rodzącego się dnia i odległy krzyk ptaka. Inne z większej ilości: słońce i woda płynąca naprzeciw piersi pływaka, nieokreślony kolor ró-

zowy, który widzi się przez zamknięte oczy, uczucie kogoś, kto pozwala nieść się rzece i, jednocześnie, snowi. Przedmioty drugiego stopnia mogą łączyć się z innymi; proces ten, dzięki pewnym skrótom, jest praktycznie nieskończony. Istnieją słynne poematy złożone z jednego tylko, 318 ogromnego słowa. Słowo to odpowiada jednemu przedmiotowi, przedmiotowi poetyckiemu stworzonemu przez autora. Z

faktu, że nikt nie wierzy w rzeczywistość rzeczowników, w paradoksalny sposób wynika, że liczba tych ostatnich jest nieskończona. Języki półkuli północnej Tlönu posiadają wszystkie rzeczowniki języków indoeuropejskich i wiele innych.

Nie będzie przesadą twierdzenie, że kultura klasyczna Tlönu obejmuje jedną tylko dyscyplinę, psychologię. Inne są jej podporządkowane. Powiedziałem już, że mieszkańcy planety pojmują wszechświat jako serię procesów myślowych, które nie odbywają się w przestrzeni, lecz w sposób następczy, w czasie. Spinoza przypisuje swemu niewyczerpalnemu bóstwu atrybuty rozciągłości i myśli; na Tlonie nikt nie zrozumiałby zestawienia tej pierwszej – typowej tylko dla pewnych stanów – z tą drugą 319

– doskonałym synonimem kosmosu. Innymi słowy: nikt nie pojąłby, że to, co przestrzenne, trwa w czasie. Dostrzeżenie dymu na horyzoncie, a potem płonącego pola, a potem źle zgaszonego papierosa, który spowodował pożar, jest uważane za przykład asocjacji myśli.

Ten monizm, czy całkowity idealizm, paraliżuje naukę. Wyjaśnić (lub uzasadnić) jakiś fakt, to połączyć go z innym faktem: ale ten związek, na Tlonie, odpowiada późniejszemu stanowi podmiotu, nie odnosi się zaś do stanu poprzedniego, więc go nie wyjaśnia. Każdy stan umysłowy jest niepodzielny: sam fakt nazwania go – *id est* sklasyfikowania – zawiera w sobie za-falszowanie tego stanu. Wydaje się, że można by stąd wysnuć wniosek, iż na Tlonie nie istnieją nauki ani nawet rozumowania. W rzeczywistości, w paradoksalny sposób, właśnie istnieją, i to w prawie nie-320 skończonej liczbie. Sprawa z filozofiami ma się tak, jak na półkuli północnej z rzeczownikami; fakt, że każda filozofia jest z założenia tylko dialektyczną zabawą, jakąś *Philosophie des Ais Ob*, przyczynił się do ich pomnożenia. Istnieje wiele systemów niewiarygodnych, ale posiadających przyjemną budowę albo sensacyjny charakter.

Metafizycy Tlönu nie poszukują prawdy ani nawet prawdopodobieństwa, lecz tylko zadziwienia. Uważają metafizykę za gałąź

literatury fantastycznej. Wiedzą, że dany system jest jedynie podporządkowaniem wszystkich

aspektów wszechświata które-mukolwiek z tych aspektów. Ale nawet wyrażenie „wszystkie aspekty” może być odrzucone, gdyż opiera się na niemożności dodania chwili obecnej do przeszłych.

Również ta liczba mnoga: „przeszłych”

jest niedozwolona, gdyż zakłada inną niemożliwą operację... Jedna ze szkół Tlönu 321

przeczy nawet istnieniu czasu: argumentuje, że terażniejszość jest nieokreślona, że przyszłość nie posiada rzeczywistości żadnej innej jak obecna nadzieja, że przeszłość nie posiada rzeczywistości żadnej innej jak obecne wspomnienie⁷. Inna szko-

ła twierdzi, że czas już cały przeminął i nasze życie jest zaledwie wspomnieniem lub wiecznym odbiciem, niewątpliwie zafał-

szowanym i niepełnym, nieodzyskiwalnego procesu. Inna, że historia wszechświata

– a w niej nasze życie, najdrobniejsze szczegóły naszego życia – jest pismem, które tworzy jakiś pomniejszy bóg, aby porozumieć się z demonem. Inna, że wszech-

świat jest porównywalny do owych krypto-grafii, w których nie wszystkie znaki posiadają wartość, i że prawdziwe jest tylko to, co wydarza się co trzysta nocy. Inna, że 7 Russell (*The Analysis of Mind*, 1921, s. 159) przypuszcza, że planeta została stworzona przed niewieloma minutami, wyposażona w ludzkość, która „pamięta” iluzoryczną przeszłość (przyp. aut.).

322

kiedy w jednym miejscu śpimy, czuwamy gdzie indziej, i że każdy człowiek jest w ten sposób dwoma ludźmi.

Wśród doktryn Tlönu żadna nie wznie-
ciła takiego oburzenia jak materializm.

Niektórzy myśliciele opisali go, ale w terminach bardziej żywiołowych niż jasnych, niczym ktoś, kto chce zaproponować paradoks. Aby ułatwić zrozumienie tezy tak niepojętej, pewien herezjarcha z XI wieku⁸

wymyślił sofizmat o dziewięciu miedzianych monetach; jego skandaliczna fama odpowiada, na Tlonie, famie aporii eleackich. Istnieją liczne wersje tego „pozornego rozumowania”, które różnią się między sobą co do liczby monet lub odnalezień; oto najbardziej popularna:

We wtorek, idąc ścieżką przez pustko-

wie, „X” gubi dziewięć miedzianych mo-
8 Wiek w systemie dwunastkowym oznacza okres stu czterdziestu czterech lat (przyp. aut.).

323

net. W czwartek „Y” znajduje na ścieżce cztery monety, trochę zaśniedziałe po środowym deszczu. W piątek „Z” znajduje trzy na tej samej ścieżce i w ten sam piątek, rano, „X” znajduje dwie w sieni swojego domu.

Z historii tej herezjarcha chciał wydedukować rzeczywistość – czyli ciągłość istnienia – dziewięciu odzyskanych monet.

Byłoby absurdem – twierdził – wyobra-

zać sobie, że cztery z dziewięciu monet nie istniały od wtorku do czwartku, trzy od wtorku do piątku po południu i dwie od wtorku do piątku rano. Logiczne jest za to uważać, że istniały one – choćby w pewien tajemny sposób, którego zrozumienie jest wzbronione ludziom – we wszystkich momentach owych trzech okresów.

Język Tlönu źle nadawał się do sformu-

łowania takiego paradoksu; większość go nie rozumiała. obrońcy zdrowego rozsądku-324

ku ograniczyli się początkowo do zaprzeczenia prawdziwości całej historii. Twierdzili, że chodzi o pomyłkę słowną, opierającą się na nierozważnym użyciu dwóch, nieuświęconych

zwyczajem, neologi-zmów, obcych dla każdego ścisłego rozumowania: czasowników „znaleźć” i „zgubić”, które zawierały *petitio principii*, gdyż zakładały identyczność pierwszych dziewięciu monet z ostatnimi. Przypomnieli, że każdy rzeczownik (człowiek, moneta, czwartek, środa, deszcz) posiada wartość jedynie metaforyczną. Ujawnili perfidną okoliczność wyrażenia „nieco zaśniedziało po środowym deszczu”, które z góry zakłada to, co należy udowodnić: trwanie czterech monet między wtorkiem a czwartkiem. Zauważyli, że podobieństwo nie jest tym samym co identyczność, i sformułowali rodzaj *reductio ad absurdum*, hipotetyczny przypadek dziewięciu ludzi, którzy 325 podczas dziewięciu kolejnych nocy odczuwają silny ból. Czy nie byłoby śmieszne –

pytali – utrzymywać, że to ten sam ból?

Dodawali, że herezjarcha kierował się jedynie bluźnierczym zamiarem przypisywania boskiej kategorii istnienia kilku zwykłym monetom; i wykazali, że czasami negował mnogość, czasami zaś nie. Jeżeli podobieństwo niesie z sobą identyczność –

argumentowali – należałoby również przyjąć, że dziewięć monet jest jedną tylko monetą.

W niewiarygodny sposób argumenty te nie okazały się refutacją definitywną. W

sto lat po postawieniu problemu pewien myśliciel, nie mniej niż herezjarcha błyskotliwy, ale reprezentujący tradycję ortodoksyjną Dzisiaj jeden z kościołów Tlönu utrzymuje po platońsku, że niektóre rzeczy, jak pewien określony ból, pewien zielonkawy odcień koloru żółtego, pewna temperatura, pewien dźwięk stanowią jedyną rzeczywistość. Wszyscy ludzie, w zawrotnym momencie *coitus*, są tym samym człowiekiem. Wszyscy ludzie, którzy powtarzają jakiś wers Szekspira, są Williamem Szekspirem (przyp. aut.).

326

doksyjną, sformułował bardzo zuchwałą hipotezę. Według tego szczęśliwego przypuszczenia istnieje jeden tylko podmiot; tym niepodzielnym podmiotem jest każde z istnień wszechświata, które są organami i maskami bóstwa. „X” to „Y” i zarazem

„Z”. „Z” znajduje trzy monety, gdyż pamięta, że „X” je zgubił. „X” znajduje dwie w sieni, gdyż pamięta, że pozostałe zostały odzyskane... Jedenasty tom daje do zrozumienia, że całkowite zwycięstwo tego idealistycznego panteizmu zawdzięczać nale-

ży trzem podstawowym racjom. Pierwsza to odrzucenie solipsyzmu; druga – możliwość zachowania psychologicznej podstawy nauk; trzecia – możliwość zachowania kultu bóstw. Schopenhauer (pasjonujący i jasno myślący Schopenhauer) formułuje bardzo podobną doktrynę w pierwszym tomie *Parerga und Paralipomena*.

Geometria Tlönu obejmuje dwie nieco

327 różne dyscypliny: wzrokową i dotykową.

Druga odpowiada naszej i jest podporządkowana pierwszej. Podstawą geometrii wzrokowej jest powierzchnia, nie zaś punkt. Geometria ta nie zna równoległych i twierdzi, że człowiek, który zmienia swoje położenie, modyfikuje otaczające go formy. Podstawą arytmetyki Tlönu jest pojęcie liczby nieokreślonej. Matematycy podkreślają znaczenie pojęć „większy” i

„mniejszy”, które nasi matematycy wyra-

żają za pomocą symboli $>$ i $<$. Twierdzą, że operacja liczenia modyfikuje wielkości i zmienia je z nieokreślonych w określone.

Fakt, że różne osoby, które liczą tę samą wielkość, dochodzą do jednakowych rezultatów, jest dla psychologów przykładem asocjacji myśli lub sprawnego posługiwania się pamięcią. Wiemy już, że na Tlönie podmiot wiedzy jest jedyny i wieczny.

Idea jedyne podmiotu jest wszech-

328

mocna również w obyczajach literackich.

Do rzadkości należy podpisywanie książek.

Pojęcie plagiatu nie istnieje: ustalono, że wszystkie dzieła pochodzą od jednego tylko autora, ponadczasowego i anonimowego. Krytyka wymyśla zazwyczaj auto-rów: wybiera dwa nieporównywalne dzieła

– powiedzmy *Tao-te King* i *Baśnie 1001*

Nocy – i przypisuje je jednemu pisarzowi, a następnie omawia sumiennie psychikę tego interesującego *homme des lettres*...

Równie zaskakujące są i same książki.

Wszystkie narracyjne mają tę samą fabułę, ze wszystkimi wyobrażalnymi podstawieniami.

Książki o charakterze filozoficznym zawierają niezmiennie tezę i antytezę, rygorystyczne *pro* i *contra* każdej doktryny.

Książka, która nie zawiera swojej antyk-siążki, uważana jest za niekompletną.

Całe wieki idealizmu nie mogły nie wpłynąć na rzeczywistość. Nierzadko spo-

tyka się, w najbardziej starożytnych regionach Tlön, podwojenie zgubionych przedmiotów.

Dwie osoby szukają ołówka; pierwsza znajduje go i nic nie mówi; druga znajduje inny ołówek, nie mniej rzeczywisty, ale lepiej odpowiadający jej oczekiwaniom. Te wtórne przedmioty zwą się *hrönirami* i, choć posiadają formę bez wdzięku, są nieco dłuższe. Do niedawna *hröniry* były przypadkowymi dziełami roz-targnienia i zapomnienia. Do ich metodycznej produkcji – wydaje się to niemoż-

liwe, ale tak wynika z jedenastego tomu –

przystąpiono przed zaledwie stu laty.

Pierwsze próby okazały się jałowe. Ale w każdym razie na wspomnienie zasługuje *modus operandi*. Dyrektor jednego z pań-

stwowych więzień zakomunikował zatrzymanym, że w dawnym korycie pewnej rzeki znajdują się jakieś groby, i przyrzekł

wolność temu, kto dokonałby ważnego od-

krycia. Podczas miesięcy poprzedzających wykopaliska pokazywano więźniom fotografie tego, co mieli odnaleźć. Pierwsza próba wykazała, że nadzieja i dążenie mogą stanowić przeszkodę; po tygodniu pracy łopata i kilofem nie zdołano wykopać żadnego *hrönu* prócz zardzewiałego koła, pochodzącego z okresu późniejszego niż sam eksperyment. Rzecz utrzymana została w tajemnicy i była później powtórzona w czterech szkołach. W trzech niepowodzenie było prawie zupełne; w czwartej (jej dyrektor zmarł przypadkowo podczas pierwszych prac wykopaliskowych)

uczniowie wydobyli z ziemi – lub też wykonali – złotą maskę, starożytny miecz, dwie czy trzy ceramiczne amfory i potrząskany, zielonkawy tors jakiegoś króla, noszący na piersiach inskrypcję, której dotąd nie udało się odczytać. Odkryto w ten sposób, że obecność świadków, znających 331 eksperymentalny charakter poszukiwań, jest przeciwwskazana... Masowe poszukiwania dają w rezultacie przedmioty sprzeczne z sobą; dziś daje się pierwszeń-

stwo pracom indywidualnym i prawie za-improwizowanym. Metodyczne wytwarza-

nie *hrönirów* (podaje jedenasty tom) dostarczyło nieocenionych usług archeologom. Pozwoliło badać, a nawet modyfikować przeszłość, która stała się nie mniej plastyczna i uległa niż przyszłość. Rzecz ciekawa: *hröniry* drugiego i trzeciego stopnia – *hröniry* powstałe z innego *hrönu*; *hröniry* powstałe z *hrönu hrönu* – wyolbrzymiają aberracje *hrönu* pierwotnego; *hröniry* stopnia piątego są prawie ich pozbawione, dziewiątego mylą się z *hrönirami* drugiego stopnia, jedenastego mają czystość linii nie posiadaną nawet przez oryginał. Proces ten jest periodyczny: *hrön* dwunastego

stopnia zaczyna się już znowu 332

degradować. Dziwniejszy i czyściejszy od każdego *hrönu* jest czasami ur: rzecz wyprodukowana przez sugestię, przedmiot wywołany przez nadzieję. Wielka złota maska, o której wspominałem, była wspaniałym tego przykładem.

Rzeczy, na Tlonie, podwajają się, ale dążą również do zatarcia i zatracenia szczegółów, gdy ludzie o nich zapominają.

Klasyczny jest przykład progu, który trwał, dopóki siadywał tam pewien żebrak, i który zniknął wraz ze śmiercią tegoż żebraka.

Zdarzało się też, że ptaki czy koń ratowały ruiny jakiegoś amfiteatru.

Salto Oriental, 1940

Postscriptum z 1947 roku.

Odtworzyłem poprzedni artykuł tak, jak ukazał się w *Antologii literatury fanta-333*

styczeń z 1940 roku, pomijając tylko satyryczny ton i niektóre metafory, które dziś okazałyby się nie na miejscu. Od tego czasu wydarzyło się tyle rzeczy... Ograniczę się do wspomnienia o nich.

W marcu 1941 roku w pewnej książce

Hintona, która należała do Herberta Ashe-

'a, znaleziono odręczny list Gunnara Erfjorda. Koperta nosiła pieczęć pocztową z Ouro Preto; list wyjaśniał całkowicie zagadkę Tlön. Tekst listu potwierdza hipotezę Martineza Estrady. Wspaniała historia rozpoczęła się pewnej nocy w Lucernie czy w Londynie, na początku XVII wie-

ku. Powstało wtedy tajemne i nieszkodliwe towarzystwo (liczyło ono pośród swych stowarzyszonych Dalgarna, a potem George'a Berkeleya), które obrało sobie za cel wymyślenie jakiegoś kraju. W mglistym programie początkowym figurowały „studia hermetyczne”, filantropia i kabała. Z

334

tego pierwszego okresu pochodzi ciekawa książka Johannes'a André'a. Po kilku latach obrad i przedwczesnych syntez zrozumiano, że jedno pokolenie nie wystarczy, by stworzyć kraj.

Postanowiono, że każdy z tworzących towarzystwo mistrzów wybierze sobie ucznia w celu kontynuowania dzieła. Ta dziedziczna zasada zwyciężyła; po dwuwiecznej przerwie prześladowane bractwo pojawiło się w Ameryce. W 1924

roku w Memphis (Tennessee) jeden ze stowarzyszonych rozmawia z ascetycznym milionerem Ezrą Buckleyem. Ten ostatni słucha go z pewnym lekceważeniem i wy-

śmiewa skromność projektu. Mówi, że w Ameryce wymyślenie kraju jest absurdalne, i proponuje wymyślenie planety. Do tego gigantycznego pomysłu dorzuca drugi

– dziecko jego nihilizmu¹⁰: utrzymanie 10 Buckley był wolnomyślicielem, fatalistą i obrońcą niewolnictwa (przyp. aut.).

335

ogromnego przedsięwzięcia w całkowitej tajemnicy. Znajdowało się wówczas w obiegu dwadzieścia tomów *Encyclopaedia Britannica*; Buckley sugeruje metodyczną encyklopedię iluzorycznej planety. Po-

święci planecie swoje złotońskie góry, swoje żeglowne rzeki, swoje pastwiska ryte przez byka i bizona, swoich Murzy-nów, swoje domy publiczne i swoje dola-ry, ale pod jednym warunkiem:

„Dzieło nie będzie paktowało z samozwańcem Jezusem Chrystusem”. Buckley nie wierzy w Boga, ale chce nieistniejącemu Bogu wykazać, że ludzie śmiertelni są zdolni do wyobrażenia sobie świata.

Buckley umiera otruty w Baton Rouge w 1928 roku. W

roku 1914 towarzystwo przekazuje swym współpracownikom, których jest trzystu, ostatni tom

Publikacja pozostaje utrzymana w tajemnicy: jej czterdzieści tomów (najobszerniej-336 sze dzieło, jakie kiedykolwiek zostało przez ludzi dokonane) będzie podstawą do innego, bardziej szczegółowego dzieła, zredagowanego już nie po angielsku, ale w jednym z języków Tlön. To studium ilu-zorycznego świata nosi prowizoryczny ty-tuł *Orbis Tertius* i jednym z jego skromnych demiurgów był Herbert Ashe, nie wiem, czy jako agent Gunnara Erfjorda, czy jako stowarzyszony. Fakt, że otrzymał

on jedenasty tom, zda się przemawiać za drugą hipotezą. A pozostałe tomy? Poczynając od 1942 roku, fakty zaczęły się mno-

żyć. Pamiętam ze szczególną wyrazistością jeden z pierwszych, i pamiętam, że poczu-łem, iż ma on jedynie charakter premonito-ryjny. Zdarzył się w pewnym mieszkaniu przy ulicy Laprida, przed jasnym i wysokim balkonem, otwartym na zachód słoń-

ca. Księżna de Faucigny Lucinge otrzyma-ła z Poitiers swoją srebrną zastawę. Z wiel-337

kiego dna skrzyni oblepionej międzynarodowymi etykietami, zostały przywołane na światło delikatne nieruchome przedmioty: srebra z Utrechtu i Paryża z twardą heraldyczną fauną, samowar. Wśród nich, z do-słyszalnym i delikatnym drżeniem śpiące-go ptaka, drgała tajemniczo busola.

Księż-

na nie rozpoznała jej.

Niebieska igła dążyła do północy ma-gnetycznej; metalowe pudełko było wkle-śle; litery na tarczy należały do jednego z alfabetów Tlön. Było to pierwsze wtargnięcie świata fantastycznego do świata rzeczywistego. Przypadek, który dotąd mnie niepokoi, sprawił, że również ja sam byłem świadkiem drugiego wtargnięcia.

Wydarzyło się to w kilka miesięcy później, w gospodzie pewnego Brazylijczyka w Cuchilla Negra. Amorim i ja wracaliśmy z Santa Ana. Wezbrana rzeka Tacuarembö zmusiła nas, by zaryzykować i pogodzić 338

się z tą prymitywną gościnnością. Gospodarz przygotował nam dwa skrzypiące łóż-ka w wielkim, zawalonym beczkami i skó-rami pokoju. Położyliśmy się, ale nie pozwolił nam zasnąć aż do świtu wrzask niewidzialnego sąsiada, który był z pewnością pijany i przeplatał niewyraźne przekleń-

stwa urywkami jakichś milong, a raczej urywkami jednej tylko milongi. Oczywiście przypisywaliśmy ten uparty wrzask zamiłowaniu gospodarza do alkoholu. O świcie na korytarzu znaleźliśmy martwego człowieka. Szorstkość jego głosu zwiódła nas: był to młody chłopak. W delirium wypadło mu zza pasa kilka monet oraz stożek z błyszczącego metalu o średnicy naparst-ka. Dziecko chciało ten stożek podnieść, ale mu się nie udało. Jakiś mężczyzna podniósł go, ale z wielkim wysiłkiem. Wzię-

łem stożek do ręki na kilka minut i przypo-minam sobie jego nieznośny ciężar, który 339 trwał nawet później, gdy go odłożyłem.

Pamiętam również wyraźne kółko, jakie odcisnął mi na dłoni. To zjawisko, przedmiot tak mały, a jednocześnie tak ciężki, pozostawiało przykre wrażenie zdumienia i niepokoju. Jakiś wieśniak zaproponował, aby go wrzucić do rwącej rzeki. Amorim nabył go za kilka pesos. Nikt nic nie wiedział o zmarłym prócz tego, że „pochodził

znad granicy". Małe i bardzo ciężkie stożki (zrobione z metalu, który nie jest z tego świata) są wyobrażeniem bóstwa w pewnych religiach Tlön.

W tym miejscu kończę część osobistą mojego opowiadania. Resztę zawiera pa-mięć (lub nadzieja

czy obawa) wszystkich moich czytelników. Wystarczy, że wspomnę następujące fakty w krótkich słowach, które wzbogacą się i wypełnią w głębokiej wspólnej pamięci. W 1944 roku pewien reporter dziennika *The American* (wycho-340

dzącego w Nashville, Tennessee) odkrył w pewnej bibliotece w Memphis czterdzieści tomów *Pierwszej Encyklopedii Tlönü*. Do dzisiejszego dnia dyskutuje się nad tym, czy odkrycie to było przypadkowe, czy też umożliwili je dyrektorzy mglistego jeszcze *Orbis Tertius*. Bardziej prawdopodobne jest to drugie. W egzemplarzu z Memphis pewne niewiarygodne ustępy jedenastego tomu (te na przykład, które nawiązują do niewiarygodnego mnożenia się *hrönirów*) zostały wyeliminowane lub złagodzone; można słusznie pomyśleć, że poprawki takie odpowiadają zamiarowi przedstawienia świata niezbyt odbiegającego od świata rzeczywistego. Rozsiewanie w różnych krajach przedmiotów z Tlönü stanowiłoby część tego samego planu...[11](#) Faktem jest, że „znalezisko” odbiło się szerokim echem ¹¹ Pozostaje oczywiście do rozwiązania problem „tworzywa” niektó-

rych z tych przedmiotów (przyp. aut.).

341

w prasie międzynarodowej. Podręczniki, antologie, streszczenia, dosłowne tłumaczenia, przedruki autoryzowane i nieautoryzowane tego *Opus Maior* Rodzaju Ludzkiego zalewały i nadal zalewają ziemię.

Prawie natychmiast rzeczywistość poddała się w wielu punktach. Pewne jest, że pragnęła się poddać. Dziesięć lat temu wystarczała jakakolwiek symetria o pozorach spójności – materializm dialektyczny, antysemityzm, nazizm – aby doprowadzać ludzi do ekstazy. Jak więc nie ulec Tlönowi, szczegółowej i rozległej oczywistości zorganizowanej planety? Bezcelowa była-by odpowiedź, że również rzeczywistość jest zorganizowana. Może jest zorganizowana, ale zgodnie z prawami boskimi

–
przetłumaczyłbym: z prawami nieludzki-mi, których nie udaje nam się nigdy pojąć, Tlön jest, być może, labiryntem, ale labiryntem utkanym przez ludzi, przeznaczo-342

nym do odczytania przez ludzi.

Kontakt z Tlönem, przyzwyczajanie do

niego, rozbiły ten świat. Zachwycona jego ścisłością ludzkość nie pamięta, że chodzi tu o ścisłość szachistów, nie zaś aniołów.

Wszedł już do szkół „język pierwotny”

(domniemany) Tlönü; nauka jego harmonijnej historii (pełnej wzruszających epizodów) wyparła już tę, która patronowała mojemu dzieciństwu; w pamięciach fikcyj-na przeszłość zajmuje już miejsce tej drugiej, o której niczego nie wiemy z pewno-

ścią... nawet że jest fałszywa. Zreformowana została numizmatyka, farmakologia i archeologia. Przypuszczam, że również biologia i matematyka oczekują na swój awatar... Rozproszona dynastia samotników zmieniła oblicze świata. Jej prace trwają nadal. Jeżeli nasze przypuszczenia nie są błędne, za jakieś sto lat ktoś odkryje sto to-mów *Drugiej Encyklopedii Tlönü*.

343

Zniknie wówczas z planety język angielski i francuski, i prosty hiszpański. Świat stanie się Tlönem. Ja się o to troszczę, przeglądam ciągle, podczas spokojnych dni hotelu w Adroque, niezdecydowany quevediański przekład (którego nie zamierzam dać do druku) dzieła *Urn Burial* Browne'a.

344

ANTHONY BOUCHER

GENIALNY WILKOŁAK

(The compleat werewolf)

Przełożył Marcin Wawrzyńczak

Anthony Boucher (1911-1968) był pisarzem, recenzentem i redaktorem, którego zasługi dla gatunku na jednym polu przewyższają te na wszystkich pozostałych. W jego wypadku były to doskonale prace krytyczne na temat thrillera, które doprowadziły do powstania dorocznej konwencji, „Boucher-conu”, nazwanej na jego cześć. Praca redaktorska dla „The Magazine of Fantasy and Science Fiction” we wczesnych latach kariery ustaliła pozycję Bouchera jako pisarza, który wywarł wpływ nie na jedną, ale na dwie dziedziny gatunku.

Jego powieści to głównie thrillery, ale pisał również nowele, opowiadania fantasy i science fiction, które były często niemal idealnymi przykładami gatunku, i w których zwyczajne postaci uczestniczą w zabawnych, często niezwykłych wyda-rzeniach.

345

Od autora: Prowadząc badania krymino-

logiczne, często napotykałem wzmianki o agencie FBI, który ma szansę dorównać takim amerykańskim legendom jak Paul Bu-nyan czy John Henry. Człowiek ten jest niewrażliwy na kule. Sieje takie przerażenie w umysłach przestępców, że doprowadza ich do samobójstwa albo szaleństwa.

Czasem całkowicie znika z oczu, a kiedy indziej pojawia się równie niespodziewanie zupełnie nagi. I, co być może najcie-kawsze, prowadzi niekończące się poszukiwania kogoś, kto potrafi wykonać hinduską sztuczkę ze stojącą liną.

Dopiero ostatnio, po intensywnych po-szukiwaniach w Berkeley, gdzie na szczę-

ście mam pewne znajomości, przede wszystkim na wydziale germanistyki, i dzięki kilku niechętnym zwierzeniom mojego starego przyjaciela Fergususa O’Briena, zdołałem ustalić fakty, jakie kryją się za tą 346

legendą.

Oto, zatem, cała historia, bez zaledwie jednego istotnego szczegółu, a to, zapewniam, wyłącznie dla waszego własnego dobra.

Profesor zerknął na wiadomość:

„Nie wygłupiaj się – Gloria”.

Wolfe Wolf zgniótł żółtą kartkę w kulkę i wyrzucił ją przez okno na zalany jasnym wiosennym słońcem dziedziniec uniwersytetu. Wypowiedział kilka wyszukanych i prostackich uwag w płynnym środkowoniemieckim.

Emily podniosła wzrok znad projektu budżetu wydziałowej biblioteki, który wła-śnie pisała na maszynie.

– Obawiam się, że nie zrozumiałam, panie profesorze. Jestem słaba ze środkowo-niemieckiego.

347

– Tylko improwizuję – odparł Wolf i posłał egzemplarz „Dziennika filologii angielskiej i niemieckiej” w ślad za telegramem.

Emily odeszła od maszyny do pisania.

– Coś jest nie tak. Czyżby komisja odrzuciła pańską monografię na temat Hage-ra?

– Ten monumentalny wkład w ludzką wiedzę? Och, nie. Nic tak ważnego.

– Ale jest pan zdenerwowany...

– Biurowa żonka! – prychnął Wolf. – I to bigamistka, biorąc pod uwagę, że masz pod sobą cały

wydział. Odejdź.

Mała ciemna twarzyczka Emily zaja-

śniała płomieniem słusznego gniewu, który usunął wszelki ślad zwyczajności. – Proszę nie mówić do mnie w ten sposób, profesorze Wolf. Po prostu staram się panu po-móc. I wcale nie mam pod sobą całego wydziału. Tylko...

348

Profesor Wolf chwycił kałamarz, spojrział w ślad za telegramem i

„Dziennikiem”, po czym odłożył pojemnik na atrament. – Nie. Są lepsze sposoby wpadania we wściekłość. Smutki prędzej rozpuszczają się, niż rozpadają na kawałki... Niech Herbrecht weźmie za mnie wy-kład o drugiej, dobrze?

– Dokąd pan idzie?

– Do diabła. Na razie.

– Proszę poczekać. Może będę mogła panu pomóc. Pamięta pan, kiedy został zbesztany przez dziekana za podawanie drinków studentom? Być może zdołam...

Wolf stanął w drzwiach i wyciągnął jed-ną rękę, celując swoim dziwacznym palcem wskazującym, który był równie długi jak środkowy.

– Madame, jeśli chodzi o uczelnię, jest pani niezastąpiona. Jest pani podstawą istnienia tego wydziału. Jednak teraz wydział

349

może iść do diabła, gdzie bez wątpienia będzie nadal potrzebował pani nieocenionych usług.

– Ale czy pan nie widzi... – głos Emily zadrżał. – Nie. Oczywiście, że nie. I tak by pan tego nie dostrzegł. Jest pan tylko męż-

czynną – nie, nawet nie mężczyzną. Jest pan tylko profesorem Wolfem. Jest pan Hau-Hau.

Wolf zachwiał się.

– Co takiego?

– Hau-hau. Tak wszyscy pana nazywają, ponieważ pańskie nazwisko brzmi Wolfe Wolf. Wszyscy pańscy studenci, każdy.

Ale pan nie zauważyłby czegoś takiego. O, nie. Hau-hau, oto czym pan jest.

– To – powiedział Wolfe Wolf – jest ostateczne pchnięcie. Mam złamane serce, cały mój świat rozpadł się. Muszę maszerować prawie milę do najbliższego baru; ale to jeszcze nie wszystko.

Muszą mnie 350

nazywać Hau-Hau. Do widzenia!

Odwrócił się i w drzwiach wpadł na rozległą i miękką masę, sprawiając, że wydała ona dźwięk, który mógł być powitaniem

„Wolf!” albo nieuniknionym jęknięciem

„Uch!”.

Wolf cofnął się do pomieszczenia, wpuszczając profesora Fearinga, z jego brzuchem, *pince-nez*, laską i całą resztą.

Starszy mężczyzna podszedł do swojego biurka, opadł na fotel i odetchnął głęboko.

– Mój drogi chłopcze – wysapał. – Taki impet.

– Przepraszam, Oskarze.

– Ach, młodość... – Profesor Fearing poszukał chusteczki, nie znalazł jej, i zaczął

czyścić *pince-nez* o swój, nieco pomięty, krawat. – Ale skąd taki pośpiech, mój chłopcze? I

dłaczego Emily płacze?

– Naprawdę?

– Widzi pan? – powiedziała Emily z 351

rozpaczą i mruknęła „Hau-hau” w swoją wilgotną chusteczkę.

– I dlaczego egzemplarze „Dziennika”

fruwają mi nad głową, kiedy nie szkodząc nikomu idę przez dziedziniec? Czyżbyśmy mieli do czynienia z teleportacją?

– Przepraszam – powtórzył Wolf uprzejmie. – To przez mój temperament. Nie mogłem zdzierzyć pewnego argumentu użyte-go przez Glocke'a. Do widzenia.

– Chwileczkę. – Profesor Fearing się-

gnął do jednej ze swoich niezliczonych, niezawierających chusteczek kieszeni i wydobyl żółtą kartkę papieru. – Zdaje się, że to należy do ciebie?

Wolf szybko chwycił papier i podarł go na drobne kawałeczki.

Fearing zachichotał.

– Jakże dobrze pamiętam czasy, kiedy

Gloria była tu studentką! Myślałem o tym nie dalej jak zeszłego wieczora, oglądając 352

ją w „Melodii i blasku księżycy”. Jakże denerwowała cały wydział! Na Boga, mój chłopcze, gdybym sam był odrobinę młodszy...

– Idę. Dopilnujesz Herbrechta, Emily?

Emily pociągnęła nosem i skinęła głową.

– Daj spokój, Wolfe. – Głos Fearinga spoważniał. – Nie chciałem ci dokuczyć.

Ale nie wolno ci traktować tego zbyt poważnie. Są lepsze sposoby na znajdowanie ukojenia niż tracenie cierpliwości czy upijanie się.

– Kto mówił cokolwiek o...

– Czy musiałeś to mówić? Nie, mój chłopcze, gdybyś miał... Nie jesteś człowiekiem religijnym, prawda?

– Dobry Boże, nie – odparł Wolf, nieco sprzecznie.

– Gdybyś tylko był... Jeśli mogę coś zasugerować, Wolf, czy nie zechciałbyś zja-353

wić się dzisiaj w Świątyni? Odbędzie się bardzo szczególna uroczystość. Pomogła-by ci przestać myśleć o Glo... o twoich kłopotach.

– Dziękuję, ale nie. Zawsze chciałem odwiedzić waszą Świątynię – dużo o niej slyszalem – ale nie dzisiaj. Może innym razem.

– Dzisiaj będzie szczególnie ciekawie.

– Dlaczego? Co takiego szczególnego jest w trzydziestym kwietnia?

Fearing potrząsnął siwą głową.

– Szokujące, jakim ignorantem może być naukowiec poza swoją wybraną dziedziną... Ale wiesz, gdzie to jest, Wolfe; mam nadzieję, że cię tam dzisiaj zobaczę.

– Dzięki. Ale moje kłopoty nie wymaga-ją nadprzyrodzonych rozwiązań. Paru zombie wystarczy, i wcale nie mam na myśli żywych trupów. Do widzenia, Oskarze. – Był już w drzwiach, kiedy dodał,

354

jakby sobie przypominając: – Do widzenia, Emily.

– Takie rozgorączkowanie – mruknął

Fearing. – Taki impet. Młodość to wspaniała rzecz, nieprawdaż, Emily?

Emily nie odpowiedziała, lecz wróciła do pisania budżetu, jakby wszystkie demony piekła uwzięły się na nią, co zresztą po części było prawdą.

Słońce zachodziło i tragiczna opowieść Wolfa o jego kłopotach również stawała się

rozczarowująca. Barman zdążył wyczy-

ścić każdy kieliszek w lokalu, a potok słów nie ustawał. Barman był rozdarty pomiędzy nowym, nawet dla niego, poczuciem nudy i zawodowym podziwem dla klienta, który potrafił bez końca konsumować kolejne szklanki koktajlu zombie.

– Czy mówiłem ci o tym, jak zawałiła półrocze? – zapytał Wolf ostro.

355

– Zaledwie trzy razy – odparł barman.

– A więc w porządku; opowiem ci. Ro-

zumiesz, nie lubię tego typu rzeczy. Zawodowy etos, oto czym się chlubię. Ale to było co innego.

To nie był ktoś, kto nie umie, ponieważ nie umie; to była dziewczyna, która nie umiała, ponieważ nie była tego rodzaju dziewczyną, która musi wiedzieć rzeczy, które dziewczyna musi wiedzieć, jeśli jest tego rodzaju dziewczyną, która powinna wiedzieć tego rodzaju rzeczy. Rozumiesz?

Barman rzucił uważne spojrzenie w stronę małego pulchnego człowieczka, któ-

ry siedział na końcu opustoszałego kontuaru, ściskając swoją szklaneczkę dzinu z tonikiem.

– Sprawiała, że to zrozumiałem. Sprawi-

ła, że zrozumiałem wiele rzeczy, I nadal rozumiem te rzeczy, które sprawiła, że zrozumiałem. To

nie był przypadek profesora, 356

zakochującego się w swojej studentce, rozumiesz? To było co innego. To było cudowne. To było

jak początek zupełnie nowego życia.

Barman przeszedł na koniec baru.

– Bracie – wyszeptał.

Mały człowieczek z dziwną bródką pod-

niósł wzrok znad swojego drinka.

– Tak, kolego?

– Jeśli będę musiał słuchać tego szalonego profesora przez kolejne pięć minut, zacznę niszczyć

wszystko dookoła. Co byś powiedział na to, żeby mnie zastąpić?

Mały człowieczek spojrzał na Wolfa, szczególnie uważnie przyglądając się dłoni, która

obejmowała wysoką szklankę z koktajlem.

– Z chęcią, kolego – skinął głową.

Barman odetchnął z ulgą.

– Była Młodością – mówił dalej Wolf w stronę miejsca, w którym poprzednio stał

357

barman. – Ale to nie wszystko. To było coś innego. Była również Życiem i Ekscytacją, i

Radością, i Rozkoszą, i W Ogóle.

Rozu... – Przerwał i popatrzył na puste miejsce. – Zdumiewające! – rzekł. – Dokładnie przed

moimi oczami. Zdumiewają-

ce!

– Tak, kolego? – zainteresował się pulchny człowieczek, siedzący na sąsiednim stołku.

Wolf odwrócił się.

– A, tutaj jesteś. Czy opowiadałem ci, jak poszedłem do niej do domu, sprawdzić jej pracę

semestralną?

– Nie. Ale przypuszczam, że zaraz to zrobisz.

– Skąd wiesz? Cóż, ta noc...

Mały człowieczek pił powoli; lecz jego szklanka była pusta w momencie, kiedy Wolf skończył

relację z owego wieczoru, spędzonego na beznadziejnie nieskutecz-358

nym flircie. Przyszli inni klienci i bar za-pełnił się mniej więcej w jednej trzeciej.

– ... i od tamtego czasu... – Wolf urwał

nagle. – To nie ty – zaprotestował.

– Sądzę, że to ja, kolego.

– Ale jesteś barmanem, a ty nie jesteś barmanem.

– Nie. Jestem magiem.

– Aha. To wszystko wyjaśnia. A więc,
jak już mówiłem... Hej! Masz brodą łąsę!

– Przepraszam?

– Masz brodą łąsę. Podobnie jak głowę.

Tylko trochę szczeciny dookoła.

– Tak mi się podoba.

– A twoja szklanka jest pusta.

– To również jest w porządku.

– O nie, w żadnym wypadku. Nie co-

dziennie zdarza ci się pić z facetem, który oświadczył się Glorii Garton i dostał kosza. To okazja

do świętowania. – Wolf uderzył pięścią w kontuar i wyciągnął do 359

góry dwa palce.

Mały człowieczek zauważył ich równą

długość.

– Nie – powiedział cicho. – Chyba lepiej nie. Znam swoje możliwości. Jeśli wypiję następną

kolejkę – cóż, coś może zacząć się dziać.

– Niech się dzieje!

– Nie. Proszę, kolego. Wolałbym...

Barman przyniósł drinki.

– Dalej, kolego – wyszeptał. – Spraw, żeby siedział cicho. Odwdzięczę ci się kó-
regoś razu.

Mały człowieczek z wahaniem upił tro-

chę świeżego dzinu z tonikiem.

Profesor pociągnął łyk swojego kolejnego zombie.

– Nazywam się Hau-Hau – oświadczył.

– Ale wielu ludzi nazywa mnie Wolfe Wolf. Sądzą, że to śmieszne. W istocie jest to Hau-Hau.

Atwje?

360

Człowieczek zastanawiał się przez chwile nad znaczeniem tego dziwnego dźwię-

ku, a potem rzekł: – Moje imię brzmi Ozymandias Wielki.

– To zabawne imię.

– Powiedziałem ci, że jestem magiem.

Tyle że nie pracowałem od dość dawna.

Kierownicy teatrów to dziwni ludzie, kolego. Nie zależy im na prawdziwych magach. Nie chcą
nawet, żebym pokazał im moje najlepsze sztuczki. Cóż, pamiętam, pewnej nocy w Dardżylingu...

– Miło mi pana poznać, panie... panie...

– Możesz mówić do mnie Ozzy. Więk-
szość osób tak mówi.

– Miło mi cię poznać, Ozzy. A teraz co do dziewczyny. Tej Glorii. Rozumiesz, prawda?

– Jak najbardziej, kolego.

– Ona myśli, że bycie profesorem germanistyki to pestka. Chce czegoś błysko-361

tliwego. Mówi, że gdybym był aktorem albo agentem... Rozumiesz?

Ozymandias Wielki skinął głową.

– A zatem w porządku! Rozumiesz.

Świetnie. Ale po co chcesz dalej o tym rozmawiać? Rozumiesz. O to chodzi. Do diabła z tym.

Okrągła, okolona bródką twarz Ozymandiasa pojaśniała.

– Pewnie – powiedział i dodał nieopatrznie: – Wypijmy za to.

Stuknęli się szklankami i wypili. Wolf beztrąsko wypowiedział toast w starofran-kijskim, popełniając niewybaczalny błąd w użyciu dopełniacza.

Dwaj mężczyźni siedzący obok nich za-

częli śpiewać „My Wild Irish Rose”, ale zgubili melodię i umilkli.

– To, czego potrzebujemy – powiedział

ten w filcowym kapeluszu – to tenor.

– To, czego ja potrzebuję – mruknął

362

Wolf – to papieros.

– Pewnie – rzekł Ozymandias Wielki.

Barman nalewał piwo dokładnie naprzeciw nich. Ozymandias nachylił się nad kontuarem i wyciągnął zapalonego papierosa z ucha barmana, po czym podał go swojemu towarzyszowi.

– Skąd to się wzięło?

– Nie jestem pewny. Wiem tylko, jak je wyciągać. Mówiłem ci, że jestem magiem.

– Ach. Rozumiem. Prestidigitacja.

– Nie. Nie jestem prestidigitatorem; jestem magiem. Och, do diaska! Znowu to zrobiłem. Więcej niż jeden dzin z tonikiem i zaczynam się popisywać.

– Nie wierzę ci – rzekł Wolf beznamiętnie. – Magowie nie istnieją. To równie głupie, jak Oskar Fearing i jego Świątynia, a zresztą, co jest takiego szczególnego w trzydziestym kwietnia?

Człowieczek z bródką zmarszczył czoło.

363

– Proszę, kolego. Zapomnijmy o tym.

– Nie. Nie wierzę ci. Wyprestidigitato-wałeś tego papierosa. To nie była magia. –

Zaczął podnosić głos. – Jesteś oszustem.

– Proszę, bracie – wyszeptał barman. –

Niech on siedzi cicho.

– W porządku – rzekł Ozymandias zmę-

czonym głosem. – Pokażę ci coś, co nie może być prestidigitacją. – Dwójka obok nich znowu zaczęła śpiewać. – Potrzebują tenora. W porządku: słuchaj!

I do duetu dołączył najśłodszy, najbardziej irlandzki tenor, jaki można sobie wyobrazić. Śpiewający nie przejmowali się jego źródłem; po prostu zaakceptowali go chętnie i wspięli się na wyżyny swoich umiejętności, przez co wszyscy w barze mogli posłuchać najpiękniejszej melodii, jaką kiedykolwiek słyszeli od czasu, gdy Klub Radości został pewnego wieczora bezterminowo zawieszony.

364

Wolf zdawał się być pod wrażeniem, ale potrząsnął głową.

– To też nie jest magia. To brzucho-mówstwo.

– Jeśli chodzi o ścisłość, to był głos ulicznego śpiewaka zabitego w czasie Powstania

Wielkanocnego. Wspaniała gość; nigdy nie słyszałem lepszego głosu, z wyjątkiem tamtego wieczora w Dardżylingu...

– Oszust! – powiedział Wolfe Wolf głośno i wojowniczo.

Ozymandias raz jeszcze przyjrzał się jego długiemu wskazującemu palcowi.

Spojrzał na ciemne brwi profesora, zrastające się prostą linią nad nosem. Ujął nieco bezwładną dłoń swego towarzysza i dokładnie zbadał jej wnętrze. Było porośnięte włosiem, rzadkim, lecz widocznym.

Mag prychnął.

– I ty naśmiewasz się z magii!

– Co w tym takiego zabawnego?

365

Ozymandias zniżył głos.

– To, mój drogi włochaty przyjacielu, że jesteś wilkołakiem!

Irlandzki męczennik zanucił „Rose of Tralee” i dwaj śmiertelnicy przy barze dołączyli śmiało.

– Czym jestem?

– Wilkołakiem.

– Ale przecież one nie istnieją. Każdy głupi to wie.

– Głupcy – oświadczył Ozymandias –

wiedzą wiele z tego, o czym mądrzy nie mają pojęcia. Wilkołaki istnieją. Zawsze istniały i prawdopodobnie zawsze będą istnieć. – Mówił tonem spokojnym i pewnym, jakby zauważał, że ziemia jest okrą-

gła. – Istnieją trzy nieomylnie fizyczne znaki; zrośnięte brwi, długi palec wskazujący i włochate dłonie. Masz wszystkie trzy. Nawet twoje nazwisko jest symptomatyczne.

Nazwiska nie pochodzą znikąd. Każdy 366

Smith ma przodka, który był kiedyś kowalem. Każdy Fisher pochodzi z rodziny, która kiedyś zajmowała się rybactwem. A ty nazywasz się Wolf.

Stwierdzenie było tak spokojne, tak wiarygodne, że Wolf zadrżał.

– Ale wilkołak to człowiek, który zamienia się w wilka. Mnie to się nigdy nie przydarzyło.

Naprawdę.

– Ssak – powiedział Ozymandias – to zwierzę, które rozmnaża się poprzez żyworództwo i karmi młode swoim mlekiem.

Dziewica jest pomimo to ssakiem. To, że się nigdy nie przemieniłeś, nie oznacza, że nie jesteś wilkołakiem.

– Ale wilkołak... – Oczy Wolfa nagle zabłyśły. – Wilkołak! Ależ to nawet lepsze od agenta FBI! Teraz pokażę Glorii!

– O czym, na Boga, mówisz, kolego?

Wolf zsunął się ze stołka. Podniecenie wywołane genialnym nowym pomysłem 367

zdawało się go otrzeźwić. Chwycił małego człowieczka za ramię.

– Chodźmy. Znajdziemy jakieś spokojne miejsce. A ty udowodnisz mi, że jesteś prawdziwym magiem.

– Ale jak?

– Pokażesz mi, jak się zmienić!

Ozymandias dokończył dzin z tonikiem
i razem z nim pozbył się ostatnich wątpliwości.

– Kolego – oświadczył – masz to jak w banku!

Profesor Oskar Fearing, stojąc za mister-nie rzeźbioną mównicą Świątyni Mrocznej Prawdy,
kończył mamrotliwym, lecz dono-
śnym głosem odczytywać modlitwę.

– I tej nocy ze wszystkich nocy, w imię czarnego światła, które błyszczy w ciemnościach,
składamy dzięki! – Zamknął

oprawioną w pergamin księgę i zwrócił się 368

ku niewielkiej grupce wiernych, wołając z naciskiem: – Kto pragnie złożyć dzięki Niższemu
Panu?

Podniosła się otyła wdowa.

– Ja składam dzięki! – wykrzyknęła podnieconym falsetem. – Moja Ming Choy była chora,
zapewne nawet śmiertelnie.

Wzięłam nieco jej krwi i złożyłam w ofierze Niższemu Panu, a ten okazał łaskę i przywrócił ją do
życia!

Za ołtarzem elektryk sprawdził przełączniki i splunął z obrzydzeniem: – Bufoni!

Wszyscy co do jednego!

Mężczyzna zakładający groteskowy, straszny kostium przerwał na chwilę i wzruszył ramionami:

– Dobrze płacą. Co nas obchodzi, czy są bufonami?

Wysoki, chudy starzec podniósł się niepewnie.

– Ja składam dzięki! – zawołał. – Skła-369

dam dzięki Niższemu Panu za to, że do-kończyłem moje wielkie dzieło. Moja tarcza ochronna
przeciwko bombom magne-

tycznym jest wielkim i sprawdzonym sukcesem, na chwałę naszego kraju, nauki i Pana.

– Świrus – mruknął pod nosem elektryk.

Mężczyzna w kostiumie wyjrzał zza oł-
tarza.

– Świrus, akurat! To Chiswick z wydziału fizyki. Pomyśleć, że taki człowiek daje się nabierać na
te rzeczy. I posłuchaj go: mówi nawet o rządowych planach wy-korzystania jego wynalazku. Wiesz,
założę się, że któryś z tych piątokolumnistów mógłby tu nieźle skorzystać.

Gdy zgromadzenie zakończyło już część dziękczynną, w Świątyni zapanowała cisza. Profesor
Fearing pochylił się nad mównicą, przemawiał spokojnie i suge-stywnie:

370

– Jak wiecie, bracia w Ciemności, dzisiaj jest wigilia pierwszego maja, dzień trzydziesty
kwietnia, poświęcony przez Kościół męczennicy świętej Walpurgii, a przez nas innym i bardziej
głębokim ce-lom. To tej, i tylko tej nocy możemy bezpośrednio złożyć dzięki samemu Niższemu Panu.
Nie pośród orgii i bezeceństw, jak błędnie odczytało jego pragnienia średniowiecze, lecz w
modlitwie i głębokiej, ciemnej radości, która wypływa z Czerni.

– Trzymać się, chłopaki – powiedział

mężczyzna w kostiumie. – Oto nadchodzę ponownie.

– Eka! – zagrzemiał Fearing. – Dva tri czatur! Pancza! Szas sapta! Aszta nava dasza ekadasza! –
Umilkł. W tym momencie zawsze istniało niebezpieczeństwo, że ja-kiś uczony z tego

uniwersyteckiego miasta rozpozna, iż inwokacja, chociaż wypowiedziana perfekcyjnie w sanskrycie, składa 371

się wyłącznie z liczb od jednego do jedenastu. Ale nikt się nie poruszył, i Fearing zawołał w bardziej stosownej łacinie: –

Per vota nostra ipse nunc surgat nobis di-catus Baal Zebub!

– Baal Zebub! – zawołali chórem wierni.

– Teraz – powiedział elektryk i pociągnął za przełącznik.

Światła zamigotały i zgasły. Zajaśniała błyskawica. Nagle z ciemności wydobyło się krótkie szczeknięcie, skowyt bólu, a potem przeciągłe radosne wycie.

W pomieszczeniu zajarzyła się niebieskawa poświata. W jej blasku elektryk ze zdumieniem ujrzał, że jego przebrany towarzysz stoi obok i ściska krwawiącą dłoń.

– Co się stało? – zapytał szeptem.

– Nie mam pojęcia. Wychodzę na dany

znak, gotów odegrać moje straszliwe przedstawienie, i co się dzieje? Wielki 372
czarny pies skacze i gryzie mnie w dłoń.

Dlaczego nie uprzedzili nas, że zmienili scenariusz?

W blasku błękitnego światła wierni z czcią spoglądali na małego pulchnego człowieczka z rzadką bródką i wspaniałego szarego wilka stojącego obok niego.

– Witaj, Niższy Panie! – rozbrzmiał

chór głosów, zagłuszając szept jednej starej panny: – Ależ moja droga, przysięgłabym, że był dużo przystojniejszy w zeszłym roku!

– Koledzy! – powiedział Ozymandias Wielki i zapadła całkowita cisza w oczekiwaniu na doniosłe słowa Niższego Pana.

Ozymandias postąpił jeden krok naprzód, starannie umieścił język pomiędzy wargami, wypowiedział najbardziej dojrzałe, naj-smakowitsze zaklęcie w swojej karierze, i zniknął, razem z wilkiem i całą resztą.

373

Wolfe Wolf otworzył oczy i szybko zamknął je ponownie. Nigdy nie spodziewał

się, że w spokojnym hotelu Berkeley Inn zostaną zainstalowane wirujące pokoje. To było

niesprawiedliwe. Leżał w ciemnościach, czekając, aż wirowy ruch ustanie, i próbował przypomnieć sobie wydarzenia ostatniej

nocy.

Pamiętał knajpę i kolejne drinki. I barmana. Bardzo sympatyczny gość, do momentu

kiedy nie zmienił się nagle w małego człowieczka z rzadką bródką. Wtedy sprawy zaczęły przybierać dziwny obrót.

Miało to coś wspólnego z papierosem, z irlandzkim tenorem i z wilkołakiem. Cóż za fantastyczny pomysł. Przecież każdy głupi wie...

Wolf wyprostował się nagle. To on był

wilkołakiem. Odrzucił koc i popatrzył na swoje nogi. Potem odetchnął z ulgą. Były długie. Były

wystarczająco owłosione.

374

Były opalone od częstej gry w tenisa. Ale były niezaprzeczalnie ludzkie.

Wstał, energicznie rozprostowując ko-

ści, i zaczął zbierać ubranie porozrzucane po całym pokoju. Grupa gnomów wierciła mu dziurę w mózgu, ale miał nadzieję, że pójdą sobie, jeśli nie będzie zwracał na nich uwagi. Jedno było pewne; od teraz będzie dobry. Gloria czy nie Gloria, złamane serce czy nie złamane serce, topienie smutków w alkoholu nie wystarczało. Jeśli człowiek czuł się w ten sposób i potrafił wyobrazić sobie, że jest wilkołakiem...

Ale dlaczego miałby wyobrażać to sobie z takimi szczegółami? Tyle oderwanych wspomnień zdawało się wracać do niego, kiedy zakładał ubranie. Marsz do Straw-berry Canyon z małym człowieczkiem, poszukiwanie odpowiedniej kryjówki, nauka zaklęcia... Wciąż jeszcze je pamiętał. Jedno słowo, żeby się zamienić, i jedno, żeby

375
wrócić do poprzedniej postaci.

Czyżby i te słowa wymyślił w pijanym widzie? I czy wymyślił to, co ledwie potrafił sobie przypomnieć – wspaniałą, magiczną wolność przemiany, pojedyncze ostre szarpnięcie przeistoczenia i nieskończoną szczęśliwość bycia gibkim, zręcznym, wolnym?

Przyjrzał się sobie w lustrze. Wyglądał dokładnie tak, jak trzeba, jeśli nie liczyć niechcianych zagnieceń na konserwatywnej szarej jednorzędowej marynarce: spokojny uczony, odrobinę lepiej zbudowany, odrobinę bardziej impulsywny, odrobinę bardziej romantyczny od reszty, być może, ale wciąż ten sam – profesor Wolf.

Reszta była nonsensem. Istniał jednak tylko jeden sposób, jak sugerowała mu jego impulsywna strona, by się o tym przekonać. A mianowicie wypowiedzieć Sło-wo.

376

– W porządku – powiedział Wolfe Wolf do swojego odbicia. – Pokażę ci. – I wypowiedział je.

Szarpnięcie było ostrzejsze i mocniejsze, niż zapamiętał. Alkohol zmniejsza wrażliwość na ból. Przez chwilę czuł się rozrywany, jakby rodził się na nowo. Potem uczucie zniknęło i napiął mięśnie w radosnym zdumieniu. Nie był jednak gibką, zręczną, wolną bestią. Był beznadziejnie uwięzionym wilkiem, nieodwołalnie zaplątany w konserwatywny, szary jednorzędowy garnitur.

Chciał wstać i przejść się, ale zaplątał się w długie rękawy i nogawki, po czym padł prosto na pysk. Uderzał łapami, próbując się oswobodzić, lecz potem znieruchomiał. Wilkołak czy nie wilkołak, nadal był profesorem Wolfem i ten garnitur kosztował go trzydzieści pięć dolarów.

Musi być jakiś tańszy sposób odzyskania 377
wolności niż darcie ubrania na strzępy.

Wypowiedział kilka miłych, okrągłych przekleństw w środkowoniemieckim. Tej komplikacji nie przewidywała żadna z legend o wilkołakach, jakie kiedykolwiek czytał. Tam ludzie – bum! – stawali się wilkołakami albo – bang! – z powrotem zamieniali się w ludzi. Kiedy byli ludźmi, nosili ubranie; będąc wilkołakami, mieli tylko sierść. Tak jak Hiperman ponownie stający się Barkiem Lentem na szczycie Empire State Building i znajdujący swoje ubranie dokładnie tam, gdzie trzeba. Doprawdy zwodnicze. Zaczął przypominać sobie teraz, jak Ozymandias Wielki kazał mu się rozebrać przed wypowiedzeniem słów...

Słowa! To było to. Musi tylko wypowiedzieć słowo, które przywracało go do pierwotnej postaci – *Absarka!* – i ponownie stanie się człowiekiem, wygodnie dopaso-

378
wanym do swojego garnituru. Potem będzie mógł rozebrać się i zacząć wszystko od początku. Widzicie? Rozum rozwiązuje wszystkie

problemy. – *Absarka!* – powiedział.

Albo wydawało mu się, że powiedział.

Wykonał wszystkie procesy mentalne konieczne do wypowiedzenia słowa *Absarka!*, ale z pyska wydobyło mu się tylko zgrzytliwe rżenie. I nadal był konserwatywnie ubranym i bezradnym wilkiem.

To było gorsze od problemu ubrania. Je-

śli uwolnić go mogło tylko wypowiedzenie słowa *Absarka!*, a jako wilk nie był w stanie go wypowiedzieć, to cóż, oto był tym, kim był, na zawsze. Mógł iść poszukać Ozzy'ego – ale jak wilk ubrany w szary garnitur ma wyjść z hotelu i szukać nieznanego adresu?

Był w pułapce. Był zgubiony. Był...

– *Absarka!*

379

Profesor Wolf stał w nieznośnie pogniecionym szarym garniturze i uśmiechał się promiennie do Ozymandiasa Wielkiego.

– Widzisz, kolego – powiedział mały człowieczek – domyśliłem się, że będziesz chciał spróbować ponownie, gdy tylko się obudzisz, i dobrze wiedziałem, jakie napotkasz problemy. Pomyślałem, że przyjdę i pomogę ci je rozwiązać.

Wolf w milczeniu zapalił papierosa i po-
dał paczkę Ozymandiasowi.

– Kiedy przed chwilą tu wszedłeś – zapytał w końcu – co zobaczyłeś?

– Ciebie jako wilka.

– A zatem to naprawdę... Ja rzeczywi-
ście...

– Pewnie. Jesteś wilkołakiem pełną gębą, bez wątpliwości.

Wolf usiadł na pogniecionej pościeli.

– Sądzę – powiedział powoli – że muszę 380

w to uwierzyć. A jeśli tak... to oznacza, że będę musiał uwierzyć we wszystko, czym zawsze pogardzałem. Muszę uwierzyć w bogów i diabły, i piekła, i...

– Nie musisz być taki pluralistyczny.

Ale Bóg istnieje – powiedział Ozymandias równie spokojnie i przekonująco, jak poprzedniego wieczora stwierdził, że istnieją wilkołaki.

– A jeśli istnieje Bóg, to mam duszę?

– Pewnie.

– A jeśli jestem wilkołakiem... Hej!

– O co chodzi, kolego?

– W porządku, Ozzy. Wiesz wszystko.

Powiedz mi rzecz następującą: czy jestem przeklęty?

– Za co? Za bycie wilkołakiem? Do diaska, nie; pozwól, że to wyjaśnię. Istnieją dwa gatunki wilkołaków. Pierwszy, które-go przedstawiciele nic nie mogą poradzić na swoją przypadłość, po prostu zamienia-381

ją się w wilki bez żadnego udziału własnej woli; i gatunek drugi, wilkołaków dobro-wolnych, którego przedstawicielem jesteś ty. Ci ostatni są zazwyczaj przekłeci, pewnie, ponieważ są to źli ludzie, którzy pożą-

dają krwi i pożerają niewinne ofiary. Nie są jednak źli i przekłeci, dlatego że są wilkołakami; stali się wilkołakami, ponieważ są przekłeci i źli. Ty, z kolei, zmieniłeś się dla zabawy i dlatego, że wydawało się to dobrym sposobem zaimponowania dziewczynie; to wystarczająco niewinny motyw i

to, że jesteś wilkołakiem, wcale tego nie zmienia. Wilkołaki nie muszą być potwo-rami; tyle tylko że zazwyczaj słyszymy o tych, które nimi są.

– Ale jak ja mogę należeć do gatunku dobrowolnego, skoro powiedziałaś mi, że byłem wilkołakiem, zanim jeszcze się przemieniłem?

– Nie każdy może się zmienić. To jak

382

umiejętność poruszania uszami albo kręcenia językiem. Umiesz to albo nie umiesz; i tyle. I tak jak przy tych zdolnościach, zapewne odgrywa tu rolę czynnik genetyczny, chociaż nikt nie prowadził na ten temat poważnych badań. Byłeś wilkołakiem *in posse*; teraz jesteś nim *in esse*.

– A zatem wszystko jest w porządku?

Mogę być wilkołakiem tylko dla zabawy i jest to bezpieczne?

– Całkowicie.

Wolf zarechotał.

– Ależ teraz pokażę Glorii! „Nudny i bezbarwny”, rzeczywiście! Każdy może poślubić aktora albo agenta; ale wilkołak...

– Twoje dzieci też pewnie nimi będą –

powiedział Ozymandias radośnie.

Wolf marzycielsko przymknął powieki, a potem otworzył je nagle.

– Wiesz co?

– Co takiego?

383

– Wcale nie mam kaca! To cudowne. To

jest... Cóż, to praktyczne. Wreszcie idealne lekarstwo na kaca. Zamień się w wilkołaka i z powrotem, i... Och, to mi o czymś przypomina. W jaki sposób mam się odmienić?

– *Absarka*.

– Wiem. Ale kiedy jestem wilkiem, nie mogę tego powiedzieć.

– To właśnie – rzekł Ozymandias ze smutkiem – jest przekleństwem bycia bia-

łym magiem. Przez cały czas jesteś zmuszony używać drugorzędnych zaklęć, ponieważ pierwszorzędne nieodmiennie nale-

żą do dziedziny czarnej magii. Pewnie, czarnomagiczny wilkopotwór może odmienić się, kiedy tylko zechce. Pamiętam pewnej nocy w Dardżylingu...

– Ale co ze mną?

– Oto problem. Musisz mieć kogoś, kto wypowie za ciebie *Absarka*! Tak jak ja to uczyniłem wczoraj w nocy, czy pamiętasz?

384

Po tym, jak narobiliśmy bigosu w Świątyni twojego przyjaciela... Coś ci powiem. Jestem teraz na emeryturze i wystarcza mi na skromne życie, bo zawsze mogę coś wyczarować... Czy zamierzasz zająć się wilkołactwem na poważnie?

– Przynajmniej przez jakiś czas. Dopóki nie zdobędę Glorii.

– A więc co ty na to, żeby zamieszkał

tutaj w hotelu? Zawsze będę pod ręką, żeby wypowiedzieć dla ciebie *Absarka*!

Kiedy już zdobędziesz dziewczynę, nauczysz ją, jak to robić.

Wolf wyciągnął dłoń.

– To szlachetne z twojej strony. Umowa stoi. – A potem jego wzrok padł na zegarek. – Opuściłem

już dwa zajęcia dziś rano. Wilkołactwo jest świetne, ale męż-

czynna musi zarabiać na życie.

– W każdym razie większość mężczyzn.

– Ozymandias sięgnął w powietrze i chywy-385

cił monetę. Spojrzał na nią z żalem; był to złoty moidor. – Powiesić te duchy; nigdy nie potrafię

im wytłumaczyć, że złoto jest nielegalne.

Z Los Angeles, pomyślał Wolf ze zwy-

czajową pogardą północnego Kalifornij-czyka, przyglądając się sportowej kurtce i

jaskrawożółtej koszuli swojego gościa.

Młody mężczyzna wstał uprzejmie, kie-

dy profesor wszedł do gabinetu. Jego zielone oczy błyszczały serdecznie, a ruda czupryna lśniła

w wiosennym słońcu.

– Profesor Wolf? – zapytał.

Wolf zerknął niecierpliwie na biurko.

– Tak.

– Nazywam się O’Breen. Chciałbym za-

mienić z panem parę słów.

– Przyjmuję we wtorki i czwartki od trzeciej do czwartej. Obawiam się, że teraz jestem zajęty.

386

– Tu nie chodzi o sprawy uczelniane. O

coś ważniejszego. – Zachowanie młodego mężczyzny było przyjazne i swobodne, ale mimo to

zdołał dać do zrozumienia, że sprawa jest pilna, co zaciekało Wolfa.

Niezwykle ważny list do Glorii czekał już od dwóch godzin; mógł poczekać jeszcze pięć minut.

– A więc dobrze, panie O’Breen.

– Ale w cztery oczy, jeśli pan łaskaw.

Wolf nie zauważył dotąd, że Emily znajduje się w pomieszczeniu. Odwrócił się teraz do niej i

powiedział:

– W porządku. Emily, jeśli nie masz nic przeciwko...

Sekretarka wzruszyła ramionami i wy-szła.

– A zatem, szanowny panie. Co to za

niecierpiąca zwłoki i tajemnicza sprawa?

– Chodzi tylko o parę pytań. Zacznijmy od tego, jak dobrze zna pan Glorię Garton?

387

Wolf zawahał się. Nie mógł raczej od-

powiedzieć: „Młody człowieku, mam zamiar ponownie jej się oświadczyć w związku z tym, że stałem się wilkołakiem”.

W zamian odparł po prostu, zgodnie z prawdą, choć niecałą:

– Była moją studentką kilka lat temu.

– Pytałem o terażniejszość, nie o prze-szłość. Jak dobrze zna ją pan teraz?

– A dlaczego miałbym odpowiadać na

takie pytanie?

Młody człowiek sięgnął po wizytówkę.

Wolf odczytał:

FERGUS O’BREEN

Prywatny Detektyw

Licencja Stanu Kalifornia

Wolf uśmiechnął się.

– A cóż to ma oznaczać? Sprawy rozwo-
dowe? Czyż nie tym zajmują się zwykle 388
prywatni detektywi?

– Panna Garton nie jest zamężna, jak pan zapewne doskonale wie. Pytam tylko, czy kontaktował się pan z nią ostatnio?

– A ja po prostu pytam, dlaczego chce pan to wiedzieć?

O'Brien wstał i zaczął przechadzać się po pokoju.

– Na razie nie zaszliśmy zbyt daleko.

Czy mam rozumieć, że odmawia pan od-
powiedzi na temat charakteru pańskiej znajomości z Glorią Garton?

– Nie widzę powodu, bym miał uczynić
inaczej. – Wolfa zaczynała ogarniać irytacja.

Ku jego zaskoczeniu, detektyw
uśmiechnął się szeroko.

– W porządku. Niech tak będzie. Proszę mi opowiedzieć o pańskim wydziale: jak długo uczą tutaj
poszczególni wykładowcy?

389

– Łącznie z adiunktami?

– Nie, tylko profesorowie.

– Ja jestem tutaj od siedmiu lat. Wszyscy pozostali przynajmniej od dziesięciu, zapewne nawet
dłużej. Jeśli potrzebuje pan dokładnych danych, zapewne uzyska je pan od dziekana, chyba że, na co
mam nadzieję – Wolf uśmiechnął się serdecznie –

wyrzuci on pana na zbity łeb.

O'Brien zaśmiał się.

– Profesorze, sądzę, że moglibyśmy się polubić. Jeszcze jedno pytanie i pan sam będzie mógł
mnie wyrzucić. Czy jest pan obywatelem amerykańskim?

– Oczywiście.

– A reszta wydziału?

– Również. A czy teraz miałby pan dość przyzwoitości, żeby wyjaśnić mi, czemu miała służyć ta
dziwaczna zbieranina py-tań?

– Nie – odparł O'Brien swobodnie. –

390

Do widzenia, profesorze. – Bystre zielone oczy uważnie lustrowały pokój, zauważa-jąc wszystkie
szczegóły. Teraz, kiedy wychodził, jego wzrok padł na długi palec wskazujący Wolfa, przesunął się
ku grubym zrośniętym brwiom i wrócił do palca.

W oczach wychodzącego O'Breena poja-

wił się wyraz podejrzenia wywołanego na-głym zrozumieniem.

Ależ to nonsens, powiedział sobie Wolf.

Prywatny detektyw, nieważne, jak bystry, nieważne, jak pozornie bezsensowne były jego pytania,
byłby z pewnością ostatnim człowiekiem na świecie, który zauważyłby oznaki likantropii.

Ciekawe. Słowo „wilkołak” dało się zaakceptować. Można było powiedzieć „jestem
wilkołakiem” i było to w porządku.

Ale wystarczyło powiedzieć „jestem likantropem” i człowieka przechodziły ciarki.

Dziwne. Zapewne temat na artykuł dla jed-391

nego z naukowych periodyków o wpływie etymologii na skojarzenia.

Ale co tam! Wolf nie był już przede wszystkim uczonym. Był teraz wilkołakiem, białomagicznym wilkołakiem, wilkołakiem dla zabawy; i miał zamiar się ba-wić. Zapalił fajkę, spojrzął na czystą kartkę papieru na biurku i zastanawiał się nad tre-

ścią listu do Glorii. Powinien on zawierać dość aluzji, by ją zafascynować i przykuć jej uwagę, do czasu, gdy po zakończeniu semestru on, Wolf, będzie mógł pojechać na południe i przedstawić jej całą wspania-

łą nową prawdę. Powinien...

Profesor Oskar Fearing energicznie wmaszerował do gabinetu.

– Dzień dobry, Wolfe. Ciężko pracujesz, mój chłopcze?

– Dzień dobry – odparł Wolf, myśląc o czym innym, i nadal wpatrywał się w kart-392 kę papieru.

– Czekają nas wspaniałe wydarzenia, co? Czy cieszysz się na spotkanie ze wspaniałą Glorią? Wolf drgnął.

– Jak... O czym mówisz?

Fearing podał mu złożoną gazetę.

– Nie słyszałeś jeszcze?

Wolf czytał ze wzrastającym zdumieniem i radością:

GLORIA GARTON PRZYBYWA W PIĄTEK

Dawna studentka powraca do Berkeley W ramach najbardziej spektakularnego polowania na talenty od czasu poszukiwania Scarlett O'Hary, Gloria Garton, barwna gwiazdka z wytwórni Metropolis, odwiedzi w piątek miasteczko uniwersyteckie Berkeley.

W piątek po południu w uniwersyteckiej 393

sali kinowej wszystkie psopodobne osobniki z Berkeley będą miały szansę wziąć udział w castingu do roli wilka Tookah w nowym filmie Metropolis pod tytułem

„Kły puszczy”, zaś Gloria Garton będzie osobiście obecna na przesłuchaniach.

„Tyle zawdzięczam Berkeley” powiedziała panna Garton. „Wspaniale będzie móc znowu zobaczyć uczelnię i miasto”.

Panna Garton gra główną rolę ludzką w

„Kiach puszczy”.

Panna Garton była studentką miejscowe-go uniwersytetu, kiedy po raz pierwszy uzyskała szansę zagrania w filmie. Jest członkinią stowarzyszenia teatralnego

„Maska i sztylet” oraz żeńskiego klubu

„Rho Rho Rho Sorority”.

Wolf rozpromienił się. Okazja była idealna. Nie będzie musiał czekać na koniec semestru. Mógł zobaczyć Glorię teraz i 394

zdobyć ją z całą wilczą energią. Piątek –

była środa – to dawało mu dwa dni na przeciwiczenie i udoskonalenie techniki wilkołactwa. A potem...

Spostrzegł przygnębioną minę Fearinga i tknęły go wyrzuty sumienia.

– Jak poszło wczoraj, Oskarze? – zapytał uprzejmie. – Jak udała się wasza wielka uroczystość z okazji nocy Walpurgii?

Fearing rzucił mu zdziwione spojrzenie.

– Wiesz o tym teraz? Wczoraj trzydziesty kwietnia nic dla ciebie nie znaczył.

- Zaciekawilem się i sprawdziłem w encyklopedii. Ale jak poszło?
- Wystarczająco dobrze – skłamał Fearing nieprzekonująco. – Czy wiesz, Wolfe
- zapytał po chwili ciszy – co jest prawdziwym przekleństwem każdego człowieka, który interesuje się okultyzmem?

– Nie. Co takiego?

– To, że prawdziwa moc nigdy nie wy-

395

starcza. Wystarcza być może, ale nigdy innym. Więc bez względu na to, jakie są twoje prawdziwe umiejętności, musisz zawsze posuwać się do szarlatanstwa, żeby przekonać innych. Spójrz na Saint Germa-ina. Spójrz na Francisa Stuarta. Spójrz na Cagliostro. Ale najgorszy jest następny etap; kiedy zdajesz sobie sprawę, że twoja moc była większa, niż się spodziewałeś, i szarlataneria była niepotrzebna. Kiedy zdajesz sobie sprawę, że nie masz świadomo-

ści własnej mocy. Wtedy...

– Wtedy co, Oskarze?

– Wtedy, mój drogi chłopcze, nagle ogarnia cię lęk.

Wolf chciał powiedzieć coś pocieszają-

cego. Chciał powiedzieć „Posłuchaj, Oskarze. To byłem tylko ja. Wróc do swojej niepewnej szarlatanerii i bądź szczęśliwy”.

Ale nie mógł tego zrobić. Tylko Ozzy mógł znać tajemnicę owego wspaniałego 396 szarego wilka. Tylko Ozzy i Gloria.

Blask księżyca oświetlał ukryte miejsce w wąwozie. Noc była spokojna. A Wolfe Wolf miał ciężki przypadek tremy. Teraz, kiedy przyszło do działania – bo poranna potyczka z ubraniem właściwie się nie liczyła, a poprzedniej nocy prawie nie pa-miętał – bał się zanurkować prosto w wilkołactwo i wolał zwlekać i przeciągać rozmowę tak długo, jak to możliwe.

– Czy sądzisz – zapytał maga nerwowo

– że mógłbym nauczyć przemiany również Glorię?

Ozymandias zastanowił się.

– Być może, kolego. To zależy. Jedni posiadają wrodzoną umiejętność, inni jej nie posiadają.

Poza tym, oczywiście, nie wiadomo, w co mogłaby się zmienić.

– To znaczy, że wcale nie musiałyby być wilkiem?

397

– Oczywiście, że nie. Ludzie, którzy potrafią się zmieniać, zmieniają się we wszelkiego rodzaju istoty. I każdy lud najlepiej zna ten rodzaj, który go najbardziej interesuje. My pochodzimy z kręgu tradycji an-glosaskiej i środkowoeuropejskiej; dlatego najwięcej wiemy o wilkołakach. Ale w Skandynawii, na przykład, usłyszysz najczęściej o ludziach-niedźwiedziach, tyle tylko że nazywają ich berserkerami. Na Wschodzie, z kolei, najbardziej interesują ich ludzie-tygrysy. Problem polega na tym, że my tak dużo myśleliśmy o wilkołakach, że tylko umiemy rozpoznać; nie potrafił-

bym ot, tak, określić cech charakterystycznych człowieka-tygrysa.

– A więc nie da się przewidzieć, co by się stało, gdybym nauczył ją zaklęcia?

– W najmniejszym stopniu. Oczywiście, są istoty, którymi zwyczajnie nie opłaca się być. Weźmy na przykład człowieka-m-398

rówkę. Zmieniasz się, ktoś na ciebie nastę-

puje i jest po wszystkim. Albo jak jego-mość, którego znałem kiedyś na Madaga-skarze.

Nauczyłem go zaklęcia, i wiesz co?

Dam głowę, jeśli nie zamienił się w człowieka-diplodoka. Rozwalił cały dom na kawałki i o

mały włos nie zmiażdżył mnie kopytem, zanim zdążyłem powiedzieć *Absarka!* Postanowił nie kontynuować tego.

Albo wtedy w Dardżylingu... Ale posłuchaj, kolego, czy zamierzasz tutaj stać bez ubrania przez całą noc?

– Nie – odparł Wolf. – Zamierzam zmie-nić się teraz. Zabierzesz moje rzeczy z powrotem do hotelu?

– Pewnie. Będą tam na ciebie czekały. I rzuciłem niewielki czar na recepcjonistę, na tyle, żeby nie zwracał uwagi na wchodzące wilkołaki. Och, i jeszcze jedno – czy nic nie zginęło z twojego pokoju?

– Nie zauważyłem. Dlaczego?

399

– Bo wydawało mi się, że ktoś z niego wychodził dziś po południu. Nie byłem pewny, ale tak mi się zdawało. Młody człowiek z rudymi włosami i ubrany po hollywoodzku.

Wolfe Wolf zmarszczył czoło. To nie miało sensu. Bezcelowe pytania to jedno, ale przeszukiwanie pokoju hotelowego...

Czym jednak byli detektywi przy pełnym mocy wilkołaku? Wyszczrzył zęby, skinieniem głowy żegnając się przyjaźnie z Ozymandiasem Wielkim, i wypowiedział zaklęcie.

Ból nie był tak przeszywający jak rano, ale wciąż ostry. Minął jednak niemal natychmiast, i całe jego ciało przepełniło się poczuciem nieograniczonej wolności. Zadarł nos i głęboko wciągnął świeży zapach nocy. Cały nowy wymiar przyjemności otworzył się przed nim wyłącznie dzięki temu nowemu nosowi. Radośnie pomachał

400

ogonem Ozzy'emu i ruszył w górę wąwozu długimi, lekkimi susami.

Przez wiele godzin wystarczało mu to –

zwyczajne radowanie się własną wilkowa-tością było najwspanialszą rozkoszą, o jakiej można było marzyć. Opuścił wąwóz i skręcił pomiędzy wzgórz, na szlachetne pustkowie, które wydawało się wystarczająco oddalone od wszelkiej cywilizacji.

Jego dzielne nowe nogi były sprężyste i mocarne, oddech wydawał się niewyczer-pany. Każdy krok przynosił nowe cudow-ne zapachy ziemi, liści i powietrza, a świat był lśniący i piękny.

Ale minęło kilka godzin i Wolf zdał sobie sprawę, że jest samotny. Całe to wspaniałe zmęczenie było bardzo przyjemne, ale gdyby jego partnerka Gloria kłusowała u jego boku... I jakaż to przyjemność być kimś tak doskonałym jak wilk, kiedy nikt na ciebie nie patrzy? Zapragnął towarzy-

401
stwa ludzi i skręcił w stronę miasta.

Berkeley wcześniej kładzie się spać. Ulice były puste. Tu i ówdzie światła paliły się w bursie, gdzie jakiś kujon pracował

nad swoją prawie już gotową pracą semestralną. Wolf sam tak postępował. Nie mógł się śmiać w swojej obecnej postaci, ale jego ogon zadrżał od rozbawienia wy-wołanego tą myślą.

Zatrzymał się na obsadzonej drzewami

ulicy. Czuł świeży ludzki zapach, chociaż okolica wydawała się pusta. Potem usłyszał ciche łkanie i ruszył w tamtym kierunku.

Za żywopłotem okalającą kamienicę siedział strapiony dwulatek, drżący w swoich cienkich śpioszkach i najwyraźniej zagubiony od wielu godzin. Wolf położył

łapę na ramieniu dziecka i potrząsnął go lekko.

Chłopiec podniósł wzrok i w ogóle się nie wystraszył.

– Ce-eść – powiedział, rozpromieniając się.

Wolf warknął radośnie na powitanie, pomachał ogonem i podrapał pazurem o ziemię, na znak, że zabierze berbecia, gdziekolwiek ten zechce.

Malec wstał i otarł łzy brudną piąstką, zostawiając szerokie, czarne smugi na policzkach.

– Dadadada! – powiedział.

Zabawa, pomyślał Wolf. Chce się bawić w pociąg. Chwycił malca za rękaw i pociągnął lekko.

– Dadadada! – powtórzył chłopiec stanowczo. – Histri.

Historia kolei to bez wątpienia ciekawa rzecz, ale wydaje się to zbyt naukowym określeniem jak na takiego brzdąca, pomy-

ślał Wolf, a potem pstryknąłby palcami, 403

gdyby je miał. Dzieciak mówił „2222 Hill Street”, tak jak go nauczono na wypadek zgubienia. Wolf zerknął na tabliczkę z nazwą ulicy. Róg Bowditch i Hillegas – do 2222 Hill było zaledwie parę przecznic.

Próbował pokiwać głową, ale jego mięśnie zdawały się nie działać w ten sposób.

W zamian pomachał ogonem, mając nadzieję przekazać, że zrozumiał, i ruszył przed siebie pokazując drogę małemu.

Berbec uśmiechnął się i powiedział:

– Ładny uf-uf.

Przez moment Wolf czuł się jak szpieg, do którego zwrócono się prawdziwym imieniem, a potem uświadomił sobie, że jeśli jedni mówią „hau-hau”, to inni mogą używać określenia „uf-uf”.

Prowadził chłopca przez dwa квартаły bez żadnych przeszkód. Sprawiało mu przyjemność poczucie, że niewinna ludzka istota zaufała mu i złożyła swoje życie w 404

jego ręce. Lubił dzieci; miał nadzieję, że Gloria również. Zastanowił się, co by się stało, gdyby mógł przekazać treść zaklęcia temu ufnemu malcowi. Wspaniale byłoby mieć szczeniaka, który...

Zatrzymał się. Zadrżał mu nos, a sierść na grzbiecie nastroszyła się. Przed nimi stał pies, wielki kundel, z wyglądu miesza-niec bernardyna i husky'ego. Lecz warknięcie, które wydobyło się z jego gardła, świadczyło, że dźwiganie baryłek z rumem nie jest dla niego. Był to bandyta, wyrzutek, wróg psa i człowieka. A oni musieli go minąć.

Wolf nie miał ochoty walczyć. Dorów-

nywał wielkością temu potworowi i ze swoim ludzkim umysłem z pewnością przewyższał go inteligencją; lecz blizny po psich zębach nie wyglądałyby dobrze na ciele profesora Wolfa, a poza tym istniało niebezpieczeństwo zranienia malca. Mą-

drzej będzie przejść na drugą stronę ulicy.

Lecz zanim zdążył skierować chłopczyka w tamtą stronę, wielki kundel natarł na nich, szczekając i warcząc.

Wolf stanął przed chłopcem, naprężony i gotowy skoczyć w jego obronie. Kwestia blizn musiała ustąpić przed faktem, że malec zaufał mu. Był gotów stawić czoło temu brutalowi i dać mu nauczki, bez względu na skutki dla jego ludzkiego ciała.

Ale w połowie drogi ogromne psisko zatrzymało się. Warczenie przeszło w żalosne skomlenie.

Wielkie łapy zdrząły w blasku księżyca. Podkulony ogon schował się między nogi. Olbrzym odwrócił się nagle i uciekł.

Chłopczyk uśmiechnął się radośnie.

– Zły uf-uf odejść. – Małymi rączkami objął kark Wolfa. – Dobry uf-uf. – Potem wyprostował się i rzekł z naciskiem: – Dadadada. Histris – i Wolf ruszył naprzód, a 406

silne wilcze serce waliło mu, jak nie waliło mu nigdy w objęciach żadnej kobiety.

„Dadadada” okazało się małym drewnianym domkiem cofniętym nieco od uli-cy. Światła nadal się paliły i nawet z chodnika Wolf słyszał cienki kobiecy głos.

– ... od piątej po południu, i musicie go znaleźć, panie oficerze. Po prostu musicie.

Przeszukaliśmy całą okolicę i...

Wolf stanął przy drzwiach na tylnych łapach i pazurem nacisnął dzwonek.

– Och! Chyba ktoś przyszedł. Sąsiedzi powiedzieli, że... Proszę, oficerze, sprawdźmy, czy... Och!

W tym samym momencie Wolf szcze-

nał uprzejmie, malec zawołał:

– Mama! – a jego chuda, wyglądająca na zmęczoną matka wydała okrzyk na poły radości ze znalezienia dziecka, i na poły przerażenia na widok wielkiej psiej postaci 407

w tyle. Chwyciła chłopca i odwróciła się do potężnie zbudowanego mężczyzny w mundurze.

– Panie oficerze! Niech pan patrzy! To wielkie straszne stworzenie! To ono porwało Robby'ego!

– Nie – zaprotestował Robby stanowczo.

– Dobry uf-uf.

Policjant zaśmiał się.

– Chłopiec pewnie ma rację, proszę pani. To jest dobry uf-uf. Natknął się na pani chłopca i pomógł mu wrócić do domu. Nie ma pani może kości dla niego?

– Wpuścić to wielkie psisko do mojego domu? Przenigdy! Chodź, Robby.

– Chcieć mój dobry uf-uf.

– Ja ci dam uf-uf, za to, że się zgubiłeś i napędziłeś mnie i ojcu takiego strachu. Poczekaj tylko, aż twój ojciec wróci do domu, młody człowieku; już on ci... Och, dobranoc, oficerze! – I zatrzasnęła drzwi 408

pomimo protestów Robby'ego.

Policjant poklepał Wolfa po łbie.

– Napomnij o tej kości, Włóczęgo. Mnie też nie zaproponowała nawet szklanki piwa. Pochodzisz z rasy husky, nieprawdaż? Wyglądasz prawie jak wilk. Do kogo należysz i co tutaj robisz Samotnie? Co? –

Zapalił latarkę i nachylił się, żeby odszukać nieistniejącą obroź.

Wyprostować się i zagwizdać.

– Brak numerka. Włóczęgo, to niedobrze. Wiesz, co powinienem teraz zrobić?

Powinienem cię zamknąć. Gdybyś nie był

bohaterem, któremu właśnie odmówiono kości, musiałbym... zresztą i tak powinienem to zrobić.

Prawo jest prawem, nawet dla bohaterów. Chodź, Włóczęgo. Przejdziemy się na spacer.

Wolf myślał pospiesznie. Areszt był

Ostatnim miejscem, w którym chciał się znaleźć. Nawet Ozzy nigdy nie pomyślał-

409

by, żeby tam go szukać. Nikt by się po niego nie zgłosił, nikt nie powiedziałby *Absarka!*, i w końcu dawka chloroformu...

Wyrwał się z uścisku policjanta i jednym potężnym susem przeskoczył podwórko, wylądował na

chodniku i pobiegł wzdłuż ulicy. Lecz gdy tylko znalazł się poza zasięgiem wyroku mundurowego, skręcił i schował się za żywopłotem.

Wyczuł zbliżanie się policjanta, zanim jeszcze usłyszał jego kroki. Mężczyzna biegł tak szybko, jak pozwalała mu na to tusza. Jednak na wysokości żywopłotu również się zatrzymał. Przez chwilę Wolf zastanawiał się, czy jego podstęp zawiódł; lecz gliniarz zatrzymał się tylko po to, by podrapać się po głowie i wymamrotać:

– Hm! Jest w tym wszystkim coś dziwnego. Kto przycisnął dzwonek? Dzieciak nie mógłby dosięgnąć, a pies... Ach, co tam – podsumował – obłąd – i w tym krót-410

kim słowie zdawał się znaleźć rozwiązanie wszystkich swoich problemów.

Gdy jego kroki i zapach oddaliły się, Wolf poczuł inny aromat. Właśnie zidentyfikował go jako koci, kiedy ktoś powiedział:

– Jesteś łakiem, nieprawdaż?

Wolf drgnął, odsłaniając dziąsła, cały naprężony. W pobliżu nie było widać żadnego człowieka, a jednak ktoś do niego przemówił. Nie zastanawiając się wiele, spróbował zapytać „Gdzie jesteś?”, ale z jego gardła wydobyło się tylko warknięcie.

– Zaraz za tobą. Tutaj, w cieniu. Wyczu-wasz mnie, nieprawdaż?

Ale ty jesteś kotem – pomyślał Wolf pośród warknięć. – I mówisz.

– Oczywiście. Ale nie mówię po ludzku.

To tylko twój mózg tak to odbiera. Gdybyś był w ludzkim ciele, pomyślałbyś, że po prostu miauczę. Ale ty jesteś łakiem, nie-411

prawdaż?

– Skąd... Dlaczego tak sądzisz?

– Bo nie próbowałaś mnie gonić, jak uczyniłby to każdy normalny pies. A poza tym, jeśli Konfucjusz uczył mnie prawdy, jesteś wilkiem, a nie psem; a tutaj nie mamy żadnych wilków, chyba że są to łaki.

– Skąd wiesz to wszystko? Czy jesteś...

– Och, nie. Jestem tylko kotem. Ale miałem kiedyś za sąsiada pewnego człowieka-pekińczyka i on nauczył mnie wszystkiego.

Wolf był zdumiony.

– Chcesz powiedzieć, że to był człowiek, który zamienił się w pekińczyka i tak już został? Żył jako zwierzę domowe?

– Dokładnie. To było w najgorszym okresie Wielkiego Kryzysu. Mawiał, że zwierzę prędzej nakarmi niż człowieka.

Uważałem, że to sprytny pomysł.

412

– Ale jakież okropny! Jak człowiek mógł tak się poniżyć...

– Ludzie nie poniżają sami siebie. Poniżają innych. Tak robi większość łaków.

Niektórzy zmieniają się, by uniknąć poni-

żenia, inni, żeby skuteczniej poniżyć innych. Do których ty należysz?

– Cóż, widzisz, ja...

– Cicho! Patrz. To będzie zabawne. Za-sadzka.

Wolf wyrzwał zza żywoplotu. Dobrze ubrany mężczyzna w średnim wieku maszerował energicznym krokiem, najwyraź-

niej wybrałszy się na nocną przechadzkę.

Za nim posuwała się chuda, milcząca postać. Na oczach Wolfa postać zrównała się z mężczyzną i zawołała stłumionym głosem:

– Wyskakuj z pieniążków, koleś!

Cała pompatyczność nocnego spacerowicza rozplynęła się w jednej chwili. Męż-

413

czyzna pobladł i zadrżał, a postać wsunęła mu rękę do kieszeni na piersi i wydobyła sporych rozmiarów portfel.

A jakież, pomyślał Wolf, byłby pożytek z jego, Wolfa, pięknego, silnego ciała, gdyby krył się za żywoplotem wyłącznie jako widz? Jednym potężnym susem, ku zaskoczeniu wszystkowiedzącego kocura, przesadził żywoplot i skoczył prosto na napastnika. Ten przewrócił się wraz z nim, a potem rozległ się głośny hałas, błysnęło światło i rozszedł się nieprzyjemny ostry zapach. Przez chwilę Wolf czuł przenikliwy ból w ramieniu, jak ukłucie długiej igły, a potem ból zniknął.

Lecz ten moment wystarczył, by napastnik zdążył się podnieść.

– Chybiłem, co? – mruknął. – Zobacz-

my, jak spodoba ci się kulka w brzuch, ty wtrącający się... – i użył epitetu, który był-
by całkowicie dosłowny, gdyby Wolf nie 414

był wilkołakiem.

W momencie gdy Wolf skoczył, rozle-

gły się kolejno trzy szybkie strzały. Przez sekundę doświadczył najostrożniejszego bólu brzucha w życiu. Potem wylądował. Głowa napastnika uderzyła o betonowy chodnik i znieruchomiała.

Gdzieś w pobliżu zapalały się światła.

Pośród wszystkich zdziwionych głosów dokoła Wolf słyszał piskliwe narzekania matki Robby'ego, a pośród wszystkich przemieszanych zapachów rozróżniał zapach policjanta, który chciał go zatrzymać.

To oznaczało, że musi się wynosić, i to szybko.

Miasto oznacza kłopoty, uznał Wolf, oddalając się w mrok. Zniesie samotność, ćwicząc swoje wilkołactwo, do czasu, aż zdobędzie Glorię. Musi jednak, choćby ty-tułem ostrożności, załatwić sobie reali-stycznie wyglądającą obrozę oraz...

415

Dopiero teraz zdał sobie sprawę z naj-ważniejszego! Dostał cztery kule, trzy z nich prosto w żołądek, i nie miał żadnej rany! Wilkołactwo niewątpliwie miało swoje praktyczne zalety. Pomyśleć tylko, co przestępca mógłby zdziałać, mając taką ochronę. Albo... Ale nie. Był wilkołakiem dla zabawy, i na tym koniec.

Ale nawet dla wilkołaka bycie postrzelonym, chociaż bezbolesne, jest męczące.

Magiczne i natychmiastowe zabliznienie ran kosztuje wiele psychicznej energii. I kiedy Wolfe Wolf dotarł na spokojne i bezpieczne pustkowie pośród wzgórz, nie miał już ochoty na nurzanie się w wolno-

ści. W zamian, wyciągnąwszy się na ziemi, schował pysk pomiędzy łapy i zasnął.

„Esencją magii – powiedział Heliofagus ze Smyrny – jest oszustwo; i to oszustwo jest
dwojakiego rodzaju. Poprzez magię, 416

mag oszukuje innych; lecz magia oszukuje również samego maga”.

Jak dotąd likantropiczna magia Wolfe Wolfa działała gładko i bez kłopotów, ale teraz miała mu

pokazać owo drugie oblicze, ukryte za każdą magiczną sztuczką. A zaczęło się od tego, że zasnął.

Obudził się w pomieszaniu. Sny miał

ludzkie – i to o Glorii – pomimo ciała, w którym je śnił, i kilka minut trwało, zanim przypomniał sobie, jak to się stało, że się w nim znalazł. Przez chwilę sen, nawet ten jego fragment, w którym on i Gloria jedli wafle z jagodami na karuzeli w wesołym miasteczku, wydawał się bardziej prawdopodobny niż rzeczywistość.

Szybko jednak doszedł do siebie i spojrzał na niebo. Słońce wyglądało, jakby wstało już przynajmniej godzinę wcze-

śniej, co oznaczało, że jest pomiędzy szó-

stą i siódmą. Był czwartek, a więc o ósmej 417

miał zajęcia. To dawało mu dość czasu na zmienienie się w człowieka, ogolenie, przebranie, zjedzenie śniadania i powrót do normalnego życia w osobie profesora Wolfa, co było, mimo wszystko, dość istotne, jeśli zamierzał w przyszłości utrzymać żonę.

Starał się, biegnąc po ulicach, wyglądać tak łagodnie i niewilkowato, jak to tylko możliwe, i najwyraźniej mu się udało. Nikt nie zwracał na niego uwagi, z wyjątkiem dzieci, które chciałyby się bawić, i psów, które najpierw warczały, a potem uciekały z podkulonym ogonem. Jego przyjaciel kot mógł być zastanawiająco tolerancyjny wobec wilkołaków, ale psy już nie.

Spokojnie wbiegł po schodkach do hote-lu Berkeley Inn. Recepcjonista, będący pod działaniem czaru, nie zauważył wilka.

Nie pozostawało nic innego, jak obudzić Ozzy'ego, poprosić go o wypowiedzenie 418 zaklęcia, a następnie...

– Hej! Dokąd to? Uciekaj! No już!

Był to recepcjonista, postawny i krzepki młody człowiek, który teraz stanął w drzwiach i odpędzał go energicznie.

– Zakaz wstępu dla psów! Uciekaj.

Precz!

Najwyraźniej człowiek ten nie był pod działaniem żadnego czaru, i nie było sposobu dostania się do środka bez użycia wilczej siły w celu rozerwania go na strzępy.

Przez sekundę Wolf wahał się. Musiał

zmienić się z powrotem. Szkoda byłoby wykorzystywać własną moc do zadania krzywdy drugiemu człowiekowi – gdyby tylko nie zasnął i dotarł na miejsce, zanim ten niezaczarowany recepcjonista objął

służbę – lecz konieczność nie zna...

Potem przyszło mu do głowy rozwiąza-

nie. Odwrócił się i zbiegł po schodach do-kładnie w momencie, kiedy recepcjonista 419

cisnął w niego popielniczką. Rany postrza-

łowe mogą być stosunkowo bezbolesne, ale nawet wilczy zad, jak się przekonał, jest wrażliwy na odłamki szkła.

Rozwiązanie było idealne. Tyle tylko, że wymagało godziny oczekiwania, a on był

głodny. Przekonał się nawet ze zdziwieniem, że zainteresowało go pulchne niemowlę w wózku.

Okazuje się, że zmiana ciała powoduje zmianę upodobań kulinar-nych. Teraz potrafił zrozumieć, w jaki sposób niewinne początkowo wilkołaki mogą z czasem zamienić się w monstra. On jednak, miał silniejszą wolę, i był o wiele bardziej inteligentny. Jego żołądek mógł poczekać, aż plan zadziała.

Pedel otworzył już drzwi do auli imienia Wheelera, lecz budynek był pusty. Wolf niezauważony dotarł na pierwsze piętro, a potem wbiegł do swojej sali. Odrobinę więcej kłopotów sprawiło mu

chwycenie 420

zębami kawałka kredy, której pył przyprawił go o lekkie mdłości; poradził sobie jednak, opierając się przednimi łapami o pó-

leczkę na gąbkę. Trzy skoki wystarczyły, by sięgnąć planszy i ściągnąć ją na dół, a kiedy to było już zrobione, nie pozostało mu nic innego, niż skulić się pod biurkiem i modlić, by nie zagłodził się na śmierć.

Studenci, schodzący się powoli na poranne zajęcia z niemieckiego, byli nieco zdziwieni widokiem planszy przedstawiającej wpływ parytetu złota na gospodarkę światową, lecz w końcu uznali, że pedel ma po prostu sklerozę.

Wilk pod biurkiem słuchał niezauważony ich porannych pogawędek, podsłuchał, jak blondynka w pierwszym rzędzie umawia się z trzema różnymi kolegami na randkę na ten sam wieczór, i w końcu uznał, że zebrało się wystarczająco wiele osób, by jego plan mógł się powieść. Wy-421

chylił się spod biurka na tyle, by sięgnąć planszy, szarpnął zaczep i puścił.

Plansza zwinęła się z trzaskiem. Studenci umilkli, spojrzeli na tablicę i ujrzeli skreślony dużymi, nierównymi literami napis:

ABSARKA

Zadziałało. Przy tej liczbie osób było niemal pewne, że ktoś w zdziwieniu – bo rasa czytaczy napisów, pomimo przewagi filmów z dubbingiem, nadal istnieje – odczyta tajemniczy napis na głos. Okazało się, że była to owa wielce popularna blondynka.

– *Absarka* – powiedziała z zaciekawieniem.

I oto pojawił się profesor Wolf, uśmiechając się promiennie do całej klasy.

Jedyny problem był taki: zapomniał, że 422

jest tylko wilkołakiem, a nie Hi – perma-nem. Jego ubranie nadal znajdowało się w hotelu Berkeley Inn, i oto stał za katedrą zupełnie nagi.

Dwoje z jego najlepszych uczniów krzyknęło, a jeden zemdłał. Tylko blondynka chichotała z uznaniem.

Emily nie dowierzała, ale współczuła.

Profesor Fearing sympatyzował, ale był pełen rezerwy.

Sekretarz wydziału zachowywał się chłodno.

Dziekan był lodowaty.

Rektor zeszywniał.

Wolfe Wolf stracił pracę.

I tak oto sprawdziły się słowa Heliofa-gusa ze Smyrny: „Esencją magii jest oszustwo”.

– Ale co mogę zrobić? – jęknął Wolf do 423

swojej szklanki z koktajlem. – Jestem ugotowany. Jestem skompromitowany Gloria przyjeżdża jutro do Berkeley, a ja jestem nikiem. Tylko bezradnym, bezwartościowym wilkołakiem. To nie wystarczy, by utrzymać żonę. By wychować dzieci. Nie mógłbym nawet... nie mógłbym nawet się oświadczyć... Poproszę jeszcze jeden. Na pewno nie chcesz się napić?

Ozymandias Wielki potrząsnął głową.

– Ostatnim razem, kiedy wypilem dwa drinki, zapoczątkowałem całą tę historię.

Muszę się kontrolować, jeśli mam ją powstrzymać. Jesteś jednak energicznym, dobrze zbudowanym młodym człowiekiem; chyba mógłbyś, kolego, znaleźć pracę?

– Gdzie? Jedyne, co umiem, to wykład na uniwersytecie, a ten skandal zamknął przede mną tę drogę na zawsze.

Jaka uczelnia zatrudni faceta, który pojawił się nago przed studentami, nie mając na-

wet wymówki w postaci nietrzeźwości? A nawet zakładając, że spróbowałbym czegoś innego, musiałbym przedstawić referencje, powiedzieć, co robiłem przez te trzydzieści parę lat życia. A kiedy te referencje zostałyby sprawdzone... Ozy, jestem zgubiony.

– Nigdy nie ulegaj rozpacz, kolego.

Przekonałem się, że magia stawia nas czę-

sto w trudnych sytuacjach, ale zawsze jest jakieś wyjście. Na przykład, tamtego razu w

Dardżylingu...

425

– Ale co mogę zrobić? Skończę jak pekińczykołak Konfucjusz i będę żył z datków, jeśli znajdziesz mi kogoś, kto chciałby hodować wilkołaka.

– Wiesz, kolego – zauważył Ozymandias – coś w tym może być.

– Głupstwa! To był żart. Mogę przy najmniej zachować szacunek dla samego siebie, nawet jeśli będzie to oznaczało przejście na zasiłek. A założę się, że w urzędzie dla bezrobotnych też nie lubią nagich facetów.

– Nie. Nie miałem na myśli, żebyś był domowym wilkołakiem. Ale spójrz na to w ten sposób. Co masz do zaoferowania?

Masz tylko dwie niezwykle zdolności.

Pierwszą z nich jest znajomość niemieckiego, a to obecnie odpada.

– Zgadza się.

– A drugą jest to, że potrafisz zmieniać

się w wilka. W porządku, kolego. Muszą być z tym związane jakieś możliwości zarobkowania.

Przyjrzyjmy się im.

– Nonsens.

– Nie do końca. Dla każdego towaru istnieje rynek. Sztuka polega na tym, by go znaleźć. I ty, kolego, będziesz pierwszym w historii zawodowym wilkołakiem.

– Mógłbym... Mówi się, że w Dziwoł-

gami Rippleya dobrze płacą. Przypuśćmy, że zmieniałbym się sześć razy dziennie przed zachwyconą widownią?

Ozymandias z żalem potrząsnął głową.

– To nie ma sensu. Ludzie nie chcą oglądać prawdziwej magii. Sprawia, że czują się nieswojo – zaczynają się zastanawiać, co innego może być nie tak w świecie. Muszą mieć pewność, że wszystko dzieje się za sprawą sztuczek z lustrami.

Wiem to. Musiałem zrezygnować z występów w wodewilu, ponieważ nie potrafiłem

427

wystarczająco dobrze udawać; umiałem jedynie pokazywać prawdę.

– Mógłbym, powiedzmy, być Psem-Jasnowidzem?

– To musi być kobieta.

– Kiedy się zmieniam, rozumiem język zwierząt. Może mógłbym szkolić psy i...

Nie, to odpada. Zapomniałem; śmiertelnie się mnie boją.

Ale jasnyniebieskie oczy Ozymandiasa zabłyśły na te słowa.

– Kolego, ciepło. Och, ciepło! Powiedz mi: po co, jak mi wspomniałeś, wspaniała Gloria przybywa do Berkeley?

– W celu poszukiwania talentów.

– Do czego?

– Do roli psa w „Kłach puszczy”.

– Jakiego psa?

– Psa... – Oczy Wolfa rozszerzyły się i szczeka mu opadła.

– Wilkołaka – powiedział cicho.

428

I dwaj mężczyźni spojrzeli na siebie z nagłym zrozumieniem – w milczeniu, za kontuarem baru w Berkeley.

– Największą winę ponosi pies Pluto –

narzekał treser. – Pluto robi wszystko. Bez wyjątku. Więc nasze biedne kundelki mają postępować tak samo. Posłuchaj tych bzdur! „Pies ma wejść do pokoju, podać łapę dziecku, dać znak, że rozpoznaje bohatera w jego przebraniu Eskimosa, podejść do stołu, znaleźć kość i z radością klasnąć łapami!”. Kto potrafi zagrać to wszystko? Pluto! – prychnął z niesmakiem.

Gloria Garton powiedziała:

– Och. – Tym jednym dźwiękiem zdoła-

ła przekazać, że głęboko współczuje, że treser jest przystojnym młodym człowiekiem, którego chętnie spotka ponownie, i że żaden psi aktor nie przyćmi jej udziału 429

w „Kłach puszczy”. Odrobinę poprawiła suknię, usiadła wygodniej i sprawiła, że zwykłe drewniane krzesło na pustej scenie bardziej niż kiedykolwiek przypominało teraz tron.

– W porządku. – Mężczyzna w fioleto-

wym berecie pożegnał poprzedniego uczestnika i odczytał z kartki: – Pies: Wopsy. Właściciel: pani Channing Galbraith. Treser: Luther Newby. Proszę bardzo.

Asystent pobiegł na korytarz i gdy otworzył drzwi, rozległy się skomlenie i piski.

– Co dzisiaj wstąpiło w te psy? – zapytał

ze zniecierpliwieniem mężczyzna w fioletowym berecie. – Wszystkie wydają się być śmiertelnie przestraszone.

– Sądzę – powiedział Fergus O’Breen –

że to ten wielki szary wilczur. Z jakiegoś powodu inne panicznie się go boją.

Gloria Garton spuściła przyprószony róż-

żem powieki i z królewską podejrzliwością 430

zerknęła na młodego detektywa. Jego obecność tutaj jej nie zdziwiła. Był bratem szefowej działu *public relations* w Metropolis i prowadził kilka dyskretnych spraw w imieniu wytwórni, jedną nawet dla niej, kiedy jej szofer postanowił wypróbować swoje umiejętności szantażu. Fergus O’Breen był częścią Metropolis; ale nadal coś jej nie pasowało.

Asystent przyprowadził Wopsy’ego pani Galbraith. Mężczyzna w fioletowym berecie rzucił jedno spojrzenie i wrzasnął.

Krzyk odbił się od ścian sali kinowej i na minutę zapanowała cisza. Wreszcie odzyskał mowę.

– Wilk! Tookah to najwspanialsza rola kiedykolwiek napisana dla wilka! I co oni nam przyprowadzają? Teriera! Gdybyśmy potrzebowali teriera, posłalibyśmy po Astę!

– Ale gdyby tylko pozwolił pan nam za-431

demonstrować... – próbował wtrącić młody smukły treser Wopsy'ego.

– Wynocha! – warknął mężczyzna w fioletowym berecie. – Wynoście się, zanim stracę cierpliwość!

Wopsy i jego treser wycofali się pospiesznie.

– W El Paso – lamentował prowadzący casting – przyprowadzają mi basseta. W

St. Louis, pekińczyka! A jeśli znajduję wilka, to siedzi w kącie i czeka, aż ktoś zaprzęgnie go do sań.

– Może – powiedział Fergus – powinien wypróbować prawdziwego wilka.

– Wilka, śmilka! – Sięgnął po następną kartkę. – Pies: Yoggoth. Właściciel i treser: pan O. Z. Manders. Proszę bardzo.

Skomlenie na korytarzu ustało, kiedy Yoggoth został przyprowadzony na scenę.

Mężczyzna w fioletowym berecie ledwie spojrzał na małego człowieczka z bródką 432 będącego w jednej osobie właścicielem i treserem. Patrzył wyłącznie na wspaniałe-go szarego wilczura. „Żebyś tylko potrafił grać...” modlił się, z tą samą żarliwością, z jaką wielu mężczyzn myśli „Gdybyś tylko potrafiła gotować...”.

Postawił beret na sztorc pod jeszcze bardziej nieprawdopodobnym kątem i warknął:

– W porządku, panie Manders. Pies powinien wejść do pokoju, podać łapę dziecku, dać znak, że rozpoznaje bohatera w jego przebraniu Eskimosa, podejść do sto-

łu, znaleźć kość i radośnie klasnąć łapami.

Dziecko tutaj, tutaj, tutaj, stół tutaj. Jasne?

Pan Manders spojrzał na swojego wilczura i powtórzył:

– Jasne?

Yoggoth pomachał ogonem.

– Doskonale, kolego – powiedział pan Manders. – Zrób to. – I Yoggoth zrobił.

433

Fioletowy beret pofrunął między kurty-ny, niesiony radosnym okrzykiem swojego właściciela.

– Zrobił to! – bełkotał. – Zrobił!

– Oczywiście, kolego – spokojnie powiedział pan Manders.

Treser, który nienawidził psa Pluto, był

blady jak lustro wampira. Fergusowi O'Brienowi odebrało mowę ze zdumienia.

Nawet Gloria Garton pozwoliła, by wyraz zaskoczenia i ciekawości na moment zagościł na jej królewskim obliczu.

– Chce pan powiedzieć, że on potrafi zrobić wszystko? – wybełkotał mężczyzna, który kiedyś miał fioletowy beret.

– Wszystko – potwierdził pan Manders.

– A czy potrafi... Popatrzmy... w scenie w sali tanecznej – czy potrafiłby przewrócić człowieka, przetoczyć go i przeszukać jego kieszeń z tyłu?

Zanim jeszcze pan Manders zdołał po-

434

wiedzieć „Oczywiście!”, Yoggoth wykonał

demonstrację, używając Fergusa O'Breena jako manekina.

– Nareszcie – westchnął prowadzący przesłuchanie. – Nareszcie – Charley! – wrzasnął do swojego asystenta. – Odeślij tych wszystkich ludzi. Koniec castingu.

Znaleźliśmy Tookah! Jest wspaniały.

Treser podszedł do pana Mandersa.

– Więcej, szefie. Jest dosłownie nad-ludzki. Przysięgłbym, że nie dostrzegłem żadnych sygnałów, i to przy tak skompli-kowanej scenie. Proszę mi powiedzieć, panie Manders, jakiego systemu pan używa?

Pan Manders zrobił przemądrzałą minę.

– Zawodowy sekret, sam pan rozumie, młody człowieku. Zamierzam otworzyć szkołę po przejściu na emeryturę, ale na razie...

– Oczywiście. Rozumiem. Ale nigdy do-
tąd czegoś takiego nie widziałem.

435

– Zastanawiam się – powiedział Fergus O'Breen, leżący na podłodze – czy pański wspaniały pies potrafi również zejść z człowieka?

Pan Manders stłumił uśmiech.

– Oczywiście. Yoggoth!

Fergus podniósł się i otrzepał ubranie z kurzu sceny, który jest najbardziej lepkim kurzem świata.

– Przysięgłbym – mruknął – że tej pań-
skiej bestii sprawiło to przyjemność.

– Mam nadzieję, że nie uraziliśmy pana, panie...

– O'Breen. W żadnym razie. W gruncie

rzeczy, proponowałbym nawet niewielką uroczystość dla uczczenia tego wspaniale-go wydarzenia. Wiem, że tak blisko uczelni nie można kupić alkoholu, więc pozwoliłem sobie przynieść butelczynę.

– Och – powiedziała Gloria Garton, da-jąc do zrozumienia, że pijatyki są zazwy-436
czaj poniżej jej godności, że to, jednak, jest specjalna okazja i że być może Fergusowi
O'Breenowi należą się nawet słowa uznania.

To wszystko było zbyt łatwe, myślał

Wolfe Wolf-Yoggoth. Gdzieś musiał tkwić haczyk. Było to przecież idealne rozwiązanie
problemu, jak zarabiać pieniądze, bę-

dąc wilkołakiem. Wyposaż świetne zwie-rzęce ciało w zdolność rozumienia ludzkiej mowy i
poleceń, i jesteś odpowiedzią na modlitwy reżyserów. Było to również rozwiązanie długoterminowe;
jeśli „Kły puszczy” okażą się przebojem, z pewnością powstaną następne filmy z Yoggothem.

Wystarczy przykład Rin-tin-tina. Ale wszystko poszło zbyt łatwo...

Jego słuch pochwyił dźwięk znajomego

„Och” i Wolf-Yoggoth całą uwagę skupił
na Glorii. To „Och” oznaczało, że właści-437

wie nie powinna pić następnego drinka, ale ponieważ alkohol i tak na nią nie działa, a okazja jest
przecież specjalna, to w końcu czemu nie.

Była jeszcze piękniejsza, niż zapamiętał.

Złociste włosy sięgały teraz do ramion i spływały z tak idealną gracją, że ledwie powstrzymał
się, by nie wyciągnąć ku nim łapy. Jej ciało również wydawało się doj-rzalsze, jeszcze cieplejsze i
bardziej obiecujące niż wspomnienia, które zachował. I dzięki swemu nowemu wcieleniu odkrył

jej największy czar w czymś, czego nie mógł w pełni docenić jako człowiek, w głębokim, oszałamiającym zapachu jej ciała.

– Za „Kły puszczy”! – wznosił toast Fergus O’Breen. – I niech ten przystojniak, główny bohater dostanie większe lanie ode mnie.

Wolf-Yoggoth uśmiechnął się do siebie.

438

To było miłe. Oduczy tego niewydarzone-go detektywa wtykania nosa w nie swoje sprawy.

– A skoro już świętujemy, koledzy – powiedział Ozymandias Wielki – dlaczego mielibyśmy zapominać o naszej gwieź-

dzie? Chodź, Yoggoth. – I wyciągnął rękę z butelką.

– On pije! – zawołał ze zdumieniem prowadzący casting.

– Pewnie. Wychował się na tym.

Wolf pociągnął spory łyk. Smakowało.

Alkohol był ciepły i aromatyczny – prawie tak jak ciało Glorii.

– Ale co z panem, panie Manders? – zapytał detektyw z naciskiem po raz piąty. –

To przecież pańskie święto. To nie to biedne zwierzę otrzyma czterocyfrowy czek od wytwórni Metropolis. A pan wypił tylko jednego drinka.

– Nigdy nie piję drugiego, kolego. Znam 439

swoje granice. Dwa drinki, i zaczynają działać się dziwne rzeczy.

– Jeszcze dziwniejsze od szkolenia psó-

w-geniuszy? Dalej, O’Breen. Niech pan sprawi, żeby się napił. Zobaczymy, co się stanie.

Fergus sam pociągnął kolejny długi łyk.

– Proszę bardzo. W samochodzie jest druga butelka, a posunąłem się już dość daleko, by wiedzieć, że nie wyjdę stąd trzeźwy. I nie chcę też trzeźwych kompanów. – W jego zielonych oczach zaczynały już błyskać dzikie ogniki.

– Nie, kolego, dziękuję.

Gloria Garton opuściła tron, podeszła do małego człowieczka i stanęła obok niego, kładąc mu dłoń na ramieniu.

– Och – powiedziała, dając do zrozumienia, że psy są psami, ale ponieważ impreza odbywa się właściwie na jej cześć, jego odmowa wypicia staje się osobistą 440

zniewagą.

Ozymandias Wielki spojrzał na Glorię, westchnął, wzruszył ramionami, oddał się w ręce losu i wypił.

– Czy wyszkolił pan wiele psów? – zapytał prowadzący casting.

– To jest mój pierwszy.

– Tym wspanialej! Ale jaki jest w takim razie pański główny zawód?

– Cóż, widzi pan, jestem magiem.

– Och – powiedziała Gloria Garton, okazując zachwyt, i dodała nawet: – Mam przyjaciela, który zajmuje się czarną ma-gią.

– Obawiam się, szanowna pani, że moja magia jest wyłącznie biała. To i tak wystarczająco trudne. Przy czarnej magii ma się do czynienia z pewnymi realnymi zagrożeniami.

– Czekaście! – wtrącił Fergus. – Naprawdę jest pan magiem? Nie tylko 441
presti... iluzjonistą?

– Oczywiście, kolego.

– Niezły teatr – mruknął prowadzący casting. – Tylko nie pozwólcie im zobaczyć luster.

– Mhm – skinął głową Fergus. – Ale proszę posłuchać, panie Manders. Co, na przykład, potrafi pan zrobić?

– Cóż, potrafię zmieniać...

Yoggoth zaszczekał głośno.

– O nie – wycofał się Ozymandias pośpiesznie – to właściwie poza moim zasięgiem. Ale potrafię...

– Czy potrafi pan wykonać hinduską sztuczkę ze stojącą liną? – zapytała Gloria rozkosznie. – Mój przyjaciel mówi, że to piekielnie trudne.

– Trudne? Dlaczego, droga pani, nie ma w tym nic trudnego. Pamiętam, tamtego razu w Dardżylingu...

Fergus pociągnął kolejny długi łyk.

442

– Ja – oznajmił buńczucznie – chcę zobaczyć hinduską sztuczkę ze stojącą liną.

Znałem ludzi, którzy znali ludzi, którzy znali ludzi, którzy ją widzieli, ale to wszystko, co udało mi się osiągnąć. I nie wierzę, że to możliwe.

– Ależ, kolego, to jest takie proste.

– Nie wierzę.

Ozymandias Wielki wyprostował się w całej swej mało imponującej okazałości.

– Kolego, zaraz ją zobaczysz! – Yoggoth szarpnął go ostrzegawczo za połą płaszcza. – Zostaw mnie w spokoju, Wolf.

Rzucono mi wyzwanie!

Fergus wrócił zza kulis, ciągnąc za sobą brudną linę.

– Może być?

– Jak najbardziej.

– Co się dzieje? – zapytał prowadzący casting.

– Cicho! – powiedziała Gloria. – Och...

443

Spojrzała z podziwem na Ozymandiasa, którego pierś napęczniała, aż zatrzeszczały guziki koszuli.

– Panie i panowie! – oznajmił, tonem człowieka gotowego wypełnić swoim głosem ogromny amfiteatr. – Za moment uj-rzycie Ozymandiasa Wielkiego w – Hindu-skiej Sztuczce Ze Stojącą Liną! Oczywiście –

ście – dodał swobodniejszym tonem – nie mam tutaj małego chłopca do posiekania na kawałki, chyba że być może ktoś z pań-

stwa... Nie? Cóż, spróbujemy bez niego.

Nie będzie to jednak tak widowiskowe.

Czy możesz przestać szczeakać, Wolf?

– Myślałem, że nazywa się Yogi – powiedział Fergus.

– Yoggoth. Ale ponieważ jest częściowo wilkiem ze strony matki... A teraz wszyscy, cisza!

Mówiąc, zwijał linę. Teraz umieścił

zwój pośrodku sceny, gdzie czaił się on jak 444

groźny grzechotnik. Stał obok zwoju i umiejętnie, bez omyłki, wypowiedział se-rię zaklęć i mamrotów z taką prędkością, że nawet nadludzko wrażliwe uszy Wolfa-Yoggotha nie zdołały ich podsłuchać.

Końcówka liny oddzieliła się od reszty zwoju, zawisała w powietrzu, przekręciła odrobinę w bok jak głowa niepewna, w którą stronę uderzyć, po czym wystrzeliła pionowo w górę, aż cała lina się rozwinęła.

Dolna końcówka wisiała dobrych pięć centymetrów nad podłogą.

Glorii zaparło dech w piersiach. Prowadzący casting napił się pospiesznie. Fergus, z jakiegoś powodu, wpatrywał się w wilka.

– A teraz, panie i panowie – och, do diaska, jakże przydałby mi się chłopiec do posiekania – Ozymandias Wielki wejdzie po linie do tej krainy, którą poznać mogą tylko użytkownicy liny. Naprzód i do góry!

445

Zaraz wracam – rzucił uspokajająco w stronę Wolfa.

Jego pulchna dłoń chwyciła linę na wysokości głowy i szarpnęła lekko. Kolana ugięły się i zacisnęły wokół konopnej kolumny. I ruszył w górę, jak małpa na kiju, w górę i w górę, i w górę...
... aż nagle zniknął.

Po prostu zniknął. I to było wszystko.

Gloria nie potrafiła nawet powiedzieć

„Och”. Prowadzący casting usiadł w swoim eleganckim ubraniu na brudnej scenie i szeroko otworzył usta. Fergus zaklął miękko i melodyjnie. A Wolf poczuł ostrzegawcze ukłucie w kręgosłupie.

Drzwi do sali otworzyły się i do środka weszło dwóch mężczyzn w roboczych ubraniach.

– Hej! – powiedział pierwszy. – Co wy sobie u diabła wyobrażacie?

– Jesteśmy z Metropolis Pictures – pró-

446

bował wyjaśniać prowadzący casting, podnosząc się z podłogi.

– Nie obchodzi mnie, czy jesteście z samego Waszyngtonu, macie wynosić się z tej sceny. Zaraz będą tutaj puszczane filmy. Chodź, Joe, pomóż mi ich wygonić. I tego kundla też.

– Nie możesz tego zrobić, Fred – powiedział Joe z szacunkiem i pokazał palcem.

Jego głos zniżył się do pełnego bojaźni szeptu. – Tam siedzi Gloria Garton...

– Widzę. Witam, panno Garton, ależ ten ostatni pani film był beznadziejny!

– Twoja publiczność, kochanie – mruknął Fergus.

– No już! – krzyknął Fred. – Wynocha.

Musimy posprzątać. Do roboty, Joe! Zabierz tę linę!

Zanim Fergus zdążył się poruszyć, za-

nim Wolf zdążył skoczyć na pomoc, sceniczny pomocnik umiejętnie ściągnął linę i 447 zaczął ją zwijać.

Wolf popatrzył w górę. Nie było tam nic. Nic zupełnie. Gdzieś na końcu liny znajdował się jedyny człowiek na świecie, któremu mógł powierzyć wypowiedzenie w jego imieniu zaklęcia; a teraz droga w dół była odcięta na zawsze.

Wolfe Wolf rozciągnął się na podłodze buduaru Glorii Garton i obserwował, jak to zmysłowe zjawisko przebiera się w swój najbardziej skąpy szlafrok.

Sytuacja była idealna. Spełnienie jego najśmielszych snów. Jedyne problem polegał na tym, że nadal był w ciele wilka.

Gloria odwróciła się, nachyliła i podrapała go pod brodą.

– Taki śliczny piesek, cio?

Wolf nie mógł opanować warknięcia.

– Nie lubię, kiedy Glorcia mówi jak dzi-dzia? Jestem niedobry piesek, tak, niedo-448
bri.

To było straszne. Oto jesteś w pokoju hotelowym swojej ukochanej, mając ją przed oczami w całej jej krasie, a ona gaworzy do ciebie! Wolf z początku był szczęśliwy, kiedy Gloria zaproponowała, że zajmie się swoim nowym kolegą z planu do czasu pojawienia się jego tresera –

bo żadne z nich nie było gotowe przyznać, że „pan O. Z. Manders” zniknął na dobre – ale teraz zaczął sobie zdawać sprawę, że sytuacja może przynieść więcej cierpienia niż przyjemności.

– Wilki są interesujące – zauważyła Gloria. Była bardziej rozmowna z dala od towarzystwa, kiedy nie musiała już zachowywać się tajemniczo i fascynująco. –

Znałam kiedyś pewnego Wolfa, takie miał nazwisko. Był człowiekiem. I to dość interesującym.

Wolf poczuł, jak serce wali mu pod sza-449

wą sierścią. Usłyszeć własne imię wypowiedziane przez Glorię – ale zanim jego wybranka zdążyła powiedzieć swojemu psu, jak interesującym człowiekiem był

Wolf, jej pokojówka zapukała do drzwi.

– Pan O’Breen do pani.

– Powiedz mu, że jestem zajęta.

– Mówi, że to ważne, i wygląda, proszę pani, jakby gotów był narobić kłopotów.

– Och, w porządku. – Gloria wstała i staranniej owinęła się szlafrokiem. –

Chodź, Yog – nie, to głupie imię. Będę nazywała cię Wolfie. To ładniejsze. Chodź, Wolfie, i obroń mnie przed tym wielkim, złym detektywem.

Fergus O’Breen spacerował po salonie z pewną gwałtownością w ruchach. Zatrzymał się, kiedy Gloria i pies weszli do środka.

– A więc? – powiedział z napięciem. –

Posiłki?

450

– Czy będę ich potrzebowała? – odparła Gloria, drocząc się.

– Posłuchaj, światło mojego życia. –

Błysk w jego zielonych oczach był zimny i niebezpieczny. – Grasz w różne gry, ale bez względu na ich charakter, jest jedna rzecz, którą one z pewnością nie są. A mianowicie krykietem.

Gloria posłała mu swój leniwy, zmysłowy uśmiech.

– Jesteś zabawny, Fergus.

– Dzięki. Wątpię jednak, by takie były twoje działania.

– A ty nadal jesteś małym chłopcem, ba-wiąącym się w policjantów i złodziei. I jakiegoż to złoczyńcy poszukujesz obecnie?

– Cha, cha – odparł Fergus uprzejmie. –

Znasz odpowiedź na to pytanie lepiej ode mnie. Dlatego tu jestem.

Wolf był skonfundowany. Nie rozumiał, o co chodzi. A jednak instynktownie wy-451

czował niebezpieczne napięcie w powietrzu równie wyraźnie, jak czuł jego zapach.

– Mów dalej – rzuciła Gloria niecierpliwie. – Ale pamiętaj, że Metropolis Pictures nie będzie zadowolone z niepokojenia swojej najbardziej kasowej aktorki.

– Pewne rzeczy, moja droga, są ważniejsze od filmów, chociaż tam, skąd pochodzisz, być może się tak nie myśli. Jedną z tych rzeczy jest pewna znana nam obojgu federacja czterdziestu ośmiu stanów. Inną, pewna abstrakcyjna koncepcja zwana de-mokracją.

– A więc?

– A więc chciałbym ci zadać jedno pytanie: dlaczego przyjechałaś do Berkeley?

– Reklamować „Kły puszczy”, oczywiście. To był pomysł twojej siostry.

– Wpadłaś w gniew i odmówiłaś wyjazdu w inne miejsca. Dlaczego tak zależało 452 ci akurat na tym?

– Ty też nie gonisz za okazjami do reklamy, Fergus. Dlaczego znalazłeś się tutaj? Fergus znowu zaczął spacerować.

– I dlaczego pierwszą rzeczą, jaką zrobi-

łaś w Berkeley, było udanie się do sekretariatu wydziału germanistyki?

– Czyż to nie naturalne? Studiowałam tu kiedyś.

– Kończyłaś teatrologię, a nie zbliżyłaś się nawet do gmachu miejscowego teatru.

Dlaczego germanistyka? – Zatrzymał się i stanął dokładnie na wprost niej, wbijając w nią spojrzenie zielonych oczu.

Gloria przybrała postawę uwięzionej królowej, opierającej się barbarzyńskiemu zdobywcy.

– A więc dobrze. Jeśli musisz wiedzieć

– udałam się na wydział germanistyki, żeby zobaczyć mężczyznę, którego ko-453 cham.

Wolf wstrzymał oddech i robił wszyst-

ko, żeby nie zacząć walić ogonem o podłogę.

– Tak – ciągnęła niecierpliwie – zdierasz ze mnie ostatnią zasłonę i zmuszasz do wyznania tego, co on pierwszy powinien usłyszeć. Ten człowiek oświadczył mi się listownie. Bezmyślnie odrzuciłam jego propozycję. Ale myślałam i myślałam – aż wreszcie zrozumiałam. Kiedy przyjechałam do Berkeley, musiałam się z nim zobaczyć.

– I udało ci się?

– Ta mała myszka sekretarka powiedzia-

ła mi, że go nie ma. Ale jeszcze go zobaczę. A kiedy się to stanie...

Fergus skłonił się sztywno.

– Moje gratulacje dla was obojga, moja droga. A jak brzmi nazwisko tego niezwykle szczęśliwego dżentelmena?

454

– Profesor Wolfe Wolf.

– Ten sam, bez wątpienia, o którym pisze się tutaj? – Wyciągnął kawałek papieru z kieszeni sportowej kurtki i podał go Glorii. Ta zbladła i milczała. Ale Wolfe Wolf nie czekał na jej reakcję. Nie obchodziło go to. Znał teraz rozwiązanie swojego problemu i niezauważony wymknął się do jej buduaru.

Gloria Garton weszła do buduaru minutę później, wstrząśnięta i posmutniała. Odkorkowała jeden ze stojących na nocnym stoliku smukłych flakoników z perfumami i nałapała sobie solidną porcję

whisky. Potem uniosła brwi ze zdziwieniem, spoglądając na lustro. Widniało na nim, nabazgrane jej własną szkarłatnoczerwoną szminką, tajemnicze słowo:

ABSARKA

455

Marszcząc czoło, przeczytała je na głos.

– *Absarka...*

Zza zasłony wyszedł profesor Wolfe Wolf, owinięty, zupełnie nieodpowiednio, w jedną z najbardziej oszałamiających kre-acji wieczorowych Glorii.

– Gloria, najdroższa... – zawołał.

– Wolfe! – krzyknęła. – Co na Boga robisz w moim pokoju?

– Kocham cię. Zawsze cię kochałem od

czasu, kiedy nie potrafiłaś odróżnić cza-sownika słabego od mocnego. A teraz, kiedy wiem, że i ty mnie kochasz...

– To okropne. Natychmiast stąd wyjdź!

– Gloria...

– Wyjdź stąd albo poszczuję cię moim psem. Wolfie – do mnie, piesku!

– Przykro mi, Glorio, ale Wolfie nie odpowie na twoje wołanie.

– Och, ty bestio! Czyżbyś skrzywdził

456

Wolfiego? Czyżbyś...?

– Nie dotknąłbym jednego włosa jego sierści. A to dlatego, Glorio, że to ja jestem Wolfiem.

– Co takiego... – Gloria rozejrzała się po pokoju. Nie było wątpliwości, że pies gdzieś zniknął. A przed nią stał mężczyzna owinięty w jedną z jej sukien, bez śladu swojego własnego odzienia. I do tego ten dziwaczny mały człowieczek na linie...

– Myślałaś, że jestem nudny i niecieka-wy – ciągnął Wolf. – Myślałaś, że zamienię się w zgrzybiałego mola książkowego.

Prędzej wybrałabyś aktora albo agenta.

Ale ja, Glorio, jestem czymś o wiele bardziej ekscytującym od tego, o czym kiedykolwiek marzyłaś. Nie ma innej osoby na świecie, której bym to powiedział; otóż, Glorio, jestem wilkołakiem.

Glorii odebrało na moment mowę.

– To niemożliwe! Ale wszystko pasuje.

457

To, co słyszałam o tobie w miasteczku stu-denckim, i do tego ten twój przyjaciel ze śmieszną bródką i jego zniknięcie, oczywi-

ście wyjaśnia to, jak udało ci się wykonać sztuczki, którym nie podołałby żaden prawdziwy pies...

– Czyżbyś mi nie wierzyła, kochanie?

Gloria wstała od stolika i rzuciła mu się w objęcia.

– Wierzę ci, mój drogi. To cudowne!

Założę się, że nie ma innej kobiety w całym Hollywood, która wyszłaby za wilkołaka!

– A zatem...

– Ależ oczywiście, kochany. Wspaniale wszystko zaplanujemy. Wynajmiemy ko-goś, żeby udawał twojego tresera na planie. Będiesz pracował za dnia, a nocą wracał do domu i ja będę mówiła dla ciebie *Absarka!* Wszystko uda się idealnie.

– Gloria... – wymruczał Wolf z pełną 458 oddania czułością.

– Tylko jedna rzecz, kochanie. Jeden drobiazg. Czy zrobiłbyś coś dla Glorii?

– Wszystko!

– A więc pokaż mi, jak się zmieniasz.

Zmień się dla mnie teraz. Potem zaraz cię odmienię.

Wolf wypowiedział zakłęcie. Był w stanie takiego ekstatycznego uniesienia, że prawie nie poczuł bólu. Przebiegł dokoła pokoju z całą lekkością, na jaką pozwalały mu jego sprężyste wilcze mięśnie, i przy-warował u stóp Glorii, machając ogonem w oczekiwaniu na pochwałę.

Gloria poklepała go po głowie.

– Grzeczny piesek. A teraz możesz już tak zostać.

Wolf wydał zdumione szczeknięcie.

– Słyszałaś, co powiedziałam, Wolfie.

Zostajesz tak, jak jesteś. Nie uwierzyłaś chyba w te bzdury, którymi karmiłam tego 459

detektywa, prawda? Kochać ciebie? Cóż za strata czasu! Ale przynajmniej możesz być dla mnie użyteczny. Teraz, kiedy nie ma twojego tresera, mogę zająć się tobą i zgarniać dodatkowy tysiącerek tygodniowo. Zu-pełnie by mi to nie przeszkadzało. Zaś profesor Wolfe Wolf zniknie na zawsze, co idealnie odpowiada moim planom.

Wolf warknął.

– Nie próbuj być niegrzeczny, kochany Wolfie. Piesiek nie groziłbi kochaniej Glorci, prawda? Pamiętaj, co mogę dla ciebie zrobić. Jestem jedyną osobą, która może z powrotem zamienić cię w człowieka. Przecież nie zdradziłbyś swojego se-kretu komuś innemu. Nie odważyłbyś się powiedzieć ludziom, kim naprawdę jesteś.

Jakiś półgłówek mógłby cię zabić. Z kolei ktoś inteligentny zamknąłby cię od razu w szpitalu dla wariatów.

Wolf nadal podchodził coraz bliżej, 460 groźnie nastroszony.

– Och nie, nie skrzywdzisz mnie. Bo wszystko, co musiałabym zrobić, to wypowiedzieć słowo napisane na lustrze. Wtedy nie byłbyś już groźnym wilkiem. Byłbyś tylko obcym mężczyzną w moim pokoju, a ja zaczęłabym krzyczeć. A po tym, co stało się wczoraj na uczelni, czy sądzisz, że na długo udałoby ci się uniknąć zamknięcia w wariatkowie?

Wolf odsunął się i opuścił ogon do zie-mi.

– Widzisz, kochany Wolfie? Glorcia zrobi z pieśkiem to, cio będzie chciała. A piesiek będzie bardzo grzeczny.

Rozległo się pukanie do drzwi buduaru i Gloria zawołała:

– Proszę!

– Jakiś dżentelmen do pani – powiedzia-ła pokojówka. – Niejaki profesor Fearing.

Gloria przywołała na twarz swój najbar-461 dziej okrutny i królewski uśmiech.

– Chodź, Wolfie. To może cię zainteresować.

Profesor Oskar Fearing, usadowiony w

jednym z wygodnych foteli w salonie, uśmiechnął się promiennie, kiedy Gloria i pies weszli do środka.

– Ach, moja droga! Nowy zwierzak. Jak ładnie.

– I to co za zwierzak, Oskarze. Poczekaj, aż się dowiesz.

Profesor Fearing przetarł binokle rękawem.

– Ty też poczekaj, moja droga, aż usłyszysz, czego się dowiedziałem. Chiswick udoskonalił swoją tarczę ochronną przeciwko bombom magnetycznym i oficjalne próby wyznaczono na przyszły tydzień. Z

kolei Farnsworth prawie ukończył już badania nad nową metodą pozyskiwania 462 osmu. Wojna chemiczna może zacząć się lada dzień i potęga, która zapewni sobie dostateczne zapasy...

– Świetnie, Oskarze – przerwała mu Gloria. – Ale o tym wszystkim możemy porozmawiać później. Teraz mamy inne zmartwienia.

– Co masz na myśli, moja droga?

– Czy natknąłeś się na młodego rudowłosego Irlandczyka w żółtej koszuli?

– Nie... Zaraz, tak. Widziałem takiego człowieka wychodzącego wczoraj z sekretariatu. Sądzę, że przyszedł rozmówić się z Wolfem.

– Interesuje się nami. Jest detektywem z Los Angeles i podąża naszym tropem.

Gdzieś znalazł strzęp dowodu, który dawno powinien był zostać zniszczony. Wie, że jestem w to zamieszana, i wie, że współpracuję z kimś z tutejszego wydziału germanistyki.

463

Profesor Fearing przyjrzał się swoim bi-noklom, uznał, że są czyste, i zatknął je na nosie.

– Za bardzo się podniecasz, moja droga.

Bez hysterii. Podejdźmy do sprawy spokojnie. Czy on wie o Świątyni Mrocznej Prawdy?

– Jeszcze nie. Ani o tobie. Wie tylko, że to ktoś z wydziału.

– A zatem cóż mogłoby być prostszego?

Czy słyszałaś o dziwnym zachowaniu Wolfe Wolfa?

– Czy słyszałam? – Gloria zaśmiała się chropawo.

– Wszyscy wiedzą, że Wolf jest w tobie zadurzony. Zrzuć całą winę na niego. Nie powinno ci sprawić trudności oczyszczenie siebie i udanie niewinnej ofiary. Skieruj uwagę na niego i organizacja będzie bezpieczna. Świątynia Mrocznej Prawdy pójdzie dalej swoją mistyczną drogą i wydo-464

będzie jeszcze cenniejsze informacje od przemęczonych naukowców, którzy potrzebują emocjonalnej ulgi, jaką daje fałszywa religia.

– To właśnie próbowałam uczynić. Opo-

wiedziałam O'Breenowi długą i kłiwą historyjkę o moim uczuciu do Wolfa, tak w oczywisty sposób fałszywą, że musiał po-myśleć, iż była przykrywką dla czegoś innego. I sądzę, że złapał się na to. Ale sytuacja jest bardziej skomplikowana, niż są-

dzisz. Czy wiesz, gdzie jest Wolfe Wolf?

– Nikt nie wie. Po tym, jak został... hm...

wyłany przez rektora, nikt go nie widział.

Gloria zaśmiała się ponownie.

– Jest tutaj. Dokładnie w tym pokoju.

– Wielkie nieba! Tajne ścianki i tego typu rzeczy? Traktujesz swoją działalność szpiegowską zbyt poważnie. Gdzie?

– Tam!

Profesor Fearing rozdziawił usta.

465

– Mówisz poważnie?

– Równie poważnie, jak ty zapatrujesz się na przyszłość faszyzmu. To jest Wolfe Wolf.

Fearing podszedł do wilka i wyciągnął

rękę.

– Może ugryźć – ostrzegła Gloria sekun-dę za późno.

Fearing popatrzył na swoją krwawiącą dłoń.

– To – zauważył – niewątpliwie jest prawdą. I uniósł nogę, by wymierzyć kop-niaka.

– Nie, Oskarze! Nie rób tego! Zostaw go w spokoju. I będziesz musiał uwierzyć mi na słowo – sprawa jest o wiele bardziej skomplikowana. Ale wilk jest Wolfe Wolfem, a ja mam nad nim całkowitą kontrolę.

Jest w naszych rękach. Skierujemy na niego podejrzenia i sprawimy, że Fergus i jego koledzy z FBI puszczą się za nim w 466

pościg.

– Moja droga! – wybuchnął Fearing. –

Jesteś szalona. Jesteś bardziej beznadziejnie szalona niż gorliwi wyznawcy Świąty-ni. – Zdjął binokle i ponownie spojrzał na wilka. – A jednak we wtorek w nocy... Powiedz mi jedną rzecz: od kogo dostałaś tego... wilczura?

– Od śmiesznego małego człowieczka z rzadką bródką.

Fearing wydał cichy okrzyk. Najwyraźniej przypomniał sobie zamieszanie w świątyni oraz wilka i małego człowieczka z rzadką bródką.

– Doskonale, moja droga. Wierzę ci. Nie pytaj, dlaczego, ale wierzę ci. A teraz...

– Teraz wszystko jest gotowe, niepraw-daż? Zatrzymamy go tutaj i wykorzystamy jako...

– Jako kozła ofiarnego. Tak. Bardzo ład-ne.

467

– Och! Jedna rzecz... – Powiedziała nagle przestraszona.

Wolfe Wolf rozważał możliwość nagłego

zaatakowania Fearinga. Zdołałby zapewne wydostać się z pokoju, zanim Gloria zdążyłaby powiedzieć *Absarka!* Ale co potem? Komu mógłby zaufać, by go odmienił? Szczególnie, jeśli agenci mieli ruszyć jego tropem...

– O co chodzi? – zapytał Fearing.

– Ta sekretarka. Ta mała myszka w se-

ekretariacie wydziału. Ona wie, że pytałam o ciebie, nie o Wolfa. Fergus nie mógł z nią jeszcze rozmawiać, bo uwierzył w moją historyjkę; ale zrobi to. Jest dokład-ny.

– Hm. W takim razie...

– Tak, Oskarze?

– Należy się nią zająć. – Profesor Oskar Fearing uśmiechnął się promiennie i sięgnął po telefon.

468

Wolf zadziałał natychmiast, pod wpływem natchnienia i impulsu. Zęby miał

mocne, na tyle mocne, by z łatwością wyrwać przewód telefonu ze ściany. To zajęło tylko sekundę, a w następnej był już na korytarzu, zanim Gloria zdążyła otworzyć usta, by wypowiedzieć słowo, które zamieniłoby go z silnego i niebezpiecznego wilka w bezradnego człowieka.

Rozległy się przerażone piski i kilka okrzyków „Wściekły pies!”, kiedy pędził przez hol, ale nie słuchał ich. Najważniejsze było dotrzeć do domu Emily, zanim przeciwnicy zdążą się nią „zająć”. Jej ze-znania były kluczowe. Tylko ona mogła przechylić szalę, pokazać Fergusowi i agentom, po której stronie naprawdę leży wino. A poza tym, przyznał sam przed sobą, Emily była miłym dzieciakiem...

Jego prędkość zderzenia wynosiła około 469

1,66 na przecznicę, a przekleństwa, które sypały się na jego głowę, gdyby miały prawdziwą moc, wystarczyłyby aż nadto, by skazać go na wieczyste potępienie.

Nadrabiał jednak czas, i to było najważniejsze. Przebiegał na czerwonym świetle, przecinał drogę ciężarówkom, uciekał spod kół samochodom, a raz nawet przeskoczył przez unieruchomione auto zawalidrogę.

Wszystko szło dobrze, był już w połowie trasy, kiedy nagle sto kilo żywego mięsa rzuciło się na niego i przygniotło do ziemi.

Oszołomiony od uderzenia głową o chodnik podniósł wzrok i ujrzał swoją dawną Nemezis, policjanta, któremu od-mówiono szklanki piwa.

– A więc, Włóczęgo! – powiedział gliniarz. – Wreszcie cię dostałem, co? Teraz zobaczymy, czy masz numerki. Nie wiedziałeś, że grałem kiedyś w futbol, prawda?

470

Chwył policjanta na jego karku był nieprzyjemnie bolesny. Zbierali się gapie, udzielając mundurowemu coraz bardziej fantastycznych rad.

– Rozejść się – powiedział. – to sprawa pomiędzy mną i tym psem. Chodź – i szarpnął jeszcze mocniej.

Wolf zostawił kawałek skóry z kępką włosów w dłoni policjanta i poczuł, jak z rany na karku cieknie mu krew. Usłyszał

przekleństwo, odgłos strzału i poczuł ukłucie igły przesywającej mu bark. Zdumiony tłum gapiów rozstąpił się. Jeszcze dwie kule świsnęły za nim, ale był już bezpieczny, zostawiając za sobą najbardziej zdu-mionego policjanta w Berkeley.

– Trafiłem go – mamrotał mundurowy tępo. – Trafiłem tego...

Wolfe Wolf popędził wzdłuż Hill Street.

Jeszcze dwie przecznice i dotrze do małego domku, który Emily dzieliła z adiunk-471 tem wydziału tego czy owego. Tamta sztuczka z telefonem powstrzymała Fearinga tylko na chwilę; rozkazy z pewnością zostały już wydane, i jego ludzie byli w drodze. Ale on dotarł już prawie na miejsce...

– Oho! – zawołał za nim dziecięcy głosik. – Dobry uf-uf wrócił!

Po drugiej stronie ulicy znajdowało się skromne domostwo Robby'ego i jego skąpej matki. Chłopczyk bawił się na chodniku. Ujrzawszy swojego idola i wybawcę, ruszył przez ulicę chwiejnym dziecięcym krokiem.

– Dobry uf-uf! – wołał. – Zaczekaj na Robby'ego!

Wolf nie zatrzymywał się. Nie miał cza-su na zabawy z nawet najbardziej rozkosz-nym z dzieci.

A potem spostrzegł samo-chód. Był to stary gruchot, zardzewiały i połatany; a chłopak za kierownicą najwy-472

rażniej pokazywał swojej dziewczynie, jak potrafi się rozpędzić na tej pustej osiedlo-wej uliczce. Dziewczyna była ładna, i kto miałby głowę do uważania na dzieci?

Robby znalazł się dokładnie na wprost samochodu. Wolf wyprysnął do przodu niczym pocisk. Tor lotu zaniósł go tak blisko samochodu, że poczuł ciepło bijące od chłodnicy. Przednimi łapami pchnął Robby'ego, ratując mu życie. Upadli razem na ziemię, dokładnie w chwili, gdy samochód przejechał Wolfowi po ostatnim kręgu ogonowym.

Dziewczyna krzyknęła:

– Homer! Przejechaliśmy ich?

Homer nie odpowiedział i landara jechała dalej.

Robby zaczął krzyczeć.

– Zrobiłeś mi kuku! Zrobiłeś mi kuku!

Niedobry uf-uf!

Matka chłopca wybiegła na werandę i 473

dołączyła się ze swoimi wściekłymi wrza-skami. Kakofonia była nie do wytrzymania. Wolf też zawył przeciągle, by ukoronować całą sytuację i opłakać swój zmiażdżony ogon, a potem popędził naprzód.

Nie było czasu na wyjaśnianie nieporozumień.

Ale dwa opóźnienia wystarczyły. Robby i uparty policjant okazali się nieświadomymi pomocnikami Oskara Fearinga. Dobiegając do domu Emily, Wolf ujrzał odjeżdżający szary samochód. Z tyłu siedziała drobna, szczupła dziewczyna i szarpała się, przez kogoś przytrzymywana.

Nawet prędkość wilkołaka nie może równać się z siłą samochodowego motoru.

Po krótkim pościgu Wolf dał za wygraną i usiadł, ciężko sapiąc. Zabawne, pomyślał pomimo napięcia, nie móc się spociec, być zmuszonym do otwarcia pyska i wywie-474 szenia języka, i...

– Kłopoty? – zapytał uprzejmy głos.

Tym razem Wolf rozpoznał kota.

– Na Boga, tak – odparł z ulgą. – Większe niż się domyślasz.

– Brak pożywienia? – dociekał kot. –

Ale ten dzieciak po drugiej stronie jest ład-ny i pulchny.

– Zamknij się – warknął Wolf.

– Przepraszam; kierowałem się tylko tym, co Konfucjusz powiedział mi o wilkołakach. Nie chcesz chyba twierdzić, że jesteś altruistą?

– Chyba tak. Wiem, że od wilkołaków

oczekuje się mordowania bezbronnych istot, ale w tej chwili muszę ocalić czyjeś życie.

– Mam w to uwierzyć?

– To prawda.

– Ach – rzekł kot filozoficznym tonem.

– Prawda to rzecz mroczna i zwodnicza.

475

Wolfe Wolf poderwał się na nogi.

– Dzięki – szczechnął. – Pomogłeś mi.

– W jaki sposób?

– Do zobaczenia później. – I popędził

najszybciej, jak mógł, w kierunku Świątyni Mrocznej Prawdy.

To była jego najlepsza szansa. Tam znajdował się sztab Fearinga. Istniała przynajmniej

pięćdziesięcioprocentowa szansa, że w przerwach między uroczystościami tam zbiera się jego szajka, szczególnie, że konsul w San Francisco był zamknięty.

Znowu pędził i skakał, znowu umykał

spod kół; wiedział teraz, że choć może być nieczuły na kule, z pewnością nic nie uchroni go przed śmiercią w wypadku przejechania przez samochód. Ogon wciąż bolał go jak diabli. Ale musiał dotrzeć na miejsce. Przypominał sobie raz po raz, że musi oczyścić swoje imię; ale tak naprawdę myślał: Muszę ocalić Emilię.

476

Przecznice przed Świątynią usłyszał odgłosy strzelaniny. Strzały z pistoletu i, przysięgłby, serie z karabinu maszynowego. Nie rozumiał, co to może oznaczać, ale pędził naprzód. Potem minął go jasnożółty kabriolet i z okna błysnął ogień. Uskoczył

instynktownie. Można być odpornym na kule, ale nie ma sensu się nadstawiać.

Kabriolet zniknął i Wolf miał zamiar ruszyć za nim, kiedy jego uwagę zwrócił

błyszczący kawałek metalu. Pocisk, który go minął, odbił się rykoszetem od ściany i upadł na chodnik. Lśnił wprost przed jego oczami – był zrobiony z czystego srebra.

To, zdał sobie nagle sprawę, oznaczało koniec jego niewrażliwości na strzały. Fearing uwierzył w opowieść Glorii i dzięki swojemu obeznaniu w sprawach okultyzmu znalazł odpowiednie rozwiązanie.

Kula, od tej chwili, mogła oznaczać nie ukłucie igły, lecz natychmiastową śmierć.

477

I tak Wolfe Wolf ruszył naprzód.

Zbliżał się ostrożnie do Świątyni, kryjąc się za krzewami. Nie był sam. Na wprost Świątyni, za zasłoną samochodu, w które-go oknach wszystkie szyby były wybite, tkwił Fergus O'Brien w towarzystwie olbrzyma o okrągłej twarzy. Każdy miał w ręku pistolet maszynowy i strzelali na oślep w kierunku wieżyczki budynku.

Wilczy słuch Wolfa rozróżniał słowa pomimo hałasu strzelaniny.

– Gabe jest z tyłu – wyjaśniał Okrągła Twarz. – Ale to na nic. Wiesz, czym jest ta wieżyczka? To obrotowe gniazdo karabinu maszynowego. Byli przygotowani na coś takiego. Z tego, co wiemy, jest ich tam tylko dwóch, ale karabin kryje ogniem wszystkie drogi dojścia.

– Tylko dwóch? – mruknął Fergus.

– I dziewczyna. Wzięli ze sobą do środka dziewczynę. Jeśli jeszcze żyje.

478

Fergus wycelował uważnie i wypalił w

stronę wieżyczki, a potem uskoczył za samochód, kiedy kula minęła go o milimetry.

– Znowu spudłowałem! Na wszystkich

królów, którzy kiedykolwiek władali Tarą, musi być jakieś wejście do środka! Co powiesz na gaz łzawiący?

Okrągła Twarz prychnął.

– Myślisz, że uda ci się wrzucić ładunek do szczeliny strzelniczej z tej odległości?

– Ta dziewczyna... – powiedział Fergus.

Wolf nie czekał dłużej. Gdy skoczył naprzód, strzelec na wieżycze zauważył go i skierował na niego ogień. Miał wrażenie, że jest pod prysznicem, tyle że zamiast strumieni wody siekła go twarda stal. Ból był piekący. Ale przynajmniej karabin maszynowy nie strzelał srebrnymi pociskami.

Frontowe drzwi były zamknięte, lecz pokonał je samym swoim impetem, dokładając pulsujący ból w barku do reszty bo-479

leści. Strażnik na parterze, blady osobnik o wystającej grdyce, poderwał się z pistole-tem w dłoni. Za nim, pośród okultystycznego śmiecia, ceremonialnych szat, kadzi-deł, ksiąg, obok stolika do wywoływania duchów, leżała Emily.

Strażnik wypalił. Kule trafiły Wolfa prosto w pierś i przez chwilę spodziewał się śmierci. Ale strzelano ołowiem, skoczył

więc naprzód. Nie był to jego zwykły po-tężny sus. Brakowało mu sił. Potrzebował położyć się na chłodnej ziemi i chwilę odpocząć. Swoim skokiem zdołał tylko ze-wrzeć się z przeciwnikiem, a nie obalić go.

Mężczyzna chwycił bezużyteczny pisto-let za lufę i rąbnął Wolfa kolbą w łeb. Ten zatoczył się, stracił równowagę i runął na podłogę. Przez chwilę nie mógł wstać. Tak bardzo miał ochotę po prostu leżeć tam i...

Dziewczyna poruszyła się. Skrępowany-mi dłońmi chwyciła krawędź stolika do wywoływania duchów. W jakiś sposób udało jej się powstać i unieść niewielki mebel. W momencie gdy strażnik ruszył w kierunku unieruchomionego wilka, z całej siły spuściła mu stolik na głowę.

Wolf już się podniósł. Przez sekundę odczuwał pokusę. Wbił wzrok w wystającą grdykę strażnika i jego długi język mlasnął po dźwiękach. Potem usłyszał odgłos serii karabinu maszynowego dochodzący z wieżyczki i oderwał się od bezwładnego ciała strażnika.

Dla wilka wspięcie się po drabinie nie jest rzeczą łatwą, prawie niemożliwą. Ale jeśli będzie się chwytać zębami górnego szczebla i podciągając do góry, można tego dokonać. Był w połowie drogi, kiedy strzelec go usłyszał. Strzały ucichły i uszu Wolfa dobiegło soczyste niemieckie przekleństwo, w którym bez trudu rozpoznał dialekt wschodniopruski, zapewne z wpływa-481 mi litewskimi. Potem ujrzał mężczyznę, blondyna ze złamanym nosem.

Tamten na dole strzelał ołowianymi kulami. A więc to musi być ten od srebra. Ale za późno było już na odwrót. Uchwy-cił zębami kolejny szczebel i podźwignął się do góry, kiedy pocisk trafił go w nos i przeszedł na wylot. Blondyn otworzył szeroko oczy i wystrzelił ponownie, lecz Wolf podciągnął się o kolejny szczebel. Po trzecim strzale blondyn wycofał się przezornie w głąb wieżyczki.

Z zewnątrz nadal dobiegały odgłosy strzałów, lecz blondyn już na nie nie odpowiadał. Stał jak sparaliżowany pod ścianą, patrząc z przerażeniem na zbliżającego się wilka. Wolf przystanął i próbował złapać oddech. Był ledwie żywy ze zmęczenia i bólu, ale tego człowieka należało wyeliminować.

Blondyn uniósł pistolet, wycelował
482

uważnie i wypalił raz jeszcze. Stał przez krótką chwilę, wpatrując się w tego strasz-nego nieśmiertelnego wilka i zapewne przypominając sobie historie, jakie opowiadała mu babcia. Potem wsadził sobie lufę pistoletu w usta i pociągnął za spust.

Wolf nie jadł jeszcze w swoim wilczym ciele, ale najwyraźniej jedzenie przeszło z ludzkiego żołądka do wilczego. Było go wystarczająco dużo, by obficie zwymiotował.

Zejście z drabiny było niemożliwe. Skoczył. Nigdy nie słyszał o czymś takim jak wilk spadający na cztery łapy, ale chyba mu się udało. Powlókł się z trudem do miejsca, gdzie Emily siedziała obok wciąż nieprzytomnego strażnika, z jego pistole-tem w ręce. Podniosła broń widząc wilka, jakby nie wiedziała jeszcze, czy to przyjaciel czy wróg.

Czasu było mało. Kiedy karabin maszy-

483

nowy zamilkł, Fergus i jego towarzysze mogli w każdej chwili ruszyć do frontalnego ataku. Wolf powęszył i szybko znalazł

tekturową planszę stanowiącą wyposażenie stolika do wywoływania duchów. Wcisnął drewnianą wskazówkę i zaczął pokazywać kolejne litery.

Emily patrzyła, skonfundowana i pełna napięcia.

– A – powiedziała głośno. – B-S...

Wolf skończył pokazywać słowo i przesunął się tak, by zasłoniła go jedna z ceremonialnych szat.

– Chcesz mi coś powiedzieć? – zapytała Emily.

Wolf pomachał potakująco ogonem i zaczął jeszcze raz.

– A – potworzyła Emily. – B-S-A-R...

Słyszał zbliżające się kroki.

– ... K-A – co to na Boga znaczy? *Absarka...*

484

Eksprofesor Wolfe Wolf pospiesznie owinał się szatą wziętą ze Świątyni Mrocznej Prawdy. Zanim którekolwiek z nich zdało sobie sprawę, co się dzieje, chwycił

Emily w ramiona, pocałował w najbardziej entuzjastycznym wyrazie wdzięczności i zemdłał.

Wolf obudził się i nawet jego ludzki węch od razu powiedział mu, że jest w szpitalu. Wciąż był słaby i obolały. Rana po wyrwanym przez policjanta kawałku skóry wciąż piekła, a w miejscu, gdzie dostał kolbę pistoletu, miał potężnego sinia-ka. Z okolic ogona, czy raczej miejsca, gdzie wcześniej miał ogon, przy każdym poruszeniu promieniował ból. Lecz przynajmniej pościel była chłodna, on odpoczywał, a Emily była bezpieczna.

– Nie wiem, jak pan się tam dostał, panie Wolf, ani co pan zrobił; ale chcę, żeby 485 wiedział pan, że oddał swojemu krajowi nieocenioną przysługę. – To przemawiał olbrzym o okrągłej twarzy.

Przy łóżku siedział też Fergus O'Brien.

– Gratulacje, Wolf. I nie wiem, czy lekarz by się zgodził, ale proszę.

Wolfe Wolf z wdzięcznością napił się whisky i spojrzał pytająco na olbrzyma.

– To jest Moon Lafferty – wyjaśnił Fergus. – Człowiek z FBI. Pomagał mi tropić tę szajkę szpiegów, od kiedy po raz pierwszy o nich usłyszałem.

– Macie ich... wszystkich? – zapytał

Wolf.

– Aresztowaliśmy Fearinga i Glorię Garton w hotelu – zagrzemiał Lafferty.

– Ale jak... myślałem...

– Myślał pan, że to jego szukamy? – zapytał Fergus. – Taki był pomysł Glorii, ale ja nie do końca dałem się na to złapać. Widzi pan, zdążyłem już wcześniej porozma-486

wiać z pańską sekretarką. Wiedziałem, że Gloria chciała się widzieć z Fearingiem. A kiedy popytałem o Fearinga i dowiedzia-

łem się o jego Świątyni oraz badaniach wojskowych prowadzonych przez część jego wyznawców, fragmenty łamigłówek złożyły się w całość.

– Wspaniała robota, panie Wolf – powiedział Lafferty. – Jeśli możemy cokolwiek dla pana zrobić... I jak dostał się pan do tej wieżyczki z gniazdem karabinu maszynowego... Cóż, O'Brien, do

zobaczenia później. Muszę sprawdzić, co się dzieje z pozostałymi uczestnikami tej sprawy. Życze miłej rekonwalescencji, panie Wolf.

Fergus poczekał, aż agent wyjdzie z pokoju. Potem pochylił się nad łóżkiem i zapytał konfidencyjnym szeptem:

– No jak, Wolf? Wraca pan do kariery aktorskiej?

Wolfa zatkało.

487

– Jakiej kariery aktorskiej?

– Nadal zamierza pan zagrać Tookah?

Gdyby Metropolis zdecydowało się nakręcić „Kły puszczy” z Glorią Garton w więzieniu federalnym.

Wolf nie mógł znaleźć słów.

– Cóż za nonsensowne...

– Dajże pan spokój, Wolf. Przecież to całkiem jasne. Równie dobrze mógłby mi pan opowiedzieć całą historię.

Wciąż oszołomiony, Wolf zrobił to.

– Ale jak pan do tego doszedł? – zapytał na koniec.

Fergus wyszczerzył zęby w uśmiechu.

– Niech pan posłucha, Dorothy Sayers

powiedziała gdzieś, że w historii detekty-wistycznej element nadprzyrodzony można wprowadzić tylko po to, by go potem obalić. Jasne, to ładne. Ale w realnym życiu nadchodzi czasem chwila, kiedy taki element nie daje się obalić. Tak się właśnie 488

zdarzyło. Za dużo było szczegółów. Były pańskie brwi i palce, były wyraźnie autentyczne magiczne zdolności pańskiego przyjaciela, były sztuczki, których żaden pies nie zdołałby wykonać bez podpowiedzi, było to, w jaki sposób pozostałe psy skamlały i wyły... Jestem sceptykiem, panie Wolf, ale jestem też Irlandczykiem. Do pewnego stopnia postępuję zgodnie z materialistyczną wizją świata, ale co za dużo, to za dużo.

– Fearing też w to uwierzył – zauważył

Wolf. – Ale jedna rzecz mnie niepokoi –

jeśli raz strzelili do mnie srebrną kulą, dlaczego wszystkie pozostałe były ołowiane?

Dlaczego od tego momentu byłem bezpieczny?

– Cóż – rzekł Fergus. – Wyjaśnię to panu. Ponieważ to nie „oni” wystrzelili srebrną kulę. Widzi pan, Wolf, do ostatniej chwili sądziłem, że jest pan po „ich” stro-489

nie. Z jakiegoś powodu nie mogłem uwierzyć w dobre intencje wilkołaka. Kupiłem więc formę od rusznikarza, złożyłem wizytę jubilerowi i... Cieszę się, że spudłowałem – dodał szczerze.

– Cieszy się pan!

– Ale niech pan posłucha. Poprzednie pytanie nadal stoi. Wraca pan do aktor-stwa? Bo jeśli nie, to mam pewną sugestię.

– A mianowicie?

– Mówi pan, że zastanawiał się, jak być praktycznym, zarabiającym na siebie wilkołakiem. W porządku. Jest pan silny i szybki. Może pan przstraszyć człowieka do tego stopnia, że popełni

samobójstwo.

Może pan podsłuchiwać rozmowy, których nie usłyszysz żadna istota ludzka. Jest pan niewrażliwy na kule. Czy zna pan lepsze kwalifikacje do bycia agentem?

Wolf zachichotał.

– Ja? Agentem?

490

– Moon mówił mi, jak bardzo potrzebują nowych ludzi. Zmienili ostatnio przepisy, tak że pańska znajomość języków będzie mogła zastąpić dyplom z prawa czy księgowości, jakiego wcześniej wymagali.

A po tym, czego pan dzisiaj dokonał, ten niewielki uczelniany skandal z przeszłości nie będzie miał znaczenia. Moon jest do pana całkiem przekonany.

Wolf zaniemówił. Zaledwie trzy dni temu cierpiał z powodu tego, że nie był agentem albo aktorem. Teraz...

– Proszę to przemyśleć – powiedział

Fergus.

– Zrobię to. Zaiste, to zrobię. Ach, i jeszcze jedno. Czy pojawił się jakiś ślad Ozzy'ego?

– Ani widu, ani słychu.

– Polubiłem tego faceta. Muszę spróbować go znaleźć i...

– Jeśli jest magiem, tak jak przypuszczam, to został tam na górze wyłącznie dlatego, że tak mu się podoba.

– Nie wiem. Magia jest zwodnicza. Bóg wie, doświadczyłem tego na własnej skórze. Zrobię wszystko, co w mojej mocy, dla tego miłego starego kolegi.

– Życzę panu szczęścia. Czy mam przyśłać następnego gościa?

– Kto to jest?

– Pańska sekretarka. W sprawach zawodowych, bez wątpienia.

Fergus wycofał się dyskretnie, wpuściwszy Emily. Dziewczyna podeszła do łóżka i ujęła Wolfa za rękę. Napawał się jej spokojną, czarującą prostotą i zastanawiał się, jakież to niedojrzały kaprys kazał mu ulec kiczowatemu wdziękowi Glorii Garton.

Milczeli przez długą chwilę. Potem powiedzieli jednocześnie:

– Jak mogę ci podziękować? Zawdzięczam ci życie.

492

Wolf zaśmiał się.

– Nie sprzecajmy się. Powiedzmy, że uratowaliśmy nasze życie.

– Naprawdę tak uważasz? – zapytała Emily poważnym tonem.

Wolf uścisnął jej dłoń.

– Czy nie masz już dość bycia biurową żonką?

Na bazarze w Dardżylingu Chulundra Lingasuta popatrzył na swoją linę z nie-mym zdziwieniem. Młody Ali wspiął się na górę zaledwie pięć minut wcześniej, a teraz, schodząc, był o pięćdziesiąt kilogramów cięższy i miał dziwaczną rzadką bródkę.

493

RAY BRADBURY

MAŁY MORDERCA

(The small assassin)

Przełożyła Paulina Braiter

Ray Bradbury od półwiecza prowadzi stawce fantastów.

Jest autorem setek opowiadań, traktujących o ambicjach i klęskach człowieka. Głównymi tematami jego dzieł są badanie kosmosu i wizje społeczeństw przyszłości. Najbardziej znane zbiory opowiadań Bradbury'ego to „Kroniki marsjańskie”, „Człowiek Ilustrowany” i „Dark Carnival”. Najśłynniejsza powieść, „451 stopni

Fahrenheita”, przedstawia totalitarne państwo, w którym strażacy miast gasić pożary, sami je wszczynają. Bradbury pisał także scenariusze, wiersze i powieści detektywistyczne. Zdobył wiele nagród, w tym w 1988 roku Nebulę w kategorii mistrza gatunku.

494

495

Nie potrafiła określić, kiedy dotarło do niej, że jest zabijana. W ostatnim miesiącu pojawiło się wiele subtelnych oznak, drobnych podejrzeń, głęboko skrywanych w otchłani jej umysłu. Zupełnie jakby patrzyła na idealnie spokojne morze w tropikach, łaknąc kąpieli, i dopiero, gdy dała się ponieść fali, odkryła, że tuż pod powierzchnią kryją się potwory, niewidzialne, opite krwią stwory o wielu mackach i ostrych płetwach, złowieszcze i niepokonane.

Pomieszczenie wirowało w oparach higieny. Tuż nad nią unosiły się ostre narzędzia, słyszała głosy ludzi w sterylnych białych maskach.

Kim jestem? – pomyślała. – Jak się nazywam?

Alice Leiber, nadeszła nagła odpowiedź.

Zona Davida Leibera. Jednakże świadomość ta nie pocieszyła jej. Była sama, otoczona cichymi, szepczącymi białymi ludźmi. Czowała przejmujący ból, mdłości i śmiertelny strach.

Morduje mnie na ich oczach. Ci lekarze, pielęgniarki, nie zdają sobie sprawy, co się ze mną stało. David też nie. Nikt nie wie, oprócz mnie i niego – sprawcy, zabójcy, małego mordercy.

Umieram i już nie mogę im powiedzieć.

Śmialiby się, mówili, że bredzę w malignie. Zobaczą mordercę, pocieszą go i nikt nie pomyśli, że to on odpowiada za moją śmierć. A ja leżę tu przed obliczem Boga i ludzi i umieram. Nikt by mi nie uwierzył, wszyscy by wątpili, pocieszali mnie kłamstwami, grzebali pod zwałami ignorancji, ratując jednocześnie tego, kto mnie zniszczył.

Gdzie jest David? – zastanawiała się. –

Pewnie w poczekalni, pali jednego papierosa za drugim, zasłuchany w powolne tykanie zegara.

Całe jej ciało spłynęło potem. Alice krzyknęła w męce. Teraz. Teraz! Możesz próbować mnie zabić, wrzasnęła. Próbuje, próbuje, ale ja nie umrę! Nie umrę!

Poczuła pustkę. Próżnię. Nagle ból ustał.

Ogarnęły ją znużenie i mrok. Po wszystkim. O Boże! Runęła w otchłań, uderzając w czarną nicość, pod którą kryła się następna, i jeszcze jedna, i jeszcze...

Kroki. Ciche, zbliżające się kroki.

Z oddali dochodziły czyjeś słowa: „Ona śpi. Proszę jej nie przeszkadzać”.

Woń tweedu, fajki, znajomej wody po goleniu. David stał tuż nad nią. Zza jego pleców dolatywał

nieskalany zapach doktora Jeffersa.

Nie otworzyła oczu.

– Nie śpię – powiedziała cicho. Z ulgą i 498

radością odkryła, że może mówić, że wciąż jeszcze żyje.

– Alice – to był David za zamkniętymi oczami, trzymający w dłoniach jej zmęczone ręce.

Chciałbyś poznać mordercę, Davidzie?

– pomyślała. – Słyszę twój głos, domagający się widzenia. Pozostaje mi tylko zatem wskazać go.

David stał nad nią. Otworzyła oczy. Obraz pokoju wyostrzył się. Unosząc słabą dłoń, odrzuciła

kołdrę.

Błękitnooki morderca spojrział na Davi-da Leibera z pogodnym rumianym spokojem. Jego oczy były głębokie i błyszczące.

– No, no! – zawołał z uśmiechem David Leiber. – Cóż za piękny chłopczyk!

Kiedy David Leiber zjawił się w szpitalu, żeby odebrać żonę i nowo narodzone dziecko, doktor Jeffers czekał na niego.

499

Gestem wskazał krzesło w gabinecie, po-częstował cygarem, sam także zapalił, przysiadł na skraju biurka i przez długą chwilę zaciągał się W milczeniu. W końcu odchrząknął i patrząc wprost na gościa, rzekł:

– Twoja żona nie lubi dziecka, Dave.

– Co takiego?

– To dla niej bardzo trudne. Przez następny rok będzie potrzebowała mnóstwo miłości. Nie wspominałem o tym wcze-

śniej, ale na sali porodowej wpadła w histerię. Mówiła najdziwniejsze rzeczy, nie będę ich powtarzał. Wystarczy rzec, że nie czuje się emocjonalnie związana z dzieckiem. Oczywiście może być to problem, który, aby rozwiązać, wystarczy odpowiedzieć na kilka pytań. – Przez chwilę ssął cygaro. – Czy to chciane dziecko, Davidzie?

– Dlaczego pan pyta?

500

– To niezwykle ważne.

– Tak. Tak, to chciane dziecko. Wspólnie podjęliśmy decyzję. Alice była taka szczęśliwa. Rok temu, kiedy...

– Mm, to jeszcze utrudnia sprawę. Gdy-by dziecko nie było planowane, mielibyśmy do czynienia z prostym przypadkiem kobiety, która nie może pogodzić się z samą ideą macierzyństwa. To jednak nie pasuje do Alice. – Doktor Jeffers wyjął z ust cygaro i potarł szczękę. – Musi więc chodzić o coś innego. Może to jakieś prze-

życie z dzieciństwa, które dopiero teraz wychodzi na jaw. Albo chwilowe wątpliwości i nieufność matki, która bardzo cierpiała i była bliska śmierci, tak jak Alice. W

takim wypadku czas powinien załagodzić sprawę. Uznałem jednak, że trzeba ci powiedzieć, Dave. To ci pomoże zachować spokój i nie wpaść w złość, jeśli Alice powie coś... – cóż, wspomni, że wolałaby, by 501

dziecko urodziło się martwe. A w razie kłopotów wpadnijcie do mnie we trójkę.

Zawsze chętnie spotykam starych przyjaciół. Proszę, weź jeszcze jedno cygaro. Na zdrowie dziecka...

Było słoneczne wiosenne popołudnie.

Ich samochód z cichym szumem jechał ob-sadzonym drzewami bulwarem. Błękitne niebo, kwiaty,

ciepły wiatr. David mówił

bez przerwy, zapalił cygaro, znów zaczął

gadać. Alice odpowiadała zwięźle, cicho, odprężona. Nie tuliła jednak dziecka dostatecznie mocno, czule, dość matczynie, by ukoić dziwny ból w umyśle Dave'a. Wyglądało, jakby trzymała w rękach porcelanową figurkę.

– I co – rzekł w końcu z uśmiechem –
jak go nazwiemy?

Alice Leiber odprowadzała wzrokiem znikające w dali zielone drzewa.

502

– Nie spieszmy się z decyzją. Wolę zaczekać, póki nie wymyślimy mu naprawdę wyjątkowego imienia. Nie dmuchaj mu w twarz dymem. – Ton jej głosu nie zmienił się ani odrobinę. W ostatnim zdaniu nie brzmiała nawet najśłabsza nutka matczyne-go wyrzutu, zainteresowania, rozdrażnienia. Po prostu wyrecytowała je jak wy-uczoną kwestię.

Mąż, poruszony, wyrzucił przez okno cygaro.

– Przepraszam.

Dziecko spoczywało w zagięciu ręki matki; plamy słońca i cienie drzew sprawiały, że jego twarz zdawała się podlegać ciągłym zmianom. Błękitne oczy otwały się niczym świeże wiosenne kwiaty. Z ma-leńkich, giętkich, różowych ust dobywały się wilgotne cmoknięcia.

Alice zerknęła na dziecko. Mąż poczuł, jak zadrżała.

503

– Zimno ci? – spytał.

– To tylko dreszcz. Lepiej zamknij okno, Davidzie.

To było coś więcej niż dreszcz. Powoli podniósł szybę.

Kolacja.

Dave przyniósł dziecko z pokoju dziecinnego i posadził na wysokim krzeselku, wsparte o stos poduszek tak, że przechylało się pod lekkim, niepokojącym kątem.

Alice obserwowała poruszenia swego noża i widelca.

– Nie dorósł jeszcze do krzeselka.

– Mimo to dobrze jest mieć go tutaj. –

Dave'a rozpieierała radość. – Wszystko idzie jak z płatka. W biurze także. Mam zamówień po uszy. Jeśli nie będę uważał, zarobię w tym roku dodatkowe piętnaście ty-sięcy. Hej, spójrz tylko na Juniora! Zaślinił

sobie całą brodę! – Wyciągnął rękę i za-504

czął wycierać serwetką buzię dziecka. Ką-

tem oka dostrzegł, że Alice w ogóle nie patrzy. Szybko skończył wycieranie.

– To pewnie niezbyt ciekawe – rzekł, wracając do jedzenia. – Można by jednak sądzić, że matkę zainteresuje własne dziecko.

Alice uniosła głowę.

– Nie mów tak! Nie przy nim! Jeśli już musisz, to później.

– Później? – zawołał. – Przy nim czy za jego plecami, co za różnica? – Przełknął.

Poczuł wstyd. – W porządku. Już dobrze.

Wiem, jak to jest.

Po kolacji pozwoliła mu zanieść dziecko na górę. Nie prosiła, pozwoliła.

Schodząc, ujrzał ją stojącą obok radia; słuchała muzyki, która w ogóle do niej nie docierała.

Oczy miała zamknięte, minę za-myśloną, pytającą. Wzdrygnęła się, kiedy stanął obok.

505

I nagle była tuż przy nim, przywarła do niego miękka, ciepła; ta sama. Odnalazła jego usta, zawładnęła nimi. David był

oszołomiony. Teraz, gdy dziecko zniknęło, znalazło się na górze, daleko, znów zaczęła oddychać. Była wolna. Szeptala do niego, szybko, bez końca.

– Dziękuję ci, dziękuję, kochany, za to, że zawsze jesteś sobą, że można na tobie polegać.

Nie mógł powstrzymać śmiechu.

– Ojciec powtarzał mi stale: synu, zabezpiecz rodzinę.

Znużonym gestem oparła mu na ramie-

niu głowę; miała ciemne, lśniące włosy.

– Trochę przesadziłeś. Czasami chciałabym, żeby było tak, jak zaraz po ślubie.

Żadnych obowiązków, tylko my dwoje –

bez dzieci.

Z ogromną siłą zacisnęła palce na jego dłoni; jej twarz powlekleła się nadnaturalną 506
bladością.

– Och, Dave, kiedyś byliśmy tylko ty i ja. Ochranialiśmy się nawzajem, a teraz chronimy dziecko, ale przed nim nie mamy obrony. Rozumiesz? Leżąc w szpitalu miałam czas, by przemyśleć wiele rzeczy.

Świat jest zły...

– Naprawdę?

– Tak. Jest zły. Ale prawa chronią nas przed nim, a kiedy zabraknie praw, obroną staje się miłość. Moja miłość nie pozwala mi ciebie zranić. Ze wszystkich ludzi na świecie tylko wobec mnie jesteś bezbronny, lecz miłość cię osłania. Ja także nie boję się ciebie, bo miłość łagodzi wszystkie zadrażnienia, nienaturalne przeczucia, uprzedzenia, oznaki niedojrzałości. Ale co z dzieckiem? Jest za małe, by znać miłość czy prawo miłości. Musimy je tego nauczyć. A tymczasem jesteśmy bezbronni.

– Bezbronni wobec dziecka? – Odsunął

507

ją i zaśmiał się łagodnie.

– Czy niemowlę zna różnicę pomiędzy

dobrem a złem? – spytała.

– Nie. Ale pozna.

– Dziecko jest takie nowe, amoralne, zupełnie pozbawione sumienia – urwała.

Wypuszczając go z ramion, nagle się od-wróciła. – Słyszałeś? Co to za hałas?

Rozejrzał się po pokoju.

– Niczego nie...

Alice patrzyła na drzwi biblioteki.

– Tam – powiedziała wolno.

David przeszedł przez pokój, otworzył

drzwi i pstryknął światło.

– Niczego tu nie ma. – Wrócił do niej. –

Jesteś wykończona. Do łóżka. I to już.

Gasząc światła, weszli razem w milczeniu po wyściełanych schodach. Już na szczycie przeprosiła go.

– To tylko taka gadanina, kochany. Wybacz mi. Jestem strasznie zmęczona.

508

Rozumiał, i powiedział jej o tym.

Przystanęła z wahaniem przy drzwiach

pokoju dziecięcego. Nagle gwałtownie przekręciła mosiężną gałkę i weszła do środka. Patrzył, jak stanowczo, zbyt ostrożnie, zbliża się do kołyski, zagląda i sztywnieje, jakby ktoś uderzył ją w twarz.

– Davidzie!

Skoczył naprzód, ku kołysce.

Twarz dziecka była jaskrawoczerwona i całkiem mokra, jego małe różowe usta otwierały się, zamykały i otwierały. Oczy płonęły błękitnym blaskiem, rączki wymachiwały w powietrzu.

– Och – rzekł Dave. – Po prostu płakał.

– Naprawdę? – Alice Leiber przytrzymała się kołyski, aby zachować równowagę. – Nie słyszałam go.

– Drzwi były zamknięte.

– To dlatego tak ciężko oddycha i jest taki czerwony?

509

– Jasne. Biedny maluch. Płakał tu sam w ciemności. Na wszelki wypadek powinien dzisiaj spać razem z nami.

– Rozpuścisz go – mruknęła żona.

Czuł na sobie jej spojrzenie, gdy przesuwał kołyskę do sypialni. Rozebrał się w milczeniu i usiadł na skraju łóżka. Nagle podniósł głowę, zaklął pod nosem i pstryknął palcami.

– Do diabła, zapomniałem ci powiedzieć. W piątek muszę lecieć do Chicago.

– Och, Davidzie. – Jej głos gubił się w półmroku.

– Od dwóch miesięcy odkładam ten wy-

jazd. Sytuacja stała się krytyczna. Po prostu muszę lecieć.

– Boję się zostać sama.

– Do piątku zatrudnimy nową kucharkę.

Będzie tu cały czas. Wrócę za kilka dni.

– Boję się. Sama nie wiem czego. Nie

uwierzyłbyś, gdybym ci powiedziała. Chy-510

ba zaczynam wariować.

Leżał już, gdy Alice zgasiła lampę. Słyszał, jak okrąża łóżko, odrzuca kołdrę, wsuwa się do środka. Czuł obok siebie jej ciepły kobiecy zapach.

– Jeżeli wolisz, żebym zaczekał kilka dni, może uda mi się...

– Nie – rzekła bez przekonania. – Jedź.

Wiem, że to ważne. Tyle że wciąż rozmy-

ślam o tym, o czym ci mówiłam. Prawach, miłości, ochronie. Miłość chroni cię przede mną, ale dziecko... – Odetchnęła głęboko.

– Co cię przed nim obroni, Davidzie?

Zanim zdążył odpowiedzieć, zanim zdą-

żył upomnieć ją, że zachowuje się niemą-

drze, mówiąc tak o niemowlęciu, gwałtownym gestem zapaliła lampkę przy łóżku.

– Spójrz – rzekła. Dziecko leżało w ko-

łysce zupełnie rozbudzone, patrząc wprost na niego głębokimi jasnobłękitnymi oczami.

511

Światło znów zgasło. Alice zadrżała.

– Niedobrze jest bać się tego, co się zrodziło. – Jej szept zniżył się, zabrzmiał ostro, groźnie. – On próbował mnie zabić.

Leży tam, słucha naszych rozmów i czeka, żebyś odszedł, aby znów móc spróbować mnie zabić!

Przysięgam! – zaszlochała.

– Proszę – powtarzał kojącym tonem. –

Proszę cię, przestań. Przestań.

Długi czas płakała w ciemności. W końcu

uspokoiła się i leżała rozdygotana, tuląc się do niego. Jej oddech stał się cichy, ciepły, regularny. Ciało poruszyło się w znajomym odruchu. Zasnęła.

Jego także ogarnęła senność.

Tuż przedtem, nim znużone powieki opadły, pogrążając go w sennej otchłani, usłyszał niedaleko dziwny cichy dźwięk, odgłos czujnej świadomości.

Młasińcie małych, giętkich, różowych ust.

512

Dziecko.

A potem – sen.

Rankiem słońce płonęło na niebie.

Alice uśmiechała się. David Leiber wziął zegarek i huśtał nim nad kołyską.

– Widzisz, malutki? Błyskotka. Śliczna błyskotka. O tak. Tak. Śliczniutka błyskotka.

Alice uśmiechała się. Powiedziała, żeby się nie przejmował, niech leci do Chicago, będzie bardzo odważna. Nie ma się czym martwić. Zajmie się dzieckiem. O tak, zajmie się nim.

Samolot kierował się na wschód. Po locie wypełnionym niebem, słońcem i chmurami na horyzoncie pojawiło się Chicago.

Dave pogrążył się w gorączce zamówień, planowania, bankietów, telefonów, dyskusji i konferencji, co dzień jednak pisał listy i wysyłał telegramy do Alice i dziecka.

513

Wieczorem szóstego dnia spędzonego poza domem zadzwonił telefon. Z Los Angeles. – Alice?

– Nie, Dave. Tu Jeffers.

– Doktorze!

– Trzymaj się, synu. Alice jest chora.

Lepiej wracaj najbliższym samolotem. To zapalenie płuc. Zrobię wszystko, co w mojej mocy, chłopcze. Gdyby tylko zachorowała później, nie tak krótko po porodzie.

Brak jej sił.

Leiber upuścił słuchawkę na widełki.

Wstał, nie czując rąk, nóg ani ciała. Pokój hotelowy zawirował i rozpadł się na kawałki.

– Alice! – rzucił David, ruszając w stronę drzwi.

Śmigła drgnęły, zawirowały, po czym zakrzusiły się i stanęły. Czas i przestrzeń zostały w tyle.

David poczuł pod dłonią 514

obracającą się gałkę drzwi. Podłoga pod stopami nabrała rzeczywistości, wokół niego zafalowały ściany sypialni. W promieniach popołudniowego słońca ujrzał doktora Jeffersa odwracającego się od okna i Alice leżącą w łóżku, bladą istotę wyrzeź-

bioną ze śniegu. A potem doktor Jeffers mówił, mówił bez końca. Dźwięk wznosił się łagodnie i opadał w blasku lampy, cichy szum, bezsensowny szmer słów.

– Twoja żona jest zbyt dobrą matką, Dave. Bardziej martwiła się o dziecko niż o siebie...

Na moment biel twarzy Alice skaziło nagłe napięcie, które zniknęło, zanim ktokolwiek je spostrzegł. A potem, powoli, z lekkim uśmiechem zaczęła mówić i mówi-

ła, jak na matkę przystało, o tym, tamtym i o owym, nie szczędząc im szczegółów, dokładnych raportów matki skupionej na ma-

łym zamkniętym świecie i miniaturowym 515

życiu tego świata. Nie mogła jednak przestać; zwinięta sprężyna rozprężyła się i głos Alice zabrzmiał gniewnie, lękliwie, pojawiła się w nim słaba nuta obrzydzenia.

Wyraz twarzy doktora Jeffersa nie zmienił

się ani na jotę, natomiast serce Davida biło coraz szybciej, naśladowując rytm przemowy żony, która przyspieszała, jakby nie mogła skończyć:

– Dziecko nie chciało spać. Myślałam, że jest chore. Ale on leżał w kołysce, patrząc w przestrzeń, a późną nocą płakał

głośno i nie przestawał, całą noc. Nie mogłam go uspokoić i nie mogłam odpocząć.

Doktor Jeffers powoli skinął głową.

– Zmęczenie doprowadziło do zapalenia płuc. Teraz jednak naszpikowaliśmy ją sul-fatami.

Niebezpieczeństwo minęło.

David poczuł się słabo.

– A dziecko? Co z dzieckiem?

– Zdrowe jak ryba, rześkie jak ptak.

516

– Dziękuję, doktorze.

Lekarz zszedł po schodach, cicho otworzył drzwi frontowe i zniknął.

– Davidzie.

Odwrócił się, słysząc przerażony szept.

– To znowu dziecko. – Ścisnęła jego dłoń. – Próbuję się okłamywać, powtarzam, że jestem głupia, ale mały wiedział, że nie odzyskałam sił po szpitalu i płakał

co noc. A kiedy nie płakał, siedział zbyt cicho. Wiedziałam, że jeśli zapalę światło, będzie tam leżał i wpatrywał się we mnie.

David miał wrażenie, że całe jego ciało napina się niczym zaciśnięta pięść. Pamię-

tał widok dziecka, jego obecność w ciemności, rozbudzonego w środku nocy, kiedy dzieci

powinny spać. Rozbudzonego i milczącego, cichego jak mysz, patrzącego nań z kołyski. Odepchnął tę myśl. To szaleń-

stwo.

– Zamierzałam zabić dziecko – ciągnęła 517

Alice. – O, tak. W dzień po twoim wyjeź-

dzie poszłam do jego pokoju i zacisnęłam mu dłonie na szyi. Stałam tak dłuższy czas,

rozmyślając; bałam się. Potem nakryłam mu twarz kołdrą, odwróciłam go na brzuch, przycisnęłam i zostawiłam tak, wybiegając z pokoju.

Próbował ją uciszyć.

– Nie, daj mi skończyć – rzekła ochryple, wbijając wzrok w ścianę. – Kiedy go zostawiłam, pomyślałam: To proste. Co dzień dusi się jakieś dziecko, nikt się nigdy nie dowie. Ale kiedy wróciłam, spodziewając się zastać trupka, on żył! O, tak, żył.

Leżał na piecach żywy, oddychający, uśmiechnięty. Potem nie mogłam już go dotknąć.

Zostawiłam go tam i nie wróci-

łam; nie karmiłam go, nie sprawdzałam, jak się czuje. Może zajęła się nim kucharka? Nie wiem. Wiem tylko, że jego płacz nie pozwalał mi zasnąć. Rozmyślałam ca-518

łymi nocami, krążąc po pokoju, a teraz jestem chora. – Już niemal skończyła. –

Dziecko leży tam i obmyśla sposoby po-zbycia się mnie. Proste sposoby. Zdaje sobie sprawę, że za dużo o nim wiem. Nie ma między nami miłości, która mogłaby nas chronić. I nigdy nie będzie.

Umilkła, zamknęła się w sobie i w końcu zasnęła. David Leiber bardzo długo stał

nad łóżkiem żony. Nie mógł się poruszyć, krew zastygła mu w żyłach, w jego ciele nie drgnęła nawet najmniejsza komórka.

Następnego ranka pozostało do zrobienia tylko jedno. I zrobił to.

Wszedł do gabinetu doktora Jeffersa i opowiedział mu wszystko, po czym wysłuchał pełnej tolerancji odpowiedzi lekarza.

– Powoli, synu. To zupełnie naturalne, że czasem matki nienawidzą swoich dzieci.

Mamy na to nazwę – ambiwalencja. Zdol-519

ność odczuwania miłości i nienawiści jednocześnie. Kochankowie często się nienawidzą, dzieci nie znoszą swoich matek...

– Nigdy nie nienawidziłem swojej matki

– wtrącił Leiber.

– To oczywiste, że zaprzeczasz. Ludzie niechętnie przyznają się do tego, że żywią nienawistne uczucia do najbliższych.

– Zatem Alice nienawidzi dziecka.

– Obsesja jest lepszym określeniem. Posunęła się o krok dalej niż zwykła ambiwalencja. Cięcie cesarskie, które sprowadziło dziecko na świat, omal nie zabiło Alice. A teraz ona obwinia dziecko o to, że otarła się o śmierć i zapadła na zapalenie płuc.

Dokonyje przeniesienia uczuć, oskarżając o swoje kłopoty najwygodniejszy obiekt, na jaki można przerzucić winę. Wszyscy tak postępujemy. Wpadamy na krzesło i przeklinamy mebel, nie naszą niezręczność. Chybiwszy w golfie, winimy trawę, 520

klub, producenta piłki. Jeśli nie wiecie nam się w interesach, mamy pretensje do Boga, pogody, naszego szczęścia. Powtó-

rzę tylko to, co mówiłem już wcześniej.

Kochaj ją. To najlepsze lekarstwo na świecie. Znajdź różne sposoby, by dowieść jej swego uczucia, zapewnić bezpieczeństwo.

Pokazać, jak nieszkodliwe i niewinne jest dziecko. Spraw, aby poczuła, iż warto było ryzykować, by je urodzić. Po jakimś czasie uspokoi się, zapomni o śmierci i pokocha małego. Jeśli w ciągu miesiąca nie dojdzie do siebie, zadzwoń. Polecę ci dobrego psychiatrę. A teraz idź już. I zmień tę minę.

Gdy nadeszło lato, sytuacja zdawała się poprawiać, uspokajać. Dave pracował, po-grążając się w życiu biurowym, znajdował

jednak sporo czasu dla żony. Ona z kolei odbywała długie spacery, odzyskiwała siły, czasami grała w badmintona. Jej wy-521

buchy prawie zupełnie ustały. Wyglądało na to, że uwolniła się od swoich lęków.

Z wyjątkiem pewnej nocy, kiedy to na-

gły powiew letniego wiatru uderzy! w dom, ciepły, gwałtowny podmuch, kołyszący drzewami niczym połyskliwymi tamburynami. Alice obudziła się roztrzę-

siona i przytuliła do męża, pozwalając mu się pocieszać, pytać, co się stało.

– Coś jest w tym pokoju – rzekła. – Obserwuje nas.

Zapalił światło.

– Znow te sny – rzekł. – Ale nie szkodzi. Od dawna nic cię nie dręczyło.

Westchnęła, gdy znow zgasił lampę, i błyskawicznie zasnęła. Obejmował ją, myśląc, jaka z niej słodka, niesamowita istota.

Minęło pół godziny.

Nagle usłyszał, jak drzwi sypialni otwierają się lekko.

Nikt w nich nie stał, nie było powodu, 522

by się same otwarły. Wiatr już ustał.

Leiber czekał, leżąc w ciemności. Wydawało mu się, że upłynęła godzina.

I wtedy w oddali, z pokoju dziecinnego dobiegło zawodzenie, przejmujące jak świst małego meteoru, ginącego w mrocznej otchłani kosmosu. Dziecko zaczęło płakać.

Był to cichy samotny dźwięk pośród gwiazd i ciemności, oddechu kobiety w jego ramionach i wiatru, który znow zaczął

potrzasać gałęziami.

Powoli policzył do stu. Płacz nie ucichł.

Delikatnie odginając rękę Alice, wyśli-znął się z łóżka, założył kaptcie, szlafrok i cicho wyszedł.

Zejdę na dół, pomyślał, zagrzeję mleko, wrócę na górę...

Czerń pod nogami ustąpiła. Jego stopa pośliznęła się i obsunęła. Pośliznęła się na czymś miękkim. Poleciała w nicość.

523

Gwałtownie wyrzucił ręce, rozpaczliwie szukając oparcia. Zdołał powstrzymać upadek i zaklął, trzymając się kurczowo porę-

czy.

„Coś miękkiego”, na czym się pośliznął, spadło kilka stopni w dół. W głowie mu szumiało. Serce tętniło w gardle, ściskając się boleśnie.

Co za nieostrożność, tak rozrzucać rzeczy po domu. Zaczął delikatnie macać w ciemności, poszukując przedmiotu, przez który omal nie spadł ze schodów.

Jego dłoń znieruchomiała, zaskoczona.

Głęboko wciągnął powietrze. Serce na moment zamarło.

Trzymał w dłoni zabawkę. Wielką nie-

zgrabną szmacianą lalkę, którą kupił jako żart dla...

Dla dziecka.

Następnego dnia Alice odwiozła go do

524

pracy.

W połowie drogi do centrum zjechała do krawężnika i zatrzymała samochód. Następnie odwróciła się w fotelu i spojrzała na męża.

– Chcę wyjechać na wakacje. Nie wiem, kochany, czy uda ci się teraz wziąć wolne, ale jeśli nie, proszę, pozwól mi jechać samej. Z pewnością znajdziemy kogoś, kto zaopiekuje się dzieckiem. Ja po prostu mu-szę wyjechać. Sądziłam, że udaje mi się zwalczyć to uczucie, ale nie. Wciąż nie znoszę przebywać z nim w jednym pokoju.

On patrzy na mnie, jakby także mnie nienawidził. Nie potrafię tego określić, wiem tylko, że chcę

stąd zniknąć, zanim coś się wydarzy.

Leiber wysiadł z samochodu, okrążył go i gestem polecił jej się przesunąć i wsiadł z powrotem.

– Jedyne co zrobisz, to spotkasz się z 525

dobrym psychiatrą. A jeśli on zaproponuje wakacje, doskonale. To nie może trwać dłużej. Cały czas ściska mnie w dołku. –

Uruchomił silnik. – Dalej ja poprowadzę.

Spuściła głowę; z trudem powstrzymała łzy. Gdy dotarli do biura Leibera, uniosła wzrok.

– W porządku, umów mnie. Zrobię, co tylko zechcesz, Davidzie.

Pocałował ją.

– Teraz zaczynasz mówić z sensem, moja pani. Dasz radę wrócić do domu?

– Oczywiście, głuptasie.

– A zatem do zobaczenia na kolacji.

Jedź ostrożnie.

– Zawsze tak jeżdżę. Pa.

Stał na chodniku odprowadzając ją krokiem. Wiatr unosił jej długie, ciemne, lśniące włosy. W minutę później na górze, zadzwonił do Jeffersa i zamówił wizytę u godnego zaufania neuropsychiatry.

526

Dzień upływał niespokojnie. Miasto spowiła mgła, w jej kłębach wciąż widział

Alice – zagubioną, nawołującą jego imię.

Najwyraźniej udzieliły mu się lęki żony.

Zdołała go przekonać, że dziecko ma w sobie coś nienaturalnego.

Dyktował długie nudne listy. Zszedł na dół sprawdzić transporty. Musiał wypytywać asystentów i przydzielać im kolejne zadania. Pod koniec dnia był kompletnie wyczerpany, w głowie mą huczało i niezmiernie cieszył się, że wraca do domu.

Zjeżdżając windą, zastanawiał się: A gdybym opowiedział Alice o zabawce – tej szmacianej lalce, na której pośliznąłem się zeszłej nocy? Boże, to by ją ruszyło. Nie, nigdy jej o tym nie wspomnę. Wypadki to w końcu tylko wypadki.

Gdy jechał taksówką, niebo już ciemniało. Przed domem zapłacił kierowcy i ruszył powoli betonową ścieżką, podziwiając 527 resztki jasności na niebie i wśród drzew.

Biały, kolonialny front domu wydawał się nienaturalnie cichy, nie zamieszkanym. Leiber nagle sobie przypomniał, że jest czwartek; wszystkie służące, jakie udało im się zatrudnić, miały wychodne.

Odetchnął głęboko. Gdzieś za domem śpiewał ptak, po ulicy przecnicę dalej toczyły się samochody. Przekręcił klucz w zamku. Naoliwiona gałka bezszelestnie poruszyła się pod jego palcami.

Drzwi otwarły się, wszedł do środka, położył kapelusz wraz z aktówką na krzesło i właśnie ściągał płaszcz, kiedy uniosł wzrok.

Promienie popołudniowego słońca padające z okna u szczytu holu zalewały światłem klatkę schodową. W pewnym miejscu dotykały podłogi, nabierając jaskrawych barw szmacianej lalki, leżącej u stóp schodów.

On jednak nie zwracał uwagi na zabawkę.

Mógł tylko trwać bez ruchu i patrzeć, patrzeć na Alice.

Alice leżała u stóp schodów, groteskowo wygięta. Jej blade ciało było złamane pod dziwnym kątem, zupełnie jak zgnieciona lalka, którą nikt już nie zechce się bawić.

Alice nie żyła.

W domu panowała cisza, słyszał tylko bicie swego serca.

Nie żyła.

Obejmował dłońmi głowę żony, obmacywał palce, tulił do siebie jej ciało. Ale ona nie chciała ożyć. Nawet nie próbowała. Raz po raz powtarzał głośno jej imię i ponownie usiłował objąć ją mocno, aby oddać choć część utraconego ciepła. Nic to jednak nie pomogło.

Wstał. Musiał chyba zadzwonić. Nie pa-miętał. Nagle odkrył, że jest na górze.

Otworzył drzwi pokoju dziecięcego i wszedł do środka, patrząc tępo w kołyskę.

Żołądek ścisnął mu się boleśnie. Niezbyt dobrze widział.

Dziecko miało zamknięte oczy, lecz jego twarz była czerwona i wilgotna od potu, jakby płakało, długo i głośno.

– Ona nie żyje – powiedział. – Nie żyje.

A potem zaczął się śmiać, cicho, miękko i bez przerwy, póki doktor Jeffers nie wynurzył się z mroku i nie uderzył go kilkakrotnie w twarz.

– Uspokój się! Przestań!

– Alice spadła ze schodów, doktorze.

Potknęła się o szmacianą lalkę i spadła.

Ubiegłej nocy ja też o mało nie przewróciłem się z tego samego powodu. A teraz...

Lekarz potrząsnął nim.

– Doktorze, doktorze, doktorze – bełko-tał David. – To zabawne, zabawne. Ja...

wymyśliłem w końcu imię dla dziecka.

Lekarz milczał.

Leiber ukrył twarz w dygoczących dłoniach.

– Ochrzczę go w przyszłą niedzielę. Wie pan, jakie nadam mu imię? Zamierzam nazwać go Lucyfer.

Była jedenasta wieczorem. Przez dom przewinęło się mnóstwo dziwnych ludzi, którzy odeszli, zabierając ze sobą ożywczy płomień – Alice.

David Leiber siedział w bibliotece naprzeciwko lekarza.

– Alice nie zwariowała – powiedział wolno. – Miała powody, by lękać się dziecka.

Jeffers głośno wypuścił powietrze.

– Nie idź w jej ślady! Obwiniła dziecko za swoją chorobę, a teraz ty winisz je za jej śmierć. Potknęła się o zabawkę. Pamiętaj, nie możesz obwinać dziecka.

– To znaczy Lucyfera?

– Przestań go tak nazywać!

Leiber potrząsnął głową.

– Alice słyszała nocami, jak coś wędruje po korytarzach. Chce pan wiedzieć, kto tak hałasował, doktorze? Dziecko. Czteromie-sięczne dziecko; krążyło w ciemności, podsłuchiwało nasze rozmowy. Chwytało każde słowo! – Przytrzymał się krzesła. –

A jeśli włączyłem światła, cóż, dziecko jest bardzo małe. Może schować się za meblami, za drzwiami, przy ścianie poniżej poziomu wzroku.

– Natychmiast przestań!

– Proszę pozwolić powiedzieć mi, co myślę, albo oszaleję. Kiedy pojechałem do Chicago, kto nie dawał zasnąć Alice i mę-

czył ją, póki nie zachorowała? Dziecko! A kiedy Alice nie umarła, próbowało zabić mnie. To było proste; zostawić zabawkę na szczycie schodów i płakać w nocy, póki

ojciec nie pójdzie na dół po mleko i nie po-tknie się. Prymitywna sztuczka, ale sku-teczna. Ze mną się nie powiodła, ale zabiła Alice.

David Leiber umilkł na chwilę, zapala-jąc papierosa.

– Powinienem być się domyślić. Wiele

razy zapalałem światło w środku nocy, a dziecko leżało tam z szeroko otwartymi oczami.

Większość dzieci cały czas śpi, ale nie to. Ono rozmyślało.

– Dzieci nie myślą.

– Nie spało zatem, wysilając swój umysł. Co właściwie wiemy o umysłach dzieci? Mały miał powód, by nienawidzić Alice. Podejrzewała, kim jest naprawdę – z pewnością nie normalnym dzieckiem.

Czymś innym. Co panu wiadomo o dzie-
ciach, doktorze? Same ogólniki. Oczywi-

ście wie pan, jak dzieci zabijają matki przy porodzie. Ale dlaczego? Może kieruje nimi

niechęć wywołana tym, że sprowadzają je na ten paskudny świat?

Leiber ze znużeniem pochylił się ku lekarzowi.

– Wszystko pasuje do siebie. Przypuść-
my, że kilkoro dzieci na milion rodząc się, umie się poruszać, widzi, słyszy, myśli, jak wiele zwierząt i owadów. Owady rodzą się samowystarczalne. Kilka tygodni wystarczy większości ssaków i ptaków, ale dzieci latami uczą się mówić i, potykając, chodzić na słabych nóżkach.

Załóżmy jednak, że jedno dziecko na miliard jest – dziwne? Przychodzi na świat w pełni świadome, odruchowo umiejące myśleć. Czyż to nie cudowny układ, idealna przykrywka dla wszystkiego, co zechciałoby zrobić? Mogłoby udawać zwy-

kle, słabe, płaczące, głupie dziecko. Niewielkim wysiłkiem mogłoby raczkować po pogrążonym w ciemnościach domu, nasłu-

chując. Jakież to łatwe: ułożyć przeszkodę na szczycie schodów. Jak łatwo płakać całą noc i zmęczyć matkę tak, by zachorowała. Jak łatwo zaraz przy porodzie być tak blisko matki, aby kilkoma zręcznymi manewrami wywołać zapalenie otrzewnej.

– Na miłość boską! – Jeffers zerwał się na równe nogi. – To wstrętne!

– Bo mówię o wstrętnych rzeczach. Ile matek zmarło w położu? Ile rozstało się ze światem w zupełnie nieprawdopodobnych okolicznościach? Dzwonne, małe czerwone istoty o pracujących w krwawej ciemności umysłach, których działania nie umiemy zgłębić. Prymitywne mózdzki, ożywione

wspomnieniami genetycznymi, nienawi-

ścią i czystym okrucieństwem, zaprzątnięte jedynie kwestią własnego przetrwania. A w tym wypadku przetrwanie oznaczało usunięcie matki, która zorientowała się, jakiego koszmarnego stwora zrodziła. Pytam 535

pana, doktorze, czy na świecie istnieje coś bardziej samolubnego niż niemowlę? Nic!

Jeffers skrzywił się, bezradnie kręcąc głową.

Leiber opuścił papierosa.

– Nie twierdzę, że dziecko jest bardzo silne. Ma jednak dość sił, żeby trochę po-pełzać po domu, kilka miesięcy przed czasem, by ciągle nasłuchiwać, płakać późną nocą. To wystarczy, bardziej niż wystarczy.

– Nazwij to więc morderstwem – usiło-

wał zadrwić Jeffers. – Ale nie ma morderstwa bez motywu. Jaki motyw mógłby przyświecać dziecku?

Leiber miał gotową odpowiedź.

– Czy istnieje życie spokojniejsze, przyjemniejsze, łatwiejsze, bardziej pozbawione trosk, wysiłku i zmartwień niż życie nienarodzonego dziecka? Nie. Dziecko unosi się w sennej, beczasowej, cudownej 536

otchłani, odżywczej i cichej. I nagle żąda się od niego, by zrezygnowało ze swej przystani, wyrzuca z niej siłą, sprowadza brutalnie na hałaśliwy, obojętny, samolubny świat, gdzie będzie musiało radzić sobie samo; polować, pożywiać się zdobyczą, szukać znikającej miłości, do której niegdyś miało pełne prawo; żyć w zamęcie miast w wewnętrznej ciszy i konserwatywnym śnie! Dziecko jest oburzone! Oburza je zimne powietrze, wielkie przestrzenie, nagłe oderwanie od wszystkiego, co znajome. Jedyne uczucie, jakie żywi w swym małym załączku mózgu, to samolubna nienawiść wobec tych, którzy zniszczyli czar.

Kto odpowiada za ten zawód, za brutalną zmianę? Matka. I oto noworodek ma ko-goś, kogo może nienawidzić całą siłą swego bezrozumnego umysłu. Matka wyгнаła go, odrzuciła. A ojciec nie jest lepszy. Jego też trzeba zabić! On również odpowiada za 537

to na swój sposób.

– Gdyby to, co mówisz, było prawdą, wszystkie kobiety na świecie musiałyby patrzeć na swe dziecko z lękiem i z obawą o przyszłość.

– Dlaczego nie? Czyż dziecko nie ma doskonałego alibi? Chroni je tysiąc lat obserwacji medycznych. Z natury uważa się je za bezradne, niewinne. Dziecko rodzi się nienawidząc. A potem sytuacja jeszcze się pogarsza. Z początku wciąż może liczyć na opiekę i uwagę, jednak z czasem to także ulega zmianie. Tuż po przyjściu na świat dziecko ma władzę: może zmusić rodziców do najgłupszych postępów, gdy zacznie płakać bądź kichać. Każdy hałas sprawia, że dorośli podskakują, lecz w miarę upływu lat ono czuje, jak nawet ta niewielka władza bezpowrotnie wymyka mu się z rąk. Czemu nie miałyby wykorzystać jej, póki czas? Po co czekać beczyn-538

nie, tracąc wszystkie atuty? Potem będzie już za późno, by mogło dać wyraz swojej nienawiści. Najlepiej działać od razu.

Głos Leibera był śmiertelnie cichy.

– Mój mały chłopczyk, leżący nocami w swej kołysce, zdyszany, z twarzą mokrą i rumianą. Od płaczu? Nie. Od powolnego wypełzania z łóżeczka, długich wędrówek po pogrążonych w mroku korytarzach.

Mój mały chłopczyk. Chcę go zabić.

Doktor podał mu szklankę wody i kilka pigułek.

– Nikogo nie zabijesz. Będziesz spał przez dwadzieścia cztery godziny. Sen cię uspokoi. Połknij to.

Leiber popił pastylki i płacząc pozwolił

zaprowadzić się na górę do sypialni. Poczul, jak Jeffers kładzie go do łóżka. Lekarz odczekał chwilę; widząc, że pacjenta morzy sen, opuścił dom.

Leiber, samotny, czuł coraz większą 539 senność.

Nagle usłyszał jakiś hałas.

– Co to, co to jest? – spytał słabo.

Coś poruszyło się w korytarzu.

David Leiber zasnął.

Doktor Jeffers zjawił się u niego wcz-

śnie rano. Był piękny poranek i lekarz zamierzał zabrać Leibera na wieś, aby odpoczął. David z pewnością jeszcze spał na górze. Dał mu dość środków uspokajają-

cych, by usnąć na co najmniej piętna-
ście godzin.

Zadzwoił. Nikt nie odpowiedział. Służ-

ba pewnie jeszcze nie wstała. Jeffers nacisnął klamkę frontowych drzwi, odkrył, że są otwarte i wszedł do środka. Położył torbę na najbliższym krześle.

Na szczycie schodów coś białego poru-
szyło się i zniknęło; ledwie sugestia ruchu.

Jeffers niemal jej nie zauważył.

540

W domu cuchnęło gazem.

Lekarz pobiegł na górę, wpadł do sypialni.

Leiber bez ruchu leżał na łóżku, a w pokoju kłębił się gaz, wypływający z sykiem z odkręconego zaworu tuż nad podłogą, obok drzwi. Jeffers zakręcił go, po czym otworzył wszystkie okna i podbiegł do łóż-

ka.

Ciało było zimne. Leiber nie żył już od kilku godzin.

Kaszląc gwałtownie, lekarz wypadł z pokoju. Łzawiły mu oczy. David sam nie odkręcił gazu. Nie mógł. Środki uspokajające były zbyt mocne, spałby po nich do południa. To nie było samobójstwo. A może jednak istniał cień wątpliwości?

Jeffers stał w holu przez pięć minut. W

końcu podszedł do drzwi pokoju dziecięcego. Zamknięte. Otworzył je. Wszedł do środka, kierując się do kołyski.

541

Była pusta.

Pół minuty stał chwiejnie obok niej; wreszcie odezwał się, nie mówiąc do nikogo w szczególności.

– Drzwi pokoju dziecięcego zatrzasnęły się. Nie mogłeś wrócić do kołyski, w której byłbyś bezpieczny. Nie przewidziałeś, że mogą się zatrzasnąć. Taki drobiazg potrafi zrujnować najlepszy plan. Znajdę cię gdzieś w tym domu, ukrytego, udającego kogoś, kim nie jesteś.

– Doktor przyłożył

dłoń do czoła i uśmiechnął się słabo. – Zaczynam gadać jak Alice i David, ale nie mogę

ryzykować. Niczego już nie jestem pewien, ale nie mogę ryzykować.

Zszedł na dół, otworzył torbę, wyjął z niej coś i ścisnął w dłoniach.

Po drugiej stronie korytarza coś zaszeleściło, coś bardzo małego i bardzo cichego.

Jeffers odwrócił się gwałtownie.

Musiałem przeprowadzić operację, aby 542

sprowadzić cię na ten świat, pomyślał. Teraz operacja pomoże ci go opuścić...

Powolnym pewnym krokiem ruszył w głąb korytarza, unosząc dłoń do słońca.

– Patrz, malutki! Błyskotka – śliczna błyskotka!

Skalpel.

543

SHIRLEY JACKSON

LOTERIA

(The lottery)

Przełożyła Anna Dorota Kamińska

Shirley Jackson (1919-1965) studiowała na uniwersytecie w Syracuse, zanim poświęciła się całkowicie pisarstwu. Jest autorką takich klasycznych powieści, jak „The Haunting of Hill House” i „We Have Always Lived in the Castle”. Łączą one cechy tzw. powieści gotyckiej z głęboką penetracją mrocznych stron ludzkiej natury. Opisują strach człowieka przed nieznanym i związane z nim desperackie trwanie przy rytuałach i obrzędach. Dzieła pisarki nic nie tracą na wartości mimo upływu czasu.

544

Poranek dwudziestego siódmego czerw-

ca był słoneczny i pogodny. Temperatura przypominała środek lata, kwiaty kwitły bujnie, a trawa zieleń się niczym szmaragdy. Około dziesiątej mieszkańcy wioski zaczęli gromadzić się na rynku, między pocztą a bankiem. W niektórych miasteczkach ludzi było tak dużo, że loteria zajmowała dwa dni i trzeba było zaczynać dwudziestego szóstego czerwca. Jednak ta wioska miała tylko około trzystu mieszkańców i cała loteria trwała nie dłużej niż dwie godziny. Mogła więc zaczynać się o dziesią-

tej rano, a wszyscy i tak zdążali do domów na obiad.

Oczywiście najwcześniej przybyły dzieci. Niedawno zaczęły się letnie wakacje i większość z nich nie czuła się jeszcze dobrze w atmosferze nowo pozyskanej wol-

ności. Zazwyczaj najpierw zbierały się w milczeniu, a dopiero potem rozpoczynały hałaśliwą zabawę, nadal rozmawiały głównie o szkole i nauczycielu, o książkach i stopniach. Bobby Martin miał już kieszenie pełne kamieni, a pozostali chłopcy szybko poszli za jego przykładem. Wybierali te najgładsze i najokrągłejsze. W koń-

cu Bobby i Harry Jones oraz Dickie Delacroix – w wiosce wymawiano jego nazwisko „Delakroj” – ułożyli wielką górę kamieni w rogu rynku i bronili jej przed na-paścią innych chłopców. Dziewczynki sta-

ły z boku, rozmawiając między sobą, zerkając przez ramię na chłopców, a najmłodsze dzieci tarzały się w kurzu lub kurczowo ścisnęły ręce starszych braci i sióstr.

Wkrótce zaczęli gromadzić się mężczyź-

ni. Patrzyli na swoje dzieci, rozmawiali o zasiewach i o deszczu, o traktorach i po-datkach. Stali razem, daleko od stosu ka-

mieni w rogu, ich żarty były ciche i raczej uśmiechali się, niż śmiali głośno. Kobiety, ubrane w

wyblakłe domowe sukienki i swetry, nadeszły zaraz za swoimi mężczyźnami. Witwały się ze sobą i wymieniały plotki, po czym szły, by dołączyć do mę-

zów. Wkrótce stojące przy nich kobiety zaczęły wołać dzieci, a te podchodziły niechętnie, zwykle po cztero – lub pięciokrotnym wezwaniu. Bobby Martin wyrwał się z uścisku dłoni matki i pobiegł ze śmiechem w stronę stosu kamieni. Jego ojciec przemówił ostro i Bobby pośpiesznie wrócił na swoje miejsce między ojcem i najstarszym bratem.

Loterię prowadził – tak samo jak tańce, klub nastolatków i program na Halloween – pan Summers, który miał dość czasu i energii, by zajmować się sprawami ogółu. Ten pyzaty, jowialny mężczyzna handlował węglem; ludzie go żalowali, bo nie miał dzieci, a jego żona była starą jędzą.

Kiedy wszedł na rynek, niosąc czarną drewnianą skrzynkę, w tłumie rozległy się szepty; on pomachał ręką i zawołał:

– Trochę się dzisiaj spóźniłem.

Poczmistrz, pan Graves, szedł za nim, niosąc stolik na trzech nogach, który ustawiono zaraz na środku rynku, a pan Summers położył na nim czarną skrzynkę. Ludzie nie podchodzili bliżej, woleli zachować pewną odległość od stolika, a kiedy pan Summers zapytał:

– Może ktoś by mi pomógł? – nastąpił

moment wahania, zanim dwóch mężczyzn, pan Martin i jego najstarszy syn Baxter, podeszło i przytrzymało skrzynkę w miejscu, podczas gdy pan Summers mieszał w środku papiery.

Oryginalny sprzęt do loterii zaginał

dawno temu, a czarnej skrzynki zaczęto używać, jeszcze zanim urodził się Stary 548 Warner, najstarszy człowiek w miasteczku.

Pan Summers często wspominał o zrobieniu nowej skrzynki, ale nikt nie chciał naruszać nawet tak słabej tradycji jak ta re-prezentowana przez czarną skrzynkę. Mó-

wiono, że obecną skrzynkę zrobiono z kawałków poprzedniej, zrobionej dawno temu, kiedy osiedlili się tu pierwsi mieszkańcy i założyli wioskę. Co roku po loterii pan Summers zaczynał mówić o nowej skrzynce, ale co roku pozwalano, by sprawa ucichła i nic nie robiono. Czarna skrzynka z każdym rokiem coraz bardziej się zużywała. Teraz już nawet straciła barwę – w głębokim pęknięciu z jednej strony prześwitywał prawdziwy kolor drewna, w innych miejscach była wypłowiała lub poplamiona.

Pan Martin i jego najstarszy syn Baxter przytrzymywali czarną skrzynkę na stole, póki pan Summers dokładnie nie wymie-

szał papierów. Ponieważ i tak wielu elementów rytuału zapomniano, a wiele odrzucono, panu Summersowi udało się za-stąpić używane od pokoleń kawałki drewna papierowymi karteczkami. Twierdził, że kawałki drewna wystarczały, póki wioska pozostawała mała, ale teraz, kiedy mieszkańców jest już przeszło trzystu i najprawdopodobniej będzie ich nadal przybywać, trzeba użyć czegoś, co zajmuje w skrzynce mniej miejsca. Wieczorem przed loterią pan Summers i pan Graves wypisali karteczki i włożyli je do skrzynki, którą potem zabrano do sejfu w biurze pana Summersa. Pozostawała tam zamknięta, póki pan Summers nie był gotowy, by dziś rano wyruszyć na rynek. Przez resztę roku skrzynkę przechowywano tu czy tam; jeden rok stała w stodole pana Gravesa, drugi walała się po poczie, a czasami zostawiano ją na półce w warzywniaku Marti-

nów.

Trzeba było jeszcze zrobić sporo rzeczy, zanim pan Summers oficjalnie ogłosi otwarcie loterii. Należało sporządzić listy –

głów rodzin, głów domostw w obrębie każdej rodziny, członków każdego domostwa każdej

rodziny. Poczmistrz musiał

odpowiednio zaprzysiąc pana Summersa na urzędnika loteryjnego. Niektórzy pa-miętali, że kiedyś urzędnik loteryjny recytował jakąś bezbarwną litanię, którą po-słusznie wyklepivano co rok; niektórzy wierzyli, że urzędnik loteryjny stał właśnie tak, kiedy recytował lub śpiewał, inni że chodził pośród ludzi, ale już wieki temu zaniechano tej części rytuału. Było także specjalne pozdrowienie, z jakim urzędnik musiał zwracać się do każdej osoby, która chciała wyciągnąć los ze skrzynki, ale to także z czasem się zmieniło. Teraz uważa-no tylko, że musi on odezwać się do każdej

551
podchodzącej osoby. Pan Summers był w tym doskonały. W swojej nieskazitelnie białej koszuli i dżinsach wydawał się bardzo odpowiednią i ważną osobą, kiedy stał z jedną ręką opartą niedbale o czarną skrzynkę, prowadząc niekończące się rozmowy z panem Gravesem i Martinami.

Kiedy pan Summers wreszcie skończył rozmawiać i zwrócił się do zebranych mieszkańców, ścieżką prowadzącą na rynek nadeszła pośpiesznie pani Hutchinson w swetrze narzuconym na ramiona. Wsunęła się w tłum.

– Zapomniałam, jaki dziś dzień – powiedziała do pani Delacroix, która stała obok niej. Obie zaśmiały się cicho. – Myślałam, że mój stary układa drewno w składziku – ciągnęła. – A potem wyjrzałam przez okno i dzieci nie było; wtedy sobie przypomniałam, że dziś dwudziesty siódmy, i przybiegłam.

552
Wytarła ręce do sucha w fartuch, a pani Delacroix powiedziała:
– Ale i tak jesteś na czas. Ciągłe gadają.

Pani Hutchinson wyciągnęła szyję, by spojrzeć nad tłumem i dostrzegła męża oraz dzieci, stojących prawie na początku.

Poklepała panią Delacroix po ramieniu na pożegnanie i zaczęła przeciskać się przez tłum. Ludzie życzliwie odsuwali się, by ją przepuścić, parę osób powiedziało nawet na tyle głośno, by dało się słyszeć w tłumie: „Jest twoja stara, Hutchinson” i „Bill, jednak zdążyła”. Pani Hutchinson dotarła do męża, a pan Summers, który właśnie miał rozpocząć, powiedział pogodnie:

– Myślałem, że będziemy musieli zacząć bez ciebie, Tessie.
– Chyba nie chciałbyś, żebym zostawiła naczynia w zlewie, co, Joe? – odparła z uśmiechem pani Hutchinson.

Tłum zareagował cichym chichotem. Po

553
przejściu pani Hutchinson wszyscy na po-wrót zajęli swoje miejsca.

– No dobrze – powiedział poważnie pan Summers. – Lepiej zacznijmy już, żeby mieć to za sobą i wrócić do roboty. Czy kogoś tu nie ma?

– Dunbara – odezwało się kilka osób. –
Dunbara, Dunbara.

Pan Summers sprawdził swoją listę.

– Clyde Dunbar – powiedział. – Zgadza się. Złamał nogę, prawda? Kto losuje za niego?

– Chyba ja – odpowiedziała głośno kobieta, a pan Summers odwrócił się, by na nią spojrzeć. – Zona losuje za męża.

– Czy nie masz dużego chłopaka, Janey, żeby zrobił to za ciebie? – zapytał pan Summers. Tak samo jak wszyscy pozostali mieszkańcy doskonale znał odpowiedź, ale urzędnik loterii musiał zadawać pytania z racji swojej funkcji. Czekał więc na odpo-554

wiedź pani Dunbar z miną wyrażającą uprzejme zainteresowanie.

– Horace nie ma jeszcze szesnastu lat –

powiedziała z żalem pani Dunbar. – Chyba w tym roku sama muszę zastąpić starego.

– Dobrze – zgodził się pan Summers.

Naniósł poprawkę na trzymaną w ręku li-stę. – Chłopak Watsonów losuje w tym roku? – zapytał.

– Tutaj. – Wysoki młodzieniec, który stał w tłumie, podniósł rękę. – Losuję tak-

że za matkę. Zamrugął nerwowo, gdy rozległy się głosy: „Dobry z ciebie chłopiec, Jack”;

„Dobrze, że twoja matka ma do tego mężczyznę”.

– No to chyba wszyscy – podsumował

pan Summers. – Stary Warner przyszedł?

– Tutaj jestem – odkrzyknął mężczyzna, a pan Summers skinął głową.

Urzędnik loteryjny odchrząknął i spoj-

555 rzał na listę, a tłum nagle zamilkł.

– Gotowi? – zawołał. – Teraz przeczy-

tam nazwiska – najpierw głowy rodzin – a każdy mężczyzna podejdzie i wyjmie ze skrzynki

papierek. Papierek trzeba trzymać złożony i nie patrzeć na niego, póki wszyscy nie wylosują. Jasne?

Ludzie robili to już tyle razy, że prawie nie słuchali jego instrukcji. Milczeli, obli-zywali wargi i rozglądali się wokół. Potem pan Summers uniósł jedną rękę wysoko nad głowę i powiedział:

– Adams. – Z tłumu wyszedł mężczyzna

i podszedł do niego. – Cześć, Steve – powiedział pan Summers.

– Cześć, Joe – odpowiedział pan Adams.

Uśmiechnęli się do siebie nerwowo i bez humoru. Potem pan Adams sięgnął do czarnej skrzynki i wyjął złożoną karteczkę.

Trzymając ją mocno za róg, odwrócił się i pośpiesznie wrócił na swoje miejsce w tłu-

556 mie. Stał trochę odsunięty od swojej rodziny, nie patrząc na dłoń.

– Allen – zawołał pan Summers. – An-

derson... Bentham.

– Mam wrażenie, że teraz loterie nastę-

557 pują jedna po drugiej – powiedziała pani Delacroix do pani Graves. – Wydaje się, że z ostatnią skończyliśmy dopiero tydzień temu.

– Czas leci – odparła pani Graves.

– Clark... Delacroix.

– Już mój stary – pani Delacroix wstrzymała oddech, gdy mąż wystąpił z szeregu.

– Dunbar – wywołał pan Summers, a pani Dunbar podeszła pewnym krokiem do skrzynki, podczas gdy któraś z kobiet powiedziała: „Idź, Janey”, a inna: „Już idzie”.

– Teraz my – oznajmiła pani Graves. Patrzyła, jak mąż podchodzi, wita się poważ-

nie z panem Summersem i wybiera ze skrzynki kartkę. Wszędzie stali już męż-

557

czyźni ściskający w swoich wielkich dłoniach małe złożone karteczki, które nerwowo obracali.

Pani Dunbar stała razem ze swoimi dwoma synami i też nerwowo ściskała karteczkę.

– Harburt... Hutchinson.

– No idź, Bill – ponaglała go pani Hutchinson, a ludzie wokół niej zaśmieli się.

– Jones.

– Podobno ma nie być loterii – powie-

dział pan Adams do Starego Warnera, któ-

ry stał obok niego. – W wiosce na północy tak mówią.

– Banda wariatów – prychnął Stary Warner z pogardą. – Posłuchajcie tylko tych młodych, gadają, jakby nic już nie było dla nich dobre. Niedługo zapragną wrócić do mieszkania w jaskiniach, zobaczycie, i nikt nie zechce pracować. I jak to będzie? Istniało kiedyś takie przysłowie:

„Było się losować, trza żniwa szykować”.

558

Ani się obejrzymy, a zaczną jeść trawę i żołądziej. Zawsze odbywała się loteria – nadał się. – Jakby mało było, że młody Joe Summers żartuje tam ze wszystkimi.

– W niektórych miejscach już przestali urządzać loterię – powiedział pan Adams.

– Z tego mogą być tylko kłopoty – od-

parł zdecydowanie Stary Warner. – Banda młodych durniów.

– Martin. – Bobby Martin patrzył, jak idzie jego ojciec. – Overdyke... Percy.

– Mogliby się pośpieszyć – powiedziała pani Dunbar do starszego syna. – Mogliby się pośpieszyć.

– Już prawie skończyli – odpowiedział jej syn.

– Przygotuj się, pobiegiesz powiedzieć ojcu – poleciła mu pani Dunbar.

Pan Summers wywołał własne nazwisko, po czym wyszedł naprzód i wybrał ze skrzynki papierek.

559

– Warner – wywołał potem.

– Siedemdziesiąty siódmy raz losuję –

mówił Stary Warner, przeciskając się przez tłum. – Siedemdziesiąty siódmy raz.

– Watson. – Wysoki chłopak przecisnął się niezgrabnie przez tłum.

– Nie denerwuj się, Jack – powiedział ktoś.

– Nie ma pośpiechu, synu – powiedział pan Summers. – Zanini.

Potem zapanowała długa cisza, niespo-

kojna cisza, póki urzędnik loteryjny nie powiedział, podnosząc swój papierek nad głowę:

– Już można.

Przez chwilę nikt się nie ruszał, a potem wszyscy rozwinęli karteczki. Nagle wszystkie kobiety zaczęły mówić naraz, pytając:

– Kto to jest?

560

– Kto dostał?

– Czy to Dunbarowie?

– Czy to Watsonowie?

Potem głosy zaczęły powtarzać:

– To Hutchinson. To Bill.

– Bill Hutchinson wylosował.

– Idź powiedz ojcu – poleciła pani Dunbar starszemu synowi.

Ludzie zaczęli rozglądać się za Hutchinsonami. Bill Hutchinson stał w milczeniu, wpatrując się w trzymaną karteczkę. Nagle Tessie Hutchinson zawołała do pana Summersa:

– Nie dałeś mi dość czasu, żeby wybrać ten papierek, który chciał! Widziałam. To nieuczciwe!

– Nie przesadzaj, Tessie! – zawołała pani Delacroix.

– Każdy miał taką samą szansę – dodała pani Graves.

– Zamknij się, Tessie – powiedział Bill 561

Hutchinson.

– No dobrze – rzekł pan Summers. – To było dość szybko, a teraz musimy się jeszcze trochę pośpieszyć, żeby zdążyć na czas. – Sprawdził kolejną listę. – Bill – powiedział – ty losujesz za rodzinę Hutchinsonów. Czy u Hutchinsonów są jeszcze jakieś domy?

– Jest Don i Eva – wrzasnęła pani Hutchinson. – Niech oni też ryzykują!

– Córki losują z rodzinami swoich mężów, Tessie – wyjaśnił łagodnie pan Summers. – Wiesz o tym równie dobrze, jak wszyscy.

– To nieuczciwe – upierała się Tessie.

– Chyba nie, Joe – powiedział z żalem Bill Hutchinson. – Moja córka losuje z rodziną swojego męża, tak jak powinno być.

Nie mam innej rodziny, tylko dzieci.

– A więc jeśli chodzi o losowanie rodzinami, to ty – stwierdził pan Summers. – A 562

jeśli chodzi o losowanie za domy, to też ty.

Zgadza się?

– Zgadza się – potwierdził Bill Hutchinson.

– Ile dzieci, Bill? – zapytał urzędowo pan Summers.

– Troje – odpowiedział Bill Hutchinson.

– Jest Bill Junior, Nancy i mały Dave. I Tessie, i ja.

– W porządku – powiedział pan Summers. – Harry, masz ich losy?

– Harry, masz ich losy?

Pan Graves skinął głową i pokazał karteczki.

– Włóż je do skrzynki – polecił pan Summers. – Weź od Billa i też dołóż.

– Myślę, że powinniśmy zacząć od nowa – oznajmiła pani Hutchinson, najciszej jak umiała. – Mówię wam, że to nie było uczciwe. Nie dałeś mi czasu, żeby wybrać. Wszyscy widzieli.

Pan Graves wybrał pięć karteczek i włożył do skrzynki.

Wszystkie pozostałe rzucił na ziemię, skąd uniósł je lekki wiatr.

– Słuchajcie mnie – mówiła pani Hutchinson do wszystkich naokoło.

– Bill, gotowy? – zapytał pan Summers, a Bill Hutchinson rzucił szybkie spojrzenie na żonę i dzieci, po czym skinął głową.

– Pamiętajcie – przypomniał pan Summers. – Weźcie karteczki i trzymajcie je złożone, aż każdy wylosuje. Harry, pomóż małemu Dave'owi. – Pan Graves wziął ma-

łego chłopca za rękę. Dziecko chętnie podeszło z nim do skrzynki. – Weź jedną karteczkę, Davy – powiedział pan Summers.

Chłopczyk włożył rękę do skrzynki i roześmiał się. – Tylko jedną karteczkę – pouczył go pan Summers. – Harry, potrzymaj mu ją.

Pan Graves ujął rękę chłopca i wyciągnął małą karteczkę z mocno zaciśniętej piąstki. Dave stał obok niego i przyglądał

564

mu się z podziwem.

– Teraz Nancy – powiedział pan Sum-

mers. – Nancy miała dwanaście lat. Jej przyjaciółki ze szkoły wstrzymały oddech wraz z nią, kiedy wchodziła po schodach, podtrzymując spódnicę. Z wdziękiem wzięła karteczkę ze skrzynki. – Bill Junior

– wywołał pan Summers. Bill z czerwoną twarzą i wielkimi stopami omal nie wywrócił skrzynki, wydając z niej papierek.

– Tessie – powiedział pan Summers. Wahała się przez chwilę, rozglądając się buntowniczo, po czym zagryzła wargi i podeszła do skrzynki. Chwyła jedną karteczkę i schowała za plecami.

– Bill – wywołał pan Summers, a Bill

Hutchinson sięgnął do skrzynki i długo w niej macał, zanim w końcu wyjął biały kawałek papieru.

Tłum zamilkł.

– Mam nadzieję, że to nie Nancy – szep-

nęła jakaś dziewczynka, a jej szept dotarł

nawet do najdalej stojących.

– Kiedyś było inaczej – powiedział stanowczo Stary Warner. – Ludzie są teraz inni niż dawniej.

– No dobrze – odezwał się pan Summers. – Rozwińcie karteczki. Harry, ty rozwiń za małego Dave'a.

Pan Graves rozwinął karteczkę i podniósł ją do góry. Wszyscy westchnęli, widząc, że jest pusta. Nancy i Bill Junior rozwinęli swoje jednocześnie, oboje rozpromienili się i roześmieli głośno, zwracając się w stronę tłumu i podnosząc swoje karteczki nad głowy.

– Tessie – ponaglił pan Summers. Po chwili milczenia pan Summers spojrział na Billa Hutchinsona, a Bill rozwinął swój papierek i pokazał wszystkim. Był pusty.

– To Tessie – powiedział pan Summers

cicho. – Pokaż nam jej kartkę, Bill.

566

Bill Hutchinson podszedł do żony i wyrwał kartkę z jej dłoni. Była na niej czarna kropka, którą pan Summers zrobił ciężkim ołówkiem poprzedniego wieczoru w swoim biurze. Bill Hutchinson podniósł kartkę do góry, a tłum się poruszył.

– No dobrze – odezwał się pan Hutchinson. – Skończmy to szybko.

Chociaż mieszkańcy wioski zapomnieli

już rytuałów i stracili starą czarną skrzynkę, to nadal pamiętali o kamieniach. Stos kamieni, który chłopcy wcześniej ułożyli, był gotowy; na ziemi też leżały kamienie, razem z przyniesionymi przez wiatr karteczkami ze skrzynki. Pani Delacroix wybrała kamień tak wielki, że musiała go podnieść obiema rękami.

– Chodźmy – zwróciła się do pani Dun-

bar. – Szybciej.

Pani Dunbar w obu rękach trzymała mniejsze kamienie.

567

– Nie mogę biegać – powiedziała, chwytając oddech. – Idź naprzód, dogonię cię.

Wszystkie dzieci miały kamienie w go-

towości. Ktoś dał kilka kamyków małemu Dave'emu Hutchinsonowi.

Tessie Hutchinson stała teraz w środku pustej przestrzeni. Desperacko wyciągnęła ręce, kiedy mieszkańcy zbliżyli się do niej.

– To nieuczciwe – powiedziała. Kamień trafił ją w bok głowy.

– No, dalej, wszyscy – mówił Stary Warner. Steve Adams był na samym początku, a obok niego pani Graves.

– To nieuczciwe – wrzasnęła pani Hutchinson, a potem się na nią rzucili.

568

ROBER H. HEINLEIN

NASZE PIĘKNE

MIASTO

(Our fair city)

Przełożyła Anna Dorota Kamińska

Robert A. Heinlein (1907-1988) jest autorem imponującej liczby książek, w tym kilku najlepszych powieści science fiction, jakie dotąd napisano. „Stranger in a Stranger Land”

(„Obcy w obcym kraju”), „Księżyc to okrutna pani” oraz

„Kawaleria kosmosu” odzwierciedlają jego fascynację koncepcją wpływu czasu (time's effect) na ludzkie życie. Temat ten przewija się przez wiele kolejnych utworów, poświęcone są mu także dwie powieści z ostatniego okresu twórczości pisarza – „Time Enough for Love” i „Number of the Beast”.

Heinlein był czterokrotnym laureatem nagrody Hugo, a w 1974 roku uhonorowano go również nagrodą Grand Master 569

Nebula.

570

Pete Perkins skręcił w całonocny parking i zawołał:

– Cześć, Papciu!

Stary strażnik spojrzał na niego.

– Momencik, Pete. – Był zajęty darcieciem na wąskie paski strony z komiksami z niedzielnej gazety.

Obok niego tańczyła mi-niaturowa trąba powietrzna, podrywając z ziemi kawałki starych gazet oraz śmieci, które potem rzucała w twarze przechodniów. Stary wyciągnął w jej stronę długi pas papieru z kolorowymi obrazkami.

– Tutaj, Kiciu – wabił. – Chodź, Kiciu...

Wir jakby się zawahał, potem wyciągnął

w górę, aż stał się całkiem wysoki. Przeskoczył przez dwa zaparkowane samochody i

wylądował obok niego.

Wydawało się, że powąchał to, co mu ofiarowano.

571

– Weź, Kiciu – zachęcał cicho stary, po czym wypuścił kolorowy papier z palców.

Wir powietrza chwycił go i owinął we własnym środku. Stary oderwał jeszcze jeden, i jeszcze jeden; trąba powietrzna zwinęła je w korkociąg wewnątrz masy brudnych papierów i śmieci, która tworzyła jej widoczne ciało. Wzmocniły ją prądy zimnego powietrza, wiejące między wysokimi budynkami, i teraz wirowała jeszcze szybciej i wyżej. Podniosła wstęgi kolorowego papieru i stworzyła z nich fantastyczną, wysoką fryzurę. Stary odwrócił się z uśmiechem.

– Kicia lubi nowe ciuszki.

– Spokojnie, Papciu, bo jeszcze w to uwierzę.

– Co? W Kiciu nie musisz wierzyć, przecież ją widzisz.

– Tak, pewnie, ale ty się zachowujesz, jakby ona... to znaczy jakoby to... rozumia-572
ło, co mówisz.

– A ty ciągle myślisz, że nie? – W jego głosie pobrzmiwała łagodna drwina.

– No nie, Papciu!

– Hm... pożycz mi kapelusz. – Papcio sięgnął i sam go wziął. – Tutaj, Kiciu! –

zawołał. – Wracaj, Kiciu! – Wir powietrza tańczył nad ich głowami na wysokości kil-kunastu
pięter. Zanurkował w dół.

– Hej! Co ty wyrabiasz z moim kapelu-
szem? – zdenerwował się Perkins.

– Chwileczkę... masz, Kiciu! – Wir zatrzymał się nagle, rozrzucając wokół to, co niósł. Stary
podał mu kapelusz. Wir chwycił go i puścił w długą spiralę.

– Hej! – jęknął Perkins. – Co ty wyrabiasz? To nie jest śmieszne... trzy lata temu kosztował mnie
sześć dolców.

– Nie bój się – uspokajał go stary. – Kicia ci go odda.

– Odda, tak? Prędeż wrzuci go do rzeki.

573

– O, nie! Kicia nigdy nie upuszcza niczego, czego nie chce upuścić. Popatrz. –

Stary spojrział w górę, gdzie kapelusz tań-

czył w powietrzu w pobliżu dachu pobliskiego hotelu. – Kiciu! No, Kiciu! Przynies go z

powrotem.

Wir zawahał się i kapelusz spadł o parę pięter. Trąba powietrzna zanurkowała, zła-pała go i
podrzuciła z wahaniem.

– Przynies tutaj, Kiciu.

Kapelusz ruszył spiralą w dół, zakończył

długim, ukośnym ślizgiem i walnął Perkinsa w twarz.

– Starą się położyć ci go na głowie –

wyjaśnił strażnik. – Zazwyczaj trafia lepiej.

– Naprawdę? – Perkins podniósł swój kapelusz i z otwartymi ustami gapił się na wir.

– Przekonałem cię? – zapytał stary.

– Przekonałeś? O tak, tak. – Popatrzył

574

na swój kapelusz i z powrotem na wir. –

Papciu, z tej okazji warto by się czegoś na-pić.

Weszli do niewielkiej budki strażnika.

Papcio znalazł szklanki, a Perkins wycią-

gnął prawie pełną butelkę i hojnie nalał.

Wypił swoją szklankę, nalał drugą i usiadł.

– Pierwszy był na cześć Kici – oznajmił.

– A drugi ma mnie wzmocnić przed ban-

kietem u burmistrza.

Papcio mruknął coś ze współczuciem.

– Musisz o tym pisać?

– Czymś muszę tę kolumnę zapełniać, Papciu. „Wczoraj wieczorem burmistrz Hizzoner w
otoczeniu całej girlandy dema-gogów, naciągaczy, pochlebców i oszustów wyborczych, został
uhonorowany uroczystą kolacją z okazji...” Coś muszę pisać, tego się spodziewają czytelnicy.

Dlaczego nie mogę unieść się honorem i iść na bezrobocie?

575

– Dzisiejsza kolumna była całkiem nie-zła, Pete – pocieszał go stary. Pokazał mu egzemplarz „Daily Forum”. Perkins wziął go od niego i rzucił okiem na swoją kolumnę.

– Nasze Piękne Miasto, Peter Perkins –

przeczytał. A poniżej: Co, nie ma tramwajów konnych? Tradycją naszego raję na ziemi jest kierowanie się opinią, że to, co było dobre dla ojców założycieli, jest także dobre dla nas.

Napadamy w tę samą dziurę chodniku, przez którą wujeczny dziadek Tozier złamał sobie nogę w 1909 roku.

Dobrze jest wiedzieć, że spluwająca z wanny woda po kąpeli nie odchodzi na zawsze, ale wróci przez kran w kuchni, trochę gęstsza i pełna dodanego dla niepoznaki chloru, ale jednak ta sama.

(Uwaga –

Hizzoner ma butelkowaną wodę źródlaną.

Trzeba się temu przyrzec).

Ale muszę zanotować niepomyślną 576

zmianę. Ktoś załatwił tramwaje konne!

Możecie mi nie wierzyć. Transport pu-

bliczny jest tak powolny i rzadki, że mogliście nie zauważyć. Przysięgam jednak, że widziałem tramwaj jadący Grand Avenue bez jakichkolwiek koni. Najprawdopodobniej był napędzany za pomocą jakiegoś nowomodnego urządzenia elektrycznego.

Nawet w naszej atomowej epoce niektó-

re zmiany to już przesada. Chciałbym za-chęcić Wszystkich obywateli... – Perkins prychnął pogardliwie. – To jak strzelanie z korkowca do czołgu, Papciu. To miasto jest skorumpowane i takie pozostanie. Dlaczego w ogóle się tym przejmuję? Dawaj butelkę.

– Nie zniechęcaj się, Pete. Tyran drży bardziej przed śmiesznością niż przed kulą zabójcy.

– Gdzieś ty to znalazł? Dobra, nie jestem śmieszny. Próbowałem tak ich wy-577

śmiać, żeby pospadali ze stołków, ale nic z tego. Moje wysiłki są równie owocne jak działalność twojego zaprzyjaźnionego tań-

czącego derwisza.

Okna zadrżały od nagłego uderzenia wiatru.

– Nie mów tak o Kici – ostrzegł stary. –

Jest wrażliwa.

– Przepraszam. – Wstał i ukłonił się w stronę drzwi. – Kiciu, przepraszam cię.

Twoje działania są dużo bardziej owocne od moich. – Zwrócił się z powrotem do gospodarza. – Chodź, Papciu, wyjdziemy i pogadamy z nią. Jakbym mógł wybierać, wolałbym to od bankietu u burmistrza.

Wyszli na zewnątrz. Perkins trzymał w ręku resztki kolorowej strony z komiksami. Zaczął odrywać wąskie paski.

– Hej, Kiciu! Hej, Kiciu! Jedzenie!

Mała trąba powietrzna obniżyła się i chwytiała papierki, jak tylko je odrywał.

578

– Ciągle ma te, co jej dałeś.

– No pewnie – zgodził się Papcio. – Kicia to istny chomik. Jeśli coś jej się podoba, trzyma to w nieskończoność.

– Nigdy się nie męczą? Muszą być bezwietrzne dni.

– Tutaj nigdy nie ma całkowitego spo-

koju. Budynki są tak ustawione, a Trzecia Aleja prowadzi do rzeki. Myślę, że ulubione zabawki chowa na dachach budynków.

Dziennikarz zajrzał w wirującą kupę śmieci.

– Pewnie ma gazety sprzed miesiący.

Wiesz, Papciu, z tego może wyjść kolumna o wywózce śmieci, o tym że nie sprzątamy ulic. Wykopię parę gazet sprzed kilku lat i powiem, że od chwili wydania walają się po ulicach.

– A po co masz zmyślać? – spytał Pap-

cio. – Spójrzmy, co ma Kicia. Zagwizdał

cicho. – Chodź, kochanie... Daj Papciowi 579

spojrzeć na twoje zabawki. – Wir nadał

się, a jego zawartość zaczęła poruszać się wolniej. Strażnik chwycił przelatujący kawałek starej gazety. – Tu masz jedną sprzed trzech miesiący.

– Nie wystarczy.

– Spróbuję jeszcze raz. – Sięgnął i złapał

następną. – Zeszły czerwiec.

– To już lepiej.

Ktoś nacisnął klakson, domagając się obsługi, i stary odszedł pośpiesznie. Kiedy wrócił, Perkins nadal obserwował wirującą kolumnę.

– Znalazłeś coś? – zapytał Papcio.

– Nie chce mi ich dać. Zabiera.

– Niegrzeczna Kicia. Pete jest naszym przyjacielem. Bądź dla niego miła. – Wir poruszył się niespokojnie.

– Wszystko w porządku – zapewnił Per-

kins. – Po prostu nie wiedziała. Ale popatrz, Papciu... ten kawałek na górze?

580

Pierwsza strona.

– Chcesz ją?

– Tak. Spójrz... W nagłówku jest „Dewey” coś tam. Chyba nie mogła go trzymać od 1944 roku?

– Możliwe. Kicia była tu odkąd pamię-

tam. I lubi przechowywać rzeczy. Poczekaj chwilę. – Zawołał coś cicho. Po chwili papier znalazł się w jego rękach. – Teraz zobaczmy.

Perkins spojrzał.

– A niech mnie wybiorą na senatora!

Mógłbyś wymyślić coś lepszego, Papciu?

Nagłówek brzmiał: „Dewey zdobył Manilę”, a rok wydania był 1898.

Dwadzieścia minut później nadal się nad tym zastanawiali, dopijając resztki z butelki Perkinsa. Dziennikarz gapił się na po-
zółkłą, brudną stronicę.

– Nie mów mi, że to latało po mieście przez pół wieku.

581

– A dlaczego nie?

– Dlaczego nie? No, zgadzam się, że nie sprzątało ulic, ale przecież papier by nie wytrzymał.

Słońce, deszcz i tak dalej.

– Kicia bardzo dba o swoje zabawki.

Pewnie go gdzieś chowa, jak jest brzydko.

– Na litość boską, Papciu, nie wierzysz chyba naprawdę... Owszem, wierzysz.

Szczerze mówiąc, jest mi wszystko jedno, skąd to wzięła. Oficjalna teoria brzmi, że ten kawałek papieru walał się po naszych brudnych ulicach, przez nikogo nie zauwa-

żony, przez ostatnie pięćdziesiąt lat. Rany, ale zabawa! – Zwinął papier starannie i chciał schować go do kieszeni.

– Hej, nie rób tego! – zaprotestował gospodarz.

– Czemu nie? Muszę zabrać to do redakcji i kazać sfotografować.

– Nie możesz! To należy do Kici, ja to tylko pożyczyłem.

582

– Co? Zwariowałaś?

– Jak jej nie oddamy, bardzo się zdenerwuje. Proszę, Pete. Da ci popatrzeć, kiedy tylko zechcesz.

Stary mówił naprawdę szczerze i Perkins zatrzymał się.

– A jeśli już nigdy tego nie zobaczymy?

Od tego zależy cały artykuł.

– Tobie nie przyda się na nic. To ona musi zatrzymać papier, żeby potwierdzić twoją historię. Nie martw się. Powiem jej, że w żadnym wypadku nie wolno jej go zgubić.

– No dobrze. – Wyszli na zewnątrz, gdzie Papcio odbył poważną rozmowę z Kicią i wręczył jej gazetę z 1898 roku. Natychmiast schowała ją na samym szczycie swojej kolumny. Perkins pożegnał się z Papciem i skierował do wyjścia z parkingu. Zatrzymał się i odwrócił z niepewną miną.

583

– Papciu...

– Tak, Pete?

– Chyba nie myślisz naprawdę, że ten wir jest żywy, prawda?

– Dlaczego nie?

– Dlaczego nie? On jeszcze pyta, dlaczego nie.

– No a skąd ty wiesz, że jesteś żywy?

– Ale... No, dlatego, że ja... Kiedy to tak ująć... – urwał. – Nie wiem. Złapałeś mnie, bracie.

Papcio uśmiechnął się.

– A widzisz?

– Chyba tak. Dobranoc, Papciu. Dobra-

noc, Kiciu – uchylił kapelusza przed wirem. Kolumna ukloniła się jemu.

Redaktor naczelny wezwał Perkinsa.

– Posłuchaj, Pete – oznajmił, rzucając mu kilka kartek papieru – to jest śmieszne, ale wolałbym zobaczyć coś napisane na 584

trzeźwo.

Perkins przejrzał kartki.

Peter Perkins

Nasze Piękne Miasto

Gwizdać z Wiatrem

Chodzenie po ulicach to zawsze fascy-

nujące doświadczenie, niekiedy nawet Wspaniała przygoda. Szukamy drogi Wśród stosów rozmaitych śmieci, starych niedopałków i innych mało apetycznych przedmiotów zdobiących chodniki. Na nasze twarze tymczasem padają bardziej lotne pamiątki, confetti z ostatniego Halloween, resztki suchych liści i inne rzeczy, zbyt zniszczone, by dało się je zidentyfikować.

Byłem jednak przekonany, że nieustanny dopływ owych bogactw na nasze ulice zapewnia całkowitą wymianę śmieci co jakieś siedem lat...

585

Dalej była opowieść o tym, jak wir powietrzny podrzucał pięćdziesięcioletnią gazetę i wyzwanie rzucone wszystkim pozostałym miastom w kraju, które uważają, że mogą to przebić.

– Co ci się nie podoba? – zapytał Perkins.

– Skarżenie się na zaśmiecone ulice jest w porządku, Pete, ale trzymaj się faktów.

Perkins pochylił się przez biurko.

– Szefie, to są fakty.

– Co? Pete, nie wygłupiaj się.

– On mówi, że się wygłupiam. Słuchaj...

– Perkins opowiedział mu w skrócie historię Kici i gazety z 1898 roku.

– Pete, chyba piłeś.

– Tylko kawę i sok pomidorowy. Jak mamę kocham.

– A wczoraj? Założę się, że ta trąba Powietrzna weszła za tobą do baru.

– Było mi zimno... – Perkins ugryzł się 586

w język i uniósł się honorem. – To mój artykuł. Drukuj go albo mnie zwolnij.

– Pete, nie mów tak. Nie chcę twojej posady, chcę kolumny z jakąś treścią. Wykop parę faktów o zatrudnieniu i płacach u śmieciarzy w porównaniu z innymi miastami.

– A kto by to czytał? Chodź ze mną na tę ulicę. Pokażę ci fakty. Zaczekaj chwilę...

Złapię fotografa.

Kilka minut później Perkins przedstawiał Papciowi redaktora naczelnego oraz Clarence'a V.

Weemsa. Clarence wycią-

gnął aparat.

– Pstryknąć go?

– Jeszcze nie, Clarence. Papciu, możesz namówić Kicię, żeby dała nam ten muzealny kawałek?

– Oczywiście. – Stary spojrzał w górę i Zagwizdał. – Kiciu! Chodź do Papcia. –

Nad ich głowami powiew wiatru nabrał

587

kształtu, pozbierał kawałki papieru i suchych liści, po czym wylądował na parkingu. Perkins spojrzał do środka.

– Nie ma go – oznajmił z ogromnym żalem.

– Przyniesie. – Papcio podszedł bliżej i wir powietrza go otoczył. Widzieli ruch jego warg, ale słowa do nich nie docierały.

– Teraz? – spytał Clarence.

– Jeszcze nie.

Wir wyskoczył w górę i przeskoczył są-

siedni budynek. Redaktor naczelny otworzył usta i zamknął je z powrotem.

Kicia zaraz wróciła. Wyrzuciła wszyst-ko inne i miała tylko jeden papier – ten papier.

– Teraz! – oznajmił Perkins. – Możesz złapać ten papier, Clarence? Dopóki jest w powietrzu?

– Pestka – odparł Clarence i uniósł aparat. – Trochę do tyłu i przytrzymaj to –

588

rozkazał, zwracając się do trąby powietrznej.

Kicia zawahała się i wydawało się, że chce uciec.

– Powoli i spokojnie, Kiciu – wyjaśnij Papcio. – I przekręć to... nie, nie! Nie w tę stronę –

drugim brzegiem do góry. – Papier wyprostował się i powoli przepłynął

obok nich. Nagłówek był wyraźnie widoczny.

– Masz? – zapytał Perkins.

– Pestka – odparł Clarence. – To wszystko? – spytał naczelnego.

– Pes... To znaczy tak, to wszystko.

– Okay – orzekł Clarence, zebrał swoje rzeczy i poszedł. Naczelny westchnął.

– Panowie – powiedział – chodźmy się

napić.

Cztery drinki później Perkins i jego szef wciąż się kłócili. Papcio sobie poszedł.

– Szefie, myśl rozsądnie – powtarzał

589

Pete. – Nie możesz drukować artykułu o żywej trąbie powietrznej. Wyśmieją cię.

Redaktor naczelny Gaines wyprostował

się.

– Zasada „Forum” jest publikowanie każdej wiadomości, bez przeróbek. To jest wiadomość i my ją wydrukujemy – Odpre-

żył się. – Hej! Kelner! Jeszcze raz to samo, tylko mniej wody.

– Ale to fizycznie niemożliwe.

– Przecież sam widziałeś, nie?

– Tak, ale...

Gaines uciszył go.

– Poprosimy Smithsonian Institution o zbadanie zjawiska.

– Wyśmieją cię – upierał się Perkins. –

Słyszałeś kiedyś o masowej hipnozie?

– O czym? Nie, to żadne wyjaśnienie.

Clarence też to widział.

– A czego to dowodzi?

– Tego, co oczywiste. Żeby dać się za-590

hipnotyzować, musisz mieć umysł, *ipso facto*.

– Chciałeś powiedzieć *ipse dixit*.

– Przestań z tą czkawką. Perkins, nie powinieneś pić w dzień. Zacznij od początku i mów powoli.

– Skąd wiesz, że Clarence nie ma umy-
słu?

– Udowodnij, że ma.

– No, żyje. Czyli musi mieć jakiś umysł.

– To właśnie mówiłem. Trąba powietrz-

na żyje, a zatem ma umysł. Perkins, jeśli ci jajogłowi ze Smithsonian będą się upierać przy swoim nienaukowym podejściu, to ja na pewno nie zamierzam tego pokornie znosić. „Forum” się na to nie zgodzi. Ty się na to nie zgodzisz.

– Ja?

– Ani przez chwilę. Chcę cię zapewnić, że „Forum” stoi za tobą, Pete. Wracaj na parking i zrób wywiad z tą trąbą powietrz-591

ną.

– Przecież już zrobiłem. Nie chciałeś go przyjąć.

– Kto nie chciał? Wyleję go! No, Pete.

Potrząśniemy tym miastem jak nikt inny.

Zdobędziemy wszystkie nagłówki. Do roboty! – nałożył na głowę kapelusz Pete'a i szybko podążył do toalety.

Pete zasiadł za swoim biurkiem z termo-sem kawy, szklanką soku pomidorowego i popołudniowym wydaniem gazety. Jego kolumna została oprawiona w ramki i przeniesiona na pierwszą stronę, tuż pod ogromne zdjęcie zabawki Kici. Osiemna-stopunktowy pogrubiony druk nakazywał

wszystkim zajrzeć na stronę dwunastą; tam kolejne grube litery poleciły mu spojrzeć na Nasze Piękne Miasto, strona pierwsza.

Zignorował to i przeczytał: Dlaczego burmistrz nie rezygnuje?

Peter zachichotał.

592

Zły Wiatr..., symbol całego tego duchowego brudu zalegającego ratusz... urośnie do rozmiarów cyklonu i wywieje skorumpowanych i bezwstydných urzędników z biur. Naczelný zauważył dalej, że umowę na sprzątnięcie ulic i wywóz śmieci miał

szwagier burmistrza i sugerował, że trąba powietrzna mogłaby świadczyć lepsze usługi taniej.

Zadzwonił telefon. Podniósł słuchawkę i powiedział:

– Dobra, sam to zacząłeś.

– Pete, to ty? – odezwał się Papcio. –

Zabrali mnie na posterunek.

– Za co?

– Twierdzą, że Kicia zakłóca porządek publiczny.

– Zaraz tam będę. – Zabral jeszcze tylko fotoreportera Clarence'a i pojechali. Papcio siedział w biurze porucznika i miał bardzo zacięty wyraz twarzy. Perkins wepchnął

593

się do środka.

– Za co on tu siedzi? – zapytał, wskazując Papcia kciukiem.

Porucznik zrobił kwaśną minę.

– A ty tu czego, Perkins? Nie jesteś jego adwokatem.

– Teraz? – zapytał Clarence.

– Jeszcze nie, Clarence. Przyszedłem po wiadomości, Dumbrosky. Pracuję w gazecie, pamiętasz?

Pytam jeszcze raz, za co on tu siedzi?

– Za przeszkadzanie policjantowi w wykonywaniu obowiązków.

– Zgadza się, Papciu?

Stary wyglądał na zniesmaczonego.

– Ten facet – wskazał jednego z poli-

cyjantów – przylazł na mój parking i próbo-wał zabrać Kici tę starą gazetę o Manili.

Powiedziałem jej, żeby mu nie dawała. To on pomachał na mnie pałką i kazał mi to jej zabrać.

Powiedziałem mu, co sobie 594

może zrobić z tą pałką. – Wzruszył ramionami. – I dlatego tu jesteście.

– Rozumiem – odparł Perkins i zwrócił

się do Dumbroskiego. – Dostałeś telefon z ratusza, tak? I wysłałeś Dugana, żeby odwalił brudną robotę. Nie rozumiem tylko, dlaczego Dugana. Podobno jest tak głupi, że nawet nie pozwalasz mu samemu odbierać czeków z wypłatą.

– To łgarstwo! – wtrącił się Dugan. –

Sam je odbieram..

– Zamknij się, Dugan! – wrzasnął na niego szef. – Słuchaj, Perkins, zabieraj się stąd. Tu nie ma nic dla gazet.

– Nic dla gazet? – powtórzył cicho Perkins. – Policja usiłuje zaaresztować trąbę powietrzną, a ty mi mówisz, że w tym nie ma nic dla gazet?

– Teraz? – zapytał Clarence.

– Nikt nie usiłował przemykać żadnej trąby! Spływaj.

595

– To dlaczego oskarżacie Papcia o przeszkadzanie policji w wykonywaniu obowiązków? Co tam Dugan robił, puszczał

latawce?

– Nie oskarżamy go o utrudnianie policji wykonywania obowiązków.

– Nie? To za co go wsadziliście?

– Nie wsadziliśmy. Jest przesłuchiwany.

– Ach tak? Nie wsadziliście go, nie ma nakazu aresztowania, nie ma przestępstwa.

Po prostu zgarnęliście obywatela i zabrali-

ście na komisariat. Całkiem jak gestapo. –

Perkins zwrócił się do Papcia. – Nie zosta-

łeś aresztowany. Radzę ci teraz wstać i wyjść stąd.

Papcio wstał ze stołka.

– Hej! – Porucznik Dumbrosky zerwał

się, złapał Papcia za ramię i posadził z powrotem. – Ja tu wydaję rozkazy! Ty siedź...

– Teraz! – wrzasnął Perkins. Światło z 596

lampy błyskowej Clarence'a wszystkich zmroziło. Potem Dumbrosky znowu wstał.

– Kto go tu wpuścił? Dugan, łap ten aparat.

– Akurat! – zaprotestował Clarence i podniósł aparat poza zasięg rąk policjanta.

Dugan podskakiwał dookoła niego.

– Spokój – wrzasnął Perkins. – No, Dugan, bierz ten aparat. Marzę, żeby to opisać. „Policjant niszczy dowody na brutal-ność policji”.

– Co mam robić, poruczniku? – zapytał

Dugan. Dumbrosky skrzywił się z obrzydzeniem.

– Usiądź i zamknij twarz. Perkins, ostrzegam cię. Nie wykorzystuj tego zdję-

cia. – Ostrzegasz przed czym? Kazesz mi za-tańczyć z Duganem? Chodź, Papciu. Clarence, idziemy. I wyszli.

597

Następnego dnia w Naszym Pięknym Mieście można było przeczytać:

Ratusz zaczyna sprzątać

Podczas gdy ci, co mają sprzątać miasto, rozkoszowali się zwyczajowym odpoczynkiem, porucznik Dumbrosky, zgodnie z poleceniem z biura Hizzonera, zrobił nalot na naszą trąbę powietrzną z Trzeciej Alei.

Nie do końca się udało, gdyż posterunkowy Dugan nie był w stanie wepchnąć trąby do samochodu. Nie powstrzymało to jednak nieustraszonego Dugana – zaarrestował stojącego opodal obywatela, niejakiego Jamesa Metcalfea, strażnika na parkingu, jako współnika trąby powietrznej.

wspólnika w czym, tego Dugan nie powiedział. Ale każdy wie, że współnik nigdy nie robi nic dobrego. Porucznik Dumbrosky przesłuchał współnika. Patrz wkładka.

598

Porucznik Dumbrosky waży ze sto kilogramów bez butów, współnik waży sześćdziesiąt pięć.

Morał: Nie płacz się pod nogami, kiedy policja bawi się z wiatrem w zawody.

PS chwili oddawania niniejszego nume-

ru do druku trąba powietrzna nadal była w posiadaniu zabytkowej gazety z 1898 r.

Proszę się zatrzymać na skrzyżowaniu Trzeciej i Główniej i zerknąć. Lepiej się pośpieszać – Dumbrosky spodziewa się rychłych aresztowań.

Dzień później Pete w swojej kolumnie

nadal dogryzał administracji:

Te zaginione papiery

Bardzo denerwująca jest świadomość, że każdy dokument potrzebny sądowi z całą pewnością gdzieś się zapodzieje, za-599

nim zdąży się go przedstawić jako dowód.

Proponuję zatrudnienie przez miasto Kici, naszej trąby powietrznej z Trzeciej Alei, jako specjalnej sekretarki i powierzenie jej wszystkich papierów, które mogą się jeszcze kiedyś przydać. Mogłaby zdać ten specjalny egzamin, którym nagradza się Wierną służbę – ten, którego jeszcze nikt nigdy nie oblał.

A właściwie dlaczego zostawiać Kicię na posadzie marnej sekretarki? Jest bardzo skrupulatna – co dostanie, to trzyma. Nikt nie może powiedzieć, że ma mniejsze kwalifikacje niż pewni urzędnicy, z którymi musieliśmy się ostatnio męczyć.

Niech Kicia kandyduje na burmistrza!

Jest idealną kandydatką – ma zdrowy rozsądek, nie przeszkadzają jej dziejowe zawieruchy, biega w kółko, umie sypać piachem w oczy, a opozycja na pewno nie zdoła się do niej przyczepić.

600

A jakim byłaby burmistrem? Jest taka bajka Ezopa o Królu Bocianie i Królu Pieńku. Mamy już dosyć Króla Bociana –

Król Pieńek mógłby być miłą odmianą.

Pytanie do pana Hizzonera: Co się właściwie stało z tymi rachunkami za wybrukowanie Główniej Alei?

PS Kicia nadal udostępnia gazetę z 1898r. Proszę Wpaść i obejrzeć, zanim policja znajdzie jakiś sposób na uciszenie trą-

by powietrznej.

Pete z łapał Clarence'a i wybrali się na parking, który teraz został ogrodzony. Facet przy bramie poda! im dwa bilety, ale pieniędzy nie chciał. W środku odkryli wydzielony łańcuchami krąg dla Kici, z Papciem w środku. Przepchnęli się do niego przez tłum.

– Zdaje się, że zgarniasz niezłe pieniądze, Papciu.

601

– Powinienem, ale nie zgarniam. Pete, rano chcieli to zamknąć. Kazali mi wnieść opłatę dla wesołych miasteczek i cyrków, pięćdziesiąt dolców dziennie. I wziąć kredyt. Więc przestałem brać za bilety. Ale pamiętam o nich. Zobaczysz, pozwę ich do sądu.

– W tym mieście i tak nic nie dostaniesz. Nie przejmuj się, będziemy ich męczyć, aż się poddadzą.

– To nie wszystko. Rano chcieli złapać Kicię.

– Co takiego? Kto? Jak?

– Gliny. Przyjechali z takim wielkim wentylatorem, wiesz, tym do wentylowania kanalizacji, przestawionym, żeby działał na odwrót i wsysał. Chcieli wessać do niego Kicię, albo przynajmniej dopaść to, co niesie. Pete gwizdnął.

– Mogłeś zadzwonić.

602

– Nie było potrzeby. Ostrzegłem Kicię.

Schowwała gdzieś tę gazetę i wróciła. Była zachwycona. Przeleciała przez tę maszynę ze sześć razy. Jakby jeździła na karuzeli.

Przelatywała przez nią i wychodziła w jeszcze lepszej formie. Na koniec złapała czapkę sierżanta Yancela. Zablokowało to maszynę, a czapka nadaje się na śmietnik.

Wkurzyli się i pojechali.

Pete zachichotał.

– I tak powinieneś zadzwonić. Clarence zrobiłby im zdjęcie.

– Zrobiłem – odezwał się Clarence.

– Tak? Nie wiedziałem, że byłeś tu dzisiaj.

– Nie pytałeś.

Pete spojrzał na niego.

– Clarence, kochanie... W zdjęciach do gazet chodzi o to, żeby je drukować, a nie chować w archiwum.

– Na twoim biurku – powiedział Claren-603
ce.

– Aha. Dobra, weźmy się za jakiś prostszy temat. Papciu, chciałbym tu powiesić duży transparent.

– Czemu nie? Co ma na nim być?

– „Kicia na Burmistrza. Sztab Wyborczy.” Powieś go w rogu, żeby było widać z obu stron. Pasuje do... O rany! Kochani, mamy towarzystwo! – Ruchem głowy wskazał wjazd.

Wrócił sierżant Yancel.

– No, już, już! – mówił. – Jazda. Opu-

ścić teren. – On i trzech podwładnych wyganiali z parkingu widzów. Pete podszedł do niego.

– Co tu się dzieje, sierżancie?

Yancel obejrzał się.

– A, to ty. Ty też się zabieraj. Musimy opróżnić teren. Sytuacja awaryjna.

Pete obejrzał się przez ramię.

– Papciu, lepiej zabierz stąd Kicię! –

604

krzyknął. – Clarence, teraz!

– Mam – powiedział Clarence.

– Dobra – odparł Pete. – A teraz, Yancel, powiedz mi, czego zdjęcie właśnie zrobiliśmy, żebyśmy mogli je właściwie podpisać.

– Ale mądrała. Zabieraj się z tym swoim kumplem, bo nie zostaną z was nawet strzepy.

Ustawiamy bazookę.

– Co ustawiacie? – Pete spojrział z niedowierzaniem na furgonetkę. Rzeczywiście, dwóch gliniarzy wyładowywało z niej bazookę. – Rób zdjęcia, mały – polecił Clarence'owi.

– Pestka – powiedział Clarence.

– I przestań robić balony z gumy. Słuchaj, Yancel, jestem tylko dziennikarzem.

O co tu właściwie chodzi?

– Sam zobaczysz, spryciarzu. – Yancel odwrócił się tyłem. – Dobra! Zaczynajcie!

Ognia!

605

Jeden z gliniarzy podniósł głowę.

– W co, sierżancie?

– A myślałem, że byłeś w marynarce wojennej. W trąbę powietrzną, oczywiście.

Papcio stanął za Petem.

– Co oni robią?

– Chyba zaczyna mi coś świtać. Papciu, trzymaj Kicię z daleka. Chyba chcą w nią walnąć pociskiem raketowym. Pewnie zniszczyłyby jej stabilność albo coś.

– Kici nic nie będzie. Kazałem jej się schować. Ale to wariactwo, Pete. Oni chyba kompletnie, całkowicie i nieuleczalnie ześwirowali.

– Żadne prawo nie mówi, że gliniarz musi być normalny.

– W jaką trąbę, sierżancie? – pytał ten od bazooki. Yancel zaczął mu ze złością tłumaczyć, ale para z niego uszła, kiedy zauważył, że żadnych trąb w pobliżu nie ma.

606

– Zaczekaj – polecił i zwrócił się do Papcia. – Hej, ty! – wrzasnął. – Przegoniłeś stąd tę trąbę. Zawołaj ją z powrotem.

Pete wyjął notatnik.

– To bardzo interesujące, Yancel. Czy wedle twojej fachowej opinii trąba powietrzna przychodzi na zawołanie jak piesek? Czy takie jest oficjalne stanowisko policji?

– Ja... żadnych komentarzy! Zamknij się, albo ja cię zamknę.

– Proszę bardzo. Ale wycelowaliście tę armatę tak, że jak pocisk przejdzie przez trąbę powietrzną, o ile jakaś się znajdzie, to walnie prosto w ratusz. Czy to ma być zamach na Hizzonera?

Yancel odwrócił się gwałtownie i przebiegł wzrokiem przypuszczalny tor pocisku.

– Hej, palanty! – wrzasnął. – Wycelujcie to gdzie indziej. Chcecie sprzątnąć burmi-607 strza?

– Już lepiej – poinformował sierżanta Pete. – Teraz wycelowali prosto w bank.

Nie mogę się doczekać.

Yancel znowu zbadał sytuację.

– Wycelujcie gdzieś, gdzie nikomu nic się nie stanie – rozkazał. – Czy ja muszę myśleć za

wszystkich?

– Ale sierżancie...

– No?

– Pan sam wyceluje. My będziemy strzelać.

Pete obserwował ich.

– Clarence – westchnął. – Zostań i zrób zdjęcie, jak ładują armatę z powrotem do samochodu. To będzie za jakieś pięć minut. Ja z Papciem będziemy w barze za rogiem. Zrób ładne zdjęcie, z twarzą Yancela.

– Pestka – powiedział Clarence.

Następne wydanie Naszego Pięknego 608

Miasta zawierało trzy zdjęcia i miało tytuł

„Policja wypowiada wojnę trąbie powietrznej”. Pete wziął jeden egzemplarz i wyruszył na parking, żeby pokazać go Papciowi.

Papcia nie było. Kici też nie. Rozejrzał

się po okolicy, zaglądając do wszystkich jadłodajni i barów. Nic.

Skierował się z powrotem do redakcji, przekonując samego siebie, że Papcio mógł pójść na zakupy albo do kina. Usiadł

za biurkiem, napisał parę nieudanych po-czątków jutrzejszego artykułu, pogniótł wszystkie i poszedł do działu fotograficznego.

– Hej, Clarence! Byłeś dzisiaj na parkingu?

– Nie.

– Papcio zniknął.

– No i?

– No, chodź. Musimy go znaleźć.

609

– Dlaczego? – Ale poszedł i wziął aparat.

Parking nadal był opuszczony. Ani Papcia, ani Kici – nawet jednego podmuchu.

Pete odwrócił się.

– Chodź, Clarence... hej, co za zdjęcia robisz?

Clarence trzymał aparat zwrócony w stronę nieba.

– Nie robię – odparł. – Światło niedobre.

– A co to było?

– Trąba.

– Co? Kicia?

– Może.

– Hej, Kiciu! Chodź, Kiciu! – Mała trą-

ba powietrzna zbliżyła się do niego, zawirowała szybciej i podniosła kawałek tek-turki, który wcześniej upuściła. Pokręciła nim trochę, po czym walnęła nim Pete'a w twarz.

– To nie jest śmieszne, Kiciu – poskar-

żył się. – Gdzie Papcio?

Trąba powietrzna znowu się do niego przysunęła. Zobaczył, że znowu sięga po tekturkę.

– O, nie! – jęknął i sam po nią sięgnął.

Trąba powietrzna była szybka. Zabrała tekturkę na odległość kilkudziesięciu me-trów i przyniosła z powrotem. Tekturka uderzyła go ostrym brzegiem w nos.

– Kicia! – wrzasnął Pete. – Przestań się wygłupiać.

Tekturka miała wymiary jakieś piętnaście na dwadzieścia centymetrów i była za-drukowana. Najwyraźniej przypięto ją kiedyś do ściany, we wszystkich czterech rogach widniały małe rozdarcia. Wydrukowano na niej: RITZ – CLASSIC, a pod spodem: „Pokój 2013, jedna osoba \$6,00, dwie osoby \$8,00”. Dalej był regulamin hotelu.

Pete przyglądał jej się ze zmarszczonym 611 czołem. Nagle rzucił nią w powietrzny wir.

Kicia natychmiast odrzuciła mu ją prosto w twarz.

– Chodź, Clarence – oznajmił dziarsko.

– Idziemy do hotelu Ritz-Classic, pokój 2013.

– Pestka – powiedział Clarence.

Ritz-Classic był to ogromny budynek trzy przecznice dalej, popularny wśród bukmacherów i panienek. Pete ominął recepcję, wchodząc przez drzwi do piwnicy.

Windziarz spojrzął na aparat Clarence'a.

– O, nie, stary. W tym hotelu nie ma spraw rozwodowych.

– Spoko – odparł Pete. – To nie jest prawdziwy aparat. Sprzedajemy marihu-anę, a to jest magazyn.

– Trzeba było od razu mówić. Nie powinieneś nosić tego w aparacie. Ludzie się denerwują.

Które piętro?

– Dwudzieste pierwsze.

612

Windziarz zawiózł ich prosto na górę, ignorując inne wezwania.

– Dwa dolce. Usługi specjalne.

– Ile płacisz za koncesję?

– I kto mi tu dogaduje? A twoje intere-sy?

Piechotą zeszli piętro niżej i znaleźli po-kój 2013. Pete ostrożnie spróbował otworzyć drzwi – były zamknięte na klucz. Zapukał – żadnej odpowiedzi. Przycisnął do nich ucho i wydawało mu się, że słyszy jakieś odgłosy wewnątrz. Odsunął się, marszcząc czoło.

– Coś mi się przypomniało – odezwał

się Clarence. Pobiegł gdzieś i po chwili wrócił z czerwoną siekierką strażacką.

– Teraz? – zapytał Pete'a.

– Uroczą myśl, Clarence. Jeszcze nie teraz. – Pete walnął w drzwi i wrzasnął: –

Papciu! Papciu!

Z pokoju za nimi wyjrzała potężna ko-

613

bieta w różowym szlafroku.

– Jak człowiek ma tutaj spać? – zapyta-

ła.

– Proszę się uciszyć! – odpowiedział jej Pete. – To idzie przez radio.

Nasłuchiwał. Tym razem usłyszał wy-raźne odgłosy walki, a potem wołanie

„Pete! Pe... ”

– Teraz! – zawołał Pete. Clarence zamachnął się.

Zamek puścił przy trzecim uderzeniu.

Pete wpadł do środka, a za nim Clarence.

Zderzył się z kimś wybiegającym i klapnął

na podłogę. Kiedy wstał, zobaczył Papcia na łóżku. Stary usiłował rozplątać ręcznik, który zawiązano mu wokół ust. Pete go ściągnął.

– Łap ich! – wrzasnął Papcio.

– Jak tylko cię rozwiążę.

– Nie związali mnie. Zabrali mi spodnie.

Rany, myślałem, że nigdy nie przyjdiesz!

614

– Trochę potrwało, zanim Kicia mi wytłumaczyła.

– Mam ich – oznajmił Clarence. – Obu.

– Gdzie? – zdziwił się Pete.

– Tutaj – odparł dumnie Clarence i poklepał swój aparat.

Pete darował sobie odpowiedź i rzucił się do drzwi.

– Tam pobiegli – wskazała duża kobieta.

Ruszył w tamtą stronę, wypadł zza rogu i zobaczył zamykające się drzwi windy.

Pete stanął, zdziwiony tłumem ludzi przed hotelem. Rozglądał się niepewnie, kiedy Papcio złapał go za ramię.

– Tam! Tamten kabriolet! – Samochód wskazywany przez Papcia właśnie mijał rząd taksówek czekających przed hotelem.

Z głośnym warkotem nabrał prędkości.

Pete otworzył drzwi najbliższej taksówki.

– Za tym samochodem! – wrzasnął.

Wszyscy wleźli do środka.

615

– Dlaczego? – spytał taksjarsz.

Clarence uniósł siekierkę strażacką.

– Teraz? – zapytał.

Kierowca schylił się.

– Mniejsza z tym – stwierdził. – Tak tylko pytałem.

Umiejętności taksówkarza bardzo im pomogły w centrum, ale potem kierowca kabrioletu skręcił w Trzecią Aleję i skierował w stronę rzeki. Przelecieli przez nią oddaleni od siebie o pięćdziesiąt metrów, a dalej była tylko autostrada bez ograniczenia prędkości.

Taksówkarz odwrócił głowę.

– Kamerzyści nadążają za nami?

– Jacy kamerzyści?

– To nie film?

– Rany, nie! Tamten wóz jest pełen po-rywaczy. Szybciej!

– Policja? O, nie, w to się nie mieszam.

– Zahamował gwałtownie.

616

Pete złapał siekierkę i szturchnął nią tak-sjarsza.

– Goń ich!

Taksówka znów przyspieszyła, ale kie-

rowca zaprotestował.

– Tym gruchotem na pewno ich nie dogonimy. Są dużo lepsi.

Papcio złapał Pete'a za ramię.

– Jest Kicia!

– Gdzie? Zresztą, mniejsza z tym!

– Zwolnij! – wrzasnął Papcio. – Kiciu, Kiciu! Tutaj!

Trąba powietrzna zniżyła lot i zrównała tempo z samochodem.

– Tu, kochanie! – zawołał do niej Papcio. – Bierz tamten samochód! Ten z przodu. Łap go!

Kicia wydawała się niepewna, skołowa-

na. Papcio powtórzył polecenie i ruszyła przed siebie – niczym trąba powietrzna. W

locie zanurkowała i zebrała śmieci i papie-

ry.

Zobaczyli, jak zniża lot i atakuje samochód przed nimi, rzucając papiery w twarz kierowcy.

Samochód zatańczył. Zaatakowała znowu. Samochód zboczył z kursu, wjechał na chodnik, odbił się od barierki i wpadł na latarnię.

Pięć minut później Pete wrzucał monety do automatu telefonicznego na najbliższej stacji benzynowej. Zostawił Kicię, Clarence'a i siekierkę strażacką na miejscu, żeby pilnowali dwóch zbirów, którzy i tak odnieśli już rozliczne rany i obrażenia. Wykręcił międzymiastową.

– Proszę numer FBI na zgłaszanie porwań – zażądał. – Wie pani, ten w Waszyngtonie, na porwania.

– O kurczę! – powiedziała telefonistka.

– Mogę posłuchać?

– Dawaj ten numer!

– Już, już!

618

– Federalne Biuro Śledcze – rozległo się w słuchawce.

– Łączcie mnie z Hooverem! Co? Do-

bra, dobra, pogadam z panem. Słuchaj pan, chodzi o porwanie. Na razie ich trzymam, ale jak nie przyślecie mi tu chłopców z lokalnego biura, to żadnej sprawy nie będzie.

Nie, jeśli miejscowa policja dotrze tu pierwsza. Co? – Pete uspokoił się, wyjaśnił, kim jest, gdzie jest i streścił bardziej wiarygodne fragmenty całej historii. Rządowy agent przerwał mu, kiedy domagał

się natychmiastowej, ale to naprawdę natychmiastowej akcji i zapewnił, że lokalne biuro zostało już powiadomione.

Pete wrócił do wraku samochodu, kiedy porucznik Dumbrosky wysiadał z wozu policyjnego.

– Nie rób tego, Dumbrosky – wrzasnął.

Wielki gliniarz zawahał się.

– Czego mam nie robić?

619

– Niczego masz nie robić. FBI jest w drodze, a ty już jesteś w to wplątany. Nie pogarszaj swojej sytuacji.

Pete wskazał na dwóch zbirów. Clarence siedział na jednym, a o drugiego opierał ostrze siekierki.

– Te dwa ptaszki już wszystko wyśpie-

wały. To miasto rozleci się na kawałki. Jak się pośpieszysz, to może zdążysz na samolot do Meksyku.

Dumbrosky patrzył na niego.

– Wymądrzasz się – powiedział bez przekonania.

– Zapytaj ich. Przyznali się.

Jeden ze zbirów podniósł głowę.

– Grożono nam – oznajmił. – Pan ich zamknie, poruczniku. Zaatakowali nas.

– No, dalej – zachęcił wesoło Papcio. –

Zaaresztujcie nas, wszystkich. Dzięki temu ci dwaj się nie zmyją, dopóki nie przyjdzie FBI i przesłucha ich. Może będziecie 620

mogli pójść na ugodę.

– Teraz? – zapytał Clarence.

Dumbrosky odwrócił się.

– Odłóż tę siekierkę!

– Zrób, co powiedziałem, Clarence. Łap aparat i pstryknij zdjęcie, jak przyjadą federalni.

– Nie wzywałem żadnych federalnych.

– Obejrzyj się!

Granatowy sedan zahamował bezgłośnie

i wysiadło czterech silnych, energicznych mężczyzn.

– Czy jest tu ktoś o nazwisku Peter Perkins? – zapytał pierwszy z nich.

– To ja – odpowiedział Pete. – Czy mógłbym was ucałować?

Zapadł zmrok, ale parking był zatłoczony i gwarny. Z jednej strony ustawiono trybunę dla nowego burmistrza i gości honorowych, a naprzeciwko podest dla orkiestry.

Nad wejściem wisiał wielki, podświetlony napis: DOM KICIA – HONOROWEGO OBYWATELA NASZEGO PIĘKNEGO

GO MIASTA.

Pośrodku w ogrodzonym kręgu sama Kicia wirowała, podskakiwała, kołysała się i tańczyła. Pete stał obok z Papciem, dookoła co półtora metra rozstawione były dzieci.

– Wszystko gotowe? – zawołał Pete.

– Gotowe – odpowiedział Papcio.

Pete, Papcio i dzieci zaczęli wrzucać w odgradzony krąg serpentyny. Kicia zniżyła się, zebrała je i owinęła się nimi.

– Confetti! – wrzasnął Pete. Każde z dzieci wyrzuciło w stronę trąby powietrznej torbę konfetti.

Niewiele z tego upadło na ziemię.

– Balony! – wrzasnął Pete. – Światła!

Wszystkie dzieci zaczęły nadmuchiwać

małe baloniki – każde miało ich z tuzin w 622

różnych kolorach. Zaraz po nadmuchaniu oddawały je Kici. Włączono reflektory; Kicia zamieniła się w fontannę wirujących, kotłujących się kolorów, sięgającą kilkudziesięciu pięt.

– Teraz? – zapytał Clarence.

– Teraz!

623

JAMES BLISH

CIEMNOŚĆ

NIE NADEJDZIE

(There shall be no darkness)

Przełożyła Anna Dorota Kamińska

James Blish (1921-1975) zaczął od pisania opowiadań, których tematem było jedno wybrane zagadnienie z dziedziny science fiction – na przykład zdolności parapsychiczne, mi-niaturowi ludzie czy antygravitacja. Następnie opowiadania te poszerzał, nadając im kształt powieści. Najlepszymi przykładami takich utworów są ukończone „The Seedling Stars”, „A Case of Conscience” i „Jack of Eagles”. Blish jest również autorem doskonałych adaptacji powieściowych scenariuszy serialu telewizyjnego „Star Trek” (części 1-12) oraz związanej z tym seriałem znanej powieści „Spock Must Die!”.

624

625

I

Koło dziesiątej wieczorem Paul Foote doszedł do wniosku, że na weekendowym przyjęciu w domu Newcliffe'ów jest po-twór.

Foote był wtedy zalany – bardziej niż kiedykolwiek chciałby być. Wyciągnął się w zbyt wygodnym fotelu, opierając ramiona na poręczach. W prawej dłoni niezbyt pewnie trzymał na wpół opróżnioną szklankę. Ciemna plama na szarej nogawce spodni wskazywała miejsce, gdzie wylądowała już część drinka. Spod przymknię-

tych powiek obserwował, jak Jarmoskowski gra na pianinie.

Pianista nareszcie zagrał tę sonatę Skriabina, na którą czekali wszyscy zgromadzeni. Jednak dla Foote'a, malarza, któremu 626

słoń nadepnął na ucho, to w ogóle nie była muzyka, tylko hałas, nasuwający jakieś tajemnicze i straszne skojarzenia.

W pokoju było duszno. Teraz wydawał

się też o połowę mniejszy. Foote przestraszył się, że jest tu jedynym żyjącym człowiekiem, nie licząc Jana Jarmoskowskiego. Reszta to tylko figury woskowe, udające ludzi pograżonych w estetycznym tran-sie.

Nic nie mogło wzbudzać wątpliwości co do żywotności Jarmoskowskiego. Nie był przystojny, ale tkwiła w nim jakaś brutalna siła, mająca własne piękno – zachwycająca była także precyzja, z którą tę siłę kontrolował. Kiedy jego wielkie, włochate dłonie opadały na klawisze, zdawało się, że fortepian powinien rozpaść się w drzazgi. Ale siła uderzenia palców w klawisze została najdokładniej obliczona.

To dziwne – widzieć taką delikatność 627

kryjącą się za taką twarzą. Linia włosów na okrągłej głowie Jarmoskowskiego przebiegała za nisko, mimo że starannie unikał

fryzury choćby przypominającej tradycyjną fryzurę muzyka. Jego brwi były proste, prostokątne i tak gęste, że tworzyły niemal jedną linię.

Ze swojego fotela Foote po raz pierwszy zauważył dziwny kształt uszu Polaka – były przechylone do przodu jak u czujnego zwierzęcia, tak, że spiczasty koniuszek znajdował się na samej górze.

Przechylały się w stronę klawiatury. Foote'owi przypomniał się pies ze słynnego plakatu „Głos jego pana”.

Gdzie on już widział taką głowę? Może na obrazie Matthiasa Grimewalda – na tej tablicy ołtarza z Isenheim, ukazującej ku-szenie Św. Antoniego. Albo może na jednej z ilustracji do „Czerwonego

Grimoire-

'u", jednym z tych dziwacznych starych 628

drzeworytów, które Chris Lundgren nazywał „średniowiecznymi testami Rorschacha”?

Jarmoskowski skończył Skriabina. Zatrzymał się, z namysłem splótł dłonie, po czym zaczął grać własny utwór, „Galliard Fantasque”.

Figury z wosku ani drgnęły, ale z ich nieruchomych warg wydobyło się ciche, niesamowite westchnienie, świadczące o tym, że rozpoznali dzieło. W pokoju była teraz jeszcze jedna osoba, ale Foote nie wiedział, kto to jest. Kiedy spróbował wyostrzyć mętny wzrok i policzyć obecnych, jego umysł zbuntował się i nie udało mu się dojść do żadnego wyniku. Ale i tak wyczuwał obecność kogoś, kogo wcześniej na przyjęciu nie było.

Na pewno nie Jarmoskowski. On był tu wcześniej. Ale miał z tym coś wspólnego.

Obecna była jakaś ósma osoba i miało to 629

coś wspólnego z Jarmoskowskim.

Co to było?

Ze coś było wśród nich – to nie ulegało najmniejszej wątpliwości. Energia, jaką normalnie zużyłyby zmysły Foote'a, zasila-

ła teraz jego instynkt, gdyż zmysły miał

zbyt otępiełe. A instynkt bardzo wyraźnie i stanowczo mówił mu o potworze, który kręcił się w okolicy pianina, siedział obok Jarmoskowskiego, kiedy ten pieścił zęby muzycznej bestii, zlewał się z jego potęż-

nym ciałem i wężowymi palcami.

Foote nigdy nie miał pijackich koszmarów i wiedział, że teraz też ich nie ma.

Część jego umysłu, która zachowała trzeź-

wość, wyczuła, że gdzieś w tym pokoju jest coś straszliwego. A skoro bariera scep-tycyzmu padła, umysł uwierzył w to i był

sparaliżowany strachem.

Gorączkowe dźwięki, krążące wokół ni-

czym nietoperze, zamilkły nagle.

630

– Już? – zapytał idiotycznie zaskoczony Foote.

– Już? – powtórzył jak echo Jarmoskowski. – Ależ to długi utwór, Paul. Twoje za-fascynowanie to komplement dla mojej kompozycji.

Kiedy spojrział prosto na malarza, jego oczy rozbłyły czerwienią. Foote gorączkowo usiłował sobie przypomnieć, czy pianista miał czerwone oczy już wcześniej.

Albo czy jest to w ogóle możliwe, by ludzkie oczy były tak czerwone, jak jego w tej chwili.

– Kompozycji? – spytał, myśląc o swo-

im zupełnie otępiełym mózgu. Koktajle Newcliffe'a były diabelsko silne. – Nie wiem, czy tu chodzi o kompozycję, Janie.

Takie palce mogłyby zrobić fascynujący utwór nawet z „Włazł kotek na płotek”.

W duchu roześmiał się, widząc, jak przez twarz Jarmoskowskiego przepływają 631

rozmaite uczucia. Zaskoczenie, że usłyszał

komplement od Foote'a – gdyż odkąd pianista przybył, między tymi dwoma trwał

niewytłumaczalny antagonizm – namysł –

a w końcu tłumiony gniew, kiedy w końcu ukryta obelga ukazała mu swoje żądło. A jednak

potrafił się roześmiać.

– Tak, są długie, prawda? – zwrócił się do reszty grupy. Rozwinął palce jak trąbki rozdawane na przyjęciach, które rozwijają się niczym węże, gdy ktoś w nie dmucha.

– Ale zapewniam cię, że wcale nie pomagają mi w grze. Zazwyczaj potykają się jeden o drugi. Zwłaszcza ten.

Uniósł ręce, by wszyscy mogli zobaczyć. Foote nagle zadrżał. Na obu dłoniach palce wskazujący i środkowy były dokładnie tej samej długości.

– Lundgren pewnie nazwałby mnie mutantem. To bardzo przeszkadza w grze.

Doris Gilmore, kiedyś, w Pradze, uczeń-632

nica Jarmoskowskiego, i najwyraźniej nadal zakochana w nim jawnie i boleśnie, strząsnęła z ramion miedziane loki i uniosła dłonie.

– Moje są takie krótkie – powiedziała z żalem. – To wcale nie są ręce pianistki.

– To ręce wirtuozki – odparł Jarmoskowski. Uśmiechnął się, z roztargnieniem drapiąc wnętrza dłoni. Nagle Foote znalazł

się w świecie pełnym lśniących, idealnie równych zębów. Nie, nie idealnie równych. Z matematycznie niemal równych rzędów wystawały nieco dłuższe kły. Przypomniało mu się to idiotyczne opowiadanie Poego – jak to było... „Berenice”? To oczywiste, że Jarmoskowski nie umrze śmiercią naturalną. Zamorduje go jakiś dentysta, by wejść w posiadanie tych zębów.

– Trzy czwarte znanych mi wielkich pianistów ma łapy jak kierowcy ciężarówek –
633

mówił Jarmoskowski. – Chirurdzy też, za-pytajcie Lundgrena. Długie palce rzadko są zręczne.

– Tobie jednak wychodzi jakoś znakomita muzyka – oznajmił Newcliffe wstając.

– Dziękuję, Tom. – Jarmoskowski naj-

wyraźniej uznał powstanie gospodarza z miejsca za znak, że nie musi już grać.

Uniósł stopy z pedałów i przesunął się do brzegu ławki. Kilka innych osób także wstało. Foote zdołał jakoś wydzwignąć się z piekielnych otchłani fotela i stanąć na zdrętwiałych stopach. Ostrożnie odstawił

szklankę na stolik i zbliżył się do Christiana Lundgrena.

– Czytałem twój wykład, ten z kongresu w Sztokholmie – powiedział, z trudem panując nad językiem. – Ręce Jarmoskowskiego są...

– Tak – odparł psychiatra, patrząc na 634

Foote'a bystrymi, pełnymi niepokoju oczami. Foote nagle odgadł myśli Lundgrena.

Ten siwiejący, pulchny człowieczek oceniał, jak bardzo Foote jest pijany i zastanawiał się, czy do rana zapomni o wszystkim.

Lundgren machnął lekceważąco ręką.

– Widziałem je – stwierdził obojętnie. –

Jak sam powiedział, to najprawdopodobniej mutacja. Mamy dwudziesty wiek. Ale chcę zapomnieć o tym i iść do łóżka. Mo-

żesz to uznać nie tylko za informację, ale i za dobrą radę.

Wyszedł z pokoju, zostawiając Foote'a.

Malarz zastanawiał się, czy powinien czuć się lepiej, czy przeciwnie, zaniepokoić się jeszcze bardziej. Lundgren z pewnością to wie. Ale jeśli Jarmoskowski był tym, na kogo wyglądał...

Przyjęcie najwyraźniej rozwijało się doskonale bez udziału Foote'a. W wielkim 635 salonie zaczęły pobrzmiwać rozmowy.

Jarmoskowski i Doris siedzieli na ławce przy pianinie i gawędzili przyciszonymi głosami. Ich rozmowę przerywało od czasu do czasu wirtuozerskie *arpeggio* – Polak pokazywał dziewczynie, jak najlepiej odtwarzać utwór, który grała przed kolacją.

James i Bennington, amerykański krytyk literacki, rozbierali na części ostatnią powieść Jamesa, a zafascynowany Newcliffe przysłuchiwał im się pilnie. Niewinna i mdła Caroline Newcliffe mówiła w przestrzeń o niczym. Nikt nie tęsknił za Lund-grenem i najprawdopodobniej nikt nie za-tęskni za Foote'em.

Chwiejąc się, nonszalancko pomaszero-
wał do jadalni, gdzie lokaj wciąż jeszcze sprzątał ze stołu.

– Przepraszam – powiedział. – Mały eksperyment. Oddam rano. – Złapał ze 636 stołu nóż, wyjrzał przez drzwi prowadzące z jadalni na korytarz i wyszedł. W korytarzu było dość ciemno, ale dało się wytrzymać.

Zamykając drzwi do swojego pokoju, zatrzymał się na chwilę, by posłuchać po-pisu techniki Jarmoskowskiego. Możliwe, że o północy Jarmoskowski da inny popis.

Jeśli tak się stanie, Foote będzie zadowolony, że ma nóż. Wzruszył niepewnie ramionami, starannie zamknął drzwi i podszedł do okna.

O jedenastej trzydzieści Jarmoskowski stał samotnie na tarasie domu Newcliffe-
'ów. Chociaż nie było wiatru, noc opanowało przenikliwe zimno – ale on zdawał się tego nie zauważać. Stał bez ruchu jak czarny posąg. Tylko dwie wąskie smugi pary, wydobywające się z jego nozdrzy niczym dym z nosa smoka dowodziły, że 637 żyje.

Przez mgłę koronek przysłaniającą okno Foote'a Jarmoskowski wyglądał jak wspaniała kolumna z czarnego kamienia – ale ta kolumna stała na kraterze wulkanu.

Przed domem nie było żadnego światła, tylko promienie księżyca odbijały się od śniegu. W ich blasku potężna wieża, na której opierała się cała konstrukcja domu, przypominała starożytną fortecę. Wąskie otwory strzelnicze uważnie obserwowały okolice swoimi pustymi źrenicami, a wszystkie blanki przyodziane były w śnieżne hełmy.

Dom kulił się, starając się oprzeć złośliwej białej nocy. Wydawał się stary. Zasło-ny pachniały kurzem i starością. Niemożli-we, by w tym domu był jeszcze ktoś żywy oprócz Jarmoskowskiego i Foote'a. Po długiej chwili Foote leciutko poruszył zasłonę i odsunął ją.

638

Światło księżyca zalało mu twarz, więc cofnął się z powrotem w ciemność, zostawiając rozchylone zasłony.

Jeśli Jarmoskowski dostrzegł ten ukradkowy ruch, w żaden sposób tego nie oka-zał. Był całkowicie pochłonięty groźnym pięknem nocy. Z miejsca, gdzie stał, widział prawie całą posiadłość Newcliffe'ów.

W suchym, zimnym powietrzu dawało się dostrzec nawet czarną granicę lasu za polem golfowym po prawej stronie. Bliżej domu stało kilka samotnych drzew. Rzuca-
ły na śnieg groteskowe cienie, które poruszały się i zmieniały kształty nieskończenie powoli, wraz z ruchem księżyca.

Jarmoskowski westchnął i podrapał
wnętrze lewej dłoni. Bezgłośnie poruszał

wargami.

Samotna chmurka zbliżała się leniwie do księżyca. Cień wyprzedził ją, sunąc w stronę domu i niosąc ze sobą ciemność. W

639

jej jądrze delikatne zmarszczki na śniegu przybierały demoniczne kształty powyginanych ciał wyłaniających się z ziemi, zapadających się w nią, wyłaniających się znowu, przybliżających się. Przez kilka chwil wiał wilgotny, lodowaty wiatr, podrywając z tarasu wiry śnieżnych kryształków.

Wiatr ucichł, kiedy cienie dotarły do domu. Zapanowały ciemności i cisza. Potem, gdzieś ze stajni za domem, rozległo się przeciągłe, drżące wycie psa. Zaraz dołączyły do niego kolejne.

Zęby Jarmoskowskiego zaśniły słabo w przytłumionym świetle księżyca. Stał tam jeszcze przez chwilę – potem odwrócił głowę z zaskakującą prędkością, a oczy były-snęły drapieżną czerwienią w stronę ciemnego okna, w którym stał Foote. Ten po-

śpiesznie opuścił zasłony. Nawet przez nie mógł dostrzec ponury, fosforyzujący 640 uśmiech pianisty. Jarmoskowski wszedł z powrotem do domu.

Na korytarzu paliła się tylko jedna lampka. Pokój Jarmoskowskiego znajdował się na samym końcu korytarza, obok pokoju Foote'a. Kiedy pianista szedł w tamtą stronę, pograżony w myślach, otworzyły się drzwi naprzeciwko pokoju Foote'a i wyszła z nich Doris Gilmore ubrana w podomkę, z rękami przerzuconym przez ramię i szczoteczką do zębów w dłoni.

– Och! – wykrzyknęła. Jarmoskowski odwrócił się w jej stronę. Foote prześlizgnął się za jego plecami i wszedł do pokoju pianisty. Nie miał zamiaru pozwolić, by Doris była świadkiem tego, czego się po Jarmoskowskim spodziewał.

– Ach, to ty, Janie – odezwała się Doris, już ciszej. – Przestraszyłeś mnie.

– Widzę – rozległ się głos Jarmoskow-

641

skiego. Foote zerknął jednym okiem, co się dzieje za drzwiami. – Zostaliśmy we dwoje, jak sowy w nocy.

– Reszta jest pijana. A najbardziej ten okropny malarz. Czytałam sobie pisma, które Tom zostawił mi przy łóżku, i w końcu postanowiłam też iść spać. A co ty robiłeś?

– Wyszedłem tylko na taras, odetchnąć świeżym powietrzem. Lubię zimowe powietrze – takie mroźne, że aż gryzie.

– Psy są jakieś niespokojne – stwierdziła. – Słyszałeś je?

– Tak – odparł Jarmoskowski i uśmiechnął się. – Dlaczego podczas pełni psy tak się nad sobą użalają?

– Może krążą tu jakieś duchy.

– Wątpię. – Ten dom nie jest dość stary na rodzinne zjawy. O ile wiem, żaden z krewnych Caroline czy Toma nie miał honoru umrzeć tutaj.

642

– Mówisz prawie tak, jakbyś w to wierzył. – Jej głos drżał. Owinęła się ciasniej podomką.

– Pochodzę z kraju, gdzie wiara w takie rzeczy jest powszechna. W Polsce sceptyków mamy tylko z importu.

– Wolałabym, żebyś udawał wyjątek –

orzekła. – Dostaję przez ciebie dreszczy.

Z powagą skinął głową. Patrzyli na siebie. Potem zrobił krok naprzód i ujął ją za rękę.

Foote poczuł spóźnione ukłucie żalu. Je-

śli się pomylił, niedługo znajdzie się w sytuacji, w której przeprosiny będą niemożliwe.

Dziewczyna patrzyła na Jarmoskowskiego, uśmiechając się niepewnie.

– Janie – odezwała się.

– Nie – odpowiedział Jarmoskowski. –

Zaczekaj. Praga była tak dawno temu.

643

– Rozumiem. – Starła się wyrwać dłoń z jego uścisku.

– Nie, nie rozumiesz – zaprzeczył ostro.

– Miałem wtedy tylko osiemnaście lat. Ty miałaś... ile to było... chyba jedenaście.

Byłem dumny z twojego szczenięcego za-uroczenia, ale byłem też dla ciebie niewyobrażalnie stary. Teraz nie jestem już tak stary, a ty jesteś taka śliczna... Nie, nie, wysłuchaj mnie, proszę! Doris, kocham cię i czuję, że ty kochasz mnie, ale...

Podczas krótkiej chwili milczenia Foote mógł dosłyszeć szybki, urywany oddech, który Doris Gilmore starała się opanować.

Skręcał go wstyd. Nie miał prawa...

– Ale musimy poczekać, Doris... Póki nie ostrzegę cię przed czymś, o czym wtedy żadne z nas nie mogło nawet śnić.

– Ostrzec mnie?

– Tak. – Jarmoskowski znowu urwał. –

Będzie ci trudno w to uwierzyć – powie-644

dział w końcu. – Ale jeśli uwierzysz, mo-

żemy być szczęśliwi. Doris, ja nie mogę być sceptykiem. Jestem...

Urwał. Z roztargnieniem patrzył na ręce kobiety, jakby tam szukał odpowiednich słów. Potem obrócił jej dłonie. Twarz pianisty wyrażała przerażenie i Foote zobaczył, jak spazmatycznie ścisną jej ręce.

W tym momencie zrozumiał, że nie my-

lił się co do Jarmoskowskiego, I mimo zadowolenia, on także był przerażony.

Na sekundę Jarmoskowski zamknął

oczy. Mięśnie wzdłuż szczęki zarysowały się wyraźnie – tak mocno zaciskał zęby.

Potem stanowczym ruchem zwinął dłonie Doris w pięści, a te jego dziwne palce owinęły się wokół nich. Kiedy znowu otworzył oczy, rozbłysły w słabym świetle czerwonym płomieniem.

Doris wyrwała mu ręce i skrzyżowała je na piersi.

645

– Janie, o co chodzi? Co ci się stało?

Jego twarz powinna rozpaść się na ka-

walki pod naporem emocji, które przeżywał i które szukały ujścia. Jednak opanował mimikę, powoli, mięsień po mięśniu.

– Nic – odpowiedział. – To, co chciałem powiedzieć, naprawdę nie ma żadnego sensu. Miło znowu cię spotkać, Doris. Dobranoc.

Minął ją, doszedł do końca korytarza i gwałtownie otworzył drzwi do swojego pokoju. Foote

ledwo zdołał się cofnąć.

Za domem zawył pies, a potem zamilkł.

II

W pokoju Jarmoskowskiego światło księżyca, wpadające przez otwarte okno, tańczyło na starannie posłanym łóżku, a lodowate powietrze wdzierało się w każdy zakamarek. Zamknął drzwi i przeszedł

646

przez pokój pewnym krokiem, prosto do stolika przy łóżku. Kiedy przeciął smugę srebrnego światła, jego cień wydał się dziwnie skrócony, jakby mężczyzna siedł na czworakach. Sięgnął po stojącą na stoliku lampę.

Nagle zastygł bez ruchu, z ręką w połowie drogi do przełącznika. Wydawał się nasłuchiwać. W końcu odwrócił się i spojrzał prosto w to miejsce za drzwiami, gdzie stał Foote.

Był to najciemniejszy punkt całego pokoju, ukryty przed światłem księżyca. Ale Jarmoskowski powiedział natychmiast:

– Witaj, Paul. Jeszcze nie śpisz o tej porze?

Foote nie odpowiedział od razu. Jego zmysły były wciąż otępiłe z powodu alkoholu.

Przytłoczyło go to, o czym teraz?

wiedział już na pewno. Stał w ciemności bez słowa, obserwując ledwo widoczną 647 postać Polaka przy łóżku. Własny oddech wydawał mu się bardzo głośny. Szeroka, płaska smuga światła księżyca płynęła między nimi niczym metaliczna rzeka.

– Zaraz pójde – powiedział w końcu.

Jego głos zdawał się monotony, martwy i odległy, jakby należał do kogoś zupełnie innego. – Chciałem tylko dać ci małe ostrzeżenie.

– Proszę, proszę – odparł uprzejmie Jarmoskowski. – Zdaje się, że ostrzeżenia są dziś w modzie.

Czy zawsze składasz grzecznościowe wizyty z nożem w rękę?

– To jest właśnie to ostrzeżenie, Jarmoskowski. Ten nóż jest ze srebra.

– Musisz być bardziej pijany, niż na to wyglądasz – stwierdził pianista. – Może pójdziesz już do łóżka? Możemy o tym porozmawiać rano.

– Nie wciskaj mi kitu – warknął Foote. –

Nie oszukasz mnie. Wiem, kim jesteś.

648

– Niech będzie, połknę tę przynętę, jak mawia Bennigton.

– Tak, połknąłbyś – odparł Foote głosem,

który jednak trochę drżał. – Mam to nazwać po imieniu, Jarmoskowski? W Polsce nazywali cię wilkołakiem, prawda? A we Francji *loup-garou*. W Karpatach mówili *stregoica* albo *strega*, albo *vlkoslak*.

– Twoja znajomość języków znacznie przewyższa twój rozsądek. Ale dziwnie mnie to zainteresowało. Czy pora nie jest trochę nieodpowiednia na takie rzeczy?

Rośliny jaskrowate nie kwitną w środku zimy. A może na to, co nazywasz w tak wielu językach, też w 1962 roku nie ma sezonu?

– Psy cię nienawidzą – powiedział cicho Foote. – Brucey dał znakomite przedstawienie, kiedy Tom przyprowadził go ze spaceru i spotkał ciebie. Przeszedł bokiem przez cały pokój, warcząc i obserwował

649

każdy twój krok, póki Tom go nie wycią-

gnał. Teraz wyje. A jak cię zatrzęśło, kiedy dotknąłeś sreber stołowych... Słyszałem, jak zwałeś to na buty z gumowymi pode-szwami. Jeśli pamiętasz, zajrzałem pod stół i zobaczyłem, że masz skórzane pode-szwy. Ale to i tak była kiepska wymówka, bo każdy wie, że prąd nie może kopnąć przez nieuziemione sztucce, guma nie guma. Srebro cię zraniło, kiedy go dotkną-

łeś po raz pierwszy. Srebro jest zabójcze, prawda? I te palce. Wskazujące tej samej długości co środkowe. Sprytnie to rozegra-

łeś. Starannie zwróciłeś na nie uwagę wszystkich. Nikt nie dostrzega tego, co ma pod nosem. Ale, Jarmoskowski, tej sztuczki ze skradzionym listem za często używano w kryminałach. Lundgren nie dał się na nią nabrać i ja też nie.

– Ach – odparł Jarmoskowski. – Niezły katalog.

650

– To nie wszystko. Jak to się stało, że w dzień miałeś szare oczy, a po wschodzie księżycy stały się czerwone? I wewnątrz dło-ni. Rosną tam włosy, które zgoliłeś, prawda, Jarmoskowski? Widziałem, jak się dra-piesz. Wszystko, twój wygląd, twoje zachowanie... To mówi o twojej naturze w tuzinie języków każdemu, kto umie rozpoznać znaki.

Jarmoskowski odezwał się po długim milczeniu.

– Rozumiem. Jesteś bardzo spostrze-gawczy, Paul. Najwyraźniej należysz do tak zwanych podejrzliwych pijaków. Ale nie lekceważę twojego ostrzeżenia. Założ-

my, że to, co mówiłeś, jest prawdą. Nie pomyślałeś, że skoro wiesz to, co wiesz, nie będę miał wyboru? Że słowa, które wypowiedziałeś, mogą naznaczyć twoją dłoń pentagramem?

Foote nie pomyślał o tym. Zbyt długo

651

starał się przekonać samego siebie, że to wszystko tylko mu się przywidziało.

Owładnął nim nagle oślepiający strach.

Srebrny nóż z brzękiem upadł na podłogę.

Uniósł dłonie i wpatrywał się w nie z przerażeniem, wysilając oczy w ciemnościach.

Wszystkie straszliwe implikacje sugestii Jarmoskowskiego wyzwoliły paraliżujący lęk.

– A więc nie pomyślałeś – rozległ się drwiący głos pianisty z drugiej strony pokoju. – Lepiej późno niż wcale, Paul.

Niewyraźna sylwetka mężczyzny zaczę-

ła wić się i falować w odbitym świetle księżycy. Skróciła się, skręcając obrzydli-wie, opadła na podłogę, a zarówno skóra, jak i ubranie zmieniały się w coś niewyobrażalnie dziwnego.

Z gardła Foote'a wyrwał się krzyk. Go-rączkowo, niczym w sennym koszmarze, zmusił nogi do ruchu. Jego dłoń zacisnęła 652

się na klamce. Oderwał z trudem wzrok od tego, co działo się w drugim końcu pokoju i co fascynowało go z hipnotyczną siłą.

Wyskoczył ze swojego kąta prosto na korytarz.

Zaledwie sekundę po tym, jak zatrzasnął

drzwi, z drugiej strony coś uderzyło w nie ze straszliwą siłą. Deski pękły. Naparł na nie i przytrzymał, żeby się nie otworzy-ły.

Niewyraźna biała sylwetka przemknęła korytarzem w jego kierunku. Poczuł kolejny spazm strachu. Po plecach, bokach, w oczy popłynęły krople zimnego potu. Ale to była tylko dziewczyna.

– Paul! Co się dzieje? O co tu chodzi?

– Szybko! – wykrztusił. – Łap coś srebrnego. Coś zrobione ze srebra. Szybko, szybko!

Była zaskoczona, ale gorączkowy niepokój w jego głosie przekonał ją. Pobieгла z 653 powrotem do swojego pokoju.

Foote'owi wydawało się, że minęła cała wieczność, nim wróciła – wieczność, przez którą on nasłuchiwał nadnaturalnie wyostrzonym słuchem dźwięków dobiegających z pokoju. Raz wydało mu się, że słyszy cichy warkot, ale nie był pewien. Krew syczała i bulgotała w jego żyłach, pędziła przez naczynia w uszach, i to go ogłuszało.

Przywarł do klamki, ciężko dysząc.

Nadeszła dziewczyna, niosąc prawie metrowej długości srebrny świecznik; jak na broń był zbyt masywny, gdyż osłabione strachem mięśnie ledwo pozwoliły mu go podnieść. Złapał klamkę lewą ręką, a w prawej niezręcznie uniósł przedmiot.

– Dobrze – powiedział tonem, który miał zabrzmieć ponuro. – Teraz może przyjść.

– Na litość boską, o co w tym wszystkim chodzi? – spytała Doris. – Pobudzisz 654

wszystkich tym hałasem. Spójrz, nawet ja-kiś pies przyszedł zobaczyć...

– Pies!

Odwrócił się błyskawicznie, puszczając klamkę. Niecałe dziesięć kroków za nimi stało olbrzymie, czarne jak węgiel zwierzę, mające prawie półtora metra wysokości.

Uśmiechnęło się do nich, obnażając lśniące kły. Jak tylko dostrzegło ruch Foote'a, warknęło złowrogo. W świetle jedynej lampy jego oczy lśniły czerwono.

Skoczyło.

Foote wysoko podniósł świecznik, a potem opuścił – ale zwierzęcia nie było. Na drugim końcu korytarza dostrzegł jakiś ruch, lecz za chwilę zapanowały ciemność i cisza.

– Zobaczył świecznik – wydyszał Foote.

– Musiał wyskoczyć oknem i wrócić przez frontowe drzwi. Zobaczył srebro i zwiął.

– Paul! – krzyknęła Doris. – Co... skąd 655

wiedziałeś, że skoczy? Był taki ogromny!

Srebro...

Zaśmiał się, zaskakując nawet samego siebie. Mógł sobie wyobrazić, jak prawda zabrzmiała dla Doris.

– To – oznajmił – był wilk, i to ogromny. Nawet zwykły wilk nie jest specjalnie przyjazny, a...

Piętro wyżej usłyszeli kroki, a od strony schodów rozległ się głos Newcliffe'a, użalającego się głośno. Newcliffe lubił hałaśliwe wieczory i ciche noce. Najwyraźniej cały dom słyszał awanturę, gdyż po chwili w korytarzu zaroilo się od na wpół ubranych postaci, wypytyjących, co się dzieje.

Nagle rozbłysły światła, ukazując zaspane twarze i ludzi w piżamach, pośpiesznie naciągających szlafroki. Newcliffe zszedł

po schodach. Towarzyszyła mu Caroline, która nawet zaspana wyglądała nienaganie. Na jej twarzy malowała się otwarta, 656

szczerą ignorancją i bezwstydnym pięknem.

Stanowiła idealne uzupełnienie dla Toma.

Nie była żadną lwicą salonową, ale uwielbiała przyjęcia. Teraz wydawała się zadowolona, że przyjęcie na nowo się rozkręca.

– Co tu się dzieje? – zapytał szorstko Newcliffe. – Foote, czy ty jesteś powodem takiego zamieszania? Skąd te hałasy?

– Wilkołak – odpowiedział Foote, rozumiejąc nagle, że tutaj to słowo będzie całym bez znaczenia. – Mamy wilkołaka. I ktoś jest wyznaczony na jego ofiarę.

Jak inaczej mógł to ująć?

Rozległo się chóralne „Co takiego?” i grupa wokół niego zawrzała. „Co? Co on mówił?...

Myślałem, że powiedział wilko-

łak... O co w tym wszystkim chodzi?...

Ktoś był wilkiem... Jak zwykle? O co tyle hałasu?”.

– Paul – przebił się przez rozgardiasz głos Lundgren. – Szczegóły, proszę!

657

– Jarmoskowski jest wilkołakiem –

oznajmił ponuro Foote, starając się, by jego głos brzmiał obojętnie i rzeczowo. –

Podejrzałem to przez cały wieczór. Poszedłem do jego pokoju i oskarżyłem go o to.

Natychmiast się przeobraził, na moich oczach. Znowu oblał go pot na wspomnienie tej straszliwej, ledwo dostrzeżonej zmiany. – Wszedł na korytarz i zaatakował nas, a ja odstraszyłem go, używając srebrnego świecznika jako maczugi. – Nagle zauważył, że wciąż trzyma świecznik, więc zamachał nim na dowód. – Doris widziała wilka. Potwierdzi.

– Widziałam coś podobnego do psa, fakt

– przyznała Doris. – I to rzuciło się na nas.

Było czarne z wielkimi zębami. Ale...

Paul, czy to miał być Jan? Przecież to idiotyczne!

– Owszem – potwierdził surowo Newc-

liffe. – Zerwałeś nas z łóżek, by zrobić ka-658

wał. Pewnie jeden z psów uciekł.

– Masz czarnego psa wysokości półtora metra? – zapytał desperacko Foote. – A gdzie jest teraz Jarmoskowski? Dlaczego go tu nie ma? Powiedz mi to!

Bennington chrząknął sceptycznie i otworzył drzwi pokoju Jarmoskowskiego.

Wszyscy usiłowali wepchnąć się do środka. Foote precyzyjnie przeszedł przez powstały zator.

– Widzicie? Tu też go nie ma. A w jego łóżku nikt nie spał. Doris widziała, jak tu wszedł. A widziałaś, jak wychodzi?

Dziewczyna była zaskoczona.

– Nie, ale byłam w swoim pokoju...

– No dobrze. Tutaj. Spójrzcie na to. –

Foote zaprowadził ich do okna i wskazał. –

Widzicie? Te ślady na śniegu?

Po kolei wychylali się przez okno. Z

tym nie można było się spierać. Ślady zwierzęcia, jakby dużego psa, odchodziły 659

spod okna Jarmoskowskiego – a pod sa-

mym oknem widać było, że na śniegu wy-lądowało coś ciężkiego.

– Idźcie po tych śladach – powiedział

Foote. – Prowadzą do frontowych drzwi i do środka.

– Zbadałeś je już? – spytał James.

– Nie muszę. Widziałem to stworzenie, James.

– Może po prostu poszedł na spacer –

zasugerowała Caroline.

– Boso? Tu są jego buty.

Bennington przeskoczył przez parapet, ze zręcznością zdumiewającą u tak korpu-lentnego mężczyzny, i w kapciach podążył

po śladach. Po chwili zjawił się w pokoju.

– Paul ma rację – oznajmił, przekrzykując podniecone głosy. – Ślady prowadzą do frontowych drzwi, a potem znowu wychodzą i wiodą wzdłuż domu w stronę pola golfowego.

660

Niezręcznie zawiązał mokre spodnie od piżamy.

– To wariactwo – zawołał ze złością Newcliffe. – Mamy dwudziesty wiek. Nie jesteśmy bandą dzieciaków, bojących się ciemności. Nie ma żadnych wilkołaków.

– Nie założyłbym się o to – powiedział

James. – Miliony wierzyły w nie przez wieki.

Newcliffe zwrócił się gwałtownie do Lundgrena.

– Chris, przynajmniej na twoim rozsąd-ku mogę polegać.

Psychiatra uśmiechnął się słabo.

– Nie czytałeś mojego wykładu ze Sztokholmu, prawda, Tom? Chodzi mi o ten wykład na temat chorób umysłowych.

Większa jego część poświęcona była likantropii – wilkołactwu.

– To znaczy... Ty wierzysz w tę idiotyczną historię?

661

– Zwróciłem uwagę na Jarmoskowskiego na samym początku wieczoru – odpowiedział Lundgren. – Musiał wygolić wnę-

trza dłoni, ale były inne oznaki – po wschodzie księżyca oczy nabiegały mu krwią, palce wskazujący i środkowy są tej samej długości, ma szpiczaste uszy, wypukłe kości czołowe, wydłużone górne czwórki, czyli kły. Jednym słowem, typowy okaz hiperpinealiczny – likantrop.

– Dlaczego nic nie powiedziałeś?

– Nie lubię być wyśmiewany – oznajmił

sucho Lundgren. – I nie chciałem zwracać na siebie uwagi Jarmoskowskiego. Łatwo sobie zrobić wroga z kogoś, mającego takie zaburzenia hormonalne.

Foote uśmiechnął się ponuro. Gdyby o

tym pomyślał, zanim oskarżył Jarmoskowskiego, ugryzłby się w język.

– Likantropia zdarza się dosyć często –

ciągnął Lundgren. – Ale rzadko się o niej 662

wspomina. To mało znane zaburzenie w pracy mało znanego gruczołu. Pozornie pozwala ofierze kontrolować swoje ciało.

– Nadal nie przekonuje mnie cała ta sprawa – warknął Bennington z głębi swojej krągłej piersi. – Znam Jana od lat. Miły facet. Kiedyś bardzo mi pomógł. Mam wrażenie, że atmosfera jest już taka, iż nic jej nie zaszkodzi, jeśli powiem, że nie ufam Paulowi Foote'owi ani na jotę. Na Boga, Paul, jeśli się okaże, że to jakiś twój kawał...

– Spytaj Lundgrena – odparował Foote.

Zapanowała martwa cisza, przerywana tylko głośnymi oddechami. Wszyscy wiedzieli, że Lundgren jest największym na świecie autorytetem w sprawach szaleń-

stwa wywołanego przez hormony. Ale wydawało się, że jakoś nikt nie chce go pytać.

– Paul ma rację – powiedział w końcu

Lundgren. – Możecie w to wierzyć albo 663

nie. Jarmoskowski jest likantropem. Nad-miar pinearyny. Żaden inny gruczoł nie wpływa tak na naczynia krwionośne oczu ani nie umożliwia takiego przegrupowania komórek. Jarmoskowski jest niewątpliwie wilkołakiem.

Bennington oklapł, a niedowierzanie znikało powoli z jego oczu.

– Niech mnie diabli! – wymamrotał.

– Musimy go dzisiaj dopaść – powiedział Foote. – Zobaczył na czyjejś dłoni pentagram. U kogoś tutaj.

– A co to znaczy? – spytał James.

– Popularne złudzenie przy atakach likantropii – wyjaśnił Lundgren. – Halucynacja.

Pięcioramienna gwiazda wpisana w okrąg. Można ją znaleźć w rozmaitych mi-stycznych księgach, począwszy od tak zwanych czwartej i piątej księgi Mojżesza.

Wilkołak widzi to na dłoni swojej kolejnej ofiary.

664

Rozległ się krzyk Doris.

– A więc o to chodziło! O mój Boże, to ja! Dzisiaj wieczorem rozmawialiśmy na korytarzu i zobaczył coś na mojej dłoni.

Był bardzo zaskoczony i odszedł bez sło-wa. Powiedział, że chce mnie przed czymś ostrzec, a potem...

– Spokojnie – powiedział Bennington szeptem, który rozniósł się niczym grzmot.

– W tłumie jest bezpiecznie. Wszyscy tu jesteśmy. – Jednak nie zdołał się powstrzymać i zerkał przez ramię.

– Dobra, to wystarczy – oznajmił James cienkim ze zdenerwowania głosem. – Musimy wytropić... tę bestię i zabić. Powinno być łatwo wytropić go na śniegu. Musimy go zabić, zanim on zabije Doris albo kogoś innego. A nawet jeśli da nam spokój, to i tak lepiej, żeby nie włóczył się po okolicy.

– A czym chcesz go zabić? – zapytał rzeczowo Lundgren.

665

– Co?

– Pytałem, czym zamierzasz go zabić?

Mając pinearynę we krwi nie musi się przejmować zwykłymi kulami. A skoro nie ma tu w okolicy ani jednej kaplicy Św.

Huberta, nie możesz wystraszyć go na śmierć poświęconą kulą.

– Wystarczy srebro – odezwał się Foote.

– Tak, srebro wystarczy. Zatrują katalizę pinearyny. Ale jak zamierzasz polować na dorosłego wilka, gigantycznego wilka, używając jako broni noży stołowych i świeczników? A może ktoś tutaj zna się wystarczająco na metalurgii, żeby odlać porządną srebrną kulę?

Foote westchnął. Teraz spadł z niego ciężar dowodzenia prawdy. Pod wpływem szoku kompletnie wytrzeźwiał i czuł się trochę bardziej swojsko, mimo że pozostali byli sparaliżowani strachem.

– Zawsze wszystkim mówię – stwierdził

666

– że na imprezach u Newcliffe'ów człowiek nie nudzi się ani chwili.

III

Zegar wybił wpół do drugiej. Foote wziął jedną ze strzelb Newcliffe'a i zważył

ją w rękach. Nie wydawała się przydatna.

– Jak wam idzie? – zapytał.

Grupka zebrana przy stole pokiwała głowami jednocześnie, jak w komedii. Jeden z palników gazowych został przerobiony na gigantyczny palnik Bunsena, na którym próbowali stopić parę niepotrzebnych srebrnych przedmiotów, głównie produkcji meksykańskiej.

Użyli do tego niewielkiej ceramicznej miski, też meksykańskiej. Przykryto ją denkiem doniczki, w którym dziurę zatka-no mieszaniną gliny z ogrodu i kawałków wyskubanych z izolacji na strychu. Płó-667

mień podskakiwał niepewnie i rzucał niesamowite cienie na ich napięte twarze.

– Udało nam się je roztopić – powiedział Bennington, ostrożnie unosząc po-krywkę kuchennymi szczypcami i zagłąda-jąc do środka. – Ale co teraz? Mamy spuszczać kropelki z wieży?

– Wilka nie da się zabić śrutem – za-

uważył Newcliffe. Teraz, kiedy chwilowo odeszli od spraw nadnaturalnych i oma-wiali kwestie dotyczące polowania, był w swoim żywiole. – A zresztą, nie mam po-rządnej śrutówki. Ale chyba uda nam się zrobić jakąś formę. Kula powinna być na tyle miękka, żeby nie rozwalić moich strzelb.

Otworzył drzwi do piwnicy i zniknął w nich, niosąc w ręce kilka zwykłych nabojów. W oddali psy znowu zaczęły wyć.

Doris zadrżała. Foote objął ją ramieniem.

– Będzie dobrze – powiedział. – Dopad-668

niemy go. Jesteś bezpieczna.

Z trudem przełknęła ślinę.

– Wiem – zgodziła się cichutko. – Ale kiedy sobie przypomnę, jak patrzył na moje ręce, jakie czerwone były jego oczy...

Myślisz, że może chodzić po domu? Dlatego psy tak wyją?

– Nie wiem – odpowiedział Foote ostrożnie. – Ale psy są dziwne. Wyczuwa-ją różne rzeczy z bardzo daleka. Pewnie człowiek z pinearyną we krwi ma bardzo silny zapach. Ale on chyba wie, że chcemy go wykończyć, więc jeśli ma choć trochę oleju w głowie, nie będzie się tu kręcił.

Zdobyła się na niepewny uśmiech.

– Dobrze. Spróbuję się nie bać.

Poklepał ją uspokajająco po ramieniu, raczej niezręcznie, czując cały absurd sytuacji.

– Myślisz, że możemy wykorzystać psy?

– zapytał James.

669

– Na pewno – odparł Lundgren. – Psy zawsze były naszymi najlepszymi sprzymierzeńcami przeciw nadnaturalnemu. Widzieliście, jak obecność Jarmoskowskiego rozwścieczyła dzisiaj Bruceya. Musiał wyczuć nadchodzący atak. A, Tom... co ci się udało osiągnąć?

Newcliffe położył na stole drewniane pudełko.

– Wyciągnąłem kule z łusek, po jednej na każdą strzelbę, i zrobiłem odciski w glinie – oznajmił. – W tym zimnie jest dość twarda, więc forma nadaje się do użytku.

Dawajcie srebro.

Bennington uniósł zaimprovizowany ty-giel z palnika, który natychmiast wystrzelił

wysokim, niebieskim płomieniem. James wyłączył go ostrożnie.

– Dobra, lej – polecił Newcliffe. –

Lundgren, myślisz, że odmówienie modlitwy czy czegoś podobnego może pomóc?

670

– Nie, jeśli Jarmoskowski tego nie usłyszy. A gdyby słyszał, pewnie też by nic nie dało, bo nie ma tu księdza.

– Niech będzie. Bennington, lej, zanim zastygnie.

Bennington nalał kiepsko roztopionego srebra do każdego wgłębienia w glinie, a Newcliffe oczyścił je z osadu, zanim za-częło twardnieć. W innych okoliczno-

ściach cała ta scena byłaby zabawna – teraz stała się ponurą groteską. Newcliffe wziął pudełko i zaniósł z powrotem do piwnicy, gdzie łuski czekały na nowe kule.

– Kto bierze broń? – zapytał Foote. –

Mamy pięć strzelb. James, ty?

– Nie trafiłbym w słońca z trzech kro-ków. Tom jest świetnym strzelcem. Bennington też, przynajmniej ze śrutówki.

– Strzelby też umiem używać – powiedział nieśmiało Bennington.

– Trochę kiedyś strzelałem – odezwał

671

się Foote. – W bitwie pod Bulge nawet w coś trafiłem.

– Ja – oznajmił Lundgren – jestem członkiem honorowym szwajcarskiej armii.

Nikt się nie śmiał. Większość zdała sobie sprawę, że Lundgren przechwala się na swój mętny sposób, a skoro tak, to ma się czym chwalić. Nagle Newcliffe wyłonił się z piwnicy.

– Wyciągnąłem je, ochłodziłem śnie-giem i wygładziłem pilnikiem. Pewnie się skryształizowały, ale to nie powinno zaszkodzić.

Załadował po jednym naboju do każdej strzelby.

– Nie ma po co ładować czymś więcej.

Chris mówi, że zwykłe kule i tak nic nie dadzą. Kogo wybrano?

Foote, Lundgren i Bennington wzięli po strzelbie. Newcliffe wziął czwartą dla siebie, a ostatnią podał żonie.

– Hej, moment – zaprotestował James. –

Tom, myślisz, że to dobry pomysł? Chodzi mi o Caroline.

– Jasne – odparł zaskoczony Newcliffe.

– Strzela jak mało kto. Parę razy odebrała mi wygraną. Myślałem, że idziemy wszyscy.

– Nie, lepiej nie – wtrącił się Foote. –

Zwłaszcza Doris, skoro wilk... To znaczy, moim zdaniem, nie powinna iść.

– Zostawisz ją tu samą?

– O, nie! – wykrzyknęła Doris. – Nie tutaj! Muszę iść z wami! Nie chcę czekać sama w tym domu.

On może wrócić, jak

nikogo nie będzie. Nie wytrzymałabym!

– Idziemy wszyscy – zdecydował New-

cliffe. – Nie możemy zostawić Doris bez opieki, a Caroline jest nam potrzebna jako strzelec.

Chodźmy. Już druga. – i Nałożył

swój ciężki płaszcz i w towarzystwie za-673

spanego lokaja poszedł po psy. Doris i Caroline przebrały się w kombinezony narciarskie.

Wszyscy gromadzili się w salonie. Spojrzenie Lundgren'a zatrzymało się na wazonie kwiatów podobnych do iry-sów.

– A to co? – zapytał.

– Takie kwiaty – poinformowała go Ca-

roline. – Hodujemy je w cieplarni. Ładne, prawda? Ale ogrodnik mówi, że są trujące.

– Chris – odezwał się Foote. – To chyba nie tojad?

Psychiatra pokręcił głową.

– Nie jestem botanikiem. Nie odróżniam jednej rośliny jaskrowatej od innych. Ale to nie ma znaczenia. Hiperpinealicy są uczuleni na całą grupę. Chodzi o pyłek. To jak katar sienny.

Hiperpinealik wdycha py-

łek, pojawia się reakcja alergiczna...

– Ostateczny cios – mruknął James.

Na zewnątrz rozległ się jazgot psów do-674

wodzący, że Newcliffe jest gotowy. Wszyscy z poważnymi minami skierowali się do frontowych drzwi. Z jakiegoś powodu stawali się nie deptać po śladach wilka na śniegu. Wyglądali jak skazańcy w drodze na szafot. Lundgren zabrał jeden z kwiatów z wazonu.

Księżyc przeszedł już zenit i zbliżał się do horyzontu. Dom rzucał cień wielki niczym Bastylia. Było jeszcze dość jasno, a w samym domu paliły się wszystkie światła, od piwnic do pokoju na szczycie wie-

ży. Lundgren zlokalizował w kotłującej się, jazgoczącej sforcie Bruceya i szybkim ruchem wepchnął mu kwiat pod nos. Pies powąchał raz, po czym przycałił się i warknął cicho.

– Tojad – orzekł Lundgren. – Psy nie reagują na inne jaskrowate. Stąd na pewno wzięła się ta legenda. Lepiej wyrzucić tego ogrodnika, Caroline. Najbardziej on jest 675

winien tego wszystkiego, mimo że jest środek zimy. Normalnie likantropia to jesien-na przypadłość.

James wyrecytował:

Nawet cnotliwy, co mówi pacierze.

Co nocy, nim kładzie się spać,

W pełni księżycy, gdy tojad zakwitnie, Złym wilkiem może się stać.

– Przestań, straszysz mnie – warknął ze złością Foote.

– Pies już wie – stwierdził Newcliffe. –

Dobrze. Byłoby trudno znaleźć zimny trop na śniegu, ale teraz Brucey poprowadzi.

Chodźmy.

Ślady wilka były wyraźnie widoczne.

Śnieg zamienił się w białą skorupę, z któ-

rej wiatr podnosił wiry delikatnych lodo-wych kryształków. Ślady prowadziły wzdłuż domu i przez pole golfowe. Mała 676

grupka maszerowała w ponurym milczeniu. Dla psów ślad był zimny, ale mimo to co jakiś czas łapały trop i biegły naprzód, ciągnąc ludzi za sobą. Jednak przeważnie musieli polegać na własnym wzroku.

Na zachodzie zbierały się ciężkie chmu-ry. Księżyc obniżał się. Cień Foote'a, groteskowo wydłużony, szedł przed nim, a twardy śnieg trzeszczał pod stopami. Noc była nienaturalnie spokojna. Wszyscy szli naprzód w pełnej napięcia ciszy, którą od czasu do czasu przerywały słabe warknięcia i poszczekiwanie.

W jednym miejscu ślady zmieniły kierunek, a potem zawróciły jeszcze raz, jakby potwór odwrócił się na chwilę, by spojrzeć na dom, przed ruszeniem na łowy. Jednak przeważnie trop prowadził prosto do granicy lasu.

Kiedy dokoła nich zgęstniały krzaki, przystanęli, uważnie się rozglądając.

677

Strzelby trzymali w pogotowiu. Daleko za nimi cienie chmur znowu zaczęły się poruszać. Jasno oświetlony dom wyglądał niesamowicie wśród ciemności.

– Trzeba było pogasić światła – mruknął

Newcliffe. – Świetnie nas widać na tym tle.

Psy szarpały smycze. Od ciemności na

zachodzie niosły się odległe odgłosy zimo-wej burzy. Brucey biegł w stronę lasu, węszył i warczał.

– Jest tam.

– To lepiej chodźmy – szepnął Bennington. – Za jakieś pięć minut zrobi się ciemno. Idzie burza.

Wciąż się wahali, obserwując groźny mrok lasu. Potem Newcliffe zamachał

strzelbą w konwencjonalnym geście znaczącym „rozproszyc się” i ruszył przed siebie. Reszta rozciągnęła się w luźny szereg i poszła za nim. Palec Foote'a drżał na cyn-678

glu.

Mroczny las był miejscem pełnym zaci-

skających się pazurów, powykręcanych ciał, dostrzegalnych na moment demonicz-nych twarzy schwytych w pułapkę po-

tworów. Była to dżungla Dantego, lasy Czyśca, gdzie każde drzewo wydawało się ciałem zastygłym w agonii, a gałęzie sękatymi ramionami i palcami, które jęcza-

ły na wietrze albo łamały się z ostrym krzykiem.

Coś chwyciło Foote'a za nogi. Jego sto-py rozdarły skorupę śniegu lub, przeciwnie, zostały przez nią przytrzymane, kiedy najmniej się tego spodziewał; ramionami uderzył w niewidoczne pnie.

Wyimagino-wane stworzenia obwącichiwały obcasy bu-tów, krążyły wokół niego poza zasięgiem wzroku. Dotknięcie ręki wystarczyło, żeby podskoczył i z trudem zdławił krzyk. Psy szarpały się i

dyszały. Nie warczały teraz, 679

milczały, wściekle i spięte.

– Coś wywachały – szepnął Bennington.

– Tom, mam je puścić?

Newcliffe pochylił się i uwolnił psy. Nie wydając żadnych odgłosów, zwierzęta pomknęły do przodu i zniknęły.

Nad lasem chmury zwiastujące nadciągającą burzę wpełzały już na księżyc. Zapanowała absolutna ciemność. W wolnej ręce Newcliffe'a rozblął promień latarki, oświetlając ślady na śniegu. Wokół smugi białoniebieskiego światła noc stała się jeszcze ciemniejsza.

– Wolałbym tego nie robić – powiedział

Newcliffe. – Ujawniamy się. Ale on wie, że... O, śnieg pada.

– Lepiej chodźmy – stwierdził Foote. –

Niedługo zasypie ślady.

Nagle w lesie rozległo się straszliwe, ja-zgotliwe szczekanie.

– Właśnie tak! – wrzasnął Newcliffe. –

680

Posłuchajcie tylko! Bierz go, Brucey!

Pobiegli przed siebie. Serce Foote'a biło jak szalone, nerwy były napięte do granic możliwości. Szczekanie psów rozbrzmiewało wszędzie dookoła, wypełniało hałasem niemal cały wszechświat.

– Musiały go zobaczyć – wydyszał. –

Ale jazgot! Pobudzą całą okolicę.

Przedzierali się na oślep przez ośnieżony las. Niespodziewanie wypadli na małą polanę.

Powietrze było gęste od wirują-

cych płatków śniegu. Coś przebiegło mię-

dzy nogami Foote'a z wściekłym szczekaniem, a on potknął się i upadł w śnieg.

Ktoś krzychał coś niezrozumiałego. Foote miał usta pełne śniegu. Podniósł głowę... i spojrzał prosto w czerwone, płonące wściekle ślepie wilka.

Stał po drugiej stronie polany, naprzeciwko niego. Dookoła skakały psy, z furią atakując jego łapy. Wilk nie wydał żadnego-

681
go dźwięku, skulił się jak tygrys, obnażając zęby w parodii uśmiechu Jarmoskowskiego. Kiedy psy się zbliżyły, zaatakował

wściekle. Jeden z nich wił się już na ziemi, a rozlewająca się ciemna kałuża plamiła śnieg.

– Strzelajcie, na litość boską! – krzyknął

ktoś.

Newcliffe oparł strzelbę o ramię, po czym opuścił ją niepewnie.

– Nie mogę – powiedział. – Psy prze-

szkadzają.

– Do diabła z psami! – krzyknął James.

– To nie polowanie na lisa! Strzelaj, Tom, tylko ty masz wolny strzał!

Ale to Foote wystrzelił pierwszy. Wy-

strzał odbił się echem po całym lesie, a za tylnymi łapami wilka trysnęła mała fontanna śniegu.

Usłyszał jęk, nad którym górował głos Newcliffe'a, przywołującego psy.

Bennington wymierzył z wielką staranno-

682
ścią.

Wilkołak nie czekał. Przeraził warcząc, wyrwał się z kręgu psów i zaatakował.

Foote skoczył przed Doris, zasłaniając gardło ręką. To, co się działo, to istne pandemonium, pełne wrzasków, krzyków i ha-

łasliwej nienawiści psów. Newcliffe'owi wypadła latarka i nie mógł jej odnaleźć w śnieżnej zamieci.

Potem słyhać było ciężkie kroki kogoś uciekającego. Krzyki w końcu ucichły.

– Komuś coś się stało? – zapytał James.

Odpowiedział mu chórek zaprzeczeń.

Newcliffe znalazł latarkę i wymachiwał

nią, ale światło nie pokazało nic oprócz cieni i śnieżnego confetti.

– Uciekł – powiedział Bennington. – A teraz śnieg przysypie jego ślady. Tom, lepiej odwołaj psy.

– Wróciły – odpowiedział Newcliffe. –

683

Jak je wołam, to przychodzą.

Pochylił się nad rannym zwierzęciem, które wciąż jeszcze się poruszało.

– Spokojnie – powiedział łagodnie. –

Spokojnie, Brucey. Dobrze, Brucey, dobrze.

Mrucząc tak, jedną ręką wycelował

strzelbę. Ogon psa uderzał słabo w śnieg.

– Dobrze, Brucey.

Rozległ się strzał.

Newcliffe wstał i odwrócił wzrok.

– Chyba przegraliśmy pierwszą rundę –

powiedział bezbarwnym głosem.

IV

Zdawało się, że wschód słońca nadszedł

bardzo szybko. Lokaj z majestatycznym spokojem chodził po domu, wyłączając światła. Nawet jeśli wiedział, co się działo, to w żaden sposób tego nie okazywał.

684

– Cappy? – powiedział Newcliffe do słuchawki. – Słuchaj, i nic nie po – kręć.

To bardzo ważne. Wyślij telegram do Consolidated Warfare Service. Nie, nie do Zurychu, mają biuro w Londynie. Zamów skrzynię naboju do strzelb kaliber 44. Słuchaj mnie, do cholery, jeszcze nie skończy-

łem. Kule muszą być srebrne. Tak, srebrne, i lepiej, żeby to było czyste srebro. Nie, niekoniecznie najwyższej próby, będzie za twarde. Powiedz, że mają dostarczyć samolotem, jutro. Tak, wiem, że to niemożliwe, ale jeśli zaproponujesz dosyć... Tak, jasne, że zapłacę. Zrozumiałeś?

– Czosnek – dyktował Lundgren. Caroli-ne posłusznie dopisała go do listy zakupów. – Ile jest okien w tym domu? Dobra, niech będzie po ząbku na okno. Weź też z tuzin pudełek rozmarynu. – Zwrócił się do Foote'a. – Musimy zadbać o każdy szczegół – wyjaśnił poważnie. – Jak tylko Tom

685

skończy rozmowę, spróbuję dodzwonić się do miejscowego księdza i sprowadzić go z ładunkiem srebrnych krucyfiksów. Paul, musisz zrozumieć, że cała ta średniowiecz-na gadanina ma solidne fizjologiczne podstawy. Zioła działają jak efedryna przy ka-tarze siennym – zmniejszają siłę ataku.

Możliwe, że jeśli Jan dobrze sobie pową-

cha, nie będzie mógł utrzymać wilczego kształtu. Jeśli chodzi o religijne akcesoria, to działają psychologicznie. Jeśli Jan podchodzi do tego sceptycznie, to mu nie zaszkodzą, ale podejrzewam, że jest... – An-gielszczyzna Lundgrena okazała się niewy-starczająca. Słowa, którego szukał, najwyraźniej nie było w jego słowniku. – *Aber-glaeubig* – powiedział. – *Criandre*.

– Przesądny? – zasugerował Foote z ponurym uśmiechem.

– Tak. Tak, z pewnością. Czy ktoś może mieć lepsze powody niż on?

686

– Ale jak on w ogóle utrzymuje postać wilka?

– O, to jest najłatwiejsze. Wiesz, jak woda przyjmuje kształty swojego naczynia? Protoplazma też jest płynem. Pinearyna to hormon, który zmniejsza napięcie powierzchniowe komórek, a jednocześnie podporządkowuje współczulny układ nerwowy korze mózgowej. W rezultacie ciało staje się do pewnego stopnia plastyczne.

Przemiana w wilka jest najłatwiejsza ze względu na podobieństwo szkieletów. Pinearyna niewiele może zrobić z kośćmi.

Małpa człekokształtna byłaby jeszcze prostsza, ale one nie jedzą ludzi.

– A wampiry? Czy to bardziej zaawansowana forma tego samego?

– Wampiry – oznajmił Lundgren z wyśzością – to ludzie, których zamykamy w celach bez klamek. Nie można zmienić szkieletu aż tak bardzo. Im się tylko wyda-

687
je, że są nietoperzami. Ale owszem, to zaawansowany hiperpinealizm. W ostatnim stadium to naprawdę niesamowite. Napię-

cie powierzchniowe obniża się tak dalece, że komórki zaczynają się gotować. Wkrótce zostaje tylko mokra plama. Proces usta-je, kiedy układ krwionośny nie może już rozprowadzać hormonu, ale oczywiście ofiara umiera dużo wcześniej.

– Nie ma lekarstwa?

– Na razie nie. Może kiedyś, ale do tego czasu... Dla Jana będzie tak najlepiej.

– I jeszcze – mówił Newcliffe – przywieź mi tutaj sześć automatycznych karabinków Browninga. Mniejsza o podstawki, wystarczą same karabinki. Co? Możesz to uznać za obłączenie. Dobra, Cappy. Nie.

Dzisiaj nie przyjdę. Zapłać wszystkim i wyślij ich do domu do odwołania.

– Dobrze, że Newcliffe ma pieniądze – stwierdził Foote.

688

– Dobrze, że ma mnie – powiedział

Lundgren. – I ciebie. Zobaczymy, jak dwudziestowieczne środki poradzą sobie ze średniowieczną chorobą.

Newcliffe odłożył słuchawkę i Lundgren przejął telefon.

– Jak tylko mój człowiek wróci z wioski, rozstawimy pułapki. Może potrafi wyczuć ukryty metal. Widziałem, że niektóre psy umieją go wywąchać, jak jest mokro, ale warto spróbować.

– A dlaczego on nie może sobie po prostu pójść? – spytała Doris. Dziwne, ale z podsinionymi od wyczerpania i strachu oczami wyglądała piękniej niż kiedykolwiek.

– Jeśli dobrze rozumiem, myślisz, że trzyma go tu pentagram – odpowiedział Foote.

Lundgren przy telefonie najwyraźniej słuchał także ich rozmowy, bo energicznie pokiwał głową.

689

– Wedle starych ksiąg pentagram ma być niezawodną pułapką na demony i inne takie, o ile udawam się je do niego zwabić. A wilkołak czuje się zobowiązany atakować tylko osobę, która jego zdaniem została naznaczona pentagramem.

– Przepraszam – powiedział Lundgren do słuchawki. Zakrył dłonią mikrofon. – To trwa tylko siedem dni.

– Ta potrzeba? W takim razie musimy go dopaść wcześniej.

– No, może jednak dzisiaj w nocy uda się nam zasnąć – powiedziała z powątpiewaniem Doris.

Lundgren odłożył słuchawkę i dołączył do nich.

– Ojciec kupił całą historię bez większych trudności – oznajmił. – Ale krucyfiksów starczy mi tylko do okien na parterze. Nawiasem mówiąc, prosił o zdjęcie Jana na wypadek, gdyby pojawił się w 690

wiosce.

– Nie istnieją żadne zdjęcia Jarmoskowskiego – stwierdził stanowczo Newcliffe. – Nie pozwalał się fotografować. Jego im-presario dostawał przez to szału.

– To zrozumiałe – zgodził się Lundgren.

– Biorąc pod uwagę nadmierne promieniowanie jego komórek, każde zdjęcie byłoby prześwietlone. Pewnie w ogóle nic by nie wyszło. A to z kolei zdemaskowałoby Jana.

– Niedobrze, ale da się naprawić – powiedział Foote. Był zadowolony, że znowu może się na coś przydać. Znalazł w biurku Newcliffe'a papier listowy i ołówek. Po dziesięciu minutach pokazał im głowę Jarmoskowskiego w profilu trzy czwarte. Tak widział go przy pianinie zeszłego wieczoru, wieki temu. Lundgren przyjrzał mu się.

– Jak żywy – orzekł. – Wyślę to przez posłańca. Dobrze rysujesz, Paul.

691

Bennington roześmiał się.

– Sam o tym wie – powiedział.

Foote'owi wydało się, że w zachowaniu krytyka było zdecydowanie mniej wrogości.

– I co teraz? – spytał James.

– Czekamy – odparł Newcliffe. – Ta ręcznej roboty kula rozwalila strzelbę Benningtona. Nie możemy sobie pozwolić na to, by stracić broń. O ile znam Consolidated, na jutro będą mieli porządnie zrobione kule. Wtedy zaistnieje szansa na dopadnięcie go. Teraz nam pokazał, że w terenie nie możemy się z nim równać.

Popatrzyli na siebie. Zaczynali zdawać sobie sprawę, czym będą te nerwowe dni i pełne przerażenia noce, spędzone na wy-czekiwaniu. Ale w pewnych okolicznościach zwykle ludzkie uczucia musiały zejść na dalszy plan.

Konferencja zakończyła się w milcze-692

niu.

Dla Foote'a, tak samo jak dla reszty, noc pełna była strachu przed tym, co mogła przynieść każda chwila. Blednący księżyc, nieprzyjemnie zielony, przesuwiał się nad domem po niebie pełnym napchanych błęskawicami chmur. Nieustający wiatr wył

niczym wilki, potrząsał oknami jak pazury szukające punktu zaczepienia, a śnieg strząsany z drzew dopadał niczym zwinne łapy.

W domu panował zaduch i gorąco z powodu pozamykanych okien. Śmierdziało czosnkiem. Atmosfera była napięta do ostatnich granic. W pustym pokoju obok sypialni Foote'a krążyły zmyślane duchy.

Posłane łóżko czekało na swojego lokatora

– który mógł zostawić nienaturalny odcisk na prześcieradłach, może nawet nie zważając na

maleńki, żalony odbłask krucyfiks 693

na poduszce. Piętro wyżej inni przewracali się niespokojnie w łóżkach, jęczeli lub budzili się dręczeni koszmarami.

W umyśle Foote'a zatarła się granica między realnym i nierealnym. Nie wiedział, czy widzi migoczące cienie rzucane przez światło księżyca, czy duchy zaprząt-nięte swoimi mrocznymi sprawanu. Wkroczył w pełną pajęczyn ciemność na granicy między tym, co ludzkie, a tym, co demoniczne, gdzie nic nigdy nie jest więcej niż w połowie prawdziwe – albo nieprawdziwe.

Po chwili spędzonej na progu tej ciemności słyszał bluźniercze głosy rzeczy kryjących się dalej. Wiatr był teraz pełen głośów, których szepty odbijały się echem, odliczając ofiary, podczas gdy śmierć krą-

żyła po domu.

Jeden.

Dwa.

694

Trzy – coraz bliżej!

Cztery – czwarta z uspiionych osób walczyła słabo. Foote słyszał stłumiony zgrzyt sprężyn nad głową.

Pięć.

Sześć – kto był szósty? Kto będzie na-stępcy? Kiedy?

Siedem – o Boże, ja będę następny...

Będę następny... Będę następny...

Drżąc, zwinął się w kłębek. Wiatr zamarł i zapanowała cisza, wspaniała cisza.

Po długiej chwili rozprostował się, klnąc samego siebie, ale nie na głos – bał się usłyszeć dźwięk własnego głosu. *Uspokój się, Foote, ty cholerny idioto. Jesteś jak dziecko chowające się przed duchami. Jesteś całkowicie bezpieczny. Lundgren tak powiedział.*

Mamusia tak powiedziała.

A skąd u diabła Lundgren wie?

Jest fachowcem. Napisał artykuł. No, 695

dalej, pobądź sobie jeszcze dzieckiem. Pa-miętasz dziecięcą wiarę w słowo pisane?

No, właśnie. Zaśnij wreszcie, co?

Znowu zaczyna się odliczanie.

Ale po jakimś czasie wymęczonym nerwom nie można już było odmówić. Zapadł

w sen, ale był to sen niespokojny, pełen majaczeń, w których spadał w tak potworne jamy pełne najgorszego zła, że budził

się spanikowany, walczył z kołdrą i łapczywie wdychał nieprzyjemne, przesiąk-nięte wonią czosnku powietrze. W ustach czuł obrzydliwy gorycz, a jego serce biło jak szalone. Odrzucił przykrycie i usiadł; zapalił drżącymi rękami papierosa i usiło-wał nie dostrzegać cieni rzuczanych przez płomień.

Nie czekał już kresu tej nocy. Zapomniał, że w ogóle istnieje coś takiego jak dzień; całym sobą nasłuchiwał, wiedząc, że gdy usłyszy warczenie, będzie to ozna-696
czać nadejście ostatecznego koszmaru.

Dlatego spojrzenie przez okno i dostrzeżenie promieni wschodzącego słońca nad lasem okazało się wstrząsem trudnym do zniesienia.

Gapił się na ten widok przez chwilę z niedowierzaniem, po czym zgasił papierosa o świecznik –

który nosił ze sobą po ca-

łym domu, jakby mu przyrósł do ręki – i padł. Natychmiast zasnął głębokim snem bez żadnych majaków.

Kiedy w końcu oprzytomniał, ktoś nim potrząsał, a głos Benningtona rozbrzmiewał tuż nad jego uchem.

– Wstawaj, człowieku – mówił krytyk. –

Nie, nie musisz łapać za ten świecznik. Na razie wszystko w porządku.

Foote uśmiechnął się.

– Jak to miło zobaczyć cię z przyjaznym wyrazem twarzy, Bennington – powiedział, owładnięty uczuciem wszechogar-697

niającej ulgi. Bennington wyglądał na spe-szonego.

– Złe cię oceniłem – przyznał. – Pewnie dopiero kryzysowa sytuacja wydobywa to, co tkwi w człowieku na dnie, a wtedy taki tępak jak ja może to dostrzec. Jednak mam nadzieję, że twoje ostatnie abstrakcje mogą mi się spokojnie dalej nie podobać?

– Taka już twoja robota – odparł pogodnie Foote. – Masz być niezadowolony. A teraz mów, co się dzieje.

– Newcliffe wstał rano i sprawdził pułapki. W jedną wpadł spory królik, zrobili-śmy potrawkę. Niezła, zobaczysz. Wokół drugiej na śniegu było sporo krwi. Lundgren jeszcze nie wstał, ale zostawiliśmy mu trochę jedzenia.

James zajrzał do pokoju, po czym wszedł do środka.

– Oby okulał – oznajmił, zręcznie wy-

698

ciągając papierośnicę z kieszeni koszuli Foote'a. – Przepraszam. Niestety, opuściła nas cała służba oprócz lokaja i nikt z wioski nie chce przynieść papierosów.

– No nie – zdziwił się Foote. – Wszyscy są tacy pełni energii. Nigdy nie myślałem, że tak się ucieszę na widok wschodu słońca.

– Jeśli...

Na zewnątrz rozległ się jakiś dźwięk.

Brzmiał jak gwizd największego czajnika świata. Coś przemknęło po niebie, zawróciło i przyleciało z powrotem.

– O rany – powiedział Foote, osłaniając oczy. – Wielki samolot. Skąd się tu wziął?

Samolot krążył w ciszy. Wytracił prędkość, poszybował nad polem golfowym, uderzył w nie i potoczył się przed siebie z zawrotną szybkością, prosto na las. W ostatniej chwili pilot fachowo skrzył maszynę i zatrzymał ją.

699

– Mój Boże, założę się, że to kule dla Newcliffe'a!

Zbiegli na dół. Kiedy byli już w salonie, właśnie wszedł pilot z Newcliffe'em. Nieśli ciężką skrzynię.

Newcliffe otworzył ją. Westchnął.

– Spójrzcie tylko – powiedział. – Pięk-ne, lśniące mosiężne łuski i matowe srebrne kule, wyprodukowane przez maszynę, idealnie celne. Mniem, mniem. Mógłbym stać tu całą wieczność i je głaskać. Skąd pan przyleciał?

– Croydon – odparł pilot. – Przepraszam, panie Newcliffe, firma powiedziała, że pan mi zapłaci.

To będzie sto funtów za towar i pięćset dla mnie.

– Całkiem tanio. Chwileczkę, wypiszę czek.

Foote gwizdnął. Nie wiedział, czy bardziej oszołomiła go ekspresowa, trans-700 atlantycka usługa, czy ogromna suma, jaką ona kosztowała.

Pilot wziął czek, a zaraz potem czajnik znowu zaczął gwizdać. Newcliffe rozdawał wszystkim nowiutkie browningi z innej wielkiej skrzyni.

– Teraz niech przyjdzie – rzucił groźnie.

– Nie bójcie się marnować naboju. Mamy całe pudło. Jak tylko go zobaczycie, grzejdziecie w niego jak wściekli. Nawet na oślep.

– Niech ktoś obudzi Chrisa – odezwał

się Bennington. – Też powinien się po-uczyć. Doris, idź do niego zapukać. O, tak, grzeczna dziewczynka.

Doris skinęła głową i poszła na górę.

– Spójrzcie na pokrętko – instruował

Newcliffe. – Kiedy jest w tej pozycji, karabinek wystrzeli jeden nabój i sam się załaduje. Kiedy jest tak, musicie sami ładować, jak w każdej innej strzelbie. A kiedy jest 701 tak, działa jak automat i zużywa po kolei wszystkie kule, jedną po drugiej.

– Moglibyśmy odeprzeć całą armię – stwierdził James z podziwem.

– Chwileczkę. Dwóch brakuje.

– To wszystkie, które wypakowałeś – zaprzeczył Bennington.

– Tak, ale były dwa starsze modele, moje własne. Nigdy ich nie używałem. Polowanie z taką armatą jakoś jest nie w po-rzędku. Ale wyciągnąłem je wczoraj wieczorem, po tym wszystkim, co się stało.

– Ach – Benningtona nagle olśniło. –

Coś mi się zdawało, że ta strzelba dziwnie wygląda. Miałem ją wczoraj przy łóżku.

Lundgren chyba ma drugą.

– Gdzie ten Lundgren? Doris już powinna go obudzić. Bennington, idź sprawdź, i weź tę strzelbę.

– Mocno kopie? – zapytał Foote.

– Owszem. Normalnie używa się pod-702

stawki. Trzeba ją trzymać na biodrze, nie na ramieniu. Co się dzieje?

– To głos Benningtona – stwierdził Foote, nagle podenerwowany. – Coś się musiało stać Doris.

Cała czwórka pobiegła w stronę schodów.

Znaleźli Doris u stóp Benningtona, przed otwartymi drzwiami pokoju Lundgrena. Najwidoczniej zemdląła bez jednego pisku. Krytyk wymiotował gwałtownie.

Na łóżku Lundgrena leżało szkarłatne obrzydlistwo.

Gardło zostało wydarte, a twarz i wszystkie miękkie części ciała pożarte.

Prawa noga została w jednym miejscu ogryziona aż do kości, która w świetle słońca lśniła białą.

V

703

Foote stał w salonie przy pianinie, w pełnym świetle pozapalanych lamp. Trzymał nowy

karabinek i obserwował swoich pozostałych przy życiu przyjaciół, którzy przerażeni stali przed nim, zbici w grupkę.

– Nie – oznajmił. – To mi się nie podo-ba. Nie chcę, żeby wszyscy stali w kupie.

Stańcie przede mną w szeregu, żebym wszystkich widział.

Uśmiechnął się krótko.

– Złapałem was, nie? Żadnej strzelby w zasięgu wzroku. Oczywiście jest ten wielki świecznik za Newcliffe'em, ale ja zdążę strzelić, zanim on zdąży mi nim przyłożyć.

– Jego ton zrobił się naprawdę nieprzyjemny. – I strzelę, jeśli będzie trzeba. Więc radziłbym wszystkim, łącznie z kobietami, żeby nie robili żadnych gwałtownych ru-chów.

– Co w ciebie wstąpiło, Paul? – spytał

ze złością Bennington. – Jakbyśmy już nie 704

mieli dosyć kłopotów.

– Zaraz zobaczysz. Teraz stańcie w szeregu, jak mówiłem. Już! – Znacząco pokiwał strzelbą. – I pamiętajcie, co mówiłem o gwałtownych ruchach. Na dworze może i jest ciemno, ale specjalnie włączyłem wszystkie światła.

Cicho ustawili się w szeregu i patrzyli na Foote'a zmrużonymi oczami, w których widać było podejrzenie szaleństwa – albo czegoś gorszego.

– Dobra. Teraz możemy pogadać. Wi-

dzicie, po tym, co się stało Chrisowi, nie zamierzam ryzykować. Była to częściowo jego wina, a częściowo moja. Ale w takich sprawach wolno omylić się tylko raz. Za swoją drugą pomyłkę zapłacił straszną cenę. A ja nie zamierzam płacić takiej samej albo pozwolić, by płacił ktoś inny.

– Czy zaszczycisz nas wyjaśnieniem tej pomyłki? – zapytał Newcliffe lodowato.

705

– Tak. Nie dziwię się, że jesteś wście- kły, Tom, skoro jestem twoim gościem.

Ale zaraz zrozumiesz, dlaczego wszystkich musiałem potraktować tak samo. Bardzo lubiłem Lundgrena.

Na chwilę zapanowała cisza, po czym Bennington gwałtownie złapał oddech.

– Lubieś... Mój Boże! – wyszeptał. –

Co chcesz powiedzieć?

– Chcę powiedzieć, że Lundgrena nie zabił Jarmoskowski – oznajmił Foote zimno i zdecydowanie. – Zabił go ktoś inny.

Inny wilkołak. Który w tej chwili stoi przede mną.

Rozległ się cały koncert pełnych zaskoczenia okrzyków.

– Dziwicie się? Ale to prawda. A po-myłka, za którą Chris zapłacił taką cenę, którą ja też popełniłem, jest następująca: zapomnieliśmy sprawdzić, czy nikt nie ma zranień w związku z Janem.

Zapomnieli-706

śmy o jednym z podstawowych praw likantropii. Każdy, kto przeżyje ugryzienie wilkołaka, sam staje się wilkołakiem. Tak przenosi się ta choroba. Pinearyna zawarta w ślinie dostaje się do krwi, stymuluje gruczoł pinealny ofiary i...

– Paul, nikt nie został pogryziony –

upierała się Doris.

– Ktoś został, bardzo lekko. Tylko Chris i ja mogliśmy wiedzieć o zarażeniu przez ugryzienie.

Najwyraźniej ktoś został lekko zadrapany, uznał, że nie ma o czym mó-

wić, posmarował ranę jodyną i zapomniał... aż było za późno.

Głowy odwracały się nieznacznie, oczy zerkały nerwowo na osoby stojące po lewej i po prawej.

– Kiedy zaczął się atak – ciągnął Foote niestrudzenie – Chris był najoczywistszą ofiarą. Był ekspertem, więc stanowił największe zagrożenie. Szkoda, że nie pomy-

ślałem o tym przed obiadem. Może zauważyłbym, kogo nie interesuje jedzenie.

Zresztą zabezpieczenia Chrisa przed dostaniem się Jarmoskowskiego do środka zapobiegły też wydostaniu się tej drugiej osoby na zewnątrz. Już nigdy nie wyjdzie z tego pokoju.

Zazgrzytał zębami, ale znów się opanował.

– No dobra – oznajmił. – Zaczynamy.

Wszyscy pokazują obie ręce.

W tej samej chwili w pokoju pojawił się oszalały wilk.

Tylko Foote, który wiedział, w jakiej kolejności wszyscy stoją, wiedział, kto to był. Straszliwy tragizm sytuacji odczuł jak cios, strzelba wyleciała mu z rąk. Zaszłochał konwulsyjnie. Potwór rzucił mu się do gardła.

Ręka Newcliffe'a cofnęła się i złapała świecznik. Skoczył do przodu szybkim,

kocim ruchem i uderzył nim w bok wilko-

łaka. Z przeraźliwym, obrzydliwym trzaskiem pękły żebra. Bestia obróciła się, warcząc w agonii.

Newcliffe uderzył znowu, w kręgosłup. Padła z wyciem, kły bezradnie gryzły powietrze.

Newcliffe z wściekłością trzy razy uderzył ją w głowę. Wtedy potwór wykrzyknął głosem, który wydawał się znajomy – i zdechł.

Powoli komórki jego ciała wracały na swoje naturalne miejsca. Odrażająca metamorfoza nie została jednak ukończona.

Mimo to włochate, skulone stworzenie z roztrzaskaną czaszką, rozciągnięte u stóp Newcliffe'a, było rozpoznawalne.

To była Caroline Newcliffe.

W żółtym świetle lamp stały zamarłe w bezruchu figury z wosku. Łzy spływały po dłoniach Foote'a, skapywały z nich i bezgłośnie opadały na dywan. Po jakimś cza-

709
sie opuścił ręce. Twarz Benningtona była szara, pozbawiona wyrazu jak twarz granitowego posągu. James opierał się plecami o ścianę. Obserwował nienaturalnego trupa, jakby spodziewając się kolejnego ruchu.

Twarz Newcliffe'a nie wyrażała żadnych uczuć. Stał w miejscu, trzymając luźno w osłabłej dłoni zakrwawiony świecznik.

W oczach miał pustkę.

Po chwili Doris podeszła do Newcliffe'a i pełnym współczucia gestem dotknęła jego ramienia. Tym najwyraźniej coś w nim uwolniła. Wyraźnie skurczył się w sobie, skulił ramiona, całe jego ciało marnia-

ło w oczach.

Świecznik runął na ziemię, przez chwilę obracał się wokół własnej osi, po czym stoczył się na trupa. Niedopałek papierosa Foote'a, który przeleżał w nim cały dzień, wypadł i potoczył się po dywanie.

710

– Tom – powiedziała cicho Doris. –

Chodź. Nic już nie możesz zrobić.

– Krew – powiedział bezbarwnym tonem. – Zacięła się. W rękę. Oczyszcza pułapkę... moją pułapkę. Ja to zrobiłem. Zacięła się robiąc kanapki. Ja to zrobiłem.

– Nie, Tom, to nie ty. Odpuśćmy trochę. – Wzięła go za rękę. Poszedł za nią posłusznie,

potykając się lekko, kiedy jego zbryzgane krwią buty zaczęły o gruby dywan. Oddychał głośno. Oboje zniknęli na schodach.

Bennington rzucił się do kuchennego zlewu.

Foote usiadł na ławce przy pianinie.

Jego zmęczona twarz była szorstka od wyschniętych łez. Trącał zakurzone klawisze.

Cichutkie dźwięki pobudziły Jamesa. Przeszedł przez pokój i popatrzył na Foote'a.

– Dobrze zrobiłeś – powiedział pisarz drżącym głosem. – Nie obwiniaj się, Paul.

711

Foote skinął głową. Nie czuł nic. Zupełnie nic.

– Ciało?

– Tak. Chyba tak. – Wstał. Razem wynieśli zwłoki z domu do ciepłarni.

– Powinniśmy zostawić ją tutaj – powiedział Foote, a w jego głosie słabo zabrzmiała dawna ironia. – Tutaj zakwitł tojad i rozpętał całą tę katastrofę.

– Pewnie to poetycka sprawiedliwość –

odpowiedział James. – Ale nie sądzę, żeby to było mądre. Z drugiej strony Tom ma nieogrzewany składzik na narzędzia. Tam powinno być dość zimno.

Delikatnie złożyli ciało na cementowej podłodze, podkładając pod nie parę worków.

– Rano możemy wezwać kogoś, żeby ją zabrał – stwierdził Foote.

– Nie będzie problemów z prawem? –

James zmarszczył czoło. – Mamy tu kobie-712

tę z głową rozbitą tęym narzędziem...

– Myślę, że znajomy ksiądz Lundgrena

może nam pomóc – stwierdził ponuro Foote. – W tym stanie duchowni mogą wy-

stawić świadectwa zgonu. A zresztą... czy to jest kobieta, James? Z pewnością nie jest to

Caroline.

James spojrzał ostrożnie na włochate, powykręcane kończyny.

– Tak. Z punktu widzenia prawa to nic.

Rozumiem, o co ci chodzi.

Razem wrócili do domu.

– Jarmoskowski? – spytał James.

– Nie dziś w nocy. Jesteśmy zbyt zmę-

czeniu i przybici. W środku będzie chyba bezpieczniej. Chris o to zadbał.

Cokolwiek odpowiedział James, jego słowa zaginęły w huku automatycznego karabinku, gdzieś nad ich głowami. Po chwili rozległo się kolejne dziesięć strza-

łów. Potem usłyszeli kroki. Bennington 713

zbiegł ze schodów.

– Uważajcie dzisiaj w nocy – wydyszał.

– Jest w pobliżu. Widziałem, jak wychodzi z lasu w postaci wilka. Walnąłem w niego cały magazynek, ale nie trafiłem i uciekł.

Wystrzelałem kolejny tam, gdzie zniknął, ale wątpię, żebym go dostał.

– Skąd strzelałeś?

– Ze szczytu wieży. – Miał bardzo ponurą minę. – Chciałem się szybko rozejrzeć i zobaczyłem

go. Mam nadzieję, że dzisiaj przyjdzie. Chcę go sam zabić.

– Co z Tomem?

– Źle. Zupełnie nie wie, gdzie jest ani co robi. No, dobranoc. Uważajcie.

James skinął głową i poszedł za nim na górę. Foote pozostał przez kilka chwil w pustym pokoju, przyglądając się plamie krwi na bezcennym perskim dywanie. Potem dotknął swojej twarzy i szyi, spojrzął

na rękę, ramiona, nogi, ciało pod koszulą.

714

Nawet zadrapania. Tom o to zadbał.

Tak ciężko jest nie czuć nienawiści do zarażonych, niemożliwe jest pamiętać, że likantropia to choroba jak każda inna! Caroline, jak ten człowiek z „Czerwonego śmiechu”, była łagodna i miała dobre serce, i nikomu nie życzyła źle. A jednak...

Może Bóg jest po stronie wilkołaków?

Błuznierstwo wyczerpanego umysłu.

Ale i tak nie mógł odsunąć od siebie myśli.

A gdyby Jarmoskowski opanował swoje popędy i ukrywał się, aż minie siedem dni.

Wtedy mógłby zniknąć. To wielki kraj.

Nie musiałby zabijać wszystkich swoich ofiar – tylko te, których potrzebowałby na pożywienie. Ale mógłby pokąsać wiele.

Powiedzmy, co drugą osobę.

Gdziekolwiek by zamieszkał, krąg likantropii rósłby, rozszerzał się, zagarniał...

Może Bóg doszedł do wniosku, że normalni ludzie nie radzą sobie z rządzeniem 715

światem, i postanowił dać szansę nosfera-tu, niemartwym. Może ludzkość stoi na progu tej ciemności, w którą on zajrzał ze-szłej nocy.

Zacisnął zęby i westchnął z rozpaczą.

Jeśli się nie opanuje, to szok i wyczerpanie doprowadzą go do obłądzenia, jak Newcliffe'a.

Obszedł pomieszczenie, sprawdzając, czy wszystkie okna są szczelnie pozamykane, a krucyfiksy na miejscu. Po drodze gasił lampy. Czosnek zaczął się już psuć, śmierdział, ale Foote był zbyt zmęczony, by go wymienić. Zgasił ostatnią lampę, wziął świecznik i wyszedł na korytarz.

Przechodząc obok pokoju Doris, zauwa-

żył otwarte drzwi. W środku słychać było dwa ciche głosy. Pamiętając, co usłyszał kiedyś, zatrzymał się, by posłuchać.

Dopiero lata później Foote dowiedział

się, co właściwie stało się na samym po-716

czątku. Doris, fizycznie wyczerpana przez straszliwe wydarzenia całego dnia, wycieńczona psychicznie opieką nad zdziecinniałym Newcliffe'em, którego karmiła łyżeczką i kładła do łóżka, zasnęła niemal natychmiast.

Był to sen bez snów, chociaż pełen nieokreślonej rozpacz. Kiedy wreszcie usłyszała ciche pukanie w okno, nie miała pojęcia, jak długo właściwie spała.

Usiadła z trudem i zmusiła się do otworzenia oczu. Przez okno wpadało światło księżyca, odbijające się od topniejącego na parapecie śniegu. Na jego tle wyraźnie odcinała się ludzka sylwetka. Nie widziała twarzy, ale nie można było nie rozpoznać lśniących czerwono oczu. Sięgnęła po karabinek i wycelowała niezręcznie.

Jarmoskowski nie uchylił się. Odsunął

trochę ręce od ciała, dłońmi do przodu, w niemal proszącym geście. Czekał. Niepew-717 nie opuściła broń. Czyżby pragnął śmierci?

Kiedy opuściła broń, zobaczyła, że jest nastawiona na ciągły ogień i starannie przestawiła na pojedyncze strzały. Bała się odrzutu, o którym wspominał Newcliffe.

Czuła, że będzie lepiej celować, mogąc oddawać pojedyncze strzały.

Jarmoskowski znowu zapukał i przywo-

łał ją palcem. Uznała, że gdyby mógł, wszedłby do środka, więc powoli nałożyła szlafrok. Potem, trzymając cały czas palec na cynglu, podeszła do okna. Było szczelnie zamknięte, a krucyfiks zawieszony na jedwabnej nitce wisiał na samym środku.

Sprawdziła, czy nitka jest mocna, po czym otworzyła lufcik bezpośrednio nad głową Jarmoskowskiego.

– Cześć, Doris – powiedział cicho.

– Cześć. – Czuła bardziej niepewność niż strach. Czy to się działo naprawdę, czy też było powracającym koszmarem? –

718

Czego chcesz? Powinam cię zastrzelić.

Powiesz mi, dlaczego miałabym tego nie robić?

– Tak. Inaczej nie ryzykowałbym. Two-
ja broń wygląda bardzo groźnie.

– Jest w niej dziesięć srebrnych kul.

– Wiem. Widziałem już takie. Byłbym

też dobrym celem, więc nie mam szansy na ucieczkę. Mam nos pełen rozmarynu –

Uśmiechnął się smutno. – A Lundgren i Caroline nie żyją i to moja wina. Zasługuję na śmierć.

Dlatego tu jestem.

– Twoje życzenie się spełni, Janie – odpowiedziała. – Wiem, że masz jeszcze inny powód.

Możemy zmierzyć się na umysły.

Chcę zadać ci parę pytań.

– Pytaj.

– Masz na sobie ten strój, co wieczorem.

Paul mówił, że zmienił się razem z tobą.

Jak to możliwe?

– Ależ wilk też ma ubranie – odpowie-

719

dział Jarmoskowski. – Nie jest nagi jak człowiek. A Chris na pewno mówił o wpływie pinearyny na komórki. Działa na wszystkie substancje organiczne, łącznie z bawełną i wełną. Kiedy się zmieniam, moje ubranie zmienia się ze mną. Nie bardzo wiem jak. To jest we krwi, jak muzyka.

Umiesz albo nie. Ale zmieniają się.

Jego ton stał się bardzo ponury.

– Lundgren miał rację we wszystkim.

Wilkołactwo to tylko choroba. Nie pomaga w przeżyciu. Dawno temu musiało być sporo różnych mutacji, które wykorzystywały gruczoł pinealny.

Żadna nie przetrwała oprócz wilkoła-ków, a one też wymierają. Kiedyś pinearynę da się lepiej wykorzystać i wszyscy ludzie będą w stanie zmieniać swoje kształ-

ty, nie płacąc za to tym straszliwym szaleństwem. Dla nas, likantropów, nieudanych prób, nic już nie zostało.

Nie jest dobrze, gdy człowiek musi wło-

czyć się od kraju do kraju, wiedząc, że dla swoich bliźnich jest potworem, a jego Bóg przeklął go na wieki... o ile w ogóle ma prawo do jakiegoś Boga. Wędrowałem po Europie, grając na fortepianie i dając ludziom przyjemność, poznając ich, zaprzyjaźniając się z nimi... I zawsze, prędzej czy później, zaczynały się szeptki, dziwne spojrzenia, rosnące przerażenie.

I czy polowano na mnie jak na zwierzę, czy był to po prostu rosnący wstręt, zawsze mnie w końcu wypędzali. Nienawiść, srebrne kule, krucyfiksy... w końcu wszystkie są takie same.

Czasami udawało mi się spędzić kilka miesięcy w jednym miejscu bez żadnych wypadków, a moje życie zaczynało przybierać pozory normalności. Mogłem zajmować się swoją muzyką, otaczać się ludźmi, których lubiłem, i być... człowiekiem-721

kiem. Potem zakwitał tojad, pyłek zatruwał powietrze, a kiedy na ten kwiat padały promienie księżyca, moja krew dawała życie tej istocie, która jest we mnie.

Wtedy przeproszałem swoich przyjaciół i jechałem na północ, do Szwecji, gdzie był Lundgren i gdzie wiosna przychodziła dużo później. Kochałem go. Myślę, że do przedostatniej nocy nie domyślił się prawdy o mnie. Byłem ostrożny.

Raz czy dwa nie pojechałem na północ, a wtedy ludzie, którzy dawniej byli moimi przyjaciółmi, zaczęli przetapiać srebro za moimi plecami i zaczają się na mnie w ciemnych kątach. Po latach niewiele było w Europie miejsc gotowych mnie przyjąć.

Wraz z moją sławą muzyka krążyły ponure plotki.

Miasta, których nigdy nie odwiedzałem, zamykały przede mną bramy bez jednego słowa. Sale koncertowe bywały zarezerwo-

wane na tyle miesięcy naprzód, że nie mogłem z nich korzystać, zajazdy i hotele były zawsze przepełnione, ludzie byli zbyt zajęci, by ze mną rozmawiać, słuchać mojej gry, pisać do mnie listy.

Bywałem zakochany. Tego nie mogę nawet opisać.

A potem przyjechałem do tego kraju.

Tutaj nikt nie wierzy w wilkołaki. Szukałem pomocy u naukowców. Nie u Lund-

grena, bałem się, że mógłbym zrobić mu krzywdę. Myślałem, że tutaj ktoś będzie wiedział na tyle dużo, by uporać się z tym, czym się stałem.

Nie było tak. Prymitywna nienawiść do takich jak ja leży w ludzkich sercach, tak jak w sercach psów. Nie ma dla mnie ra-tunku.

Przyszedłem, by prosić o położenie temu kresu.

– Janie – powiedziała Doris. – Przykro 723

mi. Tak mi przykro. Co mogę zrobić?

– Strzel.

– Nie mogę!

– Proszę, Doris.

Dziewczyna płakała niepowstrzymanie.

– Nie, Janie. Nie mogę. Wiesz, że nie mogę. Idź stąd, proszę, odejdz.

– Więc chodź ze mną, Doris – odpowie-

dział Jarmoskowski. – Otwórz okno i chodź ze mną.

– Dokąd?

– Czy to ma znaczenie? Odmówiłaś mi,

kiedy prosiłem o śmierć. Czy odmówisz mi tej ostatniej, desperackiej miłości? Czy zaprzeczysz własnej miłości, twojemu ostatniemu, najgłębszemu pragnieniu? Już za późno na to, byś udawała wstręt. Chodź

ze mną.

Wyciągnął rękę.

– Pożegnaj się – mówił. – Pożegnaj się z tymi zadufanymi w sobie ludźmi. Dam ci 724 moją krew i możemy wędrować po całym

świecie, dzicy i nieokiełznani, ostatni z naszej rasy. Zapamiętaj nas, obiecuję ci to.

– Janie...

– Tu jestem. Chodź.

Jak lunatyczka otworzyła okno. Jarmo-

skowski nie ruszył się. Spojrzał na nią, potem na krucyfiks. Zsunęła nitkę z gwoź-
dzia i pozwoliła krzyżowi upaść na podłogę.

– Po nas nie będzie już ciemności takiej jak nasza ciemność – powiedział Jarmoskowski. – Niech oni odpoczywają. Niech świat odpoczywa.

Wskoczył do pokoju ruchem tak gwał-

townym, drapieżnym, że zdawało się, iż nie ruszył się wcale. Od strony drzwi automatyczny karabinek rozjazgotał się z demoniczną furią. Siła uderzenia kul rzuciła Jarmoskowskim o ścianę.

Footę opuścił

dymiącą lufę i zrobił krok do wnętrza po-725

koju.

– Za późno, Janie – powiedział lodowa-to.

Doris jęknęła jak mała dziewczynka obudzona ze snu. Wargi Jarmoskowskiego poruszyły się, ale w jego płucach zostało zbyt mało powietrza. Chciał coś powiedzieć, na ustach pojawiła się krwawa piana. Stał przez chwilę, wyciągając rękę w stronę dziewczyny. Potem palce zacisnęły się kurczowo, a potężne ciało padło.

Uśmiechnął się, a wypełniwszy ten ostatni ze swoich zamiarów, umarł.

726

JACK VANCE

KROSNO CIEMNOŚCI

(The loom of darkness)

Przełożyła Agata Piskorska

Prace Jacka Vance'a łączą w sobie elementy kryminału, fantasy i science fiction, tworząc specyficzny, niepowtarzalny styl nacechowany przygodą. Mocna strona jego pisarstwa to tworzenie fantastycznych, a jednak wiarygodnych obrazów społeczności pozbawionych altruizmu. Laureat licznych nagród – Edgara, Hugo i Nebula – interesował się zagadnieniami takimi jak siła języka i koncept oraz cena wolności i niezależności. Ważniejsze powieści to „The Languages of Pao”, „The Dragon Masters” i „To Live Forever”.

727

Przez ciemniejący las nadchodził Liane Wędrownik, przemierzając ocienione polany dumnym, lekkim krokiem. Pogwizdywał, podśpiewywał, widać było, że ma dobry humor. Wokół palca obracał kawał-

kiem kutego brązu – kółkiem, na którym wygrawerowano kanciaste niewyraźne symbole, teraz pokryte czarnymi plamami.

Znalazł je przypadkowo, zaciśnięte wo-kół korzenia wiekowego cisu. Gdy je od-ciął, na wewnętrznej powierzchni ujrzał pi-smo – prymitywne symbole zapewne o wielkiej mocy, bez wątpienia ślad potęż-

nych antycznych runów... Najlepiej zwró-
cić się do maga, żeby sprawdził moc przedmiotu.

Liane wykrzywił usta. Jednak miał co do tego obiekcje. Czasami wydawało mu się, że wszystko, co żyje, spiskuje po to, 728

by go zirytować. Nie dalej jak tego ranka handlarz przyprawami – jaką podniósł wrzawę umierając! Jak beztrosko zarzygał

krwią szpanerskie sandały Liane'a! A jednak, pomyślał Liane, każda nieprzyjem-ność niosła za sobą zadośćuczynienie. Gdy kopał grób, znalazł obręcz z brązu.

I humor mu się poprawił; śmiał się ze szczerej radości. Podskakiwał, podrygiwał.

Jego zielona peleryna furkotała za nim, czerwone piórko huštało się na czapce...

Ale nadal – Liane zwolnił kroku – nie odkrył tajemnicy magii, o ile kółko magię posiadało.

Wypróbować je, to był pomysł!

Zatrzymał się tam, gdzie rubinowe słoń-

ce spływało bez przeszkód z wysokiego listowia, przyjrzał się obręczy, przejechał palcem po literach. Spojrzał przez nie.

Czyżby coś słabo błysnęło, mignęło? Trzymał kółko na wyciągnięcie ręki. Najwyraż-
729

niej był to diadem. Zerwał czapkę i umie-

ścił go nad brwiami, przewrócił oczami i wymuskał ubiór... Dziwne. Diadem osunął mu się na uszy. Ześliznął się na oczy.

Ciemność. Liane zerwał go gwałtownie...

Obręcz z brązu o średnicy szerokości dło-ni. Dziwne.

Spróbował znowu. Diadem ześliznął się z głowy na ramiona. Głowa Liane'a znalazła się w ciemności jakiejś obcej, dziwnej przestrzeni. Patrząc w dół, zobaczył, jak zewnętrzne światło gaśnie, gdy opuszczał

kółko.

Powoli w dół... Teraz tkwiło wokół jego kostek i w nagłym przyplýwie paniki, Liane poderwał koło w górę wzdłuż ciała i mrugając oczami, wynurzył się w kaszta-nowe światło lasu.

Na tle listowia dostrzegł białoniebieskie, zielonobiałe migotanie. Był to Twk-człek ujeżdżający ważkę, a światełko pochodziło 730

z jej skrzydeł.

Liane zawołał ostro:

– Tutaj, sir! Tutaj, sir!

Twk-człek osadził swojego rumaka na gałązce.

– Zatem, Liane, czegoż sobie życzysz?

– Patrz i zapamiętaj, co zobaczysz.

Liane przeciągnął obręcz nad głowę, opuścił do stóp i ponownie podniósł. Spojrzał na Twk-człeka, który żuł liść.

– I co widziałeś?

– Widziałem jak Liane znika z oczu śmiertelnika – za wyjątkiem czerwonych pokręconych palców w sandałach. Wszystko inne było jak powietrze.

– Aha! – wykrzyknął Liane. – Zastanów się, czy już coś takiego widziałeś?

Twk-człek odparł beztrasko:

– Masz sól? Przydałaby mi się sól.

Liane opanował uniesienie i przyjrzał się Twk-człękowi z bliska.

731

– Jakie wieści mi przynosisz?

– Trzej erbowie zabili Florejina Twórcę Snów i wysadzili wszystkie jego bańki.

Powietrze nad plebanią długo mieniło się latającymi odłamkami.

– Jeden gram.

– Lord Złoty Kandive wybudował barkę z rzeźbionego drewna dziesięć razy wyż-

szą niż dłuższą, która teraz pełna skarbów pływa w regatach na rzece Scaum.” – Dwa gramy.

– Złota wiedźma o imieniu Lith zamieszkała w Thamber Meadow. Jest cicha i bardzo piękna.

– Trzy gramy.

– Wystarczy – powiedział Twk-człek i pochylił się, obserwując, jak Liane waży sól na

miniaturowej wadze. Zapakował

przyprawę do maleńkich koszyków wiszą-

cych po obu stronach tułowia, na którym widać było sterczące żebra, po czym pode-732
rwał owada i odleciał w korony drzew.

Raz jeszcze Liane wypróbował swoją obręcz z brązu, ale tym razem przełożył ją całkowicie przez stopy, wyszedł z niej i uniósł w otaczającej ciemności. Co za wspaniałe sanktuarium! Dziura, do której wejście może być ukryte w niej samej!

Opuścić kółko do stóp, wejść w nie, podnieść wzdłuż smukłej sylwetki nad ramionami, i oto znów można znaleźć się w lesie z brązową obręczą w ręku.

– Tak! I w drogę do Thamber Meadow,
zobaczyć piękną złotą wiedźmę.

Jej chatka była prostą konstrukcją z plecionej trzciny – niskie sklepienie z dwoma okrągłymi oknami i niskimi drzwiami. Liane zobaczył Lith stojącą bosą w stawie po-

śród bystrzyc; łapała żaby na kolację. Wo-kół ud umarszczyła białą tunikę; stała nieruchomo, a ciemna woda tworzyła kółka wokół jej szczupłych kolan.

733

Była piękniejsza, niż Liane mógł to sobie wyobrazić, jakby jedna ze zniszczo-nych baniek Florejina rozprysła się w wodzie. Jej skóra przypominała blade, gładkie, płynne złoto, a włosy gęściejsze i bardziej wilgotne złoto. Oczy były, podobnie jak oczy Liane'a, wielkimi złotymi kręga-
mi; jej – były szeroko otwarte i nieco wytrzeszczone.

Liane podszedł bliżej i usadowił się na brzegu.

Podniosła wzrok przestraszona, lekko rozchylając pełne usta.

– Posłuchaj złota wiedźmo, stoi przed tobą Liane. Przyszedł cię powitać w Thamber Meadow i ofiaruje ci swoją przyjaźń, swoją miłość...

Lith pochyliła się, zgarnęła z brzegu garść mułu i cisnęła mu ją w twarz.

Przeklinając najgorzej jak potrafił, Liane wytarł oczy, ale drzwi chatki zatrzasnęły 734
się z hukiem.

Walnął w nie pięścią.

– Otwieraj i pokaż swoją wiedźmią twarz albo podpalę tę chałupę!

Drzwi się otworzyły i dziewczyna wyj-

rzała uśmiechając się.

– Co znowu?

Liane wszedł do chatki i wyciągnął rękę w stronę Lith, ale nagle wysunęło się dwadzieścia cienkich ostrzy, dwadzieścia dzid kłujących go w pierś. Zatrzymał się, unosząc brwi i wykrzywiając usta.

– W dół stal – powiedziała dziewczyna.

Ostrza znikły. – Tak łatwo mogłabym się-

gnąć po twoje życie – dodała – gdybym tylko chciała.

Liane wykrzywił się i podrapał po brodzie, jak gdyby się zastanawiał.

– Rozumiesz – powiedział szczerze –

jak bezmyślnie postępujesz. Liane jest powodem strachu tych, którzy boją się bać, i 735

obiektem miłości tych, którzy kochają kochać. A ty... – jego oczy pławiły się w złotej poświacie jej ciała – ty jesteś dojrzała jak słodki owoc, jesteś chętna, promienie-jesz i drzysz z miłości. Spraw przyjemność Liane'owi, a on obdarzy cię cieplejszym uczuciem.

– Nie, nie – powiedziała z uśmiechem Lith. – Jesteś zbyt porywczy.

Liane spojrzał na nią zaskoczony.

– Naprawdę?

– Jestem Lith – odparła. – Jestem taka, jak mówisz. Burzę się, płonę, kipię. Ale nie może być moim kochankiem ten, kto mi nie służył. Musi on być odważny, szybki i przebiegły.

– To ja – powiedział Liane. Przygryzł

wargę. – Zazwyczaj tak nie jest. Nienawidzę tego niezdecydowania. – Zrobił krok do przodu. –

Chodź, niech...

Dziewczyna cofnęła się.

736

– Nie, nie. Zapomnij. Czym zasłużyłeś sobie na moją miłość?

– Bzdura! – wybuchnął Liane. – Spójrz na mnie! Przyjrzyj się mojej gracji, mojej pięknej sylwetce i twarzy, zobacz moje oczy tak złote jak twoje, zwróć uwagę na moją widoczną wolę i siłę... To ty powinnaś służyć mi. I tak będzie. – Usiadł

na niskiej otomanie. – Kobieto, daj mi wina.

Potrząsnęła głową.

– W mojej małej chatce, pod sklepieniem, nie można mnie zmusić. Może na zewnątrz w Thamber Meadow tak, ale tutaj, pomiędzy moimi niebieskimi i czerwonymi nićmi, z dwudziestoma stalowymi ostrzami na zawołanie, ty musisz być po-słuszny mnie... Więc wybieraj. Albo wsta-niesz, wyjdiesz i nigdy nie wrócisz, albo zgodzisz się wykonać jedno małe zadanie, a potem dostaniesz mnie i poznasz mój 737

ogień.

Liane siedział wyprostowany i sztywny.

Dziwne stworzenie, ta złota wiedźma. Ale w rzeczy samej, warta jest pewnego wysiłku; później każe jej zapłacić za zuchwalstwo.

– W takim razie – powiedział szyderczo

– będę ci służył. Czego chcesz? Klejnotów? Mogę obsypać cię perłami i oślepić diamentami.

Mam dwa szmaragdy wielko-

ści twojej pięści, które wyglądają jak zielone oceany, gdzie uwięzione jest spojrzenie wędrujące wiecznie pomiędzy pionowymi zielonymi pryzmatami...

– Nie, żadnych klejnotów...

– Może zniszczyć wroga. Ach, takie to proste. Liane zabije dla ciebie dziesięciu ludzi. Dwa kroki do przodu, pchnięcie –

tak! – ruszył do przodu. – I dusze ulecą, drząc jak bąbelki w pucharze miodu.

– Nie, nie chcę zabijania.

738

Usiadł, marszcząc brew.

– W takim razie co?

Dziewczyna podeszła do drugiego końca pokoju i pociągnęła zasłonkę. Ta rozchyli-

ła się ukazując złoty gobelin. Przedstawił

on dolinę wciśniętą między dwie strome góry, szeroką, gdzie przez cichą wioskę, między drzewami płynęła spokojna rzeka.

Złota była rzeka, złote były góry, złote drzewa – tak różne odcienie złota, tak subtelne, że wyglądało to jak wielobarwny pejzaż. Nagle gobelin urywał się w połowie.

Liane był zachwycony.

– Wspaniałe, wspaniałe...

Lith powiedziała:

– Tak wygląda Magiczna Dolina Ari-

venty. Drugą połowę ktoś mi ukradł i to o jej odzyskanie chcę cię poprosić.

– Gdzie jest druga połowa? – zapytał

Liane. – Kim jest ten łajdak?

739

Teraz ona przyjrzała mu się z bliska.

– Czy słyszałeś kiedyś o Chanie? Chanie Nieuniknionym?

Liane zastanowił się.

– Nie.

– To on ukradł połowę mojego gobelinu i powiesił ją w marmurowym holu; teraz ta połówka znajduje się w ruinach pałacu na północy Kaiinu.

– Ha! – mruknął Liane.

– Hol jest tuż przy Miejscu Szeptów i można go poznać po pochylonej kolumnie z czarnym medalionem przedstawiającym feniksa i dwugłową jaszczurkę.

– Idę – powiedział Liane. Wstał. –

Dzień drogi do Kaiinu, jeden dzień na kradzież i jeden dzień na powrót. Trzy dni.

Lith odprowadziła go do drzwi.

– Strzeż się Chana Nieuniknionego –

wyszeptała.

A Liane odszedł pogwizdując, czerwone 740

piórko huštało się na jego zielonej czapce.

Lith popatrzyła za nim, po czym wolno podeszła do złotego gobelinu.

– Złota Ariventa – wyszeptała. – Moje serce płacze i boli z tęsknoty za tobą...

Derna jest bystrzejszą i węższą rzeką niż Scaum, jej bliźniacza siostra z południowej strony. A tam, gdzie Scaum płynie przez szeroką dolinę purpurową od wrzosu, upstrzoną białymi i szarymi zamczyskami, Derna skręca gwałtownie w stromy kanion, nad którym zwisają zalesione urwiska.

Dawno temu brzegiem Dery prowadzi-

ła starożytna kamienista droga, ale teraz powiększone zakola wcięły się w chodnik, więc Liane, krocząc drogą do Kaiinu, od czasu do czasu musiał zejść ze szlaku i nadłożyć drogi przez nasypy

porośnięte ciernistymi krzewami i pustą trawą, która 741

podczas wiatru wydawała świszczący dźwięk.

Czerwone słońce, wędrując po niebie jak starzec pełznący do łoża śmierci, wisia-

ło nisko nad horyzontem, kiedy Liane wspiał się na Urwisko Porfiriona i popatrzył na białe mury

Kaiinu oraz roztaczają-

cą się za nimi zatokę Sanreale.

Tuż pod nim był rynek, zbieranina straganów, na których sprzedawano owoce, kawałki bladego

mięsa, mięczaki z błotni-stych brzegów, dzbany wina. A cichy lud Kaiinu poruszał się między

straganami, kupował jedzenie i zanosił do swoich ka-miennych komnat.

Nad rynkiem górowało niewielkie wzniesienie zawalone kolumnami, które wyglądały jak

połamane zęby, podporami areny wybudowanej sześćdziesiąt metrów nad ziemią przez Szalonego

Króla Shina; za nimi wśród kępy zatokowych drzew wi-742

dać było szklaną kopułę pałacu, w którym Złoty Kandive rządził Kaiinem i częścią Ascolaisu,

widoczną z Urwiska Porfiriona.

Derna, która nie była już czystym strumieniem, rozlewała się po sieci wilgotnych, zimnych

rowów oraz podziemnych

kanałów i w końcu sączyła się przez gniją-

ce nabrzeże do Zatoki Sanreale.

Łóżko na noc, pomyślał Liane, a o świcie do interesów.

Zbiegł w dół po zygzakowatych stopniach – do tyłu, do przodu, do tyłu, do przodu – i znalazł się

na rynku. Teraz Musiał zachowywać się poważnie. Liane Wę-

drownik nie był nieznany w Kaiinie, a wielu ludzi było wystarczająco złych, aby chcieć mu

zrobić krzywdę.

Ruszył spokojnie w cieniu Muru Panon-

ne, skręcił w wąską wybrukowaną uliczkę, wzdłuż której ciągnęły się stare drewniane domy,

połyskujące w promieniach zacho-743

dzącego słońca głębokim brązem starej deszczówki, i tak doszedł do małego placu oraz wysokiej

kamiennej fasady Gospody Maga.

Właściciel, mały gruby człowieczek o żalonym wyglądzie, z małym tłustym nosem,

przypominającym kształtem jego figurę, wygarniał popiół z paleniska. Wyprostował się i pospieszył

za kontuar ma-leńkiej alkowy.

Liane rzekł:

– Komnatę dobrze wywietrzoną i kola-

cję z grzybów, wina i ostryg.

Gospodarz pokłonił się pokornie.

– Naturalnie, sir, a jak będzie pan pła-cił?

Liane cisnął skórzaną sakiewkę, którą zabrał ze sobą tego ranka. Gospodarz uniósł brwi,

delektując się zapachem.

– Przyziemne paki krzewu spasu, sprowadzone z dalekiego kraju – poinformował

744

go Liane.

– Znakomicie, znakomicie... Pańska komnata, sir, i kolacja będą gotowe za chwilę.

Gdy Liane jadł, pojawili się inni goście, którzy zasiedli przed kominkiem z kielisz-kami wina w

rękach, rozmawiali, rozwo-dząc się na temat dawnych magów i cza-sów świetności magii.

– Wielki Phandaal znał nauki teraz już zapomniane – powiedział pewien starzec z włosami

ufarbowanymi na pomarańczowo.

– Przywiązywał wróblom białe i czarne sznurki do nóżek, a potem puszczał je, aby latały zgodnie z jego wskazówkami. I kiedy one tkwały Swój magiczny wątek, pojawiały się wielkie drzewa obwieszane kwiatami, Owocami, orzechami albo ba-niakami rzadkich likierów. Mówi się, że tak utkały Wielki Las na wybrzeżach wód Sanry.

745

– Ha – powiedział posepny mężczyzna

ubrany w strój w kolorach ciemnoniebieskim, brązowym i czarnym. – Tyle to i ja mogę zrobić. –

Wyjął kawałek sznurka, strzepnął go, zakręcił nim, wyszeptał cicho jakieś słowo, a żywość wzoru stopiła sznurek w czerwona i żółte języki ognia, który tańczył, zwijał się, ciskał w przód i w tył po stole, aż posepny mężczyzna zdusił go jednym gestem.

– A ja mogę zrobić to – rzekł zakapturzony osobnik w czarnej pelerynie pokrytej srebrnymi kółkami. Wziął małą tackę, po-

łożył ją na stole i rozsypał na niej szczyptę popiołu z paleniska. Wyjął gwizdek i zagwizdał czysto, a z tacy uniosły się połyskujące pyłki migocące jak pryzmat kolo-rami czerwonym, niebieskim, zielonym i żółtym. Uniosły się na trzydzieści centymetrów i wybuchły pulsującymi świetlikami jasnych kolorów, każdy w pięknym 746

kształcie gwiazdy, a każdy wybuch brzmiał jak echo pierwszego dźwięku –

najczystszy, najgłębszy tonem na świecie. Pyłków ubyło, mag wydał inny dźwięk, i oto znów uniosły się wybuchając wspaniale wzorzystymi błyskami. Jeszcze raz, jeszcze jeden kłęb pyłków. W końcu mag schował gwizdek, wytarł tackę, upchnął ją pod peleryną i ponownie pograżył się w milczeniu.

Również inni magowie pokazywali, co

potrafią, i wkrótce powietrze nad stołem zagęściło się wizjami i zadrżało od zaklęć.

Jeden z nich pokazał grupie dziewięć nowych kolorów, a każdy niewypowiedzianego uroku i blasku; inny wyczarował na czole gospodarza usta, wprawiając go w przerażenie, bowiem jego głosem rzucały obelgi na zgromadzonych. Jeszcze inny pokazał zieloną szklaną butelkę, która wyglądała i krzywiła się jak twarz demona; 747

kolejny kulę z czystego kryształu, toczącą się w tę i z powrotem na polecenie maga, który był jej właścicielem i twierdził, że jest to kolczyk legendarnego mistrza San-kaferrina.

Liane przyglądał się wszystkiemu uważ-

nie, piejąc z zachwytu nad stworem w butelce i nieskutecznie próbując wycygnąć posłuszny kryształ od jego właściciela.

Zrobił się drażliwy, zaczął narzekać, że świat jest pełen ludzi o sercu z kamienia, lecz mag z kryształowym kolczykiem nie zmienił zdania i nawet kiedy Liane rozło-

żył dwanaście paczek rzadkich przypraw, nie chciał się rozstać ze swoją zabawką.

Liane błagał:

– Ja tylko chcę sprawić przyjemność wiedźmie Lith.

– Spraw jej przyjemność przyprawami.

Liane odparł beztrąsko:

– Tak naprawdę, to miała tylko jedno 748

życzenie, chciała kawałek gobelinu, który mam ukraść Chanowi Nieuniknionemu.

Popatrzył dokoła na znieruchomiałe nagle twarze.

– Co spowodowało to nagłe wytrzeźwienie? Hej, gospodarzu, więcej wina!

Mag z kryształowym kolczykiem powie-
dział:

– Jeżeli podłoga spłynęłaby po kolana winem – bogatym, czerwonym winem Ta-nvilkatu – ciężkie brzmienie tego imienia wciąż będzie wisieć w powietrzu.

– Ch, cha! – zaśmiał się Liane. – Niech tylko wasze usta posmakują tego wina, a jego opary wyczyszczą waszą pamięć.

– Spójrzcie na jego oczy – usłyszał
szept. – Wielkie i złote.

– I spostrzegawcze – dodał Liane. – I te nogi, zdolne do szybkiej ucieczki, do biegu prędkiego jak gwiazdy odbijające się w falach. I to ramię, szybkie by zadać cios ostrzem. I moja magia, która pomoże mi się ukryć, jest poza wszelką wiedzę.

Łyknął wina z pucharu.

– Teraz uważajcie. To jest magia rodem ze starożytnych czasów.

Umieścił brązową obręcz nad głową, wszedł w nią i wciągnął do środka ciemności. Kiedy uznał, że upłynęło wystarczająco dużo czasu, przeszedł przez nią z powrotem.

Ogień ciągle płonął, gospodarz był w al-kowie, puchar z winem stał obok Liane'a. Ale po magach nie było śladu.

Rozejrzał się zakłopotany.

– A gdzie moi przyjaciele magowie?

Gospodarz podniósł głowę:

– Poszli do swoich komnat; imię, które pan wypowiedział, zaciążyło im na sercach.

Liane dopił swoje wino w przerażającej ciszy.

750

Następnego ranka opuścił gospodę i ruszył okreśną drogą do Starego Miasta – ru-mowiska poprzewracanych kolumn, zniszczonych bloków piaskowca, osuniętych płyt pokrytych rozbitym pismem, zwisają-

cych tarasów porośniętych rdzawym mchem. Jaszczurki, węże i owady obłaziły ruiny; innych śladów życia nie dostrzegł.

Torując sobie drogę, prawie potknął się o zwłoki – ciało młodego człowieka, który gapił się w niebo pustymi oczodołami.

Liane poczuł czyjaś obecność. Odskoczył, sięgając po rapier. Zgarbiony starzec stał, przyglądając mu się. Odezwał się słabym, drżącym głosem:

– A czego ty szukasz w Starym Mieście?

Liane schował rapier.

– Szukam Miejsca Szeptów. Może mi pokażesz, gdzie to jest?

751

Starzec wydobył z głębi gardła rechoczący dźwięk.

– Jeszcze jeden? Jeszcze jeden? Kiedy to się skończy?...

Podszedł do ciała.

– Ten tutaj przyszedł wczoraj szukać Miejsca Szeptów. Chciał okraść Chana Nieuniknionego. Popatrz, jak teraz wyglą-

da. – Odwrócił się. – Chodź za mną. – Po czym zniknął za stertą kamieni.

Liane ruszył za nim. Starzec stał nad na-stępnym trupem z pustymi, zakrwawiony-mi oczodołami.

– Ten przyszedł cztery dni temu i spotkał Chana Nieuniknionego... A tam za łukiem jest jeszcze jeden, wielki wojownik w zbroi. I tam... I tam... – pokazywał i pokazywał. – I tam, i tam, jak rozpląszczone muchy.

Popatrzył morskobłękitnymi oczami na Liane'a.

752

– Wracaj, młody człowieku, wracaj, jeśli nie chcesz, żeby twoje ciało spoczęło tu, w tej zielonej szacie, by zgnić na płytach.

Liane błysnął rapierem.

– Jestem Liane Wędrownik; niech drży ten, kto mnie obrazi. Powiedz, gdzie jest Miejsce Szeptów?

– Jeśli musisz wiedzieć – odparł starzec

– to za tym skruszałym obeliskiem. Ale idziesz tam na własną zgubę.

– Jestem Liane Wędrownik. Niebezpieczeństwo kroczy ze mną.

Gdy odchodził, starzec stał jak zniszczo-na rzeźba.

A Liane zadał sobie pytanie: założmy, że ten starzec to człowiek Chana i teraz jest w drodze, aby go ostrzec?... Najlepiej się zabezpieczyć. Wskoczył na wysokie belkowanie i chowając się, wrócił do miejsca, gdzie zostawił staruszkę.

753

Ten właśnie szedł, gadając do siebie i podpierając się kijem. Liane upuścił blok granitu tak ciężki jak jego głowa. Tapnię-

cie, trzask, westchnienie i Liane ruszył dalej swoją drogą.

Minął skruszały obelisk i wyszedł na szeroki dziedziniec, zaznaczony pochyloną kolumną z czarnym medalionem, znakiem feniksa i dwugłowej jaszczurki.

Liane wtopił się w cień muru i stał czujny jak wilk wypatrujący najmniejszego śladu ruchu.

Panowała cisza. Promienie słoneczne dodawały ruinom posępnej świetności. Z

każdej strony jak okiem sięgnąć leżały zwalone kamienie, ruina smagana tysiącem deszczów, aż znikły wszystkie ślady byt-ności człowieka, a skała zjednoczyła się z ziemią.

Słońce przesunęło się po ciemnobłękitnym niebie. Wkrótce Liane oderwał się od 754 ściany i okrążył hol. Żadnych oznak życia nie zauważył.

Podszedł do budynku od tyłu i przyłożył

ucho do kamienia. Ten był martwy, nie drgał. Tuż obok, patrząc w górę, w bok, we wszystkie strony – Liane zauważył

pęknięcie w murze. Zajrzał do środka. W

tyle wisiała połówka złotego gobelinu.

Poza tym hol był pusty.

Spojrzał w górę, w dół, w jedną stronę, w drugą. Niczego nie dostrzegł. Ruszył dalej na zwiady, dokoła holu.

Dotarł do następnego wyłomu. Zajrzał

do wewnątrz. Z tyłu wisiał tylko złoty gobelin. Popatrzył w prawo, w lewo; nic, pustka i cisza.

Idąc dalej, wpatrywał się w okap; wszystko martwe jak popiół.

Widział hol jak na dłoni. Opustoszały, a w nim tylko złoty gobelin.

Wszedł do wnętrza, krocząc długimi 755

miękkimi krokami. Zatrzymał się na chwilę. Światło docierało do niego ze wszystkich stron z

wyjątkiem tylnej ściany. Dostrzegł tam z tuzin dziur, przez które można było uciec, a jedynym dźwiękiem, jaki słyszał, było głucho walenie jego własnego serca. Zrobił dwa kroki do przodu. Gobelin był już prawie w zasięgu ręki. Podszedł i miękko zerwał go ze ściany. A pod nim był Chan Nieunikniony. Liane wrzasnął. Odwrócił się, nogi miał ciężkie jak z ołowiu; doświadczył uczucia jak w sennym koszmarze, kiedy nogi odmawiają posłuszeństwa.

Chan oderwał się od ściany i ruszył na niego. Na błyszczących czarnych plecach miał szatę z gałek ocznych naszytych na jedwab.

Liane biegł, niemal frunął, wypadł na zewnątrz korytarza, rzucając się w ruiny 756 zwalonych posągów i poprzewracanych kolumn. Odbijał się, podskakiwał. Czubki palców ledwo dotykały ziemi. A tuż za nim Chan podążał jak pies.

Liane popędził wzdłuż szczytu ściany i przeskoczył przez szeroką dziurę do zniszczonej fontanny. Za nim Chan.

Liane ruszył w górę wąskiej alejki, wspiał się na stertę odpadów, na dach i dalej na dziedziniec. Za nim Chan.

Liane popędził w dół szerokiej alei obwarowanej kilkoma starymi karłowatymi drzewami cyprysowymi i poczuł oddech Chana na plecach. Skręcił w bramę, przeciągnął swoją brązową obręcz przez głowę, do stóp. Przeszedł przez nią, wciągnął obręcz do środka ciemności. Sanktuarium.

Był sam w ciemnej magicznej przestrzeni, zniknął przed ziemskim spojrzeniem i wiedzą. Głęboka cisza, martwa przestrzeń...

757

Lith siedziała na tapczanie przy świecach i szyla narzutę z żabich skór.

Drzwi do jej chatki były zamknięte, okna zasłonięte. Na zewnątrz Thamber Meadow pogrążyło się w ciemności.

Usłyszała drapanie do drzwi, zgrzyt, gdy ktoś nacisnął klamkę. Lith zamarła i wpatrzyła się w drzwi.

Odezwał się głos:

– Dziś, o Lith, dziś mam dla ciebie dwie długie jasne nitki. Dwie, bo oczy były takie wspaniałe, takie wielkie, takie złote...

Lith siedziała w milczeniu. Odczekała godzinę; potem zakradając się do drzwi, słuchała.

Wrażenie, że ktoś tam jest, minęło. W pobliżu rechotała żaba.

Dziewczyna uchyliła drzwi, znalazła nitki i ponownie zamknęła drzwi. Podbiegła do gobelinu i przymierzyła nitki do wystrzępionej tkaniny.

Wpatrywała się w złotą dolinę, chora z 758

tęsknoty za Ariventą, i łyzy zamazały spokojną rzekę, cichy złoty las. „Sukno powoli się rozrasta...

Pewnego dnia będzie skoń-

czona, a ja wrócę do domu... ”.

759

MARGARET ST. CLAIR
CZŁOWIEK, KTÓRY
SPRZEDAŁ GNOŁOM

SZNUREK

The man who sold rope to the gnoles Przetłumaczyła Agata Piskorska

Margaret St. Clair zyskała sławę pięknymi, pełnymi przygód powieściami, których akcja rozgrywa się w dalekiej przyszłości. Szczególnie interesujące to „Vulcan's Dolls” i „The Shadow People”. Zanim została pisarką, uczęszczała do college'u przy Uniwersytecie Kalifornijskim i przez kilkanaście lat zajmowała się ogrodnictwem.

760

Gnole nie cieszyły się dobrą opinią i Mortensen był tego świadom. Ale logicznie wywnioskował, że skoro od dawna interesowały się olinowaniem, i miały na nie zapotrzebowanie, to właśnie on powinien być tym, który im ów towar sprzeda. Co to byłoby za sukces! Okręgowy dyrektor handlowy mógłby nawet wyróżnić Mortense-

na podczas dorocznej kolacji działu sprzedaży. Na pewno zwiększyłyby to obroty. A w końcu to nie jego sprawa, do czego gnole używają sznurka.

Zdecydował, że odwiedzi gnole w czwartek rano. W środę wieczorem przejrzał „Podręcznik nowoczesnej sprzedaży”, podkreślając niektóre fragmenty.

„Stany psychiczne, przez które przechodzi umysł podczas zakupu – przeczytał – zostały podzielone na: 1) rozbudzenie za-

interesowania, 2) wzrost wiedzy, 3) dostosowanie do potrzeb...” Wymieniono siedem stanów psychicznych i Mortensen podkreślił wszystkie. Później wrócił do początku i podkreślił podwójnie numer I –

rozbudzenie zainteresowania, numer 4 –

oszacowanie przydatności i numer 7 – decyzję kupna. Przewrócił stronę.

„Dwie cechy są u sprzedawcy szczegól-

nie ważne – czytał. Są to zdolność przystosowania się i znajomość towaru”. Mortensen podkreślił owe zalety. „Inne, równie wysoko cenione, to sprawność fizyczna, głębokie zasady moralne, urok osobisty, zawzięta wytrwałość i nieustająca uprzejmość”. Mortensen podkreślił również to.

Dalej czytał niczego już nie podkreślając i może to niewyróżnienie „taktu i zdolności przenikliwej obserwacji” wraz z innymi cechami dobrego sprzedawcy było przyczyną tego, co go później spotkało.

762

Gnole zamieszkują skraj Terra Cognita, po drugiej stronie lasu, który wszystkie władze uznały za podejrzany. Ich dom jest wąski i wysoki, architektoniczna mieszanka wiktoriańskiego gotyku i szwajcarskiego domku góralskiego. Pomimo że przyda-

łoby mu się malowanie, jest niezłe utrzymany. Tam też w czwartkowy poranek ruszył Mortensen, niosąc kuferek pełen próbek.

Do domu gnoli nie ma ścieżki, a w tym dzikim lesie jest zawsze ciemno. Ale Mortensen, pamiętając, co mówiła mu matka o zapachu gnoli, łatwo odnalazł ich dom.

Przez chwilę stojąc przed nim, wahał się.

Poruszał ustami, powtarzając sobie:

„Dzień dobry. Przychodzę zaspokoić pań-

stwa zapotrzebowanie na liny”. Te słowa zaczynały jego zwyczajową formułkę. Po czym podszedł do domu i zastukał do drzwi.

763

Gnole obserwowały go przez dziury, które wywierciły w koronach drzew; taki ich sprytny

zwyczaj, potwierdzony przez największych znawców ich gatunku. Pukanie Mortensena wprawiło je w zakłopotanie, bowiem od bardzo dawna nikt ich nie odwiedzał. Starszy gnoł, ten który nigdy nie opuszcza budynku, wyleciał z piwnicy i otworzył drzwi.

Starszy gnoł jest trochę jak jerozolimski karczoch, zrobiony z indyjskiej gumy, i ma małe czerwone oczka, które są oszlifowane tak samo jak szlachetne kamienie. Mortensen spodziewał się czegoś niezwykłego i kiedy gnoł otworzył drzwi, uklonił się grzecznie, zdjął kapelusz i uśmiechnął się.

Przebrnął przez formułkę o zapotrzebowaniu na liny i zaczął wyliczać różne ich rodzaje, produkowane w jego firmie, kiedy gnoł, odwracając na bok głowę, pokazał

mu, że nie ma uszu. Na głowie nie było też 764

nic innego, co mogłoby posłużyć za aparat słuchowy. Otworzył mały pełny kłóć puszczek i pozwolił Mortensenowi przyjrzeć się tasiemkowatemu językowi, który nie był bardziej przystosowany do ludzkiej mowy niż język węża. Sądząc po jego wyglądzie, gnoł nie mógłby mieścić się w którymś z czterech typów fizjocharaktero-logicznych, wspomnianych w „Podręczniku”; i po raz pierwszy Mortensen poczuł niepokój.

Niemniej bez wahania ruszył za gnołem, kiedy stwór zaprosił go gestem do środka.

Zdolność przystosowania, powiedział sobie, zdolność przystosowania musi być moją myślą przewodnią. Wystarczające zdolności przystosowania, a jego kolana może przestaną się trząść.

Gnoł zaprowadził go do saloniku. Mortensen wytrzeszczył oczy, rozglądając się dokoła. W rogach stały etażerki i gabinety 765

osobliwości, a na rzeźbionym stoliku leżał album z połączanymi klamerkami; kto wie, czyje zdjęcia zawierał? Na podpórkach

umieszczonych na ścianach, gdzie w uboż-

szych domach ustawia się dekoracyjne talerze, spoczywały szmaragdy wielkości ludzkiej głowy.

Gnole przywiązywały olbrzymią wagę do swoich szmaragdów.

Całe światło w przyćmionym pokoju pochodziło od nich.

Mortensen wygłosił swoją formułkę sprzedawcy w myślach. Trapiło go, iż był to jedyny sposób, żeby do nich dotrzeć.

Ale zdolność przystosowania! Zainteresowanie gnołi było już rozbudzone, w przeciwnym razie nigdy nie zaprosiłby go do salonu; a gdy tylko gnoł zobaczy próbki sznurków, z całą pewnością sam przejdzie przez „oszacowanie przydatności” do „chęci posiadania”.

Mortensen usiadł na krześle, które wska-

zał mu gnoł, i otworzył kuferek. Wydobył

z niego potrójnie pleciony sznur z heneke-nu, wybór zwojów i włókien oraz kilka najwyższej jakości wiotkich linek konopnych. Pokazał nawet gnołowi parę miękkich włókien i sznurków zrobionych z ba-wełny i juty.

Na odwrocie koperty wypisał ceny za motki i kłębki sznurków, i za ponadsto-pięćdziesięciometrowe kawałki lin. Praco-wicie dodał szczegóły o sile, wytrzymałości i odporności na warunki klimatyczne każdego rodzaju sznurka. Starszy gnoł obserwował go z rozmysłem, opierając ma-leńką stopę na najwyższym szczeblu krzesła, i niekiedy uderzał macką o zeszlifowaną płaszczyznę lewego oka. Z piwnic od czasu do czasu dobiegał krzyk.

Mortensen prezentował swój towar.

Zwracał uwagę na poślizg i sprężystość jednej liny albo na trwałość i odporność in-767 nej. Przeciął na pół sznurek z konopi i rozciągnął półtorametrowy kawałek na podłodze saloniku, aby pokazać, jaki jest zupełnie „neutralny”, bez tendencji do samoistnego rozkręcania się. Zademonstrował nawet, jak ładnie niektóre bawełniane przę-
dze prezentowały się w plecionkach.

W końcu dogadali się co do dwóch lin z konopi, jednej o średnicy pół centymetra, drugiej półtora. Gnoł zażyczył sobie dużą ilość. Wydawało się, iż przekonała go ich nieograniczona wytrzymałość.

Mortensen spokojnie spisał szczegóły w swojej książce zamówień, ale ambicja nie dawała mu spokoju. Wyglądało na to, że gnole staną się stałymi klientami; a po gnołach, czemu nie spróbować z gibelina-mi? Oni też muszą potrzebować lin.

Zamknął książkę zamówień. Na odwrocie tej samej koperty napisał, tak by gnoł mógł to zobaczyć, że dostawa będzie miała 768 miejsce w ciągu dziesięciu dni. Opłata wynosiła trzydzieści procent przy zamówieniu, reszta przy odbiorze.

Starszy gnoł zawahał się. W zamyśleniu popatrzył na Mortensena małymi czerwonymi oczkami. Zdjął za ściany najmniejszy szmaragd i wręczył go Mortensenowi.

Sprzedawca stał, ważąc kamień w rękę.

Był to najmniejszy szmaragd gnołi, ale czysty jak woda i zielony jak trawa. W świecie na zewnątrz wystarczyłby na okup za Rockefellera albo całą rodzinę Guggenheimów; legalny zysk z transakcji to jedno, ale to było co innego; „głębokie zasady moralne” – jakiegokolwiek zasady moralne –

nie pozwoliłyby Mortensenowi go zatrzymać. Potrzyzymał go w rękę jeszcze przez chwilę. Potem z bardzo głębokim westchnieniem zwrócił szmaragd.

Rozejrzał się po pokoju w poszukiwaniu czegoś, co bardziej nadawałoby się do ne-769 gocjacji. I w najgorszym z momentów zapatrzył się na zapasowe oczy gnoła.

Starszy gnoł trzymał zapasową parę swoich oczu na trzeciej półce gabinetu osobliwości za szklanymi drzwiami. Wyglądają one jak piękne ciemne szmaragdy wielkości końcówki kciuka. A jeżeli gnole w ogóle przywiązują dużą wagę do swoich szmaragdów, to jest to niczym w porównaniu z przywiązaniem starszego gnoła do swoich dodatkowych oczu. Troska, z jaką dobry chrześcijanin dba o bogactwo swej duszy, to zaledwie cień, ułamek tego, co całkowicie pogański gnoł czuje do tych oczu. Myślę, że raczej wolałby być jakąś marną istotą ludzką, niż pozwolić komukolwiek ich dotknąć.

Jeśli Mortensen nie byłby podniecony do nieprzytomności swoim sukcesem, zauważyłby, jak gnoł zamiera, usłyszałby, jak syczy, kiedy podchodził do szafki.

770

Mortensen całkiem niewinnie otworzył drzwiczki, wyjął identyczne oczy i świętokradczo potoczył je w dłoni; gnoł poczuł, jak uderzają o siebie. Uśmiechając się, aby za radą „Podręcznika” zaprezentować swój urok osobisty, i unosząc brwi jak ktoś, kto mówi: „Dziękuję, to będzie w sam raz”, Mortensen wrzucił oczy do kieszeni.

Gnoł ryknął.

Ryk wyrwał Mortensena z euforycznego transu. Był to ryk, który każdy musiał zrozumieć. Stanowczo nie był to czas, by być zawzięcie wytrwałym. Mortensen ruszył

do drzwi.

Starszy gnol dotarł tam przed nim z rozciągniętą siecią macek. Łatwo złapał w nie Mortensena, zawijając je płasko jak bandaż wokół jego kostek i dłoni. Najlepsze włók-no konopne nie jest silniejsze od takich macek i chociaż gnole uznały sznurki za wygodne, mogły się zupełnie bez nich

771

obejść. Czy ty, drogi czytelniku, zacząłbyś chodzić nago, gdyby przestano produkować suwaki? Wyjąc z oburzenia, gnol wy-

łowił swoje zbezczeszczone oczy z kieszeni Mortensena, a potem zaniósł go do piwnicy, do zagrody, w której można go było podtuczyć.

Lecz wspaniałe są zalety legalnego handlu. Chociaż gnole starannie utuczyły Mortensena, a później upiekły, podlały so-sem i zjadły z prawdziwym apetytem, to wcześniej zarżnęły go w humanitarny sposób, ani przez chwilę nie myśląc o tortu-rach. A to nie było ich zwyczajem. A de-skę, na której go podały, ozdobiły piękną tasiemką z eleganckiej plecionki, zrobionej z bawełny, która pochodziła z jego kuferka z próbkami.

772

THEODORE STURGEON

JEDWABISTY I SZYB-

KI

(The silken-swift)

Przełożył Jarosław Cieśla

Theodore Sturgeon (1918-1985) dzięki swemu głębokie-mu wejrzeniu w psychologię ludzkich zachowań, wywarł

wpływ na wielu autorów. Wśród najbardziej znanych jego dzieł są powieści „Bardziej niż ludzkie” („More Than Human”) i „Śniące klejnoty” („The Dreaming Jewels”) oraz liczne znakomite krótkie opowiadania. Był honorowym go-

ściem dwunastego Światowego Konwentu Science Fiction, w 1985 roku otrzymał od Światowego Towarzystwa Fantasy nagrodę za osiągnięcia całego życia: Life Achievement Award.

773

774

Koło Bagien znajdowała się wioska, a w niej Wielki Dom. W Wielkim Domu mieszkał dziedzic, który miał ziemię i bo-gactwa oraz córkę Ritę.

W wiosce mieszkał Del, którego głos grzmiał w karczmie, kiedy w niej pił, którego żylaste, węzłaste ciało okrywała zło-cista skóra, i którego włosy współzawodniczyły blaskiem ze słońcem.

W głębi słonawych Bagien znajdowało się jeziorko przeczystej wody, ocienione wierzbami i rozłożystymi osikami, obrzeżone pasmami mchu lśniącego najpiękniejszym błękitem. Rosła tu mandragora, a w pełni lata rozlegały się dziwne dźwięki.

Nikt nigdy ich nie słyszał oprócz cichej dziewczyny, która urodę miała tak dokładnie ukrytą, że w ogóle niewidoczną.

Dziewczyna nazywała się Barbara.

775

Pewnego wieczoru, kiedy wszędzie kłębiła się bujna zieleń, Del jak zwykle szedł

ścieżką koło dworu i zobaczył jasny cień sunący po wewnętrznej stronie ogrodzenia z wysokich,

żelaznych prętów. Stał, cień zbliżył się. To była Rita.

– Przejdź wzdłuż ogrodzenia do bramy –

powiedziała. – Otworzę ci.

Miała na sobie suknię niczym obłok i srebrną przepaskę na głowie. Jej włosy pełne były mroku nocy, twarz księżycowego blasku, a w cudnych oczach tańczyły tajemnice.

– Nie mam żadnego interesu do pana dziedzica – powiedział Del.

– Nie ma go – odparła. – Odesłałam służbę. Chodź do bramy.

– Nie jest mi potrzebna.

Podskoczył, uchwycił się górnej listwy ogrodzenia, sprawnie przeskoczył je i stanął obok dziewczyny. Popatrzyła na jego 776

ręce, potem w górę, na jego włosy. Złożyła razem drobne dłonie, zaśmiała się delikatnie i pobięła między przystrzyżone drzewa, lekko, zwinnie, nie oglądając się za siebie. Ruszył za nią, robiąc jeden krok na jej trzy, w rytm krwi pulsującej mu w tętnicach po obu stronach szyi. Przecięli ga-zon kwiatowy i szeroki, marmurowy taras.

Były tam otwarte drzwi; wszedł przez nie i zatrzymał się, bo zniknęła mu z oczu.

Odrzwia zamknęły się za nim z trzaskiem, odwrócił się gwałtownie. Stała tam, oparta o ich skrzydło, śmiejąc się z niego w mroku. Pomyślał, że teraz do niego podejdzie, ale prześliznęła się obok, patrząc mu w oczy. Poczł zapach fiołków i drewna sandałowego. Poszedł za nią do wielkiego holu, mrocznego, lecz pełnego przyćmionego światła odbitego od politurowanego drewna, *coisonne*, wytłaczanej skóry i przetykanych złotem gobelinów. Zamaszy-777

ście otworzyła kolejne drzwi, znaleźli się w małym pokoju, w którym był dywan, spleciony z różowych puszystych włókien, i oświetlony świecami stół. Postawiono na nim dwa nakrycia, przy każdym stało pięć kieliszków, a starych sreber użyto z taką samą rozrzutnością jak żelaznych prętów w ogrodzeniu. Sześć stopni z drewna teko-wego prowadziło do wielkiego, owalnego okna.

– Księżyc – powiedziała – wszędzie tam, dla nas.

Usadziła go na krześle i podeszła do kredensu, gdzie stał rząd karafek – wino czerwone i białe; w innych dziwne płyny: brązowy, różowy i bursztynowy. Wzięła pierwszą z brzegu i napełniła kieliszki. Potem uniosła srebrne czasze z umieszczonych na stole tac i czarowna woń wypełni-

ła powietrze. Leżały na nich słodczyce i pi-kantne przekąski, rzadkie owoce morza i 778

drób, kawałeczki niezwykłych mięs, owi-nięte w kwiatowe płatki, obłożone egzo-tycznymi owocami, i niewielkie, delikatne małże. Obficie użyte przyprawy były niczym pojedyncze głosy w odległym po-mroku tłumu: szafran i sezam, kminek, majeranek i gałka muszkatołowa.

Cały czas Del obserwował ją zdumiony, patrzył, jak świece rzucają księżycowy blask na twarz dziewczyny, jak absolutnie ufa swoim dłoniom, zręcznie wykonując wszystkie czynności, chociaż pozornie nie patrzyła, co robi – tak była opanowana, mimo bezgłośnego, skrywanego śmiechu, który napinał jej wargi, mimo wyraźnych, mrocznych tajemnic, które krążyły i kłębi-ły się w jej duszy.

W miarę trwania posiłku owalne okno żółkło i ciemniało, a blask świec stawał się coraz jaśniejszy. Nalała innego wina, potem następnego, dla kolejnych dań były 779

tym samym, czym maj dla krokusów albo śmietana dla jagód.

Del wyczuwał w tym wszystkim suge-

stywną atmosferę i poddał się jej bez wahania. Smak czegoś celowo przesłodzone-go łamie się innym, pikantnym – jego sztucznie wywołane pragnienie w perfekcyjnie wybranym momencie zostanie ugaszone. Wiedział, że ona go obserwuje; był

pewien, że jest świadoma palącego mu policzki gorąca i mrowienia w końcach palców.

Odczuwał coraz większe zdziwienie, ale żadnych obaw.

Przez cały czas prawie się nie odzywali; wreszcie uczta skończyła się i wstali od stołu. Dotknęła jedwabnego sznura wiszą-

cego na ścianie i boazeria rozsunęła się.

Stół bezszelestnie wjechał w pomysłową wnękę, po czym panele wróciły na swoje miejsce.

Wskazała mu sofę-narożnik, stojącą w kącie; kiedy usiadł obok niej, od-780

wróciła się i zdjęła ze ściany lutnię. Przez moment czuł się zdezorientowany, jego ramiona były gotowe na przyjęcie kobiety, ale nie razem z instrumentem. Oczywiście błysnęły, lecz zachowała dotychczasowy spokój.

Zaczęła mówić, jej palce wędrowały i tańczyły po strunach, słowa maszerowały w takt i owijały się wokół muzyki. Przemawiała mnóstwem odmiennych głosów, tak że zastanawiał się, który z nich jest tym prawdziwym, jej własnym. To śpiewała, to znów nuciła bez słów. Chwilami wydawała się oddalać od niego, zadziwiona kierunkiem, w którym podążała muzyka, chwila-mi zdawała się słyszeć grzmot krwi pulsujący w jego uszach, grając w jego takt pełne rozbawienia ozdobniki. Wyśpiewywała słowa, które prawie rozumiał:

Pszczola dla kwiatu, miodu świt,

781

Pazur dla myszy, deszcz na las,

Księżyc dla północy, dla mnie ty, Słońce dla gwiazd, dla ciebie ja.

a także dźwięki bez słów:

Eik je rundefle, rundefle faj

Orel je rundefle koun,

En jea, en jea, je bunderbii baj

En sor, en sii, en soun,

które również niemal rozumiał.

Jeszcze innym głosem opowiedziała mu

historię o wielkim, włochatym pająku i małej, różowej dziewczynce, która znalazła go pomiędzy kartkami na wpół otwartej książki. W pierwszej chwili odczuł taki sam przestach jak dziewczynka i współ-

czuł jej, lecz Rita mówiła dalej, opowiadając o cierpieniach pająka z powodu zniszczenia jego domu przez tego hałaśliwego 782

olbrzyma, opisała to tak obrazowo, że Del w końcu wyśmiał sam siebie i niemal po-płakał się z żalu nad nieszczęsnym stawo-nogiem.

Tak mijały godziny, znienacka, pomię-

dzy pieśniami, znalazła się w jego ramionach – i w tym samym momencie wyśli-

znęła się, zostawiając go bez tchu.

– Nie, Del – powiedziała, jeszcze jednym ze swoich głosów, surowym i niskim.

– Musimy poczekać na księżyc.

Bolały go uda, zdał sobie sprawę, że na wpół uniósł się z miejsca, z wyciągniętymi ramionami, dłońmi zgiętymi jak do chwytu i wciąż, pomimo że już niczego nie dotykały, czującymi fakturę niezwyklego materiału jej sukni. Opadł z powrotem na kanapę z dziwnym, lekkim odgłosem, który w tym pokoju wydawał się nie na miejscu.

Poruszył palcami i wrażenie dotykania mu-

ślinu ustąpiło, choć niechętnie. W końcu 783

spojrzał na nią, zaśmiała się i z lekkością wysoko podskoczyła. Wydawało mu się, że jakby

zawisła w powietrzu na moment, żeby się przeciągnąć, zanim opadła obok niego, schyliła się, pocałowała go w usta i odskoczyła.

Grzmot krwi narastał mu w uszach, zdawał się nabierać namacalnego ciężaru. Pochylił głowę, wbił kostki dłoni w łuki brwiowe i oparł łokcie na kolanach. Słyszał słodki szmer sukni Rity, towarzyszący jej poruszaniu się po pokoju. Wyczuwał woń fiołków i drewna sandałowego. Tańczyła, zatopiona w radości, jaką dawał ruch i jego bliskość. Akompaniowała sobie własną muzyką, nuciła, czasem szeptała coś do melodii kłębiących się w jej umyśle.

Wreszcie uświadomił sobie, że przestała, nie słyszał nic, choć wiedział, że ona wciąż jest bardzo blisko. Z trudem uniósł

784
głowę. Stała na środku pokoju, upozowana niczym wielka, biała ćma o ciemnych oczach, w których przestały tańczyć tajemnice. Wpatrywała się w okno, sprężona w oczekiwaniu.

Podążył wzrokiem za jej spojrzeniem.

Wielki owal już nie był ciemny, oprószało go srebrne światło. Del wstał powoli. Mżenie stawało się mgłą, narastało, i wtedy, na krawędzi pojawił się brzeg księżyca, sunął w górę, rósł.

Ponieważ Del wstrzymał oddech, słyszał jej – szybki i tak głęboki, wprawiający struny głosowe w delikatne drzenie.

– Rito...

Nie odpowiedziała, podbiegła do kredensu i napełniwszy dwie małe szklaneczki, podała mu jedną z nich.

– Poczekaj – szepnęła. – Och, poczekaj!

Oczarowany, czekał, a biały kształt sunął po oknie. Zrozumiał nagle, że musi po-785 zostać nieruchomo do chwili, gdy wielki owal całkowicie wypełni się bezpośrednim światłem księżyca. Pomogło mu to, ustala-jąc jakiś czas na oczekiwanie. Bolało też, bo nigdy w życiu nie spotkał niczego, co poruszałyby się równie wolno. Przeżył

chwilę buntu, w której potępiał siebie za to, że dał się wciągnąć w jej skomplikowaną grę, ale właśnie wtedy spostrzegł, iż ciemniejsza część srebrnej tafli znika, jest szerokości palca, teraz nitki, a teraz...

Wydała z siebie łamiący się, jakby koci dźwięk i wbiegła po stopniach do okna.

Światło było tak jasne, że jej sylwetka wyglądała na tym tle niczym gagatowa ka-meja. Suknię miała z niezwykle delikatnie utkanej materii, która w księżycowym blasku tworzyła na ramionach świetliste epo-lety. Porażała go swoją pięknnością.

– Pij – szepnęła – pij ze mną, kochany, kochany...

786

W pierwszym momencie nie zrozumiał, o co chodzi, dopiero potem uświadomił sobie, że trzyma w dłoni szklaneczkę. Uniósł ją w stronę Rity i wypił zawartość. Spośród wszystkich dziwnych i podniecających rzeczy, jakich próbował tej nocy, ów płyn był najbardziej zaskakujący – o temperaturze zbliżonej do krwi, niemal w ogóle pozbawiony smaku i wydający się czymś wręcz niematerialnym. Popatrzył

ogłupiały na szklaneczkę, potem na dziewczynę. Pomyślał, że odwróciła się i obserwuje go, choć pewien tego być nie mógł, skoro jej sylwetka wyglądała dokładnie tak samo jak przed chwilą.

I wtedy przeżył drugi, potężny szok: zgasło światło.

Zniknął księżyc, okno, pokój. Dziewczyna też.

Przez moment stał oszołomiony, napię-

ty, szeroko rozwierając oczy. Wydał z sie-787

bie nieartykułowany dźwięk. Upuścił

szklanę, przycisnął dłonie do oczu, czując pod palcami drgające powieki i sztywną

jedwabistość rzęs. Potem oderwał ręce, ale nadal panowała ciemność, nawet więcej niż ciemność.

Nie widział przed sobą czerni, lecz czuł się tak, jakby próbował patrzeć łokciem albo językiem; to nie była barwa mroku tylko Nicość.

Opadł na kolana.

Rita zaśmiała się.

Część jego umysłu, która zachowała resztki czujności, zwróciła uwagę na ten śmiech, pojęła go, i poczuł jak ogarnia go fala grozy i furii – bo właśnie taki śmiech sływał z jej warg przez cały wieczór: twardy, okrutny, pewny siebie. W tej samej chwili, wyzwolony wściekłością –

albo pomimo niej – eksplodował w nim biały płomień pożądania. Ruszył w kierunku głosu, macając wokół siebie, bezgłośnie 788

poruszając wargami. Ze schodów dobiegło kilka szybkich, szeleszczących dźwięków, po czym opadła na niego lekka, silna sieć.

Machnął ręką i rozpoznał ją, bo była to niezapomniana rzecz – jej suknia. Schwycił ją, rozdarł, zdeptał. Usłyszał lekki od-głos bosych stóp dziewczyny, która zbiegała ze schodów i minęła go; bezskutecznie usiłował ją pochwycić. Staął, boleśnie chwytając powietrze.

– Jestem ślepy – wycharczał – Rita! Jestem ślepy!

– Wiem – odparła zimno, tuż za nim.

Znów się zaśmiała.

– Coś ty mi zrobiła?

– Obserwowałam cię, jakim jesteś wstrętnym męskim zwierzęciem.

Jęknął i znów rzucił się naprzód. Uderzył w coś kolanami – w krzesło czy szafkę – i upadł ciężko.

Wydało mu się, że dotknął jej stopy.

789

– Tutaj, kochany, tutaj! – zadrwiła.

Niezdarnie wymacał przedmiot, o który zawadził, wsparł się na nim, wstając. Bez-sensownie rozejrzał się.

– Tutaj, kochany!

Skoczył, uderzył o framugę; kości policzka, obojczyk, biodro i kostkę ogarnął płomień bólu. Przywarł do gładkiego drewna.

– Dłaczego? – spytał w udręce.

– Nigdy jeszcze nie dotknął mnie mę-
czyzna i nigdy się to nie stanie – zaśpiewa-
ła.

Czuł jej oddech na twarzy. Wyciągnął

rękę i nie dotknął niczego. Usłyszał, jak zeskoczyła ze stojącego koło drzwi postu-mentu pod rzeźbę.

Ani ból, ani ślepotą, ani nawet świado-mość, że wszystko jest wywołane przez jej diabelski

eliksir, nie zdołały stłumić dzikiego pożądania, jakie odczuwał w jej bli-

skości. Nic nie mogło opanować furii, która ogarniała go w chwilach śmiechu Rity.

Niezdarnie poczłapał za nią, rycząc.

Śmiała się i tańczyła wokół niego. Popchnęła go na stojak z narzędziami do kominka; potem złapała go od tyłu za łokieć i zakręciła nim. A raz, rzecz niewiarygodna, przeskoczyła tuż koło niego i w przelocie pocałowała go ponownie w usta.

Zstąpił do piekła, w którym zewsząd otaczało go ciche plaskanie pewnie stawia-nych bosych stóp i słodki, zimny śmiech.

Rzucił się i rozbijał, przy – kuczał i krwawił, skomlać niczym pies. Do jego ryków i odgłosów uderzeń dołączyło echo, musiał

to być wielki hol. Otaczały go bardziej niż nieustępliwe ściany, miał wrażenie, że oddają ciosy. Trafiał na drewniane powierzchnie, które okazywały się drzwiami, kiedy się o nie opierał. I wciąż była czarna nicość, doprowadzająca do szaleństwa po-

kusa, wyzwalana bliskością jędrnego ciała dziewczyny, i nieustająca furia.

Zrobiło się chłodniej, umilkło echo, za to dosłyszał szept wiatru w koronach drzew. Balkon, pomyślał.

– Chodź, kochany... – usłyszał słowa Rity, która stała tu blisko, że poczuł ciepło jej oddechu. Rzucił się w tę stronę, ale napotkał pustkę, pustkę i nicość, a potem stoczył się po marmurowych schodach, okrutnie objając się niezliczoną ilością razy.

Nie stracił przytomności, bowiem jakoś zdawał sobie sprawę ze zbliżania się jej bosych stóp, z dotknięcia ciekawskiej, drobnej dłoni, która musnęła jego ramię, przesunęła się na usta, potem pierś. W

końcu cofnęła się, i albo usłyszał śmiech, albo był on jedynie odgłosem wciąż dźwięczącym mu w myślach.

W głębi słonawych Bagien znajdowało się jeziorko przezroczystej wody, ocienione 792 wierzbami i rozłożystymi osikami, obrzeżone pasmami mchu, lśniącego najpiękniejszym błękitem. Rosła tu mandragora, a w pełni lata rozlegały się dziwne dźwięki.

Nikt nigdy ich nie słyszał oprócz cichej dziewczyny, która urodę miała tak dokładnie ukrytą, że w ogóle niewidoczną.

Dziewczyna nazywała się Barbara.

Nikt jej nie zauważał, nikt z nią nie mieszkał, nikogo nie obchodziła. Jej życie było wypełnione, ponieważ urodziła się, by przyjmować. Inni rodzą się z potrzebą przyjmowania, więc wciąż noszą jaskrawe maski i wydają atrakcyjne dźwięki, niczym cykady czy śpiewacy operetkowi, żeby w ten czy inny sposób zmusić innych do dawania. Jednak receptory Barbary były bardzo wrażliwe i zawsze gotowe, więc nie potrzebowała żadnej namiastki ani blasku słońca, prześwitującego przez płatek tulipana, ani szmeru rosnących powojników, 793

ani słodko-ostrego zapachu kwasu mrówkowego – jedyne-ego dostępnego tym owa- dom przedśmiertnego krzyku – czy też . ja-kiejkolwiek innej z tysięcy rzeczy niedostrzeganych przez ludzi, którzy nie są zdolni do niczego więcej poza pragnieniem przyjmowania. Barbara miała ogród i sad; kiedy przychodziła jej na to ochota, zносиła plody na targ, a resztę czasu spędzała na przyjmowaniu tego, co jej dawał świat.

W jej ogrodzie rosły chwasty, lecz ponieważ były mile widziane, pojawiały się jedynie w tych

miejskach, gdzie mogły ochronić arbuzy przed nadmiernym nasło-niecznieniem. Króliki były też mile widziane, więc ograniczały się do dwóch rząd-ków marchewki, jednego sałaty i jednej grządki pomidorów – roślin, które zasa-dzono dla nich – resztę zostawiając w spokoju. Nawłóć wyrastała tuż koło pędów fa-soli, by miały się na co wspinać, a ptaki 794

zjadały figi i brzoskwinie jedynie z najwyższych i niedostępnych gałęzek, w zamian wyszukując na niższych gąsienice i składające jajka owady. A jeśli owoc czekał z dojrzaniem całe dwa tygodnie dłużej, do chwili gdy Barbara miała czas zanieść go na targ, kret dbał o właściwą wilgot-ność ziemi wokół korzeni kukurydzy; no cóż, przynajmniej tyle mogły zrobić.

W miarę upływu lat Barbarę coraz bar-dziej popychało do wędrówek coś, czego nie umiała nazwać – jeśli w ogóle zdawała sobie z tego sprawę. Wiedziała tylko, że gdzieś-za-wzgórzem jest to dziwne i przyjazne miejsce, że miło jest tam dotrzeć, by znaleźć kolejny grzbiet do pokonania. Bardzo możliwe, że potrzebowała kogoś, by go kochać, jako że miłość jest najsilniej przyjmującą emocją na świecie – co potwierdzić może każdy, kto był kochany nie odwzajemniając uczucia. To osoba kocha-795

na musi dawać i dawać. Barbara znalazła więc swoją miłość, choć nie w czasie wę-drówek, lecz na targu. Wygląd jej ukochanego, jego barwy i wydawane przezeń dźwięki tak dokładnie wypełniały jej du-szę, że kiedy pierwszy raz go zobaczyła w rzeczywistości, w ogóle jej to nie zaskoczyło. A później, przez bardzo długi czas, wystarczał sam fakt jego istnienia. Wciąż jej dawał: żyjąc, wprawiając powietrze w drgania silnym głosem, chodząc w sposób, który u piechura był dokładną analogią perfekcyjnego dosiada u jeźdźca.

Oczywiście, od chwili gdy go zobaczy-ła, odbierała dwakroć po dwakroć więcej niż przedtem. Drzewo było wysokie i proste dla samej wspaniałości bycia wysokim i prostym, ale czyż tych cech nie miał i jej ukochany? Wilga dawała jej teraz więcej niż śpiew, jastrząb więcej niż obłaskawia-nie wiatru, bo czyż nie miały takiego sa-796 mego serca jak on, gorącej krwi i tego samego dążenia, by wciąż było jutro? I coraz częściej bywała gdzieś-za-wzgórzem, bo tylko tam mogła znaleźć coraz więcej i więcej rzeczy, które były do niego podobne.

Lecz kiedy natrafiła na przeczyste jeziorko wśród słonawych Bagien, cała reszta gdzieś-za-wzgórzem przestała dla niej istnieć. Było to miejsce łagodne, pozbawione nienawiści, osiki drżały tu tylko po to, by je podziwiać, każda radość była tu nagradzana. Każdy królik był tutaj mistrzem w kręceniu nosem, każdy wodny ptak mógł tutaj najdłużej stać na jednej nodze i czuć dumę z tego powodu. Huby ro-sły na pniach wierzb, lśniąc tą jedną, jedyną fioletową barwą, której nawet zachód słońca odtworzyć nie potrafi, tanagry i kar-dynały z powagą przekazywały sobie nawzajem własne definicje słowa

797

„czerwień”.

Tutaj Barbara pojawiła się z sercem lekkim od szczęścia, nabrzmiałym miłością i złożyła je na błękitnym mchu. A ponieważ kochające serce jest w stanie przyjąć wię-cej niż cokolwiek innego, jest więc również najbardziej potrzebne – toteż Barbara przyjmowała najlepsze ptasie pieśni, najpełniejsze barwy, najgłębszy spokój i wszystko inne, co najbardziej warto da-wać. Wiewiórki ziemne przynosiły jej orzechy, kiedy była głodna, a kiedy nie – najpiękniejsze kamyki. Zielony wąż opowiedział jej pantomimą, jak rzeka klejnotów może płynąć pod górę, a trzy zwariowane wydry wyjaśniły, w jaki sposób kłę-bek radości może staczać się i ześlizgiwać w dół, i w dół, i cieszyć się z tego z każdą chwilą coraz bardziej. Był też pełen magii moment, w którym komar zawisł w powietrzu, potem pszczoła,

trzymiel, wreszcie ko-798

liber; i unosiły się tak, grając akord w to-nacji b-moll.

A pewnego dnia nad jeziorkiem zapadła cisza i Barbara dowiedziała się, dlaczego woda w nim jest tak czysta.

Osiki przestały drzeć.

Wszystkie króliki wyległy z gęstwiny i usadowiły się na brzegu po jednej stronie, z wyprostowanymi grzbietami, nastawionymi uszami i noskami nieruchomymi niczym okruchy koralu.

Czaple cofnęły się jak dworzanie, stanę-

ły na brzegu, z głowami zwróconymi w jedną stronę i jednym okiem zamkniętym, by tym lepiej widzieć drugim.

Wiewiórki ziemne z szacunkiem opróż-

niły worki policzkowe, otarły łapki i schowały je pod siebie. Potem stanęły nieruchomo, niczym wystające z ziemi śledzie namiotowe.

Zatrzymał się pęd roślin ku słońcu – na-799

wet trawa zamarła w oczekiwaniu.

Ostatnim dźwiękiem, jaki dał się słyszeć

– w chwili gdy już zapadła cisza – było delikatne *whick!* sowy, która obudziła się, by też popatrzeć.

On nadszedł niczym obłok, ziemia sama tworzyła zagłębienia, by przyjąć w nie jego złote kopyta. Zatrzymał się na brzegu, opuścił głowę; przez ułamek chwili jego i Barbary oczy spotkały się, zobaczyła inny wszechświat – mądrości i współczucia. Potem podziwiała łuk wspaniałej szyi, oślepiający blask złotego rogu.

Napił się i zniknął. Każdy wie, że woda jest czysta w miejscu, gdzie jednorożec gasi pragnienie.

Jak długo tu był? Jak dawno temu zniknął? Czy czas też zamarł w oczekiwaniu –

jak trawa?

– Czy nie mógł zostać? – załkała. – Czy nie mógł zostać?

800

Zobaczyć jednorożca to smutne wydarzenie, przecież człowiek może już nigdy więcej go nie spotkać. Ale z drugiej strony

– zobaczyć jednorożca!

Zaczęła układać pieśń.

Było późno, kiedy Barbara wracała z Bagien, księżyc pobielał już od chłodu i skłaniał się w stronę horyzontu. Dotarła do głównej drogi tuż przed Wielkim Domem, skręciła, by go minąć i dotrzeć do swojego domu w ogrodzie.

Obok zamkniętej głównej bramy szcze-

kało jakieś zwierzę. Chore stworzenie, ogromne...

Barbara widziała w ciemności lepiej niż większość ludzi i wkrótce dostrzegła kształt wczepiony w bramę, wspinający się, wydający z siebie ten kaszlący jęk. Na szczycie ześliznął się, spadł na zewnątrz, zawisł na moment. Rozległ się odgłos darcia, stwór spadł ciężko na ziemię i leżał

801

tam, nieruchomy i ucichły.

Podbiegła do niego, znów zaczęła jęczeć.

To był człowiek, płakał.

Jej ukochany... jej ukochany, ten wyso-ki, prosty i pełen życia – jej ukochany, po-obijany i krwawiący, opuchnięty, złamany, płaczący. Ubranie wisiało na nim w strzę-

pach.

Taki moment to najważniejszy czas dla kochającej osoby, by przyjmować, by odebrać od ukochanego jego ból, jego zmartwienie, jego strach.

– Och, ciiiicho, ciiiicho... – wyszeptała, lekko, niczym piórkiem muskając dłońmi jego posiniaczoną twarz. – Już po wszystkim. Już dobrze.

Odwróciła go na plecy i uklękła, by go posadzić. Podniosła jego mocną rękę i otoczyła nią swoje ramiona. On był bardzo ciężki, lecz ona bardzo silna. Kiedy już siedział wyprostowany, słabo chwytając

powietrze, popatrzyła w obie strony, wzdłuż drogi oświetlonej słabnącym blaskiem księżyca. Pusto, nikogo. Wielki Dom stał ciemny. Po drugiej stronie drogi znajdowała się łąka, porośnięta rzędami krzewów, które mogły trochę osłabić wiatr.

– Chodź, mój kochany, mój najukochańszy – wyszeptała. Cały dygotał.

Niemal niosąc go, zdołała przedostać się przez drogę, płytki rów i przerwę w żywopłocie. Niewiele brakowało, by tam upadła razem z nim. Zacisnęła zęby i delikatnie opuściła go na ziemię. Oparła go o krzewy, odbiegła i narwała całe naręczce żarnowca.

Zwinęła je w ciasny, sprężysty kłęb, położyła obok niego, przykryła rogiem swojej peleryny i łagodnie złożyła na tym jego głowę, niczym na poduszce. Owinęła go resztą peleryny. Był bardzo zimny.

Nigdzie w pobliżu nie było wody, a nie miała odwagi go zostawić. Chustą otarła trochę krwi z jego twarzy. Wciąż był bardzo zimny.

– Ty diablico. Ty zepsuta, mała diablico – powiedział.

– Ćśśś – podsunęła się bliżej i przytuliła jego głowę. – Za chwilę się rozgrzejesz.

– Nie ruszaj się – warknął. – Uciekaj, tak jak dotąd.

– Nie ucieknę – szepnęła. – Och, mój kochany, zostałeś skrzywdzony, tak bardzo skrzywdzony. Nie zostawię cię. Obiecuję, że cię nie zostawię.

Leżał nieruchomo. Zamruczał coś groźnie.

– Opowiem ci o czymś pięknym – powiedziała miękko. – Posłuchaj mnie, pomyśl o czymś pięknym – zanuciła. – Na Bagnach jest pewne miejsce, jeziorko czystej wody, gdzie rosną przepiękne drzewa, wierzby, osiki i brzozy, gdzie

wszystko jest pełne spokoju, gdzie kwiaty mogą rozwijać się nie drąc płatków. Mech jest błękitny, a woda przypomina diament.

– Opowiesz mi historyjki tysiącem głosów – wymamrotał.

– Ćśśś. Słuchaj, kochany. To nie historyjka, to prawdziwe miejsce. Cztery mile na północ, nieco na zachód i z grzbietu, na którym są dwa karłowa – te dęby, zobaczysz te drzewa. A ja wiem, dlaczego woda jest tam czysta! – zawołała radośnie.

– Wiem dlaczego!

Nie odezwał się. Odetchnął głęboko, musiało mu to sprawić ból, bo zadygotał.

– Tam gasi pragnienie jednorożec – wyszeptała. – Widziałam go!

Nadal milczał.

– Ułożyłam o tym piosenkę – powiedziała. – Posłuchaj, oto ona:

Nagle rozbłysnął, a moje oczy oślepił, 805

biegnące od słońca blasku ku tej zieleni i tajemnemu brzaskowi, wcale nie zdumione Go powitały.

Dopiero gdy zagasło lśnienie,

a urok Jego przejścia w przeszłość się zanurzył, poczułam zachwyt, zdumienie – i żal zagościł.

Że już był, że zniknął, że nie zostanie dłużej, jedwabisty i szybki – chwala Sprawiedliwości.

Że już był, że zniknął, że nie zostanie dłużej, że już zawsze przyjdzie mi przed siebie iść, ruszyć drogą, która z dni będzie się wynurzać, wędrując w nadziei, że kiedyś tam w dali, gdzieś znajdę ten moment uniesienia, upojny i słodki.

Na wrzosowisku lub szczycie smaganym wichrami, wciąż pamiętając jego dzikie, delikatne kroki, magię i marzenie – zawsze mając je przed oczami!

Oddychał bardziej regularnie.

– Naprawdę go widziałam! – wykrzyknęła.

– Jestem ślepy – powiedział. – Ślepy, jestem ślepy.

– Och, mój kochany...

Po omacku odnalazł jej dłoń, trzymał ją 806

przez długą chwilę. Potem, powoli dołą-

czywszy drugą rękę, badał ją oburącz, od-wrócił, ścisnął.

– Jesteś tutaj – wychrypiał nagle, na wpół siedząc.

– Oczywiście, kochany, Oczywiście, że tu jestem.

– Dlaczego? – krzyknął. – Dlaczego?

DLACZEGO? Po co to wszystko? Po co

mnie oślepiłaś? – Usiadł, bezgłośnie poruszając wargami, ujął ją za szyję swą wielką dłonią. –

Po co robiłaś to wszystko, jeśli...

Słowa zlały się w zwierzęcy jęk. Wino i czary, wściekłość i cierpienie wrzały w jego żyłach.

Raz krzyknęła.

Raz załkała.

– Teraz – powiedział – nie złapiesz jednorożca. Odejdź ode mnie.

Odrącił ją.

– Jesteś szalony, chory! – krzyknęła.

807

– Znikaj! – warknął złowrogo.

Wstała, przerażona. Podniósł pelerynę i rzucił za nią. Niemal się o nią przewróciła, uciekając, cicho szlochała.

Upłynęło dużo czasu, zanim zza żywo-

płotu znów zaczęło dobiegać pełne cierpienia, urywane łkanie.

Trzy tygodnie później Rita była na tar-gu, kiedy twarda dłoń schwyciła ją za ra-mię i przycisnęła do rogu straganu. Nie drgnęła z zaskoczenia. Uniosła wzrok i rozpoznała go.

– Nie dotykaj mnie – powiedziała spokojnie.

– Musisz mi coś wyznać – rzekł. – I zrobisz to!

Jego głos był równie twardy jak ręka.

– Wyznam ci, co tylko chcesz – zgodziła się. – Ale nie dotykaj mnie.

Zawahał się, puścił ją. Odwróciła się w 808

jego stronę niedbale.

– O co chodzi?

Przebiegła wzrokiem po jego twarzy, po prawie zagojonych szramach. Kącik jej ust uniósł się w leciutkim uśmiešku.

Miał oczy jak szpareczki.

– Muszę wiedzieć, dlaczego urządziłaś całe to... przedstawienie, po co ta ucztą, ta trucizna... tylko po to, by zdobyć mnie?

Mogłaś mnie mieć za dużo niższą cenę.

Uśmiechnęła się.

– Żeby zdobyć ciebie? Po prostu przy-szła na ciebie kolej.

Był szczerze zaskoczony.

– Robiłaś już wcześniej coś takiego?

Skinęła głową.

– Przy każdej pełni księżyca – jeśli ojca nie ma w domu.

– Kłamiesz!

– Zapominasz się! – upomniała go ostro.

Potem dodała z uśmiechem – A jednak to 809

prawda.

– Usłyszałbym coś o tym...

– Doprawdy? A powiedz mi, ilu twoich przyjaciół wie o twojej upokarzającej przygodzie?

Zwiesił głowę.

– Widzisz? Chowają się, aż szramy znikną, potem wracają i nie mówią ani sło-wa. I zawsze tak będzie.

– Jesteś diabolicą... dlaczego to robisz?

Po co?

– Powiedziałaś ci to – mówiła otwarcie.

– Jestem kobietą i zachowuję się jak kobieta, na swój własny sposób. Jednak żaden mężczyzna nigdy mnie nie dotknie. Jestem dziewicą i nią pozostanę.

– Jesteś kim? – ryknął.

Uniosła dłoń w rękawicze.

– Proszę – powiedziała, wyraźnie ogłuszona.

– Słuchaj – rzekł już ciszej, lecz z taką 810

mocą, że cofnęła się o krok. Zamknął

oczy, myśląc intensywnie. – Mówiłaś mi o jeziorku, jeziorku jednoroźca, i zaśpiewa-

łaś piosenkę, „Jedwabisty i szybki – chwa-

ła Sprawiedliwości"... pamiętasz? A potem ja... ja zadbałem, byś już nigdy nie mogła schwytać jednoroźca!

Potrząsnęła głową, na jej twarzy mało-wała się absolutna szczerłość.

– Podoba mi się to, „jedwabisty i szybki", piękne. Lecz uwierz mi – nie! To nie moja piosenka!

Przysunął twarz do jej twarzy i choć prawie szeptał, słowa uderzały niczym pociski.

– Łżesz! Łżesz! Nie zapomniałbym!

Czułem się źle, bolało mnie wszystko, by-

łem zatruty, ale wiem, co zrobiłem!

Odwrócił się na pięcie i odszedł.

Na sekundę oparła kciuk w rękawiczkę o górne zęby, potem pobiegła za nim.

811

– Del!

Przystanął, lecz nie odwrócił się do niej.

Okrążyła go, stanęła przed nim.

– Nie pozwolę ci pozostać w przekonaniu, że to prawda – to jedyna rzecz, jaka mi została – powiedziała drżącym głosem.

Nie próbował ukryć zaskoczenia. Z wyraźnym wysiłkiem opanowała się.

– Proszę – mówiła dalej. – Opowiedz mi coś więcej. O jeziorku, piosence, cokolwiek to było.

– Nie pamiętasz?

– Ja nic o tym nie wiem! – wykrzyknęła, głęboko poruszona.

Odpowiedział z udawaną cierpliwością.

– Opowiedziałas mi o jeziorku jednorożca, znajdującym się na Bagnach. Mówiłaś, że widziałas, jak gasił tam pragnienie. Ułożyłaś o tym piosenkę. A potem ja...

– Gdzie? Gdzie to było?

– Już tak prędko zapomniałaś?

812

– Gdzie? Gdzie to się stało?

– Na łące, naprzeciwko twojej bramy, po drugiej stronie drogi, tam dokąd za mną poszłaś – wyjaśnił. – Tam, gdzie wrócił mi wzrok, gdzie wzeszło słońce.

Patrzyła na niego pustym wzrokiem i wyraz jej twarzy powoli się zmieniał. Najpierw z trudem powstrzymała uśmiech, a potem – znów była sobą i roześmiała się głośno. Zaśmiewała się, wydając ten sam charakterystyczny dźwięk, który prześladował go, i nie przestawała aż do chwili, kiedy ostrożnie schował za siebie najpierw jedną, potem drugą rękę, i zobaczyła, jak ramiona tężeją mu z wysiłku, gdy powstrzymywał się, by jej nie zatłuc.

– Ty zwierzaku! – rzuciła wesoło. –

Wiesz, coś ty zrobił? Och, ty... ty zwierzaku!

Rozejrzała się dookoła, żeby upewnić się, że nikt jej nie słyszy.

813

– Zostawiłam cię u stóp schodów na taras – wyjaśniła. W oczach migotały jej wesołe ogniki. – W obrębie ogrodzenia, rozumiesz? A ty...

– Nie śmieję się – odezwał się spokojnie.

– Ktoś inny tam był. Nie potrafię sobie nawet wyobrazić kto. Ale to nie byłam ja.

Zbladł.

– Szłaś za mną.

– Przysięgam na swoją duszę, że nie – odparła poważnie. W chwilę potem zdusiła kolejny atak śmiechu.

– To niemożliwe – wyjąkał. – Nie mógłbym...

– Ale byłeś ślepy, ślepy i szalony, Delu-kochanku!

– Córko dziedzica, uważaj – wysyczał.

Przeciągnął dłonią po włosach. – To niemożliwe. Minęły już trzy tygodnie. Już by mnie ktoś oskarżył...

– Są takie, które by tego nie zrobiły –

814

uśmiechnęła się. – Albo – może ona to zrobi, ale w odpowiednim czasie.

– Nigdy nie było tu tak wstrętnej kobiety – oświadczył bezbarwnym tonem, patrząc jej prosto w oczy. – Kłamiesz. Wiesz, że kłamiesz.

– Co muszę zrobić, żeby ci to udowodnić – poza tym, na co żadnemu mężczyźnie nie pozwolę?

Skrzywił się.

– Schwytaj jednorożca – zaproponował.

– Jeśli to zrobię, uwierzysz, że jestem dziewicą?

– Będę musiał – przyznał. Odwrócił się, potem rzucił przez ramię: – Ale – ty?

Patrzyła za nim zamyślona, aż opuścił

targ. Oczy jej błyszczały, potem szybkim krokiem udała się do złotnika, gdzie zamówiła uzdę plecioną ze złota.

Jeśli jeziorko jednorożca leży gdzieś 815

niedaleko na Bagnach, myślała Rita, ktoś dobrze obznajomiony z tą słoną pustynią musi je znać. A kiedy w myśli sporządziła listę osób, które wędrowały po Bagnach, wiedziała, kogo zapytać. Po ustaleniu tego, wyciągnięcie pozostałych wniosków było już bardzo proste. Idąc przez targ, tak się śmiała, że ścigała na siebie zdziwione spojrzenia.

Zatrzymała się przy straganie z warzywami. Stojąca za nim dziewczyna spokojnie na nią patrzyła. Rita stała, uderzając się kosztowną rękawiczką w nadgarstek, z lekkim uśmiechem na ustach.

– A więc to ty.

Przyglądała się zwyczajnej, niezwracającej uwagi twarzy tak długo, aż Barbara spuściła wzrok.

– Chcę, żebyś za dwa tygodnie pokazała mi jeziorko jednorożca – powiedziała Rita, 816 nie bawiąc się w żadne wstępy.

Barbara podniosła oczy i teraz Rita odwróciła wzrok.

– Oczywiście, mogę wziąć kogoś innego, żeby go dla mnie znalazł, jeśli ty odmówisz – dodała.

Mówiła głośno i wyraźnie, ludzie wokół

odwracali się, by posłuchać. Przeskakiwali wzrokiem z Rity na Barbarę i z powrotem. Czekali.

– Nie odmówię – odparła Barbara słabym głosem.

Kiedy tylko Rita odeszła, uśmiechając się, zwinęła swój stragan i poszła do domu.

Oczywiście złotnik nie ukrywał tak niezwykłego zamówienia, co – razem z plotkami rozsiewanymi przez ludzi, którzy podsłuchali rozmowę Rity z Barbarą – uczyniło z tej wyprawy tłumną wycieczkę.

Cała wieś wybrała się popatrzeć. Chłopcy 817

pilnowali porządku, więc Rita mogła prowadzić. Za nią podążali młodzieńcy (niektórzy nieco mniej beztroscy, niż mogliby być) i inni ludzie, zaśmiewający się w kulkach. W tłumie znajdowały się dziewczęta, kilka troszkę bladych, inne aż piszczące, żeby zobaczyć, jak córka dziedzica przegrywa, a może nawet... ale tylko ona miała złotą uzdę.

Niosła ją niedbale, niczym nieowiniętą, widoczną z daleka, kołyszącą się i połyskującą w słońcu. Miała na sobie powiewną, białą suknię, nieco krótszą, dostosowaną do wędrowni po bagnach, złoty

pasek, lekkie, złote sandały i taki sam łańcuch, oplatający jej głowę i włosy niczym korona.

Barbara szła cicho tuż za Ritą, zatopiona we własnych myślach. Nieraz zerknęła na ponurego Dela, idącego samotnie.

Rita zatrzymała się na moment, pozwa-

818

lając, by Barbara ją dogoniła, i teraz szła obok niej.

– Powiedz mi – zapytała cicho – dlaczego przyszedłaś? To wcale nie musiałaś być ty.

– Jestem jego przyjaciółką – odparła Barbara. Szybkim ruchem dotknęła uzdy końcem palca. –

Jednorożca.

– Och – westchnęła Rita. – Jednorożca.

Popatrzyła koso na idącą obok dziewczynę.

– Nie wszystkich przyjaciół zdradzasz, prawda?

Barbara przyjrzała się jej spokojnie, bez złości.

– Jeśli schwytasz jednorożca, co z nim zrobisz? – spytała.

– Cóż za zdumiewające pytanie! Oczywiście, zatrzymam go sobie!

– Sądziłam, że zdołam cię namówić, byś go wypuściła.

819

Rita uśmiechnęła się i przewiesiła uzdę przez ramię.

– Nigdy by ci się to nie udało.

– Wiem – odparła Barbara. – Ale sądzi-

łam, że mogłabym, więc dlatego tu jestem.

I zanim Rita zdołała cokolwiek odpowiedzieć, znów została z tyłu.

Na ostatnim grzbiecie, wznoszącym się ponad jeziorkiem jednorożca, wielu spośród wieśniaków, którzy jeden po drugim docierali na górę, zachłysnęło się z zachwytu zobaczywszy, co jest w dole. Widok był naprawdę przepiękny.

– Niech wszyscy tu zaczekają! – zawołał grzmiącym głosem Del, ku zaskoczeniu większości.

Posłuchali go. Wzdłuż grzbietu z wolna gromadzili się ludzie. Wyciągali szyje, mamrotali do siebie. Potem Del ruszył za Ritą i Barbarą.

– Zostanę tutaj – oświadczyła Barbara.

820

– Chwileczkę – poleciła Rita władczo.

Potem spytała Dela: – Po co przyszedłeś?

– Żeby dopilnować uczciwej rozgrywki

– warknął. – Moja wiedza o czarach, choć niewielka, zmusza mnie do tego.

– Bardzo dobrze – zgodziła się chłodno.

Potem uśmiechnęła się tak jak zwykle –

Skoro nalegasz, byłoby miło, gdyby i Barbara dotrzymała mi towarzystwa.

Barbara zawahała się.

– Chodź, dziewczyno, on nie zrobi ci krzywdy – uspokoiła ją Rita. – On nawet nie wie, że istniejesz.

– Och – westchnęła Barbara, zdziwiona.

– Znam ją – odezwał się szorstko Del. –

Ona ma stragan z warzywami.

Rita uśmiechnęła się do Barbary, z ta-jemniczym wyrazem oczu. Dziewczyna podeszła bez słowa.

– Wiesz, że powinieneś się wycofać –

jedwabistym tonem zaszemrała Rita do 821

Dela, kiedy nadarzyła się po temu okazja.

– Czy nie dość już zostałeś upokorzony?

Nie odpowiedział.

– Uparty zwierzaku! – powiedziała. –

Czy sądzisz, że dotarłabym aż tutaj, nie mając absolutnej pewności?

– Tak – potwierdził Del. – Przypuszczam, że byś to zrobiła.

Doszli do błękitnego mchu. Rita prze-garnęła go parę razy stopą, potem usiadła z wdziękiem.

Barbara stała samotnie w cieniu kępy wierzb. Del lekko uderzał pięścią w osikę. Rita, uśmiechając się, przygotowała uzdę do zarzucenia i ułożyła ją na po-dołku.

Króliki pozostały w ukryciu. Nad zagaj-nikiem unosiła się atmosfera niepokoju, Barbara opadła na kolana i wyciągnęła rękę. Wiewiórka ziemna podbiegła i usadowiła się w niej, niczym w gnieździe.

Tym razem odbyło się to inaczej. Nie 822

powolne zamieranie w oczekiwaniu wszystkiego co żywe zapowiedziało jego przybycie, lecz nagły szmer, który przeleciał przez tłum zgromadzony na grzbiecie.

Rita sprężyła się, przykucnęła, niczym sprinter, i trzymała uzdę w pogotowiu.

Oczy miała szeroko rozwarte, jasne, po-między jej białymi zębami widniał wysu-nięty koniuszek języka. Barbara zamarła niczym posąg. Del oparł się plecami o drzewo i znieruchomiał.

Wtedy z grzbietu dobiegło jedno, rów-

noczesne westchnienie i zapadła cisza. Nie trzeba było tam patrzeć, by wiedzieć, że jedni gapili się oniemiałi, inni ukryli twarz w dłoniach albo zasłonili oczy przedramie-niem.

On przyszedł.

Tym razem zbliżał się powoli, złote kopyta starannie wybierały miejsca dotknię-

cia ziemi, niczym cztery igły wyszywające 823

skomplikowany haft. Okazała głowę trzy-mał wysoko uniesioną. Poważnym wzrokiem przyjrzał się trojgu ludziom na brzegu jeziora, odwrócił się na moment, by spojrzeć na grzbiet. W końcu ruszył, obchodząc jezioro po stronie kępy wierzb.

Na samej krawędzi błękitnego mchu stanął

i zajrzał w toń. Wydawało się, że odetchnął głęboko. Pochylił się potem, napił, uniósł głowę, by strząsnąć lśniące krople.

Zwrócił się w stronę trojga oczarowa-nych ludzi, przyjrzał się im po kolei. I nie do Rity w końcu podszedł, ani do Barbary.

Wybrał Dela. Swym spojrzeniem pił z jego oczu zupełnie jak przed chwilą z jeziora – powoli i obficie. Były w nim pięk-no, i mądrość, i współczucie, i coś jakby biała iskierka gniewu. Del wiedział, że owa istota w tym momencie wszystkiego się dowiedziała i poznała ich wszystkich troje w sposób niedostępny ludzkiemu poj-824

mowaniu.

Kiedy jednorożec się odwrócił, w jego ruchu widoczny był majestatyczny smutek.

Opuścił lśniącą głowę i podszedł delikatnie do Rity. Westchnęła, podniosła się odrobinę, szykując uzdę. Jednorożec pochylił

róg, by ją przyjąć...

... i podrzucił głową, wydzierając jej uzdę z rąk, posyłając złotą uprząż wysoko w powietrze.

Zawirowwała w słońcu i spadła do jeziora.

W momencie, gdy dotknęła jego tafli, zmieniło się w bagno i ptaki odfrunęły z drzew, świergocąc żalobnie. Jednorożec popatrzył na nich troje i otrząsnął się. Potem podszedł do Barbary, przyklęknął i złożył gładką głowę bez jednej plamki na jej łonie.

Nie poruszyła nawet rękami; podpierała się nimi siedząc na ziemi. Wzrokiem przeslizgiwała się po ciepłym, białym pięknie, 825
aż do końca złotego rogu i z powrotem.

Wrzask był przerażający. Rita uniosła ręce z palcami zakrzywionymi niczym szpony, ugryzła się w język, miała krew w ustach. Wrzasnęła jeszcze raz. Rzuciła się ze zwiędłej teraz kępy mchu w stronę jednorożca i Barbary.

– Ona nie może być! – zawyła. Zderzyła się z wyciągniętą prawą ręką Dela. – To nie tak, mówię wam, ona, ty, ja... !

– Przekonałem się – oświadczył Del niskim głosem. – Trzymaj się ode mnie z daleka, córko dziedzica.

Odsunęła się od niego, zrobiła taki ruch, jakby chciała go ominąć. Postąpił krok naprzód. Zdesperowana wbiła mu podbródek najpierw w jedno, potem w drugie ramię; nagle odwróciła się i pobiegła w stronę grzbietu.

– On jest mój, jest mój! – krzyczała. –

Mówię wam, nie może być jej, nie rozu-826

miecie? Ja ani razu, ja nigdy, ale ona...

Zwolniła, zatrzymała się, ucichła, usłysawszy dźwięk narastający na grzbiecie.

Zaczął się jak ulewa, najpierw pierwsze krople uderzające o liście dębu, potem tę-
żący szum, przechodzący w łomot, w końcu w huk. Stała patrząc w górę, twarz jej się mieniła, a
dźwięk opływał ją. Skuli-

ła się pod nim.

To był śmiech.

Obejrzała się raz, jej twarz wyrażała błaganie. Del patrzył na nią kamiennym spojrzeniem. Wtedy odwróciła się w stronę grzbietu, wyprostowała ramiona i ruszyła pod górę, wprost w śmiech.

Przeszła przezeń, by towarzyszył jej w drodze do domu i przez całe życie.

Del odwrócił się do Barbary w chwili, gdy pochyliła się nad piękną głową.

– Jedwabisty i szybki... odejdz wolny –

powiedziała.

827

Jednorożec uniósł głowę i popatrzył na Dela, który aż otworzył usta ze zdziwienia.

Zrobił niezdarny krok, zatrzymał się.

– To ty! – jęknął.

Twarz Barbary była nieruchoma.

– Miałaś nie wiedzieć – zachichotała. –

Miałaś nigdy się nie dowiedzieć... Tak się cieszyłam, że byłeś ślepy, bo byłam pewna, że nigdy się nie dowiesz.

Opadł obok niej na kolana. Kiedy to zrobił, jednorożec dotknął jej twarzy atlasowym nosem i cała ukryta uroda dziewczyny wypłynęła na zewnątrz. Wstał i zarżał

cichutko. Del popatrzył na nią, tylko jednorożec był piękniejszy. Położył dłoń na lśniącej szyi, przez moment czuł niewiarygodny jedwab grzywy, przepływający pomiędzy palcami. Wtedy jednorożec wycofał się, odwrócił gwałtownie, jednym, wielkim skokiem przesadził bagno, w

dwóch następnych znalazł się na grzbiecie 828

odleglejszego pasma wzgórz. Zatrzymał się tam na chwilę, skąpany w słońcu, potem zniknął.

– Dla nas poświęcił swoje jeziorko, swoje piękne jeziorko – powiedziała Barbara.

– Znajdzie drugie – rzekł Del. – Musi.

Po chwili dodał z wysiłkiem:

– Nie może zostać... ukarany... za swą wspaniałą Sprawiedliwość.

829

AVRAM DAVIDSON

GOLEM

(The golem)

Przełożyła Agata Piskorska

Avram Davidson (1923-1993), jak wielu autorów wspomnianych w tej książce, tworzył różne gatunki literackie. Zaczynając w latach pięćdziesiątych od fikcji spekulatywnej, napisał kilkanaście klasycznych opowiadań, m. in. : „All the Seas with Oysters” i „Dagon”. Za namową edytora „Ellery Queen's Mystery Magazine” zajął się pisaniem kryminałów i otrzymał nagrodę Ellery Queen, a także nagrodę Edgara Al-lana Poe. Kiedy zaczął pisać powieści, powrócił do formy, od której zaczynał – science fiction i fantasy. Ważniejsze tytuły to: „The Phoenix and the Mirror” oraz „The Island Under the Earth”.

830

Postać o szarej twarzy szła wzdłuż ulicy, przy której mieszkali starsi państwo Gumbeiner. Było jesienne popołudnie, ciepłe słońce łagodnie rozgrzewało ich stare ko-

ści. Każdy, kto chodził do kina w latach dwudziestych albo na początku trzydzie-stych, widział tę ulicę tysiąc razy. Właśnie wzdłuż tych parterowych domków z po-dwójnymi dachami Edmund Lowe space-

rował ramię w ramię z Leatrice Joy, a Ha-rolld Lloyd uciekał przed machającymi to-porkami Chińczykami. Pod palmami Lau-

rel kopał Hardy'ego, a Woolsey walił dor-szem po głowie Wheelera. Przez te trawniki o wielkości chustek do nosa wyrostki z Klanu Urwisów ściagały siebie nawzajem albo były ścigane przez wkurzonego grubego faceta w golfowych szortach. Na tej samej ulicy – albo może na jakiejś innej, 831

których pięćset wyglądało dokładnie tak.

Pani Gumbeiner pokazała tego ponurego osobnika mężowi.

– Myślisz, że coś z nim nie tak? – zapytała. – Według mnie trochę śmiesznie chodzi.

– Chodzi jak golem – odparł obojętnie pan Gumbeiner.

Staruszka obruszyła się.

– No nie wiem – powiedziała. – Myślę, że chodzi jak twój kuzyn Mendel.

Starzec wydał złośliwie usta i zacisnął je na fajce. Ponura postać skręciła na betonową ścieżkę, weszła po schodach na ganek, usiadła na krześle. Starszy pan Gumbeiner zignorował go. Jego żona wpatrywała się w przybysza.

– Człowiek przychodzi bez „dzień do-

bry”, „do widzenia” albo „co słyhać”, siada i od razu czuje się jak w domu... Krzesło wygodne?

– zapytała. – Może herbaty?

832

Zwróciła się do męża.

– Powiedz coś, Gumbeiner! – zażądała.

– Co, jesteś z drewna?

Starzec wolno rozciągnął usta w złośliwym, triumfalnym uśmiechu.

– Dlaczego ja miałbym coś powiedzieć?

– rzucił w powietrze. – Kim ja jestem? Nikim, oto kim jestem.

Nieznajomy odezwał się. Jego głos był chropowaty i jednostajny.

– Kiedy zrozumiecie, kim, czy też raczej czym jestem, ciało stopi się wam na kościach ze strachu. – Odsłonił porcelanowe zęby.

– Mniejsza o moje kości! – wykrzyknęła staruszka. – Masz tupet, żeby mówić o moich kościach!

– Zadrżycie ze strachu – powiedział przybysz.

Starsza pani stwierdziła, że chciałaby tego dożyć. Ponownie zwróciła się do 833 męża.

– Gumbeiner, kiedy masz zamiar skosić trawę?

– Cała ludzkość... – zaczął nieznajomy.

– Sza! Rozmawiam z moim mężem...

Mówi żdziebko śmiesznie, nie Gumbeiner?

– Pewnie obcokrajowiec – odparł z zadowoleniem pan Gumbeiner.

– Tak myślisz? – Pani Gumbeiner prze-

lotnie zerknęła na twarz przybysza. – Ma chory kolor twarzy, łobuz, myślę, że przyjechał do Kalifornii podreperować zdrowie.

– Choroba, ból, smutek, miłość, żal; nic to w porównaniu...

Pan Gumbeiner przerwał nieznajomemu wyliczankę.

– Woreczek żółciowy – odezwał się starzec. – Guinzburg z synagogi dokładnie tak samo

wyglądał przed operacją. Czuwa-

ło przy nim dwóch profesorów i pielę-

834

gniarka przez cały dzień i noc.

– Nie jestem człowiekiem! – oświadczył

głośno nieznajomy.

– Trzy tysiące siedemset pięćdziesiąt dolarów kosztowało to jego syna, Gin-zburg mi powiedział.

„Dla ciebie, Papo, nic nie jest zbyt kosztowne, tylko wyzdro-wiej”, tak mu powiedział syn.

– Nie jestem człowiekiem!

– Oj, mieć takiego syna! – odparła staruszka kiwając głową. – Złote serce, ze szczerego złota. –

Spojrzała na przybysza.

– Dobrze, już dobrze, usłyszałam za pierwszym razem. Gumbeiner! Zadałam ci pytanie. Kiedy masz zamiar skosić trawę?

– We środę albo może w czwartek przy-

chodzi tu Japończyk. Koszenie trawy to jego zawód. Mój zawód to szklarz na emeryturze.

– Między mną a całą ludzkością panuje nieunikniona nienawiść – powiedział nie-835

znajomy. – Kiedy wam powiem, kim je-
stem, ciało stopi...

– Już to mówiłeś, już mówiłeś – przerwała pani Gumbeiner.

– W Chicago, gdzie zimy są tak zimne i ostre jak serce rosyjskiego cara – zaczęła staruszka – miałeś siłę dzień w dzień dźwi-gać okna wraz z szybami. Ale w Kalifornii, gdzie świeci złote słońce, nie masz siły skosić trawy, gdy cię o to poprosi żona.

Czy ja dzwonię po Japończyka, żeby ci ugotował obiad?

– Profesor Allardyce spędził trzydzieści lat ulepszając swoje teorie. Elektronika, neutronika...

– Posłuchaj, jak fachowo mówi – powiedział pan Gumbeiner z podziwem. – Może studiuje tu na uniwersytecie?

– Jeśli jest na uniwersytecie, to może zna Buda? – zasugerowała jego żona.

– Pewnie są w tej samej grupie i przy-836

szedł zapytać go o pracę domową, co?

– Z pewnością musi być w tej samej grupie. Ile ich tam jest? Wszystkiego z pięć; Bud pokazywał mi swój plan studiów. – Wyliczyła na palcach: – Uznanie i krytyka telewizyjna, Budowanie małych okrętów, Przystosowanie społeczne, Taniec amerykański... Taniec amerykański –

te, Gumbeiner...

– Współczesna ceramika – dodał mąż, przeciągając sylaby. – Porządny chłopak ten Bud.

Prawdziwa przyjemność mieć u siebie takiego pensjonariusza.

– Po trzydziestu latach spędzonych na tych badaniach – ciągnął nieznajomy, który cały czas mówił, mimo że nikt go nie słuchał – przeszedł od teorii do praktyki.

W ciągu dziesięciu lat dokonał największego odkrycia w historii: sprawił, że ludzkość, cała ludzkość stała się zbyt liczna; stworzył mnie.

837

– Co Tillie napisała w swoim ostatnim liście? – zapytał staruszek.

Żona wzruszyła ramionami.

– A co miała napisać? To samo co za-

wsze. Sidney wrócił z wojska, Naomi ma nowego chłopaka...

– Stworzył MNIE!

– Posłuchaj, panie Jak-ci-tam – powiedziała staruszka. – Może tam, skąd pochodzisz, jest inaczej, ale w tym kraju nie przerywa się ludziom, którzy ze sobą rozmawiają... Hej. Posłuchaj – jak to on cię stworzył? Co to za gadanie?

Przybysz ponownie obnażył zęby, prezentując zbyt różowe dziąsła.

– W jego bibliotece, do której miałem dostęp po jego nagłej i jak dotąd nie od-krytej śmierci z przyczyn zupełnie naturalnych, znalazłem pełny zbiór opowiadań o androidach, od „Frankensteina” Shelleya przez „R. U. R” Capka do Asimova...

838

– Frankenstein? – zainteresował się staruszek. – Był kiedyś Frankenstein, co miał kawiarenkę na Halstead Street, litwak, nie-cnota.

– Co też gadasz? – zdziwiła się pani Gumbeiner. – To był Frankenthal i nie była to Halstead, tylko Roosevelta.

– ... jednoznacznie pokazywały, że cała ludzkość instynktownie nie darzy androidów sympatią i wcześniej czy później dojdzie między nimi do konfliktu...

– Oczywiście, oczywiście! – starszy pan Gumbeiner kłapnął zębami o fajkę. – Ja się zawsze myślę, ty masz zawsze rację. Jak mogłaś przez cały czas wytrzymać, będąc żoną kogoś tak głupiego?

– Nie wiem – odparła kobieta. – Czasami się sama zastanawiam. Myślę, że to przez jego świetny wygląd. – Roześmiała się. Pan Gumbeiner mrugnął, zaczął się uśmiechać, w końcu ujął rękę żony.

839

– Stara głupia kobieto – powiedział nieznajomy. – Czemu się śmiejesz? Czy nie wiesz, że przyszedłem was zniszczyć?

– Co? – wrzasnął stary pan Gumbeiner.

– Zamilknij, ty! – Poderwał się z krzesła i na odlew uderzył przybysza. Głowa nieznajomego odbiła się od kolumny ganku.

– Jak odzywasz się do mojej żony, to odzywaj się z szacunkiem, rozumiesz?

Pani Gumbeiner z płonącymi policzkami popchnęła męża z powrotem na krzesło.

Potem pochyliła się, żeby obejrzeć głowę przybysza. Mlasnęła językiem, odrywając kawałek szarego skóropodobnego materiału.

– Gumbeiner, spójrz! On ma w środku same sprężyny i druty!

– Powiedziałem ci, że to golem, ale nie, ty nie słuchałaś – odparł starzec.

– Powiedziałeś, że szedł jak golem.

– Jak mógł iść jak golem, jeśli nim nie 840 był?

– Dobrze, już dobrze... Popsułeś go, to teraz napraw.

– Mój dziadek, świeć Panie nad jego duszą, powiedział mi, że kiedy MoHaRaL – Moreyne Ha-Rav Löw – cześć jego pamięci, stworzył golema w Pradze, ile – trzysta, czterysta lat temu, napisał na jego czole Święte Imię. Uśmiechając się do wspomnień, staruszka dodała:

– A golem rąbał rabinowi drewno, przynosił mu wodę i pilnował getta.

– A kiedy pierwszy raz nie posłuchał rabiego Löwa i rabbi Löw starł napis z czoła golema i golem upadł jak martwy. I schowali go na strychu synagogi, i pewnie jeszcze dziś tam leży, chyba że komuniści wysłali go do Moskwy... To nie jest byle jaka historia.

– Jasne, że nie! – stwierdziła staruszka.

841

– Sam widziałem i synagogę, i grób rabina.

– Myślę, że to jakiś inny rodzaj golema, Gumbeiner. Zobacz jego czoło, nic tu nie ma.

– I co z tego, czy jakieś prawo zabrania mi tu coś napisać? Gdzie ten kawałek gliny, który Bud przyniósł nam ze swoich za-jęć?

Staruszek poprawił jarmułkę, po czym powoli i ostrożnie napisał cztery hebrajskie litery na szarym czole.

– Sam skryba Ezra nie zrobiłby tego lepiej – oświadczyła z podziwem staruszka.

– Nic się nie dzieje – zauważyła, patrząc na pozbawionego życia osobnika rozciągniętego na krześle.

– Cóż, a czy ja jestem rabbi Löw? – zapytał jej mąż z dezaprobatą. – Nie – odpowiedział sam sobie. Pochylił się i obejrzał widoczny mechanizm. – Ta sprężynka 842 idzie tu... ten drucik do tego...

Postać poruszyła się.

– A ten do czego? A tamten?

– Zostaw – powiedziała jego żona. Po-

stać usiadła powoli i przewróciła oczami.

– Posłuchaj no, panie golem – odezwał

się staruszek, kiwając palcem. – Słuchaj uważnie tego, co mówię, rozumiesz?

– Rozumiesz...

– Jeśli chcesz tu zostać, musisz robić to, co pan Gumbeiner każe.

– Robić-to... co-pan-Gumbeiner-każe...

– Tak powinien mówić golem. Matka,

daj no tutaj lusterko z notesu. Spójrz, widzisz swoją gębę? Widzisz, co masz napisane na czole?

Jeśli nie będziesz robić, jak pan Gumbeiner każe, to on ci to wytrze i umrzesz.

– Umrzesz...

– Zgadza się. Teraz posłuchaj. Pod gankiem znajdziesz kosiarkę. Weź ją. I skoś 843

trawnik. A potem tu przyjdź. Rusz się.

– Rusz-się...

Osobnik zwlókł się ze schodów. Wkrót-

ce furkot kosiarki zmałował ciszę ulicy takiej jak ta, na której Jackie Cooper łkała w koszulę

Wallace'a Beery'ego, a Chester Con-klin wywracał oczami na widok Marie Dressler.

– To co napiszesz do Tillie? – zapytał

starszy pan Gumbeiner.

– A co miałabym napisać – wzruszyła

ramionami starsza pani Gumbeiner. – Napiszę, że mamy śliczną pogodę i że, chwa-

ła Panu, oboje czujemy się dobrze.

Staruszek wolno pokiwał głową i oboje usiedli na frontowym ganku w promieniach ciepłego popołudniowego słońca.

844

POUL ANDERSON

OPERACJA AFRYT

(Operation Afreet)

Przełożyła Agata Piskorska

Nazwisko Poula Andersona od razu przywodzi na myśl dziesiątki znakomitych powieści i opowiadań science fiction.

Ale Anderson, jak wielu innych autorów, tworzył też powieści fantasy, które nie ustępują im jakością. Na pewno należy tu wymienić „Three Hearts and Three Lions” i „The Broken Sword”; inspiracją do napisania tej ostatniej były mity nor-weskie. Anderson tworzył także w światach tak różnych jak komedie Shakespeare'a i mity Conana Roberta E. Howarda.

Siedmiokrotny zdobywca nagrody Hugo, otrzymał też trzy nagrody Nebula oraz nagrodę Tolkiena.

845

I

Był to najzwyklejszy pech, albo może ich wywiad był lepszy, niż myśleliśmy, ale ostatni nalot, przerywając naszą obronę powietrzną, rozniósł namiot Korpusu Pogody w drobne drzazgi. Mając pewne problemy z zaopatrzeniem, długo nie mogli-

śmy dostać zastępstwa, a w tym czasie wróg przejął kontrolę nad pogodą. Nasz jedyny sanitariusz, który przeżył, major Jackson, musiał pozbierać to, co mu zosta-

ło z cząstek żywiołów, żeby nas ochronić od piorunów, inaczej obrywaliśmy wszystkim, co chcieli na nas zrzucić – w tej chwili był to deszcz.

Nie ma nic bardziej zniechęcającego niż cały tydzień zimnego deszczu. Grunt zamienia się w błoto i klei się do butów, któ-

846

re stają się tak ciężkie, że ledwo można je oderwać od ziemi. Mundur wygląda jak mokra szmata, prowiant rozmięka, karabiny wymagają szczególnej dbałości, a deszcz zawsze wali w twój hełm tak, że zaczynasz go słyszeć nawet we śnie. Nigdy nie zapomnisz tej niekończącej się kąpieli i kapaniny – dziesięć lat później każdy deszcz wpędzi cię w depresję.

Jedyna pociecha w tym, myślałem, że póki pada, nie mogą nas zaatakować z powietrza. Bez wątpienia rozgoniliby chmury, gdyby byli gotowi nas zbombardować, ale nasze miotły mogły poderwać się równie szybko jak ich dywany nadlecieć.

Tymczasem wlekliśmy się do przodu, cały oddział z posiłkami – Czterdziestą Piątą, Pogromcami Piorunów, dumą armii Stanów Zjednoczonych, która teraz wyglądała jak nędzna grupka mężczyzn i smoków tropiących najeźdźców na wzgórzach Ore-847

gonu.

Szedłem powoli przez obóz. Woda spływała z namiotów i bulgotała w okopach.

Nasi wartownicy oczywiście byli wyposa-

żeni w czapki niewidki, ale widziałem śla-dy ich stóp odciskające się w błocie i słyszałem chlupot butów oraz monotennie rzucane przekleństwa.

Minąłem biwak Sił Powietrznych – roz-

bili go z nami, aby nas wesprzeć, gdy zajdzie taka potrzeba. Kilku mężczyzn stało na straży przenośnego hangaru, nie martwiąc się o niewidzialność. Niebieskie uni-formy mieli tak zabrudzone i zszargane jak mój mundur, ale oni byli ogoleni, a odzna-ki – miotła ze skrzydełkami i paciorki strzegące od Złego Oka – błyszcząły wy-polerowane. Zsalutowali, gdy ich mijam-

łem, a ja leniwie odwzajemniłem gest.

Espirit de corps, ci niebiescy szaleńcy, wariaci.

848

Minąłem zbrojownię. Chłopcy wzniesli

przenośne stajnie dla swoich bestii, więc widziałem tylko parę buchającą ze szczelin i poczułem gadzi odór zgnilizny. Smoki nienawidzą deszczu i ich jeźdźcy przechodzili piekło próbując utrzymać je w ryzach.

W pobliżu znajdował się Oddział Petrograficzny, z zagrodą pełną zakapturzonych bazylijszków wijących się, syczących i szarżujących koronowanymi łbami w ludzi, którzy je karmili. Osobiście wątpiłem w praktyczność tego oddziału. Bazylijszka trzeba ulokować całkiem blisko człowieka i żeby wprawić go w osłupienie, zmusić, aby popatrzył prosto na niego; a garnitur i hełm z folii aluminiowej, które trzeba wło-

żyć, aby ochronić się przed wpływem tych zwierzaków, są jak zaproszenie dla snajpe-ra. W dodatku, kiedy ludzki węgiel zamienia się w silikon, otrzymujesz radioaktyw-ny izotop i możesz sam dostać taką dawkę 849

promieniowania, że medycy będą musieli zaaplikować ci ziele świętego Jana zerwane na cmentarzu podczas nowiu.

No cóż, gdybyście nie wiedzieli, zwyczaj kremacji nie zaniknął, stał się nielegalny w świetle uchwały o obronie narodowej. Musimy mieć wiele staromodnych cmentarzy. W ten sposób wiek nauki ogranicza nasze swobody.

Minąłem inżynierów, którzy kierowali gangiem zombie kopiącym nowy kanał, i stanąłem przed

wielkim namiotem genera-

ła Vanbrugha. Kiedy strażnik zobaczył

mój czteroliterowy symbol wywiadu, zasalutował i wpuścił mnie do środka. Zatrzymałem się przed biurkiem i sam uniosłem dłoń, żeby zasalutować.

– Kapitan Matuchek melduje się na rozkaz, sir – powiedziałem.

Vanbrugh popatrzył na mnie spod gę-

stych krzaczastych brwi. Był potężnym 850

człowiekiem o kamiennej twarzy, żołnierz typowy na sto trzy procent, ale lubiliśmy go, tak jak lubi się każdego rasowego generała.

– Spocznij – powiedział. – Proszę usiąść. To trochę potrwa.

Znalazłem składane krzesło i usiadłem.

Dwie osoby, których nie znałem, już tam były. Utuczony mężczyzna o okrągłej czerwonej twarzy, na której powiewała biała broda – major noszący kryształową kulę –

emblem oddziału łączności i kobieta.

Przyjrzałem jej się pomimo zmęczenia.

Było warto; wysoka, zielonooka, ruda, o regularnych rysach twarzy i sylwetce zbyt zgrabnej, by nosić ubrania wojskowe czy jakiegokolwiek inne. Belki kapitańskie, pajak kawalerii... albo Slepindir, jeżeli użyć ofi-cjalnej nazwy.

– Major Harrigan – burknął generał. –

Kapitan Graylock. Kapitan Matuchek.

851

Przejdźmy do rzeczy.

Rozłożył przed nami mapę. Pochyliłem

się, żeby na nią spojrzeć. Zaznaczono na niej pozycje nasze i wroga. Wciąż zajmowali wybrzeże Pacyfiku od Alaski aż do połowy Oregonu, chociaż i tak było lepiej niż rok wcześniej, zanim bitwa o Missisipi nie odwróciła kolei rzeczy.

– Teraz – powiedział Vanburgh – przedstawię wam ogólną sytuację. Jest to nie-bezpieczna misja, nie musicie się do niej zgłaszać, ale chcę, żebyście wiedzieli jakie to ważne.

Zrozumiałem, że właśnie powiedziano mi, że mam się zgłosić na ochotnika, bo jak nie, to pożałuję. Takie było wojsko, przynajmniej podczas wojny tak ważnej jak ta i nie mogłem się sprzeciwić. Zanim Kalifat Saraceński nas zaatakował, byłem dość znanym aktorem w Hollywood.

Zamierzałem wrócić do zawodu, ale najpierw 852

trzeba było zakończyć wojnę.

– Jak widzicie, zmuszamy ich do odwro-tu – powiedział generał – a okupowane kraje są zwarte i gotowe do buntu, gdy tylko pojawi się szansa walki. Brytyjczycy organizują i zbroją podziemie, szykując się na przeskok przez Kanał. Rosjanie są gotowi zaatakować z północy. Ale my musimy zadać wrogowi decydujący cios, rozbić front i otoczyć ich. To będzie sygnał. Jeżeli nam się uda, wojna skończy się jeszcze w tym roku. Jeśli nie, możemy to ciągnąć przez następne trzy lata.

Wiedziałem o tym. Całe wojsko wiedziało. Nie podano jeszcze oficjalnych informacji, ale zawsze można przeczuć zbli-

żający się atak.

Jego pulchny palec wędrował po mapie.

– Dziewiąta Zbrojna jest tutaj, Dwunasta Miotłowa Desantowa tutaj, Czternasta Kawalerii tutaj, Salamandry tu, gdzie wiemy, 853

że zgromadzili swoich miotaczy ognia.

Marines są gotowi zająć plażę i odbić Seat-tle, teraz, gdy marynarka wyhodowała już wystarczająco wielu Krakenów. Jeden po-rządny szturchaniec i zaczną atakować.

Major Harrigan sapnął w brodę i posępnie spojrzął na kryształową kulę. Była zamglona i niewyraźna; wróg blokował nasze kryształy, aż przestawały nadawać się do użytku, choć my oczywiście robiliśmy to samo. Kapitan Graylock niecierpliwie bębniła starannie wypielęgnowanymi paznokciami w biurko. Była tak czysta, tak rześka i tak sprawna, iż doszedłem do wniosku, że jednak nie podoba mi się jej wygląd. Nie wtedy, gdy trzydniowy zarost jeży się na mojej brodzie.

– Ale najwyraźniej coś poszło źle – zaryzykowałem.

– Zgadza się, do cholery – potwierdził

Vanbrugh. – W Trollburgu.

854

Skinąłem głową. Saraceni zajmowali to miasto: kluczowa pozycja na autostradzie numer 20, strzegąca dostępu do Salem i Portland.

– Rozumiem, że mamy przejąć Trollburg, sir – mruknąłem.

Vanbrugh spojrzął spode łba.

– To robota dla Czterdziestej Piątej –

warknął. – Jeżeli to schrzaniemy, wróg bę-

dzie mógł ruszyć na Dziewiątą, żeby ją odciąć, i diabli wezmą całą operację. Ale teraz major

Harrigan i kapitan Graylock przyszli z Czternastki i mówią, że garnizon w Trollburgu jest w posiadaniu afryta.

Gwizdnąłem, a dreszcz przebiegł mi po plecach. Kalifat używał mocy bez zastanowienia – to był jeden z powodów, dla któ-

rego reszta muzułmańskiego świata uważa-

ła ich za heretyków i nienawidziła tak bardzo jak my – ale nigdy nie pomyślałem, że posunęliby

się do zerwania pieczęci Salo-855

mona. Afryt, który wyrwałby się spod opieki, mógł zniszczyć więcej niż ktokolwiek by

przypuszczał.

– Mam nadzieję, że mają tylko jednego

– wyszeptąłem.

– Owszem – odparła Graylock. Jej głos był niski i mógłby wydać się przyjemny, gdyby nie był

tak ożywiony. – Przekopują dno Morza Czerwonego, mając nadzieję, że znajdą jeszcze jedną butelkę

Solly, ale wydaje się, że została tylko ta.

– To wystarczy – powiedziałem. Próba

powstrzymania głosu od drżenia pomogła mi zachować spokój. – Jak się pani dowiedziała?

– Byliśmy z Czternastą – niepotrzebnie odparła Graylock. Jednak jej znaczek Kawalerii był dla

mnie zaskoczeniem. Zwykle jedynymi rekrutami, jakich armia może znaleźć do jazdy na

jednorożcach, są szkolni nauczyciele o pospolitych gębach i 856

im podobni.

– Po prostu jestem oficerem łącznościowym – powiedział major Harrigan w po-

śpiechu. – Sam prowadzę moją miotłę.

Uśmiechnąłem się słysząc to. Żaden amerykański mężczyzna, chyba że jest ka-łanem, nie przyzna

się, że ma kwalifikacje do jazdy na jednorożcu. Zobaczył to i zapłonął z gniewu.

Graylock mówiła dalej, jakby dyktowa-

ła. Jej ton był niski, chociaż nieco się zmienił.

– Mieliśmy szczęście i schwytaliśmy jednego z przywódców podczas ataku ko-mandosów. Sama

go przesłuchałam.

– Są całkiem dyskretni, te szanowne, hm... pustynisyny – powiedziałem. Sam od czasu do czasu naginałem przepisy konwencji genewskiej, ale nie podobał mi się pomysł, aby je całkowicie łamać – nawet jeżeli wróg nie miał takich skrupułów.

857

– Och, nie byliśmy brutalni – odparła Graylock. – Zapewniliśmy mu doskonały wikt i opierunek. Ale w chwili gdy przełykał kawałek jedzenia, zamieniłam go w wieprzowinę. Szybko się załamał i wszystko wyśpiewał.

Musiałem się głośno roześmiać, Vanbrugh zachichotał; ale pani kapitan siedziała zupełnie niewzruszona. Organiczno-organiczna transformacja, która ledwie przedstawia molekuły nie zmieniając atomów, nie stwarza zagrożenia promieniowaniem, ale oczywiście wymaga dobrej znajomości chemii. Dlatego przeciętny nowicjusz nienawidzi oddziałów technicznych: czysta zazdrość człowieka, który potrafi zamienić sproszkowane żarcie w stek i frytki. Kwa-termistrzowie mają wystarczające problemy z wyczarowywaniem samych racji, bez wpakowywania się w wykwintne dania.

– W porządku, dowiedzieliście się, że 858 mają w Trollburgu afryta – rzucił generał.

– Co z innymi siłami?

– Mały oddział, sir. Można łatwo zagażować to miejsce, jeżeli unieszkodliwi się owego demona – odpowiedział Harrigan.

– Tak, wiem. – Vanbrugh popatrzył na mnie. – Cóż, kapitanie, pisze się pan na to?

Jeśli to się panu uda, będzie oznaczało co najmniej Srebrną Gwiazdę, przepraszam, brązową.

– Hm – zamyśliłem się, szukając odpo-

wiednich słów, gdyż bardziej mnie interesował awans, ewentualnie zwolnienie do cywila.

Niemniej... oprócz tego, że bałem się o własny kark, miałem pewne wątpliwości.

– Sir, nie mam zielonego pojęcia o tej robocie. W college'u ledwie zdałem podstawy demonologii.

– To będzie moje zadanie – powiedziała Graylock.

859

– Pani! – znowu chciałem coś powiedzieć, ale zabrakło mi słów.

– Byłam naczelną wiedźmą Agencji Arkanów w Nowym Jorku przed wojną – odparła chłodno.

Już wiedziałem, jak kształtowała się ta jej osobowość – karierowiczka z wielkiego miasta. Nie znoszę ich.

– Wiem o obchodzeniu się z demonami

tyle, ile wszyscy na tym wybrzeżu. Pana zadaniem będzie bezpiecznie eskortować mnie na miejsce i z powrotem.

– Tak – powiedziałem słabo. – Tak, to wszystko.

Vanbrugh chrząknął. Nie podobał mu się pomysł wysyłania kobiety na taką akcję, ale miał zbyt mało czasu, żeby dokonać innego wyboru.

– Kapitan Matuchek to jeden z najlepszych wilkołaków w tym interesie – przyznał.

860

Ave, Caesar, morituri te salutant, pomy-

ślałem. Nie, to nie to miałem na myśli, ale nieważne. Później, po śmierci, jak już będę miał trochę czasu, wykoncypuję coś lepszego.

Właściwie się nie bałem. Oprócz uroku rzuconego na mnie, aby temu zapobiec, miałem powody, by wierzyć, że moje szanse są nie gorsze niż szanse żołnierza piechoty, posłanego w ogień walki. Poza tym Vanbrugh nie poświęciłby swojego personelu, wysyłając ludzi na beznadziejną akcję. Ale ja byłem mniej optymistyczny, jeśli chodzi o jej skutki, niż on.

– Myślę, że dwoje adeptów może minąć ich straże – kontynuował generał. – Później będziecie musieli improwizować. Jeżeli uda się wam wyeliminować tego potwora, zaatakujemy jutro w południe. – Ponuro dodał: – Jeżeli przed świtem nie dostanę informacji, czy wam się powiodło, 861 będziemy musieli się przegrupować, za-cząc wycofywać i ocalić to, co nam zostało. Dobrze, tu macie mapę przeglądową miasta i okolic...

Nie tracił czasu na pytanie, czy naprawdę zgłosiłem się na ochotnika.

II

Zaprowadziłem kapitan Graylock do namiotu, który dzieliłem z dwoma innymi oficerami. Zmrok zakradał się pośród długich strug zacinającego zimnego deszczu.

Milcząc, brnęliśmy przez brud, aż znaleźliśmy się wewnątrz. Moi współlokatorzy byli na warcie, więc mieliśmy namiot tylko dla siebie. Zapaliłem ogień świętego Elma i usiadłem na rozmoczonej drewnianej podłodze.

– Proszę sobie wziąć krzesło – powiedziałem, wskazując nasz jedyny stołek 862 obozowy. Było to animowane siedzenie, które kupiliśmy w San Francisco: niezbyt rozgarnięte, ale taszczyło nasze manatki i przychodziło na zawołanie. Teraz drgnęło niespokojnie, czując obcy ciężar, po czym ponownie zasnęło.

Graylock wyjęła paczkę wigsów i uniosła brwi. Kiwnąłem głową w podziękowaniu i papieros podfrunął do moich ust. Osobiście w terenie wolę palić luckie-sy: samozapalające się papierosy to niezwykła wygoda, gdy ma się mokre zapalaki.

W cywilu, kiedy było mnie na to stać, kupowałem philip morrissy, ponieważ mały elf w czerwonym płaszczu z dymu mógł też przygotować drinka.

Przez chwilę paliliśmy w ciszy, słuchając deszczu.

– Cóż – powiedziałem w końcu – przypuszczam, że ma pani jakiś pojazd.

– Mam własną miotłę – odparła. – Nie 863

lubię tych wojskowych szczot. Cadilla-kiem mogę jeździć cały czas. Nawet go podrasowałam.

– I ma pani swoje magiczne księgi, proszki i temu podobne?

– Tylko trochę kredy. Magiczne przedmioty nie przydają się w walce z potężnym demonem – Tak? Co z woskiem do pieczęci na butelce Solly?

– To nie wosk trzyma afryta w środku, ale pieczęć. Zaklęcia są symboliczne; tak naprawdę uważa się, że skutki ich działania są czysto psychosomatyczne. – Zacią-

gnęła się dymem, a jej wciągnięte policzki podkreśliły świetną strukturę kości. – Dziś w nocy możemy mieć szansę sprawdzenia tej teorii.

– W takim razie, będzie pani chciała pistolet naładowany srebrnymi kulami; wie pani, oni też mają u siebie zwierzołaki. Ja wezmę towotnicę, czterdziestkępiątkę i kil-864 ka granatów.

– A armatka wodna?

Zmarszczyłem brwi. Używanie wody święconej jako broni zawsze wydawało mi się świętokradztwem, chociaż kapelan twierdził, że jest dozwolone przeciwko mieszkańcom Podziemnego Świata.

– Nie przyda się – powiedziałem. – Mu-zułmanie nie mają takiego zwyczaju, więc oczywiście nie używają żadnego stworzenia, które jest kontrolowane w ten sposób.

Zobaczmy, będzie mi potrzebny też mój polaroidowy flesz. I to byłoby wszystko.

Ike Abrams wetknął swój wielki nos do namiotu.

– Czy pan i pani kapitan chcieliby coś zjeść, sir? – zapytał. – Pewnie – odparłem.

W duchu pomyślałem, że nie chciałbym spędzać swoich ostatnich dni na Midgar-dzie, stojąc w kolejce po żarcie. Kiedy sobie poszedł, wytłumaczyłem dziewczynie: 865

– Ike to tylko szeregowiec, ale w Hollywood przyjaźniliśmy się. Był rekwizyto-rem, gdy grałem w „Zewie krwi” i „Srebrnym wodzu” – i jakoś tak sam się nominował na mojego ordynansa.

Przyniesie nam trochę jedzenia.

– Wie pan – zauważyła – to jedyna po-

zytywna rzecz w epoce technologii. Wiedział pan, że kiedyś w tym kraju szerzył

się antysemityzm? Nie tylko pośród kilku jansenickich dziwaków, ale między zwykłymi,

szanowanymi obywatelami.

– Serio?

– Serio. Zwłaszcza fałszywy pogląd, że Żydzi to tchórze, których nie znajdzie się na linii ognia.

Teraz, kiedy religia zabrania większości z nich rzucać zaklęcia, a orto-doksi w ogóle nie używają magii, ich proporcje wśród piechoty i Rangersów są po prostu zbyt wysokie, żeby je zignorować.

Ja sam miałem dosyć komiksowych su-

866

permanów i bohaterów ze szmatławców, którzy nosili tak jednostajne hebrajskie imiona – czy Anglosasi nie są częścią naszej kultury? Ale miała rację. A to udowodniło, że jest czymś więcej niż tylko maszynką do robienia pieniędzy. Tylko trochę.

– Co pani robi w cywilu? – zapytałem, głównie po to, żeby zagłuszyć nieustający hałas deszczu.

– Już mówiłam – burknęła, znów poiryt-

towana. – Pracowałam w Agencji Arkanów. Reklama, *public relations* i tak dalej.

– Ach tak – powiedziałem. – Hollywood jest co najmniej tak samo zakłamane, więc nie powinienem się nabijać.

Jednak nie mogłem się powstrzymać. Te typki z Madison Avenue są jak wrzód na tylnej części ciała. Używają dobrej Sztuki, żeby rozślawić jakieś ważne tylko dla siebie zero, albo sprzedać produkt, którego 867

główną cechą jest całkowite podobieństwo do takich samych produktów innych marek.

Towarzystwo Zwalczenia Przemocy nad Zwierzętami mocno ograniczyło naukę nimf wodnych, żeby fontanny literowały słowa, czy też wpychanie młodych sala-mander do szklanych rurek, żeby oświetlić Broadway, ale i tak wciąż mogę znaleźć lepsze zastosowanie błyszczącego papieru niż do reklamowania perfum Ma Chere, które i tak są właściwie eliksirem miłosnym, chociaż wiecie, jak

wyglądają przepisy pocztowe.

– Pan nie rozumie – powiedziała. – To część naszej gospodarki, część całego społeczeństwa. Myśli pan, że każdy domoro-sły magik może naprawić, powiedzmy, spryskiwacz trawy? Do licha, nie! Prawdopodobnie uwolniłby cząstki wodnego żywiołu i zalał pół miasta, jeśli nie rzucono by ograniczających zaklęć. A my, Arkany, 868

podjęliśmy kampanię, żeby przekonać Hydrosów, że muszą szanować nasze symbole. Powiedziałam panu, że to psychosomatyczne, jeżeli ma się do czynienia z tymi naprawdę mocnymi stworzeniami. Żeby to zrobić, musiałam zanurkować z akwalungiem.

Przypatrywałem się jej z większym szacunkiem. Odkąd ludzkość nauczyła się, jak zneutralizować zgubny wpływ zimnego żelaza i zaczął się wiek magii, świat potrzebował kilku śmiałków.

Najwyraźniej ona była jednym z nich.

Abrams przyniósł dwie porcje jedzenia.

Wydawał się smutny i zaprosiłbym go do nas, ale nasza misja była tajna i musieliśmy omówić szczegóły.

Kapitan Graylock przemieniła kawę w martini – niezbyt wytrawne – a psie żarcie w steki – zbyt wysmażone, ale nie można się spodziewać innych upodobań po kobie-869

cie, w dodatku było to najlepsze żarcie, jakie miałem w ustach od miesiąca. Pani kapitan rozluźniła się trochę za sprawą brandy, a do mnie dotarło, że jej odstraszająca oschłość była po prostu bronią przed obśli-zgłymi typami, z jakimi miała do czynienia. Dowiedzieliśmy się, że nasze imiona to Steven i Virginia. Ale wtedy zmrok na zewnątrz był już ciemnością i musieliśmy ruszać.

III

Możecie myśleć, że to czysty obłąd po-syłać dwoje ludzi, w tym kobietę, na teren wroga z zadaniem takim jak to. Bardziej by to pasowało do brygady Rangersów.

Ale współczesna nauka zmieniła wojnę, tak samo jak przemysł, medycynę i życie codzienne. Nasza misja była tak czy siak desperacka, a postępując według instruk-870

cji, nie zyskalibyśmy wystarczająco, aby móc wezwać posiłki.

Widzicie, właściwie każdy może się nauczyć kilku prostych sztuczek, żeby obsłużyć uwrażliwioną miotłę, odkurzacz albo obrotowy kabestan czy też cokolwiek innego, ale tylko zdecydowana mniejszość ludzkości może stać się adeptami. Poza latami nauki i praktyki wymaga to jeszcze wrodzonego talentu. To trochę tak jak z zoomorfizmem: jeśli jesteś jednym z niewielu ludzi mających odpowiedni chromo-som, możesz zamienić się w swoje charakterystyczne zwierzę prawie instynktownie, w przeciwnym razie do transformacji niezbędne są silne moce z zewnątrz.

Moi przyjaciele naukowcy mówią mi, że Sztuka wymaga postrzegania świata jako zbioru nieskończoności kantorskich. W

każdej danej klasie, część jest równa jej całości i tak dalej. Jedna dobra wiedźma 871

może wyczarować wszystko, czego mogli-byśmy potrzebować; większa grupa byłaby bardziej podatna na wykrycie i naraziłaby cenny personel. Tak więc Vanbrugh miał rację, wysyłając tylko nas dwoje.

Kłopot ze skostniałymi wojskowymi zasadami polega na tym, że niekiedy sami się w nie wplątujemy.

Virginia i ja stanęliśmy do siebie plecami, żeby się przebrać. Ona założyła mary-narskie spodnie i kurtkę bojową, ja wślizgnąłem się w kombinezon z elastycznego tworzywa, który będzie pasował też do mojej wilczej formy. Założyliśmy hełmy, obwiesiliśmy się sprzętem i odwróciliśmy do siebie. Nawet w workowatych zielonych żołnierskich ciuchach wyglądała świetnie.

– To co – zapytałem beznamiętnie –
idziemy?

Nie bałem się, jasne. Każdy rekrut jest 872

uodparniany na strach, kiedy nakładają na niego zobowiązanie. Ale i tak mi się to nie podobało.

– Im prędzej, tym lepiej, tak przypuszczam – odparła. Ruszyła w stronę drzwi pogwizdując.

Jej miotła sfrunęła i wylądowała tuż na zewnątrz. Była odrapana z szycownego chromu, ale i tak dość gustowna. Siedzenia z gumowej pianki miały dobre amortyzatory i porządnie zaprojektowane oparcia pod plecy, nie tak jak transport wojskowy. Towarzyszył jej gigantyczny kocur, czarny jak środek nocy, z parą złośliwych żółtych ślepiów. Wyprężył w łuk grzbiet i splunął z oburzeniem. Czar przeciw złej pogodzie trzymał deszcz z dala od niego, ale nie podobało mu się wilgotne powietrze.

Virginia pogłaskała go pod brodą.

– Tak, Svartalf – zamruczała. – Dobry kociak, pierwszorzędny elf, księżę ciemno-873
ści, jeśli przeżyjemy tę noc, będziesz sypiał na poduszkach z obłoków i spijał
śmietanę ze złotej miseczki. Kot nastroszył
uszy i zapuścił motor.

Wspiałem się na tylne siedzenie. Dziewczyna usiadła przede mną i zanuciła do kija. Ten przeciął powietrze prosto w górę, ziemia oddaliła się, a obóz pogrążył w mroku. Oboje zostaliśmy obdarzeni

wiedź-
mim wzrokiem – właściwie zdolnością widzenia w podczerwieni – więc nie potrzebowaliśmy światła.

Kiedy wzbiliśmy się nad chmury, zoba-

czyliśmy nad głowami gigantyczne sklepienie pokryte gwiazdami, a pod nami wirującą mętną

biel. Zauważyłem też kilka P-56, krążących na patrolu, śmigaczy z sze-

ścioma miotłami taszczącymi broje i karabiny maszynowe. Zostawiliśmy ich w tyle i pognaliśmy na północ. Położyłem ckm na kolanach i siedziałem przysłuchu-874

jąc się świstowi przecinanego powietrza.

Pod nami, w kanciasto zarysowanym cieniu wzgórz od czasu do czasu widziałem błyski, pojedynki artyleryjski. Jak dotąd nikt nie potrafił rzucić zaklęcia wystarczająco szybko, aby rozbroić albo odwrócić pocisk. Słyszałem plotkę, że Główny Elektryk pracował nad gadżetem, który mógłby wyrecytować formułkę w ułamku sekundy, ale w tym czasie olbrzymie karabiny wciąż hałasowały.

Trollburg znajdował się zaledwie kilka mil od naszej pozycji. Widziałem go jako niewyraźną rozrośniętą masę, zaciemnioną w obawie przed naszą bronią i bombami.

Byłoby miło mieć wtedy broń atomową, ale tak długo, jak Tybetańczycy kręcą kołem modlitw antynuklearnych, takie myśli pozostają tylko w sferze fantazji. Poczulem, jak napinają mi się mięśnie brzucha.

Kot podkulił ogon i zaklął. Virginia skiero-875

wała kij pochyło w dół.

Wylądowaliśmy w kępie drzew i odwróciła się do mnie.

– Ich strażę muszą być gdzieś w pobliżu

– wyszeptała. – Nie odważyłam się wylądować na dachu, zbyt łatwo mogliby nas zauważyć. Będziemy musieli tam dojść.

Kiwnąłem głową.

– W porządku. Daj mi minutę.

Skierowałem na siebie flesz. Jak trudno uwierzyć, że jeszcze dziesięć lat temu transformacja zależała od światła księżyca w pełni! Potem Wiener udowodnił, iż proces polegał na tym, że spolaryzowane światło o odpowiedniej długości fal pobudzało pracę przysadki mózgowej, a Korporacja Polaroid zarobiła kolejny milion dolarów, albo coś koło tego, na swoich So-czewkach ZwierzoSen. Niełatwo nadażyć za tym przerażającym i wspaniałym wiekiem, w którym żyjemy, ale za nic bym się

nie zamienił.

Przeszło mnie zwykłe uczucie falowania i skręcania się, chwilowy pijacki za-wrót głowy i na wpół ekstatyczny ból.

Atomy przekształcały się w całkiem nowe molekuly, niektóre zakończenia nerwów znikły, inne się pojawiły, kości przez chwilę były płynne, a mięśnie jak naciągnięta guma. W końcu wszystko się ustabilizowało, otrząsnąłem się, wyjąłem ogon zza paska obcisłych spodni i obwąchałem dłoń Virginii.

Ona podrapała mnie po karku, tuż za hełmem.

– Dobry chłopiec – wyszeptła. – Idź, dorwij ich.

Obróciłem się i zniknąłem w zaroślach.

Wielu pisarzy próbowało opisać, jak to jest być zwierzołakiem, ale żadnemu się to nie udało, ponieważ w ludzkim języku brakuje słów. Mój wzrok nie był już ostry, 877

gwiazdy nade mną zlały się w jedno, a świat wokół wydawał się bezbarwny i płaski. Ale słuch stał się tak czysty, że noc zdawała się krzyczeć, prawie ponaddzwię-

kowo; a świat zapachów kłębił się w moich nozdrzach, mokra trawa i zbierający się brud, gorący, słodki zapaszek biegnącej polnej myszy, czysta woń oleju i karabinów, delikatna chropowatość dymu...

Biedna ogłupiała ludzkość, nieczuła na takie ziemskie piękno.

Psychologiczną część jest trudniej wytłumaczyć. Byłem wilkiem, miałem wilcze unerwienie, gruczoły i instynkt oraz wilczy przenikliwy, ale ograniczony rozum. Mia-

łem ludzkie wspomnienia i ludzkie cele, ale były one nierealne, jak sen. Musiałem trzymać się ich siłą woli, żeby nie pope-

dzić za byle zającem. Nic dziwnego, zwierzołaki nie cieszyły się dobrym imieniem w dawnych czasach, zanim same zrozu-878

miały, jakie zmiany zachodzą w ich psychice, a odpowiednie odruchy zaczęto wpajać w nie od dzieciństwa.

Ważę dziewięćdziesiąt kilogramów, a zachowanie masy obowiązuje tak samo jak każde inne prawo natury, więc stałem się całkiem dużym wilkiem. Ale łatwo pędzi-

łem przez krzaki, łąki i wąwozy, jak jeszcze jeden płynący cień. Byłem prawie w mieście, kiedy poczułem blisko zapach człowieka.

Przyciąłem się, z szarą sierścią zjezoną na grzbiecie, i czekałem. Obok przeszedł strażnik. Był to wysoki, brodaty gość ze złotymi kolczykami, które słabo błyszcząły w świetle gwiazd. Turban zawinięty wokół

hełmu piętrzył się potężnie w stronę Drogi Mlecznej.

Poczekaliśmy, aż mnie minie, i ruszyłem za nim, aż spotkałem następnego. Byli rozstawieni wokół Trollburga, każdy miał do 879

przejścia po łuku sto jardów i spotykał swoich partnerów na każdym końcu. Nie będzie łatwo...

Coś zamruczało w moich uszach. Skuli-

łem się. Jeden z ich pojazdów przeleciał cicho nad moją głową. Krążył nisko i leniwie nad kółkiem wartowników. Zobaczy-

łem dwóch mężczyzn z kilkoma karabina-mi maszynowymi, siedzących po turecku na środku dywanu. Trollburg był dobrze strzeżony.

W jakiś sposób Virginia i ja mieliśmy przedrzeć się przez tę wartę. Wolałbym, żeby moja transformacja zostawiła i™ cał-

kowitą zdolność rozumowania jak człowiek. Wilczy instynkt nakazywał skoczyć na najbliższego człowieka, ale to by sprowadziło na mnie cały garnizon.

Chwileczkę – może jednak tego właśnie potrzebowaliśmy!

Dałem susa z powrotem w zarośla. Ten

880

kot, Svartalf, drapnął łapą w moją stronę i dał dyla na drzewo. Virginia Graylock drgnęła, pistolet podskoczył do jej dłoni, potem uspokoiła się i zaśmiała nieco nerwowo. Nawet w wilczej postaci mógłbym sam obsłużyć flesz zawieszony na mojej szyi, ale poszło szybciej za pomocą jej palców.

– No i co? – zapytała, kiedy znów byłem człowiekiem. – Czego się dowiedziałeś?

Opisałem sytuację, widząc jak marszczy brwi i przygryza wargi. A były to naprawdę zbyt kształtne wargi do takich celów.

– Nie najlepiej – zauważyła. – Obawia-
łaś się, że tak będzie.

– Słuchaj – powiedziałem – możesz szybko zlokalizować tego afryta?

– O tak. Studiowałam na Uniwersytecie W Kongo i byłam całkiem niezła z wiedź-
mowachania. Czemu chcesz wiedzieć?

– Jeżeli zaatakuję jednego ze strażników 881

i podniosę przy tym wrzawę, ich uwaga skieruje się w moją stronę. Powinnaś mieć równe szanse, żeby przelecieć przez tę li-nię niezauważona, a jak już będziesz w mieście, twoja czapka niewidka...

Potrząsnęła głową.

– Nie zabrałam jej ze sobą. Ich systemy detekcji są równie dobre jak nasze. Właściwie niewidzialność stała się przestarzała.

– Hm, tak, myślę, że masz rację. Cóż, w Każdym razie możesz wykorzystać ciemność, żeby dostać się do domu afryta. Potem będziesz musiała improwizować.

– Przypuszczałam, że będziemy musieli zrobić coś takiego – odparła. Łagodnym głosem, którego ton mnie zaskoczył – do-dała:

– Ale Steve, to dla ciebie dość duże ryzyko.

– Nie, jeśli nie trafią mnie srebrem, a większość ich nabojów to czysty ołów.

882

Stosują zasadę pocisku smugowego, każda dziesiąta kula jest ze srebra. Mam dziewięćdziesiąt procent szansy, że swobodnie wrócę do domu.

– Jesteś łgarzem – odparła. – Ale od-ważnym łgarzem.

Wcale nie byłem odważny. Jakimś na-

tchnieniem są myśli o bitwach pod Valley Forge, o Alamo czy o Wzgórzu San Juan, czy też o Casablance, gdzie przetrzebione wojsko zatrzymało trzy oddziały Panter z Afrykańskich Oddziałów von Ogerhausu –

ale tylko gdy samemu jest się w bezpiecznym i wygodnym miejscu. Pod antypa-nicznymi zobowiązaniami żołądek skręcał

mi się w supeł. Jednak nie widziałem innej możliwości wykonania tego zadania, a gdybym nawet nie spróbował, trafiłbym pod sąd wojenny.

– Przegonię ich, jak już zaczną za mną biec – powiedziałem jej. – Jak ich zmęcę, 883 zatoczę koło i spróbuję do ciebie dołączyć.

– Okay – nagle wspięła się na palce i pocałowała mnie. Skutek był piorunujący.

Przez chwilę stałem bez ruchu, przyglądając się jej.

– Co robisz w sobotę wieczorem? – zapytałem, lekko drżącym głosem.

Roześmiała się.

– Niech ci nic nie przychodzi do głowy, Steve. Jestem w Kawalerii.

– Tak, ale wojna nie będzie trwać wiecznie. – Uśmiechnąłem się do niej beztro-skim, wojskowym uśmiechem, który sprawił, że zawahała się. Doświadczenie aktorskie często bywa przydatne.

Uzgodniliśmy szczegóły tak dokładnie, jak tylko mogliśmy. Ona nie dała się zwieść: afryt był dobrze strzeżony, a i sam w sobie był niebezpieczny. Szansa, że oboje dożyjemy poranka, nie dodawała nam pewności.

884

Wróciłem do formy wilka i polizałem jej rękę. Ona zmierzwiła moją sierść. Wśliznąłem się w ciemność.

Wybrałem strażnika stojącego z dala od autostrady, która z pewnością była zablokowana. Po obu stronach mojego celu można było dostrzec ludzi człapiących w tę i z powrotem. Wśliznąłem się za pniak niedaleko środka trasy strażnika i zaczekałem na niego.

Kiedy nadszedł, skoczyłem. Szybko zlokalizowałem oczy i zęby na brodatej twarzy, usłyszałem jego krzyk i poczułem na-gły przyływ strachu, kiedy się zderzyliśmy. Zwalił się głucho na plecy, a ja sięgnąłem do jego gardła. Zacisnąłem szczęki na jego ramieniu i poczułem słoną, ciepłą krew na języku.

Wrzasnął ponownie. Dwaj Saraceni, stojący najbliżej, biegli na pomoc. Rozprułem gardziel pierwszego z nich i zebrałem się 885

do skoku na następnego.

Ten strzelił. Poczułem rozrywający ból, zatrząsałem się pod siłą uderzenia. Ale on nie wiedział, jak obchodzić się ze zwierzo-

łakiem. Powinien był upaść na jedno kolano i strzelać ciągle, aż trafi na srebrną kulę; w razie potrzeby powinien był mnie zablokować, nawet przygwoździć swoim bagnetem, cały czas strzelając. A on biegł

w moją stronę, wykrzykując do Allacha swojej heretycznej sekty.

Moje tkanki ściągnęły się, gdy dałem nura w jego stronę. Ominąłem bagnet i lufę karabinu, uderzając w niego wystarczająco mocno, żeby wytrącić mu broń, ale nie żeby go przewrócić. Usztywnił nogi, chwycił mój kark i nie puszczał.

Oparłem lewą tylną łapę na jego kostce i pchnąłem. Przewrócił się, a ja na niego, w pozycji, jaką walczący wilkołak zawsze stara się przyjąć. Obróciłem łeb; rozdarłem 886

jego ramię i wyrwałem się z uchwytu.

Zanim zdążyłem się przygotować, trzech innych zważyło się na mnie. Maczety ruszały się w górę i

w dół, raz po raz trafiając między moje żebra. Ich przygotowanie było beznadziejne. Wyrwałem się z tej sterty, wtedy już sześciu ludzi, i rzuciłem się do ucieczki.

Wśród zapachu potu i krwi poczułem delikatną woń Chanel No. 5 i roześmiałem się w duchu. Virginia śmignęła nad pobo-jowiskiem, lecąc trzydzieści centymetrów nad ziemią, i już była w Trollburgu. Teraz ja powinienem zmusić ich do pościgu i nie oberwać przy tym srebrną kulką.

Zawyłem drwiąco, chcąc zirytować ludzi wybiegających z pobliskich domów, i dałem im moment, by mogli mi się przypatrzeć, zanim ruszyłem przez pola. Biegłem wolno, żeby ich od razu nie zgubić; zda-

łem się na zygzakowaty krok, nie zamie-887
rzałem bowiem dać się podziurawić. Biegli za mną, potykając się i krzycząc.

Według nich był to zwykły atak komandosów. Inaczej strażnicy zmieniliby szyk i zawiadomiono by cały garnizon. Ale pewnie tylko kilka osób wiedziało o afrycie, a żadna z nich nie wiedziała, że my o tym wiemy. Więc nie mogli domyślić się, co naprawdę planujemy. Może jednak nam się uda...

Coś przeleciało nad moją głową: jeden z ich cholernych dywanów. Ruszył na mnie jak jastrząb, plując nabojami. Skręciłem w stronę najbliższej połaci lasu.

Między drzewa! Gdyby mi dali trochę czasu, mógłbym...

Nie dali. Usłyszałem galop za sobą, poczułem gryzący zapach i zaskowyczałem.

Tygrysołak mógł biec tak szybko jak ja.

Przez moment przypomniałem sobie starego przewodnika, jakiego miałem na Ala-888

sce, i przez moment cholernie chciałem, żeby tu był. Był grizliłakiem. Potem stanąłem oko w oko z tygrysem, zanim ten zdążył mnie zaatakować.

Był olbrzymi, ważył co najmniej dwieście pięćdziesiąt kilogramów. Jego ślepie płonęły nad olbrzymimi kłami, a łapa, która mogła strzaskać mój kręgosłup jak suchą gałązkę, była uniesiona. Ruszyłem na niego, kłapiąc zębami, i odskoczyłem, zanim mógł mnie uderzyć.

Część mnie słyszała wroga, błędzącego obok w krzakach, próbującego nas znaleźć.

Tygrys skoczył. Zrobiłem unik i czmych-nałem w najbliższą gęstwinę. Może mógłbym wejść tam, gdzie on by się nie zmieścił. Rycząc, ruszył za mną przez las.

Zobaczyłem wąskie przejście między parą gigantycznych dębów, zbyt małe dla niego, i skoczyłem w tę stronę. Ale okaza-

ło się, że dla mnie też było za małe. W
889

chwili gdy utknąłem, on mnie dogonił.

Światło eksplodowało i zgasło.

IV

Byłem nigdzie i nigdy. Moje ciało ode-szło ode mnie, albo ja od niego. Jak mogłem myśleć o nieskończonej wiecznej ciemności i zimnie, jeśli nie miałem żadnych zmysłów? Jak mogłem rozpaczać, kiedy byłem tylko punktem w czasoprzestrzeni?... Nie, nawet nie tym, bo nie było nic innego, nic, co można by znaleźć, aby pokochać albo znieńawidzić, czy też czego można by się bać, albo co można by potraktować w jakikolwiek inny sposób.

Umarli wydawali się mniej samotni niż ja, bo tylko ja stanowiłem wszystko, co istniało.

To była moja rozpacz.

Ale w jednej chwili, albo po miliardzie 890

lat, albo wtedy, albo nigdy zacząłem rozumieć coś innego. Byłem pod opieką Solip-systy.

Bezradny w nieprzytomności, nie mogłem zrobić nic innego, jak tylko dzielić się tym egotyzmem tak skrajnym, że nie zostawiał miejsca nawet na nadzieję.

Wiłem się w przypiływach i sztormach my-

śli zbyt odległych, zbyt obcych i zbyt sze-rokich, bym mógł je zrozumieć, jakbym od czasu do czasu słyszał polarny ocean, jednocześnie w nim tonąc.

... niebezpieczny, ten tutaj... on i tych dwóch... w jakiś sposób mogą być okropnym niebezpieczeństwem... nie teraz (pogardliwie), kiedy ledwie pomagają wypełnić resztki już i tak spartaczonego planu...

nie, później, kiedy będzie dojrzywał na-stępny plan, wielki plan, przy którym ta wojna była tylko załączkiem... coś w nich ostrzega

*słabo
przed
niebezpieczeństwem... gdybym tylko mógł*

891

wyraźniej zobaczyć czas!... trzeba ich od-wrócić, zniszczyć, dać sobie radę, zanim ich siła urośnie... ale nic mi jeszcze nie przychodzi do głowy... może zginą od samej wojny... jeśli nie muszę ich zapamiętać i spróbować później... teraz mam zbyt dużo do zrobienia, chroniąc te nasiona, które posiałem w świecie... ptaki wroga kłębią się nad moimi polami, głodne wrony i orły, które ich strzegą... (z nawet większą wściekłością) jeszcze wpadniecie w moje sidła, ptaszki... i ten, który was wypuścił!

Potężna siła tej ostatniej nienawiści uwolniła mnie.

V

Otworzyłem oczy. Przez moment doskonale zdawałem sobie sprawę z przerażenia.

Uratowało mnie cierpienie fizyczne, które wepchnęło te wspomnienia tam, gdzie 892

tkwią na wpół uśpione koszniary. Przyszło mi na myśl, że to szok spowodował krótkotrwały obłąd.

Naturalny zoomorf w swojej zwierzęcej postaci nie jest aż tak niewrażliwy, jak większość ludzi uważa. Oprócz rzeczy takich jak srebro – biochemicznej trucizny dla metabolizmu w tym półpłynnym stanie

– rana, która niszczy ważny organ, jest za-bójcza; amputacje są trwałe, chyba że w pobliżu znajdzie się chirurg, który ponownie przyszyje daną część, zanim jej komórki obumrą; i tak dalej, i temu podobne.

Jednak jesteśmy odpornym gatunkiem.

Dostałem cios, który prawdopodobnie zła-mał mi Kark. Przy nieprzerwanym rdzeniu kręgowym, rana uleczyła się przy standar-dowej zooprędkości.

Problem polegał na tym, że złapali mnie i użyli mojego flesza, aby przywrócić mi ludzką formę, zanim obrażenia całkowicie 893

się zagoiły. Łupało mi w głowie i miałem mdłości.

– Wstawaj – ktoś kopnął mnie w zebra.

Wyprostowałem się chwiejnie. Zabrali mój sprzęt, w tym flesz. Dwudziestu facetów celowało we mnie z broni. Tygrysek był tuż obok. W ludzkiej postaci miał ponad dwa metry wzrostu i był potwornie gruby. Mrużąc oczy z bólu, zauważyłem, że nosi odznakę emira – który wtedy był raczej stopniem wojskowym niż tytułem, ale i tak dość ważnym.

– Chodź – powiedział. Ruszył, a ja byłem popychany i popędzany tuż za nim.

Widziałem ich dywany na niebie i słyszałem wycie ich zwierzołaków szukających śladów innych Amerykanów. Miałem wciąż zbyt miękkie kolana, żeby się tym przejąć.

Weszliśmy do miasta, chodnik dudnił głucho pod butami, kiedy skierowaliśmy 894

się do centrum. Trollburg nie był duży, kiedyś miał może z pięć tysięcy mieszkańców. Większość ulic pozostawała pusta.

Zauważyłem kilka saraceńskich oddzia-

łów, broń przeciwlotniczą wycelowaną w niebo, wlokącego się smoka, z którego pyska buchały

płomienie, i armatę sterczącą z uzbrojonych juków. Ani śladu cywili, ale wiedziałem, co się z nimi stało. Młode atrakcyjne kobiety były w oficerskich ha-remach, reszta nie żyła albo zamknięta czekała na najbliższy transport na rynek niewolników.

Zanim dotarliśmy do hotelu, gdzie mie-

ściła się główna kwatera wroga, mój ból ustał, a umysł pracował sprawnie. W tych okolicznościach było to jednocześnie dobre i złe. Zabrano mnie do apartamentu na piętrze i kazano stanąć przed stołem. Emir usiadł po drugiej stronie, pół tuzina straż-

ników ustawiło się w linii pod ścianą, a 895

obok usadowił się młody basza Wywiadu.

Emir odwrócił do niego wielką twarz i wypowiedział kilka słów – przypuszczam, że o znaczeniu mniej więcej: „Ja się tym zajmę, ty rób notatki”. Ponownie spojrzał na mnie. Oczy miał koloru bladej tygryskiej zieleni.

– Zatem – powiedział niezłą angielszczyzną – będziemy mieli kilka pytań. Proszę się przedstawić.

Odpowiedziałem mechanicznie, że jestem kapitan Sherrinford Mycroft, Armia Stanów Zjednoczonych, i podałem mój numer identyfikacyjny.

– To nie jest prawdziwe nazwisko, prawda? – zapytał.

– Oczywiście, że nie! Znam konwencję genewską, a pan nie będzie na mnie rzucał uroków wykorzystując moje imię. Sherrinford Mycroft to mój oficjalny pseudonim.

– Kalifat nie podpisał się pod konwen-

cją genewską – powiedział cicho emir – a dżihad czasami wymaga zastosowania surowszych środków. Jaki był cel tego ataku?

– Nie mam obowiązku odpowiadać na

to pytanie – odparłem. Milczenie służyło-by temu samemu – opóźnieniu, które dało-by nieco więcej czasu Virginii.

– Możemy ci to wyperswadować.

Gdyby to był film, powiedziałbym mu,

że zbierałem stokrotki i dalej bym się wy-mądrzał w tym stylu, aż oni przynieśliby zaciski na kciuki. W rzeczywistości wypadłoby to trochę tandetnie.

– W porządku – odparłem. – Byłem na zwiadach.

– Sam?

– Jeszcze kilku innych, mam nadzieję, że udało im się zwiać. – Polowanie na nich da chłopcom na jakiś czas zajęcie.

– Łzesz – stwierdził beznamiętnie.

897

– Nie mogę wam pomóc, jeśli mi nie wierzycie – wzruszyłem ramionami.

Jego oczy zwężyły się.

– Już wkrótce będę wiedział, czy mó-

wisz prawdę – oznajmił. – Jeśli nie, to niech Eblis ma cię w swojej opiece.

Nie mogłem nic na to poradzić, szarpną-

łem się, pot perlił mi się na skórze. Emir roześmiał się. Miał nieprzyjemny śmiech, który przypominał jękliwy pomruk, wydobywający się z głębi jego tłustego gardła; jak tygrys bawiący się swoją ofiarą.

– Przemyśl swoją decyzję – poradził i zaczął przeglądać papiery, leżące na stole.

W pokoju zapanowała absolutna cisza.

Strażnicy stali jak odlani z brązu. Młody żółtodziób drzemał pod swoim turbanem.

Za plecami emira okno wychodziło na pustkę nocy. Jedynym dźwiękiem było tykanie zegara i szelest papieru. Wydawało się, że wszyscy pogrążają się w ciszy.

898

Byłem zmęczony, bolała mnie głowa, miałem niesmak w ustach i chciało mi się pić. Zwykle fizyczne znużenie tym, że musiałem stać, miało mnie złamać. Przyszło mi do głowy, że emir chyba zaczyna się nas bać, skoro zadaje sobie tyle trudu z jednym więźniem. To była chwala dla Ameryki, ale dla mnie małe pocieszenie.

Mrugałem oczami, rozglądając się po pokoju. Nie było w nim nic ciekawego, typowe hotelowe umeblowanie. Na biurku znajdowało się mnóstwo rzeczy; były tam: kryształowa kula, nieużyteczna z powodu naszego własnego zakłócania, piękna kryształowa misa, zrabowana z czyjś domu, komplet eleganckich kryształowych kieliszków do wina, pudełko na cygara z kwarcowego szkła, karafka pełna czegoś, co wyglądało jak dobra szkocka. Emir chyba lubił kryształy.

Poczęstował się cygarem; kiwnął ręką, 899

żeby otworzyć pudełko, a havana sama wpadła w jego usta i zapaliła się. Podczas wlokących się minut popielniczka podskakiwała od czasu do czasu, żeby emir mógł

na nią strząsnąć popiół. Chyba wszystko, co posiadał, było zaczarowane tak, aby samo się podnosiło i poruszało bez trudu.

Tak gruby facet, płacąc za bycie naprawdę wielkim zwierzołakiem, potrzebował takich wygód.

Było bardzo cicho. Padało na nas światło. Wydawało się to jakoś odrażająco niewłaściwe, żeby stare dobre wojskowe ogniki świętego Elma świeciły na te oturbanione głowy.

Zaczął mi niejasno świtać pewien pomysł. Jeszcze nie wiedziałem, jak go wprowadzić w czyn, ale żeby tylko się czymś zająć, zacząłem układać zakłęcia.

Minęło może pół godziny, mimo że wydawało się to półwieczem, kiedy otworzy-900

ły się drzwi i przytruchtał fenkołak, mały lis z afrykańskiej pustyni. Emir popatrzył, jak wchodzi do szafy, szukając ciemności, aby użyć swojego flesza. Koleś, który z niej wyszedł, był oczywiście karłem o wzroście nie większym niż trzydzieści centymetrów. Pokłonił się i przemówił gwałtownie wysokim, cienkim głosem.

– A więc tak – emir obrócił podbródek w moją stronę. – Raport mówi, że nie znaleziono innych śladów niż twoje. Kłama-
łeś.

– To nie mówiłem? – spytałem. Mój głos brzmiał sztywno i obco. – Użyliśmy sów i nietoperzy. Ja byłem samotnym wilkiem.

– Daj spokój – powiedział chłodno. –

Wiem równie dobrze jak ty, że jedyne nie-toperzołaki to wampiry, a wampiry są – jak wy to nazywacie – 4-F w każdej armii.

To była prawda. Od czasu do czasu jakiś 901

generał pyta ze swojego fotela, czemu nie zbierzemy oddziału Drakul. Odpowiedź jest rutynowa: są zbyt lekkie i kruche; nie wytrzymują słońca; jeżeli regularnie nie dostaną krwi, są skłonne dobrać się do swoich towarzyszy; i nie ma mowy, żeby ich użyć w okolicy wojsk włoskich. Przekląłem sam siebie, ale mój mózg był zbyt odrętwiąły, żeby jasno myśleć.

– Wydaje mi się, że coś ukrywasz –

kontynuował emir. Kiwnął na karafkę oraz kieliszki, żeby podały mu szkocką, i zaczął

powoli popijać. Sekta Kalifatu plotła też herezje na temat stosunku do alkoholu: twierdzili, że podczas gdy Wyrocznia za-kazywała wina, nie wspominała nic o piwie, dżinie, whisky, brandy, rumie czy okowicie.

– Będziemy musieli zastosować ostrzejsze środki – stwierdził w końcu. – Miałem nadzieję, że obędzie się bez tego. – Kiwnął

902

głową na strażników.

Dwóch z nich trzymało mnie za ręce, a basza okładał. Był w tym niezły. Fenkołak przyglądał się zachłannie, emir wypuścił

dym z cygara i wrócił do swoich papierów.

Po kilku długich minutach wydał rozkaz.

Wtedy mnie puścili, a nawet podali krzesło, którego bardzo potrzebowałem.

Usiadłem, ciężko dysząc. Emir obchodził się ze mną z pewną łagodnością.

– Żałuję tego – powiedział. – Nie jest to przyjemne.

Dziwne, ale mu uwierzyłem.

– Miejmy nadzieję, że wykażesz się rozsądkiem, zanim obrażenia staną się trwałe. Tymczasem może chciałbyś zapalić?

Stara procedura trzeciego stopnia. Po-obijać człowieka przez chwilę, a potem okazać mu łaskawość. Bylibyście zdziwieni, jak często wtedy ludzie pękają i zaczy-903

nają sypać.

– Chcielibyśmy uzyskać informacje na temat twoich oddziałów i ich planów. – Jeśli będziesz współpracował i przyjmiesz prawdziwą wiarę, możesz dostać u nas szanowane stanowisko. Lubimy mieć dobrych ludzi w kalifacie. – Uśmiechnął się. – Po wojnie mógłbyś sobie wybrać harem w Hollywood, jeśli byś chciał.

– A jeśli się nie wygadam... – mruknałem.

Rozłożył ręce.

– To już nie będziesz potrzebował hare-mu. Twoja decyzja.

– Niech pomyślę – poprosiłem. – To nie takie proste.

– Pomyśl – powiedział grzecznie i wrócił do papierów.

Siedziałem tak rozluźniony jak to tylko możliwe, wciągając dym do gardła i pozwalając powrócić mojej sile. Wojskowe 904

zobowiązania mogłyby być zerwane przez ich techników tylko za moją dobrowolną zgodą, a ja tego nie chciałem. Przygląda-

łem się oknu za emirem. Od ulicy dzieliły mnie dwa piętra.

Skacząc, prawdopodobnie bym się zabił.

Ale to i tak lepsze od otrzymanych propozycji.

Przypomniałem sobie zaklęcia, które kiedyś wkuwałem. Prawdziwy technik musi znać chociaż jeden arkanowy język –

łacinę, grekę, klasyczny arabski, sanskryt, staronorweski albo coś podobnego – dla zwykłych potrzeb nauki sympatycznej.

Zjawiska paranormalne nie reagują zbyt silnie na normalne języki. Ale ja znałem tylko zwykłe zakończenia magicznych formułek, niezbędne, aby dać sobie radę w codziennym życiu, nie byłem uczonym.

Chociaż jeden lekko ezoteryczny dialekt znałem całkiem nieźle. Nie byłem pewny, 905

czy zadziała, ale warto było spróbować.

Poruszyłem się, a moje mięśnie napręży-

ły. Wysięk, aby wyglądało to naturalnie, przyprawił mnie o dreszcz. Strzepnąłem popiół z cygara. Podnosząc je z popielniczki zgarnąłem nim trochę popiołu emira.

Ułożyłem w myśli czterowiersz, przyłożyłem cygaro do ust i wyszeptalem zakłęcie.

Popiele z urny oddal się-że

W górę sam też się-że obróć się-że I kiedy obraz pojawi się-że

Niechąco w oku zagaś się-że

Zamknąłem prawe oko i podniosłem cygaro prawie dotykając powieki jego rozżarzoną końcówką.

Emirowskie El Fumo podskoczyło i zgaśnięło się na jego prawym oku.

Wrzasnął i upadł do tyłu. Zerwałem się 906

na nogi. Wypatrzyłem fenkołaka i jednym susem znalazłem się przy nim. Ciosem na odlew złamałem jego ohydny mały kark i zerwałem flesz, który na nim wisiał.

Strażnicy wrzasnęli i rzucili się na mnie.

Wskoczyłem na stół, potem na emira, ła-piąc po drodze karafkę. W dzikim bólu zamachnął się na mnie, widziałem obrzydlistwo w jego oczodole; trzymając naczynie, krzychałem:

Szkło-że wszystko-że

Mnie posłuchaj-że

Jak-że cisnę-że

Leć-że za tym-że

Gdy skończyłem, uwolniłem się i cisną-

łem karafką w strażników. Nie był to piękny wiersz i mógł nie zadziałać, gdyby grubas wcześniej nie uwrażliwił swoich rzeczy. A tak, kula, popielniczka, misa, kie-907

liszki, pudełko na cygara i szyby z okna ruszyły za karafką. W powietrzu latało pełno szkła.

Nie zostałem, żeby podziwiać skutki, ale wyskoczyłem przez okno jak diabeł podczas egzorcyzmów. Zwinięty w kulę wylądowałem na chodniku, podniosłem się i pobiegłem.

VI

Dokoła biegali żołnierze. Kule świstały obok mnie. Pobitem rekord, dobiegając do najbliższej alei. Moim wiedźmim wzrokiem wypatrzyłem wybite okno i wślizgną-

łem się przez nie. Czołgając się pod para-petem, usłyszałem, jak pościg przechodzi obok mnie.

Byłem na zapleczu splądrowanego wa-

rzywniaka, wystarczająco ciemnym do moich celów. Zawiesiłem flesz na szyi, 908

skierowałem go na siebie i przeszedłem przemianę. Oni mogli wrócić za minutę, a ja nie chciałem być nieodporny na ołów.

Już jako wilk, zacząłem węszyć w po-

szukiwaniu innego wyjścia. Tylne drzwi były na wpół otwarte. Prześlizgnąłem się przez

podwórko, do miejsca zawalonego skrzyniami. To była niezła kryjówka. Poło-

żyłem się tam, próbując kontrolować moją wilczą naturę; głośno dyszałem.

Kiedy żołnierze odeszli, próbowałem się zastanowić nad sytuacją. Kusilo mnie, żeby zwać z tego nędznego, przekłętego miejsca. Prawdopodobnie by mi się to udało, a z technicznego punktu widzenia swoją część misji już wypełniłem. Ale tak naprawdę, robota nie została jeszcze skończona, a Virginia była sama z afrytem – o ile jeszcze żyła – i...

Myśląc o niej, zobaczyłem ją jako wilczycę i poczułem zapach sierści. Gniewnie 909 potrząsałem łbem. Zmęczenie i desperacja zagłuszały mój rozsądek i pozwalały uzyskać przewagę zwierzęcym instyktom. Lepiej szybko zrobię to, co trzeba zrobić.

Rozejrzałem się. Zapachy miasta były mylące, ale złapałem powiew siarki i po-truchtałem ostrożnie w jego kierunku.

Trzymałem się cienia i choć dostrzeżono mnie dwa razy, nikt mnie nie zaatakował.

Pewnie zakładali, że jestem jednym z nich.

Smród siarki był coraz mocniejszy.

Trzymali afryta w masywnym gmachu sądu. Przeszedłem przez mały park przed nim, wężąc ostrożnie, minąłem ulicę i sforsowałem schody budynku. Czterej żoł-

nierze wrogiej armii leżeli rozciągnięci u ich szczytu z rozprutymi gardłami, miotła stała zaparkowana przy drzwiach. Przy rączce miała dwunastocalowy sprężyno-wiec, a Virginia użyła jej jak latającej lan-910

cy.

Moja męska natura, którą sporadycznie nachodziły romantyczne myśli, cofnęła się zalana zimnym potem, ale wilk uśmiechnął

się triumfalnie. Szturchnąłem drzwi. Virginia zakłęta zamek, aby się otworzył i tak go zostawiła.

Wetknąłem nos do środka i straciłbym go, gdyby Svartalf mnie nie rozpoznał. Minąłem go i ruszyłem przez korytarz. Ostry zapach dochodził z góry.

Pobiegłem przez gęstą ciemność.

W biurze na drugim piętrze paliło się światło. Uchyliłem drzwi i zajrzałem do pomieszczenia. Virginia była w środku.

Zaciągnęła zasłony i zapaliła ogniki, aby lepiej widzieć. Wciąż była zajęta zabezpieczaniem miejsca, drgnęła, gdy mnie zobaczyła, ale nie przestała szeptać. Usadziłem swój kudłaty zadek koło drzwi i patrzyłem.

Narysowała kredą kształt ten co zawsze, taki jak Pentagon w Waszyngtonie z 911 gwiazdą Dawida wewnątrz. W środku stała butelka Solly. Nie wyglądała zbyt imponująco, stara flaszka z wypalanej gliny z drą-

żoną rączką wygiętą na zewnątrz i idącą do środka – zwykła butelka Kleina z pieczęcią Salomona odcisniętą na szyjce w czerwonym wosku. Virginia rozpuściła włosy, które teraz falowały rdzawym obłokiem wokół bladej, pięknej twarzy.

Wilk we mnie zastanawiał się, dlaczego po prostu nie uciekliśmy z tą skorupą Tego. Natomiast człowiek przypomniał, że z całą pewnością emir podjął odpowiednie środki ostrożności i znalazłby sympatyczny sposób, aby z daleka odkorkować butelkę. Musieliśmy jakoś wyeliminować demona z akcji... ale nikt z naszych nie wiedział o nim zbyt dużo.

Virginia skończyła rzucać czar, wycią-

gnęła korek i wyskoczyła z pentagramu, gdy dym wydobywał się z butelki. Afryt 912

wyskoczył z taką prędkością, że ledwie jej się to udało. Podkuliłem ogon i warkną-

łem. Ona też się bała i chociaż próbowała tego nie okazywać, poczułem zapach adre-naliny.

Afryt musiał się zgiąć wpół pod sufitem.

Był monstrualny, szary, nagi, podobny do człowieka, ale ze skrzydłami, rogami i długimi uszami, gębą pełną kłów i oczami jak żarzące się węgle. Jego zaletami były siła, prędkość i fizyczna prawie niezniszczalność. Na wolności mógłby odeprzeć każdy atak Vanbrugha i potwornie okaleczyć nawet najlepiej okopaną obronę. Kontrola nad nim, kiedy spustoszyłby okolice, była-by problemem. Ale czemu Saraceni mieli-by się tym przejmować? Wymogli na nim zobowiązanie, że za cenę wolności zostanie ich sprzymierzeńcem.

Zaryczał coś po arabsku. Dym buchnął
mu z paszczy. Virginia sprawiała wrażenie 913

maleńkiej pod tymi na wpół rozwiniętymi uszami nietoperza. Jej głos był mniej opanowany niżby tego chciała:

– Mów po angielsku, Maridzie. A może jesteś na to zbyt głupi.

Demon prychnął z oburzeniem.

– Na potomstwo tysiąca pawianów!

Moje bębunki zadrżały od jego wycia.

– Ty biała tchórzliwa istoto, którą mógłbym złamać najmniejszym palcem, podejdź do mnie jeśli masz odwagę!

Przerażało mnie nie tyle to, że mógł się wyrwać, ile hałas, jaki przy tym robił.

Można go było usłyszeć w promieniu prawie pół kilometra.

– Uspokój się, przeklęty przez Boga! –

odparła Virginia. To nieco nim wstrząsnę-

ło. Jak większość rasy piekielnej był uczulony na święte imiona, chociaż w warunkach, jakich nie mogliśmy tu stworzyć, by-

łoby to bardziej widoczne. Virginia stała z 914

dłońmi opartymi na biodrach, z przechyloną głową, oko w oko ze spływającym na nią spojrzeniem.

– Suleiman bin-Daoud, niech spoczywa w pokoju, jak widzę, nie na darmo wsadził cię do butelki. Idź z powrotem do swojego więzienia i nigdy nie wracaj, żeby gniew nieba cię nie dotknął.

Afryt zaśmiał się szyderczo.

– Wiedz, że mądry Suleiman nie żyje już trzy tysiące lat – odparł. – Długo, o długo pogrążałem się w zadumie w mojej wąskiej celi, ja, który kiedyś swobodnie szalałem po ziemi i niebie, a teraz w końcu zostanę uwolniony, aby zemścić się na sła-bowitych synach Adama. – Naparł na niewidoczną barierę. Ale siłę tego typu barier szacuje się na kilka milionów p.s.i. Będzie trzymać, dopóki nie rozpuści jej jakiś adept.

– O ty bezwstydna obnażona ladacznico 915

z piekielnymi włosami, wiedz, że jestem Wszechmocnym Raszydem, chlubiącym się mocą potomkiem roka! Chodź tu i walcz jak człowiek!

Przysunąłem się do dziewczyny, sierść jeżyła mi się na karku. Ręka, która dotknęła mojego łba, była chłodna.

– Paranoidalny typ – wyszeptała. –

Wielu z tych niegroźnych Podziemnych to psychole. Chociaż głupi. Podstęp to nasza jedyna szansa. Nie mam żadnych zaklęć, żeby go bezpośrednio zmusić. Ale... – Głośno odezwała się do afryta:

– Zamknij się Raszydzie i posłuchaj, co mam ci do powiedzenia. Ja też jestem z twojego gatunku i jako taka chciałabym, abys mi okazał należny szacunek.

– Ty? – zaniósł się sztucznym śmiechem. – Ty z rodzaju Maridów? A niech to, ty rybiomordzi pomioście, jeśli tu podejdziesz, udowodnię ci, że nie jesteś nawet 916 zdolna do... – reszta była dość obrazowa, ale żaden dżentelak tego nie powtórzy.
– Nie, wysłuchaj mnie – powiedziała dziewczyna. – Popatrz i uważnie posłuchaj. – Zrobiła kilka znaków i wyszeptała formułkę. Rozpoznałem samo – zobowiązanie przeciw mówieniu kłamstw w konkretnej rozmowie. Nasze sądy wciąż jeszcze tego nie stosowały – Piąta Poprawka – ale widziałem to podczas rozpraw za granicą.

Demon też to rozpoznał. Oczyma duszy widziałem saraceńskiego adepta, który pompował w niego znajomość angielskiego, żeby tylko bardziej się przydał w czasie tej wojny, i który także dodawał od siebie informacje na temat współczesnego świata. Teraz się uspokoił i słuchał uważnie.

Virginia zaczęła imponująco:

– Mogę powiedzieć ci tylko prawdę.

917

Czy zgadzasz się, że wszystko zależy od nazwy?

– T-t-tak – wyjąkał afryt – to oczywiste.

Poczułem jej ulgę. Pierwsze koty za pło-ty! Nie uczono go magii naukowej. Chociaż nazwa jest oczywiście związana z przedmiotem, co jest zasadą uroków imiennych i temu podobnych – niemniej dopiero w tym stuleciu Korzybski udowodnił, że słowo i jego referent nie są jed-nakowe.

– W takim razie – powiedziała – mam na imię Gin.

Przez chwilę przyglądał jej się ze zdziwieniem.

– Rzeczywiście?

– Tak. Czy teraz mnie wysłuchasz?

Przyszłam do ciebie z poradą, jak jeden dżin do drugiego. Mam swoją własną moc; używam jej służąc Wszechmocnemu, Wszechwiedzącemu, Litościwemu Alla-918 chowi.

Popatrzył na nią groźnie, ale założywszy, że jest jedną z jego gatunku, był gotowy zachowywać się trochę grzeczniej. Nie mogła kłamać o tej swojej radzie. Nie zorientował się tylko, że nie powiedziała, iż będzie to dobra rada.

– W takim razie mów dalej, jeśli chcesz

– burknął. – Czy wiesz, że jutro wyruszę, aby zniszczyć niewiernego gospodarza? –

Zapomniał się w marzeniach o chwale. – O

tak, rozszarpie ich, zdepczę, połamię, wy-patroszę i obedrę ze skóry. Dobrze popamiętają potęgę Raszyda jasnoskrzydłego, płomienistego, bezlitosnego, mądrego i...

Virginia poczekała, aż skończy wyliczankę, po czym powiedziała delikatnie:

– Ale Raszydzie, czy musisz robić innym krzywdę? W ten sposób nie nauczysz się niczego oprócz nienawiści.

Jęk zamienił się w bas.

919

– Ach, prawdę rzeczesz. Cały świat mnie nienawidzi. Wszyscy przeciwko mnie spiskują. Gdyby nie pomoc zdrajców, Suleiman nigdy by mnie nie zamknął.

Wszystkie moje plany zostały pokrzyżowane przez zazdrosnych nie – życliwców.

Tak, ale jutro przyjdzie dzień sądu.

Virginia pewną ręką zapaliła papierosa i wypuściła dym prosto na niego.

– Czy możesz zaufać emirowi i jego ko-hortom? – zapytała. – On też jest twoim wrogiem. Chce się tylko tobą posłużyć. A jak będzie po wszystkim, z powrotem do butelki!

– Dlaczego... dlaczego... – afryt nadał się, aż zatrzeszczała barierka przestrzenna.

Pioruny trzasnęły z jego nozdrzy. Wcze-

śniej o tym nie pomyślał – jego gatunek nie jest zbyt bystry; ale oczywiście wy-szkolony psycholog mógł zorientować się, jak rozumować zgodnie z jego paranoidal-920 ną logiką.

– Czyż nie zaznałeś wrogości podczas swoich długich dni? – dodała szybko Virginia. – Pomyśl, Raszydzie. Czyż twoje pierwsze wspomnienie to nie okrutny czyn złośliwie zazdrosnego świata?

– Tak, tak jest. – Grzywiasta głowa za-kołysała się, głos opadł bardzo nisko. –

Tego dnia, kiedy się wyląłem... oj, moja matka uderzyła mnie końcem skrzydła tak, że aż się zatoczyłem.

– Może to było niechcący – powiedzia-ła Virginia.

– Nie. Zawsze faworyzowała mojego brata – prostaka!

Virginia usiadła ze skrzyżowanymi no-gami.

– Opowiedz mi o tym – poprosiła. W jej głosie wyczuwało się współczucie.

Poczułem, że wielkie siły falujące za barierą słabną. Afryt cupnął na zadku z na 921 wół otwartymi oczami, wracając pamię-

cią do wydarzeń sprzed tysiącleci. Virginia prowadziła go, dając od czasu do czasu wskazówki.

Nie byłem pewny, do czego zmierza, jasne, że pół nocy nie wystarczy, żeby zrobić psychoanalizę potworowi, ale...

– Tak, ledwie skończyłem trzysta lat, kiedy wpadłem do jamy, którą moi wrogowie dla mnie wykopali.

– Pewnie mogłeś z niej wyfrunąć – mruknęła Virginia.

Afryt przewrócił oczami. Twarz pokryły jeszcze bardziej makabryczne zmarszczki.

– Przecież to była jama, mówię!

– A przypadkiem nie jezioro? – chciała się dowiedzieć.

– Nie! – grzmotnął skrzydłami. – Nic z tych cholernych rzeczy... było ciemno i mokro, ale... nie, nawet nie mokro, zimno, które paliło...

922

Zorientowałem się, że dziewczyna przejmuje pałeczkę. Opuściła długie rzęsy, by ukryć nagły błysk w spojrzeniu. Nawet będąc wilkiem, zdawałem sobie sprawę, jaki to musiał być szok dla powietrznego demona tonąć, gdy jego ogień z sykiem zamieniał się w parę, i odtąd zawsze musiał sam siebie oszukiwać, że to się nigdy nie stało. Ale jak ona mogła wykorzystać...

Kot Svartalf wparował do pokoju i zahamował z poślizgiem. Nastroszył każdy włos w sierści i prześwidrował mnie wzrokiem. Wypluł coś i poszedł sobie, a ja ruszyłem za nim.

Na dole w korytarzu usłyszałem głosy.

Wyjrzałem przez drzwi i zobaczyłem kilku żołnierzy drepczących dokoła. Przyszli chyba po to, żeby sprawdzić, co to za ha-

łas, zobaczyli zabitych strażników i teraz pewnie posłali po wsparcie.

Cokolwiek Gin próbowała zrobić, po-923

trzebowała na to czasu. Jednym skokiem wypadłem za drzwi i splątałem się z Sara-cenami.

Prawie mnie rozpląszczyli, ale moje szczęki były swobodne i mogłem ich użyć. Wtedy Svartalf przeleciał nad nami na miotle, zadając ciosy nożem.

Wnieśliśmy w pyskach trochę ich broni z powrotem do korytarza i usiedliśmy czekając.

Pomyślałem, że pozostanę wilkiem i będę odporny na większość ciosów, które mogły padać z ludzkich rąk. Svartalf obejrzał dokładnie półautomat, oparł go wzdłuż ściany i przeszedł nad nim.

Nie spieszyło mi się. Każda minuta spokoju, albo opóźnienia nadchodzącego ataku, była minutą zyskaną dla Gin. Położy-

łem łeb na przednich łapach i zdrzemnąłem się. Zbyt szybko usłyszałem odgłos ćwieków, odbijających się od chodnika.

Oddział musiał liczyć około stu osób.

Zobaczyłem ciemny kształt i błysk światła 924

gwiazd na broni. Przez moment krążyli obok oddziału, który zlikwidowaliśmy.

Nagle podnieśli krzyk i ruszyli w górę po schodach.

Svartalf zebrał się w sobie i wystrzelił z półautomatu. Siła odrzutu cisnęła nim przez korytarz, zaklął, ale kilku postrzelił.

Z pozostałymi zderzyłem się w progu.

Ciach, kłap, doskok, uskok, rozerwać ich i rozpruć, zawyc im w twarze! Tłoczyli się w wejściu wolno i niezdarne. Po krótkiej serii kłapania szczękami wycofali się.

Sześciu z nich było zabitych lub rannych.

Zerknąłem przez szybę w drzwiach i zobaczyłem mojego przyjaciela emira. Miał

na oku bandaż, ale stapał dokoła i pokrzykiwał na swoich ludzi energiczniej, niż mogłem się spodziewać. Kilka grup oddzieliło się od oddziału i rozbiegło we wszystkie strony. Będą wchodzić przez okna i pozostałe drzwi.

925

Zdałem sobie sprawę, że miotłę zostawi-liśmy na zewnątrz. Teraz już nie było szansy ucieczki, nawet dla Gin. Protest zamienił się w warczenie, gdy usłyszałem odgłos tłukącego się szkła i odbezpieczania karabinów.

Svartalf był sprytnym kotem. Ponownie znalazł półautomat i w jakiś sposób, pomimo niezdarnych pazurów, udało mu się strzałem zgasić światło. Obaj wycofaliśmy się na schody.

Zaatakowali nas w ciemności, ślepi jak większość ludzi. Dałem im trochę czasu, żeby się pozbierali, a pierwszy, który po omacku dotarł do schodów, zginął, nie zdążywszy wydać głosu.

Drugi zdążył

wrzasnąć. Cała banda stłoczyła się za nim.

Nie mogli strzelać w ciemności ani atakować nie trafiając swoich własnych ludzi.

Podnieceni aż do granic bezmyślności, ruszyli na mnie z maczetami, czemu się nie 926

sprzeciwiałem. Svartalf drapał ich nogi i rozrywał je – buch, ciach, brzęk, na Allacha, kłapanie zębów w ciemności.

Schody były wystarczająco wąskie, bym mógł zatrzymać ludzi, a ich własne ofiary tarasowały im drogę, lecz sam widok stu śmiałków kazał mi się za każdym razem odrobinę cofać. Inaczej jeden mógłby się mnie ucześcić, a tuzin pozostałych mógł się na nas zwalić. A tak, z każdym kawałkiem utraconego terenu dostarczaliśmy nowych klientów hurysom.

Nie pamiętam dokładnie walki. Ale mu-

siało upłynąć około dwudziestu minut, zanim wycofali się słysząc okrutny ryk. Sam emir stanął u podnóża schodów, kiwając ogonem i kołysząc swoją cudownie obnażoną skórą.

Otrząsnąłem się ze zmęczenia i przygotowałem na ostatnią rundę. Jednooki tygrys wspinał się wolno w naszą stronę.

927

Svartalf splunął. Nagle zjechał po poręczy tuż obok dużego kota i zniknął w ciemności. No cóż, musiał myśleć o własnym karku...

Staliśmy prawie oko, w oko kiedy emir podniósł łapę pełną szabli i opuścił ją.

Udało mi się zrobić unik i rzuciłem się do jego gardła. Wszystko, co złapałem, to workowata skóra, ale trzymałem się jej twardo i próbowałem się do niego dobrać.

Tygrys ryczał i trząsł łbem, aż zacząłem się kołysać jak dzwon. Zamknąłem oczy i ściągnąłem się mocno. Emir rozerwał mi żebra swoimi długimi pazurami. Odskokczyłem, ale moje zęby pozostały tam, gdzie były. Tygrys zrobił wypad i zwałił

się na mnie. Jego szczęki zacisnęły się. Ból przeszył mój ogon. Nie mogłem powstrzymać wycia.

Przytłoczył mnie jedną łapą, podnosząc drugą, aby zadać cios, który złamałby mi

kręgosłup. Jakimś sposobem oszalały z bólu wyrwałem mu się i uderzyłem w górę. Gdy tak gapił się na mnie jedynym okiem, jakie mu zostało, wygryzłem mu je z głowy.

Ryknął! Pchnięcie łapą cisnęło mną o poręcz. Leżałem z odgryzionym ogonem podczas gdy on zwijał się z bólu. Bestia przejęła kontrolę nad człowiekiem i popę-

dziła schodami w dół, siejąc spustoszenie wśród własnych żołnierzy.

Nad zamieszaniem przeleciała miotła.

Stary dobry Svartalf! Poszedł tylko po nasz transport. Zobaczyłem, jak podjeżdża do drzwi afryta, i wstałem chwiejnie, aby stawić czoło następnej fali Saracenów.

Ci wciąż próbowali kontrolować swoje-

go szefa. Zacerpnałem powietrza i stałem obserwując, węsząc i nasłuchując. Wydawało mi się, że mój ogon płonie. Jego postać znikła.

929

Półautomat zaczął się zacinać. Usłyszałem, jak krew chlupocze w płucach emira.

Trudno było go zabić. To twój koniec Steve Matuchek – pomyślał mężczyzna we mnie. – Zrobią to, co powinni zrobić od początku, ustawią się na dole i zaczną strzelać, a każda dziesiąta kula będzie ze srebra.

Emir przewrócił się i leżał, pozwalając życiu uchodzić z każdym oddechem. Czekałem, aż jego ludzie się pozbierają i przypomną sobie o mnie.

Ginny pojawiła się na półpiętrze, siedząc okrakiem na miotle. Wydawało się, że jej głos dociera z bardzo daleka.

– Steve! Szybko! Tutaj!

Oszołomiony potrząsnąłem łbem, próbując ją zrozumieć. Byłem zbyt zmęczony, wilczy instynkt zaczynał przejmować kontrolę. Gin

włożyła palec do ust i zagwizdała. To mnie ruszyło.

930

Przełożyła mnie przez kolano i trzymała mocno, gdy Svartalf pilotował miotłę. Z

dołu na oślep strzelały karabiny. Przez okno na drugim piętrze unieśliśmy się do nieba.

Tuż obok przeleciał dywan. Svartalf wy-giął grzbiet w łuk i wrzasnął na Moc. Ten cadillac miał przyspieszenie. Zostawiliśmy wroga w tyle, a ja straciłem przytomność.

VII

Kiedy doszedłem do siebie, leżałem twarzą w dół na koi w namiocie szpital-nym; ziemia była mokra i parowała. Medyk odwrócił się, gdy zajęczałem.

– Cześć bohaterze – powiedział. – Lepiej się nie ruszaj przez jakiś czas. Jak się czujesz?

Poczekaj, aż wróciła do mnie cała przytomność, po czym sięgnąłem po fili-931

żankę bulionu.

– Co ze mną? – wyszeptałem; oczywi-

ście zamienili mnie z powrotem w człowieka.

– Nie tak źle, w gruncie rzeczy. Wdała ci się infekcja w rany – stafilokoki, które zmieniają

gatunek u ludzkiego i psiego no-siciela – ale wygoniliśmy robaki naszą nową techniką antybiotykową.

Poza tym utrata krwi, szok, i zwykłe wycieńczenie.

Za tydzień lub dwa dojdiesz do siebie.

Leżałem, rozmyślając, mój mózg praco-

wał na zwolnionych obrotach, a większość uwagi była skupiona na wspaniałym smaku bulionu.

Szpital polowy nie może taszczyć ze sobą sprzętu, żeby wtykać szpilki w modele bakterii. Często też

nawet nie dysponuje powiększonymi manekinami anatomicznymi, na których chirurg może

przeprowadzić operację sympatyczną.

– O jakiej technice pan mówi? – spyta-932

łem.

– Jeden z naszych chłopców ma Złe Oko. Patrzy na zarazki przez mikroskop.

Nie wnikałem w to dalej, wiedząc, że za kilka miesięcy będzie się rozpisywał o tym

„Reader's Digest”. Dręczyło mnie coś jeszcze.

– Atak... Czy zaczęli?

– Co... a, atak! To było dwa dni temu, Szariku. Trzymaliśmy cię pod asfodelem.

Sprzątnęliśmy ich wzdłuż całej linii. Jak ostatnio słyszałem, byli już za granicą stanu Waszyngton

i wciąż wiali.

Westchnąłem i ponownie zapadłem w sen. Nawet hałas powstały, gdy medyk dyktował raport

swojej maszynie do pisania, nie mógł mnie obudzić.

Gin przyszła dzień później, ze Svartal-fem na ramieniu. Promienie słońca przeblyskujące przez

poły namiotu nadały jej włosom kolor gorącej miedzi.

933

– Cześć, kapitanie Matuchek – powiedziała. – Jak tylko dostałam przepustkę, natychmiast

przyszłam zobaczyć, jak się pan czuje.

Uniosłem się, opierając na łokciach, i zagwizdałem na papierosa, którym mnie częstowała. Kiedy

był w moich ustach, odezwałem się wolno:

– Daj spokój Ginny. Może tamtej nocy to nie była randka, ale myślę, że zostali-

śmy sobie właściwie przedstawieni.

– Tak. – Usiadła na koi i zmierzwiła mi włosy. Cudowne uczucie. Svartalf prychnął na mnie, a ja

chciałem móc mu odpowiedzieć.

– Co z afrytem? – zapytałem po chwili.

– Wciąż tkwi w swojej butelce. –

Uśmiechnęła się. – Wątpię, żeby komukolwiek udało się go kiedyś znowu wycią-

gnąć, zakładając, że ktoś chciałby to zrobić.

934

– Ale co właściwie zrobiłaś?

– Zwykle zastosowanie zasad papcia Freuda. Jeżeli kiedykolwiek zostanie to za-pisane, to wszyscy jungiści w tym kraju zwałą mi się na głowę, ale to podziałało.

Udało mi się wyciągnąć z niego wspomnienia i majaki; szybko okazało się, że ma kompleks hydrofobiczny – to znaczy lęk przed wodą, Burku, a nie wściekliczną...

– Możesz do mnie mówić Burek –

mruknąłem – ale jeśli nazwiesz mnie Rek-sio, dostaniesz po tyłku.

Nie zapytała, dlaczego zakładałem, że kiedyś będę wystarczająco blisko, żeby coś takiego zrobić. To mi dodało odwagi. Rzeczywiście, Gin zarumieniła się, ale mówiła dalej:

– Znając klucz do jego osobowości, całkiem łatwo było posłużyć się jego fobią.

Zwróciłam jego uwagę na to, jak popularna jest woda i jak trudno jest przeprowa-935 dzić całkowitą dehydrację. Robił się coraz bardziej przerażony. Kiedy mu powiedziałam, że wszystkie tkanki zwierzęce, w tym jego własna, składają się w około osiemdziesięciu procentach z wody, był zała-twiony. Wczołgał się z powrotem do butelki i dostał drgawek.

Po chwili dodała w zamyśleniu:

– Chciałabym ją postawić na moim kominiku, ale pewnie skończy w Instytucie Smithsońskim. Więc tylko napiszę krótką rozprawę naukową na temat zastosowania psychiatrii w wojsku.

– Czy bomby, smoki i zarazy nie są wystarczająco makabryczne? – zapytałem wzdrygnawszy się.

Biedne proste cząstki żywiołów! Myślą, że są diabelskie, ale powinny się uczyć od ludzi.

Jeśli zaś o mnie chodzi, mogłem sobie wyobrazić pewne wady zadawania się z 936 wiedźmą, ale...

– Chodź, przytul się.

Tak zrobiła.

Nie mam zbyt wiele pamiątek z wojny.

To był paskudny czas i najlepiej o nim zapomnieć. Ale jedna, pomimo wysiłków chirurgów plastycznych, zostanie ze mną na zawsze. Jako wilk miałem krępy ogon, i teraz jako człowiek nie lubię siedzieć podczas deszczu.

To całkiem niezły powód, żeby dostać

Purpurowe Serce.

937

ROBERT BLOCH

POCIĄG DO PIEKŁA

(That hell-bound train)

Przełożyła Danuta Górską

Robert Bloch (1917-1994) został zapamiętany jako autor

„Psychozy”, na podstawie której Alfred Hitchcock nakręcił

słynny film pod tym samym tytułem. Zaczynał od pisania opowiadań dla pulpowych magazynów, jak „Weird Tales”,

„Fantastic Adventures” i „Unknown”. Później stworzył liczne powieści, między innymi „American Gothic”, „Firebug”

oraz „Fear and Trembling”. Wydał kilka antologii, włącznie z „Psycho-paths” i „Monsters in

Kiedy Martin był małym chłopcem, jego tato pracował na kolei. Nigdy nie jeździł żelaznym koniem, ale obchodził tory, nale-
żące do towarzystwa CB&Q, i był dumny ze swojej pracy. A kiedy sobie popił, śpiewał starą piosenkę o Pociągu Do Piekła.

Martin prawie nie pamiętał słów, ale nie mógł zapomnieć, jak ojciec to śpiewał. A kiedy tato popełnił błąd, upijając się po po-
łudniu, i został zmiżdżony między pen-sylwańską cysterną a platformą towarową towarzystwa AT&SF, Martin dziwił się trochę, dlaczego członkowie Związku nie śpiewali tej pieśni na pogrzebie.

Od tej pory Martinowi kiepsko się po-
wodziło, ale nigdy nie zapomniał piosenki taty. Kiedy mama uciekła z komiwojażerem z Keokuk (tato na pewno przewrócił
się w grobie na wiadomość, że zrobiła coś 939
takiego, i w dodatku z pasażerem!), Martin co noc w sierocińcu nucił sobie tę melodię.
A kiedy on sam również uciekł, miał zwyczaj pogwizdywać piosenkę w nocy przy ognisku, kiedy inni bezdomni włączędzy dawno już spali.

Wędrował po kraju przez cztery czy pięć lat, zanim uświadomił sobie, że w ten sposób nie
zajdzie daleko. Oczywiście próbo-
wał wielu zajęć – zbierał owoce w Orego-
nie, zmywał naczynia w pewnej garkuchni w Montanie – ale po prostu nie nadawał

się do sezonowej pracy ani do zawodu po-mywacza. Później awansował, zajął się kradzieżą
dekli od kół w Denver i przez ja-
kiś czas całkiem nieźle utrzymywał się ze sprzedaży opon w
Oklahoma City, ale zanim jeszcze zarobił sześć miesięcy przy-musowych robót w Alabamie,
wiedział

już, że taka samotna włóczęga nie przyniesie mu nic dobrego.

Więc próbował dostać pracę na kolei, tak jak tato, ale powiedzieli mu, że czasy są ciężkie; przy
konkurencji ciężarówek, samolotów i tych nowych wymyślnych przyczep konstruowanych przez
General Motors wygląda na to, że dni zawiadow-
ców są policzone.

Lecz Martin nie potrafił zrezygnować z kolei. Gdziekolwiek podróżował, zawsze podróżował
pociągiem. Wolał wskoczyć na mrozie do towarowego pociągu jadące-
go na północ, niż podnieść
kciuk, żeby zatrzymać cadillaca jadącego na Florydę.

Martin bowiem pozostał wierny pamięci swego taty i w miarę możliwości chciał być taki jak on.
Oczywiście nie mógł upijać się co wieczór, ale kiedy tylko udało mu się zdobyć puszkę piwa, siadał
pod kotłem wydzielającym przyjemne ciepło i wspominał dawne czasy.

Często nucił sobie piosenkę o Pociągu 941

Do Piekła. Ten pociąg wioził pijaków i grzeszników, karciarzy, szulerów, kobie-
ciarzy, obiboków i całą wesołą kompanię.

Fajnie byłoby podróżować w takim dobranym towarzystwie, ale Martin wolał nie myśleć, co się
stanie, kiedy pociąg zajedzie wreszcie na Stację Na Dole. Nie zamierzał
spędzić całej wieczności podkładając do kotłów w piekle, niechroniony nawet przez związek
zawodowy. A jednak byłaby to wspaniała podróż. Gdyby istniał taki Po-
ciąg Do Piekła. Ale oczywiście nie istniał.

Przynajmniej Martin tak myślał, aż do wieczora, kiedy trafił na stację węzłową w Appleton i

ruszył na południe po torach.

Noc była ciemna i zimna, typowa listopadowa noc w Fox River Valley. Martin wiedział, że musi dotrzeć przed zimą do Nowego Orleanu, a może nawet do Teksasu.

Jakoś nie miał wielkiej ochoty tam jechać, chociaż słyszał, że niektóre samochody w 942 Teksasie mają dekle ze szczerego złota.

Nie, Martin po prostu nie nadawał się do drobnych kradzieży. To było gorzej niż nieuczciwe – było nieopłacalne. Nie dość, że narażał się na potępienie, to w dodatku za tak nędzną cenę! Lepiej nawrócić się i wstąpić do Armii Zbawienia.

Martin włókł się przed siebie, nucąc piosenkę taty i czekając na jakiś pociąg, który powinien wyjechać ze stacji węzłowej za jego plecami. Musiał złapać ten pociąg – nie pozostało mu nic innego.

Fatalnie się składało, że nigdy nie miał

okazji ubić lepszego interesu. Lepiej zostać bogatym grzesznikiem niż biednym grzesznikiem.

Poza tym był przekonany, że potrafiłby wytargować całkiem korzystne warunki. Sporo rozmyślał na ten temat w ciągu ostatnich paru lat, zwłaszcza kiedy sobie wypił. Wówczas ponosiła go wyobraźnia i wymyślał rozmaite lipne trans-943

akcje. Ale oczywiście to była bzdura.

Równie dobrze mógł przyłączyć się do głosicieli ewangelii i zostać zwykłym wo-

łem roboczym, jak tyłu innych. Nie ma sensu marzyć na jawie: piosenka to tylko piosenka i nic więcej, a Pociąg Do Pieła nie istnieje.

Był tylko ten pociąg, który z łoskotem nadjeżdżał z południa i dudniąc pędził ku niemu po szynach.

Martin spojrzał w ciemność, ale wzrok go zawiódł. Na razie słyszał tylko hałas.

To na pewno był pociąg: stalowe szyny brzęczały i wibrowały pod stopami Martina.

Ale jak to możliwe? Następną stacją na południu była Neenah-Menasha, a według rozkładu nie stamtąd nie jechało przez najbliższe godziny.

Na niebie wisiały gęste chmury, niska mgła ścieliła się wokół jak zimny opar w 944

tę listopadową noc, ale nawet w tych warunkach Martin powinien zobaczyć przednie światła nadjeżdżającego pociągu. Tylko że nie było żadnych świateł.

Był tylko gwizd wylatujący z czarnej gardzieli nocy. Martin potrafił rozpoznać na odległość wyposażenie każdej lokomotywy, ale nigdy jeszcze nie słyszał podobnego gwizdu. To nie był sygnał: to był

krzyk zagubionej duszy.

Uskoczył na bok, ponieważ pociąg już

prawie na niego najeżdżał. Nagle wynurzył

się z ciemności, przemknął po szynach i zahamował ze zgrzytem w nieprawdopodobnie krótkim czasie. Koła nie były naoliwione, ponieważ również wrzasnęły, wrzasnęły jak potępiency. Pociąg sunął przez chwilę siłą bezwładu i zatrzymał się, a wrzask rozpląnął się w niskim, przeciągłym jęku. Martin podniósł wzrok i zobaczył, że był to pociąg pasażerski, wielki i 945 czarny. Ani jedna lampa nie oświetlała kabiny maszynisty i długiego rzędu wagonów. Nie mógł odczytać napisów po bo-

kach, był jednak całkiem pewien, że ten pociąg nie należał do towarzystwa North-western Road.

Nabrał jeszcze większej pewności, kiedy zobaczył mężczyznę złażącego z pierwszego wagonu.

Mężczyzna szedł trochę dziwnym kokiem, jak gdyby kulał na jedną nogę. Jeszcze dziwniej wyglądała zgaszona latarnia, którą niósł w rękę, a najdziwniejsze było to, co zrobił. Przysunął latarnię do ust i

dmuchnął, a ta natychmiast rozjarzyła się czerwonym blaskiem. Nie trzeba było należeć do Związku Kolejarzy, żeby wiedzieć, iż był to bardzo niezwykły sposób zapalania latarni.

Kiedy postać podeszła bliżej, Martin zauważył, że ma na głowie konduktorską czapkę i przez chwilę poczuł się lepiej –

946

dopóki nie spostrzegł, że czapka sterczy trochę za wysoko nad czołem, jak gdyby coś ją wypychało od środka.

Jednakże umiał się zachować i kiedy postać uśmiechnęła się do niego, powiedział:

– Dobry wieczór, panie konduktorze.

– Dobry wieczór, Martinie.

– Skąd pan zna moje imię?

Mężczyzna wzruszył ramionami.

– A skąd ty wiedziałeś, że jestem konduktorem?

– Ale pan jest konduktorem?

– Dla ciebie tak. Chociaż inni ludzie, którzy prowadzą inny tryb życia, widują mnie pod inną postacią. Na przykład powinieneś zobaczyć, jak wyglądam w oczach mieszkańców Hollywood. – Mężczyzna wyszczerzył zęby. – Dużo podróżuję – wy-jaśnił.

– Co pana tu sprowadza? – zagadnął

Martin.

947

– Sam powinieneś się tego domyślić.

Przyjechałem, ponieważ mnie potrzebujesz.

– Ja?

– Nie udawaj niewiniątka. Co prawda, na ogół nie zawracam sobie głowy pojedynczymi przypadkami. W dzisiejszych czasach nie muszę już nikogo nagabywać, żeby zebrać pełny ładunek pasażerów.

Twoje imię znajdowało się na liście od kilku lat... nawet zarezerwowałem dla ciebie miejsce. Ale dziś wieczorem nagle zobaczyłem, że zbaczasz z obranej drogi.

Chciałeś wstąpić do Armii Zbawienia, prawda?

– No... – zawahał się Martin.

– Nie wstydź się. Błądzić jest rzeczą ludzką, jak ktoś kiedyś powiedział. „Reader's Digest”, zgadza się? Zresztą, nieważne. Po prostu wyczułem, że mnie potrzebujesz. Więc skręciłem na boczny tor i 948

przyjechałem do ciebie.

– Po co?

– Ależ oczywiście żeby cię podwieźć.

Czy nie lepiej jechać wygodnie pociągiem, zamiast maszerować po zimnych ulicach za orkiestrą Armii Zbawienia? Podobno wtedy strasznie bołą nogi, a jeszcze bardziej uszy bołą od tych bębnow.

– Nie jestem pewien, czy mam ochotę na jazdę pańskim pociągiem, proszę pana –

oświadczył Martin. – Wiadomo, dokąd jedzie ten pociąg.

– Ach tak, wiecznie ta sama kwestia –

westchnął konduktor. – Pewnie wolałbyś ubić jakiś interes, zgadza się?

– Właśnie – przyznał Martin.

– No cóż, obawiam się, że skończyłem już z tymi rzeczami. Czasy się zmieniły, jak już wspominałem. Obecnie nie brakuje mi pasażerów. Dlaczego miałbym ci oferować dodatkową

premię?

949

– Widocznie panu na mnie zależy, bo inaczej nie zbaczałby pan z drogi, żeby mnie znaleźć.

Konduktor ponownie westchnął.

– Trafiłeś w sedno. Przyznaję, że duma była zawsze moją nieuleczalną słabością.

Przez te wszystkie lata zdążyłem już uwierzyć, że należysz do mnie, więc oczywiście teraz nie chciałbym cię stracić na rzecz konkurencji. – Zawahał się. – Tak, gotów jestem dobić z tobą targu na twoich warunkach, skoro nalegasz.

– Co to za warunki? – chciał wiedzieć Martin.

– Oferta standardowa. Wszystko, czego zechcesz.

– Aha – powiedział Martin.

– Ale ostrzegam cię z góry, żadnych sztuczek. Spełnię każde twoje życzenie, lecz w zamian musisz mi obiecać, że wsia-
dziesz do pociągu, kiedy nadejdzie czas.

950

– A jeśli ten czas nigdy nie nadejdzie?

– Nadejdzie.

– A jeśli wypowiem życzenie, które sprawi, że nigdy się nie spotkamy?

– Nie ma takiego życzenia.

– Niech pan nie będzie taki pewny.

– To już moje zmartwienie – uciął konduktor. – Ostrzegam cię, że cokolwiek wy-myślisz, ja i tak w końcu odbiorę moją na-leżność. I nie będzie żadnego hokus-pokus w ostatniej chwili. Żadnej godziny skru-chy, żadnych jasnowłosych dziewczeczek czy też wymyślnych adwokatów spieszą-
cych ci z pomocą. Proponuję uczciwą transakcję. To znaczy: ty dostaniesz, czego chcesz, ja dostanę, czego chcę.

– Ale słyszałem, że pan oszukuje. Podobno pan jest gorszy od handlarza używanych samochodów.

– Chwileczkę, wypraszam sobie...

– Bardzo pana przepraszam – powie-

951

dział pospiesznie Martin. – Ale wszyscy wiedzą, że panu nie można ufać.

– Przyznaję to. Z drugiej strony ty jesteś przekonany, że znalazłeś na mnie sposób.

– Taki, że sam diabeł nie poradzi.

– Sam diabeł nie poradzi? Bardzo śmieszne! – Mężczyzna zaczął chichotać, potem umilkł. – Ale tracimy cenny czas, Martinie. Przejdźmy do rzeczy. Czego chcesz ode mnie?

– Mam jedno życzenie.

– Wymień je, a ja je spełnię.

– Powiedział pan: „wszystko, czego chcę”?

– Absolutnie wszystko.

– Więc dobrze. – Martin głęboko nabrał

tchu. – Chcę zatrzymać Czas.

– W tej chwili?

– Nie. Jeszcze nie. I nie dla wszystkich.

Rozumiem oczywiście, że to niemożliwe.

952

Ale chcę zatrzymać Czas dla siebie. Tylko raz, kiedyś w przyszłości. W chwili, kiedy będę

wiedział, że jestem szczęśliwy i zadowolony, właśnie tę chwilę chcę zatrzymać.

Wtedy zawsze będę szczęśliwy.

– Niezły pomysł – zadumał się konduktor. – Muszę przyznać, że nigdy czegoś takiego nie słyszałem. – Uśmiechnął się. –

Ty rzeczywiście długo nad tym myślałeś, prawda?

– Od lat – przyznał Martin. Potem odchrząknął. – No i co pan powie?

– To jest całkiem możliwe w ramach naszego subiektywnego poczucia czasu – mruknął konduktor. – Tak, chyba można to załatwić.

– Ale ja chcę naprawdę zatrzymać Czas, a nie tylko wyobrażać sobie, że Czas się zatrzymał.

– Rozumiem. To się da zrobić.

– Więc pan się zgadza?

953

– Czemu nie? Przecież obiecałem. Daj mi rękę.

Martin zawahał się.

– Czy to będzie bardzo bolało? Wie pan, nie lubię widoku krwi i...

– Bzdura! Nasłuchałeś się za dużo bajek. My już dobiliśmy targu, mój chłopcze.

Nie potrzebujemy tych dziecinnych wymy-słów. Chciałem po prostu włożyć ci coś do ręki. Coś, co pozwoli ci spełnić twoje życzenie. Przecież nie wiadomo, kiedy zde-cydujesz się na zrealizowanie swoich zamiarów, a ja nie mogę nagle rzucać wszystkiego i lecieć do ciebie. Więc najlepiej od razu uregulować nasze zobowiązania.

– Pan chce mi dać urządzenie do zatrzymywania Czasu?

– Tak, w pewnym sensie. Jak tylko wy-myślę jakieś praktyczne rozwiązanie. –

Konduktor zawahał się. – Ach, już mam!

954

Weź mój zegarek.

Wyciągnął zegarek z kieszonki kamizel-ki. Był to kolejarski zegarek w srebrnej kopercie. Konduktor otworzył kopertę od tyłu i dokonał delikatnych poprawek w mechanizmie. Martin próbował go podglą-

dać, ale palce konduktora poruszały się z oszałamiającą szybkością.

– Gotowe – uśmiechnął się konduktor.

– Wszystko załatwione. Kiedy już zdecydujesz się ogłosić postój, po prostu obróć nakrętkę w lewo i rozkręć sprężynę, aż zegarek stanie. Kiedy zegarek się zatrzyma, Czas również zatrzyma się dla ciebie. Czy to wystarczająco jasne?

– Pewnie.

– No więc masz, weź to. – I konduktor położył zegarek na dłoni Martina.

Młodzieniec mocno zacisnął palce na kopercie.

– I to wystarczy, tak?

955

– W zupełności. Ale pamiętaj – możesz zatrzymać zegarek tylko raz. Więc lepiej upewnij się, czy odpowiada ci ta chwila, którą zechcesz przedłużyć. Ostrzegam cię uczciwie, uważaj, żeby dokonać właściwego wyboru.

– Będę uważał – uśmiechnął się Martin.

– A skoro pan postępuje tak uczciwie, ja również będę z panem uczciwy. Chyba o czymś pan zapomniał. W zasadzie nie ma znaczenia, jaką chwilę wybiorę. Ponieważ jeśli zatrzymam dla siebie Czas, to znaczy, że zostanę taki na zawsze. Nigdy się nie zestarzeję. A skoro nigdy się nie zestarzeję,

to nigdy nie umrę. A skoro nigdy nie umrę, to nigdy nie będę musiał wsiąść do pańskiego pociągu.

Konduktor odwrócił się. Jego ramiona zadrżały konwulsyjnie, jak gdyby powstrzymywał się od płaczu.

– I ty mówiłeś, że ja jestem gorszy od 956 handlarza używanych samochodów – wykrztusił zdławionym głosem.

Potem zniknął we mgle. Lokomotywa zagwizdała niecierpliwie, pociąg potoczył się szybko po torach i z łoskotem zanurzył

się w ciemność. Martin stał bez ruchu i mrugając oczami wpatrywał się w srebrny zegarek, który trzymał w ręku. Gdyby nie ten zegarek i ten dziwny zapach, mógł-

by pomyśleć, że wyobraził sobie to wszystko – pociąg, konduktora i całą transakcję.

Miał jednak zegarek i czuł jeszcze zapach pozostawiony przez odjeżdżającą lokomotywę.

Rozpoznał go, chociaż w niewielu lokomotywach używa się siarki jako paliwa.

I nie miał wątpliwości co do ubitego interesu. Nie wątpił również, że okaże się on korzystny, ponieważ długo nad tym rozmyślał i wyciągnął logiczne wnioski. Jakiś 957

głupiec mógłby zażądać pieniędzy albo władzy, albo Kim Novak. Tato mógłby się sprzedać za ćwiartkę whisky.

Martin wiedział, że zrobił lepszy interes.

Lepszy? To był pewniak. Teraz musiał tylko wybrać właściwą chwilę. A kiedy nadejdzie chwila, będzie należała do niego –

na zawsze.

Wsadził zegarek do kieszeni i ruszył z powrotem po torach. Wcześniej nie rozumiał jeszcze, dokąd idzie, ale teraz wiedział. Zamierzał znaleźć chwilę szczęścia...

Młody Martin bynajmniej nie był głup-

cem. Doskonale rozumiał, że szczęście jest pojęciem względnym: istnieją rozmaite formy i stopnie zadowolenia, zmieniające się w zależności od warunków życia.

Trampowi, jakim był, często wystarczała do szczęścia spora jałmużna, podwójna ławka w parku albo puszka piwa z 1957

roku (dobry rocznik). Wiele razy dzięki ta-958

kim prostym czynnikom osiągał stan przej-

ściowej błogości, wiedział jednak, że w życiu są lepsze rzeczy. Postanowił je zdobyć.

Po dwóch dniach znalazł się w wielkim mieście Chicago. Z oczywistych przyczyn wylądował na West Madison Street i tam podjął pewne kroki, żeby poprawić swoją pozycję życiową. Został

miejskim szlifi-brukiem, żebrakiem, naciągaczem. W cią-

gu tygodnia wzniosł się na wyżyny, gdzie szczęście oznaczało posiłek w taniej jadłodajni,

prawdziwą wojskową pryzę z dwo-ma kocami w prawdziwym domu noclego-
wym oraz ćwiartkę wina muszkatelowego.

Nadeszła wreszcie noc, kiedy Martin rozkoszując się w pełni tymi trzema luksu-sami, odczuł pokusę, żeby u szczytu upoje-nia zatrzymać zegarek. Potem przypomniał

sobie twarze nadzianych jeleni, których dzisiaj naciągał na ulicy. Jasne, to byli fra-959

jerzy, ale dobrze im się powodziło. Nosili porządne ubrania, mieli dobre posady, jeź-

dzili dobrymi samochodami. Dla nich szczęście oznaczało jeszcze większą ekstazę: jadaliby obiady w najlepszych hotelach, sypialiby na sprężynowych materacach i pija-
li gatunkową whisky.

Frajerzy czy nie, mieli trochę racji. Martin pomacał zegarek, odrzucił pokusę, żeby zastawić go za następną butelkę wina, po czym poszedł spać postanawiając, że znajdzie jakąś pracę i poprawi

swój współ-

czynnik szczęścia.

Kiedy obudził się na kacu, postanowienie wciąż było silne. Kac minął, ale decyzja pozostała. Przed upływem miesiąca Martin pracował już u przedsiębiorcy budowlanego na South Side, przy jednym z wielkich projektów odbudowy. Nie cierpiał tej harówki, ale płacono mu nieźle i wkrótce znalazł sobie jednopokojowe

mieszkanie na Blue Island Avenue. Przyzwyczał się teraz jadać w przyzwoitych restauracjach, kupił sobie wygodne łóżko i w każdą sobotę wieczorem chodził do knajpki na rogu. To wszystko było bardzo przyjemne, ale...

Brygadzysta był zadowolony z jego pracy i obiecał mu podwyżkę w następnym miesiącu. Jeśli zaczeka na podwyżkę, będzie mógł sobie pozwolić na używany samochód. Posiadając samochód, będzie mógł czasem poderwać jakąś dziewczynę.

Robiło tak wielu kolegów z pracy i wydawali się całkiem szczęśliwi.

Więc Martin pracował dalej i otrzymał podwyżkę, i kupił samochód, i wkrótce pojawiły się dziewczyny.

Za pierwszym razem, kiedy to się stało, chciał natychmiast zatrzymać zegarek. Dopóki nie przypomniał sobie, co zawsze mówili starsi mężczyźni. Był na przykład

faciszek imieniem Charlie, który pracował razem z nim przy dźwigu. „Póki jesteś młody i nie znasz życia, może cię bawić ganiecie za tymi dziwkami. Ale po jakimś czasie będziesz chciał czegoś lepszego. Porządna dziewczyna, twoja własna dziewczyna, to rozumiem!”.

No cóż, może miał trochę racji. Martin postanowił spróbować. Jeśli nie spodoba mu się takie rozwiązanie, zawsze będzie mógł wrócić do tego, co już miał.

Warto było spróbować. Oczywiście porządne dziewczyny nie rosną na drzewach (gdyby tak było, znacznie więcej mężczyzn wybierałoby zawód leśniczego), to też minęło prawie sześć miesięcy, zanim poznał Lillian Gillis. W tym czasie otrzymał już następny awans i pracował w biurze. Posłali go do wieczorowej szkoły, żeby nauczył się podstaw księgowości, a to oznaczało dodatkowe piętnaście dolarów na tydzień, no i przyjemniej było pracować pod dachem.

A Lillian była naprawdę świetna. Kiedy powiedziała, że za niego wyjdzie, Martin był prawie pewien, że nadeszła właściwa chwila. Tylko że Lillian była trochę... no cóż, była po prostu porządną dziewczyną i powiedziała, że będą musieli poczekać do ślubu. Oczywiście Martin nie mógł się z nią ożenić, dopóki nie odłożył trochę pieniędzy; przydałaby się również następna podwyżka.

Zabrało to rok. Martin był cierpliwy, ponieważ wiedział, że warto poczekać. Za każdym razem, kiedy ogarniały go wątpliwości, wyciągał zegarek i przyglądał mu się. Ale nigdy nie pokazał go Lillian ani nikomu innemu. Prawie wszyscy jego koledzy nosili kosztowne zegarki na rękę, a ten srebrny kieszonkowy czasomierz wyglądał trochę tandetnie.

963

Martin uśmiechnął się, spoglądając na zegarek. Kilka obrotów nakrętki i będzie miał coś, czego nigdy nie osiągnie Żaden z tych zapracowanych tępaków. Nieprzerwane szczęście ze swoją rumieniącą się oblubienicą...

Tylko że ślub okazał się dopiero początkiem. Pewnie, było wspaniale, ale Lillian powiedziała, że byłoby o wiele lepiej, gdyby przeprowadzili się do nowego mieszkania i urządzili je jak należy – Martin zrozumiał, że będzie musiał poczekać, aż jego syn będzie trochę starszy, zacznie chodzić,

mówić i uzyskać własną osobowość.

Mniej więcej w tym czasie spółka budowlana zaczęła go wysyłać na inspekcje i teraz on jadał w najlepszych hotelach, żył na wysokiej stopie i rozrzutnie czerpał z funduszu na wydatki. Niejeden raz kusiło go, żeby zatrzymać zegarek. To było dobre życie. Mogło być jeszcze lepsze, uświado-

964
mił sobie, gdyby tylko nie musiał pracować. Prędzej czy później wkręci się jakoś do interesów spółki, zbije grubszą forszę i odejdzie na emeryturę. Wtedy wszystko ułoży się idealnie...

Tak też się stało, ale nie od razu. Syn Martina chodził już do szkoły średniej, zanim Martin zdobył prawdziwy majątek.

Czuł, że powinien zatrzymać się teraz lub nigdy, ponieważ bynajmniej nie był już młody. Ale właśnie wtedy poznał Sherry Westcott, która jakoś wcale nie uważała go za pana w średnim wieku, mimo że zaczynał łąsiec i wyhodował sobie brzuszek. Nauczyła go, że można zakryć łąsinę perucz-ką i ścisnąć gorsetem wystający brzuch.

Prawdę mówiąc, nauczyła go mnóstwa rzeczy, a nauka była tak przyjemna, że Martin wyjął zegarek i przygotował się do zatrzymania Czasu.

965

Na nieszczęście wybrał dokładnie tę chwilę, kiedy prywatni detektywi wyłamali drzwi hotelowego pokoju. Nastąpił długi okres, podczas którego Martin był tak zajęty walką z adwokatami w procesie rozwodowym, że właściwie nie miał ani jednej chwili radości.

Kiedy wreszcie zaspokoił pretensje Lii, został znowu bez grosza, a Sherry, jak się okazało, wcale już nie uważała, że jest taki młody. Więc Martin zwiesił głowę i wrócił do pracy.

W końcu znowu zbił majątek, ale tym razem trwało to dłużej i po drodze nie miał wielu okazji, żeby się rozerwać. Wytworne damy w wytwornych barach koktajlowych już go nie interesowały, tak samo jak alkohol. Poza tym doktor zabronił mu pić.

Były jednak inne przyjemności dostępne dla bogatego człowieka. Na przykład po-droże. Martin nie tłukł się już pociągami 966

towarowym z jednej wiochy do drugiej, ale podróżował dookoła świata samolotem i luksusowym liniowcem. Przez jakiś czas zdawało mu się, że jednak znajdzie swoją chwilę. Oglądał Tadż Mahal w blasku księżyca, księżycowa poświata lśniła na starej, odrapanej, srebrnej kopercie zegarka i Martin gotów był zatrzymać Czas. Nikogo nie było w pobliżu...

I wtedy się zawahał. Pewnie, to była ra-dosna chwila, ale czuł się samotny. Lii z dzieckiem odeszła. Sherry odeszła, a on nigdy nie miał żadnych przyjaciół. Może gdyby znalazł parę pokrewnych dusz, poznałby najwyższe szczęście. To była odpowiedź – nie pieniądze, nie władza, seks czy oglądanie pięknych widoków. Prawdziwe zadowolenie zawiera się w przyjaźni.

Więc na statku w drodze do domu Mar-tin usiłował nawiązać jakieś znajomości w barze. Ale wszyscy ci ludzie byli o tyle 967 młodszy. I Martin nie miał z nimi nic wspólnego. Chcieli również pić i tańczyć, a on nie miał już zdrowia do takich rozrywek.

Niemniej jednak próbował.

Może właśnie dlatego miał ten mały wypadek na dzień przed dokowaniem w San Francisco. „Mały wypadek” to było okre-

ślenie okrętowego lekarza, ale Martin zauważył, że lekarz miał bardzo poważną minę, kiedy kazał mu zostać w łóżku i wezwał karetkę pogotowia, żeby czekała na przystani i zawiozła pacjenta prosto do szpitala.

W szpitalu wszystkie kosztowne zabiegi, kosztowne uśmiechy i kosztowne słowa ani przez chwilę nie oszukały Martina. Był starym człowiekiem, miał słabe serce i wszyscy myśleli, że umrze.

Ale on ich przechytrzył. Nadal miał ze sobą zegarek. Znalazł go w kieszeni płaszcza, kiedy nałożył ubranie i wymknął się 968

przed świtem ze szpitala.

Nie musiał umierać. Mógł odpędzić śmierć jednym gestem – i zamierzał to zrobić jako wolny człowiek, na wolności, pod otwartym niebem.

To była prawdziwa tajemnica szczęścia.

Teraz to rozumiał. Nawet przyjaźń znaczyła mniej niż wolność. Tak było najlepiej – uwolnić się od przyjaciół, od rodziny i od cielesnych żądź.

Martin powoli szedł chodnikiem pod nocnym niebem. Pomyśleć tylko, że wrócił dokładnie tam, skąd wyruszył przed wielu laty. Ale ta chwila była dobra, wystarczająco dobra, żeby trwać bez końca. Niegdyś włóczęga – zawsze włóczęga.

Uśmiechnął się, myśląc o tym, a potem nagły, ostry skurecz wykrzywił mu twarz i nagły, ostry ból przeszył mu pierś. Świat zaczął wirować i Martin upadł na chodnik przy krawężniku.

969

Prawie nic nie widział, ale wciąż jeszcze zachował świadomość i rozumiał, co się stało. Następny zawał, i to groźny. Może to już koniec. Tylko Martin nie będzie głupcem. Nie będzie czekał, żeby zobaczyć, co mu przyniesie przyszłość.

Teraz właśnie miał sposobność użyć swojej mocy i ocalić życie. I zamierzał to zrobić. Jeszcze się poruszał. Nic nie mogło go powstrzymać.

Sięgnął do kieszeni, wyciągnął stary, srebrny zegarek i niezdarnie ujął w palce nakrętkę. Kilka obrotów i przechytrzył śmierć. Nigdy nie będzie musiał wsiąść do Pociągu Do Piekła. Będzie żył wiecznie.

Wiecznie.

Martin nigdy dotąd nie zastanawiał się nad tym słowem. Życie wiecznie – ale jak?

Czy naprawdę chciał wiecznie tu pozostać

– stary, chory człowiek, leżący bezradnie w trawie?

970

Nie. Nie mógł tego zrobić. Nie robi tego. I nagle zachciało mu się płakać, ponieważ zrozumiał, że gdzieś po drodze przechytrzył sam siebie. A teraz było za późno. Oczy zaszyły mu mgłą, w uszach rozbrzmiewał łoskot...

Oczywiście rozpoznał ten dźwięk i wcale się nie zdziwił, kiedy pociąg wynurzył się z mgły przy krawężniku. Nie zdziwił się również, kiedy pociąg stanął, konduktor wyskoczył i podszedł powoli do niego. Konduktor wcale się nie zmienił. Nawet uśmiechał się dokładnie tak samo.

– Cześć Martin – powiedział. – Wszyscy na ciebie czekają.

– Wiem – szepnął Martin. – Ale pan będzie musiał mnie zanieść. Nie mogę chodzić. Nie mogę już nawet mówić, prawda?

– Owszem, możesz – odparł konduktor.

– Słyszysz cię dobrze. Możesz także chodzić.

– Pochylił się i położył rękę na piersiach 971

Martina. Przez chwilę Martin czuł lodowate odrętwienie, a potem rzeczywiście odzyskał władzę w nogach.

Wstał i ruszył za konduktorem wzdłuż nasypu, mijając kolejne wagony.

– Tutaj? – zapytał.

– Nie, następny wagon – mruknął kon-

duktor. – Chyba zasłużyłeś sobie na po-dróż salonką. Pomimo wszystko osiągnąłeś całkiem sporo. Poznałeś rozkosze bogac-twa, władzy i pozycji. Doświadczyłeś ra-dości małżeństwa i ojcostwa. Odkryłeś przyjemności jedzenia i picia, zasmakowa-

łeś również rozpusty. Podróżowałaś daleko i wiele widziałeś. Więc oszczędź mi wyrzutów sumienia w ostatniej chwili.

– Zgoda – westchnął Martin. – Chyba to nie pana wina, że popełniłem błąd. Z drugiej strony pan również nie może przypisywać sobie żadnej zasługi. Wszystko, co zdobyłem, zawdzięczam własnej pracy.

972

Sam tego dokonałem. Wcale nie potrzebo-wałem pańskiego zegarka.

– Rzeczywiście – uśmiechnął się konduktor. – Więc może teraz mi go oddasz?

– Potrzebuje go pan dla następnego fra-jera, co? – mruknął Martin.

– Może.

Coś w głosie konduktora kazało Marti-

nowi podnieść wzrok. Próbował zajrzeć mu w oczy, ale daszek czapki rzucał cień.

Więc Martin spojrzał na zegarek, jak gdyby spodziewał się znaleźć w nim odpowiedź.

– Niech pan mi powie jedną rzecz – odezwał się cichym głosem. – Jeśli oddam panu zegarek, co pan z nim zrobi?

– No, wyrzucę go do rowu – odparł konduktor. Tylko tyle. – I wyciągnął rękę.

– A jeśli ktoś go znajdzie? I rozkręci sprężynę, i zatrzyma Czas?

– Nikt tego nie robi – oświadczył kon-

duktor. – Nawet gdyby wiedział.

– Chce pan powiedzieć, że to było oszustwo? Ze to jest zwykły, tani zegarek?

– Tego nie mówiłem – szepnął konduk-

tor. – Powiedziałem tylko, że nikt jeszcze nie rozkręcił sprężyny. Wszyscy postąpili tak jak ty, Martinie – czekali, aż znajdą doskonałe szczęście. Czekali na chwilę, która nigdy nie nadeszła.

Konduktor ponownie wyciągnął rękę.

Martin westchnął i potrząsnął głową.

– A jednak pan mnie oszukał.

– Sam się oszukałeś, Martinie. A teraz pojedziesz Pociągiem Do Piekła.

Wciągnął Martina na stopień i wepchnął

go do wagonu. Kiedy obaj wsiedli, lokomotywa zagwizdała i pociąg ruszył. Martin stał w rozkołysanym wagonie, przygląda-jąc się pozostałym pasażerom. Siedzieli w rzędach i ten widok wcale nie wydał mu się dziwny.

974

Byli tu wszyscy: pijacy i grzesznicy, karciarze, szulerzy, kobieciarze i obiboki, cała wesoła kompania. Wiedzieli oczywi-

ście, dokąd jadą, ale na razie wcale się nie przejmowali. Zasłony w oknach opuszczo-no, lecz w

przedziale było jasno. Wszyscy śmiali się i śpiewali, podawali sobie butelkę, opowiadali kawały i przechwalali się jeden przed drugim, zupełnie tak samo jak w starej piosence taty.

– Fajne towarzystwo tu macie – odezwał

się Martin. – No, no, nigdy jeszcze nie widziałem takiej dobranej paczki. Wygląda na to, że nieźle się bawią!

– Przykro mi – powiedział konduktor. –

Obawiam się, że zabawa się skończy, kiedy dojedziemy do Stacji Na Dole.

Po raz trzeci wyciągnął rękę.

– No, zanim usiądziesz, lepiej oddaj mi ten zegarek. To znaczy, umowa jest umową...

975

Martin uśmiechnął się.

– Umowa jest umową – powtórzył. –

Zgodziłem się wsiąść do tego pociągu, je-

śli będę mógł zatrzymać Czas, kiedy znajdę odpowiednią chwilę szczęścia. Więc je-

śli pan pozwoli, ureguluję nasze rachunki.

Bardzo powoli Martin rozkręcił sprężynę.

– Nie! – wykrzyknął konduktor. – Nie!

Ale zegarek stanął.

– Czy wiesz, co zrobiłeś? – zasapał konduktor. – Teraz nigdy nie dojedziemy do Stacji. Ciągłe będziemy jechać, przez całą wieczność!

Martin znowu się uśmiechnął.

– Wiem – powiedział. – Ale cała przy-

jemność polega na tym, żeby podróżować, a nie żeby dojechać do celu. Pan mnie tego nauczył.

Myślę, że czeka mnie wspaniała podróż.

Konduktor jęknął.

976

– No dobrze – westchnął w końcu. –

Jednak mnie pokonałeś. Ale kiedy pomy-

ślę, że mam spędzić wieczność uwięziony w tym pociągu jak w pułapce...

– Głowa do góry – pocieszył go Martin.

– Nie będzie tak źle. Zdaje się, że mamy mnóstwo jedzenia i picia. No i w końcu pan sam wybrał tych ludzi.

– Ale ja jestem konduktorem! Pomyśl,

co to dla mnie znaczy! Praca bez końca!

– Niech pan się nie martwi – powiedział

Martin. – Niech pan posłucha, może będę mógł panu pomóc. Jeśli znajdzie pan dla mnie drugą taką czapkę i pozwoli mi pan zatrzymać zegarek...

I tak też się stało. W swojej czapce i ze srebrnym zegarkiem Martin jest najszcześliwszym człowiekiem na tym i na tamtym świecie – teraz i na zawsze. Martin, nowy konduktor w Pociągu Do Piekła.

977

FRITZ LEIBER

TARG NIEZWYKŁOŚCI

(The bazaar of the bizarre)

Przełożyła Anna Dorota Kamińska

Fritz Leiber (1910-1992) jest powszechnie uważany za jednego z ojców powieści „miecza i czarów”. Opowiadania o Fafhrdzie i Szarym Kocurze, odznaczające się subtelnym, ironicznym dowcipem, zyskały z miejsca ogromny rozgłos, porównywalny z entuzjastycznym przyjęciem opowieści Roberta Howarda o Conan. Powieści science fiction Leibera stały się równie sławne, a za „Wędrowca” i „The Big Time”

uzyskał nagrodę Hugo. Inne jego wyróżniające się powieści to „Conjure Wife”, opowiadająca o magii i posługiwaniu się nią w czasach współczesnych, oraz „Our Lady of Darkness”, za którą zdobył nagrodę World Fantasy. Wydawnictwo Dark Harvest Press wydało tom „The Leiber Chronicles”, przed-978

stawiający pięćdziesięcioletni dorobek pisarza jako autora opowiadań.

979

Osobliwe gwiazdy Świata Nehwon lśni-

ły, rozsiane gęsto nad czarnymi dachami miasta Lankhmar, gdzie brzęk mieczy słyhać prawie równie często, jak brzęk monet. Tej akurat nocy nie było mgły.

Na Placu Mrocznych Uciech – który leży tylko kilka ulic od Wietrznych Bagien i rozciąga się od Fontanny Mrocznej Obfitości do Świątyni Czarnej Dziewicy –

światła sklepów na dole nie były wcale ja-

śniejsze niż gwiazdy w górze. Sprzedawcy narkotyków, handlarze osobliwości i wę-

drowni kramarze oświetlali stragany i miejsca handlu fosforyzującym próchnem, świetlikami, latarenkami z małymi, poje-dynczymi szybkami. A swoje interesy za-

łatwiali prawie tak cicho, jak gwiazdy za-

łatwiają swoje.

W nocnym Lankhmarze nie brakuje 980

miejsc hałaśliwych, jasno oświetlonych pochodniami. Jednak odwieczna tradycja nakazywała, by na Placu Mrocznych Uciech panowały ciche szepty i tajemniczy mrok. Filozofowie często przychodzą

tu jedynie po to, by pomedytować, studenci –

by marzyć, a teolodzy o oczach fanatyków

– by snuć, niczym pająki sieci, nowe, za-wiłe teorie o Diabie i innych ciemnych si-

łach rządzących wszechświatem. A jeśli którykolwiek z nich znajdzie po drodze odrobinę

zakazanej przyjemności, tym lepiej niewątpliwie dla ich teorii, marzeń, teologii i demonologii.

Jednak tej nocy uczyniono jaskrawy wy-jątek od reguły ciemności. Z niskich drzwi, zwieńczonych trójlistnym łukiem, nowo wykutych w starej ścianie, na plac płynęły potoki światła. Nowe drzwi

wznosiły się nad horyzontem bruku niczym potworny księżyc, rozświetlony odbitymi promienia-981

mi morderczego słońca, a światła gwiazd i handlarzy tajemnicami gasły przy nich niemal

całkowicie.

Wraz ze światłem z wejścia wypływały

niezwykłe, niespotykane dotąd towary, zaś obok nich pochylała się postać o chciwej twarzy, odziana w strój niewidziany przedtem ani na lądzie, ani na morzu... Świata Nehwon. Osobnik ten

miał na głowie kapelusz podobny do czerwonego wiaderka, nosił też workowate spodnie i niezwykle czerwone buty z zadartymi noskami. Jego oczy były drapieżne jak oczy sokoła, ale uśmiech tak

cynicznie i lubieżnie zachęca-jący jak uśmiech starego satyra.

Co chwila zrywał się i podskakiwał wo-kół wejścia, zamiatając wciąż bruk długą miotłą, jakby chciał oczyścić przejście dla jakiegoś bajkowego cesarza. Często jednak przerywał ten taniec, by

zagwizdać cicho i wulgarnie, zawsze spoglądając w górę, na 982

tłum zbierający się w ciemnościach wokół

drzwi. Wykonywał wtedy gest zapraszają-

cy do wnętrza nowego sklepu, gest jednocześnie służalczy i złowieszczy.

Nikt z tego tłumu nie odważył się jeszcze wejść do jasno oświetlonego sklepu, ani choćby zbadać osobliwości rozłożonych przed nim tak niedbale, lecz zachęcająco. Ale liczba zafascynowanych gapiów rosła z każdą chwilą. Słysząc było też krytyczne szepty tych, których oburzała ta nowa metoda handlowania – jednak westchnienia i ciche słowa zachwytu, podziwu i coraz gorętszej ciekawości zagłuszały nieprzychylnie uwagi.

Szary Kocur wślizgnął się na plac od strony Fontanny tak cicho, jakby przyszedł poderżnąć komuś gardło bądź szpiegować szpiegów Władcy. Jego mokasyny ze szczurzej skóry nie wydawały żadnego

dźwięku. Jego miecz Skalpel, ukryty w pochwie ze skórek myszy, nie otarł się ani razu o jego tunikę i płaszcz z szarego je-dwabiu o dziwnej, szorstkiej fakturze.

Spojrzenia, rzucone spod szarego, jedwabnego kaptura zsuniętego do połowy głowy, były groźne i wyrażały niezachwiane poczucie własnej wyższości.

W głębi ducha Kocur czuł się jednak jak uczeń, i to uczeń przerażony możliwością otrzymania nagany oraz ogromnej pracy domowej. W jego torbie ze szczurzej skóry spoczywał list nabazgrany ciemnobrązowym atramentem ośmiornic na sre-brzystej rybiej skórze przez Sheelbę o Bez-okiej Twarzy. Prosił on, by Kocur znalazł się w tym oto miejscu o tej właśnie porze.

Sheelba był jego magicznym nauczycielem i – o ile akurat miał na to ochotę –

opiekunem, i lepiej było nie ignorować takiego zaproszenia, gdyż oczy Sheelby do-984 skonałe umiały wytropić nietowarzyskich, chociaż nie znajdowały się między jego policzkami a czołem.

Jednak zadania, które Sheelba w takich chwilach dawał Kocurowi, bywały zazwyczaj bardzo uciążliwe, a nawet hałaśliwe –

jak na przykład do – starczenie dziewięciu białych kotów bez jednego czarnego włoska, kradzież pięciu egzemplarzy tej samej księgi magicznych run z pięciu bardzo od siebie oddalonych czarodziejskich bibliotek albo zdobycie próbek łajna czterech królów, żywych lub martwych. Dlatego Kocur zjawił się wcześniej, by usłyszeć złą nowinę możliwie najszybciej. Przyszedł też sam, gdyż nie życzył sobie, by jego towarzysz Fafhrd stał obok chichocząc, podczas gdy Sheelba będzie wygłaszał swoje czarnoksiężskie homilie pokornemu Kocurowi... czy wymyślał dla niego dodatkowe zadania.

985

List Sheelby wyryty w pamięci Kocura

brzmiał po prostu: *Gdy gwiazda Akul przy-stroi Iglę Rhan, bądź przy Fontannie Mrocznej Obfitości*. Pod listem widniał jedynie pusty owal, który był znakiem roz-poznawczym Sheelby.

Kocur płynął teraz przez ciemność w stronę Fontanny. Była to przysadzista czarna kolumna, a na jej zaokrąglonym wierzchołku zbierała się jedna czarna kropla i spadała co dwadzieścia uderzeń słoniowego serca.

Kocur stanął przy Fontannie i wyciągnął

zgiętą rękę, by zmierzyć wysokość zielonej gwiazdy Azul. Musiała jeszcze obniżyć się o dobre siedem szerokości palca, by dotknąć iglicy smukłego, odległego minaretu Rhan, dobrze widocznego na tle gwiazd.

Kocur skulił się przy czarnej kolumnie, a potem lekko na nią wskoczył, by sprawdzić, czy zmieni

to w istotny sposób wyso-986

kość gwiazdy. Nie zmieniło.

Rozejrzał się w ciemnościach, wypatrując nieruchomych postaci – zwłaszcza postaci w szatach i kapturze mnicha, z kapturem nasuniętym tak nisko, że było wątpliwe, czy w ogóle widzi coś pod nogami.

Żadnej postaci nie dostrzegł.

Kocur nagle zhardział. Skoro Sheelba nie zamierzał kurtuazyjnie przyjść przed czasem, to on też nie musi być taki uprzejmy! Poszedł więc zbadać nowy, jasno oświetlony sklep, którego blask dostrzegł

oddalony jeszcze co najmniej o ulicę od Placu Mrocznych Uciech.

Fafhrd z Północy otworzył jedno oko, zamglone od wina, i nie ruszając głową, rozejrzał się po połowie oświetlonego przez ognisko pokoiku, w którym spał nago. Zamknął oko, otworzył drugie i rozejrzał się po drugiej połowie.

987

Nigdzie nie było śladu Kocura. Na razie w porządku! Jeśli szczęście go nie zawiedzie, uda mu się załatwić dzisiejszy krępujący interes bez wysłuchiwanie szyderstw małego szarego łobuza.

Wyciągnął spod szorstkiego policzka kwadrat fioletowej skóry węża, w której przekłuto maleńkie otwory tak, by utworzyły gwiazdy, gdy trzymał skórę między oczami a tańczącym ogniem. Gdy wpatrywał się w nie dłuższy czas, gwiazdy układały się w napis: *Gdy sztylet Rhan przebije ciemne serce Akul, odzyskaj Źródło Czarnych Kropel.*

Na fioletowym kwadracie narysowano też z rozmachem – w kolorze brązowo-pomarańczowym jak barwa zaschłej krwi –

siedmioramienną swastykę, jeden ze zna-ków Ningauble'a Siedmioookiego.

Fafhrd bez trudu zinterpretował Źródło Czarnych Kropeli jako Fontannę Mrocznej 988

Obfitości. Zapoznał się niestety z podobnym mętym, poetyckim językiem jako chłopiec, gdy był uczniem śpiewających skaldów.

Ningauble był dla Fafhrda mniej więcej tym, czym Sheelba dla Kocura. Z tą różnicą, że Siedmiooki był bardziej pretensjonalnym czarodziejem i w kwestii magicznych zadań dla Fafhrda miał znacznie większy rozmach – kazał mu zabijać smoki, zatapiać magiczne czteromasztowe statki i porywać zaczarowane królowny, strze-

żone przez potwory.

Ningauble miał też skłonność do prze-

chwałek, zwłaszcza jeśli chodziło o wspaniałość jego ogromnego domu w jaskiniach. Wijące się niczym węże, kamienne korytarze prowadziły stamtąd, jak twierdził, do każdego miejsca w przestrzeni i czasie – oczywiście, o ile Ningauble wcze-

śniej zaopatrzy idącego w szczegółowe in-989

strukcje, jak dokładnie stawiać kroki w niskich, ciasnych przejściach.

Fafhrd nie miał szczególnej ochoty na poznanie receptur i zaklęć Ningauble'a, jak Kocur chciał poznać sekrety Sheelby. Jednak Siedmiooki miał nad Fafhrdem wystarczającą władzę, dzięki słabościom i popelnionym w przeszłości występkom tego ostatniego, więc wojownikowi z Północy nie pozostawało nic innego, jak cierpliwe wysłuchiwanie czarnoksięskich napomnień Ningauble'a i jego magicznej paplaniny.

Ale – o ile było to możliwe – nie w towarzystwie szyderczo prychnącego i chichoczącego Szarego Kocura.

Fafhrd stał przed paleniskiem i wkładał, przypinał oraz przywiązywał rozmaite czę-

ści odzieży i uzbrojenia do swojego rosłego, potężnego ciała, obficie pokrytego w wielu miejscach krótkimi czerwonozłotymi, kręconymi włosami. Potem, już obuty i 990 w hełmie na głowie, otworzył drzwi i spojrzął w ciemną alejkę, na której zauważył tylko sprzedawcę kasztanów, skulonego przy swoim piecyku. Kiedy wreszcie ruszył w stronę Placu Mrocznych Uciech, można się było spodziewać, że będzie kroczył ze szczękiem i łomotem niczym machina oblężnicza zbliżająca się do twierdzy.

Zamiast tego stary sprzedawca kasztanów o oczach rysia, który był przy tym szpiegiem Władcy, o mało nie umarł na serce, kiedy Fafhrd przeszedł pośpiesznie obok niego, wysoki niczym sosna, szybki niczym wiatr i cichy jak duch.

Kocur odepchnął dwóch gapiów szturchnięciami w żebra i po ciemnym bruku udał się w stronę jaskrawo oświetlonego sklepu z drzwiami w kształcie serca.

Przyznał, że murarze musieli pracować jak 991 szaleni, by tak szybko wyciąć i wykończyć wejście. Przechodził tędy zeszłego popołudnia i widział w tym miejscu gładką ścianę.

Niesamowity sklepikarz w czerwonym kapeluszu i w butach z zakręconymi noskami wybiegł w stronę Kocura z miotłą, po czym cofnął się w głębokich dygach, zamiatając ścieżkę przed pierwszym klientem, ze służalczymi ukłonami i przymilnym wyrazem twarzy.

Ale na twarzy Kocura malowała się pogarda i sceptycyzm. Zatrzymał się przy stosie przedmiotów leżących przed drzwiami i przyjrzał im się z dezaprobatą. Wycią-

gnął Skalpel z cienkiej szarej pochwy i czubkiem długiego ostrza otworzył zatęchłą książkę, leżącą na stosie podobnych.

Nie zbliżając się, rzucił okiem pośpiesznie na pierwszą stronę, pokręcił głową i szybko przerzucił jeszcze z pół tuzina kartek 992

czubkiem miecza, używając go jak nauczyciel wskaźnika, by pokazać jakieś słowo tu czy tam – sądząc po jego minie, były one źle dobrane. Kolejnym gwałtownym ruchem zatrzasnął książkę.

Potem czubkiem miecza uniósł czerwona tkaninę zakrywającą stolik umieszczony za książkami i zajrzał pod nią podejrzliwie, zastukał nim lekceważąco w szklany słoik, w którym pływała ludzka głowa, pogardliwie musnął kilka innych przedmiotów, by w końcu pokiwać ostrzem z pogardą na sowę, która huknęła na niego ze swojej grzędę, przykuta łańcuchem.

Schował Skalpel i zwrócił się do sprzedawcy z kwaśną miną. Uniósł brwi i rzucił mu spojrzenie, które mówiło – nie, wręcz krzyczało – „To wszystko, co masz do zaoferowania? Dla tych tutaj śmieci zbecześciłeś Mroczny Plac światłem?”.

W rzeczywistości Kocura ogromnie za- 993

interesował każdy przedmiot, jaki zauważył. Książka, nawiasem mówiąc, napisana została literami, których nie tylko nie umiał odczytać, ale nawet rozpoznać.

Trzy rzeczy były dla Kocura jasne: po pierwsze – towar oferowany tutaj nie pochodził z żadnego miejsca w Świecie Nehwon, nawet z jego najdalszych krańców; po drugie – zgromadzone przedmioty uznał za bardzo niebezpieczne, chociaż nie miał pojęcia dlaczego; po trzecie – wszystko tutaj było niezwykle fascynujące i on, Kocur, nie zamierzał ruszyć się stąd na krok, dopóki osobiście nie

obejrzy, nie zbada i, jeśli będzie trzeba, nie wypróbuje, każdego intrygującego drobiazgu.

Sprzedawca na widok kwaśnej miny Kocura rozpoczął konwulsyjne, zachęcające i nalegające podskoki. Najwyraźniej rozdzierały go sprzeczne pragnienia – chciał jednocześnie całować stopę Kocura 994

i wskazywać pełnymi rozmachu i czułości gestami wszystkie po kolei przedmioty w sklepie.

W końcu skłonił się tak nisko, że brodą zamiótł bruk, machnął długim jak u małpy ramieniem w stronę sklepu i przemówił łamanym lankhmarskim:

– Każda rzecz dawać rozkosz ciału, zmysłom i wyobraźni. Cuda niewidziane.

Bardzo tanio, bardzo tanio! Pańskie za grosik! Targ Niezwykłości. Proszę się przyjrzeć, królu!

Kocur ziewnął szeroko, zakrywając usta wierzchem dłoni, po czym rozejrzał się ponownie ze zmęczonym, cierpliwym uśmiechem. Tak uśmiecha się książę, który wie, ile śmiertelnej nudy musi znieść, by wspierać rozwój handlu w swoim kraju. W końcu lekko wzruszył ramionami i wszedł do sklepu.

Za nim podążył sklepikarz, który dostał 995

wręcz ataku delirium z zachwytu i zaczął zamiatać bruk jak człowiek oszalały ze szczęścia.

Pierwszą rzeczą, jaką Kocur zauważył

wewnątrz sklepu, był stos cienkich książek oprawionych w delikatną czerwoną i fioletową skórę zdobioną złotem.

Drugą był stos lśniących soczewek i wą-

skich mosiężnych rurek, niemal zapraszających, by w nie zajrzeć.

Trzecią była smukła, ciemnowłosa dziewczyna, która uśmiechała się do niego tajemniczo ze złotej klatki zawieszanej pod sufitem.

Za klatką wisały kolejne, z prętami ze srebra lub z dziwnych zielonych, rubinowych, pomarańczowych, błękitnych i fioleto- wych metali.

Fafhrd zobaczył, jak Kocur znika w sklepie dokładnie w tej samej chwili, w której dotknął lewą ręką chłodnej, szorst-996

kiej powierzchni Fontanny Mrocznej Obfitości. Akul znajdował się teraz dokładnie nad iglicą Meczetu Rhan i wieża wygląda-

ła jak latarnia, w której paliła się zielona lampa.

Może poszedłby za Kocurem, a może i

nie. Na pewno zastanowiłby się nad tym, co zobaczył, ale akurat rozległo się za nim niskie, ciche syknięcie.

Fafhrd odwrócił się zgrabnie jak ogromny tancerz, a jego długi miecz Różdzka wyskoczył z pochwy tak szybko jak wąż z jamy, chociaż znacznie ciszej.

Jeden kaptur osłaniał absolutną ciemność. Nawet twarz Negra z Kleshu lśniłaby matowym brązem. Tu nie było nic.

W drugim kapturze widać było siedem

słabych, zielonych światełek. Poruszały się niespokojnie, okrążały się nawzajem lub błędziły jak w labiryncie. Czasami któreś z poziomych światełek błyszczało jaśniej, 997

kiedy zbliżało się do otworu kaptura, lub przygasało, gdy się od niego oddalało.

Fafhrd schował miecz i zbliżył się do postaci. Wciąż były zwrócone przodem do niego, jednak w milczeniu cofały się w alejkę.

Fafhrd poszedł za nimi. Budziło się w nim zainteresowanie... i różne inne uczucia. Spotkanie

jedynie z jego własnym mistrzem czarodziejem mogło okazać się nudne i umiarkowanie denerwujące. Ale nikt nie ośmieliłby się zlekceważyć jedno-czesnego spotkania Ninaguble'a Siedmiookiego i Sheelby Bezokiego.

A w dodatku ci dwaj zajadle rywalizujący czarnoksiężnicy sprzymierzyli się, działali najwyraźniej w pełnej zgodzie... Musi się szykować coś wielkiego! Co do tego nie było wątpliwości.

Tymczasem Kocur rozkoszował się naj-
998

milszymi, podniecającymi umysł, egzo-tycznymi uciechami, jakie można sobie wyobrazić.

Cienkie księgi oprawne w skór-

rę i złoto okazały się napisane literami o wiele dziwniejszymi niż te w książce, którą przeglądał przed sklepem. Litery wyglądały jak szkielety potworów, wiry chmur, drzewa i krzewy o wijących się gałęziach.

Ale najdziwniejsze było to, że czytał je bez trudności.

Książki omawiały szczegółowo takie rzeczy, jak prywatne życie diabłów, sekretne historie zbrodniczych kultów oraz – te miały ilustracje – odpowiednie techniki walki na miecze do zastosowania przy walkach z demonami oraz sztuczki uprawiane przez lamie, sukuby, bachantki i hamadria-dy.

Soczewki i metalowe rurki – niektóre były fantastycznie powykręcane niczym peryskopy do patrzenia nad murami i przez 999

zamknięte okna innych wszechświatów.

Początkowo pokazywały tylko wymyślne wzory z drogich kamieni, ale po paru chwilach Kocur mógł zajrzeć przez nie w najrozmaitsze, ogromnie interesujące miejsca, jak skarbcce zmarłych królów, sypialnie żyjących królowych, sale obrad zbuntowanych aniołów i szafy, w których bogowie chowali plany światów zbyt przerażających, by zaryzykować ich tworzenie.

A jeśli chodziło o skąpo odziane, smukłe dziewczyny w klatkach o zachęcająco, szeroko rozstawionych prętach, to były przyjemnymi poduszkami, na których mógł spocząć wzrok chwilowo zmęczony

przeoglądaniem książek i zaglądaniem w rurki.

Co kilka chwil któraś z dziewcząt gwizdała cichutko na Kocura, a potem wskazywała kusząco, prosząco lub skromnie na inkrustowaną klejnotami, osadzoną w ścianie-1000

nie korbę, za pomocą której można było klatkę, zawieszoną na lśniącym łańcuchu przeciągniętym przez równie lśniące uchwyty, opuścić na podłogę.

Kocur kwitował takie zaproszenia obo-

jętym, zmysłowym uśmiechem, skinieniem głowy i lekkim machnięciem dłoni, jakby chciał szepnąć: „Później... później.

Bądź cierpliwa".

Dziewczęta mogły odciągnąć go od tych wszystkich drobniejszych, ale bynajmniej nie gorszych przyjemności. Dziewczęta były na deser.

Ninaguble i Sheelba cofali się ciemną alejką, a Fafhrd podążał za nimi. W końcu stracił cierpliwość, opanował trochę mimowolny respekt i zawołał nerwowo:

– Zamierzacie tak uciekać przede mną tyłem, aż wszyscy wpadniemy w Wielkie Słone Bagna? Czego ode mnie chcecie? O

co wam chodzi?

Ale dwie postaci w kapturach już się zatrzymały, co dostrzegł w blasku gwiazd i nielicznych oświetlonych okien. Teraz Fafhrdowi zdawało się, że zatrzymały się na moment przed tym, zanim się odezwał.

Typowa sztuczka czarodziejów, kiedy chcą zbić kogoś z pantałyku! Zagryzł w ciemnościach wargi. Nie da się na to nabrać!

– Mój Łagodny Synu... – zaczął Ningauble swoim najbardziej słodkokazno-dziejskim tonem. Światła jego siedmiorga oczu trwały teraz w kapturze bez ruchu i lśniły łagodnie niczym Plejady widziane w późną letnią noc przez zieloną mgłę podnoszącą się z jeziora pełnego niebieskiego wiotriolu i żrącego solnego gazu.

– Pytałem, o co tu chodzi! – przerwał mu szorstko Fafhrd. Skoro już okazał nie-cierpliwość, nie ma nic do stracenia.

– Pozwól, że przedstawię ci hipotetycz-1002

ną sprawę – ciągnął niewzruszenie Ningauble. – Przyjmijmy, Mój Łagodny Synu, że żyje w pewnym wszechświecie męzczyzna i że najstraszliwsza potęga przybywa do tego wszechświata z innego wszech-

świata, a może nawet z wielu wszechświatów, i że ten człowiek jest odważny i chce bronić swojego wszechświata i bez wahania poświęciłby własne życie, i, co więcej, że doradza mu niezwykle mądry, roztropny i miłujący ludzi wuj, który wie wszystko o sprawach, których ta hipoteza dotyczy...

– Pożeracze zagrażają Lankhmarowi! –

wyrzucił z siebie nagle Sheelba ostrym, szorstkim głosem, przypominającym trzask pękającego drzewa. Fafhrd aż drgnął

– a możliwe, że Ningauble także.

Fafhrd odczekał chwilę, by nie sprawiać fałszywego wrażenia, a potem przeniósł wzrok na Sheelbę. Jego oczy przyzwycza-1003

wały się już nieco do mroku i dostrzegał teraz dużo więcej niż wtedy, u wylotu alejki, ale pod kapturem Sheelby nadal nie widział nic oprócz nieprzeniknionej ciemności.

– Kim są Pożeracze? – zapytał.

Odpowiedzi udzielił jednak Ningauble.

– Pożeracze to najzdolniejsi handlarze we wszystkich wszechświatach. Są tak zdolni, że sprzedają tylko śmieci. Ma to swój głęboki sens. Pożeracze muszą po-

święcić cały swój spryt na doskonalenie metod sprzedaży, nie mają więc ani chwili, by poświęcić ją na zastanowienie się nad wartością tego, co sprzedają. Co więcej, nie wazą się poświęcić temu ani chwili, gdyż boją się stracić swoje niezwykle talenty. Ich umiejętności są jednak tak niesłychane, że pomimo to ich towarom nie można się oprzeć, jest to najlepsza oferta we wszystkich wszechświatach... Pojmu-1004

jesz mnie?

Fafhrd spojrział z nadzieją na Sheelbę, ale ponieważ ten nie wtrącił się teraz z żadnym treściwym podsumowaniem, skinął głową Ningauble'owi.

Ningauble mówił dalej, a jego siedem oczu zaczęło się poruszać, sądząc z ruchu siedmiu światełek.

– Może już zgadłeś, że Pożeracze posiadli najpotężniejszą magię, pozbieraną w wielu wszechświatach, a ich atakującymi oddziały dowodzą najgroźniejsi czarownicy, znakomicie

wykształceni we wszystkich metodach walki, i to zarówno walki umysłów, uczuć, jak uzbrojonych ciał.

Najpierw Pożeracze otwierają w nowym świecie sklep i wabią do niego najodważniejszych, najzuchwalszych i najrozumniejszych spośród miejscowego ludu. A ci mają tyle wyobraźni, że wystarczy najlepsza sugestia, a sami sprzedadzą sobie 1005 wszystko. Kiedy wpadną już w sidła, Pożeracze zajmują się pozostałą ludnością – a znaczy to po prostu, że sprzedają, sprzedają i sprzedają! Sprzedają śmieci, a w zamian dostają uczciwe pieniądze i wartościowe przedmioty.

Ningauble westchnął głośno, trochę na-bożnie.

– To bardzo źle, Mój Łagodny Synu –

ciągnął, a światła jego oczu kreśliły w kapturze hipnotyczne wzory. – Ale czegoż można się spodziewać we wszechświatach rządzonych przez takich bogów, jakich mamy. Jest to smutna rzeczywistość i była-by nawet do zniesienia. Jednakże – urwał

na chwilę – potem jest coraz gorzej! Pożeracze pragną nie tylko tego, by ich klientami były wszystkie istoty ze wszystkich wszechświatów. Oni chcą – niewątpliwie obawiając się, że któregoś dnia ktoś zada niemiłe pytanie o prawdziwą wartość 1006

sprzedawanych przez nich rzeczy – oni chcą, by wszyscy ich klienci zostali uległymi, podatnymi na sugestie niewolnikami, którzy nie nadają się do niczego oprócz ga-pienia się i kupowania śmieci wystawionych przez Pożeraczy na sprzedaż. To oznacza, że klienci Pożeraczy w końcu nie będą mieli czym płacić za te śmieci, ale Pożeracze zdają się nie kłopotać taką moż-

liwością. Prawdopodobnie uważają, że zawsze znajdą się nowe wszechświaty do złupienia. I może rzeczywiście się znajdują!

– Straszne! – orzekł Fafhrd. – Ale co Pożeraczom przychodzi z tych kupieckich podbojów, tego szalonego handlu? Czego naprawdę pragną?

– Pożeracze pragną tylko gromadzić pieniądze – odpowiedział Ningauble. – I wychowywać dzieci podobne do siebie, by te gromadziły jeszcze więcej pieniędzy. I chcą współzawodniczyć między sobą w 1007

gromadzeniu pieniędzy. Pożeracze chcą jeszcze rozmyślać nad usługami, które świadczą wielu wszechświatom – twierdzą, że ulegli klienci są najposłuszniejszymi poddanymi bogów. I skarżyć się, że ta ciężka praca nad gromadzeniem pieniędzy wyczerpuje ich umysły i źle działa na trawienie. Poza tym każdy z Pożeraczy potajemnie zbiera i ukrywa najpiękniejsze wytwory i myśli mężczyzn i kobiet (i prawdziwych czarodziejów, i prawdziwych demonów), by nie cieszyły niczyich oczu, tylko ich. Kupują je za bezcen i płacą za nie śmieciami lub – co lubią najbardziej –

nie płacą wcale.

– Naprawdę straszne! – powtórzył Fafhrd. – Każdy kupiec jest ponurą tajemnicą, ale ci muszą być najgorsi ze wszystkich. Ale co to ma wspólnego ze mną?

– Mój Łagodny Synu – kontynuował

Ningauble, a w jego kaznodziejski ton 1008

wkradła się nutka rozczarowania. – Zmuszasz mnie, bym ponownie uciekł się do hipotetyzowania. Wróćmy więc do przypuszczenia, że żyje gdzieś odważny mężczyzna, którego wszechświat jest zagrożony i który nie waha się poświęcić życia, i do drugiego przypuszczenia, że ten odważny człowiek ma mądrego wuja, którego rad zawsze słucha...

– Pożeracze otworzyli sklep na Placu Mrocznych Uciech! – wtrącił Sheelba tak gwałtownie i tak szorstko, że tym razem Fafhrda naprawdę zamurowało. – Dziś w nocy musisz go zniszczyć!

Fafhrd zastanowił się przez chwilę, po czym zaczął ostrożnie:

– Zakładam, że obaj będziecie mi towarzyszyć, by dopomóc swoimi czarodziej-skimi zaklęciami w tym niewątpliwie ogromnie niebezpiecznym zadaniu, by słu-

żyć mi jak magiczna artyleria i oddział

1009

łuczników, podczas gdy ja odegram rolę atakującego batalionu...

– Och, Mój Łagodny Synu... – przerwał

Ningauble tonem ogromnego rozczarowa-

nia, potrząsając głową tak mocno, że światełka oczu podskoczyły w jego kapturze.

– Musisz zrobić to sam! – wychrypiął

Sheelba.

– Bez żadnej pomocy? – zapytał Fafhrd.

– Nie! Znajdźcie sobie kogoś innego. Weź-

cie tego odważnego przygłupa, który zawsze słucha rozkazów swojego wuja-intry-ganta równie niewolniczo, jak według was klienci Pożeraczy słuchają ich. Weźcie jego! Ale jeśli o mnie chodzi – nie!

– Więc odejdziesz, tchórz! – rzucił twardo Sheelba, ale Ningauble tylko westchnął i oznajmił niemal przepaszająco:

– Miałeś mieć do tego zadania towarzysza, drugiego żołnierza walczącego z krzykliwym złem – jednym słowem, Szarego

1010

Kocura. Niestety, przyszedł za wcześnie na spotkanie z moim kolegą i dał się zwabić do sklepu Pożeraczy, gdzie teraz bez wątpienia wpadł w ich sidła, a może nawet jest już stracony bezpowrotnie. Widzisz więc, że pomyśleliśmy o twoim bezpieczeństwie i nie zamierzaliśmy skazywać cię na samotną bitwę. Jednak, Mój Łagodny Synu, jeżeli twoja decyzja jest niezłomna...

Fafhrd westchnął jeszcze głębiej niż przedtem Ningauble.

– No, dobra – stwierdził szorstko, przyznając się do porażki. – Zrobię to dla was.

Ktoś musi wyciągnąć tego szarego głupka ze ślicznego ognia albo błyszczącej wody, która go tym razem skusiła. Ale jak mam się do tego zabrać? – Potrząsnął wielkim palcem na Ningauble'a. – I

przestań z tym Łagodnym Synem!

Ningauble milczał. W końcu rzekł tylko:

– Kieruj się własnym rozsądkiem.

1011

– Strzeż się Czarnej Ściany! – dodał

Sheelba.

– Zaczekaj, mam dla ciebie prezent –

odezwał się Ningauble do Fafhrda. Wycią-

gnął w jego stronę postrzępioną wstęgę materiału, długą na metr. Była ściśnięta między fałdami materiału długiego rękawa czarodzieja tak, że nie można było dostrzec kształtu ręki, która ją trzymała. Fafhrd wziął szmatę z pogardliwym prychnięciem, zgniótł w kłębek i wepchnął do torby.

– Uważaj – ostrzegł Ninaguble. – To Płaszcz Niewidzialności, trochę już zużyty w wielu wyprawach. Nie nakładaj go, póki nie zbliżysz się do sklepu Pożeraczy. Ma dwie bardzo drobne wady. Nie całkiem ukryje cię przed wzrokiem doświadczonego czarownika, jeśli ten wyczuje twoją

obecność i podejmie pewne kroki. Zadbaj też o to, by w tej przygodzie nie zostać zra-1012

nionym, gdyż płaszcz nie ukryje krwi.

– Ja też mam dar! – powiedział Sheel-ba, wyjmując z kaptura, ręką zakrytą rękawem podobnie jak Ningauble, coś, co lśni-

ło lekko niczym...

Niczym pajęczyna.

Sheelba potrząsnął nią, jakby chciał

zrzucić pająka, lub może dwa.

– Przepaska Widzenia Prawdy – powie-

dział, podając ją Fafhrdowi. – Pokazuje rzeczy takimi, jakie są naprawdę. Nie przykrywaj nią oczu, póki nie wejdiesz do sklepu. Pod żadnym pozorem nie zakładaj jej teraz, jeśli cenisz sobie życie lub zdrowe zmysły!

Fafhrd wziął przepaskę ostrożnie. Dostał

gęsiej skórki. Był skłonny usłuchać poleceń małomównego czarownika. W tej chwili naprawdę nie miał ochoty na to, by ujrzeć prawdziwą twarz Sheelby Bezokiego.

1013

Szary Kocur czytał właśnie najciekaw-

szą książkę ze wszystkich, wspaniałe kompendium wiedzy tajemnej, napisane pismem złożonym ze znaków astrologicznych i geomantycznych. Ich znaczenia przeskakiwały ze stron księgi wprost do jego głowy.

By dać oczom odpocząć od książki – a

raczej by nie przeczytać jej zbyt szybko –

zajrzał w dziewięć razy załamaną mosięż-

ną rurkę, patrząc na scenę, która mogła odgrywać się tylko na niebiańskim szczycie

wszechświata, gdzie lśniące anioły fruwały niczym ważki i gdzie kilku wybranych bohaterów odpoczywało po wysokiej wspi-naczce i krytycznie spoglądało w dół, na bogów przypominających stąd zaharowane mrówki.

By dać oczom odpocząć także od tego,

spojrzał między szkarłatne pręty najbar-1014

dziej oddalonej klatki na najbardziej pocią-

gającą ze wszystkich, smukłą, jasnowłosą i czarnooką dziewczynę. Klęczała, siedząc na piętach,

pochylona nieco do przodu.

Miała na sobie czerwoną aksamitną tunikę, a jej złociste włosy były tak gęste i miękkie, że mogła je zaczesać tak, by tworzyły zasłonę sięgającą od górnej połowy twarzy, niemal do kapryśnie

wydętych ust.

Delikatnie rozsuwała jedwabne, złociste kosmyki smukłymi palcami jednej ręki, i zalotnie

spoglądała spomiędzy nich na Kocura, zaś drugą ręką wystukiwała na złocistych kastanietach tęskny, powolny rytm, który co jakiś czas gwałtownie przyspieszał.

Kocur zastanawiał się właśnie, czy może spróbować przekreślić parę razy wysadzaną rubinami złotą korbę, gdy po raz pierwszy zobaczył lśniącą ścianę z tyłu sklepu. Co to może być za materiał? – zastanawiał się.

1015

Małeńkie diamenty, niezliczone jak ziarnka piasku, osadzone w matowym szkłe?

Czarne opale? Czarne perły? Czarne promienie księżycy?

Cokolwiek to było, było tak fascynują-

ce, że Kocur pośpiesznie odłożył książkę, wkładając w nią dziewięć razy załamana rurkę, by zaznaczyć miejsce – kilka ogromnie wciągających stron o władaniu mieczem, gdzie opisano Uniwersalne Parowanie i jego pięć fałszywych odmian oraz trzy prawdziwe formy Tajnego Pchnięcia –

pomachał tylko palcami czarującej blondynce w czerwonym aksamicie i szybko poszedł na tyły sklepu.

Kiedy podchodził do Czarnej Ściany, wydało mu się przez chwilę, że dostrzegł srebrnego upiora, czy może srebrnego kościotrupa, który wychodzi mu naprzeciw.

Potem jednak zauważył, że to jego własne, ciemne, przystojne odbicie – lśniąca mate-1016 ria bardzo pochlebnie odbijała jego postać.

To, co wyglądało jak srebrzyste zebra, było tylko odbiciem srebrzystych haftów na jego tunice.

Uśmiechnął się krzywo do swojego ob-

razu i wyciągnął palec, by dotknąć jego lśniącego palca. I wtedy – cuda nad cuda-mi! – ręka przeniknęła przez ścianę, a on poczuł łagodny chłód, który obiecywał podobnie wygodny odpoczynek jak prześcieradła na świeżo posłanym łóżku.

Spojrzał na swoją zanurzoną w ścianie rękę i – kolejny cud! – zobaczył, że cała jest pięknie srebrzysta, z wzorkiem w drobniutkie łuski. Była to bez wątpienia jego ręka, co sprawdził, zginając ją i prostując, ale teraz nie szpeciły jej żadne blizny, wydawała się odrobinę smuklejsza, a palce nieco się wydłużyły. Po prostu stała się nieco piękniejsza niż przed chwilą.

Zamachał palcami. Miał wrażenie, że 1017

przygląda się igraszkom małych, srebrzystych rybek.

Co za zabawny pomysł – uznał – mieć

ciemny staw rybny, czy raczej basen, ustawiony na boku, wewnątrz budynku. Można po prostu wejść spokojnie i z wdziękiem do nieruchomego płynu, zamiast bawić się w hałaśliwe, atletyczne nurkowanie!

I co za czarująca myśl, by wypełnić ten basen nie pospolitą zimną wodą, ale czymś w rodzaju czarnej jak bezksiężycowa noc esencji snu! I to esencji o upiększających, kosmetycznych właściwościach. Coś jak błotna kąpiel bez błota. Kocur postanowił

natychmiast popływać w tym cudownym basenie, ale właśnie wtedy dostrzegł długą, czarną leżankę przy drugim krańcu płynnej Czarnej Ściany. Za nią stał nieduży, wysoki stolik, a na nim jadło, kryształowy dzbanek i szklanekę.

Ruszył wzdłuż ściany, by zbadać tamte 1018

przedmioty, a jego przystojniejsze odbicie szło obok krok w krok.

Przez chwilę trzymał rękę zanurzoną w ścianie. Potem ją wyjął, a łuski natychmiast zniknęły i wróciły stare, znajome blizny.

Leżanka okazała się wąską, czarną trumną wyłożoną pikowanym, czarnym aksamitem i rozrzuconymi z jednej strony czarnymi, atlasowymi poduszeczkami. Wyglądało to bardzo wygodnie i kusząco – nie tak kusząco jak Czarna Ściana, ale wystarczająco.

W trumnie na czarnej satynie stał rząd

dek małych czarnych książeczek, by leżą-

cemu dostarczyć rozrywki, a także niezapalona jeszcze czarna świeca.

Posiłek ustawiony na małym hebanowym stoliku za trumną składał się wyłącznie z czarnych potraw. Kocur odkrył ich naturę, oglądając je starannie, a potem pró-

bując – były to pajdy ciemnego żytniego 1019

chleba z dodatkiem ziarenek maku, ociekające czarnym masłem; plastry ciemnej jak węgiel polędwicy, podobnie przyrządzone cieniutkie plasterki cielejącej wątróbki, po-sypane ciemnymi przyprawami i hojnie ozdobione kaparami, najciemniejsze wino-grona, trufle pokrojone cienko jak papier i przysmażone na ciemno grzyby oraz, oczywiście, dojrzałe oliwki i czarna rybia ikra – kawior. Czarny napój, który zapienił

się, gdy nalał go do szklanki, okazał się porterem zmieszany z musującym winem z Ilthmaru.

Postanowił wzmocnić wewnętrzne

Kocura – tego Kocura, który żył ślepy, chciwym, nieokiełznanym życiem między jego wargami i brzuchem. Potem zanurzy się w Czarnej Ścianie.

Fafhrd wszedł ponownie na Plac Mrocz-

nych Uciech. Szedł ostrożnie, w lewej ręce 1020

trzymając dwoma palcami długą szmatę, będącą Płaszczem Niewidzialności, a palcami drugiej ściskając jeszcze ostrożniej lśniąca pajęczynę, która była Przepaską Widzenia Prawdy. Nie był jeszcze całkiem pewien, czy delikatny sześciokąt falujący na wietrze jest już całkiem wolny od pają-

ków.

Zobaczył po drugiej stronie placu jasny sklep – sklep będący, jak mu powiedziano, placówką straszliwych Pożeraczy. Przed nim dostrzegł zebranych ludzi, którzy chodzili niespokojnie i komentowali wszystko ochryplym, pełnym podniecenia szeptem.

Z samego sklepu z tej odległości Fafhrd mógł dostrzec tylko sprzedawcę w czerwonej czapce, czerwonych butach i workowatych spodniach. Teraz już nie skakał, lecz stał oparty na swojej miotle obok zwień-

czonych trójlistnym łukiem drzwi.

Lewą ręką Fafhrd zawiesił sobie Płaszcz 1021

Niewidzialności na szyi. Poszarpana wstę-

ga zwisała na jego piersi, odzianej w kaftan z wilczej skóry, nie dosięgając nawet szerokiego pasa, na którym wisiał długi miecz i krótki toporek. O ile mógł się zorientować, jego ciało nie stało się ani trochę niewidzialne i wątpił, by Płaszcz w ogóle działał. Ningauble, jak wielu innych magów, nigdy nie wahał się przed dawa-niem bezużytecznych magicznych przedmiotów, nie dlatego, że lubił oszukiwać, lecz że chciał poprawić komuś morale. Fafhrd ruszył śmiało w stronę sklepu.

Fafhrd był wysokim mężczyzną, o sze-

rokich ramionach i imponującym wyglą-

dzie – w cywilizowanym Lankhmarze prezentował się dwa razy bardziej imponująco dzięki swojemu barbarzyńskiemu odzieniu i broni. Uważał więc za oczywiste, że zwykli mieszkańcy miasta schodzą mu z drogi

– nigdy mu nawet nie przyszło do głowy, 1022

że mogliby tego nie zrobić.

Przeżył wstrząs. Wszyscy ci pisarczycy, skrytobójcy, pomocnicy kuchenni, uczniowie, niewolnicy, drugorzędni kupcy i drugorzędne kurtyzany, którzy zazwyczaj odruchowo ustąpiliby mu z drogi (te ostatnie z zalotnym kołysaniem bioder) szli teraz prosto na niego. Musiał uskakiwać, obracać się, stawać, a czasem nawet cofać się, by uniknąć kopniaków i deptania po nogach. Jeden energiczny, dumny człowiek o wielkim brzuchu o mało nie wyrwał mu z ręki pajęczyny, która – co mógł teraz wy-raźnie dostrzec w świetle padającym ze sklepu – była jednak wolna od pajaków.

Jeśli jednak jakieś na niej były, musiały być niezwykle małe.

Był tak zajęty uskakiwaniem przed niewidzącymi go Lankhmaryjczykami, że nie miał czasu zerknąć na sklep, póki nie znalazł się przed jego drzwiami. A zanim 1023

spojrzał na niego po raz pierwszy, odkrył, że stoi już z głową przechyloną tak, iż lewe ucho dotyka ramienia, i kładzie sobie pajęczynę Sheelby na oczach.

W dotyku była jak każda inna pajęczyna, lepiąca się o światło do twarzy człowieka, kiedy ten przeciska się między dwoma krzakami. Wszystko lśniło słabiutko, jakby patrzył przez cieniutką kryształową kratkę.

Potem lśnienie znikło, wraz z nim lekki dotyk pajęczyny i wzrok Fafhrda znowu był normalny – przynajmniej tak mu się zdawało.

Okazało się, że przed drzwiami do sklepu Pożeraczy leżą stosy śmieci – i to śmieci wyjątkowo odrażających: starych kości, zdechłych ryb, odpadów od rzeźnika, gnijących chust złożonych w krzywe kostki, źle oprawionych książek z nie rozciętymi kartkami, potłuczonego szkła, rozbitych skrzynek, wielkich, śmierdzących, mar-

tych liści, zakrwawionych szmat, wystrzępionych przepasek, wielkich, ruchliwych robali, wijących się sto – nóg, biegających karaluchów, pełzających larw i innych, jeszcze obrzydliwszych rzeczy.

Nad tym wszystkim siedział sęp, który stracił większość piór i najprawdopodobniej zmarł na jakąś ptasią egzemę. Tak przynajmniej pomyślał Fafhrd, ale zaraz potem ptak otworzył jedno pokryte bielmem oko.

Przed sklepem był tylko jeden, jedyny przedmiot, który ostatecznie nadawał się do sprzedaży – wysoki, czarny posąg, trochę większych rozmiarów niż przeciętne, przedstawiający smukłego wojownika o srogiej, lecz melancholijnej twarzy. Stał

tuż przy drzwiach na kwadratowym piede-stale, pochylony nieco do przodu, oparty na długim, oburęcznym mieczu, i smętnie obserwował plac.

1025

Posąg zaczął budzić w umyśle Fafhrda

jakieś wspomnienia – świeże wspomnienia, jak mu się zdawało – ale nic mu się nie przypominało i po chwili przestał się nad nimi zastanawiać. W zadaniach takich jak to, najważniejsze było szybkie działanie. Rozluźnił pętlę podtrzymującą toporek, bezdźwięcznie dobył Różdżki, wzdrygnął się lekko, mijając stos śmieci, i wszedł na Targ Niezwykłości.

Kocur, przyjemnie odświeżony smacznym czarnym jedzeniem i uderzającym do głowy czarnym napojem, podszedł do Czarnej Ściany i wetknął w nią rękę aż po ramię. Pomachał nią, rozkoszując się bal-samicznym chłodem, podziwiając delikatne srebrne łuski i nadludzką urodę. To samo zrobił z prawą nogą, wymachując nią niczym tancerz podczas ćwiczeń baletowych. Potem wziął głęboki oddech i ruszył

1026

przed siebie.

W środku Fafhrd zobaczył te same stosy wspaniale oprawionych ksiąg i lśniących mosiężnych rurek oraz kryształowych soczewek, jakie oglądał Kocur – zdawało się to przeczyć teorii Ningauble'a, że Pożeracze sprzedają tylko śmieci.

Ujrzał także osiem pięknych, wysadza-

nych klejnotami klatek, zwisających z sufitu na lśniących łańcuchach, opuszczanych za pomocą ozdobnych korb.

W każdej klatce znajdował się lśniący, cudownie kolorowy, ciemny lub jasny pajęk, wielkości niedużego człowieka. Każdy co jakiś czas machał długim, zakończonym pazurem odnóżem bądź lekko rozchyłał i zamykał wygięte w dół szczęki, uzbrojone w potężne kły, przyglądając się przy tym Fafhrdowi osmioma podobnymi do klejnotów oczami, ułożonymi w dwa rzędy po 1027

cztery.

Napuścili pająka na pająki – pomyślał

Fafhrd, rozmyślając o swojej pajęczynie, a potem zastanowił się, co to właściwie miało znaczyć.

Szybko zadał sobie bardziej praktyczne pytania. Ledwo zdążył się zastanowić, czy przed zapuszczeniem się w głąb sklepu nie powinien pozabijać pająków, wyglądają-

cych na dość kosztowne i na pewno godne jakiejś królowej dżungli – kolejny argument przeciw teoriom Ningauble'a! – kiedy z tyłu sklepu dobiegło go ciche chlupota-nie. Przypominało mu kąpiel Kocura – Kocur uwielbiał kąpiele, długie i leniwe, w gorącej, pachnącej mydłem i olejkami wodzie, mały szary sybaryta! – więc Fafhrd pobiegł w tamtym kierunku, rzucając tylko spojrzenia do góry.

Mijał właśnie ostatnią klatkę, o prętach ze szkarłatnego metalu, zawierającą najdo-1028 rodniejszego pająka ze wszystkich, kiedy zauważył książkę założoną mosiężną rurką – Kocur tak samo zaznaczał miejsca w czytanych książkach, używając do tego sztyletu.

Fafhrd zatrzymał się i otworzył książkę.

Łśniące białe strony były niczym nie zapi-sane. Przyłożył okryte niewidoczną pajęczyną oko do soczewki w rurce. Dostrzegł

scenę, która mogła mieć miejsce tylko w piekle na samym dole wszechświata, gdzie czarne diabły biegały niczym stonogi, przykuci do skał spoglądali tęsknie w górę, a potępieńcy wili się w uściskach czarnych węży o lśniących oczach, ociekających trucizną kłach i nozdrzach, z których buchał

ogień.

Rzucił książkę i rurkę. W tej samej chwili usłyszał szybkie, ciche bulgotanie powietrza wydobywającego się na powierzchnię jakiegoś płynu. Natychmiast 1029

spojrzał w mroki w głębi sklepu i nareszcie dostrzegł lśniącą perłowo Czarną Ścianę, w której zanurzał się srebrzysty szkielec o diamentowych oczach. Jednak ręka tego kosztownego kościotrupa – znowu teoria Ningauble'a o śmieciach upadała! – nadal wystawała częściowo ze ściany i ręka ta nie była z kości srebrnych, białych, brunat-nych czy różowych, ale z ciała wyglądają-cego jak żywe, pokrytego prawdziwą skórą.

Gdy ramię zanurzało się w ścianie, Fafhrd skoczył przed siebie szybciej niż kiedykolwiek dotąd i chwycił dłoń na chwilę przed tym, zanim zniknęła. Wtedy zrozumiał, że chwycił dłoń swojego przyjaciela, gdyż nawet najslabszy uścisk dłoni Kocura rozpoznałby wszędzie. Szarpnął, ale Kocur jakby ugrzązł w lotnych piaskach. Odłożył

więc Różdżkę, chwycił wolną ręką nadgarstek Kocura, zaparł się nogami o szorstkie, 1030 czarne płyty na podłodze i pociągnął z całej siły.

Srebrzysty szkielec wypadł ze ściany z odgłosem chlupotu, przemieniając się jednocześnie w Szarego Kocura o pustym spojrzeniu. Nie patrząc nawet na swojego przyjaciela i wybawcę, ruszył chwiejnym krokiem przed siebie i wpadł prosto do czarnej trumny.

Jednak zanim Fafhrd zdążył wyciągnąć

towarzysza z tego kolejnego ponurego miejsca, rozległy się szybkie kroki i do sklepu wbiegł, ku wielkiemu zdziwieniu Fafhrda, czarny żelazny posąg. Zapomniał

swojego piedestału lub po prostu z niego zszedł, ale nie zapomniał bynajmniej oburęcznego miecza, którym wymachiwał

groźnie, omiatając podejrzliwym spojrzeniem wszystkie cienie, kąty i zakamarki.

Czarne spojrzenie przesunęło się po Fafhrdzie, wcale go nie dostrzegając, ale za-1031

trzymało się na leżącej na podłodze Różdź-

ce. Widok miecza najwyraźniej zaskoczył

posąg, który wygiął żelazne wargi w groź-

nym grymasie i zmrużył czarne oczy. Rozejrzał się i zaczął biegać po sklepie zyg-zakami,

machając przed sobą ciemnym, lśniącym mieczem niczym kosą.

W tej samej chwili Kocur wyjrzał z trumny, uniósł omdlałą rękę i pomachał

posągowi.

– Juhu! – odezwał się cicho i głupawo.

Posąg przerwał poszukiwania i wyma-chiwania, by spojrzeć na Kocura z mieszaniną pogardy i zdziwienia.

Kocur stanął w czarnej trumnie, chwie-jąc się jak pijany i sięgnął do sakwy.

– Hej, niewolniku! – zawołał z żenującą wesołością. – Twoje towary ostatecznie ujdą. Wezmę tę dziewczynę w czerwonym aksamicie. – Wyciągnął z sakwy monetę, przyjrzał jej się uważnie, po czym rzucił

1032

nią w stronę posągu. – To będzie jeden miedziak. I dziewięć razy załamana rurkę.

To jeszcze jeden miedziak. – Rzucił znowu. – I „Gruna wielkie kompendium egzo-tycznej wiedzy”. Jeszcze jeden miedziak!

A, i jeszcze jeden za kolację. Bardzo dobra. O, prawie zapomniałem... tu masz za dzisiejszy nocleg! – Rzucił demonicznemu czarnemu posągowi kolejnego miedziaka i z błogim uśmiechem patii, znikając z widoku. Słychać było westchnienie czarnego atlasu, gdy w niego zapadł.

Przy czwartym miedziaku rzucanym przez Kocura Fafhrd doszedł do wniosku, że lepiej nie tracić czasu na próby zgady-wania sensu nonsensownego zachowania towarzysza, ale skorzystać z tego, że posąg patrzy w inną stronę i chwycić Różdżkę.

Wykonał to natychmiast, ale w tej chwili czarny posąg odzyskał czujność. Spojrzał

na Różdżkę, gdy Fafhrd jej dotknął. Tup-1033

nął z metalicznym brzękiem i zawołał metalicznym głosem:

– Ha!

Najprawdopodobniej miecz stał się niewidzialny, gdy Fafhrd go chwycił, gdyż czarny posąg nie wodził za nim spojrzeniem po pokoju. Zamiast tego odłożył wła-sną broń, ujął długą, srebrną trąbkę i podniósł ją do warg.

Fafhrd uznał, że lepiej będzie zaatako-wać, zanim posąg wezwie posiłki. Ruszył

prosto na niego, gotując Różdżkę do potęż-

nego ciosu w szyję i przygotowując się na silny opór metalicznego ciała.

Posąg dmuchnął w trąbkę, a z niej nie wydobył się alarmowy zew, czego się spodziewał Fafhrd, lecz ogromna chmura bia-

łego proszku, która natychmiast przysłoni-

ła wszystko niczym najgęstsza mgła z rzeki Illal.

Fafhrd cofnął się, krztusząc się i kaszląc.

1034

Demoniczna mgła szybko znikła, biały pył opadał nienaturalnie szybko na kamienną posadzkę. Widział już na tyle dobrze, by znów zaatakować, ale najwyraż-

niej posąg też go teraz widział, gdyż spojrział prosto na niego, znowu wykrzyknął to swoje metaliczne „Ha!” i zakręcił mieczem nad głową, gotując się do ataku – jakby na-kręcał sprężynę.

Fafhrd zauważył, że jego ręce i ramiona gęsto pokrywa biały pył, który najwyraźniej lepił się do jego całego ciała, z wyjątkiem oczu, niewątpliwie chronionych przez pajęczynę Sheelby.

Żelazny posąg ruszył do ataku. Fafhrd odparował pchnięcie potężnego miecza, a jego z kolei cios także został odparowany.

Teraz walka przerodziła się w hałaśliwą, zwyczajną walkę na miecze, tylko że potężne ataki posągu zostawiały szczyby na Różdźce, podczas gdy miecz tamtego nie 1035

miał żadnych śladów. Poza tym, ile razy Fafhrd zdołał zmylić przeciwnika i zadać pchnięcie, okazywało się, że ten uskoczył

lub uchylił głowę niewiarygodnie szybkim i zawsze precyzyjnym ruchem.

Fafhrd uznał – przynajmniej w tamtej chwili – że jest to najstraszniejszy, najbardziej denerwujący i na pewno najbardziej męczący pojedynek, w jakim kiedykolwiek brał udział. Dlatego go zraniło i zirytowa-

ło, kiedy Kocur wyłonił się ponownie z trumny, ułożył się wsparty na łokciu i obserwował walczących, co jakiś czas wybuchając dzikim śmiechem i wznosząc doprowadzające do szału okrzyki w rodzaju:

„Fafhrd, zadaj Sekretne Pchnięcie Dwa i Pół – wszystko jest w książce!” albo

„Wskocz do pieca – to byłby dopiero mą-

dry ruch!”, albo – do posągu – „Nie zapomnij zamieść mu pod nogami, łobuzie!”.

Posąg cofnął się przed jednym z gwał-

1036

townych ataków Fafhrda i wpadł na stół z resztkami posiłku Kocura – najwidoczniej nie potrafił przewidywać tego, co nadchodziło z tyłu. Resztki jedzenia, skorupy i kawałki kryształu rozsypały się po podłodze.

Kocur wychylił się z trumny i pogroził

mu palcem.

– Będziesz musiał to zamieść! – zawołał

i wybuchnął wariackim śmiechem.

Posąg, cofając się znowu, potrącił czarną trumnę. Kocur klepnął demoniczną postać przyjacielsko po ramieniu.

– Do dzieła, błźnie! Zamieć go! Odkurz!

Ale najgorsze było chyba to, kiedy podczas krótkiej przerwy, w czasie której przeciwnicy łapali oddech i patrzyli na siebie zmęczonym wzrokiem, Kocur pomachał zalotnie do najbliższego olbrzymiego pająka i wydał z siebie to swoje głupawe 1037

„Juhu!”.

– Do zobaczenia po cyrku, kochanie! –

zawołał.

Tak się kończą próby ratowania małych szaleńców bez serca, co pękałoby ze śmiechu, gdyby niedźwiedź dopadł ich babcie!

Dzięki pajęczynie Sheelby widzę Szarego takim, jaki jest naprawdę, czyli idiotą – pomyślał Fafhrd, z desperacją i zmęczeniem parując piętnasty, czy może pięćdziesiąty cios skierowany na jego głowę.

Kocur był początkowo wściekły, kiedy

szczęk mieczy obudził go ze snu w czarnym atłasie, ale gdy tylko zobaczył, co się dzieje, obserwował jak zaczarowany ko-miczne przedstawienie.

Kocur nie miał bowiem pajęczyny She-

elby i widział tylko zwariowanego sprzedawcę w czerwonej czapce, który, podskakując w tych swoich prze – śmiesznych butach z zawiniętymi noskami, walczył z 1038

Fafhrdem, który z kolei wyglądał tak, jakby wylazł z beczki z mąką. Fafhrd był cały pokryty białym pyłem, z wyjątkiem ciemnej plamy wokół oczu, podobnej do maski.

A najśmieszniejsze było to, że umęczony Fafhrd znakomicie odgrywał wszystkie ruchy – i emocje! – prawdziwej walki, parował ciosy miotły z ogromną precyzją, jakby była potężną szablą lub nawet oburęcznym mieczem. Miotła unosiła się, a on patrzył na nią, wspaniale udając niepokój i napięcie, chociaż miał tak dziwnie zaciemnione oczy. Potem miotła opuszczała się szybko, a Fafhrd spinał się cały, nadstawiał własny miecz i najwyraźniej odpierał

atak z ogromnym wysiłkiem – udawał nawet, że ugina się pod jego impetem!

Kocur nigdy nie podejrzewał go o tak

znakomity talent aktorski. Było to co prawda aktorstwo raczej mechaniczne, brakowało w nim prawdziwego dramatyczne-

1039

go geniuszu, ale i tak widz śmiał się do rozpuku.

A potem miotła musnęła ramię Fafhrda i trysnęła krew.

Został ranny, więc wiedział, że nie zdoła wygrać z posągiem na wytrzymałość –

choć żelazna pierś pracowała już jak miech kowalski – więc zdecydował się na szybsze środki. Rozluźnił jeszcze raz pętlę podtrzymującą toporek, a podczas następnej przerwy w walce – przeciwnicy próbowali przechytrzyć się nawzajem i obaj jednocześnie uskoczyli do tyłu – wyciągnął go i cisnął w stronę twarzy posągu.

Czarny posąg nie starał się wcale uskoczyć czy uchylić, lecz tylko opuścił miecz i zatoczył jego czubkiem małe kółko.

Toporek obleciał czarną głowę wkoło jak srebrzysta kometa z drewnianym ogonem, okrążająca czarne słońce, po czym pomknął z powrotem do Fafhrda niczym 1040

bumerang – i to jeszcze szybciej, niż Fafhrd go rzucił.

Jednak dla Fafhrda czas zwolnił swój bieg. Częściowo się uchylił i chwycił toporek lewą ręką, kiedy przemknął obok jego twarzy.

Przez chwilę jego myśli były równie szybkie, jak działania. Pomyślał o tym, że przeciwnik uskakiwał przed każdym atakiem od frontu, a jednak wpadł na stolik i na trumnę, będące za jego plecami. Pomy-

ślał, że Kocur nie śmiał się od dobrego tuzina starć. Spojrzawszy na niego zobaczył, że nadal wydaje się odurzony, ale jest też dziwnie blady i poważny, i najwyraźniej wpatruje się z przerażeniem w krew spływającą po ramieniu Fafhrda.

Fafhrd zawołał więc najwesелей, jak potrafił:

– Zabaw się! Przyłącz się do tańca, błaź-

nie! Masz tu pałeczkę! – po czym rzucił to-1041

porek w stronę Kocura.

Nie patrząc na rezultaty rzutu – jakby obawiając się je zobaczyć – zebrał w sobie resztki szybkości i ruszył na czarny posąg z taką siłą, że tamten cofnął się aż do trumny.

Kocur nie oderwał od nich ogłupiałego spojrzenia, ale w ostatniej chwili wyciągnął rękę, złapał toporek za rękojeść i zakręcił nim leniwie.

Czarny posąg wycofał się w okolice trumny, najwyraźniej przygotowując się do potężnego kontrataku. Wtedy właśnie Kocur wychylił się, znowu z głupkowskim uśmiechem, i energicznie

stuknął siekierką w czarną głowę.

Żelazna głowa pękła niczym orzech ko-

kosowy, ale nie rozpadła się. Toporek Fafhrda utkwił w niej głęboko i zdawało się, że nagle zamienił się w żelazo, takie jak to, z którego był zrobiony posąg. Poczerniała 1042

rękojeść została wyrwana z dłoni Kocura, gdy posąg zeszywniał nagle i wyprostował się.

Kocur patrzył na rozłupaną głowę z żalem jak dziecko, które nie wiedziało, że noże mogą skaleczyć.

Posąg przyciągnął wielki miecz do pier-si jak laskę, na której chciał się oprzeć, a potem sztywno padł na podłogę z głośnym brzękiem.

Gdy rozległ się metaliczny łomot, po Czarnej Ścianie przebiegły białe płomienie, rozświetlając cały sklep niczym błyskawice, a głęboko w niej rozległy się dudniące grzmoty.

Fafhrd schował Różdżkę i wyciągnął

Kocura z czarnej trumny – po tej walce nie miał nawet siły podnieść niezbyt pokaźnego przyjaciela.

– Chodź! Uciekamy! – wrzasnął mu do ucha.

1043

Kocur rzucił się w stronę Czarnej Ścia-ny.

Fafhrd chwycił go za nadgarstek i ruszył

w stronę zwieńczonego trójlistnym łukiem wejścia, wlokąc Kocura za sobą.

Grzmoty ucichły, a zamiast nich rozległ się cichy gwizd, przyzywający i słodki.

Płomienie, tym razem jeszcze jaśniejsze, znowu przebiegły po Czarnej Ścianie za ich plecami, jakby zbliżała się do nich gwałtownie burza z piorunami.

W białym świetle Fafhrd dojrzał nieprzyjemny widok. Gigantyczny pajak w najbliższej klatce przyciskał się do krwi-stoczerwonych prętów i wpatrywał się w nich. Miał jasne nogi, czerwone aksamitne ciało i maskę z gęstego, złocistego futra, z której spoglądało na nich osiem czarnych oczu, zaś jego uzbrojone w groźne kły szczęki zwisały w dół jak szerokie ostrza złotych nożyc i zamykały się i otwierały z 1044

dźwiękiem przypominającym szybkie stukanie kastanietów.

W tej chwili powtórzył się zachęcający gwizd. Zdawało się, że wydał go pajak.

Ale najbardziej zadziwiło Fafhrda to, że Kocur, którego mimo jego oporów włókł za sobą, wykrzyknął w odpowiedzi na ten gwizd:

– Tak, kochanie! Już idę. Puszczaj, Fafhrd! Muszę do niej wleźć! Tylko jeden ca-łus! Kochanie!

– Przestań, Kocur – warknął Fafhrd i zadygotał z obrzydzenia. – To ogromny pa-jąk!

– Odgarnij z oczu pajęczyny! – odparł

prosząc Kocur, niechcący trafiając w samo sedno. – To cudowna dziewczyna!

Nigdy nie będzie się złościć jak... I zapła-ciłem za nią! Kochanie!

Grzmot zagłuszył i jego głos, i ewentu-alne kolejne gwizdy. Płomienie rozbłysły 1045

znowu, jaśniejsze niż słońce, a zaraz potem huknął kolejny grzmot. Podłoga zadrżała, cały sklep zatrzęsł się w posadach, gdy Fafhrd wywlókł Kocura przez zwieńczone trójlistnym łukiem wejście.

Potem nastąpił

jeszcze jeden błysk i huk.

W blasku piorunów widać było, jak Lankhmaryjczycy rozchodzą się pośpiesznie, oglądają się za

siebie i oddalają się przez Plac Mrocznych Uciech, jak najdalej od tej przedziwnej burzy szalejącej we wnętrzu budynku, która mogła w każdej chwili się rozprzestrzenić.

Fafhrd odwrócił się na pięcie. Za nim nie było wejścia, tylko gładka ściana.

Targ Niezwykłości opuścił Świat Nehwon.

Kocur siedział na bruku, gdzie go Fafhrd upuścił, i bełkotał żałośnie:

– Tajemnice czasu i przestrzeni! Wiedza bogów! Sekrety Piekieł! Czarna nirwana!

1046

Czerwono-złoty Raj! Pięć miedziaków straconych!

Fafhrd zazgrzytał zębami. Po tych wszystkich denerwujących i zdumiewających zdarzeniach nagle podjął niezłomne postanowienie.

Dotąd używał pajęczyny Sheelby i szmaty Ningauble'a, by służyć innym. Teraz użyje ich dla siebie! Przyjrzy się uważ-

niej Kocurowi i wszystkim, których zna.

Zbada nawet własne odbicie! A przede wszystkim będzie się wpatrywał do woli w Sheelbę i Ninga.

– Psssst! – rozległo się cicho nad nim.

Kiedy spojrział w górę, poczuł, jak ktoś zrywa mu coś z szyi i, czemu towarzyszyło najdelikatniejsze łaskotanie, z oczu.

Przez chwilę lekkie lśnienie unosiło się w górę, a przez nie dostrzegł niewyraźnie, jakby przez grube szkło, czarną twarz o skórze jak pajęczyna, która całkowicie po-1047

krywała usta, nozdrza i oczy.

Po chwili to niepewne lśnienie znikło i zobaczył tylko dwie zakapturzone głowy, spoglądające ze szczytu ściany. Rozległ się śmiech.

Potem obie zakapturzone głowy zniknę-

ły z widoku i pozostał jedynie skraj dachu, niebo, gwiazdy i gładka ściana.

1048

PETER S. BEAGLE

ŚMIERĆ NA BALU

(Come lady Death)

Przełożył Marek Doskocz

Najbardziej znanym utworem Petera S. Beagle'a jest powieść fantasy „Ostatni jednorożec”; kiedy ukazała się w roku 1968, natychmiast stała się bestsellerem. Później autor zajął

się pisaniem scenariuszy filmowych i telewizyjnych, między innymi animowanej wersji

„Władcy pierścieni”. Ostatnio opublikował „Sonatę jednorożca” (sequel do „Ostatniego jednorożca”) oraz skompletował antologię opowiadań o jednorożcach zatytułowaną

„Nieśmiertelny jednorożec”. Obecnie pracuje nad zbiorem opowiadań „Czarodziej z Karakosk i inne opowieści”.

1049

Zdarzyło się to w Anglii, dawno, dawno temu, kiedy ów Jerzy, który mówił po angielsku z twardym niemieckim akcentem i który nienawidził swoich synów, zasiadł na tronie królewskim.

W tym czasie żyła w Londynie pewna

dama, której jedynym zajęciem było wyda-wanie przyjęć. Nazywała się lady Flora Neville. Była wdową, bardzo już starą.

Mieszkała we wspaniałym domu niedaleko pałacu Buckingham i miała tak wielu słujących, że nie potrafiła zapamiętać wszystkich imion, a niektórych z nich nawet nigdy nie widziała. Miała więcej jedzenia niż potrafiła sama zjeść i tyle strojów, że nigdy nie mogłaby się w nie wszystkie odziać. W

swych piwnicach trzymała takie zapasy wina, że nikt za jej życia nie zdołałby ich wyczerpać.

Podziemia jej domu zalegały 1050

wspaniałe dzieła sztuki – tak liczne, że nawet nie wiedziała, iż jest ich właścicielką.

Ostatnie lata życia spędziła na wydawaniu przyjęć i balów, na które przybywali naj-wspanialszi lordowie Anglii – czasem nawet sam król. Uważano ją powszechnie za najmodniejszą i najdowcipniejszą kobietę w całym Londynie.

Z upływem czasu przyjęcia coraz bardziej ją nudziły i mimo że wciąż zaprasza-

ła na nie najślawniejszych ludzi Anglii i sprowadzała najznakomitszych kuglarzy, akrobatów, tancerzy i magów, by ich bawili, wydawały jej się coraz nudniejsze. Słuchanie dworskich plotek, które zawsze tak uwielbiała, teraz przyprawiało ją o ziewanie. Najpiękniejsza muzyka i najbardziej ekscytujące pokazy czarnej magii działały na nią usypiająco. Widok tańczącej nieopodal pięknej, młodej pary wywoływał w niej uczucie smutku – a ona nie znosiła 1051

być smutna.

Aż pewnego letniego popołudnia przy-

wołała do siebie najbliższych przyjaciół i rzekła do nich:

– Coraz częściej doświadczam uczucia, że moje przyjęcia bawią wszystkich, tylko nie mnie.

Tajemnica mojej długowieczno-

ści polega na tym, że dotychczas nic mnie nie nudziło. Przez całe swe życie interesowałam się wszystkim, co widziałam i zawsze chciałam wiedzieć jeszcze więcej.

Nie zamierzam więc dłużej uczestniczyć w przyjęciach, na których czeka mnie tylko nuda, zwłaszcza jeśli będą to moje przyję-

cia. Zatem na swój następny bal zaproszę gościa, tego jednego jedyne, który na pewno dla nikogo, nawet dla mnie, nie bę-

dzie nieciekawym. Moi przyjaciele, tym honorowym gościem na moim następnym przyjęciu będzie Śmierć we własnej osobie!

1052

Młody poeta pomyślał w duchu, że to cudowny pomysł, ale pozostali przerazili się i aż odsunęli od starej damy. Błagali ją, by tego nie robiła, mówili, że nie chcą jeszcze umierać. Śmierć przyjdzie po nich sama, jak tylko będzie gotowa. Po co ją zapraszać przed wyznaczoną godziną, która i tak wkrótce nadejdzie?

Lady Neville odparła te błagania, mówiąc:

– Otóż to. Jeżeli Śmierć ma w planie zabrać kogokolwiek z nas w nocy, gdy odbywać się będzie przyjęcie, i tak przybędzie –

zaproszony czy też nie – wszyscy zakładali, że Śmierć jest osobnikiem rodzaju męskiego i tak też o niej mówili. – Jeśli jednak nikomu z nas nie jest pisane wyzionąć ducha, myślę, że byłoby czarująco mieć Śmierć w naszym towarzystwie – może nawet pozwolić sobie na jakąś niewielką psotkę, o ile będzie w dobrym humorze.

1053

Pomyślcie tylko o możliwości pochwalenia się – było się na przyjęciu ze Śmiercią!

Cały Londyn będzie nam zazdrościł, cała Anglia!

Pomysł lady Neville zaczął właśnie z wolna zyskiwać aprobatę przyjaciół, gdy pewien młody lord, od niedawna bawiący w Londynie, nieśmiało wtrącił:

– Śmierć jest taki zajęty. Co będzie, jeśli ma dużo pracy i nie będzie mógł przyjąć zaproszenia?

– Nikt nigdy nie odrzucił mego zaproszenia – oznajmiła lady Neville. – Nawet król.

Młody lord nie został zaproszony na przyjęcie.

Zaraz też usiadła i napisała zaproszenie.

Początkowo jej przyjaciele spierali się między sobą o to, jak należy się zwracać do Śmierci.

Tytuł „Jego Lordowska Mość Śmierć”

1054

sugerował, jak sądzono, zbyt niski w hierarchii społecznej stopień wicehrabiego czy barona.

„Jego Miłość Śmierć” zyskał

większą aprobatę, ale lady Neville stwierdziła, że to trąci hipokryzją. Z kolei zwracanie się do Śmierci „Jego Królewska Mość” stawiałoby Śmierć na równi z kró-

lem Anglii, a na taki akt nielojalności nie ośmieliłaby się nawet sama lady Neville.

W końcu uzgodniono, że będą zwracać się do Śmierci „Jego Eminencja Śmierć”, co zadowoliło niemal wszystkich.

Następnie kapitan Compson, znany jako najzuchwalszy oficer kawalerii angielskiej i jako najelegantszy hulaka, zapytał:

– To wszystko bardzo pięknie, ale jakim sposobem mamy doręczyć zaproszenie?

Czy ktokolwiek z was wie, gdzie mieszka Śmierć?

– Śmierć bez wątpienia mieszka w Lon-

dynie – powiedziała lady Neville – tak jak 1055

wszyscy choć trochę liczący się ludzie, aczkolwiek latem prawdopodobnie udaje się do Ceauville. Sądzę, że musi mieszkać dość blisko mojego domu. To jest ponad wszelką wątpliwość najlepsza dzielnica Londynu i trudno byłoby oczekiwać, by tak ważna persona jak Śmierć zamieszkiwała w jakimkolwiek innym miejscu. Jak się dobrze zastanowić, to w istocie dość dziwne, że dotychczas nie spotkałam się z nim – nadal wszyscy nie mogli myśleć o Śmierci inaczej niż o istocie płci męskiej –

na ulicy.

Większość przyjaciół przyznała jej rację, ale wtem poeta o nazwisku David Lorimond wykrzyknął:

– Nie, moja pani. Mylisz się! Śmierć mieszka wśród biednych. Śmierć mieszka w najbardziej odrażających, najciemniejszych uliczkach tego miasta, w jakiejś ohydnej, zaszczurzonej ruderze, śmierdzą-

1056

cej jak... – tu przerwał, po części dlatego, że lady Neville okazała swe niezadowolenie, a po części dlatego, że sam nigdy nie przekroczył progu takiej rudery; ani też nie zastanawiał się, jak w rzeczywistości mogła śmierdzieć. – Śmierć mieszka wśród biednych – kontynuował – i codziennie przychodzi do nich z wizytą, albowiem jest ich jedynym przyjacielem.

Lady Neville odpowiedziała mu z takim samym chłodem, z jakim zwróciła się niedawno do młodego lorda.

– Z pewnością musi się nimi zajmować, Davidzie, ale trudno mi uwierzyć w to, że szuka ich towarzystwa. Jestem pewna, że podobnie jak i mnie Śmierci z trudem przychodzi myślenie o biednych jako o jednostkach ludzkich. W końcu Śmierć jest szlachcicem.

Co prawda i lordowie, i damy byli zdania, że Śmierć musi mieszkać w sąsiedz-1057
twie przynajmniej tak dobrym jak ich własne, ale wszystko wskazywało na to, że nikt z nich nie
zna ani nazwy ulicy, przy której mieszka, ani też nigdy nie widział
jego domu.

– Gdybyśmy tak mieli wojnę – powie-
dział kapitan Compson – z łatwością moglibyśmy go odnaleźć. Wiecie, widziałem Śmierć i nawet
mówiłem do niego, ale mi nigdy nie odpowiedział.

– Bardzo słusznie. – To Śmierć musi zawsze przemówić pierwszy. Nie umiałeś się właściwie
zachować, kapitanie – docięła mu Lady Neville, ale natychmiast uśmiechnęła się do niego, tak jak to
zwykle czynią kobiety.

Wtem przyszedł jej do głowy pewien pomysł.

– O ile wiem, mój fryzjer ma chore dziecko – powiedziała. – Mówił mi o nim wczoraj i zdaje
się, że stan jest beznadziej-1058

ny. Poślę po niego i dam mu zaproszenie, a on z kolei będzie mógł wręczyć je Śmierci, kiedy
przyjdzie zabrać tego bachora. Oryginalny sposób, przyznaję, ale nie widzę innej możliwości.

– A jeśli Śmierć odmówi? – zapytał
lord, który niedawno był się ożenił.

– A to dlaczego? – spytała lady Neville.

Ponownie, wśród słów powszechnej aprobaty, poeta wykrzyknął, że wykorzystanie tak
przygnębiającej sytuacji będzie okrutnym i niegodziwym postępkiem. Natychmiast jednak zamilkł,
gdyż lady Neville zapytała niewinnym głosem:

– Ależ dlaczego, Davidzie?

Posłano zatem po fryzjera, a kiedy on stanął przed nimi, uśmiechając się nerwowo i zaciskając
kurczowo dłonie, zmieszany widokiem tak wielu sławnych lordów w jednym pomieszczeniu, lady
Neville powiedziała mu, jakiego zadania musi się 1059

podjąć. Jej wybór był trafny, nigdy zresztą nie dokonywała złych wyborów, albowiem fryzjer nie
zaprotestował ani słoweczkiem.

Po prostu wziął zaproszenie i przeprosiw-szy zgromadzonych – oddalił się.

Nie było go przez dwa dni, ale kiedy się pojawił, a nie trzeba było po niego posy-
łać, stanął przed lady Neville i podał jej małą, białą kopertę. Ze słowami – jak to miło z twojej
strony, bardzo ci dziękuję –

otworzyła ją, znajdując w środku czystutki blankiecik zawierający jedynie lakoniczne
sformułowanie: „Śmierć ma honor przybyć na bal lady Neville”.

– Otrzymałeś to od Śmierci? – zapytała podniecona. – Jak wygląda?

Fryzjer jednak, stojąc nieruchomo, patrzył na nią pustym wzrokiem i nie odrzekł
ani słowa, a ona, nie czekając nawet na odpowiedź, wezwała przed swe oblicze tuzin 1060
służących i poleciła im natychmiast zwołać swych przyjaciół. Kiedy, czekając na ich przybycie,
przemierzała niespokojnym krokiem tam i z powrotem pokój, ponownie zapytała:

– Jak wygląda Śmierć? – Fryzjer nie odpowiedział.

Przybyli przyjaciele w podnieceniu przekazywali sobie z ręki do ręki małe blankiecik z
odpowiedzią, aż po jakimś czasie pobrudził się i pogiął pod wpływem dotykania. Wszyscy zgodnie
przyznali, że, z wyjątkiem wiadomości jaką zawierał, nie było w nim nic szczególnie niezwykłego.

Nie był w dotyku ani gorący, ani zimny, a delikatna woń, jaką roztaczał należała raczej do
przyjemnych.

Wszyscy twierdzili, że ten zapach jest im bardzo dobrze znany, ale, o dziwo, nikt nie umiał go

nazwać. Poeta powiedział, że przypomina mu kwiat bzu, ale niezupełnie.

1061

Dopiero kapitan Compson zauważył
coś, na co nikt jeszcze nie zwrócił uwagi.

– Spójrzcie na charakter pisma – powiedział. – Czy widzieliście kiedykolwiek coś bardziej wdzięcznego? Litery wydają się leciutkie jak ptaki. Myślę, że traciliśmy czas na rozważaniach, czy mamy tytułować Śmierć „Jego Taki” czy „Jego Siaki”.

Ten list napisała kobieta.

Po tych słowach wśród zgromadzonych

zawrzało i w zgiełku podekscytowanych głosów bilecik ponownie musiał odbyć kolejną podróż z rąk do rąk, by każdy, patrząc nań, mógł wykrzyknąć „Na Boga, ależ tak!”. Ponad gwar wybił się w pewnej chwili głos poety.

– Kiedy się głębiej zastanowić, to przecież naturalne. W końcu Francuzi mówią”

La morte” – Pani Śmierć. Zdecydowanie wolałbym, aby Śmierć była kobietą.

– Śmierć dosiada olbrzymiego czarnego

rumaka – powiedział kapitan Compson zdecydowanie – i nosi zbroję tego samego koloru. Jest wysokiego wzrostu, jak nikt inny. Tam na polu bitewnym to nie mogła być kobieta. Widziałem, jak uderza mieczem w lewo i w prawo jak każdy inny

żołnierz. Może to fryzjer napisał odpowiedź, albo jego żona.

Atoli fryzjer odmówił odpowiedzi, mimo że wszyscy otoczyli go kręgiem i błagali, by im powiedział, kto wręczył mu bilecik. Początkowo obiecywali mu naj-przeróżniejsze nagrody. Później grozili, że zrobią z nim różne okropne rzeczy. „Czy to ty napisałeś?” – pytano go, albo „Zatem kto to pisał?” „Czy to była kobieta z krwi i kości?” „Czy to prawdziwa Śmierć?” „Czy Śmierć jest kobietą?” „Czy ośmielasz się sobie żartować z nas wszystkich?”.

Fryzjer nie odparł ani słowa, ani jednego słóweczka i w końcu lady Neville wezwała 1063 służących, polecając im wychłostać biedaka i wyrzucić na ulicę. Nawet nie spojrzął na nią, gdy go zabierano. Milczał.

Ucisząc swych przyjaciół gestem dłońi, lady Neville powiedziała:

– Bal odbędzie się za dwa tygodnie, licząc od dzisiejszego wieczoru. Niechaj Śmierć przybędzie pod taką postacią, pod jaką sobie życzy – jako mężczyzna, kobieta, czy też jako niezwykła, bezpłciowa istota – uśmiechnęła się powściągliwie. –

Śmierć może równie dobrze być i kobietą

– powiedziała. – Obecnie mam mniejszą, niż przedtem, pewność co do formy postaci, jaką przyjmie Śmierć, ale też mniej się Śmierci obawiam. Jestem już zbyt stara, by bać się czegokolwiek, co używa gęsiego pióra, by napisać do mnie list. Idźcie teraz do swych domów i pamiętajcie o tym, żeby w trakcie przygotowań do balu mó-

wić o tym jak najwięcej ze swymi służący-1064

mi, by ci z kolei mogli rozgłosić tę nowinę po całym Londynie. Niech wszystkim będzie wiadomo, że tej jednej nocy nikt na całym świecie nie umrze, bowiem Śmierć będzie tańczyć na balu u lady Neville.

Na dwa tygodnie przed mającym się od-

być balem ogromny dom lady Neville drżał, jęczał i trzeszczał jak stare drzewo na wietrze.

Poszły w ruch młotki stolarzy, a służący szorowali i polerowali podłogi, malowali budynek, przygotowując go do przyjęcia. Lady Neville zawsze była dumna ze swego domu, ale gdy dzień balu stawał się coraz bliższy, poczęła obawiać się, że nie będzie wydawał się Śmierci wystarczająco

wspaniały, jako że przywykła ona niewątpliwie do odwiedzania domów ludzi bogatszych i potężniejszych niż ona. Obawiając się pogardy ze strony Śmierci, w dzień i w nocy osobiście nadzorowała pra-1065

cę swych sług. Kotary i dywany musiały być dokładnie wyprane i wyczyszczone.

Ozdoby ze złota i srebrne zastawy kazała polerować tak długo, aż zaczęły świecić w ciemności. Imponujące schody, które jak wodospad spadały ku sali balowej, myto i pastowano tak często, że niemal nie sposób było po nich zejść, nie pośliznąwszy się.

Żeby przygotować właściwie salę balową, trzydziestu dwóch służących pracowało jednocześnie, nie licząc tych, którzy polerowali szklany, większy od człowieka ży-randol i czternaście mniejszych lamp. Gdy wszystko już było gotowe, lady Neville kazała ponownie wykonać całą pracę od początku, nie dlatego, że dojrzała gdziekolwiek odrobiny kurzu czy brudu, lecz dlatego, że dostrzec jej mogła Śmierć.

Jeśli chodzi o samą lady Neville, to wybrała najpiękniejszą ze swoich sukni i osobiście nadzorowała jej pranie. Wezwała in-1066

nego fryzjera i kazała mu ułożyć włosy we fryzurę modną jakiś czas temu, by w ten sposób pokazać Śmierci, że jest kobietą dumną ze swego wieku i nie widzi potrzeby małpowania młodych i pięknych. W

dniu balu siedziała od rana przed lustrem i ograniczywszy swój makijaż do lżejszych niż zwykle dotknięć różem i cieniem do powiek oraz do wspaniałego, ryżowego pudru, uważnie przyglądała się swej chudej, starej twarzy, rozmyślając, czy spodoba się Śmierci. Kiedy pojawił się kelner z pytaniem, czy zaakceptuje na bal wina, które wybrał, odesłała go precz i nadal nieruchoma wpatrywała się w swe odbicie w lustrze, aż do chwili, gdy nadszedł czas, by ubrać się i zejść na dół powitać gości.

Wszyscy przybyli wcześniej. Gdy lady Neville wyjrzała przez okno, spostrzegła, że podjazd przed jej domem wypełniony 1067

jest powozami i wspaniałymi końmi. „Wygląda to jak ogromna procesja żałobna” – powiedziała. Lokaj u wejścia wykrzykiwał

nazwiska przybywających gości, a te odbijały się echem po sali balowej: „Kapitan Henry Compson z kawalerii królewskiej!

Pan David Lorimond! Lord i lady Torran-ce! (ci byli najmłodszą parą na przyjęciu, dopiero trzy miesiące po ślubie), Sir Roger Harbison! Contessa delia Candini!”. Lady Neville łaskawie zezwalała, by wszyscy po kolei złożyli pocałunek na jej dłoni, a następnie serdecznie ich powitała.

Sprowadziła najznakomitszych muzyków, jakich udało się jej znaleźć, ale gdy na dany przez nią sygnał zagrali, żadna para nie wyszła na parkiet, żaden też młody lord nie skłonił się przed nią, prosząc o zaszczyt pierwszego tańca, jak nakazywała etykieta. Wszyscy niespokojnie kręcili się w miejscu, rozmawiając półgłosem, że 1068

wzrokiem utkwionym w drzwi do sali balowej.

Za każdym razem, gdy na podjeździe słychać było stukot końskich kopyt i kół powozu, jakby sztywnieli nieco, zbijali się ciaśniej w gromadkę i zamierali w bezruchu; ilekroć lokaj u wejścia ogłaszał przybycie kolejnego gościa, oddychali głębiej z ulgą, kołysząc się w natychmiastowym rozluźnieniu.

Dlaczego przyszli na moje przyjęcie, je-

śli się boją? Lady Neville mruknęła do siebie z pogardą. Ja nie obawiam się spotkania ze Śmiercią. Chcę, żeby wspaniałość mego domu i smak mego wina zrobiły na Śmierci ogromne wrażenie. Umrę wcze-

śniej niż ktokolwiek w tym pomieszczeniu, ale się nie boję.

Przekonana, że Śmierć nie przybędzie przed północą, ruszyła pomiędzy gości, usiłując ich uspokoić – nie słowami, gdyż 1069

wiedziała, że nie dotrą do ich świadomości

– ale tonem swego głosu, tak, jakby byli stadem spłoszonych koni. Z upływem czasu jednak i ona zaraziła się ich nerwowo-

ścią – zaledwie siadała, już ponownie wstawała, popijała wino z tuzina kielichów, nie dopijając żadnego do końca, stale rzucała okiem na swój wysadzany klejnotami zegarek – początkowo jakby chcia-

ła przyspieszyć nadejście północy, z czasem, jakby pragnęła odpędzić noc i wrócić słońce na niebo. Gdy nadeszła północ, sta-

ła razem z innymi, oddychając nerwowo, przestępując z nogi na nogę i nasłuchując odgłosów kół powozu, mielących żwir na podjeździe.

Gdy zegar wybijał północ, wszyscy, nawet lady Neville i odważny kapitan Compson, wydali krótki okrzyk przestrochu i natychmiast umilkli, słuchając jego uderzeń.

Mniejsze zegary w pokojach na piętrze 1070

również wybijały północ. W uszach lady Neville dźwięczały one jak potężne dzwo-ny – aż do bólu. Przelotnym spojrzeniem zawadziła o zwierciadło w sali balowej i zobaczyła w nim swą szarą twarz, zadartą nienaturalnie w górę, ku sufitowi – jakby twarz tonącego, wynurzającą się w panice, by złapać powietrza. Śmierć będzie kobietą

– pomyślała – ohydną, odrażającą staruchą, wysoką jak mężczyzna, a najstraszniejsza jest to, że będzie miała moją twarz.

Zegary przestały bić i lady Neville zamknęła oczy.

Otworzyła je dopiero wtedy, gdy uświadomiła sobie, że szept wokół niej zabrzmiał innym tonem, w którym strach zmieszał się z ulgą i jakby nutą smutku, albowiem przed dom nie zajechał żaden nowy powóz. Śmierć nie przybyła.

Z wolna szept przerodził się w gwar, tu i ówdzie goście zaczynali się śmiać. Lady 1071

Neville usłyszała, jak stojący nieopodal młody lord Torrance powiedział do swej żony:

– No widzisz, moja droga, mówiłem ci, że nie ma się czego bać. To wszystko było żartem.

Jestem skończona – pomyślała lady Ne-

ville. Śmiech stawał się coraz donośniejszy i kłuł ją w uszy jak niedawne bicie zegarów.

„Chciałam wydać bal na tyle wspaniały, żeby ci, których nie zaprosiłam musieli się wstydić przed całym miastem i oto mam nagrodę. Jestem zrujnowana i zasłużyłam sobie na to”.

Zwracając się do poety Lorimonda, rze-
kła:

– Zatańcz ze mną, Davidzie.

Dała znak muzykom, którzy natychmiast zaczęli grać. Kiedy Lorimond wahał się jeszcze, powiedziała:

1072

– Zatańcz ze mną teraz. Więcej nie bę-

dziesz miał do tego okazji. Już nigdy nie wydam balu.

Lorimond uklonił się i poprowadził ją na parkiet.

Goście rozstąpili się przed nimi i śmiech na chwilę ucichł, ale lady Neville wiedzia-

ła, że wkrótce powróci. Cóż, niech się śmieją – pomyślała. Nie bałam się Śmierci, a oni wszyscy drżeli z przerażenia. Dlaczego miałabym bać się ich śmiechu? Czuła jednak, jak pieką ją powieki, więc zamknawszy je, ponownie rzuciła się w wir tańca z Lorimondem.

I wtedy, niespodziewanie, wszystkie konie z zaprzęgów na podjeździe zarżały głośno – raz tylko, zupełnie tak jak goście o północy, wydając jeden krótki okrzyk. Ponieważ przed domem stało bardzo dużo koni, ich rzenie było tak głośne, że wszyscy zgromadzeni w sali balowej

jednocześnie-1073
śnie umilkli. Usłyszeli ciężkie kroki lokaja, zmierzającego do drzwi, i zadrżeli, jakby pod wpływem chłodnego powiewu, który

wdarł się do wnętrza. Wtem usłyszeli delikatny głos:

– Czy spóźniłam się? Och, tak mi przykro. Konie były zdrożone – i zanim lokaj powrócił, by zapowiedzieć gościa, do sali balowej wdzięcznym krokiem weszła śliczna, uśmiechnięta dziewczyna w białej sukni i zatrzymała się u wejścia.

Mogła mieć najwyżej dziewiętnaście lat; długie, rozpuszczone, złociste włosy opadały gęsto na jej obnażone ramiona, połyskujące ciepło przez puszyste pasma jak dwie wapienne wysepki, wystające ponad ciemnożółtą powierzchnią morza. Miała szeroką twarz, która zwięzała się ku podbródkowi, a cerę tak delikatną, że niejedna dama, a wśród nich i lady Neville, dotknę-

ła w zdumieniu swej twarzy, by natych-1074

miast cofnąć dłoń, jakby skóra uraziła palce. Usta dziewczyny wydawały się blade, podczas gdy usta innych kobiet były czerwone, karminowe, czy nawet purpurowe, jej brwi, grubsze i prostsze niż nakazywała moda, spotykały się ponad ciemnymi, spo-kojnymi oczami, osadzonymi tak głęboko i tak czarnymi, tak bezkompromisowo czarnymi, że pewna niemłoda żona pewnego niemłodego lorda mruknęła pod nosem:

– Ma w sobie coś z Cyganki, jak sądzę.

– Albo coś jeszcze gorszego – dorzuciła kochanka jej męża.

– Uciszcie się! – Lady Neville odezwała się głośniejszym głosem, niż zamierzała, a dziewczyna odwróciła się, by na nią spojrzeć.

Uśmiechnęła się i lady Neville próbowała odwzajemnić ten uśmiech, ale jej usta zdały się być niezwykle sztywne.

– Witam – powiedziała. – Witam cię, Pani Śmierć.

1075

Lordowie i damy zaszeptali między sobą, gdy dziewczyna ujęła dłoń starej kobiety i złożyła przed nią ukłon, pochylając się i unosząc w jednym harmonijnym ruchu – jak fala.

– Jesteś lady Neville – powiedziała. –

Bardzo dziękuję za zaproszenie. – Jej głos był tak delikatny i tak nieobcy, jak jej perfumy. – Proszę wybaczyć mi spóźnienie –

powiedziała poważnie. – Musiałam przy-być z bardzo daleka i me konie są niezmiernie zmęczone.

– Parobek je oporządzi i nakarmi – powiedziała lady Neville – jeśli pani sobie tego życzy.

– Och, nie – odrzekła szybko dziewczyna. – Proszę mu powiedzieć, żeby nie podchodził do koni. To nie są prawdziwe konie, a poza tym są bardzo narowiste.

Przyjęła kielich wina od lokaja i wypila je powoli, wzdychając lekko z zadowoleniem-1076

– Jakież wspaniałe wino – powiedziała.

– I jak piękny ma pani dom.

– Dziękuję – odparła lady Neville. Nie odwracając się od gości, czuła, że każda kobieta w tej sali zazdrości jej. Potrafiła to wyczuć, tak jak zawsze umiała wyczuć zbliżanie się deszczu.

– Chciałabym tu mieszkać – powiedzia-

ła Śmierć cicho, słodkim głosem. – Kiedyś tu zamieszkałam.

Wtem, widząc, jak lady Neville sztyw-

nieje, jakby zmieniała się w figurę lodową, położyła dłoń na ramieniu starej damy i rzekła:

– Och, przepraszam. Tak mi przykro. Jestem okrutna, ale to niechcący. Proszę, wybac mi lady

Neville. Nie przywykłam do towarzystwa i popełniam tyle nietaktów.

Proszę, wybac mi.

Jej dłoń, spoczywająca na ramieniu lady 1077

Neville, była tak lekka i ciepła jak dłoń każdej innej młodej dziewczyny, a jej oczy wyrażały takie błaganie, że Lady Neville odrzekła:

– Nie powiedziałaś niczego niestosow-

nego. Dopóki jesteś moim gościem, mój dom należy do ciebie.

– Dziękuję – odparła Śmierć i uśmiechnęła się tak promiennie, że muzycy zagrali tak jakoś sami z siebie, bez polecenia lady Neville. Chciała im przerwać, ale Śmierć poprosiła:

– Jaka piękna muzyka. Pozwól im grać, proszę.

Muzycy zagrali gawota, a Śmierć zupeł-

nie nie speszona przerażonymi spojrzeniami łakomie śledzących ją oczu zanuciła cichutko melodię bez słów, uniosła nieco obiema dłońmi białą suknię i małymi stopkami zrobiła niepewnie kilka kroków.

– Tak dawno nie tańczyłam – rzuciła 1078

smutno. – Pewna jestem, że zapomniałam, jak to się robi.

Była nieśmiała. Nawet nie podniosła wzroku na żadnego z młodych lordów, z których żaden nie poprosił jej do tańca.

Lady Neville poczuła zalewające ją fale wstydu i współczucia zarazem – emocje, które, jak sądziła, uschły w niej już dawno temu. Miałyby być poniżona na balu u mnie? – pomyślała z gniewem. To dlatego, że jest Śmiercią, gdyby była najbrzydszą, najpaskudniejszą na całym świecie

wiedzą, to tłoczyliby się przed nią, prosząc ją do tańca, albowiem są dżentelmenami i wiedzą, jak należy się zachować w towarzystwie. Żaden jednak dżentelmen nie zechce zatańczyć ze Śmiercią, choćby była najpiękniejszą ze wszystkich kobiet. Zerknęła na Davida Lorimonda. Na twarzy wystąpił mu rumieniec, patrząc na Śmierć, zacisnął obie dłonie tak mocno, że palce po-

bielały mu jak szkło, ale kiedy lady Neville dotknęła jego ramienia, nie odwrócił się nawet, a gdy syknęła: „Davidzie” – udał, że nie słyszy. Wtedy kapitan Compson, siwowłosy i wspaniale prezentujący się w swym mundurze, wystąpił z tłumu i szarmancko uklonił się przed Śmiercią.

– Czy mogę dostąpić tego zaszczytu? –

spytał.

– Kapitan Compson – odparła Śmierć z uśmiechem i podała mu swe ramię. – Mia-

łam nadzieję, że to właśnie pan mnie poprosi do tańca.

Starsze kobiety z dezaprobatą zmarszczyły brwi, bowiem nie uważały jej odpowiedzi za właściwą w tych okoliczno-

ściach, ale Śmierć najwyraźniej sobie z tego kpiła. Kapitan Compson poprowadził

ją na środek parkietu. Początkowo Śmierć była zdumiewająco niezdarna – zbyt podekscytowana, by wyjść naprzeciw oczeki-

waniom swego partnera i zdawała się zupełnie nie mieć poczucia rytmu. Natomiast kapitan poruszał się z mieszaniną godności i swoistej wesołości. Lady Neville nigdy nie zauważyła tych cech

u żadnego innego mężczyzny, ale gdy spojrział na nią ponad ramieniem Śmierci, dostrzegła coś, czego nikt inny chyba nie zauważył; jego twarz, jego oczy, były nieruchome z przerażenia i mimo że podał ramię Śmierci ze swobodną galanterią, cofnął nieznacznie rękę, gdy je ujęła.

Oto do czego prowadzi konieczność utrzymania reputacji – pomyślała. Kapitan Compson również jest zmuszony robić to, czego się od niego oczekuje. Mam nadzieję, że wkrótce ktoś inny z nią zatańczy.

Nikt inny jednak z nią nie zatańczył. Po-mału inne pary opanowały strach, i kiedy Śmierć spoglądała w inną stronę, pośpiesznie wychodziły na parkiet. Nikt jednak nie 1081

przyszedł w sukurs kapitanowi Compsonowi, nikt nie uwolnił go od ślicznej partnerki. Tańczyli kolejne tańce. Z upływem czasu niektórzy panowie poczęli patrzeć na nią z większą dozą podziwu niż strachu, lecz gdy tylko odwzajemniała ich spojrzenia i uśmiechała się do nich, natychmiast przywierali do swych partnerek jakby w obawie, że zdmuchnie ich jakiś zimny wiatr. Jednym z niewielu, którzy przyglą-

dali się jej szczerze i z przyjemnością był młody lord Torrance, który zwykle tańczył

wyłącznie ze swą żoną. Innym był poeta Lorimond. Tańcząc z lady Neville, zauważył:

– Skoro ona jest Śmiercią, to ci wystraszeni głupcy sobie wyobrażają, że niby kim są? Jak zachowaliby się, gdyby była chodzącą brzydota? Napawa mnie odrazą ich strach. To jest niesmaczne.

W tym momencie Śmierć i kapitan 1082

Compson przemknęli w tańcu obok nich i usłyszeli, jak kapitan mówi:

– Jeśli to naprawdę ciebie widziałem podczas bitwy, jak mogłaś tak się zmienić?

Jak mogłaś stać się tak śliczna?

Śmierć zaśmiała się wesoło i ciepło.

– Pomyślałam sobie, że wśród tylu pięknych ludzi lepiej będzie być piękną. Obawiałam się, że wystraszę wszystkich i ze-psuję przyjęcie.

– Oni wszyscy sądzili, że będzie brzydka – powiedział Lorimond do lady Neville.

– Ja... ja wiedziałem, że będzie piękna.

– Zatem dlaczego z nią nie tańczysz? –

spytała go lady Neville. – Ty też się boisz?

– Nie, nie. Skądże – odparł poeta szybko i zapalczywie. – Już wkrótce poproszę ją do tańca.

Chcę tylko jeszcze trochę na nią popatrzeć.

Muzycy grali i grali. Taniec odpędzał

noc tak powoli, jak powoli drążą skałę 1083

wody górskiego strumienia. Lady Neville zdawało się, że jeszcze żadna noc nie trwała dłużej niż ta, ale nie była ani zmęczona, ani też znudzona. Tańczyła z każdym mężczyzną na balu, z wyjątkiem lorda Torrance'a, który tańczył ze swoją żoną, tak jakby właśnie tej nocy po raz pierwszy się spotkali, i oczywiście z wyjątkiem kapitana Compsona. W pewnej chwili kapitan uniósł dłoń i lekko musnął nią złociste włosy Śmierci. Był nadal okazałym męż-

czyzną, wspaniałym partnerem dla tak ślicznej dziewczyny, ale lady Neville, kilkakrotnie mijając go w tańcu, spojrziała na jego twarz i uświadomiła sobie fakt, że jest starszy, niż powszechnie uważano.

Śmierć natomiast wydawała się młodsza od najmłodszej kobiety na balu. Żadna z obecnych dam nie tańczyła w tej chwili lepiej od niej, aczkolwiek lady Neville nie mogła sobie przypomnieć, w którym mo-1084

mencie jej niezdarność zamieniła się w słodycz płynnych ruchów. Uśmiechnęła się i zagadywała do każdego, kto na nią spojrzał – znała imiona wszystkich, śpiewała nieprzerwanie, dobierając słowa do dźwię-

ków muzyki – słowa nonsensowne, dźwię-

ki bez znaczenia, lecz wszyscy w skupieniu nastawiali uszu, by, nie wiedząc czemu, pochwycić jej miękki głos.

Kiedy, podczas walca, dla większej swobody w tańcu uniosła tren sukienki, lady Neville pomyślała, że porusza się jak mała żaglówka po spokojnym morzu o zmierzchu.

Lady Neville pochwyciła słowa gwał-

townej sprzeczki między lady Torrance a Contessą delia Candini:

– Kpię sobie z tego, że jest Śmiercią, nie jest wcale starsza ode mnie. Z pewnością nie jest!

– Nonsens – odparła Contessa, która ni-1085

gdy nie umiała zdobyć się na wielkoduszność wobec innej kobiety. – Ma dwadzieścia osiem, trzydzieści lat. I ta suknia, ta jej ślubna suknia – coś podobnego!

– Wstrętna – dorzuciła dama, która przybyła na bal w charakterze partnerki kapitana Compsona, jednej z wielu, z jakimi się pokazywał. – Zupełnie bez smaku. Co prawda nie należy się chyba spodziewać dobrego smaku po Śmierci.

Lady Torrance wyglądała tak, jakby miała się rozpłakać.

One są zazdrosne o Śmierć – powiedzia-

ła do siebie lady Neville. – Jakie to dziwne. Ja nie czuję się o nią zazdrosna. Ani trochę. I zupełnie się jej nie boję. Była z siebie niezwykle dumna.

Wtem, tak samo niespodziewanie jak wtedy, gdy zaczęli, muzycy przestali grać.

Z wolna odkładali instrumenty.

W nagłej, przeraźliwej ciszy Śmierć wy-1086

rwiała się kapitanowi Compsonowi i podbiegła do wysokiego okna, rozchylając obiema dłońmi zasłony.

– Spójrzcie – powiedziała, stojąc do nich tyłem. – Chodźcie i popatrzcie. Już prawie świta.

Letnie niebo wciąż spowijał mrok i tyl-ko horyzont na wschodzie odrobinę się rozjaśnił na tle ciemnego nieboskłonu, ale gwiazdy już zniknęły, a sylwetki drzew, rosnących przed domem, stawały się coraz wyraźniejsze. Śmierć przywarła twarzą do okna i powiedziała tak cicho, że ledwie ją usłyszano:

– Muszę już iść.

– Nie – powiedziała lady Neville, nie od razu świadoma tego, że przemówiła. – Musisz zostać jeszcze trochę dłużej, Bal wy-dałam na twoją cześć. Proszę, zostań.

Śmierć wyciągnęła ku niej obie dłonie, a lady Neville zbliżyła się i ujęła je w swoje: 1087

– Cudownie się bawiłam – powiedziała

łagodnie. – Nie możesz pojąć, co to za uczucie być zaproszoną na bal taki jak ten, bowiem sama wydawałaś bale i chodziłaś na inne przez całe swoje życie. Wszystkie wydają ci się takie same, ale dla mnie tak nie jest. Czy mnie rozumiesz? – Lady Neville przytaknęła bez słowa. – Zawsze będę pamiętała tę noc – powiedziała Śmierć.

– Zostań – powiedział kapitan Compson.

– Zostań choć chwilę dłużej. – Położył

dłoń na ramieniu Śmierci, a ona uśmiechnęła się i przytuliła doń swój policzek.

– Drogi kapitan Compson – rzekła. –

Mój pierwszy prawdziwy rycerz. Czyż nie jesteś mną zmęczony?

– Nigdy – odparł. – Proszę zostań.

– Zostań – poprosił Lorimond i wyda-
wało się, że też chce jej dotknąć. – Zostań.

Chcę z tobą porozmawiać. Chcę na ciebie popatrzeć. Będę z tobą tańczył, jeśli zosta-1088
niesz.

– Iluż mam konkurentów – zdziwiła się Śmierć. Wyciągnęła dłoń do Lorimonda, ale ten cofnął się
i zaraz ze wstydu spiekł

raka. – Żołnierz i poeta. Jak to cudownie być kobietą. Dlaczego obaj nie rozmawialiście ze mną
wcześniej? Teraz muszę już iść.

– Proszę, zostań – szepnęła lady Torrance, kurczowo chwytając rękę męża dla dodania sobie
odwagi. – Uważamy, że jesteś taka piękna, oboje tak myślimy.

– Łaskawa lady Torrance – odparła dziewczyna uprzejmie. Odwróciła się do okna, dotknęła go
lekko, a ono samo otworzyło się na oścież. Chłodne, poranne powietrze wpadło do sali balowej,
świeże od deszczu, ale niosące już także niewyraźną woń ulic Londynu, bo których przeszło.

Usłyszeli śpiew ptaka i dziwny, chrapliwy dźwięk wydawany przez konie Śmierci. –
1089

Czy chcecie, żebym została? – spytała.

To pytanie nie padło pod adresem lady Neville czy kapitana Compsona, ani też żadnego z jej
wielbicieli, lecz Contessa delia Candini, która stała z dala od wszystkich, tuląc do piersi kwiaty i
podśpiewując cicho w irytacji. Ani trochę nie chciała, żeby Śmierć pozostała, ale obawiała się, że
inne kobiety pomyślą, iż jest zazdrosna o urodę Śmierci, zatem odparła:

– Tak. Oczywiście, że chcę.

– Aha – powiedziała śmierć. Mówiła prawie szeptem. – A ty? – spytała inną kobietę. – Czy
chcesz, bym została? Czy chcesz, żebym należała do grona twych przyjaciółek?

– Tak – odparła kobieta – ponieważ jesteś śliczna i jesteś prawdziwą damą.

– A ty? – spytała mężczyznę – a ty? –

spytała kobietę – a ty? – spytała jeszcze jednego mężczyznę – czy wy wszyscy 1090
chcecie, żebym została?

A oni wszyscy odrzekli:

– Tak, Pani Śmierć, chcemy.

– A zatem chcecie – wykrzyknęła w końcu do wszystkich. – Czy chcecie, żebym żyła pomiędzy
wami, żebym była jed-ną z was i żebym przestała być Śmiercią?

Czy chcecie, bym odwiedzała wasze domy i przychodziła na wszystkie przyjęcia? Czy chcecie,
żebym miała konie takie jak wasze, zamiast moich, czy chcecie, żebym ubierała się tak jak wy,
mówiła o tym, co i wy? Czy ktoś z was pojmie mnie za żonę i czy pozostali zatańczą na moim weselu
i przyniosą podarki dla mych dzieci? Czy chcecie właśnie tego?

– Tak – potwierdziła lady Neville. – Zostań tutaj, zostań ze mną, z nami.

Głos Śmierci, nie przybierając na mocy, stał się jednak wyrazistszy i starszy, za stary, jak
pomyślała lady Neville, na tak mło-1091

dą dziewczynę.

– Zastanówcie się – powiedziała Śmierć.

– Zastanówcie się, czego chcecie, dobrze się zastanówcie. Czy wy wszyscy chcecie, żebym
została. Jeśli teraz jeden z was powie: „nie, odejdz stąd” – będę musiała opuścić ten dom
natychmiast i nigdy już nie powrócę. Zastanówcie się. Czy wszyscy chcecie?

Wszyscy zgodnie, jednym głosem zakrzyknęli:

– Tak! Tak! Musisz zostać z nami. Jesteś tak piękna, że nie możemy pozwolić na twoje odejście.

– Jesteśmy zmęczeni – odezwał się kapitan Compson.

– Jesteśmy ślepi – powiedział Lorimond, dodając – zwłaszcza na poezję.

– Boimy się – szepnął lord Torrance, a jego żona chwyciła go za rękę, mówiąc:

– Oboje.

1092

– Jesteśmy nudni i głupi – stwierdziła lady Neville – i starzejemy się, nie przynosząc żadnego pożytku. Zostań z nami, Pani Śmierć.

Śmierć uśmiechnęła się słodko i promiennie, postąpiła krok naprzód, a wyglądało to tak, jakby zstępowała pośród nich z ogromnej wysokości.

– Bardzo dobrze – powiedziała. – Zostań z wami. Nie będę więcej Śmiercią.

Będę kobietą.

Przez salę przeszło głębokie westchnienie, aczkolwiek nie widziano, by ktokolwiek otworzył usta. Nikt się nie poruszył, bowiem złotowłosa dziewczyna wciąż jeszcze była Śmiercią, a jej stojące przed domem konie nadal przywoływały ją rżeniem. Nikt nie mógł na długo zatrzymać na niej wzroku, mimo że tak pięknej dziewczyny jeszcze nie widzieli.

– Jest pewna cena, którą trzeba za to za-

płacić – powiedziała. – Zawsze jest jakaś cena. Ktoś z was musi zostać Śmiercią w moje miejsce, albowiem na świecie zawsze musi być Śmierć. Czy ktokolwiek z was się zgadza? Czy ktokolwiek z was zostanie Śmiercią z własnej nieprzymuszonej woli?

Dopiero wtedy będę mogła stać się dziewczyną – istotą ludzką.

Nikt się nie odezwał, nie pisnął słowa, ale wszyscy z wolna cofnęli się od niej jak fale, które, gdy chcemy je dogonić, ześlizgują się po plaży z powrotem ku morzu.

Contessa delia Candini i jej przyjaciele byliby się wymknęli z sali, ale Śmierć uśmiechnęła się do nich, więc pozostali na swoich miejscach.

Kapitan Compson otworzył usta, jakby

chciał zadeklarować swą gotowość do spełnienia warunku, ale nie wymówił ani słowa. Lady Neville stała nieruchomo.

– Nikt – powiedziała Śmierć. Dotknęła

palcem kwiatu, a ten zdał się uginać i przeciągać jak zadowolony kot. – Absolutnie nikt. Zatem muszę dokonać wyboru, a jest to sprawiedliwe, bo właśnie w ten sposób ja zostałam Śmiercią.

Nigdy nie chciałam być Śmiercią i jestem taka szczęśliwa, że chcecie, bym stała się jedną z was. Długo szukałam ludzi, którzy by mnie zechcieli.

Teraz pozostało mi jedynie wybrać kogoś na moje miejsce i po kłopotcie. Wybiorę bardzo rozważnie.

Och, jacy byliśmy głupi – szepnęła do siebie lady Neville. Byliśmy tacy głupi – ale nie odezwała się głośno, splotła jedynie dłonie i przyglądała się dziewczynie, myśląc niejasno, że gdyby miała córkę, to byłoby jej niezmiernie przyjemnie, jeśli przypominałaby ona Panią Śmierć.

– Contessa delia Candini – rzekła Śmierć z namysłem, a kobieta wydała jedynie krótki pisk przerażenia, gdyż jak

1095
sparaliżowana nie mogła wziąć głębokiego oddechu, który dałby jej siłę do wrzasku.

Pani Śmierć zaśmiała się tylko. – Nie, to byłoby głupie. – Nie powiedziała już nic więcej, ale przez długi czas po tym stwierdzeniu Contessa płonęła z poniżenia i wstydu, że nie została wybrana

na Śmierć.

– Kapitan Compson też nie – mruknęła

Śmierć – bowiem jest zbyt uprzejmy, żeby zostać Śmiercią, a także dlatego, że byłoby to dla niego zbyt okrutne. On tak bardzo pragnie umrzeć. – Twarz kapitana Compsona nie zmieniła wyrazu, ale jego dłonie zadrżały.

– Ani Lorimond – kontynuowała dziewczyna – ponieważ tak mało wie o życiu i ponieważ go lubię. – Poeta zaczerwienił się, zbladł i ponownie spiekł raka. Zrobił

niezdarny ruch, jakby chciał klęknąć na jedno kolano, ale zaraz wyprostował się i stanął sztywno, próbując dorównać postać-1096

wą kapitanowi Compsonowi.

– Ani Torrance'owie – powiedziała Śmierć. – Nigdy lord ani lady Torrance, gdyż za bardzo troszczą się o siebie wzajemnie, by umieć chełpić się faktem wyboru na Śmierć. – Powiedziawszy to, zawa-
hała się przez chwilę, patrząc na lady Torrance swymi ciemnymi, niezwykłymi oczami. – Byłam w twoim wieku, gdy zostałam Śmiercią – dodała. – Zastanawiam się, jak to będzie, mieć znowu twoje lata.

Tak długo byłam Śmiercią. – Lady Torrance zadrżała i nie odezwała się.

Nareszcie Śmierć rzekła cicho:

– Lady Neville.

– Jestem tutaj – odparła lady Neville.

– Myślę, że jesteś jedyną kandydatką –

powiedziała Śmierć. – Wybieram ciebie, lady Neville.

Ponownie lady Neville usłyszała, jak każdy gość wzdycha cicho i mimo iż stała 1097
tyłem do wszystkich, wiedziała, że odetchnęli z ulgą, bowiem ani oni, ani nikt im drogi nie został
wybrany. Lady Torrance zaprotestowała niewielkim okrzykiem, ale lady Neville wiedziała, że ona
krzyknęłaby niezależnie od tego, jakiego wyboru dokonałaby Śmierć. Usłyszała swój własny,
spokojny głos:

– To dla mnie zaszczyt. Czyż jednak nikt inny oprócz mnie nań nie zasługuje?

– Ani jedna osoba – odparła Śmierć. –

Nie ma nikogo, kto byłby tak znużony egzystencją ludzką, nikogo, kto wiedziałby lepiej, jak
pozbawione znaczenia jest życie. Nikt też w tej sali nie ma takiej siły, by traktować życie –
uśmiechnęła się słodko i okrutnie – życie dziecka swego fryzjera, na przykład, jak coś na tyle bez
znaczenia, na ile naprawdę pozbawione jest sensu.

Śmierć ma serce, ale jest to serce na zawsze puste i myślę, lady Neville, że twoje 1098

serce jest jak wyschnięte koryto rzeki, jak muszla morska. Będziesz wielce kontenta, gdy
zostaniesz Śmiercią. Znacznie bardziej niż ja, gdyż ja byłam wtedy bardzo młoda.

Lekkim, kołyszącym się krokiem zbliży-

ła się do lady Neville. W jej szeroko otwartych, głęboko osadzonych oczach od-biła się jaskrawo
czerwień wstającego słońca. Mimo że na nich nie spoglądała, wszyscy goście na balu cofnęli się
przed nią, a lady Neville tylko zacisnęła mocno dłonie i patrzyła, jak Śmierć zbliża się do niej swym
lekkiem, tanecznym krokiem.

– Musimy się pocałować – powiedziała

Śmierć. – W ten sposób ja zostałam Śmiercią. – W ekstazie potrząsnęła głową, aż wzburzone tym
ruchem miękkie włosy zawirowały, omiatając końcami obnażone ramiona. – Prędko, prędko. – Nie
mogę się już doczekać chwili, kiedy znów stanę się człowiekiem.

– Być może to wcale nie będzie takie przyjemne – rzuciła lady Neville. Była niezwykle spokojna, a jednak czuła, jak jej stare serce łomocze w piersi, a koniuszki palców pulsują od uderzeń krwi w żyłach.

– Po jakimś czasie może ci się to przestać podobać.

– Możliwe – uśmiechnięte usta Śmierci były już bardzo blisko jej twarzy. – Nie będę wtedy tak piękna, jak w tej chwili, a ludzie prawdopodobnie nie będą mnie kochać i w końcu umrę.

Odprawiłam swą pokutę.

– Jaką pokutę? – spytała dziewczynę stara kobieta. – Co takiego zrobiłaś? Dlaczego zostałam Śmiercią?

– Nie pamiętam – odparła Śmierć. – I ty też z czasem zapomnisz.

Była niższa od lady Neville i o ileż młodsza. Mogła równie dobrze być jej cór-ką – córką, której nigdy nie miała, a która, 1100

gdyby istniała, byłaby zawsze razem ze swą rodzicielką i lekkim ramieniem przy-tulałaby do siebie głowę matki, gdy ta czu-

łaby się stara i przygnębiona. Teraz uniosła głowę, by pocałować policzek lady Neville i gdy to uczyniła szepnęła jej do ucha:

– Ty będziesz wciąż piękna, kiedy ja już zbrzydnę. Bądź zatem dla mnie miła.

Stojąc za lady Neville, dżentelmeni i damy zaszeptali między sobą i poruszyli się nerwowo. W smokingach i szatach ba-lowych wyglądali jak trzepoczące skrzydłami, zatrwożone mole.

– Obiecuję ci to – powiedziała lady Neville i ściągnęła usta, by złożyć pocałunek na delikatnym, słodko pachnącym policzku młodej Pani Śmierci.

1101

J. G. BALLARD

TOPIELEC

(The drowned giant)

Przełożył Lech Jęczmyk

J. G. Ballard jest powszechnie uznawany za jednego z najlepszych autorów, którzy wyłonili się z „nowej fali” lat 60.

W swoich powieściach i opowiadaniach bombarduje zarówno bohaterów, jak i czytelników, przerażającymi wizjami codziennego życia w świecie balansującym na krawędzi całkowitej katastrofy. Bohaterowie takich utworów jak „Ostatnia plaża” i „The Day of Forever” są uwięzieni w koszmarnych światach, w których nie mogą polegać na niczym – nawet na sobie. W twórczości Ballarda często pojawiają się także rozważania na temat potęgi ludzkiej płciowości oraz zmian, jakie przyniosła epoka atomu.

1102

Rankiem, po burzy, morze wyrzuciło na brzeg, o pięć mil na północny zachód od miasta, ciało utopionego olbrzyma. Pierwsza wieść o jego pojawieniu się została przyniesiona przez pobliskiego farmera, a następnie potwierdzona przez reporterów miejscowej gazety oraz policję. Mimo to większość ludzi, włącznie ze mną, odniosła się do tego sceptycznie i dopiero stale rosnąca liczba naocznych świadków, potwierdzających ogromne rozmiary olbrzyma, rozpałała wreszcie naszą ciekawość.

Biblioteka, w której wraz z kolegami prowadziliśmy badania, była prawie pusta, kiedy tuż po drugiej wyruszyliśmy nad morze. Tego dnia ludzie opuszczali biura i sklepy w miarę, jak opowieści o olbrzymie rozchodziły się po mieście.

Kiedy wreszcie dotarliśmy do nadmor-

1103

skich wydm, ujrzeliśmy tam już tłum gapiów i ciało leżące w płytkiej wodzie w odległości dwustu metrów od brzegu. Po-czątkowo doniesienia o niezwyklej wielko-

ści dziwnego znaleziska wydały nam się przesadzone. Odpływ odsłonił prawie całe ciało, które było niewiele większe od duże-go rekina. Człowiek leżał na wznak z rękami wzdłuż boków, w pozie swobodnej, jakby spał na lustrze mokrego piasku, i odbicie jego wyblakłej skóry zanikało w miarę jak woda odstępowała. W jasnym słońcu ciało lśniło niczym białe upierzenie morskiego ptaka.

Zadziwieni tym widokiem i nieusatys-fakcjonowani komentarzami ludzi z tłumu, wraz z kolegami zeszliśmy z wydmy na żwir plaży. Nikt nie wykazywał chęci zbli-

żenia się do olbrzyma, ale w pół godziny później dwaj rybacy w gumowych butach ruszyli przez piasek. W miarę jak coraz 1104

bliżej podchodzili do leżącego ciała, a ich sylwetki wydawały się coraz mniejsze, tłum widzów zaszemrał. Bliskość olbrzyma zmieniła tych dwóch w karzełków.

Mimo iż pięty miał częściowo pograżone w piasku, jego stopy były przynajmniej dwukrotnie wyższe od rybaków i natychmiast uświadomiliśmy sobie, że ten utopiony lewiatan ma rozmiary i masę największego kaszalota.

Pojawiły się trzy łodzie rybackie i z wciągniętymi mieczami zatrzymały o kilkaset metrów od brzegu, a załogi zebrały się na dziobach. Ich powściągliwość powstrzymywała gapiów na brzegu przed wejściem na piasek. W niecierpliwym oczekiwaniu ludzie zeszli z wydm i stali na żwirowej pochyłości, chcąc wszystko zobaczyć z bliska. Wokół zarysu postaci woda wymyła piasek, tworząc wgłębienie, co wyglądało jakby olbrzym spadł z nieba.

1105

Dwaj rybacy stali pomiędzy ogromnymi płytami stóp i machali do nas niczym turyści znajdujący się między kolumnami świątyni nad Nilem, otoczonej wodą. Przez chwilę obawiałem się, że olbrzym tylko śpi i nagle może się poruszyć zwierając pięty, ale on leżał ze szklistym wzrokiem utkwionym w niebo, nieświadom obecno-

ści miniaturowych kopii jego samego między swymi stopami.

Rybacy okrążali ciało olbrzyma, przechodząc wzdłuż białej ściany jego nóg. Po obejrzeniu palców odwróconej dłoni skryli się pomiędzy ramieniem a piersią, skąd po chwili wyszli i zajęli się głową; osłaniając oczy, przypatrywali się greckiemu profiłowemu leżącemu. Płaskie czoło, prosty, wysoko sklepiony nos i wypukłe wargi przypominały rzymską kopię Praksytelesa, zaś subtelnie ukształtowane skrzydełka nozdrzy, jeszcze podkreślały podobieństwo do rzeź-

1106

by.

Nagle w tłumie rozległy się okrzyki, a setki wyciągniętych rąk wskazywały na morze. Zachnąłem się widząc, że jeden z rybaków wspiał się na pierś olbrzyma, i chodził po niej, machając ręką w stronę brzegu. Tłum zareagował okrzykami zdumienia i tryumfu, które zagłuszyła lawina osypującego się żwiru, kiedy wszyscy rzucili się biegiem ku plaży.

W miarę jak zbliżaliśmy się do ciała rozciągniętego w kałuży wody wielkości boiska piłkarskiego, gwar podnieconych głosów ucichł, jakby przytłoczony ogromem martwego kolosa, który leżał nieco ukośnie do brzegu, z nogami bliżej plaży, i ta perspektywa skrywała jego prawdziwą długość. Mimo iż dwaj rybacy stali na brzuchu olbrzyma, tłum utworzył szerokie półkole i grupki ludzi nieśmiało podchodziły do jego stóp i dłoni.

Moi towarzysze i ja zbliżyliśmy się do ciała od strony morza. Biodra i klatka pier-siowa kolosa piętrzyły się nad nami jak ka-dłub wyrzuconego na mieliznę okrętu. Per-

łowa skóra, nabrzmiała na skutek zanurzenia w słonej wodzie, skrywała zarysy po-tężnych mięśni i ścięgien. Przeszliśmy pod lekko ugiętym lewym kolanem, do którego przywarły pasma wilgotnych wodorostów.

Owinięta wokół bioder olbrzyma przepaska z ciężkiego, luźno tkanego materiału, który w wodzie morskiej nabrał żółtawej barwy, załatwiała jako tako kwestię przyzwoitości. Od tego parującego na słońcu stro – ju bił ciężki odór morza, zmieszany ze słodkawą, przenikliwą wonią skóry giganta.

Zatrzymaliśmy się przy jego ramieniu i popatrzyliśmy w górę na nieruchomy profil. Wargi miał lekko rozchylone, otwarte oczy były mętne i zamglone, jakby wypeł-

nione jakimś błękitnomlecznym płynem, ale subtelne łuki nozdrzy i brwi dodawały jego twarzy wytwornego wdzięku, który kłócił się ze zwierzęcą potęgą piersi i barków.

Ucho zawisło w górze nad naszymi gło-

wami jak rzeźbione odrzwia. Uniosłem rękę, aby go dotknąć, kiedy ktoś ukazał się na skraju czoła i krzyknął na mnie z góry.

Zaskoczony jego nagłym pojawieniem się, odsta-piłem o krok i ujrzałem grupkę wyrostków, którzy wdrapali się na twarz olbrzyma I teraz wpychali się nawzajem do oczu. Snuli się już po całym korpusie; ramiona leżącego służyły za podwójne ram-py. Z dłoni ludzie przechodzili po przedramionach do łokci i potem wczołgiwali się po rozdętym brzuchu bicepsu na płaską promenadę mięśni piersiowych, pokrywających górną część gładkiego, nieowłosio-nego tułowia. Stamtąd czepiając się rękami 1109

warg i nosa wspinali się na twarz, albo wę-

drowali wzdłuż tułowia na spotkanie tych, którzy wdrapali się na kostki i maszerowa-li po bliźniaczych kolumnach ud.

Kontynuowaliśmy swój obchód wśród tłumu gapiów, zatrzymując się, aby obejrzeć wyciągniętą prawą rękę. We wnętrzu dłoni pozostała kałuża wody, jak resztką innego świata, rozchlapywana teraz przez ludzi wspinających się na ramię. Usiłowa-

łem odczytać złobiące skórę linie dłoni w nadziei, że uzyskam jakieś wskazówki co do charakteru człowieka giganta, lecz obrzmienie tkanek uczyniło je nieczytelny-mi, zacierając wszelkie ślady osobowości olbrzyma i jego ostatniej tragicznej przy-gody. Potężne mu – skuły oraz grube prze-guby były pozornie zaprzeczeniem wszelkiej wrażliwości, ale subtelne wygięcie palców, jak również dobrze utrzymane paznokcie – każdy przycięty symetrycznie na 1110

długość sześciu cali od skóry – świadczyły o pewnym wyrafinowaniu, znajdującym odbicie w klasycznych rysach twarzy, któ-

rą teraz ludzie z miasteczka obsiedli jak muchy.

Jakiś wyrostek stał z rozłożonymi w bok rękami na samym czubku nosa, pokrzyku-jąc do swoich kolegów w dole, ale twarz olbrzyma mimo to zachowywała swój monumentalny wyraz.

Powróciwszy na brzeg, usiedliśmy na żwirze i obserwowaliśmy niekończący się strumień ludzi, nadsiadających z miasteczka. Sześć czy siedem łodzi rybackich stało przy brzegu, a ludzie szli brodząc w płytkiej wodzie, aby przyjrzeć się z bliska ol-brzymowi wyrzuconemu przez burzę. Później nadeszła grupka policjantów, usiłują-

cych bez przekonania otoczyć plażę kordo-nem, ale oszołomieni widokiem leżącej postaci, zrezygnowali z tego pomysłu i za-1111

wrócili, nerwowo się rozglądając.

Po godzinie na plaży zgromadziło się około tysiąca ludzi i przynajmniej dwie setki z nich stały lub siedziały na ciele olbrzyma, tłocząc się na rękach i nogach lub kotłując się w nierzednącym tłumie na jego piersi i brzuchu. Gromada wyrostków opanowała głowę, spychając się nawzajem z policzków i zjeżdżając po gładkich powierzchniach szczęk. Kilku usiadło okrakiem na nosie, a jakiś wczółgał się do jednego z nozdrzy, skąd naszczekiwał jak skretyniały pies. Jeszcze tego samego popołudnia wróciła policja, aby utorować drogę przez tłum grupie ekspertów z uniwersytetu – autorytetów w dziedzinie anatomii wielkich zwierząt i biologii morza.

Gromada wyrostków oraz większość ludzi znajdujących się na ciele zeszła na dół, pozostawiając kilku na jwy trwalszych, przycupniętych na czubkach palców nóg i na 1112

czole. Eksperci, którym policjanci torowali drogę, powstrzymując napór gapiów, obejrzeli olbrzyma wkoło kiwając głowami i prowadząc ożywioną dyskusję. Kiedy doszli do wyciągniętej dłoni, oficer zaproponował im pomoc przy wdrapywaniu się na dłoń, ale zdecydowanie odmówili.

Po ich powrocie na brzeg ludzie znów

wdrapali się na ciało i kiedy o piątej odchodziliśmy, zostali tam, pokrywając ręce i nogi olbrzyma jak chmara mew, która obśiadła ścierwo dużej ryby.

Po trzech dniach znowu poszedłem na

plażę. Moi koledzy z biblioteki wrócili do pracy, mnie zlecając zadanie obserwacji niezwyklego znaleziska i przygotowania raportu. Możliwe, iż wyczuli moje szczególne zainteresowanie tą sprawą, bo rzeczywiście ciągnęło mnie do powrotu nad morze. Nie było w tym nic z nekrofilii, 1113

gdyż olbrzym był dla mnie istotą żywą, prawdę mówiąc, bardziej żywą, niż wielu z tych, którzy go oglądali. Fascynowały mnie rozmiary giganta, wielka powierzchnia, jaką zajmowały jego ręce i nogi, które zdawały się potwierdzać tożsamość moich własnych miniaturowych członków, ale najbardziej frapujący był sam fakt jego istnienia. Cokolwiek w naszym życiu mogło budzić wątpliwości, to olbrzym, żywy czy umiały, istniał w sensie absolutnym, dając nam pojęcie o świecie innych podobnych absolutów, których my byliśmy tak niedoskonałymi i skarłałymi kopiami.

Kiedy dotarłem na plażę, tłum znacznie się przerzedził. Dwie do trzech setek ludzi piknikowało na brzegu, obserwując kręca-

ce się po piasku grupki ciekawskich. Kolejne przyływy przemieściły olbrzyma bliżej brzegu, obracając go głową i ramionami w stronę plaży, tak że wydawał się 1114

jeszcze większy, przytłaczając swoim ogromem łodzie rybaków, wyciągnięte na piasek opodal jego stóp. Nierówna powierzchnia plaży wygięła jego plecy lekkim łukiem, uwypuklając klatkę piersiową i odchylając głowę do tyłu, tak że zwłoki przybrały teatralną pozę. Działanie wody morskiej i obrzęk tkanek sprawiły, że rysy olbrzyma znacznie się wygładziły. Chociaż ogromne proporcje twarzy utrudniały ocenę wieku i charakteru kolosa, to podczas mojej poprzedniej wizyty klasycznie rzeź-

bione usta i nos sugerowały, iż był młodzieńcem skromnym i łagodnego usposobienia. Teraz wydawało się, że wkroczył

już co najmniej w wiek średni. Nabrzmiąte policzki, grubszy nos i zwężone oczy przydawały mu wyglądu dobrze odżywionej dojrzałości, która niosła już zapowiedź dalszego rozkładu. Ten przyśpieszony po-

śmiertny rozwój charakteru olbrzyma –

1115

jakby skryte cechy jego osobowości nabra-

ły dość impetu, by mogły ujawnić się w tym krótkim końcowym podsumowaniu –

nie przestawał mnie fascynować. Był on pierwszą oznaką podporządkowania giganta wszechogarniającemu systemowi czasu, któremu podlega cała reszta ludzkości i którego ostatecznym produktem są nasze krótkie żywoty, przypominające milion wi-jących się spiralnych zawirowań w wodnym wirze. Zająłem stanowisko na zwirowej plaży dokładnie na wprost głowy olbrzyma, skąd mogłem widzieć nowo przybywających i dzieci, wdrapujące się na ręce i nogi kolosa.

Wśród porannych widzów była grupka

mężczyzn w kaszkietach i skórzanych kurtkach, którzy spoglądali na olbrzyma z fachowym zainteresowaniem, mierząc krokami jego rozmiary i dokonując patykami na piasku jakichś wstępnych obliczeń.

1116

Uznałem, że reprezentują którąś z instytu-cji publicznych, i zapewne zastanawiają się, co począć z owym gigantem przyniesionym przez morze.

Kilku nieco bardziej wytwornie odzia-nych osobników, właścicieli cyrków i temu podobnych, milcząc, powoli obchodziło olbrzyma, trzymając ręce w kiesze-niach swoich długich płaszczy. Ogrom giganta wyraźnie przerastał nawet ich nieznównaną przedsiębiorczość. Kiedy odeszli, dzieci nadal biegały po rękach i nogach, wyrostki zaś przepychały się na zwróconej w górę twarzy, wdeptując w białą skórę przyniesiony na butach piasek.

Następnego dnia celowo zwlekałem z odwiedzinami do późnego popołudnia, tak że kiedy przybyłem, na brzegu siedziało mniej niż pięćdziesiąt osób. Fala przesunę-

ła olbrzyma jeszcze bliżej i teraz leżał w odległości około siedemdziesięciu pięciu 1117

jardów od nas, wyłamawszy stopami nad-gniłą palisadę falochronu. Pochyły stok twardszego piasku przechylił ciało na bok i zmaltretowana twarz była odwrócona w kierunku morza w prawie świadomym ge-

ście. Przysiadłem na dużym żelaznym ko-

łowrocie, który był umocowany do betono-wego fundamentu wysokiego brzegu, i spojrzałem z góry na leżącą postać.

Skóra olbrzyma wyblakła, straciła swoją perłową przezroczystość i była obsypana brudnym piachem, naniesionym na miejsce tego, który zmył nocny przyływ. Kłęby wodorostów wypełniły przestrzenie między palcami, stopy odpadków i muszli zebrały się w zagłębieniach pod biodrami i kolanami. Jednak mimo to, jak i postępującego grubienia rysów, wciąż zachowywał swój wspaniały homerycki wygląd. Gigantyczna szerokość ramion oraz potężne kolumny rąk i nóg nadal przenosiły jego postać w 1118

inny wymiar, tak iż wydawał się bardziej autentycznym wyobrażeniem któregoś z utopionych argonautów lub bohaterów Odysei niż konwencjonalny portret natu-ralnej wielkości, jaki poprzednio miałem przed oczami.

Zszedłem na piasek i omijając kałuże zbliżyłem się do olbrzyma. Dwaj mali chłopcy siedzieli w studni ucha, zaś na drugim końcu samotny młody człowiek przyglądał mi się, stojąc na jednym z palców od nogi. Tak jak na to liczyłem, opóz-

nijając swoją wizytę, nikt inny nie zwrócił

na mnie uwagi; ludzie na brzegu siedzieli skuleni pod płaszciami.

Zwrócona dłonią w górę ręka olbrzyma

była pokryta odłamkami muszelek i pia-skiem, na którym widniały liczne ślady stóp. Zaokrąglony masyw biodra wznosił

się nade mną, przesłaniając całkowicie widok morza. Słod – kawo gryząca woń, jaką 1119

poczułem już wcześniej, była tu ostrzejsza, a przez mleczną skórę dostrzegłem węzo-we sploty

zakrzepłych naczyń krwiono-

nych. Mogło się to wydawać odrażające, lecz właśnie ta nieustanna metamorfoza, to widoczne życie w śmierci, pozwoliło mi postawić nogę na ciele.

Używając sterczącego w górę kciuka jako poręczy wdrapałem się na dłoń i rozpocząłem wspinaczkę. Skóra była tward-sza, niż przypuszczałem i ledwo uginała się pod moim ciężarem. Szybko sforsowa-

łem pochyłość przedramienia i rozdęty balon bicepsu. Twarz utopionego olbrzyma pojawiła się na prawo ode mnie, ukazując jaskinie nozdrzy i rozległe zbocza policzków niczym stożek jakiegoś niesamowite-go wulkanu.

Bezpiecznie omijając ramię, wstąpiłem na rozległą promenadę piersi, przez którą jak ogromne krokwie przebiegały kościste 1120

łuki żeber. Biała skóra była upstrzona licznymi ciemniejszymi śladami, wśród których można było wyraźnie rozróżnić odbicia poszczególnych obcasów. Ktoś zbudował pośrodku piersi mały zamek z piasku i wszedłem na tę częściowo już zrujnowaną budowlę, aby mieć lepszy widok na twarz.

Dwójka dzieci wdrapała się po uchu i teraz usiłowała wejść do prawego oczodołu, gdzie błękitne oko, całkowicie zasnutę jakimś mętnym płynem, patrzyło nieruchomo, nie dostrzegając ich miniaturowych postaci. Oglądana ukośnie z dołu twarz nie miała w sobie nic z wdzięku i spokoju. Zaciśnięte usta i zadarta broda, podtrzymywana gigantycznymi liniami mięśni, przypominały strzaskany dziób ogromnego okrętu. Po raz pierwszy uświadomiłem sobie, że ta ostatnia fizyczna męka olbrzyma była równie dotkliwa, mimo iż nie miał

świadomości rozkładu muskulatury i tkanki 1121

nek. Absolutna samotność dotkniętego rozkładem ciała, wyrzuconego niczym opuszczony okręt na pusty brzeg, gdzie prawie już nie dobiegał odgłos fal, nadała twarzy wyraz wyczerpania i beznadziei.

Kiedy zrobiłem kolejny krok, stopa zapadła się w zagłębienie rozmięklej tkanki i powiew cuchnącego gazu wyrwał się ze szczeliny pomiędzy żebrami. Uciekając przed smrodem, który jak chmura zawisł

nad moją głową, odwróciłem się w stronę morza, aby odetchnąć świeżym powietrzem, i wtedy ze zdziwieniem zobaczy-

łem, że lewa ręka olbrzyma została odcięta.

Zdumiony i zaszokowany wpatrywałem się w czerniejący kikut, podczas gdy samotny chłopak przechylony na swojej wysokiej grzędzie przyglądał mi się przez-krwionym okiem.

1122

Była to pierwsza z serii grabieży. Następne dwa dni spędziłem w bibliotece; z jakiegoś powodu nie miałem ochoty na wycieczkę nad morze, zdając sobie sprawę, iż prawdopodobnie byłem świadkiem początku końca wspaniałego złudzenia.

Kiedy następnym razem przeszedłem przez wydmy i stanąłem na żwirowym zboczu, olbrzym był oddalony o niecałe dwadzieścia jardów i z tej niewielkiej odległości rozwiał się cały urok, jaki kiedyś ota – czał jego odległą, omywaną falami sylwetkę.

Zadrapania i błoto pokrywające ciało kolosa sprowadzały go do ludzkiej skali, a wielkość czyniła go tylko bardziej bez-bronnym.

Prawa ręka i stopa zostały odcięte, wciąż-

gnięte na zbocze i odwiezione wozem.

Rozpytawszy grupkę ludzi zebranych przy falochronie, dowiedziałem się, że dokonali tego firma sprzedająca nawozy i producent 1123

pożywki dla bydła.

Druga stopa olbrzyma unosiła się w powietrzu na stalowej linie, przymocowanej do dużego palca, widocznie przygotowana do transportu na dzień następny. Piasek wokół ciała został zdeptany przez gromadę robotników i głębokie koleiny znaczyły drogę, którą odciągnięto rękę i stopę. Z kikutów sączył się ciemny, przyprawiający o mdłości płyn, plamiąc piach i białe stożki muszli. Idąc wzdłuż wysokiego brzegu, zauważyłem, że w szarej skórze olbrzyma wyryto wiele żartobliwych haseł oraz swastyk i innych znaków, jakby kaleczenie nieruchomego kolosa uwolniło nagle przyplływ hamowanej nienawiści. Płatek jednego z uszu był przeszyty jak włócznią ka-wałkiem drewna, zaś pośrodku piersi palono ognisko, osmalając wokół skórę. Wiatr wciąż jeszcze rozsiewał drobny popiół.

Ciężki smród spowijający trupa, niewąt-1124

pliwa oznaka rozkładu, przepędził wreszcie wyrostków. Wróciłem na zbocze i wszedłem na kołowrót. Spuchnięte policzki olbrzyma prawie zasłoniły mu oczy i odciągnęły wargi w monumentalnym ziewnięciu. Prosty niegdyś grecki nos został skręcony i spłaszczony, wdeptany w nabrzmiałą twarz niezliczonymi obcasami.

Gdy przyszedłem na plażę następnego dnia, odczułem niemal ulgę, gdy zobaczyłem, że została odcięta głowa.

Upłynęło kilka tygodni, zanim udałem się znowu nad morze; kiedy byłem już na plaży, stwierdziłem, że wszelkie podobień-

stwo olbrzyma do człowieka znikło zupeł-

nie. Leżący tułów miał niewątpliwie cechy ludzkie, ale ponieważ wszystkie kończyny zostały obcięte, najpierw do kolan i łokci, a potem przy biodrach i ramionach, ciało wyglądało jak pozbawione głowy wielkie 1125

morskie zwierzę – wieloryb albo ogromny rekin. Po pozbawieniu osobowości postaci olbrzyma, zainteresowanie widzów osobli-wym znaleziskiem wygasło; na brzegu nie było nikogo poza starym włóczęgą i dozorcą, siedzącym w drzwiach swojej budy.

Wokół ciała sklecono naprędce drewnia-ne rusztowanie, z którego zwisało kilkana-ście huśtanych wiatrem drabin sznuro-wych; piasek w pobliżu był usiany kawałkami lin, długimi nożami na metalowych rękojeściach i obcęgi, a także śliskimi od krwi kamieniami, kawałkami kości i skóry.

Kiwnąłem głową dozorcę, który rzucił

mi niechętnie spojrzenie znad swojego kosza z płonącym koksem. Cała okolica była przesiąknięta gryzącą wonią wielkich pła-tów tłuszczu, topiących się w kotle za budą.

Obie kości udowe zostały usunięte za 1126

pomocą małego dźwigu, oplątane – go sztuką materiału, która kiedyś okrywała biodra olbrzyma, i puste panewki ziały otworami jak drzwi do obory. Ramion, obojczyka i organów płciowych również już nie było. Pozostała na torsie i brzuchu skóra została nacięta równoległymi liniami i pierwsze pięć czy sześć pasów zdarto, od-słaniając wielkie sklepienie klatki piersio-wej.

Gdy odchodziłem, stado mew opuściło

się z nieba na plażę, rzucając się na spla-miony piach z krwiożerczym wrzaskiem.

W kilka miesięcy później, gdy pojawienie się olbrzyma zostało już zapomniane, w mieście zaczęły się pokazywać różne części jego rozczłonkowanego ciała. Większość z nich to były kości,

których producenci nawozu nie zdołali przemielić; ogromne rozmiary oraz potężne ściągają i 1127 wielkie dyski chrzęści natychmiast zdradzały ich pochodzenie. Nie wiadomo, dlaczego te odcieleśnione fragmenty jakby lepiej oddawały istotę pierwotnej wspaniałości olbrzyma niż spuchnięte kończyny, które stopniowo amputowano. Kiedy spojrzałem na lokal największego hurtownika mięsem po drugiej stronie ulicy, rozpoznałem dwie gigantyczne kości udowe po obu stronach bramy. Wznosiły się nad głową portierniczym groźne megality jakiejś pierwotnej druidycznej religii i nagle wyobraziłem sobie olbrzyma, jak podnosi się na kolana i odchodzi ulicami miasta, zbierając rozproszone fragmenty swego ciała w drodze powrotnej do morza.

W kilka dni później dostrzegłem lewą kość ramieniową leżącą u wejścia do jednej ze stocznii. W tym samym tygodniu zmumifikowana prawa dłoń została pokazana w pochodzie karnawałowym podczas 1128

dorocznego święta cechowego.

Dolna szczeka, rzecz charakterystyczna, trafiła do muzeum przyrodniczego. Reszta czaszki zaginęła i zapewne leży gdzieś na śmietniku lub w czymś prywatnym ogrodzie – niedawno płynąc rzeką zauważyłem dwa żebra olbrzyma, prawdopodobnie wzięte omyłkowo za szczęki wieloryba, tworzące dekoracyjny łuk w jednym z nad-brzeżnych ogrodów. Duży prostokąt opalonej tatuowanej skóry wielkości indiańskiego koca stanowi tło dla lalek i masek w sklepie z pamiątkami koło wesołego miasteczka i nie wątpię, że również w innych punktach miasta, w hotelach lub klubach nad kominkami wiszą spreparowane uszy lub nos olbrzyma. Jeśli chodzi o gigantyczną pyłę, to dożywa ona swoich dni w muzeum osobliwości objazdowego cyrku.

Monumentalny narząd, zadziwiający swymi rozmiarami i niegdysiejszą potencją, 1129 zajmuje osobną szafkę. Ironia polega na tym, że opisano go błędnie jako organ wieloryba, i rzeczywiście większość ludzi, nawet ci, którzy pierwsi zobaczyli go wyrzuconego na brzeg po burzy, myśli teraz o olbrzymie, jeśli w ogóle go pamięta, jako o wielkim morskim zwierzęciu.

Reszta szkieletu całkowicie odarta z ciała nadal spoczywa na brzegu i stos zbielanych kości przypomina wręgi roztrzaskanego okrętu. Buda dozorczy, dźwig i rusztowanie zostały rozebrane, a piasek niesiony wiatrem wzdłuż wybrzeża przysypał miednicę i kręgosłup. Zimą wysokie łukowate kości, o które uderzają fale przyływu, są opustoszałe, ale latem stanowią wymarzone siedzisko dla zmęczonych mew.

1130

R. A. LAFFERTY
WĄSKA DOLINA

(Narrow Valley)

Przełożyła Paulina Braiter

Humor i nadzieja leżą u podstaw wszystkich opowiadań R. A. Lafferty'ego. Można w nich także znaleźć ekscentryczne, a przecież wiarygodne postaci, motyw przemiany i odwiecznej walki między Niebem a Piełem. Od ponad dwudziestu lat Lafferty pisuje historie niepodobne do wszystkich innych.

Otrzymał za nie Hugo, a w roku 1990 został wyróżniony nagrodą World Fantasy Achievement za całokształt twórczości.

Mieszka w Tulsie, w stanie Oklahoma.

1131

W 1893 roku ogłoszono przydziały zie-

mi dla pozostałych przy życiu ośmiuset dwudziestu jeden Paunisów. Każdy z nich miał otrzymać sto sześćdziesiąt akrów i od tej pory płacić podatki jak wszyscy Biało-ocy.

– Kitkehahke! – zaklął Clarence Wielkie Siodło. – Na stu sześćdziesięciu akrach nie da się nawet porządnie skopać psa. I z pewnością nie zapłacę za moją ziemię ani grosza podatku.

Clarence Wielkie Siodło wybrał sobie ładną zieloną dolinę, jeden z pół tuzina kawałków ziemi, które zawsze uważał za swoją własność. Obłożył darniną stojący tam letni domek, zamieniając go w stałą siedzibę. W żadnym razie jednak nie zamierzał płacić podatków.

Spalił więc liście, korę i wygłosił mowę.

1132

– Oby moja dolina była zawsze szeroka i żyzna, oby kwitła, zieleniła się i tak dalej

– zaintonował na melodię pieśni Paunisów.

– Jeśli jednak nadejdzie intruz, oby stała się wąska.

Nie miał przy sobie wonnej kory, więc wrzucił do ognia garstkę cedrowej. Zamiast liści czarnego bzu, użył dębowych.

Zapomniał też, jak brzmiało słowo. Jak miał to zrobić, skoro nie pamiętał słowa?

– Petahauerat! – huknął pewnym siebie tonem, który – taką miał nadzieję – oszuka los.

– Przynajmniej ma tę samą długość –

dodał pod nosem. Nadal jednak nie opuszczały go wątpliwości. – Co ze mnie za du-reń? Tylko Białe, osioł z ogonem pełnym rzepów albo wariat mógłby uwierzyć, że to zadziała. Jedna wielka kupa śmiechu. No cóż, zobaczmy.

Cisnął do ognia resztę liści i kory, po-

ownie wykrzykując niewłaściwe słowo.

Odpowiedziała mu oślepiająca letnia błyskawica.

– Skidi! – zaklął Clarence Wielkie Siodło. – Udało się. A wcale w to nie wierzyłem.

Clarence Wielkie Siodło wiele lat prze-mieszkał na swojej ziemi, nie płacąc ani grosza podatku. Intruzi nie mieli wstępu do doliny. Zlicytowano ją trzy razy, ale żaden nabywca jej nie odebrał. W końcu w księ-

gach zapisano ją jako ziemię niczyją.

Osadnicy kilkanaście razy obejmowali teren w posiadanie, ale żaden z nich nie spełnił podstawowego warunku: nie zamieszkał w dolinie.

Minęło pół wieku. Clarence Wielkie Siodło wezwał do siebie syna.

– To już koniec, chłopcze – oznajmił. –

Chyba pójdę do domu i umrę.

– Dobrze, tato – odparł syn, Clarence 1134

Małe Siodło. – Idę do miasta zagrać z chłopakami w bilard. Pochowam cię wieczorem, kiedy wrócę.

I tak Clarence Małe Siodło odziedziczył

ziemię. Mieszkał na niej wiele lat, również nie płacąc podatków.

Pewnego dnia w sądzie wybuchło zamieszanie. Wyglądało na to, że najechał nań spory oddział, w istocie jednak składał

się on zaledwie z jednego mężczyzny, jednej kobiety i pięciorga dzieci.

– Jestem Robert Rampart – oznajmił

mężczyzna. – Chcemy znaleźć Biuro Rejestracji Gruntów.

– Jestem Robert Rampart junior –

oświadczył dziewięcioletni chudzielec. –

Chcemy je znaleźć, i to szybko.

– Wątpię, abyśmy mieli podobne biuro –

odparła dziewczyna za biurkiem. – Chyba zlikwidowano je dawno temu?

– Ignorancja nie tłumaczy niekompeten-

cji – wtrąciła Mary Mabel Rampart, ośmiolatka, którą często brano za ośmio-ipółlatkę. –

Ciekawe, kto zasiądzie jutro na pani miejscu, kiedy złożę na panią skargę.

– Jesteście albo w niewłaściwym stanie, albo w niewłaściwym stuleciu – powiedziała dziewczyna.

– Akt Osadniczy nadal obowiązuje –

upierał się Robert Rampart. – W tym okrę-

gu pozostała działka zarejestrowana jako ziemia niczyja. Zamierzam ją zająć.

Cecilia Rampart uśmiechnęła się, dostrzegając porozumiewawcze mrugnięcie siedzącego nieco dalej barczystego męż-

czynny.

– Cześć! – rzuciła, podchodząc tanecznym krokiem. – Nazywam się Cecilia Rampart, ale mój pseudonim sceniczny brzmi: Cecilia San Juan. Czy uważa pan, że siedem lat to za mało, żeby grać role pierwszych naiwnych?

1136

– Nie dla ciebie – odparł mężczyzna. –

Poproś tu rodziców.

– Wie pan, gdzie jest Biuro Rejestracji Gruntów?

– Jasne. W czwartej szufladzie mojego biurka. Najmniejsze biuro w całym sądzie.

Rzadko z niego korzystamy.

Rampartowie zebrali się wokół niego.

Barczysty mężczyzna zaczął wyciągać do-kumenty.

– Oto opis działki – Robert Rampart urwał. – Ależ... już pan go ma! Skąd pan wiedział?

– Pracuję tu od dawna – odparł mężczyzna.

Złatwili sprawy papierkowe i Robert Rampart zgłosił zajęcie działki.

– Ale nie uda się panu na nią wejść –

powiedział urzędnik.

– Dlaczego? Czy opis jest niedokładny?

– Raczej nie. Tyle że jeszcze nikt nie

1137
zdołał wejść na tę ziemię. To taki nasz żar-cik.

– Cóż, zamierzam sam się przekonać –

oznajmił Rampart. – Zajmę tę działkę albo dowiem się, czemu to niemożliwe.

– Nie byłbym taki pewien – odrzekł barczysty mężczyzna. – Ostatni osadnik, który zgłosił się po działkę, ponad dziesięć lat temu, nie mógł jej zająć. I nie potrafił powiedzieć, dlaczego. To całkiem ciekawe –

oglądać ich miny, gdy próbują przez dzień-

dwa, a potem rezygnują.

Rampartowie wyszli z sądu, załadowali się do przyczepy kempingowej i wyruszyli na poszukiwanie swojej ziemi. Po drodze odwiedzili farmera, hodowcę pszenicy i bydła, Charleya Dublina, który powitał ich uśmiechem, wskazującym, że wieści już do niego dotarły.

– No to chodźcie, jeśli chcecie – rzekł. –

Najbliżej jest pieszo przez moje pastwisko.

1138

Wasza działka od zachodu sąsiaduje z moją.

Ruszyli ku granicy.

– Nazywam się Tom Rampart, panie Dublin – zagadnął sąsiada sześćioletni Tom. – Ale naprawdę nie mam na imię Tom, tylko Ramirez. Jestem owocem meksykańskiego romansu mojej matki.

– Chłopak żartuje, panie Dublin. – Mat-ka, Nina Rampart, zaczęła bronić swojej czci. – Nigdy nie byłam w Meksyku, choć czasami mam ochotę zniknąć tam na zawsze.

– Rozumiem, pani Rampart. A jak się nazywa najmłodszy synek?

– Tłuscioch – odparł Tłuscioch Rampart.

– Ale chyba nie tak cię ochrzczono?

– Audafax – wyjaśnił pięcioletni Tłuscioch.

– I co, Audafaksie, Tłusciochu. Ty też lubisz żartować?

1139

– Idzie mu coraz lepiej, panie Dublin –

wtrąciła Mary Mabel. – Do zeszłego tygodnia miał bliźniaka, Chudzielca. Mama wyszła na wódkę, zostawiając go bez opieki, a w sąsiedztwie włóczyły się dzikie psy. Kiedy mama wróciła, wie pan, co zostało z Chudzielca? Dwie kości z szyi i jedna z nogi. Nic więcej.

– Biedny Chudzielec – mruknął Dublin.

– Cóż, Rampart, to ogrodzenie wyznacza koniec mojej ziemi. Twoja leży za nim.

– Czy ten rów jest na mojej działce? –

spytał Rampart.

– Ten rów to właśnie twoja działka.

– Każę go zasypać. Choć wąski, jest niebezpiecznie głęboki. Ale drugi płot wygląda solidnie, no i mam za nim ładny kawałek gruntu.

– Nie, Rampart, ziemia za drugim płotem należy do Hollistera Hyde'a – powiedział Charley Dublin. – Tamten płot to już 1140

koniec twojej działki.

– Chwileczkę, Dublin! Coś tu nie gra.

Moja działka ma sto sześćdziesiąt akrów, czyli pół mili szerokości. Gdzie jest to pół mili?

– Między ogrodzeniami.

– Tu nie ma nawet ośmiu stóp.

– Nie wygląda zbyt imponująco, co, Rampart? Powiem ci coś – wokół leży mnóstwo poręcznych kamieni. Spróbuj rzucić na drugą stronę.

– Nie obchodzą mnie dziecinne gierki –

wybuchnął Rampart. – Chcę dostać moją ziemię.

Ale dzieci Ramparta lubiły gierki. Cała piątka zaczęła zbierać kamienie i ciskać nimi nad wąskim rowem. Kamienie zachowywały się dziwnie. Zamiast lecieć, zawi-
sały w powietrzu i malały, a kiedy spadały do rowu, były maleńkie jak żwir. Żadne z dzieci – a często zabawiały się ciskaniem 1141
kamieniami – nie zdołało dorzucić na drugą stronę.

– Razem z sąsiadem knujecie, żeby za-

trzymać dla siebie wolną działkę! – zaatakował Rampart.

– Wcale nie, Rampart – odparł radośnie Dublin. – Moja ziemia ściśle odpowiada pomiarom.

Podobnie ziemia Hyde'a. I twoja, gdybyśmy umieli to sprawdzić. To jak jeden z tych trickowych
topologicznych rysunków. Odtąd – dotąd jest najpraw-dziwsze pół mili, ale oko gubi się po drodze.
To twoja działka. Przeciśnij się przez płot i sam zobacz.

Rampart przecisnął się przez płot i na-piął mięśnie, gotów skoczyć przez rów.

Nagle zawahał się; szczelina wyglądała na naprawdę głęboką. Mimo wszystko jednak miała
najwyżej pięć stóp szerokości.

W ziemi tuż przy płocie tkwił solidny pał, przeznaczony na narożnik ogrodzenia.

1142

Rampart wyciągnął go z pewnym wysił-

kiem i pchnął tak, by utworzyć kładkę przez rów. Pał jednak okazał się zbyt krót-ki. A nie
powinien. Ośmiostopowy kawał

drewna powinien wystarczyć do zbudowania pomostu nad pięciostopową szczeliną w ziemi.

Pał runął do środka, obracając się – zu-pełnie jakby się turlał, ale tkwił w miejscu, obniżając się
powoli. Spadł na niewielki występ na ścianie rowu, tak blisko, że Rampart mógł niemal dosięgnąć go
ręką, tyle że zdawał się nie większy niż zapalka.

– Coś jest nie tak z tym palem, albo ze światem, albo z moimi oczami – oznajmił

Robert Rampart. – Chciałbym, żeby kręci-

ło mi się w głowie, bo wtedy mógłbym zrzucić to wszystko na karb zmęczenia.

– Kiedy obaj z moim sąsiadem Hyde'em

jesteśmy na dworze, zabawiamy się czasem – oznajmił Dublin. – Mam ciężką 1143

strzelbę; on staje po drugiej stronie, osiem stóp ode mnie, a ja celuję mu w środek czoła i
strzelam (jestem dobrym strzelcem). Słyszę świst kuli. Gdyby wszystko było takie jak powinno,
zabił-

bym go jak nic. Ale Hyde'owi nic nie grozi. Pocisk zawsze trafia w mały skalny wy-
stępek trzydzieści stóp niżej. Widzę, jak wzbija obłoczek skalnego pyłu, a po dwóch i pół sekundy dobiega
mnie hurgot kamieni.

Lelek (biedacy nazywają go kozodojem) krążył w powietrzu i śmigał tam i z powrotem nad
rowem, ani razu jednak nie doleciał na drugą stronę. Ptak zanurkował w dół; widzieli go nadal na tle
przeciwległej ściany. Stał się mniejszy, jego sylwetka straciła ostrość, jakby oglądali go z odległości
trzystu-czterystu jardów. Nie można już było dostrzec białych pasów na skrzydłach; potem sam ptak
stał się ledwie wi-1144

doczny, nadal jednak nie pokonał całej szerokości pięciostopowego rowu.

Mężczyzna, którego Charley Dublin zi-

dentyfikował jako swego sąsiada Holistera Hyde'a, pojawił się po drugiej stronie rowu. Hyde
uśmiechnął się i pomachał.

Zawołał coś, ale go nie usłyszeli.

– Obaj z Hyde'em umiemy czytać z ru-

chu warg – powiedział Dublin – dzięki czemu możemy z łatwością rozmawiać ponad rowem. Hej, dzieciaki, które z was chce się zabawić w tchórza? Hyde rzuci wam w głowę solidnym kamulcem, a który uchyli się albo odskoczy, jest tchórzem.

– Ja! Ja! – przyjął wyzwanie Audafax

Rampart i Hyde, potężny facet o wielkich dłoniach, cisnął w głowę chłopca pokazującym kamieniem o groźnej ostrej krawędzi.

Gdyby wszystko było takie jak powinno, zabiłby go. Ale kamień skurczył się i zniknął w głębi rowu. Oto prawdziwy cud – po 1145

obu stronach rowu rzeczy zachowywały swój prawdziwy rozmiar, lecz przekraczając jego granicę, malały.

– To co, zaczynamy? – spytał Robert Rampart junior.

– Stojąc tu, nie zejdziemy na dół – odparła Mary Mabel.

– Kto nie ryzykuje, sam w domu nocuje

– oznajmiła Cecilia. – Usłyszałam to w reklamówce komedii erotycznej.

Wówczas piątka dzieci Rampartów wbiegła do rowu. Dosłownie wbiegła. Zupełnie jakby zsuwały się po pionowym urwisku. Ale przecież nie mogły tego zrobić! Rów był nie szerszy niż krok największego z dzieci, ale zmniejszył całą piątkę, połknął ją żywcem. Najpierw były rozmiarów lalki. Potem – żołądka. Mijały minuty, a one pędziły naprzód w poprzek rowu, który miał tylko pięć stóp szerokości. Im były dalej, tym bardziej malały. Robert 1146

Rampart ryczał ze strachu, a jego żona Nina krzyczała. Nagle umilkła.

– Czemu właściwie tak się wydzieram?

– spytała samą siebie. – To wygląda na świetną zabawę. Ja też spróbuję.

Wpadła do rowu, malejąc podobnie jak

dzieci, i pobiegła miarowym krokiem sto jardów w głąb szerokiej na pięć stóp szczeliny.

Robert Rampart narobił sporego zamie-

szania. Sprowadził na miejsce szeryfa i policjantów z drogówki. Rów ukradł mu żonę i pięcioro dzieci, powiedział; może nawet je zabił. A jeżeli ktoś się zaśmieje, może dojść do kolejnego zabójstwa. Ściągnął do miasteczka pułkownika stanowej Gwardii Narodowej i przekonał go do założenia po-sterunku. Wezwał też paru pilotów. Jedno trzeba przyznać Robertowi Rampartowi: kiedy wrzeszczał, ludzie reagowali.

Sprowadził z Tulsy dziennikarzy i wy-
1147

bitnych uczonych, doktora Velikofa Von-ka, Arpada Arkabaranana i Willy'ego McGilly'ego. Ta trójka zjawia się wszę-

dzie, gdzie dzieje się coś ciekawego. Zawsze przypadkiem przebywają akurat w tej części kraju, w której dochodzi do niezwykłych wydarzeń. ..

Naukowcy zaatakowali problem ze wszystkich stron, a także z góry, od we-wnątrz i z zewnątrz. Jeśli działka mierzy po bokach pół mili, a boki są proste, to w środku musi coś być. Zrobili zdjęcia lotni-cze, które świetnie się udały i udowodniły, że Robert Rampart jest właścicielem najpiękniejszych stu sześćdziesięciu akrów w całym okręgu. Większą ich część zajmowała żyzna zielona dolina, a cała działka miała pół mili szerokości i leżała dokładnie tam, gdzie powinna. Potem zrobili zdjęcia z ziemi i ujrzeli na nich piękny półmilowy kawał gruntu pomiędzy granicami działek
1148

Charleya Dublina i Hollistera Hyde'a. Lecz człowiek to nie aparat fotograficzny. Żaden z nich nie widział na własne oczy tej ziemi. Gdzie się podziewała?

Tymczasem w dolinie wszystko było ta-

kie jak trzeba. Naprawdę miała pół mili szerokości i najwyżej osiemdziesiąt stóp głębokości pomiędzy łagodnymi zboczami. Była urocza i słodka, zielona od traw i zboża.

Nina i dzieci pokochały ją natychmiast i pobiegli sprawdzić, co za włóczęga wybudował domek na ich ziemi. Dom, a raczej szałas. Nigdy nie tknęła go farba, ale też farba zepsułaby cały efekt. Wzniesiono go z rozszczepionych drewnianych bali, starannie wygładzonych siekierą i heblem, uszczelnionych białą gliną i do połowy wysokości obłożonych darnią. A obok domku stał intruz.

– Hej, co pan robi na naszej ziemi? – za-1149

pytał ostro Robert Rampart junior. – Proszę wynosić się tam, skąd pan przyszedł.

Założę się, że jest pan także złodziejem, a te krowy zostały ukradzione.

– Tylko czarno-biały cielak – odparł

Clarence Małe Siodło. – Nie mogłem mu się oprzeć, ale reszta należy do mnie. Chyba zostanę tu jakiś czas i zobaczę, jak sobie radzicie.

– Czy w okolicy żyją dzicy Indianie? –

spytał Tłuszcioch Rampart.

– Nie, raczej nie. Co trzy miesiące urzą-

dzam sobie popijawę i trochę dziczeję, a paru chłopaków Osage z Szarego Konia lubi czasem poszaleć. Ale to wszystko.

– Nie chce pan chyba udawać wobec nas Indianina – rzuciła wyzywającym tonem Mary Mabel. –

Przekona się pan, że jeste-

śmy za mądrzy na takie sztuczki.

– Dziewczynko, równie dobrze mogła-

byś powiedzieć krowie, że nie może już 1150

być krową, bo jesteś na to za mądra. Ona uważa, że jest jałówką imieniem Słodka Wirginia. Ja sądzę, że jestem Paunisem imieniem Clarence. Jeżeli się mylimy, nie karz nas zbyt surowo.

– Skoro jest pan Indianinem, to gdzie pan ma pióropusz? Nie widzę na panu żadnego pióra.

– Jesteś pewna? Powiadają, że mamy pióra zamiast włosów na... Nie, nie mogę opowiedzieć tego dowcipu małej dziewczynce! Skoro jesteś białą dziewczynką, dlaczego nie nosisz na głowie Żelaznej Korony Lombardii? Oczekujesz, iż uwierzę, że jesteś białą dziewczynką, a twoi przodkowie przybyli tu z Europy paręset lat temu, skoro jej nie nosisz? Istnieje sześćset indiańskich szczepów. Tylko jeden z nich, Siuksowie Oglala, znał pióro-pusze, a nosili je wyłącznie wielcy wodzowie, nigdy więcej niż dwóch – trzech na-1151

raz.

– Pańska argumentacja jest nieco nacią-

gana – oznajmiła Mary Mabel. – Indianie, których widzieliśmy na Florydzie i w Atlantic City, mieli na głowach pióropu-sze, a z pewnością nie byli to członkowie tego szczepu Siuksów. Zaledwie zeszłego wieczoru w telewizorze w motelu pokazywali, jak Indianie z Massachusetts założyli pióropusz prezydentowi i nazwali go Wielkim Białym Ojcem. Chce pan powiedzieć, że wszyscy byli oszustami? Hej, kto tu z kogo żartuje?

– Jeśli jest pan Indianinem, gdzie pan ma łuk i strzały? – wtrącił Tom Rampart. –

Założę się, że nie potrafi pan nawet strzelać z łuku.

– I nie mylisz się – przyznał Clarence. –

Tylko raz w życiu strzelałem z czegoś takiego. W parku w Tulsie mieli kiedyś plac łuczniczy; można tam było wynająć sprzęt 1152

i strzelać do tarcz, przyczepionych do sto-gów siana. Rany, zdarłem sobie skórę z ca-

łego przedramienia i o mało nie złamałem kciuka, kiedy cięciwa odskoczyła. W ogóle nie potrafiłem z tego strzelać. Nie pojmuję, jak ludzie to robili.

– W porządku, dzieci – zawołała do swego potomstwa Nina Rampart. – Zaczniemy wynosić śmieci z domku, żeby-

śmy mogli w nim zamieszkać. Czy da się tu wjechać wozem kempingowym, Clarence?

– Jasne, jest tu niezła droga gruntowa, i to znacznie szersza, niż się wydaje z góry.

Mam w domku trochę zielonych bankno-

tów w starej nocnej koszuli. Pozwólcie, że je zabiorę i wyniosę się na jakiś czas. W

chacie nie sprzątano od siedmiu lat, kiedy zdarzyło się to po raz ostatni. Pokażę pani drogę na górę, a pani będzie mogła przyprowadzić samochód.

1153

– Hej, stary Indiańcu, skłamałeś! –

wrzasnęła piskliwie Cecilia Rampart, stając w drzwiach chaty. – Masz jednak pióropusz. Mogę go sobie wziąć?

– Nie chciałem skłamać; po prostu o nim zapomniałem – wyjaśnił Clarence Małe Siodło. – Mój syn, Clarence Na Oklep, przysłał mi go dla żartu dawno temu z Japonii. Jasne, możesz go sobie wziąć.

Dzieciom przydzielono zadania: miały wynosić śmieci i palić je. Tymczasem Nina Rampart i Clarence Małe Siodło wspięli się na skraj doliny poboczem drogi, która była szersza, niż wydawała się z góry.

– Nino, wróciłaś! Myślałem, że zniknę-

łaś na zawsze – wybełkotał nerwowo Robert Rampart. – Co – gdzie są dzieci?

– Zostawiłam je w dolinie, Robercie. To znaczy, w środku tego płytkiego rowu.

1154

Przez ciebie znów zaczynam się martwić.

Zamierzam sprowadzić tam wóz i rozładować go. Lepiej zejdziesz na dół i pomóż mi, Robercie.

Przestań rozmawiać z tymi dziwnymi ludźmi.

I Nina pomaszzerowała do Dublina po samochód.

– Łatwiej przysłoby wielbłądowi przejść przez ucho igielne, niż tej nie –

ulęklej kobiecie wjechać samochodem do wąskiego rowu – zauważył wybitny uczony dr Velikof Vonk.

– Wiecie, jak to robi wielbłąd? – spytał

Clarence Małe Siodło, pojawiając się nagle znikąd obok nich. – Po prostu zamyka jedno oko, tuli uszy i rusza naprzód. Kiedy wielbłąd zamknie oko i stuli uszy, staje się okropnie wąski. Poza tym, do tej sztuczki używają igły o wielkim uchu.

– Skąd się wziął ten wariat? – huknął

Robert Rampart, podskakując na trzy stopy 1155

w górę. – Teraz ludzie zaczynają wychodzić z ziemi. Chcę moją ziemię! Chcę moje dzieci! Chcę moją żonę! O, właśnie tu jedzie. Nino, nie możesz wjechać załadowanym wozem do takiego rowu!

Rozbi-

jesz się albo cię zasypie!

Nina Rampart z dużą szybkością skierowała wyladowany po brzegi wóz kempin-

gowy wprost do płytkiego rowu. Powszechnie sądzi się, że przymknęła jedno oko i bez namysłu

ruszyła naprzód. Samochód skurczył się natychmiast; był teraz mniejszy niż zabawka. Wzbił jednak

spórą chmurę kurzu, kiedy podskakując pokonywał kilkaset jardów w poprzek rowu, który miał tylko

kilka stóp szerokości.

– Rampart, wszystko to przypomina zjawisko, które nazywamy fałszywym zbliżeniem, tyle że na odwrót – wyjaśnił słynny uczony Arpad Arkabaranan, próbując ci-snać kamieniem na drugą stronę płytkiego 1156

rowu. Kamień wzleciał wysoko, osiągnąwszy szczyt łuku, pozornie zawisł w powietrzu, malejąc do rozmiarów ziarnka piasku, po czym spadł do rowu w odległości zaledwie sześciu cali. Nikt nie dorzuci kamieniem na drugą stronę półmilowej doliny, nawet jeśli wydaje się szeroka na pięć stóp.

– Przyjrzyj się kiedyś wschodzącemu księżycowi. Wygląda, jakby zajmował sporą część horyzontu, w istocie jednak pokrywa zaledwie pół stopnia. Trudno uwierzyć, że aby wypełnić cały horyzont, potrzeba siedmiuset dwudziestu takich wielkich księżyców, a sto osiemdziesiąt podobnych, ustawionych jedna nad drugą tarcz, sięgnęłoby zaledwie zenitu. Trudno też uwierzyć, że twoja dolina jest pięćset razy szersza, niż się zdaje, ale pomiary to potwierdzają.

– Chcę moją ziemię. Chcę moje dzieci.
Chcę moją żonę – zawodził tępo Rampart.
– Do diabła, znów pozwoliłem jej odejść.

1157

– Coś ci powiem, Rampy – rzucił zaczepnie Clarence Małe Siodło. – Facet, który dwukrotnie pozwala żonie odejść, nie zasługuje na to, by ją zatrzymać. Daję ci czas do zmroku, potem przegrywasz.

Polubiłem tę dzieciarnię. Jeden z nas spędzi noc tam, w dole.

Wkrótce cała grupka znalazła się w niewielkiej gospodzie przy drodze, łączącej Cleveland z Osage. Musieli przebyć tylko pół mili. Gdyby dolina wiodła w przeciwnym kierunku, mieliby do pokonania zaledwie sześć stóp.

– To łącze psychiczne w kształcie wydłużonej kopuły – oznajmił wybitny uczony Velikof Vonk – utrzymywane podświadomą unią co najmniej dwóch umysłów, z których silniejszy należy do człowieka zmarłego przed wielu laty. Zjawisko istnieje najwyraźniej od niecałych stu lat i za następnych sto znacznie osłabnie. Badania 1158

ludowych opowieści z Europy i Kambodży wskazują wyraźnie, że takie zaczarowane miejsca rzadko istnieją dłużej niż dwieście pięćdziesiąt lat. Osoba, która zapoczątkowała łącze, zazwyczaj po około stu latach od swej śmierci traci zainteresowanie – zarówno nim, jak i wszystkimi ziemskimi sprawami. To ograniczenie tanatopsychiczne. Kilka razy używano takich krótkotrwałych zjawisk podczas działań militarnych.

Dopóki pozostaje w mocy, łącze psychiczne powoduje grupowe złudzenie. Nie oszuka ptaków, królików, bydła ani aparatów fotograficznych; wyłącznie ludzi. Nie ma w nim nic meteorologicznego. To zjawisko czysto psychologiczne. Cieszę się, że mogłem podać wyjaśnienie naukowe; w przeciwnym razie sprawa ta nie dawałaby mi spokoju.

– To połączenie uskoku kontynentalnego z uskokiem nosferycznym – orzekł wybitny 1159

uczony Arpad Arkabaranan. – Dolina ma naprawdę pół mili szerokości, a jednocześnie jest szeroka na pięć stóp. Gdybyśmy zmierzyl ją dokładnie, otrzymalibyśmy podwójny wynik. Oczywiście, że to zjawisko meteorologiczne! Wszystko jest

meteorologiczne, łącznie ze snami. To zwierzęta i aparaty fotograficzne dają się nabrać, brak im bowiem prawdziwej głębi; jedynie ludzie dostrzegają tę dwoistość.

Fenomen ten winien występować powszechnie wzdłuż uskoku: w tym miejscu ziemia co chwilę zyskuje lub traci pół mili, które musi się gdzieś podziewać. Zapewne jest też powszechny w Lasach Krzyżowych. Wiele drzew pojawia się dwukrotnie, inne nie pojawiają się wcale. Człowiek o odpowiednim nastawieniu mógłby uprawiać tę ziemię czy hodować na niej bydło, w rzeczywistości jednak ona nie istnieje.

Coś takiego odnotowano w niemieckim 1160

Schwartzwaldzie w sektorze Luftspiege-lungthat, który istnieje bądź nie w zależności od okoliczności i nastawienia obserwatora. Weźmy też Szaloną Górę w okręgu Morgan w Tennessee, która cały czas nie istnieje, a także miraż Małego Wilka na południe od Presidio w Teksasie – zanim miraż znów stał się mirażem, w ciągu dwóch i pół roku wypompowano z niego dwadzieścia tysięcy beczek wody. Cieszę się, że mogłem podać wyjaśnienie naukowe; w przeciwnym razie sprawa ta nie dałaby mi spokoju.

– Zupełnie nie pojmuję, jak mu się udało

– powiedział wybitny uczonek Willy McGilly. – Kora cedrowa, liście czarnego bzu i słowo „Petahauerat”. To niemożliwe!

Kiedy w dzieciństwie chcieliśmy zrobić sobie kryjówkę, używaliśmy kory świerkowej i liści klonu, a słowo brzmiało: „Bo-adicea”. Tu nie zgadza się żaden z elementów 1161

tów. Nie potrafię podać wyjaśnienia naukowego; ta sprawa nie daje mi spokoju.

Wrócili do Wąskiej Doliny. Robert Rampart nadal zawodził tępo:

– Chcę moją ziemię. Chcę moje dzieci.

Chcę moją żonę.

Nagle z wąskiego rowu wynurzył się pyrkający wóz kempingowy z Niną Rampart za kierownicą.

– Robercie, kolacja już gotowa, a nas znudziło czekanie – oznajmiła. – Też mi osadnik! Boi się wejść na własną ziemię!

Chodź już; zanadto się ociągasz.

– Chcę moją ziemię! Chcę moje dzieci!

Chcę moją żonę! – jęczał Robert Rampart.

– A, jesteś, Nino. Tym razem tu zostań.

Chcę moją ziemię! Chcę moje dzieci!

Chcę, by ktoś wyjaśnił mi to okropieństwo!

– Czas zdecydować, kto nosi spodnie w tej rodzinie – powiedziała stanowczo Nina.

1162

Podniosła męża, zarzuciła sobie na ramię, zaniosiła do wozu i wepchnęła do środka, trzasnęła (tak to brzmiało) tuzinem drzwi jednocześnie i z wściekłą determinacją wjechała do Wąskiej Doliny, która już zdawała się szersza.

Ależ to miejsce z każdą chwilą stawało się normalniejsze! Wkrótce wyglądało już niemal tak szeroko jak powinno. Łącze psychiczne w kształcie wydłużonej kopyły zostało zerwane. Połączenie uskoku konty-nentalnego z uskokiem nosferycznym postanowiło stawić czoło rzeczywistości i przystosować się do niej. Rampartowie legalnie objęli w posiadanie działkę, a Wąska Dolina była najnormalniejsza w świecie.

– Straciłem swoją ziemię! – jęknął Clarence Małe Siodło. – Wcześniej należała do mego ojca, Clarence'a Wielkie Siodło, i chciałem, żeby przeszła na syna, Clarence-1163

'a Na Oklep. Wydawała się tak wąska, że ludzie nie dostrzegali jej prawdziwej szerokości i nie próbowali tam wchodzić. Teraz ją straciłem.

Clarence Małe Siodło i wybitny uczony Willy McGilly stali na skraju Wąskiej Doliny, która obecnie miała pełne pół mili szerokości. Właśnie wschodził księżyc; wielka tarcza zdawała się wypełniać trzecią część nieba. Kto mógłby przypuszczać, że trzeba stu osiemdziesięciu podobnych potworów, by sięgnąć od horyzontu do zenitu, a przecież dało się to wymierzyć i obliczyć.

– Złapałem szczęście za ogon i pozwoli-
łem mu się wymknąć – jęczał Clarence. –

Miałem za darmo piękną dolinę i straciłem ją. Jestem jak ten pechowiec z komiksów albo biblijny Hiob. Przeznaczeniem mym jest nędza.

Willy McGilly rozejrzał się bezradnie.

1164

Byli sami na skraju doliny.

– A może by tak doładować zaklęcie? –
zapropozował.

Hej, ci dwaj naprawdę zabrali się do tego! Rozpalili trzaskające ognisko i wrzucali do niego różne rzeczy. Korę wiązu –

skąd wiadomo, że nie zadziała?

I zadziałała! Przeciwległa ściana doliny zdawała się bliższa o sto jardów, a z dołu dobiegały głosy zaniepokojonych osadników.

Liście czarnej akacji – i dolina znów się zwężyła! Z głębi Wąskiej Doliny dochodzi-
ły przerażone krzyki dzieci i dorosłych, a także radosny głos Mary Mabel Rampart, nucącej:

– Trzęsienie ziemi! Trzęsienie ziemi!

– Oby moja dolina była zawsze szeroka, żyzna i tak dalej, zielona od traw i forsy –
zaintonował Clarence Małe Siodło na melodię pieśni Paunisów. – Jeśli jednak na-

1165
dejda intruzi, oby stała się wąska i zgmiotła ich jak garść robaków!

Dolina miała już najwyżej sto stóp szerokości, a do wrzasków z dołu dołączył hi-steryczny terkot silnika wozu kempingo-wego.

Willy i Clarence wrzucili do ognia resztę kory i liści. Ale słowo? Słowo? Kto pa-mięta słowo?

– Korsikanateksas! – huknął Clarence pewnym siebie tonem, który – taką miał
nadzieję – oszuka los.

Odpowiedziała mu nie tylko oślepiająca letnia błyskawica, ale też grzmot i krople deszczu.

– Chahiksi! – zaklął Clarence Małe Sio-dło. – Udało się. A wcale w to nie wierzy-
łem. Teraz wszystko będzie w porządku.

Przyda mi się deszcz.

Dolina znów była rowem szerokim na pięć stóp.

1166

Wóz kempingowy z trudem przecisnął
się przez maleńką bramę Wąskiej Doliny.

Był płaski jak kartka papieru, a siedzący w środku dorośli i wrzeszczące dzieci mieli tylko jeden wymiar.

– Zamyka się! Zamyka się! – ryczał Robert Rampart, cieniutki jak tekturowa la-
leczka wycinanka.

– Zgmiotło nas jak muchy – wyśpiwy-
wali chłopcy Rampartów. – Jesteśmy ciency jak papier.

– *Mort, ruine, ecrasement!* – zadekla-mowała Cecilia Rampart tonem wielkiej tragiczki, którą

zresztą była.

– Ratunku! Pomocy! – wychrypiała Nina Rampart, lecz kiedy samochód przejeżdżał obok Willy'ego i Clarence'a, mrugnęła porozumiewawczo. – Zawsze uważałam, że temu pomysłowi z osadnictwem brak głębi.

– Nie wyrzucajcie papierowych lale-1167

czek! Może to są Rampartowie! – wołała Mary Mabel.

Wóz kempingowy zakrzuszył się i pod-

skoczył na wertepach. To nie mogło trwać wiecznie. Odjeżdżając, zaczął się rozszerzać.

– Czy aby nie przesadziliśmy, Clarence?

– spytał Willy McGilly. – Co powiedział

jeden płaszczak do drugiego?

– Nasze życie jest dziwnie jednowymiarowe – odparł Clarence. – Nie, nie sądzę, abyśmy przesadzili, Willy. Samochód ma już co najmniej osiemnaście cali szerokości, a kiedy dotrze do głównej drogi, powinien wrócić do normy. Następnym razem zamierzam wrzucić do ognia drewno-podobny plastik. Przekonamy się, kto tu z kogo robi jaja.

1168

PHILIP K. DICK

WIARA NASZYCH

OJCÓW

(Faith of our fathers)

Przełożyła Magdalena Gawlik

Philip K. Dick (1928-1982) pisywał powieści i opowiadania badające „rzeczywistość” we wszystkich jej licznych przejawach, pozwalając swoim bohaterom na równi z czytelnikami dochodzić do tego, co jest rzeczywiste, a co nie jest.

W roku 1962 zdobył Hugo za „Człowieka z Wysokiego Zamku”. Na kanwie utworów jego autorstwa powstało wiele filmów – bez wątpienia najświetniejszym jest „Blade Runner”

Ridleya Scotta.

1169

Spiesząc ulicami Hanoi, ujrzał przed sobą beznogiego kramarza, który jechał na małym, drewnianym wózku, krzykliwie zaczepiając przechodniów. Chien zwolnił

kroku, nadstawił ucha, ale nie przystanął; w myślach uparcie kołatały mu się sprawy Ministerstwa Dóbr Kultury i całkowicie pochłaniały jego uwagę. Czuł, jak gdyby był sam, a otaczający go rowerzyści, moto-cykliści i kierowcy skuterów nie istnieli.

To samo dotyczyło beznogiego kramarza.

– Towarzyszu – zawołał kramarz i popę-

dził za nim na swoim wózku. Zwiększył

napęd helowego akumulatora i bez trudu dogonił Chiena. – Posiadam szeroki asortyment sprawdzonych leków ziołowych wraz z rekomendacjami tysięcy lojalnych użytkowników. Powiedz, na czym polega twoje schorzenie, a służę pomocą.

1170

Chien przystanął.

– Ależ ja nie jestem chory. – Jeśli nie liczyć chronicznej niedyspozycji trapiącej członków Komitetu Centralnego, dokoń-

czył w myślach, która polega na gorliwym testowaniu barier wszystkich wysokich stanowisk. Łącznie z moim własnym.

– Potrafię wyleczyć na przykład chorobę popromienną – zapewnił kramarz, nie da-
jąc za wygraną. – Lub też, w razie potrzeby, rozszerzyć zakres seksualnych możli-
wości. Mogę zatrzymać postępujący nowo-twór, nawet raka skóry, zwanego czerniakiem. – Unosząc w górę tacę zastawioną
butelkami, małymi puszkami z aluminium oraz plastikowymi słoikami pełnymi rozmaitych proszków,
sprzedawca zaśpiewał:

– Jeżeli rywal uparcie nastaje na twoją in-tratną posadkę, proponuję maść, która pod postacią
lecniczego balsamu kryje w sobie niezawodną truciznę. Moje ceny, towa-1171
rzyszu, są niskie. Poza tym, od takiego szacownego klienta jak ty, przyjmę powo-jenne dolary
inflacyjne o rzekomo międzynarodowej wartości, w istocie zaś niewarte więcej niż papier toaletowy.

– Idź do diabła – warknął Chien i zamachał na przejeżdżającą taksówkę. Był już o trzy i pół
minuty spóźniony na swoje pierwsze spotkanie i jego opaśli przełożeni w ministerstwie nie
omieszkają skrzętnie tego odnotować – podobnie zresztą jak jego podwładni.

– Ale, towarzyszu – powiedział ściszym głosem kramarz – przecież musisz coś ode mnie kupić.

– Jak to? – zdziwił się Chien.

– Tak to, towarzyszu, ponieważ jestem weteranem wojennym. Walczyłem w Ko-losalnej
Ostatecznej Wojnie Wyzwolenia Narodowego przy Ludowym Zjednoczo-
nym Froncie Demokratycznym przeciwko

1172
imperialistom i postradałem kulasy w bitwie pod San Francisco. – W jego triumfalnym głosie
pojawiły się nuty przebiegło-

ści. – Takie jest prawo. Jeżeli odmawiasz zakupu towaru oferowanego przez weterana,
ryzykujesz grzywną oraz możliwą karą więzienia. Nie mówiąc o poniżeniu.

Chien z rezygnacją odprawił taksówkę.

– No tak – przyznał. – Dobrze, muszę
coś od ciebie kupić. – Obrzucił przelotnym spojrzeniem skromną zawartość tacy, chcąc wybrać
coś na chybił trafił. – To –

zdecydował, wskazując na owiniętą w papier paczuszkę w ostatnim rzędzie.

Kramarz wybuchnął śmiechem.

– To środek plemnikobójczy, towarzy-
szu, kupowany przez kobiety, które z przyczyn politycznych nie mogą stosować pi-
gułki. Z uwagi na twoją płęć, miałyby dla ciebie wątpliwą przydatność.

– Prawo – odparł kąśliwie Chien – nie 1173

nakazuje mi kupować od ciebie czegoś użytecznego; ważne, żebym w ogóle coś kupił. Biorę. –
Sięgnął do kieszeni płaszcza po pękaty portfel z uzupełnianym cztery razy w tygodniu zasobem
gotówki.

Bądź co bądź, pracował dla rządu.

– Opowiedz mi o swoich problemach –
powiedział sprzedawca.

Wstrząśnięty jawnym naruszeniem pry-
watności – i to ze strony osobnika spoza rządu – Chien wlepił w niego zdumione spojrzenie.

– W porządku, towarzyszu – powiedział

kramarz, widząc jego minę. – Nie będę drażył; wybacz. Niemniej jako lekarz –

zielarz i uzdrowiciel – powinienem wiedzieć jak najwięcej. – Zamilkł z nagłą powagą na

wychudłej twarzy. – Czy nie oglą-

dasz za często telewizji? – zapytał zniechęcony.

– Co wieczór – odrzekł wzięty z zasko-1174

czenia Chien. – Za wyjątkiem piątków, kiedy idę do klubu poćwiczyć importowaną sztukę ezoteryczną pokonanego Zachodu, polegającą na chwytaniu byka za rogi.

– Stanowiło to jego jedyną rozrywkę; poza tym był całkowicie oddany interesom Partii.

Kramarz sięgnął po owiniętą w szary papier paczkę.

– Sześćdziesiąt dolarów – oznajmił. –

Pełna gwarancja; jeśli nie pomoże, oddaj pozostałą część, a otrzymasz zwrot kosztów.

– A niby na co ma to pomóc? – zapytał

cierpko Chien.

– Da wytchnienie oczom znużonym pa-

trzeniem na mówców wygłaszających bezsensowne monologi – oświadczył kramarz.

– Zapewni natychmiastową ulgę; należy zażyć z chwilą rozpoczęcia nudnego i długiego kazania, które...

1175

Chien zapłacił, odebrał pakunek i odszedł. Guzik prawda, powiedział do siebie.

Przepis ustanawiający weteranów klasą uprzywilejowaną to szalbierstwo. Żerują na nas, młodszych, jak sępy.

Wkrótce zapomniał o schowanej w kieszeni paczce i wszedł do przytłaczającej siedziby Powojennego Ministerstwa Dóbr Kultury, gdzie czekały na niego codzienne obowiązki.

W swoim biurze zastał tęgawego mężczyznę rasy kaukaskiej, ubranego w brązowy, dwurzędowy, jedwabny garnitur z kamizelką.

Obok nieznanego stał bezpo-

średni przełożony Chiena, Ssu-Ma Tso-

-pin. Tso-pin przedstawił obu mężczyznom w dialekcie kantońskim, którego poprawność pozostawiała wiele do życzenia.

– Panie Tung Chien, to pan Darius Pethel.

Pan Pethel obejmie funkcję kierownika nowej organizacji ideologiczno-kulturo-1176

wej o charakterze dydaktycznym, która niebawem powstanie w San Fernando w stanie Kalifornia.

– Dodał: – Pan Pethel posiada bogate, wieloletnie doświadczenie w dziedzinie ludowej walki przeciwko państwom bloku imperialistycznego za pomocą mediów pedagogicznych; stąd ten awans.

Uścisnęli sobie dłonie.

– Herbaty? – zaproponował Chien. Wci-

snął przycisk podczerwonego *hibachi*, w wyniku czego woda w ornamentowanym ceramicznym dzbanku japońskiego pochodzenia natychmiast zabulgotała. Gdy usiadł przy biurku, zobaczył, że nieoceniona panna Hsi dostarczyła mu (tajne) materiały na temat towarzysza Pethela. Przejrzał je mimochodem, nic nie dając po sobie poznać.

– Prawdziwy Dobroczyńca Ludu osobi-

ście spotkał się z panem Pethelem i mu ufa 1177

– zakomunikował Tso-pin. – To niezmiernie rzadkie. Uczelnia w San Fernando na pozór ma nauczać najzwyklejszej filozofii taoizmu, w rzeczywistości jednak jej głównym celem będzie utrzymanie sieci komunistycznej z liberalnymi, młodymi intelektualistami z zachodnich Stanów Zjednoczonych. Wielu z nich pozostało przy życiu, od San Diego do Sacramento; szacujemy ich liczbę na przynajmniej dziesięć tysięcy. Szkoła przyjmie dwa tysiące. Dla tych, których wybierzemy, zapisanie się będzie obowiązkowe. Pański związek z projektem pana Pethela jest nieodzowny.

Hm, woda się panu zagotowała.

– Dziękuję – odmruknął Chien, wrzucając do dzbanka torebkę herbaty Lipton.

– Mimo faktu, że pan Pethel obejmie nadzór nad ułożeniem kursów dla studentów – podjął Tso-pin – wszystkie papiery egzaminacyjne zostaną przekazane tutaj, 1178

do pańskiego gabinetu, w celu dokładnych, fachowych, ideologicznych oględzin. Innymi słowy, panie Chien, stwierdzi pan, kto spośród dwóch tysięcy studentów jest godny zaufania, kto odbiera przesłanie kursu, a kto nie.

– Należę herbatę – odrzekł Chien i ceremonialnie rozlał napój do filiżanek.

– Musimy uświadomić sobie, co nastę-

puje. – Kantoński Pethela był znacznie gorszy niż Tso-pina. – W wyniku porażki w prowadzonej przeciwko nam wojnie globalnej, amerykańska młodzież rozwinęła w sobie talent do symulacji. – Ostatnie słowo wypowiedział po angielsku; Chien nie rozumiał i spojrzał na swego przełożonego.

– On ma na myśli kłamstwo – wyjaśnił

Tso-pin.

– Dla niepoznaki wykrzykują slogany, choć w istocie myślą coś zupełnie przeciwnego – ciągnął Pethel. – Testy egzamina-1179

cyjne tej grupy będą przypominać prace szczerych...

– Chcecie przez to powiedzieć, że do mojego gabinetu trafią prace dwóch tysięcy studentów? – zapytał Chien. Nie wierzył własnym uszom. – Przecież to zajęcie na cały etat; w żadnym wypadku nie mam na to czasu. – Nie krył przerażenia. – Proponowane przez was wydanie oficjalnego potwierdzenia lub odrzucenie wyłonionych prac... – Machnął ręką. – Psiakrew.

Mrugając oczami na ten dosadny prze-

jaw zachodniej wulgarności, Tso-pin odparł:

– Ma pan ludzi. Poza tym, może pan poprosić o więcej etatów; pozwoli na to zwiększony w tym roku budżet ministerstwa. I proszę pamiętać: Prawdziwy Dobroczyńca Ludu osobiście wybrał pana Pethela. – W jego głosie pojawił się subtelny cień groźby. Na tyle wyraźny, aby stłumić 1180

histerię Chiena i nakłonić go do posłuszeń-

stwa. Przynajmniej na razie. By poprzeć swoje słowa, Tso-pin podszedł do wiszącego na ścianie trójwymiarowego portretu Prawdziwego Dobroczyńcy. Jego bliskość uruchomiła po chwili ukryty w ścianie mechanizm; oblicze Dobroczyńcy drgnęło i dobiegło zeń znajome przesłanie. – Walczcie o pokój, synowie – zaintonował łagodnie acz stanowczo portret.

– Ha – powiedział Chien, skrzętnie ukrywając swój niepokój. Być może jeden z ministerialnych komputerów mógłby sortować testy. Wprowadzenie zasady ta-k-nie-być może wraz ze wstępną analizą wzorca ideologicznej poprawności – i nie-poprawności – nadałoby przedsięwzięciu rutynowy charakter. Prawdopodobnie.

– Chciałbym, żeby przejrzał pan przyniesiony przeze mnie materiał – odezwał się Darius Pethel. Otworzył szkaradną, sta-1181

roświecką teczkę z plastiku. – Dwa eseje egzaminacyjne – dorzucił, podając dokumenty Chienowi. – To pomoże nam usta-

lić, czy posiada pan odpowiednie kwalifikacje. – Zerknął na Tso-pina; wymienili spojrzenia. – Rozumiem – powiedział Pethel – że jeśli powiecie się panu w tym przedsięwzięciu, zostanie pan wiceradnym ministerstwa, a Jego Wspaniałość Prawdziwy Dobroczyńca Ludu osobiście udekoruje pana medalem Kisterigiana. – Na wargach obu mężczyzn pojawiły się czujne uśmiechy.

– Medal Kisterigiana – powtórzył jak echo Chien. Wziął testy do ręki i przejrzał

je z demonstracyjną obojętnością. Serce jednak waliło mu w piersi jak młotem. –

Dlaczego akurat te dwa? Czego tak właściwie mam szukać, sir?

– Jeden z nich – powiedział Pethel – to praca oddanego, lojalnego członka Partii, 1182

oparta na sumiennie przestudiowanym za-gadnieniu. Drugi został napisany przez młodego *stilyagi*, którego podejrzewamy o hołdowanie zdegenerowanym ideom imperialistycznym. Od pana zależy decyzja, który jest który.

Wielkie dzięki, odpowiedział w duchu Chien. Niemniej jednak kiwnął głową i przeczytał nagłówek eseju.

DOKTRYNY PRAWDZIWEGO DO-
BROCYŃCY PRZEWIDZIANE W PO-
EZJI BAHÁ AD-DIN ZUHAYRA W
TRZYNASTOWIECZNEJ ARABII

Spoglądając na wstęp do pracy, Chien dostrzegł znany mu czterowiersz pod tytu-
łem „Śmierć”. Znał go przez większość swojego dorosłego życia.

Choć raz i drugi przymknęła swe oczy, 1183

*Nie jest jej straszna góra ni dolina, Spośród chwil wielu, w jednej cię zaskoczy, Gdyż kwiecie
życia zawsze równo ścina.*

– Mocne – stwierdził Chien. – Co za wiersz.

– Autor wykorzystuje go po to – odparł

Pethel, śledząc ruch warg Chiena ponownie odczytującego czterowiersz – aby wskazać na
pradawną mądrość Prawdziwego Dobroczyńcy w naszym współczesnym

życiu, mądrość głoszącą, że żadna jednostka nie jest bezpieczna; wszyscy są śmiertelni i tylko
ponadosobowy, historycznie uzasadniony cel ma szansę na przetrwanie.

Czy przyzna mu pan rację? To znaczy, temu studentowi? Czy też... – Pethel spau-zował. – Może
ośmiesza on tezy Dobro-

czyńcy?

– Pozwólcie mi obejrzeć drugą pracę –
zapropozował ostrożnie Chien.

1184

– Nie potrzebuje pan dalszych wskazo-
wek; proszę podjąć decyzję.

– Ja... nigdy nie postrzegałem tego wiersza w ten sposób – odpowiedział z wahaniem Chien. –

Tak czy inaczej, nie wyszedł on spod pióra Baha ad – Din Zuhay-ra, lecz należy do antologii „Baśnie
1001

Nocy”. Przyznaję, że to również trzynasty wiek. – Pospiesznie przebiegł wzrokiem towarzyszący
wierszowi tekst. Wyglądało na to, że ma do Czynienia z rutynową po-wtórką partyjnych sloganów,
które wszystkie znał na pamięć od kołyski. Ślepy, im-perialistyczny potwór węszący ludzkie
aspiracje, knowania wciąż aktywnego ugrupowania antypartyjnego we wschodniej części Stanów
Zjednoczonych... Poczł się znudzony i równie wyzuty z polo-tu jak wypracowanie studenta. Musimy
wytrwać, głosił esej. Zetrzeć niedobitki Pentagonu w Catskills, ujarzmić Tennes-1185

see, a zwłaszcza ośrodek reakcji w czerwonych wzgórzach Oklahomy. Westchnął.

– Myślę, że powinniśmy dać panu Chie-

nowi czas do namysłu w chwilach wolnych od pracy – wtrącił Tso-pin. Zwrócił

się do Chiena: – Ma pan pozwolenie, by zabrać je do domu i tam ocenić. – Skłonił

się, na wpół szyderczo, na wpół uprzejmie.

Bez względu na urazę, Chien mógł na jakiś czas spokojnie odetchnąć, i za to był wdzięczny.

– Jest pan bardzo uprzejmy – wymamro-

tał – pozwalając mi wykonać tę nową i wysoce stymulującą pracę w wolnym czasie. Gdyby Mikoyan żył, radośnie by temu przyklasnął. – Ty draniu, pomyślał w duchu, mając na myśli zarówno przełożone-go, jak i Dariusa Pethela. Takie niewygodne zadanie, i to na dodatek w wolnym czasie. Wyglądało na to, że Komunistyczna Partia w USA popadła w tarapaty; w ze-1186

tknięciu z opieszalymi, ekscentrycznymi jankesami jej akademie indoktrynacji najwyraźniej nie spełniały swojej powinności.

Niewdzięczne zadanie sprawdzania ich prac przekazywano z rąk do rąk, aż wreszcie trafiło do mnie.

Wielkie dzięki, pomyślał cierpko.

Tego wieczora, w swoim małym, acz ładnie urządzonej mieszkaniu, przeczytał drugi z esejów, napisany przez Marion Culper. Autorka posłużyła się poezją. Najwyraźniej była to specjalizacja grupy. Zrobiło mu się niedobrze. Zawsze był przeciwny wykorzystywaniu poezji – lub innej formy artystycznej – do celów społecznych. Rozparł się wygodnie na swoim prostującym kręgosłup skórzanym fotelu, zapalił gigantyczne cygaro Cuesta Rey Numer Jeden na Angielskim Rynku i zagłębił

się w lekturze.

1187

Autorka wypracowania, panna Culper, wybrała jako tekst źródłowy fragment wiersza siedemnastowiecznego poety angielskiego Johna Drydena pt. „Pieśń na Dzień Świętej Cecylii”.

*... I tak w ostatniej, straszliwej godzinie
Gdy wielka trwoga w nasze serca spłynie
Dźwięczne się w niebie rozlegnie śpiewanie
Żywy odda ducha, zmarły z grobu wstanie
I wszyscy posłyszają aniołowe granie.*

No proszę, pomyślał kąśliwie Chien.

Czyżby Dryden przewidział koniec kapita-lizmu? Chryste. Sięgnął po cygaro i stwierdził, że zgasło. Grzebiąc w kieszeni w poszukiwaniu japońskiej zapalniczki, na wpół uniósł się z miejsca. Z odległego krańca pokoju rozległ się przeraźliwy dźwięk telewizora.

1188

Aha, pomyślał Chien. Zaraz przemówi do nas Przywódca. Prawdziwy Dobroczyńca Ludu, z Pekinu, gdzie mieszka od dziewięćdziesięciu lat, a może i stu? Albo, jak niekiedy lubimy go nazywać...

– Niech dziesięć tysięcy kwiatów dobrowolnego ubóstwa zakwitnie w waszych duchowych ogrodach – powiedział spiker.

Chien z jękiem powstał z miejsca i wykonał obowiązkowy ukłon. Każdy odbiornik telewizyjny wyposażony był w urządzenie monitorujące EsBe, Służby Bezpieczeństwa, która czuwała, by obywatele oglądali i/lub kłaniali się we właściwym momencie.

Na ekranie pojawiło się szerokie, gładkie, zdrowe oblicze studwudziestoletniego przywódcy wschodniej Partii Komunistycznej, władcy wielu – zbyt wielu, pomyślał Chien – dusz. Wypchaj się, rzucił w duchu i ponownie usiadł na skórzanym fotelu, tym razem twarzą do telewizora.

1189

– Moje myśli – powiedział głębokim, dobitnym tonem Prawdziwy Dobroczyńca – są z wami, dzieci. Zwracam się szczególnie do pana Tung Chiena z Hanoi, który ma przed sobą trudne zadanie, zadanie wzbogacania obywateli Demokratycznego Wschodu oraz amerykańskiego

Zachodnie-go Wybrzeża. Skierujmy nasze myśli ku temu szlachetnemu, oddanemu człowiekowi i jego zadaniu, ja zaś postanowiłem po-

święcić parę chwil swego czasu na to, by go uhonorować i zachęcić. Słucha pan, panie Chien?

– Tak, Wasza Wspaniałość – odparł

Chien, zastanawiając się, co skłoniło Prawdziwego Dobroczyńcę, żeby tego wieczora zwrócić się właśnie do niego. Stwierdził

cynicznie, iż rzecz była mało przekonują-

ca. Być może przemówienie transmitowa-no jedynie do tego budynku – w najlepszym razie do miasta. Mógł to też być 1190

zgrabny fotomontaż, dzieło Hanoi TV, sp.

z o. o. Tak czy owak, jego obowiązkiem było zamienić się w słuch – i chłonać. Tak też uczynił, przyzwyczajony wieloletnią rutyną. Na zewnątrz sprawiał wrażenie głę-

boko zasłuchanego w słowa Mistrza. W

rzeczywistości jednak wciąż zastanawiał

się nad dwiema pracami egzaminacyjnymi, zachodząc w głowę, która jest która; kiedy partyjny entuzjizm przechodził w sardo-niczny paszkwil? Trudno powiedzieć... co oczywiście tłumaczyło, dlaczego zadanie wylądowało na jego barkach.

Ponownie sięgnął do kieszeni po zapalniczkę – i jego palce natrafiły na małą, szarą kopertę kupioną od weterana. Psiakość, pomyślał, przypominając sobie jej cenę.

Pieniądze wyrzucone w błoto, i to w zamian za co? Za nic. Obrócił w rękach paczuszkę i jego uwagę przykuły wydrukowane drobną czcionką słowa. Hm, stwier-

dził, przystępując do ostrożnego otwierania zawiniątka. Tekst – zgodnie z zamierzeniem jego autora – wzbudził jego ciekawość.

Zawodzisz jako członek Partii i istota ludzka?

Boisz się zapomnienia

Na spopielalam stosie historii...

Pospiesznie przebiegł wzrokiem tekst w poszukiwaniu właściwości zakupionego specyfiku.

Tymczasem Prawdziwy Dobroczyńca

mówił dalej.

Tabaka. Koperta zawierała tabakę. Niezliczone ziarenka przypominające proch, których aromat przyjemnie polechtał go w nozdrza. Odkrył, że mieszanka nosiła na-zwę Princes Special. Ładnie, uznał. Kiedyś zażył tabaki – palenie tytoniu było z przy-

1192

czyn zdrowotnych zabronione – jeszcze w czasach akademickich, na uniwersytecie pekińskim.

Cieszyła się krótką, choć intensywną popularnością, zwłaszcza amator-skie mieszanki wytwarzane w Chungking z Bóg wie czego. Do tabaki można było do-dać praktycznie każdy aromat, od esencji organicznej do sproszkowanych małych krabów... takie przynajmniej odnosiło się wrażenie, zwłaszcza w wypadku angielskiej mieszanki High Dry Toast, która skutecznie zniechęciła go do wdychanych używek.

Na ekranie telewizora Prawdziwy Dobroczyńca ciągnął swoją monotonną wypowiedź, podczas gdy Chien ostrożnie wciągnął proszek nosem i przeczytał wska-zania – specyfik leczył wszystko, począwszy od spóźnień do pracy, aż do zakochania w kobiecie o politycznie dwuznacznym pochodzeniu. Ciekawe. Aczkolwiek typo-

1193

we...
Zadzwoił dzwonek.

Wstał i podszedł do drzwi ze świadomo-

ścią człowieka, który wie, kto za nimi stoi.

Zgodnie z jego przewidywaniami, na korytarzu stał Mou Kuei, strażnik budynku, niski, ostrooki i czujny. Na ramieniu miał

opaskę służbową, a na głowie metalowy hełm, co wskazywało na to, że nie żartował.

– Panie Chien, towarzyszu partyjny.

Otrzymałem telefon ze stacji telewizyjnej.

Zamiast oglądać program, zabawiacie się paczką o podejrzanym zawartości. – W jego rękach pojawił się notes i długopis. –

Otrzymujecie dwa czerwone znaki i od tej pory macie usiąść w wygodnej, zrelakso-wanej pozycji przed waszym odbiornikiem i ofiarować Przywódcy swą niepodzielną uwagę. Jego słowa dziś wieczorem adresowane są właśnie do was; podkreślam, do 1194

was.

– Wątpię – odparł Chien.

Kuei zamrugał.

– Co proszę?

– Przywódca rzędi ośmioma miliardami towarzyszy. Przecież nie będzie mnie wyróżniał. – Poczł przyplływ złości; punktualność reprimendy strażnika wyprowadziła go z równowagi.

– Przecież sam słyzałem – odrzekł

Kuei. – Wyraźnie o was wspomniał.

Chien podszedł do telewizora i podkreślił głośność.

– Teraz mówi o porażkach w Indiach Ludowych; to nie ma nic wspólnego ze mną.

– Wszystkie poruszane przez Przywódcę sprawy są istotne. – Mou Kuei nabazgrał coś w notesie, skłonił się oficjalnie i odwrócił na pięcie. – Polecenie, abym się u was stawił, nadeszło z Centralnego. Wyni-1195

ka stąd, że wasze skupienie jest dla nich istotne. Nakazuję wam uruchomienie automatycznego obwodu rejestrującego transmisję i obejrzenie wcześniejszych fragmentów przemówienia.

Chien pierdnął. I zatrzasnął drzwi.

No to z powrotem do telewizora, zakomenderował w duchu. Tam, gdzie ma spędzić wolny czas. I gdzie czekają na niego dwa wypracowania, leżące mu kamieniem na sercu. I to

w moim własnym czasie, po-myślał ze złością. Do diabła z nimi. Mam to gdzieś. Wielkimi krokami podszedł do odbiornika i przystąpił do jego wyłączania; natychmiast zapaliło się czerwone światelko ostrzegawcze, informując go, że nie ma prawa wyłączyć telewizora – w gruncie rzeczy nie

zdołałby przerwać tyrady, nawet gdyby odłączył go od sieci. Obowiązkowe wysłuchiwanie przemówień, pomyślał, wykończy nas wszystkich. Gdybym tylko 1196

mógł się od nich uwolnić, od zgiełku Partii, jej ujadania podczas nagonki na ludzkość...

O ile wiedział, nie istniał żaden przepis, zabraniający mu zażywania tabaki w trakcie oglądania Przywódcy. Otworzywszy więc paczuszkę, wysypał część czarnych granulek na lewą dłoń. Następnie wprawnie podniósł rękę do twarzy i głęboko wciągnął substancję w zatoki nosowe.

Przypomniał sobie dawne przekonanie, że nozdrza prowadziły prosto do mózgu, czyli wdychany proszek bezpośrednio wpływał

na korę mózgową. Uśmiechnął się, usiadł i skierował spojrzenie na telewizor oraz dobrze znanego wszystkim gestykulującego osobnika.

Oblicze mówiącego zafalowało i znikło.

Dźwięk urwał się. Miał przed sobą próż-

nię. Spoglądał w biały i pusty ekran, słyszając sączący się z głośnika cichy pomruk.

1197

Cholerna tabaka, pomyślał. I zachłannie wciągnął w nozdrza pozostałość proszku, czując, jak wędruje zatokami i, jak mu się zdawało, dochodzi do mózgu. Z rosnącym zapamiętaniem chłonał substancję, pozwalając, by docierała coraz głębiej.

Ekran był w dalszym ciągu pusty. Naraz stopniowo zaczął formować się na nim ja-kiś kształt. Nie był to jednak Przywódca.

Postać nie przypominała Prawdziwego Dobroczyńcy Ludu ani nawet człowieka.

Miał przed sobą mechaniczną konstruk-

cję, złożoną z szeregu obwodów i rozkołysanych pseudoodnoży, soczewek oraz skrzeczącej skrzynki, która jazgotliwie podjęła swoją przemowę.

Co to jest, pomyślał, z osłupieniem wpatrując się w ekran. Rzeczywistość? Halucynacje, stwierdził. Kramarz znalazł się w posiadaniu psychodelicznych środków używanych podczas Wojny Wyzwolenia.

1198

Sprzedaje to świństwo, a ja je zażyłem, i to ile!

Chwiejnie doszedł do wideofonu i wy-

kreślił numer najbliższej stacji EsBe.

– Chcę zgłosić dystrybutora środków halucynogennych – powiedział do słuchawki.

– Pańskie nazwisko i adres? – zabrzmiał

bezosobowy głos gorliwego policyjnego biurokraty.

Udzielił potrzebnych informacji, po czym niepewnie wrócił na swój fotel, by znów utkwic wzrok w osobliwości na ekranie. To zabójstwo, pomyślał. Środek wynaleziono najpewniej w Waszyngtonie albo w Londynie; jest silniejszy i dziwniejszy niż LSD-25, którym skutecznie zanieczyścili nasze zbiorniki. A ja myślałem, że uwolni mnie od ciężaru przemówień Przywódcy... to jest znacznie gorsze, ta gdaczą-

ca, bełkocząca, trzęsąca się, elektroniczna 1199

potworność z metalu i plastiku – istny koszmar.

Musieć patrzeć na to do końca życia...

Upłynęło dziesięć minut i dwuosobowa

ekipa EsBe załomotała do drzwi. Do tego czasu straszliwa wizja elektronicznego potwora zdążyła stopniowo zaniknąć, ustępując miejsca znajomej postaci Przywódcy.

Roztrzęsiony wpuścił policjantów do mieszkania i zaprowadził do stołu, na którym spoczywały resztki tajemniczej substancji.

– Psychodeliczna substancja toksyczna –

rzucił ochrypłym głosem. – O krótkotrwa-

łym działaniu. Bezpośrednio dostaje się do krwiobiegu przez naczynia nosowe. Podam wam szczegóły, gdzie ją kupiłem i od kogo. – Spazmatycznie odetchnął; obecność policji przyniosła mu pewną ulgę.

Dwaj oficerowie czekali z uniesionymi piórami. W tle płynęło niekończące się 1200

przemówienie Przywódcy. Podobnie jak podczas tysiąca innych wieczorów w życiu Tunga Chiena. Ale to już nigdy nie będzie to samo, pomyślał, przynajmniej nie dla mnie. Nie po zażyciu tego toksycznego świństwa.

Ciekawe, czy o to im chodziło, przyszło mu do głowy.

Myślenie o nich wydało mu się dziwne.

Dziwne, lecz na swój sposób trafne. Zawahał się na ułamek sekundy, czy ma podać szczegóły, czy powiedzieć policji wystarczająco dużo, aby złapała tamtego człowieka. Kramarz, miał na końcu języka. Nie wiem, gdzie; nie pamiętam. Ale pamiętał

dokładnie; skrzyżowanie na trwałe wryło mu się w pamięć. Toteż, z niewytłumaczalnym ociąganiem, powiedział prawdę.

– Dziękujemy, towarzyszu Chien. – Szef ekipy skrupulatnie zebrał pozostałość substancji – Chien zużył zaledwie znikomą 1201

część – i włożył ją do kieszeni eleganckiego munduru. – Przeanalizujemy ją przy najbliższej sposobności – obiecał. – W razie konieczności zaaplikowania antidotum, natychmiast damy panu znać. Niektóre z dawnych, wojennych środków psychodelicznych powodują śmierć, jak pan zapewne czytał.

– Czytałem – potwierdził. Myślał dokładnie o tym samym.

– Powodzenia i dziękujemy za informa-

cje – powiedzieli policjanci i wyszli. Sytuacja nie zdawała się robić na nich żadnego wrażenia; pomimo okazanej skuteczności, widocznie potraktowali skargę jak chleb powszedni.

Biorąc pod uwagę wszechobecną biuro-

krację, wynik testu laboratoryjnego nadszedł zadziwiająco szybko. Nim przemowa Dobroczyńcy dobiegła końca, w mieszkaniu Chiena rozległ się sygnał wideofonu.

1202

– To nie jest środek halucynogeny –

zakomunikował pracownik laboratoryjny EsBe.

– Nie? – odrzekł, ku swemu zdumieniu

nie odczuwając najmniejszej ulgi.

– Wręcz przeciwnie. To fenotiazyna, która, jak pan zapewne wie, jest antyhalucynogeny. Jeden gram to silna dawka, ale nieszkodliwa. Może obniżyć ciśnienie krwi albo spowodować senność. Pewnie ukradziono ją w czasie wojny z apteczki pozostawionej przez uciekających barbarzyńców. Nie ma co się martwić.

Chien w zamyśleniu powoli odłożył słuchawkę. Następnie podszedł do okna z widokiem na inne wysokie budynki mieszkalne. I pogrążył się w myślach.

Zadzwoił dzwonek u drzwi. Jak w transie przeciął wyłożony dywanem salon i poszedł otworzyć.

Ujrzał dziewczynę w brązowym płasz-

1203

czu przeciwdeszczowym, z chustką przykrywającą jej ciemne, lśniące, bardzo długie włosy.

Powiedziała nieśmiało:

– Hm, towarzysz Chien? Tung Chien? Z ministerstwa...

Wpuścił dziewczynę do środka i zamknął za nią drzwi.

– Monitorowała pani mój wideofon –

oznajmił; to stwierdzenie opierało się na czystych domysłach, coś jednak podpowiadało mu, że ma rację.

– Czy... czy oni zabrali resztę tabaki? –

Rozejrzała się. – Ach, mam nadzieję, że nie, tak trudno ją teraz dostać.

– O tabakę nietrudno – odparł. – O fenotiazynę owszem. Czy to ją miała pani na myśli?

Dziewczyna podniosła głowę i zmierzyła go uważnym spojrzeniem podkrążonych oczu.

– Tak, panie Chien... – Zawahała się.

1204

Najwyraźniej była równie niepewna swoich racji, jak EsBecy pewni siebie. – Proszę powiedzieć, co pan zobaczył. To dla nas niezmiernie istotne.

– Czy miałem wybór? – zapytał ostro.

– T-tak, jak najbardziej. Właśnie to zbija nas z tropu i kłóci się z naszymi teoriami.

Trudno to pojąć. – Jej oczy jeszcze bardziej pociemniały. – Czy istota miała przerażający, płynny kształt? Była śluzowata i uzębiona, niczym kosmita? Niech pan mi powie; musimy to wiedzieć. – Z trudem chwytając oddech. Chien złapał się na obserwacji nierównomiernego falowania jej prochowca.

– Maszyna – powiedział.

– Ach! – Przekrzywiła głowę, energicznie nią kiwając. – Tak, rozumiem, urządzenie w niczym nieprzypominające człowieka. Nie atrapa stworzona na jego kształt i podobieństwo.

1205

– To nie wyglądało jak człowiek – potwierdził. I nie mówiło jak on, dorzucił w myślach.

– Rozumie pan, że to nie była halucynacja.

– Zostałem oficjalnie poinformowany, że zażyłem fenotiazynę. Tyle wiem. – Po-sługiwał się ogólnikami; nie chciał mówić, lecz słuchać. Słuchać tego, co dziewczyna miała do powiedzenia.

– Cóż, panie Chien... – zaczerpnęła tchu.

– Skoro to nie była halucynacja, więc co?

Cóż nam pozostaje? Zjawisko o nazwie

„ponadświadomość”, prawda?

Nie odpowiedział, odwróciwszy się do niej plecami od niechcienia sięgnął po prace egzaminacyjne i przejrzał je. Czekał, aż ponowi próbę.

Stała obok niego, rozsiewając wokół

siebie słodki zapach wiosennego deszczu i, jak pomyślał, piękna w tym, jak pachniała, 1206

wyglądała i mówiła. Zwłaszcza to ostatnie odróżniało ją od znanego z telewizji schematu przemówień, do którego przywykł od dziecka.

– Niektórzy spośród zażywających stelazynę – powiedziała zachrypniętym głosem

– a właśnie stelazynę pan wziął, panie Chien, widzą jedną postać, a inni drugą.

Zdołaliśmy jednak wyodrębnić wyraźne kategorie; różnorodność nie jest nieskoń-

czona. Część osób widzi to, co pan, czyli Klankera. Inni płynną zjawę; nazwaliśmy ją

Półkaczem. Jest jeszcze Ptak, Wirująca Serpentyna i... – Urwała. – Lecz pozostałe reakcje mówią

niewiele. Mówią nam bardzo niewiele. – Zawahała się, po czym podjęła: – Skoro wspomniane

przeżycie stało się i pańskim udziałem, panie Chien, chcielibyśmy, aby dołączył pan do naszego

zgromadzenia. Proszę przystać do swojej grupy, do tych, którzy widzą to, co pan.

1207

Grupy Czerwonej. Chcemy wiedzieć, czym to jest naprawdę... – Rozłożyła smukłe, woskowe dłonie. Wydawało mu się, że jej czujność odrobinę zelżała.

– A pani co widzi? – zapytał.

– Należę do Grupy Żółtej. Widzę... bu-rzę. Zawodzącą, nikczemną trąbę powietrzną, która

wyrywa wszystko z korzeniami i niszczy osiedla mieszkalne, mające z założenia przetrwać stulecie. – Uśmiechnęła się blado. – Niszczyciel. W sumie istnieje dwanaście grup, panie Chien. Dwa-naście całkowicie odmiennych eksperymentów i wszystkie pochodzą z tej samej fenotiazyny, a przedstawiają przemawiają-

cego Wodza. – Uśmiechnęła się do niego.

Miała długie, pewnie sztucznie przedłużo-ne, rzęsy i przejęte, ba, nawet ufne, spojrzenie. Tak jak gdyby czuła, że on coś wie, albo może coś zrobić.

– Powiniennem złożyć na panią donos –

1208

odrzekł po chwili.

– Nie ma na ten temat żadnej ustawy.

Studiowaliśmy sowieckie pisma prawne zanim... znaleźliśmy dystrybutorów stelazyny. Mamy jej niewiele; musimy bardzo uważać, komu ją dajemy. Wydawało się nam, że pan jest właściwą osobą... dobrze znany młody karierowicz w drodze na szczyt. – Wyjęła mu z ręki eseje egzaminacyjne. – Zaprzęgli pana do poli-czytania?

– „Poli-czytania”? – Nie zrozumiał.

– Studiowania pism lub przemówień pod kątem partyjnej poprawności światopoglądowej. W pańskiej hierarchii mówi się po prostu „czytanie”, prawda? –

Uśmiechnęła się ponownie. – Kiedy osią-

gnie pan kolejny szczebel i dołączy do pana Tso-pina, pozna pan to sformułowanie. – Dodała poważnie: – I do pana Pethela. On zaszedł już bardzo wysoko. Panie Chien, w San Fernando nie ma żadnej 1209

szkoły ideologicznej. Otrzymał pan fałszywe eseje, mające na celu stwierdzenie pańskiej ideologii politycznej. I co, która praca pańskim zdaniem jest przejawem orto-doksji, a która herezji? – Jej głos nabrał pi-skliwej barwy, brzmiało w nim złośliwe rozbawienie. – Niech pan wybierze niewła-

ściwą, a wymarzona kariera utknie w martwym punkcie. Niech pan wybierze właści-wą...

– Czy pani wie, która jest która? – zapytał.

– Owszem – kiwnęła głową. – Założyli-śmy podsłuch w gabinecie pana Tso-pina.

Zarejestrowaliśmy jego rozmowę z panem Pethelem... który tak naprawdę nosi nazwisko Judd Craine i jest wyższym inspektorem EsBe. Pewnie pan o nim słyszał; pełnił funkcję głównego asystenta sędziego Vorlawskiego podczas procesu zbrodnia-rzy wojennych w Zurychu w dziewięćdziesiątym ósmym.

siątym ósmym.

– Rozumiem – odparł nie bez pewnych trudności. Cóż, to wyjaśniało sprawę.

– Nazywam się Tania Lee – powiedziała dziewczyna.

W milczeniu skinął głową; oszołomienie odebrało mu jasność myślenia.

– Jestem właściwie tylko drobną urzędniczką – dodała panna Lee – w pańskim ministerstwie.

Jednak nigdy się nie spotkaliśmy, przynajmniej sobie nie przypomi-nam. W miarę możliwości staramy się utrzymać na swoich stanowiskach. Im wy-

żej, tym lepiej. Mój szef...

– Czy pani powinna mówić mi to wszystko? – zapytał, wskazując na włączony telewizor. – Czy oni tego nie rejestrują?

Tania Lee powiedziała:

– Wprowadziliśmy zakłócenia w audio-

wizualnym odbiorze materiału z tego budynku. Nim odkryją przyczynę usterki, mi-1211 nie co najmniej godzina. Dlatego mamy...

– Popatrzyła na zegarek na drobnym nad-garstku, jeszcze kwadrans. Nic nam nie grozi.

– Proszę mi powiedzieć, która praca jest ortodoksyjna – poprosił.

– Tak panu na tym zależy? Naprawdę?

– A na czym ma mi zależeć?

– Nie rozumie pan, panie Chien? Dowiedział się pan czegoś. Wódz nie jest Wodzem; jest czymś innym, ale nie wiemy, czym. Jeszcze nie. Panie Chien, z ca-

łym szacunkiem, czy kiedykolwiek dał pan do zbadania wodę, którą pan pije? Wiem, że to brzmi śmiesznie, ale czy zrobił pan to?

– Nie – odparł. – Oczywiście, że nie. –

Dobrze wiedział, jakie dalej padną słowa.

– Nasze badania wykazały w niej obecność środków halucynogennych – powiedziała panna Lee. – Była skażona, jest i bę-

1212

dzie. Nie są to środki używane w czasie wojny, nie powodują dezorientacji, lecz stanowią syntetyczną pochodną alkaloidu o nazwie Datrox-3. Od rana pije to pan w domu, w restauracjach i domach, które pan odwiedza. Również w ministerstwie; jest pompowana z centralnego źródła. –

Mówi-

ła beznamiętnym głosem. – Rozwiązali-

śmy ten problem, wiedzieliśmy, że dobra fenotiazyna to właściwe antidotum. Rzecz jasna, nie mieliśmy pojęcia o różnorodno-

ści autentycznych doznań; z logicznego punktu widzenia to nie mieściło się w głowie.

Halucynacje powinny przybierać róż-

ny formę w wypadku różnych osób, natomiast rzeczywistość powinna być dla wszystkich jednakowa – sam pan widzi, że wszystko stoi do góry nogami. Nie ma co nawet próbować pokusić się o teorię *ad hoc*, a Bóg nam świadkiem, że próbowali-

śmy. Dwanaście wzajemnie wykluczają-

1213

cych się halucynacji – nietrudno byłoby to zrozumieć. Ale nie jedną halucynację i dwanaście rzeczywistości. – Umilkła i ze zmarszczonymi brwiami przyjrzała się testom. – Praca na temat arabskiego wiersza to dzieło ortodoksa – zawyrokowała. – Je-

śli pan im to powie, zaufają panu i dadzą wyższe stanowisko. Podskoczy pan o jeden szczebel

wyżej w partyjnej hierarchii.

– Ukazując w uśmiechu równe zęby, uzu-pełniła: – Widzi pan, jak opłacała się poranna inwestycja. Wystawiliśmy pańskiej karierze polisę ubezpieczeniową.

– Nie wierzę – odparł. Słowa dziewczyny uruchomiły w nim instynktowny mechanizm obrony, wykształcony przez przebywanie latami wśród członków wschodniej PK w Hanoi. Znali oni tysiące sposobów wyeliminowania rywala – niektóre sam stosował, niektórych doświadczył na własnej

skórce. To mógł być jeden 1214

ze sposobów, dotąd mu nieznanym. Wszystko się mogło zdarzyć.

– Dziś wieczorem – odezwała się panna Lee – Przywódca wspominał w swoim przemówieniu

właśnie pana. Czy to nie dziwne? Pana, spośród wszystkich ludzi?

Drobego urzędnika w podrzędnym ministerstwie...

– Przyznaję – powiedział. – Odebrałem to dokładnie w ten sposób.

– Było to uzasadnione działanie. Jego Wspaniałość ma zamiar zwerbować elitarną kadre młodzieży, chcąc w ten sposób tchnąć nowe życie w niemrawą zgraję starych wyżeraczy i partyjnych ważniaków.

Jego Wspaniałość wybrał pana na tej samej zasadzie, co my: przy odpowiednich staraniach pańska kariera może zaprowadzić pana prosto na szczyt. Przynajmniej na pewien czas... jak dobrze wiemy. Taka jest kolej rzeczy.

1215

Prawie wszyscy we mnie wierzą, skon-

statował w duchu. Oprócz mnie samego, zwłaszcza po doświadczeniu z antyhalucynogenym towarem. Podważyło ono, i pewnie nie bez racji, lata niezmaconej pewności. Niemniej jednak odzyskiwał

przytomność umysłu; najpierw czuł, jak wraca ona stopniowo, potem w pośpiechu.

Podszedł do wideofonu i po raz drugi tego wieczoru przystąpił do wykrcania numeru EsBe w Hanoi.

– Wydanie mnie – zauważyła panna Lee

– byłoby drugą co do znaczenia podjętą przez pana chybioną decyzją. Powiem im, że chciał pan mnie przekupić. I myślał pan, że z uwagi na pracę w ministerstwie wiem, który esej wybrać.

– A co było pierwszą chybioną decyzją?

– zapytał.

– Niezażycie większej dawki fenotiazy-ny – odparła gładko panna Lee.

1216

Tung Chien odłożył słuchawkę. Co się

ze mną dzieje? Dwie siły, Partia i Jego Wspaniałość z jednej strony, dziewczyna z jej domniemanym stowarzyszeniem z drugiej. Jedna strona chce wynieść mnie jak najwyżej w partyjnej hierarchii, druga... –

Czego właściwie chce Tania Lee? Co kryje się pod jej słowami, pod jawną pogardą wobec Partii, Przywódcy, etycznych standardów Ludowego Zjednoczonego Frontu

Demokratycznego – jakie ma plany względem niego?

– Czy tworzycie anty-Partię? – zapytał ciekawie.

– Nie.

– Ale... – Machnął ręką. – Nic innego nie ma: jest tylko Partia i anty-Partia. Wobec tego należycie do Partii. – Oszołomiony nie spuszczał z niej wzroku; odwzajemniła mu spokojne spojrzenie. – Macie swoją organizację – podjął – i spotykacie się.

1217

Co chcecie zniszczyć? Regularne funkcyjowanie rządu? Czyżbyście przypominali zdradzieckich amerykańskich studentów, którzy podczas wojny w Wietnamie zatrzymywali pociągi z wojskiem, organizowali demonstracje...

– To nie tak – zaproponowała ze znuże-

niem panna Lee. – Szkoda słów, nie o to chodzi. Oto, co chcemy wiedzieć: kto, lub co, nami

rządzi? Musimy pozyskać kogoś, jakiegoś obiecującego, młodego teoretyka partyjnego, który prędzej czy później zostanie zaproszony, by stanąć oko w oko z Przywódcą – rozumie pan? – Podniosła głos, spoglądając na zegarek; najwyraźniej spieszyło się jej do wyjścia. Kwadrans prawie dobiegł końca. – Jak panu wiadomo, zaledwie garstka osób dostępuje tego zaszczytu. To znaczy, naprawdę go widzi.

– Odosobnienie – powiedział. – Z uwagi na jego podeszły wiek.

1218

– Mamy nadzieję – odrzekła panna Lee

– że jeśli zaliczy pan test, który dla pana przygotowali, a z moją pomocą na pewno to się uda, zaproszą pana na jedno z orga-nizowanych od czasu do czasu przez Wodza spotkań, oczywiście dyskretnie prze-milczanych na łamach prasy. Rozumie pan? – W bliskim hysterii głosie pojawiły się piskliwe nuty. – Wtedy dowiemy się, jeśli pójdzie pan tam pod wpływem środków antyhalucynogennych, zobaczy pan, jak on rzeczywiście wygląda...

Myśląc głośno, powiedział:

– I zakończę karierę. O ile nie życie.

– Jest pan nam coś winien – warknęła z pobladłą twarzą Tania Lee. – Gdybym nie powiedziała panu, który test wybrać, wybrałby pan ten niewłaściwy i pańską wymarzoną karierę i tak szlag by trafił. Oblał-

by pan test, o którego istnieniu nie miałby pan zielonego pojęcia!

1219

– Miałem szansę pół na pół – odparł bez przekonania.

– Nie. – Ze złością potrząsnęła głową. –

Fałszywy test upstrzono partyjnym żargo-nem. Celowo tak ułożono eseje, by wpadł pan w pułapkę. Chcieli, żeby pan oblał!

Ponownie przeniósł wzrok na prace.

Miał zamęt w głowie. A jeśli racja leży po jej stronie? Możliwe. To bardzo prawdopodobne, zwłaszcza jeśli się znało funkcjo-nariuszy partyjnych – i pana Tso-pina – tak dobrze jak on. Ogarnęło go znużenie. I poczucie klęski. Po chwili zwrócił się do dziewczyny:

– To, co usiłuje pani na mnie wymóc, to *quid pro quo*. Wyświadczyła mi pani przysługę, zdobyła – czy też raczej twierdzi, że zdobyła – odpowiedź na pytanie Partii.

Lecz na tym pani rola się kończy. Dlaczego nie miałbym wyrzucić teraz pani za drzwi? Nie muszę dać w zamian złamane-1220

go szeląga. – Słyszał, jak jego beznamiet-ny głos pobrzmiwa brakiem empatycznej emocjonalności, tak charakterystycznym dla kręgów partyjnych.

– W drodze na szczyt otrzyma pan kolejne sprawdziany – odrzekła panna Lee. –

I te pomożemy panu rozwiązać. – Była opanowana i swobodna; musiała przewidzieć jego reakcję.

– Ile mam czasu do namysłu? – zapytał.

– Teraz wychodzę. Nie ma pośpiechu;

nie otrzyma pan zaproszenia do willi nad Jangcy w przyszłym tygodniu, ani nawet miesiącu. – Podchodząc do drzwi, powiedziała: – Dostarczymy panu odpowiedzi do kolejnych testów, wówczas będzie pan miał okazję zobaczyć kogoś z nas. Być może to nie będę ja, lecz kaleki weteran, który sprzeda panu tabele z rozwiązaniami przy wejściu do ministerstwa. – Uśmiechnęła się przelotnie. – Któregoś dnia niespo-1221

dziewanie otrzyma pan ozdobne, oficjalne zaproszenie do willi, do której pójdzie pan, będąc pod

wpływem dużej dawki stelazyny... kto wie, może ostatej z naszych kurczących się zapasów.
Dobranoc. – Drzwi zamknęły się i dziewczyna znikła.

Boże, pomyślał. Mogą mnie szantażować za to, co zrobiłem. Ona nawet nie raczyła o tym wspomnieć; na tle tego, w co był zamieszany, podobna wzmianka nie była warta zachodu.

Niby czym mogliby mnie szantażować?

Przecież poinformowałem EsBe, że otrzy-małem środek o nazwie fenotiazyną. Oni już wiedzą, pomyślał. Będą mnie obserwować; już są czujni. Teoretycznie nie naru-szyłem prawa, ale... będą mieć na mnie oko, bez dwóch zdań.

Zresztą, zawsze to robili. Owa myśl przyniosła mu pewną ulgę. W ciągu wielu lat przyzwyczał się do tego stanu rzeczy, 1222
podobnie jak inni.

Zobaczę Prawdziwego Dobroczyńcę

Ludu w rzeczywistej postaci, stwierdził w duchu. Może nikt przede mną tego nie dokonał. Ciekawe, jak to będzie. Która z kategorii niehalucynacji? Kategorii, o któ-

rych nic mi nie wiadomo... może ten widok wytrąci mnie z równowagi. Jeśli to ma przypominać stwora z telewizji, to jak do-trwam do końca wieczoru, nie dając nic po sobie poznać? Niszczyciel, Klanker, Ptak, Wirująca Serpentyna, Połykacz... albo coś jeszcze gorszego.

Zastanawiał się, jak wyglądają pozostały obrazy... po czym zrezygnował. To do niczego nie prowadziło. I wzmagalo jego niepokój.

Następnego ranka pan Tso-pin i pan Darius Pethel spotkali go w biurze, obaj spokojni, choć pełni oczekiwania. Bez słowa 1223

wręczył im jeden z dwóch „testów”. Orto-doksyjny, z krótkim i chwytającym za serce poematem arabskim.

– Oto – powiedział dobitnie Chien –

dzieło oddanego członka Partii bądź też kandydata do członkostwa. Ten drugi Trą-
cił pozostałe kartki. – Reakcyjny śmieć. –

Ogarnęła go złość. – Pomimo pozornej...

– W porządku, panie Chien – przerwał

mu Pethel, kiwając głową. – Nie ma potrzeby wdawania się w szczegóły; pańska analiza jest poprawna. Słyszał pan wczorajszą wzmiankę na swój temat w przemó-
wieniu Przywódcy?

– Naturalnie – odparł Chien.

– Jak pan zapewne odgadł – ciągnął Pethel – w nasze przedsięwzięcie zaangażowanych jest wiele środków. Przywódca ma na pana oko; to nie ulega wątpliwości. Co więcej, skontaktował się ze mną w pań-

skiej sprawie. – Otworzył wypchaną teczkę-1224

kę i przetrząsnął ją. – Zgubiłem. Tak czy owak... – Spojrzał na Tso-pina, który lekko skinął głową. – Jego Wspaniałość chciał –

by widzieć pana na kolacji na swoim ran-czu nad rzeką Jangcy w następny czwartek. Pani Fletcher zaś...

– Pani Fletcher? Kim jest Pani Fletcher?

– zapyta! Chien.

– Żoną Prawdziwego Dobroczyńcy –

odparł po chwili oschle Tso-pin. – On nazywa się, jak pan zapewne nie miał okazji usłyszeć, Thomas Fletcher.

– Jest kaukaskiego pochodzenia – wyja-

śnił Pethel. – Wywodzi się z Nowozelandzkiej Partii Komunistycznej; uczestniczył w tamtejszym przewrocie. Ta informacja nie jest wprawdzie tajna, niemniej jednak unikano w tej kwestii rozgłosu.

Umilkł z wahaniem, bawiąc się łańcuszkiem od zegarka. – Może będzie lepiej, jeśli pan o tym zapomni. Oczywiście, z 1225

chwilą gdy pan go zobaczy, stanie z nim twarzą w twarz, stwierdzi pan, że kaukaskie pochodzenie jest niewątpliwe. Podobnie jak w moim wypadku. I w wypadku wielu innych.

– Rasa – zaznaczył Tso-pin – nie ma nic wspólnego z lojalnością wobec lidera i Partii. O czym świadczy obecny tu pan Pethel.

Ale Jego Wspaniałość, pomyślał Chien.

W telewizji nic nie wskazywało na to, że pochodzi z Zachodu.

– W telewizji... – zaczął.

– W telewizji – wpadł mu w słowo Tso-pin – wygląd poddawany jest zręcznej obróbce. Dla celów ideologicznych. Większość obywateli na wyższych stanowiskach jest tego świadoma. – Zmierzył Chiena krytycznym spojrzeniem.

Zatem nikt nie ma co do tego wątpliwo-

ści, pomyślał Chien. To, co oglądamy co 1226

wieczór, nie jest prawdziwe. Pytanie więc, do jakiego stopnia jest nierealne? Częściowo? Czy też – całkowicie?

– Będę na to przygotowany – odparł.

Nastąpił pewien poślizg, pomyślał. Nie spodziewali się, ludzie reprezentowani przez Tanię Lee, że tak szybko uzyskam dostęp. Gdzie jest ten antyhalucynogen?

Dostarczą mi go czy nie? Pewnie nie tak od razu.

Ku swojemu zdziwieniu poczuł ulgę.

Pojawi się w obecności Jego Wspaniałości, mogąc widzieć go w ludzkiej postaci, tak jak widział go – podobnie jak inni – w telewizji. Będzie to bardzo przyjemna kolacja, spędzona w towarzystwie najbardziej wpływowych azjatyckich członków Partii.

Chyba obędę się bez fenotiazyny, pomyślał. I jeszcze raz odetchnął z ulgą.

– Jest – powiedział nagle Pethel, wycią-

gając z teczki białą kopertę. – Pańska karta 1227

wstępu. W czwartek rano zostanie pan przetransportowany do willi Przywódcy.

Tam oficer protokolarny zapozna pana z zasadami zachowania. Obowiązuje strój wieczorowy, biały krawat i frak, atmosfera jednak będzie jak najbardziej przyjazna.

Nieodmiennie wznosi się dużą liczbę toastów. Ja sam uczestniczyłem w dwóch tego typu spotkaniach – dodał. – Pan Tso-pin –

powiedział z krzywym uśmiechem – nie został jeszcze w ten sposób uhonorowany.

Ale, jak to mówią, każdy otrzyma to, na co czeka. To słowa Bena Franklina.

– Uważam, że ten zaszczyt spotkał pana Chiena nieco zbyt szybko – powiedział

Tso-pin. Wzruszył ramionami. – Nikt jednak nie pytał mnie o zdanie.

– Jeszcze jedno – zwrócił się do Chiena Pethel. – Możliwe, że kiedy ujrzy pan Jego Wspaniałość we własnej osobie, będzie pan nieco rozczarowany. Proszę uważać, 1228

aby nie dać nic po sobie poznać. Zawsze skłanialiśmy się do tego – i byliśmy szkoleni w tym kierunku – aby traktować go jak więcej niż człowieka. Jednak przy stole zachowuje się... – machnął ręką – ... dziwnie. Pod pewnymi względami tak jak my.

Może na przykład wykazać tendencje w kierunku agresji słownej, opowiedzieć niestosowną anegdotę lub wypić za dużo...

Szczerze mówiąc, nikt nie jest w stanie z góry przewidzieć, jak sprawy się potoczą, na ogół jednak przyjęcie trwa aż do białego rana. Dlatego roztropnie byłoby zażyć oferowaną przez oficera protokolarne dawkę amfetaminy.

– Ach tak – powiedział Chien. Była to dla niego interesująca nowość.

– Dla kurażu. I neutralizacji trunku. Jego Wspaniałość ma zdumiewającą kondycję; twardo trzyma się na nogach nawet wtedy, gdy inni dali już za wygraną.

1229

– Niesamowity człowiek – wtrącił Tso-

-pin. – Według nich jego słabości... świadczą jedynie o tym, że to niezrównana osobowość. Istny człowiek Renesansu, jak na przykład Lorenzo il Magnifico z Medyce-uszów.

– Rzeczywiście – przytaknął Pethel.

Spoglądał na Chiena z taką uwagą, że ten ostatni poczuł znajome ukłucie niepokoju.

Czyżbym dawał wpędzić się w kolejną pu-

łapkę? Może dziewczyna była w rzeczywistości agentką SB, próbującą złapać mnie na nielojalności wobec Partii?

Dopilnuję, stwierdził w duchu, aby beznogi sprzedawca ziołowych specyfików nie zaczepił mnie po pracy. Pójdę do domu inną drogą.

Dopiął swego. Tego dnia uniknął kon-

taktu z kramarzem, podobnie następnego, aż do czwartku.

W czwartek rano sprzedawca wychynął

1230

spod zaparkowanej ciężarówki i zastąpił mu drogę.

– Mój lek? – zagaił. – Zadziałał? Wiem, że tak; formuła pochodzi z czasów dynastii Sung – widzę, że ci pomogła. Nie mam racji?

– Z drogi – powiedział Chien.

– Czy wykażesz na tyle uprzejmości, by odpowiedzieć? – Jego ton w niczym nie przypominał znajomego zawodzenia ulicznego kramarza i donośnie zadźwięczał w uszach Chiena...

– Wiem, co mi dałeś – odparł Chien. –

Nie chcę więcej. Jeśli zmienię zdanie, kupię to w aptece. Dzięki. – Poszedł przed siebie, lecz wózek, wraz z beznogim pasażerem, nieustępliwie ruszył w jego ślady.

– Rozmawiałem z panną Lee – powiedział głośno kramarz.

– Hm – odparł Chien, machinalnie przyśpieszając kroku; na widok taksówki wy-1231 konał gwałtowny ruch ręką.

– Jedziesz dziś na przyjęcie do willi nad rzeką Jangcy – ciągnął zdyszany kramarz, usiłując za nim nadążyć. – Weź swoje lekarstwo... natychmiast! – Błagalnie wycią-

gnął ku niemu płaskie zawiniątko. – Proszę, Chien, dla twojego dobra, dla dobra nas wszystkich, żebyśmy wreszcie dowiedzieli się, przeciwko czemu walczymy.

Chryste, to może być istota pozaziemska; to nasza największa obawa. Nie rozumiesz, Chien? Czym w porównaniu z tym jest twoja cholerna kariera? Jeśli się nie dowiemy...

Taksówka dobiła do krawężnika; drzwi się otworzyły, Chien wsiadł do środka.

Zawiniątko przeleciało ponad jego ramieniem, wylądowało na framudze drzwi, po czym wilgotne od deszczu ześlizgnęło się na podłogę pojazdu.

– Proszę – powtórzył kramarz. – Nic cię 1232

to nie kosztuje; dzisiaj jest za darmo. Tylko nie zapomnij zażyć go przed kolacją. I nie bierz amfetaminy. To stymulator we-wnętrzny, przeciwwskazany w wypadku zażycia środka hamującego, takiego jak fenotiazyna...

Drzwi taksówki zamknęły się. Chien usiadł.

– Dokąd, towarzyszu? – padło pytanie mechanicznego urządzenia sterującego.

Podał identyfikacyjny numer swojego mieszkania.

– Ten durny kramarz zanieczyścił moje wnętrze swoimi brudami – oznajmiła taksówka. – Proszę zwrócić uwagę, coś leży przy waszej nodze.

Chien zauważył torebkę – wyglądała jak najzwyczajniejsza koperta. Chyba właśnie w ten sposób wchodzi się w posiadanie narkotyków, pomyślał. Ni stąd, ni zowąd znajdują się w zasięgu ręki.

Przez chwilę 1233

siedział bez ruchu, po czym podniósł zawiniątko.

Przesyłka jak zwykle zawierała pisemną informację, tym razem jednak napisano ją ręcznie. Był to kobiecy charakter pisma, należał do panny Lee:

Byliśmy zdziwieni tym pośpiechem.

Chwała Bogu, zdążyliśmy na czas. Gdzie pan się podziewał we wtorek i środę? Tak czy inaczej, oto ona, i powodzenia. Znajdę pana później; proszę mnie nie szukać.

Spalił wiadomość w popielniczce.

I zachował czarne granulki.

Cały czas, myślał. Halucynogeny w naszych zbiornikach wodnych. Rok w rok.

Całe dziesięciolecie. I to nie w czasach wojny, ale pokoju. Nie do obozu wroga, lecz sprzymierzeńca. Dranie, pomyślał.

Może powinienem to zażyć; może powi-
1234

nieniem przekonać się, czym on naprawdę jest i podzielić się tą wiedzą z organizacją Tani.

Tak zrobię, postanowił. Poza tym... ciekawość nie dawała mu spokoju.

Wiedział, że to źle. Ciekawość, zwłaszcza w kręgach Partii, na ogół nie prowadziła do niczego dobrego.

Ogarnęła go bez reszty. Zastanawiał się, czy jeśli zażyje specyfik, jego działanie utrzyma się przez resztę wieczoru.

Czas pokaże. Jesteśmy porastającymi równinę kwiatami, które ścina, pomyślał, przypominając sobie arabski wiersz. Bez-skutecznie próbował przypomnieć sobie dalszą część.

Wszystko jedno.

Oficer protokolarny willi, Japończyk Kimo Okubara, wysoki i krzepki, o wyglądzie zapaśnika, nawet mimo okazanego zaproszenia spoglądał na niego z jawną wro-1235 gością.

– Dziwne, że zadał pan sobie tyle trudu, by się zjawić – wymamrotał. – Nie lepiej zostać w domu i pooglądać telewizję? Nikt za panem nie tęsknił. Świetnie sobie bez niego radziliśmy.

– Już oglądałem telewizję – odrzekł

twardo Chien. Poza tym przyjęcia rzadko były transmitowane, były zbyt sprosne.

Ludzie Okubary sprawdzili, czy nie ma przy sobie broni. Zajrzeli nawet w odbyt, po czym oddali mu ubranie. Nie znaleźli stelazyny. Dawno ją zażył. Działanie nar-kotyku trwało około czterech godzin; dłu-

żej niż potrzebował. I, jak powiedziała Tania, była to końska dawka; czuł się ospały i niezdarny, a język drgał mu w ustach w mimowolnych konwulsjach – nieprzyjemny efekt uboczny, którego nie wziął pod uwagę.

Nieopodał przeszła dziewczyna, naga od 1236

pasa w górę, z miedzianą strzechą włosów opadającą na ramiona i plecy. Interesujące.

Po przeciwnej stronie pojawiła się inna, naga od stóp do głów. Widok był nie mniej intrygujący. Obie sprawiały wrażenie śmiertelnie znudzonych i całkowicie po-chłoniętych sobą.

– Pan też musi się rozebrać – poinformował Chiena Okubara.

Chien zdumiał się.

– Wydawało mi się, że obowiązuje strój wieczorowy.

– To był żart – odparł Okubara. – Pań-

skim kosztem. Tylko dziewczęta spacerują na golasa. Proszę do woli cieszyć oczy, chyba że jest pan homoseksualistą.

Cóż, chyba musi mi się to spodobać, po-myślał Chien. Dołączył do pozostałych go-

ści, podobnie jak on ubranych we fraki lub, w wypadku kobiet, długie, powłóczyście suknie.

Pomimo usypiającego działania 1237

stelazyny, poczuł się nieswojo. Co ja tu ro-bię, pomyślał. Dwuznaczność sytuacji nie uszła jego uwagi. Przyszedł, bo chciał

wdrapać się na wyższy szczebel partyjnej kariery i wyżebrać pełne aprobaty spojrzenie Jego

Wspaniałości... przyszedł tu również po to, by zdemaskować Jego Wspa-

niałość jako oszusta. Nie był pewien, na jakich zasadach opierało się to oszustwo, lecz wiedział

jedno: było to oszustwo wy-mierzone w Partię, we wszystkie wielbiące pokój demokratyczne ludy Terry. Co za ironia, stwierdził w duchu. I wmieszał się w tłum ludzi.

Dziewczyna o drobnych, rozjarzonych piersiach poprosiła go o ogień. Z roztargnieniem wyjął zapalniczkę.

– Jak to się dzieje, że twoje piersi świecą? – zapytał. – Wstrzykujesz sobie substancję radioaktywną?

Dziewczyna wzruszyła ramionami i wy-

1238

minęła go bez słowa. Najwidoczniej jego reakcja była nieprawidłowa.

Chyba jakaś powojenna mutacja, pomy-

ślał.

– Może drinka, sir. – Służący uprzejmie wyciągnął do niego tacę. Wziął martini, obecnie bardzo modne w wyższych krę-

gach partyjnych w Chińskiej Republice Ludowej. Skosztował lodowato zimnego, cierpkiego napoju. Dobry angielski gin, pomyślał. Albo holenderska mieszanka, ja-

łowiec albo Bóg wie, co oni tam dodawali.

Nieżyły. Nieco podbudowany ruszył przed siebie. W gruncie rzeczy na atmosferę nie można było

narzekać. Obecni wydawali się pewni siebie, odnieśli sukces i przyszedł czas na zasłużony odpoczynek. Po-głoska, że bliskość Jego Wspaniałości budzi neurotyczny lęk, musiała być wyssana z palca; ani wokół siebie, ani w sobie nie znajdował na nią żadnego potwierdzenia.

1239

Przysadzisty, starszy mężczyzna z łysiną zastąpił Chienowi drogę, przystawiając mu do piersi swoją szklanę.

– To małe, które poprosiło pana o ogień

– zagaił chichocząc – dziwadło z biustem jak choinka... to tak naprawdę chłopak w przebraniu. –

Prychnął śmiechem. – Tu trzeba uważać.

– Gdzie wobec tego, o ile w ogóle – odrzekł Chien – można znaleźć prawdziwe kobiety? Pod krawatem?

– Blisko – odparował mężczyzna i dołą-

czył do grupy przejętych gości, pozostawiając Chiena sam na sam ze swoim martini.

Ładna, stojąca nieopodal wysoka kobie-ta, zniecka ujęła go pod ramię. Poczł

uścisk jej palców. – Idzie. Jego Wspania-
łość. To mój pierwszy raz, trochę się boję.

Jak mam włosy?

– Dobrze – odparł odruchowo Chien i

1240

podążył za jej spojrzeniem, chcąc – po raz pierwszy – ujrzeć Prawdziwego Dobroczyncę.

To, co podchodziło do stołu, w niczym nie przypominało człowieka.

Nie była to również, jak uświadomił sobie Chien, maszyna, którą zobaczył na ekranie telewizora.

Tamto musiało być ku-kielką na użytek publiczny, podobnie jak Mussolini podczas długich, znużonych parad salutował sztucznym ramieniem.

Boże, pomyślał, czując mdłości. Czy to właśnie miała na myśli Tania Lee, mówiąc o „płynnym kształcie”? Istota, którą widział, była bezkształtna. Nie miała też od-nóży, ani z krwi i kości, ani z metalu. W

pewnym sensie wcale nie istniała. Kiedy zmuszał się, by patrzeć bezpośrednio na nią, kształt zniknął, ukazując stojących za nim ludzi. Kiedy jednak odwracał lekko głowę, zerkając kątem oka, dokładnie wi-1241

dział jego zarysy.

Potworność istoty ugodziła w jego świadomość. Idąc, wysysała życie z każdego z osobna; pożerała zgromadzonych, szła dalej, po czym znów łykała ich z niesłabnącą łapczywością. Epatowała nienawiścią; czuł

jej nienawiść. Nienawidziła; czuł, jak to uczucie ogarnia wszystkich obecnych – w gruncie rzeczy podzielał je. W jednej chwili on i pozostali goście zamienili się w poskręcane cielska. Istota przystawała nad truchłami, po czym szła dalej, cały czas zmierzając w jego kierunku. A może było to jedynie złudzenie? Jeśli to halucynacja, pomyślał Chien, jest najgorsza, jakiej do tej pory doświadczyłem; jeśli nie, widzę przed sobą realną postać zła, zła, które niszczy i okalecza. Widział szlak zdepta-nych mężczyzn i kobiet, widział, jak pró-

bują złączyć w całość zmasakrowane ciała, słyszał ich bełkot.

1242

Wiem, kim jesteś, pomyślał Tung Chien.

Ty, głowa światowego aparatu partyjnego.

Ty, który niszczysz wszystko, czego się dotkniesz. Mam przed oczami arabski wiersz, zrywanie

kwiecica życia i pożeranie go – widzę, jak kroczysz równiną Ziemi, równiną pozbawioną dolin i gór. Brniesz przed siebie, pojawiaasz się zniemacka; two-rzysz życie, by zaraz je zniszczyć, czerpiąc z tego okrutną radość.

Pomyślał, jesteś Bogiem.

– Panie Chien – głos dobiegał z wnętrza jego głowy, nie od strony bezustej istoty, która zmaterializowała się na wprost niego.

– Miło znów pana spotkać. Nic nie wiesz.

Odejdź. Nie interesujesz mnie. Dlaczego miałbym zajmować się słuzem? Śluz; grzęzną w nim, muszę go wydalić i tak zrobię.

Mógłbym cię złamać; mogę złamać nawet siebie. Mam pod sobą ostre kamienie, rozkładam je na grzędawisku. Kryjówki, 1243

ustronia bulgoczą jak garnki, dla mnie morze to balsam. Skrawki mego ciała przywierają do wszystkiego. Jesteś mną. Jestem tobą. To bez różnicy, podobnie jak kreatura o rozjarzonych piersiach jest chłopcem albo dziewczyną; możesz nauczyć się doceniać obie formy. – Wybuchła śmiechem.

Chien nie wierzył, że przemawiała do niego, nie mógł sobie wyobrazić, że wybór padł na jego osobę.

– Wybór padł na wszystkich – oznajmi-

ła. – Nikt nie jest zbyt niepozorny, każdy pada i ginie, a ja jestem tu, by patrzeć. Nie muszę robić nic innego, taki jest porządek rzeczy. – Przestała mówić; rozczłonkowała się. Lecz nadal ją widział; czuł jej wielokrotną obecność. Była wiszącą u sufitu kulą z pięćdziesięcioma tysiącami oczu, z milionem oczu – miliardami: na każdego człowieka przypadało jedno, podczas gdy 1244

istota czekała na jego upadek, by móc ostatecznie wdeptać go w ziemię. Po to stworzyła świat, wiedział o tym, rozumiał.

To, co w arabskim poemacie uznał za śmierć, w rzeczywistości było Bogiem, albo raczej to Bóg był śmiercią. Jedyne siła, jeden łowca i kanibal, raz i drugi pu-

ścił nam płazem, ale przecież ma całą wieczność, może sobie na to pozwolić.

Oba wiersze, pomyślał, Dryden też. Upadek; oto nasz świat, twoje dzieło. Zmieniasz je zgodnie ze swoją wolą, naszym kosztem.

Przynajmniej, pomyślał, zachowałem swoją godność. Z godnością odstawił szklanę, odwrócił się i podszedł do drzwi.

Opuścił salę. Ruszył długim korytarzem.

Odziany w purpurę służący otworzył przed nim drzwi. Znalazł się na opustoszałej, po-grążonej w ciemnościach werandzie.

Nie był sam.

1245

Poszedł za nim. Albo raczej uprzedził

go; tak, czekał na niego. Jeszcze z nim nie skończył.

– Idę – powiedział Chien i skoczył w stronę barierki. Od dołu dzieliła go wysokość sześciu pięter. Ujrzał pod sobą połyskującą taflę wody i śmierć, nie to, o czym była mowa w arabskim wierszu.

Gdy leciał w dół, poczuł na ramieniu mackę tamtego.

– Dlaczego? – zapytał, nieruchomiejąc.

Nie wiedział. Nie rozumiał. Wcale.

– Nie rzucaj się w dół z mojego powodu

– powiedział tamten zza pleców Chiena.

Coś, co spoczywało na ramieniu mężczyzny, przybrało wygląd ludzkiej ręki.

Stwór wybuchnął śmiechem.

– Co w tym śmiesznego? – zapytał

Chien, włączając na barierkę, podtrzymywany dłonią tamtego.

– Wyręczasz mnie – odpowiedział

1246

stwór. – Nie czekasz, czyżbyś nie miał na to czasu? Wybiorę cię spośród innych, nie musisz tego przyspieszać.

– A jeśli to zrobię? – powiedział. – Z

obrzydzenia, które do ciebie czuję?

Tamten znów się zaśmiał, unikając odpowiedzi.

– Nawet nic mi na to nie odpowiesz – skwitował Chien.

Znowu milczenie. Ześlizgnął się na werandę. Uścisk ręki zelżał.

– Założyłeś Partię? – zapytał Chien.

– Założyłem wszystko. Partię i anty-Partię, która nie jest partią, tych, którzy są za, i tych, którzy są przeciw, tych, których nazywacie jankeskimi imperialistami, i tych, którzy tworzą obóz reakcji.

Mógłbym wymieniać w nieskończoność. Wszyscy są moim dziełem. Niczym żdźbła trawy.

– Jesteś tu dla rozrywki?

– Chcę – odparł tamten – abyś mnie wi-1247

dział takim, jakim jestem naprawdę, a potem mi zaufał.

– Co takiego? – zająknął się Chien. –

Zaufać ci?

– Wierzysz we mnie?

– Tak – odparł. – Widzę cię.

– No to wracaj do swych zajęć w mini-

sterstwie. Powiedz Tani Lee, że zobaczyłeś przepracowanego, otyłego starucha, który lubi zajrzeć do kieliszka i uszczypnąć dziewczynę w tyłek.

– Chryste – powiedział Chien.

– Kiedy będziesz żył dalej, nie mogąc przestać, zadręcę cię – podjął tamten. –

Stopniowo pozbawię cię wszystkiego, co posiadasz lub pragniesz. Potem, gdy stłamszę cię na śmierć, odsłonię tajemnicę.

– Jaką tajemnicę?

– Żywy odda ducha, zmarły z grobu wstanie. Zabijam to, co żyje; ocalam to, co umarło. Powiem ci coś: są rzeczy gorsze 1248

niż ja. Nie zobaczysz ich jednak, gdyż do tego czasu odbiorę ci życie. A teraz idź do jadalni i usiądź do kolacji. Nie zadawaj mi żadnych pytań. Robiłem to przedtem, nim narodził się Tung Chien i będę robił jeszcze po tym, jak umrze.

Zamachnął się z całej siły.

I poczuł dotkliwy ból w głowie.

Ogarnęła go ciemność, wydawało mu się, że spada.

Potem znów nastąpiła ciemność. Dopad-

nę cię, pomyślał. Dopilnuję, żebyś i ty skonał. I żebyś cierpiał; będziesz cierpiał, tak jak my, dokładnie tak samo jak my. Znajdę na ciebie sposób, Bóg mi świadkiem. Za-boli cię. Tak jak mnie

teraz.

Zamknął oczy.

Ktoś potrząsnął nim gwałtownie. Usłyszał głos pana Kimo Okubary.

– Wstawaj, pijaczyno. Jazda!

Nie otwierając oczu, odparł:

1249

– Wezwijcie dla mnie taksówkę.

– Już czeka. Jazda do domu. Co za wstyd. Zrobić takie widowisko.

Chwiejnie stanął na nogi i otworzył

oczy. Przywódca, za którym podążamy, pomyślał, to Jedyne Prawdziwy Bóg.

Wróg, którego musimy zwalczać, również jest Bogiem. Mają rację; on jest wszędzie.

Nie rozumiałem, co to miało znaczyć. Patrząc na oficera protokolarnego, pomyślał: Ty też jesteś Bogiem. Dlatego nie ma ucieczki, nawet przez balkon, co instynktownie próbowałem uczynić.

Zadrżał.

– Mieszać prochy z wódką – rzucił z dezaprobatą Okubara. – Tak sobie zrujnować karierę.

Nieraz to widziałem. Spadaj.

Podszedł na miękkich nogach w kierunku

głównego wyjścia z willi nad rzeką Jangcy. Dwaj służący w strojach średnio-wiecznych

rycerzy skwapliwie otworzyli przed nim drzwi.

1250

– Dobrej nocy, sir – powiedział jeden.

– Chrzań się – odparł Chien, znikając w ciemnościach.

Za piętnaście trzecia nad ranem, kiedy siedział w swoim salonie, paląc cygara Cuesta Rey

Astoria jedno po drugim, rozległo się pukanie do drzwi.

Otworzywszy je, ujrzał Tanię Lee w płaszczu przeciwdeszczowym, z posiniałą z zimna twarzą.

Oczy załśniły jej pytająco.

– Nie patrz tak na mnie – rzucił szorstko. Cygaro zgasło, zapalił je ponownie. –

Dość się dzisiaj na mnie napatrzyli.

– Widziałeś – powiedziała.

Kiwnął głową.

Usiadła na poręczy sofy.

– Chcesz mi o tym opowiedzieć? – za-

pytała po chwili.

– Odejdź stąd jak najdalej – odparł. –

Odejdź daleko. – Przypomniał sobie: zad-1251

na odległość nie była wystarczająca. Pa-miętał, że gdzieś o tym czytał. – Szkoda gadać – dodał i

powlókł się do kuchni zrobić kawę.

– Było... aż tak źle? – zapytała Tania, idąc za nim.

– Nie możemy wygrać – odparł. – Wy

nie możecie wygrać; nie mam na myśli siebie. To nie moja sprawa, chciałem tylko wypełnić swoje obowiązki w ministerstwie i zapomnieć. Zapomnieć o tej całej choler-nej sprawie.

– Czy to istota pozaziemska?

– Tak – skinął głową.

– Czy jest wobec nas wrogo usposobio-

na?

– Tak – potwierdził. – Nie. I tak, i nie.

Raczej tak.

– Wobec tego musimy...

– Idź do domu – przerwał jej. – Połóż się spać. – Przyjrzał się jej uważnie; długo 1252 siedział i zastanawiał się. Nad wieloma sprawami. – Jesteś mężatką? – zapytał.

– Nie. Już nie. Kiedyś byłam.

– Zostań dziś ze mną – powiedział. –

Chociaż do rana. Dopóki nie wstanie słońce. Noc jest najgorsza – dodał.

– Zostanę – odrzekła Tania, rozpinając pasek płaszcza. – Muszę jednak uzyskać kilka odpowiedzi.

– Co miał na myśli Dryden, mówiąc o podniebnym śpiewaniu? Nie rozumiem.

Co ma muzyka do nieba?

– Skończy się cały niebieski porządek wszechświata – odparła, wieszając płaszczyk w szafie sypialni. Miała na sobie sweter w pomarańczowe pasy i obcisłe spodnie.

– Czy to źle? – zapytał.

Zamyśliła się.

– Nie wiem. Chyba tak.

– Czyli muzyce przypisuje się ogromną moc działania – stwierdził.

1253

– Cóż, znasz to stare pitagorejskie pojęcie „muzyki sfer”. – Usiadła na łóżku i zsunęła pantofle.

– Wierzysz w to? – zapytał. – Wierzysz w Boga?

– W Boga! – Zaśmiała się. – To odeszło bezpowrotnie razem z silnikiem parowym.

O czym ty mówisz? W Boga, czy w boga?

– Podeszła bliżej i zajrzała mu w twarz.

– Przestań mi się tak przyglądać – rzucił

ostro, odsuwając się. – Nie chcę, żeby ktokolwiek na mnie patrzył. – Odwrócił się ze złością.

– Myślę – powiedziała Tania – że jeśli jakiś Bóg istnieje, ludzkie sprawy nie mają dlań większego znaczenia. To przynajmniej moja teoria. Niespecjalnie troszczy się o triumf zła, albo o to, że cierpią i umierają ludzie i zwierzęta. Ja tam nie od-czuwam jego obecności. Poza tym, Partia zawsze wykluczała jakąkolwiek formę...

1254

– Czy widziałaś Go? – zapytał. – Kiedy byłaś dzieckiem?

– Ach, jasne, wtedy tak. Wierzyłam też w...

– Czy kiedykolwiek przyszło ci do głowy – zapytał Chien – że zło i dobro tak naprawdę określają to samo? Że Bóg może być jednocześnie dobrem i złem?

– Zrobię ci drinka – stwierdziła Tania i pobiegła boso do kuchni.

– Niszczyciel – powiedział Chien. –

Klanker, Połykacz, Ptak, Wirująca Serpentyna... plus inne nazwy i formy, sam nie wiem. Miałem halucynacje. Na przyjęciu.

Straszne halucynacje.

– Ale stelazyna...

– Spowodowała jeszcze gorsze.

– Czy istnieje sposób – spytała poważnie Tania – by zwalczyć to, co widziałeś?

Postać, którą nazywasz złudzeniem, mimo że nim wcale nie była?

1255

– Trzeba w to uwierzyć.

– I co dalej?

– Nic – odparł ze zmęczeniem. – Zupełnie nic. Jestem wykończony; nie chcę drinka. Chodźmy do łóżka.

– Dobrze. – Wróciwszy do sypialni, ściągnęła przez głowę pasiasty sweter. –

Omówimy to później.

– Halucynacja – powiedział Chien – to dobrodziejstwo. Szkoda, że ją straciłem, chciałbym ją odzyskać. Chciałbym cofnąć się do chwili, kiedy twój kramarz wmusił mi fenotiazynę.

– Chodź do łóżka. Rozgrzejesz się.

Zdjął krawat, koszulę – na prawym ra-

mieniu widniał znak, stygmat pozostawiony dotykiem dłoni tamtego, kiedy powstrzymał go przed upadkiem. Żywe znamię, które wyglądało tak, jak gdyby miało pozostać na zawsze. Założył górę od piżamy, zakrywając je.

1256

– Zresztą – dodała Tania, kiedy położył

się obok niej – twoja kariera i tak posunęła się naprzód. Nie cieszysz się?

– Jasne – odparł, mimo ciemności kiwając głową. – Pewnie, że się cieszę.

– Przysuń się bliżej – powiedziała Tania, otaczając go ramionami. – Zapomnij o wszystkim.

Przynajmniej w tej chwili.

Przycisnął ją do siebie, robiąc to, o co go poprosiła, i to, na co sam miał ochotę.

Była zwinna, uległa i aktywna. Oboje nie odzywali się, aż wreszcie dziewczyna wydała z siebie głębokie westchnienie i opadła na poduszkę. : – Szkoda – powiedział – że to nie może trwać wiecznie.

– Ależ tak – odparła Tania. – Wyszliśmy poza granice czasu; to nieograniczone, jak ocean. Tak było w czasach Kambru, zanim przenieśliśmy się na ląd; kołyszą nas pra-stare wody. To jedyna chwila, kiedy cofamy się, dlatego to takie istotne. Wtedy nie

1257
byliśmy rozdzieleni; tworzyliśmy wielką galaretę, podobną do tych, które fale wyrzucają na plażę.

– Po to, by umarły – dorzucił Chien.

– Przyniesiesz mi ręcznik? – zapytała Tania. – Albo gąbkę? Potrzebuję jej.

Poszedł do łazienki po ręcznik. Był teraz nagi – jego spojrzenie ponownie padło na miejsce, gdzie tamten chwycił go i przyciągnął z powrotem, by dłużej z nim po-igrać.

Znamię krwawiło.

Wytarł krew. Widząc, że nadal płynie, zastanowił się, ile zostało mu jeszcze czasu. Może kilka godzin.

Wrócił do łóżka.

– Możesz jeszcze? – zapytał.

– Pewnie. Jeśli masz siłę, to zależy od ciebie. – Utkwiła w nim nieruchome spojrzenie, prawie niewidoczna w mętnym świetle ciemnego pokoju.

1258

– Mam – powiedział. I przycisnął ją do siebie.

1259

CLIFFORD SIMAK

DUCH MODELU T

(The Ghost of a Model T)

Przełożył Marcin Wawrzyńczak

Clifford Simak stworzył w ciągu swojej pisarskiej kariery przeszło dwadzieścia pięć powieści i dziesiątki opowiadań.

Pisząc fantastykę naukową, był jednocześnie redaktorem i fe-lietonistą w „Minneapolis Star Tribune”. Napisał również serię doskonale przyjętych książek popularnonaukowych, takich jak „Człowiek prehistoryczny”, „Układ Słoneczny” i

„Trylobit”. Tematyka jego twórczości często dotyczyła istot nieludzkich; czy byli to obcy, czy zwierzęta o podwyższonej inteligencji, istoty te zazwyczaj posiadały cechy, których brakowało ich ludzkim odpowiednikom, takie jak honor i współ-

czucie. Do jego najlepszych dzieł należą „Miasto”, „Ko-smiczni inżynierowie”, „Szli jak ludzie” czy „Gwiazdne dzie-dzictwo”.

1260

1261

Szedł do domu, kiedy znowu usłyszał

model T. Nie był to dźwięk, który mógłby łatwo pomylić z innym, i nie pierwszy raz słyszał odgłos jego silnika, w oddali, na drodze. Lecz dziwiło go to szczególnie, bowiem z tego, co wiedział, nikt w kraju nie posiadał modelu T. Czytał gdzieś, zapewne w gazecie, że stare samochody, takie jak model T, osiągają wysokie ceny, ale dlaczego tak było, nie potrafił odgadnąć. Przy wszystkich tych gładkich, opływowych maszynach, których wszędzie było pełno, kto przy zdrowych zmysłach miałby pożądać modelu T? Lecz w tych szalonych czasach ludzkie zachowanie było niewytłumaczalne. Wiele się zmieni-

ło, dawne czasy przeminęły, i człowiek musiał dawać sobie radę najlepiej jak potrafił w świecie, w jakim przyszło mu żyć.

1262

Brad wcześniej zamknął budkę z piwem i teraz nie miał gdzie iść, mógł się udać tylko do domu, chociaż od czasu śmierci starego Bounce'a ten kierunek raczej przepęł-

niał go lękiem. Tęsknił bardzo za Bounce'em i myślał, jak dobrze im się razem żyło, im dwóm, przez więcej niż dwadzieścia lat, ale teraz, kiedy stary pies umarł, dom był pustym miejscem, i dźwięczał pusto.

Szedł piaszczystą drogą na skraju miasta, wzbijając tumany kurzu i potrącając grudy ziemi. Księżyc w pełni wisiał nad szczytami drzew i noc była prawie tak jasna jak dzień. Cykanie samotnych świersz-czy obwieszczało koniec lata. Idąc, przypomniał sobie model T, który miał, kiedy był młokosem; spędzał całe godziny w starej szopie, pracując nad wyregulowaniem go, chociaż, Bóg świadkiem, żaden model T nie potrzebował nigdy regulacji. Był to najprostszy mechanizm, jaki można sobie

1263

wyobrazić, i pomimo pewnej technologicznej narowistości sprawował się nie gorzej od jakiegokolwiek samochodu kiedykolwiek skonstruowanego. Zawoził cię na miejsce i z powrotem, i to było wszystko, w tamtych czasach, czego można było żą-

dać. Zderzaki mu trzeszczały, twarde opony podskakiwały na wybojach i potrafił

być powolny pod górkę, ale jeśli wiedziało się, jak o niego dbać, nigdy nie sprawiał kłopotów.

Co za czasy, powiedział sobie, kiedy wszystko było równie proste jak model T.

Nie płaciło się podatków od dochodu (choć, skoro już o tym pomyślał, dla niego osobiście podatki od dochodu nigdy nie były problemem), żadnego ubezpieczenia, które zabierałoby ci część wypłaty, żadnych zezwoleń na to i na tamto, żadnych przepisów, które mówiłyby, że budkę z piwem należy zamykać o określonej godzi-1264

nie. Było wtedy łatwo, pomyślał; człowiek po prostu radził sobie najlepiej jak mógł, i nikt nie mówił mu, co ma robić ani nie wchodził mu w drogę.

Chociaż był tak zajęty rozmyślaniami, uświadomił sobie, że odgłos modelu T stawał się coraz głośniejszy. Teraz, sądząc po dźwięku, pojazd znajdował się tuż za nim, i chociaż wiedział, że na pewno to tylko sprawa wyobraźni, ów dźwięk był tak naturalny i tak bliski, że zszedł na pobocze, żeby nie zostać potrąconym.

Dźwięk zbliżył się i zamilkł, i oto był, model T, wielki jak stodoła, i zupełnie taki jak trzeba. Przednie drzwi po prawej stronie (jedyne drzwi z przodu, bo po lewej stronie nie było drzwi) otworzyły się zamasyście – po prostu otworzyły się same, bowiem w środku nikt nie siedział.

Otwarcie drzwi nie zdziwiło go, bo z tego, co pamiętał, żaden użytkownik modelu T nie 1265

potrafił utrzymać ich zamkniętych. Blokowała je tylko prosta zapadka, i za każdym razem, gdy samochód podskakiwał (a rzadko zdarzało się, żeby nie podskakiwał, biorąc pod uwagę stan dróg w tamtych czasach, twardość opon i budowę resorów)

– za każdym razem, gdy samochód podskakiwał, cholerne przednie drzwi otwierały się.

Tym razem jednak – po wszystkich tych latach – wydawało się coś szczególnego w sposobie, w jaki drzwi się otworzyły. Samochód zatrzymał się i drzwi nie tak po prostu rozwarły się ze skrzypieniem, ale otworzyły się zamasyście, jakby zapraszały go do środka.

Wszedł więc do samochodu i usiadł na

przednim prawym fotelu, gdy tylko znalazł

się wewnątrz, drzwi zamknęły się i pojazd ruszył. Chciał przesunąć się, żeby zasiąść za kierownicą i poprowadzić, zwłaszcza że 1266

samochód zbliżał się do zakrętu. Ale zanim zdążył położyć dłonie na kierownicy, samochód już pokonywał zakręt tak gładko, jakby ktoś nim kierował. Siedział zdumiony i nie dotykał kierownicy; samochód sprawnie poradził sobie na zakręcie, za którym rozpoczynało się długie, strome wzniesienie, i teraz silnik pracował ciężko, żeby rozwinąć odpowiednią moc.

Co jest w tym wszystkim najśmieszniejsze, myślał, wciąż wychylony, żeby chwycić kierownicę, ale wciąż nie dotykając jej, to fakt, że znam tę drogę na pamięć i nigdy nie było na niej zakrętu ani wzgórza. Droga biegła prosto jak strzała przez blisko trzy mile, by potem połączyć się z River Road, i na pewno nie było na niej żadnego łuku ani wzgórza. Ale teraz z pewnością tam się znajdowało, bo samochód wspinając się na nie, szybko stracił prędkość i musiał zredukować bieg.

1267

Powoli wyprostował się i przesunął na prawą stronę fotela, bowiem było oczywiste, że ten model T, z jakiegoś powodu, nie potrzebował kierowcy – być może nawet lepiej radził sobie bez kierowcy. Zdawał

się wiedzieć, dokąd jedzie, w przeciwi-

stwie do pasażera, dla którego mijany krajobraz, chociaż w pewien sposób znajomy, nie był tym

samym krajobrazem, który rozciągał się wokół miasteczka Willow Bend. Była to kraina surowa i górzysta, zaś Willow Bend leżało w rozległej, płaskiej pradolinie i nie było żadnych pagórków ani skalistego terenu, dopóki nie dotarło się do odległych wzgórz, wznoszących się na krawędzi niziny.

Zdjął czapkę i pozwolił, by podmuch rozwiewał mu włosy, bowiem nie miał możliwości osłonięcia się od wiatru, gdyż dach samochodu był złożony. Pojazd dojechał do szczytu wzgórza i zjeżdżał w dół, 1268

tocząc się po zakosach drogi. Ruszywszy w dół, wyłączył w jakiś sposób silnik, tak jak i on to robił, kiedy jechał swoim mode-lem T. Cylindry kłapały, gaworzyły przyjemnie i silnik stygł.

Gdy samochód znalazł się na zakręcie okalającym głęboką, czarną przepaść, która rozciągała się pomiędzy wzgórzami, poczuł słodki, świeży zapach mgły, i ten zapach obudził w nim dawne wspomnienia; gdyby nie wierzył, że jest to złudzenie, po-myślałby, że znalazł się z powrotem w krainie swojej młodości. Pośród zalesionych wzgórz, gdzie dorastał, mgły wznosiły się nad dolinami w letni wieczór, niosąc ze sobą zapachy pól kukurydzy, koniczyno-wych łąk i wiele innych przenikających się aromatów wydobytych z tłustej, żyznej ziemi. Ale to nie mogła być, wiedział, kraina jego młodych lat, bowiem ta rozciągała się daleko stąd i była odległa o co najmniej 1269

godzinę drogi. Lecz tak naprawdę pojmo-wał, gdzie właściwie może się znajdować, bowiem nie był to ten rodzaj krajobrazu, jaki rozciągał się w bezpośrednim otoczeniu miasteczka Willow Bend.

Samochód zjechał ze wzgórza i radośnie toczył się drogą w dolinie. Minął budynek farmy przytulony do wzgórza, ze światłem błyszczącym w dwóch oknach, zarysami stodoły i kurnika z jednej strony. Wybiegł

pies i zaszczekał. Nie było innych domów, chociaż daleko, na wzgórzach po przeciwległej stronie, widział tu i ówdzie ognik światła i był pewny, że są to gospodarstwa.

Nie napotkali również innych samochodów, chociaż nie było to aż tak zaskakujące, bowiem w tej rolniczej krainie mieszkańcy wykonywali wieczorem wiele prac, i zmierzch nadchodził szybko dla tych, którzy zamierzali wstać z kurami. Poza weekendami na wiejskiej drodze nie było 1270

wielkiego ruchu.

Model T pokonał zakręt i oto z przodu widać było jaskrawą plamę światła; gdy podjechali bliżej, usłyszał muzykę. Było w tym wszystkim coś znajomego, co uderza-

ło go, ale jak dotąd nie potrafił określić przyczyny owego wrażenia. Model T zwolnił, skręcił w stronę plamy światła i teraz było widać, że wydobywa się ono z tancbudy. Rzędy żarówek wisiały na frontonie, a pozostałe umieszczono na wysokich słupach w rejonie parkingu. Przez rozświetlone okna widział tancerzy; usły-szawszy muzykę, zdał sobie sprawę, że właśnie takiej nie słyszał od ponad pół stulecia. Model T wjechał gładko na miejsce parkingowe obok turystycznego maxwella.

Turystyczny maxwell, pomyślał z niejakim zaskoczeniem. Od lat na drogach nie było maxwelli. Stary Virg miał kiedyś maxwella, w tym samym czasie, kiedy on miał 1271

model T. Stary Virg, pomyślał. Tak wiele lat temu. Próbował przypomnieć sobie nazwisko starego Virga, ale bez powodzenia.

Ostatnio, wydawało się, miał trudności z przypominaniem sobie nazwisk. Nazywał się Virgil, ale przyjaciele mówili na niego Virg. Sporo razem przeżyli, we dwóch; biegali na potańcówki, pili bimber, grali w bilard, ganiali za dziewczynami – robili wszystko to, co robią młokosi, kiedy mają czas i pieniądze.

Otworzył drzwi i wysiadł z samochodu, słysząc, jak żwir parkingu trzeszczy mu pod stopami; to trzeszczenie żwiru pozwoliło mu rozpoznać miejsce i dostarczyło powodu owego znajomego uczucia, które z początku mu umknęło. Stał nieruchomo, na poły zdrętwiały ze zdumienia, spoglądając na przypominające zjawy wysokie wiązy, rosnące po obu stronach ciemnego konturu tancbudy. Dostrzegł zarys odle-

1272
głych wzgórz i rozpoznał go; kiedy stał

tam, wyęzając słuch, usłyszał szum wody, wypływającej ze zbocza, a potem podąża-jącej drewnianym kanałem do poidła przy drodze, które teraz rozpadało się ze staro-

ści, niepotrzebne już od czasu, gdy auto-mobil zajął miejsce ciągniętego przez konie zaprzęgu. Odwrócił się i usiadł na masce modelu T. Wzrok nie mógł go mylić ani zawodzić słuch. Zbyt często słyszał ten wyraźny od-głos płynącej wody w latach dawno minionych, by teraz go nie rozpoznać; i zarys wiązków, kontur wzgórz, wysypany żwirem parking, rząd żarówek na frontonie tancbudy, wszystko to mogło tylko oznaczać, że powrócił, albo coś pozwoliło mu powrócić, do Big Spring Pavillion. Ale to, powiedział

sobie, było pięćdziesiąt albo więcej lat temu, kiedy byłem silny i młody, kiedy stary Virg miał swojego maxwella, a ja

1273
swój model T.

Poczuł rosnące podniecenie, które było silniejsze od zdumienia i poczucia absur-dalnej niemożliwości – podniecenie równie dziwne, jak samo miejsce i jego ponowny pobyt tutaj. Wstał i przeszedł przez parking, czując, jak gruby żwir chrzęści i przesypuje mu się pod stopami, a ciało wypełnia dziwna lekkość, rodzaj młodzień-

czej lekkości, jakiej nie czuł od lat, i gdy otoczyły go dźwięki muzyki, poruszał się zgodnie z jej rytmem. Nie była to muzyka, jakiej dzieciaki słuchały dzisiaj, z całym tym hałasem wzmacnianym przez elektroniczne urządzenia, nie te zgrzytliwe, pozbawione rytmu dźwięki, które sprawiały, że człowiekowi szczękały zęby, a idioci rzucali bezmyślne spojrzenia, lecz muzyka pełna harmonii, muzyka, przy której moż-

na było tańczyć, obdarzona hipnotyczną jakością, muzyka, której już się nie słysza-

1274
ło. Saksofon brzmiał czysto, pełnie; a saksofon, pomyślał, był instrumentem dzisiaj zupełnie zapomnianym. Ale słysząc go było tutaj, i towarzyszącą mu muzykę, i żarówki nad drzwiami kołysały się w lekkim wietrzyku ciągnącym przez dolinę.

Już zamierzał wejść do środka, kiedy przypomniał sobie, że wstęp do tancbudy jest płatny, i miał już wyciągnąć trochę drobnych z kieszeni (resztkę, która mu została po wypiciu tych wszystkich piw u Brada), kiedy zauważył czarną pieczętkę na grzbiecie prawej dłoni. Tak to właśnie było, przypomniał sobie, że oznaczali każ-

dego, przybijając pieczętkę na dłoń, kiedy zapłacił za wstęp. Pokazał pieczętkę męż-

czyźnie stojącemu przy wejściu i wszedł

do środka. Tancbuda wydawała się większa, niż ją zapamiętał. Zespół był umieszczony na

podwyższeniu z boku, a parkiet wypełniony tancerzami.

1275

Lata zniknęły i wszystko było tak, jak zapamiętał. Dziewczyny w ładnych sukienkach; nie zauważył ani jednej w dzinsach. Chłopcy mieli na sobie marynarki i krawaty, i była w tym wszystkim elegancja i szyk, o których zdążył zapomnieć. Muzyk grający na saksofonie wstał; i instrument zakwilił samotną melodią, i całe miejsce wypełniło się magią, o której my-

ślał, że już nie istnieje.

Zanurzył się w magię. Nieświadomy, co zamierza zrobić, zaskoczony, kiedy już do tego doszło,

znalazł się na parkiecie, tań-

cząc samotnie; tańczył ze wszystkimi pozostałymi, współuczestnicząc w magii – po wszystkich tych samotnych latach znowu brał w tym udział. Rytm muzyki wypełnił

świat i cały świat skupił się na środku parkietu, i chociaż nie było obok niego dziewczyny i tańczył sam, przypominał sobie wszystkie dziewczyny, z którymi kiedy-1276
kolwiek tańczył.

Ktoś położył mu ciężką dłoń na ramieniu, ktoś inny powiedział:

– Och, na miłość boską, zostaw starego w spokoju; on chce tylko zabawić się tak jak my wszyscy.

Ciężka dłoń została zdjęta z jego ramienia, jej właściciel odszedł chwiejnie w głąb parkietu, i nagle zrobiło się zamieszanie, które trudno było nazwać tańcem. Jakaś dziewczyna chwyciła go za rękę.

– Chodź, dziadku – powiedziała – spa-

dajmy stąd. – Ktoś inny pchał go w kierunku, w którym ciągnęła go dziewczyna, i po chwili znalazł się na zewnątrz.

– Lepiej się zbieraj, dziadku – powiedział młody mężczyzna. – Zaraz wezwą policję. Słuchaj, jak się właściwie nazywasz? Kim jesteś?

– Jestem Hank – odparł. – Nazywam się Hank i kiedyś tu przyjeżdżałem. Ja i stary 1277

Virg. Często tu przyjeżdżaliśmy. Mój model T stoi na parkingu, jeśli chcecie, żeby was podwieźć.

– Jasne, czemu nie – powiedziała dziewczyna. – Jedziemy z tobą.

Ruszył przodem, oni poszli za nim, i kiedy wszyscy wgramolili się do samochodu, okazało się, że jest ich więcej, niż się spodziewał. Musieli siedzieć jedno drugiemu na kolanach, żeby się pomieścić.

Usiadł za kierownicą, ale nie dotykał jej, bowiem był przekonany, że model T wie, czego się od niego oczekuje, i oczywiście tak było. Zastartował, wyjechał z parkingu i wtoczył się na drogę.

– Proszę, dziadku – powiedział chłopak, który siedział za nim – pociągnij sobie. To nic specjalnego, ale ma kopa. Nie jest trująca; nie otruła żadnego z nas.

Hank wziął butelkę i przytknął do warg.

Przechylił głowę i płyn zabulgotał. I gdyby 1278

miał jeszcze jakiegokolwiek wątpliwości, gdzie się znajduje, alkohol rozwiął je ostatecznie.

Bowiem jego smak był smakiem, którego się nie zapomina. Ale nie można go również zapamiętać.

Trzeba było pocią-

gnąć jeszcze raz, żeby sobie przypomnieć.

Oddał butelkę temu, który mu ją podał.

– Niezłe – rzekł.

– Nie niezłe – odparł chłopak – ale najlepsze, jakie mogliśmy dostać. Tych bim-browników nie obchodzi, co ci sprzedają.

Najlepszy sposób polega na tym, że trzeba kazać im wypić łyka przed zakupem i potem obserwować przez chwilę. Jeśli nie padną trupem i nie oślepną, cholera jest bezpieczna.

Wyciągając rękę z tylnego siedzenia, jedno z nich podało mu saksofon.

– Dziadku, wyglądasz na kogoś, kto potrafi na tym zagrać – powiedziała jedna z dziewczyn – więc umil nam czas.

1279

– Skąd to macie? – zapytał Hank.

– Od zespołu – odparł głos z tyłu. – Ten palant, który na nim grał, nie miał prawa go używać.

Katował go tylko.

Hank przytknął ustnik do warg, poruszył

klawiszami i zagrał. Było to dziwne, bowiem nigdy dotąd nie trzymał w ręce instrumentu dętego.

Nie czuł muzyki. Próbo-wał kiedyś grać na harmonijce, myśląc, że pomoże mu to zabić czas, ale dźwięki, któ-

re z niej wydobywał, doprowadzały starego Bounce'a do hysterii. Odłożył ją więc na półkę i zapomniał o wszystkim, aż do tej chwili.

Model T toczył się po drodze i po nie-długim czasie oddalili się od tancbudy.

Hank dmuchał w saksofon, dziwiąc się sam sobie, jak dobrze gra, podczas gdy inni śpiewali i posyłali butelkę wkoło. Na drodze nie było samochodów, i wkrótce model T, wspiąwszy się na wzgórze, opu-1280

ścił dolinę i jechał górskim grzbietem, podczas gdy cała kraina w dole była jak srebrny sen zalany blaskiem księżyca.

Później Hank zastanawiał się, jak długo mogła trwać cała ta jazda górskim grzbietem, jego granie na saksofonie, przerywane tylko wtedy, kiedy odkładał instrument, żeby pociągnąć łyk bimbrowy. Wydawało mu się, że trwało to całą wieczność; samochód jechał bez końca w mlecznym blasku, ciągnąc za sobą kwilenie i zawodzenie saksofonu.

Obudził się również w nocy. Świecił ten sam księżyc, ale model T zjechał z drogi i stał zaparkowany pod drzewem, tak że peł-

ny blask księżyca nie padał na niego. Zastanawiał się z pewnym lękiem, czy jest to ta sama noc, czy inna, i nie potrafił odpowiedzieć, chociaż stwierdził, że nie miało to właściwie znaczenia.

Dopóki świecił

księżyc, miał model T i drogę, po której 1281

mógł jechać, nie potrzebował niczego więcej, i która to była noc, nie było istotne.

Młodzi ludzie, którzy podróżowali z nim, zniknęli, lecz saksofon leżał na pod-

łodze. Kiedy Hank się wyprostował, usłyszał bulgot w kieszeni, i po zbadaniu jego źródła, wyciągnął butelkę bimbrowy. Była wciąż więcej niż do połowy pełna, a zwa-

żywszy na intensywność picia, które miało miejsce, wydawało się to raczej dziwne.

Siedział nieruchomo za kierownicą, spoglądając na butelkę i zastanawiając się, czy powinien się napić. Zdecydował, że nie, i schował butelkę do kieszeni, po czym się-

gnął po saksofon i położył go na fotelu obok siebie.

Silnik modelu T zaskoczył, kaszląc i dławiąc się. Samochód, jakby niechętnie, ruszył i wyjeżdżając spod drzewa skierował się szerokim łukiem ku drodze. Wjechał na nią i potoczył się naprzód. W tyle 1282

cienki obłok kurzu wzbity przez koła srebrzył się w blasku księżyca.

Hank siedział dumny za kierownicą, pa-miętając, żeby jej nie dotykać. Złożył dłonie na podołku i oparł się wygodnie. Czuł

się dobrze – lepiej niż kiedykolwiek. Cóż, może nie do końca, powiedział sobie, bowiem w latach młodości, kiedy był sprawny, silny i pełen nadziei, mogły być momenty, kiedy czuł się równie dobrze jak teraz. Wspominał, szukając w pamięci takich momentów, i z jej głębin wyłonił się obraz chwili, kiedy napił się akurat tyle, by poczuć się wstawiony, ale jeszcze nie tyle, by się upić, i nie chcąc już więcej pić, stał na zwirowym parkingu przy tancbudzie w Big Spring, przysłuchując się muzyce, zanim wszedł do środka, z butelką zatknietą za pazuchę, ziębiącą go w brzuch. Dzień był wyjątkowo upalny i pracował przy siano-kosach, lecz teraz noc była chłodna, mgła 1283

stopniowo wypełniała dolinę, niosąc ze sobą ten trudny do określenia aromat tłustej i żyznej ziemi; zaś wewnątrz grała muzyka i przy drzwiach kręciła się dziewczyna, czekając, aż pojawi się w wejściu.

Tamten moment, pomyślał, wyrwany z

plątaniny czasu, był dobry, ale nie lepszy niż chwila, kiedy jechał samochodem po grzebiecie wzgórza i cały świat rozciągał

się pod nim skąpany w blasku księżyca.

Inny, być może, pod pewnymi względami, ale nie lepszy niż ta chwila.

Droga skręciła z grzbietu i prowadziła teraz zakosami w dół zbocza, ku dnu doliny. Zając przebiegł przez drogę, na moment oświetlony przez słabe reflektory.

Wysoko na nocnym niebie krzyknął niewidoczny ptak, ale był to jedyny dźwięk, poza sapaniem i stukaniem modelu T.

Samochód zagłębiał się w dolinę i tutaj księżyc był często zasłaniany przez las, 1284 który rósł przy samej drodze.

Model T wrócił do tancbudy, ale cała magia zdążyła już się ulotnić. Było ciemno i pusto. Na parkingu nikogo nie zauważył.

W ciszy, gdy model T wyłączył silnik, usłyszał szum wody spływającej z górskiego źródła do poidła przy drodze.

Nagle zrobiło mu się zimno i poczuł lęk.

Było tu pusto, tak pusto, jak tylko puste może być miejsce dawnych wspomnień, kiedy uleciało z niego całe życie. Poruszył

się niespokojnie i wysiadł z samochodu, stając obok niego, z jedną ręką na masce, zastanawiając się, dlaczego model T ponownie go tu przywiózł i dlaczego wysiadł z samochodu.

Ciemna, niewyraźna postać zbliżała się od strony wejścia do tancbudy, poruszając się niepewnie w ciemnościach.

– To ty, Hank? – zapytał głos.

– Tak, to ja – odparł Hank.

1285

– Chryste, gdzie są wszyscy? – zapytał głos.

– Nie wiem – odparł Hank. – Byłem tutaj poprzedniego wieczora. Wtedy było tu pełno.

Postać podeszła bliżej.

– Nie miałbyś przypadkiem łyżeczka czegoś mocniejszego, co?

– Pewnie, Virg – odparł, bowiem teraz rozpoznał głos. – Pewnie, że mam coś mocniejszego. Sięgnął do kieszeni i wyciągnął butelkę.

Podał ją Virgowi. Ten przyjął ją i usiadł na masce. Nie wypił od razu, tylko siedział ściskając butelkę.

– Jak się miewałeś, Hank? – zapytał. –

Chryste, to kawał czasu, od kiedy ostatni raz cię widziałem.

– Wszystko w porządku – odparł Hank.

– Przeniosłem się do Willow Bend i już tam zostałem. Znasz Willow Bend?

1286

– Przejeżdżałem tamtędy raz. Tylko przejeżdżałem, nigdy się nie zatrzymując.

Zrobiłbym to, gdybym wiedział, że tam mieszkasz. Straciłem po tobie ślad.

Było coś, co Hank słyszał o starym Vir-gu, i pomyślał, że może powinien o tym wspomnieć, ale za żadne skarby nie mógł

sobie przypomnieć, co to było, więc nic nie powiedział.

– Mnie nie wiodło się najlepiej – rzekł

Virg. – Nie było tak, jak się spodziewałem.

Janet zostawiła mnie, zacząłem pić i straci-

łem stację benzynową. Potem po prostu zajmowałem się tym i owym. Nigdy nie mogłem osiąść w jednym miejscu. Nie mogłem się przy niczym zaczepić.

Otworzył butelkę i pociągnął łyk.

– Dobrze – powiedział oddając butelkę Hankowi.

Hank napił się, po czym usiadł na masce obok Virga i postawił butelkę pomiędzy 1287 nimi.

– Miałem przez jakiś czas maxwella –

powiedział Virg – ale zdaje się, że go straciłem. Zapomniałem, gdzie go zostawiłem, i szukałem wszędzie.

– Nie potrzebujesz swojego maxwella, Virg – rzekł Hank. – Mam ten model T.

– Chryste, ależ tu jest pusto – powiedział Virg. – Nie wydaje ci się, że jest tu pusto?

– Tak, pusto. Proszę, napij się jeszcze.

Wymyślimy, co zrobić.

– Niedobrze tak tutaj siedzieć – rzekł

Virg. – Lepiej chodźmy pomiędzy ludzi.

– Najpierw sprawdźmy, ile zostało nam benzyny – odparł Hank. – Nie wiem, co jest w baku.

Wstał, otworzył przednie drzwi i włożył rękę pod fotel kierowcy, szukając miarki.

Znalazł ją i odkręcił wlot paliwa. Zaczął przetrząsać kieszenie w poszukiwaniu za-1288 pałek, żeby poświecić.

– Hej – powiedział Virg – nie używaj

zapalek w pobliżu baku. Wysadzisz nas w powietrze. Mam latarkę w tylnej kieszeni spodni. Jeśli to cholerstwo działa.

Baterie były słabe, ale latarka dawała odrobinę światła. Hank zanurzył miarkę w baku, po czym wyciągnął ją, kiedy dotknę-

ła dna, przytrzymując kciukiem w miejscu oznaczającym górną ściankę zbiornika paliwa. Miarka była mokra niemal do tego miejsca.

– Prawie pełny – rzekł Virg. – Kiedy ostatnio tankowałeś?

– Nigdy.

Stary Virg był pod wrażeniem.

– Ta stara blaszana jaszczurka – powiedział – prawie nic nie pali.

Hank zakręcił wlot paliwa, ponownie usiedli na masce i napili się.

– Wydaje mi się, że to miejsce jest sa-1289

motne od dawna – rzekł Virg. – Diabelnie ciemne i samotne. Co sądzisz o tym, Hank?

– Ja byłem samotny – odparł Hank – od czasu, kiedy zdechł stary Bounce. Nigdy się nie ożeniłem. Jakoś nie mogłem się do tego zebrać. Bounce i ja wszędzie chodzili-

śmy razem. Szedł ze mną do baru Brada i kładł się pod stołem; potem, kiedy Brad nas wyrzucił, wracał ze mną do domu.

– Nie robimy nic dobrego – rzekł Virg –

siedząc tutaj i narzekając. Napijmy się więc jeszcze po łyku, a potem odpalę dla ciebie samochód i ruszymy w drogę.

– Nie trzeba odpalać samochodu – rzekł

Hank. – Po prostu wsiada się do niego, a on sam zapala.

– Niech mnie diabli – powiedział Virg. –

Nieźle go wytresowałeś.

Napili się i wsiedli do modelu T, który zapalił i wyjechał z parkingu, wtaczając się 1290 na drogę.

– Jak sądzisz, dokąd powinniśmy pojechać? – zapytał Virg. – Znasz jakieś miejsce?

– Nie, nie znam – odparł Hank. – Niech samochód zawiezie nas, dokąd chce. Będzie znał drogę.

Virg sięgnął po saksofon leżący na fotelu i zapytał:

– Skąd to masz? Nie pamiętam, byś grał na saksie.

– Nie potrafiłem – odparł Hank. Wziął

saksofon od Virga i przyłożył go do warg, a instrument zaczął w udręce, zagulgotał beztrosko.

– Niech mnie diabli – rzekł Virg. – Robisz to całkiem nieźle.

Model T toczył się radośnie drogą, po-dzwaniając zderzakami i wibrującą przednią szybą, podczas gdy zwoje prądnicy, umieszczone na desce rozdzielczej, kleko-1291

tały i brzęczały. Przez cały czas Hank dął

w saksofon i muzyka rozbrzmiewała gło-

śno i wyraźnie, a zaskoczone nocne ptaki ze skrzekiem przelatywały przez wąski strumień światła.

Model T wspinał się po zboczu i wyje-

chawszy na szczyt wzgórza toczył się w świetle księżyca po wąskiej, piaszczystej drodze

między ogrodzeniami łąk, skąd przyglądały się im zaspane krowy.

– Niech mnie diabli – powiedział Virg –

jeśli nie jest tak jak kiedyś. My dwaj, jadą-

cy sobie w blasku księżyca. Co się z nami stało, Hank? W którym momencie się za-gubiliśmy?

Jest tak teraz, i było tak dawno, dawno temu. Co się stało z tymi wszystkimi latami pomiędzy?

Dlaczego musiały być jakieś lata pomiędzy?

Hank milczał. Dął tylko w saksofon.

– Nigdy nie prosiliśmy o wiele – ciągnął

Virg. – Byliśmy zadowoleni z tego, co 1292

mieliśmy. Nie prosiliśmy o zmianę. Ale starzy kumple opuścili nas. Pożenili się, mieli stałą

pracę, niektórzy zrobili się waż-

ni. I to było najgorsze ze wszystkiego, kiedy zrobili się ważni. Zostaliśmy sami. Tylko nas dwóch, ty i ja, ci, którzy nie chcieli się zmienić. Nie chodziło tylko o to, żeby trzymać się uciekającej

młodości. Chodzi-

ło o coś innego. O czas, kiedy jest się młodym i szalonym. W jakiś sposób to wiedzieliśmy. I

oczywiście mieliśmy rację.

Potem już nigdy nie było tak dobrze.

Model T zjechał z grzbietu wzgórza i ruszył w dół długiego, stromego zbocza; po-niżej ujrzeli wielką autostradę, szeroką, o wielu pasach, pełną pędzących samochodów.

– Zbliżamy się do autostrady, Hank –

rzekł Virg. – Może powinniśmy gdzieś skręcić. Ten twój model T to dobry samochód, jasne, najlepszy, jaki znam, ale tam 1293

na dole strasznie pędzą.

– Ja nie mam z tym nic wspólnego – odparł Hank. – Nie kieruję. Samochód sam jedzie. Wie, co chce zrobić.

– Cóż, w porządku, do diabła z tym –

rzekł Virg. – Jedźmy zatem. Nie ma sprawy. Czuję się bezpiecznie. Wygodnie. Nigdy w życiu nie było mi tak wygodnie.

Chryste, nie wiem, co bym zrobił, gdybyś się nie pojawił. Lepiej zostaw już ten saksofon i napij się ze mną, zanim opróżnię całą flaszkę.

Hank odłożył saksofon, pociągnąwszy kilka łyków za stracone kolejki, a kiedy oddał butelkę Virgowi, model T wjechał

na podjazd i znaleźli się na autostradzie.

Samochód pędził radośnie po swoim pasie, minął kilka samochodów, które wcale nie stały w miejscu. Zderzaki pobrzękiwały trochę głośniej, a klekot zwojów prądnicy był jak ogień karabinu maszynowego.

1294

– Chłopie – rzekł Virg z podziwem – jak on pędzi. Ma w sobie jeszcze sporo życia.

Czy masz może pojęcie, Hank, dokąd zmierzamy?

– Najmniejszego – odparł Hank ponownie sięgając po saksofon.

– Cóż, do diaska – rzekł Virg – w gruncie rzeczy, nie ma to znaczenia, po prostu jedziemy przed siebie. Przed chwilą był

znak do Chicago. Myślisz, że możemy kierować się do Chicago?

Hank odstawił saksofon od ust.

– Możliwe – powiedział. – Nie przejmuję się tym.

– Ja też nie – rzekł stary Virg. – Chicago, nadjeżdżamy! Żeby tylko wy – starczyło bimbrowy. Wydaje się, że wystarczy. Pije-my ją od dłuższego czasu, a ciągle jest więcej niż do połowy pełna.

– Jesteś głodny, Virg? – zapytał Hank.

– Do diabła, nie – odparł Virg. – Nie je-1295

stem ani głodny, ani śpiący. Nigdy w życiu nie czułem się tak dobrze. Żeby tylko wystarczyło bimbrowy i ta stara szkapa nie rozpadła się.

Model T stukał i klekotał, sunąc równo z lśniącymi, nowoczesnymi samochodami, które nie stukały i nie klekotały, Hank grał

na saksofonie, a Virg wymachiwał butelką i wznosił okrzyk za każdym razem, kiedy stary wehikuł wyprzedził lincolna albo cadillaca. Księżyc wisiał na niebie i zdawał

się nie poruszać. Autostrada stała się drogą szybkiego ruchu i w przodzie pojawiła się pierwsza budka pobierania myta.

– Mam nadzieję, że masz drobne – po-

wiedział Virg. – Ja jestem pusty.

Ale drobne nie były potrzebne, bo kiedy model T podjechał bliżej, szlaban po prostu podniósł się i pozwolił im przejechać bez płacenia.

– Udało nam się – zawołał Virg. – Dro-1296

ga stoi przed nami otworem, i tak właśnie powinno być. Po tym wszystkim, przez co przeszliśmy, wreszcie los się do nas uśmiecha.

Chicago było widoczne w przodzie, nie-co po lewej, pełne światła palących się w wieżowcach, które wznosiły się nad jeziorem, ale oni po prostu minęli miasto szerokim łukiem, okrążyli Chicago wzdłuż niż-

szego brzegu jeziora i Nowy Jork był tuż za zakrętem.

– Nigdy nie byłem w Nowym Jorku –

powiedział Virg – ale widziałem zdjęcia Manhattanu, a to nie może być nic innego jak Manhattan. Nie miałem pojęcia, Hank, że Chicago i Manhattan leżą tak blisko siebie.

– Ja też nie – odparł Hank, na chwilę przestając grać na saksofonie. – Geografia jest popieprzona, to pewne, ale nam nic do tego. Z tym starym wrakiem cały świat stoi 1297 przed nami otworem.

Wrócił do grania, a model T toczył się dalej. Przejechali przez wąwozy Manhattanu, minęli Boston i skierowali się w stronę Waszyngtonu, gdzie pomnik Waszyngtona wznosił się wysoko, a stary Abraham Lincoln siedział nad brzegiem Potomacu.

Ruszyli do Richmond, minęli Atlantę i pędzili po skąpanych w księżycowym blasku piaskach Florydy. Jechali po starych drogach, gdzie drzewa obrosnięte były mchem, i po lewej ujrzeli światła starego Nowego Orleanu. Teraz znowu jechali na północ i samochód toczył się po grzbiecie wzgórza pośród starannie utrzymanej rolniczej krainy. Księżyc nadal wisiał tam gdzie przedtem, dokładnie w tym samym miejscu. Jechali przez świat, w którym wciąż była trzecia nad ranem.

– Wiesz – powiedział Virg – nie miałbym nic przeciwko temu, żeby to trwało 1298

bez końca. Gdybyśmy nigdy nie dotarli tam, dokąd jedziemy, gdziekolwiek to jest.

Sama jazda jest zbyt przyjemna, żeby przejmować się celem podróży. Może odłóżysz saksofon i pociągniesz jeszcze łyka? Na pewno potężnie cię suszy.

Hank odłożył instrument i sięgnął po butelkę.

– Wiesz, Virg – powiedział – czuję to samo co ty. Po prostu nie wydaje mi się, żeby trzeba było zaprzętać sobie głowę tym, dokąd jedziemy, ani co się wydarzy.

Mam wrażenie, że nic nie mogłoby być lepszego od tej chwili.

Wtedy przy tancbudzie przypomniał so-

bie, że było coś, co słyszał o starym Virgu i pomyślał, że mógłby go o to zapytać, ale nie potrafił, za żadne skarby, przypomnieć sobie, o co chodziło. Ale teraz już wiedział, lecz uznał, że jest to drobiazg i nie warto o tym mówić.

1299

Tym, co sobie przypomniał, był fakt, że dobry stary Virg nie żyje.

Przyłożył butelkę do ust i pociągnął łyk; wydawało mu się, że nigdy nie pił nic, co byłoby choć w połowie tak dobre. Oddał

butelkę, sięgnął po saksofon i zagrał na nim radośnie, podczas gdy duch modelu T toczył się po oświetlonej przez księżyc drodze.

1300

TANITH LEE

DEMONKA

(The demoness)

Przełożył Marcin Wawrzyńczak

Tanith Lee zdobyła rozgłos dzięki umiejętności łączenia fantastyki naukowej, heroicznego fantasy i bajek, w sposób często wywracający do góry nogami przyjęte konwencje. Jej rozważania nad dwuznacznością zachowań moralnych moż-

na znaleźć w powieściach „Death's Master”, „Dark Dance” i

„Darkness, I”. Jest laureatką nagrody World Fantasy, mieszka w Londynie.

1301

Czekała w swojej wysokiej wieży.

Czekała dzień i noc.

Wieża była biała i sięgała daleko, daleko w dół, aż po bezmiar wypłowiałych wydm i szary połysk oceanu.

Jej świat był cały szary, cały biały, pełen półtonów i lśnień, pozbawiony kształtu.

Świat bezbarwny i abstrakcyjny. Ona sama też była biała, jej pianista suknia, stopy, wąskie dłonie – białe jak kredowe wzgórza ciągnące się w oddali nad wybrzeżem.

Lecz jej długie, długie włosy były czerwone, krwiście czerwone, czerwone jak erupcja lawy z białego wulkanicznego kryszta-

łu jej ciała. Nie oglądała swoich włosów; w niejasny sposób napawały ją lękiem.

Układała je sobie na głowie zaplecione w warkocze.

Czekała, nie będąc pewna, dlaczego cze-1302

ka ani na kogo, ani na co.

Nie myślała o swojej przeszłości ani przyszłości, ani właściwie o niczym. Nie miała pamięci, tak w każdym razie się wydawało, tylko pustą stronę, z której ulecia-

ły słowa. Obserwowała mewy pikujące na wietrze, krzyczące swoimi wietrznymi głosami. O określonych porach wychodziła z wieży, i o określonych porach wracała do niej. Jak kukółka z zegara. Nie miała ambi-cji ani tęsknot, ani żadnej nadziei. Była, w tym sensie, że istniała. Była, ale nic wię-

cej.

Czas mijał, lecz nie miał znaczenia. Mo-gło to być wczoraj albo jutro, kiedy go zobaczyła.

Jechał plażą o świcie, mężczyzna cały w złocie, na złotym koniu z rozwianą grzywą, przystrojona szkarłatnymi wstążkami i złotymi dzwoneczkami, wzbijającym ko-1303

pytami tumany piasku. Jego widok oślepił

ją. Miał na sobie zbroję antyczną, albo zbyt nowoczesną, by mogła ją rozpoznać.

Ozdobne kutasy zwisały mu u ramion, włosy miał potargane i jasne niczym zerwane struny złotej harfy.

Poczuła, jak serce jej przyspiesza, kiedy wychyliła się z wieży. Czyżbym czekała na tego mężczyznę? Był płonąca mrówką na plaży, ale wkrótce wjechał pod łuk wie-

ży. Rozległo się echo, a potem odgłos jego kroków na schodach. Słyszała, jak przechodzi przez kolejne komnaty, czasem się zatrzymując. Wyobraziła sobie, jak bada niektóre rzeczy. Ale przez cały czas się zbliżał. Spojrzała na drzwi, przez które wejdzie. Serce jej waliło. Nie namyślając się. sięgnęła ręką i rozpuściła włosy.

Stał nieruchomo w progu i patrzył na nią, miał surową minę. Chciała sprawić, żeby się uśmiechnął. Wlepił w nią wzrok.

1304

– Gdzie jest Golbrant? – zapytał.

Przyłożyła dłoń do ust. Pokręciła głową.

– Ten, który przejechał tędy, trzydzieści dni temu, w drodze do Krennok-dol. Miał harfę na ramieniu i bliznę w kształcie krzyża na czole.

Znowu pokręciła głową, czując, jak serce zaczyna jej walić jeszcze mocniej, po czym położyła sobie dłoń na krtani i czekała.

– Golbrant – powiedział, a jego oczy były wąskie i bardzo jasne – mój brat poprzez więzy przysięgi, nie krwi. Ten, do którego Siostry rzekły: „Strzeż się białej kobiety czekającej na śmierć w wysokiej wieży nad morzem”.

Postąpił naprzód i chwycił ją za włosy, po czym okręcił je sobie wokół dłoni, aż ból wypełnił jej głowę niczym srebrna chmura.

– Gdzie jest Golbrant? – syknął, a potem 1305
napotkał jej wzrok.

Tak to z nią było. Jego oczy były jak letni ogród. Chciała wyssać z nich te widoki bursztynowych cieni i żółte błyski słońca, chciała, by te nadzieje, pragnienia i tęsknoty, które w nich widziała, wypełniły jej pustkę, jej ciemność swoim sensem i swoim światłem. Była głodna i spragniona jego odbitego życia jak ryba wody, jak ptasie skrzydła wiatru. Jej oczy zaczęły oddychać, pić niczym zwierzę u wodopoju; objęła dłońmi jego szyję, zbliżyła się do twardej zbroi, i przylgnęła do niego mocno. Posłał przekleństwo, próbując uwolnić się od jej dłoni, oczu, ale nie mógł. Uścisk kobiety, jej wzrok, miały w sobie rodzaj przyjemnego śmiertelnego ciężaru, z wyjątkiem miejsca, gdzie wypełniał i łechtał

go w lędźwie. Pociągnęła go w dół. Utopiła go w swoich oczach i w swoim ciele.

Pływała w odmętach jego ciała, i fala za-1306

brała go, i zagubił się w tunelu rozkoszy, którą musiała mu dać. Była to rozkosz, jakiej nigdy dotąd nie zaznał i nigdy nie zazna. Był to cały ładunek jej rozkoszy, zachowany dla niego. Była słojem zawierają-

cym oceany, fontanną; próbował dotrzeć do źródła i krzyknął na głos, by do niego sięgnąć.

Ale w końcu jego ciało ocknęło się. Po-

żądanie przekształciło się w odrętwienie, a potem w odrazę do bladej istoty, wijącej się pod nim. Zrozumiał wtedy, co oddałby jej razem ze swoim życiem, które z niego wyciekało.

I odsunął się. Uwolnił się z jej uścisku, odwrócił głowę, zakrywając oczy, jakby przed straszliwym i przytłaczającym blaskiem.

– A więc prawdą jest to, co mówili o tobie, biała kobieto – mruknął w zimnym gniewie, bardziej do siebie niż do niej. –

1307

Pożerasz zawartość mózgu i rozsądek umysłu swoim wzrokiem i swoim łonem.

Tak, czułem to, i byłbym opróżniony jak kość ze szpiku po tym, jak zajął się nią wilk. Czy tak właśnie potraktowałaś Golbranta?

Jej spojrzenie pociemniało, zmętniało, rozbiegło się. Leżała na ziemi. Nie rozumiała. A jednak docierało do niej odległe wspomnienie, wspomnienie jak sen, męż-

czynny na ciemnym koniu, ciemnowłose-

go, z harfą na plecach i poszarpaną blizną w kształcie krzyża na czole. Na niego również czekała, przypominała to sobie teraz, a on przyszedł, poprzez rozległe komnaty, po schodach jej wieży. Nie

odsunął się, światło przeszło od niego do niej. Podniosła wzrok na mężczyznę, którego prawie posiadała, bowiem przypominała sobie teraz, nagle, co to oznaczało, kiedy leżała z mężczyzną. Nie było w tym wstrząsu ani 1308

zaskoczenia, ani odrazy. Wszystko wyda- wało się naturalne, bo cóż ona wiedziała o naturalnym porządku rzeczy, żeby tę jedyną rzecz, która była jej, postrzegać jako dziwną, ciemną i złą?

– Nie żyje – odparła cicho, zwyczajnie wyjaśniając.

Złoty rycerz dobył miecza i zamachnął

się nim, żeby zdjąć jej głowę z ramion, ale nie było zwyczajem wojowników z Krennok-dol zabijanie kobiet, bez względu na to, jak wielki przepełniał ich gniew. Powstrzymał się więc i po chwili wsunął

miecz do pochwy.

– Żyj, wampirzyco – powiedział z oczami białymi od nienawiści – ale nigdy więcej nie próbuj pozbawić mężczyzny zmysłów albo dopilnuję, żeby twoją głowę zatknęto na palu.

Nie mogło to do niej przemówić; nie była do końca istotą ludzką, ludzkie wartości i prawa nie miały dla niej znaczenia. A jednak patrzyła na niego, i kochała go, ponieważ uwolnił się od niej i już jej nie potrzebował.

Chodził od pokoju do pokoju, szukając swojego brata Golbranta, ale Golbrant błąkał się po komnatach, kiedy opuściły go zmysły, i wypadł z wieży do morza. Zabrały go fale, drapieżne mewy i ryby szarpały jego ciało, tak że teraz był tylko szkieletem na dnie oceanu, bez żadnych śladów mogą-

cych wskazać, kim był, z wyjątkiem złotej harfy zieleniejącej na piasku u jego boku.

Gdy rycerz szukał, kobieta szła w ślad za nim. Nie mogła powiedzieć mu, gdzie podział się Golbrant, nie mogła sobie przypomnieć, chociaż on z pewnością już to odgadł. Wpatrywała się w jego plecy, wpatrywała się w jego twarz, kiedy się odwracał. Jej miłość była wszechpożerająca; zjadłaby go, gdyby mogła. Taka była jej mi-

łość.

Ale on odtrącił ją, zszedł po schodach wieży, coraz bardziej oddalając się od niej.

Znalazł konia i odjechał na nim po piaszczystej drodze ku kredowym kominom wyznaczającym granicę morza.

Przez trzy dni włóczyła się po wieży.

Nie spinała swoich długich, długich włosów. Nie wychodziła na zewnątrz, by przyglądać się z góry wypłowiałej plaży. Nie czekała już. Golbrant i wszyscy inni męż-

czyźni, którzy zatonęli niczym okręty w jej śmiertelnym uścisku, stracili swoją wolę i umysł w jej oczach i jej łonie, byli teraz zapomniani, byli najwyżej cieniami gdzieś w zakamarkach jej umysłu, niczym więcej.

Ale jego zapamiętała, wojownika na piaszczystym koniu, jego wąskie jasne oczy, Iniane włosy, jego gniew i jego odej-

ście.

1311

O świcie czwartego dnia zeszła po schodach wieży, wyszła na zewnątrz i ruszyła nadmorską drogą w ślad za nim.

Nigdy wcześniej nie opuszczała wieży, przez wszystkie te lata, od kiedy stała się tym, kim była. Wcześniej nie było pożądania; teraz był przymus.

Promienie słońca przecinały szare niebo i słońce; i jej rozwiane włosy były dwiema jaskrawymi

plamami szkarłatu w bezbarwnej krainie, którą opuszczała.

Po kilku dniach otoczenie zmieniło barwę. Z białego stało się czarne. Wzgórza jak skulone czarne wrony tkwiły na straży po obu stronach drogi. Po ciemnym niebie przewalały się burze. Teraz jej stopy były równie czerwone, jak włosy, ponieważ ostre czarne kamienie kęsały je jak węże.

Była jedną z tych, którzy nie musieli jeść ani spać, więc po prostu szła dzień i noc.

1312

Kierowała się po końskich śladach, czasem dostrzegając łajno; tu i ówdzie znajdowała strzępek szaty wydarty przez kolczaste je-

zyny albo natykała się na wystygłe popioły ogniska i przesiewała je między palcami, próbowała językiem, ponieważ on leżał

przy nim, kiedy było jeszcze gorące trzy noce wcześniej.

W półmroku widać było czarną rzekę.

Na niebie wisiał niebieski, okrągły księż-

yc, który zdawał się niemal przezroczysty, a wielkie chmury przesunęły się z łopotem niczym gniewne ptaszyska. Nad wodą siedziała w kucki stara czarownica i dokładała do niebieskawego ognia, roznieconego pod kotłem śmierci. Miała czarne ubranie i widać było tylko jej oczy oraz chude, kościste dłonie. Kiedy ujrzała białą kobietę idącą brzegiem, wrzasnęła:

– Krennok-dol jest tam! Tam! Po drugiej stronie rzeki.

1313

Potem zostawiła swój kocioł i podeszła do kobiety; odwróciła ją, żeby ta spojrzała na drugi brzeg.

– Nie masz jak się przepawić. Most jest zwalony – on to zrobił, wiedząc, że za nim pójdziesz. Bał się, a koń galopował i krzeszał iskry żelaznymi kopytami, czując, że podąża za nimi kobieta wampir. Dałam mu amulet, żeby ochronił go przed tobą, ale na nic się on nie zda. Spójrz na siebie, widać, że jesteś wygłodniała. Czy na tym właśnie polega twoja miłość, żeby podążać za męż-

czyną, który ucieka w przerażeniu, męż-

czyną, którego lędźwie i ramię od miecza przepelnione są nienawiścią do ciebie?

Czyż nie doprowadziłaś do śmierci jego brata towarzysza, Dobrego Golbranta? –

Czarownica splunęła. – Dlatego tak spieszo ci do ciosu mieczem, który jest wszystkim, co on zamierza ci dać?

Ale biała kobieta już schodziła po skar-

pie ku wodzie, szukając miejsca, gdzie mogłaby się przepawić, chociaż nie było żadnego, i każdy by to do – strzegł oprócz niej. Czarownica pobiegła za nią, podskakując jak koza, bowiem miała na głowie kozie rogi, jak na czarownicę przystało.

Poklepała kobietę po ramieniu.

– Czy znasz choćby jego imię? Nie.

Cóż, świat jest go zbyt pełny. Jeśli go po-

żadasz, wejdź do wody, a ona cię zaniesie; chyba że się boisz. Długo będziesz go szukać, ale kiedy wreszcie znajdziesz, będzie twój. Pamiętaj tylko o cenie, którą zapłaci.

Zostanie pozbawiony zmysłów, ale cóż za radość dla ciebie – jeśli będziesz trzymać go z dala od wysokich skał i śmierci. Bę-

dzie twoim dzieckiem i twoim mężem, wszystkim naraz, aż po samą wieczność.

Usłyszała, i chociaż był to tylko cień na jej myślach, zrozumiała. Na krawędzi wody czarownica wyszeptała:

1315

– Jeśli pozwolisz mu odejść, obrócisz się w popiół, ponieważ miecz ode – tnie ci głowę. Niech nic i nikt ci nie przeszkodzi.

Pamiętaj.

Potem naparła kościstymi rękami, pcha-jąc kobietę ku wodzie. Biała kobieta nie czuła lęku. Włosy i suknia uniosły ją, prąd pociągnął w dół rzeki, jej dłonie falowały niby warkocze wodorostów, a ona myślała tylko o tym, którego szukała. Przez całą noc, pod jarzącymi się błękitno gwiazdami, srebrne nici rzeki przeciągały ją po-między wzgórzami. Niedaleko świtu wyrzuciły ją, niczym białą syrenę, na lodowe nabrzeże poniżej wzgórza, na którym znajdował się doi.

Znalazło ją sześciu czy siedmiu rybaków. Myśleli, że chciała popełnić samobójstwo, i przeżegnali się, ale zanim zdą-

żyli pobiec po księdza, wstała i ruszyła ka-1316

mienną ścieżką w górę zbocza, nie widząc ich.

Wzgórze było zielone, obsypane roślinami, niecuchnącymi nietrującymi, a dalej rozciągał się las. Kraina Krennok była żywą krainą pośród martwych ziem na północy, południu, wschodzie i zachodzie.

Wysoko na szczycie wzgórza stał zamek króla, zbudowany z drewna, kamienia i mosiądzu. Dwieście kolumn z zielonego marmuru, wyrzeźbionych na podobieństwo drzew, dźwigało dach w wielkiej sali tro-nowej. Szemrały fontanny, połyskiwały czyste jak szkło jeziora, a białe ptaki śpiewały w ogrodach, gdzie pod żółtym niebem rosły kiście okrągłych owoców. To było Krennok-dol. Przy wielkiej bramie z brązu wisiał dzwon wielkości dorosłego mężczyzny, z sercem wielkości dziesięcio-letniej dziewczynki.

Nie miała możliwości uderzyć w dzwon; 1317

mógł tego dokonać jedynie wysoki męz-

czynna na wysokim koniu, za pomocą miecza. Pukała więc w brązowe blachy drzwi, aż jej dłonie były równie zakrwawione, jak stopy.

W domenie królewskiej obowiązywało prawo, że każdy, kto przyjdzie prosić o łaskę albo sprawiedliwość, albo o jakiegokolwiek rodzaju dobrodziejstwo, powinien przynajmniej zostać wysłuchany. Wreszcie pojawił się strażnik i otworzył drzwi. Jej włosy i suknia były wciąż mokre, przeszła przez próg, ciągnąc za sobą czarne wodo-rosty przyklepione do sukni. Strażnik przestraszył się nie na żarty.

Wspięła się po wielkich schodach do sali z gąszczem kolumn. Król i jego wojownicy wrócili z porannych modłów. Teraz siedzieli, jedząc i pijąc przy długich stołach. Sam król siedział na wysokim tronie z kutego złota, tak jak siedział trzy dni 1318

wcześniej, kiedy od strony morza nadjechał galopem wojownik o przekrwionych oczach, na koniu spienionym ze strachu.

Król powstał, by go objąć i powitać; kochał wojownika być może bardziej niż pozostałych, chociaż, być może, niż swojego Alondora, którego kobiety nazywały Złotym, jeszcze bardziej kochał Golbranta Dobrego.

Ale Alondor odsunął się od króla.

– Cięży na mnie klątwa – powiedział. –

Niech Bóg broni, bym przeniósł ją na ciebie jak zarazę.

Powiedział im o śmierci Golbranta w wysokiej wieży nad morzem. Przypomnił

im o Siostrach, tych pięciu mrocznych wiedźmach, które przybyły do Krennok-dol pięć miesięcy wcześniej, by ogłosić przepowiednię o rychłej śmierci pięciu rycerzy. Kiedy mówił o białej kobiecie w wieży i o tym, co z nią robił, pobielał ze 1319

wstydu. Później wypowiedział się przed księdzem. Kapłan modlił się intensywnie, rozumiejąc bardzo dobrze, czego obawia się Alondor. Leżąc z nią, lecz nic jej nie dając, nie zabiwszy jej, kiedy był do tego zdolny, zostawił jej te moce rozkoszy i nienawiści, których się wyrzekł. A ona po-dążyła za nim, nadal za nim podążała, bez-litosna jak zima w swoim białym lodowatym pożądanu. Wiedział, że gdyby stanął

przed nią ponownie, tym razem on nie miałby mocy. Sukuba oplotłaby go i zniszczyła, wysysając jego mózg. Taka była mroczna magia jej seksualnego wampiryzmu, najstarszego i najbardziej potwornego demona na świecie. Nie wiedział tego wszystkiego, dopóki po trzech dniach po-dróży nie uświadomił sobie, poprzez dreszcz na ciele, poprzez zimno w lędź-wiach, co za nim podąża, i do czego jest zdolne.

1320

Alondor uciekł z Krennok-dol na dzień przed jej przybyciem.

Stojąc w królewskiej sali, rozglądała się za nim, i serce jej biło. Kiedy przekonała się, że go nie ma, o mało nie zemdląła ze śmiertelnej rozpacz. Ale trwało to tylko chwilę. Potem, zapominając o wszystkim innym, pamiętając tylko o nim, odwróciła się, by opuścić dom króla, tak jak do niego przysła. I Król wydał polecenie i trzech wojowników zabiegło jej drogę. Unieśli miecze, by ją powalić, ale ponownie stary przesąd sparaliżował im dłonie. Nigdy do-tąd nie zabili ani nie zranili kobiety. Trudno było im to zrobić teraz. Przeszła między nimi, rzucając puste spojrzenia.

– Ruszajcie za nią! – krzyknął król. –

Zróbcie to, co on powinien był zrobić.

Wspomnijcie na jej sprośność i jej czary!

To nie kobieta, to tylko stwór.

Podążyli za nią na zewnątrz. Na scho-

1321

dach jeden spojrział w jej twarz. Odsunął

się, skurczony, i nie mógł nic zrobić. Nieco niżej inny podbiegł do niej. Obrócił ją i zamachnął się mieczem, ale w ostatniej chwili wydała mu się taka godna pożałowania, biedna szalona kobieta.

– Coś jest nie tak! – krzyknął do siebie, i puścił ją zdumiony.

Trzeci pobiegł po swojego konia. Popę-

dził za nią przez dziedziniec, za bramę, szczerząc zęby w furii. Wydawało mu się, że jest na polowaniu; słyszał psy szczekające w przodzie i ujrzał białego jelenia zbiegającego po zielonym zboczu. Kiedy był wystarczająco blisko, wciągnął ją na konia i uniósł bezwładne ciało do lasu za wzgórzem. Tam powalił ją na ziemię i rzucił się na nią w niepowstrzymanej rozkoszy pożądania. Miecz, którym ją przebił, był z ciała, i wkrótce wyslizgnęła się spod niego i odeszła, ledwie świadoma tego, co 1322

zrobił albo czym się stał. Kilka dni później wojownicy króla natknęli się na niego, za-błąkanego szaleńca, wrzaskiem przyzywa-jącego swoje psy pod konarami obsypany-mi grubym listowiem.

Szła przez cały rok. Przez rok uciekał

przed nią Alondor Złoty Stał się najemni-kiem, sprzedającym swoje umiejętności wojownika licznym królom, których cele wydawały się dobre. Nigdy nie zatrzymywał się na dłużej w jednym miejscu. Śnił o lęku i żądzy, i o Golbrancie, swoim bracie towarzyszu, którego kochał bardziej niż jakiegokolwiek mężczyznę czy kobietę.

Zmieniały się pory roku. Czerwone li-

ście spadały na jej czerwone włosy i na pokryte bliznami, nadwerężone, zapomniane stopy, jak również na krwawe pola bitew-ne, które on podążał. Śniegi przychodzi-

ły i odchodziły, pojawiał się mróz i deszcz.

1323

Z dala od krainy Krennok-dol, pośród szarych, martwych ziem z ich powykręcanyimi drzewami i górami o wysokich iglicach, on uciekał, orla podążała za nim, wiedziona instynktem i pożądaniem, widząc i słysząc tylko jego.

Pośród jałowych skał północy natknął

się wreszcie na samotną siedzibę. Była ciemna i ponura jak urwiska wokół niej.

Zielony księżyc spoglądał z góry, kiedy Alondor walił do bram. Był chory z powodu rany, którą odniósł w bitwie dwa miesiące wcześniej, i miał już dość siebie i swojego przymusu uciekania przed nieznaną istotą, która go ściagała. Wciąż wyglądał

godnie; był mężczyzną przykuwającym wzrok, ale w harfie jego złotych włosów pojawiły się już białe nici, a oczy zapadły się w głąb duszy, oczy mordercy, ofiary albo człowieka opętanego przez diabły.

Taka była cena ciosu miecza niezadanego 1324

w wieży nad morzem.

W sali, gdzie paliły się migotliwe pochodnie, rozmawiał z władcą miejsca, ale w jego głowie wciąż pojawiał się brzęczą-

cy hałas. Wreszcie, kątem oka, dostrzegł

bladą postać w łuku drzwi. Znad białej twarzy ku białym ramionom i dalej w dół

spływała krwistoczerwona zasłona. My-

ślał, że go znalazła, ona, która go ściagała; strach urósł mu w brzuchu i zadławił go, uderzył, jak wszyscy wrogowie, od tyłu.

Upadł, powalony tym rodzajem omdlenia, które jest zwiastunem śmierci.

A jednak kobieta w drzwiach nie była tą, której się spodziewał. Weszła córka władcy, o imieniu Siandra, owinięta czerwonym szalem, ponieważ w sali było zimno.

Wydała mu się piękna jak obrazek. Skórę miała białą, ale usta czerwone, zaś włosy czarne jak Golbrant, kiedy jechał z harfą na plecach do Krennok-dol. Mogłaby być 1325

wręcz siostrą Golbranta, bowiem w niezwykły sposób go przypominała, ale nie wiedziała nic o wojownikach z porośniętą-go zielenią wzgórza. Sian też na coś czeka-

ła. Kiedy ujrzała złotowłosego mężczyznę ze spojrzeniem szaleńca, również poczuła, że jej serce mocniej zabiło. Gdyby postanowił w tej chwili zdobyć jej miłość, nie mógłby zrobić nic lepszego niż paść jak martwy kilka metrów od jej stóp.

Wzięła na siebie pielęgnowanie go, i zajęcie to w najmniejszym stopniu nie wydawało jej się przykre. Kiedy otworzył oczy i ujrzał jej twarz, poczuł, że szczęście uśmiechnęło się do niego.

Miłość wyrosła pomiędzy nimi tak szybko, jak rośnie dziecko.

Pewnej wiosennej nocy zabrał ją do swojej komnaty. Przyniosła ze sobą swoją słodycz, nawet jeśli nie pełny jej garniec.

Ale z drugiej strony, znał rozkosz demo-1326

nów, i niemal cieszył się, że z tą dziewczyną musi ona być mniejsza. Blisko świtu pocałował ją i rzekł:

– Jutro, Sian, muszę odejść stąd i od ciebie.

Oczy dziewczyny wypełniły się łzami.

Przyszła jej do głowy odwieczna myśl po-rzuconych.

– Nie – powiedział – nie dlatego. Cięży na mnie klątwa. Jestem ścigany. Jeśli zostanę, umrę.

– A zatem pozwól mi iść z tobą – odpar-

ła Siandra.

– Nie. Jakież to miłosny prezent ode mnie dla twej słodkiej istoty, kazać ci błąkać się po świecie bez domu w ślad za mną? –

Jego twarz była blada, zamknął oczy. – Po-zwól mi odejść samotnie, żyj w pokoju.

Nic tu po mnie. I tak zostałem już za dłu-go.

Jeśli była słodka, to była również silna, 1327

ta dziewczyna z północy. Ujęła go mocno za dłonie i zapytała o prawdę, pytała go raz po raz, aż odepchnęła ją od siebie, jakby jej nienawidził; powiedział wszystko, a potem płakał na jej piersi jak dziecko.

– Pozwól jej przyjść – wyszeptała Siandra, a jej oczy płonęły.

Był tak zmęczony. Rok ucieczki pozba-

wił go sił. Został, ponieważ jej kobieca siła wydawała się lepszą ochroną niż jakikolwiek miecz czy tarcza na całym świecie.

Mijały noce. Trwała wiosna, ale nic nie rosło, z wyjątkiem chwastów u drzwi, a ptaki wiły gniazda w rozpadlinach skal-nych i pod dachem siedziby. Alondor był

teraz człowiekiem władcy. Walczył dla niego w bitwie i wrócił z głowami nieprzy-jaciół. Uczta ciągnęła się długo w noc, ale pomimo sowitych napitków i jadła czuł narastające zimno i niepokój w ciele, jakby 1328

ogarniała go gorączka.

W ciasnej komnacie chodził wokoło, podczas gdy Siandra spała. Księżyc wstał

późno, żółty jak kość, i kiedy Alondor, z brzuchem pełnym lęku, wyrzał na podjazd, zobaczył tam jakąś istotę, białą jak lód, przytrzymującą rozwiane szkarłatne włosy białymi, smukłymi dłońmi, na któ-

rych paznokcie rozrosły się w szpony. Nie zmieniła odzienia; białe szaty wisiały na niej jak strzępy całunu, a stopy pokrywały rzeźby blizn. Spoglądała z wytęsknieniem, oczy były jak jeziora, kryjące tylko jego obraz. Jej miłość przetrwała, wciąż była wszechpożerająca; zjadłaby go, gdyby mogła. Taka była ta miłość.

Alondor padł na kolana i modlił się, ale żadne słowa nie przychodziły mu na myśl, tylko ta kobieta. Czuł, że zbliża się coraz bardziej, krocząc po kamiennej drodze, prześlizguje się przez wrota bramy niczym 1329

biały dym, podczas gdy strażnicy spali albo nic nie widzieli. Usłyszał jej bezgło-śne kroki na schodach i drzwi otwierające się bezszelestnie pod jej dotykiem.

Siandra obudziła się i usiadła na łóżku.

Spojrzała na Alondora modlącego się na klęczkach i usłyszała, jak jego modlitwy stają się coraz słabsze.

Poczuła przerażenie – ona tu jest.

W tym momencie wstał i modlitwy opu-

ściły go zupełnie. Był nagle człowiekiem pozbawionym wszystkiego – poza tą jedną rzeczą, która go przyciągała. Odwrócił się i jak automat przeszedł przez komnatę; jego oczy były bardzo jasne, a policzki spłonię. Szedł z radością, energicznie, czuł

krw gotującą się w żyłach, owładnięty po-

żądaniem, w zapomnieniu, pochwycony zaklęciem białej kobiety, która czekała, tym razem, na dole.

Kiedy wszedł na schody, Siandra wysli-1330

zgnęła się z łóżka. Jeśli on był płonący i żywy, ona wyglądała jak śmierć. Chwyciła miecz, który

zostawił, i ruszyła drżąca, a zarazem miękka jak kot, za nim.

Ona była w domu, kobieta z wysokiej

wieży nad morzem. Była w korytarzu i teraz, czując, że wreszcie przyszedł do niej, zatrzymała się nieruchomo. Waliło jej serce. Podniosła dłonie, żeby rozpuścić włosy; spostrzegłszy, że są rozpuszczone, opu-

ściła dłonie. Myślała, że jest w wieży, ale nie miało to dla niej znaczenia. Wydawało jej się, że słyszy odgłos morza bijącego o płytkie plaże; możliwe, że był to odgłos jej własnej krwi, fale przyływu i odpływu.

Zaskrzeczała mewa, ale był to tylko schodek pod jego stopą. Wychodząc zza rogu, stanął przed nią. Jej serce uniosło się, jakby nie miało ciężaru albo innego celu poza tym, żeby unosić się w niej jak ptak. Ciepło i zadowolenie wypełniły ją jak puste

1331
naczynie, którym była, i po raz pierwszy od kiedy stała się tym, kim była, jej wargi rozchyliły się i pojawił się na nich uśmiech. Wyciągnęła ręce i on był wystarczająco chętny, by się im poddać. Zapomniał.

Ale Siandra już stała za nimi, z mieczem w dłoni. Ona również знаła stare sprawy, stare sposoby – najstarszą i najpewniejszą magię. W momencie, gdy Alondor wycią-

gnął ręce, żeby znaleźć własną śmierć, Siandra wbiegła pomiędzy nich. Uniosła ciężkie ostrze i zamachnęła się nim, jakby to była łodyga trawy. Nie wiedziała nic o Krennok-dol i wojownikach, i o rycerstwie mężczyzn, nieczyniących krzywdy żadnej żywej istocie mającej piersi i łono, która zwie się kobietą. Uderzyła z siłą wszystkiego, co było jej drogie i potrzebne, samolubnym, niedbałym, namiętym ciosem.

1332

Tym, co poczuła kobieta znad morza, był przeciągły biały ból, a potem nieustający szkarłatny ból. Głowa spadła jej z ramion w jednej chwili, ale czas nie miał dla niej znaczenia. Jej agonia trwała wiele stuleci. Po ich przeminieciu, leżała rozsypana, głucha, niema, ślepa i w milionach fragmentów. Wiedziała, jak to jest być milionem oddzielnych rzeczy i wciąż stanowić jedność.

Siandra przyłgnęła do Alondora, odwracając wzrok od tego, co zrobiła, a on chwycił ją, budząc się z transu. Była w tej sekundzie Golbrantem, jego bratem towa-rzyszem, powstającym z morza w pełni sił, ze złotozieloną harfą na plecach, z czarnymi strunami włosów, zadając cios, o którym nie myślał Golbrant w wysokiej wie-

ży. W ten właśnie sposób Sian ostatecznie zdobyła jego miłość, bardziej stając się przeszłością niż ją kończąc.

1333

Kiedy się obejmowali, biała kobieta rozsypała się jak płatki kwiecia. Dmuchnęła im w twarze jak biała mąka. Była prochem, tak jak obiecała jej to czarownica w błękitnym świetle księżyca. Samym prochem.

Proch kołował i unosił się, spadając sam na siebie. Ziarna rozpadały się na ziarna, miliony stawały się milionami pośród milionów. Wkrótce nie pozostało już po niej nic, ani białego, ani czerwonego.

A jednak była świadoma. W każdym atomie trwał jej głód, niezaspokojony.

Teraz unosi się tu i tam, nieskończenie różne miejsca przyciągają ją i odpychają.

Jest we wszystkim, jej głód wszechobecny.

Długo po tym, jak Alondor i jego Siandra staną się prochem innego rodzaju, ona będzie unoszona po świecie. W paznokciach morderców, w pęknięciach złamanych serc, żeby wypełnić ból kolejnym

bó-

1334

lem. Nie ma imienia. Jest w każdym uczynku, śnie i myśli. Jest wszystkimi rzeczami i niczym. Wciąż czeka i będzie czekać zawsze, nad każdym centymetrem świata.

Nadjeżdżają przybysze i bez szwanku chodzą w górę i w dół po schodach wysokiej białej wieży. Mewy gnieźdzą się w ruinach. Któregoś dnia każdy kamień stoczy się po bezmiarze wypłowiących wydm w

szary połysk oceanu. Któregoś dnia również skały się zawałą. Po nich, ziemia. Morze skurczy się i wyschnie, niebo runie i zgasną gwiazdy. I w tym ostatnim albo przejściowym mroku ona pozostanie. Nadal czekając.

Użalcie się nad nią.

1335

HARLAN ELLISON

JEFFTY MA PIĘĆ LAT

(Jeffty is five)

Przełożyła Agnieszka Sylwanowicz

Harlan Ellison jest autorem przeszło tysiąca opowiadań, esejów, rozprawek krytycznych, sztuk oraz scenariuszy telewizyjnych i wciąż stanowi nieustającą siłę napędową do osią-

gania wyżyn i eksperymentowania na polu fantastyki naukowej i fantasy. Jego dzieła rozszerzają, a często rozsadzają granice tego, co dzisiejsze społeczeństwo uznaje za bezpieczną literaturę. Mimo że zdobył właściwie wszystkie laury w dziedzinie beletrystyki, włączając w to liczne nagrody Nebula, Hugo oraz te przyznawane przez Writer Guild of America, nie zwalnia tempa. Dał się też poznać jako redaktor, ułożywszy przełomowy zbiór „Dangerous Visions” i dodając wkrót-ce do niego tom „Again, Dangerous Visions”. W obu tych książkach znalazły się opowiadania wówczas uważane za 1336

zbyt kontrowersyjne, by mogły zostać wydane gdziekolwiek indziej. Obecnie wszystkie beletrystyczne i niebeletrystyczne dzieła Harlana Ellisona są publikowane w 21-tomowym „Edgeworks”.

1337

Kiedy miałem pięć lat, bawiłem się z chłopczykiem, który miał na imię Jeffty.

Naprawdę nazywał się Jeff Kinzer, ale wszyscy wołali na niego Jeffty. Mieliśmy po pięć lat i dobrze nam się razem bawiło.

Kiedy miałem pięć lat, Batonik Clarke'a był gruby, długi prawie na piętnaście centymetrów, obłany prawdziwą czekoladą i jak się w niego dobrze wgryzło, przyjemnie chrupał, a kiedy oddarło się z jednego końca paperek, w który był zapakowany, żeby czekolada nie roztopiła się w ręce, to pachniał świeżością. Dzisiaj Batonik Clarke'a jest cienki jak karta kredytowa, zamiast prawdziwą czekoladą oblewają go czymś sztucznym i okropnym w smaku, jest miękki i rozmokły, kosztuje piętnaście albo dwadzieścia centów zamiast uczciwą i słuszną dziesiątkę, a jest opakowany tak, 1338 że wydaje się równie duży jak przed dwudziestu laty, tylko że to nieprawda. Cienki, brzydki, niesmaczny – niewart jest centa, a co dopiero piętnastu czy dwudziestu centów.

Kiedy miałem pięć lat, pojechałem na dwa lata do ciotki Patrycji, która mieszkała w Buffalo, w stanie Nowy Jork. Mój ojciec przechodził „ciężki okres”, a piękna ciotka Patrycja wyszła za mąż za maklera. Opie-kowali się mną dwa lata. Kiedy miałem siedem lat, wróciłem do domu i od razu poszukałem Jeffty'ego, żeby się z nim ba-wić.

Miałem siedem lat. Jeffty ciągle miał

pięć. Nie zauważyłem żadnej różnicy. Nic nie wiedziałem – miałem tylko siedem lat.

Lubiłem wtedy kłaść się na brzuchu przed naszym radiem marki Atwater-Kent i słuchać świętych audycji. Przymocowy-wałem drut uziemiający do kaloryfera, kła-1339 dłem się z książeczkami do kolorowania i kredkami Crayolas (wtedy w dużym pudełku było tylko szesnaście kolorów) i słucha-łem sieci NBC Red: Jacka Benny'ego w

„Jell-O Program”, „Amosa and Andy'ego”, Edgara Bergena i Charliego McCarthy'ego w „Chase and Sanborn Program”, „One Man's Family”, „First Nighter”. Słuchałem także sieci NBC Blue: „Easy Aces”, „Jer-gens Program” z Walterem Winchellem,

„Information Please”, „Death Valley Das”, ale najlepsza była Wspólna Sieć z audycjami „The Green Hörnet”, „The Lone Ranger”, „The Shadow” i „Quiet, Please”.

Dzisiaj włączam radio w samochodzie, jadę po skali od końca do końca, i łapię jedynie jakąś setkę orkiestr smyczkowych, banalne gospodynie domowe i głupich kierowców ciężarówek, którzy omawiają z aroganckimi prezenterami swoje dziwaczne życie płciowe, oraz bzdurną muzykę co-1340 untry and western i rockową, nadawaną tak głośno, że aż bolą uszy.

Kiedy miałem dziesięć lat, dziadek umarł ze starości, a ja zrobiłem się „kłopo-tliwym dzieckiem”, więc wysłano mnie do szkoły wojskowej, żeby wzięli mnie tam „w karby”.

Wróciłem będąc czternastolatkiem. Jeffty ciągle miał pięć lat.

Chodziłem wtedy do kina w sobotnie popołudnia. Za seans płaciło się dziesięć centów, do prażenia kukurydzy używano prawdziwego masła, a ja zawsze mogłem obejrzeć jakiś western z Lashem LaRue albo Dzikiego Bil – la Elliotta jako Rudego Rydera z Bobbym Blakiem jako Małym Bobrem, albo Roya Rogersa czy Johnny'e-go Macka Browna; jakiś straszny film w rodzaju „House of Horrors”, z Rondem Hattonem jako Dusicielem, albo film „Ludzie-koty”, „Mumię” czy „Ożeniłem się z 1341

czarownicą” z Frederikiem Marchem i Ve-roniką Lake, a dodatkowo jeszcze odcinek jakiegoś świętego serialu, jak „The Shadow” z Victorem Jorym czy „Dick Trący”

albo „Flash Gordon”, i trzy filmy animowane; ponadto program podróżniczy Jame-sa Fitzpatricka, wiadomości Movietone, program śpiewankowy, a jeśli zostawałem do wieczora, oglądałem Bingo albo Keeno; i do tego otrzymywało się darmowe posił-

ki. Dzisiaj idę do kina i oglądam Clinta Eastwooda rozwalającego ludziom głowy jak dojrzałe kantalupy.

W wieku osiemnastu lat rozpocząłem studia na uniwersytecie. Jeffty wciąż miał pięć lat. Wracałem w czasie letnich waka-cji popracować w sklepie z biżuterią u wuja Joego. Jeffty się nie zmieniał. Teraz już wiedziałem, że coś z nim nie tak, że jest inny, dziwny. Jeffty ciągle miał pięć lat i ani dnia więcej.

1342

Kiedy skończyłem dwadzieścia dwa lata, wróciłem do domu na stałe. Otworzy-łem pierwszy w mieście koncesjonowany sklep z telewizorami Sony. Od czasu do czasu spotykałem się z Jefftym. Miał pięć lat.

Pod wieloma względami jest lepiej. Ludzie nie umierają już na niektóre, dawniej śmiertelne choroby. Samochody jeżdżą szybciej i poruszają się po lepszych drogach. Koszule są bardziej miękkie i jedwa-biste. Mamy książki w miękkich okładkach, chociaż kosztują tyle samo, ile niegdyś spore książki w twardej oprawie. Kiedy kończą mi się pieniądze w banku, mogę żyć z kart kredytowych, dopóki sprawy się nie wyklarują. Nadal jednak uważam, że straciliśmy dużo dobrych

rzeczy. Czy wiecie, że nigdzie nie można już dostać lino-leum, tylko wykładziny winylowe? Nie ma już ceraty; nigdy już nie poczuje się tego 1343

szczególnego słodkiego zapachu dochodzącego z kuchni babuni. Mebli nie robi się już, żeby starczyły na trzydzieści albo więcej lat, bo przeprowadzono badania, z których wynika, że młodzi lokatorzy lubią wyrzucać meble co siedem lat i kupować nową, krzykliwą i kolorową tandetę. Płyty nie leżą dobrze w rękę; nie są grube i solidne jak te dawne, lecz cienkie i można je zginać... nie wydaje mi się to właściwe. W

restauracjach nie podaje się już śmietanki w dzbankach, tylko tę sztuczną ciecz w plastikowych pojemniczkach, a jeden nigdy nie wystarcza, żeby kawa uzyskała odpowiedni kolor. Można wgnieść błotnik samochodu nogą w miękkim pantoflu.

Gdziekolwiek by się pojechało, wszystkie miasta wyglądają jednakowo: wszędzie Burger King, McDonald, 7-Eleven, Taco Bells, motele, pasaż handlowe. Może jest i lepiej, tylko dlaczego ciągle myślę o 1344

przeszłości?

Mówiąc „pięć lat”, nie mam na myśli tego, że Jeffty był niedorozwinięty. To chyba nie było to. Pięciolatek jak żywe srebro, bardzo bystry, szybki, sprytny – zabawny dzieciak.

Miał niecały metr wzrostu – był mały na swój wiek, ale proporcjonalny: żadnej wielkiej głowy czy dziwnej szczęki, nic z tych rzeczy. Miły, normalnie wyglądający pięciolatek. Tylko że w tym samym wieku, co ja: miał dwadzieścia dwa lata.

Kiedy się odzywał, mówił piskliwym, wysokim głosem pięcioletniego dziecka; kiedy szedł – podskakiwał i szurał nogami jak pięciolatek; rozmawiał o tym, co interesuje chłopca w wieku pięciu lat: o ko-miksach, o zabawie w wojsko, o przycze-pianiu do przedniego widelca roweru (żab-ką do bielizny) sztywnego kawałka tektury, żeby uderzające w niego szprychy na-1345

śladowały dźwięk motorówki. Zadawał pytania w stylu „dlaczego ta rzecz robi tak?”, „jak wysoko jest w górze?”, „jak stare jest stare?” „dlaczego trawa jest zielona?”, „jak wygląda słoń?”. Mając dwadzieścia dwa lata był pięciolatkiem.

Rodzice Jeffty'ego wydawali się ponurą parą. Ponieważ ciągle byłem kolegą Jeffty'ego i ciągle pozwalałem mu plątać się po moim sklepie, a czasami zabierałem go na wiejski jarmark, na minigolfa czy do kina, to w końcu często spędzałem czas i z nimi.

Nie bardzo mi się to uśmiechało, bo jego rodzice byli okropnie przygnębiający. Z drugiej strony chyba nie można by się spodziewać po tych biedakach niczego innego. Mieli u siebie w domu odmieńca, po-tomka, który w ciągu dwudziestu dwóch lat nie przekroczył wieku pięciu lat, który w nieskończoność darzył ich skarbem 1346

owego szczególnego dziecięcego wieku, lecz który także pozbawił ich radości ob-serwowania, jak wyrasta na normalnego dorosłego.

Wiek pięciu lat to cudowny okres w życiu człowieka... albo może takim być, jeśli dziecko jest wolne od straszliwego zezwie-rzęcenia, jakiemu oddają się jego rówieśni-cy. To czas szeroko otwartych oczu i nie-ustalonych wzorów; czas, gdy nie zostało się jeszcze uformowanym do przyjmowania wszystkiego za niezmiennie i beznadziejne; czas, gdy ręce nigdy nie są bez-czynne, umysł chce się nauczyć wszystkiego naraz, a świat jest nieskończony, kolorowy i pełen tajemnic. Pięć lat to szczegól-ny wiek, zanim jeszcze poszukująca, nie-ugaszona, donkiszotowska dusza młodego marzyciela zostanie wtłoczona w ponure pudełko szkolnej klasy. Wiek, gdy drżące dłonie, chcące wszystkiego dotknąć, 1347

wszystko potrzymać i wszystko zbadać, nie są jeszcze zmuszane do nieruchomego leżenia na ławkach. Wiek, gdy ludzie nie zaczęli jeszcze mówić: „zachowuj się jak duży chłopiec”, „dorośnij

wreszcie" czy

„postępujesz jak dziecko”. To wiek, w któ-

rym dziecko, zachowujące się jak dorosły, nadal jest śliczne, wrażliwe i przez wszystkich lubiane. Czas radości, zachwytu, niewinności.

Jeffy zatrzymał się w tym czasie, mając pięć lat – ot, tak, po prostu.

Dla jego rodziców był to jednak nieustający koszmar, z którego nie mógł wyrwać ich nikt – ani pracownicy opieki społecznej, ani księża, psychologzy wieku dziecię-

cego, nauczyciele, ani żaden przyjaciel, uzdrowiciel, psychiatra... Nikt. Przez siedemnaście lat ich smutek rósł ewoluując od ślepej rodzicielskiej miłości do niepokoju, od niepokoju do zmartwienia, następ-1348

nie poprzez strach, dezorientację, gniew, niechęć – do otwartego wstrętu, a w końcu od dogłębnej nienawiści i obrzydzenia do naznaczonego oświeceniem i przygnębieniem pogodzenia się z losem.

John Kinzer był kierownikiem zmiany w zakładach wytwórczych narzędzi i barwników Baldera, rocznik trzydziesty. Dla wszystkich oprócz samego zainteresowanego jego życie było wyjątkowo pozbawione wszelkich wydarzeń. W żaden sposób nie zwracał na siebie uwagi... poza tym, że był ojcem dwudziestodwuletniego pięciolatka.

John Kinzer był niedużym mężczyzną,

miękkim, o jakby przytępionych konturach i bladych oczach, które nigdy nie patrzyły w moje dłużej niż kilka sekund. Podczas rozmów stale kręcił się na fotelu i wydawało mi się, że widzi coś w górnych ką-

tach pokoju, coś, czego nikt inny nie do-1349

strzegął... albo nie chciał dostrzec. Do Kinzera chyba najlepiej pasowało słowo

„prześladowany”. To, czym stało się jego życie... „Prześladowany” pasowało do niego i już.

Leona Kinzer dzielnie usiłowała zre-kompensować zachowanie męża. Bez względu na to, o jakiej porze dnia przychodziłem, zwykle starała się wmusić we mnie coś smacznego. Kiedy w domu był Jeffy, zawsze namawiała go do jedzenia:

„Chcesz pomarańczę, kochanie? Taką ładną pomarańczę? A może mandarynkę?

Mam mandarynki. Mogłabym ci obrać”.

Lecz tak wyraźnie się bała, bała się własnego dziecka, że propozycje posiłków zawsze miały nieco złowieszczy wydźwięk.

Leona Kinzer była niegdyś wysoką ko-

bietą, lecz lata przygięły ją ku ziemi. Zawsze wydawało się, że szuka jakiegoś fragmentu ściany pokrytego tapetą lub za-1350

głębienia, w które mogłaby się wtopić, przybrać wzorzyste barwy ochronne i już ostatecznie ukryć się przed wszechobecnym spojrzeniem dużych, piwnych oczu dziecka, które przechodziłoby obok niej sto razy dziennie, wcale nie zdając sobie sprawy, że choć niewidzialna, ona tam jest i wstrzymuje oddech. Zawsze była przepasana fartuchem, a ręce miała czerwone od sprzątanania. Jak gdyby dbając o nieskazitelną czystość otoczenia mogła odpokutować za swój wymyślony grzech wydania na świat tej dziwnej istoty.

Oboje państwo Kinzer rzadko oglądali telewizję. Dom zwykle trwał w kompletnej ciszy, nie było nawet słychać syczącego szeptu wody w rurach, trzeszczenia drewna, szumu lodówki. Straszliwa cisza, jakby czas rzeczywiście omijał ten dom.

Jeśli chodzi o Jeffy'ego, to chłopiec nie sprawiał żadnych kłopotów. Żył sobie w 1351

atmosferze stępionej niechęci i umiarkowanego przerażenia i jeśli ją rozumiał, to nie dawał tego po sobie poznać. Bawił się jak dziecko i wydawał się szczęśliwy. Musiał jednak wyczuwać swymi

zmysłami pięciolatka, jak obcy jest dla rodziców.

Obcy. Nie, nie tak. Jeśli już w ogóle, to był zbyt ludzki. Lecz nie w fazie, niezsyn-chronizowany z otaczającym światem i Bóg świadkiem, że pracował na innej czę-

stotliwości niż jego rodzice. Inne dzieci też nie chciały się z nim bawić. W miarę jak rosły, stawał się dla nich najpierw dziecinny, potem nudny, a w końcu zwyczajnie je przerażał, bo zaczynały rozumieć, czym jest czas, i widziały, że nie ma on żadnego wpływu na Jeffty'ego. Nawet te małe, w jego wieku, szybko uczyły się go unikać –

jak pies przestraszony na ulicy strzałem gaźnika.

W ten sposób zostałem jego jedynym 1352
przyjacielem. Wieloletnim przyjacielem.

Przyjacielem od pięciu lat. Od dwudziestu dwóch lat. Lubiłem go bardziej, niż potrafię to wyrazić. I nigdy właściwie nie wiedziałem dlaczego. Lubiłem go jednak bez zastrzeżeń.

Ponieważ widywaliśmy się często, na-kładało to na mnie towarzyską powinność spędzania czasu także z Johnem i Leoną Kinzer. Kolacja, czasami sobotnie popołudnie czy jakaś godzinka po przyprawieniu Jeffty'ego z kina. Byli wdzięczni, niewolniczo wdzięczni. Uwalniałem ich od krępującego obowiązku wychodzenia z nim, od udawania przed całym światem, że są kochającymi rodzicami absolutnie normalnego, szczęśliwego, miłego dziecka.

Każda chwila ich depresji była odrażająca.

Współczułem biedakom, ale gardziłem nimi za to, że nie potrafili kochać Jeffty'e-go, który był niezwykle sympatycznym 1353
dzieckiem.

Oczywiście nigdy nie dałem tego po sobie poznać, nawet podczas spędzanych w ich towarzystwie wieczorów, podczas których czuliśmy się niewiarygodnie niezręcznie.

Siedzieliśmy w ciemniejącym salonie –

zawsze ciemnym lub ciemniejącym, jak gdyby specjalnie utrzymywanym w pół-

mroku, aby światło nie ujawniło niczego światu zewnętrznemu przez jasne oczy domu –

siedzieliśmy i patrzyliśmy na siebie w milczeniu. Nigdy nie wiedzieli, co mi powiedzieć.
– Jak się mają sprawy w zakładach? –
pytałem Johna Kinzera.

Wzruszał ramionami. W każdej sytuacji brakowało mu swobody i wdzięku.

– Nieźle, zupełnie nieźle – mówił w końcu.

I znów siedzieliśmy w ciszy.

1354

– Zjadłby pan kawałek ciasta kawowe-

go? – odzywała się Leona. – Jest świeżutkie; upiekłam je dziś rano. – Albo wysoką szarlotkę z zielonymi jabłkami. Albo ciasteczka mleczne. Albo zapiekanekę z owoców, ciasta i przypraw.

– Nie, dziękuję. W drodze do domu zjedliśmy z Jefftym dwa cheeseburgery.

I znów milczenie.

W końcu, gdy bezruch i skrzępowanie stawały się nie do zniesienia nawet dla nich (a kto wie, jak długo panowało takie całkowite milczenie, kiedy byli sami, jedynie w towarzystwie tego czegoś, o czym już nie rozmawiali), Leona Kinzer mówiła:

– Chyba śpi.

John Kinzer mówił:

– Nie słyszę, żeby grało radio.

I tak to się dalej toczyło, aż udawało się znaleźć jakiś wąty pretekst do ucieczki.

Tak, tak właśnie przebiegało to za każdym 1355

razem, dokładnie tak samo... z wyjątkiem jednego wieczora.

– Zupełnie nie wiem, co robić – powiedziała Leona. Zaczęła płakać. – Nie ma żadnej zmiany, ani jednego spokojnego dnia.

Jej mężowi udało się wygramolić ze starego fotela klubowego i podejść do niej.

Pochylił się, usiłując uspokoić, lecz z pozbawionych wdzięku ruchów, jakimi dotykał siwiejących włosów żony, było wyraź-

nie widać, że zatracił zdolność współczucia.

– Ćśśś, Leona, już dobrze. Ćśśś.

Lecz ona nie przestawała płakać. Wodziła delikatnie dłońmi po poręczach fotela.

I nagle powiedziała:

– Czasami żałuję, że nie urodził się martwy.

1356

John rozejrzał się po górnych kątach pokoju. Szukał bezimiennych cieni, które zawsze go obserwowały.

– Wcale tak nie myślisz – powiedział do niej cicho, żałośnie, napięciem swego ciała i drżeniem w głosie nakazując cofnąć te słowa, zanim dotrze do Boga owo straszliwe wyznanie.

Lecz ona mówiła poważnie, bardzo poważnie.

Tego wieczora udało mi się szybko wy-

rwąć. Nie chcieli mieć świadków swego wstydu. Byłem zadowolony, że wychodzę.

Nie przychodziłem przez tydzień. Ani do nich, ani do Jeffty'ego. Nie pojawiałem się na ich ulicy i unikałem nawet tej części miasta.

Miałem własne życie. Sklep, rachunki, rozmowy z dostawcami, poker ze znajomymi, ładne kobiety, które zapraszałem do 1357

rozjarzonych światłami restauracji, moi rodzice, wlanie do chłodnicy niezamarzającego płynu, skarga w pralni na zbyt mocne krochmalenie kołnierzyków i mankietów, ćwiczenia w siłowni, podatki, przyłapanie Jan (albo może Davida) na podkradaniu pieniędzy z kasy. Miałem własne życie.

Lecz nawet tamten wieczór nie mógł

przeszkodzić mi w widywaniu się z Jefftym. Zadzwonił do mnie do sklepu i poprosił, żebym zabrał go na rodeo. Byliśmy najlepszymi kumplami, jakimi tylko mogą być dwudziestodwuletni mężczyzna i pię-

ciolatek. Nigdy nie zastanawiałem się, co nas łączy; zawsze sądziłem, że po prostu lata. No i przywiązanie do dzieciaka, chłopca, który mógłby być moim braciszkiem, jakiego nigdy nie miałem. (Tylko że ja pamiętałem czasy, kiedy razem się bawiliśmy i mieliśmy po tyle samo lat; pamiętałem tamte czasy, a Jeffty ciągle był

1358

taki sam).

Pewnego sobotniego popołudnia przyszedłem po niego, bo wybieraliśmy się na podwójny seans do kina. Dopiero wtedy zauważyłem coś, co powinienem był zauważyć dużo wcześniej.

Podchodziłem do domu Kinzerów, spo-

dziewając się, że Jeffty będzie na mnie czekał siedząc na stopniach ganku lub na kanapie-huśtawce. Nigdzie jednak go nie dostrzegłem.

Wejście do domu, w mrok i ciszę w środku majowego blasku, było nie do po-myślenia. Przez chwilę stałem na ścieżce, a potem złożyłem dłonie wokół ust i krzyknąłem:

– Jeffty? Jeffty, wychodź, idziemy.

Spóźnimy się.

Jego głos słabo było słyszeć, jak gdyby dochodził spod ziemi.

1359

– Tutaj jestem, Donny.

Słyszałem go, ale nie widziałem. Niewątpliwie był to Jeffty: Donalda H. Hortona, Prezesa i Jedyne Właściciela Telewizyjnego i Dźwiękowego Centrum Hortona, tylko Jeffty nazywał Donnym. Nigdy nie mówił do mnie inaczej.

(Właściwie to nie jest kłamstwo. Dla klientów rzeczywiście jestem Jedynym Właścicielem Centrum. Spółka z ciotką Patrycją istnieje po to, żeby jej spłacić pożyczkę; wspomogła moje środki, w których posiadanie wszedłem w wieku dwudziestu jeden lat, a które zostawił mi dziadek, kiedy miałem lat dziesięć. Nie była to duża pożyczka, tylko osiemnaście tysięcy, ale poprosiłem ciotkę, by została moją ci-chą współpracowniczką, bo taką wymyśliłem formę podziękowania za opiekę, jaką sprawowała nade mną w dzieciństwie).

– Gdzie jesteś, Jeffty?

1360

– Pod gankiem, w mojej kryjówce.

Obszedłem ganek, schyliłem się i odcią-

gnąłem wiklinową kratkę. Tu, na ubitej ziemi, Jeffty urządził sobie kryjówkę. W

skrzynkach po pomarańczach trzymał komiksy, miał stolik i kilka poduszek, a wszystko oświetlały duże, grube świece; niegdyś obaj się tam chowaliśmy – kiedy mieliśmy... po pięć lat.

– Co robisz? – zapytałem, wczolgując się do środka i zasuważąc za sobą kratkę.

Pod gankiem było chłodno, ziemia pachniała przyjemnie, a świece swojsko i przytulnie. W takim sekretnym miejscu każdy dzieciak czułby się jak u siebie w domu: nie było jeszcze dziecka, które

najszczęśliwszych, najbardziej twórczych, najcudowniejszych tajemniczych chwil w swym życiu nie spędziło w takiej właśnie kryjówce.

– Bawię się – odparł.

W ręku trzymał coś złocistego i okrągłego-1361

go, co wypełniało mu całą dłoń.

– Zapomniałeś, że mamy iść do kina?

– Nie. Czekałem tu na ciebie.

– Mama i tata są w domu?

– Mama.

Rozumiałem, dlaczego czeka pod gankiem. Nie dopytywałem się dalej.

– Co tu masz?

– Tajną Odznakę Deszyfrującą Kapitana Północ – powiedział pokazując mi ją na otwartej dłoni.

Przez dłuższy czas patrzyłem na nią, nie zdając sobie sprawy, co to takiego. I nagle dotarło do mnie, jaki cud Jeffty trzyma w ręku. Cud, który po prostu nie mógł istnieć.

– Jeffty – powiedziałem cicho z zachwytem w głosie – skąd to masz?

– Przyszło dzisiaj pocztą. Poprosiłem ich.

– Musiało kosztować dużo pieniędzy.

1362

– Nie bardzo. Dziesięć centów i dwie wewnętrzne woskowe plomby z dwóch słoików Ovaltine.

– Mogę obejrzeć? – Głos mi drżał, tak samo jak ręka, którą wyciągnąłem.

Podał mi ów cud. Leżał na mojej dłoni.

To było wspaniałe.

Pamiętajcie przecież. „Kapitan Północ”

szedł w ogólnokrajowym radiu w roku 1940. Sponsorowało go Ovaltine. Co roku wypuszczano Odznakę Deszyfrującą Tajnej Eskadry. A codziennie pod koniec audycji podawano zaszyfrowane wskazówki do następnego odcinka, które mogły odczytać tylko dzieci mające oficjalną odznakę. Przeszto produkować te fantastyczne Odznaki Deszyfrujące w roku 1949. Pamiętam swoją z 1945: była piękna. Pośrodku tarczy miała szkło powiększające. „Kapitan Północ” zszedł z anteny w roku 1950

i chociaż wiem, że w połowie lat pięćdziesiątych

siątych istniał przez krótki czas jako serial telewizyjny, prawdziwych odznak po 1949 roku już nie robiono.

Kod-O-Graf Kapitana Północ, który le-

żał na mojej dłoni i który według Jeffty'ego przyszedł pocztą za dziesięć centów (dziesięć centów!!!) i dwie nalepki Ovaltine, był nowiutki, ze lśniącego, złocistego metalu, bez jednego wgniecenia czy rdzawej plamki, jakie można znaleźć na starych egzemplarzach sprzedawanych od czasu do czasu za horrendalne ceny w sklepikach z pamiątkami... To była nowa odznaka. I nosiła tegoroczną datę.

Lecz „Kapitan Północ” już nie istniał.

Słuchałem kilku kiepskich imitacji dawnych audycji nadawanych przez współczesne stacje radiowe, ale intryga była nudna, efekty dźwiękowe płaskie, zaś całość sprawiała wrażenie jakiejś ramoty nie na miejscu. A jednak trzymałem na dłoni nowy 1364

Kod-O – Graf.

– Jeffty, opowiedz mi o tym – poprosiłem.

– O czym, Donny? To moja nowa Tajna Odznaka Deszyfrująca Kapitana Północ.

Używam jej, żeby się dowiedzieć, co nastąpi jutro.

– Jak to: jutro?

– W audycji.

– W jakiej audycji?

Patrzył na mnie, jakbym specjalnie udawał głupiego.

– „Kapitan Północ”! O rany!

Zatkało mnie.

Ciągle nie mogłem zrozumieć. Odpowiedź miałem dosłownie na dłoni, a jednak nie wiedziałem, co o tym wszystkim myśleć.

– Mówisz o tych nagraniach, które zrobiono ze starych audycji radiowych? O tym mówisz, Jeffty?

1365

– O jakich nagraniach? – zapytał. Nie wiedział, o czym z kolei ja mówię.

Patrzyliśmy jeden na drugiego. A potem powiedziałem bardzo powoli, nieomal bojąc się

odpowiedzi:

– Jeffty, w jaki sposób słuchasz „Kapitana Północ”?

– Codziennie. W radiu. W moim radiu.

Codziennie o wpół do szóstej.

Wiadomości. Muzyka, głupia muzyka i

wiadomości. To właśnie nadają w radiu codziennie o wpół do szóstej, a nie „Kapitana Północ”.

Tajnej Eskadry nie było w eterze od dwudziestu lat.

–

Możemy posłuchać dzisiaj wieczorem? – spytałem.

– O rany!

Rzeczywiście byłem głupi. Tak pomy-

ślałem. Poznałem to po sposobie, w jaki się odezwał. Ale nie wiedziałem, dlaczego.

Wtem oświeciło mnie: jest sobota, „Kapi-1366

tan Północ” leci od poniedziałku do piątku, w soboty i w niedziele nie.

– Idziemy do kina?

Musiał powtórzyć to dwa razy. Myślnami byłem gdzie indziej. Nic konkretnego, żadnych

wniosków. Żadnych szalonych zało-

żeń. Tak sobie po prostu próbowałem to gdzieś na boku rozwiązać i doszedłem do przekonania –

– tak jak wy, tak jak każdy, bo lepsza taka konkluzja niż przyjęcie prawdy, niemożliwej i cudownej prawdy –

zwyczajnie w końcu doszedłem do przekonania, że istnieje jakieś proste wyjaśnienie, którego jeszcze nie dostrzegałem. Coś przyziemnego, prozaicznego – jak mijanie czasu, które kradnie nam wszystkie dobre, stare rzeczy, dając w zamian błyskotki i plastik. A wszystko to w imię Postępu.

– Idziemy do kina, Donny?

– No chyba, mały – odparłem. I uśmiechnąłem się. Podałem mu Kod-O –

1367

Graf. Włożył go do bocznej kieszeni spodni. Wyczołgaliśmy się spod ganku i poszliśmy do kina.

Do końca tego dnia żaden z nas nie wspomniął o „Kapitanie Północ”. Do końca

dnia nawet na chwilę nie przestałem o nim myśleć.

Przez cały następny tydzień robiłem in-wentaryzację. Zobaczyłem się z Jefftym dopiero późno w

czwartek. Wyznaję, że zostawiłem sklep w rękach Jan i Davida –

powiedziałem im, że mam jakieś sprawy do załatwienia i wyszedłem wcześniej. O

czwartej. Do Kinzerów dotarłem jakiś kwadrans przed piątą. Drzwi otworzyła Leona. Wyglądała na zmęczoną i nieobecną.

– Czy jest Jeffty?

Odpowiedziała, że na górze, u siebie w pokoju...

1368

... i że słucha radia.

Po schodach wchodziłem po dwa stopnie naraz.

No dobra, w końcu zrobiłem ten niemożliwy, nielogiczny skok. Gdyby w tym naciąganiu wiary

chodziło o kogokolwiek innego niż Jeffty, dorosłego czy dziecko, wymyśliłbym jakieś bardziej prawdopodobne wyjaśnienie. Ale tu szło o Jeffty'e-go, który wyraźnie stanowił inny rodzaj naczynia bytu – i nie można się było spodziewać, że jego przeżycia będą pasować do ustalonego porządku

rzeczy.

Przyznaję: chciałem usłyszeć to, co usłyszałem.

Rozpoznałem audycję nawet przez zamknięte drzwi:

„Tam jest, Tennessee! Strzelaj”.

Rozległ się huk strzelby na wiewiórki i zawodzenie rykoszetu, a potem ten sam głos wrzasnął triumfalnie: „Trafiłem! W

1369

sa-a-a-a-m środek!”.

Słuchał stacji American Broadcasting Company, w paśmie 790 kHz, nadającej słuchowisko „Tennessee Jed”, jeden z moich ulubionych seriali z lat czterdziestych, traktujących o przygodach na Dzikim Zachodzie. Nie słyszałem go od dwudziestu lat, bo od dwudziestu lat nie istniał.

Usiadłem na ostatnim stopniu schodów, w górnym przedpokoju domu Kinzerów, i słuchałem audycji. To nie była powtórka starego odcinka. Znałem je wszystkie na pamięć, nie opuściłem żadnego. Kolejny dowód, że to nowy odcinek: we wmontowanych reklamach były czasami odniesienia do ostatnich wydarzeń kulturalnych i osiągnięć technicznych oraz nazwy nie –

istniejące w powszechnym użyciu w latach czterdziestych: pojemnik aerozolowy, laserowe usuwanie tatuażu, Tanzania, słowo

„zestresowany”.

1370

Nie mogłem nie przyjąć do wiadomości

faktu, że Jeffy słucha nowego odcinka

„Tennessee Jeda”.

Zbiegłem na dół i popędziłem do samo-

chodu. Leona pewnie była w kuchni. Przekręciłem kluczyk, jednym wciśnięciem guzika

włączyłem radio i błyskawicznie przesunąłem gałkę na 790 kHz. Stacja ABC.

Muzyka rockowa.

Siedziałem w samochodzie przez kilka

chwil, a następnie powoli przejechałem wskazówką po całej skali. Muzyka, wiadomości, gadanie. Żadnego „Tennessee Jeda”. A to był blaupunkt, najlepsze radio, jakie można kupić. To nie tak, że nie mogłem znaleźć jakiejś słabej stacji. Jej po prostu nie było!

Po kilku minutach wyłączyłem radio ora? stacyjkę i cicho wróciłem na górę.

Usiadłem na ostatnim schodku i wysłucha-

łem całej audycji. Była cudowna.

1371

Emocjonująca, z mnóstwem pomysłów,

wypełniona tym wszystkim, co zapamięta-

łem jako najbardziej nowatorskie w radio-wym teatrze. Była jednak współczesna.

Nie jakaś tam zabytkowa powtórka zaspokajająca potrzeby malejącej grupki słuchaczy stęsknionych za minionymi dniami. To był nowy program – ze wszystkimi dawnym głosami, lecz nadal młodymi i czystymi. Nawet reklamy dotyczyły produktów znajdujących się obecnie w sprzedaży, lecz nie były tak głośne czy obraźliwe jak wy-wrzaskiwane ogłoszenia, których pełno jest teraz w radiu.

Kiedy o piątej „Tennessee Jed” się skoń-

czył, usłyszałem, jak Jeffy kręci gałką radia, a potem dobiegł mnie znajomy głos spikera Glenna

Riggsa zapowiadającego:

„Przedstawiamy Hopa Harrigana! Amerykańskiego asa przestworzy!" Następnie hałas lecącego samolotu. Samolotu ze śmi-1372

głem, a nie odrzutowego! Nie hałas, przy jakim rosną dzisiejsze dzieci, lecz dźwięk, przy którym ja wyrosłem – prawdziwy ha-

łas samolotu, gardłowy warkot silnika na wysokich obrotach, warkot samolotów, jakimi latali G-8 i jego Bojowe Asy, Kapitan Północ i Hop Harrigan. A później usłysza-

łem Hopa: „CX-4 wzywa wieżę kontrolną.

CX-4 wzywa wieżę kontrolną. Odbiór!"

Chwila przerwy i znów: „Dobra, tu Hop Harrigan... podchodzę!"

A Jeffty – który miał ten sam problem, co wszystkie dzieci w latach czterdziestych, bo różne stacje rywalizowały ze sobą ulubionymi programami nadawanymi o tej samej porze – złożywszy uszanowa-nie Hopowi Harriganowi i Tank Tinkero-wi, pokręcił gałką i wrócił na ABC, gdzie usłyszałem uderzenie gongu, dziką kakofonię chińskiego bełkotu i spikera wołające-go: „Te-e-e-rry i piraci!"

1373

Siedziałem na ostatnim schodku i słuchałem Terry'ego, Connie, Flipa Corkina i

– Bóg mi świadkiem – Agnes Moorehead

jako Panią Smoków... Brali oni udział w nowej przygodzie w Czerwonych Chinach, nieistniejących jeszcze w czasach tej wersji Wschodu, jaką w 1937 roku stworzył

Mil – ton Caniff – z piratami rzecznymi, Czang Kai-szekiem, wielkimi wojownikami i naiwnym imperializmem amerykań-

skiej dyplomacji kanonierek.

Wysłuchałem całego programu, a potem

siedziałem jeszcze dłużej i słuchałem „Su-permana" i kawałka audycji „Jack Arm-strong, the All – American Boy", oraz czę-

ści „Kapitana Północ", a później wrócił do domu John Kinzer, ale ani on, ani Leona nie przyszli na górę zobaczyć, co się ze mną stało albo gdzie jest Jeffty, więc siedziałem nadal i stwierdziłem, że płaczę i nie mogę przestać, po prostu siedziałem 1374

tak ze łzami ściekającymi po twarzy do ką-

cików ust, aż Jeffty usłyszał moje łkanie, otworzył drzwi i mnie zobaczył; wyszedł, spojrzał z dziecinną niepewnością, tymczasem ja usłyszałem, jak stacja przechodzi na Wspólną Sieć, i dobiegły mnie dźwięki muzycznego tematu „Toma Miksa",

„When It's Round-Up Time in Texas and the Bloom Is on the Sage", a Jeffty dotknął mego ramienia, uśmiechnął się ustami i dużymi, piwnymi oczyma, następnie powiedział:

– Cześć, Donny. Chcesz wejść i posłuchać ze mną radia?

Hume zaprzeczał istnieniu przestrzeni absolutnej, w której każda rzecz ma swoje miejsce; Borges zaprzecza istnieniu jednego czasu, w którym wszystkie wydarzenia są ze sobą połączone.

Jeffty odbierał audycje radiowe z miej-1375

sca, które zgodnie z logiką, zgodnie z naturalnym porządkiem czasoprzestrzeni wy-wiedzionym przez Einsteina, nie mogło istnieć. Ale docierało do niego nie tylko to.

Otrzymywał pocztą produkty, których nikt nie wytwarzał. Czytał komiksy niewycho-dzące od trzydziestu lat. Oglądał filmy z aktorami nieżyjącymi od dwudziestu lat.

Był terminalem niekończących się radości i przyjemności z minionego czasu, które świat zgubił

gdzieś po drodze. W samobój-czym locie na oślep ku Nowemu Jutru świat zburzył swe skarbnice prostego szczęścia, zalał swoje place zabaw beto-nem, porzucił snujące się gdzieniegdzie elfy, a wszystko to było teraz w niemożli-wy, cudowny sposób przerzucane z powrotem w terażniejszość za pośrednictwem Jeffty'ego. Przywrócone do życia, uaktual-nione, przy zachowaniu tradycji i jedno-czesnym współcześnieści. Jeffty był ni-1376

komu nierozkazującym Aladynem, którego sama natura kształtowała magię jego rzeczywistości. I Jeffty wpuścił mnie do swego świata.

Bo mi ufał.

Na śniadanie zjedliśmy kwakerskie chrupki pszenne, popijając je ciepłą „oval-tiną” z tegorocznych kubków Sierotki Annie. Poszliśmy do kina i podczas gdy wszyscy inni oglądali komedię z Goldie Hawn i Ryanem O’Nealem, Jeffty i ja za-chwycaliśmy się Humphreym Bogartem w roli zawodowego złodzieja Parkera w błyskotliwej Hustonowskiej adaptacji powieści Donalda Westlake'a „Slayground”.

W drugim filmie, „Leiningen Versus the Ants”, wyprodukowanym przez Vala Lew-tona, grali Spencer Tracy, Carole Lombard i Laird Cregar.

Dwa razy w miesiącu chodziliśmy do kiosku i kupowaliśmy bieżące numery 1377

„The Shadow”, „Doca Savage” oraz „Star-tling Stories”. Potem siadaliśmy gdzieś razem i czytałem Jeffty'emu na głos. Szczególnie podobała mu się ostatnia mikropowieść Henry'ego Kuttnera „The Dreams of Achilles”, a także nowa seria opowiadań Stanleya G. Weinbauma, rozgrywających się w subatomowym wszechświecie Re-durny. We wrześniu zachwycił nas pierwszy odcinek nowej powieści Roberta E.

Howarda o Conabie, „Isle of the Black Ones”, drukowanej w „Weird Tales”, a w sierpniu tylko lekko rozczarowała nas czwarta mikropowieść Edgara Rice'a Bur-roughsa z jowiszowej serii o Johnie Carte-rze z Barsoom – „Corsairs of Jupiter”. Redaktor „Argosy All – Story Weekly” obiecał jednak, że ukażą się jeszcze dwa opowiadania z tego cyklu, i było to dla nas takim nieoczekiwanym objawieniem, że przygasiło nasz zawód. Komiksy czytali-1378

śmy razem i obaj z Jefftym doszliśmy do wniosku – oddzielnie, zanim to omówili-śmy – że naszymi ulubionym postaciami są Lal – karz, Powietrzny Chłopiec i Sterta.

Uwielbialiśmy też rysowane historyjki George'a Carlsona w „Jingle Jangle Co-mics”, szczególnie te o Plackogębym Księ-

ciu Starego Pretzleburga, które też razem czytaliśmy i z których razem się śmiali-

śmy, chociaż musiałem Jeffty'emu wyja-

śniać niektóre bardziej ulotne gry słowne, bo był jeszcze za mały na taki subtelny dowcip.

Jak mam to wytłumaczyć? Nie potrafię.

Miałem wystarczająco dużo zajęć z fizyki na uniwersytecie, żeby improwizować róż-ne teorie, ale najprawdopodobniej są one niesłuszne. Prawa zachowania energii tracą czasami swoją moc. Istnieją prawa, które fizycy nazywają „słabo naruszalnymi”.

Może Jeffty był katalizatorem słabego na-1379

ruszenia praw zachowania energii, z któ-

rych istnienia dopiero teraz zaczynamy sobie zdawać sprawę. Próbowałem coś przeczytać z tej dziedziny: o niemożliwym rozpadzie mionu, czyli o rozpadzie gamma, wśród którego produktów nie znajduje się neutrino mionowe – lecz nic, na co się natknąłem, nawet ostatnie publikacje Szwaj-carskiego Instytutu Badań Nuklearnych pod Zurychem, mnie nie oświeciło. Musia-

łem znów pogodzić się z niejasnym zało-

żeniem filozofii, że prawdziwą nazwą nauki jest słowo „magia”.

Żadnych wyjaśnień, za to wspaniała zabawa.

Najszcześniejsze chwile mojego życia.

Miałem „rzeczywisty” świat – świat mojego sklepu, znajomych i rodziny, świat zysków i strat, podatków i wieczorów z dziewczynami, rozmawiającymi o zaku-pach lub o Narodach Zjednoczonych, świat 1380

rosnącej ceny kawy I kuchenek mikrofalowych. Miałem też świat Jeffty'ego, w którym istniałem tylko wraz z nim. Elemen-tów przeszłości, dla niego świeżych i nowych, mogłem doświadczać jedynie w jego towarzystwie. A błona między tymi dwoma światami stawała się coraz cieńsza, coraz bardziej świetlista i przezroczysta.

Miałem to, co najlepsze z obu światów. I jakoś wiedziałem, że z jednego do drugiego nic nie mogę przenieść.

Chwilowe zapomnienie, zdrada przez zapomnienie, położyła temu wszystkiemu kres.

– Bawiąc się tak wspaniale, zrobiłem się nieostrożny i przestałem zwracać uwagę na to, jak de facto kruchy jest związek między światem Jeffty'ego i moim. Nie bez przyczyny terażniejszość jest zazdrosna o istnienie przeszłości. Nigdy tego tak naprawdę nie rozumiałem. Nigdzie w książkach o 1381

zwierzętach, gdzie o przeżycie walczy się za pomocą pazurów i kłów, macek i gruczołów jadowych, nie ma przykładu takiej drapieżności, z jaką terażniejszość rzuca się na przeszłość. Nigdzie nie ma szczegó-

łowego opisu, jak Terażniejszość czai się na Minione, czekając, aż stanie się ono Teraz-Tą – Chwilą, żeby mogła je rozszarpać bezlitosnymi zębami.

Któż mógłby wiedzieć coś takiego... w jakim wieku... a na pewno nie w moim wieku... Któż mógłby coś takiego zrozumieć?

Usiłuję się usprawiedliwić. Nie da się tego zrobić. To była moja wina.

Nadeszło kolejne sobotnie popołudnie.

– Co dzisiaj grają? – spytałem go w samochodzie po drodze do śródmieścia.

Spojrzał na mnie z przedniego fotela i uśmiechnął się jednym ze swoich najlep-1382 szych uśmiechów.

– „Bullwhip Justice” z Kenem Maynar-dem i „The Demolished Man”.

Ciągle się uśmiechał, jakby mnie nabie-rał. Popatrzyłem na niego z niedowierzaniem.

– Żartujesz! – powiedziałem rozradowa-ny. – „The Demolished Man” Bestera? –

Skinał głową, zachwycony moim zachwy-

tem. Wiedział, że to jedna z moich ulubionych książek. – Och, super!

– Super duper – dodał.

– Kto gra?

– Franchot Tone, Evelyn Keyes, Lionel Barrymore i Elisha Cook Jr. – Wiedział o wiele więcej o aktorach filmowych niż ja.

Potrafił wymienić wszystkich aktorów z każdego filmu, jaki oglądał. Nawet tych ze scen zbiorowych.

– A kreskówki?

– Trzy: „Little Lulu”, „Kaczor Donald” i 1383

„Królik Bugs”. I „Pete Smith Speciality”, i

„Monkeys is da C-r-r-r-aziest Peoples”

Lewa Lehra.

– O rany! – powiedziałem.

Wyszczrzyłem zęby od ucha do ucha.

Wtedy na chwilę spuściłem wzrok I zauważyłem na siedzeniu plik zamówień.

Zapomniałem podrzucić je do sklepu.

– Muszę stanąć przy Centrum – odezwa-

łem się. – Muszę coś tam zostawić. Zajmie mi to minutkę.

– Dobra – odparł Jeffty. – Ale nie spóznimy się, prawda?

– Nigdy w życiu, mały – obiecałem.

Kiedy wjechałem na parking przy Cen-

trum, postanowiłem, że będzie mi towarzyszyć i że potem pójdziemy do kina piechotą. To nie jest duże miasto.

Są tu jedynie dwa kina: Utopia i Liryczne. Szliśmy do Utopii, która znajdowała 1384 się tylko o trzy przecznice od Centrum.

Wszedłem do sklepu z zamówieniami w

rękę, a w środku dom wariatów. David i Jan zajmowali się każde dwoma klientami, a wokół stali inni, czekając na obsłużenie.

Jan spojrzała na mnie z błagalną miną. David wybiegał właśnie z magazynu, w pędzie udało mu się tylko mruknąć: „Pomo-cy!” – i już go nie było.

Przykucnąłem i powiedziałem:

– Jeffty, posłuchaj, daj mi kilka minut.

Jan i David mają kłopoty z tymi wszystkimi ludźmi. Nie spóznimy się, obiecuję. Po-zbędę się tylko paru klientów.

Wyglądał na zdenerwowanego, ale skinał głową na zgodę.

Machnąłem ręką w kierunku fotela i powiedziałem:

– Usiądź na chwilkę, a ja zaraz przyjdę.

Podszedł do fotela, grzeczny chłopczyk, chociaż wiedział, co się dzieje, i usiadł.

1385

Zająłem się ludźmi chcącymi kupić ko-

lorowe telewizory. Przyszła właśnie pierwsza poważna dostawa – ceny kolorowych telewizorów dopiero teraz robiły się rozsądne, a to była promocja firmy Sony – i dla mnie rozpoczął się złoty okres. Widzia-

łem już spłatę pożyczki i możliwość wyj-

ścia – wreszcie – na swoje. To był dobry interes.

W moim świecie dobry interes ma pierwszeństwo.

Jeffty siedział i wpatrywał się w ścianę.

Opowiem wam o tej ścianie.

Od podłogi do samego prawie sufitu wznosiły się stelaże. Tkwiły w nich arty-stycznie

poustawiane telewizory. Trzydzie-

ści trzy sztuki. Wszystkie pracowały jednocześnie. Czarno-białe, kolorowe, małe, duże, wszystkie włączone naraz.

Jeffty siedział i oglądał w sobotnie po-południe trzydzieści trzy telewizory. Od-1386

bieramy w sumie trzynaście programów, łącznie ze stacjami edukacyjnymi na UKF.

Na jednym kanale był golf, na drugim baseball, na trzecim znakomitości grające w kręgle,

czwarty kanał nadawał seminarium religijne, a piąty taneczne pokazy nastolatków, na szóstym była

powtórka jakiejś komedii sytuacyjnej, na siódmym filmu policyjnego, na ósmym bohater programu

przyrodniczego bez końca zarzucał wędkę ze sztuczną muchą, na dziewiątym były wiadomości i

dyskusja, na dziesiątym pokazywano wyścig samochodowy, na jede-

nastym mężczyzna rozwiązywał na tablicy logarytmy, na dwunastym kobieta w tryko-tach

demonstrowała ćwiczenia fizyczne, a na trzynastym siedł źle animowany film rysunkowy po

hiszpańsku. Siedem z tych programów powtarzało się na trzech tele-wizorach. Jeffty siedział i oglądał ścianę sobotniej telewizji, a ja sprzedawałem naj-1387

szybciej jak umiałem, żeby oddać dług ciotce Patrycji i nie stracić kontaktu z własnym światem. To był interes.

Powinienem był wiedzieć. Powinienem był rozumieć, że terażniejszość zabija przeszłość. Ale ja sprzedawałem obiema rękami. A kiedy w końcu po półgodzinie rzuciłem okiem na Jeffty'ego, wyglądał jak jakieś inne dziecko.

Pocił się. Tym strasznym potem biorącym się z gorączki, kiedy ma się katar żołądka. Był blady i ciastowaty, jak robak, a małymi dłońmi tak mocno wczepił się w poręcze fotela, że kostki były widoczne z daleka. Rzuciłem się do niego, przepraszając parę w średnim wieku, która oglądała nowy, dwudziesto jednocalowy model Me-diterranean.

– Jeffty!

Zwrócił głowę w moim kierunku, ale jego oczy nie podążyły za tym ruchem.

1388

Wydawał się przerażony. Porwałem go z fotela i ruszyłem do drzwi wejściowych, lecz klienci, których zostawiłem, krzyknę-

li: – Hej! – a mężczyzna w średnim wieku powiedział: – Chce nam pan to sprzedać czy nie?

Przeniosłem wzrok z niego na Jeffty'ego i z powrotem. Jeffty wyglądał jak zombie.

Doszedł do miejsca, do którego go pociągnąłem. Nogi miał jak z gumy i powłóczył stopami. Przeszłość pożerana przez terażniejszość, odgłosy bólu.

Wyrwałem z kieszeni spodni trochę pie-niędzy i wcisnąłem je Jeffty'emu do ręki.

– Mały... posłuchaj... wyjdź stąd w tej chwili! – Nadal nie mógł skupić spojrzenia. – Jeffty – powiedziałem tak stanowczo, jak tylko umiałem – posłuchaj mnie! –

Klient w średnim wieku szedł z żoną w naszym kierunku. – Posłuchaj, mały, wyjdź stąd natychmiast. Idź do Utopii i kup nam 1389

bilety. Zaraz tam będę.

Małżeństwo w średnim wieku było tuż,

tuż. Wypchnąłem Jeffty'ego przez drzwi i patrzyłem, jak – potykając się – idzie w złą stronę, przystaje, jakby odzyskując świadomość, zawraca i idzie wzdłuż wystawy Centrum w kierunku Utopii.

– Tak, proszę państwa – powiedziałem

prostując się i stając do nich przodem – to fantastyczny telewizor z kilkoma niesamowitymi funkcjami! Gdyby państwo zechcieli podejść tu ze mną...

Dobiegł mnie jakiś straszny głos cierpienia, ale nie potrafiłem określić, z którego kanału czy telewizora.

Większości szczegółów dowiedziałem się później, od młodej kasjerki i kilku znajomych młodych ludzi, którzy przyszli opowiedzieć mi, co się stało. Zanim dotar-

łem do Utopii, prawie dwadzieścia minut 1390

później. Jeffty był już zbity na kwaśne jabłko i znajdował się w biurze kierownika kina.

– Czy widzieli państwo chłopczyka w wieku około pięciu lat, z dużymi piwnymi oczyma i prostymi, brązowymi włosami...

Czekał na mnie.

– Och, to chyba ten chłopczyk pobity przez dzieciaki?

– Co!?! Gdzie on jest?

– Zabrano go do biura kierownika kina.

Nikt nie wiedział, jak się nazywa ani gdzie szukać jego rodziców...

Przy leżance klęczała młoda dziewczyna w stroju bileterki i przykładała Jeffty'emu do twarzy wilgotny papierowy ręcznik.

Odebrałem go jej i kazałem wyjść z biu-ra. Wyglądała na obrażoną i burknęła coś niegrzecznego, ale wyszła. Usiadłem na brzegu leżanki i próbowałem wytrzeć krew z rozcięć na twarzy Jeffty'ego, nie otwiera-1391

jąc tych ran, które zdążyły już przyschnąć.

Oczy miał tak zapuchnięte, że nie mógł ich otworzyć, i bardzo pokaleczone usta. Włosy zlepiła mu zakrzepła krew.

Stał w kolejce za dwoma nastolatkami.

Bilety zaczęto sprzedawać o dwunastej trzydzieści, a seans rozpoczynał się o trzy-nastej. Drzwi otwarto o dwunastej czterdzieści pięć. Jeffty czekał, a chłopcy stojący przed nim mieli przenośne radio. Słuchali sprawozdania z meczu piłkarskiego.

Jeffty chciał posłuchać jakiejś audycji, Bóg jeden wie jakiej – „Grand Central Station”, „Let's Pretend” czy „Land of the Lost”.

Zapytał, czy może na chwilkę pożyczyć radio, żeby posłuchać tej audycji, a właśnie była przerwa na reklamę czy coś takiego, więc chłopcy mu je dali, prawdopodobnie przez złośliwą grzeczność, która pozwoliłaby im potem dokuczać chłopczy-1392

nie. Zmienił stację... a oni potem nie potrafili już złapać meczu. Radio dostroiło się do przeszłości, do stacji, która nadawała program jedynie dla Jeffty'ego.

Poważnie go pobili... na oczach wszystkich.

Potem uciekli.

Zostawiłem go samego, żeby walczył z terażniejszością, a nie miał wystarczającej broni. Zdradziłem go za sprzedaż dwudzie-stojednocalowego telewizora – i teraz jego twarz przypominała siekany kotlet. Wyję-

czał coś niedosłyszalnego i cicho zaszlochał.

– Ćśś, już dobrze, mały, to ja, Donny.

Jestem tu. Zabiorę cię do domu, wszystko będzie dobrze.

Powinienem był od razu zawieźć go do

szpitala. Nie wiem, dlaczego tego nie zrobiłem. Powinienem był to zrobić.

1393

Kiedy wniosłem go do domu, John i Leona Kinzerowie tylko na mnie patrzyli. Nie ruszyli się, żeby go ode mnie przejąć. Jedna ręka zwisała bezwładnie. Był na wpół

przytomny. Spojrzałem na nich, siedzą-

cych w półmroku terażniejszego, sobotniego popołudnia.

– Przed kinem pobiło go dwóch chłop-ców.

Uniosłem Jeffty'ego w ramionach o kil-ka centymetrów i pokazałem im. Patrzyli na mnie, na nas obu, z pustką w oczach, bez ruchu.

– Jezu! – krzyknąłem – został pobity!

To wasz syn! Nie chcecie go nawet dotknąć? Co z was za ludzie, do diabła?!

Wtedy Leona bardzo powoli podeszła do mnie. Stała przed nami kilka sekund, a na jej zastygłej twarzy malował się straszliwy stoicyzm. Zupełnie jakby chciała powiedzieć: „Byłam już w tym miejscu wiele 1394

razy i więcej tego nie zniosę; ale oto jestem”.

Więc podałem go jej. Niech mi Bóg wybaczy, podałem go jej.

A ona zniosła go na górę, żeby zmyć z niego krew i ból.

John Kinzer i ja staliśmy na swoich osobnych miejscach w mrocznym salonie i patrzyliśmy na siebie. Nie miał mi nic do powiedzenia.

Przecisnąłem się obok niego i padłem na fotel. Cały dygotałem. Z góry dochodził szum leżącej się do wanny wody.

Po bardzo długim – a przynajmniej tak mi się wydawało – czasie Leona zeszła na dół, wycierając ręce w fartuch. Usiadła na kanapie, a po chwili John usiadł obok niej.

Usłyszałem dobiegające z góry dźwięki muzyki rockowej.

– Zje pan kawałek pysznego placka? – spytała Leona.

1395

Nie odpowiedziałem. Słuchałem muzy-

ki. Muzyki rockowej. Z radia. Na stoliku obok kanapy stała lampa. Rzuciła mętne, przytłumione światło nie – rozpraszające cieni zalegających salon. Teraźniejsza muzyka rockowa z radia na górze? Zaczęłem coś mówić – i nagle już wiedziałem... – O, Boże... nie!

Podskoczyłem w chwili, gdy straszliwe trzaski zagłuszyły muzykę, a lampa przygasła i zamigotała. Coś krzyknąłem, nie wiem co, i rzuciłem się do schodów.

Rodzice Jeffy'ego ani drgnęli. Siedzieli ze złożonymi rękoma, w miejscu, w którym tkwili od tak wielu lat.

Wbiegając po schodach upadłem dwa razy.

Niewiele programów w telewizji potrafi przyciągnąć moją uwagę. W sklepie z używanymi rzeczami kupiłem stare radio mar-1396

ki Philco, przypominające katedrę, i wszystkie spalone części zastąpiłem oryginalnymi lampami ze starych, lecz jeszcze sprawnych odbiorników, które udało mi się rozmontować na części. Nie stosuję tranzystorów czy obwodów drukowanych.

Nie nadawałyby się. Zdarza się, że przesieduję przed tym radiem całymi godzinami, przesuając wskazówkę po skali tak powoli, jak tylko można to sobie wyobrazić, tak powoli, że czasami wygląda, jakby się w ogóle nie ruszała.

Lecz nie mogę złapać „Kapitana Północ” ani „Land of the Lost”, ani „The Shadow”, ani „Quiet, Please”.

A więc jeszcze go troszeczkę kochała, nawet po tych wszystkich latach. Nie mogę ich nienawidzić: oni tylko chcieli znów żyć w teraźniejszym świecie. To nie takie straszne.

Jak się zastanowić, to ten świat nie jest 1397

zły, pod wieloma względami jest o wiele lepszy niż kiedyś. Ludzie nie umierają już na dawne choroby. Umierają na nowe, ale to Postęp, prawda?

Prawda?

Odpowiedzcie mi.

Proszę, niech mi ktoś odpowie.

1398

GENE WOLFE
DETEKTYW SNÓW

(The detective of Dreas)

Przełożył Arkadiusz Nakoniecznik

Gene'owi Wolfe'owi największą sławę przyniosło pięcio-tomowe arcydzieło „Księga Nowego Słońca”, w którym religia, cierpienie, tortury i zmartwychwstanie splatają się z klasyczną opowieścią o poszukiwaniu i dojrzeniu, tworząc alegoryczny obraz chrześcijaństwa w bardzo odległej przyszłości. W kolejnym, wciąż rozbudowywanym cyklu „Księga Długiego Słońca”, religia również odgrywa niezmiernie waż-

ną rolę. Z całą pewnością błędne byłoby jednak twierdzenie, iż w swojej twórczości porusza wyłącznie ten jeden temat.

Wręcz przeciwnie: różnorodność problematyki oraz zdolność formalnego eksperymentowania zarówno ze sposobem narra-cji, jak i bohaterami, świadczą o klasie jego pisarstwa. Inne znaczące pozycje w jego dorobku to m. in. : „Castleview”, 1399

„Żołnierz z mgły” i „Mieszkanie za darmo”.

1400

Siedziałem przy biurku w gabinecie przy rue Madeleine, kiedy Andrée, moja sekretarka, wprowadziła do pokoju Herr D... Wstałem, odłożyłem korespondencję i uściśniłem mu rękę. Powinienem chyba wspomnieć, że miał niespełna pięćdziesiąt lat, zdrową cerę charakterystyczną dla tych, którzy w młodości (niestety, minionej dla nas obu) znajdowali większe upodobanie w towarzystwie koni i psów oraz w ekscytujących polowaniach niż w butelkach, domach publicznych i życiu w mieście, oraz że jego twarz zdobiły broda i wąsy przyszyżone na wzór zmarłego cesarza. Przyjął zaproszenie do zajęcia miejsca w fotelu, a następnie okazał dokumenty.

– Jak pan widzi – rzekł – przywykłem

do roli reprezentanta mego rządu, w tej 1401

sprawie jednak nim nie jestem, w związku z czym mogę się czuć nieco zagubiony...

– Wiele osób, które tu przychodzą, czują się zagubione – odparłem. – Chlubię się jednak tym, że większość z nich, przy mojej pomocy, potrafi się odnaleźć. Pański problem, jak przypuszczam, jest natury ściśle osobistej?

– Skądże znowu. To sprawa publiczna w najpełniejszym znaczeniu tego określenia.

– Jednak żaden z dokumentów, które przede mną leżą, choć wszystkie są opa-trzone wspaniałymi pieczęciami i wstęga-mi, nie świadczy o tym, że jest pan kimś innym niż dżentelmenem odbywającym całkowicie prywatną podróż zagraniczną.

Pan także twierdzi, że nie reprezentuje swojego rządu. Co mam o tym myśleć? I na czym właściwie polega pański problem?

– Działam w interesie publicznym – po-1402

informował mnie Herr D... – Mój majątek nie jest zbyt wielki, zapewniam jednak, że jeśli odniesie pan sukces, zostanie pan so-wicie wynagrodzony. Chociaż musi pan przyjąć, że tylko ja jestem pańskim zlece-niodawcą, proszę mi wierzyć, iż w razie potrzeby mogę uzyskać dostęp do znacznych środków finansowych.

– Zechciałby pan udzielić mi bardziej szczegółowych informacji o sprawie?

– Czy ma pan coś przeciwko podróżom?

– Nie.

– To bardzo dobrze – odparł, po czym

uraczył mnie jedną z najbardziej zdumiewających, a raczej najbardziej zdumiewającą historią,

jaką miałem zaszczyt kiedykolwiek usłyszeć. Nawet ja, który jako pierwszy zapoznałem się z relacją człowieka, któremu udało się odnaleźć Paulette Renan z ziarnem pigwy wciąż tkwiącym w jej gardle; który wysłuchałem opowieści 1403

kapitana Brotte'a o odkryciach, jakich dokonał wśród lodów Antarktyki; który na długo przed innymi dowiedziałem się od Joan O'Neil, jak się czuła, żyjąc przez dwa lata za swoim portretem w Luwrze; nawet ja siedziałem zasłuchany jak dziecko.

Kiedy umilkł, odezwałem się w te słowa:

– Herr D..., po tym, co od pana usłysza-

łem, podjąłbym się tej misji nawet wówczas, gdybym miał nie zarobić ani jednego *sou*. Jeśli rzeczywiście raz w życiu każdy z nas trafia na zagadkę, którą musi rozwiązać dla samej przyjemności jej rozwiązania, to ja właśnie natrafiłem na swoją.

Pochylił się do przodu w fotelu i chwycił moją dłoń w obie swoje z wylewnością, jak sędzę, niemającą wiele wspólnego z jego prawdziwą naturą.

– Proszę odszukać i unicestwić Mistrza Snów, a, jeśli takie będzie pańskie życze-1404

nie, zasiądzie pan na złotym tronie i będzie pan jadał ze złotego stołu. Kiedy wyruszy pan do naszego kraju?

– Jutro z samego rana – odparłem. –

Muszę jeszcze załatwić kilka spraw.

– Ja wracam dziś wieczór. Może pan kontaktować się ze mną o każdej porze dnia i nocy, by uzyskać informacje o rozwoju wydarzeń. – Wręczył mi wizytówkę.

– Pod tym adresem zawsze można zastać albo mnie, albo kogoś całkowicie godnego zaufania, kto będzie występował w moim imieniu.

– Rozumiem.

– A to powinno pokryć wstępne wydatki. Proszę dać mi znać, gdyby potrzebował pan więcej.

Czek, który mi wręczył, podniósłszy się do wyjścia, opiewał na kwotę stanowiącą równowartość małej fortuny. Zaczekałem, aż znalazł się prawie za drzwiami, po czym 1405

powiedziałem:

– Dziękuję panu, Herr baron.

Muszę mu oddać sprawiedliwość, że się nie odwrócił, z satysfakcją zauważyłem jednak, jak jego blady do tej pory kark poczerwieniał nad idealnie prostą krawędzią kołnierzyka. Chwilę później wyszedł, zamykając za sobą drzwi.

Zaraz potem w gabinecie zjawiała się An-drée.

– Kto to był? Kiedy wychodził, wyglądał tak, jakby uderzył go pan biczem.

– Dojdzie do siebie, już go uspokoilem.

– To baron H... z tajnej policji K... Przedstawił się panięmskim nazwiskiem matki.

Przypuszczał, że skoro jego biurko dzieli od mojego kilkaset kilometrów i ponieważ nie dopuszcza do tego, by jego podobizna pojawiała się w gazetach, nie zdołam go rozpoznać. Zarówno ze względu na jego opinię o mnie, jak i moją opinię o samym 1406

sobie, zależało mi na tym, by się dowiedział, że niełatwo mnie oszukać. Jak tylko minie mu irytacja, uda się na spoczynek ze znacznie lepszym wyobrażeniem o zdolnościach, które wykorzystam do realizacji powierzonej przez niego misji.

– To dla pana typowe, *monsieur* – zauważyła Andrée łagodnym tonem. – Zawsze troszczy się pan o dobry sen swoich klientów.

Uległem pokusie jej apetycznego policzka i uszczyptałem ją lekko.

– Istotnie – odparłem – ale baron i tak nie będzie miał spokojnych snów tej nocy.

Opuściwszy Paryż, mój pociąg popędził

z łoskotem przez rozległe ukwiecone łąki, by niebawem zapaść się w doliny, w których jeszcze całkiem niedawno groziłoby nam zasypanie przez lawiny. Gdziekolwiek spojrzeć,

wszędzie było widać migo-1407

tanie spływającej z gór wody, a kiedy ekspres zwalniał podczas pokonywania wzniesień, do uszu pasażerów docierał tak-

że jej śpiew, zwielokrotniony echem odbijającym się od szarych alpejskich skał.

Wieczorem ta właśnie muzyka ukołysała mnie do snu; nazajutrz rano obudziłem się na stacji I... , wiekowej stolicy J... , obecnie prowincji K...

Wynająłem bagażowego, żeby zaniósł

moją walizkę do hotelu, w którym poprzedniego dnia telegraficznie dokonałem rezerwacji, sam zaś udałem się na kilkugodzinny spacer po mieście. Można powiedzieć, że średniowiecze nie tyle pozostawiło tu wyraźne ślady, ile raczej nigdy stąd nie odeszło. Miasto jest z trzech stron otoczone nietkniętymi murami obronnymi, zwieńczone blankami baszty są właśnie starannie odnawiane, brukowane zaś ulice z pewnością pamiętają czasy, kiedy ruch 1408

kołowy był niezmiernie rzadki. Co się tyczy budynków... Bez wątpienia spodobały-by się Kotu w Butach i jego kompanii.

Brzuchate ściany, w oknach maleńkie szybki z grubego szkła, wyższe kondygnacje wysunięte poza obrys parteru, tak że chwilami dziwiłem się, w jaki sposób te budowle utrzymują równowagę. Na jednej z owych konstrukcji, szarej, z wąskimi oknami i masywnymi drzwiami, odkryłem tabliczkę informującą o tym, że początkowo był to kościół; później budynek pełnił

kolejno funkcję więzienia, urzędu celnego, domu mieszkalnego, a wreszcie szkoły. Po bliższych oględzinach okazało się, iż obecnie mieszczą się tam sklepy; wewnątrz, zapewne jeszcze za czasów pierwszego Ludwika, podzielono na maleńkie, zatęchłe boksy. Tak się złożyło, iż był to jeden z adresów podanych mi przez barona, wszedłem więc do środka.

1409

Wszędzie płonęły gazowe lampy, jednak nie dałoby się powiedzieć, że wewnątrz zostało rześkie oświetlone, wręcz przeciwnie – zupełnie jakby właścicielom stoisk zależało przede wszystkim na tym, by blask ich lamp nie rozprzestrzeniał się na stoisko sąsiada. Układ sklepów był zupełnie chaotyczny, nie miałem gdzie zasię-

gnąć rady, w jaki sposób dotrzeć do interesujących mnie stoisk. Nieliczni stali klienci, którzy zapewne bywali tu od lat i nie potrzebowali przewodnika, snuli się od boksu do boksu. Kiedy zatrzymywali się przed kolejnym, natychmiast pojawiał się właściciel, który w całkowitym milczeniu (tak mi się przynajmniej wydawało) czekał

na jakieś pytanie lub zapłatę. Nie usłysza-

łem jednak ani słowa, ani razu też nie zauważyłem, żeby pieniądze przechodziły z rąk do rąk; klient sprawdził kciukiem ostrość noża albo obejrzał pobieżnie jakąś 1410

część garderoby, albo przekartkował nadbutwiałą książkę, po czym ruszał dalej.

Wreszcie, kiedy już znudziło mi się zagłądanie w zaułki jeszcze bardziej mroczne od głównych alejek, zatrzymałem się przy straganie z wyrobami skórzanymi i zapytałem właściciela, gdzie mogę znaleźć Fraulein A...

- Nie znam jej – odparł.
- Wiem z pewnego źródła, iż prowadzi interesy w tym budynku. Handluje antykami.
- Mamy tu wielu antykwariuszy. Na przykład Herr M...
- Szukam młodej kobiety. Czy ten pański Herr M... ma siostrzenicę albo kuzynkę?
- ... zajmuje się głównie krzesłami i ko-modami. Herr O... , w pobliżu siedziby ce-chów...
- Chodzi mi wyłącznie o ten budynek.

1411

- ... specjalizuje się z kolei w obrazach i zwierciadłach. Czego konkretnie pan szuka? Nie wiem, ile jeszcze czasu toczyłaby się ta „rozmowa”, gdyby nie wtrąciła się kobieta z sąsiedniego boksu.

– On szuka Fraulein A... Proszę pójść prosto, skręcić w lewo, minąć perukarza, potem w prawo, aż do sklepu z materiałami piśmiennymi, a tam w lewo. Sprzedaje stare koronki.

Po dłuższym czasie odnalazłem wskaza-

ne miejsce oraz siedzącą w głębi boksu Fraulein A... we własnej osobie – ładną, szczupłą, skromną młodą kobietę. Towar miała rozłożony na dwóch stolikach. Udając, że mu się przyglądam, stwierdziłem, iż w rzeczywistości nie są to wcale koronki, lecz stare ubrania; tylko niektóre z nich były obszyte koronkami. Po jakimś czasie wstała, podeszła do mnie i zagadnęła: 1412

- Gdyby zechciał pan powiedzieć, co go interesuje...

Była wyższa, niż przypuszczałem, a jej płowe włosy z pewnością wyglądałyby niezwykle atrakcyjnie, gdyby uwolnić je z ciasnych splotów okalających głowę.

- Nic konkretnego. Jest tu sporo pięknych rzeczy... Czy są bardzo kosztowne?

– Nie, jeśli wziąć pod uwagę, co dostaje pan za swoje pieniądze. To, co teraz trzyma pan w rękach, kosztuje pięćdziesiąt marek.

- To chyba dość dużo, prawda?

– Te stroje pochodzą sprzed wielu lat i były używane przy różnych uroczystych okazjach, na przykład podczas wizyt i ba-lów. Są wśród nich suknie zamożnych pań o arystokratycznym guście, wszystkie jak nowe. Proszę spojrzeć na szwy: ręczne szycie. W tamtych czasach spod ręki najlepszych krawców wychodziły najwyżej 1413

trzy, może cztery suknie rocznie, ludzie ci zaś pracowali po czternaście godzin dziennie, od świtu do późnej nocy.

– Pani płacze, Fraulein. Istotnie, ich los nie był godny pozazdroszczenia, choć jestem pewien, że nawet dzisiaj można znaleźć sporo ludzi, którzy cierpią na równi z nimi.

- Bez wątpienia – odparła młoda kobie-ta. – Ja jednak do nich nie należę.

Odwróciła się, by ukryć przede mną łzy.

- Mówiono mi co innego.

Znów ujrzałem jej twarz.

- A więc zna go pan? Proszę mu powiedzieć, że nie jestem zamożna, ale zapłacę, ile będę mogła. Naprawdę pan go zna?

Pokręciłem głową.

- Zawiadomiła mnie wasza policja.

Przyjrzała mi się uważniej.

- Jest pan cudzoziemcem. On chyba też, jak mi się wydaje.

1414

– Widzę, że jednak czynimy postępy.

Czy ma pani tu jeszcze jedno krzesło? Jak sama pani widzi, wasza policja nie wahała się szukać pomocy za granicą, więc chyba nie stanie się nic złego, jeśli porozmawiamy.

– To wcale nie „nasza” policja – odparła z goryczą młoda kobieta – ale owszem, po-rozmawiam z panem. Nawet prędeziej z panem niż z nimi, choć jest pan Francuzem.

Nie powtórzy im pan tego?

Obiecałem, że niczego nie powtórzę.

Pożyczyliśmy krzesło z kwaciarni naprzeciwno, a następnie wysłuchałem jej opowieści.

– Mój ojciec umarł, kiedy byłem mała.

Matka zaczęła tu handlować, żeby zarobić na nasze utrzymanie; początkowo większość towarów stanowiły suknie mojej babki. Od dwóch lat, czyli od jej śmierci, sama prowadzę interes. Wśród klientów 1415

przeważają kolekcjonerzy i zespoły teatralne. Nie zarabiam wiele, ale i niewiele potrzebuję, więc nawet zdołałam trochę zaoszczędzić. Mieszkam samotnie przy ...

Strasse 877; to stary dom podzielony na sześć mieszkań. Moje znajduje się na pod-daszu.

– Jest pani młoda i urocza – przerwałem jej – a nawet ma jakieś oszczędności. To dziwne, że nie wyszła pani za męża.

– Wielu już mi to mówiło.

– I co pani im odpowiadała?

– Żeby nie wtykali nosa w nie swoje sprawy. Niektórzy twierdzą, że nienawidzę mężczyzn. Frau G... ze sklepu z galanterią rozpuściła takie plotki po tym, jak odrzuci-

łam zaloty jej syna. Prawdę powiedziawszy, ludzie w ogóle mnie nie obchodzą, bez względu na płeć i wiek. Chyba mam prawo żyć tak jak chcę?

– Bez wątpienia, ale z pewnością zaświ-1416

tało pani podejrzenie, że osoba, której tak się pani obawia, może być szukającym zemsty, odtrąconym adoratorem?

– W jaki sposób udałoby mu się wpły-
wać na moje sny?

– Nie wiem. To pani twierdzi, że on to robi.

– Z pewnością bym go zapamiętała, gdyby się wcześniej do mnie zalecał. Co prawda, wydaje mi się, że już go gdzieś widziałam, ale nie mogę sobie przypomnieć okoliczności. Może gdybym...

– Chyba będzie lepiej, jeśli opowie mi pani swój sen. O ile się nie mylę, powtarza się w niezmienionej formie?

– Owszem. Idę pogrążoną w ciemności

drogą. Boję się, ale jednocześnie jestem przyjemnie podekscytowana, jeżeli wie pan, co mam na myśli. Czasem trwa to bardzo długo, czasem zaś zaledwie parę chwil. Wydaje mi się, że świeci księżyc, a 1417

kilka razy zauważyłam gwiazdy. Po prawej stronie ciągnie się wysoki czarny żywopłot albo mur, po lewej zaczynają się pola. W końcu docieram do otwartej na oścież bramy z żelaznych prętów...

Nie, to raczej furtka tak wąska, że z trudem mogę się przez nią precisnąć. Czy miał pan okazję zapoznać się z pismami doktora Freuda z Wiednia? Dowiedziałam się od pewnej kobiety, że on zajmuje się właśnie snami, więc wypożyczyłam z biblioteki jego prace. Gdybym była mężczyzną, z pewnością powiedziałaby, że przejście przez wąską furtkę oznacza stosunek seksualny. – Zni-

żyła głos do szeptu. – Myśli pan, że to możliwe, bym miała jakieś nienaturalne skłonności?

– A czy kiedykolwiek odczuwała pani pociąg do osób tej samej płci?

– Skądże znowu! Wręcz przeciwnie.

– W takim razie, bardzo wątpię – odpar-1418

łem. – Proszę opowiadać dalej. Co pani odczuwa, przechodząc przez tę furtkę?

– To samo, co wtedy, kiedy szłam dro-

gą, tyle że intensywniej. Boję się jeszcze bardziej, ale równocześnie jestem szczęśliwa i podekscytowana, jakbym dokonała czegoś niezmiernie ważnego.

– Rozumiem.

– Teraz jestem w ogrodzie. Słyszę szmer fontann i śpiew słowików ukrytych w wierzbach. W powietrzu unosi się zapach lilii, kwitnąca wiśnia wygląda jak ol-brzymka w ślubnej sukni. Idę gładką prostą ścieżką. Chyba ułożono ją z marmurowych płytek, ponieważ w blasku księżycy jest zupełnie biała. Przede mną wznosi się *Schloss* – ogromna budowla. Z wnętrza dobiegają dźwięki muzyki.

– Jaka to muzyka?

– Wspaniała. Radosna, jeżeli wie pan, co chcę przez to powiedzieć, ale nie fircy-1419 kowata. Raczej jakaś potężna symfonia.

Nigdy nie byłam na spektaklu operowym w Bayreuth, lecz tak właśnie to sobie wyobrażam: dostojna, a zarazem pogodna melodia. – Uśmiechnęła się do muzyki, która na nowo zabrzmiała w jej wspomnieniach. – Widzę kolumny i bogato zdobione wejście, do którego prowadzą szerokie schody. Wbiegam po nich (jestem taka szczęśliwa!) i otwieram drzwi na oścież.

Wnętrze jest rześkie oświetlone: niczym oceaniczny grzywacz uderza we mnie fala złocistego blasku. Wkraczam do ogromnej komnaty o wysokim sklepieniu. Pośrodku stoi długi stół, przy którym siedzi chyba ze sto osób; jedno miejsce, najbliżej mnie, jest wolne. Zajmuję je. Na stole leżą przepięknie wyrośnięte bochenki chleba, obok stoją misy wypełnione miodem, w których unoszą się kwiaty róż; widzę kryształowe karafki z winem oraz mnóstwo innych 1420

wspaniałości; jednak zaraz po obudzeniu umykają mi z pamięci. Wszyscy jedzą, piją i rozmawiają, więc ja też zaczynam jeść.

– To tylko sen, Fraulein. Nie ma powodu do płaczu.

– Ale ja śnię go co noc, od miesięcy!

– Proszę mówić dalej.

– A potem on się zjawia. Jestem pewna, że wszystko dzieje się za przyczyną tego człowieka, ponieważ tylko jego twarz widzę wyraźnie i pamiętam ze wszystkimi szczegółami po obudzeniu, niekiedy nawet przez godzinę albo dwie. Wystarczy wówczas, że zamknę oczy, a natychmiast staje przede mną jak żywy.

– Opisz mi go pani później, tymczasem zaś proszę opowiedzieć mi do końca swój sen.

– Jest wysoki, odziany jak król, a na głowie ma coś w rodzaju korony. Zatrzymuje się przy mnie i choć milczy, to zdaję sobie 1421

sprawę, iż etykieta nakazuje, żebym wsta-

ła. Robię to. Niekiedy, podnosząc się z krzesła, pospiesznie oblizuję palce.

– A więc pałac należy do niego?

– Tak, na pewno. To jego zamek, jego

dom. Ja jestem gościem. Staję z nim twarzą w twarz, ogromnie chciałabym mu się przypodobać, nie wiem jednak, jak to zrobić.

– To musi być przykre uczucie.

– Zgadza się. Właśnie wtedy, zupełnie niespodziewanie, uświadamiam sobie, jak jestem ubrana.

– Jak?

– Tak jak teraz: w prostą czarną sukienkę, Inni natomiast mają na sobie stroje, które tu sprzedają.

Na przykład suknie takie jak ta. – Pokazuje mi przepiękną kre-ację, uszytą z wielu warstw koronki, z guzikami z polerowanych agatów. – Od razu zdaję sobie sprawę, że nie mogę tam zo-1422 stać, zanim jednak zdążę wykonać jakikolwiek ruch, król daje znak, tamci zaś rzucają się na mnie i wypychają za drzwi.

– Czuje się pani upokorzona?

– Tak, najgorsze jednak jest to, że nie ulega dla mnie wątpliwości, iż on wie, że sama nie zdobyłabym się na opuszczenie pałacu, i że w ten sposób pragnie oszczędzić mi rozterek. Tymczasem jakaś straszliwa bestia zakradła się do ogrodu. W chwili, gdy otwierają się drzwi, wyraźnie czuję jej ohydny smród – zupełnie jak przy klatce z hienami w *Tiergarten*... A zaraz potem się budzę.

– To nieprzyjemny sen.

– Widział pan suknie, którymi handluję.

Czy uwierzy pan, że przez parę tygodni za-kładałam do snu jedną z nich, potem kolejną, a potem jeszcze inną?

– Ale to nie dało rezultatów?

– Żadnych. We śnie zawsze jestem ubra-1423

na tak jak teraz. Przez pewien czas nosiłam te suknie bez przerwy, nawet tu, w sklepi-ku, i kiedy robiłam zakupy na targu, ale to też na nic się zdało.

– Próbowwała pani zmienić miejsce nocnego spoczynku?

– Owszem, spałam u kuzynki, która mieszka na drugim końcu miasta. Żadnej różnicy. Jestem pewna, że mężczyzna z mojego snu istnieje naprawdę. Stanowi przyczynę snu i bierze w nim udział, ale sam nie śpi.

– Ale nigdy nie widziała go pani na jawie?

Na chwilę przygryzła dolną wargę, po czym odpowiedziała:

– Na pewno go widziałam!

– Ach!

– Ale nie pamiętam gdzie ani kiedy.

Wydaje mi się, że to było na ulicy.

– Proszę się skupić. Czy przychodzi 1424

pani na myśl jakaś konkretna część miasta?

Pokręciła głową.

Żegnając się z nią, dysponowałem w miarę dokładnym rysopisem Mistrza Snów, choć może nie aż tak dokładnym, jakbym sobie życzył. Rysopis ten niemal w stu procentach pokrywał się z przedstawio-nym mi przez barona H... , ale to jeszcze niczego nie dowodziło, jako że baron mógł za podstawę swoich ustaleń przyjąć relację *Fräulein A*...

Bank *Herr R*... był bankiem prywatnym, podobnie jak wszystkie największe europejskie instytucje tego rodzaju. Mieścił się w kamienicy, która niegdyś należała zapewne do jakiejś szlacheckiej lub arysto-kratycznej rodziny (nad wejściem znajdował się wykuty w kamieniu herb, teraz częściowo zarośnięty winoroślą); o tym, co 1425

obecnie się tam mieści, informowała jedynie niewielka mosiężna tabliczka z wygra-werowanymi nazwiskami *Herr R*... i jego współników. Wystrój wewnątrz był chyba jeszcze bardziej elegancki (choć zapewne nie tak wysmakowany) niż za poprzednich właścicieli: na ścianach wisiały mroczne obrazy w złożonych ramach, urzędnicy zaś siedzieli przy intarsjowanych biurkach na krzesłach wyściełanych kosztownymi tka-ninami. Kiedy zapytałem o *Herr R*... , powiedziano mi, że dziś już nie zdoła mnie przyjąć; poprosiłem więc, by dostarczono mu moją wizytówkę, na której skreśliłem kilka słów o

„niespokojnych snach”, i zaledwie pięć minut później znalazłem się w luksusowym gabinecie urządzonym najprawdopodobniej w dawnej sypialni właścicieli.

Herr R... był potężnie zbudowanym człowiekiem, wysokim i chyba znacznie 1426 bardziej otyłym niż spodobałoby się to jego lekarzowi. Wyglądał na jakieś pięćdziesiąt lat, miał mięsistą twarz o zdecydowanych rysach, wysokie czoło i czaszkę o ogromnej puszcze mózgowej oraz niewielkie ciemne oczy, które błyskawicznie oszacowały mój wygląd, strój i ruchy. Udawanie czegokolwiek przed takim człowiekiem było całkowicie pozbawione sensu, powiedziałem mu więc wprost, że przychodzę jako wysłannik barona H... , że wiem jakie gnębią go problemy i że spróbuję im zaradzić, jeśli zechce ze mną współpracować.

– Znana mi jest pańska reputacja, *monsieur* – odparł. – Firma, której jestem udziałowcem, przed trzema laty korzystała z pańskich usług w sprawie związanej z pewną mumią. – Wymienił nazwę tej firmy. – Sam powinienem był wpaść na pomysł, żeby zwrócić się do pana.

– Nie wiedziałem, że ma pan z nimi coś 1427 wspólnego.

– Tylko dopóty, dopóki jest pan ze mną w tym pokoju. Nie wiem, jaką nagrodę obiecał panu baron H... , ale jeżeli uda się panu zdemaskować i unieszkodliwić człowieka, który mnie prześladowa, otrzyma pan tyle samo, ile dostał pan za rozwiązanie sprawy mumii. Wówczas, jeśli pan zechce, będzie pan mógł przejść na emeryturę i osiąść w słonecznym klimacie południa.

– Raczej nie zechcę – odparłem. – A gdybym miał takie zamiary, wcieliłbym je w życie już dawno temu. Przed chwilą powiedział pan coś niezmiernie interesujące-go; jest pan pewien, że pański prześladowca to człowiek z krwi i kości?

– Znam się na ludziach. – Herr R... odchylił się do tyłu w fotelu i wpatrzył w pokryty malowidłami sufit. – Czy wie pan, że w dzieciństwie sprzedawałem na ulicy fa-1428

szerowaną kapustę? Moja matka gotowała ją na ogniu z resztek drewnianych budynków. Dożyłem chwili, kiedy zamieszkała w najpiękniejszym domu w Lindau, otoczona tuzinem służby. Nigdy nie chodzi-

łem do szkoły; dodawać i odejmować nauczyłem się na ulicy, a kiedy muszę coś pomnożyć albo podzielić, robi to za mnie któryś z urzędników. Za to nikt tak dobrze jak ja nie zna się na ludziach. Czy przypuszcza pan, że po czterdziestu latach praktyki dałbym się nabrać zjawie? O nie, to z pewnością człowiek, i to silniejszy ode mnie. Człowiek z krwi i kości, obdarzony nieprzeciętnym umysłem, którego już kiedyś widziałem w tym mieście, i to więcej niż raz.

– Proszę go opisać.

– Dorównuje mi wzrostem. Znacznie młodszy – jakieś trzydzieści, może trzydzieści pięć lat. Kasztanowa rozdwójona 1429

broda mniej więcej dotąd. – (Jego palce zatrzymały się około piętnastu centymetrów od podbródka). – Kasztanowe włosy, bez śladu siwizny, ale chyba nieco przerzedzone na skroniach.

– Chyba? Nie jest pan tego pewien?

– W moim śnie ma na głowie wieniec z róż, więc nie widać dokładnie.

– Coś jeszcze? Jakies blizny lub inne znaki szczególne?

Herr R... skinął głową.

– Zraniona ręka. W moim śnie, kiedy wyciąga do mnie rękę po pieniądze, widzę na niej krew, jakby otworzyła się świeża rana i zaczęła na nowo krwawić. Dłonie ma smukłe jak pianista.

– Czy zechce pan opowiedzieć mi swój sen?

– Naturalnie. – Przez twarz przemknął

mu cień, jakby się obawiał, że nie skończy się na wspomnieniach i będzie musiał na 1430

nowo zagłębić się w prześladowającym go śnie. – Jestem w ogromnym domu. Wszyscy odnoszą się do mnie z wielkim szacunkiem, jakbym był właścicielem, ale nim nie jestem. Właściciel...

– Chwileczkę – przerwałem mu. – Czy

jest tam sala balowa? Czy dom ma ozdobny portal i zewnętrzne schody, i jest otoczony

ogrodem?

Herr R... wytrzeszczył oczy.

– Czyżby pana także prześladował ten sen?

– Nie, ale wydaje mi się, że już kiedyś słyszałem o tym domu. Proszę mówić dalej.

– Wprost roi się tam od służących.

Część z nich pracuje w polu, które zaczyna się za ogrodem. Wydaję im rozmaite polecenia, choć szczegóły są każdej nocy inne.

Czasem nadzoruję pracę w kuchni, czasem w stajniach i oborach, niekiedy spraw-

dzam, jak posuwają się prace przy melioracji pól. Rośnie na nich głównie zboże, ale jest też

winnica i spory ogród warzywny.

Poza tym, rzecz jasna, sam dom musi być wysprzątany i utrzymany w dobrym stanie technicznym. Właściciel nie ma żony; co prawda mieszka z nim jego matka, ale niewiele obchodzą ją codzienne sprawy. Ja się tym zajmuję. Prawdę mówiąc, nigdy jej nie widziałem, ale byłbym gotów dać głowę, że tam przebywa.

– Czy ów dom przypomina ten, który kupił pan w Lindau dla swojej matki?

– Tylko w tym sensie, w jakim są do siebie podobne wszystkie duże domy.

– Rozumiem.

– Każdej nocy trwa to dość długo: wy-

daję polecenia, a niekiedy sprawdzam tak-

że rachunki. Potem zjawia się ktoś ze służ-

by, zazwyczaj pokojówka, i oznajmia, że właściciel chce mnie widzieć. Staję wtedy

przed zwierciadłem (widzę się równie wyraźnie jak pana teraz), poprawiam ubranie, pokojówka

przeciera mi twarz chusteczką umoczoną w różanej wodzie.

Zawsze czeka na mnie w jednym z po-

kojów na piętrze. Siedzi przy stole, na któ-

rym leży rozłożona księga rachunkowa.

Przez otwarte okno za jego plecami widzę wierzchołek kwitnącej wiśni. Bardzo długo, chyba ponad dziesięć minut, stoję przed nim, on zaś w milczeniu przewraca kartki kajetu.

– Przypuszczam, że czuje się pan dość niepewnie, prawda? Na jawie raczej nie zdarza się panu zaznać tego uczucia... I co dalej?

– Powiada do mnie: „Jesteś mi winien...” – Herr R... umilkł na chwilę. –

Właśnie na tym polega problem, *monsieur*: ani razu nie zdołałem zapamiętać kwoty, ale wiem, że jest bardzo duża. Po-

tem zaś dodaje: „Jestem zmuszony zaż-

ądać, abyś natychmiast wszystko mi zwró-

cił”. Odpowiadam, że nie mam tyłu pienię-

dzy, a on na to: „W takim razie zwalniam cię ze służby”. Padam na kolana i błagam, by tego nie

czynił, ponieważ w ten sposób pozbawi mnie jedyne źródła utrzymania, a tym samym uniemożliwi zwrot długu.

Przyznam się panu ze wstydem, że nawet płacę, niekiedy rzucam się na podłogę i łomocę w nią pięściami.

– Jakie wrażenie wywołują pańskie prośby na Mistrzu Snów?

– Nie ustępuje. Powtórnie żąda, bym natychmiast zwrócił całą sumę. Mówiłem mu wielokrotnie, że w tym świecie jestem ma-jętnym człowiekiem i że gdyby pozwolił mi uregulować należność w naszej walucie, uczyniłbym to natychmiast...

– To interesujące. Zazwyczaj w snach nie wykazujemy takiej trzeźwości. I co on 1434 na to?

– Prawie zawsze nazywa mnie głupcem, raz jednak powiedział: „Chyba już zdąży-

łeś się zorientować, że to sen. Nie można zwrócić prawdziwego długu pieniędzmi ze snu". Kiedy do mnie mówi, wyciąga rękę po pieniądze. Właśnie wtedy spostrzegam krew na jego dłoni.

– Boi się go pan?

– I to bardzo. Zdaję sobie sprawę, że ma nade mną całkowitą władzę. Szlocham, wreszcie padam mu do stóp, z głową pod stołem, jeśli da pan wiarę, i płacę jak dziecko. Wówczas on wstaje, pomaga mi dźwignąć się na nogi i mówi: „Nigdy nie zdołasz oddać mi długu, jesteś niesumien-nym i nieuczciwym sługą, lecz mimo to wszystko ci daruję". Następnie wyrywa kartkę z kajetu i wręcza mi ją.

– A więc pański sen ma szczęśliwe za-kończenie...

1435

– Wcale nie, bo to jeszcze nie koniec.

Wpycham kartkę za pazuchę, po czym wychodzę, ocierając twarz rękawem. Wiem, że gdyby ujrzał mnie ktoś ze służby, natychmiast domyśliłby się, co zaszło, toteż spieszę do swojego pokoju, gdzie stoi żeliwny piec, w którym mogę spalić kartkę.

– Rozumiem.

– Jednak przed samymi drzwiami spoty-

kam człowieka, który, sądząc po jego stroju, przypuszczalnie również jest jednym z ważniejszych sług. Tak się składa, że jest mi winien znaczną sumę, więc aby ukryć przed nim moje niedawne przeżycia, żą-

dam, by mi natychmiast ją zwrócił. – Herr R... podniósł się z fotela i zaczął spacerować po pokoju, spoglądając to na obrazy na ścianach, to na turecki dywan pod stopami. – Musi pan wiedzieć, że tu, w tym gabinecie, wielokrotnie rozmawiałem w ten sposób z interesantami. Człowiek ów 1436 pada na kolana i ze łzami w oczach błaga, bym dał mu jeszcze trochę czasu, ja jednak wyciągam rękę, o tak, i chwytam go za gardło.

– I co dalej?

– Otwierają się drzwi, lecz za nimi, zamiast mego pokoju z biurkiem i żeliwnym piecykiem na węgiel drzewny, jest gabinet właściciela domu. Stoi w progu, za nim widzę otwarte okno i kwitnącą wiśnię.

– Co mówi?

– Nic. Milczy. Zwalniam uchwyt i człowiek, którego dusiłem, ucieka chyłkiem.

– A pan zapewne się budzi?

– Nie bardzo wiem, jak to wyjaśnić...

Owszem, budzę się, ale zanim to nastąpi, stoimy tylko we dwóch, ja zaś... słyszę rozmaite

dźwięki.

– Jeśli to dla pana zbyt przykre, może pan nie mówić nic więcej.

Herr R... wyjął z kieszeni jedwabną chu-1437

steczkę i otarł czoło.

– Nie wiem, jak to wyjaśnić – powtó-

rzył. – Słyszając owe dźwięki, uświadamiam sobie, że właściciel domu zatrudnia jeszcze innych służących, którzy nigdy nie znajdowali się pod moim zwierzchnictwem. Mam wrażenie, jakbym zawsze zdawał sobie z tego sprawę, ale, aż do tej pory, nie było podstaw, żeby o tym myśleć.

– Rozumiem.

– Mieszkają w innej części domu, nie-

kiedy wydaje mi się, że w lochach pod piwnicami z winem. Nigdy ich nie widziałem, wiem jednak, że są odrażający i okrutni. Wiem również, że zdaniem właściciela niewiele się od nich różnię i że pozwala, by mu służyli, ponieważ nie ma powodu, by im tego odmówić, skoro ja mu służę. Stoję, a raczej stoimy, i nasłuchuje-my, jak zbliżają się od strony swoich kwater. Wreszcie drzwi na końcu korytarza 1438

uchylają się powoli, ze szczeliny zaś wysuwa się coś jakby łapa wstrętnego gada...

– Czy na tym kończy się sen?

– Tak.

Herr R... opadł z powrotem na fotel i ponownie wytarł sobie czoło.

– I w tej postaci powtarza się co noc?

– Różni się szczegółami.

– Na przykład poleceniami, jakie wydaje pan podwładnym?

– Nie tylko. Początkowo budziłem się w chwili, gdy drzwi na końcu korytarza były lekko uchylone, lecz każdy kolejny sen trwa odrobinę dłużej. Niewiele, najwyżej jedną dziesiątą sekundy, ale teraz widzę już całe przedramię ukrytej za nimi istoty.

Zapisałem jego domowy adres, który podał mi bez wahania, po czym wróciłem do hotelu.

Nazajutrz rano zaraz po śniadaniu, skła-1439

dającym się z rogalika i kawy, udałem się pod adres, który figurował na wizytówce wręczonej mi przez barona H... Kilka minut później siedzieliśmy we dwóch w pokoju urządzonym równie ascetycznie, jak namioty sztabowe w pobliżu pól bitewnych.

– Czy jest pan gotów, by od rana przy-stąpić do pracy? – zapytał.

– Przystąpiłem do niej już wczoraj, dziś zaś prowadzone przeze mnie dochodzenie wejdzie w nową fazę. Zdaję sobie sprawę, iż nie zwróciłby się pan do mnie, gdyby Mistrz Snów dręczył tylko te osoby, któ-

rych nazwiska mi pan podał. Chcę wiedzieć, kto jeszcze padł jego ofiarą i pragnąłbym jak najprędzej porozmawiać z tym człowiekiem.

– Mówiłem już panu, że mamy mnóstwo

zgłoszeń, więc...

– W takim razie, proszę dostarczyć mi 1440

pełną listę. Ci, z którymi spotkałem się do tej pory, to albo zwykli mieszczanie, albo osoby jeszcze podlejszego stanu. Przez pewien czas podejrzewałem, iż poprosił mnie pan o pomoc ulegając namowom Herr R..., ale gdyby tak było, z pewnością zażądałby pan, by w całości pokrył moje wynagro-dzenie. Nie ulega dla mnie wątpliwości, iż w grę wchodzi ktoś znacznie ważniejszy.

Muszę się z nim spotkać.

– Hrabina...

– Ach!

– Hrabina również wyraziła chęć spotkania się z panem, choć hrabia jest temu zdecydowanie przeciwny.

– Jak się domyślam, chodzi o gubernato-ra tej prowincji?

Baron skinął głową.

– O hrabiego von V... Nad nim jest już tylko królowa regentka.

– Doskonale. Pragnę porozmawiać z 1441

hrabiną, ona zaś pragnie porozmawiać ze mną. Zapewniam pana, baronie, że prędzej czy później dojdzie do spotkania; od pana tylko zależy, czy odbędzie się ono pod pańskimi auspicjami.

Hrabina, której przedstawiono mnie jeszcze tego samego dnia po południu, okazała się dwudziestokilkuletnią kobietą o obfitej piersi i ciemnych włosach, cerze jak mleko oraz wielkich czarnych oczach wypełnionych lękiem i (takie odniosłem wrażenie) żalem, osadzonych w doskonale owalnej twarzy.

– Cieszę się, że pana widzę, *monsieur*.

Baron H... już od siedmiu tygodni szuka tego człowieka, lecz, jak do tej pory, nie udało mu się go pojmać.

– Gdybym wiedział, hrabino, że moja obecność sprawi pani przyjemność, zjawilibym się już dawno, nie bacząc na przeciw-1442

ności. A więc pani także jest przekonana, iż mamy do czynienia z prawdziwym człowiekiem?

– Rzadko wychodzę z domu, *monsieur*.

Mój małżonek obawia się, iż możemy w

każdej chwili spodziewać się zamachu na nasze życie.

– Najprawdopodobniej ma rację.

– Jednak z okazji uroczystości państwowych jeździmy niekiedy przeszkłonym po-wozem do *Rathausu*. Otaczają nas wówczas jeźdźcy, którzy mają zapewnić nam bezpieczeństwo. Jestem pewna, że kiedyś, jeszcze zanim zaczęły nawiedzać mnie sny, widziałam w tłumie twarz tego człowieka.

– Rozumiem. Proszę opowiedzieć mi swój sen.

– Jestem w domu...

– Ma pani na myśli pałac, w którym się znajdujemy?

1443

Skinęła głową.

– W takim razie, to coś nowego. Proszę mówić dalej.

– W ogrodzie ma się odbyć egzekucja. –

Przez uroczą twarz hrabiny przemknął

uśmiech. – Chyba nie muszę panu mówić, iż w rzeczywistości odbywają się w zupełnie innym miejscu, ale we śnie ani trochę mnie to nie dziwi. Chyba dopiero co wróciłam z podróży i zaledwie przed chwilą dowiedziałam Ziola księga fantasy się o tym, co ma się

wydarzyć. Wybiegam do ogrodu. Jest tam już człowiek, którego baron H... nazywa Mistrzem Snów, przywią-

zany do pnia kwitnącej wiśni. Naprzeciwko stoi oddział żołnierzy z karabinami, nieco z boku oficer z obnażoną szablą, mój mąż zaś jeszcze parę kroków dalej. Wo-

łam, by się wstrzymali, a kiedy mąż odwraca się ku mnie, mówi: „Karl, nie wolno ci tego robić! Nie wolno ci zabić tego 1444

człowieka!". Jednak wyraz jego twarzy świadczy o tym, iż uważa mnie za głupiut-kie dziecko o łagodnym sercu. Karl jest znacznie starszy ode mnie.

– Wiem o tym.

– Mistrz Snów również patrzy na mnie.

Ludzie mówią mi niekiedy, że mam duże oczy... Czy to prawda, *monsieur*?

– Są bardzo duże i bardzo piękne, hrabino.

– Otóż nagle odnoszę wrażenie, że jego oczy stają się znacznie większe i piękniejsze od moich.

Dostrzegam w nich odbicie mego męża. A teraz proszę słuchać bardzo uważnie, ponieważ to, co powiem, jest niezmiernie istotne, choć jednocześnie, obawiam się, trudne.

– Hrabino, we śnie wszystko jest możli-we.

– Otóż, widząc odbicie mego męża, uświadamiam sobie niespodziewanie, iż to 1445 właśnie ono jest prawdziwym Karlem, a nie człowiek, który obok mnie stoi. Ten, którego do tej pory uważałam za mego męża, jest jedynie odbiciem odbicia. Czy pojmuje pan, co chcę przez to powiedzieć?

– Chyba tak.

– „Nie zabijaj go”, błagam. „Nic dobrego z tego nie wyniknie”. Jednak mój mał-
żonek daje znak oficerowi, żołnierze podnoszą karabiny, a ja... ja...

– A pani się budzi. Życzy sobie pani moją chusteczkę, hrabino? Jest z pospolite-go materiału, ale czysta i znacznie większa od tej, którą ma pani.

– Karl ma rację: jestem tylko głupiutką dziewczynką. Nie, *monsieur*, nie budzę się.

Jeszcze nie. Rozlega się huk salwy, Mistrz Snów osuwa się bezwładnie, lecz krępują-
ce go więzy nie pozwalają mu upaść, a tuż przy mnie Karl rozpada się na krwawe strzępy.

1446

W drodze powrotnej do hotelu nabyłem

plan miasta; jak tylko znalazłem się w pokoju, rozłożyłem go na stole. Wystarczył

jeden rzut oka, aby upewnić się, że przeszklony powóz hrabiny mógł jeździć wy-

łącznie po *Hauptstrasse* – była to jedyna ulica w mieście, gdzie bez trudu zmieściła-by się karetka
otoczona oddziałem jeźdź-

ców. Trasa łącząca dom Herr R... z jego bankiem w znacznej części również wiodła tą ulicą;
Fraulein A... przekraczała *Hauptstrasse* właśnie na tym odcinku. To mi w zupełności wystarczyło.

Nazajutrz z samego rana zająłem stanowisko na skrzyżowaniu. Jeżeli mojemu człowiekowi nie
zaszkodziło wielokrotne nocne rozstrzeliwanie, powinien w ciągu kilku dni pojawić się w tym
miejscu, a ja jestem przyzwyczajony do czekania. Pałac papierosy, obserwowałem defilujących 1447
przede mną mieszkańców I... Po godzinie kupiłem gazetę u ulicznego sprzedawcy, zaglądając do
niej, kiedy ruch się zmniejszył.

Stopniowo zacząłem sobie zdawać spra-

wę z tego, że jestem obserwowany. Co prawda wychwalamy potęgę rozumu, czę-

sto jednak korzystamy ze zmysłów, nad którymi rozum nie sprawuje żadnej kontro-li. Nie miałem
pojęcia, gdzie znajduje się obserwator, ale wyraźnie czułem na sobie jego spojrzenie. A więc już
mnie znasz, przyjacielu, pomyślałem. Czy od tej pory i mnie zaczną nawiedzać uporczywy sen?

Co zwróciło twą uwagę na niepozornego cudzoziemca, przybysza, który czeka nie wiadomo na
kogo na ruchliwym skrzyżowaniu? Czyżbyś widział się z Fraulein A...

, albo z kimś, kto z nią ostatnio rozmawiał?

Rozejrzałem się ukradkiem dokoła w 1448

poszukiwaniu kogoś, kto tak jak ja od dłuższego czasu przebywał w jednym miejscu, lecz nikogo
takiego nie dostrzegłem: ani drzemiącego na ławce staruszka, ani kobiety z dzieckiem, ani nawet psa,
a już na pewno nie wysokiego mężczyzny z rozdwojoną brodą i przeszywającym spojrzeniem

ciemnych oczu. A więc okna.

Przyjrzałem się kolejno wszystkim, wypatrując podejrzanego ruchu w wypełnionych półmrokiem wnętrzach. Bez rezultatu.

Pozostały jeszcze budynki za moimi plecami. Przeszedłem na drugą stronę *Hauptstrasse* i rozejrzałem się uważnie, by niemal natychmiast parsknąć śmiechem.

W oczach tych statecznych mieszczan wyglądałem chyba jak osobnik niespełna rozumu, ponieważ zgąłem się wpół, wy-puściłem z ust niedopalonego papierosa i chwyciłem się rękami za brzuch z obawy o to, że pęknie mi pasek od spodni. Co za 1449

zuchwalstwo, cóż za tupet i bezczelność z jego strony, i jakaż nieprawdopodobna głupota z mojej! Jak mogłem dać się tak nabrać? Od tej pory aż do końca życia będę z ochotą podejmował się każdej sprawy i z zapalem ruszę tropem każdego, nawet najbardziej nieudacznego przestępcy, zawsze bowiem będzie istniała szansa, że mnie przechytrzy.

Otóż Mistrz Snów umieścił Swoją naturalnej wielkości, kolorową podobiznę w oknie Swego domu. Wciąż krztusząc się ze śmiechu, pozdrowiłem go gestem, a zaraz potem przeszedłem przez ulicę i udałem się do budynku, gdzie czekał na mnie...

Nie, nie On we własnej osobie, lecz ktoś, kto wiedział, po kogo przyszedłem i kto zdawał sobie sprawę równie dobrze jak ja, iż nigdy nie zdołam Go ująć. Ukląłem, a następnie unicestwiłem Mistrza Snów w ten sam sposób, w jaki był już unicestwiał-1450

ny niezliczoną ilość razy; pochłonałem Jego białe mączniaste ciało, abyśmy wszyscy mogli się cieszyć życiem wiecznym.

Śnijcie dalej, dobrzy ludzie.

1451

ROGER ŻELAZNY
WARIANT JEDNOROŻ-
CA

Unicorn variations

Przełożyła Danuta Górka

Roger Żelazny (1937-1995) wkroczył na scenę science fiction jako członek „nowofalowej” grupy pisarzy, publikują-

cej od połowy do końca lat sześćdziesiątych. Jego powieści

„Ja, nieśmiertelny” i „Pan Światła” cieszyły się powszechnym uznaniem, ta druga otrzymała nagrodę Hugo dla najlep-szej powieści. Proza Żelazny'ego wyróżnia się lirycznym stylem oraz nowatorskim użyciem języka zarówno w opisach, jak w dialogach. Największą popularnością cieszą się jego książki z serii Amberu, o równoległym wszechświecie, który jest jedynym prawdziwym światem, a wszystkie pozostałe, z Ziemią włącznie, stanowią jedynie jego odbicie.

Oprócz na-1452

grody Hugo za „Pana Światła” zdobył również trzy Nebule, trzy następne Hugo i dwa Locusy.

1453

Płomienny wytrysk, globula światła, poruszał się zwinnie, niemal z niedbałą elegancją, przeskakując z fazy istnienia do fazy niebytu niczym miotany burzą okruch nocy; być może ciemność pomiędzy kolejnymi rozbłyskami była najbardziej po-krewna jego prawdziwej naturze – wir czarnych popiołów, wznoszący się w ka-dencji przyporządkowanej zawodzeniu pu-stynnego wiatru, który hulał w łożysku po-toku za budynkami tak pustymi, a przecież pełnymi znaczenia, niczym stronie nie przeczytanych książek albo ułamki ciszy rozdzielające nuty piosenki.

Znika. Powraca. Znowu znika.

Energia, powiadacie? Tak. Trzeba wielkiej siły osobowości, żeby pojawić się przed swoim czasem albo po nim. Albo jedno i drugie.

1454

Zapalał się i gasł, a jednocześnie posuwał się naprzód, wędrował w ciepłe popołudnia, a wiatr zasypywał jego ślady. To znaczy wtedy, kiedy zostawiał ślady.

Powód. Zawsze jest jakiś powód. Albo powody.

On wiedział, dlaczego jest tutaj – ale nie wiedział, dlaczego jest akurat tutaj, w tym miejscu.

Przewidywał, że wkrótce dowie się tego, kiedy dotarł do starej ulicy graniczącej z pustynią. Ale wiedział również, że powód może objawiać się przedtem albo potem. A jednak istniało tu przyciąganie o takiej sile, że na pewno do czegoś się zbliżał.

Budynki były w ruinie, wszystkie puste, zakurzone i pełne przeciągów, niektóre rozwalone. Chwasty rozplenili się pomię-

dzy deskami podłogi. Ptaki gnieździły się na krokwiach. Wszędzie leżały odchody dzikich stworzeń; on znał wszystkie te 1455

stworzenia, tak jak one poznałyby go na pierwszy rzut oka.

Zamarł, ponieważ gdzieś z góry, z lewej strony, doszedł go cichutki, nieoczekiwany dźwięk. W owej chwili był znowu w fazie istnienia i jego sylwetka zarysowała się na mgnienie, po czym zbladła tak szybko jak tęcza w słońcu, pozostawiając jedynie nie-zatartą, nagą obecność.

Niewidzialny, a jednak istniejący i silny, znowu ruszył przed siebie. Trop. Wskazówka. Naprzód. *A gauche*. Pod zniszczo-nym szyldem z wyblakłym napisem SALOON. Przez wahadłowe drzwi. (Jedno skrzydło przytwierdzone do ściany).

Przystanął i rozejrzał się.

Bar po prawej, zakurzony. Za barem po-pękane lustro. Puste butelki. Stłuczone butelki. Mosięzna poręcz, czarna, inkrusto-wana. Stoliki w głębi i po lewej. Zniszczone w różnym stopniu.

1456

Człowiek siedzący przy najlepiej zachowanym stoliku. Plecami do drzwi. Dzinsy.

Turystyczne buty. Spłowiała niebieska koszula. Zielony plecak oparty o ścianę z lewej strony.

Przed nim, na stole, niewyraźny, zamazany kształt szachownicy, poplamionej, odrapanej, niemal nieczytelnej.

Na wpół otwarta szuflada, w której znalazł szachy.

Człowiek, który na widok szachownicy

nie mógł się powstrzymać, żeby nie roz-wiązać jakiegoś problemu albo odtworzyć jednej ze swoich najlepszych partii, podobnie jak nie mógł powstrzymać oddychania, bicia serca czy utrzymywania względnie stałej temperatury ciała.

Przysunął się bliżej. Za nim w kurzu pozostały chyba świeże ślady, ale nikt ich nie zauważył.

On również grał w szachy.

1457

Przyglądał się, jak człowiek rozgrywał

swoją bodajże najlepszą partię, która miała miejsce siedem lat wcześniej, podczas eliminacji do mistrzostw świata. Potem wyleciał z kadry – był zdziwiony, że osiągnął

nawet tyle, ponieważ nigdy nie grał dobrze pod presją. Ale nadal był dumny z tej jednej partii i wciąż do niej powracał, podobnie jak każde myślące stworzenie powraca do pewnych punktów zwrotnych w swoim

zyciu. Przez mniej więcej dwadzieścia minut nikt nie mógł go osiągnąć. Był czysty, twardy, lśniący i niepokalany. Czuł się jak wybraniec.

On zajął pozycję po drugiej stronie szachownicy i patrzył. Człowiek z uśmiechem zakończył partię. Potem ponownie rozstawił figury, wstał i wyciągnął z plecaka puszkę piwa. Oderwał kapsel. Wróciwszy do stolika spostrzegł, że białe pionki przesunął się na pole e4.

1458

Zmarszczył brwi. Odwrócił głowę, popatrzył na bar i napotykał swoje własne zdumione spojrzenie w brudnym lustrze. Zajrzał pod stół. Łyknął piwa z puszki i usiadł.

Wyciągnął rękę i postawił swojego pionka na e5. W chwilę później zobaczył, że biały skoczek powoli unosi się z pola g1 i płynie w powietrzu, żeby stanąć na f3.

Przez długi czas wpatrywał się w pustkę po drugiej stronie stolika, zanim przesunął swojego skoczka na f6.

Biały skoczek zbił czarnego pionka.

Człowiek przeszedł do porządku nad niezwykłością tej sytuacji i przesunął pionka na d6. Niemal zapomniał o swoim niewidzialnym przeciwniku, kiedy biały skoczek wrócił na f3. Pociągnął łyk piwa, ale gdy tylko postawił puszkę na stole, uniosła się w powietrze, przepłynęła nad szachownicą i przechyliła się do góry dnem, rozległ się

gulgoczący dźwięk. Potem pusta puszka upadła na podłogę, podskoczyła i zabręczała hałaśliwie.

– Przepraszam – powiedział człowiek, wstał i znowu podszedł do plecaka. – Po-częstowałbym cię, gdybym wiedział, że lubisz piwo.

Otworzył następne dwie puszkę i postawił jedną na dalszym końcu stołu, a drugą po swojej prawej stronie.

– Dziękuję – rozległ się cichy, wyraźny głos spoza stołu. Puszka uniosła się, przechyliła lekko i powróciła na blat stolika.

– Nazywam się Martin – powiedział człowiek.

– Mów mi Tlingel – odpowiedział głos.

– Myślałem, że twój gatunek został już wytępiony. Cieszę się, że przynajmniej ty przeżyłeś i możesz ze mną zagrać.

– Hę? – mruknął Martin. – Ludzie jeszcze żyli, kiedy ostatnio ich widziałem...

1460

czyli kilka dni temu.

– Nie szkodzi. Zajmę się tym później –

odparł Tlingel. – Wygląd tego miejsca wprowadził mnie w błąd.

– Och. To opuszczone miasto. Trafiłem tu przez przypadek.

– Nieważne. Nadchodzi przełomowa chwila dla was jako gatunku. Wyczuwam to.

– Obawiam się, że nie rozumiem.

– Wcale nie jestem pewien, czy chciał-

byś zrozumieć. Zakładam, że masz zamiar zbić tego pionka?

– Może. Tak, mam taki zamiar. O czym

ty mówisz?

Puszka z piwem uniosła się. Niewidzial-na istota pociągnęła kolejny łyk.

– No cóż – powiedział Tlingel – mówiąc po prostu, wasi... następcy zaczynają się niecierpliwić.

Zajmujecie tak ważne miejsce w porządku rzeczy, że skorzystałem z 1461 okazji i postanowiłem osobiście wszystkiego dopilnować.

– „Następcy”? Nie rozumiem.

– Czy widziałeś ostatnio jakieś gryfy?

Martin zachichotał.

– Słyszałem takie historyjki – odparł –

widziałem nawet fotografie przedstawiają-

ce gryfa, zastrzelonego podobno w Górach Skalistych. Oczywiście to mistyfikacja.

– Oczywiście na to wygląda. Jak zawsze w przypadku mitologicznych zwierząt.

– Chcesz powiedzieć, że to prawda?

– Naturalnie. Twój świat jest w fatalnym stanie. Kiedy niedawno zdechł ostatni niedźwiedź

grizzly, zrobiło się miejsce dla gryfów, podobnie jak zamiast wymarłych nietotów z Madagaskaru pojawił się yeti, zamiast dodo – potwór z Loch Ness, zamiast kanadyjskiego gołębia wędrownego

– leśny człowiek, zamiast wieloryba błę-

kitnego – kraken, zamiast orła amerykań-

1462

skiego – bazyli szek...

– Nie możesz tego udowodnić.

– Napij się jeszcze.

Martin sięgnął po puszkę z piwem, za-

marł i wytrzeszczył oczy.

Obok puszek z piwem przycupnęło stworzonko długości mniej więcej dwóch cali, z ludzką twarzą, ciałem lwa i upierzonymi skrzydłami.

– Minisfinks – ciągnął głos. – Pojawił się, kiedy wytępiście ostatnie zarazki ospy.

– Chcesz mi wmówić, że kiedy natural-

ny gatunek wymiera, jego miejsce zajmuje gatunek mityczny?

– Owszem, z grubsza biorąc. Teraz. Nie zawsze tak było, ale wy zniszczyliście mechanizm ewolucji. A my, mieszkańcy krainy poranku, przywracamy teraz równowagę... my, którym nigdy nie groziło prawdziwe niebezpieczeństwo. Powracamy, 1463

kiedy przyszedł nasz czas.

– Wiec ty, Tlingel czy jak ci tam, twierdzisz, że ludzkości grozi niebezpieczeństwo?

– Jak najbardziej. Ale nic nie możesz na to poradzić, prawda? Wróćmy do naszej gry.

Sfinks odfrunął. Martin łyknął piwa i zbił pionka.

– Kim są nasi następcy? – zapytał po chwili.

– Skromność nie pozwala mi mówić –

odparł Tlingel. – Ale w przypadku gatunku tak wybitnego jak twój, naturalnie będą to stworzenia najważniejsze, najpiękniejsze i najinteligentniejsze ze wszystkich.

– A jakim stworzeniem ty jesteś? Czy mógłbym cię zobaczyć?

– No... chyba tak. Jeśli natęzę się odrobinę.

Puszka z piwem uniosła się, opróżniła i 1464

upadła na podłogę. Nastąpiła seria szybkich stuknięć oddalających się od stołu.

Powietrze przed Martinem zaczęło migotać i pociemniało, tworząc zarys jakiejś sylwetki.

Kontury sylwetki rozblęły, a wną-

trze stało się smoliście czarne. Ciemny kształt podskoczył i puścił się w płas, uderzając małymi, rozdwojonymi kopytkami w deski podłogi, na których pozostały liczne ślady i zadrapania. Wreszcie cała postać ukazała się w oślepiającym rozbłysku i Martin aż się zachłusnął na ten widok.

Czarny jednorożec o żółtych, kpiących oczach paradował przed nim, stając na tylnych nogach i przybierając heraldyczną pozę. Płomienie otaczały go jeszcze przez chwilę, po czym znikły.

– Martin rzucił się w tył i osłonił dłonią oczy.

– Przypatrz mi się! – zażądał Tlingel. –

Oto stoję przed tobą, starożytny symbol 1465

piękna, męstwa i mądrości!

– Myślałem, że typowy jednorożec jest biały – wykrztusił wreszcie Martin.

– Ja jestem archetypowy – odparł Tlingel opadając na cztery nogi – i posiadam wyjątkowe zalety.

– Na przykład?

– Dokończmy partię.

– A co z losem ludzkości? Powiedzia-
łeś...

– Odłożmy ten drobiazg na później...

– Wcale nie uważam, że zagłada ludzko-
ści to drobiazg.

– ... i jeśli zostało ci trochę piwa...

– No dobrze – ustąpił Martin i sięgnął

do plecaka. Stworzenie podeszło bliżej, jego oczy wyglądały jak para bladych słońc. – Mam jeszcze parę puszek.

Czegoś zabrakło w tej grze. Martin siedział naprzeciw hebanowego rogu sterczą-
1466

cego z pochylonej głowy Tlingela i czuł

się jak owad nabity na szpilkę. Opuściła go wszelka inwencja. Odkąd zobaczył to stworzenie, znalazł się pod presją – a w dodatku cała ta gadanina o rychłym końcu ludzkości... Gdyby usłyszał to od jakiegoś niedowarzonego pesymisty, wcale by się nie przejął, ale w tych okolicznościach...

Wcześniejsze podniecenie opuściło go bez śladu. Nie był już w szczytowej formie. A Tlingel grał dobrze. Bardzo dobrze.

Martin przyłapał się na tym, że zastanawia się, jak tu doprowadzić do pata.

Po jakimś czasie przekonał się, że nie da rady, i zrezygnował.

Jednorożec popatrzył na niego z uśmiechem.

– Grasz całkiem nieźle... jak na człowieka – stwierdził.

– Kiedyś grałem o wiele lepiej.

– Nie musisz się wstydzic, że przegrałeś 1467

ze mną, śmiertelniku. Nawet wśród mitycznych stworzeń niewiele jest takich, które mogą zmierzyć się z jednorożcem.

– Cieszę się, że nie nudziłeś się zbytnio

– odparł Martin. – A teraz powiedz mi, co miałeś na myśli mówiąc o zagładzie mojego gatunku.

– Ach, to – mruknął Tlingel. – W Kra-

inie Poranku, gdzie żyją istoty podobne do mnie, zapowiedź waszego odejścia dotarła do moich nozdrzy niczym łagodny wietrzyk, niosący obietnicę przetarcia drogi dla nas...

– Jak to się stanie?

Tlingel wzruszył ramionami, a czubek rogu opisał łuk w powietrzu.

– Naprawdę nie wiem. Przeczucia rzad-

ko bywają dokładne. Właśnie dlatego tu jestem, żeby to sprawdzić. Powinienem od razu się tym zająć, ale skusiłeś mnie piwem i perspektywą dobrej zabawy.

1468

– A może się pomyliłeś?

– Wątpię. To drugi powód mojej obecności.

– Wyjaśnij, proszę.

– Zostało jeszcze piwo?

– Chyba ze dwa.

– Poproszę.

Martin wstał i przyniósł ostatnie dwie puszk.

– Cholera! Od jednej odłamał się uchwyt – oznajmił.

– Postaw ją na stole i trzymaj mocno.

– Dobra.

Róg Tlingela szybko pochylił się i przebił wierzch puszk.

– Przydaje się w różnych sytuacjach – zauważył Tlingel wyciągając róg.

– Drugi powód twojej obecności... – odpowiedział Martin.

– Po prostu chodzi o to, że jestem wyjątkowy. Potrafię robić rzeczy, których inni 1469 nie potrafią.

– Na przykład?

– Znaleźć wasz słaby punkt i wykorzystać go... przyspieszyć rozwój wypadków.

Zmienić możliwe w prawdopodobne, a potem...

– Ty chcesz nas zniszczyć? W pojedynkę?

– Patrzysz na to z niewłaściwej strony.

To przypomina partię szachów. Starasz się zdobyć przewagę i jednocześnie wykorzystujesz słabości przeciwnika. Gdybyście sami nie stworzyli mi pola do działania, byłbym bezsilny. Mogę wpływać tylko na to, co już istnieje.

– Więc co to będzie? Trzecia wojna światowa? Katastrofa ekologiczna? Nowa mutacja zarazków?

– Naprawdę sam jeszcze nie wiem, dla-

czego wolałbym, żebyś nie zadawał mi takich pytań. Powtarzam, że na razie tylko 1470 obserwuję. Jestem po prostu wysłannikiem...

– Moim zdaniem wcale na to nie wyglądasz.

Tlingel milczał. Martin zaczął zbierać figury.

– Nie chcesz zagrać jeszcze raz?

– Żeby dostarczyć rozrywki mojemu mordercy? Nie, dziękuję.

– Nie powinieneś tak myśleć...

– Poza tym skończyło się piwo.

– Och. – Tlingel popatrzył tęsknie na znikające figury, po czym oświadczył: –

Chętnie zagram następną partię na sucho...

– Nie, dziękuję.

– Jesteś zły.

– A ty nie złościłbyś się na moim miejscu?

– Antropomorfizujesz.

– No więc?

– Och, pewnie tak.

1471

– Wiesz co, mógłbyś zostawić nam trochę czasu... przynajmniej daj nam szansę, żebyśmy sami wyginęli.

– Ale wy nie daliście żadnych szans tym wszystkim stworzeniom, na których miejsce przyszli moi ziomkowie.

Martin poczerwieniał.

– Okay, punkt dla ciebie. Ale wcale mi się to nie podoba.

– Wiem, że jesteś dobrym graczem..

– Tlingel, gdybym był w dobrej formie, mógłbym cię pokonać.

Jednorożec parsknął i z jego nozdrzy uniosły się dwa małe obłoczki dymu.

– Nie jesteś aż taki dobry – odparł.

– Tego nie możesz wiedzieć.

– Czy to propozycja?

– Może. Ile jest dla ciebie warta następ-na partia?

Tlingel zaśmiał się z cicha.

– Domyślam się, co chcesz powiedzieć.

1472

Jeśli mnie pokonasz, będę musiał obiecać ci, że nie wykorzystam waszych błędów, żeby przyspieszyć zagładę ludzkości.

– Oczywiście.

– A co dostanę, jeśli wygram?

– Satysfakcję z wygranej. Przecież tylko na tym ci zależy.

– Warunki są trochę naciągane.

– Wcale nie, bo przecież i tak wygrasz.

Przynajmniej tak twierdzisz.

– No dobrze. Rozstaw figury.

– Zanim zaczniemy, muszę ci coś powiedzieć o sobie.

– Tak?

– Nie gram dobrze pod presją, a ta sytuacja jest okropnie stresująca. Chcesz, żebym dał z siebie wszystko, prawda?

– Tak, ale obawiam się, że nie mogę wpłynąć na twoje nastawienie.

– Mógłbym chyba sam temu zaradzić, gdybym miał dostatecznie dużo czasu po-1473 między kolejnymi ruchami.

– Zgoda.

– To znaczy, gdybym miał bardzo dużo czasu.

– O co ci chodzi?

– Potrzebuję czasu, żeby odzyskać zimną krew, żeby się odprężyć, żeby spokojnie zastanowić się nad położeniem..

– To znaczy, że chcesz wychodzić stąd po każdym ruchu?

– Tak.

– Dobrze. Na jak długo?

– Nie wiem. Może na parę tygodni.

– Weź sobie miesiąc przerwy. Poradź

się ekspertów, zaprzęgnij do pracy komputery. Zrób wszystko, żeby ta partia była interesująca.

– Właściwie nie o to mi chodziło.

– A więc zależy ci na czasie.

– Temu nie mogę zaprzeczyć. Z drugiej strony naprawdę będę potrzebował czasu.

1474

– W takim razie ja też mam swoje warunki. Chcę, żebyś tutaj posprzątał, żebyś doprowadził to miejsce do porządku.

Okropnie tu brudno. Chcę również mieć pod ręką zapas piwa.

– Okay. Dopilnuję tego.

– Więc zgoda. Zobaczymy, kto ma pierwszy ruch.

Martin przełożył białego i czarnego pionka z ręki do ręki pod stołem. Potem wyciągnął zaciśnięte pięści. Tlingel pochylił się do przodu, postukując kopytkiem.

Czubek czarnego rogu dotknął lewej dłoni Martina.

– No, czarny pasuje do mojej karnacji –

oświadczył jednorożec.

Martin uśmiechnął się i rozstawił figury

– białe dla siebie, czarne dla swojego przeciwnika. Po czym od razu przesunął swojego pionka na e4.

Delikatne, czarne kopytko Tlingela 1475

uniosło się i przesunęło czarnego pionka na e5.

– Zakładam, że chcesz teraz wziąć miesiąc przerwy, żeby zastanowić się nad następnym ruchem.

Martin nie odpowiedział, tylko postawił

swojego skoczka na f3. Tlingel natychmiast przesunął skoczka na c6.

Martin pociągnął łyk piwa, po czym przesunął gońca na b5. Jednorożec przesunął drugiego skoczka na f6. Martin czym prędzej zrobił rozsadę, a Tlingel zbił skoczkiem jego pionka.

– Myślę, że jednak przetrwamy – powiedział nagle Martin – jeśli nie będziesz się do nas wtrącał. W odpowiednim czasie wyciągniemy naukę z własnych błędów.

– Mitologiczne stworzenia właściwie nie istnieją w czasie. Twój świat jest wyjątkiem.

– Czy twoi rodacy nigdy nie popełniają 1476

błędów?

– Nawet nasze błędy są pełne poezji.

Martin prychnął i przesunął pionka na d4. Tlingel natychmiast skontrolował, przesuując skoczka na d6.

– Muszę zrobić przerwę – oświadczył

Martin wstając. – Zaczynam się złościć, a to źle wpłynie na moją grę.

– Więc idziesz?

– Tak.

Martin sięgnął po plecak.

– Spotkamy się tutaj za miesiąc?

– Tak.

– Doskonale.

Jednorożec podniósł się i tupnął nogą.

Po jego ciemnej sierści przebiegły błyski.

Nagle rozjarzyły się oślepiająco i wystrzeliły na wszystkie strony, niczym bezgłośna eksplozja, po której napłynęła fala ciemności.

Martin przywarł do ściany, dygocząc i 1477

osłaniając oczy dłonią. Kiedy opuścił ręce, zobaczył, że jednorożec znikł. Zostały tylko gońce, skoczki, królowie, hetmani, wieże i pionki.

Martin wyszedł.

Trzy dni później powrócił w niewielkiej ciężarówce, przywożąc generator, deski, okna, elektryczne narzędzia, farbę, środki czyszczące, wosk. Odkurzał, zamiatął i wymieniał spróchniałe deski. Zamontował

okna. Wypolerował do połysku starą mo-siężną poręcz. Szorował i czyścił. Wywo-skował i wyfroterował podłogi. Pozatykał

dziury i umył szyby. Wyrzucił wszystkie śmieci.

Prawie tydzień trwało, zanim doprowa-

dził zdewastowaną knajpę z powrotem do przyzwoitego stanu. Potem odjechał, zwrócił cały wypożyczony sprzęt i kupił bilet na północny zachód.

1478

Wielki, wilgotny las był kolejnym ulubionym celem jego wędrówek, miejscem na rozmyślania. Martin potrzebował całkowitej zmiany otoczenia, zupełnie nowej perspektywy. Wprawdzie następny ruch wydawał się oczywisty, wręcz rutynowy, a jednak coś nie dawało mu spokoju...

Wiedział, że nie chodziło tylko o partię szachów. Przedtem chciał jeszcze raz oderwać się od wszystkiego, wędrować pośród sennych cieni, wdychając czyste powietrze.

Odpoczywał, opierając się plecami o wystający korzeń ogromnego drzewa. Wy-ciągnął z plecaka małą szachownicę i ustawił ją na głazie, który przyciągnął w pobli-

że. Padał drobny, uporczywy deszczyk, ale korona drzewa na razie go osłaniała. Po-wtórzył ostatni ruch Tlingela, wycofanie skoczka na d6. Najprostszym rozwiązaniem byłoby zabicie skoczka gońcem. Ale 1479

nie zrobił tego.

Przez jakiś czas wpatrywał się w szachownicę czując, że powieki same mu opadają. Potem zamknął oczy i zdrzemnął się, może tylko na parę minut. Później nie był tego pewien.

Coś wytrąciło go ze snu. Nie wiedział, co to było. Zamrugał kilka razy i znowu zamknął oczy. Po czym otworzył je pospiesznie.

Siedział skulony pod drzewem, z pochyloną głową, a przed oczami miał dwie ogromne, włochate, boscie stopy – największe stopy, jakie widział w życiu. Spoczywały bez ruchu, skierowane w prawo.

Powoli – bardzo powoli – Martin pod-

niósł wzrok. Niezbyt wysoko, jak się okazało. Stworzenie miało zaledwie jakieś cztery i pół stopy wzrostu. Patrzyło raczej na szachownicę niż na niego, toteż skorzystał z okazji, żeby mu się przyjrzeć.

1480

Stwór nie nosił żadnego ubrania, był za to bardzo owłosiony, cały pokryty ciemnobrązową sierścią i wyraźnie rodzaju mę-

skiego. Miał niskie łuki brwiowe, głęboko osadzone oczy, pasujące kolorem do włosów, potężne ramiona i pięciopalczone dłonie wyposażone w przeciwstawny kciuk.

Odwrócił się nagle i popatrzył na Martina, pokazując mnóstwo błyszczących zębów.

– Biały pionek powinien zbić pionka – odezwał się miękkim, nosowym głosem.

– He? Dajże spokój – zaprotestował

Martin. – Gонец bije skoczka.

– Chcesz, żebym zagrał czarnymi i udowodnił ci to? Rozdepczę cię na miazgę.

Martin ponownie zerknął na owłosione stopy potwora.

– Albo oddaj mi białe, żebym mógł zbić tego pionka. Też cię załatwię.

1481

– Weź białe – zdecydował Martin pro-

stując się. – Zobaczymy, ile prawdy jest w twoich przechwałkach. – Sięgnął do plecaka. –

Napijesz się piwa?

– Co to jest piwo?

– Środek wzmacniający. Zaczekaj chwilę.

Zanim wykończyli sześciopuszkowe

opakowanie, leśny człowiek – który nazywał się Grend – wykończył Martina. Szybko narzucił bezlitosne tempo, osaczył Martina na pozornie bezpiecznej pozycji i doprowadził do tego, że ten, widząc nieuniknione zakończenie, poddał partię.

– Grasz jak szatan – stwierdził Martin, odchylając się do tyłu i spoglądając na go-rylowatego stwora.

– Tak, my, Duże Stopy, gramy całkiem

nieźle, skoro o tym mowa. To praktycznie nasza jedyna rozrywka, a w dodatku jeste-

śmy tak cholernie prymitywni, że prawie 1482

nie używamy szachownic i figur. Najczę-

ściej gramy w pamięci. Niewielu może nam dorównać.

– A jednorożec? – zagadnął Martin.

Grend powoli pokiwał głową.

– Chyba tylko jednorożce mogą się z nami zmierzyć. Są trochę grymaśne, ale bardzo subtelne. Za to cholernie pewne siebie, muszę przyznać. Nawet kiedy nie mają racji. Oczywiście nie spotykałem ich, odkąd opuściliśmy Krainę Poranku. Fatalnie się składa. Masz jeszcze trochę piwa?

– Obawiam się, że nie. Ale posłuchaj, będę tędy wracał za miesiąc. Przyniosę piwo, jeśli chcesz spotkać się ze mną i rozegrać jeszcze jedną partię.

– Umowa stoi, Martin. Przepraszam. Nie chciałem ci nadepnąć na nogę.

Martin ponownie odkurzył saloon, przyniósł beczkę piwa, zainstalował ją pod 1483

barem i obłożył lodem. Rozstawił barowe stołki, krzesła oraz stoliki, które nabył w sklepie z używanymi rzeczami. Zawiesił czerwone kotary. W tym czasie zapadł wieczór. Martin ustawił szachownicę, zjadł lekki posiłek, rozłożył śpiwór pod barem i spędził tam noc.

Następny dzień minął szybko. Ponieważ Tlingel mógł zjawić się w każdej chwili, Martin nie oddalał się od budynku. Zjadał posiłki na miejscu, a w przerwach rozwiązywał problemy szachowe. Kiedy zaczęło się ściemniać, zapalił świece i lampy naftowe. Coraz częściej spoglądał na zegarek. Krążył po pokoju. Niemożliwe, żeby się omylił. To był właściwy dzień. To... Usłyszał stłumiony śmiech.

Odwrócił się i ujrzał czarny łeb jedno-rozca, unoszący się w powietrzu nad szachownicą. Po chwili zmaterializowała się 1484 reszta ciała Tlingela.

– Dobry wieczór, Martinie. – Tlingel rozejrzał się dookoła. – Trochę lepiej tu wygląda. Przydałaby się jakaś muzyka...

Martin wszedł za bar i włączył tranzystorowe radio, które przywiózł ze sobą. Dźwięki kwartetu skrzypcowego wypełniły pomieszczenie. Tlingel skrzywił się.

– Nie bardzo pasuje do atmosfery.

Martin zmienił stację i złapał miejscową rozgłośnię country and western.

– Raczej nie to – sprzeciwił się Tlingel.

– Dużo się traci przy takim odbiorze.

Martin wyłączył radio.

– Czy masz wystarczający zapas trunków?

Martin natoczył piwa do kufla mieszczącego prawie cztery litry – największego kufla, jaki znalazł w sklepie z nowościami

– i postawił go na barze. Dla siebie napełnił mniejsze naczynie. Postanowił za 1485 wszelką cenę upić swojego przeciwnika.

– Ach! Znacznie lepsze niż te małe puszki – oświadczył Tlingel, zanurzając na chwilę pysk w naczyniu. – Bardzo dobre.

Kufel był pusty. Martin ponownie go napełnił.

– Zaniesiesz mi piwo do stolika?

– Oczywiście.

– Spędziłeś interesujący miesiąc?

– Chyba tak.

– Zdecydowałeś się na następny ruch?

– Tak.

– Więc zaczynajmy.

Martin usiadł i zbił pionka.

– Hm. Ciekawe.

Tlingel przez długi czas wpatrywał się w szachownicę, po czym podniósł rozdwojone kopytko, które rozdzieliło się sięgając po figurę.

– No to mój skoczek bije gońca. Teraz pewnie zażądasz następnego miesiąca, 1486
żeby obmyślić kolejny ruch.

Tlingel przechylił się na bok i opróżnił
kufel.

– Zastanowię się – powiedział Martin – i naleję ci przez ten czas.

Przez trzy następne kolejki Martin siedział i wpatrywał się w szachownicę. Ale wcale się nie
zastanawiał. Po postu czekał.

Podczas partii z Grendem również zbił
skoczkiem gońca i znał już następny ruch Grenda.

– No więc? – odezwał się w końcu Tlingel. – Wymyśliłeś coś?

Martin oszczędnie łyknął piwa.

– Jestem prawie gotowy – oznajmił. –

Nieźle się trzymasz po tym piwie.

Tlingel zaśmiał się.

– Róg jednorożca stanowi odtrutkę. To uniwersalne lekarstwo. Zawsze czekam, aż osiągnę fazę
różowej mgiełki, a potem za pomocą rogu likwiduję nadmierne efekty i 1487
pozostaję w tym stanie cały czas.

– Och – powiedział Martin. – Sprytna sztuczka.

– Jeśli wypijeś za dużo, dotknij na chwilę mojego rogu i zaraz doprowadzę cię do formy.

– Nie, dziękuję. Wszystko w porządku.

Przesuwam pionka z a2 dwa pola do przodu.

– Doprawdy... – mruknął Tlingel. – Interesujące. Wiesz, właściwie przydałoby się tutaj pianino...
trochę staroświeckiego blu-esa. Chyba możesz to załatwić?

– Nie gram na pianinie.

– To fatalnie.

– Chyba mógłbym wynająć pianistę.

– Nie. Wolę, żeby inni ludzie mnie nie widzieli.

– Dobry pianista potrafiłby grać z za-wiązanymi oczami.

– Wszystko jedno.

1488

– Przykro mi.

– Jesteś bardzo pomysłowy. Na pewno
wymyślisz coś następnym razem.

Martin kiwnął głową.

– Aha, w takim lokalu podłoga zwykle
była wysypana trocinami, prawda?

– Chyba tak.

– Toby ładnie wyglądało.

– Załatwione.

– Wobec tego wracajmy do gry.

Tlingel przesunął pionka na d6.

Martin wytrzeszczył oczy. To nie był

ruch Grenda. Przez chwilę zastanawiał się, czy nie powinien samodzielnie dokończyć partii.

Dotąd starał się myśleć o Grendzie jak o nauczycielu. Nie chciał pamiętać, że ordynarnie i
bezwstydnie wystawił tych dwóch przeciw sobie. Aż do d6. Potem przypomniał sobie partię, którą

przegrał z leśnym człowiekiem.

– Na tym kończę – oznajmił – i spotka-1489

my się za miesiąc.

– Dobrze. Napijmy się jeszcze, zanim powiemy sobie dobranoc. Okay?

– Pewnie, czemu nie?

Siedzieli popijając piwo, a Tlingel opowiadał Martinowi o Krainie Poranku, o pierwotnych puszczech i rozległych równinach, o wysokich, stromych górach i pur-purowych morzach, o mitycznych i czarodziejskich stworzeniach.

Martin potrząsnął głową.

– Nie bardzo rozumiem, dlaczego tak się wrywasz do naszego świata – oświadczył

– skoro mieszkasz w takim miejscu.

Tlingel westchnął.

– Ty pewnie powiedziałbyś, że trzeba iść z duchem czasu. To kwestia postępu.

No, do przyszłego miesiąca...

Wstał i odwrócił się.

– Teraz jestem kompletnie trzeźwy.

Patrz!

1490

Sylwetka jednorożca zbladła, zamigota-

ła, rozblęta bielą, znowu zamigotała i znikła niczym powidok.

Martin ruszył do baru i nalał sobie następny kufel. Szkoda marnować to, co zostało. Rano pożałował, że nie ma tu jednorożca. Albo przynajmniej jego rogu.

Był szary, dżdżysty dzień i Martin trzymał parasol nad szachownicą ustawioną na głazie. Krople wody skapywały z liści i głucho bębniły uderzając w napiętą tkaninę. Na szachownicy zostało odtworzone ostatnie posunięcie Tlingela, pionek na d6.

Martin zastanawiał się, czy Grend o nim pamiętał, czy nie stracił rachuby czasu...

– Halo – odezwał się nosowy głos gdzieś z tyłu, z lewej strony.

Martin obejrzał się i zobaczył Grenda, który obchodził drzewo dookoła, przestępując potężnymi stopami przez potężne 1491

korzenie.

– Pamiętałeś – ucieszył się Grend. – Jak to dobrze! Mam nadzieję, że pamiętałeś również o piwie?

– Przydźwigałem całą skrzynkę. Możemy zaraz otworzyć bar.

– Co to jest bar?

– No, to takie miejsce, gdzie ludzie przychodzą, żeby się napić... chronią się przed deszczem... są tam przyćmione światła, żeby stworzyć odpowiedni nastrój... ludzie siedzą na stołkach przy długim kontuarze albo przy małych stolikach... rozmawiają ze sobą, ... czasami słuchają muzyki... no i piją.

– I to wszystko będziemy tutaj mieli?

– Nie. Tylko trunki i przyćmione światło. Chyba że potraktujesz szum deszczu jako muzykę.

Mówiłem w przerośni.

– Och. To mi wygląda na bardzo przyjemne miejsce.

1492

– Tak. Jeśli potrzywasz parasol nad szachownicą, postaram się zorganizować najlepszy dostępny

ekwiwalent.

– Zgoda. Zaraz, to chyba jest inna wersja tej samej partii, którą rozegraliśmy poprzednio.

– Owszem. Zastanawiałem się, co będzie, jeśli zrobię taki ruch zamiast tamtego.

– Hm. Zobaczymy...

Martin wyjął z plecaka cztery sześciopaki i otworzył pierwszy.

– Trzymaj.

– Dzięki.

Grand wziął piwo, usiadł po turecku i oddał parasol Martinowi.

– Dalej gram białymi?

– Tak.

– Pionek na e6.

– Naprawdę?

– Aha.

1493

– Chyba najlepiej zbiję tego pionka moim pionkiem.

– Proszę bardzo. A ja biorę twojego skoczka.

– No to cofam drugiego skoczka na c3.

Mogę dostać jeszcze jedno piwo?

W godzinę i kwadrans później Martin zrezygnował. Deszcz ustał i Martin złożył parasol.

– Jeszcze partyjkę? – zagadnął Grend.

– Chętnie.

Popołudnie miało powoli. Napięcie znikło. Tym razem Martin grał dla przyjemności.

Wypróbowywał dziwne kombinacje, myślał jasno i logicznie, tak jak tamtego dnia...

– Pat – oznajmił Grend dużo później. –

W każdym razie to była niezła partia. Sporo się nauczyłeś.

– Byłem bardziej rozluźniony. Zagramy jeszcze?

1494

– Może trochę później. Opowiedz mi teraz o barach.

Więc Martin opowiedział. Wreszcie...

– Jak się czujesz po tym piwie? – zapytał.

– Trochę kręci mi się w głowie. Ale nic mi nie jest. I tak zleję cię na miazgę za trzecim razem. I miał rację.

– No, nieźle jak na człowieka. Całkiem nieźle. Wrócisz w przyszłym miesiącu?

– Tak.

– To dobrze. Przyniesiesz piwo?

– Jeśli wystarczy mi pieniędzy.

– Och. Więc weź trochę gipsu modelar-

skiego. Zrobię ci kilka ładnych odcisków stóp i weźmiesz z nich odlewy. O ile wiem, można je sprzedać za grubą forszę.

– Będę pamiętał.

Martin chwiejnie wstał i pozbierał figury.

1495

– No to na razie.

– Ciao.

Martin ponownie odkurzył i pozamiatał, wstawił pianino i rozsypał trociny na podłodze. Zainstalował nową beczkę. Zawiesił

reprodukcje plakatów z epoki i kilka ohydnych starych obrazów, które znalazł w sklepie ze starzyzną. Rozmieszczył spluwaczki w strategicznych punktach. Kiedy skończył,

zasiadł za barem i otworzył butelkę wody mineralnej. Słuchał, jak wiatr Nowego Meksyku zawodzi za oknem, jak zi-

renka piasku uderzają w szyby. Zastanawiał się, czy cały świat będzie rozbrzmiewał tym pustym, żalobnym dźwiękiem, je-

śli Tlingel znajdzie sposób na wykończenie ludzkości, czy też może – niepokojąca myśl – następcy rasy ludzkiej zmienią świat w miejsce przypominające mitologiczną Krainę Poranku.

1496

Przez chwilę rozmyślał o tym z przykro-

ścią. Potem przygotował szachownicę i postawił czarnego pionka na d6. Kiedy odwrócił się, żeby wytrzeć bar, zobaczył ślady rozdwojonych kopytek odciskające się w trocinach.

– Dobry wieczór, Tlingel – powiedział.

– Co podać?

Jednorożec ukazał się nagle, bez wstępnych efektów pirotechnicznych. Podeszedł do baru i oparł jedno kopytko na mosiężnej poręczy.

– Jak zwykle.

Kiedy Martin nalewał piwo, Tlingel rozglądał się.

– Trochę lepiej tu wygląda.

– Cieszę się, że tak uważasz. Masz ochotę posłuchać muzyki?

– Tak.

Martin pomajstrował z tyłu pianoli i znalazł przełącznik małego komputera na 1497

baterie, który kierował mechanizmem i którego bank pamięci zastępował dawniej używane wałki.

Klawiatura natychmiast ożyła dźwiękiem.

– Bardzo dobre – ocenił Tlingel. – Wy-myśliłeś następny ruch?

– Wymyśliłem.

– No to zaczynajmy.

Martin ponownie napełnił kufel jednorożca i postawił go na stole obok własnego.

– Pionek na e6 – oznajmił wykonując ruch.

– Co?

– Właśnie to.

– Daj mi trochę czasu. Chcę to przeanalizować.

– Proszę bardzo.

– Biję twojego pionka – oświadczył

Tlingel po długiej przerwie i następnym kuflu.

1498

– No to ja biję tego skoczka.

Później:

– Skoczek na e7 – powiedział Tlingel.

– Skoczek na c3.

Nastąpiła wyjątkowo długa przerwa, zanim Tlingel przesunął skoczka na g6.

Do cholery z Grendem, zdecydował na-

gle Martin. Rozgrywał tę partię wiele razy.

Postawił swojego skoczka na g5.

– Zmień tę muzykę! – warknął Tlingel.

Martin wstał i wykonał polecenie.

– Ta też mi się nie podoba. Znajdź lep-szą albo wyłącz to świństwo!

Po trzech próbach Martin wyłączył pianolę.

– I przynieś mi jeszcze piwa!

Martin napełnił kufle.

– Dobra.

Tlingel przesunął gońca z f8 na e7.

W tej chwili najważniejsze było powstrzymanie jednorożca od roszady. Więc 1499

Martin przesunął swojego hetmana na h5.

Tlingel wydał dziwny odgłos, jakby się du-sił. Kiedy Martin podniósł wzrok, z nozdrzy jednorożca unosiły się obłoczki dymu.

– Jeszcze piwa?

– Jeśli można.

Kiedy wrócił z piwem, zobaczył, że Tlingel zamierza zbić gońcem skoczka. W tej chwili chyba nie miał wyboru, ale i tak studiował szachownicę przez dłuższy czas.

Wreszcie:

– Goniec bije gońca – powiedział Martin.

– Oczywiście.

– Jak tam różowa mgiełka?

Tlingel zachichotał.

– Zobaczysz.

Wiatr znów się wzmagał, zawodził coraz głośniej. Budynek zatrzeszczał.

– Okay – powiedział wreszcie Tlingel i 1500 przesunął hetmana na d7.

Martin wytrzeszczył oczy. Co on wyprawia? Na razie wszystko szło dobrze, ale...

Ponownie wsłuchał się w wycie wiatru i pomyślał o ryzyku, jakie podejmuje.

– To tyle – oznajmił odchylając się do tyłu na krześle. – Dalszy ciąg za miesiąc.

Tlingel westchnął.

– Nie uciekaj. Przynieś mi jeszcze piwa.

Opowiem ci o moich wędrówkach po tym świecie w zeszłym miesiącu.

– Szukałeś słabego punktu?

– Macie same słabe punkty. Jakim cudem udało się wam przetrwać?

– Nie tak łatwo nas pokonać, jak ci się zdaje. Masz jakąś radę?

– Przynieś piwo.

Rozmawiali, póki niebo nie pojaśniało na wschodzie, a Martin ukradkiem robił notatki. Jego podziw dla analitycznych zdolności jednorożców wzrastał z upływem czasu.

Kiedy wreszcie wstali, Tlingel zatoczył się.

- Nic ci nie jest?
- Zapomniałem o odtruciu, to wszystko. Chwileczkę. Zaraz znikam.
- Zaczekaj!
- Ż-że co?
- Ja też tego potrzebuję.
- Och. No to trzymaj.

Tlingel pochylił głowę, a Martin ujął czubek rogu w końce palców. Natychmiast przeniknęło go ciepłe, cudowne uczucie. Zamknął oczy, żeby się nim rozkoszować. W głowie mu pojaśniało. Zniknął ból, który narastał pod czaszką. Zmęczenie uleciało z mięśni. Martin otworzył oczy.

- Dziękuję...
- Tlingel zniknął. Martin nie miał w palcach nic prócz powietrza.
- ... ci.

1502

- Ten tu Rael jest moim przyjacielem – oznajmił Grend. – To gryf.
- Zauważyłem.
- Martin ukłonił się dziobatemu stworowi ze złocistymi skrzydłami.
- Miło mi cię poznać, Rael.
- Nawzajem – zawołał Rael piskliwym głosem. – Masz piwo?
- Co... ee... tak.
- Opowiadałem mu o piwie – wyjaśnił Grend na wpół przepraszającym tonem. – Mogę mu odstąpić część swojej działki. On nie będzie kibicował ani nic z tych rzeczy.
- Jasne. No dobrze. Twoi przyjaciele są...
- Piwo! – krzyknął Rael. – Bary!
- On nie jest specjalnie bystry – szepnął Grend. – Ale to dobry kumpel. Będę ci wdzięczny, jeśli postarasz się go nie draż-

1503

- nić.
- Martin otworzył pierwszy sześciopak i wręczył po puszcze gryfowi oraz leśnemu człowiekowi.
- Rael natychmiast przebił puszkę dziobem, opróżnił ją, czknął i wy-ciągnął szponiastą łapę.
- Piwa! – wrzasnął. – Jeszcze piwa!
- Martin podał mu następną puszkę.
- Widzę, że ciągle męczysz tę pierwszą partię – zauważył Grend, studiując szachownicę. – No, no, całkiem interesująca sytuacja.
- Grend popijał piwo i wpatrywał się w szachownicę.
- Dobrze, że nie pada – stwierdził Martin.

– Och, zaraz zaczniesz padać. Tylko poczekaj.

– Jeszcze piwa! – zaskrzeczał Rael.

Martin, nie patrząc, podał mu puszkę.

– Idę pionkiem na b6 – oznajmił Grend.

1504

– Żartujesz.

– Wcale nie. Wtedy bijesz go swoim pionkiem z c7. Zgadza się?

– Tak...

Martin wykonał ten ruch.

– Okay. Teraz przesuwam skoczka na d5.

Martin zbił go pionkiem.

Grend przesunął wieżę na e1.

– Szach – ogłosił.

– Tak, to jest rozwiązanie – zauważył

Martin.

Grend zachichotał.

– Po raz drugi wygram tę partię –
oświadczył.

– Nie chciałem ci odbierać tej przyjemności.

– Jeszcze piwa? – cichutko zapytał Rael.

– Jasne.

Kiedy Martin podawał mu piwo, zauważył, że gryf opiera się o pień drzewa.

1505

Po kilku minutach Martin przesunął króla na f8.

– Tak, tego właśnie się spodziewałem –
stwierdził Grend. – Wiesz co?

– Co?

– Grasz zupełnie jak jednorożec.

– Hm.

Grend przesunął wieżę na a3.

Później, kiedy deszcz szemrał łagodnie wokół nich, a Grend znowu go pokonał, Martin uświadomił sobie, że od dłuższego czasu panuje cisza. Zerknął na gryfa. Rael wsadził głowę pod lewe skrzydło, podkulił

jedną nogę, oparł się ciężko o drzewo i zasnął.

– Mówiłem ci, że on nie będzie przeszkadzał – zaznaczył Grend.

Dwie partie później piwo się skończyło, cienie się wydłużyły, a Rael zaczął się budzić.

– Spotkamy się w przyszłym miesiącu?

1506

– Tak.

– Przyniosłeś gips?

– Tak, przyniosłem.

– No to chodź. Znam ładne miejsce dość daleko stąd. Nie chcemy przecież, żeby ludzie szperali w tych krzakach. Chodź, zarobimy trochę forsy.

– Żeby kupić piwo? – odezwał się Rael, wysuwając głowę spod skrzydła.

– W przyszłym miesiącu – wyjaśnił

Grend.

– Podrzucić was?

– Wątpię, czy udźwigniesz nas obu –

odparł Grend – a poza tym teraz wolałbym nie ryzykować.

– No to cześć – zaskrzeczał Rael i wbił

się w powietrze, łamiąc gałęzie drzew.

Wreszcie przebił się przez nie i zniknął.

– Bardzo porządny facet – oznajmił

Grend. – Widzi wszystko i niczego nie zapomina. Wie, co się dzieje wszędzie – w 1507 lesie, w powietrzu, nawet pod wodą. I zawsze gotów jest podzielić się z przyjacielem.

– Hm – mruknął Martin.

– Chodź, zrobimy ślady – powiedział

Grend.

– Pionek na b6? Naprawdę? – zdumiał

się Tlingel. – No dobrze. Pionek z e7 bije tego pionka.

Oczy Tlingela zwięziły się, kiedy Martin przesunął skoczka na d5.

– Nareszcie gra robi się interesująca –

zauważył jednorożec. – Pionek bije skoczka.

Martin przesunął wieżę.

– Szach.

– Tak, zgadza się. Następny ruch wymaga co najmniej trzech kufelków. Przynieś mi pierwszy, z łaski swojej.

Martin zamyślił się, obserwując, jak 1508

Tlingel w zadumie popija piwo. Było mu trochę wstyd, że pokonał jednorożca, mając za sobą taką potęgę jak Grend. Wiedział, że jednorożec przegra. Każdy wariant tej partii, którą Martin rozgrywał

czarnymi przeciwko Grendowi, zakończył

się porażką Martina. Tlingel grał bardzo dobrze, ale leśny człowiek był geniuszem i nie miał nic do roboty poza grą w pamię-

ciowe szachy. To było nie fair. Ale osobisty honor nie liczył się w tej sytuacji, przekonywał sam siebie Martin. Grał, żeby obronić swój gatunek przed nadnaturalną siłą, która potrafiłaby wywołać trzecią wojnę światową sztuką manipulowania umysłami albo jakąś czarodziejską awarią komputerów. Nie odważy się dać szansy temu stworzeniu.

– Poproszę drugi kufelek.

Martin przyniósł piwo. Wpatrywał się w jednorożca, który wpatrywał się w szachownicę. I po raz pierwszy uświadomił

sobie, że jednorożec jest piękny. Był najpiękniejszym stworzeniem, jakie Martin widział w swoim życiu. Teraz, kiedy napięcie zaczęło ustępować i Martin uwolnił

się od ciężaru strachu, który towarzyszył

mu przez cały czas, mógł nareszcie bez przeszkód podziwiać urodę jednorożca. Jeśli już rasa ludzka musiała ustąpić komuś miejsca, można sobie wyobrazić gorszych następców...

– Teraz numer trzeci.

– Już podaję.

Tlingel osuszył kufel i przesunął króla na f8.

Martin natychmiast nachylił się i popchnął wieżę na a3.

Tlingel podniósł wzrok i przyjrzał mu się.

– Nieźle.

Martin wewnętrznie skręcał się ze wsty-1510

du. Jednorożec był tak szlachetnym zwierzęciem. Martin gwałtownie zapragnął pokonać go samodzielnie, w uczciwej grze.

Nie w ten sposób.

Tlingel ponownie spojrzął na szachow-

nicę, po czym niemal niedbałym ruchem przesunął skoczką na e5.

– Twój ruch. Masz zamiar namyślać się przez następny miesiąc?

Martin odburknął coś pod nosem, przesunął wieżę i zbił skoczką.

– Oczywiście.

Tlingel zbił wieżę pionkiem. To nie był

wariant ostatniej partii rozgrywanej z Grendem. A jednak...

Martin przesunął wieżę na f3. W tej samej chwili z zewnątrz, spośród zrujnowanych budynków, dobiegło dziwne piskliwe zawodzenie wiatru.

– Szach – ogłosił Martin.

Do diabła z tym! – zdecydował. Jestem 1511

dostatecznie dobry, żeby zakończyć tę partię samodzielnie. Gram dalej.

Czekał i obserwował, aż wreszcie zobaczył, że Tlingel przesunął króla na g8.

Postawił gońca na h6. Tlingel ruszył

hetmanem na e7. Piskliwy odgłos rozległ

się ponownie, tym razem bliżej. Martin zbił gońcem pionka.

Jednorożec uniósł głowę i przez chwilę zdawał się nasłuchiwać. Potem pochylił głowę i zbił gońca królem.

Martin przesunął wieżę na g3.

– Szach.

Tlingel cofnął króla na f8.

Martin przesunął wieżę na f3.

– Szach.

Tlingel popchnął króla na g7.

Martin z powrotem przesunął wieżę na g3.

– Szach.

Tlingel znowu przesunął króla na f8, 1512

podniósł głowę i popatrzył na Martina, pokazując zęby.

– Wygląda na to, że mamy remis –

stwierdził. – Zagramy jeszcze raz?

– Tak, ale nie o los ludzkości.

– Zapomnij o tym. Już dawno z tego zrezygnowałem. Doszedłem do wniosku, że jednak nie mam ochoty tu mieszkać. Jestem dość wybredny pod tym względem.

Ten bar to wyjątek. – Tlingel odwrócił się, kiedy za drzwiami rozległ się następny pisk, poprzedzający gwar obcych głosów.

– Co to było?

– Nie wiem – odparł Martin wstając.

Drzwi otworzyły się i do środka wkroczył złocisty gryf.

– Martin! – wrzasnął. – Piwo! Piwo!

– Hm... Tlingel, to jest Rael, a to....

Za Raelem weszły jeszcze trzy gryfy.

Potem pojawił się Grend, prowadząc trzech następnych przedstawicieli swojego 1513 gatunku.

– ... a to Grend – dokończył Martin słabym głosem. – Pozostałych nie znam.

Wszyscy zatrzymali się na widok jedno-rożca.

– Tlingel – odezwał się jeden z leśnych ludzi – myślałem, że wciąż przebywasz w Krainie Poranku.

– W pewnym sensie nadal tam jestem.

Martin, skąd znasz moich byłych rodaków?

– No... hm... Grend jest moim trenerem szachowym.

– Aha! Zaczynam rozumieć.

– Nie jestem pewien, czy rzeczywiście zrozumiałeś. Ale pozwól, że najpierw obsłużę wszystkich.

Martin włączył pianolę i wskazał przy-byszom miejsca.

– W jaki sposób znaleźliście to miejsce?

– zapytał Grenda, nalewając piwo. – I jak 1514 tu dotarliście?

– No cóż... – Grend zdawał się zakłopotany. – Rael cię śledził.

– Śledził odrzutowiec?

– Gryfy są nadnaturalnie szybkie.

– Och.

– W każdym razie opowiedział o tym swoim krewniakom i kilku moim. Kiedy dowiedzieliśmy się, że gryfy mają zamiar złożyć ci wizytę, postanowiliśmy im towarzyszyć i dopilnować, żeby nie wpakowały się w jakieś kłopoty. Przyniosły nas tutaj.

– Hm... rozumiem. Interesujące...

– Nic dziwnego, że grałeś jak jednorozec, ciągle tę samą partię z różnymi wariantami.

– Hm... tak.

Martin odwrócił się i przeszedł na koniec baru.

– Witajcie wszyscy – powiedział. –

Mam dla was pewną wiadomość. Tlingel, 1515

niedawno wygłosił kilka uwag dotyczą-

cych możliwych katastrof ekologicznych i urbanistycznych oraz pomniejszych zagrożeń. Miałeś również kilka pomysłów, jak zapobiec niektórym z nich.

– Przypominam sobie – przyznał jedno-rożec.

– Przekazałem to mojemu przyjacielowi w Waszyngtonie, który kiedyś należał do mojego dawnego klubu szachowego. Powiedziałem mu, że nie opracowałem tych wniosków całkiem samodzielnie.

– No, mam nadzieję.

– Wówczas on zaproponował, żebym zebrał razem wszystkie zaangażowane osoby i stworzył trust mózgow. Wówczas postara się, by nasze wysiłki zostały opłacone.

– Nie przybyłem tutaj, żeby ratować twój świat – parsknął Tlingel.

– Tak, ale bardzo nam pomogłeś. A 1516

Grend mówił mi, że gryfy, nawet jeśli mają trochę ograniczony zasób wiedzy, wiedzą praktycznie wszystko o ekologii.

– Z tym się zgadzam.

– Ponieważ odziedziczyły część ziemi, w ich interesie leży pomaganie nam w chronieniu tego miejsca. Skoro już wszyscy tutaj jesteśmy, mógłbym zaoszczędzić na czasie i od razu zaproponować, żeby-

śmy znaleźli jakieś miejsce spotkań – powiedzmy tutaj, raz w miesiącu – a wówczas każdy z was przedstawi mi swój uni-kalny punkt widzenia. Na pewno w tym całym interesie nikt nie wie więcej od was o zjawisku wymierania gatunków.

– Oczywiście – odparł Grend wymachu-

jąc kuflem – ale powinniśmy zaprosić również yeti. Sam to zrobię, jeśli sobie życzysz. Czy ta muzyka wychodzi z tej wielkiej skrzyni?

– Tak.

1517

– Podoba mi się. Jeśli stworzymy trust mózgow, czy zarobisz dosyć, żeby utrzymać ten lokal?

– Wykupię całe miasto.

Grend odbył szybką, gardłową naradę z gryfami, które odpowiedziały mu skrzeczeniem.

– Masz swój trust mózgow – oświadczył

– a one chcą jeszcze piwa.

Martin odwrócił się do Tlingela.

– To były twoje wnioski. Co o tym myślisz?

– To może być zabawne – stwierdził jednorożec. – Będę wpadał co jakiś czas. –

Potem: – Tyle w kwestii ratowania świata.

Co powiesz na następną partię?

– Nie mam nic do stracenia.

Grend zajął miejsce za barem, zaś Tlingel i Martin przenieśli się do stolika.

Martin pokonał jednorożca w trzydzie-

stu jeden ruchach i dotknął wysuniętego 1518 rogu.

Pianola wygrywała jedną melodię za drugą. Maleńkie sfinksy brzęczały nad barem spijając rozlane piwo.

1519

ROBERT SILVERBERG

BASILEUS

(Basileus)

Przełożył Marcin Wawrzyńczak

Liczne powieści fantasy i science fiction pióra Roberta Silverberga dotyczyły takich tematów jak przeludnienie, inwazja obcych, narkotyki, wykorzystanie technologii przez człowieka czy

niebezpieczeństwa magii. Zdobył cztery nagrody Hugo i pięć Nebula, tworząc dziesiątki cudownych światów i fantastycznych, obcych ras i cywilizacji. Akcja jego najbardziej znanych powieści toczy w świecie Majipoor, ogromnej planecie o wielkiej urodzie i niezwykłości.

1520

W drżącym cytrynowożółtym październikowym świetle Cunningham dotyka klawiszy komputera i przyzywa anioły. Chwila, by załadować program, chwila, by otworzyć plik, i oto są, gotowe wytrysnąć z ekranu na jego skinienie: Apollyon, Anael, Uriel i cała reszta.

Uriel jest aniołem grzmotu i przerażenia; Apollyon to niszczyciel, anioł bezdennej otchłani; Anael jest aniołem bankierów i pośredników. Cunninghama fascynują wielorakie zadania i obowiązki, zarówno podniosłe, jak i skromne, które przypisane są aniołom. „Każda widoczna rzecz w świecie podlega aniołowi” powiada święty Augustyn w „Ośmiu pytaniach”.

Cunningham ma obecnie w swoim komputerze tysiąc sto czternaście aniołów. Dołącza kilka nowych każdego wieczora, 1521 choć wie, że minie jeszcze dużo czasu, zanim będzie miał je wszystkie. W czternastym stuleciu kabaliści oceniali liczbę aniołów, w pewnym przybliżeniu, na trzysta jeden milionów sześćset pięćdziesiąt pięć tysięcy siedemset dwadzieścia dwa.

Albertus Magnus obliczył wcześniej, że jeden chór anielski składa się z sześciu tysięcy sześciuset sześćdziesięciu sześciu legionów, a każdy legion z sześciu tysięcy sześciuset sześćdziesięciu sześciu aniołów; nawet bez znajomości liczby chórów wiadać, że daje to większą sumę. Zaś w Talmudzie rabi Jochanan stwierdził, że nowe anioły rodzą się „z każdym słowem, jakie wypowiada Święty, niech będzie błogosławiony”.

Jeśli rabi Jochanan ma rację, liczba aniołów jest nieskończona. Osobisty komputer Cunninghama, chociaż ma przepastną pamięć dodatkową i potrafi, jeśli Cun-

1522
ningham sobie tego zażyczy, podłączyć się do ogromnych serwerów w Departamencie Obrony, nie jest w stanie obliczyć nieskończoności. Ale Cunningham robi, co może.

Mieć tysiąc sto czternaście aniołów na twardym dysku, po zaledwie ośmiu miesiącach pracy po godzinach, to nie byle jakie osiągnięcie.

Jednym z jego ulubieńców jest obecnie Harahel, anioł archiwów, bibliotek i zabytkowych regałów. Cunningham zaszukawał Harahela jako anioła komputerów; wydaje się to odpowiednie. Często wzywa Harahela, by omawiać z nim coraz bardziej skomplikowane niuanse programowania.

Lecz pozostali jego ulubieńcy i jego sympatie sytuują się raczej po złowroziej stronie: Azrael, anioł śmierci, na przykład; i Arioch, anioł zemsty; oraz Zebuleon, jeden z dziewięciu aniołów, które będą rządziły po końcu świata. Praca Cunninghama, wy-

1523
konywana codziennie od ósmej rano do czwartej po południu, polega na tworzeniu programów wykrywających nadlatujące sowieckie rakiety nuklearne, i to, być może, kieruje jego uwagę ku bardziej apokaliptycznym członkom anielskiej czeredy.

Wzywa teraz Harahela. Ma dla niego złe wieści. Inwokacja, której używa, to standardowa wersja z dzieła Arthura Edwarda Waite'a, zatytułowanego „Legemeton, czyli mniejszy klucz Salomona”, i przyporządkował określony klawisz jej odnośnikowi, tak że wystarczy jeden ruch palca, żeby ją uruchomić. „Wzywam, przyzywam i nakazuję tobie, o duchu X, byś ukazał i pojawił się przede mną w tym Kręgu w widocznym i przystojnym kształcie”, tak brzmią jej pierwsze słowa, po czym wykorzystuje ona liczne

tajemne i potężne imiona Boga w celu wywołania anioła X – imiona takie jak Zabaoth, Elion, czy, naturalnie, Adonai 1524

– i kończy się „Z mocą nakazuję tobie, byś pojawił się przede mną i wykonał moją wolę we wszystkich rzeczach, które wydają mi się słuszne. Przybądź zatem, bez zwłoki, widoczny, uległy i przyjazny, przemawiając czystym i pięknym głosem, zrozumiale i wyraźnie". Wszystko to trwa zaledwie ułamek sekundy, i jeszcze chwilę na wczytanie imienia Harahela zamiast

„ducha X", po czym anioł pojawia się na ekranie.

– Jestem na twoje wezwanie – powiada tenże z nadzieją.

Cunningham zajmuje się swoimi aniołami codziennie od piątej do siódmej po południu. Potem je kolację. Mieszka sam, w małym schludnym mieszkanku kilka przecznic na

zachód od Bayshore Freeway, i nie spędza zbyt wiele czasu pośród innych.

Uważa siebie za przyjemnego, towarzyszy-1525

skiego człowieka, i rzeczywiście może mieć rację, ale ścieżka jego życia jest pusta. Ma trzydzieści siedem lat, metr osiemdziesiąt pięć wzrostu, rude włosy, jasnoniebieskie oczy i lekko piegowate policzki.

Magisterium zrobił w Cal Tech, doktorat w Stanford, i przez ostatnie dziewięć lat zajmował się ściśle tajnymi projektami komputerowymi o przeznaczeniu wojskowym w północnej Kalifornii. Nigdy się nie ożenił. Czasem ponownie pracuje ze swoimi aniołami po kolacji, od ósmej do dziesiątej, ale rzadko kiedy po tym czasie. O dziesiątej kładzie się spać. Jest człowiekiem bardzo metodycznym.

Nadał Harahelowi fizyczny kształt swojego pierwszego komputera, małego lam-powego TRS-80, ze skrzydłami naokoło ekranu. Pierwotnie chciał, żeby jego anioły wyglądały bardziej abstrakcyjnie – Harahel jako wiązanka kilobajtów, na przykład –

1526

ale jak wiele jego najlepszych i najbardziej ascetycznych pomysłów, okazało się to trudne do wykonania, jako że nie potrafił

przekładać abstrakcyjnych koncepcji na konkretne formy.

– Chcę cię powiadomić – oznajmia Cun-

ningham – o zmianie kompetencji. – Rozmawia ze swoimi aniołami po angielsku.

Wie z dobrego, choć apokryficznego źródła,

że pierwotnym językiem aniołów jest hebrajski, ale syntezytor mowy w jego komputerze nie posiada znajomości tego języka, podobnie jak on sam. Anioły jednak chętnie rozmawiają z nim po angielsku: nie mają wyboru.

– Od tej pory – mówi Cunningham do

Harahela – twój obszar działania ograniczony jest do sprzętu.

Gniewne zielone linie przecinają ekran Harahela.

– Jakim prawem...

1527

– To nie jest kwestia prawa – odpowiada Cunningham gładko. – To kwestia precyzji. Właśnie wpisałem Vretila do bazy danych i muszę zaprogramować jego funkcje. To on w końcu jest aniołem rejestrują-

cym. Tak więc, do pewnego stopnia, jego obszar działania pokrywa się z twoim.

– Ach – mówi Harahel melancholijnie. –

Miałem nadzieję, że nie będziesz się nim przejmował.

– Jakże mógłbym pominąć tak istotnego anioła? „Tego, który zapisuje wiedzę Najwyższego” wedle Księgi Enocha. „Tego, który przechowuje niebiańskie księgi i zapiski. Bystrzejszego od wszystkich pozostałych archaniołów”.

– Jeśli jest tak bystry – odpowiada Harahel ponuro – jemu przydziel sprzęt. To sprzęt odpowiada za czas reakcji.

– Rozumiem. Ale on archiwizuje listy.

To jest baza danych.

1528

– A gdzie znajduje się baza danych? W sprzęcie!

– Słuchaj, nie przychodzi mi to łatwo –

mówi Cunningham. – Ale muszę być sprawiedliwy. Zgadzasz się, jak rozumiem, że pewien podział obowiązków jest konieczny. Więc przydzielam mu wszystkie bazy danych i pokrewne oprogramowanie. Ty zatrzymaj resztę.

– Ekran. Klawiaturę. Jednostki centralne. Nic ciekawego.

– Ale bez ciebie on jest niczym, Harahe-lu! Poza tym, zawsze miałeś pod sobą regały, nieprawdaż?

– Oraz archiwa i biblioteki – mówi anioł. – Nie zapominaj o tym.

– Nie zapominam. Ale czym jest biblioteka? Czy są to książki, półki i regały, czy też słowa na papierze? Musimy odróżnić pojemnik od rzeczy w nim zmagazynowanej.

1529

– Gramatyk – wzdycha Harahel. – Rozdzielacz włosa na czworo. Kazuista.

– Posłuchaj, Vretil też chciałby dostać sprzęt. Ale jest gotów pójść na kompromis.

A ty?

– Każdego dnia coraz mniej przypomi-

nasz mi naszego programistę, a coraz bardziej Wszchemogącego – rzece Harahel.

– Nie bluźnij – mówi Cunningham. –

Proszę. Czy to ustalone? Tylko sprzęt?

– Wygrałeś – odpowiada anioł. – Jak zwykle zresztą.

Jak zwykle. To Cunningham trzyma ręce na klawiaturze, kontrolując wszystko.

Anioły, chociaż są dość elokwentne i mają wyraźne, żywe osobowości, są zaledwie magnetycznymi impulsami głęboko w komputerze. W jakimkolwiek starciu z Cunninghamem nie mają szans. Cunningham, chociaż zawsze stara się grać zgod-1530

nie z regułami, zdaje sobie z tego sprawę, i one również.

Myślenie o tym sprawia, że czuje się nieswojo, ale rola, którą gra, jest zdecydowanie boska pod każdym względem.

Umieszcza anioły w komputerze; przydziela im zadania, osobowości i fizyczny wygląd; przyzywa je albo ignoruje, wedle życzenia.

Rola boska, tak. Ale Cunningham nie chce przyjąć tego do wiadomości. Nie wierzy, że próbuje być Bogiem; nie chce nawet myśleć o Bogu. Jego rodzina miała dobre stosunki z Bogiem – wujek Tim był

księdzem, parę pokoleń wstecz znalazł się jakiś arcybiskup, jego rodzice i siostry czuli się w obecności Boga równie komfortowo jak w gorącej kąpieli – ale on sam, nie-zdolny zdefiniować

Boga liczbowo, wolał

odrzucać każdą związaną z tym myśl. Były inne, bardziej niecierpiące zwłoki sprawy, 1531 które zajmowały jego uwagę. Jego matka pragnęła, żeby wstąpił w stan kapłański, lecz Cunningham uniknął tego losu demonstrując tak widoczne i wirtuozerskie zdolności matematyczne, że nawet ona widziała, że jego przeznaczeniem jest nauka.

Potem modliła się o Nobla z fizyki dla niego; on jednak wybrał informatykę.

– Cóż – powiedziała – Nobel z komputerów. Codziennie proszę o to Świętą Dziewicę.

– Nie ma Nobla z komputerów, mamo –

powiedział jej. Ale podejrzewa, że nadal recytuje nowenny na to konto.

Projekt z aniołami zaczął się jako hob-by, ale szybko przerodził się w obsesję.

Czytał stary „Słownik Aniołów” Gustava Davidsona i kiedy natrafił na opis anioła Adramelecha, który zbuntował się razem z szatanem i został usunięty z nieba, Cunningham pomyślał, że zabawnie byłoby stwo-1532

zyć symulację komputerową i porozmawiać z wyrzutkiem. Davidson twierdził, że Adramelecha przedstawiano czasem jako skrzydlatego i brodatego lwa, czasem jako upierzonego muła, czasem jako gołębia, a kiedyś pewien poeta opisał go jako „nie-przyjaciela Boga, bardziej złowrogiego, podstępnego, ambitnego i szkodliwego niż sam szatan, złoczyńcę bardziej przekłete-go, większego hipokrytę”. To wywołało jego szczególne zainteresowanie. Cóż, dlaczego go nie stworzyć? Grafika była prosta

– Cunningham wybrał postać skrzydlatego lwa – lecz zaprogramowanie osobowości wymagało miesiąca wytężonej pracy i konsultacji ze specjalistami od sztucznej inteligencji z Instytutu Kestrela. Lecz wreszcie miał Adramelecha na twardym dysku, uprzejmego i diabolicznego, rozprawiającego przyjaźnie o swoim życiu jako asy-ryjskiego boga, i o rozmowach z Belzebu-1533 bem, który nazwał go Kanclerzem Porząd-ku Muchy (Wielkiego Krzyża).

Następnie Cunningham stworzył Asmodeusa, kolejnego upadłego anioła, o którym

powiadano, że był wynalazcą tańca, hazardu, muzyki, dramatu, francuskich mód i innych zbereżności. Cunningham nadał mu wygląd bardzo eleganckiego Irańczyka z Beverly Hills, z parą maleń-

kich skrzydełek przy kołnierzyku. To Asmodeus zasugerował Cunninghamowi kontynuację projektu, więc w następnej kolejności wywołał w komputerze Gabriela i Rafaela, żeby zagwarantować pewną równowagę pomiędzy dobrem i złem, a potem Forcasa, anioła, który czyni ludzi niewidzialnymi, przywraca utraconą własność, naucza logiki oraz retoryki w piekle, i w tym momencie Cunningham po-

łknął już haczyk.

Otoczył się tajemnymi księgami: miał

1534

apokryfy w redakcji M. R. Jamesa, „Księgę magii ceremonialnej” i „Świętą Kabałę”

Waite'a, „Teologię mistyczną” i „Hierarchie niebieskie” Dionizego Aeropagity oraz dziesiątki podobnych dzieł, które w gorączkowym ferworze ściągał z bazy danych uniwersytetu w Stanford. Skodyfiko-wawszy procedurę, potrafił stworzyć pięć, osiem, dziesięć aniołów w ciągu wieczora; którejs czerwcowej nocy, pracując do póź-

na, stworzył trzydzieści siedem. W miarę rozwoju populacja nabierała znaczenia i substancji,

bowiem jeden anioł nakładał

się na drugiego i zachowywały się teraz tak, jakby prowadziły ze sobą długie rozmowy, podczas gdy Cunningham był zaję-

ty czym innym.

Kwestia wiary w anioły, czy też w sa-

mego Boga, nigdy nie powstała w jego umyśle. Jego projekt był wyzwaniem czysto

technologicznym, nie eksperymentem 1535

teologicznym. Kiedyś, przy lunchu, powiedział koledze z pracy, czym się zajmuje, i reakcją było

chłodne, nierozumiejące spojrzenie.

– Anioły? Anioły? Unoszące się w po-

wietrzu dzięki wielkim klapiącym skrzydłom, powodujące cuda? Nie chcesz mi chyba

powiedzieć, że wierzysz w anioły, Dan? Na co Cunningham odparł:

– Nie musisz wierzyć w anioły, żeby się nimi posługiwać. Nie zawsze jestem pewien, że wierzę

w elektrony i protony.

Wiem, że nigdy ich nie widziałem. Ale wykorzystuję je.

– Do czego?

Ale Cunningham stracił już zainteresowanie rozmową.

Wieczory dzieli pomiędzy przywoływa-

nie swoich aniołów na rozmowę i wpisywanie nowych do ciągle rozrastającego się 1536

panteonu. Wymaga to systematycznych intensywnych badań, bowiem piśmiennictwo dotyczące

aniołów jest szczególnie obszerne, a on jest dokładny we wszystkim, co robi. Badania zajmują wiele czasu, chce bowiem, by jego anioły sprostowały każdemu akademickiemu testowi na autentyczność.

Nieustannie zagłębia się w takie dzieła jak siedmiotomowe „Legends of the Jews” Ginsberga,

„Eklodges of the Prophets” Klementa z Aleksandrii, „The Secret Doctrine” Blavatskiej.

Jest wczesny wieczór. Przyzywa Hagi-

tha, władcę planety Wenus oraz dowódcę czterech tysięcy legionów, i pyta go o szczegóły na

temat transmutacji metali, która jest specjalnością Hagitha. Wywołuje Hadranela, który wedle

wiedzy kabalistycznej jest odzwierciedleniem drugiej bramy Niebios i którego głos, kiedy ogłasza wolę

Pana, dociera do dwustu tysięcy wszech-1537

światów; pyta anioła o jego spotkanie z Mojżeszem, który zdradził mu Najwyższe Imię i wprawił

w drżenie. A potem Cunningham posyła po Israfela czteroskrzydłego, którego stopy znajdują się pod

siódmą ziemią, a głowa sięga do filarów boskiego tronu. To zadaniem Israfela będzie zadęcie w

trąbę, która ogłosi nadejście dnia Sądu Ostatecznego. Cunningham prosi go, by zagrał teraz parę

taktów na próbę – „wy-

łącznie jako ćwiczenie”, ale Israfel odmawia, twierdząc, że nie może dotknąć swojego

instrumentu, dopóki nie otrzyma sygnału, a takiej komendy, powiada anioł, nie ma nigdzie w

oprogramowaniu, jakie do tej pory stworzył Cunningham.

Kiedy ma już dość rozmów z aniołami,

zabiera się do programowania. Algorytmy stały się jego drugą naturą i po zebraniu odpowiednich

informacji potrafi wprowadzić anioły do komputera w ciągu kilku 1538

minut. Tego wieczora wprowadza kolejnych dziewięć. Potem otwiera piwo, siada wygodnie i

pozwala, by dzień powoli dobiegł końca.

Sądzi, iż rozumie, dlaczego tak głęboko zaangażował się w to przedsięwzięcie.

Dlatego, że codziennie ma do czynienia z kwestiami o przytłaczającym znaczeniu: chodzi, ni

mniej, ni więcej, o nadciągający koniec świata. Cunningham rutynowo zajmuje się symulacją

globalnego zniszczenia. Przez sześć godzin dziennie projektuje hipotetyczne sytuacje, gdzie kraj A ogłasza alarm bojowy, spodziewając się ataku ze strony kraju B, ten zaś, podejrzewając uderzenie uprzedzające, rozpoczyna działania obronne, co z kolei zmusza kraj A do eskalacji własnych poczynań, i tak dalej, aż bomby znajdują się w powietrzu. Jest świadom, podobnie jak wielu rozsądnie myślą-

cych ludzi, zarówno w kraju A, jak i kraju 1539

B, że szansa komputerowej pomyłki prowadzącej do nuklearnego holocaustu zwiększa się z każdym rokiem, w miarę jak maleje przedział czasowy dla skorygowania omyłki. Cunningham wie również coś, co oprócz niego wie bardzo niewielu ludzi, a być może nikt: że możliwe jest teraz przesłanie sygnału do gigantycznych komputerów – Naszych czy Ich, nie ma to znaczenia – który nie będzie różnił się niczym od impulsów, jakie rzeczywiście wysyła lecąca rakietą wyposażona w głowice nuklearne. Jeśli taki sygnał przedostanie się do systemu, potrzeba będzie minimum jedenastu minut, by ponad wszelką wątpliwość ustalić jego autentyczność. Obecnie jest to o wiele za długi okres oczekiwania na decyzję, czy rakiety rzeczywiście nadlatują, konieczna jest dużo szybsza reakcja.

Cunningham, kiedy zaprogramował

swój sygnał symulujący atak raketowy, od 1540

razu pomyślał o jego zniszczeniu. Ale nie mógł się do tego zmusić: instrukcja była zbyt elegancka, zbyt perfekcyjnie napisana. Z drugiej strony, bał się o niej komukolwiek powiedzieć, z obawy, że natychmiast zostanie utajniona i jego dostęp do niej odcięty. Nie chce tego, ponieważ marzy o znalezieniu dla niej antidotum, czegoś w rodzaju myślącego programu kon-

trolnego, który odróżni wszystkie prawdziwe alarmy od fałszywych. Kiedy będzie miał już taki program, przedstawi oba dzieła, łącznie, Departamentowi Obrony.

Tymczasem dźwiga ciężar skrywania koncepcji o ogromnym znaczeniu strategicznym. Nigdy wcześniej nie pozwolił sobie na coś takiego. I nie łudzi się myśleniem, że jego umysł jest wyjątkowy: jeśli on mógł coś takiego zaprojektować, ktoś inny zapewne też mógłby to zrobić, być może ktoś po drugiej stronie. Prawda, jest to bez-1541

użyteczny, samobójczy program. Ale nie byłby to pierwszy samobójczy program stworzony dla potrzeb wojska.

Wie, że musi przedstawić zwierzchnikom swój generator fałszywych sygnałów, zanim upłynie więcej czasu. I pod ciężarem tej wiedzy zaczyna wykazywać wyraźne oznaki załamania. Coraz mniej kontaktuje się z ludźmi, ma nieprzyjemne sny i powtarzające się okresy bezsenności, stracił apetyt i wygląda mizernie. Projekt anielski jest jego jedyną użyteczną rozrywką, jedynym urozmaiceniem, jedyną drogą ucieczki.

Niezależnie od prowadzonych skrupulatnie badań, Cunningham nie zawahał się stworzyć anioły zupełnie samodzielnie.

Uraniel jest jednym z nich: anioł radioaktywnego rozpadu, z twarzą pokrytą łuską wirujących elektronów. Wymyślił również 1542

Dimitriona: anioła literatury rosyjskiej, z saniami zamiast skrzydeł i ośnieżonym samowarem w miejsce głowy. Cunningham

nie ma wyrzutów sumienia z powodu tych kaprysów. To w końcu jego komputer i jego program. I wie, że nie jest pierwszym, który wymyślał anioły. Blake stworzył w swoich poematach całe ich zagony: Urize-na, Orca, Enitharmona i innych. Milton, jak podejrzewa, zaludnił „Raj utracony” dziesiątkami duchów własnego pomysłu.

Gurdziejew, Aleister Crowley, a nawet papież Grzegorz Wielki mieli swój udział w powiększaniu

anielskiego oddziału: dlaczego więc nie Dan Cunningham z Palo Alto w Kalifornii? Tak więc od czasu do czasu wymyśla coś swojego. Ostatnim jego dokonaniem jest mroczny władca Basileus, któremu Cunningham nadał tytuł

Cesarza Aniołów. Basileus jest wciąż niekompletny: Cunningham nie zaprojektował 1543

jeszcze jego fizycznego wyglądu ani konkretnych funkcji, poza uczynieniem go głównym administratorem anielskiej hor-dy. Jest jednak coś niezadowolającego w wymyślaniu nowego archanioła, kiedy istnieje już sztab główny w osobach Gabriela, Rafaela i Michaela. Basileus potrzebuje dopracowania. Cunningham odkłada go na bok i zaczyna wklepywać Dumę, anioła milczenia i śmierci, tysięcznego, uzbrojonego w ognistą różdżkę. Jego anioły stają się coraz bardziej i bardziej mroczne.

W pewien niżowy, dżdżysty wieczór pod koniec października kobieta z San Francisco, którą kiedyś poznał, dzwoni, by zaprosić go na przyjęcie. Nazywa się Joanna; ma trzydzieści kilka lat, jest biologiem pracującym w jednej z małych firm bio-technologicznych w Berkeley; Cunningham miał z nią przelotny romans pięć czy 1544

sześć lat wcześniej, kiedy mieszkała w Stanford, i od tamtego czasu kontaktują się ze sobą nieregularnie, z długimi przerwami pomiędzy kolejnymi spotkaniami. Nie miał od niej wiadomości od ponad roku.

– Towarzystwo będzie interesujące –

mówi Joanna. – Futurolog z Nowego Jorku, Thomson, ten od socjobiologii, kilku poetów wideo, ktoś od badań nad językiem szympanсів i reszty nie pamiętam, ale wszyscy sprawiają wrażenie gości pierwsza klasa.

Cunningham nienawidzi przyjęć. Nudzą

go i drażnią. Nieważne, jak wspaniali są goście, sądzi, że prawdziwa wymiana idei niemożliwa jest w dużej, przypadkowo zebranej grupie, i najlepsze, na co można mieć nadzieję, to przyjemne pogawędki o niczym. Wolałby być ze swoimi aniołami, niż marnować wieczór w taki sposób.

Z drugiej strony, już od tak dawna nie 1545

udzielał się towarzystwo, że ma trudności z przypomnieniem sobie, kiedy miało miejsce ostatnie spotkanie. I przez całe życie powtarzał sobie, że powinien częściej wychodzić. Lubi Joannę, sądzi, że powinni się spotkać, i obawia się, że jeśli jej odmówi, może nie usłyszeć o niej przez następne kilka lat. A łagodny szum deszczu, po długich suchych miesiącach lata, sprawił, że czuje się w niezwykle sposób rozluźniony, otwarty i dostępny.

– W porządku – odpowiada. – Chętnie przyjdę.

Przyjęcie odbywa się w San Mateo, w

sobotę. Zapisuje adres. Mają się spotkać na miejscu. Być może potem pojedą do niego, sądzi: San Mateo leży zaledwie kwadrans drogi od jego domu, a ona będzie miała o wiele dalej do San Francisco. Te rozważania zaskakują go. Myślał, że już zupełnie przestał się nią interesować w ten sposób; 1546

w gruncie rzeczy myślał, że już kimkolwiek przestał się w ten sposób interesować.

Trzy dni przed przyjęciem postanawia zadzwonić do Joanny i odwołać spotkanie.

Konieczność przebywania w pomieszczeniu pełnym obcych przeraża go. Nie rozumie, dlaczego w ogóle się na to zgodził.

Lepiej zostać w domu i spędzić długi deszczowy wieczór na wymyślaniu aniołów i rozmowach z Urielem, Ithuriel, Rafael, Gabrielem.

Lecz kiedy zmierza w stronę telefonu, owo świeże pragnienie samotności znika równie szybko, jak się pojawiło. Chce jechać na przyjęcie. Chce zobaczyć Joannę: i to bardzo, w gruncie rzeczy. Zaskakuje go odkrycie, że naprawdę pożąda zmiany w swojej rutynowej egzystencji, jakiejś ucieczki od małego mieszkanka, od płąta-1547

niny komputerowych kabli, nawet od cy-frowych aniołów.

Cunningham wyobraża sobie siebie na przyjęciu, w jakimś jasno oświetlonym pomieszczeniu w ładnym domu z drewna se-kwojowego i szkła pośród wzgórz nad San Mateo. Stoi tyłem do wielkiego przyciem-nianego okna, z drinkiem w dłoni, i trzyma się dzielnie, dominuje wśród rozmówców, fascynuje wszystkich barwnymi opowie-

ściami o świecie aniołów.

– Tak. Jest ich trzysta milionów – mówi

– i każdy ma właściwą mu funkcję. Wiecie, anioły nie mają wolnej woli. Doktryna kościelna mówi, że rodzą się z nią, ale w momencie przyjścia na świat mają do wyboru opowiedzieć się za Bogiem albo przeciwko Niemu, i wybór jest nieodwołalny.

Kiedy już zadecydują, są na zawsze przy-dzielone, po stronie dobra albo po stronie zła. Och, i anioły rodzą się również obrze-1548

zane. W każdym razie Anioły Oczyszczające i Anioły Chwalebne, i być może siedemdziesiąt spośród Aniołów Obecności.

– Czy to oznacza, że wszystkie anioły są płci męskiej? – pyta szczupła, ciemnowłosa kobieta.

– Dokładnie rzecz biorąc, są bezcielesne i jako takie pozbawione płci – odpowiada Cunningham.

– Lecz w gruncie rzeczy reli-gie, które wierzą w anioły, to głównie reli-gie patriarchalne, i kiedy anioły są wizuali-zowane, zazwyczaj przybierają postać mę-

ską. Chociaż niektóre z nich najwyraźniej potrafią zmieniać płeć wedle uznania. Milton powiada w „Raju utraconym”- „Duchy, gdy zechcą, mogą każdą płeć przyjąć, lub obie; tak delikatna i jednorodna jest ich esencja czysta”. Z kolei niektóre anioły od początku pomyślane były jako kobiety.

Mamy na przykład Szekinę, „oblubienicę Pana”, manifestację Jego chwały zamiesz-1549

kującej w ludziach. Dalej, Sofia, anioł mą-

drości. I Lilith, pierwsza żona Adama, demon pożądania...

– Czy demony uważa się zatem za anio-

ły? – chce wiedzieć wysoki mężczyzna o wyglądzie profesora uniwersytetu.

– Oczywiście. Są one aniołami, które opowiedziały się przeciwko Bogu. Lecz nadal aniołami, nawet jeśli my, śmiertelnicy, postrzegamy ich aspekty jako demoniczne czy diaboliczne.

I tak dalej i dalej. Wszyscy słuchają, jakby był posłańcem samego Boga. Opowiada o hierarchiach anielskich – serafi-nach, cherubinach, tronach, dominacjach, pryncypatach, potęgach, cnotach, archaniołach i aniołach – i mówi im o różnych listach siedmiu głównych aniołów, które tak różnią się od siebie; gdy wymienią Michaela, Gabriela i Rafaela, opowiada ze swadą o dziewięćdziesięciu tysiącach anio-1550

łów zniszczenia i o trzystu aniołach świetlistych; przyzywa siedem aniołów z siedmioma trąbami cytowanych w Apokalipsie Świętego Jana; mówi, które anioły władają siedmioma dniami tygodnia, a które godzinami dnia i nocy; sypie jak z rękawa cu-downnymi anielskimi imionami, Zadkiela, Hashmala, Orphaniela, Jehudiela, Phalega, Zagzagela. Wszystko to zdaje się nie mieć końca. Jest u szczytu chwały. Jest fontanną tajemnej wiedzy. Potem nastrój uniesienia mija. Jest sam w pomieszczeniu; gorliwa widownia zniknęła. Znowu myśli, że daruje sobie wyjazd na przyjęcie. Nie. Nie. Pojedzie. Chce zobaczyć Joannę.

Wraca do komputera i przed pójściem spać wywołuje jeszcze dwa anioły: Lewia-tana i

Behemota. Behemot to anioł o postaci wielkiego hipopotama, bestia ciemności, anioł chaosu.

Lewiatari jest jego towarzy-szem, potężną wielorybicą, wspaniałym 1551

wężem morskim. Tańczą dla niego na ekranie. Ogromna paszcza Behemota rozwiera się szeroko. Lewiatan rozdziawia gębę jeszcze szerzej. „Jesteśmy głodni –

mówią mu. – Kiedy pora karmienia?”. Wedle wiedzy rabinicznej tych dwóch połknie wszystkie przeklęte dusze na końcu dni.

Cunningham ciska im garść elektronicz-nych sardynek i odsyła obu. Zamykając oczy, inwokuje Poteha, anioła zapomnienia, i zapada w czarny, pozbawiony marzeń sen.

Następnego ranka pracuje przy swoim biurku nad standardowym elementem, programem usuwającym przekłamania dla satelity szpiegowskiego trzeciego kwadranta, kiedy nagle zaczyna się niepowstrzymanie trząść. Nigdy wcześniej mu się to nie przydarzyło. Paznokcie ma prawie białe, nad-garstki sztywne, dłonie mu drżą. Przeszy-1552

wają go dreszcze. Czuje się tak, jakby nie spał od wielu dni. W łazience opiera się o umywalkę i patrzy na swoją bladą, spoconą twarz. Ktoś podchodzi od tyłu i pyta:

– Wszystko w porządku, Dan?

– Tak. To tylko niewielki atak mdłości.

– Wszystkie te prywatki w środku tygodnia doprowadzają człowieka na skraj przepaści – powiada ten drugi i odchodzi.

Towarzyskie wymogi zostały zachowa-

ne: pytanie, niezobowiązująca odpowiedź, żart, pożegnanie. Mógłby dostać ataku serca i obaj zachowaliby się identycznie.

Cunningham nie ma przyjaciół w biurze.

Wie, że uważają go za ekscentryka – ekscentryka w negatywnym sensie, nie kogoś energicznego i pełnego pomysłów, raczej za osobliwego pustelnika – i że jest coraz gorzej. Mógłbym zniszczyć świat, myśli.

Mógłbym iść do Centrali, stukać w klawiaturę przez piętnaście sekund, i minutę póź-

1553

niej bylibyśmy w stanie alarmu, a sześć minut później z nieba poleciałyby pierwsze bomby.

Mógłbym posłać ten sygnał. Naprawdę mógłbym to zrobić. Mógłbym to zrobić choćby teraz.

Ogarniają go fale mdłości i chwyta się krawędzi umywalki, aż ostatni skurcz prze-mija. Potem obmywa twarz i już spokojniejszy wraca do swojego biurka wpatry-wać się w małe zielone symbole na migo-czącym ekranie.

Tego wieczora, wciąż próbując znaleźć zajęcie dla Basileusa, odkrywa, że nieustannie myśli o demonach, i o jednym demonie nieistniejącym w klasycznej demonologii – demonie Maxwella, tym, za pomocą którego fizyk James Clerk Maxwell proponował posyłać szybko poruszające się molekuly w jedną stronę, a powolne w drugą, stwarzając w ten sposób niezwykle 1554

efektywną metodę ogrzewania i chłodzenia. Być może Basileusowi należy przy-dzielić rolę kogoś w rodzaju filtra. Tydzień wcześniej kilka wyższych aniołów skarży-

ło się na nadmiernie bliską w pamięci komputera obecność ich upadłych pobra-tymców. – Na tym dysku nieprzyjemnie czuć siarką – powiedział Gabriel. – Cunningham zastanawia się, czy mógłby uczynić z Basileusa kogoś w rodzaju sterujące-go ruchem w ramach programu: niech siedzi tam i kieruje anioły niebiańskie do jednego sektora pamięci, a upadłe do drugiego.

Idea przemawia do niego przez jakieś trzydzieści sekund. Potem dostrzega, jak bardzo jest trywialna. Nie potrzebuje anio-

ła do takiej pracy; wystarczy niewielki program. Cunningham stosuje się do katego-rycznego

imperatywu Kanta: nigdy nie używaj anioła jako zwykłego programu.

1555

Uśmiecha się, być może po raz pierwszy od tygodnia. Cóż, nie potrzebuje nawet programu. Poradzi sobie sam, po prostu przydzielając księżęta Niebios do jednego pliku, a demony do innego. Dotąd takie dzielenie ich nie wydawało się konieczne, bowiem uczyniłby to niezwłocznie, ale skoro teraz zaczęły narzekać...

Zaczyna pisać program rozdzielający pliki. Powinno to zająć mu kilka minut, ale pracuje nieporządnie, jakby bezmyślnie, w nietypowy dla siebie, chaotyczny sposób.

Jednym ruchem ręki wymazuje to, co napisał. Gabriel będzie musiał jeszcze przez trochę znieść nieprzyjemny odór siarki, myśli.

W skroniach czuje tępy, pulsujący ból.

Ma spieczone usta i sucho w gardle. Basileus też będzie musiał trochę poczekać.

Cunningham wklepuje kolejnego anioła, pozwalając palcom, by wybrały za niego, i 1556 po chwili widzi przed sobą anioła o nieru-chomej twarzy i lśniącej metalowej skórze.

Jeden z wcześniejszych, zdaje sobie sprawę.

– Nie pamiętam twojego imienia –
mówi. – Kim jesteś?

– Jestem Anaphaxeton.

– A twoja funkcja?

– Kiedy moje imię zostanie wymówione

na głos, sprawię, że anioły wezwą cały wszechświat przed oblicze sprawiedliwości w dniu Sądu Ostatecznego.

– O Jezu – wzdycha Cunningham. – Nie
chcę ciebie dzisiaj.

Odsyła Anaphaxetona i po chwili znaj-

duje się w towarzystwie ciemnego anioła Apollyona, bosonogiego, pokrytego łuską, ze smoczymi skrzydłami, dzierżącego klucze do Otchłani.

– Nie – mówi Cunningham i przyzywa
Michaela, stojącego z obnażonym mie-

czem nad Jerozolimą, odsyła go tylko po to, by ujrzeć na ekranie anioła o siedemdziesięciu
tysiącach stóp i czterech tysią-

czach skrzydeł, Azraela, anioła śmierci.

– Nie – powtarza. – Nie ty. O Chryste! –

Mściwa armia wypełnia jego komputer.

Przez ekran przetacza się trzepocząca masa skrzydeł, oczu i dziobów. Drży i wyłącza komputer na
dobre. Jezu, myśli, Jezu, Jezu, Jezu. Przez całą noc słońca eksplodują w jego umyśle.

W piątek kierownik Cunninghama, Ned

Harris, podchodzi do jego biurka nienaturalnie swobodnym krokiem i pyta, czy robi coś
specjalnego w weekend. Cunningham wzrusza ramionami.

– Idę na przyjęcie w sobotę wieczorem, to wszystko. Dlaczego pytasz?

– Myślałem, że może wybierasz się na

ryby albo coś w tym guście. Zdaje się, że to ostatni ładny weekend przed porą desz-

czową, nie uważasz?

– Nie jestem wędkarzem, Ned.

– Wybierz się gdzieś. Pojedź do Monte-rey. Albo do krainy wina.

– Do czego zmierzasz?

– Myślę, że przydałaby ci się mała zmiana tempa – mówi Harris przyjaźnie. – Parę dni wolnego.

Pracujesz tak intensywnie, że zaczyna się to na tobie odbijać.

– Czy to aż tak oczywiste?

Harris kiwa głową.

– Wydajesz się zmęczony, Dan. To wi-

dać. Jesteśmy tutaj kimś w rodzaju kontrolerów ruchu powietrznego, pracujemy tak ciężko, że zaczynamy śnić o błyskach na ekranie. To niedobrze. Wyjedź z miasta, chłopie. Departament Obrony przez kilka dni da sobie radę bez ciebie. W porządku?

Weź wolne w poniedziałek. Nawet we wtorek. Nie mogę pozwolić, żeby ktoś obdarzony tak nieprzeciętnym umysłem sła-

niał się ze zmęczenia, Dan.

– W porządku, Ned. Pewnie. Dzięki.

Dłonie ponownie mu drżą. Paznokcie ma zupełnie białe.

– I zacznij wcześniej weekend. Nie ma powodu, żebyś sterczał tutaj do czwartej.

– Jeśli to jest porządku...

– Znikaj. Nic nie mów!

Cunningham robi porządek na biurku i

niepewnie wychodzi z budynku. Strażnicy pozdrawiają go przyjaźnie. Wszyscy wydają się wiedzieć, że odesłano go do domu wcześniej. Czy tak właśnie ogląda załama-nie w pracy? Przez chwilę błądzi po parkingu, nie pamiętając, gdzie zostawił samochód. Wreszcie go znajduje i jedzie do domu pięćdziesiątką, nieustannie pogania-ny przez innych kierowców klaksonami.

Siada zmęczony przed swoim kompute-

rem i uruchamia system, przywołując Harahela. Z pewnością anioł komputerów nie 1560 będzie niepokoił go żadnymi poważnymi kwestiami.

Harahel mówi:

– Cóż, udało nam się załatwić za ciebie kwestię Basileusa.

– Tak?

– Uriel dał podstawową ideę, na podstawie twoich przemyśleń na temat Demona Maxwella.

Israfael i Azrael nieco ją rozwinęli. To, czego potrzeba, to anioła uosabia-jącego sprawiedliwość i łaskę boską. Ko-goś w rodzaju sędziego, filtratora. Tego, który waży uczynki i Wydaje werdykt.

– Co w tym nowego? – pyta Cunningham. – Ktoś taki istnieje w każdej mitologii, od Sumeru i Egiptu poczynając. Za-msze istnieje mechanizm oceniania dusz zmarłych – ten idzie do raju, ten do piekła...

– Poczekaj – mówi Harahel. – Jeszcze

nie skończyłem. Nie mówię tutaj o ocenia-

niu indywidualnych dusz.

– O czym zatem?

– O światach – odpowiada anioł. – Basileus będzie sędzią światów. Poddaje on ocenie całą planetę i decyduje, czy nadszedł jej czas.

– Jako część mechanizmu Sądu?

– Właśnie. To on przedstawia materiał

dowodowy Bogu i pomaga mu podjąć de-

cyzję. I to on daje znak Israfaelowi do za-dęcia w trąbę, i to on przywołuje Anaphaxetona, żeby wezwał wszystkich przed oblicze Sprawiedliwości. Jest głównym anio-

łem Apokalipsy, niszczycielem światów. I pomyśleliśmy, że mógłbyś nadać mu wygląd...

– Och – przerywa mu Cunningham. –

Nie teraz. Porozmawiajmy o tym innym razem.

Wyłącza komputer, nalewa sobie drinka i siedzi, wpatrując się w wielkie drzewo 1562 eukaliptusowe za oknem. Po jakimś czasie zaczyna padać. Niezbyt dobry weekend na wyjazd za miasto, myśli. Nie włącza już komputera tego wieczora.

Mimo wszystko Cunningham jedzie na przyjęcie. Joanny tam nie ma. Zadzwoiła, żeby odwołać spotkanie, późno w sobotę po południu, tłumacząc się przeziębieniem.

Nie wykrywa oznak przeziębienia w jej głosie, ale być może mówi prawdę. Albo znalazła sobie jakieś lepsze zajęcie na sobotni wieczór. On jednak jest już przygotowany do wyjazdu na przyjęcie i tak zmę-

czony, tak wypalony, że łatwiej jest mu zrealizować pierwotny plan niż zadawać sobie trud jego zmiany. Tak więc około ósmej wieczorem, chociaż lekko mży, jedzie do San Mateo.

Przyjęcie odbywa się nie na wspaniałych wzgórzach na zachód od miasta, ale w 1563 małym, ciasnym mieszkaniu, położonym blisko centrum, z meblami, które wydają się pochodzić ze studenckich czasów gospodarza. Tani sprzęt odtwarza popularne przeboje sprzed dziesięciolecia, a migający ekran zapewnia tandetne efekty świetlne.

Gospodarz jest kimś w rodzaju specjalisty od marketingu w dużej firmie produkującej gry wideo z San Jose i większość jego go-

ści również, wydaje się, że są pracownikami dużych firm. Futurolog z Nowego Jorku przeprasza, ale ma inne plany; słynny socjolog nie dojechał; poeci wideo z San Francisco to dwaj geje, którzy rozmawiają tylko ze sobą i nie oddalają się za bardzo od baru; specjalista od nauki szympanów mowy jest już czerwony i spocony na twarzy wskutek wypitego alkoholu i usilnie podrywa pulchną kobietę obwieszoną astrologiczną biżuterią. Cunningham, odrętwiały, dryfuje przez przyjęcie, 1564

jakby był zrobiony z ektoplazmy. Z nikim nie rozmawia; nikt nie odzywa się do niego. Otwarte butelki z czerwonym winem stoją na stoliku przy oknie, nalewa sobie kieliszek. Stoi tam, nieruchomy, sparaliżowany inercją. Wyobraża sobie, że nagle rozpoczyna przemowę na temat aniołów, opowiada wszystkim, jak Ithuriel dotknął

szatana swoją włócznią w rajskim ogrodzie, gdy Nieprzyjaciel zbliżył się do Ewy, jak hierarcha Ataphiel podtrzymuje Niebo trzema palcami, żeby nie spadło. Ale nie mówi nic. Po jakimś czasie podchodzi do niego szczupła, ekstrawagancko ubrana kobieta o błyszczących oczach i pyta:

– A ty czym się zajmujesz?

– Jestem programistą – odpowiada Cunningham. – Głównie rozmawiam z aniołami. Ale zajmuję się również kwestiami bezpieczeństwa narodowego.

– Anioły? – powtarza kobieta i śmieje 1565

się perliście. – Rozmawiasz z aniołami?

Nigdy czegoś takiego nie słyszałam. – Nalewa sobie drinka i szybko odchodzi.

– Anioły? – mówi głośno kobieta od astrologii. – Czy ktoś mówił coś o aniołach?

Cunningham uśmiecha się, wzrusza ramionami i wygląda przez okno – Pada coraz mocniej. Powiniennem jechać do domu, myśli. Mój pobyt tutaj absolutnie nie ma sensu – Ponownie nalewa sobie wina. Facet od szympanów nadal

adoruje astroloż-

kę, ale ona wydaje się próbować od niego uwolnić i zbliżyć do Cunninghama. Żeby porozmawiać z nim o aniołach? Ma cięż-

kie piersi, oczy o rozszerzonych źrenicach i dość nieporządny wygląd. Nie chce rozmawiać z nią o aniołach. Nie chce rozmawiać o aniołach z nikim. Stoi na swoim miejscu przy oknie do momentu, gdy staje się jasne, że astrolożka zmierza w jego 1566

stronę; potem kieruje się ku drzwiom. Ona mówi:

– Słyszałam, że interesujesz się anioła-mi. Anioły to moja specjalność. Studiowałam z...

– Aniony – odpowiada Cunningham. –

Zajmuję się anionami. Tak właśnie powiedziałem. Jestem chemikiem.

– Poczekaj – mówi kobieta, ale wymija ją i wychodzi na zewnątrz. Długo trwa, zanim znajdzie kluczyki i otworzy samochód; deszcz moczy go doszczętnie, ale to mu nie przeszkadza. Dociera do domu na krótko przed północą.

Przywołuje Rafała. Wielki archanioł emanuje wspaniałą złotą poświatą.

– Ty będziesz Basileusem – mówi mu

Rafael. – Podjęliśmy taką decyzję głosząc, hierarchia za hierarchią. Wszyscy się zgadzają.

– Nie mogę być aniołem. Jestem czło-
1567

wiekiem – odpowiada Cunningham.

– Istnieje stosowny precedens. Enoch został zabrany do Nieba i stał się aniołem.

Podobnie jak Eljasz. Jan Chrzciciel był w rzeczywistości aniołem. Staniesz się Basileusem. Napisałiśmy już dla ciebie odpowiedni program. Jest na dysku; ściągnij go i zobaczysz. Twoja własna twarz spojrzy na ciebie z ekranu.

– Nie – mówi Cunningham.

– Jak możesz odmawiać?

– Czy naprawdę jesteś Rafaelem? Mówisz jak ktoś z drugiej strony. Kusiciel.

Asmodeus. Astaroth. Belfegor.

– Jestem Rafael. A ty jesteś Basileus.

Cunningham zastanawia się. Jest tak zmęczony, że ledwie myśli.

Anioł. Czemu nie? Deszczowa sobotnia

noc, kiepskie przyjęcie, łupiący ból głowy: wróć do domu, a przekonasz się, że uczyniono cię aniołem i wyznaczono wysokie 1568

miejsce w hierarchii. Dlaczego nie? Dlaczego, u diabła, nie?

– W porządku – mówi. – Jestem Basi-
leus.

Kładzie dłonie na klawiaturze i wystukuje prostą formułę, która płynie po sieci bezpośrednio do potężnych komputerów Departamentu Obrony w północnej Kalifornii. Zmieniając dwa znaki, wysyła ten sam sygnał do Rosjan. Dlaczego nie? Istotą bezpieczeństwa jest redukcja. Świata pozostało jeszcze około sześciu minut.

Cunningham zawsze był dobry w tym, co robił. Zna tajemny język komputerów jak mało kto przed nim.

Potem ponownie wywołuje na ekranie Rafaela.

– Powinieneś ujrzeć siebie jako Basileusa, póki jeszcze jest czas – mówi archanioł.

– Tak. Oczywiście. Jaki jest klawisz do-stępu?

1569

Rafael mówi mu. Cunningham zaczyna go wpisywać.

Chodź, Basileusie! Jesteśmy jednym!

Cunningham spogląda na ekran ze wzrastającym zdumieniem i radością, podczas gdy zegar nie przestaje tykać.

1570

LUCIUSS SHEPARD

ŁOWCA JAGUARÓW

(The jaguar hunter)

Przełożył Andrzej Ziembicki

Lucius Shepard jest najszybciej wschodzącą nową gwiazdą w nowelistyce science fiction – wiele zaś jego opowieści wykazuje znajomość Ameryki Łacińskiej, jej mieszkańców i ich życia. Niniejsze opowiadanie nie jest wyjątkiem. Czy jednak mamy do czynienia z fantasy, czy też jest to kolejna wersja historii o świecie znajdującym się w innym wymiarze?

Autor wyboru skłania się ku tej drugiej hipotezie.

1571

To dług jego żony wobec Onofria Este-

vesa, handlarza sprzętem elektrycznym, po raz pierwszy od niemal roku sprowadził

Estebana Caaksa do miasta. Z natury był

człowiekiem ceniącym nade wszystko rozkosze wiejskiego życia; niespieszny rytm rolniczego dnia dodawał mu sił, a noce spędzone przy ognisku na żartach i pogawędkach albo u boku żony, Incarnacion, sprawiały wielką przyjemność. Zdominowane przez spółkę owocową Puerto Mora-da ze swymi zgrajami ponurych psów i knajpami dudniącymi amerykańską muzyką było miejscem, którego unikał jak zarazy; w istocie z jego domu na szczycie góry, której zbocza tworzyły najdalej na północ wysuniętą granicę Bahia Onda, okalające zatokę przerdzewiałe blaszane dachy przypominały skorupę zakrzepłej

1572
krwi, jaką można niekiedy zobaczyć na ustach umierającego.

Jednak tego konkretnie ranka nie miał

innego wyboru i musiał odwiedzić miasto.

Incarnacion – bez jego wiedzy – nabyła u Onofria na kredyt zasilany bateryjnie odbiornik telewizyjny, Onofrio zaś groził za-jęciem na poczet długu wynoszącego osiemset lempirów trzech mlecznych krów Estebana; nie godził się na zwrot aparatu, przekazał natomiast wiadomość, że jest skłonny przedyskutować inną formę płat-ności. Gdyby Esteban utracił krowy, jego dochód spadłby poniżej poziomu zapew-niającego utrzymanie; z konieczności musiałby w takim wypadku wrócić do dawnej profesji, daleko bardziej uciążliwej niż rol-nictwo.

Schodząc z góry ścieżką wijącą się wśród spalonych słońcem zarośli, nad któ-
rymi królowały drzewa bananowców, obok

1573
chat z chrustu i słomy takich samych jak jego własna, nie myślał o Onofriu, lecz o Incarnacion.

Skłonność do pustoty leżała w jej naturze i wiedział o tym, kiedy się z nią żenił; a przecież telewizor był symbo-lem różnic, jakie powstały między nimi, odkąd ich dzieci osiągnęły dojrzałość. Za-częła przybierać wystudiowane pozy, na-igrawać się z wieśniaczych obyczajów Estebana i stanęła na czele grupy starszych niewiast, przeważnie wdów, z których wszystkie były nad wyraz przemądrzałe.

Siadały co noc wokół telewizora próbując przelicytować się w mądrych uwagach na temat amerykańskich filmów kryminalnych, jakie zwykle oglądały; i co noc Esteban siadywał przed chatą, smętnie dumając nad stanem swego małżeństwa. Był przekonany, że Incarnacion przez swą zażyłość z wdowami chce mu zakomunikować, że

oczekuje chwili, w której przywdzieje 1574

czarną suknię i szal, że teraz, skoro wypeł-

nił już swe zadania jako ojciec, jest dla niej tylko ciężarem. Choć miała dopiero czterdzieści

jeden lat, trzy lata mniej niż Esteban, rezygnowała stopniowo ze świata zmysłów; rzadko się teraz

kochali i był pewien, że wynika to częściowo z jej niechę-

ci wobec faktu, iż z nim wiek obszedł się łaskawie. Wyglądał jak jeden z Dawnych Patuków – wysoki, o ostro rzeźbionych rysach twarzy i szeroko osadzonych oczach; jego miedziana skóra była prawie bez zmarszczek, włosy zaś miał kruczoczarne.

Włosy Incarnacion przetykała siwizna, a czyste piękno jej członków utonęło w zwa-

łach tłuszczu. Nigdy nie oczekiwał, że pozostanie piękna, i próbował ją przekonać, że kocha w

niej kobietę, jaką jest, nie zaś dziewczynę, jaką była. Ale ta kobieta umierała, zarazona tą samą

chorobą, jaka toczyła Puerto Morada, i być może umiera-1575

ła także jego miłość do niej.

Pylista ulica, przy której mieścił się sklep ze sprzętem elektrycznym, biegła na tyłach kina oraz hotelu Circo Del Mar; z jej drugiej strony Esteban widział dwie dzwonnice kościoła Santa Maria del Onda, wystające nad dachem hotelu jak rogi wielkiego kamiennego ślimaka. Jako młodzieniec,

postępując zgodnie z życzeniem matki, która pragnęła, by został księdzem, spędził trzy lata w gmachu pod owymi wieżami, przygotowywany przez ojca Gonsalvo do seminarium. Tej części swego życia

żałował najbardziej, bowiem akademickie dyscypliny, które wówczas opanował, uczyniły zeń jakby

rozbitka rzuconego gdzieś między świat Indian a świat ludzi współczesnych; w duszy dochował wierności naukom ojca – o magii, historii plemienia, tajnikach przyrody – a przecież nie mógł oprzeć się wrażeniu, że mądrości 1576

te są albo przesadami, albo czymś po prostu nieistotnym. Cienie dzwonnicy legły na jego duszy równie wyraziście, jak na wybrukowanym dziedzińcu przed kościołem; ich widok kazał mu przyspieszyć kroku i opuścić oczy.

Nieco dalej mieściła się przy tej ulicy Cantina Atomica, punkt zborny dobrze sytuowanej młodzieży miasta, a po drugiej stronie – sklep ze sprzętem elektrycznym, parterowy budynek wykończony żółtym stiukiem, ze spuszczanymi na noc żaluzjami z giętkiego metalu. Fasadę zdobił fresk mający przedstawiać znajdujące się w środku towary: połyskliwe lodówki, telewizory i pralki, którym ogromu przydawali wymalowani u dołu maleńcy ludzie z rękami wzniesionymi do góry w geście zachwyty. Rzeczywisty towar był znacznie mniej imponujący i składał się głównie z radiodbiorników i używanego sprzętu ku-1577

chennego. Niewielu mieszkańców Puerto Mo – rada mogło sobie pozwolić na coś więcej, ci zaś, którzy mogli, zaopatrywali się z zasady gdzie indziej. Większość klienteli Onofria stanowili biedacy z wielkim trudem wywiązujący się z narzuconego przezeń systemu spłat; jego bogactwo wywodziło się w znacznym stopniu ze sprzedawania na okrągło tych samych, odzyskiwanych, przedmiotów.

Raimundo Esteves, blade młody człowiek o nabrzmiałych policzkach, ciężkich powiekach i złośliwie skrzywionych ustach, stał wsparty o ladę, kiedy wszedł

Esteban; uśmiechnął się z niechęcią, gwizdnął przenikliwie i parę sekund póź-

niej z pokoju na zapleczu wyłonił się jego ojciec: wielka bryła ludzkiego mięsa, bledsza nawet niż Raimundo. Jego plamistą łysinę kryły miejscami zaczesane do tyłu pa-semka ulizanych szarych

włosów, a brzuch 1578

rozpierał przód nakrochmalonej *guayabery*. Rozpromienił się i wyciągnął dłoń.

– Jakże miło cię widzieć – powiedział. –

Raimundo, przynieś nam kawę i dwa krzesła.

Mimo swej niechęci do Onofria Esteban nie mógł pozwolić sobie na grubiaństwo: uściśnął podaną dłoń.

Raimundo rozlewał kawę na spodeczki,

łomotał krzesłami i patrzył spode łba, zły, że kazano mu usługiwać Indianinowi.

– Dlaczego nie chcesz zwrotu telewizora? – spytał Esteban, kiedy już usiadł. A potem, nie

zdążywszy ugryźć się w język, dodał: – Czy naciąganie mojego ludu przestało być twoją zasadą?

Onofrio westchnął, jak gdyby wielce go wyczerpywało wyjaśnianie spraw takiemu głupcowi jak Esteban.

– Nie naciągam was. Wykraczam poza

literę umów, pozwalając zwrócić towar, 1579

zamiast dochodzić swego w sądzie. W

twoim jednak wypadku wpadłem na spo-

sób, który pozwoli ci zatrzymać telewizor bez dalszych spłat, a jednak wyrównać rachunki.

Czy to ma być naciąganie?

Dyskusja z człowiekiem, którego logika była giętka i egoistyczna, jak Onofria, miała się z celem.

– Powiedz, czego żądasz – rzekł Esteban.

Onofrio zwilżył swe wargi koloru surowej kiełbasy.

– Chcę, żebyś zabił jaguara z Barrio Carolina.

– Już nie poluję – odparł Esteban.

– Indianin się boi – wtrącił Raimundo, wystawiając głowę zza ramienia Onofria. –

Mówiłem ci.

Onofrio zbył go gestem dłoni i powie-

dział do Estebana:

1580

– To nierozsądne. Jeśli zabiorę ci krowy, znów będziesz polować na jaguary. Ale jeśli teraz się zgodzisz, będziesz musiał upolować tylko jednego jaguara.

– Jednego, który zabił już ośmiu łowców – Esteban odstawił swoją filiżankę i podniósł się. – To nie jest zwykły jaguar.

Raimundo roześmiał się obelżywie i Esteban przeszył go wzrokiem.

– Ach! – powiedział Onofrio ze swym

uśmieszkiem pochlebcy. – Ale żaden z tych ośmiu nie stosował twojej metody.

– Za pańskim pozwoleniem, don Onofrio – rzekł Esteban z udaną grzecznością.

– Mam jeszcze do załatwienia inne sprawy.

– Prócz wymazania długu zapłacę ci pięćset lempirów – zaproponował Onofrio.

– Dlaczego? – spytał Esteban. – Ze-chciej wybaczyć, ale nie mogę uwierzyć, że powoduje tobą

troska o dobro publicz-1581

ne.

Tłusta twarz Onofria pulsowała, a jego twarz okryła się mrokiem.

– Mniejsza o to – dodał Esteban. – I tak za mało.

– Więc dobrze. Tysiąc. – Obojętne zachowanie Onofria nie mogło skryć żądy w jego głosie.

Zaintrygowany, ciekaw, jakich granic sięgnie determinacja Onofria, Esteban wziął sumę z powietrza.

– Dziesięć tysięcy – oświadczył. I to z góry.

– Śmieszne! Za tyle mogę nająć dziesięciu myśliwych. Dwudziestu!

Esteban wzruszył ramionami.

– Ale ani jednego z moją metodą.

Przez moment Onofrio siedział ze splecionymi dłońmi i wyłamywał palce, jakby borykając się z jakimś oszukańczym pomysłem.

1582

– W porządku – wydusił wreszcie. –

Dziesięć tysięcy.

Powód zainteresowania Onofria Barrio Carolina stał się nagle oczywisty dla Estebana; zrozumiał, że zyski, o które tu idzie, uczynią jego zapłatę czymś żałośnie ma-

łym. Ale opętała go myśl, co może dlań oznaczać dziesięć tysięcy lempirów: stado krów, niewielką ciężarówkę do przewozu plonów albo – i po przemyśleniu sprawy pojął, że to możliwość najszcześniejsza –

ów mały domek w Barrio Clarin, którego Incarnacion pożałowała całym sercem. Może zmięknie wobec niego, gdy go kupią. Zauważył, że Raimundo wpatruje się weń z chytrym uśmiechem i że nawet Onofrio, choć wciąż wzburzony wysokością wynagrodzenia, poczyną zdradzać oznaki satysfakcji, poprawiając fałdy swej *guayabery* i przyglądając ulizane już włosy. Esteban czuł się upodlony faktem, iż mogą go ku-

1583
pić, przeto by zachować ostatnią drobinę godności, odwrócił się i wyszedł ze sklepu.

– Rozważę to – rzucił przez ramię – i dam wam odpowiedź rano.

„Nowojorski Departament Zabójstw” z łysym amerykańskim aktorem w roli głównej był tego wieczoru atrakcją programu telewizyjnego; wdowy siedziały po turecku na podłodze, wypełniając chatę tak kompletnie, że kuchenkę na węgiel drzewny i hamak wyniesiono na zewnątrz, by później przybyłym zapewnić możliwość oglądania.

Stojącemu w drzwiach Estebanowi wyda-

wało się, że jego dom padł ofiarą inwazji stada wielkich ptaków o zakapturzonych głowach, którym jądro migotliwego szarego klejnotu śle szatańskie nauki. Niechętnie przeciskając się między kobietami, dotarł do półek zawieszonych na ścianie za aparatem i sięgnąwszy ku najwyższej, wy-

1584
dobył podłużny pakunek w przesyconych oliwą gazetach. Kątem oka dostrzegł, że Incarnacion wpatruje się weń, a jej wargi wyciągają się i krzywią w uśmiechu; ów bazylijszkowy uśmiech zostawił ślad w sercu Estebana. Wiedziała, co zamierza uczynić, i radowała się! Nie czuła najmniejszej obawy! Być może wiedziała o uknutym przez Onofria planie zabicia jaguara, być może spiskowała z Onofriem, by jego, Estebana, wciągnąć w pułapkę! Rozwścieczone przepchnął się przez wdowy, które zaczęły mamrotać, podążył do swego gaju bananowego i siadł na kamieniu wśród drzew. Noc była pochmurna i tylko garstka gwiazd przezieriała spomiędzy postrzępionych, ciemnych liści, które – kołysane wiatrem – zbijały się w gęstwę i ocierały o siebie. Słyszał chrapanie jednej ze swoich krów i czuł intensywny odór *corralu*. Było tak, jakby cała trwałość jego życia zawarła

1585

się w tej wyizolowanej perspektywie, i dotkliwie to odczuwał. Mógł przyznać, że jego małżeństwo było pomyłką, ale nie potrafił przypomnieć sobie żadnego swojego uczynku, który stanowiłby dostateczne źródło nienawistnego uśmiechu Incarnacion.

Po chwili rozwinął pakunek z gazet i do-był maczetę o wąskim ostrzu. Była z tego rodzaju, jakiego używa się do obcinania kiści bananów, on jednak zabijał nią jaguary. Trzymał ją w dłoni i to starczyło, by wróciła mu pewność i poczucie siły. Minę-

ły cztery lata, odkąd polował po raz ostatni, a przecież wiedział, że nie utracił swego kunsztu. Niegdyś – jak przedtem jego ojca – okrzyknięto go największym myśliwym prowincji Nueva Esperanza i łowów nie porzucił z powodu wieku albo niedołę-

stwa, ale dlatego, że jaguary były piękne, a ich uroda zaczęła przeważać nad powoda-1586 mi, dla których je zabijał. Nie miał też wcale lepszego powodu, żeby zabijać jaguara z Barrio Carolina. Stanowił zagrożenie tylko dla tych, którzy nań polowali, którzy pragnęli wtargnąć na jego terytorium; jego śmierć miała przynieść korzyść tylko nie-godziwemu człowiekowi i jędzowatej żonie, roznieść zarazę z Puerto Morada. A poza tym był to czarny jaguar.

„Czarne jaguary – mówił mu ojciec – to istoty księżycowe. Mają również inne formy i magiczne cele, w które nie możemy się mieszać. Nigdy nie poluj na nie!”.

Ojciec nie mówił, że jaguary żyją na księżycu, a tylko że korzystają z jego mocy; jednak jako dziecko Esteban śnił o księżycu lasów z kości słoniowej i łąk ze srebra, przez które jaguary mkną szparko jak czarna woda; gdy opowiedział ojcu o swych snach, ten odparł, że są odbiciami prawdy i że wcześniej czy później tę skrytą 1587

pod nimi prawdę pozna. Esteban nigdy nie przestał wierzyć w sny, nawet wobec skalistego, pozbawionego powietrza globu, jaki pokazywały audycje naukowe w telewizorze Incarnacion; księżyc, którego tajemnicę rozszyfrowano, był jedynie niewiele wyjaśniającym rodzajem snu, stwierdzenie faktu, który redukowało rzeczywistość do spraw poznanych.

Jednak w miarę rozmyślań Esteban za-

czął nagle pojmować, że zabicie jaguara może przynieść rozwiązanie jego problemów; że postępując wbrew naukom ojca, zabijając swe sny, swą indiańską koncepcję świata, może znaleźć porozumienie z żoną; zbyt długo trwał w pół drogi między dwiema koncepcjami i oto nadszedł czas wyboru. I nie był to prawdziwy wybór. W

tym świecie zamieszkiwał, nie w świecie jaguarów; jeśli niezbędna była śmierć istoty magicznej, by pozwolić mu uznać za ra-1588

dości telewizję, wyprawy do kina i domek w Barrio Clarin – cóż, w takim razie wierzył w swoją metodę. Machnął maczetą, przecinając nocne powietrze, i roześmiał

się. Próżność Incarnacion, jego kunszt myślowy, pazerność Onofria, telewizor...

wszystko to spletało się ciasno jak elementy zaklęcia, którego owocem będzie zadanie kłamu magii i umocnienie tym aktem niemagicznych doktryn, co w Puerto Morada rodzą zgniliznę. Roześmiał się ponownie, ale sekundę później zbeształ się za to: taki dokładnie sposób myślenia zamierzał wykorzenić.

Następnego ranka Esteban wcześniej obudził Incarnacion i zmusił ją, by towarzyszyła mu do sklepu Estevesa. Maczeta w skórzanym pochwie kołysała się u jego boku, niósł również jutową sakwę, zawierającą żywność i zioła niezbędne podczas 1589

łowów.

Milcząca Incarnacion z twarzą okrytą szalem kroczyła obok niego. Gdy dotarli do sklepu, Esteban kazał Onofriowi przystawić na rachunku stempel ZAPLACONO, a potem rachunek i pieniądze

wręczył

Incarnacion.

– Jeśli zabiję jaguara albo on zabije mnie – powiedział szorstko – wszystko będzie twoje. Gdybym nie wrócił w ciągu tygodnia, możesz uznać, że nie wrócę nigdy.

Cofnęła się o krok, a na jej twarzy odbi-

ła się trwoga, jak gdyby ujrzała go w nowym świetle i pojęła skutki swego postępowania; jednak kiedy wychodził, nie zrobiła nic, by go powstrzymać.

Po drugiej stronie ulicy, wsparty o ścianę Cantina Atomica Raimundo Esteves rozmawiał z dwiema dziewczynami w dzinsach i falbaniastych bluzkach; dziewczęta wymachiwały rękami, podrygiwały 1590

w rytm muzyki dobiegającej z lokalu i Estebanowi wydały się bardziej obce od zwierzęcia, na które miał zapolować.

Raimundo dostrzegł go i szepnął coś dziewczynom; zerknęły przez ramię i wybuchły śmiechem. Zagniewany już z powodu Incarnacion, Esteban poczuł teraz przyływ zimnej furii. Przeszedł przez ulicę, a zbliżywszy się do grupki wsparł dłoń na rękojeści maczety i wbił wzrok w Raimunda; nigdy przedtem nie zwrócił uwagi, jak miękki jest ten chłopak, jak wyprany z osobowości.

Mnogość pryszczu pieniała się na jego brodzie, skóra pod oczami pocętkowana była maleńkimi wgłębieniami, jakie mógł-

by zostawić młoteczek jubilerski, a oczy, nie mogąc znieść spojrzenia Estebana, przebiegały od jednej dziewczyny do drugiej.

Wściekłość Estebana roztopiła się w od-1591
razie.

– Jestem Esteban Caax – powiedział. –

Zbudowałem swój własny dom, orałem swoją ziemię i spłodziłem czworo dzieci.

Dzisiaj idę zapolować na jaguara z Barrio Carolina, by ciebie i twego ojca uczynić jeszcze bardziej spasionymi niż jesteście.

Omiótł spojrzeniem Raimunda od stóp do głów, a potem, zaprawiając swój głos niesmakiem, zapytał:

– A ty kim jesteś?

Nabrzmiate oblicze Raimunda skurczyło się z nienawiści, chłopak jednak nic nie odrzekł.

Dziewczęta zachichotały i wbiegły do knajpy; Esteban słyszał, jak opisują incydent, słyszał śmiech i nadal wpatrywał

się w Raimunda. Kilka innych dziewcząt wystawiło głowy przez drzwi, chichocząc i szepcząc.

Esteban odwrócił się na pięcie i odszedł. Za jego plecami rozbrzmiewał chóralny niepomamowany śmiech, a dziew-1592

częcy głos zawołał kpiąco:

– Raimundo! Kim jesteś?

Dołączyły wnet inne głosy i okrzyk po-wtarzano już chórem.

Barrio Carolina nie było naprawdę dzielnicą Puerto Morada; leżało za Punta Manabique, zamykając zatokę od południa, oddzielone od morza lekkim wznie-sieniem z gajem palmowym i najpiękniej-szą plażą w całej prowincji, półksiężycem białego piasku przechodzącym dalej w ja-spisowozielone płycizny. Czterdzieści lat temu była tu kwatera główna farmy ekspe-rymentalnej, założonej przez spółkę owocową, projektu na tak olbrzymią skalę, że wzniesiono na miejscu całe miasteczko: rzędy białych, krytych gontem domów o osłoniętych werandach, jakie można zobaczyć na zdjęciach z prowincjonalnej Ameryki. Spółka lansowała ten projekt jako ka-1593

mień węgielny przyszłości kraju, obiecując uprawy intensywne, które zlikwidują głód; jednak w roku 1947 epidemia cholery spustoszyła wybrzeże i miasto zostało porzucone. Gdy zaś zanikała już obawa przed chorobą, spółka zajmowała w polityce narodowej pozycję na tyle silną, by móc przestać się troszczyć o swój filantropijny wizerunek, z projektu tedy zrezygnowano, a gospodarstwo porzucono aż do chwili, gdy – w tym samym roku, w którym Esteban przestał polować – kupili je inwestorzy z zamiarem budowy dużego kurortu.

To wtedy pojawił się jaguar. Choć nie zabił żadnego z robotników, przeraził ich do tego stopnia, że odmówili rozpoczęcia pracy. Wysłano myśliwych i tych jaguar zabijał. Ostatnia grupa wyposażona była w broń automatyczną i sprzęt techniczny wszelkiego rodzaju, ale jaguar łuskał myśliwych jednego po drugim; tego projektu 1594 również więc poniechano. Chodziły słuchy, że grunty ponownie zostały sprzedane (teraz Esteban wiedział komu) i że znów rozważa się myśl o budowie kurortu.

Marsz w upale z Puerto Morada był nader męczący, dotarłszy więc na miejsce Esteban siadł pod palmą i posilił się zimnymi placuszkami z bananów. Grzywacze, białe jak pasta do zębów, rozbijały się o brzeg, nie niosły jednak żadnych odpadków cywilizacji, lecz zwiedłe liście palmove, kawałki drewna i kokosy. Ze wszystkich domów zaledwie cztery uniknęły pokłnięcia przez dżunglę, lecz i z tych widać było tylko fragmenty osadzone na kształt butwiejących wrót w czarnozielonej ścianie roślinności. Nawet w jaskrawym blasku słońca sprawiały upiorne wrażenie: siatki w oknach były poszarpane, deski zszarzały od zmian pogody, kaskady pnączy spływały z fasad. Na jednej z werand 1595 wyrósł mangowiec i dzikie papugi dziobały jego owoce.

Nie odwiedzał barria od dzieciństwa: widok ruin przeraził go wówczas, ale teraz przemówił silnie do jego wyobraźni, dowodząc wszechwładzy praw przyrody.

Trapiła go myśl, że przy jego pomocy to wszystko przekształci się w miejsce, gdzie papugi będą przykute do żerdek, a jaguary staną się wzorami na obrusach; miejsce pełne basenów i turystów popijających ze skorup orzechów kokosowych. Niemniej, skończywszy posiłek, wyruszył, by zbadać dżunglę, i rychło odkrył szlak nawiedzany przez jaguara: wąską ścieżynę wijącą się między oblepionymi winoroślą łupinami domów przez jakieś pół mili i urywającą się nad Rio Dulce. Zieleń rzeki płynącej zakosami między ścianami dżungli była ciemniejsza od zieleni morza; tropy jaguara, widoczne na całym brzegu, szczegól-1596

nie zagęszczały się jednak na trawiastym urwisku, wznoszącym się pięć czy sześć stóp nad poziomem wody. Zastanowiło to Estebana. Z urwiska jaguar nie mógł pić i z całą pewnością tu nie spał. Dumał przez chwilę nad tą zagadką, lecz w końcu skwitował ją wzruszeniem ramion i wrócił na plażę; ponieważ zamierzał nocą czuwać, zdrzemnął się w cieniu palm.

Kilka godzin później, wczesnym popołudniem, wyrwały go ze snu słowa pozdrowienia. Kroczyła w jego stronę wysoka, smukła, miedzianoskóra kobieta ubrana w odsłaniającą wyniosłość piersi ciemnoniebieską suknię. Gdy podeszła bliżej, spostrzegł, że choć jej rysy mają cechy patukańskie, to przecież charakteryzują się nietypową dla plemienia prostą subtelnością; rzekłbyś: wyczelowano je na kształt przepięknej maski. Miała policzki układające się w subtelne dołeczki, pełne, rzeźbione 1597

usta, stylizowane piórka z hebanu w miejsce brwi, oczy z dżetu i białego onyksu, a wszystko to rozjaśnione człowieczym blaskiem. Cieniutka warstewka potu pokrywała jej piersi, a jeden pukiel czarnych włosów spoczywał na obojczyku wyglądając tak kunsztownie, jakby umieszczono go tam

celowo. Ukłękła obok Estebana i patrzyła nań beznamiętnie, roztaczając jednak tak gorącą aurę zmysłowości, że ogarnęło go pożądanie. Bryza morska przyniosła mu jej zapach, słodki aromat, który przypominał dojrzewające w słońcu owoce mango.

– Nazywam się Esteban Caax – powiedział, boleśnie świadom odoru swego własnego potu.

– Słyszałam o tobie – odparła. – Łowca jaguarów. Czy przybywasz zabić jaguara z barria?

– Tak – odrzekł i to wyznanie zawstydzilo go.

Zaczerpnęła garść piasku i patrzyła, jak Sypie się między jej palcami.

– A jak ty się nazywasz? – zapytał.

– Powiem ci, jeśli zostaniemy przyjaciółmi – odpowiedziała. – Dlaczego musisz zabić jaguara?

Opowiedział jej o odbiorniku telewizyjnym, a potem, ku swemu zaskoczeniu, stwierdził, że opisuje swoje problemy z Incarnacion i wyjaśnia, jak zamierza przywyknąć do jej obyczajów. Nie były to najlepsze tematy do omawiania z kimś obcym, a przecież dał się skłonić do wyuru-rzeń; zdawało mu się, że między sobą a nią wyczuwa powinowactwo i to właśnie sprawiło, iż swe małżeństwo przedstawiał bardziej ponure, niż było w istocie, choć bowiem nigdy dotąd nie zdradził Incarnacion, chętnie widziałby możliwość uczy-nienia tego obecnie.

1599

– To jest czarny jaguar – podkreśliła. –

Zapewne wiesz, że nie są to zwykle zwierzęta, że mają swe drogi, na które nie powinniśmy wkraczać?

Esteban słuchał oszołomiony powtarzanych przez nią słów ojca, ale zbagatelizował ten fakt jako zbieg okoliczności i odparł:

– Możliwe. Ale nie są to moje drogi.

– Tak naprawdę, to są – powiedziała. –

Postanowiłeś je po prostu ignorować.

Zaczerpnęła następną garść piasku.

– Jak to zrobisz? Nie masz strzelby. Tylko maczetę.

– Mam również to – odrzekł, podając jej wydobytą z sakwy małą paczuszkę ziół.

Rozwinęła ją i powąchała zawartość.

– Ziola? Ach! Zamierzasz oszołomić jaguara.

– Nie jaguara. Siebie. – Odebrał paczuszkę. – Ziola zwalniają pracę serca i na-1600

dają ciału pozór śmierci. Wywołują trans, który jednak momentalnie można przerwać. Kiedy je przeżuję, położę się w miejscu, przez które jaguar będzie musiał przejść podczas swych nocnych łowów.

Pomyśli, że jestem martwy, ale nie zacznie się pożywiać, dopóki nie zyska pewności, że duch opuścił już ciało. Siądzie więc na mnie, by poczuć, jak unosi się dusza. Gdy tylko zacznie się sadowić, przerwę trans i dźgnę go między żebra. Jeśli ma dłoń będzie pewna, umrze natychmiast.

– A jeśli twoja dłoń zawiedzie?

– Zabiłem niemal pięćdziesiąt jaguarów

– odparł. – Przestałem obawiać się niepewności. Metoda przeszła na moją rodzinę od Dawnych Patuków i nigdy, o ile wiem, nie zawiodła.

– Ale czarny jaguar...

– Czarny czy cętkowany, obojętne. Ja-

guary to zwierzęta instynktu i jeden przy-1601

pomina drugiego, gdy przychodzi czas żeru.

– Cóż – powiedziała – nie mogę życzyć ci szczęścia, ale nieszczęścia też nie życzę.

Wstała, strząsając piasek z sukni. Chciał

poprosić, by została, duma jednak nie pozwoliła mu tego uczynić. Ona zaś, jakby znając jego myśli, roześmiała się.

– Może będziemy znów ze sobą rozma-

wiać, Estebanie – rzekła. – Szkoda, gdyby do tego nie doszło, więcej nas bowiem łą-

czy, niż sobie dzisiaj powiedzieliśmy.

Odeszła spiesznie plażą, stając się w końcu maleńką ciemną figurką, która zafalowała w słonecznej mgle i wreszcie znikła.

Tego wieczoru, poszukując miejsca do-

godnego do czuwania, Esteban wyważył

drzwi jednego ze zwróconych w stronę plaży domów i wszedł na werandę. Kame-1602

leony rozbiegły się po kątach, ze spowitego w pajęczynę przerdzewiałego krzesła ogrodowego ześliznęła się iguana i zniknę-

ła w szczelinie podłogi. Wnętrze domu było odpychające i mroczne, a wyjątek stanowiła pozbawiona dachu łazienka, do której przez płataninę winorośli sączyło się szarozielone światło. Pęknięty sedes pełen był wody deszczowej i martwych owadów.

Czując się nieswojo, Esteban wrócił na werandę, oczyścił krzesło i usiadł.

W dali, na horyzoncie, niebo i morze stapiały się w szarosrebrną mgłę; wiatr zamarł i palmy trwały nieruchomo jak wyrzeźbione; lecący nisko nad falami klucz pelikanów zdawał się zapisem zdania składającego się z czarnych hieroglifów. Do Estebana nie docierało jednak przedziwne piękno tego obrazu. Nie mógł przestać my-

śleć o tamtej kobiecie. Powracało raz za razem wspomnienie jej ud pulsujących pod 1603

tkaniną sukni, kiedy się oddalała, a ilekroć próbował skupić uwagę na czekającym go zadaniu, niewoliło go tym mocniej. Wyobrażał ją sobie nagą, widział grę mięśni napinających skórę pośladków i wszystko to rozпалиło go do takiego stopnia, że po-czał krążyć po werandzie, niepomy na fakt, iż trzeszczące deski zdradzają jego obecność. Nie potrafił wytłumaczyć sobie wrażenia, jakie na nim wywarła. Może, rozmyślał, to jej obrona jaguara, ukazanie wszystkiego, co odpychał od siebie... i wtedy olśnienie spadło nań jak lodowy baldachim.

Powszechnie mniemano wśród Patuków,

że człowieka, którego ma rychło spotkać samotna i nieoczekiwana śmierć, odwiedza jej posłaniec, aby – w zastępstwie rodziny i przyjaciół – przygotować go na to wyda-rzenie. Miał teraz Esteban zupełną pewność, że taką posłanką była kobieta; kobie-1604

ta celowo powabna, bo służyło to pogodzeniu jego duszy z nieuchronnym losem.

Opadł na krzesło porażony tym odkry-

ciem. Znajomość słów ojca, ów osobliwy nastrój rozmowy, napomknienia, że łączy ich coś więcej – wszystko składało się w całość doskonale zgodną z tradycyjnym przeświadczeniem Patuków. Wypłynął

księżyc w trzeciej kwadrze, srebrząc piaski barria, a on wciąż siedział, przykuty do miejsca swym lękiem przed śmiercią.

Obserwował jaguara od dobrych kilku sekund, nim uświadomił sobie jego obecność. Zdawało mu się zrazu, że to popychany kapryśną bryzą strzęp nocnego nieba, który opadł na piasek, wnet jednak rozpoznał sunącego cal po calu, jakby podchodzącego ofiarę jaguara. A potem jaguar

podskoczył wysoko, wykonując zarazem skręt i obrót, i zaczął przemierzać plażę tam i z powrotem, niczym wstążka czarnej 1605

wody płynąca po srebrzystym piachu. Nigdy dotąd nie widział igrającego jaguara i już to wystarczyło, by go zadziwić; najbardziej jednak zdumiewał go fakt, że oto ożyły jego dziecięce sny. Patrzył, zda się, na srebrzyste łąki księżyca, podglądając jedną z tamtejszych magicznych istot. Widok ów zniszczył w nim lęk; jak dziecko przycisnął nos do siatki, starając się nawet nie mrugnąć okiem w obawie, że uroni choćby jedną chwilę.

W końcu jaguar przerwał zabawę i od-

dalając się od morza, ruszył w stronę dżungli. Pozycja jego uszu i pełen skupienia, rozkołysany chód powiedziały Estebanowi, że zwierzę poluje. Zatrzymał się pod palmą jakieś dwadzieścia stóp od domu, uniósł łeb i zaczął badać powietrze. Blask księżyca przedarł się przez listowie, kładąc płynne smugi światła na jego zadzie; roz-iskrzony żółtozielony ślepią były jak dwa 1606

węgle wyrwane z serca płomienia. Piękno jaguara, istne wcielenie praw idealnych, zapierało dech w piersiach i Esteban, przeciwstawiający to piękno larwiej szpetocie swego pracodawcy i ułomności praw, przez które dał się zwerbować, wątpił, czy kiedykolwiek zdoła się zmusić do zabicia zwierzęcia.

Rozwagał ten problem przez cały następnny dzień. Miał nadzieję, że kobieta powróci, odrzucił bowiem myśl, że mogła być wysłanniczką śmierci – taką, jak są-

dził, interpretację podsunęła mu tajemnicza atmosfera barria – i czuł, że gdyby wciąż chciała z nim mówić o sprawie jaguara, pozwoliłby się przekonać. Ale nie przyszła i kiedy siedział na plaży, obserwując, jak przedwieczne słońce w swej wędrówce skroś warstwy ciemnopomarańczowych i lawendowych obłoków krzesze z morza szaleńcze błyski, zrozumiał raz 1607

jeszcze, że nie ma wyboru. Bez względu na to, czy jaguar był piękny, czy nie, czy kobieta była nadprzyrodzoną posłanką, czy nią nie była, musi traktować te sprawy jako nieistotne. Sedno polowania w tym le-

żało, by odrzucić podobne przesady, on zaś, pod wrażeniem powrotu dawnych snów, stracił to z pola widzenia.

Czekał z przyjęciem ziół do wschodu księżyca, a potem legł pod palmą, gdzie jaguar zatrzymał się minionej nocy. W trawie szeleściły sunące obok niego gady, pchły piaskowe wskakiwały mu na twarz, ale tonąc w powodowanym ziołami oszo-

łomieniu prawie tego nie czuł. Unoszone wiatrem, szumiące liście były bladozielone w świetle księżyca, a gwiazdy między ich postrzępionymi krawędziami migotały opętańczo, jakby wiatr rozniecał z nich ogień.

Stapiał się z otoczeniem w jedność, 1608

smakował niesiony od plaży zapach morza, gnijącego listowia i dryfował wraz z nim; kiedy jednak posłyszał stąpanie łap jaguara, stał się czujny. Przez zmrużone powieki dostrzegł, że zwierzę siedzi kilkanaście stóp od niego jak masywny cień i wyciągając szyję bada jego woń. Po chwili począł obchodzić go wkoło, zacieśniając kręgi; ilekroć ginął z pola widzenia, Esteban musiał tłumić w sobie łaskotliwe poczucie lęku. A potem, kiedy jaguar był już blisko i przechodził między nim a morzem, poczuł w nozdrzach jego zapach.

Słodki zapach piżma, przypominający dojrzewające w słońcu owoce mango.

Narastał w nim strach, który próbował

zwalczyć, mówiąc sobie, że zapach ów nie jest w żadnym razie tym, o czym myśli. Jaguar warknął i warknięcie to przecięło jak brzytwę tkaną przez wiatr i fale pajęczynę cichego poszumu; Esteban uświadomił so-1609

bie, że zwierzę poczuło jego strach, porwał się tedy na nogi, machając maczetą.

W wirze obrazów dostrzegł, że jaguar odskakuje, ponownie więc świsnął maczetą i pognął do domu, w którym czuwał

ubiegłej nocy. Prześlizgnął się przez drzwi i wbiegł potykając się do pokoju frontowe-go. Usłyszał za sobą trzask i odwróciwszy się, dostrzegł kątem oka, jak wielki czarny kształt usiłuje wywikłać się z płataniny za-lanych światłem księżyca winorośli i postrzępionych siatek. Rzucił się w stronę łazienki i usiadłszy na muszli klozetowej, wsparty plecami o rezerwuar, zablokował nogami drzwi.

Zamilkły odgłosy szamotaniny i Esteban myślał przez chwilę, że jaguar dał za wygraną. Waliło mu serce i czuł na żebrach zimne strużki potu. Nasłuchując, wstrzymywał oddech i zdawało się, że również cały świat przestał oddychać. Dźwięki wia-1610

tru, przyboju i owadów zlały się w słabiut-kie bzyczenie; księżyc sączył chorobliwie białą poświatę przez splątane pnącza nad jego głową, a obok drzwi, wśród oderwanych płatów tapety, zamarł kameleon. Esteban westchnął z ulgą i otarł pot z oczu.

Przełknął ślinę.

A potem eksplodowała roztrzaskana czarną łapą górna płycina drzwi. Wrzasnął, gdy uderzyły go w twarz drzazgi z przegniłego drewna. Jaguar wraził w otwór smukły klin swego łba; paszczę – furkę z połyskliwych białych kłów strzegącą czerwonej gardzieli – rozdarł ryk. Na wpół

sparaliżowany grozą Esteban dźgnął słabo maczetą. Jaguar cofnął łeb i wsunąwszy w otwór łapę, próbował sięgnąć szponami jego nogi. Dzięki przypadkowi raczej niż celowemu działaniu Esteban zdołał ciąć jaguara i łapa znikła. Usłyszał łomotanie we frontowym pokoju, a potem, parę se-1611

kund później, ciężkie uderzenie o ścianę za swymi plecami. Nad jej górną krawędzią ukazał się łeb jaguara, zwierz, zwisając na przednich łapach, usiłował zyskać punkt oparcia, skąd mógłby skoczyć do wnętrza łazienki. Esteban stanął i począł rąbać na oślep, przecinając pnącza. Jaguar spadł z wyciem. Przez chwilę parszając buszował

wzdłuż ściany. W końcu zapadła cisza.

Gdy blask słońca zaczął przeciekać przez winoroślą, Esteban wyszedł z domu i skierował się na plażę w stronę Puerto Morada. Kroczył z opuszczoną głową, samotny, rozmyślając o ponurej przyszłości, jaka go czeka, kiedy odda Onofriowi pieniądze: życiu złożonym z prób ugłaskania coraz bardziej jędzowatej Incarnacion i zabijaniu pomniejszych jaguarów za znacznie mniejszą zapłatę.

Tak głęboko pogrążył się w przygnębieniu, że nie zauważył kobiety, dopóki ta 1612 doń nie przemówiła. Stała oparta o palmę w odległości jakichś trzydziestu stóp, ubrana w przezroczystą białą suknię, przez którą widział ciemne wypukłości jej sutek.

Dobyl maczety i odstąpił o krok.

– Dlaczego się mnie boisz, Estebanie? – zapytała idąc w jego stronę.

– Podstępem skłoniłaś mnie do wyja-wienia mojej metody, a potem usiłowałaś mnie zabić – odparł. – Czy to nie wystarczający powód do obaw?

– W tamtej postaci nie znałam ani ciebie, ani twojej metody. Wiedziałam tylko, że na mnie polujesz. Ale teraz łowy skoń-

zione i możemy być ze sobą jak mężczyzna z kobietą.

Wciąż mierzył w nią maczetą.

– Kim jesteś? – spytał.

Uśmiechnęła się:

– Na imię mam Miranda. Jestem z Patuków.

1613

– Patukowie nie przywdziewają czarnej sierści i kłów.

– Jestem z Dawnych Patuków – odrzekła. – Ta moc jest nam dana.

– Trzymaj się z daleka! – Uniósł maczetę, jakby zamierzając uderzyć, ona zaś odsunęła się na bezpieczną odległość.

– Możesz mnie zabić, Estebanie, jeśli takie jest twoje życzenie. – Rozłożyła ramiona, a jej piersi naprężyły materię sukni. –

Teraz jesteś silniejszy ode mnie; ale najpierw posłuchaj...

Nie opuścił maczety, lecz jego lęk i złość ustąpiły pod wpływem innych, słodszych doznań.

– Dawno temu – zaczęła – żył wielki szaman, który przewidział, że pewnego dnia Patukowie stracą swoje miejsce na ziemi, z pomocą tedy bogów otworzył

wrota w inny świat, gdzie plemię może rozkwitnąć. Wielu naszych bało się jednak 1614 i nie ruszyło za nim. I od tego czasu wrota pozostają otwarte dla tych, co zechcą przyjść później – skinieniem głowy ukaza-

ła zrujnowane domy. – Barrio Carolina to miejsce, gdzie znajdują się wrota, a jaguar jest ich strażnikiem. Atoli wkrótce zarazy toczące świat spadną na barrio i wrota zatrzasną się na wieki.

Choć bowiem nasze polowanie dobiegło kresu, wciąż będą myśliwi i nie skończy się ich zachłanność. –

Postąpiła krok do przodu. – Jeśli wsłuchasz się w bicie swego serca, pojmiesz, że to prawda.

Prawie jej uwierzył, ale był zarazem przekonany, że słowa te kryją prawdę bo-leśniejszą, mieszczącą się w tej pierwszej tak dobrze, jak jego maczeta w pochwie.

– O co chodzi? – zapytała. – Co cię gnębi?

– Myślę, że przyszłaś przygotować mnie na śmierć – odparł – i twoje wrota wiodą 1615 tylko do śmierci.

– Dlaczego więc nie uciekasz przede mną? – Wskazała Puerto Morada. – Oto jest śmierć, Estebanie. Krzyk mew jest śmiercią, a gdy w chwili największego uniesienia zamierają serca kochanków, to też jest śmierć. Ten świat nie jest niczym więcej, jak tylko cienką oponą życia rozciągniętą na fundamentach śmierci, na kształt przegniłych alg okrywających ska-

łę. Może masz rację, może mój świat jest dalej niż śmierć. Te dwa pojęcia nie są ze sobą sprzeczne. Ale jeśli ja jestem dla ciebie śmiercią, Estebanie, tedy kochasz śmierć.

Odwrócił wzrok ku morzu, nie chcąc, by zobaczyła jego twarz.

– Nie kocham cię – odrzekł.

– Miłość czeka na nas – powiedziała. – I któregoś dnia złączysz się ze mną w moim świecie.

1616

Spojrzał na nią ponownie, gotów zaprzeczyć, ale szok pozbawił go słów. Jej suknia opadła na piasek, ona zaś stała naga i uśmiechnięta. Wszystko w jej postaci było odbiciem gibkiej doskonałości jaguara; tajemne włosy były tak czarne, że zdawało się, iż w tym miejscu brakuje fragmentu ciała.

Przysunęła się bliżej, odsuwając maczetę na bok. Dotknęły go czubki jej piersi, gorące przez szorstką tkaninę koszuli; uję-

ła w dłoń jego twarz i oto pogrążył się w jej rozpalonym aromacie, słabnący z lęku i pożądania.

– Jesteśmy jednej duszy, ty i ja – powiedziała. – Jednej krwi i jednej prawdy. Nie możesz mnie odepchnąć.

Minęły dni, choć Esteban nie miał jasności, ile ich było. Noce i dni stały się ledwie mało istotnym tłem jego związku z Mirandą, gwiazdzistym albo słonecznym 1617

płaszczem, który okrywał chwile ich złą-

czeń; a za każdym razem, gdy się kochali, było tak, jakby jego zmysły uczyły się rozpoznawać tysiąc nowych barw. Nigdy nie był równie szczęśliwy. Czasami, spoziera-jąc na upiorne fasady barria, zaczynał wierzyć, że z powodzeniem mogą kryć mrocz-ne szlaki wiodące w inny świat; ilekroć jednak Miranda próbowała przekonać go, by z nią podążył, odmawiał – nie mógł pokonać lęku ani przyznać, nawet wobec samego siebie, że ją kocha. Usiłował skupić myśli na Incarnacion, mając nadzieję, że zniweczy to jego opętanie Mirandą i pozwoli wrócić do Puerto Morada; przekonał się jednak, że nie potrafi wyobrazić sobie swej żony inaczej, niż jako czarnego ptaka przycupniętego przed migotliwym szarym klejnotem. A przecież Miranda wydawała się chwilami równie nierzeczywista. Pewnego dnia, kiedy siedzieli na brzegu Rio 1618

Dulce, obserwując płynące po falach odbicie niedalekiego już pełni księżyca, wskazała je dłonią i rzekła: – Mój świat jest aż tak bliski, Estebanie. Aż tak dotykalny.

Możesz sobie myśleć, że prawdziwy jest księżyc na niebie, a ten, to tylko odbicie; ale czymś najbardziej rzeczywistym, czymś najlepiej ukazującym rzeczywistość, jest powierzchnia zdolna tworzyć złudę odbicia. Przejście przez tę powierzchnię jest tym, czego obawiasz się najbardziej, a przecież to rzecz tak nieuchwytna, iż prawie nie spostrzeżesz, że już przeszedłeś.

– Mówisz jak stary ksiądz, który uczył

mnie filozofii – powiedział Esteban. Jego świat... jego niebo – to były też pojęcia fi-lozoficzne.

Czy tym jest twój świat? Czystą ideą? A może są tam ptaki, dżungle i rzeki?

Wyraz jej twarzy, na poły oświetlonej, 1619

na poły skrytej w cieniu, był jak zaćmienie słońca, a głos również nie zdradzał uczuć.

– Nie bardziej niż tu – odparła.

– Co to ma znaczyć? – zapytał gniewnie.

– Dlaczego nie dasz mi jasnej odpowiedzi?

– Gdybym próbowała opisać ci mój świat, wziąłbyś mnie po prostu za sprytne-go łgarza. –

Wsparła głowę na jego ramieniu. – Zrozumiesz wcześniej czy później.

Nie znaleźliśmy się wzajem tylko po to, by poczuć ból rozłąki.

W tym momencie jej piękność – tak samo jak jej słowa – wydawała się rodzajem kamuflażu skrywającego inne, mrocz-ne i przerażające piękno; a przecież wiedział, że Miranda ma rację, że ani jeden dowód, jaki mogłaby przytoczyć, nie pokona mieszkającego w nim lęku.

Pewnego popołudnia, popołudnia tak oślepiająco jasnego, że nie sposób było patrzeć na morze bez zmrużenia oczu, popły-1620

nęli na łacchę widoczną na zielonym tle wody jako wąska, sierpowata wysepka. Esteban brnął i potykał się, Miranda natomiast płynęła, jakby woda była jej żywio-

łem: śmigła pod nim jak ryba, łaskotała i pociągała go za stopy, wywijając się, nim zdołał ją pochwycić. Potem wędrowali po piasku, przewracali stopami rozgwiazdy, zbierali małże na obiad, aż Esteban dostrzegł sunącą pod wodą od strony otwartego morza ciemną plamę średnicy kilkuset stóp: wielką ławicę królewskiej makreli.

– Szkoda, że nie mamy łodzi – powiedział. – Makrele byłyby smaczniejsze od małży.

– Nie potrzebujemy łodzi – odparła. – Pokażę ci dawny sposób połowu ryb.

Jęła kreślić na piasku skomplikowany wzór, a kiedy go ukończyła, powiodła Estebana na płyciznę i kazała mu stanąć w odległości kilku stóp twarzą do siebie.

1621

– Patrz na dzielącą nas wodę – poleciła.

– Nie podnoś wzroku i stój zupełnie nieruchomo, póki ci nie powiem.

Zacząła śpiewać pieśń o nierównym rytmie; rytmie, który przywiódł mu na myśl kapryśne bryzy tej pory roku. Większości słów nie pojmował, ale pozostałe uznał za patukańskie. Po minucie ogarnęły go zawroty głowy, tak jakby jego nogi stały się długie i cienkie, on zaś sam spoglądał w dół z wielkiej wysokości, oddychając roz-rzedzonym powietrzem. Potem pod powierzchnią rozciągającego się między nim a Mirandą fragmentu morza zmaterializował się maleńki ciemny punkt. Esteban przypomniał sobie opowieści dziadka o Dawnych Pa tukach, o tym, jak z pomocą bogów potrafili kurczyć świat, ściągać z oddali wrogów i w jednej chwili przemierzać olbrzymie odległości. Ale bogowie byli martwi, a ich moce zniknęły ze świata.

1622

Pragnął obejrzeć się na brzeg i zobaczyć, czy są teraz z Mirandą parą wyższych od palm miedzianoskórych olbrzymów.

– Teraz – powiedziała przerywając pieśń

– musisz za ławicą, od strony morza, wło-

żyć dłonie do wody i bardzo delikatnie przebierać palcami. Bardzo delikatnie! Pod żadnym pozorem nie wzburz powierzchni.

Ale kiedy Esteban zaczął postępować w myśl jej wskazówek, poślizgnął się i spowodował pluśnięcie. Miranda krzyknęła.

Podniósł wzrok i zobaczył opadającą na nich ścianę zielonej wody gęsto naszpikowanej kształtami umykających makreli.

Nim zdołał wykonać jakikolwiek ruch, fala przetoczyła się nad łachą, przydusiła go do dna, powlokła i w końcu wyrzuciła na brzeg. Plażę zaścielały podskakujące ma-krele, a Miranda leżała na mieliźnie i śmia-

ła się z niego. Esteban też się roześmiał, ale tylko po to, by ukryć swój rozbudzony 1623

na nowo lęk przed tą kobietą, która czerpa-

ła z potęgi umarłych bogów. Nie pragnął

wysłuchiwać jej wyjaśnień; był pewien, że powiedziałyby, iż w jej świecie bogowie żyją nadal, a to tylko pogłębiłoby panujący w jego umyśle zamęt.

Nieco później tego samego dnia, kiedy patroszył ryby, a Miranda ruszyła po bana-ny mające dopełnić posiłku – te małe, słodkie, które rosły na brzegu rzeki – od strony Puerto Morada nadjechał plażą podskakujący land-rover, a promienie zachodzącego słońca tańczyły na jego przedniej szybie. Gdy stanął obok Estebana, z siedzenia obok kierowcy wygramolił się Onofrio. Chorobliwe wypieki pokrywały jego policzki, wycierał chusteczką zapocone czoło. Raimundo wylazł z drugiej strony i wsparty o drzwiczki nienawistnie wpatrywał się w Estebana.

– Dziewięć dni i ani jednego słowa –

1624

rzekł burkliwie Onofrio. – Myśleliśmy, że nie żyjesz. Jak idzie polowanie?

Odłożywszy rybę, którą skrobał, Esteban wstał.

– Nie udało mi się – powiedział. –

Zwrócę ci pieniądze.

Raimundo prychnął głuchym, zdławionym chichotem, a zdumiony Onofrio chrząknął.

– Nie da rady – oświadczył. – Incarnacion wydała te pieniądze na domek w Barrio Clarin.

Musisz zabić jaguara.

– Nie mogę – rzekł Esteban. – Jakoś cię spłcę.

– Indianin stracił ikrę, ojciec – Raimundo splunął na piasek. – Pozwól mnie i moim przyjaciołom zapolować na jaguara.

Wizja Raimunda i jego gburowatych kumpli miotających się po dżungli była tak groteskowa, że Esteban nie mógł pohamować śmiechu.

1625

– Uważaj, Indianinie! – Raimundo rąb-nął dłonią w dach samochodu.

– To raczej ty powinieneś uważać – odparł Esteban. – Jest bardzo prawdopodobne, że jaguar zapoluje na was. – Ujął swą maczetę. – A każdy, kto chce upolować to zwierzę, będzie miał również ze mną do czynienia.

Wziąwszy coś z siedzenia kierowcy, Raimundo obszedł maskę wozu. Miał w dłoni srebrzysty pistolet automatyczny.

– Czekam na twoją odpowiedź – rzekł.

– Odłóż to! – Onofrio mówił tonem, jakim dorosły zwraca się do dziecka wykrzykującego gołosłowne pogrozki, ale rysująca się na obliczu Raimunda determinacja wcale nie była dziecięca.

Tik skaził

pulchną wypukłość jego policzka, zawęzli-

ły się mięśnie szyi, a wargi wyciągnęły w ponurym uśmiechu.

Było to, pomyślał Esteban, osobliwie 1626

zafascynowany tą przemianą, jakby obser-wowanie demona, który zrzuca swą fałszywą skórę, by spod rozlazłej powłoki ukazać kanciastą drapieżność prawdziwych ry-sów.

– Ten skurwysyn znieważył mnie w obecności Julii! – Dłoń, w której Raimundo trzymał pistolet, drżała.

– Twoje osobiste rachunki mogą pocze-

kać – rzekł Onofrio. – Tu chodzi o interesy. – Wyciągnął dłoń. – Oddaj mi pistolet.

– Jaki z niego pożytek, skoro nie zamierza zabić jaguara? – spytał Raimundo.

– Może zdołamy go namówić, by zmie-

nił zdanie – Onofrio obdarzył Estebana promiennym uśmiechem. – No i co powiesz? Mam pozwolić synowi spłacić dług honorowy, czy też wywiążesz się z umowy?

– Ojciec...! – zaczął Raimundo tonem skargi, strzelając oczami na boki – On...

1627

Esteban rzucił się w stronę dżungli.

Huknęła broń; rozpalony do białości pazur szarpnął jego bok i Esteban runął przed siebie. Przez moment nie wiedział, co się z nim dzieje, ale potem jego wrażenia poczę-

ły stopniowo się porządkować. Leżał na zranionym boku, który boleśnie pulsował.

Piach zgrzytał mu w ustach i drażnił oczy.

Leżał zwinięty w kłębek wokół swej maczety, którą wciąż ścisnął w dłoni. W górze rozbrzmiewały głosy, pchły piaskowe skakały mu po twarzy. Chciał je spędzić, ale powstrzymywał się i leżał nieruchomo.

Ta sama rozwścieczona siła potęgowała szarpiący ból rany i ożywiała jego nienawiść.

– ... zaniemiemy go do rzeki – mówił Raimundo głosem rozedrganym z podniecenia. – Wszyscy pomyślą, że to jaguar go zabił.

– Głupcze! – odparł Onofrio – byłby za-1628

bił jaguara, a ty mógłbyś zakosztować słodszej zemsty. Jego żona...

– To było wystarczająco słodkie – rzekł Raimundo.

Cień padł na Estebana, który wstrzymał

oddech. Nie potrzebował ziół, by zwiesić tego bladego, rozlazłego jaguara, który pochylał się nad nim, by go przewrócić na wznak.

– Uważaj! – wrzasnął Onofrio.

Esteban pozwolił się przewrócić i wtedy dźgnął maczetą. Jego wzgarda dla Incarnacion i

Onofria, jego nienawiść do Raimunda znalazły się w tym ciosie i ostrze zatoneło głęboko w boku Raimunda, by wreszcie zazgrzytać o kość. Raimundo skrzeknął

i byłby upadł, ale maczeta utrzymywała go w pozycji pionowej; jego dłonie trzępały wokół klingi, jakby pragnąc jej nadać wy-godniejsze położenie, a oczy rozszerzone były niedowierzaniem.

1629

Rękojeść maczety przeniosła drzenie –

zmysłowe, rzekłbyś, jak spazm rozładowanej napiętności – i Raimundo osunął się na kolana. Z jego ust pociekła krew, przydając kącikom warg tragicznego wyrazu.

Padł w przód, nie na płask jednak, a w pozycji klęczącej; jego twarz dotknęła piasku i trwał tak, jak rozmodlony Arab.

Esteban wyszarpnął maczetę, obawiając się ataku Onofria, wszelako handlarz sprzętem elektrycznym umykał w kierunku land-rovera. Zawarczał silnik, zabuksowa-

ły koła i samochód wystrzelił z miejsca, by zakreśliwszy na skraju wody, pomknąć w stronę Puerto Morada. Na tylnej szybie rozbłysł oślepiający, pomarańczowy refleks, jakby demon, który zwabił wóz do barria, skłaniał go teraz do ucieczki.

Esteban niepewnie wstał. Zerwał koszu-lę z rany, która obficie krwawiła, choć była tylko draśnięciem. Starając się nie patrzeć 1630

na Raimunda, poszedł na brzeg morza i wbił wzrok w fale; jego myśli kołysały się jak one, choć były nie tyle myślami, ile przyptywami i odpływami emocji.

Szarzało już, gdy z naręczem bananów i dzikich fig powróciła Miranda. Nie słyszała wystrzału. Opowiedział jej, co się stało, ona zaś opatrzyła jego ranę okładem z ziół i liści bananowca.

– To się zagoi – powiedziała o ranie –

ale to... – wskazała na Raimunda – nie.

Musisz iść ze mną, Estebanie. Żołnierze zabiją cię.

– Nie – odparł. – Prawda, przybędą, ale są Patukami... z wyjątkiem kapitana, który jest pijakiem, ludzkim strzępem. Wątpię, czy w ogóle zostanie powiadomiony. Wy-słuchają mojej wersji i dojdziemy do poro-zumienia. Bez względu na to, jakie łgar-stwa opowie Onofrio, nikt nie da mu wiary, jeśli oni będą twierdzić inaczej.

1631

– A potem?

– Może pójdę do więzienia na jakiś czas, może będę musiał opuścić prowincję. Ale nie zostanę zabity.

Przez minutę siedziała bez słowa, a biał-

ka jej oczu jarzyły się w półmroku. Wreszcie wstała i zaczęła odchodzić plażą.

– Dokąd idziesz? – zawołał.

Odwróciła się.

– Mówisz tak obojętnie o porzuceniu mnie... – zaczęła.

– Wcale nie obojętnie!

– Nie – roześmiała się gorzko. – Też są-

dę, że nie. Tak boisz się życia, nazywasz je śmiercią i wolałbyś iść do więzienia lub na wygnanie niż je przeżyć. To chyba nie jest obojętność.

Patrzyła nań, ale z tej odległości wyraz jej twarzy był nieodgadniony.

– Nie utracę cię, Estebanie – powiedzia-
ła.

1632

Znów zaczęła się oddalać i tym razem

nie odwróciła się, kiedy ją wołał.

Zmierzch począł ustępować miejsca zmkrowi, powolnej inwazji cieni topią-

cych świat w coraz głębszych szarościach, a wreszcie w czerni, i Esteban czuł, że szarość okrywa także jego duszę, a myśli stają się głuchym powtórzeniem uderzeń słab-nącego przyboju. Zmrok zapadał z ociąganiem i przyszło mu do głowy, że noc nie przyjdzie nigdy, że akt przemocy wbił

gwóźdź w tkanę jego rozchwianego ży-

wota, by przytwierdzić go na zawsze do tej spopieliałej chwili i wyludnionego brzegu.

Kiedy był dzieckiem, przerażała go możli-wość takiego magicznego osamotnienia, ale teraz widział w nim ukojenie bólu spo-wodowanego nieobecnością Mirandy, przypomnienie jej czarów. Mimo jej poże-gnalnych słów nie sądził, by miała powró-

1633

cić – jej głos pobrzmiwał smutkiem i ostatecznością – i to wzbudziło w nim uczucie na równi ulgi i samotności, uczucie, które nakazało mu wędrować tam i z powrotem po zalewanym falami skrawku

plaży.

Wstał księżyc w pełni, piaski barria za-płonęły srebrzyście i wnet z Puerto Morada nadjechało jeepem czterech żołnierzy.

Byli to karzełkowaci miedzianoskórzy mężczyźni w granatowych jak nocne niebo mundurach bez jakichkolwiek dystynkcji czy ozdób. Choć nie należeli do jego bliskich przyjaciół, znał ich wszystkich z imienia. Sebastian, Amador, Carlito i Ra-món. W reflektorach ich wozu zwłoki Raimunda – przeraźliwie białe, o twarzy, na której zastygająca krew nakreśliła skomplikowane spirale – wyglądały jak wyrzucone przez morze egzotyczne zwierzę i w ich badaniu ciała więcej było ciekawości niż 1634

poszukiwania dowodów. Amador wygrze-

bał z piasku broń Raimunda, wymierzył ją w stronę dżungli i spytał Ramona, ile jego zdaniem jest warta.

– Może Onofrio da ci dobrą cenę – od-

parł Ramón i wszyscy wybuchnęli śmiechem.

Z wyrzuconych na brzeg kawałków drewna i łupin kokosa rozpalili ognisko, siadłszy zaś wokół niego, wysłuchali opowieści Estebana; nie wspomniał o Mirandzie i jej związku z jaguarem, bowiem

ci ludzie – wyobcowani z plemienia przez swą służbę dla rządu – wykształcili w sobie skłonność do niedowierzania, a nie chciał, by podejrzewali go o irracjonalizm.

Słuchali bez komentarzy, a blask ognia nadawał ich skórom kolor czerwonozłoty i połyskiwał na lufach karabinów.

– Jeśli nic nie uczynimy, Onofrio pojedzie ze skargą do stolicy – powiedział
1635

Amador, kiedy już Esteban skończył.

– Może to zrobić tak czy owak – zauwa-

żył Carlito. – A wtedy Esteban znajdzie się w opałach.

– A jeśli do Puerto Morada zostanie wysłany agent – dodał Sebastian – i przekona się, jak stoją sprawy z kapitanem Portala-sem, przyślą na pewno kogoś innego i wtedy to my będziemy w opałach.

Gapili się w płomienie, rozważając problem, i w tym właśnie momencie Esteban zdecydował się spytać Amadora, który był

jego sąsiadem na górze, czy widział Incarnacion.

– Będzie zdumiona, kiedy się dowie, że żyjesz – odparł Amador. – Widziałem ją wczoraj u krawca. Podziwiała w lustrze krój swojej nowej czarnej spódnicy.

Esteban poczuł się tak, jakby czarna fałda sukni Incarnacion spowiała jego myśli.

Opuścił głowę i czubkiem maczety kreślił

1636

w piasku linie.

– Mam! – oznajmił Ramón. – Bojkot!

Inni nie chwyтали, o co mu chodzi.

– Jeśli my nie będziemy kupować u Onofria, to kto będzie? – wyjaśnił Ramón.

– Straci dochody. Zagrożony czymś takim nie ośmieli się wciągać w sprawę rządu.

Pozwoli Estebanowi dowieść, że działał w obronie własnej.

– Ale Raimundo był jego jedynym sy-

nem – zaproponował Amador. – Może się okazać, że tym razem rozpacz będzie silniejsza od pazerności.

Znów zamilkł. Niewiele obchodziło Es-

tebana, co postanowią. Zaczynał pojmować, że przyszłość bez Mirandy kreśli wy-

łącznie nieinteresujące perspektywy, zwró-

cił wzrok ku niebu i zauważył, że gwiazdy migocą w tym samym rytmie, co ognisko; wyobraził

sobie, że każdą z nich otacza grupka karzełkowatych miedzianoskórych 1637

ludzików debatujących nad jego losem.

– Aha! – rzekł Carlito. – Wiem, co zrobimy. Całą kompanią zajmiemy Barrio Carolina i to my

zabijemy jaguara. Chciwość Onofria nie oprze się pokusie.

– Tego nie możecie uczynić – powiedział Esteban.

– Niby dlaczego? – spytał Amador. –

Może nie zabijemy jaguara, ale jeśli będzie nas tyłu, na pewno go przepędzimy.

Nim Esteban zdołał odpowiedzieć, roz-

legł się ryk jaguara. Skradał się plażą ku ognisku jak czarny płomień, sunący po rozjarzonym

piachu: uszy położył po sobie, a srebrzyste drobiny księżycowego blasku połyskiwały w jego

ślepiach. Amador porwał swój karabin, przyklękł i strzelił; kula wzniosła fontannę piasku

kilkanaście stóp na lewo od jaguara.

– Zaczekaj! – wrzasnął Esteban, powalając Amadora na ziemię. Ale również inni 1638 zaczęli już strzelać i jedna z kul trafiła jaguara. Podskoczył wysoko, jak owej pierwszej nocy podczas zabawy, tym razem jednak opadł bezwładnie i z warknięciem próbował sięgnąć zębami barku; potem wstał i pokuśtykał w stronę dżungli, wyraźnie oszczędzając przednią lewą łapę.

Podnieceni sukcesem żołnierze podbiegli za nim kilka kroków i zatrzymali się, by ponownie dać ognia. Carlito przyklęknął i starannie wymierzył.

– Nie! – krzyknął Esteban, a kiedy ciskał maczetą w Carlita, rozpaczliwie próbując zapobiec dalszemu wyrządzeniu Mi-randzie krzywdy, zdał sobie sprawę, w jaką wpada pułapkę i jakie będą tego konsekwencje.

Ostrze przebiło udo Carlita, powalając żołnierza na bok. Zawył, zaś Amador, widząc, co się stało, strzelił na oślep w kierunku Estebana i wołał pozostałych. Este-1639

ban pędził ku dżungli, w stronę ścieżki jaguara. Usłyszał za plecami salwę, a kule świsnęły mimo jego uszu. Ilekroć pośliznął

się na rozmiękłym piachu, wydawało mu się, iż oblane światłem księżyca fasady barria skaczą na boki, jakby próbując zastawić mu drogę. A potem, kiedy docierał do skraju dżungli, został trafiony.

Kula, zdawało się, pchnęła go w przód, by zwiększyć szybkość biegu, zdołał jednak utrzymać się na nogach. Zataczał się po ścieżce wymachując ramionami, a świszczący oddech rozdzierał mu krtań.

Liście palm chłostały go po twarzy, pnącza oplątywały nogi. Nie czuł bólu, lecz tylko osobliwe odrętwienie pulsujące gdzieś nisko w plecach; wyobrażał sobie ranę otwierającą się i zamykającą jak otwór gę-

bowy morskiego anemona. Żołnierze wy-

wrzaskiwali jego imię. Pójdą za nim, ale ostrożnie, z obawy przed jaguarem, i są-1640

dził, że zdąży przekroczyć rzekę, nim go dopadną. Kiedy jednak dotarł na brzeg, zobaczył, że jaguar czeka.

Przycupnięty na trawiastym wzniesieniu, wyciągał nad wodą szyję, a w dole, jakieś sześć stóp od brzegu, płynęło odbicie księżyca w pełni, wielki, srebrzysty, nieskalany krąg światła. Krew połyskiwała szkarłatnie na barku jaguara, niczym przypięta róża, i bardziej niż kiedykolwiek do-tąd zwierzę wydawało się wcieleniem zasady doskonałej: taki kształt mógłby wybrać bóg, w taką postać mógłby się oblec jakiś pewnik uniwersalny.

Jaguar popatrzył spokojnie na Estebana, warknął głucho i gardłowo, a potem skoczył do rzeki i zniweczywszy odbicie księ-

życa, znikł pod powierzchnią. Woda wygładziła się, odbicie księżyca odzyskało dawny kształt. I tam, na jego tle, dojrzał

Esteban sylwetkę płynącej kobiety, którą 1641

każdy ruch ramion czynił mniejszą i mniejszą, aż wreszcie zdawała się jedynie ornamentem wygrawerowanym na srebrnej misie. I nie tylko Mirandę zobaczył Esteban, ale całą tę tajemniczość i piękno, któ-

re przed nim umyka; i pojął, jak był ślepy na ową prawdę skrytą w prawdzie śmierci, skrytej z kolei w jej prawdzie innego świata. Teraz było to dlań jasne. Śpiewała o tym jego rana, każda sylaba bijącego serca.

Było to wypisane w zamierających falach, kołysało się z liśćmi palm, wzdychało z wiatrem. Było wszędzie, było czymś, o czym Esteban wiedział zawsze: jeśli odrzucasz tajemnicę – nawet pod

postacią śmierci – odrzucasz życie i będziesz jak widmo przemierzał swoje dni, nie znając sekretów ostatecznych. Głębokich smutków, absolutnych radości.

Wciągnął w płuca gęste powietrze dżungli, a zarazem powietrze świata, który nie 1642 był już jego światem – świata dziewczęcej Incarnacion, dzieci, przyjaciół, wiejskich nocy... wszystkich utraconych rozkoszy.

Jego pierś ścisnęła się narastającym płaczem, uczucie to wnet jednak ustąpiło i zrozumiał, że zapach mango jest czymś ważniejszym od rozkoszy przeszłości, że dziewięć owych magicznych dni – magiczna liczba dni, tyle bowiem potrzeba czasu, by ukołysać duszę do snu – legło między nim a płaczem. Wolny od tych skojarzeń poczuł, jak dokonuje się w nim subtelna przemiana ku doskonałości, przepoczwa-rzenie, i przypomniał sobie, że zupełnie tak samo czuł się tego dnia, gdy wybiegł z drzwi Santa Maria del Onda, zostawiając za sobą mroczną geometrię kościoła, jego spowite w pajęczyny katechizmy i pokolenia jaskółek, które nigdy nie wyleciały poza mury, gdy zrzuciwszy habit nowicju-sza, popędził przez plac w stronę góry i 1643

czekającej Incarnacion. To ona go wówczas zwabiła – jak przedtem matka zwabiła go do kościoła, jak Miranda wabi go teraz.

Roześmiał się na myśl o tym, z jaką łatwo-ścią te trzy kobiety zawracały strumień jego życia i jak jest pod tym względem podobny do tylu innych mężczyzn.

Osobliwa roślina odrętwienia, rozkwita-jąca w jego plecach, słała swe pędy ku ramionom i nogom; okrzyki żołnierzy były coraz głośniejsze. Miranda stała się maleńką kropką ginącą w srebrnym bezmiarze.

Wahał się przez moment, doświadczając ponownego przyływu strachu; potem twarz Mirandy zmaterializowała się przed oczyma jego duszy i unicestwiając cały lęk, eksplodowało w nim tłumione przez dziewięć dni uczucie. Było to uczucie srebrzyste i nieskalane: oszołomiło go, uczyniło nieważkim; było jak grom i ogień sca-lone w jeden żywioł, który go rozpałał.

1644

Ogarnęła go potrzeba nadania mu wyrazu, zawarcia w formie zdolnej oddać jego moc i czystość. Nie był jednak pieśniarzem ani poetą i tylko jednym sposobem mógł je wyrazić. Mając nadzieję, że nie jest za późno, że wrota Mirandy nie zatrzasnęły się na zawsze, Esteban skoczył do rzeki, rozcinając odbicie księżyca w pełni.

I z oczami wciąż zamkniętymi w chwili skoku, dobywając ostatka swych ziem-skich sił, popłynął za nią.

1645

URSULA K. LE GUIN
LALE Z BUFFALO, CZY
WYJDZIECIE DZIŚ W
NOCY

(Buffallo gals, won't yon)

Przełożył Rafał Wilkoński

Ursula K. Le Guin uważana jest za jedną z najbardziej znaczących postaci w literaturze science fiction oraz fantasy.

Jej powieści z cyklu „Ziemiomorze” porównuje się do dzieł J.

R. R. Tolkiena ze względu na wyjątkowo kunsztowną i mister-ną konstrukcję fantastycznego świata. Podobnie jak Tolkien, Le Guin dzięki mistrzowskiemu posługiwaniu się językiem sprawia, iż jej światy tętnią życiem. Jej utwory zyskały także uznanie krytyki, zdobywając liczne nagrody, w

tym cztero-krotnie nagrodę Nebula, pięciokrotnie nagrodę Hugo, trzy-1646

krotnie nagrodę Jupiter oraz nagrodę Gandalfa. Autorka zajmuje się także prowadzeniem zajęć z kreatywnego pisania na całym świecie. Obecnie mieszka w Portland, w stanie Oregon.

1647

I

– Wypadłaś z nieba – powiedział kojot.

Wciąż zwinięta w kłębek, leżąc na boku, plecami oparta o wznoszącą się nad nią skałę, dziewczynka przyglądała się kojoto-wi jednym okiem. Drugie oko miała zasłonięte dłonią, której grzbiet przyciśnięty był do ziemi.

– Na niebie pojawiło się spalone miejsce, tam w górze, tuż przy grani, a ty wypadłaś ze środka – powtórzył kojot takim głosem, jakby zaczynało go już nudzić mówienie wciąż o tym samym. – Czy coś ci się stało?

Nic jej nie było. Leciwała samolotem razem z panem Michaelsem, a silnik ryczał tak głośno, że nie mogła zrozumieć, co do niej mówił, nawet wtedy, kiedy strasznie się wydierał, zaś wiatr tak targał skrzydła-1648

mi maszyny, że aż jej się zrobiło niedobrze, ale poza tym wszystko było w po-rządku. Lecieli do Canyonville. Samolotem.

Podniosła wzrok. Kojot wciąż siedział

przy niej. Ziewnął. Duży kojot, dorodny okaz o gęstej i połyskliwej sierści. Ciemne bruzdy przypominające ślady po łzach opadające w dół od kącików żółtych, po-dłużnych oczu były równie wyraźne, jak u domowego kocura.

Usiadła bardzo powoli, wciąż trzymając prawą dłoń przyciśniętą do prawego oka.

– Straciłaś oko? – spytał kojot z zainteresowaniem.

– Nie wiem – odparła dziewczynka.

Wciągnęła ustami powietrze i zadrżała. –

Zimno mi.

– Pomogę ci go poszukać – powiedział

kojot. – Wstań z ziemi. Jeśli się trochę po-ruszasz, nie będziesz tak dygotać. Słońce 1649 już wstało!

Chłodny blask oblewał opadający w dół teren, setki mil kwadratowych porośniętych bylicą. Kojot zaaferowany truchtał

dookoła, wtykał nos pod kępy króliczego ziela i złudnicy, łapami odgarniał kamienie.

– Nie chcesz szukać? – spytał, siadając nagle na zadzie i przerywając poszukiwania. – Robiliśmy kiedyś taką sztuczkę: Wysyłało się oczy wysoko na drzewo, żeby stamtąd rozejrzeć się po okolicy, a potem wystarczyło gwizdnąć, a one przy-latywały z powrotem na swoje miejsce.

Bardzo to było pożyteczne, ale pewnego razu ten złodziej Dudek ukradł mi moje gałki i na gwizd już nie wróciły. Potem musiałam wetknąć sobie w oczodoły dwie bryłki sosnowej żywicy, żeby cokolwiek widzieć. Ty też możesz spróbować. Ale ostatecznie masz jedno oko, więc wszystko 1650 w porządku, na co ci dwa? Idziesz ze mną, czy umierasz tu dalej?

Dziecko skuliło się, drżąc.

– Chodź, jeśli chcesz – powiedział kojot, ziewając, a następnie zębami schwytał w sierści pchłę, wstał, odwrócił się i zaczął

oddalać się truchtem pomiędzy rzadkimi kępami króliczego ziela i szałwi, porastają-

cymi długi stok, który ciągnął się daleko w dół aż do równiny poprzecinanej długimi pręgami bylicy. Niełatwo było śledzić szczupłego, szarozółtego zwierzaka, który powoli zniknął z pola widzenia.

Dziewczynka z wyraźnym wysiłkiem podniosła się z ziemi bez słowa, chociaż w myślach nie przestawała nawoływać: „Zaczekaj, proszę cię, zaczekaj”, po czym uty-kając, ruszyła za kojotem. Nie widziała go.

Prawy oczodół wciąż miała zasłonięty dłońią. Gdy patrzyła tylko jednym okiem wszystko zdawało się pozbawione głębi.

1651

To, co miała przed oczyma, jawiło się jej jako ogromny, płaski obraz. Kojot nagle usiadł dokładnie pośrodku tego obrazu; spoglądał do tyłu z otwartym pyskiem i zwężonymi oczyma, uśmiechając się szeroko. Nogi przestały jej się trząść, a w głowie nie czuła już obłądnego pulsowania, aczkolwiek głęboki, przyprawiający o omdlenie ból nie ustawał. Była już prawie przy zwierzęciu, kiedy ono ponownie zaczęło oddalać się truchtem. Tym razem odezwała się głośno:

– Proszę cię, zaczekaj!

– W porządku – odparł kojot, nie przerywając truchtu. Dziewczynka ruszyła za nim w dół zbocza, wchodząc w płaski obraz, który po każdym postawieniu stopy nabierał głębi tylko na odległość jednego kroku w przód.

Z każdym krokiem podłoże wydawało się inne, każdy krzaczek szaławii wyglądał

1652

zupełnie inaczej, a jednocześnie tak samo jak pozostałe. Podążając w ślad za kojotem, wydostała się z cienia urwistych skał.

Na otwartej przestrzeni nisko stojące słoń-

ce, oślepiło jej lewe oko. Przyjemne ciepło natychmiast przeniknęło mięśnie i kości.

Powietrze, którym przez całą noc tak trudno było oddychać, stało się lekkie i łagodne.

Cienie krzaczków szaławii kurczyły się, a słońce paliło plecy dziewczynki, kiedy szła za kojotem wzdłuż krawędzi parowu. Po jakimś czasie zszedł na dół po stromo ścię-

tym zboczku jaru, a dziecko ruszyło za nim; biegł pomiędzy karłowatymi wierzbami do wąskiego strumyka, który żłobił sobie ło-

żysko w piaskowcu. Tam napili się wody.

Kojot sforsował strumień, nie pędząc radośnie i nie rozchlapując wody jak pies, ale dostojnie, łapa za łapą, cichutko jak kot. Przez cały czas ogon miał opuszczony-1653

ny. Dziewczynka zawahała się, wiedząc, że mokre buty oznaczają bąble na stopach, ale brnęła za zwierzęciem, usiłowała przejść przez wodę, stawiając jak najmniej kroków. Prawe ramię rozboleło ją od cią-

głego trzymania się za prawe oko.

– Potrzebuję bandaża – zwróciła się do kojota. W odpowiedzi zwierz przekrzywił tylko głowę i nie odezwał się ani słowem.

Wyciągnąwszy swobodnie wszystkie cztery łapy, leżał, patrząc na wodę, odpoczywał, lecz niezmiennie zachowywał czujność. Dziecko usiadło obok na rozgrzanym piachu i próbowało poruszyć prawą dłońią.

Zaschła krew przykleiła wewnętrzną jej część do skóry wokół oczodołu. Chociaż zrywaniu całkiem jeszcze świeżych strupów towarzyszyło niezbyt dotkliwie szczypanie, dziewczynka pisnęła żałośnie, bardziej ze strachu niż z bólu. Kojot podszedł

do niej i długim pyskiem zbadał z bliska 1654

jej twarz. Ostry, mocny zapach zwierzęcia podrażnił nozdrza dziewczynki. Kojot tymczasem zaczął lizać zdrętwiały z bólu, porażony ślepotą obszar, czyszcząc go wy-trwale precyzyjnymi ruchami zwiniętego w rurkę, sprężystego i wilgotnego języka, aż do chwili, gdy dziecko mogło swobodnie zapłakać z ulgi. Dziewczynka pochyliła głowę, która znalazła się bardzo blisko szarozółtego boku z mocno zarysowanymi żebrami i wtedy zobaczyła dwa rządki twardych sutek wystających z białego fu-terka na brzuchu. Objęła ramieniem kojotkę, gładząc ją po szorstkiej sierści na grzbiecie i bokach.

– W porządku – powiedziało zwierzę –

idziemy! – i ruszyło, nie oglądając się za siebie. Dziecko ponownie podniosło się z trudem i ruszyło w ślad za nim.

– Dokąd idziemy? – zapytała dziewczynka.

1655

Jej czworonożna przewodniczka, nie przerywając truchtu wzdłuż brzegu srebrnej strugi, odpowiedziała:

– Och, po prostu w dół tego strumienia...

Najwyraźniej przez dłuższą chwilę spała, nie przerywając marszu, ponieważ czuła się tak, jakby właśnie się obudziła, a tymczasem wciąż była na nogach, tylko w nieco innym

miejscu niż to, które zapamiętała, zanim za – mknęła oczy. Nie miała pojęcia skąd wie, że miejsce to jest inne.

Wciąż szły wzdłuż strumienia, aczkolwiek jego koryto było obecnie bardzo płytkie, zaś dookoła jak wzrokiem sięgnąć rosły bylice. Oko – to sprawne – czuło się wypo-częte. Drugie wciąż bolało, ale nie był to już ten sam ostry ból, co przedtem, i nie było sensu, żeby o nim myśleć. Ale gdzie się podziała kojotka?

Dziewczynka przystanęła. Wielka,

1656

ciemna otchłań, w którą wcześniej wpadł

samolot, ponownie otworzyła się, ściągając ją w dół. Spadała, nie poruszając się, podczas gdy w gardle rodził się głuchy jęk.

– Tutaj!

Obróciła się. Samica kojota wgryzała się w na wpół wyschłe ścierwo kruka. Czarne pióra lepiły się do czarnych warg i wąskiej szczęki.

Ujrzała kobietę o śniadej skórze, klęczącą

przy ognisku, która wsypywała coś do garnka w kształcie odwróconego stożka.

Usłyszała bulgot wody gotującej się w garnku, chociaż znajdował się on z dala od ognia, wsparty na kamieniach. Włosy kobiety były żółtoszare, związane z tyłu ka-wałkiem sznurka. Stopy miała bose. Podeszwy stóp odwrócone w stronę dziewczynki były równie ciemne i twarde, jak zelów-ki butów, ale podbicie miały ładnie wy-sklepione, zaś palce układały się w dwa 1657

równiutkie, lekko zakrzywione rządki. Kobieta miała na sobie dzinsy i sfatygowaną, białą koszulę. Spojrzała na dziewczynkę.

– Chodź, zjedz trochę kruka!

Dziewczynka wolno podeszła w stronę

kobiety przy ognisku i ukucnęła. Przestała spadać w otchłań. Czuła się lekka i pusta w środku, a język w jej ustach przypominał

kawałek drewna.

Kojotka dmuchała teraz w garnek, a może raczej koszyk, czy cokolwiek to było. Wsadziła do środka dwa palce, ale szybko je stamtąd wyciągnęła, potrząsając gwałtownie dłonią i drąc się na cały głos:

– O, cholera! Ciekawe, dlaczego nigdy nie zaopatrzę się w łyżki? – Ułamała ze-schlą łodyżkę bylicy, zanurzyła w zawartości garnka, uniosła do ust i oblizwała.

– Mniam, pycha – oceniła z aprobatą. –

No, chodź!

Dziewczynka zbliżyła się nieco, również 1658

ułamała gałązkę i zanurzyła. Polizwała. Potrawa miała smak zarazem intensywny i bardzo wykwinny.

– Co to jest? – zapytała po dłuższej chwili, wypełnionej zanurzaniem i oblizywaniem.

– Jedzenie. Potrawka z suszonego łososia – powiedziała Kojotka. – Właśnie stygnie.

Ponownie włożyła dwa palce do papki,

tym razem wydobywając z garnka sporą jej porcję, po czym oblizwała całą dłoń do czysta. Kiedy dziewczynka spróbowała gę-

stego, ciepłego musu, rozmazała go sobie po całej brodzie. Pożywianie się palcami okazało się równie skomplikowane, co jedzenie pałeczkami – wymagało praktyki.

Niezwłocznie więc zabrała się do praktycznych ćwiczeń. Jadły, sięgając kolejno do garnka raz jedna, raz druga, aż w końcu nie zostało w naczyniu nic prócz trzech ka-1659

mieni. Dziewczynka nie spytała, dlaczego na dnie garnka leżą kamienie. Wylizały je do czysta. Ko – jotka wylizała także wną-

trze garnko-kosza, wypłukała go w strumieniu i założyła go na głowę. Przypominał spiczasty kapeluszyk i było jej w nim bardzo do twarzy. Kobieta ściągnęła dzinsy.

– Sikaj do ognia! – zawołała i zaraz sama to zrobiła, stając okrakiem nad tłacym się żarem. – Ach, ta para między nogami! – powiedziała rozmarzonym głosem.

Dziewczynka, bardzo zakłopotana, są-

dziła, że tamta oczekuje od niej, iż pójdzie w jej ślady, ale ona nie miała zamiaru tego robić i nie zrobiła. Świecąc gołą pupą, Kojotka wykonała taniec wokół zalanego ogniska; wyrzucała na boki swoje długie, szczupłe nogi i śpiewała:

Lale z Buffalo, czy wyjdziecie dziś w nocy Czy wyjdziecie dziś w nocy, czy wyjdziecie dziś w nocy

1660

Lale z Buffalo, czy wyjdziecie dziś w nocy Potańczyć przy świetle księżycy?

Z powrotem założyła dzinsy. Dziewczynka zasypywała tymczasem resztki ognia piachem z dna strumyka, usypując z niego całkiem spory kopczyk. Naprawdę chciała się dobrze spisać. Kojotka przyglą-

dała się jej uważnie.

– Czy to właśnie ty? – spytała. – Lala z Buffalo? Co stało się z twoją resztą?

– Z moją resztą? – Dziewczynka z niepokojem spojrzała po sobie.

– Z resztą twoich ludzi.

– Aha. No więc, mama zabrała Bobby'e-

go – to mój młodszy braciszek – do wujka Norma. Tak naprawdę, to on nie jest wcale moim wujkiem ani żadnym krewnym.

Wtedy pan Michaels, który i tak jechał w tamte strony, zdecydował się zawieźć mnie do mojego

prawdziwego ojca, do Cany-1661

onville. Linda, moja macocha, powiedzia-

ła, że na lato mogę przyjechać do nich, a potem się zobaczy. Ale samolot.

W ciszy, która nagle zapadła, twarz dziewczynki stała się ciemnoczerwona, a następnie szaroblada. Kojotka przyglądała się tym zmianom zafascynowana.

– Och – powiedziała dziewczynka –

Och... Ojej... pan Michaels... on pewnie...

Czy...?

– Idziemy! – zawołała Kojotka i ruszyła przodem.

Dziewczynka zawołała:

– Ja muszę wracać...

– A po co? – spytała Kojotka. Zatrzyma-

ła się, by spojrzeć do tyłu na dziewczynkę, a następnie przyspieszyła kroku. – Chodź, Lala! –

Wypowiedziała to jak imię. Może właśnie jej imię, Myra, tak właśnie brzmia-

ło w języku kojotów. Zmieszana i przepę-

niona rozpaczą dziewczynka jeszcze raz 1662

zaprotestowała, a potem ruszyła w ślad za swoją przewodniczką.

– Dokąd idziemy? Gdzie my w ogóle je-

steśmy?

– To moja kraina – odparła Kojotka z

godnością, szerokim, dostojnym gestem obejmując cały teren rozciągający się wo-kół nich aż po

horyzont. – Ja go stworzy-

łam. Każdy cholerny krzaczek szałwii.

Ruszyły dalej. Kojotka swobodnym kro-

kiem, lekko powłócząc nogami, ale dość szybko przesuając się do przodu. Dziewczynka

musiała mocno się wysilić, żeby nie pozostać w tyle. Cienie znów zaczyna-

ły wypełzać spod skał i krzewów. Oddalając się od strumienia, szły w górę niskiego,

pofałdowanego stoku, który kończył się skalistą granią widniejącą w dali na tle nieba. Ciemne

drzewka rosły to tu, to tam. To był jałowcowy las, pustynny las, w którym więcej jest przestrzeni

między drzewami 1663

niż samych drzew. Każdy jałowiec, jaki mijaly, rozsiewał ostry zapach. Dzieciaki w szkole

nazywały taki zapach kocim smrodem, ale dziewczynce on się podobał.

Miała wrażenie, że wwierca się w jej umysł, usuwa zeń znużenie i pobudza do dalszego marszu.

Mijając jeden z krzewów, zerwała jałowcową jagodę i włożyła do ust, ale zaraz ją wypluła. Ból

powracał

wielkimi falami, od których kręciło się w głowie i co chwilę się potykała. Po jakimś czasie

zorientowała się, że siedzi na ziemi.

Kiedy spróbowała się podnieść, nogi za-częły jej dygotać i nie chciały utrzymać ciała w pionie.

Poczuła się bezradna i przerażona. Zaczęła płakać.

– Jesteśmy już w domu! – zawołała Ko-

jotka spod szczytu wzgórza.

Dziewczynka spojrzała w jej stronę łza-wiącym okiem, ale ujrzała tylko bylice, ja-

łowce, złudnice i skaliste zwieńczenie gra-1664

ni. Usłyszała kojocie zawołanie gdzieś daleko, w suchym półmroku.

Ujrzała małe miasteczko pod granią, domki z desek, chatki z drewna, wszystkie o

niemalowanych ścianach. Znów usłysza-

ła nawoływanie Ko – jotki.

– Dalej, szczeniaczku! Chodź, Lala, jesteśmy w domu!

Nie mogła się podnieść, więc na czwo-

rakach ruszyła w długą drogę pod górę, do domków w cieniu grani. Miała jeszcze spory kawałek do przebycia, kiedy na spotkanie jej wyszła grupa osób. Na początku myślała, że to wszystko dzieciaki, ale potem zrozumiała, że większość z nich to do-rośli, tyle że wyjątkowo niscy. Ludzie ci mieli dość potężne, masywne ciała o fili-granowych stopach i dłoniach. Ich oczy były jasne. Jakieś kobiety pomogły jej wstać i iść dalej, dopingując ją głośno:

– To już naprawdę niedaleko! Świetnie 1665
ci idzie!

W wieczornym mroku żółte światło biło z otwartych drzwi i przesączało się przez szczeliny między deskami w nieogaconych ścianach domków. W nieruchomym powietrzu wisiał słodkawy aromat drzewne-go dymu. Mali ludzie przez cały czas rozmawiali i śmiali się bardzo cicho.

– U kogo zamieszka ta mała?

– Zaprowadźcie ją do Drozda, tam już wszyscy śpią!

– Przecież możemy ją zabrać do nas.

Dziewczynka spytała ochrypłym głosem:

– Gdzie jest Kojotka?

– Wyruszyła na polowanie – odpowie-
dzieli mali ludzie.

Po chwili wszyscy usłyszeli jakiś dono-
śniejszy, głębszy głos:

– Czyżby ktoś nowy przybył do miasteczka?
1666

– Tak, nowy człowiek – odpowiedział
jeden z ludzików.

Pomiędzy tymi karzełkami mężczyzna o
grubym głosie wyglądał imponująco. Był

wysoki i szeroki w barach, miał mocarne dłonie, wielką głowę i krótką szyję. Mali ludzie z szacunkiem rozstąpili się przed nim. Poruszał się bardzo ostrożnie, ze swej strony również okazując w ten sposób szacunek otaczającemu go drobiazgowi. Kiedy spojrział w dół na dziewczynkę, dostrzegła jego niesamowite oczy. Kiedy mrugał

wyglądało to tak, jakby ktoś machał dłonią przed płomykiem świecy.

– To tylko mała sówka – stwierdził. –

Co sobie zrobiłaś w oko, nowa osobo?

– Ja... Właśnie lecieliśmy...

– Jesteś jeszcze zbyt młoda, żeby latać –

powiedział potężny mężczyzna głębokim, aksamitnym głosem. – Kto cię tu przyprowadził?

1667

– Kojotka.

Potwierdził to jeden z małych ludzi.

– Tak, ona przyszła tutaj z Kojotką, Pu-chaczu.

– A więc może powinna spędzić dzisiaj-szą noc w domu Kojotki – odpowiedział wielkolud.

– Ale tam tylko pustka i pełno porozrzucanych kości – odezwała się mała kobietka o pulchnych policzkach, ubrana w pasiastą koszulę. – Może przyjsć do nas.

Wydawało się, że jej decyzja ostatecznie rozstrzygnęła całą sprawę. Pucułowata kobieta poklepała dziewczynkę po ramieniu i poprowadziła ją wśród chatynek i szałasów do małego domku bez okien. Drzwi były tak niskie, że nawet dziewczynka musiała się schylać przy wejściu. Wewnątrz dom był przepełniony ludźmi. Niektórzy znajdowali się już w środku przed nimi, inni wciskali się do wnętrza tuż za kobietą o 1668

nalanych policzkach. Kilkoro dzieci spało mocnym snem w kwadratowych kołyskach porozmieszczanych w rogach izb. W dom-ku panowało miłe ciepło bijące od kominka i przyjemny zapach przypominający woń prażonych ziaren sezamowych.

Dziewczynka dostała jeść i nawet prze-
łknęła kilka kęsów, ale głowa jej opadała, a mrok panujący w jej prawym oku rozprzestrzenił się i na lewe, tak że przez długą chwilę nie widziała nic a nic. Nikt nie pytał jej, jak ma na imię, ani też nikt się jej nie przedstawiał. Usłyszała, jak dzieci wołają na kobietę o wydatnych policzkach „Wiewiórka”. W końcu zebrała się na odwagę i powiedziała:

– Czy mogłabym się gdzieś ułożyć do
snu, pani Wiewiórko?

– Jasne, chodź – odpowiedziała jej jedna z córek pani domu – tam będzie miejsce.

Zabrała dziewczynkę do tylnej izby, nie-1669

zupełnie oddzielonej ścianką działową od zatłoczonej izby przedniej, ale za to mrocznej i niemal pustej. Wzdłuż ścian ciągnęły się ogromne półki, na których po-rozkładano materace i koce.

– Wczołgaj się gdzieś – powiedziała córa Wiewiórki, poklepując dziewczynkę po ramieniu dla dodania jej otuchy. Dziewczynka wspięła się na jedną z półek i wsunęła pod koc. Ułożyła głowę na desce i tuż przed zaśnięciem pomyślała: Nie umyłam zębów.

II

Obudziła się i znowu zasnęła. W sypialnej izbie domu Wiewiórek było gorąco, panował zaduch i mrok. Dzień i noc jacyś ludzie wchodzili, kładli się spać, wstawali i wychodzili. Drzemała i spała na przemian, schodziła na dół, aby we frontowej 1670

izbie napić się wody czerpanej chochlą z wiadra, i wracała, by znów drzemać i spać.

Siedziała na półce, majdając nogami.

Nie czuła już bólu, a jedynie senność i osłabienie. Przeszukała kieszenie dzinsów.

W lewej przedniej kieszeni znalazła mały grzebyk i papierek po gumie balonowej, w prawej natomiast dwa banknoty dolarowe, ćwierćdolarową monetę i dziesięciocentówkę.

Do izby weszła Wiewiórka w towarzy-

stwie innej kobiety – pulchnej, ciemno-okiej i ciemnowłosej piękności.

– A więc wreszcie obudziłaś się na swój taniec! – przywitała ją Wiewiórka, śmiejąc się na cały głos, po czym usiadła obok niej i objęła ją ramieniem.

– Dudek odtanczy dla ciebie taniec – poinformowała ją ta druga, o ciemnych włosach. – On cię uzdrowi. Pora się szykować!

1671

Pod granią biło źródółko, które rozlewa-
ło się w małą sadzawkę o mulistych, zaro-

śniętych trzcina brzegach. Zgraja rozbrykanych dzieciaków, chlapiąca się w stawku, rozbiegła się, pozwalając dziewczynce i dwom kobietom wziąć kąpiel. Woda bardzo ciepła na powierzchni, głębiej, tam gdzie można było sięgnąć nogą, przejmowała lodowatym chłodem. Kiedy się rozebrały

do naga, dwie rozmawiające ściszonymi głosami, roześmiane kobiety, o pęka-tych brzuchach i piersiach, rozłożystych biodrach i wydatnych pośladkach rozsiewających ciepły blask w świetle późnego popołudnia, opłukały dziewczynkę, oblewając ją strumieniami wody, obmyły i wyszorowały jej nogi i ręce, umyły włosy, niezwykle delikatnie oczyściły kość policzkową i brew wokół prawego oka, przyjrzały jej się z uznaniem, namydliły ją, spłukały, wychlapały w wodzie, wytarły 1672

ją, wytarły siebie nawzajem, ubrały się, ubrały dziewczynkę, zaplotły jej włosy, zaplotły włosy sobie nawzajem, zawiązały jej i sobie pióra na końcach warkoczy, ponownie przyjrzały się jej, a także sobie nawzajem, z podziwem, po czym sprowadzi-

ły ją na dół, do małego miasteczka, w któ-

rym były domki porozrzucane po całej okolicy, i zaprowadziły na placyk, przypominający coś w rodzaju glinianego boiska, bądź parkingu na ubitej ziemi, otoczonego chatynkami. W miasteczku nie było ulic, a jedynie wydeptane latami ścieżki. Żadnych trawników, żadnych ogrodów, tylko bylice i płaty gołej ziemi. Wokół tej otwartej przestrzeni gromadziło się lub łądziło dookoła całkiem sporo ludzi, którzy sprawiali wrażenie odświętnie ubranych, w swoich kolorowych koszulach, nadrukowanych sukniach, obwieszeni sznurami koralików, z kolczykami w uszach.

1673

– Hej, Wiewiórko! Jak się masz, Skoczomyszko! – pozdrawiali kobiety towarzyszące dziewczynce.

Jakiś mężczyzna w nowych dzinsach i

błękitnej welwetowej kamizelce nałożonej na czystą, wyblakłą, niebieską koszulę podszedł do nich, przystojny, spięty i wyniosły.

– W porządku, Lala! – odezwał się za-

chrypłym, donośnym głosem, tak odmiennym od cichych, szemrzących głosików, jakimi porozumiewali się otaczający ich ludzie. – Dziś w nocy zabierzemy się za to oko! Ty tylko siedź i o nic się nie kłopotz.

– Ujął ją za nadgarstek, bardzo łagodnie pomimo swych efekciarskich i nonszalanc-kich manier, po czym zaprowadził na plecioną matę, która leżała na ziemi niemal na samym środku placyku. Tam, czując ogromne zakłopotanie, musiała usiąść i siedzieć bez ruchu. Szybko przestała przej-

1674
mować się tym, że wszyscy na nią patrzą, jako że większość zgromadzonych ograniczała się do rzucania jej przelotnych, tak-sujących spojrzeń lub, jak w przypadku Wiewiórki bądź Skoczomyszki i członków ich rodzin, do porozumiewawczych mrugnięć, które miały jej dodać otuchy. Dudek co chwila podbiegał do niej, mówiąc coś w rodzaju: „Będzie całkiem jak nowe!”, i ponownie oddalał się, aby dyrygować tłumem, machając swymi długimi, pstrokaty-mi ramionami i krzycząc zawzięcie.

Nagle dziewczynka zauważyła wspina-

jącą się ku otwartej przestrzeni, szczupłą, poruszającą się niedbałym krokiem, śniadą sylwetkę.

Na jej widok dziewczynka chciała zerwać się na nogi, ale przypomniała sobie, że miała siedzieć bez ruchu, więc siedziała bez ruchu, wołając tylko cicho:

– Kojotko! Kojotko!

1675

Kojotka zbliżyła się niespiesznie.

Uśmiechnęła się szeroko. Przystanąła, spoglądając na dziecko.

– Uważaj tylko, Lala, żeby ten Dudek

cię nie oszwabił – powiedziała i ruszyła dalej, swobodnie kołysząc się na boki.

Dziewczynka odprowadziła ją tęsknym

wzrokiem.

Wszyscy ludzie siedzieli teraz po jednej stronie placyku, tworząc nierówne półkole, które powiększało się z każdą chwilą, w miarę jak przyłączali się wciąż nowi mieszkańcy miasteczka, aż w końcu przekształciło się w pełny okrąg, utworzony z ludzi siedzących na ziemi wokół dziecka, w promieniu dziesięciu czy piętnastu kroków. Wszyscy mieli na sobie ubrania, jakie dziewczynka widywała na co dzień: dzinsy, dzinsowe kurtki, kamizelki, koszu-le, bawełniane sukienki, wszyscy jednak chodzili boso i dziewczynka doszła do 1676

wniosku, że są znacznie piękniejsi niż ludzie, których zna, a każdy w inny sposób, jak gdyby każdy z osobna odkrył inny rodzaj piękna. Jednakże część z obecnych wyglądała również bardzo dziwnie: szczupli, lśniący, ciemno ubarwieni ludzie, porozumiewający się szeptem, długonoga kobieta o oczach jak klejnoty, olbrzymi mężczyzna zwany Puchaczem też tam był, senny i pełen godności niczym sędzia McCown, właściciel rancza o powierzchni sześćdziesięciu tysięcy akrów. Obok Puchacza stała kobieta, która mogłaby być jego siostrą, ponieważ tak jak on miała haczykowaty nos i wielkie, silne dłonie, lecz była przy tym szczupła i ciemna, a w jej okrutnych oczach paliły się iskierki szaleń-

stwa. Miała żółte oczy, ale okrągłe, nie po-dłużne i ukośne jak u Kojotki. Kojotka też się zjawiała. Siedziała, ziewając i drapiąc się pod pachą, najwyraźniej znudzona. Te-1677

raz ktoś wszedł do środka koła: mężczyzna ubrany jedynie w kraciastą spódnicę i płaszcz wymalowany lub wyszywany ko-ralikami przypominającymi diamenty, tańczył w rytm grzechotki, którą miał ze sobą i którą potrzasał, wydobywając z niej lawinę dźwięków, brzmiących jak przesypywanie się żwiru. Nogi, ręce i tułów miał masywne i pękate, lecz przy tym bardzo sprawne, zaś jego ruchy były miękkie i płynne. Dziewczynka wpatrywała się w niego bacznie, kiedy mijał ją w tańcu, okrążał ją i wracał z drugiej strony. Grzechotka migiała w jego rękach tak szybko, że ledwo było ją widać, natomiast w drugiej ręce trzymał jakiś cienki i ostry przedmiot. Ludzie siedzący w kole zaczęli teraz coś nucić. Była to seria kilku dźwięków, powtarzanych w rytm chrzęstu grzechotki, dźwięków cichych i nietworzących żadnej harmonijnej całości. Melodia ta była zara-1678

zem pobudzająca i nużąca, obca i znajoma.

Grzechotnik coraz bardziej zacieśniał kręgi wokół dziewczynki, co jakiś czas robiąc gwałtowne wypadki w jej stronę. Za pierwszym razem cofnęła się i skuliła, przestraszona nagłością jego ruchu, a także widokiem jego płaskiej, zimnej twarzy o wą-

skich oczach, ale potem już siedziała nieruchomo, pamiętając, że taką przypisano jej tu rolę. Taniec trwał w rytm nieprzerwanej pieśni, aż do chwili, kiedy znużenie dziecka przeszło w łagodne szybowanie, które mogło trwać i trwać bez końca.

Wtedy Dudek dumnie wkroczył na środek koła i stanął przy niej. Nie potrafił śpiewać, ale zawołał: „Hej! Hej! Hej!

Hej!" swoim donośnym, zachrypłym głosem, a wszyscy dookoła odpowiedzieli mu, aż gromkie echo odbiło się od grani. Dudek trzymał w jednej ręce uniesiony w górę patyk z baryłkowatym zgrubieniem 1679

na końcu, w drugiej zaś coś, co przypominało dużą kulę. Patyk okazał się fajką: za-ciągnął się dymem i wydmuchnął go w czterech kierunkach, a także w dół i do góry, następnie na trzymaną w dłoni kulę, za każdym razem wypuszczając z ust jeden mały kłęb. Wtedy grzechotanie urwało się nagle i, na czas potrzebny do nabrania kilku oddechów, wszystko ucichło. Dudek przykucnął i spojrzał bacznie w twarz dziewczynki, przekrzywiając głowę na bok. Wyciągnął rękę, mamrocąc coś

w rytm grzechotania i śpiewów, które wzno-wiono znacznie głośniejsze niż poprzednio.

Zbliżył dłoń do prawego oka dziewczynki i wetknął coś dokładnie w mroczny ośrodek bólu.

Dziewczynka cofnęła się odruchowo, ale jakoś nad sobą zapanowała.

Jego dotyk nie był zbyt delikatny. W wysuniętej dłoni ujrzała kulę – matową żółtą gałkę, jakby utoczoną z pszczelego wosku.

1680

Potem zamknęła widzące oko i zacisnęła zęby.

– Tak jest! – wrzasnął Dudek. – Teraz otwórz! No, dalej! Niech wszyscy zobaczą!

Jej szczęki zwarty się jak szczęki imadła i po chwili otworzyła oboje oczu. Powieka prawego oka przylepiła się do nowej gałki, a następnie oderwała z tak palącym bólem, że dziewczynka niemal nie zwymiotowała, mimo że siedziała w środku koła, czując na sobie wzrok wszystkich zgromadzonych.

– Hej, i co – widzisz? Jak działa? Wy-gląda wspaniale! – Dudek potrząsał ramieniem i ponaglił ją z pewnym wyrzutem w głosie. – No powiedz, jak się czujesz? Czy oko działa?

Obraz w nowym oku był zmacony, za-

mglony, żółtawy. Podczas gdy wszyscy otoczyli ją tłumnie, gapiąc się na nią, 1681

uśmiechając się do niej, poklepując ją po plecach i po ramionach, dziewczynka odkryła, że kiedy zamyka bolące oko i patrzy tylko zdrowym, wszystko wydaje się wy-raźne, ale płaskie, natomiast kiedy używa obu oczu, obraz jest nieostry i lekko pożół-

kły, ale za to ma pełną głębię.

Po chwili obok siebie ujrzała długi nos, wąskie oczy i wyszczerzone zęby Kojotki.

– Co to takiego, Dudku? – zapytała, wpatrując się w nowe oko dziewczynki. –

Czy to czasem nie jedna z tamtych gałek, które mi kiedyś ukradłeś?

– To sosnowa żywica – odkrzyknął do-

tknięty do żywego Dudek. – Naprawdę są-

dzisz, że użyłbym jakiegoś głupiego, używanego, kojociego ślepie? Jestem lekarzem!

– Ohoho, ohoho! Lekarzem! – zawołała

Kojotka. – O rany, ależ wstrętne to oko.

Czemuś nie poprosił Królika, żeby dał ci 1682

swojego bobka? To oko wygląda jak zrobione z gówna.

Kojotka przysunęła bliżej swoją pocią-

głą twarz, aż dziewczynka pomyślała, że zamierza ją pocałować. Zamiast tego wą-

ski, mocny język przejechał po obolałym miejscu, oczyszczając je i uśmierzając wszelkie bólesci.

Kiedy dziewczynka znów otworzyła oboje oczu, świat wyglą-
dał zupełnie nieźle.

– Działa całkiem dobrze – stwierdziła.

– No i co? – wrzasnął tryumfująco Du-

dek. – Mówi, że działa całkiem dobrze!

Działa całkiem dobrze – sama tak powiedziała! Mówiłem! A co, nie mówiłem? – I dalej

wymachiwał zamasyście rękami, drąc się wniebogłosy.

Tymczasem Kojotka zniknęła. Tłum po-
woli się rozchodził.

Dziewczynka podniosła się, zeszywnia-
ła od zbyt długiego siedzenia. Zapadał

1683

zmrok, tylko na zachodzie widać było jeszcze intensywną, bladą poświatę. Na wschodzie równina zlewała się już z mrokiem.

W kilku chałupach paliło się światło.

Gdzieś na skraju miasteczka ktoś wygrywał na potwornie jęczących skrzypcach, rzewną, płaczącą melodię, od której ciarki przechodziły po plecach.

Ktoś inny podszedł do niej i zapytał cicho:

– Gdzie spędzisz tę noc?

– Nie wiem – odpowiedziała dziewczynka.

Czuła straszliwy głód. – Czy mogę za-nocować u Kojotki?

– Ona rzadko bywa w domu – odpowiedziała cichym głosem kobieta.

– Wczoraj byłaś u Wiewiórki, prawda? Jest jeszcze Królik albo Zając, oni też mają duże rodziny...

– A pani ma rodzinę? – spytała dziewczynka.

1684
czynka, patrząc na delikatną kobietę o łagodnych oczach.
– Mam dwa jelonki – odpowiedziała kobieta, uśmiechając się. – Ale ja przyszedłam do miasteczka tylko na taniec.
– Naprawdę chciałabym zamieszkać u Kojotki – powiedziała dziewczynka po długiej chwili

milczenia, nieśmiało, ale z uporem.

– W porządku. Tam jest jej dom. – Łania

towarzyszyła dziewczynce aż do wał-

cej się rudery na najwyższym końcu miasteczka. Wewnątrz nie paliło się żadne światło.

Przed domem wałało się mnóstwo śmieci. Do na wpół uchylonych drzwi nie prowadził żaden schodek. Nad drzwiami, na krzywo przybitej, sfatygowanej sosnowej desce widniał napis: Wstąp-na – Chwilkę.

– Hej, Kojotko, masz gości – zawołała Łania. Nic się nie poruszyło.

1685

Łania popchnęła drzwi i zajrzała do środka.

– Pewnie wyszła na polowanie. Lepiej

wróć do moich jelonków. Dasz sobie radę? Ktoś z okolicy pewnie da ci coś do jedzenia...

wiesz... poradzisz sobie?

– Pewnie, pewnie. Dzięki – odpowiedziała dziewczynka.

Patrzyła, jak Łania znika w przezroczystym półmroku, elegancko drobiąc nóżkami niczym kobieta w szpilkach, szybko, lekko i z gracją.

Wnętrze Wstąp-na-Chwilkę było tak mroczne, że dziewczynka nie mogła niczego dojrzeć, a przy tym było tak zawałone wszelkiego rodzaju gratami, że na każdym kroku potykała się lub wpadała na jakiś sprzęt. Nie wiedziała, gdzie i w jaki sposób należy zapalić ogień. Wreszcie natknęła się na coś, co wydawało się łóżkiem, ale kiedy się na tym położyła, miała wrażenie, że

1686
jest to raczej sterta brudnych ciuchów, w każdym razie taki właśnie zapach roztacza-

ło to leże. Coś gryzło jej nogi, ramiona, szyję i plecy. Czuła potworny głód. Po zapachu znalazła

drogę do miejsca, gdzie z sufitu w rogu izby zwisało coś, co musiało być martwą rybą. Macając na oślep rękami, w końcu natrafiła na tłusty płat, od któ-

rego oderwała spory kawałek i spróbowa-

ła. To był wędzony suszony łosoś. Żuła jeden soczysty kęs za drugim, aż się nasyci-

ła, a następnie wylizała palce do czysta. W

pobliżu drzwi światło gwiazd odbiło się w powierzchni wody wypełniającej jakieś naczynie. Dziewczynka obwąchała ciecz ostrożnie, spróbowała łyżek, a następnie wypła tyle tylko, ile było trzeba, by zaspokoić pragnienie, jako że ciepły płyn miał

smak stęchłego błota. Potem wróciła na swoje posłanie z brudnych szmat, zamiesz-kane przez

cały rój pcheł i położyła się.

1687

Leżąc w samotności na cuchnącym wyrku Kojotki, pomyślała sobie, że mogłaby pójść do domu Wiewiórki albo do jakiegokolwiek innego, bardziej przyjaznego do-mostwa. Ale nie poszła. Klepała się po ca-

łym ciele, zabijając pchły, aż w końcu zapadła w sen.

W środku głębokiej nocy usłyszała czyjś głos:

– Posuń się, szczeniaczku – i coś ciepłe-go ułożyło się obok niej.

Na śniadanie, które spożyły w słonecznym świetle, wpadającym przez drzwi, była potrawka z suszonego łososia. Kojotka chodziła na łowy rano i wieczorem, ale nie jadały świeżej dziczyzny, tylko łososia i inne suszone jadlo, a także jagody, na które właśnie przychodził sezon. Dziewczynka niczemu się nie dziwiła. Wszystko wydawało jej się całkiem sensowne. Miała jednak zamiar spytać Kojotkę, dlaczego

1688
śpi w nocy i prowadzi aktywne życie za dnia, tak jak inni ludzie, zamiast robić do-kładnie na odwrót, jak zwykły robić kojo-ty, lecz kiedy układała sobie to pytanie w myślach, sama doszła do wniosku, że niezależnie od ruchów słońca i księżyca, noc jest wtedy, kiedy się śpi, zaś dzień jest wtedy, kiedy jest się obudzonym. To też wydało jej się całkiem sensowne. W końcu jednak zdecydowała się zadać jedno pytanie, pewnego upalnego dnia, kiedy wylegi-wały się obok domu, łapiąc pchły.

– Nie rozumiem, dlaczego wy wszyscy wyglądacie jak ludzie – powiedziała.

– Bo jesteśmy ludźmi.

– Chodzi mi o takich ludzi jak ja.

– Podobieństwo tkwi w oku patrzącego

– odparła Kojotka. – A tak przy okazji, jak się ma twoje spartaczone oko?

– W porządku. Ale... chodzi mi o to, że się ubieracie... że mieszkacie w domach...

1689

z kominkami i wszystkimi innymi sprzęta-mi...

– To tobie się tak wydaje... Ech, gdyby ten gaduła Dudek nie wtykał swego dzioba w nie swoje sprawy, mogłabym odwalić z tym okiem kawał dobrej roboty.

Dziewczynka zdążyła już się przyzwy-

czaić do tego, że Kojotka miała skłonność do ciągłego odbiegania od tematu. A także do jej przechwałek. Pod wieloma względa-mi Kojotka była podobna do mnóstwa dzieciaków, jakie dziewczynka miała okazję poznać. Pod innymi zaś – nie.

– Chcesz przez to powiedzieć, że to, co widzę, nie dzieje się naprawdę? Że to jakieś złudzenie – jak w telewizji, czy co?

– Nie – odpowiedziała Kojotka. – Hej, na kołnierzu siedzi ci kleszcz. – Pochyliła się, strąciła kleszcza, podniosła go na jednym palcu, rozgryzła i wypluła kawałki.

– Pfuj! – skrzywiła się dziewczynka. –

1690

Więc powiedz mi: jak to jest?

– Więc jest tak: jeśli chodzi o mnie, to ty masz sierść maści szarozółtej i biegasz na czterech łapach. Z kolei dla tej tam zgrai –

machnęła pogardliwie w stronę króliczych baraczków, stłoczonych nieco niżej na stoku – ty kicasz sobie to tu, to tam, przez cały czas ruszając nosem. Dla Jastrzębia jesteś jajkiem, a może już pisklęciem, któ-

re zaczyna porastać w piórka. Widzisz?

Wszystko zależy od punktu widzenia. Istnieją tylko dwa rodzaje ludzi.

– Człowiek i zwierzęta?

– Nie. Ludzie, którzy twierdzą, że istnieją dwa rodzaje ludzi, i ludzie, którzy tak nie twierdzą. –

Kojotka wybuchnęła śmiechem, waląc się po udach i rycząc z uciechy, jaką sprawił jej tak udany żart.

Dziewczynka czekała, nic nie rozumiejąc.

– Więc ci pierwsi ludzie, to...?

– To my, zwierzęta... i przedmioty.

1691

Wszystkie pierwotne istnienia. No, wiesz.

Tak samo wy: szczeniaki, dzieciaki, pi-sklaki. Wszystko to, co pierwsze.

– A ci... drudzy?

– To oni – powiedziała Kojotka. – No, wiesz. Tamci. Nowi ludzie. Przybysze.

Na jej wąskiej, mocnej twarzy pojawiła się poważna, raczej budząca trwogę mina.

Popatrzyła dziewczynce prosto w oczy, co robiła nader rzadko, rzucając jej ostre, złociste spojrzenie.

– My byliśmy tutaj – powiedziała. – My zawsze tu byliśmy. Tu gdzie teraz jesteśmy. Ale teraz to jest już ich kraina. Oni nią teraz rządzą... Cholera, nawet ja robiłam to lepiej!

Dziewczynka zastanowiła się nad tym,

co usłyszała i podrzuciła termin, który dawniej nieraz obił jej się o uszy.

– To nielegalni imigranci.

– Nielegalni! – w głosie Kojotki słychać 1692

było sarkazm, drwinę. – Cóż, u diabła, znaczy słowo „nielegalny”? Czy wyobrazasz sobie, że taki kojot, jak ja, będzie przemawiać językiem kauzyperdów? Bądź dorosła, mała!

– Nie chcę.

– Nie chcesz stać się dorosła?

– Wtedy stanę się jedną z nich.

– No, tak – powiedziała Kojotka i wzruszyła ramionami. – Takie jest życie.

Wstała i obesła dom dookoła. Po chwili dziecko usłyszało, jak sika za chałupą.

Wiele rzeczy, które robiła Kojotka, nie przystawało do obrazu porządnej mamy.

Kiedy nawiedzali ją mężczyźni, dziewczynka musiała spędzać noce u Wiewiórek lub u Królików, ponieważ Kojotka i jej przyjaciele zazwyczaj nie zawracali sobie głowy wchodzeniem do łóżka, lecz zaczynali to robić od razu na podłodze, a nawet na zewnątrz, przed domem. Nieraz Kojot-1693

ka wracała późno w nocy z polowania w towarzystwie przyjaciela i wtedy dziewczynka musiała leżeć przy ścianie w tym samym łóżku i słyszeć, a nawet czuć, jak oboje robią to tuż obok niej. Czasem przypominało to walkę, a czasem taniec o ogni-stym, mocno zaznaczonym rytmie. Nie miała nic przeciwko tym figlom, prócz tego, że nie dało się przy nich spokojnie spać.

Pewnego razu dziewczynka obudziła się w chwili, gdy jeden z kojocich gachów gładził ją po brzuchu w obrzydliwy sposób, od którego aż cierpła skóra. Nie wiedziała, co ma robić, ale wtedy Kojotka obudziła się i z miejsca zdała sobie sprawę z tego, co wyprawia jej znajomek, dlatego też dotkliwie go pogryzła i wykopała z legowiska. Musiał spędzić resztę nocy na podłodze, zaś następnego ranka tłumaczył

się gęsto:

1694

– Cholera, Ki. Całkiem zapomniałem o tym dzieciaku. Myślałem, że to ty...

Na co Kojotka, wciąż rozeźlona, odpowiadała mu wrzaskiem:

– Czy myślisz, że ja już nie mam żad-

nych zasad? Czy myślisz sobie, że pozwolę, aby jakiś kojocina gwałcił dziecko w moim łóżku? –

To mówiąc, wy – kopała

go z domu i złorzeczyła mu pod nosem przez cały dzień. Ale później znowu zjawiał się u niej na noc, a Kojotka robiła to z nim po trzy lub cztery razy.

Inna kłopotliwa właściwość Kojotki polegała na tym, że była w stanie sikać do-słownie wszędzie, bez najmniejszego wstydu spuszczać spodnie w miejscach publicznych, kiedy tylko poczuła potrzebę.

Ale większość ludzi mieszkających w okolicy najwyraźniej w ogóle nie zwracała na to uwagi. Zaś tym, co chyba najbardziej martwiło dziewczynkę, był fakt, że po zro-

1695
bieniu czegoś grubszego Kojotka natychmiast odwracała się i przemawiała do swojej kupy. To było naprawdę żenujące. Tak, jakby Kojotka była – a przecież nie była, chociaż niejednokrotnie sprawiała takie wrażenie – skończoną wariatką.

Pewnego dnia, gdy Kojotka ucięła sobie drzemkę, dziewczynka pozbierała wszystkie stare, wyschnięte łajna, leżące dookoła domu i zakopała je w pewnym piaszczy-stym miejscu, do którego zazwyczaj uda-wał się Ryś, a także wielu innych mieszkańców miasteczka, aby załatwić tam i zakopać swoje grubsze sprawy.

Kiedy Kojotka obudziła się i wyszła z Wstąp-na-Chwilkę, dłońmi przeczesując swoją gęstą, jasną, szarawą czuprynę, gło-

śno przy tym ziewając, nagle rozejrzała się dookoła, zwięzając oczy i zawołała:

– Hej! Gdzie one są? – a następnie krzyknęła na cały głos: – Gdzie jesteście?

1696

Gdzie jesteście?

Wtedy od strony piaszczystego kopca doszedł ją stłumiony chór cichych głosików:

– Mamusiu! Mamusiu! Tu jesteśmy!

Kojotka podbiegła truchtem do tamtego miejsca, przycupnęła, wygrzebała wszystkie kupy i odbyła z nimi długą rozmowę.

Kiedy wróciła, nie odezwała się ani słowem, ale dziewczynka, czerwona jak rak i z sercem tłukącym się w piersiach, powiedziała:

– Przepraszam, że to zrobiłam.

– Dużo prościej jest mieć je blisko przy sobie – powiedziała Kojotka, myjąc ręce (pomimo wszechobecnego brudu, jaki zarastał cały dom, Kojotka na swój sposób bardzo dbała o higienę osobistą).

– Wciąż w nie wdeptywałam – poskar-

żyła się dziewczynka, starając się jakoś usprawiedliwić swój występek.

1697

– Biedne małe gówienka – uzalila się Kojotka, ćwicząc taneczne kroki.

– Kojotko – spytała nieśmiało dziewczynka – czy ty kiedykolwiek miałaś dzieci? Chodzi mi o prawdziwe szczeniaki?

– Czy miałam? Czy miałam dzieci? Całe mioty! Pamiętasz tego, który próbował przystawiać się do ciebie? To był mój syn.

Najlepszy z całego miotu... Posłuchaj, Lala. Radzę ci mieć córki. Jeśli już coś musisz mieć, to najlepiej córki. Przynajmniej szybko ulatniają się z domu.

III

Dziewczynka w myślach nazywała siebie

Lalą, ale czasem wracała do swego dawnego imienia – Myra. Z tego, co wiedziała, była jedyną osobą w całym miasteczku, która nosiła dwa imiona. Myślała o tym często, a także o tym, co Kojotka

1698 opowiadała jej o dwóch rodzajach ludzi.

Musiała zastanowić się, gdzie właściwie jest jej miejsce. Niektórzy mieszkańcy miasteczka dawali jej jasno do zrozumienia, że jeśli o nich chodzi, to nie było i nigdy nie będzie dla niej miejsca w tej spo-

łeczności. Jastrząb niemal przepalał ją na wylot swoim gniewnym spojrzeniem.

Dzieciaki Skunksów wymieniały głośne uwagi na temat jej obrzydliwego zapachu.

A chociaż Skoczomyszka i Wiewiórka oraz ich rodziny okazywały jej uprzejmość, wynikało to po prostu ze zwykłej wielkoduszności i tolerancji, charakterystycznej dla wielkich rodzin, dla których to, czy będzie jedna osoba więcej, czy mniej, nie miało wielkiego znaczenia.

Gdyby którykolwiek członek tych licznych klanów, na przykład Bielak czy Szarak, natknął się na nią, leżącą ze skaleczonym okiem pośrodku pustyni, czy zostałby z nią

1699 tak jak Kojotka? Ona pomogła jej, bo była szalona, a przynajmniej za taką ją tutaj uważano.

Niczego się nie bała. Kursowała pomiędzy światami obu rodzajów ludzi, wiecznie przekraczając granicę. Jeleń i Łania oraz ich prześliczne dzieci nie bały się zbytnio, ponieważ i tak przez cały czas żyły w ogromnym niebezpieczeństwie.

Grzechotnik także się nie bał, gdyż sam był bardzo niebezpieczny. Ale chyba jednak żywił jakieś obawy, bo nigdy z nią nie rozmawiał, ani nawet nie zbliżał się do niej. Nikt nie traktował jej tak jak Kojotka.

Nawet pośród dzieci jedynym i stałym to-warzyszem jej zabaw był śmieszny i bez-troski chłopak zwany Jaszczurkiem. Razem kopali dołki i budowali zamki, razem wędrowali po otwartych przestrzeniach po-rośniętych bylicą, razem bawili się w polowanie i w zbieranie jagód, i w dom, i w tańce, i we wszystkie inne wspaniałe zaba-

1700 wy. Błady, pękaty dzieciak o brwiach przypominających wielkie frędzle był

skrytym, lecz bardzo lojalnym przyjacielem. I bardzo dużo wiedział, jak na swój wiek.

– Tu w miasteczku nie ma nikogo takie-go jak ja – powiedziała dziewczynka pewnego razu, kiedy siedzieli przy sadzawce w słońcu poranka.

– A takiego jak ja, to nie ma nigdzie na świecie – stwierdził Jaszczurek.

– Ty wiesz, o co mi chodzi.

– Aha.... Pewnie kiedyś bywali tu i tacy jak ty.

– Jak się nazywali?

– Normalnie – ludzie, tak jak wszyscy...

– Ale gdzie mieszkają moi ludzie? Oni mają swoje miasta. Kiedyś sama mieszkałam w takim mieście. Teraz nie wiem, gdzie oni są, gdzie jest wszystko. Muszę ich odszukać. Nie wiem, gdzie jest teraz 1701

moja mama, ale tato na pewno jest w Canyonville. Właśnie tam się udawałam, kiedy...

– Zapytaj Konia – poradził rezolutnie Jaszczurek. Już wcześniej odsunął się od wody, za którą nie przepadał i której nigdy nie pił, a teraz zajmował się splataniem si-towia. – Nie znam Konia.

– Często przebywa w okolicach tego płaskowzgórza tam, na dole. Czeka, aż jego wuj zestarzeje się na tyle, by mógł go wykopać ze stada i stać się jego pierwszym ogierem. Do tego czasu starsi mężczyźni i kobiety nie chcą go widzieć. Konie to dzi-waki. W każdym razie to jest właśnie osoba, do której powinnaś zwrócić się ze swoimi pytaniami. On dużo wędruje. Poza tym, to właśnie konie przybyły tu razem z nowymi ludźmi, a przynajmniej tak się mówi.

Nielegalni imigranci, pomyślała sobie w 1702

uchu dziewczynka. Posłuchała rady Jaszczurka i pewnego dnia, który bardzo jej się dłużył, ponieważ Kojotka wyruszyła na jedną ze swych niezapowiedzianych i tajemniczych wypraw, zapakowała do kieszeni kilka sporych kęsów łososia oraz parę gar-

ści jagód i poszła sama na płaskowzgórze, znajdujące się w odległości kilku mil na południowy zachód.

U podnóży płaskowzgórza znajdowało się prześliczne źródło, wokół którego zauważyła mnóstwo śladów stóp. Zaczeka-

ła tam w cieniu wierzb, obrastających przejrzyste wodne oczko, i po chwili ujrzała nadbiegającego Konia. Wyglądał imponująco ze swą miedzianoczerwoną skórą i długimi, mocnymi nogami, potężną klatką, ciemnymi oczyma i czarnymi włosami, chłoszczącymi mu w galopie plecy. Zatrzymał się w ogóle nie zdyszany i zobaczywszy ją, parsknął głośno.

1703

– Kim jesteś?

Nikt w miasteczku o to nie pytał. Nigdy.

Przekonała się, że to prawda: Koń musiał

tu przybyć razem z jej ludźmi – ludźmi, którzy musieli pytać się siebie nawzajem, kim są.

– Mieszkam z Kojotką – odpowiedziała ostrożnie.

– Ach tak, jasne, słyszałem o tobie – powiedział Koń. Ukląkł, aby napić się wody z małego stawku. Pił długimi łykami, trzymając ręce zanurzone w chłodnej wodzie.

Kiedy już zaspokoił pragnienie, otarł usta, usiadł na piętach i ogłosił:

– Będę królem.

– Królem Koni?

– Tak jest! Już niedługo. Właściwie już teraz mógłbym pozbyć się staruszka, ale poczekam. Niech się jeszcze nacieszy bło-gimi chwilami – powiedział Koń, szlachetny, wielkoduszny. Dziewczynka wpatry-1704

wała się w niego, bez reszty już w nim zakochana.

– Mogę ci wycesać grzywę, jeśli chcesz – powiedziała.

– Znakomicie! – zgodził się Koń i siedział bez ruchu, podczas gdy ona stanęła za nim, przeciągając swój malutki kieszonkowy grzebyk przez jego twarde, czarne, błyszczące, długie na metr włosy. Rozczesanie ich zajęło mnóstwo czasu. Na koniec związała je w potężny kucyk za pomocą wierzbowego łyka. Koń pochylił się nad taflą sadzawki, by przyjrzeć się sobie z zachwytem.

– Wspaniale – ocenił. – Naprawdę wy-

glądam pięknie!

– Czy ty bywasz czasami w miejscach...

gdzie są inni ludzie? – wyszeptała.

Nie odpowiadał przez czas tak długi, że uznała, iż w ogóle nie ma zamiaru się odezwać. Ale wtedy zapytał:

1705

– Masz na myśli tamte metalowe miej-

sca, tamte cuda ze szkła? Chodzi ci o dziury? Czasami zachodzę w ich okolice. Tam teraz same ściany. Kiedyś nie było ich aż tyle. Babcia mówiła, że kiedyś w ogóle nie było ścian. Znasz Babcię?

– spytał głosem naiwnego dzieciaka, patrząc na nią swoimi wielkimi, ciemnymi oczyma.

– Twoją babcię?

– To znaczy... tak, po prostu Babcię...

Wiesz, tę co plecie sieci. Zresztą, mniejsza z tym. Wiem, że w tamtych miejscach żyje wielu z mojego ludu, to znaczy koni. Widziałem ich za tymi ścianami. Zachowują się jak szalone. Wiesz, że to myśmy sprowadzili tu nowych ludzi? Bez nas nie do-tarliby tutaj. Mają tylko dwie nogi i jeszcze te metalowe skorupy. Mogę opowiedzieć ci całą historię. Królowi przystoi znać wiele historii.

– Bardzo lubię słuchać historii.

1706

– Opowiadanie tej zajmie ze trzy noce.

Co chcesz o nich wiedzieć?

– Myślałam, że może powinnam tam się udać. Tam, gdzie oni mieszkają.

– To niebezpieczne. Naprawdę bardzo niebezpieczne. Nie przejdiesz tamtędy – złapią cię.

– Chciałabym tylko poznać drogę.

– Ja znam drogę – powiedział Koń i po raz pierwszy jego słowa zabrzmiały dorosłe i wiarygodnie. Wiedziała, że naprawdę zna drogę. – To długa trasa dla żrebaka. –

Ponownie przyjrzał się jej uważnie. – Mam kuzyna, który też ma każde oko innego koloru – oświadczył, spoglądając to na jej lewe, to na prawe oko. – Jedno brązowe, a drugie niebieskie. Ale on jest z rasy Appa-loosa.

– Dudek zrobił mi to żółte oko – wyjaśniła dziewczynka. – Moje straciłam w...

kiedy... Czy mógłbyś mnie zaprowadzić do 1707 tamtych miejsc?

– A po co chcesz tam iść?

– Po prostu czuję, że chyba muszę.

Koń kiwnął łbem. Wstał. Dziewczynka nie poruszyła się.

– Chyba mógłbym cię zabrać – powiedział.

– Naprawdę? Kiedy?

– Raczej teraz. Kiedy już będę Królem, nie będę mógł stąd odchodzić, wiesz. Będę musiał chronić kobiety. I na pewno nie pozwolę swoim ludziom zbliżać się do tych miejsc, ani na krok! – Jego imponującym ciałem wstrząsnął dreszcz, ale po chwili odezwał się, dumnie odrzucając głowę.

–

Mnie, rzecz jasna, nikt nie zdołałby złapać, inni nie są tak rączy jak ja...

– Jak długo może potrwać taka wyprawa?

Koń zastanawiał się przez dłuższą chwilę.

1708

– Hm, najbliższe takie miejsce znajduje się za czerwonymi skałami. Jeśli wyruszymy teraz, będziemy tu z powrotem jutro około południa. To dość mała dziura.

Nie wiedziała, co ma na myśli, mówiąc „dziura”, ale na wszelki wypadek nie pytała.

– Więc jak, chcesz tam iść? – zapytał

Koń, potrząsając swoim kucykiem.

– Dobra – powiedziała dziewczynka, czując jak ziemia usuwa jej się spod nóg.

– Umiesz biegać?

Pokręciła głową.

– Ale tutaj jakoś doszłam o własnych siłach.

Koń wybuchnął gromkim, radosnym śmiechem.

– Właż – powiedział, po czym ukląkł z dłońmi wykręconymi w tył w charakterze strzemion, po których miała się wspiąć na jego ramiona.

1709

– Jak na ciebie wołają? – zazartował, podnosząc się bez trudu i natychmiast ruszył stępa do przodu. – Giez? Mucha?

Pchła?

– Kleszcz, bo się zakleszczam i nie puszczam! – zawołała dziewczynka, chwytając się kawałka wierzbowego łyka, któ-

rym przewiązana była czarna grzywa, ciesząc się z tego, że nagle może obserwować świat z wysokości dwóch i pół metra oraz podróżować przez pustynię bez większego trudu niczym kłęb wędrownego ostu, gna-ny porywistym wiatrem.

Księżyc, który zaledwie wczoraj był

jeszcze w pełni, wzeszedł, by oświetlić rozciągające się przed nimi równiny. Koń kłusował bez śladu zmęczenia. Kiedy zaszli już głęboko w noc, zatrzymali się przy obozie Sów, gdzie pożywili się i odpoczę-

li. Większość Sów była na łowach, ale ja-1710

kaś starszka podjęła ich przy ognisku, ra-cząc opowieściami o duchu potępionego świerszcza, o niewidzialnych olbrzymach i innymi klechdami, które mieszały się dziewczynce z jej własnymi snami, podczas gdy lekko drzemała, a potem budziła się, by czuwać na wpół uspiona, po czym znów zapadała w drzemkę. Gdy odpoczęli, Koń znowu wziął ją na ramiona i ruszyli w dalszą drogę wolnym, niestrudzonym kłusem. Zostawili za plecami zachodzący księżyc, a przed nimi niebo rozjaśniło się na różowo i złoto. Lekki nocny wiatr ucichł, powietrze było rześkie, chłodne, nieruchome. Unosił się w nim ledwie wy-czuwalny, ostry zapach spalenizny. Dziewczynka poczuła, jak Koń zmienia tempo biegu, który zaczął przechodzić w nierów-ny, niespokojny chód.

– Hej, Książę!

Usłyszeli cienki, nieco zrzędlawy głosik: 1711

dziewczynka już gdzieś go słyszała i od razu przypomniała sobie gdzie, kiedy tylko ujrzała postać

siedzącą pod jałowcem, schludnie ubraną, w starym, czarnym berecie na głowie.

– Cześć, Sikoro! – zawołał Koń, podchodząc bliżej, i zatrzymał się. Już w mi-
ścinie Kojotki dziewczynka zauważyła, że wszyscy darzą Sikorę wielką estymą. Nie mogła
zrozumieć dlaczego. Sikora wyglą-
dała całkiem zwyczajnie. Wciąż się krząta-
ła i gadała bez ustanku, jak większość ma-
łych ptaków. Nie miała w sobie ani wzruszającego wdzięku Przepiórki, ani majesta-
tu Jastrzębia
czy Puchacza.

– Wybierasz się w tamte strony? – zapytała Sikora Konia.

– Ta mała chce zobaczyć, czy czasem
nie mieszkają tam jej ludzie – odpowiedział Koń, wprawiając tym dziewczynkę w zdumienie.

Czy naprawdę o to jej chodzi-1712

ło?

Sikora spojrzała na nich z dezaprobatą, jak to często jej się zdarzało. W zamyśleniu zagwizdała
kilka nut, co było kolejnym z jej nawyków, po czym podniosła się z ziemi.

– Pójdę z wami.

– Wspaniale – powiedział Koń, z wyraź-
ną wdzięcznością w głosie.

– Wysforuję się naprzód. Będę waszą szpicą – oświadczyła Sikora i natychmiast ruszyła przed
nimi z zadziwiającą szybko-
ścią, podczas gdy koń ponownie przeszedł
w swój regularny kłus.

Kwaśny zapach spalenizny coraz moc-
niej roznosił się w powietrzu.

Sikora zatrzymała się w sporej odległo-
ści przed nimi, w miejscu, gdzie teren wznosił się ukośnie w górę.

– Tam – powiedziała cicho.

Dziewczynka podążyła za jej spojrze-1713

niem. W dziwnym świetle poranka i lekkiej mgle, jaka zasnuwała okolicę przed świtem, wszystko
było nieostre, a kiedy wyteżyła wzrok, wydało jej się, że nie widzi nic na lewe oko.

– Co to? – wyszeptała pytanie.

– Jedna z dziur. Tam za ścianą, widzisz?

Wyglądało to jak linia – prosta, poszarpana linia, przeciągnięta przez porośniętą bylicami
równinę, zaś po jej drugiej stronie

– nic? Czy to mgła? Coś tam się porusza-
ło...

– To było! – zawołała nagle. Koń stał, nie odzywając się, pełen niepokoju. Sikora wracała w
ich stronę.

– Chyba jakieś ranczo – stwierdziła dziewczynka. – Linie przed nami, to ogrodzenie. Pełno za
nim czerwonych krów.

Te słowa smakowały jak żelazo, były jak sól na wargach. Rzeczy, których nazwy wymieniała,
rozmywały się jej przed oczy-1714

ma i znikwały, nie pozostawiając po sobie nic... dziurę w świecie przypominającą otwór wypalony
przez papieros.

– Podejdź bliżej – ponagliła Konia. –

Chcę to zobaczyć.

Koń, jakby był jej winny posłuszeństwo, ruszył do przodu, cały spięty, lecz nie protestował.

Sikora była już przy nich.

– W okolicy nikogo nie ma – powiedzia-

ła swoim cienkim, suchym głosem. –

Ale nadciąga jeden z tych szybkich żółwi.

Koń kiwnął głową, lecz niezłomnie parł

naprzód.

Ściskając udami jego szerokie ramiona, dziecko wpatrywało się w pustkę i wtedy, jakby słowa Sikory pomogły wyostrzyć obraz w jej oczach, ujrzała wszystko jeszcze raz: tu i ówdzie białe pyski, z których kilka było uniesionych, a niebieskawe, okrągłe oczy rozglądały się dookoła... da-1715

lej ogrodzenia... a ponad krawędź stoku wystawał dach z kominem i wysoka stodo-

ła. I wtedy, w dali, dostrzegła jakiś ruch, aż nazbyt szybki. Coś pędziło przez równy teren prosto na nich z obłądną prędkością.

– Uciekaj! – wrzasnęła do Konia. –

Uciekaj! Szybko!

Koń puścił się szaleńczym galopem, jak-by nagle zdjęto mu pęta, rozciągając się w powietrzu na całą długość i sadząc potęż-

nymi susami, byle dalej od wstającego słońca, od wściekle płonącego rydwanu, od zapachu kwasu, żelaza, śmierci. A Sikora leciała przed nimi, niczym ziarenko popiołu niesione mocną, poranną bryzą.

IV

– Koń? – zdziwiła się Kojotka. – Ten kutas? Ta góra kociego żarcia?

Kiedy dziewczynka wróciła do Wstą-

1716

p-na-Chwilkę, Kojotka już tam była, ale najwyraźniej nie zaprzętała sobie głowy tym, gdzie podziewa się Lala, a może nawet wcale nie zauważyła jej nieobecności.

Była w okropnym nastroju i kiedy dziewczynka próbowała zrelacjonować całą wyprawę, wszystko jej się nie podobało i przez cały czas gderała zrzędliwie:

– Jeśli już planujesz popełnienie jakiegoś cholernego głupstwa, to następnym razem zwróć się z tym do mnie, ja przynajmniej jestem w tej dziedzinie specjalistką –

warknęła rozdrażniona i wyczłapała przez drzwi na zewnątrz.

Po chwili dziewczynka ujrzała ją, jak przysiada na ziemi i dźga patykiem jakąś starą, zbielałą kupę, starając się zmusić ją do udzielenia jej odpowiedzi na zadawane kilkakrotnie pytanie. Jednakże łajno uparcie milczało. Później tego samego dnia dziewczynka ujrzała dwóch kojocich sam-1717

ców, jednego młodego i drugiego starszego, mocno sparszywiałego, jak snują się wokół źródła w dole, co chwila spoglą-

dając ku Wstap-na-Chwilkę. Zdecydowała, że tę noc spędzi poza domem.

Myśl o zatłoczonych izbach w chacie Wiewiórki nie wydała jej się zbyt pociągająca. Zapowiadała się ciepła i jasna noc.

Może spróbuje przespać się na dworze.

Gdyby tylko miała pewność, że nikt nie będzie kręcił się na zewnątrz, taki na przykład Grzechotnik.... Stała niezdecydowanie w połowie drogi do miasteczka, kiedy usłyszała za sobą suchy głos:

– Hej, Lala.

– Hej, Sikoro.

Zadbana i schludna kobieta w czarnym, przylegającym do głowy berecie stała na progu swego domu, trzepiąc mały dywanik. Jej dom był równie porządnym i schludnym, jak ona sama. Mając za sobą drogę po-1718

wrotną z pustyni, przebytą w jej towarzystwie, dziewczynka wiedziała już, dlaczego otaczano Sikorę wielkim poszanowaniem, aczkolwiek wciąż trudno byłoby jej to jasno sprecyzować.

– Pomyślałam sobie, że może dziś w nocy prześpię się na dworze – powiedziała dziewczynka, a w jej głosie jakby zabrzmiała nutka prośby.

– To niezbyt zdrowo – orzekła Sikora. –

Po co w końcu są gniazda?

– Mama jest dziś zajęta – poinformowała dziewczynka.

Sikora cmoknęła z dezaprobatą i z jeszcze większym wigorem zabrała się do trzepania dywanika.

– A twój mały przyjaciel? To przynajmniej porządni ludzie.

– Masz na myśli Jaszczurka? Ale jego rodzice są tak nieśmiali...

– Tak czy siak, wejdź do mnie, żeby coś 1719

zjeść – zaproponowała Sikora.

Dziewczynka pomogła jej ugotować obiad. Teraz wiedziała już, po co wsadza się kamienie do garnka.

– Sikoro – powiedziała – wciąż czegoś nie rozumiem. Czy mogę się ciebie o to spytać? Mama mówi, że wszystko zależy od tego, kto patrzy, mimo to jednak... chodzi mi o to, że jeśli ja widzę ciebie, noszą-

cą ubrania i zachowującą się jak człowiek, to dlaczego jednak gotujesz w tak dziwaczny sposób, to znaczy w koszu, a poza tym w twoim domu nie ma żadnych... żadnych takich sprzętów, jakie mają ci... tam gdzie byliśmy z Koniem dzisiaj rano?

– Nie wiem – odparła Sikora. Jej głos w pomieszczeniu wydawał się miękki i przyjemny dla ucha. – Wydaje mi się, że my robimy wszystko tak, jak się to robiło od zawsze. To znaczy od czasów, kiedy twoi ludzie i moi ludzie żyli razem, wiesz. I tak 1720

samo jest ze wszystkim dookoła. Chodzi mi także o te kamienie. O rośliny, o wszystko. – Spojrzała na kosz z wierzbowej kory i korzeni paproci, uszczelniony żywicą, i na poczerniałe kamienie, które rozgrzewały się w ogniu. – Widzisz, jak to wszystko razem do siebie pasuje...?

– Ale macie przecież ogień... To zupełnie inaczej niż...

– Ech, wy ludzie! – zachnęła się Sikora.

– Czy myślicie, że to wy wynaleźliście słońce?

Wzięła do ręki drewniane szczypce i z pluskiem wrzuciła rozgrzane kamienie do wypełnionego wodą kosza. W izbie rozległo się przenikliwe syczenie, któremu towarzyszyło buchanie obłoków pary i gło-

śne bulgotanie. Dziewczynka wsypała do waru utłuczone ziarna i zaczęła mieszać w plecionym naczyniu.

Sikora wyjęła skądś mały koszycek 1721

czarnych jagód. Usiadły na świeżo wytrze-powanym dywaniku i zaczęły jeść. Dziewczynka zdążyła już znacznie udoskonalić swoją technikę pożywiania się papkowatymi potrawami za pomocą dwóch palców ręki.

– Być może nie stworzyłam świata – powiedziała Sikora – ale na pewno jestem lepszą kucharką od Kojotki.

Dziewczynka potwierdziła skinieniem głowy, napychając sobie usta jedzeniem.

– Sama nie wiem, dlaczego skłoniłam Konia, by zaprowadził mnie w tamto miejsce – powiedziała, kiedy już się najadła. –

Zobaczyłam je i byłam równie przerażona jak on. Teraz znowu wydaje mi się, że chciałabym tam wrócić. A jednocześnie pragnę zostać tutaj. Z moją... z Kojotką.

Nic z tego nie rozumiem.

– Kiedy żyliśmy razem, wszędzie było tak samo, a cała ziemia była jedną krainą –

1722

odezwała się Sikora swoim przeciągłym, miękkim, domowym głosem. – Ale teraz tamci, nowi ludzie, żyją oddzielnie. A ich siedliska są takie ciężkie. Tak ciężką na naszej osadzie, naciskają na nią, uszczuplają ją, wysysają, pożerają, wygryzają dziury, wypierają... Może już niedługo znów wszędzie będzie tylko jedna kraina. Ich kraina. A nas już tu nie będzie. Znałam Bizona, który mieszkał za górami. Znałam Antylopę, która zamieszkiwała te tereny.

Znałam Grizzly i Wilka z dalekiego zachodu. Wszyscy zniknęli. Zniknęli. A łososie, które jadasz u Kojotki, to łososie z marzeń, prawdziwa uczta. Ale w rzekach, ile moż-

na dziś zobaczyć tych ryb? W rzekach, które wiosną wydawały się czerwone od mnóstwa pływających w nich łososi. A teraz, komu przychodzi do głowy tańczyć, kiedy Pierwszy Łosoś składa siebie samego w ofierze? Kto w tych czasach odpra-

wia tańce przy rzece? Och, powinnaś spytać Kojotkę o to wszystko. Ona wie o wiele więcej niż ja! Ale niestety zapomina...

Jest zupełnie beznadziejna, gorsza od Kruka, poza tym szczy gdzie popadnie, a jej dom to po prostu nora... – Głos Sikory przybrał ostrzejszy ton. Wreszcie wydoby-

ła z gardła jedną czy dwie wysokie nutki i zamilkła.

Po dłuższej chwili dziewczynka zapytała niemal szeptem:

– A kto to jest Babcia?

– Babcia – powtórzyła Sikora. Spojrzała na dziewczynkę i w zamyśleniu zjadła kilka jagód. Dłonią pogładziła dywanik, na którym siedziały.

– Gdybym rozpałała ognisko na tym dy-

waniku, na pewno wypaliłabym w nim dziurę, prawda? – powiedziała w końcu. –

Dlatego też rozpalamy ogniska na piasku, na ziemi... Wszystko się wzajemnie ze 1724

sobą splata, jak w ogromnej tkaninie. My nazywamy naszą tkaczkę Babcia – Matką Matek.

Zagwizdała jeszcze cztery nutki, patrząc przez wybitą w dachu dziurę, którą uchodził dym.

– W końcu – odezwała się raz jeszcze –

może całe to miejsce i wszystkie inne miejsca, może one wszystkie stanowią tylko jedną stronę splotu. Nie wiem. Potrafię patrzeć tylko jednym okiem naraz. Skąd mogę wiedzieć, jak głęboko ono sięga?

Leżąc tej nocy zawinięta w koc na ty-

łach obejścia Sikory, dziewczynka słyszała wiatr szumiący i zawodzący wśród topoli gdzieś w dole i zasnęła mocno, zmęczona trudami poprzedniej nocy. Obudziła się wraz ze słońcem. Zamglone góry na wschodzie miały kolor ciemnowiśniowy, jak gdyby słoneczne światło prześwitywa-

ło przez nie niczym blask ognia przez dłoń zasłaniającą oczy. Na tytoniowym poletku

– jedyny rodzaj pracy na roli, jakim zajmowali się mieszkańcy miasteczka, była upra-wa dzikiego

tytoniu na niewielką skalę –

Legwan i Zuk śpiewali jakąś piosenkę, która miała zapewnić błogosławieństwo i wysokie plony, piosenkę o łagodnej i nieskładnej melodii – pa-ra-ra-ram-ram pa-ra-ra-ram-ram – której słuchała, leżąc skulona na ziemi, i dzięki której czuła się mocniej w tej ziemi zakorzeniona, bliżej z nią związana i wrosnięta w nią tak, że nie wiedzia-

ła, gdzie kończą się jej palce, a zaczyna glina i piach, tak jakby była umarła, chociaż czuła się wypełniona życiem, życiem ziemi. Wstała, tańcząc, zostawiła koc rów-no złożony na czyściutkim, zaścielonym już łóżku Sikory, po czym, nie przerywając tańca, ruszyła w górę zbocza do Wstap-na-Chwilkę. Stanąwszy przed na wpół

1726

otwartymi drzwiami, zaśpiewała na cały głos:

Tańczyłam z lalą w podartych rajstopach Bąble miała na stopach, kroki stawiała na opak

Tańczyłam z lalą w dziurawych rajstopach Tańczyłam przy świetle księżycy!

Kojotka wyszła z chaty, rozczochrana i ślaniająca się na nogach. Spojrzała na nią przez wąskie szparki oczu.

– Cholera jasna! – powiedziała tylko.

Wyssała resztki jedzenia ze szpar pomię-

dzy zębami, a następnie ochlapała sobie głowę wodą z tykwy, stojącej przy drzwiach. Na zakończenie tej porannej toalety otrząsnęła się, obficie rozpryskując krople na wszystkie strony.

– Wynośmy się stąd – powiedziała. –

Mam już wszystkiego dosyć. Nie wiem, co ze mną jest. Chyba nie jestem znowu w ciąży, w moim wieku, to by było, o chole-1727

ra! Wynośmy się z tego miasteczka. Na gwałt potrzebuję zmiany powietrza.

W dusznych ciemnościach, jakie pano-

wały w domu, dziewczynka mogła dojrzeć co najmniej dwóch kojotów rozwalonych na łóżku i na podłodze, chrapiących przeciągle. Kojotka podeszła do starej, zbielałej kupy i kopnęła ją.

– Czemu mnie nie powstrzymałaś? –

ryknęła.

– Mówiłam ci – wymamrotała kupa po-
nuro.

– Głupie gównno – warknęła Kojotka. –

Chodź, Lala. Idźmy już. Tylko dokąd? –

Nie czekała na odpowiedź. – Już wiem.

Idziemy!

I ruszyła przez miasteczko tym swoim

leniwym, niedbałym krokiem, któremu tak trudno było dotrzymać tempa. Ale w dziewczynkę jakby wstąpił nowy duch, więc podążała za nią w radosnych płasach, 1728

na widok czego Kojotka także zaczęła tań-

czyć, drobiąc stopami, okręcając się i wy-głupiając na różne sposoby, przez całą drogę w dół długiego stoku, aż do płaskich równin. Tam zmieniła ich dotychczasową marszrutę, skręcając na północny wschód.

Końskie Płaskowzgórze za ich plecami ro-biło się coraz mniejsze i mniejsze, w miarę jak oddalały się, zmierzając ku nieznanym dziewczynce terenom.

Około południa dziewczynka zauważy-

ła:

- Nie zabrałyśmy ze sobą nic do jedzenia.
- Coś się trafi – odpowiedziała Kojotka
- nie ma obawy.

Niedługo potem zeszła w bok, kierując się prosto do malusieńkiego, szarego szala-su ukrytego za kilkoma na wpół uschłymi jałowcami i kępą króliczego ziela. Całe miejsce potwornie cuchnęło.

Tabliczka na 1729

drzwiach informowała: LIS. WŁASNOŚĆ
PRYWATNA. WSTĘP WZBRONIONY,

ale... Kojotka pchnęła drzwi i po chwili wybiegła, niosąc ze sobą połówkę małego wędzonego łososia.

- W domu nie ma nikogo prócz kur –
powiedziała, uśmiechając się słodko.
- Czy to czasem nie kradzież? – spytała zaniepokojona dziewczynka.
- Oczywiście – potwierdziła Kojotka, nawet nie przystając.

W korycie wyschłego strumienia zjadły łososia pachnącego lisem, ucięły sobie krótką drzemkę, po czym ruszyły dalej.

Nie minęło wiele czasu, gdy dziewczynka poczuła kwaśny odór spalenizny i przystanęła. Miała wrażenie, jakby jakaś gigantyczna, ciężka dłoń naciskała jej na klatkę piersiową, odpychając ją w tył, podczas gdy ona stała pośrodku rwącego strumienia, którego wartki prąd ciągnął ją bez-1730
władną do przodu.

- Zbliżamy się! – zaanonsowała Kojotka i zatrzymała się, by obsikać pieńek po ściętym jałowcu.
- Dokąd?
- Do ich miasta. Widzisz? – Wskazała

na dwa wzgórza, usiane zielonymi plamami szaławii. Pomiędzy nimi znajdował się jakiś szary obszar.

- Nie chcę tam iść.

– Nie będziemy wchodzić do samego środka. W żadnym wypadku! Podejdziemy tylko trochę bliżej i rzucimy okiem. To fajna zabawa – powiedziała Kojotka z prze-konaniem, przekrzywiając na bok głowę i kusząc swoją towarzyszkę. – Oni tam robią bardzo śmieszne rzeczy w powietrzu.

Dziewczynka cofnęła się. Widząc to, Kojotka przybrała poważną minę i rzeczowo zapowiedziała:

- Zachowamy wzmożoną ostrożność.

1731

Tylko uważaj na duże psy, dobrze? Z ma-

łymi dam sobie radę. Można z nich przy-rządzić niezły obiadek. Jeśli chodzi o duże psy, to jest dokładnie odwrotnie. Rozumiesz? No to chodźmy.

Pozornie równie niedbale i wyzywająco jak zawsze, jednakże z wytężoną uwagą, co uwidocznilo się w sposobie, w jaki trzymała głowę oraz w żółtym spojrzeniu oczu, Kojotka ponownie ruszyła przodem, nie oglądając się za siebie, a dziewczynka poszła jej śladem.

Wokół nich narastało napięcie. Wydawało się, że to samo powietrze napiera na nie, że Czas zaczyna pędzić zbyt szybko, zbyt gwałtownie, jakby już nie płynął, ale tętnił, pulsował niczym pompowana w żyły krew, coraz szybciej i mocniej, aż wszystko dookoła zaczęło chrzęścić upior-nie jak grzechotki Grzechotnika i wołać: Śpieszcie się, śpieszcie! Nie macie ani 1732

chwili! Wszystko mijało je w pędzie, wy-jąc i dygocąc. Wszystko wirowało, migota-

ło, ryczało, owiewało je smrodem i znika-

ło. Ujrzały chłopca – ich wzrok natychmiast skupił się na nim – ale nie na ziemi: płynął kilkanaście centymetrów ponad nią, bardzo szybko, wyrzucając ugięte nogi raz na jeden bok, raz na drugi, jakby w jakimś szalonym tańcu, i po chwili zniknął im z oczu. Później była dwudziestka dzieciaków ustawionych rzędami w powietrzu, śpiewających piskliwie, ale już po chwili zasłoniły ich ściany. Jakiś kosz, nie, garnek, nie, kubeł, tak – kubeł na śmieci wy-pełniony rozkosznie pachnącym łososiem, nie, nie – pełen śmierdzących jelenich skór i zgniłych kapuścianych głąbów, nie podchodź do niego, Kojotko! Gdzie ona jest?

– Mamusiu! – zawołała dziewczynka. –

Mamo! – Zatrzymała się na chwilę przy końcu zwyczajnej, małomiasteczkowej uli-1733 cy nieopodal stacji benzynowej, ale już w następnej chwili odczuła przerażającą pustkę, wiążące ją niewidzialne ściany, odrażające zapachy, straszliwy napór i oszalamiający pęd Czasu, porywający ją jak gałązkę unoszoną masami rozszalałej wody, gnajęcymi w stronę wodospadu. – Mamo!

Kojotka stała przy ogromnym koszu ło-

sosi. Zbliżała się do niego czujna, lecz od-kryta na otwartym terenie, w pełnym blasku słońca, w samym środku silnego prą-

du. Tymczasem jakiś chłopiec w towarzystwie mężczyzny, niesieni tym samym prądem, schodzili w dół długiego, porośniętego-go szawliwą stoku za stacją benzynową, obaj ze strzelbami na ramionach, w czerwonych kapelusikach na głowach, myśliwi w pełni sezonu łowieckiego.

– Do diabła, cholerny kojot wielki jak dupa mojej żonki łazi sobie po mieście w biały dzień! – wykrzyknął wzburzony 1734

mężczyzna i wycelował broń w chwili, gdy Myra zaczęła krzyczeć i przedzierać się przez gigantyczny, zalewający ją strumień.

Kojotka rzuciła się do ucieczki i mijając dziewczynkę, wrzasnęła:

– W nogi!

Obróciła się i uniósł ją wartki prąd.

Z dała od tamtego miejsca, w niewiel-

kiej dolince pomiędzy niskimi pagórkami usiadły i z ogromnym wysiłkiem łapały powietrze w szeroko otwarte usta, aż do chwili, kiedy ta czynność znów stała się prosta i naturalna.

– Mamciu, to był wyjątkowo kretyński pomysł – powiedziała dziewczynka z wściekłością.

– Bez wątpienia – potwierdziła Kojotka.

– Ale widziałaś, ile tam było żarcia?

– Nie jestem głodna – oświadczyła mała ponuro. – I raczej nie będę, dopóki nie znajdziemy się daleko stąd.

1735

– Ale to przecież twoi ludzie – powiedziała Kojotka. – Same swojaki. Krewni i znajomi, przyjaciele i rodzina. Bang! Pam!

O, patrzcie, tam kojot! Bang! O, patrzcie, dupa mojej żonki! Pam! O, patrzcie, tam coś jest – BUUUUUM! Rozwal to, facet!

BUUUUUUUM!

– Chcę do domu – powiedziała dziewczynka.

– Jeszcze nie teraz – odparła Kojotka. –

Muszę się wysrać.

Jak powiedziała, tak też zrobiła, a następnie odwróciła się do świeżej kupy i pochyliła nad nią.

– Mówi, że muszę zostać – poinformowała swoją towarzyszkę z uśmiechem.

– Nic nie mówiła! Słuchałam!

– A więc ty je rozumiesz? A więc wszystko słyszysz, Pani Wielkie Ucho?

Wszystko słyszy i wszystko widzi tym swoim głównianym, żywicznym oczkiem...

1736

– Też masz takie oczy! Sama mi mówiłaś!

– To zmyślona bajeczka – odparła Kojotka drwiąco. – Nie potrafisz rozpoznać, czy coś jest zmyśleniem, czy nie! Posłuchaj, rób, na co

masz ochotę, to wolny kraj. Ja zostaję tutaj na noc. Ja uwielbiam działanie. – Usiadła i zaczęła wystukiwać rękami o ziemię cichy rytm na cztery czwarte. Po chwili do rytmu dołączył jej głos, którym wyśpiewywała jedną z niekończących się, pozbawionych melodii pieśni, dzięki którym czas nie płynął tak szybko, jedną z tych pieśni, które splatały ze sobą korzenie drzew, krzewów, paproci i traw w jedną wielką sieć. Sieć ta utrzymywała strumyki w ich korytach i skały na swoich miejscach, oplatała całą ziemię, za-pewniając jej zwarty, kulisty kształt.

Dziewczynka położyła się i słuchała.

– Kocham cię – powiedziała po chwili.

1737

Kojotka nie przerywała śpiewu.

Słońce skryło się za najdalszym wzgórzem na zachodzie, pozostawiając bladezieloną poświatę nad opuszczonymi wierzchołkami.

Kojotka przerwała pieśń i zaczęła węszyć.

– Hej – zawołała po chwili. – Wyczuwam kolację. – Wstała i przespacerowała się po małej dolince.

– Taaak – utwierdziła się w przekonaniu i zawołała cicho do dziewczynki: Chodź

tutaj!

Sztywnym, niezgrabnym krokiem, gdyż lodowate kryształki strachu nie roztopiły się jeszcze w jej stawach, dziewczynka podniósłszy się

z ziemi, podeszła do Kojotki. Zobaczyła, że z boku, wzdłuż wzgórza biegnie jedna z linii – płot. Nie zatrzymała na nim dłużej wzroku. Wszystko było w porządku.

Znajdowały się po właściwej 1738

stronie ogrodzenia. Poza nim.

– Spójrz tylko na to!

Wielki wędzony łosoś, z ogonem i głową, leżał na małej macie splecionej z cedrowej kory.

– To ofiara! A niech mnie! – Kojotka

była tak zauroczona owym widokiem, że zapomniała użyć jakiegoś bardziej dosadnego

przekleństwa. – Nie widziałam nic podobnego już od lat! Myślałam, że ofiary już w ogóle odeszły w zapomnienie!

– Ofiara? A komu ją złożono?

- Oczywiście, że mnie! To ci dopiero, spójrz tylko!
Dziewczynka z powątpiewaniem zlustrowała łososia.
- Pachnie dosyć dziwnie.
- A cóż jest dziwnego w tym zapachu?
- Jakby był spalony.
- Po prostu jest dobrze uwędzony, głuptasie! Spróbuj.

1739

- Nie jestem głodna.
- W porządku. To i tak nie twój łosoś.
Jest mój. To ofiara dla mnie. Hej, ludzie!
Hej, wy tam! Kojotka wam dziękuje! Trzymajcie tak dalej, a może kiedyś ja też coś dla was zrobię!

- Nie krzycz tak, mamó! Oni wcale nie są tak daleko...
- To mój lud – oświadczyła Kojotka, obejmując ludzi szerokim gestem, a następnie usiadła po turecku, oderwała kawałek łososia i zjadła go.

Gwiazda Wieczorna lśniła niczym głę-
bokie, przejrzyste wodne oczko na bez-chmurnym niebie. Nieco niżej, nad dwoma bliźniaczymi wzgórzami widać było rozproszoną poświatę. przypominającą świetlistą mgłę.

Dziecko przeniosło z niej wzrok z po-
wrotem na gwiazdę.

- Och – jęknęła Kojotka. – Och, o cho-1740

- lera!
– Co ci jest?
– Jedzenie tego świństwa to nie był chyba najlepszy pomysł – powiedziała Kojotka, a następnie chwyciła się za brzuch i zaczęła dygotać, pojękiwać, charczeć... w oczodołach zaślniły obnażone białka, długie ramiona i nogi wystrzeliły na boki, po-drygując kurczowo, piana zaczęła się sączyć pomiędzy zaciśniętych zębów. Ciało wygięło się do tyłu w spazmatyczny łuk, a dziewczynka, która usiłowała je przytrzymać, została odrzucona do tyłu przez rozdygotane kończyny. Dziecko podeszło znowu i podtrzymało tułów Kojotki, kiedy ten ponownie skurczył się, skręcił, zadrżał

konwulsyjnie i znieruchomiał.

Kiedy księżyc pojawił się na firmamencie, ciało Kojotki było już zimne. Do tamtej chwili spod płowej sierści biło takie ciepło, że dziewczynka wciąż miała na-1741

dzieję, iż Kojotka żyje. Liczyła, że jeśli bę-

dzie ją mocno ścisnąć, podtrzymywać jej wewnętrzne ciepło, to jej przybrana rodzi-cielka dojdzie do siebie i powróci do zdrowia. Obejmowała ją mocno, nie patrząc na ściągnięte czarne wargi odsłaniające zęby, na wytrzeszczone białka oczu. Ale kiedy chłód przeniknął sierść jako nieuchronna oznaka śmierci, dziewczynka pozwoliła, aby szczupły, sztywny korpus wysliznął się z jej ramion na zakurzoną ziemię.

Oddaliła się kawałek i wykopała dół w piaszczystej, pełnej kamieni glebie, po-
środku dolinki. Był to bardzo płytki dołek.

Kojoty nie chowały swoich zmarłych, wiedziała o tym dobrze. Ale jej ludzie tak robili.

Zataszczyła małe ciało do dołu, uło-

żyła je na dnie i przykryła błękitno-białą bandaną. Wykop okazał się zbyt mały –

cztery sztywne łapy wystawały na ze-wnątrz. Dziewczynka przysypała ciało piachem i skalnymi okruchami, a potem jeszcze przykryła cały kopczyk bylicą i ostem, które także przycisnęła kamieniami. Póź-

niej podeszła do miejsca, gdzie wcześniej leżał łosoś na cedrowej macie i znalazłszy tam martwe ciało jagnięcia, przysypała zatrutą padlinę ziemią i odłamkami skał. Potem wstała i odeszła, nie oglądając się za siebie.

Na szczycie wzgórza zatrzymała się i popatrzyła ponad dolinką ku rozmytej łunie, wiszącej nad miastem, która wypełnia-

ła przełęcz pomiędzy wzgórzami.

– Obyście wszyscy zdechli w potwor-nych bólach – zawołała głośno, po czym obróciła się i zeszła na pustynię.

V

Następnego wieczoru Sikora spotkała ją po północnej stronie Końskiego Płasko-1743 wzgórza.

– Nie płakałam – wyznała dziewczynka.

– Żadne z nas tego nie robi – powiedzia-

ła Sikora. – Chcę, żebyś poszła teraz ze mną. Do domu Babci.

Dom ten znajdował się pod ziemią. Był

ogromny, ciemny i przestronny, a Babcię zastały siedzącą na środku wielkiej izby, przy krosnach.

Właśnie tkła jakiś kilim czy koc, na którym było widać wzgórza, deszcze czarny i biały, splatające się w błyskawicę. Przez cały czas ich rozmowy staruszka tkła.

– Witaj, Sikoro. Witaj Nowy Człowieku.

– Witaj Babciu – pozdrowiła ją Sikora.

– Ja nie jestem jedną z tamtych – oznajmiła dziewczynka.

Oczy Babci były małe i ciemne.

Uśmiechnęła się i tkła dalej. Czółenko chyżo śmigало przez splot osnowy.

– A więc witaj Stary Człowieku – po-

1744

wiedziała Babcia. – Radzę ci, lepiej wracaj tam teraz, Wnuczko. Tam jest twój dom.

– Mieszkałam w domu Kojotki. Ale ona

nie żyje. Oni ją zabili.

– Och, nie przejmuj się Kojotką – po-

wiedziała Babcia, lekko parszkając śmiechem. – Co chwila ktoś ją uśmierca.

Dziewczynka stała bez ruchu. Patrzyła na niekończące się sploty.

– A więc... mogłabym wrócić... do jej domu?

– Myślę, że to się nie uda – powiedziała Babcia. – A ty, co sądzisz, Sikoro?

Sikora w milczeniu zaprzeczyła ruchem głowy.

– Teraz będzie tam strasznie ciemno, pusto, na dodatek te pchły... Wyszłaś poza czas swoich ludzi i trafiłaś do nas. Ale wydaje mi się, że Kojotka właśnie zabierała cię z powrotem, wiesz. Taki sobie wymy-

śliła sposób. Jeśli teraz wrócisz, to wciąż 1745

będziesz mogła z nimi zamieszkać. Czy nie masz tam czasem swojego taty?

Dziewczynka przytaknęła.

– Oni cię szukali.

– Naprawdę?

– O tak, od tamtego dnia, kiedy wypa-
dłaś z nieba. Znaleźli trupa mężczyzny, ale ciebie nigdzie nie było... szukali przez cały czas.

– Dobrze mu tak. Dobrze tak im wszystkim – powiedziała dziewczynka. Zakryła twarz dłońmi i zaczęła okropnie płakać, płaczem pozbawionym łez.

– Wracaj tam, mała Wnuczko – powie-
działa Pajęczyca. – Nie obawiaj się. Mo-

żesz tam żyć całkiem znośnie. Ja też tam będę, wiesz? W twoich snach, w twoich myślach, w ciemnych kątach piwnicy. Nie zabijaj mnie tylko, bo sprawię, że będzie padał deszcz.

– Ja też cię będę odwiedzać – powie-

działa Sikora. – Dla mnie załóż ogród.

Dziewczynka wstrzymała oddech i zaci-

snęła dłonie w pięści, dopóki nie zapanowała nad szlochem i mogła spokojnie mó-
wić.

– Czy zobaczę jeszcze kiedyś Kojotkę?

– Nie wiem – odparła Babcia.

Dziecko ze spokojną rezygnacją przyję-

ło do wiadomości tę odpowiedź. Po chwili ciszy zadała jeszcze jedno pytanie.

– Czy mogę zatrzymać moje oko?

– Oczywiście. Możesz je zatrzymać.

– Dziękuję, Babciu – powiedziała dziewczynka. Odwróciła się i ruszyła w górę okrytego nocą stoku, w stronę nadchodzącego dnia. Przed nią w świetle brza-sku przez długi czas frunął malutki ptaszek w czarnym bereciku, o niewiarygodnie lekkich skrzydełkach.

1747

TERRY BISSON

NIEDŹWIEDZIE

ODKRYWAJĄ OGIEN

(Bears discover fire)

Przełożył Feliks Forbert-Kaniewski W twórczości Terry'ego Bissona można odnaleźć zarówno elementy science fiction, jak i fantasy. Potrafi spletać je w całość z niezrównanym mistrzostwem. W swoich powieściach porusza przeróżne tematy: od tego, co by się stało, gdyby podczas wojny secesyjnej doszło do wielkiego buntu niewolników, aż do Ameryki przyszłości, w której dostać się na Marsa może tylko ten, kto zdoła namówić jakiegoś producenta, by sfinansował przedsięwzięcie jako film. Terry często kpi sobie z „nowoczesnego” stylu życia oraz społecznych konwencji, chętnie czerpiąc pomysły z przeszłości. Do najbardziej znanych jego powieści należą „Talking Man” oraz

„Voyage to the Red Planet”.

1749

Jechaliśmy z moim bratem, kuzynką i jego synem, a moim bratankiem drogą I-65 na północ od Bowling Green i wtedy złapaliśmy gumę. Był to niedzielny wieczór i jechaliśmy moim samochodem od-

wiedzić Mameę, która przebywała w Domu.

Pęknięcie opony wywołało u moich pasa-

żerów kontrolowany jęk zawodu. Jestem nieco staroświecki (co mi nieraz wytyka-no) i sam naprawiam przebicia kół, chociaż mój brat stale powtarza, że bym wreszcie kupił radialne opony i przestał zbierać stare.

Jeśli jednak wie się, jak naprawiać gumy i zakładać je, można mieć ich całe mnóstwo za bezcen. Ponieważ poszło lewe tylne koło, skręciłem w lewo i wjechałem na rozdzielający jezdnie pas trawy. Ze sposobu, w jaki zatrzymał się mój cadillac, wy-1750 wnioskowałem, że guma jest stracona.

– Przypuszczam, że nie warto pytać, czy masz w bagażniku „FlatFix” – odezwał się Wallace.

– Chłopcze, przytrzymaj mi tu światło –

powiedziałem do Wallace'a Juniora. Był

już wystarczająco duży na to, by chętnie służyć pomocą, a za mały (jeszcze), by uważać się za

wszystkowiedzącego. Gdybym miał żonę i dzieci, chciałbym, żeby taki właśnie był mój syn.

Stary caddy miał wielki jak stodoła bagażnik, który z czasem zapełniał się różnymi gratami. To był rocznik '56. Wallace włożył dziś odświętną koszulę, nie kwapił

się więc z pomocą, gdy w poszukiwaniach lewarka przekopywałem się przez stare czasopisma, przybory wędkarskie, drewniane pudło z narzędziami i zniszczone ubrania zapakowane w torbę z morskiej trawy. Zapas wyglądał na niedopompowa-1751

ny. Światło zgasło.

– Potrząśnij lampką, chłopcze – powiedziałem. Znów się zaświeciło.

Lewarek dawno gdzieś się zawieruszył, ale woziłem ze sobą ćwierćtonowy podnośnik

hydrauliczny. Znalazłem go w końcu pod rocznikami „Southern Livings” z lat 1978-1986,

należącymi do naszej matki.

Od dawna zamierzałem je wyrzucić. Gdy-by nie było z nami Wallace'a, pozwoliłbym Juniorowi umieścić podnośnik pod waha-czem. Ucząc się zmieniać koła, chłopiec niczego nie straci. Nawet jeśli nie będzie sam łątał gum, to pewnie przyjdzie mu nieraz zakładać nowe opony. Zanim udało mi się ściągnąć koło, światło znów zgasło.

Zrobiło się zdumiewająco ciemno. Był już późny październik i zaczynały się chłody.

– Potrząśnij jeszcze raz – poprosiłem.

Światło zapłonęło ponownie, ale o wiele słabsze. Drżące.

1752

– Nie zdarzyłoby ci się to, gdybyś miał

radialne – wyjaśnił Wallace tonem, którym zwykł był zwracać się do audytorium, w tym wypadku

złożonego ze mnie i z Juniora. – A jeśli nawet, to po spryskaniu przebiccia preparatem „FlatFix”, moglibyśmy jechać dalej. Trzy dolary, dziewięćdziesiąt pięć centów puszka.

– Wujek Bobby potrafi naprawić oponę

osobliwie – powiedział niepoczuwający się do obowiązku lojalności wobec ojca Junior.

– Osobiście – poprawiłem, wyłaniając się spod auta. Gdyby to zależało od Wallace'a, chłopiec wyrażałby się zgodnie z określeniem Mamy „jak dzikus z gór”. Ale używałby opon radialnych.

– Potrząśnij jeszcze raz – powiedziałem.

Światło znów zaczęło przygasać. Ściągną-

łem oponę. Pękła wzdłuż bocznej krawę-

dzi. – Nie da się naprawić – powiedziałem.

1753

Wcale mnie to nie zmartwiło. Pod szopą miałem stos na wysokość chłopca.

Światło zgasło ponownie, po czym poja-wiło się znów o wiele jaśniejsze niż poprzednio.

Mocowałem właśnie koło zapasowe.

– Znacznie lepiej – powiedziałem.

Wszystko było zalane drżącym światłem o lekkim pomarańczowym zabarwieniu.

Kiedy się odwróciłem, żeby pozbiierać na-krętki, ze zdumieniem ujrzałem, że trzymana przez chłopaka lampka nie działa.

Światło pochodziło z pochodni trzymanyh przez stojące pod drzewami dwa niedźwiedzie. Były to wielkie bestie, wa-

żące chyba po trzysta funtów i wysokie na co najmniej pięć stóp. Wallace Junior i jego stary, ujrzawszy je, stanęli jak przy-murowani.

Lepiej nie denerwować niedźwiedzi.

Wyłowilem nakrętki z dekla i przykręci-1754

łem koło. Zazwyczaj zwilżam je przedtem smarem, lecz tym razem sobie odpuściłem.

Sięgnąłem pod samochód po podnośnik, zwolniłem go i wyciągnąłem. Widząc, że w zapasowym kole jest dość powietrza do kontynuowania jazdy, odetchnąłem z ulgą.

Wrzuciłem felgę i podnośnik do bagażni-ka. Zamiast mocować dekiel, wrzuciłem go tam również. Przez cały ten czas niedź-

wiedzie stały nieruchomo. Po prostu trzymały swoje pochodnie, powodowane ciekawością, a może chęcią pomocy, kto zresztą może to wiedzieć. Wyglądało na to, że tam z tyłu, pomiędzy drzewami, jest o wiele więcej niedźwiedzi.

Każdy z nas dopadł swoich drzwi i ru-

szyliśmy natychmiast. Wallace pierwszy odzyskał mowę.

– Chyba niedźwiedzie odkryły ogień – powiedział.

1755

Kiedy zawoziliśmy Mamę do Domu, prawie cztery lata (dokładnie czterdzieści siedem miesięcy) temu, szykowała się do odejścia.

– Nie martwcie się o mnie, chłopcy –

szepnęła, przyciągając nas do siebie, tak by nie mogła usłyszeć jej pielęgniarka. –

Przejechałam już milion mil i jestem gotowa do przejścia na tamten brzeg. Nie zagrzeję tu miejsca.

Mama przez trzydzieści dziewięć lat prowadziła szkolny autobus.

Później, kiedy Wallace już wyszedł, opowiedziała mi swój sen. Grupa lekarzy siedziała wokół niej, omawiając jej przypadek. Jeden z nich powiedział: „Koledzy, zrobiliśmy już wszystko, dajmy jej umrzeć”. Obecni podnieśli ręce w górę i uśmiechnęli się. Mama była bardzo rozczarowana, że nie umarła tej jesieni, ale z wiosną, jak to bywa ze starszymi ludźmi, za-1756

pomniała o wszystkim.

Oprócz niedzielnych wizyt, kiedy zabierałem ze sobą Wallace'a i Wallace'a Juniora, pojawiałem się u Mamy we wtorki i czwartki. Zazwyczaj zastawałem ją siedzącą przed telewizorem, chociaż nie zawsze śledziła program. Pielęgniarki nie wyłączały aparatu. Ich zdaniem starzy ludzie lubią, kiedy coś się rusza. To ich uspokaja.

– Co z tym odkryciem ognia przez siebie? – spytała mnie we wtorek.

– To prawda – odparłem, czesząc jej siwe włosy grzebieniem zrobionym z muszli. Wallace kupił jej go na Florydzie.

W poniedziałek artykuł na temat misiów ukazał się w „Courier-Journal Luisville”, a we wtorek mówiono o tym w wieczornych wiadomościach NBC i CBS. Ludzie widzieli niedźwiedzie we wszystkich stanach, nawet w Wirginii. Przerwały sen zimowy i wyglądało na to, że zamierzają spędzić 1757

zimę na pasach zieleni rozdzielających jezdnie międzystanowych autostrad. W górach Wirginii zawsze były jakieś niedźwiedzie, ale nie w zachodniej części Kentucky.

Co najmniej od stu lat. Ostatni został zabity, kiedy Mama była jeszcze małą dziewczynką.

„Courier-Journal” wysnuwał teorię, że te niedźwiedzie pochodziły z lasów Kanady i przywędrowały z okolic Michigan wzdłuż drogi I-65, ale pewien staruszek z hrabstwa Allen (pokazywany w ogólnokrajowej telewizji) twierdził, że w górach uchowało się trochę tych zwierząt i po wynalezieniu ognia przyszły, by połą-

czyć się z innymi.

– Już nie zimują w swoich legowiskach

– powiedziałem. – Wynałazły ogień i chcą przetrwać zimę.

– Wyobrażam sobie – powiedziała Mama – co też one jeszcze wymyślą.

1758

Weszła pielęgniarka i zabrała Mamie ty-toń, co oznaczało, że nastąpiła już pora spoczynku.

Co roku, w listopadzie, Junior mieszka u mnie, a jego rodzice wyjeżdżają wtedy na obóz. Wiem, że brzmi to głupio, ale tak już jest. Mój brat jest ministrem w Zreformowanym Kościele Właściwej Drogi, ale głównie trudni się handlem nieruchomościami.

Wraz z żoną Elizabeth bierze udział w programie Chrześcijańskiego Treningu dla Sukcesu i wraz z ludźmi z całego kraju ćwiczy się w sprzedawaniu rozmaitych dóbr reszcie społeczeństwa. Wiedzia-

łem o tym nie dlatego, że mój brat był łaskaw poinformować mnie o tym, ale dlatego, że cały ten Plan reklamowano w telewizji.

Autobus szkolny przywiózł Juniora w środę, w dniu ich wyjazdu. Aby zostać u 1759 mnie, chłopiec nie musiał zabierać zbyt wielu rzeczy. Miał tu swój pokój. Jako najstarszy z rodziny mieszkałem w naszym starym domu nieopodal Smiths Grove.

Dom chylił się ku upadkowi, ale Junior i ja nie przejmowaliśmy się tym. Chłopak miał też swój pokój w Bowling Green, lecz od-kał Wallace i Elizabeth zmieniali co pół roku mieszkania (stanowiło to część Planu), trzymał swoją strzelbę kalibru 22 i komiksy wraz z resztą drobiazgów niezbędnych dla chłopaka w jego wieku tu, w pokoju, który niegdyś dzieliłem z jego ojcem.

Junior ma dwanaście lat. Zastałem go siedzącego na werandzie za domem, skąd roztaczał się widok na autostradę. Wraca-

łem z pracy, którą udało mi się dostać; sprzedawałem ubezpieczenia.

Gdy przebrałem się, pokazałem mu, w

jaki sposób można ściągnąć oponę z felgi, 1760

posługując się młotkiem lub najeżdżając na nią kołem samochodu. Wyrób syropu ze zboża sorgo i ręczna naprawa opon należą do ginących umiejętności. Mały uczył się szybko.

– Jutro pokażę ci, jak zakładać oponę za pomocą młotka i łyżki.

– Chciałbym zobaczyć niedźwiedzie –

odparł. Spoglądał w stronę drogi I-65, któ-

rej odcinek przechodził przez północną krawędź naszego pola. Nocami niekiedy słyszeliśmy w domu odgłosy pojazdów, przypominające z tej odległości szum wodospadu.

– W ciągu dnia nie widać ich ognisk –

powiedziałem. – Zaczekaj do wieczora.

Wieczorem CBS lub NBC (nie pamię-

tam już, która z nich) pokazywała specjalne wydanie poświęcone misiom, które zyskały

ogólnokrajową popularność. Widziano je w Kentucky, Wirginii Zachodniej, 1761

Missouri, Illinois (na południu), no i oczywiście w Wirginii. W Wirginii zawsze były niedźwiedzie. Jakież typki gadały coś o polowaniu na nie. Pewien naukowiec twierdził, że podążają w kierunku stanów, w których są mniejsze opady śniegu i gdzie mogą znaleźć na ogniska wystarczająco dużo drewna z płotów rozdzielających autostrady. Udał się tam nawet z kamerą wideo, ale na jego zdjęciach widać było jedynie niewyraźne postacie siedzące wokół

ogniska. Inny naukowiec twierdził z kolei, że niedźwiedzie zwabił zapach jagód z krzewów, którymi w ostatnich latach obsadzono autostrady. Oświadczył, że jest to zupełnie nowy gatunek jagód, powstałych w wyniku krzyżowania różnych krzewów.

Zjadł taką jagodę przed kamerami, skrzywił się i nazwał ją „neojagodą”. Klimatolog z kolei dowodził, że ciepłe zimy (w ubiegłym roku nie było śniegu w Nashvill-1762

le, a tylko jedna zamieć w Louisville) zakłóciły cykl snu zimowego niedźwiedzi i odtąd te zwierzęta są zdolne zapamiętywać różne wydarzenia z ubiegłych sezonów.

– Niedźwiedzie mogły odkryć ogień setki lat temu – mówił – ale o tym zapomniały.

Według innej teorii odkryły (lub też zapamiętały) ogień podczas pożaru, jaki wybuchł przed kilkoma laty w parku Yellowstone.

Ponieważ telewizja pokazywała więcej facetów opowiadających o niedźwiedziach niż samych niedźwiedzi, Junior i ja straciliśmy zainteresowanie programem. Kiedy pozmywaliśmy po kolacji, zabrałem chłopca w stronę zamykającego nasze pole płotu. Poprzez autostradę, pomiędzy drzewami, widać było ogniska niedźwiedzi.

Junior chciał wrócić do domu po swoją strzelbę i upolować jednego z nich, wyja-1763 śniłem mu więc, że to zły pomysł.

– A w dodatku – powiedziałem – kaliber 22 może jedynie rozwścieczyć zwierzęta.

– Pamiętaj też – dodałem – że polowanie na pasie rozdzielającym autostradę jest sprzeczne z prawem.

Cały dowcip przy zakładaniu opony po-

lega na prawidłowym ułożeniu pustej gumy na feldze. Kiedy już ją nabijemy na felgę, stawiamy w pozycji pionowej, przytrzymując pomiędzy nogami, lekko odbijamy ją w górę i w dół. Prawidłowo założona guma rozprostuje się z charakterystycznym trzaskiem. W czwartek przywiozłem Juniora ze szkoły i pokazywałem mu, jak to powinien robić, aż się w końcu nauczył.

Potem wspięliśmy się na płot i poszliśmy popatrzeć na niedźwiedzie.

W północnej Wirginii, jeśli wierzyć temu, co podano w programie „Good Morning America”, niedźwiedzie paliły ogniska przez cały dzień. Tu, w zachodnim Kentucky,

panowała wciąż ciepła jesień i zwierzęta gromadziły się wokół ognia tylko nocą. Co robiły i dokąd szły w dzień, tego nie wiem. Może obserwowały, siedząc na krzakach neojagód, jak wspina się z Juniosem na państwowy płot i przecinamy północną stronę autostrady? Ja niosłem siekiere, a Junior wziął swoją strzelbę kalibru 22. Nie po to, by ustrzelić niedź-

wiedzia, ale dlatego, że chłopcy lubią nosić broń. Pas rozdzielający autostradę zaro-

śnięty był chaszczami i winoroślą zwieszającą się z klonów, dębów i sykomor. Chociaż znajdowaliśmy się zaledwie sto jardów od domu, nie byłem tu nigdy ani nie słyszałem, żeby owo miejsce odwiedzał

ktos ze znanych mi osób. To jak odkrywanie nowych łądów. Znaleźliśmy wydeptaną ścieżkę, którą podążyliśmy powoli. Gdzie-1765

niegdzie przecinały ją małe strumyczki.

Odciski w gliniastej ziemi stanowiły jedyne ślady niedźwiedzi, jakie początkowo ujrzeliśmy. W powietrzu unosiła się zatę-

chła, lecz niezbyt dokuczliwa woń. Opodał na nieco większej przestrzeni, przy niewielkim zagłębieniu, znaleźliśmy ślady ogniska. Nie pozostało tam nic poza popio-

łem.

Spalone pniaki leżały ułożone w koło, a zapach stał się jeszcze bardziej intensywny.

Rozgrzebałem popiół i znalazłem pod nim wystarczającą ilość żaru do ponownego rozpalenia ogniska, przysypałem więc go z powrotem, doprowadzając do poprzedniego stanu.

Wyciąłem trochę drzewa na ogniska i ułożyłem obok na kupę, taka sąsiedzka przysługa.

Może zwierzęta w tej chwili obserwo-

wały nas z zarośli, nigdy nic nie wiadomo.

Spróbowałem jedną z tych neojagód i wyplułem ją natychmiast. Była bardzo słodka i bardzo kwaśna zarazem. Ten smak powinien, moim zdaniem, odpowiadać niedź-

wiedziom.

Tego wieczora po kolacji spytałem Ju-

niora, czy nie zechciałby towarzyszyć mi podczas wizyty u Mamy. Ku memu zdumieniu wyraził zgodę. Chłopcy są bardziej troskliwi, niż się powszechnie sądzi. Znaleźliśmy Mamę siedzącą na betonowym ganku Domu. Obserwowała samochody przejeżdżające autostradą I-65. Pielęgniarka powiedziała mi, że przez cały dzień Mama była bardzo podniecona. Wcale mnie to nie zdziwiło. Każdej jesieni, kiedy liście zmieniały kolor, stawała się niespo-kojna, jak gdyby na coś czekała.

Zabrałem ją do salonu i zacząłem czesać jej siwe włosy.

1767

– W kółko mówią o niedźwiedziach –

poskarżyła się pielęgniarka, przełączając kanały telewizora. Po jej wyjściu Junior złapał pilota i włączył specjalny reportaż o myśliwych z Wirginii, którym spalono dom, nadawany przez CBS lub NBC. Był

to wywiad z myśliwym i jego żoną. Ich posiadłość w Shenandoah Valiey wartości 117 500 dolarów spłonęła doszczętnie. Kobieta oskarżała o to niedźwiedzie. On ich nie oskarżał, domagał się jednak odszkodowania od rządu, twierdząc, że ma ważne zezwolenie na działalność myśliwską. Komisarz stanowy do spraw łowiectwa oświadczył, że posiadanie zezwolenia nie zabrania (nie ujmuje, tak to chyba powiedział) obiektowi polowania prawa do obrony. Pomyślałem sobie, że to niezwykle li-beralne podejście, jak na komisarza stano-wego. W końcu mnie nie dotyczy. Nie jestem myśliwym.

1768

– Nie fatyguj się do mnie w niedzielę –

powiedziała Mama Juniorowi, puszczając do niego oko. – Przejechałam już milion mil i jestem już jedną nogą na tamtym świecie.

Przywykłem już do tego, że Mama wy-

gaduje te głupstwa, zwłaszcza jesienią, ale zaniepokoiłem się, bo mogło to zdenerwować chłopca. Rzeczywiście wyglądał na przygnębionego i kiedy wyszliśmy, spyta-

łem, co mu jest.

– Jak mogła przejechać milion mil? –

spytał. Powiedziała mu, że robiła dziennie 48 mil przez 39 lat i kiedy policzył to na kalkulatorze, wypadło mu 336 960 mil.

– Mogła – odparłem. – To było 48 mil

rano i wieczorem, plus wyjazdy z drużyną futbolową, plus lekka przesada starej kobiety. Mama była pierwszą kobietą w całym stanie prowadzącą szkolny autobus.

1769

Oprócz tego zajmowała się wychowywaniem dzieci. Tatko zajmował się tylko farmą.

Zazwyczaj zawracam w Smiths Grove,
ale tego wieczora pojechałem dalej na pół-

noc, aż do Horse Vace, nadkładając drogi w dwójnasób, tak że wraz z Juniorem mogliśmy obserwować ogniska niedźwiedzi.

Nie było ich tak wiele, jak można byłoby sądzić z relacji telewizyjnych, najwyżej jedno na sześć, siedem mil. Poukrywane za drzewami lub skałkami. Widocznie zwierzęta potrzebowały wody równie mocno jak drewna. Junior chciał, żebyśmy się zatrzymali, ale postój na autostradzie jest niezgodny z prawem i bałem się, że złapie nas policja.

W skrzynce znaleźliśmy kartkę od Wallace'a. Elizabeth i on czuli się wyśmianicie i doskonale się bawili. Nie wspomniał na-1770 wet o Juniorze, ale chłopiec nie wydawał się tym przejęty. Jak większość jego rówieśników nie przepadał zbyt za wyjazdami w towarzystwie rodziców.

W sobotnie popołudnie zadzwoniono z

Domu do mojego biura (Burley Belt Drought i Hill) z wiadomością, że Mama odeszła. Byłem akurat w trasie. Pracuję w soboty. To jedyny dzień, kiedy większość ludzi zajmujących się tylko po części gospodarowaniem na farmie można zastać w domu. Serce mi zamarło, gdy po otrzymaniu tej wiadomości łączyłem się z Domem.

Ale zamarło mi tylko na chwilę, bo byłem na to przygotowany.

– Wola boska – powiedziałem pielęgniarce, która odebrała telefon.

– To nieporozumienie – odparła. – Wca-le nie powiedziałam, że pańska matka zmarła, tylko że odeszła, uciekła.

1771

Mama wydostała się tylnymi drzwiami,
korzystając z chwili nieuwagi personelu.

Podważyła zamek grzebieniem i wyszła, zabierając ze sobą należącą do Domu kapę z łóżka.

Spytałem, co z jej tytoniem. Zniknął również. Wywnioskowałem z tego, że postanowiła wynieść się stamtąd na dobre.

Byłem we Franklin i dotarcie do Domu drogą I-65 zajęło mi niecałą godzinę. Pielęgniarka powiedziała, że mama ostatnio zachowywała się coraz dziwniej. To oczywiste, że musiała coś takiego powiedzieć. Rozejrzeliśmy się po najbliższej okolicy. Było tu pozbawione drzew pole soi wielkości mniej więcej akra. Przylegało do szosy. Polecono mi zawiadomić szeryfa. Miałem też płacić za opiekę nad Mamą do chwili, kiedy zostanie oficjalnie uznana za zaginioną, czyli mniej więcej do poniedziałku. Gdy dotarłem do swojego domu, było już ciemno; Junior szykował kolację.

1772

Wymagało to jedynie otwarcia kilku puszek, już uprzednio przygotowanych i związanych gumką. Powiedziałem mu o babci, a on tylko skinął głową i skostatował:

– Mówiła przecież, że odejdzie.

Zadzwoniłem na Florydę i zostawiłem wiadomość. To wszystko, co mogłem zrobić. Usiadłem przed telewizorem, usiłując zmusić się do oglądania programu, ale nie było niczego interesującego.

Wówczas wyjrzałem przez tylne drzwi i pomiędzy drzewami rosnącymi na pasie rozdzielającym autostradę dojrzałem blask ognia. Po-myślałem sobie, że wiem, gdzie jej szukać.

Zrobiło się bardzo chłodno, włożyłem więc kurtkę. Poleciłem małemu, żeby został w domu i czekał na telefon od szeryfa, lecz kiedy obejrzałem się, a stałem już 1773 wtedy na środku pola, zobaczyłem, że był

obok mnie. Bez kurtki. Niósł za to swoją strzelbę, którą kazałem mu zostawić opartą o ogrodzenie. W nocy w moim wieku wdrapanie się na państwowy płot jest o wiele trudniejsze niż za dnia. Mam sześć-

dziesiąt jeden lat, autostradą mknęły samochody jadące na południe i ciężarówki zdążające na północ.

Gdy znalazłem się już po drugiej stronie, rosa, która pokrywała długą trawę, zamoczyła mi mankiety spodni. Dla ścisło-

ści, była to lokalna odmiana trawy *blu-egrass*.

Po kilku pierwszych krokach uczynionych pomiędzy drzewa ogarnęła nas ciemność i chłopiec złapał mnie za rękę. Potem zrobiło się nieco jaśniej. W pierwszej chwili myślałem, że to światło księżycy, ale po chwili przekonałem się, że to odbijana przez wierzchołki drzew poświata po-1774 chodząca od ogniska. Dzięki niej mogli-

śmy z Juniorem obrać właściwy kierunek.

Wkrótce znaleźliśmy ścieżkę nasyconą niedźwiedzim zapachem. Podchodzenie niedźwiedzi nocą jest trochę deprymujące. Idąc ścieżką, moglibyśmy natknąć się w mroku na któregoś z nich, ale z drugiej strony, gdybyśmy poruszali się przez gąszcz, niedźwiedzie mogłyby uznać nasze zamiary za nieprzyjazne. Zastanawiałem się, czy zbyt pochwytliwie nie zrezygnowałem ze strzelby.

Zostaliśmy jednak na ścieżce. Światło odbijające się w listowiu, przypominało migotliwy deszcz. Szło się nam dość łatwo, zwłaszcza gdy nie patrzyliśmy na ścieżkę, lecz pozwalaliśmy naszym stopom odnajdywać właściwy szlak.

W pewnej chwili dostrzegłem ognisko.

Płonęły przeważnie gałęzie buka i syko-1775

mory, dając mało ciepła i światła, a za to dużo dymu. Widocznie misie nie nauczyły się jeszcze odróżniać niuansów związanych z różnymi gatunkami drewna. Na razie nauczyły się gromadzić drewno. Wielki, ciemnobrązowy niedźwiedź pochodzą-

cy zapewne z północy grzebał w ognisku kijem i dokładał gałęzi z leżącego opodal stosu. Inne rozsiadły się wokół na pniakach. Na ogół były to mniejsze od tamtego samce, czarne i brązowe, znajdowała się również pomiędzy nimi samica z małymi.

Niektóre pojadały jagody z dekła samochodowego. Pomiedzy nimi siedziała Mama, otulona wyniesioną z Domu kapą, nie jadła, obserwowała tylko ogień.

Jeśli nawet niedźwiedzie dostrzegły nas, nie dały tego po sobie poznać. Mama klepieniem wskazała mi miejsce obok siebie na pniaku, więc usiadłem. Niedźwiedź posunął się nieco, robiąc miejsce Juniorowi z 1776

drugiej strony obok Mamy.

Zapach niedźwiedzi jest silny, lecz nie odrażający, zwłaszcza gdy się do niego przywyknie. Pochyliłem się, by szepnąć coś Mamie do ucha, lecz ona stanowczo pokręciła głową.

– To niegrzecznie szeptać, będąc wśród stworzeń, które nie potrafią mówić – poinformowała mnie bez słów. Junior też nic nie mówił. Mama podzieliła się z nami kapą i wpatrzeni w ogień przesiadeliśmy tak ładne parę godzin.

Wielki niedźwiedź, ten, co dokładał do ognia, łamał gałęzie, unosząc je w łapach i przydeptując, tak jak to robią ludzie. Udawało mu się utrzymywać płomień na stałej wysokości. Inny miś czasem dorzucił jakieś polano, ale pozostałe nie zajmowały się tym wcale. Wyglądało na to, że tylko kilka z nich wiedziało, jak obchodzić się z ogniem i demonstrowało to reszcie. Ale 1777

czyż nie jest tak ze wszystkim? Co pewien czas do ogniska zbliżał się jakiś mniejszy niedźwiedź z naręczem chrustu, który rzucał na znajdujący się obok stos drewna.

Gałęzie miały srebrny blask, jak gdyby oblane były wodą.

Junior na szczęście nie jest taki ruchliwy jak większość jego rówieśników. Mnie osobiście siedzenie i spoglądanie w ogień sprawiało dużą przyjemność. Chociaż nie żuję, wziąłem od Mamy nieco tytoniu. Sytuacja właściwie nie różniła się tak bardzo od odwiedzin w Domu, z tym że spędziliśmy czas o wiele ciekawiej, choćby ze względu na niedźwiedzie, było ich w sumie osiem czy dziesięć. Ognisko też miało swoją dramaturgię. Co pewien czas płomienie strzelały wyżej lub dopalające się gałęzie pękały z trzaskiem, sypiąc iskrami.

Rozbudziło to moją wyobraźnię. Popatrzy-

łem na siedzące wokół zwierzęta i zastana-1778

wiałem się nad tym, co one widzą. Niektó-

re z nich miały zamknięte oczy. Chociaż zgromadziły się razem, duchem były wciąż oddzielnie, tak jakby każde z nich siedzia-

ło samotnie przy własnym ognisku.

Dekiel krążył wśród siedzących i wreszcie dotarł do nas. Wzięliśmy nieco neojagód. Nie wiem, jak Mama, ale ja tylko udawałem, że je jem. Junior skrzywił się i wypluł owoc. Gdy usnął, okryłem nas wszystkich kapą. Robiło się coraz chłodniej, a my, w przeciwieństwie do niedź-

wiedzi, nie byliśmy pokryci futrem. Chcia-

łem pójść do domu, lecz Mama sprzeciwiła się temu. Wskazała na rozświetlone korony drzew, a

potem na siebie. Czyżby sądzi-

ła, że to aniołowie zstępują z wysokości?

Było to tylko odbicie długich światła cię-

żarówek zmierzających na południe, lecz ona wydawała się tym usatysfakcjonowa-na.

1779

Czułem, jak jej dłoń powoli stygnie w mojej ręce.

Junior obudził mnie klepnięciem w ko-

lano. Dniało. Jego babcia siedziała nieży-wa pomiędzy nami na pniaku. Ogień wy-

gasł, niedźwiedzie poszły sobie, a coś przedzierało się w naszą stronę, ignorując ścieżkę. To był

Wallace. Towarzyszyli mu dwaj żołnierze. Miał na sobie białą koszulę, co uświadomiło mi, że jest niedziela rano. Pod maską smutku z powodu śmierci Mamy wyglądał na zirytowanego.

Żołnierze pociągnęli nosem i pokiwali głowami. Zapach zwierząt był bardzo intensywny.

Wallace i ja zawinęliśmy ciało Mamy w kapę, a potem ruszyliśmy w stronę autostrady. Żołnierze zostali, by roz-grzebać popiół z ogniska i porozrzucić przygotowane gałęzie. Paskudna robota. W

swoich mundurach sami przypominali 1780

niedźwiedzie.

Na poboczu z wciśniętymi w trawę ra-

dialnymi oponami stał oldsmobile '98 Wallace'a, a przed nim wóz policyjny, obok żołnierze, a z tyłu karawan, również oldsmobile '98.

– Po raz pierwszy zdarzył się wypadek niepokojenia przez nie starszych ludzi – powiedział żołnierz do Wallace'a.

– To niezupełnie tak było – odezwałem się, ale nikt nie zamierzał słuchać moich wyjaśnień. Mieli swój punkt widzenia.

Dwóch mężczyzn w garniturach wysiadło z karawanu i otworzyło tylne drzwi. Dla mnie była to chwila, w której Mama tak naprawdę rozstała się z życiem. Gdy włożyliśmy już ją do środka, otoczyłem chłopca ramionami. Drżał, chociaż wcale nie było chłodno. Powoduje to czasem tchnienie śmierci, zwłaszcza o świcie, w asyście policji, kiedy trawa mokra jest od rosy.

1781

Dzieje się tak nawet wtedy, jeśli ta śmierć przychodzi jak przyjaciel.

Staliśmy przez chwilę, spoglądając na przejeżdżające samochody.

– Wola boska – powiedział Wallace.

Byłem zdumiony tak wielkim natężeniem ruchu o szóstej dwadzieścia dwie rano.

Po południu wróciłem i narąbałem nieco drewna na opał, żeby zastąpić to, które po-rozrzucali żołnierze. Wieczorem znów widziałem ogień pomiędzy drzewami.

Wróciłem dwa dni później, po pogrzebie. Ognisko płonęło, o ile zdołałem zauważyć, siedziały przy nim te same niedźwiedzie. Usiadłem pomiędzy nimi na chwilę, ale spostrzegłem, że je to trochę drażni, wróciłem więc do domu. Zabrałem ze sobą garść neojagód z dekla. Kiedy w niedzielę pojechałem z Juniorem na cmen-1782

tarz, ozdobiłem nimi grób Mamy. Znów spróbowałem jednej, ale to na nic, nie da się ich zjeść.

Chyba, że jest się niedźwiedziem.

1783

TED CHIANG

WIEŻA BABILONU

(Tower of Babylon)

Przełożyła Agnieszka Sylwanowicz

Jest to tekst, którym na początku lat dziewięćdziesiątych Ted Chiang z rozmachem wkroczył na scenę fantastyki naukowej. Debiutem tym zdobył nagrodę Nebula za najlepszą krótką powieść roku. Jego opowiadania pojawiały się w takich czasopismach, jak „Omni” i „Isaac Asimov's Science Fiction Magazine” oraz antologii „Full Spectrum”.

1784

Gdyby wieżę położyć na równinie Szi-
nar, przejście od jej podstawy do szczytu zajęłoby dwa dni. Póki wieża stoi, wejście na jej szczyt trwa miesiąc i jeszcze pół, je-

śli idzie się bez obciążenia. Nieliczni jednak wchodzą na wieżę z pustymi rękami, kroki większości ludzi spowalnia wózek z cegłami, który ciągną za sobą. Między dniem, kiedy cegła zostaje załadowana na wózek, i dniem, kiedy się ją z niego zdejmuje, by stała się częścią wieży, mijają cztery miesiące.

Hillalum spędził całe życie w Elam i znał Babilon jedynie jako nabywcę elamic-kiej miedzi. Jej sztabki ładowano na statki i spławiano rzeką Karun do Niższego Morza, kierując je następnie ku Eufratowi.

Hillalum i pozostali górnicy podróżowali łądem, idąc obok kupieckiej karawany ob-1785
juczonych onagrów. Szli zakurzoną ścież-

ką, która schodziła z płaskowyżu i wiodła przez równiny na zielone pola podzielone kanałami i groblami.

Żaden z nich nigdy nie widział wieży.

Stała się widoczna, kiedy wciąż dzieliło ich od niej wiele staj: linia cienka niczym pasmo lnu, chwiejąca się w drżącym powietrzu, wznosząca się ze skorupy błota –

Babilonu. Gdy się przybliżyli, skorupa zmieniła się w potężne mury miejskie, ale oni widzieli tylko wieżę. Gdy opuścili wzrok do poziomemu rzecznej równiny, zobaczyli ślady pozostawione przez wieżę w otoczeniu miasta: Eufrat płynął teraz na dnie szerokiego koryta, które wyłobiono, by zdobyć glinę do wyrobu cegieł. Na po-

łudniu było widać niezliczone szeregi pieców do wypalania cegły. Nie płonął już w nich ogień.

Kiedy podeszli do bram miasta, wieża 1786

wydała się potężniejsza od wszystkiego, co Hillalum potrafił sobie wyobrazić: kolumna tak szeroka, jak cała świątynia, lecz wznosząca się tak wysoko, że przestawała być widoczna.

Cała grupa szła z zadartymi głowami, mrużąc w słońcu oczy.

Nanni, przyjaciel Hillaluma, trącił go łokciem. Nie posiadał się ze zdumienia.

– Mamy na to wejść? Na szczyt?

Górnicy doszli do środkowej bramy w

zachodnim murze, z której wychodziła ja-kaś karawana. Kiedy tłoczyli się w wąskim pasku cienia padającego od muru, ich brygadzysta, Beli, zawołał do strażników stojących na szczycie wieży przy bramie.

– Jesteśmy górnkami wezwanymi z kra-
iny Elam.

Strażnicy uradowali się. Jeden z nich odkrzyknął:

– To wy macie przekopać się przez skle-1787

pienie niebios?

– My.

Całe miasto świętowało. Uroczystości zaczęły się przed ośmiu dniami, kiedy wysłano w górę ostatnie cegły, i miały trwać jeszcze dwa dni. Co dzień i co noc miasto cieszyło się i tańczyło, ucztowało.

Wraz z wypalaczami cegieł siedzieli cią-

gacze wózków, mężczyźni, z nogami oplecionymi węzłami mięśni stwardniałych od wspinania się na wieżę. Co ranka zaczyna-

ła drogę nowa grupa; wspinała się przez cztery dni, przekazywała ładunek następnej grupie ciągaczy i piątego dnia wracała do miasta z pustymi wózkami. Łańcuch takich zespołów prowadził aż na szczyt wie-

ży, ale tylko te najniższe świętowały z mieszkańcami miasta. Tym, którzy mieszkali na wieży, wysyłano wcześniej dość wina i mięsa, by uczta rozciągnęła się na całą wysokość pylonu.

1788

Wieczorem Hillalum oraz pozostali elamicy górnicy siedzieli na glinianych stoł-
kach przy długim stole uginającym się od jedzenia, jednym z wielu ustawionych na miejskim rynku. Górnicy wypytywali cią-

gaczy o wieżę.

– Ktoś mi mówił, że murarze, którzy pracują na szczycie wieży, lamentują i wydzierają sobie włosy, kiedy spada cegła, bo zastąpienie jej nową trwa cztery miesiące, ale że nikt nie zauważa, kiedy spada człowiek. Czy to prawda? – zapytał Nanni.

Jeden z rozmowniej szych ciągaczy, Lugatum, potrząsnął głową.

– O, nie, to tylko taka opowiadka. Na wieżę wspina się nieustająca karawana cegieł; na szczyt

docierają ich tysiące codziennie. Strata jednej z nich nic nie znaczy dla murarzy. – Nachylił się do słucha-czy. – Jednak jest coś, co cenią bardziej niż ludzkie życie: kielnia.

1789

– Dlaczego?

– Jeśli murarz upuści kielnię, nie może pracować, dopóki nie przyślą mu na górę następnej.

Całymi miesiącami nie może zarobić na jedzenie, musi zaciągać długi.

Strata kielni wywołuje wielki lament. Jeśli jednak spadnie człowiek, a zostanie jego kielnia, ludzie przyjmują to ze skrywaną ulgą. Następny, który upuści swoją kielnię, może sobie wziąć tę dodatkową i dalej pracować, nie wpadając w długi.

Hillalum był przerażony i przez chwilę starał się gorączkowo przeliczyć, ile kilofów przynieśli ze sobą górnicy. Po chwili zrozumiał.

– To nie może być prawda. Dlaczego nie kazać przynieść na górę zapasowych kielni? Ich waga byłaby niczym w porównaniu z tymi wszystkimi cegłami. I z pewnością utrata człowieka oznacza poważne opóź-

nienie, chyba że jest na szczycie dodatko-1790

wy murarz. Bez kogoś takiego trzeba czekać, aż przyjdzie z dołu.

Wszyscy ciągnąc ryknęli śmiechem.

– Tego nie oszukamy – powiedział roz-

bawiony Lugatum. Zwrócił się do Hillaluma. – Zaczniecie się wspinać zaraz po za-kończeniu święta?

Hillalum napił się piwa z miseczki.

– Tak. Słyszałem, że dołączą do nas górnicy z jakiejś zachodniej krainy, ale ich nie widziałem. Wiecie coś o nich?

– Tak, pochodzą z kraju zwanego Egip-tem, ale nie wydobywają rudy, tak jak wy.

Dobywają kamień.

– My też wydobywamy kamień w Elam

– odezwał się Nanni z ustami pełnymi wie-przowiny.

– Nie tak jak oni. Oni tną granit.

– Granit? – W Elam dobywało się wa-

pień i alabaster, ale nie granit. – Jesteś pewien?

1791

– Kupcy podróżujący do Egiptu powia-

dają, że mają tam zigguraty i świątynie zbudowane z olbrzymich bloków wapienia i granitu.

Rzeźbią też w granicie ogromne posągi.

– Ale obróbka granitu jest bardzo trud-na.

Lugatum wzruszył ramionami.

– Nie dla nich. Królewscy architekci są-

dzą, że kiedy dotrzecie do sklepienia niebios, tacy kamieniarze mogą się przydać.

Hillalum skinął głową. To zapewne prawda. Któż mógł wiedzieć, czego będą potrzebować?

– Widziałeś ich?

– Nie, jeszcze nie przybyli, ale są spodziewani za kilka dni. Mogą jednak się nie pojawić przed zakończeniem święta, wtedy wy, Elamici, wejdziecie na wieżę sami.

– Wy pójdziecie z nami, prawda?

– Tak, ale tylko przez pierwsze cztery 1792

dni. Potem musimy zawrócić, a wy, szczęśliwcy, pójdziecie dalej.

– Dlaczego uważasz nas za szczęśliwców?

– Bardzo chcę wejść na sam szczyt. Kiedyś ciągnąłem z wyższymi zespołami i dotarłem na wysokość dwunastu dni wspinaczki, ale nigdy nie zaszedłem wyżej. Wy zajdziecie. – Lugatum uśmiechnął się smutno. – Zazdroszczę wam, że dotkniecie sklepienia niebios.

Dotknąć sklepienia niebios. Rozbić je kilofami. Hillalumowi zrobiło się nieswojo na tę myśl.

– Nie ma powodu do zazdrości... – zaczął.

– Właśnie – wtrącił Nanni. – Kiedy skończymy, wszyscy ludzie będą mogli dotknąć sklepienia niebios.

Następnego ranka Hillalum poszedł

obejrzeć wieżę. Stał na wielkim placu, 1793

który ją otaczał. Z boku wznosiła się świą-

tynia; oglądana oddzielnie, wywierałaby ogromne wrażenie, ale obok wieży stała niezauważona.

Czuł jej przemożną masywność. Według

wszystkich opowieści wieża została zbudowana tak, aby była mocna jak żaden ziggurat;

wzniesiono ją z dokładnie wypalonych cegieł, podczas gdy zwykłe zigguraty budowano z cegieł z błota suszonych na słońcu, a wypalane cegły stanowiły tylko warstwę zewnętrzną. Osadzano je w zaprawie ze smoły ziemnej, która wsiąkała w wypaloną glinę i twardniejąc wiązała tak mocno, jakby sama była cegłą.

Podstawa wieży przypominała pierwsze

dwa poziomy zwykłego zigguratu. Pierwszy, ogromna kwadratowa platforma o boku jakichś dwudziestu łokci i wysoka na czterdzieści, miała na południowej ścianie potrójne schody. Na niej znajdowała się 1794

druga, mniejsza platforma, na którą można się dostać tylko środkowymi schodami.

Sama wieża zaczynała się właśnie na tej drugiej platformie.

Każdy jej bok miał sześćdziesiąt łokci długości. Wznosiła się niczym kwadratowy słup dźwigający ciężar niebios. Oplata-

ła ją łagodnie wznosząca się, wcięta rampa, niczym skórzany pas owinięty wokół rękojeści bicia. Nie: spojrzawszy jeszcze raz, Hillalum spostrzegł, że wieżę obiegają dwie, przeplatające się, rampy. Na zewnętrznej krawędzi każdej z nich stały słupy. Nie były grube, lecz szerokie, co sprawiło, że dawały cień. Kiedy patrzył w górę wieży, widział przeplatające się pasy – rampa, cegły, rampa, cegły – aż na pewnej wysokości zaczęły się one ze sobą zlewać.

Wieża wznosiła się coraz wyżej, poza zasięg wzroku; Hillalum zamrugał, zmrużył oczy i poczuł, że kręci mu się w głowie.

1795

Cofnął się chwiejnie parę kroków i odwrócił przesyty dreszczem.

Przypomniał sobie historię o czasach po Potopie, opowiadaną mu w dzieciństwie. O

tym, jak ludzie znów zaludnili wszystkie zakątki świata, zamieszkując więcej krain niż kiedykolwiek przedtem. Jak dopłynęli do krańców świata i zobaczyli ocean spadający w mgłę, prosto w czarne wody Otchłani daleko w dole. Jak ludzie zdali sobie sprawę z rozmiarów ziemi, uznali, że jest mała i zapragnęli zobaczyć, co leży za jej granicami, zbadać całą resztę dzieła Jahwe. Jak spojrzeli w niebo i zastanawiali się nad siedzibą Jahwe nad zbiornikami z wodami niebios. I jak

przed wieloma wiekami zaczęła się budowa wieży, słupa sięgającego nieba, schodów, po których mogliby wejść ludzie, by zobaczyć dzieła Jahwe, i po których mógłby zejść Jahwe, by zobaczyć dzieła ludzi.

1796

Opowieść o tysiącach ludzi trujących się bez odpoczynku, lecz z radością, pracowali bowiem, by lepiej poznać Jahwe, zawsze napawała Hillaluma otuchą. Kiedy Babilończycy przybyli do Elam w poszukiwaniu górników, przeżywał wielkie emocje. Kiedy jednak stał tak teraz u podnóża wieży, jego zmysły zbuntowały się, uparcie twierdząc, że nic nie powinno wznosić się tak wysoko. Kiedy patrzył w górę wie-

ży, nie miał wrażenia, że znajduje się na ziemi.

Czy powinien wspiąć się na coś takiego?

W poranek, kiedy mieli wyruszyć na górę, druga platforma od krawędzi do krawędzi była zastawiona mocnymi, dwuko-

łowymi wózkami ustawionymi w rzędach.

Wiele z nich załadowano wszelaką żyw-

nością: workami jęczmienia, pszenicy, soczewicy, cebuli, daktyli, ogórków, bochenków chleba, suszonej ryby. Były tam nie-

zliczone olbrzymie gliniane dzbany z wodą, winem z daktyli, piwem, kozim mlekiem, oliwą

palmową. Inne wózki zostały wyładowane towarami, które można by sprzedać na bazarze:

naczyniami z brą-

zu, koszykami z trzciny, belami lnu, drewnianymi stołkami i stołami. Były tam też utuczony wół i koza, którym kapłani nakładali kaptury, żeby nie mogły patrzeć na boki i nie bały się wysokości. Po dotarciu na szczyt miały zostać złożone w ofierze.

Dalej stały wózki z kilofami i młotami górników oraz z wyposażeniem małej kuź-

ni. Ich brygadzysta zarządził też, by część wózków załadować drewnem i wiązkami trzciny.

Lugatum stał przy wózku i naciągał liny przytrzymujące drewno. Podszedł do niego Hillalum.

– Skąd jest to drewno? Po opuszczeniu Elam nie widziałem żadnych lasów.

1798

– Na północy rośnie las, który został zasadzony, gdy rozpoczęła się budowa wieży. Pocięte drewno jest spławiane Eufra-tem.

– Zasadziliście cały las?

– Kiedy architekci zaczęli budować wie-

żę, zdali sobie sprawę, że do wypalania cegły będzie potrzebne o wiele więcej drewna, niż znajdowało się go na równinie, więc kazali zasadzić las. Są specjalne grupy ludzi, które dostarczają wodę i sadzą nowe drzewko za każde wycięte.

Hillalum zdziwił się.

– I to daje całe potrzebne drewno?

– Większość. Wycięto też wiele innych lasów na północy, a drewno sprowadzono rzeką.

Przyjrzał się kołom wózka, odkorkował skórzany bukłak i nalał nieco oliwy między koło i oś.

Podszedł do nich Nanni, patrząc na rozpościerające się przed nimi ulice Babilonu.

1799

– Nigdy jeszcze nie byłem tak wysoko, żeby móc patrzeć z góry na miasto.

– Ani ja – rzekł Hillalum, lecz Lugatum tylko się roześmiał. – Chodźcie. Wózki są już gotowe.

Wkrótce wszyscy mężczyźni poustawia-

li się w parach przy swoich wózkach. Stali między ich dyszlami, do których były przymocowane

pętle ze sznura. Wózki cią-

gnięte przez górników były przemieszane z wózkami zwykłych ciągnaczy, a to dlatego, by nowicjusze utrzymywali właściwe tempo. Lugatum i jego towarzysz mieli wózek stojący tuż za wózkiem Hillaluma i Nanniego.

– Pamiętajcie – powiedział Lugatum –

żeby trzymać się jakieś dziesięć łokci za wózkiem przed wami. Na zakrętach cały ciężar spoczywa na ciągnącym z prawej, więc będziecie się zmieniać co godzinę.

Ciągnacze zaczęli już się posuwać w górę 1800

rampy. Hillalum i Nanni pochylił się i za-rzucił pętle swojego wózka na przeciwne ramiona.

Wyprostowali się razem, unosząc przód wózka z ziemi.

– A teraz ciągnijcie! – zawołał Lugatum.

Naparli na liny i wózek ruszył z miejsca.

Gdy koła zaczęły się już obracać, ciągnię-

cie wydawało się dość łatwe i górnicy okrążyli platformę. Kiedy dotarli jednak do rampy, musieli pochylić się mocniej.

– To ma być lekki wózek? – mruknął

Hillalum.

Rampa była na tyle szeroka, że pojedynczy człowiek mieścił się obok wózka, jeżeli musiał go minąć. Powierzchnię miała wyłożoną ceglami. Toczące się po niej od wieków koła wyłobiły dwie głębokie koleiny. Nad głowami ciągnaczy wznosiło się sklepienie wsparte na kroksztynach; szerokie, kwadratowe cegły zachodziły na siebie, spotykając się pośrodku. Słupy z pra-1801

wej strony były tak szerokie, że rampa sprawiała nieco wrażenie tunelu. Jeśli nie patrzyło się w bok, nie miało się poczucia przebywania na wieży.

– Śpiewacie przy pracy? – zapytał Lugatum.

– Kiedy kamień jest miękki.

– To zaśpiewajcie którąś z waszych gór-nicznych pieśni.

Wołanie dotarło do pozostałych górników i po chwili wszyscy śpiewali.

W miarę jak skracaly się cienie, wchodzili coraz wyżej. Otaczało ich tylko czyste powietrze i szli w cieniu chroniącym od słońca, więc było znacznie chłodniej niż w wąskich zaułkach miasta na poziomie ziemi, gdzie przemykające na drugą stronę ulicy jaszczurki padały w południe z gorąca. Patrząc w bok, górnicy widzieli ciemny Eufrat i zielone pola ciągnące się całymi stajami, poprzecinane lśniącoymi w słońcu 1802

kanalami. Babilon stanowił złożony wzór ściśniętych ulic i budynków rażących wzrok wybielonymi gipsem ścianami; było go widać coraz mniej, ponieważ wydawało się, że coraz bardziej przybliża się do podstawy wieży. Hillalum znów ciągnął za linę po prawej stronie, bliżej krawędzi, kiedy usłyszał, jak na prowadzącej w górę rampie poziom niżej ktoś krzyczy. Zapragnął zatrzymać się i spojrzeć w dół, ale nie chciał zakłócać marszu, a i tak nie mógłby wyraźnie zobaczyć niżej leżącej rampy.

– Co się tam dzieje? – zawołał do idące-go z tyłu Lugatuma.

– Jeden z twoich górników boi się wyso-kości. Czasami zdarza się ktoś taki wśród tych, którzy wspinają się na wieżę pierwszy raz. Taki człowiek przywiera do podłó-ża i nie może wejść wyżej. Co prawda nie-liczni odczuwają to tak szybko.

Hillalum zrozumiał.

1803

– Znamy podobny lęk ogarniający tych, którzy chcą zostać górnikami. Niektórzy nie mogą wejść

do kopalni ze strachu, że zostaną zasypani.

– Naprawdę? – zawołał Lugatum. – Nigdy

o czymś takim nie słyszałem. A jak ty się czujesz na wysokości?

– Nic nie czuję. – Zerknął jednak na Nanniego; obaj znali prawdę.

– Drżą ci dłonie, co? – szepnęła Nanni.

Hillalum potarł rękoma szorstką linę i skinął głową.

– Ja też to czułem, przedtem, kiedy byłem bliżej krawędzi.

– Może powinniśmy mieć na głowach kaptury jak ten wół i koza – mruknął żarto-bliwie Hillalum.

– Myślisz, że my też zaczniemy się bać wysokości, kiedy wejdziemy wyżej?

Hillalum zastanowił się. To, że jeden z ich towarzyszy poczuł strach tak szybko, 1804

nie wróżyło dobrze. Otrząsnął się: tysiące ludzi wchodziło na wieżę bez strachu i głupio byłoby pozwolić, by lęk jednego górnika zaraził ich wszystkich.

– Jesteśmy po prostu nieprzyzwyczajeni.

Będziemy mieli kilka miesięcy, żeby oswoić się z wysokością. Zanim dotrzemy na szczyt wieży, będziemy żalowali, że nie jest wyższa.

– Nie – odparł Nanni. – Chyba nie będę chciał ciągnąć tego wyżej.

Roześmieli się.

Wieczorem zjedli kolację złożoną z jęczmienia, cebuli i soczewicy, po czym ułożyli się do snu w jednym z wąskich korytarzy, przecinających wewnątrz wieży.

Kiedy górnicy obudzili się następnego ranka, ledwo mogli chodzić, tak bolały ich nogi. Ciągacze roześmieli się, dali im maść do nacierania mięśni i przeładowali wózki, żeby zmniejszyć obciążenie górników.

1805

Kiedy teraz Hillalum patrzył w dół, drżały mu kolana. Na tej wysokości wiał silny wiatr i górnik przewidywał, że w miarę wspinaczki będzie się wzmagał. Ciekawiło go, czy ktoś został kiedyś zdmuchnięty z wieży w chwili nieuwagi. I ten upadek: człowiek miałby czas na odmówienie modlitwy, zanim uderzyłby w ziemię. Hillalum zadrżał na samą myśl.

Następny dzień różnił od poprzedniego tylko większy ból nóg górników. Teraz widzieli znacznie dalej i rozległość widoku oszałamiała: było widać pustynie, leżące za polami, a karawany wydawały się niewiele większe od szeregu owadów. Już żaden inny górnik nie bał się wysokości tak bardzo, żeby nie mógł iść dalej, i przez cały dzień wspinali się coraz wyżej bez żadnych przeszkód.

Trzeciego dnia nogom górników nie po-

prawowało się i Hillalum czuł się jak stary ka-

leka. Dopiero czwartego dnia poczuli się lepiej i znów mogli ciągnąć poprzednie ładunki.

Wspinaczka trwała aż do wieczora, kiedy spotkali drugą grupę ciągaczy, któ-

rzy szybko prowadzili puste wózki rampą wiodącą w dół. Obie rampy wiły się wokół

siebie nie stykając się, lecz łączyły je korytarze przecinające wieżę. Kiedy obie grupy zrównały się ze sobą, przeszły na sąsiednią rampę, by wymienić się wózkami.

Górnicy zostali przedstawieni ciąga-czom drugiej grupy i wszyscy tego wieczora rozmawiali i jedli razem. Następnego ranka pierwsza grupa przygotowała puste wózki do drogi powrotnej do Babilonu, a Ligatum pożegnał się z Hillaludem i Nan-nim.

– Dbajcie o wasz wózek. Był na samym

szczyt wieży więcej razy niż którykolwiek człowiek.

– Czy temu wózkowi też zazdrościsz? –

1807

zapytał Nanni.

– Nie, bo za każdym razem, kiedy dociera na szczyt, musi wracać na sam dół. Ja bym tego nie zniósł.

Kiedy druga grupa zatrzymała się pod koniec dnia, do Hillaluma i Nanniego podszedł ciągnący wózek jadącego za nimi.

Miał na imię Kudda.

– Nigdy nie widzieliście zachodu słońca na tej wysokości. Chodźcie popatrzeć. –

Ciągnący podszedł do krawędzi i usiadł, zwieszając nogi nad przepaścią. Zobaczył, że górnicy zawahali się. – Podejdźcie bli-

żej. Jak chcecie, to możecie położyć się i wyrzucić za krawędź, – Hillalum nie chciał

wydać się strachliwym dzieckiem, ale nie potrafił się zmusić do spuszczenia nóg nad przepaścią liczącą tysiące łokci. Położył

się na brzuchu, przybliżając do krawędzi samą głowę. Nanni zrobił tak samo.

– Kiedy słońce zacznie zachodzić, 1808

spójrzcie w dół na ścianę wieży. – Hillalum zerknął na dół, po czym szybko podniósł wzrok na horyzont.

– Co jest innego w zachodzie słońca na wieży?

– Zastanówcie się: kiedy słońce chowa się za szczyty gór na zachodzie, na równinie Szinar robi się ciemno. Tutaj jednak jesteśmy nad szczytami gór, więc nadal widzimy słońce. Żebyśmy zobaczyli noc, musi ono zejść niżej.

Hillalum zrozumiał i aż otworzył usta.

– Cienie gór oznaczają początek nocy.

Noc zapada na ziemi wcześniej niż tu.

Kudda skinął głową.

– Widać, jak noc wznosi się w górę wie-

ży z ziemi do nieba. Porusza się szybko, ale powinniście to zobaczyć.

Przez minutę patrzył na czerwoną kulę słońca, a potem spojrzał w dół i pokazał palcem.

1809

– Już!

Hillalum i Nanni spojrzeli w dół. U podstawy potężnego słupa maleńki Babilon le-

żał w cieniu. Potem ciemność wspięła się na wieżę niczym rozwijająca się w górę materia.

Poruszała się na tyle powoli, że Hillalum czuł, iż może policzyć mijające chwile, ale w miarę przybliżania się gwał-

townie rosła, aż minęła ich szybciej niż mgnienie oka, a oni znaleźli się w mroku.

Hillalum przewrócił się na plecy i spojrzał w górę. Zdążył zobaczyć, jak ciemność szybko ogarnęła resztę wieży. W miarę jak słońce opadało poza krawędź świata, niebo stopniowo ciemniało.

– Wspaniały widok, prawda?

Hillalum nie odpowiedział. Po raz pierwszy zobaczył, czym jest noc: cieniem samej ziemi, rzuconym na niebo.

Po następnych dwóch dniach wspinaczki bardziej przyzwyczyli się do wysokości.

1810

Chociaż przebyli w linii prostej prawie stając, potrafił stanąć na krawędzi i spojrzeć w dół wieży.

Przytrzymał się jednego ze znajdujących się tam słupów i ostrożnie wychylił, by spojrzeć w górę. Zauważył, że wieża nie wygląda już jak gładki słup.

Zapytał Kudę:

– Wieża wydaje się rozszerzać u góry.

Jak to możliwe?

– Przyjrzyj się lepiej. Ze ścian wycho-dzą drewniane balkony. Są zrobione z drewna cyprysowego i wiszą na lnianych linach.

Hillalum zmrużył oczy.

– Balkony? A po co?

– Rozłożono na nich ziemię, żeby ludzie mogli uprawiać warzywa. Na tej wysokości trudno o wodę, więc najczęściej hoduje się cebulę. Wyżej, gdzie jest więcej deszczu, zobaczysz fasolę.

Nanni zapytał:

1811

– Jak to możliwe, żeby wyżej był deszcz, który nie spada tutaj?

Kudda zdziwił się.

– Spadając, wysycha w powietrzu. To oczywiste.

– Tak, oczywiste. – Nanni wzruszył ramionami.

Pod koniec następnego dnia doszli do poziomu balkonów. Były to płaskie platformy gęsto porośnięte cebulą, podtrzymywane grubymi linami przymocowanymi do ścian wieży tuż pod następną kondygnacją balkonów.

Na każdym poziomie we wnętrzu wieży

znajdowało się kilka wąskich pomieszczeń, w których mieszkały rodziny ciągarzy. Widziało się kobiety siedzące na pro-gach i szyjące tuniki lub wykopujące cebulę w ogrodach. Dzieci goniły się po ram-pach, bez strachu biegając między wózkami i wzdłuż krawędzi balkonów. Miesz-1812

kańcy wieży z łatwością odróżniali górników, uśmiechali się do nich i machali im rękami.

Kiedy nadszedł czas wieczornego posił-

ku, zatrzymano wszystkie wózki i zdjęto z nich żywność oraz inne towary przywiezione dla mieszkających tu ludzi. Ciągacze przywitali się z rodzinami i zaprosili górników na posiłek. Hillalum i Nanni zjedli z rodziną Kuddy wspaniałą kolację, na którą złożyły się suszone ryby, chleb, wino dak-tylowe i owoce.

Hillalum zauważył, że ta część wieży tworzy jakby małe miasteczko, ciągnące się pomiędzy dwiema ulicami – rampami prowadzącymi w górę i w dół. Znajdowała się również świątynia, w której odbywały się uroczystości; urzędowali sędziowie rozsądzający spory i funkcjonowały sklepy zaopatrywane przez karawanę. Oczywiście miasteczko pozostawało w ścisłym zwią-1813

ku z karawaną: jedno nie mogło istnieć bez drugiego. A jednak każda karawana rów-nała się podróży, zaczynającej się w jednym miejscu i kończącej w innym. Tu miasteczko nie było w zamierzeniu trwałe; stanowiło zaledwie część ciągnącej się całe stulecia podróży.

Po kolacji Hillalum zapytał Kudę i jego rodzinę:

– Czy któreś z was było kiedykolwiek w Babilonie?

Odpowiedziała żona Kuddy, Alitum:

– Nie, po co? To daleka droga, a wszystko, czego nam trzeba, mamy tutaj.

– Nie chcecie pochodzić po ziemi?

Kudda wzruszył ramionami.

– Mieszkamy na drodze do nieba; wszystko, co robimy, prowadzi do jej przedłużenia. Kiedy zechcemy opuścić wieżę, pójdziemy rampą prowadzącą w górę, nie w dół.

1814

Górnicy wchodzili coraz wyżej. Nadszedł taki dzień, że czy patrzyło się w górę, czy w dół z krawędzi rampy, wieża wydawała się taka sama. Poniżej jej trzon kurczył się w nicość na długo przedtem, nim wydawało się, że dotarła do leżącej poniżej równiny. Podobnie górnicy wciąż jeszcze nie mogli dostrzec szczytu. Widzieli jedynie ściany wieży. Patrzenie w górę lub w dół budziło przerażenie, bo nie było ciąż-

głości; nie stanowili już części ziemi. Wie-

ża mogłaby być nitką zawieszoną w powietrzu, nieprzymocowana ani do Ziemi, ani do nieba.

Podczas tej części wspinaczki nadchodziły chwile, kiedy Hillałum wpadał w rozpacz, czując się odcięty od świata; zupełnie jakby ziemia odrzuciła go za nie-wierność, a niebo nie raczyło go przyjąć.

Pragnął, żeby Jahwe dał jakiś znak, że aprobuje działanie ludzi; inaczej jak mogli 1815

zostać w miejscu, które dawało duchowi tak mało pociechy?

Mieszkańcy wysokich kondygnacji wie-

ży nie odczuwali niepokoju związanego z ich położeniem; zawsze ciepło witali górników i życzyli im powodzenia przy pracy na szczycie. Mieszkali wśród wilgotnych chmur, widzieli burze od spodu i od góry, zbierali żniwo z powietrza i nigdy nie bali się, że to niewłaściwe miejsce dla ludzi.

Nie mieli żadnych boskich zapewnień, ale nigdy nie zaznali chwili zwątpienia.

Wraz z upływem kolejnych tygodni słońce i księżyc zataczały coraz niższe łuki podczas swych codziennych podróży.

Księżyc zalewał południową stronę wieży srebrzystym blaskiem, lśniąc niczym patrzące na nich oko Jahwe. W krótkim czasie znaleźli się dokładnie na tym samym poziomie, co przepływający po niebie księżyc: dotarli na wysokość pierwszego z 1816

ciał niebieskich. Patrzyli zmrużonymi oczyma na jego dziobatą twarz i dziwili się majestatycznemu ruchowi, gardzącemu ja-kimikolwiek podporami.

A potem zbliżyli się do słońca. Latem słońce pojawia się pionowo nad Babilonem i na tej wysokości bardzo blisko mija wieżę. W tej części nie mieszkała żadna rodzina, nie było tu też żadnych balkonów, ponieważ gorąco wystarczało do uprażenia jęczmienia. Zaprawa między ceglami wie-

ży nie była już ze słomy ziemnej, która zmiękłaby i rozpułynała się, lecz z gliny dosłownie wypalanej przez upał. Dla ochrony przed dziennymi temperaturami słupy zostały poszerzone tak, że tworzyły niemal nieprzerwaną ścianę, zamykając rampę w tunelu z jedynie wąskimi szczelinami, przez które wpadał świszczący wiatr i strzały złocistego światła.

Aż do tego miejsca grupy ciągarzy znaj-1817

dowały się w takich samych odległościach od siebie, ale tu trzeba było dokonać modyfikacji. Każdego ranka wyruszali coraz wcześniej, by zyskać więcej ciemności w czasie, kiedy ciągnęli wózki. Kiedy znaleź-

li się na poziomie słońca, podróżowali wy-

łącznie nocą. W ciągu dnia próbowali spać, nadzy i spoceni w gorącym wietrze.

Górnicy bali się, że jeśli uda im się zasnąć, to zanim się obudzą, zostaną żywcem upieczeni. Ciągacze odbyli jednak tę podróż wiele razy i nigdy nie – kogo nie stracili; w końcu dotarli ponad poziom słońca, gdzie było tak jak poniżej.

Teraz światło dnia padało w górę, co wydawało się w najwyższym stopniu nienaturalne. W

balkonach usunięto niektóre deski, żeby mogło przez nie przeświecać światło, a na pozostałych zostawiono ziemię; rośliny wyrastały w bok i w dół, by pochwycić słoneczne promienie.

1818

A potem przybliżyli się do gwiazd, ma-

łych ognistych kul rozciągających się na wszystkie strony. Hillalum spodziewał się, że będzie ich więcej, lecz nawet z maleńki-mi gwiazdami niewidocznymi z ziemi wydawały się rozsiane bardzo rzadko. Nie wszystkie znajdowały się na tej samej wysokości, lecz zajmowały kilka staj w górę.

Trudno było powiedzieć, jak są daleko; nie mieli żadnych wskazówek co do ich wielkości, lecz czasami któraś z nich zbliżała się do wieży, dając dowód swej zdumiewającej prędkości. Hillalum zdał sobie sprawę, że wszystkie ciała niebieskie pędzą z podobną szybkością, by móc w jeden dzień przemierzyć cały świat od krańca do krań-

ca.

W dzień niebo było o wiele jaśniejsze, niż wydawało się z ziemi, co oznaczało, że zbliżają się do sklepienia. Przyglądając się niebu, Hillalum ze zdumieniem zobaczył

1819

gwiazdy. Z ziemi nie było ich widać poprzez blask słońca, ale na tej wysokości stały się zupełnie wyraźne.

Pewnego dnia przybiegł do niego Nanni i powiedział:

– Gwiazda uderzyła w wieżę!

– Co!? – Hillalum rozejrzał się w pani-ce, czując się, jakby otrzymał cios.

– Nie, nie teraz. Dawno temu, przed ponad stu laty. Jeden z mieszkańców wieży właśnie o tym opowiada; był przy tym jego dziad.

Weszli do korytarzy i zobaczyli kilku górników siedzących wokół pomarszczonego staruszka.

– ... wbiła się w cegły o jakieś pół staja nad nimi. Wciąż można zobaczyć bliznę, którą zostawiła; jest jak wielki ślad po ospie.

– A co się stało z gwiazdą?

– Płonęła, skwierczała i była zbyt jasna, 1820

by na nią patrzeć. Ludzie chcieli ją wydłubać, by wróciła na swój szlak, ale była zbyt gorąca, żeby blisko do niej podejść, a nie śmieli ugasić jej wodą. Po kilku tygodniach ostygła w powęzloną masę czarnego metalu tak dużą, że obejmował ją ramionami jeden człowiek.

– Taką dużą? – powiedział z nabożnym zdumieniem Nanni. Kiedy gwiazdy spada-

ły na ziemię z własnej woli, znajdowano czasami małe kawałki metalu z nieba, twardszego niż najlepszy brąz. Metalu tego nie można było przetopić, więc po rozgrzaniu do czerwoności obrabiano go młotkami: robiono z niego amulety.

– Zaiste, nikt nigdy nie słyszał o tak wielkiej masie znalezionej na ziemi. Możecie sobie wyobrazić, jakie narzędzia można by z niej zrobić?

– Chyba nie próbowaliście przerobić jej na narzędzia? – zapytał z przerażeniem 1821 Hillalum.

– O, nie. Ludzie bali się jej dotknąć.

Wszyscy zeszli z wieży, czekając na odwet Jahwe za zakłócenie dzieła stworzenia.

Czekali kilka miesięcy, ale nie pojawił się żaden znak. W końcu wrócili i wydłubali gwiazdę. Jest teraz w świątyni w mieście na dole.

Zapadła cisza. Przerwał ją jeden z górników:

– Opowieści o wieży nigdy o tym nie

mówiły.

– To było wykroczenie, coś, o czym się nie wspomina.

W miarę jak wspinali się coraz wyżej, kolor nieba bladł, aż wreszcie pewnego ranka Hillalum obudził się, stanął na krawędzi rampy i krzyknął zdziwiony: to, co przedtem wydawało się bladym niebem, teraz sprawiało wrażenie białego sufitu rozciągającego się wysoko nad ich głowa-1822 mi. Znajdowali się na tyle wysoko, by dostrzec sklepienie niebios, by zobaczyć je jako mocny pancerz okrywający całe niebo. Wszyscy górnicy mówili ściszonymi głosami, patrząc jak idioci w górę, a mieszkańcy wieży śmiali się z nich.

Kiedy znów ruszyli w górę, zdziwili się, jak blisko już są. Gładź powierzchni sklepienia zwiódła ich, czyniąc je niewidzialnym, aż pojawiło się nagle jakby tuż nad głowami. Teraz zamiast wspinać się do nieba, wspinali się ku pozbawionej jakichkolwiek cech równinie, która rozciągała się w nieskończoność we wszystkich kierunkach.

Jej widok zdezorientował wszystkie zmysły Hillaluma. Czasami, kiedy patrzył na sklepienie, miał wrażenie, jakby świat obrócił się do góry nogami i że gdyby stracił równowagę, spadłby w górę na sklepienie. Kiedy natomiast sklepienie wydawało 1823 się wznosić nad jego głową, wyczuwał jego potężną wagę. Było warstwą tak ciężką, jak reszta świata, a jednak pozbawione jakiegokolwiek oparcia, i Hillalum po raz pierwszy w życiu bał się, że zawali się na niego sufit.

Były też chwile, kiedy wydawało się, że sklepienie jest wznoszącą się przed nim pionową ścianą urwiska o niewyobrażalnej wysokości, podobnie jak ledwie widoczna w dole ziemia, i że wieża to mocno nacią-

gnięta lina między nimi. Albo, co było najgorsze ze wszystkiego, Hillalumowi przez chwilę wydawało się, że nie ma góry ani dołu, a jego ciało nie wie, w którą stronę jest przyciągane. Uczucie, jakby bał się wysokości, tylko o wiele gorsze. Często budził się złany potem i z zaciśniętymi palcami, starając się chwycić ceglanego pod-
łoża.

Nanni i wielu innych górników też mia-1824

ło przekrwione oczy, chociaż nikt nie mó-

wił, co nie pozwala mu spać. Wchodzili wolniej zamiast szybciej, jak spodziewał się ich brygadzysta Beli; widok sklepienia wywoływał raczej niepokój niż entuzjazm.

Ciągcze zaczęli się niecierpliwić. Hillalum zastanawiał się, jakich ludzi wykuwało życie w takich warunkach, czy udawało im się uciec szaleństwu?

Czy przyzwyczaili się do tego? Czy dzieci urodzone pod twardym niebem pła-kałyby, gdyby zobaczyły pod stopami ziemię?

Może ludzie nie mieli żyć w takim miejscu. Jeśli natura powstrzymywała ich przed zbytnim zbliżaniem się do nieba, to raczej powinni zostać na ziemi.

Kiedy dotarli do wierzchołka wieży, oszołomienie zniknęło, a może to oni stali się odporniejsi. Stojąc na kwadratowej platformie na szczycie, górnicy patrzyli na 1825

najbardziej przerażający widok, jaki kiedykolwiek mogły oglądać ludzkie oczy: daleko pod nimi leżał gobelin utkany z ziemi i morza, przysłonięty mgłą, rozciągający się we wszystkich kierunkach do granicy wi-doczności. Tuż nad nimi wisiał dach świata, ostateczna górna granica nieba, będąca gwarancją, że ich punkt widokowy jest najwyższy z możliwych. Tu można było się zetknąć z największą masą dzieła stworzenia.

Kapłani modlili się do Jahwe; złożyli dziękczynienie, że pozwolono im zobaczyć tak wiele, i

prosil o wybaczenie pragnienia ujrzenia jeszcze więcej.

Na szczycie ułożono cegły. W powietrzu czuło się ostry zapach, unoszący się z pod-grzewanych kotłów, w których topiły się kawałki smoły ziemnej. Była to najbardziej ziemska woń, jaką górnicy czuli od kilku miesięcy, i ich nozdrza chciwie wy-1826

łapywały każdy jej powiew, zanim porwał go wiatr. Tu, na szczycie, gdzie ciecz, która niegdyś wypływała ze szczelin w ziemi, teraz twardniała, wiążąc cegły, ziemia wy-ciągała ku niebu palec.

Tu pracowali murarze, mężczyźni wy-smarowani smołą, którzy mieszaali zaprawę i zręcznie, z niedościgłą precyzją, układali ciężkie cegły. Jak nikt inny nie mogli sobie pozwolić na zawroty głowy, gdy patrzyli na sklepienie, ponieważ wieża nie mogła odbiec od pionu ani na palec. Wreszcie zbliżali się do końca swego dzieła, a po czterech miesiącach wspinaczki górnicy byli gotowi zacząć swoje.

Egipcjanie przybyli wkrótce potem.

Mieli ciemną skórę, drobną budowę ciała i rzadkie brody. Ciągnęli wózki wyładowane młotkami z dolerytu, narzędziami z brą-

zu i drewnianymi klinami. Ich brygadzysta nazywał się Senmut, rozmawiał z Belim, 1827 brygadzystą Elamitów, o tym, jak przebić sklepienie. Z przywiezionych ze sobą elementów Egipcjanie zbudowali kuźnie, podobnie jak zrobili to Elamici do przekuwania narzędzi z brązu, które stępią się podczas kopania.

Samo sklepienie pozostawało tuż poza zasięgiem wyciągniętych palców mężczyzny; kiedy się podskakiwało, by go dotknąć, wydawało się gładkie i chłodne.

Było jakby z drobnoziarnistego białego granitu pozbawionego skaz i jakichkolwiek cech. I w tym tkwił problem. Dawno temu Jahwe spuścił Potop, uwalniając wody z dołu i z góry; wody Otchłani wytrysnęły ze źródeł ziemi, a wody nieba przelały się przez upusty w sklepieniu. Teraz ludzie przyglądali mu się z bliska, lecz nie widzieli żadnych upustów. Rozglądali się we wszystkich kierunkach mrużąc oczy, ale granitowej równiny nie przery-1828

wały żadne otwory, żadne spojenia.

Wyglądało na to, że wieża styka się ze sklepieniem w miejscu znajdującym się między zbiornikami, co okazało się bardzo szczęśliwym trafem. Gdyby było widać ja-kiś upust, musieliby ryzykować rozbicie go i opróżnienie zbiornika. To oznaczało-by deszcz dla Szinar, deszcz nie w porę, bardziej rześisty od deszczów zimowych, i spowodowałoby powódzie wzdłuż całego Eufratu. Deszcze najprawdopodobniej skończyłyby się po opróżnieniu zbiornika, ale zawsze istniała możliwość, że Jahwe ukarze ich i przedłuży opady, aż zawali się wieża, a Babilon rozpuści się w błoto.

Mimo że nie było widać żadnych upustów, ryzyko wciąż istniało. Może upusty nie miały spoin widocznych dla oczu śmiertelnika, a zbiornik leżał wprost nad nimi. A może zbiorniki były olbrzymie, tak że nawet jeśli najbliższy upust znajdo-1829

wał się w odległości wielu staj, nad nimi wciąż leżał zbiornik.

Długo dyskutowano nad dalszym postępowaniem.

– Jahwe przecież nie zmyje wieży – twierdził Qurdusa, jeden z murarzy. –

Gdyby wieża była bluźnierstwem, Jahwe zniszczyłby ją już wcześniej. Przez te wszystkie

stulecia, kiedy ją wznosiliśmy, nie widzieliśmy najmniejszej oznaki niezadowolona Jahwe. Zanim przebijemy się do jakiegoś zbiornika, Jahwe go opróżni.

– Gdyby Jahwe patrzył na to przedsię-

wzięcie z taką aprobatą, to wewnątrz sklepienia już czekałyby na nas gotowe schody

– sprzeciwił się Eluti, jeden z Elamitów. –

Jahwe ani nam nie pomoże, ani nie będzie nas powstrzymywał; jeśli przebijemy zbiornik, spadną na nas jego wody.

Hillalum nie mógł w takiej chwili zatrzymywać swoich wątpliwości dla siebie.

1830

– A jeśli wody są nieograniczone? Jah-we może nas nie ukarać, ale może pozwolić, żebyśmy sami na siebie sprowadzili wyrok.

– Elamito – odparł Qurdusa – mimo że

przybyłeś na wieżę dopiero niedawno, powinieneś wiedzieć lepiej. Pracujemy z miłości do Jahwe, robimy to przez całe życie, podobnie jak nasi ojcowie w poprzednich pokoleniach. Ludzie tak sprawiedliwi jak my nie mogą być osądzeni pochopnie.

– To prawda, że pracujemy w jak naj-

czystszych zamiarach, ale to nie znaczy, że pracujemy mądrze. Czy ludzie rzeczywiście obrali właściwą ścieżkę, wybierając życie z dala od ziemi, z której powstałi?

Jahwe nigdy nie powiedział, że ten wybór jest właściwy. Teraz jesteśmy gotowi rozbić niebo, mimo wiedzy, że nad nami znajduje się woda. Jeśli błądzimy, to jak możemy być pewni, że Jahwe uchroni nas przed 1831

naszymi własnymi pomyłkami?

– Hillalum doradza ostrożność i ja się z nim zgadzam – rzekł Beli. – Nie możemy sprowadzić na świat drugiego Potopu ani nawet niebezpiecznych deszczów na Szinar. Rozmawiałem z Egipcjaninem Sen-mutem, który pokazał mi projekty, na podstawie których zapieczętowany grobowce tamtejszych królów. Wierzę, że kiedy zaczniemy kopać, ich metody zapewnią nam bezpieczeństwo.

Po uroczystości, podczas której kapłani złożyli ofiarę z wołu i kozy, wypowiedzieli wiele świętych słów i spalili mnóstwo kadzidła, górnicy przystąpili do pracy.

Jeszcze zanim dotarli do sklepienia, było oczywiste, że zwykłe kopanie kilofami i młotami będzie niepraktyczne: nawet gdyby kopali poziomo, posuwaliby się przez granit nie więcej niż na szerokość dwóch palców dziennie, a kopanie w pionie było-1832

by o wiele wolniejsze. Posłużyli się więc ogniem.

Z przywiezionego drewna ułożyli ogni-

ska pod wybranym punktem sklepienia i palili je przez cały dzień. Kamień pękał i kruszył się pod wpływem gorąca płomieni.

Kiedy ogień wygasł, górnicy spryskali kamień wodą, żeby przyspieszyć pęknięcie.

Wtedy mogli łupać go na duże kawałki, które spadały ciężko na wieżę. W ten sposób każdy dzień palenia ognia przynosił

prawie łokieć wybranego materiału.

Tunel nie wznosił się w górę pionowo, lecz pod kątem, jaki zwykle przyjmuje się dla schodów, żeby można było zbudować rampę ze stopniami sięgającą do niego z wieży. Ogień wygładzał ściany i podłogę; górnicy przygotowali zabezpieczenie, żeby nie obsuwać się w dół. Ognisko rozpalane na końcu tunelu układali na platformie z wypalonych cegieł.

1833

Kiedy tunel wznosił się już na dziesięć łokci w głąb sklepienia, górnicy przestali kopać w górę i

rozszerzyli go do rozmiarów komory. Kiedy usunęli cały kamień osłabiony przez ogień, do pracy przystąpili Egipcjanie. Nie używali ognia. Zaczęli budować przesuwane drzwi z granitu, posługując się tylko dłutami i młotkami z dolerytu. Najpierw obrobili kamień tak, by z jednej ściany wyciąć olbrzymi blok granitu. Hillalum i inni górnicy próbowali im pomagać, ale okazało się to trudne: kamienia nie obrabiało się przez kruszenie go, lecz odłupywanie kawałków. Trzeba było uderzać młotkiem ze ściśle określoną siłą –

uderzenia słabsze lub mocniejsze na nic by się zdały.

Po kilku tygodniach blok był gotowy; wyższy od człowieka i szerszy niż wyższy.

Aby odciąć go od podłogi, Egipcjanie wy-

żłobili wokół podstawy kamienia szczeli-1834

ny, w które wbili drewniane kliny. Następnie rozszczepili je i wbili w nie jeszcze cieńsze kliny, a potem wylali do szczelin wodę, żeby drewno napęczniało. Po kilku godzinach w kamieniu pojawiła się rysa i blok został uwolniony.

Pod przeciwną ścianą pomieszczenia z prawej strony górnicy wypalili wąski korytarz biegnący w górę, a w podłodze przed wejściem do komory wyżłobili biegnący w dół rowek długi na łokieć. W ten sposób powstała gładka, nieprzerwana rampa przecinająca podłogę tuż przed wejściem i kończąca się z jego lewej strony.

Na tej rampie Egipcjanie umieścili gra-nitowy blok. Ciągnąc i pchając, wprowadzili go do bocznego korytarza, do którego ledwo się zmieścił, i podparli stertą płaskich cegieł z błota, sięgających lewej ściany niczym słup leżący na rampie.

Mając ruchomy głaz, który zatrzyma 1835

wodę, górnicy mogli bezpiecznie drążyć tunel. Gdyby przebili zbiornik i wody niebios wylały się do tunelu, rozbiliby kolejno cegły i kamień ześliznąłby się do rowka w podłożu, całkowicie blokując wejście. Jeśli wody runęłyby z taką siłą, że porwałyby ze sobą ludzi, cegły z błota stopniowo by się rozpuściły i kamień też zsunąłby się na dół. Wody zostałyby zatrzymane, a górnicy mogliby rozpocząć kopanie nowego tunelu w innym kierunku, omijając zbiornik.

Górnicy znów rozpalili ogień, by dalej drążyć tunel, rozpoczynając go w ścianie pomieszczenia naprzeciwko wejścia. Aby wspomóc krążenie po – wietrzą w sklepieniu, na wysokich drewnianych ramach rozpięto wołowe skóry i ustawiono je ukośnie po obu stronach wejścia do tunelu na szczycie wieży. W ten sposób stały wiatr wiejący pod sklepieniem niebios był kierowany w górę do tunelu; podtrzymywał on 1836

ogień i oczyszczał powietrze po wygaszeniu go, tak że górnicy mogli pracować, nie wdychając dymu.

Po ustawieniu ruchomego kamienia Egipcjanie nie przerwali pracy. Podczas gdy górnicy wymachiwali kilofami na koń-

cu tunelu, oni wycinali w litej skale schody, mające zastąpić te z drewna. Robili to za pomocą drewnianych klinów, a kamienne bloki, które usuwali z pochyłej podłogi, zastępowały stopnie.

Górnicy pracowali, wciąż wydłużając tunel. Wznosił się on cały czas w górę, choć regularnie zmieniał kierunek niczym nitka w olbrzymim ściegu. Zbudowali następne komory z przesuwanymi drzwiami, tak że gdyby przebili zbiornik, zostałyby zalany tylko najwyższy odcinek tunelu. Na powierzchni sklepienia wykuli kanaliki, z których zwiesili pomosty i platformy; zaczynając od tych platform, dość odległych 1837

od wieży, wydrążyli boczne tunele, które łączyły się z głównym tunelem głęboko w sklepieniu. Dzięki nim mieli wentylację, ponieważ kierowany do nich wiatr wyciągał dym z głębi tunelu.

Praca trwała całymi latami. Grupy cią-

gaczy nie wciągały już cegieł, lecz drewno i wodę do ognisk. W tunelach tuż pod powierzchnią sklepienia zamieszkałi ludzie, a na wiszących platformach zaczęli uprawiać zwieszające się w dół warzywa. Górnicy mieszkali tam na granicy nieba; niektórzy z nich ożenili się i mieli dzieci. Tylko nie-liczni znów stanęli na ziemi.

Z twarzą owiniętą wilgotną szmatą, Hillalum zszedł z drewnianych stopni na kamień, i dołożył drewna do ogniska na koń-

cu tunelu. Ogień będzie się palił przez wiele godzin, a on zaczeka w niższych tunelach, gdzie powietrze nie było gęste od dymu.

1838

Na chwilę zamarł z przerażenia. Lodowato zimna woda uderzyła o jego nogi i przewróciła go. Wstał, starając się złapać oddech, napierając ciałem na pędzącą wodę, chwytając się stopni.

Przebili zbiornik.

Musiał zejść poniżej najwyższych przesuwanych drzwi, zanim zablokują przejście. Jego nogi chciały przeskakiwać stopnie, ale Hillalum wiedział, że jeśli tak zrobi, to upadnie. A wtedy wściekły prąd na pewno roztrzaska go o skałę. Idąc tak szybko, jak tylko miał odwagę, schodził po jednym stopniu.

Kilka razy pośliznął się, za każdym razem zsuwając się o kilkanaście stopni; plecami ocierał się o kamienne stopnie, ale nie czuł bólu. Przez cały czas był pewien, że tunel zawali się i go przygniecie albo że pęknie całe sklepienie, pod jego stopami otworzy się niebo, a on spadnie na Ziemię 1839 wśród kropli niebieskiego deszczu. Nadeszła kara Jahwe, drugi Potop.

Jak jeszcze daleko do ruchomego kamienia? Tunel wydawał się ciągnąć bez końca, a wody pędziły coraz szybciej. Hillalum zbiegał po schodach.

Potknął się i upadł w płytką wodę.

Skończyły się schody i znalazł się w komorze ruchomego kamienia. Woda sięgała mu powyżej kolan.

Wstał i zobaczył Damqiyę i Ahuniego, dwóch górników, którzy właśnie go zauważyli. Stali przed kamieniem, który już zablokował wejście.

– Nie! – Zawołał Hillalum.

– Zamknęli nas! – wrzasnął Damqiya. –

Nie zaczekali!

– Czy idą inni? – krzyknął Ahuni bez nadziei w głosie. – Może uda nam się poruszyć ten kamień.

– Nie ma nikogo – odpowiedział Hilla-

1840

lum. – Czy mogą go pchnąć z drugiej strony?

– Nie słyszą nas. – Ahuni uderzył w kamień młotkiem. Huk pędzącej wody zagłuszał wszystkie dźwięki.

Hillalum rozejrzał się po małej komorze, dopiero teraz zauważając któregoś z Egipcjan unoszącego się na powierzchni wody twarzą w dół.

– Spadł ze schodów i zabił się – krzyknął Damqiya.

– Czy nic nie możemy zrobić?

Ahuni spojrział w górę.

– Oszczędź nas, Jahwe.

Cała trójka stała w podnoszącej się wodzie, rozpaczliwie się modląc, ale Hillalum wiedział, że na próżno: Jahwe nie prosił

ludzi, by wzniesli wieżę lub przebili sklepienie; decyzja o tym należała wyłącznie do nich i ludzie poniosą śmierć w tym przedsięwzięciu, tak jak zdarzało się to na 1841 ziemi. Prawość nie ocali ich przed konsekwencjami ich czynów.

Woda dosięgła im piersi.

– Wejdźmy wyżej – krzyknął Hillalum.

Mozolnie ruszyli w górę tunelu przeciwko prądowi, a woda wznosiła się za nimi.

Nieliczne pochodnie oświetlające tunel zgasły, więc szli w ciemności, mamrocząc modlitwy, których nie słyszeli. Drewniane stopnie zamocowane u szczytu tunelu zostały zmyte i zaklinowały się poniżej.

Przeszli po nich i dotarli do gładkiego kamiennego zbocza; tam czekali, aż woda poniesie ich wyżej.

Czekali w milczeniu, wyczerpawszy modlitwy. Hillalum wyobraził sobie, że stoi w czarnym przelisku Jahwe, a Przepo- tężny pije wodę niebios, gotów połknąć grzeszników.

Woda poniosła ich w górę, aż Hillalum mógł wyciągniętymi rękami dotknąć sufitu. Olbrzymia szczelina, z której tryskała woda, znajdowała się tuż obok. Pozostało już niewiele powietrza. Hillalum zawołał:

– Kiedy ta komora się napelni, możemy popłynąć w kierunku nieba.

Nie wiedział, czy go usłyszeli. Kiedy woda sięgnęła sufitu, po raz ostatni zaczerpnął powietrza i wpłynął do szczeliny.

Umrze bliżej nieba, niż ktokolwiek przed nim.

Szczelina ciągnęła się przez wiele łokci.

Gdy tylko Hillalum ją przepłynął, kamienna warstwa umknęła mu spod pleców i jego machające kończyny niczego już nie dotykały. Przez chwilę czuł, jak niesie go prąd, ale po chwili nie był tego taki pewien. Otaczała go tylko ciemność i znów poczuł ten straszny zawrót głowy, którego doświadczył, kiedy po raz pierwszy zbliżył

się do sklepienia. Nie mógł rozróżnić żadnego kierunku, nie wiedział nawet, gdzie 1843 jest góra ani dół. Wykonywał pływackie ruchy, ale nie wiedział, czy płynie.

Może unosił się bezradnie w spokojnej wodzie, a może porwał go wściekły prąd; czuł jedynie paraliżujące zimno. Nie widział żadnego światła. Czy w tym zbiorniku nie ma powierzchni, do której mógłby się wzniesć?

Wtedy znów uderzył w kamień. Jego dłonie wyczuły szczelinę. Czy wrócił do miejsca, z którego wyruszył? Woda wpychała go do szczeliny, a on nie miał siły się opierać. Został wciągnięty do tunelu i obijał się o jego ściany. Był niewiarygodnie głęboki, jak najdłuższy kopalniany szyb.

Hillalum czuł, że zaraz pękną mu płuca, ale tunel zdawał się nie mieć końca. W

końcu górnik nie mógł już dłużej wstrzymać oddechu i wypuścił powietrze z ust. Tonął i otaczająca go ciemność zalała mu płuca.

1844

Nagle ściany rozbiegły się. Hillalum niósł pędzący strumień wody, poczuł powietrze nad jego powierzchnią! A potem nie czuł już nic.

Obudził się z twarzą przyciśniętą do wilgotnego kamienia. Nic nie widział, ale czuł przy dłoniach wodę. Przetoczył się na plecy i jęknął: bolały go ręce i nogi, był nagi, skórę miał poobcieraną do krwi lub po-marszczoną od wody, ale oddychał.

Po pewnym czasie Hillalum w końcu wstał. Wokół jego kostek kłębiła się woda.

Kiedy postąpił krok, zrobiła się głębsza. W

przeciwnym kierunku był suchy kamień –

dotyk podpowiadał, że to łupek.

Było zupełnie ciemno, jak w kopalni bez pochodni. Pokaleczonymi palcami macał

przed sobą podłoże, które w końcu wzniosło się i zmieniło w ścianę. Pełzał tam i z powrotem

powoli, niczym jakieś ślepe stworzenie. Znalazł źródło wody, duży 1845

otwór w podłożu. Przypomniawszy sobie! Został wyrzucony ze zbiornika w górę przez ten otwór.

Pełził przed siebie, jak mu się wydawało, całymi godzinami; jeśli to jaskinia, to była olbrzymia.

Znalazł miejsce, w którym podłoże wzniosło się zboczem.

Czy jest jakieś przejście prowadzące w górę? Może uda mu się trafić do nieba.

Czołgał się, nie mając pojęcia, ile minę-

ło czasu, nie przejmując się, że nie będzie potrafił wrócić, ponieważ nie mógł wrócić tam, skąd

przybył. Szedł korytarzami prowadzącymi w górę, ilekroć je znajdował, a prowadzącymi w dół,

kiedy musiał. Chociaż połknął więcej wody, niż sądził, że to możliwe, zaczął odczuwać pragnienie i

głód.

W końcu zobaczył światło i wybiegł na zewnątrz.

Światło było tak jasne, że Hillalum zamknął oczy i padł na kolana z zaciśniętymi 1846

pięściami uniesionymi na wysokość twarzy. Czy to blask Jahwe? Czy jego oczy zniosą ten

widok? Po kilku minutach otworzył je i zobaczył pustynię. Zostawił

za sobą jaskinię u podnóża jakichś gór. Po horyzont ciągnęły się skały i piasek.

Czy niebo jest jak Ziemia? Czy Jahwe

mieszka w takim miejscu? A może to tylko jeszcze jedno królestwo w dziele stworzenia Jahwe,

jesz – czy jedna Ziemia znajdująca się nad Ziemią Hillaluma, a Jahwe mieszka wyżej?

Słońce znajdowało się przy szczytach gór za jego plecami. Wznosi się czy opada? Czy są tu dnie i

noce?

Hillalum popatrzył na piaszczystą okolicę zmrużonymi oczyma. Wzdłuż horyzon-

tu przesuwawa się jakaś linia. Czy to karawana?

Pobiegł do niej, wołając z głębi wyschniętego gardła, aż zabrakło mu tchu.

1847

Zobaczyła go jakaś postać z końca karawany i zatrzymała ją.

Postać wydawała się człowiekiem, nie duchem, i była ubrana jak podróżujący po pustyni.

Trzymała bukłak. Hillalum napił

się, z trudem łapiąc oddech.

W końcu oddał mężczyźnie bukłak i wy-

dyszał:

– Co to za miejsce?

– Zaatakowali cię bandyci? Zdążamy do Erech.

Hillalum wytrzeszczył oczy.

– Chcesz mnie oszukać – zawołał. Męż-

czyzna cofnął się i patrzył na Hillaluma, jakby ten oszalał od słońca. Górnik zobaczył

zbliżającego się jeszcze jednego po-dróznika. – Erech jest w Szinar!

– Owszem. Nie zdążyłeś do Szinar? –

Drugi mężczyzna trzymał laskę w pogotowiu.

– Przybywam z... byłem w... – Hillalum 1848

zamilkł. – Znacie Babilon?

– O, to jest zatem cel twojej podróży?

Leży na północ od Erech. Droga między nimi jest łatwa.

– Wieża... słyszeliście o niej?

– Oczywiście, to słup wznoszący się do nieba. Podobno ludzie na szczycie drążą tunel przez sklepienie niebios.

Hillalum upadł na piasek.

– Źle się czujesz? – Dwaj poganiacze wielbłądów pomruczeli między sobą i odeszli, by naradzić się z pozostałymi. Hillalum nie patrzył na nich.

Jest w Szinar. Wrócił na ziemię. Wspiął

się ponad niebieskie zbiorniki i wrócił na ziemię. Czy Jahwe sprowadził go do tego miejsca, by nie dotarł wyżej? A jednak Hillalum wciąż nie widział żadnych znaków, żadnej wskazówki, że Jahwe go zauważył. Nie spodziewał się żadnego cudu ze strony Jahwe, w którego wyniku znalazłby się tutaj. O ile potrafi się zorientować, po prostu wypłynął ze sklepienia i znalazł się w leżącej poniżej jaskini.

Jakimś sposobem sklepienie niebios znajdowało się pod ziemią. Zupełnie jakby leżały obok siebie, chociaż dzieliło je wiele staj. Jak to możliwe? Jak takie odległe miejsca mogą się ze sobą stykać? Hillalum głowa od tych rozmyślań.

I wtedy zrozumiał: cylindryczna pieczęć. Potoczony po tabliczce miękkiej gliny rzeźbiony walec zostawił odcisk two-rzący jakiś obraz. Dwie postacie mogły pojawić się na przeciwnych końcach tabliczki, choć na powierzchni walca znajdowały się obok siebie. Cały świat jest takim walcem. Ludzie wyobrażają sobie, że niebios i ziemia znajdują się po przeciwnych końcach tabliczki, a między nimi rozciąga się niebo i gwiazdy; a mimo to świat jest zawinięty w jakiś fantastyczny sposób tak, że

niebios i ziemia stykają się ze sobą.

Teraz było jasne, dlaczego Jahwe nie zburzył wieży, nie ukarał ludzi za pragnienie dotarcia poza wyznaczone im granice –

najdłuższa bowiem podróż zakończy się w miejscu, w którym się zaczęła. Całe wieki pracy nie ujawnią ludziom ani trochę wię-

cej dzieła stworzenia, niż już je znają. Jednak dzięki swemu wysiłkowi, widząc, jak pomysłowo został skonstruowany świat, ludzie dostrzegą niewyobrażalny artyzm dzieła Jahwe. Dzięki tej konstrukcji dzieło Jahwe zostało ujawnione i ukryte zarazem.

W ten sposób ludzie będą znali swoje miejsce.

Hillalum stanął na nogach miękkich z nabożnego podziwu i odszukał przewodnika karawany. Wróci do Babilonu. Może znów zobaczy Lugatuma. Pośle wiadomość ludziom na wieży. Powie im o kształcie świata.

1851

